

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

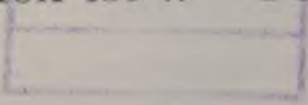
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 213.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1894. — Tom I.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Foksal Nr 6.

1894.

4620. 1894. 1

II



30.000,-

Дозволено Цензурою.

Варшава, 12 Января 1894 года.

X-14314
4620/ II 1.
/1894

KRONIKA BASZKA

czyli tak zwana Wielkopolska Kronika.

Od kilkudziesięciu lat łamią sobie głowę nad tem uczeni nasi, co rozumieć o tym, bądź jak bądź, jednym z najważniejszych zabytków średniowiekowej naszej historyografii. Przedmiotem sporu jest wiek tej kroniki, jej stosunek do innych już to kronik, już annałów; niemniej jej dziwna powierzchowność, która w jednej części daje jej znamiona ciągłego kronikarskiego opowiadania, w drugiej znowu urywkowych rocznikarskich zapisek; pewne w niej miejsca, gdzie ktoś, a coraz inny, przez „ja” do czytelnika przemawia, a pogodzić miejsc takich z sobą ani chronologicznie nie można, ani też odnieść do jednej osobistości; kwestya wreszcie co do autorstwa tego utworu: czy to robota jednego pisarza, czy dwóch, czy może całej spółki; a nakoniec i to nawet było kością niezgody, jak się właściwie nazywała osoba, mająca podług jednych częściowy, podług drugich wyłączny udział w napisaniu kwestyonowanej kroniki: czy nią był Paweł *alias* Pasek, więc imiennik wiadomego pamiętnikarza z czasów Jana Kazimierza i Sobieskiego, a kto wie czy nie jaki antenat jego, czy po dawnemu Baszko. Od czasu pierwszego wydania drukiem tego dzieła do dzisiaj pytania powyższe są ciągle otwartemi kwestyami, pomimo, że bardzo wielu głos nad tem zabierało — jedni, objawiając zdanie swoje krótkiem, doraźnie stawionem, twierdzeniem, drudzy we wstępach do sporządzonych przez siebie

wydań (Kownacki i Bielowski), jeszcze inni w okazyjonalnych ocenach opinii drugih, niektórzy wreszcie w samoistnych publikacjach, których po dziś dzień mamy dwie: Mosbacha: *Godysław Paweł (?) dwóch inion dziejopisarz polsko-laciński w XIII wieku*, Lwów r. 1867 — i Dra Warmskiego: *Die grosspolnische Chronik*, Kraków 1879.

Po tej całej, tak często wznawianej, dyskusyi, rzecz dzisiaj stoi tak, że jeżeli się komu z nas w pracach naszych przyjdzie powołać czasem na tę kronikę, to nie wiedzieć, jak ją oznaczyć, nie uciekając się do oklepanego „tak zwany” Bogufał albo Baszko, Pasek i t. p. I to dla mnie właśnie powód, dla czego poświęcam temu przedmiotowi niniejszy osobny artykuł. Poczytując tylko Baszka za autora i chcąc kronikę tę tylko jego imieniem oznaczać, powinienem podać powody, które mnie do tego skłaniają.

Pierwsza edycja tej kroniki wyszła w r. 1730 we Wrocławiu, w tomie II zbioru Sommersberga, pod nast. tytułem: *Boguphali II episc. Posnan. Chronicon Poloniae cum continuatione Baszkonis custodis Posnaniensis*. Ten tytuł nadał jej dopiero wydawca, w manuskryptach bowiem tego nie było. Z tymże tytułem weszła ona potem w dwa następne wydania warszawskie: Żaluskiego (1752) i Mitzlera (1769). Takież napis nosi i ostatnia edycja Bielowskiego z r. 1872 w tomie II *Mouvementów Poloniae*.

W autorstwo biskupa Bogufała uwierzono w wieku XVIII tem chętniej, że sobie wtedy wyobrażano, iż w ogólności najważniejsze dzieła nasze dziejopisarские przez biskupów były dokonane: Mateusz herbu Cholewa, Kadłubek, Martinus Polonus, Długosz, Kromer i t. d. Naruszowicz, kiedy zasiadał do swego, epokę stanowiącego, dzieła, podniósł to nawet wyraźnie jako chlubną tradycję polskiego episkopatu. A przecież zachodziła w tem mniemaniu pewna iluzya. Wyżej wymienieni biskupi, — z wyjątkiem Mateusza, który tylko przez nieporozumienie za historyka uchodził, — pozostawili zaiste pisma o dziejach ojczystych; ale żaden z nich ich nie pisał, będąc biskupem. Przypadają one wszystkie na ich lata przed wyniesieniem do tej godności. Komu wiadomo, w jakich okolicznościach, wśród jakich obowiązków i stanu, i pozycyi senatorskiej, i potocznych, ale z konieczności wynikających roztargnień, płynęło życie naszych książąt kościoła, ten zrozumie, że (prócz może jednego Piaseckiego) żaden biskup polski nie zajmował się i nie mógł ślęczeć nad podobną robotą. Długosz głównie z tej właśnie przyczyny nie chciał tak długo przyjąć infuły, że mu miłą była ta cicha praca około dziejów, którą nad wszystkie pompy i świetności przenośli.

Otóż Bogufał II, biskup poznański, zmarły r. 1253, miał w latach swego biskupstwa pracować nad tą kroniką i dociągnąć ją aż prawie

do roku swego zgonu. Sommersberg wpadł na ten pomysł z tego powodu, że w drugiej połowie tego utworu, pod r. 1249, jest miejsce, gdzie rzekomy autor sam o sobie przemawia w pierwszej osobie: *Eodem tempore, in prima nocte post diem b. Johannis Baptistae, ego Bogufhalus episcopus Posnaniensis audivi, licet peccator, per visum quendam religiosum mihi dicere* i t. d. ¹⁾. Ta wizya, a raczej sen, opowiedziany w kronice w ten sposób przez samego biskupa, ma być dowodem, że zatem on-to sam co najmniej aż do tego miejsca ją pisze; a dopiero od r. 1249, albo którego z najbliższych przed r. 1253, miał rzecz kontynuować inny autor, kustosz poznański, Baszko, przemawiający w podobny sposób, kim jest i jak się zowie, w dalszych miejscach kroniki.

Ten wniosek Sommersberga przyjęli bez wahania Załuski, Mitzler, czeski uczyony Dobner, w naszych czasach Maciejowski, Lelewel, wreszcie Bielowski, który tego zapatrywania wszelkimi możliwymi sposobami broni w przedmowie do swej edycji. Zwalczali zaś autorstwo biskupa: Kownacki (w swym przekładzie tej kroniki na język polski, w r. 1822 wydanym), Wiszniewski, Przeździecki, Mosbach, Zeissberg i wielu innych. A ponieważ przy dokładniejszym roztrząsaniu kwestyi wynurzyły się z tego zamętu wątpliwości, które — nawet usunąwszy Bogufała na bok — także i Baszka prawa do tej spuścizny bądź w części, bądź całkiem zachwiewają, więc, koniec końcem, uznano za najlepsze omijać ostrożnie ten prawdziwy stek zagadek i sprzeczności i nie nazywać dzieła ani Bogufałową, ani Baszkową kroniką, lecz „Wielkopolską.”

Mojem zdaniem nie można Bogufała ze styczności z tą kroniką całkiem usuwać. Pochodzi coś w niej od niego, ale nie więcej, jak ta właśnie zapiska o wizyi we śnie. Nazajutrz po owej wizyi, przywiązując do niej głębsze znaczenie, spisał na jakiej luźnej karcie albo podyktował nasz biskup, co mu się śniło; a ponieważ była to przepowiednia, że za 25 lat *tota Polonia consummabitur*, więc dla sprawdzenia i umożliwienia tego *verra qui vivra*, polecił ową notatkę zanieść na wieczną rzeczy pamiątkę do przechowania w jakim miejscu bezpiecznym, np. w skarbcu kościelnym.

W skarbcach kościołów przechowywano w tamtych wiekach, oprócz drogocennych kosztowności sakralnych, i archiwalno-biblioteczne zbiory, więc dokumenta, pieczęcie, księgi, manuskrypta i t. d., a między innemi i rocznik własny miejscowy, do którego, za przykładem katedralnych i opackich fundacyi za granicą, i u nas zaciągano pamiętne zdarzenia, dotyczące odnośnego kościoła, i ważniejsze krajowe. Taki rocznik od dawnych czasów posiadała i katedra poznańska.

¹⁾ Mon. Pol. II, 567.

Mamy go, w stanie wprawdzie bardzo zdefektowanym, oddrukowany w *Mon. Pol.* w t. II i III. Nader chudy początek tego rocznika od r. 730—1190, zaledwie tu i owdzie dotyczący naszych krajowych zdarzeń, więc widocznie wypisany z jakiegoś niemieckiego annału, zamieścił Bielowski w tomie II, obok krakowskiego Rocznika katedralnego (p. 789—800). Dalsza partya, niepotrzebnie oderwana w druku od tamtej, znalazła miejsce dopiero w III tomie (p. 7—41), p. t. *Rocznika Wielkopolskiego*. Poczyna on się od r. 1192 i coraz zasobniej zdarzenia nasze własne krajowe szereguje i opowiada. Prowadzić takie roczniki było obowiązkiem tych z pomiędzy prałatów katedralnych, którzy mieli pod swym kluczem skarbiec, a takimi byli z kolei kustoszowie odnośnego miejsca. Nie stawiam wprawdzie wręcz twierdzenia, żeby wszystkie, jakie tylko mamy, annały nasze koniecznie i jedynie przez kustosów były ułożone. Niejeden z tych dygnitarzy mógł się od tego obowiązku uchylać, lub też kim innym dawać się w nim wyręczać. Ale z zasady tych-to dostojników kapitulnych było zadaniem pamiętać o kontynuowaniu rocznika i o straży nad nim. Gdyby było prawdopodobieństwo choćby najślabsze, że późniejszy biskup Bogufał piastował w młodszym latach kustodyę w kapitule poznańskiej, można-by bodaj pewną część (przed r. 1240) *Rocznika poznańskiego* jego autorstwu przysądzać. Lecz my znamy z pewnością dyplomatyczną wszystkich z tego czasu kustosów. Byli nimi następujący: w r. 1230 ktoś, którego imię od sylab *Aro* się zaczynało, jeżeli odnośny (tylko w odpisie zachowany) dokument nie przekreślił jego nazwiska; w dalszych latach Mikołaj, cytowany w tym charakterze w r. 1236—1238; następnie od r. 1244 do 1252 *Helvicus* ¹⁾. Z drugiej strony i o Bogufale dokumentnie wiadomo, że nie z kustodyi, ale z kantoryi poznańskiej, na której już r. 1230 i aż do 1240 zasiadał, postąpił na tron biskupi ²⁾. I wiedział o tem już Długosz, który o nim podał różne szczegóły, lecz ani słowa jednego o tem, żeby się był pisaniem dziejów zajmował. Nikomu i z późniejszych aż do r. 1730 nic nigdy o tem nie było wiadomo. W samej niniejszej—nazwijmy ją tu tak jeszcze—*Wielkopolskiej Kronice*, pod rokiem 1253 jako rokiem śmierci biskupa, podniesiono z całym uznaniem rzadkie i szlachetne zgasłego tego męża zalety; nie pominięto i tego, że miał zamiłowanie w naukach, że cenił księgi i lubił się w nich rozczytywać; ale o żyłce dziejopisarskiej niema najmniejszej wzmianki. A przecież nie byłby właśnie tego pokrył milczeniem człowiek, który z całą czcią dla zmarłego do tej księgi zapisał to wspomnienie po-

¹⁾ Kod. dypl. WPol. Nr. 127, 196, 212, 213, 599. Roczn. WPol. Mon. Pol. III, 11 pod r. 1244.

²⁾ Kod. dypl. WPol. Nr. 127, 131, 137, 196, 212, 199, 595.

śmiertne i sam był z powołania na niwie dziejowej rozmiłowanym badaczem i pracownikiem.

Spisana podług własnego dyktatu notatka owa o wizyi biskupa w r. 1249 — wszakże bowiem czytamy w niej i tę wiadomość, że ją *expergefactus de somno niezwłocznie revelavit quibusdam suis capellanis* — mogła później, tak jak opiewała, dosłownie zostać wstawioną w rocznik ¹⁾. A przy układaniu kroniki na podstawie tego rocznika weszła i w nią w brzmieniu tem samym, t. j. w pierwszej osobie, by zatrzymać całe znamię autentyczności.

Załatwiwszy się z biskupem, zajmijmy się teraz kustoszem, który miał kontynuować jego dzieło. Fakta wiadome o Baszku zestawiam w następującym szeregu. W r. 1252 nie był jeszcze kanonikiem i poprzestawał na skromnem stanowisku skarbnika biskupiego. W tym charakterze jest wspomniany w dokumencie Bogufała II z tego roku ²⁾ z tym dodatkiem, że ten dokument on ułożył i napisał. Imię jego tu *Bascho*. W r. 1256 występuje jako świadek pewnej czynności biskupa Bogufała III ³⁾ i ma już tytuł kustosza poznańskiego — imię jego tu *Basco*. W r. 1257 ⁴⁾ w tymże charakterze uczestniczy w pewnej czynności księcia Przemysła I, w kościele katedralnym poznańskim odbytej, i jako kustosz przywiesza do tego aktu pieczęć kapituły. Napisano imię tu jego *Bascho*. W dalszym dokumencie, niedatowanym, ale z tego samego pewnie roku ⁵⁾, wspomniano o nim, że w jego przytomności, obok kilku innych prałatów poznańskich po imieniu nazwanych, dokonał pewnej czynności prawnej w r. jeszcze 1256 Jarost, sędzia gnieźnieński. Nazwano go tu *Gotsalcus custos Posnaniensis*. W akcie z r. 1267 ⁶⁾ występuje pod temże imieniem *Gotsalcus custos Posnaniensis* między świadkami pewnego rozporządzenia, skutecznego w Krobi przez tamtoczesnego biskupa, Mikołaja. W dokumencie z r. 1269 ⁷⁾ świadczy odnośnej tegoż biskupa czynności i nazwany tu jest *Basco*, kustosz poznański. Nakoniec w dyplomacie Przemysła II z r. 1280 ⁸⁾, wydanym w Kaliszu dla Dominikanów we Wronkach, jest przywie-dziony jako świadek pod imieniem *Gotsalcus cantor Posnaniensis*. Dyplom ten podejrzewają pod względem autentyczności; zdaje się być

¹⁾ Mamy ją tu na str. 15 III tomu.

²⁾ Kod. WPol. Nr. 599.

³⁾ Tamże, Nr. 601.

⁴⁾ Tamże, Nr. 347.

⁵⁾ Tamże, Nr. 362.

⁶⁾ Tamże, Nr. 607.

⁷⁾ Tamże, Nr. 439.

⁸⁾ Tamże, Nr. 493.

przepisany później kiedys z niejakimi wtřętami, choć chce uchodzić za oryginał. I snać przy tem-to przepisaniu wkrađł się weń ten *lapsus: cantor* zamiast *custos*. Dalszych śladów jego istnienia jako kustosza poznańskiego przy dzisiejszym stanie źródeł nie mamy. W r. 1285 widzimy jako piastującego tę godność już innego prałata, imieniem Tomka, który mógł ją już parę lat i pierwej osiągnąć; a po tego zejściu posiada ten urząd, od r. 1306 począwszy, jakiś Jakób ¹⁾.

Zostawał przeto nasz Baszko na tej prałaturze poznańskiej od r. 1256, albo paru lat przed tym rokiem, aż do co najmniej roku 1280. Był tu zaś nazywany Baszko lub Gotszalk, co tylko stąd pochodziło, że Baszko było jego przezwiskiem, jak sam w tej kronice z okazji pewnego wydarzenia, w roku 1266 albo 67 zachodzącego ²⁾, oznajmia, a imię mu było Godysław: *miserunt me Godislawum custodem Posnaniensem, Basconem cognonime. Godislaus* a *Gotsalcus* brało otoczenie jego poznańskie snać za synonim. Na tym roku 1280 nie urywa się jednakże wątek życia tego męża i nie była ta kustodya poznańska jedyną jego godnością. Począwszy od r. 1268, widzimy go w kilku dokumentach kujawskich wspominanego jako dziekana kruszwickiego ³⁾, a to pod imieniem *Goslau*s. Dzierzył tę funkcję dowodnie aż do r. 1277, rzeczywiście jednak pewnie parę lat dłużej, ponieważ następcą jego na tej dziekanii, jakiś Albertus, jawi się dopiero d. 4 października r. 1282 ⁴⁾. W roku zatem pewnie 1281 musiał Baszko zrezygnować z tej prałatury kruszwickiej, a zapewne i z poznańskiej, zamieniając obydwie na dostojęństwo dziekana archikatedry gnieźnieńskiej, na której-to posadzie dowodnie go w roku 1283 spotykamy, co nie wyklucza możliwości przeniesienia się jego do Gniezna jeszcze r. 1281. Poprzedni dziekan gnieźnieński nazywał się Falenta i występuje w źródłach dziejowych w tym charakterze od r. 1262 do 1279, w którym żył jeszcze i działał, tak, iż mógł w r. 1281 zakończyć życie ⁵⁾. Jako dziekan gnieźnieński jest Baszko wspomniany zawsze pod imieniem *Goslau*s, a to w kilku dokumentach z r. 1283 do 1294 ⁶⁾. Niema jednak koniecznego powodu do przypuszczenia, żeby zgon jego do tego już czasu należało odnosić, a to ze względu na to, że następcą jego, Mikołaj, po raz pierwszy się jawi jako dziekan gnieźnieński dopiero w r. 1298 ⁷⁾.

¹⁾ Tamże, Nr. 559, 896, 910, 921, 953.

²⁾ Mon. Pol. II, 591.

³⁾ Kod. Rzyszcz. II. Nr. 94 i 109; Kod. WPol. Nr. 698; Archiw. Komis. hist. IV, p. 216 Nr. 40.

⁴⁾ Kod. Rzyszcz. II, Nr. 459 i 119.

⁵⁾ Kod. WPol. Nr. 396 i 490.

⁶⁾ Ibid. Nr. 522, 534, 554, 630, 655, 696, 697 i 717.

⁷⁾ Ibid. Nr. 789.

Mógł zatem snadnie dożyć tego jeszcze lub poprzedniego roku nasz Gosław. Umierał-by w wieku wprawdzie późnym, ale nie licząc sobie lat pewnie więcej, jak najwyżej 77. Pierwsza bowiem o nim wzmianka jako o skarbniku tylko biskupim, przypadająca, jak się wyżej powiedziało, na r. 1252, upoważnia do widzenia w nim wtedy jeszcze młodego człowieka, nie starszego nad lat 30, tak, iżby się mógł rodzić około r. 1222.

Na tę myśl, że Gosław, dziekan gnieźnieński, był identyczną osobą z Baszkiem, wpadał już Mosbach. Jemu jednak był wiadomy tylko jeden dokument ze wzmianką o tej osobistości na tym urzędzie i z tem imieniem. Dr Warmiski znał ich już więcej, nietylko o gnieźnieńskim, ale i kruszwickim tego imienia dziekanie mówiących. Ale z uwagi, że tam zawsze Gotszalk albo Baszko, a tu nigdy inaczej, jak Gosław, nie chciał uznać w nich jednego człowieka. Do tych wątpliwości, dotyczących imienia, i tę jeszcze dodać-by można, że przecież zdaje się to być dziwnem, że też niema ani jednego dokumentu z owych lat, kiedy miałby być Baszko kustoszem poznańskim i dziekanem kruszwickim, w którym-by go przywiedziono w obydwóch tych charakterach. Zawsze go wspominają albo tylko w jednym, lub w drugim.

Zapewne, zdaje się to być dziwnem! Ale zważyć tu należy na dwie okoliczności. Po pierwsze, że te wszystkie dokumenta mówią o Baszku, *resp.* Gosławie lub Gotszalku, zawsze tylko między świadkami, a nie żeby w nich Baszko występował jako główna, czynnie lub biernie działająca osoba; powtóre, że nie było wtedy u nas zwyczajem przywozić imion świadków ze wszystkimi tytułami posiadaniem, przeciwnie, poprzestawano zwykle na tylko jednym tytule, t. j. tym, który w stosunku do miejsca i do czasu był głównym.

Przekonamy się o tem najlepiej, jeżeli rozpoznamy, jak np. późniejszy nasz historyk, Janko z Czarnkowa, ukazuje się w dokumentach. Posiadał on równocześnie kilka godności kościelnych. Już w r. 1360 miał kanonię poznańską i zatrzymał ją aż do śmierci. W r. 1363 wynosi go Kazimierz W. na swego wice-kanclerza, i zaraz potem w tymże roku dostają mu się dwa beneficja duchowne: dziekania włocławska i kantorya gnieźnieńska (obie już r. 1363). Dziekanię włocławską zamienił później (już tak było r. 1365) na kantoryę włocławską, żeby po niewielu latach (r. 1368) znowu do dziekani i włocławskiej powrócić i piastować ją aż do śmierci. A gnieźnieńską kantoryę zamienił r. 1368 na archidyakoniat gnieźnieński, na której-to godności umarł w początku r. 1387 ¹⁾.

¹⁾ Kod. WPol. Nry 1435, 1436, 1441, 1493, 1494, 1554, 1575, 1576, 1594, 1628, 1688, 1859.

Był przeto kanonikiem poznańskim, dziekanem, *resp.* kantorem, włocławskim, kantorem, później archidyakonem gnieźnieńskim, a prócz tego i wice-kanclerzem *regni*. Wice-kanclerstwo odebrano mu r. 1370, ale tamte kościelne godności zatrzymał aż do zgonu, w taki sposób, że, począwszy od r. 1363, do końca życia miał ich zawsze co najmniej trzy naraz, nie licząc w to kanclerstwa.

Patrzmyż teraz, jak się to wszystko w dokumentach współczesnych odbija, w których albo świadczy nasz Janko, albo je nawet sam układa jako wice-kanclerz. Znam takich dokumentów przeszło 50. Niema między niemi ani jednego, w którym-by więcej przy imieniu jego godności było podanych, jak dwie, t. j. wice-kanclerstwo i jedna z kościelnych. A i to zdarza się rzadko i jedynie w takich dokumentach (choć żadną miarą nie wszystkich), które przezeń (*per manus eius*) zostały wydane. Gdzie zaś wspomniany jako tylko świadek, tam tylko jedną zawsze oznaczony bywa godnością. Najczęściej bywa zaś tak nawet i w dyplomatach przezeń wystawionych.

Mianowicie jest nazwany: tylko kantorem gnieźnieńskim raz ¹⁾; tylko archidyakonem gnieźnieńskim 11 razy ²⁾; tylko wice-kanclerzem 6 razy ³⁾; wice-kanclerzem i archidyakonem 13 razy ⁴⁾; wice-kanclerzem i dziekanem włocławskim 5 razy ⁵⁾; wice-kanclerzem i kantorem włocławskim 7 razy ⁶⁾; kantorem gnieźnieńskim i kanonikiem poznańskim raz ⁷⁾.

A zatem na 50 sztuk tylko jedna, w której oznaczony wyjątkowo dwiema kościelnymi godnościami, i *nb.* nie występuje on tu ⁸⁾ jako świadek, lecz jako działająca osoba! We wszystkich innych poprzestaje na jednym tylko zawsze tytule duchownym, obok wice-kanclerza lub z opuszczeniem tego rządowego tytułu, a 6 razy nawet i samo to wice-kanclerstwo wystarcza, bez żadnej kościelnej intytulacyi! Co większa, w dokumencie z r. 1383 ⁹⁾ występuje Janko nie w roli tylko świadka, ale jako główna działająca osoba, i pomimo tego poprzestaje

¹⁾ Kod. WPol. N. 1494.

²⁾ Kod. WPol. N. 1655, 1616/17, 1768, 1774/5, 1822, 1829, 1848, 1859, i w Kod. Mog. N. 84.

³⁾ Kod. WPol. N. 1589, 1597, 1618; w Kod. Rzyszcz. II N. 523; Kod. Mog. N. 82/3.

⁴⁾ Kod. WPol. N. 1588, 1590, 1605/6, 1621—1627, 1642; i Kod. Rzyszcz. I N. 131.

⁵⁾ Kod. WPol. N. 1493, 1594, 1596, 1603, 1628.

⁶⁾ Tamże N. 1554, 1573—77 i 1580.

⁷⁾ Tamże N. 1548.

⁸⁾ Tamże N. 1548.

⁹⁾ Tamże N. 1814.

na nazwie (5 razy tu powtórzonej) tylko „archidyakona gnieźnieńskiego” z pominięciem drugich duchownych tytułów! A przecież i do poznańskiej, i do wrocławskiej kapituły do samej swej śmierci należał, jak to wynika z jego dzieła (rozdz. 56 i 92).

Wobec tego nie może tedy zadziwiać, że nasz Baszko, nie występujący nigdy w odnośnych dokumentach w innej roli, jak tylko świadka, także zawsze tylko jedną oznaczony godnością, choć ich posiadał więcej. I trudno-by było nawet przypuścić, żeby tak świątły, pracowity i zasłużony człowiek, dopóki mu sił i woli starczyło, na jednej tylko miał być przestawać.

A teraz jedna jeszcze uwaga co do imienia Baszka. Czy on przy chrzcie otrzymał imię Gotszalk, czy Gosław, trudno dzisiaj rozstrzygać. Ale to pewna, że predylekcyę miał sam nasz kustosz do spolszczonego imienia, ono bowiem sam sobie daje w kronice i pod tem tylko imieniem go znano tak w Kruszwicy, jak w Gnieźnie — w jego już późniejszych latach. W Poznaniu mogli go nazywać Gotszalkiem, bo za młodu snąć to imię nosił, i po dawnemu tak go tam zwano do końca. To imię Godysław nie należało i w tamtych czasach do tak powszechnych, jak Jan, Marcin, Jakób i t. p. W całym dyplomatarzu wielkopolskim i Rzyszczewskiego nie znajdujemy, w obrębie blisko trzech zawartych w nich wieków, ani w Gnieźnie i Poznaniu, ani we Wrocławku, Kruszwicy i t. d. już drugiej kapłańskiej osobistości, posiadającej to imię, prócz chyba jednego kanonika w Poznaniu, który je miał, ale żył w XIV wieku. Trudno zatem przypuścić, żeby, wskutek ślepego jakiegoś trafu, tylko w tym właśnie jednym czasie wyjątkowo znaleźć się miało aż trzech Gosławów, w trzech różnych kapitułach współcześnie funkcjonujących, i żeby nie mieli być jedną i tą samą osobistością.

Tyle tedy o osobie tego prałata, a teraz przejdźmy do pism, mogących pochodzić z jego ręki.

Skorośmy wyżej za prawdopodobne uznali, że prowadzenie rocznika kościelnego było zadaniem w pierwszej linii kustoszów, a co do Baszka powzięliśmy wszelką pewność, że on tę funkcję w poznańskiej kapitule co najmniej od r. 1256 do c. 1280 sprawował: więc samo przez się nasuwa się teraz pytanie, czy znajdujemy w odpowiedniej rocznika poznańskiego partyi jakie ślady pracy nad nią tego właśnie pisarza? Rozumiem tak, że trzeba-by chyba umyślnie oczy na to zamykać, żeby nie widzieć tu jego ręki, żeby nie przyznać, że ten rocznik od tego dopiero czasu, a właściwie już od r. 1253, staje się w zdarzenia obfitszym, w opowiadanie zasobniejszym, w ogólności całkiem odtąd i co do formy i ducha pisanym inaczej, niż jego dawniej tak sztywne i urzędowe, nieraz niejasne, zawsze niezgrabne, jakby spętane, niewymierna

i różnorodna, w słowa skąpa, w treść dziejową tak uboga i jałowa redakcyja. Jakże np. sama charakterystyka zmarłego w r. 1253 biskupa Bogufała, tak serdecznie i zasobnie podana, odbija od wszystkiego, co to miejsce i tę epokę czasu w całym tym roczniku poprzedza! A skoro to całe pośmiertne o biskupie wspomnienie odnajdujemy powtórzone temi samemi niemal słowy także znowu i w kronice, o której jako dziele Baszka niżej będziemy mówili; to czyż mógłby kto słusznie wątpić, że ten annał, w druku nazwany Rocznikiem Wielkopolskim, pisze, od tego miejsca począwszy, współcześnie ze zdarzeniami, nasz ten kronikarz. Jak daleko go doprowadził — pozostanie na zawsze nierozwiązanem pytaniem. Autentyk bowiem, czyli oryginał tego zabytku przepadł. Znamy tylko część rocznika, która się na r. 1273 urywa, a miejscami nawet i przed tym już rokiem mocnemu zdefektowaniu, dzięki lenistwu odpisujących, podległa. Ci zaś kopiści z pewnością nie odpisywali go już z poznańskiego urzędowego oryginału, lecz z wyciągu, który sobie nasz kronikarz, do Gniezna się przenosząc, albo sam z niego zrobił, albo komu zrobić polecił. Dalsze zapiski, w druku Bielowskiego ¹⁾ przedstawiające zakończenie Rocznika wielkopolskiego, nie były już pióra Baszka. Obejmują z całego czasu od r. 1273—1295, a od 1295—1309 siedm tylko faktów dziejowych, tak jeden od drugiego odległych i tak różnorodnych, że widać, iż to zbieranina przypadkowa z najrozmaitszych źródeł.

Zasmakowawszy (układając rocznik) w dziejopisarskiej pracy, zabrał się kustosz poznański z czasem i do ułożenia naracyjnego, w szerszych ramach, obrazu dziejów—do napisania kroniki. Przypuszczam, że na razie nie chodziło mu o nic więcej, jak o kontynuację Kadłubka. Rozpoczął więc dzieło swoje, jak ono dziś całe leży przed nami, od środka. Myśl uzupełnienia go i początkiem, pierwszą połową tej kroniki, powziął później. Zapewne poprzedził tę swą wcześniejszą robotę jakimś wstępem, którego obecnie niema, a dlatego go niema, że dopisana później pierwsza kroniki połowa czyniła go niepotrzebnym, owszem psującym ciągłość. Po wstępie mogła się ta jego praca poczynać od dzisiejszego 57 rozdziału ²⁾. Ten właśnie rozdział dlatego zdaje mi się być najwłaściwszym początkiem odrębnego wtedy utworu, że w nim daje autor, o ile go stać było na to, ogólne i sumaryczne na stan rzeczy w całej Polsce spojrzenie w owej chwili, od której opowiadanie zaczyna; że zakresła w nim jakby program tego, co powie, a co pominie lub mimochodem i ubocznie tylko nakreśli ³⁾.

¹⁾ Monum. III, 40—41.

²⁾ Mon. Pol. II, p. 553.

³⁾ Ut autem quilibet lector historiarum Poloniae actus et gesta ac progressum

Zaraz potem (roźdz. 58), bez dalszych korowodów, *in medias res* wkracza, a trzyma się jak najściślej Rocznika, który zostawał pod jego pieczę i który w wiadomej partyi on sam przez kilka lat poprzednich, współcześnie z biegiem zdarzeń, był spisał. Ten roźdz. 58 daje fakta z r. 1217 i 1223. Dlaczego nie wcześniejsze, skoro to miała być kontynuacja Kadłubka, który dzieło swoje na r. 1202 przerwał? Oto z tej prostej przyczyny, że w Roczniku WPol. w obrębie lat od 1196—1217 żadnych nie podano faktów¹⁾, a nasz pisarz i z żadnego innego źródła wtedy jeszcze ich nie znał. W roczniku znachodzą się z przeciągu czasu 1217—24 cztery zapiski: Baszko podejmuje i rozwija po swojemu tylko dwie (wygonienie Odonicza z Kalisza — i potem ucieżenie przez tegoż księcia Uscia). Dlaczego dwie drugie opuszcza? Ponieważ zawalenie się wieży gnieźnińskiej w r. 1220 było tylko lokalnym wypadkiem, a zajęcie Lubusza przez sąsiedniego landgrafa w r. 1224 zdawało mu się być zdarzeniem postronnem, ważnem dla Szląska, ale nie dla całej Polski. Ta, co prawda, jednostronność zapatrywania odpowiadała jego programowi (*obmissis Slesiae principibus...*). Tak postępuje i dalej aż do roźdz. 126 t. j. do r. 1258. Z każdej zapiski rocznika tworzy nieco szerzej stylizowany, pragmatycznie rozwinięty rozdział; rzadko kiedy tekst pierwotworu skraca, a tylko wtedy to i owo przeskakuje, jeżeli mu się co zdawało nie należeć do rzeczy z jakichkolwiek powodów. Trzyma się także po największej części i porządku, jak te fakta szły po sobie w roczniku. W ogólności aż do r. 1259 niewiele takich rozdziałów w kronice, które-by były na jakim innem źródle oparte. Takiemi są np. rozdział 60—62, potem 66, a tak samo i 74, dotyczące spraw mazowieckich, kujawskich i malopolskich, o ile się takowe z sobą łączyły jako czyny Konrada mazowieckiego. Musiał tu mieć pod ręką nasz pisarz jakiś rocznik, może kruszewicki albo czerski, nam już nieznanym. Tem snadniej to można przypuścić, że archidyakoniat czerski, jak wiadomo, do Poznania należał, a kruszewickiej kapituły Baszko był członkiem. W partyi rocznika poznańskiego dawniejszej, z przed r. 1253, nie pisanej przez Baszka, nie braknie na takich zapiskach, które tenże spożytkował, lecz niedokładnie, a nawet mylnie. Badaczem dziejów z powołania on nie był, a mógł zbłądzić tem łatwiej, że w tej partyi pierwotworu stylizacja niezręczna, zbyt lakoniczna, dawała powód do niewłaściwego połączenia w jedno zdarzeń czasowo odrębnych, lub

principum polonorum, qui sequuntur, plenius possit capere et lucidius notare, restat videre, qui principes quibus tetrarchiis his temporibus praefuerunt i t. d.

Obmissis namque Slesiae et Opoliae principibus, (aliqua tamen et de ipsis incidenter inserere non obmittam), de ceteris tantum scribere intendo i t. p.

¹⁾ Obacz Rocznik, Mon. Pol. III, str. 7.

do opacznego ich przedstawienia ¹⁾. Przeciwnie zaś rzecz się ma począwszy od r. 1253. Od tego miejsca aż do końca kroniki nie znajdziemy już tak łatwo sprzeczności między tem, co rocznikarz, a co kronikarz podaje. I rzecz to zgoła naturalna. Rocznikarzem i kronikarzem w tej partyi ta sama była osoba. To też przyswaja sobie odtąd

¹⁾ Tak np. z pewnością zgoła mylnie w rozdz. 69 przedstawia okoliczności okrucieństwa, jakiego się Konrad mazowiecki dopuścił na scholastyku Janie Czapli. Powiada, że dlatego go książę na śmierć skazał, ponieważ Czapla, towarzysząc młodemu w r. 1239 jego synowi, Kazimierzowi kujawskiemu, w charakterze jego mentora, na wesele do Wrocławia, pozwolił temuż, wbrew woli ojca, przydłużyć zabawę się u rodziców swej żony. Ta wiadomość weszła potem i w Historię Długosza i ma obieg po wszystkich dalszych książkach do dziś dnia. Nie znamy i nigdy znać nie będziemy, jak się rzeczywiście miała sprawa z tym Czapłą. Ale temu przecież wierzyć trudno, żeby ta blaha przyczyna miała była wywołać taki gniew u Konrada, a także już wręcz rozbewstwienie u jego żony. Zresztą Kazimierz kujawski nie był wtedy, kiedy się żenił, bynajmniej takim niedorostkiem, żeby mentora potrzebował i żeby musiał się do żądań jego stosować. Za całe to bałamuctwo spada odpowiedzialność tylko na Baszka, a nie na rocznik, choć rzecz zeń wziął. W roczniku bowiem (Mon. Pol. III, 8) jest pod r. 1239 naprzód opowiedziana sromotna śmierć tego Czapli, bez podania żadnych powodów. Potem idą dwie zapiski, nadmieniające o całkiem odrębnych faktach; a dopiero na czwartem miejscu następuje wzmianka o owym ślubie we Wrocławiu. Widać z tego, że Czapla wcale do Wrocławia nie jeździł, a nawet nie żył już wtedy, kiedy to wesele się odbywało. Baszko dopiero czasowo i nawet przyczynowo powiązał z sobą te dwa zdarzenia. Równie mylnie i to jest powiedziane, że nadanie Łowicza arcybiskupstwu gnieźnieńskiemu zaszło wtedy dopiero, z ręki Konrada, i w następstwie tej zbrodni. Rocznik i o tem nic nie wie, i tak nie było. Arcybiskupi byli w posiadaniu kasztelanii łowickiej już w r. 1136, a raczej od niepamiętnych czasów. I ta także mylna wiadomość wnika do historii Długosza.

Tak samo niby za rocznikiem, ale przez nieporozumienie niezgodnie z jego lakonicznemi datami i z prawdą dziejową, jest nakreślony w rozdz. 65 kroniki przebieg wojny w r. 1233 i 34 między Odoniczem a Henrykiem Brodatym. Każe tu Baszko Odoniczowi palić gród w Bninie, a odbudowywać w Gnieźnie, podczas gdy rocznik (co prawda bardzo niezdarnie) właśnie wystawienie grodu bnińskiego w r. 1233 do Odonicza, a jego spalenie w następnym i zbudowanie gnieźnieńskiej warowni do Henryka Brodatego odnosi.

Sprawa obdarzenia biskupstwa poznańskiego przywilejami przez Odonicza i później przez synów tegoż (rozdz. 65 i 78) opowiedziana i niedokładnie, i nawet mylnie, jeżeli się z tem teksta rocznika pod r. 1232 i 1245 i inne okoliczności o tem wiadome porówna. — W rozdz. 76 kroniki, w r. 1245, zaślubia Przemysł I. Jadwigę, wrocławską księżniczkę. Przejęto to z Rocznika (Mon. Pol. III, p. 10 i 11), gdzie fakt ten dano pod r. 1244, a imienia tej córki Henryka II wcale nie wyrażono. Stąd pomyłka: Jadwiga zamiast Elżbieta. Poprawka r. 1244 na 1245 będzie pewnie uzasadnioną. — Zapiska rocznika z r. 1247 (III, 13), dotycząca różnych sprawek Kazimierza kujawskiego, nie została należycie spożytkowaną w odnośnym (83) rozdziale kroniki. Mianowicie pominięto tu milczeniem przywłaszczenie sobie przez tego niespokojnika już wtedy Ziemi Sieradzkiej. — Poprzestaję na tych kilku przykładach, choć można-by ich więcej wskazać.

kronika bez żadnego skrupułu całe zdania, całe nawet ustępy, temi samemi zazwyczaj powtórzone słowami, jak je ma rocznik, a i od kolei, jak po sobie następują, rzadko odbiega, chyba że coś jest niedokończone, albo z powodów, które niżej wyjaśnimy, pominięte w roczniku. Tak to idzie aż do rozdziału 126.

Z rozdziałem 127 (rok 1259) poczyna się całkiem inny między rocznikiem poznańskim a kroniką stosunek i nie zmienia się na lepsze aż do rozdz. 154 (r. 1268), choć i potem nie taka między nimi już zgodność co do doboru opowiedzianych zdarzeń, jaka była zrazu.

Stosunek rocznika do kroniki w ciągu tego dziesięciolecia (r. 1259—68) jest taki, że w pierwszym mieści się z tego czasu w ogólności tylko 13 zapisanych zdarzeń, podczas gdy kronika daje ich 33. W tej liczbie znachodzą się tylko 3 takie fakta, o których wie coś i rocznik (wojna Bolesława Pobożnego w r. 1259 z Kazimierzem kujawskim, ubieźnienie santockiego grodu przez Niemców i spalenie go wraz z drdzeńskim w r. 1266 — i bezskuteczna elekcya proboszcza katedralnego, Pietrzyka, na biskupa poznańskiego pod r. 1265). A zatem rzecz się w tej partyi przedstawia tak, że daje tu rocznik 10 zapissek, niewyzyskanych w kronice, a kronika zawiera 30 takich, które do rocznika nie weszły. Jak sobie to wytłómaczyć?

Że Baszko dziesięć do rocznika zaciągniętych zapissek nie uwzględnił w kronice, tem się tłómaczy, że to wszystko albo zajścia poznańskie lokalne, albo (jak zgon papieża Klemensa IV w r. 1267) postronne. Nie dziw przeto, że je pominięto w dziejach politycznych narodu. Dla czternastu rozdziałów kroniki ¹⁾, poświęconych wypadkom dotyczącym innych prowincyi, a nie Wielkopolski, mógł autor zaczerpnąć osnowy z innych źródeł, które trudno dziś wskazać: lokalny poznański rocznik mógł być się o nie nie troszczyć. Ale nawet przypuściwszy to wszystko, jak zrozumieć, że cała reszta rozdziałów tej partyi kroniki (jest ich 13), opowiadających o rdzennie wielkopolskich zajściach, nie ma w tym roczniku nie zgoła sobie odpowiedniego? Skądże one tedy są wzięte? Odpowiedź na to jest taka, że te zajścia, a pewnie i wiele z tamtych, były wspomniane w tym roczniku, z niego są wzięte; ale my nie posiadamy tego pisma w jego pierwotnym komplecie.

Oryginał rocznika poznańskiego albo bardzo wczesnie zaginął, albo nie było doń łatwego dla byle kogo przystępu. Zachowały się do dni naszych tylko (już z kopii zrobione) odpisy, jeden z końca XIV w., drugie z XV. Jest ich wszystkich 7. Jedne dają ten zabytek w postaci więcej, drugie w mniej zdefektowanej, w zupełnej żaden. Ani jedna

¹⁾ Są to rozdziały 128—130, 132,—134, 136, 138, 140, 147—149, 151 i 154.

też z tych siedmiu kopii nie stanowiła samoistnej, osobnej sama dla siebie całości, ale wszystkie chodzą razem z Kroniką, dopisywane jako apendyks do niej, i mieszczą się we wszystkich kodeksach dopiero po kronice. Ci, którzy w swojej każdej kopii nasamprzód przepisali kronikę, ci sami właśnie kopiści zaciągali do tejże księgi potem i rocznik, A że się każdemu z nich ta robota przykrzyła, że nie pojowali racyi, dlaczego mieli-by się męczyć nad przepisywaniem tytułu rocznikarskich zapisek w tej samej prawie stylizacyi, w jakiej jeszcze szerzej opowiedziane już je byli przepisali w kronice; więc opuszczali z tego rocznika całe ustępy, nawet całe lata — jedni milczkiem, drudzy przyznając się niekiedy do tego i usprawiedliwiając, dlaczego tak czynią.

Najmniej leniwym, choć także próżniak, i najrzetelniejszym z nich wszystkich był ten kopista, którego ręką jest pisany kodeks t. zw. Otoboniański, przechowywany obecnie w watykańskiej bibliotece. Jak wszyscy drudzy, tak i ten pisarz ułatwiał sobie w ten sposób swoje rzemiosło już nieraz i w partyi rocznika poprzedniej (przed r. 1259), o której powiedziałem wyżej, że stosunkowo zgadza się z kroniką jeszcze najlepiej. Ale na wielką skalę przypada zdefektowanie dopiero w partyi od roku 1250 począwszy. Tak np. opowieść przewlekłej elekcji biskupiej po śmierci Bogufała III, opisaną bardzo dokładnie w kronice (rozdz. 143 i 145), a niewątpliwie opowiedzianą, choć może krócej, także w roczniku, znajdujemy w dzisiejszym jego tekście pod rokiem 1267 ¹⁾ zbyłą następującym sposobem. Zaczyna się tu na razie to miejsce temi samemi słowy, co w kronice; ale już po piątym wierszu taka oto ekskuza: *Iam est eadem materia de praedicta electione descripta in quinto sexterno huius cronicae* (1), *quod incipit „De electione Petriconis”* (ten nadpis ma rzeczywiście rozdz. 145 kroniki). *Et ergo quod semel est scriptum, quare deberet resumere? Et causa istius eam hic scribere obmitto, quia ibi de VI sexterno ad VIII stat, prout est gestum. Et etiam multae aliae materiae bene sunt descriptae* (w kronice!), *quae hic resumebantur* (w oryginalnym roczniku, a które w niniejszej kopii zostają wypuszczone). Kronika w rozdz. 118 notuje zgon Przemysła I, wysławia jego niepospolite zalety, jego szczodrość dla kościoła i opisuje pogrzeb. W następnym rozdziale donosi o narodzeniu, już po śmierci ojca, jego syna Przemysła II, i o chrzcie tegoż dziecięcia w dniu św. Kaliksta, ze wszystkimi szczegółami. W dalszym (120) rozdziale rozpowiada o synodzie łączyckim, w tymże dniu św. Kaliksta roku 1257 odbytym, z dołączeniem wiadomości, którzy biskupi udział w nim wzięli i t. d. Cóż o tem wszystkim w roczniku? O śmierci Przemysła nasze

¹⁾ Mon. Pol. III, p. 35.

kopie nie mówią wcale. Poczciwy tylko Otobonianin pisze tu tak ¹⁾: *Sequitur rubrica de obitu Przemisli ducis, quae iam scripta est superius in IV sexterno* (kroniki), więc się tutaj wypuszcza. O narodzeniu Przemysła Pogrobowca wszystkie kopie milczą, jeden tylko Otobonianin ²⁾ tak pisze: *Item anno 1257 natus est filius Przemislonis* (temi snąc słowy w oryginale zaczynała się ta zapiska), lecz jej dalej nie odpisuje, a natomiast powiada: *hoc etiam iam est conscriptum immediate supra post illud... et ergo hic praetermitto*. O synodzie łączyckim wszystkie odpisy rocznika nie udzielają ni słowa; jedynie w Otoboniańskim kodeksie tyle o tem: *Item eodem anno in die b. Calixte...* (tu urywa, a dalej tak się z tego tłómaczy): *hoc etiam iam est post hoc expressum* i t. d., a kończy: *et ergo causa utilitatis seu causa papiri et laboris obmitto*.

Zacytowałem tylko kilka przykładów na okaz, jak przepisywano ten rocznik. Więcej dowodów tej otwartości najrzetelniejszego z kopi-stów, a tajonego lenistwa i głupoty innych odpisujących, znajdziemy pod r. 1246 i 47 ³⁾, pod r. 1254 i 55 ⁴⁾, pod rokiem 1268 i 69 ⁵⁾, i może gdzieindziej jeszcze. A wobec tych faktów, własnem wyznaniem winowajcy lub innemi dowodami pozytywnie stwierdzonych, czyżby można o tem wątpić, że mamy przed sobą tylko fragmenta tego rocznika i w tych nawet latach, co do których niema tak jawnych dowodów samowolnego zdefektowania. Począwszy od r. 1269 ⁶⁾ zle to wprawdzie zmniejsza się trochę. Lecz i ta ostatnia część rocznika nie ocalała w swej zupełności pierwotnej.

Tyle o stosunku kroniki do wielkopolskiego rocznika. Opuszczamy ten zmundny temat z tem nabytem zeń przeświadczeniem, że omawiany tu rocznik służył kronice za główne, choć nie za jedyne źródło, a to przez całą drugą onej połowę, od rozdziału 58 począwszy aż do samego końca.

Właściwie jednak o końcu kroniki nie należało-by w tym sensie mówić, gdyż go nie posiadamy, ani też żadnego o tem nie mamy wyobrażenia, jak daleko ona była doprowadzona. W każdym razie będzie pewnem, że dzisiejszy onej tekst, dochodzący zaledwie do r. 1273, t. j. do pierwszych czynów Przemysła II jeszcze przed objęciem władzy nad przydzielonym mu przez stryja Poznaniem, nie ukazuje jej całej; że zatem kilku ostatnich rozdziałów w niej brak. Opiera się zaś ten

¹⁾ Ibid. III, 31 nota.

²⁾ Ibid. III, p. 32.

³⁾ Ibid. III, 12.

⁴⁾ Ibid. III, 23.

⁵⁾ Ibid. III, 36.

⁶⁾ Mon. Pol. III, 33.

wniosek na tem, że jeżeli rękopisy tego pomnika dziejowego porównamy z sobą, to widać, że się ona nie we wszystkich tych odpisach na tem samem miejscu urywa, gdyż co który, to gdzieindziej daje tę przerwę, a po największej części tak nagle, że wśród niedokończonego zdania. Zaprzepaszczone autentyk dzieła musiał przeto iść dalej ¹⁾.

Teraz podejmuję pytanie: kiedy ta połowa kroniki była pisana?

Mówi w niej Baszko o własnej swojej osobie na czterech miejscach. Pod r. 1257 (rozd. 118) nadmienia, że zaraz po śmierci Przemysła I sam na własne oczy oglądał włosiennicę, której ten książę podczas wielkiego postu pod inną odzieżą potajemnie używał: *Ego Basco custos Posnaniensis post mortem ipsius vidi* i t. d. Pod tymże rokiem (rozd. 119) opowiada, że chrztu nowonarodzonego Przemysła II dopełnił biskup Bogufał III przy jego asystencji: *cum Bascone custode*. Pod r. 1268 (rozd. 154), donosząc o zgonie bł. Salomei, siostry ks. Bolesława Wstydliwego, w Skale, zapisuje, co już wtedy w tamtych stronach rozprowadano o cudach przy jej pogrzebie i co sam o nich od naocznego świadka słyszał: *Audivi etiam a religiosissima virgine Martha, sanctimoniali coenobii* i t. d. Imienia swego tym razem nie wyraża. Nakoniec z okazji elekcji, dokonywanych po zejściu biskupa Bogufała III, w rozdz. 145 szczegółowo rozpowiada o zatargach, jakie z tego między Gnieznem a Poznaniem wynikły, i że jemu w tem naprężeniu przypadła pewna rola do odegrania. Biskup Bogufał zmarł r. 1263. Kapituła, podzielona wtedy na dwa stronnictwa, dopełniła kanonicznej

¹⁾ Zachowanych kodeksów tej kroniki jest 9, a o dziesiątym, t. zw. Hołdejowskim, który dziś niewiadomo gdzie się znajduje i czy nie podległ zniszczeniu, podał nam wiadomość czeski uczoney Dobner, który go w r. 1763 miał w rękach. W tym kodeksie, pisanym w XIV wieku, urywała się ta kronika na r. 1249, czyli na rozdziale 89. t. j. na owym śnie Bogufała II.

W pięciu kodeksach: otoboniańskim, królewieckim, sieniawskim, wrocławskim i wilanowskim, urywa się na r. 1271, czyli w pierwszej mniejszej połowie rozdziału 160, w środku zdania i to wprawdzie tego samego zdania, ale tak, że jedno z tych odpisów dają z niego parę wyrazów więcej, a drugie mniej. W Otoboniańskim położono po tej przerwie „etc.”, co naocznie dowodzi, że się tu nie kończyła kronika.

W dwóch kodeksach: Sędziwojowskim i Stanisława Augusta, urywa się na r. 1272, t. j. o całą jedną kolumnę nabitego drobnego druku dalej, niż w tamtych. Przerwa przypada i w tych obu odpisach na zdanie niedokończone i zaledwie rozpoczęte, a zamiast dokończenia tego zdania położono „ut infra patebit.” Co znowu dowodnie na to wskazuje, że się tu nie kończyło dzieło.

W krakowskim kodeksie tam się kronika urywa, gdzie ją kończy drukowana ostatnia jej edycja (Mon. Pol. II, p. 598). Idzie tedy kodeks ten nieco dalej, choć nie po-za rok 1272.

W lubińskim nakoniec dochodzi do r. 1273; dołączono tu bowiem trzy jeszcze dalsze zapiski, jedną z r. 1272 i dwie z r. 1273. Właściwego zakończenia niema i tu.

elekcyi dopiero r. 1265. Jeszcze przed rzezonym rokiem wyszedł był z tego rozdwojenia, dzięki jakiejś mniejszości głosów, elektem Falenta, dziekan gnieźnieński. Arcybiskup i dwór książęcy popierał tego pralata. Ale większość kapituły poznańskiej nie chciała nic o tem słyszeć i wybrała w r. 1265, jako kandydata swego, Pietrzyka, proboszcza w tejże kapitule. Temu jednak arcybiskup odmówił sakry, obstając przy Falencie. Wprawdzie Pietrzyk dla miłego spokoju rezygnuje na rzecz Falenty; ale i to się na nic nie zdało, ponieważ kapituła przystąpiła do trzeciego wyboru, z którego wychodzi elektem Jan, archidyakon poznański. Arcybiskup i tego odrzuca. Rozżaleni kanonicy poznańscy wysyłają delegacyę do Rzymu z protestem przeciw takiemu postępowaniu; nim jednak papież rozpoznał tę sprawę, konsekruje arcybiskup swego elekta. Wtedy dopiero przychodzi do wmieszania się Baszka w ten zatarg. Stało się to z pewnością dopiero r. 1267, choć jednym ciągiem opowiada o tem kronika pod 1265. *Habito consilio*, mówi nasz autor, *canonici miserunt me Godislaum custodem eiusdem ecclesiae, Basconem cognomine, cum litteris ad curiam*. Teraz dopiero ojciec św. obydwie strony pogodził, mianując w r. 1267 biskupem całkiem inną osobę, Mikołaja, kapelana swojego, Falentę, mimo otrzymanej sakry, równie jak i jego współzawodnika, do rezygnacyi skłoniwszy.

Ponieważ obydwu ostatnie powołane tu miejsca, i to o elekcyi, i owo o cudach Salomei, przypadają pod sam już koniec kroniki, a autor i tu jeszcze kustoszem poznańskim siebie nazywa, więc rzecz jasna, że to pisał przed swoją jeszcze dziekanją gnieźnieńską t. j. przed r. 1282. A to się stwierdza i przez inny jeszcze ustęp kroniki, w rozdziale 131. Zapisuje tu Baszko wyjście za mąż w r. 1260 najstarszej córki Przemysła I, 14-letniej wtedy Konstancyi, za marchiona brandenburskiego, Konrada, i dołącza do tego wiadomość, że w braku gotowizny (jak to u naszych książąt zawsze bywało) na posag dla tej księżniczki oddał stryj panny młodej, Bolesław kaliski, jej małżonkowi kasztelanę santocką (z wyjątkiem jednak samego grodu w Santoku) na tak długo w zastaw, dopóki-by posag ten nie był spłacony. Ale, niestety (dodaje) *per hoc ipsa castellania a regno Poloniae est alienata usque in praesentem diem*. Otóż i w tem widzę dowód, że niniejsza połowa kroniki układaną była przed rokiem 1280. Albowiem, o ile z dokumentów Przemysła II wnosić się godzi ¹⁾, ta kresowa okolica, *regni custodia et clavis*, jak ją jeszcze Gallus nazwał, była w latach od 1280—96 odzyskana dla Polski—czy orężem, czy za spłatą owego dłużnego Niemcom posagu, niewiedzieć. Po zamordowaniu Przemysława w r. 1296, zagarnęli tę ka-

¹⁾ Kod. WPol. N. 496. 516, 548, 585, 570 i 584.

sztelanie niewzłocznie brandenburscy marchionowie napowrót. A od tego czasu, nawet za panowania Łokietka, ani wojny, ani układy nie potrafiły wydostać im już tej zdobyczy z gardła. W r. 1335 sprzedał Ludwik brandenburski gród Drzeń i Santok z przyległościami niemieckiej rodzinie Wedłów i Ostenów, jako swoim feudalnym podwładnym. Szczęśliwsze rządy Kazimierza W. tyle w tem tylko zmienić na lepsze zdołały, że się rzeczona rodzina w r. 1365 uznała za wasalów króla polskiego ¹⁾). Była to jednak tylko obłuda, która zaraz po zgonie Kazimierza w r. 1370 maskę z twarzy zrzuciła, oddając Santok na nowo pod supremację brandenburską ²⁾). — Otóż więc miejsce wyżej zacytowane z kroniki mogło być pisane chyba tylko przed r. 1280. Gdyż po upływie dłuższego czasu od chwili oddania w zastaw ziemi santockiej, a zwłaszcza po jej zagarnięciu przemocą w r. 1296, była-by ta niecierpliwość kronikarza, że *regnum Poloniae* ciągle jej jeszcze nie ma sobie zwróconej, co najmniej naiwnym optymizmem.

Oprócz powyższej pracy Baszki z epoki jego poznańskiej, należy tu bodaj naznaczyć, że pozostawił z tychże czasów i drugą: „Żywot Przemysława I”, zaraz pewnie po tegoż śmierci, więc w r. 1257 lub 58, skreślony. Od niepamiętnych czasów zaginęły wszelkie ślady istnienia tego utworu, Długosz jednak niewątpliwie z niego korzystał ³⁾).

Zajmijmy się teraz pierwszą połową kroniki. Nadmieniałem już wyżej, że ją uważam za dzieło wprawdzie Baszka, lecz w każdym razie dorobione dopiero później do już gotowej części drugiej. Albo to utwór z lat życia jego ostatnich, albo, jeżeli napisany jeszcze w Poznaniu, to w nim poczynił pewne zmiany i uzupełnił wstępem, obecnie stanowiącym początek — dopiero w drugiej r. 1295 połowie.

W rzeczonym wstępie wykląda autor powody, dla czego się do tej pracy zabiera. „Jakkolwiek wielu mamy historyków, powiada, którzy początek królów i książąt naszych i czyny ich zasobnie i prawdziwie opisali, co zwłaszcza do Kadłubka się ściąga: to jednak, rozważywszy,

¹⁾ Kod. WPol. N. 1545.

²⁾ Janko z Czarnkowa, Monum. Pol. II, 642.

³⁾ Pisze Baszko w rozdz. 118 (p. 579) tak: Cujus (Przemysła) *vitam* sub brevitate transcurrens, ne ex hoc legenti generaretur fastidium, strictissime *descripsi*. Że przez tę *Vita* nie rozumiał poczynającego się tu właśnie wśród kroniki rozdziału 118, ale coś dawniej już zrobionego, tego dowodzi samo to *perfectum descripsi*, a nie *describo*. Długosz (Hist. II, p. 364) reprodukuje niniejszy rozdział 118 Baszka, ale takimi pomnożony faktami, których w nim niema. Wie np., że chorował Prz. dni 15; że pochowany w tumie pozn; że zostawił 4 córki (prócz syna) i jakie tychże imiona. Zresztą powiada, że Baszko enoty tego księcia sławi *in suis scriptis et annalibus*. *Annales* to kronika, a *scripta* — chyba coś drugiego.

że ci pisarze w opowiadaniu swoim o niektórych książętach Polski (w innych kopiach: Wielkopolski), a mianowicie o królu Przemysławie, dziś panującym, przebieg rodowych jego stosunków zdają się pomijać — uważam za potrzebne cofnąć się (*descendere*) do tej przeszłości i o rodzicielach jego tudzież o dalszych antenatach, tak Przemysława, jak i innych polskich książąt, według imion ich i według dzielnic, nad którymi panowali, rzecz jak najdokładniejszą podać.”

Zarzut to ostatecznie niesłuszny. Żaden z kronikarzy poprzednich nie pomijał zasadniczo rodowodu monarchów. Ale jeżeli myśl jaka zdrowa dyktowała tę uwagę źle w słowa przyobleczoną, to chciał nasz autor tylko tyle pewnie powiedzieć, że kwestya rodowodowa i terytorjalnej (dzielnicowej) dotycząca władzy książąt aż do Przemysława II, w zamęcie rzeczy dziwnie się kłębiących w kronice Kadłubka (jego to bowiem przedewszystkiem mieć tu musiał autor na oku), ani nie występuje na jaw tak jasno, jakby sobie należało życzyć, ani też aż do czasów rzezonego króla nie została doprowadzona. Chce więc ten brak sam uzupełnić, szczególnie w zakresie wielkopolskiej dzielnicy.

Mówi o królu Przemysławie, dziś panującym. Jeszcze wydawca kroniki niniejszej w zbiorze *Monumentów per omnia fortia* dowodzi, że się to ściąga do Przemysła I i że mogło być i było przez biskupa Boguła II, a zatem około r. 1250 pisane. Średniowiekowi nasi historycy, zwłaszcza Kadłubek, a zatem i niniejszy kronikarz, mieli wyrazów *rex* i *dux* używać dowolnie ¹⁾. Ja sądzę, że nawet przed trybunałem Kadłubka niechybnie przegrało-by sprawę to zdanie. Lecz na co tu odwoływać się do Kadłubka, kiedy niniejsza kronika niewątpliwie i sama spór ten może rozstrzygnąć. Przedhistorycznych władców Polski: Krakusa, Leszków, Popiela, Piasta, Ziemowita i t. d. tytułuje ona *reges*. Mieczko I — *rex*. Chrobry i Mieczysław II — naturalnie także *reges*. Kazimierz I, Bolesław Śmiały, Władysław Herman — jeszcze *reges*. I Krzywousty stale *rex* nazywany! Następują czasy podziałów. Władysława II (*crudelis* mianowanego w tem dziele) okrąża nasz autor nieśmiało. Nie ma do niego zaufania, nie lubi go — jak go tytułować, jest w ambarasie. Załatwia trudność złotem milczeniem: ni razu go ani *rex* ani *dux* nie nazywa. Występuje na scenę Kędzierzawy: lepszy to człowiek, ale i z nim ta sama bieda. Wykręca się z niej nasz pisarz tymże fortem. Nie daje i jemu żadnego tytułu. (Dopiero po śmierci tego księcia, przygodnie wspominając o nieboszczyku, zwie go *dux* ²⁾).

¹⁾ Mon. Pol. II, str. 467.

²⁾ Mon. Pol. II, p. 528.

Naczelna władza po Kędzierzawym (w Krakowie) przechodzi na Mieczka Starego. Inni współcześni książęta pod Mieczkiem, np. Kazimierz na Sandomierzu, opolski Mieczysław, są *duces* ¹⁾, ale jaki charakter przyznać Staremu? Ażeby i wilk był syty, i koza cała, tytułuje go kronikarz... *princeps* ²⁾. Ma to być niby coś więcej: pierwszy między książęty. Odbierają po paru latach Staremu *principat*. Kazimierz Sprawiedliwy *fit... monarchus totius Lechiae* ³⁾, a Mieczko odtąd, jako już tylko dzielnicowy władca, staje się *dux* ⁴⁾. Ale i ów *monarchus*, zwany także *princeps serenissimus* ⁵⁾, poprzestaje na dalszej karcie ⁶⁾, choć i teraz piastuje naczelną władzę, na nazwie *dux*. Nieco dalej ⁷⁾ odzyskuje znowu tytuł *princeps*. Z tym tytułem kończy życie ⁸⁾. Jego syn, Leszek Biały — to *dux* nazywany, to *princeps*, lecz częściej *dux* ⁹⁾. Tak samo i Władysław Laskonogi ¹⁰⁾, nawet jako panujący naczelnie — *princeps* lub *dux*. Tu się kończy ta pierwsza połowa kroniki. W drugiej połowie wszyscy panujący są *duces*.

Z tego wynika, że mogła-by tu być mowa o chwiejności między wyrazami *dux* a *princeps*, ale nie *rex*. Od czasu podziałów po zgonie Krzywoustego żaden z książąt nie nazwany w kronice królem. „Królem po dziś dzień panującym” (na początku kroniki) nie może być nikt inny, jak chyba tylko Przemysław II.

A zatem były te słowa pisane w jednym z tych 7 miesięcy, które koronację tego księcia, dokonaną w samym środku 1295 r., przedzielają od końca jego życia. Wskazuje na to i inne jeszcze miejsce w kronice.

Jednem ze źródeł, któremi się w niniejszej jej połowie zasilał nasz pisarz, był „Żywot św. Stanisława”, skreślony około r. 1260 przez Wincentego z Kielc, t. zw. *Vita major*, zamieszczona w tomie IV *Monumentów Poloniae*. Znajduje się w tym żywocie ¹¹⁾ ustęp, który Bazsko w rozdziale o Bolesławie Śmiałym z niejakiemi odmianami powtórzył ¹²⁾. Patrzymy, jak się te dwa miejsca mają do siebie:

¹⁾ Ibid. II, 527 i 529.

²⁾ Ibid. II, 527, 529.

³⁾ Ibid. II, 530.

⁴⁾ Ibid. II, 532.

⁵⁾ Ibid. II, 529.

⁶⁾ Ibid. II, 531.

⁷⁾ Ibid. II, 534.

⁸⁾ Ibid. II, 538.

⁹⁾ Ibid. II, 544—547.

¹⁰⁾ Ibid. II, 552.

¹¹⁾ Mon. IV, 391.

¹²⁾ Ibid. II, 489.

Vita.

... Nam propter parricidium ipsius (Bolesława Śmiałego) non solum corona de capite posteritatis ipsius cecidit, sed et ipsa Polonia usque ad praesens tempus suam gloriam et regni honorem amisit... Et sicut ipse corpus martiris in multas partes secuit, sic Dominus regnum ejus scidit et plures principes in eo dominari permisit... Sed sicut divina potentia idem beatissimum corpus redintegravit, sic futurum est, ut per ejus merita regnum divisum in pristinum statum restauret, justitia roboret, gloria et honore coronet.

Baszko.

Revelatumque est quibusdam viris religiosis, sanctam vitam ducentibus, quod sicut Bol. rex sanctum Stanisławum in partes minutas secuisset, sic Deus regnum Poloniae deinceps scindet, plures principes in eo dominari faciens. Nihilominus vero, prout corpus viri sancti redintegratum exstitit, sic in futuro tempore, cum Deo placuerit, in statum pristinum et ad unitatem unius principis reducetur.

Czyżby z tych dwóch przepowiedni: 1) że połączenie rozerwanych dzielnic Polski w jedno państwo nastąpi, 2) że zaszczyt królewskiego tytułu będzie kiedyś Polsce zwrócony, byłby nasz kronikarz tylko pierwszą powtórzył, a o drugiej przemilczał, gdyby w czasie, kiedy pisał, koronacja nie była już faktem spełnionym?

Program pracy zapowiedziany na początku kroniki został w niej co prawda tylko częściowo wykonany — o tyle, że fakta w nieznośnej gadaninie Kadłubka jakby tonące w powodzi, otrząśnięte z tego balastu, wydobywają się tu więcej na wierzch, tem bardziej, że je nasz kronikarz (pierwszy w naszej literaturze) i do dat chronologicznych odnosi. Choć zatem pisał tę połowę dzieła swego prawie krok w krok za Kadłubkiem, zapożyczając się aż zbyt często od niego co do wyrażzeń; daje ta kronika jednak pogląd na przeszłość jaśniejszy, spokojniej opowiedziany, tworzący z niej łączną całość, dla każdego przystępną. W sprawach rodowodowych, ze szczególną dokładnością traktowanych, a tak samo i co do kwestyi, gdzie kiedy który książę panował, z pewnością łatwiej się tu poinformować, niż w scholastycznej, nieporządnie do cikliwości o wszystkim naraz rozprawiającej, dawniejszej kronice. Sprawy specjalnie wielkopolskie nie górują tu nad innymi w tym topniu, jakby kto oczekiwał. Brakło do tego naszemu autorowi w tej odległej partyi dziejów materiału odpowiedniego. Oprócz Kadłubka korzystał tylko z jakiegoś już dziś zaginionego pisma o Piotrze Władzie i z t. zw. *Vita major* św. Stanisława. O ile jednakże zdołał, akcentuje nad innymi wielkopolskie zdarzenia z widoczną predylekcyą. O Mieczku Starym mówi z osobna aż w 6 rozdziałach, w każdym razie nierównie szerzej, niż Kadłubek, choć ten nadał dziełu swemu bez mała dwa razy większą niżeli Baszko objętość. Szląskich stosunków zaledwie tyka. Poznań i Kraków — to główna widownia jego dziejów od

czasu śmierci Bolesława Krzywoustego. Niektóremi szczegółami potrafił też i z bogaciej zasób dawniejszej dziejowej wiedzy. (Wyjaśnienie początku i znaczenia stroży; założenie kruszwickiego biskupstwa przez Mieczysława II; klasztorna młodość Kazimierza I, po raz pierwszy z żywotów św. Stanisława wprowadzona w dzieje; wiadomość co do Zbigniewa, że przez matkę z rodu Prawdzciców pochodził; mętna wzmianka o Bolesławie, jakoby starszym bracie i poprzedniku Kazimierza I; szczegóły różne o Piotrze Właście, choć w części nie do przyjęcia, a nadewszystko rodowodowe szczegóły (np. rozdz. 12, 18, 27, 30) i dotyczące dzielnicowego rozpołożenia, rozdz. 30, 33, 35 i t. d., i t. d.).

Jeżeli z tym duchem całej roboty porównamy plan, jaki sobie wytknął był Baszko w poprzedniej pracy, w drugiej połowie kroniki: *omissis Slesiae principibus de ceteris tantum scribere intendo* ¹⁾; jeżeli uwzględnimy położony silnie akcent i w tamtej partyi na rodowodowych szczegółach (rozdz. 65, 72, 121, 131, 138), lub na tej nigdy w niej nie pomijanej kwestyi, gdzie który panujący znalazł swój wieczny spoczynek: to obydwie części dzieła najzupełniej przystają do siebie. Nie przeczę, że co do formy jest pewna między nimi różnica. Pierwsza połowa, pisana więcej po kronikarsku — druga wygląda bardziej na rocznik. Ale to tylko z tej przyczyny, że tam był mu głównem źródłem Kadłubek, a tutaj rocznik. Nasz autor nie posiadał czy nie szukał takiej samodzielności pisarskiej, żeby zawsze i wszędzie być sobą, a nie dawać na siebie wpływać tym wzorom i materyałem, które do dzieła swego przejmował. (Wszakże wzmiankę o śnie Bogufała, może przez cześć dla biskupa, może dla nadania faktowi znamienia tem większej autentyczności, powtórzył własnymi jego słowami, w pierwszej osobie). Ale sposób, język, styl — prosty i łatwy, niewykwintny, ale do czytania przyjemny — jest przez całą tę kronikę ten sam, o ile jej nie szpecą późniejsze obce interpolacje.

A jest tych wtretów w obydwóch połowach mnogość taka, jak w żadnej drugiej naszej kronice. Czy one wszystkie pochodzą z ręki jednego interpolatora i czy z tego samego wieku, o tem przesądzać nie łatwo. Ale wybierać je nie byłoby zbyt trudną rzeczą, a co do niektórych można jak na dłoni dowieść, że dopiero w samym końcu XIV w., jeżeli nie jeszcze później, tu weszły. Tak np. w rozdz. 158 ²⁾ z okazji, że donosi tu kronika o podstępnej odbudowie grodu w Santoku przez brandenburskiego margrabię pod niebytność Bolesława kaliskiego

¹⁾ Mon. Pol. II, p. 553, rozdz. 57.

²⁾ Mon. Pol. II, 595.

w swem księstwie, wkłada ktoś w to miejsce wiadomość, że w tym Santoku jest i kościół, a przy nim proboszcz, że jurysdykcyja kościelna tego proboszcza sięga szeroko i po-za obręb jego parafii, że do uposażenia tego proboszcza należała i wieś Kijów, ale tę mu po zamordowaniu Przemysława wydarli Niemcy i t. d., słowem rzeczy, które z odbudową grodu santockiego w r. 1270 żadnego nie miały związku. Wpłata w to wzmianki i o biskupach poznańskich, którzy się nie ujęli za tą krzywdą proboszcza, a takim był Andrzej Symonowicz († 1316), Domarat († 1323) i „bezpośredni (*immediatus*) następca” tych dwóch biskupów, Jan Łodzia († 1346). Otoż nie dość, że ci biskupi żyli w czasach, kiedy autor kroniki już dawno próchniał w swym grobie, ale trzeba było i tego jeszcze, żeby Jan Łodzia był bezpośrednim następcą Andrzeja i Domarata. Po Domaracie rządził kościołem poznańskim Jan tego imienia III z rodu Doliwa, a dopiero po nim (r. 1335) nastąpił Jan IV Łodzia. Jeżeli tego nie wiedział autor tej całej interpolacji, toć rzecz jasna, że musiał to być człowiek, który własną swoją pamięcią już nie sięgał czasu pomienionych biskupów. Boć że to był ksiądz jakiś i z dyecezyi poznańskiej, o tem dosadnie przekonywa ten cały wpisek. Jeżeli zaś spłynęli już w jego wyobraźni ci dwaj własni jego biskupi w jednego Jana, to stać się to mogło tylko wskutek okoliczności, że ten nasz ktoś był w roku śmierci Jana Łodzi albo jeszcze dzieciuchem, albo jeszcze nie narodzonym. — Podobnym jawnym wtrętem jest i długi, kilka stronic nabitego druku zapełniający ustęp na samym początku kroniki, od słów na str. 468: *Nam quia Lechitae Poloni dicuntur, scire convenit, unde hoc nomine vocentur, až do Quia aliquantulum a materia, de qua scribere intendebam, digressus fueram, jam nunc ad nostrum propositum redeamus* ¹⁾. Ważny to z przypadkowych powodów ustęp! Po raz pierwszy w tym to wtręcie zjawia się Lech w naszej historii bajecznej. Otóż nie wcześniej, jak w końcu XIV stulecia albo dopiero w XV-tem zrodziła się u nas ta osobistość mityczna, dzięki właśnie tej-to interpolacji. Kadłubek, przed r. 1208 piszący, nic o Lechu nie wiedział. I Baszko nic jeszcze o nim nie słyszał. A na to są dwa dowody. Po pierwsze: Mierzwa, pisarz już z epoki Łokietka, który tylko skracał Kadłubka, ale i z Baszka po trosze się zapożyczał, poczyzna, tak jak oni obydwaj, tradycję dziejową od Krakusa. Gdyby w autentycznym tekście Baszka ta dygresya lechicka była już znalazła miejsce, byłby z niej Mierzwa z pewnością skwapliwie zrobił użytek. Po drugie: Najdawniejszy kodeks kroniki Baszka, dziś już niestety przepadły, ale jeszcze w r. 1763 przez czeskiego historyka

¹⁾ Mon. Pol. II, 472.

Dobnera widziany, opisany i w dwóch wyjętych z niego urywkach ukazany na próbę, nie zawierał w sobie całego tego ustępu. Był to także już tylko odpis Baszka, a nie autentyk, ale dawniejszy od tych wszystkich dziewięciu kopii kroniki, które po dziś dzień są znane. Te wszystkie zawierają w sobie już ustęp, o którym mówimy. Ale tamten kodeks, z XIV pochodzący wieku, był jeszcze od niego wolny. Nazwał go Dobner rękopisem Hodzejowskim, ponieważ żyjący w XVI wieku Jan Hodzejowski, podsędek czeski, w r. 1566 zmarły, miał być czasu swego jego właścicielem ¹⁾. Edycja Baszka ostatnia, w tomie II *Monumentów Poloniae*, podaje dla porównania obok siebie obydwaj teksty: z ms. Hodzejowskiego i z tych innych późniejszych kopii, w których dzieło doszło do czasów naszych. Do niej tedy czytelnika odsyłam.

Wyniki powyższego zbadania rzeczy są zatem następujące:

Biskup Bogufał II nie miał w pisaniu kroniki wielkopolskiej żadnego udziału.

Obydwie połowy tej kroniki są dziełem Baszka, ale druga pierwiej została ułożona, niż pierwsza.

Życie tego pisarza przeciągnęło się aż do r. 1297.

Drugą połowę kroniki układał przed r. 1280. Pierwszą w latach od r. 1295 do 1297.

A jeżelibyśmy woleli przypuścić, że i pierwszą jeszcze przed rokiem 1280 pisał, albo pisać zaczął, w takim razie przyjąć trzeba, że do niej dopiero w r. 1295 dopisał wiadomy wstęp, spowodowany do tego kroku świeżo odbytą koronacją Przemysława II.

ANTONI MAŁECKI.

¹⁾ Mówi Dobner o tem wszystkiem w tomie II p. 7 i nast. swojej edycji historyka czeskiego Hajka, w r. 1763 wydanej. Przywodzi dosłownie z tego dawnego kodeksu Hodzejowskiego przydłuższy cytat z samego początku i drugi z końca kroniki, która się tu niewiadomo dla czego już na r. 1249 urywała.

RODZINA POŁANIECKICH.¹⁾

TOM II.

I.

Podczas tych wszystkich rozterek duchowych, przez które przechodził Połaniecki, interesa domu handlowego rozwijały się jednak pomyślnie. Dzięki zdrowemu rozsądkowi, pilności i czujności Bigiela, bieżące sprawy były załatwiane zawsze z jednaką dokładnością, która ze strony klientów Domu usuwała wszelką możliwość zawodu, niezadowolenia, skarg. — Dom zyskiwał z każdym dniem na opinii, rozszerzał z wolna i stopniowo działalność, porastał w pierze. — Połaniecki zresztą pracował nie z takim wprawdzie spokojem, jak dawniej, ale nie mniej od Bigiela. Ranne godziny spędzał codziennie w biurze, im zaś większe były jego duchowe frasunki, im nieporozumienia z Marynią stawały się od chwili jej przyjazdu do Warszawy głębsze, tem pracował gorliwiej. Ta robota, najczęściej ciężka i chwilami wymagająca nawet dość natężonego myślenia, ale nie stojąca w żadnym związku z tem, co go bolało, i nie mogąca przyczynić żadnej wewnętrznej troski, stała mu się w końcu rodzajem przystani, w której się chował przed burzą. — Połaniecki począł ją lubić. „Tu przynajmniej wiem, co

1) Patrz zeszyt grudniowy „Biblioteki“ z r. z.

robię i do czego dążę (mówił Bigielowi), tu wszystko jest bardzo jasne: jeśli nie znajdę szczęścia, znajdę przynajmniej to rozszerzenie życia i tę swobodę, którą daje pieniądz, i tem lepiej dla mnie, jeśli potrafię na tem poprzestać.“ — Ostatnie wypadki utwierdziły go tylko w tych myślach. Rzeczywiście, od strony uczuć przychodziły nań wyłącznie zmartwienia. Ta siejba dawała gorzkie żniwo, podczas gdy jedyne powodzenia, których doznał, a które, bądź co bądź, krzepią i bronią w życiu od nieszczęścia, dał mu ów dom handlowy. Sam Połaniecki myślał z pewnem zdziwieniem, że tak jest, ale tak nie było. Sam czuł ciasnotę tego zadowolenia, które mógł dać Dom; ale jednocześnie mówił sobie, że skoro nie można inaczej, to trzeba i bezpieczniej jest na tem poprzestać, albowiem lepiej jest być wyłącznie kupcem, któremu się powodzi, niż romantykiem, którego wszystko zawodzi. — Więc od śmierci Litki, postanowił tem bardziej stłumić w sobie wszystkie te porywy, którym rzeczywistość nie umiała odpowiedzieć i które nie przynosiły nic, prócz zgrzytot. Oczywiście Bigiel rad był z takiego usposobienia swego współnika, które domowi mogło przynieść tylko korzyść.

Połaniecki nie mógł jednak stać się w ciągu kilku tygodni człowiekiem zupełnie obojętnym na to wszystko, z czem niegdyś związane było jego serce. Skutkiem tego od czasu do czasu odwiedzał Litkę, której kamień grobowy pokrywały już rankami białe, zimowe szrony. Dwukrotnie spotkał na cmentarzu panią Emilię z Marynią. Raz odwoził je do miasta i wówczas pani Emilia zaczęła dziękować mu za pamięć o małej. — Połaniecki zauważył, że czyniła to ze względnym spokojem, zrozumiał zaś ten spokój, gdy przy pożegnaniu rzekła mu: „Ja teraz ciągle myślę, że ona, żyjąc sama w wieczności, uważa to rozłączenie za tak krótkie, jak jedno mgnienie oka — i pan nie wie, co to za pociecha, że przynajmniej nie tęskni.“ — Połaniecki powiedział sobie w duszy: „No, że nie wiem, to nie wiem!“ Jednakże głębokie przekonanie, z jakim mówiła pani Emilia, uderzyło go: „Jeśli to są złudzenia, — pomyślał — to są prawdziwie żywotne złudzenia, skoro potrafią nawet z piwnicy grobowej wyciągnąć soki dla życia...“

Marynia potwierdziła zresztą, w pierwszej rozmowie z Połanieckim, że pani Emilia żyje tylko tą myślą. To jedno łagodziło jej żal. Po całych dniach nie mówiła z Marynią o niczem innem i powtarzała tak uporczywie w kółko, iż śmierć widziana od strony Boga jest rozłączeniem na jedno mgnienie oka, że ta uporczywość zaczęła Marynię niepokoić.

— Mówi też o Litce, — rzekła w końcu panna Pławicka — jakby dziecko nie umarło i jakby je miała jutro zobaczyć.

— To i szczęście—odpowiedział Połaniecki. — Waskowski oddał jej rzetelną usługę. Taki gwóźdź w głowie nie boli.

— A przecież ona ma słuszość, bo to tak jest...

— Nie będę pani zaprzeczał.

Marynię niepokoiła wprawdzie uporczywość, z jaką pani Emilia wracała ciągle do jednej myśli; z drugiej strony jednak sama patrzyła na śmierć nie inaczej, więc ów odcień sceptycyzmu, widoczny w słowach Połanieckiego, dotknął ją nieco i zabolął.

Nie chcąc wszelako zdradzić się z tem, zmieniła rozmowę.

— Kazałam powiększyć fotografię Litki — rzekła. — Wczoraj mi odniesiono trzy egzemplarze. Jeden dam Emilce. Bałam się poprzednio, że to ją nadto wzruszy, ale teraz widzę, że można. Owszem: będzie jej bardzo miłe.

To powiedziawszy, wstała i poszła do półek z książkami, na których leżały obwinęte w bibulkę fotografie, następnie siadła obok Połanieckiego przed małym stolikiem i poczęła je rozwijać.

— Opowiadała mi Emilka — rzekła — jakąs waszą rozmowę, na krótko przed śmiercią małej, w której Litka powiedziała, że życzyła-by sobie, żebyście we troje byli brzozaami i rośli blisko siebie. Pamięta pan tę rozmowę?

— Tak, przypominam sobie. Dziwiła się, że drzewa tak długo żyją, a potem namyślała się, jakim-by chciała być, i najlepiej jej się podobała brzoza.

— Tak. A pan powiedział, że także chciał-by rosnąć blisko... Więc ja teraz naokół tych fotografii, na passe-partout chciałam wymalować brzozy. O, tu, widzi pan, zaczęłam, ale nie bardzo mi idzie, bo naprzód dawno nie miałam farb w ręku, a powtóre, nie umiem malować z pamięci.

To rzekłszy, wydobyla jedną z fotografii i poczęła pokazywać Połanieckiemu podmalowane akwarellą brzozy, że zaś wzrok miała nieco krótki, więc pochyliła się nad swoją robotą, tak, że skroń jej znalazła się przez chwilę tuż przy skroni Połanieckiego.

Nie była mu już ona dawną Marynią, o której marzył, wracając wieczorami od pani Emilii, i która wypełniała mu wówczas całą duszę. Ten czas minął. Myśli jego odeszły w inną stronę. Natomiast Marynia nie przestała być typem kobiecym, czyniącym wyjątkowo silne wrażenie na jego męskie nerwy, i teraz, gdy skroń jej dotykała niemal jego skroni, gdy jednym rzutem oczu objął jej matową twarz, zarumienione nieco policzki i pochyloną nad malowidłem postać, odczuł ów pociąg z dawną siłą i żartka krew poczęła mu napędzać równie żartkie myśli do głowy.

— Gdybym jej teraz zaczął całować oczy i usta? — powiedział sobie — ciekawym, jakby postąpiła?

I na jedno mgnienie oka porwała go chęć, by to uczynić, choćby przytem obraził śmiertelnie Marynię. Za to długie odpychanie go, za tyle niepokoju, trosk i zmartwień, chciałby był mieć taką chwilę zapłaty i — może zarazem — zemsty.

Tymczasem Marynia, przypatrując się robotcie, mówiła dalej:

— Dziś mi się to wydaje gorsze jeszcze niż wczoraj. Na nieszczęście, drzewa nie mają teraz liści i nie będę mogła znaleźć modelu.

— Nie, — rzekł Połaniecki — to wcale niezła grupa. Tylko jeśli te drzewa mają wyobrażać panią Emilię, Litkę i mnie — to czemu pani zrobiła cztery brzozy?

— Czwarła, to ja — odrzekła z pewną nieśmiałością Marynia. — Ja także chciałabym kiedyś tak rosnąć razem...

Połaniecki spojrział na nią bystro, ona zaś, obwijając na nowo fotografie, poczęła mówić, jakby się śpiesząc:

— Tyle się rzeczy dla mnie związało ze wspomnieniem tej dziecińki... Byłam w ostatnich czasach prawie ciągle z nią i z Emilką... Emilka, to dziś dla mnie jedna z najbliższych w świecie osób... Ja tak samo należałam do nich, jak i pan... Nie wiem dobrze, jak to powiedzieć... Było nas czworo, a teraz zostało troje — związanych przez Litkę... Bo ona nas związała. Ja teraz, jak o niej myślę, to zarazem myślę o Emilce i o panu... Dlatego postanowiłam wymalować cztery brzozy, a widzi pan, że jest trzy fotografie: jedna dla Emilki, jedna dla mnie, a jedna dla pana.

— Dziękuję pani — odrzekł Połaniecki, wyciągając ku niej rękę. Marynia oddała mu uścisk bardzo serdecznie i rzekła:

— Dla jej pamięci też powinniśmy zapomnieć o wszystkich dawnych urazach.

— To się już stało, — odpowiedział Połaniecki — a co do mnie, to chciałem, żeby tak było, jeszcze na długo przed śmiercią Litki.

— To też odtąd zaczęła się moja wina, za którą pana przepraszam.

I znów podała mu rękę. Połaniecki zawahał się przez chwilę, czy ma ją podnieść do ust, nie uczynił tego jednak, tylko rzekł:

— A więc zgoda?

— I przyjaźń? — odpowiedziała Marynia.

— I przyjaźń.

W oczach jej odbiła się głęboka spokojna radość, która opromieniła całą jej twarz łagodnym światłem. Było w niej teraz tyle dobroci i ufności, że Połanieckiemu mimowoli przypominała się owa dawna Marynia, którą widział w Krzemieniu, gdy siedziała na ganku ogrodowym w promieniach zachodzącego słońca.

Jednakże, od śmierci Litki był on w takim nastroju, że podobne wspomnienia uważał za niegodne siebie, więc wstał i począł się żegnać.

— Nie zostanie pan z nami na cały wieczór? — spytała Marynia.

— Nie, pani, muszę wracać.

— Powiem Emilce, że pan wychodzi — rzekła, idąc ku drzwiom przyległym.

— Ona teraz albo rozmyśla o Litce, albo się modli, inaczej byłaby tu sama przyszła. Niech jej pani nie przerywa, a ja i tak jutro przyjdę.

Na to Marynia zbliżyła się ku niemu i, patrząc mu w oczy z wielką serdecznością, rzekła:

— I jutro, i codziennie. Wszak prawda? Niech pan pamięta, że pan jest teraz dla nas „pan Stach.“

Od śmierci Litki drugi raz Marynia nazwała go w ten sposób, to też, idąc do siebie, Połaniecki myślał:

— Jej stosunek do mnie jest zupełnie zmieniony. Ona się poczuwa poprostu do przynależności do mnie, bo się do tego zobowiązała obietnicą, daną umierającemu dziecku; gotowa nawet pokochać się we mnie i nie pozwoli sobie nie pokochać się... Takich u nas na tuziny.

I nagle począł się złościć.

— Znam te rybie natury z zimnem sercem, a natomiast egzaltowaną głową, pełną tak zwanych zasad. Wszystko dla zasady, wszystko dla obowiązku — nic samorzutnego w sercu! Mógłbym zdechnąć przy jej nogach i nic nie wskórać, dopiero gdy *obowiązek* każe jej mnie pokochać, to będzie kochała nawet rzeczywiście.

Widocznie Połaniecki przywykł w swoich włóczęgach za granicą do innego rodzaju kobiet, a przynajmniej o innych zapewne nazytał się w książkach. Ponieważ jednak miał przytem trochę i zdrowego rozsądku, więc ten rozsądek począł do niego także przemawiać:

— Słuchaj Połaniecki (mówił), toż to są właśnie dlatego wyborowe natury, nadzwyczaj pewne, na których można budować, na których można oprzeć życie. Czyś ty zwaryował! tobie przecie chodziło o żonę, nie o przemijającą awanturę miłosną.

Ale Połaniecki nie przestawał się zżymać i odpowiadał rozsąd-kowi:

— Jeśli mam być kochany, chcę być kochany dla samego siebie.

Rosądek próbował jeszcze tłumaczyć mu, że wszystko jedno, jak się miłość zaczyna, bo potem nie może być inaczej kochany, jak dla samego siebie, w tym zaś wypadku, po owych pracach i rozdrażnieniach, to jest rzeczą i zarazem naturalną i niemal cudowną, niemal opatrzo-

ściową, że zaszło coś takiego, co odrazu złamało zapory. Ale Połaniecki nie przestawał się dąsać.

Rozsądkowi przyszedł wreszcie na pomoc i ów pociąg, i owo upodobanie w Maryni, na mocy którego Połaniecki widział w niej więcej uroku, niż w każdej innej kobiecie. Ten pociąg mówił z kolei:

— Nie wiem, czy ją kochasz, czy nie, i mniejsza o to, ale dziś, gdy się zbliżyła do ciebie ramieniem i twarzą, małoś ze skóry nie wyskoczył. Czemu cię taki dreszcz nie przejmuje, gdy siedzisz koło innej kobiety? Pomyśl, co za różnica.

Ale Połaniecki odpowiadał na to wszystko:

— Ryba! Obowiązkowa ryba!...

I znowu przyszła mu myśl: Łap że ją, skoro ten gatunek wolisz niż każdy inny. Ludzie się jednak żenią i na ciebie czas. Czego będziesz więcej szukał? czy takiej jakiejś miłości, z której pierwszy gotów jesteś się wyśmiewać... Miłość twoja zgasła—dobrze! ale został pociąg i to przekonanie, które jednak masz, że to uczciwa i pewna kobieta.

— Tak, — myślał dalej — ale z miłości, czy głupiej, czy mądrej, płynie woła, a czy ja ją teraz mam? Nie, bo się waham, podczas gdy poprzednio nie wahałem się. Powtóre, trzeba zważyć, co lepsze: czy panna Pławicka, czy „ma“ i „winien“ w domu pod firmą Bigiel i Połaniecki. Pieniądz daje potęgę i swobodę, a ze swobody najlepiej się korzysta, gdy się nikogo nie dźwiga ani na ramionach, ani w sercu.

Tak rozmyślając przyszedł do domu i położył się spać. W nocy śniły mu się brzozy na wydmach, spokojne niebieskie oczy i czoło ocienione ciemnymi włosami, od którego było ciepło.

II.

W kilka dni później, rano, zanim wyszedł do biura, przyszedł do niego Maszko.

— Przychodzę do ciebie w podwójnym interesie, — rzekł — ale zaczynam od pieniężnego, żeby ci zostawić swobodę powiedzenia: „tak, lub nie.“

— Mój drogi, pieniężne interesa załatwiam w biurze, więc zaczynaj od drugiego z kolei.

— To nie jest sprawa waszego Domu, tylko prywatna, dlatego wolę mówić o niej prywatnie. Wiesz, że się żenię, potrzebuję pieniędzy. Wydatków mam, jak włosów na głowie, a przytem spłat co niemiara. Przychodzi termin wypłacenia ci pierwszej raty z owej sumy

na Krzemieniu, którą od ciebie nabyłem. Czy nie możesz odłożyć mi terminu jeszcze na kwartał?

— Będę z tobą szczery, — rzekł Połaniecki — mogę, ale nie chcę.

— No, to ja będę równie szczery i spytam, co zrobisz, jeśli ci jej nie zapłacę?

— I to się zdarza na świecie, — odpowiedział Połaniecki — ale tym razem masz mnie za głupszego niż jestem, bo wiem, że zapłacisz.

— Skąd masz tę pewność?

— Żeniąc się, i to żeniąc się bogato, nie możesz narazić się na opinię niewypłacalnego. Z pod ziemi wydusisz, a zapłacisz.

— Z próżnego i Salomon nie naleje.

— Bo nie brał u ciebie lekcji. Mój drogi, nikt nas nie słyszy, więc powiem ci, że ty przecie całe życie nic innego nie robisz.

— Więc jesteś pewny, że zapłacę?

— Tak.

— Masz słuszość. Chciałem od ciebie grzeczności, do której nie mam prawa. Tylko, że nareszcie i ja czuję się tem wszystkiem zmęczony... Tu brać, tam zatykać — wiecznie żyć w takim kołowrocie — to nareszcie przechodzi siły ludzkie... Zawijam niby do portu. Za dwa miesiące stanę na innych nogach, ale tymczasem dopływam resztą pary... Nie możesz — trudno!... Jest trochę lasu na Krzemieniu — wytnę go i zapłacę, skoro nie można inaczej.

— Co tam za lasy na Krzemieniu! Stary Pławicki wygoilił, co się dało.

— Jest duża dąbrowa za dworem ku Niedziałkowu.

— Prawda. Jest.

— Wiem, że wy z Bigielem robicie i takie interesa. Kupcie ode mnie tę dąbrowę. Oszczędzi mi to szukania kupca, a wy możecie wyjść z zyskiem.

— O tem pomówię z Bigielem.

— Więc z góry nie odmawiasz?

— Nie. Jeśli oddasz tanio... możebym nawet i sam... Ale w takich rzeczach potrzebuję obliczyć możliwe zyski lub straty. Chcę także wiedzieć twoje warunki. Oblicz się i ty. Przyślij mi wykaz, ile tam tego jest — i jakie sztuki. Ja tego nie pamiętam.

— Przyślę ci za godzinę.

— W takim razie wieczór dam ci odpowiedź.

— O jednym warunku z góry cię uprzedzam: nie będziesz miał prawa wyciąć dąbrowy przed dwoma miesiącami.

— Dlaczego.

— Bo Krzemień ogromnie straci bez tej ozdoby, więc po ślubie zaproponuję ci odprzedaż, naturalnie z odpowiednim zyskiem.

— Zobaczymy.

— Prócz tego mam na Krzemieniu margiel. Pamiętasz, żeś sam mi o tem mówił. — Pławicki obliczał to na miliony -- i to głupstwo! ale w rękach sprytnych ludzi to naprawdę może być niezły interes. Pomyslcie i o tem z Bigielem; ja przyjął-bym was do spółki.

— Jeśli interes okaże się dobry — po to jest nasz dom, żeby dobre robił.

— Więc o tem pomówimy później, a teraz wracam do dąbrowy. Ogólny zarys naszego układu niech będzie taki, że ja, zamiast przypadającej raty, daję ci dąbrowę, lub jej część, stosownie do obliczenia; daję ci ją niejako w zastaw, ty zaś zobowiążesz się nie wycinać dębów przed upływem następnego kwartału.

— To mogę zrobić, — rzekł Połaniecki. — Oczywiście przyjdą następnie takie kwestye, jak dostawy dębów do kolei etc., o których będziemy mówili przy spisaniu kontraktu, jeśli wogóle będziemy go spisywali.

— Więc przynajmniej jeden ciężar z głowy, — rzekł Maszko, trąc ręką czoło. — Wyobraź sobie, że mam takich dziesięć lub piętnaście na dzień, nie licząc rozmów o interesach z panią Krasławską, które są cięższe od wszystkiego, i służby przy narzeczonej, która...

Tu Maszko zaciął się na minutę, lecz nagle machnął ręką i dodał:

— Która także nie jest lekka...

Połaniecki spojrział na niego ze zdziwieniem. W ustach Maszki, tak przestrzegającego światowych względów w każdym słowie, było to coś niesłychanego.

A Maszko mówił dalej:

— Lecz mniejsza o to. Pamiętasz, jak przed śmiercią Litki omal raz nie przyszło między nami do kłótni... Nie policzyłem się z tem, żeś ty bardzo kochał tę małą, żeś był niespokojny, rozdrażniony i postąpiłem po grubijańsku... Wina była zupełnie po mojej stronie, zatem przepraszam cię.

— To rzecz zapomniana — odpowiedział Połaniecki.

— Przypomniałem ją dlatego, że mam cię prosić o usługę. — Jest rzecz taka: Ja nie mam przyjaciół; krewnych, albo nie mam, albo mam takich, z którymi nie warto się popisywać. Teraz muszę szukać drużbów i dalibóg nie bardzo wiem, gdzie się zwrócić... Wiesz, że miałem w ręku interesa rozmaitych paniczków... Ale prosić pierwszego lepszego pajaca, dlatego, że ma tytuł — nie idzie i nie chce mi się. Chodzi mi o to, bym miał drużbów porządnych ludzi, a powiem otwarcie — i porządne nazwiska... Te panie również bardzo na to uważają, więc — czy zechcesz mi drużbować?

— Tego-bym ci nie odmówił, gdybyś przyszedł w innych okolicznościach. Ale powiem ci jak jest. Patrz: nie noszę krey na kapeluszu, ni białych tasiemek przy surducie, więc nie jestem w żałobie, a mimo tego daję ci słowo, że jestem w większej żałobie, niż gdyby mi własne dziecko umarło...

— Tak, nie policzyłem się z tem — rzekł Maszko. — Przepraszam cię.

Połanieckiego ujęły te słowa:

— Jeśli zresztą bardzo ci na tem zależy... jeśli prawdziwie nie będziesz mógł znaleźć nikogo innego — to niechże będzie jak chcesz, ale szczerze ci mówię, że po takim pogrzebie, ciężko mi będzie być na weselu.

Połaniecki nie powiedział wprawdzie: „na takim weselu“, ale Maszko odgadł jego myśl.

— Przytem — mówił dalej Połaniecki — jest i druga okoliczność. Tyś musiał o tem słyszeć, że było jakieś biedaczysko, doktorzyna..., który kochał się na śmierć w twojej narzeczonej. Wolno jej było nie być wzajemną i nikt jej z tego powodu nie może robić zarzutu, ale tamten swoją drogą pojechał gdzieś, gdzie pieprz rośnie, i lichy go wzięło... rozumiesz? — a ja byłem z nim w przyjaźni, zwierzał mi się ze swoich nieszczęść i wyplakiwał mi się w kamizelki — rozumiesz?... w tych warunkach družbować innemu — sam powiedz?

— I tamten naprawdę umarł z miłości dla mojej narzeczonej?

— Toś ty o tem nie słyszał?

— Nie tylko nie słyszał, ale uszom nie wierzę...

— Wiesz co, Maszko, małżeństwo zmienia człowieka, ale widzę, że i narzeczeństwo. — Ja cię wprost nie poznaję.

— Bo jak ci powiedziałem, jestem tak zmęczony, że już mi tchu nie staje, a w takich razach maska spada.

— Co przez to rozumiesz?

— Rozumiem, że są dwie kategorye ludzi: jedni nie robią sobie z niczego nic i sposób postępowania stosują przygodnie do każdej okoliczności, drudzy mają pewien system, którego się mniej więcej konsekwentnie trzymają. Ja należę do tych drugich. Przywykłem do ochrania pozorów i, co więcej, przyzwyczaiłem się do tego tak bardzo, że w końcu zmieniło się to w moją naturę. Ale widzisz, gdy się naprzykład podróżuje samowtór w wielki upał — wówczas na człowieka najbardziej „comme il faut“, może przyjść chwila, w której rozepnie nie tylko surdut, ale i kamizelkę. Na mnie przyszła taka chwila, więc się rozpinam.

— To się znaczy?

— To się znaczy, iż zdumieniem mnie przejmuję wiadomość, iż ktoś mógł się na śmierć zakochać w mojej narzeczonej, która jest, jak mi to kiedyś w złości dałeś do zrozumienia, zimna, sztywna i tak mechaniczna w ruchach, słowach i myślach, jakby była nakręcana kluczem. To wszystko jest zupełną prawdą — i ja to potwierdzam. Nie chcę, żebyś mnie miał za większego nicponia niż jestem. Ja jej nie kocham i moje małżeństwo będzie równie sztywne, jak moja narzeczona. Kochałem pannę Pławicką, która mnie odrzuciła. Pannę Krasławską biorę dla jej majątku. Jeśli powiesz, że to jest niegodziwość, odpowiem ci, że tę niegodziwość spełniło lub spełni tysiące tak zwanych porządnych ludzi, którym podajesz rękę i którym, co więcej, życie nie upływa w rozkoszy, ale też i nie w tragedyi. Kuleje, ale idzie... Później pomaga im przyzwyczajenie, przeżyte lata, które przynoszą jakiś rodzaj przywiązania, dzieci które się rodzą — i jakoś idzie! Takich małżeństw jest większość, bo większość ludzi woli chodzić po ziemi, niż wspinać się na szczyty. Często nawet insze małżeństwa są gorsze — bo gdy na przykład kobieta woli latać, a mężczyzna pełzać, lub odwrotnie — to niema widoków na porozumienie. — Co do mnie, napracowałem się jak wół. Pochodząc z rodziny podupałej, chciałem wypłynąć, — do tego się przyznaję. Gdybym chciał być zostać nieznanym kauzyperdą i zbijać tylko pieniądze, może-bym je zbil i otworzył mojemu synowi na rozcież wrota do życia. Ale ja nie kocham moich dzieci przed ich przyjściem na świat, — więc chciałem sam mieć nietylko pieniądze — ale być czemś, coś znacząc, zająć jakieś stanowisko, zaważyć, jak u nas można zaważyć, więc przynajmniej w życiu towarzyskiem. Z tego wynika, że co adwokat zarobił, to grand seigneur pochłonął. Stanowisko obowiązuje. Zatem nie mam pieniędzy, znudziła mi się szarpanina, polegająca na wrywaniu dziury w jednym miejscu, żeby ją zatkać w drugim — i dlatego biorę pannę Krasławską, która znów dlatego idzie za mnie, że, jeśli nie rzeczywiście, to pozornie jestem wielkim panem, a raczej udaję wielkiego pana, bawiącego się w adwokaturę... Partye są równe, niczyjej krzywdy niema i nikt nikogo nie oszukuje, albo, jeśli wolisz, oboje oszukujemy się w jednakiej mierze. Oto jest cała prawda, a teraz, jeśli chcesz, to mną pogardzaj.

— Dalibóg, że nigdy nie szanowałem cię więcej, — odpowiedział Połaniecki — bo teraz podziwiam nietylko twoją szczerość, ale odwagę.

— Przyjmuję komplement za szczerość, ale w czym widzisz odwagę?

— W tem, że mając tak mało złudzeń co do panny Krasławskiej, żenisz się z nią jednak.

— Bo jestem więcej mądry, niż głupi. Szukałem pieniędzy — prawda, ale czy myślisz, że dla pieniędzy ożeniłbym się z pierwszą

z brzegu, która je posiada. — Bynajmniej, mój kochany. — Ja biore pannę Krasławską i wiem co robię. Panna Krasławska ma swoje wielkie przymioty, niezbędne w warunkach, w jakich ja ją biore, a ona za mnie wychodzi. Panna Krasławska będzie żoną zimną, nieprzyjemną, kwaśną — a nawet i pogardliwą, o ile nie będzie się mnie bała. Ale natomiast panna Krasławska, tak jak i jej matka, ma cześć religijną dla pozorów, dla tego, co wypada lub nie wypada, a ogólnie mówiąc, dla tak zwanej przyzwoitości. To raz. Dalej, niema w niej ani jednego takiego ziarnka, z którego wyrastają awanturnice — i pożycie z nią, tak nieprzyjemne jak być może, nie skończy się nigdy skandalem. To dwa. A po trzecie, jest we wszystkim pedantką, zatem zarówno w pobożności, jak i w spełnianiu tych wszystkich zobowiązań, które na siebie weźmie. To już istotnie wielki przymiot. Nie będę z nią szczęśliwy, ale będę mógł być spokojny, kto wie zaś, czy to nie jest maximum, którego w życiu można żądać. I to ci, mój kochany, powiadam: gdy będziesz brał żonę, przedewszystkiem myśl o przyszłym spokoju. W kochance szukaj sobie czego chcesz: dowcipu, temperamentu, poetycznego nastroju wrażliwości, ale z żoną trzeba żyć lata — więc szukaj w niej tego, na czem się można oprzeć — szukaj zasad.

— Nie miałem cię nigdy za głupiego, — rzekł Połaniecki — ale widzę, że masz więcej rozumu, niżem myślał.

— Bo widzisz, nasze kobiety, ot naprzykład ze świata pieniężnego, kształcą się naprawdę na francuskiej powieści, a wiesz co z tego wypada?

— Mniej więcej wiem, ale dziś jesteś tak wymowny, że rad wysłucham twego określenia.

— Oto, że kobieta staje się sama dla siebie Bogiem i prawem.

— A dla męża?

— Kameleonem i dramatem.

— To się tak trochę dzieje w świecie bardzo pieniężnym, a pozbawionym tradycyi. Tam wszystko jest pozorem i toaletą, pod którą siedzi nie dusza, ale mniej więcej wykwintne zwierzątko.

— Ale ten świat bogaty i strojny, bawiący się, przesiąknięty dyletantyzmem artystycznym, literackim a nawet i religijnym, trzyma batutę i kieruje chórem.

— U nas jeszcze nie.

— U nas jeszcze nie zupełnie. Zresztą są wyjątki nawet w tym świecie, tem bardziej muszą być po-za nim. — Tak, u nas są inne kobiety, naprzykład panna Pławicka. — Ach, co za spokój, co za bezpieczeństwo, a przytem co za wdzięk życia z taką jak ona! Niestety — ona nie dla takich, jak ja.

— Maszko! spryt gotów ci byłem od biedy przyznać, ale nie wiedziałem, że jest w tobie i entuzyazm.

— Co chcesz: bom się w niej kochał, a teraz żenię się z panną Krasławską!

Ostatnie słowa Maszko wymówił jakby z pewną złością. Poczem nastąpiła chwila milczenia.

— Więc nie będziesz mi družbował? — spytał Maszko.

— Daj mi czas do namysłu.

— Za trzy dni wyjeżdżam.

— Dokąd?

— Do Petersburga. Mam tam interesa. Zabawię ze dwa tygodnie.

— To ci po przyjeździe odpowiem.

— Dobrze. Dziś ci przyślę wykaz moich dębów w trzech rozmiarach... — Byle raty nie płacić!

— A ja warunki, pod któremi je kupię.

Tu Maszko pożegnał się i wyszedł, a wkrótce za nim podążył do biura Polaniecki. Po naradzie z Bigielem, postanowił, jeśli rzecz się okaże możliwa i korzystna, kupić dąbrowę na własną rękę. Sam nie umiał sobie zdać sprawy, dlaczego czuł jakąś dziwną chęć zahaczyć się o Krzemień. Po godzinach biurowych myślał także o tem, co mu mówił Maszko o panie Pławickiej. Czuł doskonale, że mówił prawdę — i że z tego rodzaju kobietą życie może być nie tylko bezpieczne, spokojne, ale i pełne wdzięku. Spostrzegł się jednak, że w tych rozmyślaniach oddaje sprawiedliwość raczej już tylko typowi, którego Marynia była okazem, niż Maryni samej. Spostrzegł również tysiące niekonsekwencji w sobie. Bo oto było w nim jakieś zniechęcenie, a nawet gniew przeciw kochaniu kogokolwiek lub czegokolwiek, przeciw zapędzaniu serca w jakieś więzy i węzły tak zwykle poplątane, że aż bolesne. Na samą myśl o tem burzył się i w duchu powtarzał: „Nie chcę! mam tego dosyć! — to jest niezdrowa wybujałość, która prowadzi tu ludzi tylko do zbroczeń i cierpień.“ Jednocześnie zaś miał naprzykład za złe Maryni, że nie pokochała go jakąś wybujałą bezwzględnością miłością, a poczęła otwierać mu serce dopiero wówczas, kiedy poniekąd nakazał jej to obowiązkiem. Następnie, nie chcąc kochania, dziwił się jednak, że mu ono tak łatwo poczęło więdnąć i że daleko więcej pragnął Maryni wówczas, gdy ona go nie chciała, niż teraz, gdy okazywała mu się skłonniejszą. „Ostatecznie, — myślał — to wszystko prowadzi do tego, że człowiek sam nie wie, czego chce i czego się ma trzymać, to jest do stanu, który niech piorun trzaśnie! Panna Pławicka ma więcej przymiotów, niż się sama domyśla, panna Pławicka jest obowiązkowa, prawa, cicha, piękna, zmysły moje ciągną mnie do panny Pławickiej —

a jednocześnie czuję, że panna Pławicka nie jest mi tem, czem była, i że coś we mnie dyabli wzięli.

— Ale co?

— Jeśli zdolność do kochania (monologował dalej Połaniecki), to ponieważ doszedłem do wniosku, że kochanie jest najczęściej głupstwem, a zbytne kochanie zawsze głupstwem, więc powinienem być kontent — tymczasem nie jestem kontent.

Lecz po chwili przyszło mu na myśl, że to jest tylko rodzaj osłabienia taki, jaki przychodzi naprzykład po chirurgicznej operacji, lub po przebytej chorobie — i że życie pozytywne wypełni mu z czasem ową czczość, którą odczuwał.

Życiem pozytywnem zaś był dla niego „dom handlowy.“

Przyszedłszy na obiad, zastał Waskowskiego i dwóch służących, którzy mrugali na siebie, widząc jak staruszek podnosi chwilami widelec z kawałkiem mięsa do góry i zamyśla się na śmierć lub rozmawia sam z sobą. Profesor Waskowski od niejakiego czasu ustawicznie rozmawiał z sobą, i to tak głośno, że ludzie oglądali się za nim na ulicy. Niebieskie jego oczy patrzyły teraz przez chwilę bezprzytomnie na Połanieckiego, poczem zbudził się jakby ze snu i rzekł, kończąc poczetą w głowie myśl:

— Ona powiada, że ją to zbliży do dziecka.

— Kto powiada? — spytał Połaniecki.

— Pani Emilia.

— W jaki sposób się zbliży?

— Bo chce zostać siostrą miłosierdzia.

Połaniecki zamilkł pod wrażeniem tej wiadomości. Mógł on sobie myśleć co mu przez głowę przeszło, rugować z siebie uczuciowość, filozofować o niezdrowych wybujalnościach całego społeczeństwa, w którym żył, — w duszy miał jednak dwie jakby świętości: Litkę i panią Emilię. Litka była już tylko drogiem wspomnieniem — natomiast panią Emilię kochał żywym, braterskim i najtkliwszem uczuciem, którego w rozmyślaniach nigdy nie tykał.

To też przez jakiś czas nie mógł się zdobyć na słowo, następnie spojrzawszy surowo na Waskowskiego i rzekł:

— Pan, profesorze, namawiasz ją do tego. Ja się w pańskie mistycyzmy i pańskie idee z pod ciemnej gwiazdy nie wdaję, ale wiedz o tem, że bierzesz na swoje sumienie jej życie, bo ona poprostu nie ma sił fizycznych na siostrę miłosierdzia i w rok umrze — rozumiesz pan?

— Mój drogi, — odpowiedział Waskowski — ot i skazałeś mnie sądem doraźnym, nie wysłuchawszy. Czyś ty się zastanawiał nad tem, co znaczy wyrażenie: „mąż sprawiedliwy?“

— Gdy mi chodzi o kogoś blizkiego, drwię z wyrażień.

— Mnie ona wczoraj powiedziała o tem najniespodzianie, a ja ją spytałem: moje dziecko, ale czy ty będziesz miała dość siły, bo to ciężka praca? Wówczas uśmiechnęła się do mnie i powiada tak: „nie odmawiajcie mnie, bo to moja ucieczka i moje szczęście. Jeśli się okaże, że nie mam sił, to mnie nie przyjmą, a jeśli przyjmą, a siły mi nie starczą, to pójdę wcześniej do Litki, a ja tak tęsknię!“ Co ja miałem powiedzieć na taką wolę i taką prostotę? Co ty potrafisz powiedzieć? Kto, nawet nie wierzący, śmiał-by powiedzieć, że może Litki wcale niema, i że życie w pracy, w miłosierdziu, w poświęceniu, a śmierć w Chrystusie, może do Litki nie doprowadzić? Wymyśl jej inną pociechę, ale jaką wymyślisz? daj inną nadzieję, ukój ją czem innem, ale czem ukoisz? Będziesz ją przecie widział—więc powiedz szczerze: czy ośmielisz się jej odradzać?

— Nie, — rzekł krótko Połaniecki.

Po chwili zaś dodał:

— Nic, tylko zmartwienia ze wszystkich stron!

— Jedno-by można — mówił dalej Waskowski: — namawiać ją żeby zamiast sióstr miłosierdzia, u których praca jest nad jej siły, wybrała jaki zakon kontemplacyjny. Są takie, gdzie biedny atom ludzki rozplywa się tak w Bogu, że przestaje żyć życiem osobistem, więc przestaje i cierpieć...

Połaniecki machnął ręką.

— Ja się na tych rzeczach nie rozumiem — rzekł szorstko — i nie wdaję się w nie.

— Właśnie mam tu gdzieś książeczkę włoską o Nazaretankach — rzekł Waskowski, rozpinając surdut. — Nie wiem gdzie mi się podziała... Wychodząc gdzieś ją schowałem.

— Co mnie mogą obchodzić pańskie Nazaretanki?

Lecz Waskowski za surdudem rozpiął następnie w poszukiwaniu i kamizelkę, poczem zamyślił się i rzekł:

— Czegoż ja szukałem? A wiem! tej włoskiej książeczki. Za parę dni jadę do Rzymu — na długo, na bardzo długo. Pamiętasz, com ci mówił, że to przedsiónek do innego świata. Już mi czas do bożej sieni. — Emilkę bardzo-by namawiał, żeby jechała do Rzymu, ale ona od dziecka nie odjedzie. Jako siostra miłosierdzia zostanie tutaj. Może-by się jej jednak podobała reguła Nazaretanek... Taka pogodna i prosta, jak pierwsze chrześcijaństwo... A ja jadę wkrótce... Nie z głową, mój drogi, bo tam lepiej wiedzą, czego się trzymać, ale z sercem — maluczki, ale miłujący.

— Zapnij profesor kamizelkę — rzekł Połaniecki.

— Dobrze, zapnę. Ja, widzisz, mam coś pod sercem, i powiedziałbym ci, boś ty wartki, jak woda, ale ty masz duszę... Widzisz, chrze-

ściaństwo nietylko się nie kończy, jak się niektórym filozofującym wartogłowom zdaje, ale zrobiło dopiero połowę drogi...

— Kochany profesorze—rzekł łagodniej Połaniecki—wysłucham tego, co mi pan chcesz powiedzieć, chętnie i cierpliwie, ale nie dziś, bo dziś myślę tylko o pani Emilii i poprostu za gardło mnie ściska... To przecie katastrofa...

— Dla niej, nie. — Życie jej się przyda — i śmierć również.

Połaniecki zaś począł mruzczyć:

— Dalibóg, nietylko każde mocniejsze uczucie, ale prosta przyjaźń kończy się zgrzyotą... Nigdy żadne przywiązanie nie przyniosło mi nic, prócz zmartwień. Bukacki ma słuszność... Z ogólnych przywiązań tylko bieda, z osobistych tylko bieda — i żyj tu w takim otoczeniu...

Rozmowa urwała się, a raczej zmieniła w monolog profesora Waskowskiego, który począł rozprawiać z sobą o Rzymie i chrześcijaństwie. Po obiedzie wyszli razem na ulicę, pełną brzęku dzwonek od sanek i wesołego zimowego ruchu, albowiem zrana dnia tego spadł dość obficie śnieg, a pod wieczór uczyniło się pogodnie, cicho i mroźno.

— Zapnij-że profesor kamizelkę — rzekł nagle Połaniecki, spostrzegłszy rozpięte ubranie Waskowskiego.

— Dobrze, zapnę — odpowiedział Waskowski.

I począł ciągnąć dziurki kamizelki do guzików surduta.

— Lubię jednak tego Waskowskiego — mówił sobie Połaniecki, wracając do domu. — Gdybym się do niego na dobre przywiązał, pewnie-by go lichy wzięło, bo taki już mój los. Na szczęście, dotychczas dość mi to obojętne.

I tak mówiąc, Połaniecki wmawiał w siebie rzecz nieistniejącą, albowiem miał szczerą przyjaźń dla profesora Waskowskiego i los jego nie był mu bynajmniej obojętny.

Gdy wrócił do domu, na wstępie uśmiechnęła się do niego twarzyczka Litki z dużej fotografii, którą podczas jego niebytności przysłała Marynia. Jej widok wzruszył Połanieckiego do głębi duszy. Często zresztą doznawał on tego rodzaju wzruszeń, gdy niespodzianie przypomniawszy sobie Litkę, lub nagle spostrzegł jeden z jej portretów. Zdawało mu się wówczas, że miłość do tego dziecka, pochowana gdzieś w głębi serca, wstawała nagle z dawną żywotnością i siłą, przejmując całą jego istotę ogromną tklivością i ogromnym żalem. To odświeżanie się żalu było nawet tak bolesne, że go unikał, jak zwykle człowiek unika prawdziwego cierpienia. Teraz jednak było w jego wzruszeniu coś słodkiego. Tymczasem Litka uśmiechała się do niego przy blasku lampy, jak gdyby chciała powiedzieć: „Pan Stach.“ — Naokół

jej główki, na białem obramowaniu zieleniły się cztery brzozy, namalowane przez Marynię.

Połaniecki stał i patrzył przez długi czas, nakoniec pomyślał:

— Wiem, w czym może być szczęście życia — w dzieciach.

Lecz po chwili rzekł sobie:

— Tylko ja moich własnych nie będę nigdy tak kochał, jak kochałem to biedactwo.

Tymczasem wszedł służący i oddał mu list od Maryni, który przyszedł razem z fotografią. Marynia pisała co następuje:

— „Ojciec polecił mi prosić pana na wieczór. Emilka przeniosła się już dziś do siebie i woli, żeby do niej tego dnia nie przychodzić. Posyłam panu fotografię Litki i proszę koniecznie o przyjście, chcę bowiem pomówić z panem o Emilce. Papa prosił i pana Bigiela, którego obiecał bawić, będziemy więc mogli pomówić spokojnie.“

Połaniecki po przeczytaniu listu ubrał się i, poczytawszy czas jakiś, poszedł do Pławickich.

Bigiel bawił tam już od kwadransa i grał w pikietę z panem Pławickim; Marynia siedziała opodal przy małym stoliku, zajęta jakąś robotą. Połaniecki, przywitawszy się ze wszystkimi, siadł przy niej i począł mówić:

— Dziękuję pani najmocniej za fotografię. Zobaczyłem ją niespodzianie i Litka tak mi stanęła przed oczyma, że nie mogłem ochłonąć. Wie pani, że takie chwile są miarą żalu, z którego człowiek sobie nawet sprawy nie zdaje. Dziękuję najmocniej! — I za cztery brzozy także... Co do pani Emilii, wiem już wszystko od Waskowskiego. Czy to zamiar tylko, czy nieodwołalne postanowienie?

— Prędeż, że to nieodwołalne postanowienie — odpowiedziała Marynia.

— I co pani myśli?

Marynia podniosła na niego oczy, jakby czekając od niego jakiejś rady.

— Ona nie ma na to sił — rzekła wreszcie.

Połaniecki milczał przez chwilę, następnie rozłożył bezradnie ręce.

— Mówiliśmy o tem z Waskowskim, — rzekł — ja na niego napadłem, bo myślałem, że to jego myśl, ale on mi przysięgał, że w niczem się do tego nie przyczynił. Pytał natomiast, jaką inną pociechę jej wymyślimy — i nie umiałem mu na to odpowiedzieć. Co jej naprawdę w życiu zostało?

— Tak — odrzekła cicho Marynia.

— I myśli pani, że ja nie rozumiem, z kąd się wzięło to postanowienie? Ona pro prostu nie chce w niczem swoich zasad religijnych

obrazić, a chce wcześniej umrzeć. Wie, że to obowiązki nad jej siły i dlatego je na siebie bierze.

— Tak — powtórzyła Marynia.

I schyliła głowę tak nisko nad robotą, że Połaniecki widział tylko rozbiór jej ciemnych włosów na małej główce. Miała przed sobą pełne pudełko perełek, które naszywała na rozmaite przedmioty, przeznaczone na dobroczynną loteryę — i teraz do owych perełek poczęły się sypać łzy, które płynęły z jej oczu.

— Ja widzę doskonale, że pani płacze — rzekł Połaniecki.

A ona podniosła na niego załzawione oczy, jakby mu chciała powiedzieć: „Przed tobą nie będę skrywała łez“ — i odrzekła:

— Wiem, że Emilka dobrze robi — ale taki żal!.....

Na to Połaniecki, trochę ze wzruszenia, a trochę dlatego, że sam nie wiedział, co ma powiedzieć, pocałował ją, po raz pierwszy w życiu, w rękę. — Perły z oczu Maryni poczęły się potem sypać jeszcze gęściej, tak, że musiała wstać i odejść.

Połaniecki zbliżył się do grających, w chwili, gdy pan Pławicki mówił kwaśno uprzejmym tonem do swego partnera:

— Rubikon za Rubikonem. Ha, trudno! Pan przedstawiasz nowe czasy, a ja starą tradycyę, zatem muszę być pobity.

— Co to się ma do pikiety? — odrzekł spokojnie Bigiel.

Marynia wróciła po chwili z oznajmieniem, że herbata gotowa. Oczy miała nieco czerwone, ale twarz jasną i spokojną. Gdy później Bigiel z panem Pławickim zasiedli znowu do kart, rozmawiała z Połanieckim takim cichym poufnym tonem, jakim rozmawiają ludzie bardzo sobie bliscy, mający mnóstwo wspólnych spraw w życiu. Wprawdzie wspólność ową wytworzyła między nimi śmierć Litki i nieszczęście pani Emilii, więc też rozmowa ich nie mogła być wesołą, ale, mimo tego, oczy, jeśli nie usta Maryni, uśmiechały się do Połanieckiego, zarazem smutno i pogodnie.

Późnym zaś wieczorem, gdy Połaniecki odszedł, Marynia, rozmyślając o nim, nie nazywała go w myśli inaczej, jak „pan Stach.“

Połaniecki również wrócił do domu w usposobieniu o wiele łagodniejszym, niż bywał dotąd od czasu śmierci Litki. Chodząc po pokoj, zatrzymywał się co chwila przed fotografią małej, patrząc zarazem na cztery brzozy malowane przez Marynię, i myślał, że jednak ten węzeł, jaki zawiązała między nim a Marynią Litką, staje się codzielną niemal ściślejszą, sam przez się — jakby bez niczyjej woli i wprost jakąś tajemniczą siłą rzeczy.

I myślał także, że jeśli brak mu już dawnej, pierwotnej ochoty do utrwalenia tego węzła — to również brakło-by mu prawie odwagi, by go stanowczo przeciąć, zwłaszcza tak prędko po śmierci Litki.

Późną nocą zasiadł nad wykazami przysłanemi przez Maszkę. Chwilami jednak czynił pomyłki w rachunkach, bo widział przed sobą pochyloną głowę Maryni i jej lży spadające do pudełka ze szklanemi paciorkami. Nazajutrz zakupił dąbrowę na Krzemieniu — bardzo zresztą korzystnie.

III.

Maszko powrócił po dwóch tygodniach z Petersburga, dość zadowolony z obrotu własnych spraw kredytowych, i przywiózł ważne wiadomości, które doszły go, jak utrzymywał, drogą czysto poufną i nie były dotąd nikomu znane. Oto zeszłego roku zbiory w całym państwie były bardzo niepomyślne. Tu i owdzie poczęło się pokazywać widmo głodu, łatwo zaś było odgadnąć, że do wiosny zapasy wyczerpią się w całych okolicach i że klęska głodowa może stać się powszechną. Wobec tego ludzie świadomi rzeczy zaczęli przebąkiwać o prawdopodobieństwie zakazu wywozu zboża za granicę — i tego-to rodzaju echa przywiózł Maszko, zaręczając przytem, że doszły do jego uszu przez osoby bardzo rzeczy świadome. Połanieckiego wiadomość ta uderzyła tak silnie, że zamknął się na kilka dni z ołówkiem w rękę, poczem udał się do Bigiela z propozycją, żeby tak rozporządzałą gotowiznę, jak i kredyt Domu, obrócić na hurtowe zakupy zboża.

Bigiel zląkł się — ale on od tego zaczynał wobec każdego nowego interesu. Połaniecki nie ukrywał mu zresztą, że to będzie operacya na wielką skalę, od której powodzenia lub niepowodzenia mogą ich losy zależeć. Zupełne niepowodzenie było jednak mało prawdopodobne, powodzenie zaś mogło uczynić z nich jednym zamachem ludzi prawdziwie zamożnych. Było do przewidzenia, że, wobec braku zboża, ceny pójdą w każdym razie w górę — było również do przewidzenia, że prawo ograniczy wprawdzie możliwość robienia nowych kontraktów z kupcami innych krajów, ale uszanuje kontrakta zawarte przed jego ogłoszeniem; gdyby zaś i to chybiło, podniesienie się cen w samym kraju było rzeczą niemal pewną. Połaniecki wszystko, o ile było w mocy ludzkiej, przewidział, wszystko obliczył — i Bigiel, który, mimo swej ostrożności, był człowiekiem rozsądnym, musiał przyznać, że widoki powodzenia są istotnie znaczne, i że szkoda pomijać sposobności.

Jakoż po kilku jeszcze naradach, podczas których oppozycya Bigiela słabła coraz bardziej, stanęło na tem, czego Połaniecki chciał — i po pewnym czasie, główny komisant domu, Abdulski, wyjechał z upoważnieniem czynienia kontraktów w imieniu Domu, tak na gotowe już zboże, jak i na mające przyjść z przyszłych omłotów.

Wśląd za Abdulskim wyjechał do Prus Bigiel. Połaniecki został sam na czele domu i pracował od rana do wieczora, skutkiem czego nie pokazywał się prawie u nikogo.

Ale czas nie dłużył mu się, bo ożywiła go nadzieja wielkich zysków i obfitszej w działalność przyszłości. Połaniecki, rzucając się na ową spekulację i wciągając do niej Bigiela, uczynił to przedewszystkiem dlatego, że uważał ją za dobrą. Ale miał przytem i inną myśl. Oto Dom handlowy, razem ze wszystkimi swemi sprawami, był za ciasnym polem dla jego fachowego wykształcenia, dla zdolności i dla energii — i Połaniecki to czuł. Ostatecznie o co chodziło w tego rodzaju sprawach, jakie prowadził dom? Kupić tanio, sprzedać drożej — i schować do kasy zysk — to był jedyny cel. Zakupna na własną rękę, albo pośrednictwo — nie więcej. — Połanieckiemu było ciasno w tej uprzęży: „Chciałbym coś kopać lub coś fabrykować,—mówił w chwilach zniechęcenia i niesmaku do Bigiela — bo my, w gruncie rzeczy, staramy się tylko o to, by z tego potoku pieniędzy, jaki w obrotach ludzkich płynie, zwrócić choć jaką taką strugę do naszej kieszeni, ale nie produkujemy nic.“ I to była prawda. Połaniecki pragnął dojść do majątku, zdobyć kapitał, a następnie wziąć się do jakiej roboty bardziej walnej, dającej szersze pole do pracy i twórczości.

Sposobność, jak mu się zdawało, nadeszła, więc chwycił ją oburącz.

— Potem pomyślę o wszystkim innem — mówił sobie.

Przez „wszystko inne“ rozumiał swoje sprawy ducha i serca, to jest swój stosunek do wiary, do ludzi, do ziemi, do kobiety. Rozumiał, że chcąc być w życiu spokojnym, trzeba te stosunki wyjaśnić i stanąć na pewnych nogach. Są ludzie, którzy całe życie nie wiedzą, czem są względem tych podstaw, i których każdy wiatr kieruje w inną stronę. Połaniecki czuł, że tak nie powinno być. W obecnem swem usposobieniu przewidywał, że te pytania mogą być rozstrzygnięte w sposób tak trzeźwy, że aż suchy, i tak pozytywny, że aż materialistyczny, a wogóle ujemny; ale rozumiał, że rozstrzygnięte być muszą.

— Chcę wiedzieć jasno, czym coś powiniem, czy nie — mówił sobie.

Tymczasem pracował i ludzi mało widywał. Nie mógł się jednak całkowicie od nich usunąć. Przekonał się też, że najbardziej osobiste pytania nie mogą być rozstrzygane tylko wewnątrznie, tylko we własnym mózgu lub sercu, zamkniętem na cztery spusty, ale że najczęściej jakieś wpływy zewnętrzne, jacyś ludzie dalsi lub bliżsi, przyspieszają tak koniec rozmyślań, jak i płynących z rozmyślenia postanowień. Stało się to przy pozegnaniu pani Emilii, która codziennie teraz i nie-

mał gorączkowo skracala termin wstąpienia do nowicyatu sióstr miłosierdzia.

Połaniecki nie przestawał wśród swych zajęć chodzić do niej, ale kilkakrotnie nie zastał jej w domu, raz zaś znalazł u niej panią Bigielową a zarazem panią i pannę Krasławską, których obecność krępowała go w wysokim stopniu. Następnie, gdy Marynia doniosła mu, że pani Emilia rozpoczyna nowicyat za kilka dni, poszedł, by ją pożegnać.

Zastał ją spokojną i niemal wesołą, ale na jej widok ścisnęło mu się serce. Twarz miała przezroczystą, miejscami jakby uczynioną z perłowej masy; błękitne żyły przeglądały jej przez skórę na skroniach. Była bardzo piękna, w sposób prawie nieziemski, ale Połaniecki pomyślał: „Żegnaj ją na dobre, bo ona i miesiąca nie wytrzyma: z jednego więcej przywiązania jedna więcej zgryzota i nieszczęście!”

Ona poczęła z nim mówić o swoim postanowieniu, jako o rzeczy najzwyczajszej, która się sama przez się rozumie — i jest naturalnem następstwem tego, co się stało, naturalną ucieczką przed życiem pozbawionem wszelkiej podstawy. Połaniecki zrozumiał, że odradzać jej byłoby z jego strony wprost rzeczą niesumienną i zupełnie bezmyślną.

— Pani tu zostanie? w Warszawie? — spytał.

— Tak. Bo chciałabym być blisko Litki — i matka przełożona obiecała mi, że będę, naprzód w Domu, a potem, jak się czegoś nauczę, to przy którym z tutejszych szpitalów. Chyba-by zaszyły jakieś nadzwyczajne wypadki... Póki będę w domu, co niedziela będzie mi wolno odwiedzać Litkę.

Połaniecki zacisnął zęby i milczał; patrzył tylko na delikatne, jakby woskowe, ręce pani Emilii, myśląc w duszy:

— Ona chce temi rękoma opatrywać chorych...

Ale jednocześnie odgadywał, że ona chce przedewszystkiem czego innego. Pod jej pogodą i rezygnacją odczuwał niezmierny ból, mocny jak śmierć i wołający o śmierć ze wszystkich sił duszy i serca. Chciała tylko, by ta śmierć przyszła bez jej winy, nie jako jej grzech, ale jako zasługa, której nagrodę miało stanowić połączenie się z Litką...

I teraz dopiero Połaniecki rozumiał różnicę między bólem a bólem, żalem a żalem. I on kochał Litkę, ale w nim, obok żalu za nią i wspomnień o niej, było jeszcze coś innego, jakiś życiowy interes, jakaś ciekawość przyszłości, jakies chęci, myśli, dążenia. Pani Emilii nie zostało nic, tak jakby umarła razem z Litką, i jeśli zajmowało ją coś jeszcze na świecie, jeśli kochała tych, którzy jej byli bliscy, to tylko dla Litki, przez Litkę i o tyle, o ile byli z nią związani.

Połanieckiemu ciężkie były te odwiedziny i to pożegnanie. Przywiązał się był do pani Emilii głęboko, a teraz miał poczucie, że nie łącząca ich przysła raz na zawsze — i że drogi ich rozchodzą się w tej chwili, bo on idzie dalej, drogą życia, ona zaś chce, by jej życie wypadło się jak najprędzej i wybiera trud, — wprawdzie błogosławiony, — ale nad siły, by przyśpieszyć śmierć.

Ta myśl zamykała mu usta. W ostatniej jednak chwili, przywiązanie, jakie miał zdawna dla niej, przemogło, i począł mówić z prawdziwym wzruszeniem, całując jej rękę:

— Droga pani, bardzo droga! niech panią Bóg strzeże i pociesza!

Tu zbrakło mu słów, lecz ona, nie puszczając jego ręki, rzekła:

— Do śmierci nie zapomnę panu, że pan Litkę tak kochał. Wiem od Maryni, że ona was połączyła, i dlatego wiem, że będziecie szczęśliwi, bo inaczej Bóg nie byłby jej tak natchnął. Ile razy was w życiu zobaczę, tyle razy pomyślę sobie, że wasze szczęście to dzieło Litki. Niechże jej wola spełni się jak najprędzej i niech was Bóg błogosławi oboje.

Połaniecki nie odrzekł nic, tylko, wracając do domu, myślał:

— Wola Litki!... Ona ani przypuszcza, że wola Litki może być nie spełniona, — i jakże jej miałem powiedzieć, że tamta nie jest już tem dla mnie, czem była...

A jednak czuł coraz wyraźniej, że dłużej nie powinno tak być i że owe węzły, łączące go z Marynią, należy w krótkim czasie albo ścieśnić, albo zerwać, by położyć koniec dziwaczному położeniu, nieporozumieniom i troskom, jakie ztąd mogły wyniknąć; czuł, że trzeba to uczynić prędko, by postąpić uczciwie. I ogarnął go nowy niepokój, wydało mu się bowiem, że jakkolwiek postąpi, nie przyniesie mu to szczęścia.

Wróciwszy do domu, zastał list Maszki, który brzmiał jak następuje:

— „Byłem u ciebie dziś dwa razy. Jakiś waryat zelżył mnie wobec moich dependentów, z powodu dąbrowy, którą ci sprzedałem. Nazywa się Gątowski. Potrzebuję z tobą pomówić i będę raz jeszcze przed wieczorem.“

Jakoż przybiegł przed upływem godziny, i nie zdejmując paletota, począł pytać:

— Ty znasz tego Gątowskiego?

— Znam. To sąsiad i krewny Pławickich. — Skąd to poszło i co się stało?

Maszko zdjął paletot i rzekł:

— Nie rozumiem nawet z kąd wieść o tej sprzedaży mogła się rozejść, bo ja nie mówiłem o tem nikomu i nawet zależało mi na tem, by się nie rozeszła.

— Nasz agent Abdulski jeździł do Krzemienia obejrzeć dąbrowę. Gątowski musiał się od niego dowiedzieć o sprzedaży.

— Słuchaj-że, co się stało. Dziś w biurze przynoszą mi kartę Gątowskiego. Nie wiedząc, kto to jest, — przyjmuję. Wchodzi jakiś chłystek i pyta mnie, czy prawda, że sprzedałem dąbrowę i że chcę rozkolonizować część Krzemienia. Oczywiście, odpowiadam także pytaniem, co go to może obchodzić? Ten mówi, że zobowiązałem się płacić z Krzemienia dożywotnią rentę staremu Pławickiemu i że jeśli, prowadząc rabunkowe gospodarstwo, zrujnuję Krzemień, nie będzie mnie na czem poszukiwać. Rozumiesz, że na to poradziłem mu, żeby wziął kapelusza, zapiął się dobrze ze względu na mróz i żeby poszedł, z kąd przyszedł. — Wówczas zaczął wrzeszczeć, nazwał mnie wobec moich dependentów szachrajem, oszustem, wreszcie powiedział mi, że mieszka w Saskim hotelu — i poszedł. — Czy ty nie masz do tego klucza? czy nie możesz powiedzieć mi, co to znaczy?

— Owszem! Po pierwsze: ten Gątowski jest ograniczony i z natury gbur; po drugie, Gątowski jest od lat całych zakochany w pannie Pławickiej i chciało mu się zostać jej rycerzem.

— Wiesz, że mam dość zimnej krwi — ale istotnie, chwilami zdaje mi się, że to sen. — Żeby ktoś pozwolił sobie zelżyć mnie za to, że sprzedaję swoją własność — to wprost przechodzi ludzkie pojęcie.

— Co myślisz robić? Gątowskiemu pierwszy stary Pławicki narzeka uszu i zmusi go, by cię przeprosił.

Na to twarz Maszki przybrała taki wyraz zimnej i zawziętej złości, że Połaniecki mimowoli pomyślał:

— No, „niedźwiadek“ nawarzył piwa, jakiego się nie spodziewał — i musi je wypić.

— Mnie nikt nigdy w życiu bezkarnie nie ubliżył i nie ubliży — rzekł Maszko — a ten człowiek nietylko mnie zelżył, ale zrobił mi taką krzywdę, jakiej się ani domyśla.

— To jest chłystek, poprostu niepoczytalny.

— Wściekły pies jest niepoczytalny, a mimo tego w łeb mu się strzela. Widzisz, że mówię chłodno, więc słuchaj, co ci powiem: spotkała mnie katastrofa, z pod której się nie podniosę.

— Mówisz chłodno, ale cię złość dusi, więc przesadzasz.

— Bynajmniej. Bądź cierpliwy i wysłuchaj mnie do końca. Położenie jest takie: jeśli moje małżeństwo nie dojdzie do skutku, albo nawet odwlecze się na jakie kilka miesięcy, dyabli wezmą mnie, moje stanowisko, mój kredyt, mój Krzemień i wszystko, co mam. Powiedziałem ci, że jadę resztką pary — i muszę stanąć. Panna Krasławska nie wychodzi za mnie z miłości, tylko dlatego, że ma dwadzieścia dziewięć lat, i że wydaję jej się, jeśli nie wymarzoną, to przynajmniej

dostateczną partya. — Jeżeli się tylko pokaże, że nie jestem taką, jak myśli, to zerwie ze mną. — Gdyby te panie dziś dowiedziały się, że sprzedał dąbrowę na Krzemieniu z potrzeby — jutro miałbym rekuzę. Teraz pomyśl: awantura była publiczna — bo przy moich dependentach. Rzecz nie utai się. Mogłbym im może sprzedać dąbrowy wytłomaczyć — ale pozostaję prócz tego człowiekiem zelzonym. Gdybym nie wyzwał Gątowskiego, mogą ze mną zerwać, jako z szują bez honoru, jeśli go wyzwe — pamiętaj, że to są dewotki, a prócz tego kobiety tak przestrzegające pozorów, jak drugich nie znam — więc zerwą ze mną, jako z awanturnikiem. Jeśli Gątowskiego postrzele, zerwą ze mną, jako z zabójcą; jeśli on mnie, zerwą, jako z niedołągą, który się pozwolił zelżyć i poturbować. Na sto danych jest dziewięćdziesiąt, że tak postąpią. — Rozumiesz teraz, dlaczego ci powiedział, że dyabli wezmą mnie, mój kredyt, moje stanowisko i w dodatku Krzemień.

Połaniecki machnął ręką, z całym bezmyślnym egoizmem, na jaki zdobyć się może tylko mężczyzna w stosunku do drugiego mężczyzny, który go w gruncie rzeczy mało obchodzi:

— Ba, — rzekł — Krzemień może ja od ciebie kupić. Ale położenie jest ciężkie. Co tedy myślisz zrobić z Gątowskim?

Na to Maszko rzekł:

— Dotychczas płacę długi. Nie chciałeś mi družbować; czy chcesz być moim świadkiem?

— Tego się nie odmawia — rzekł Połaniecki.

— Dziękuję. Gątowski mieszka w Saskim hotelu.

— Jutro będę u niego.

Zaraz po wyjściu Maszki, Połaniecki wybrał się na spędzenie wieczoru do Pławickich, po drodze zaś myślał:

— Z Maszką nie ma żartów — i rzecz nie skończy się byle jak; ale co mnie to może obchodzić? co oni wszyscy mnie obchodzą, albo ja ich? jednakże jaki człowiek jest dyabelnie sam na świecie!

I nagle uczuł, że jedyną na świecie istotą, którą on coś obchodzi i która o nim myśli nie jak o rzeczy, jest Marynia.

I rzeczywiście, gdy przyszedł, z samego uścisku jej ręki, poznał, że tak jest; ona zaś rzekła mu na powitanie swoim łagodnym i spokojnym głosem:

— Miałam przecucie, że pan przyjdzie. Niech pan patrzy: jest gotowa dla pana filiżanka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HENRYK SIENKIEWICZ.

KRONIKA GALICYJSKA.

Na początku trzymiesięcznego okresu, z którego obecnie mam zdawać sprawę, rozpoczęła się sesya austryackiej rady państwa, na której rząd wystąpił całkiem niespodziewanie z projektem reformy wyborczej, rozszerzającym bardzo znacznie prawo wybierania w grupach wyborczych miast i gmin wiejskich. Wiadomo, że projekt ten, będący, jak mówią, dziełem ministra skarbu, dra Steinbacha, a jeszcze bardziej sposób jego wniesienia, to jest wniesienia go bez wiedzy stronnictw popierających rząd, stał się powodem przesilenia ministerialnego. Ministerjum podało się do dymisy a w jego miejsce wstąpił rząd złożony z wybitnych przedstawicieli trzech stronnictw, stanowiących t. zw. koalicję większości, między którymi znalazło się czterech dawnych ministrów. Sprawa reformy wyborczej, która bardzo głęboko poruszyła umysły, ustąpiła na razie na drugi plan, a natomiast zajęto się głównie kwestyą stanowiska nowego rządu i poparcia, jakie on znajdzie w obu izbach rady państwa.

Mimo to, sprawa reformy wyborczej, — jakkolwiek dopiero w jej sieni spodziewać się można wniesienia odmiennego projektu reformy, który nowy rząd zapowiedział, — zajmuje bez przerwy umysły ludności biorącej żywszy udział w życiu politycznym, i dla każdego głębiej patrzącego na sprawy publiczne jasnym jest, iż prawdopodobnie będzie ona stanowić punkt zwrotny w stosunkach politycznych krajów austryackich. Kto bowiem bliżej rozpatrzy te stosunki, uznać musi, że

tak, jak rzeczy dziś stoją, każde znaczniejsze rozszerzenie prawa wyborczego przyniesie według wszelkiego prawdopodobieństwa uszczerbek w dzisiejszej liczbie mandatów tym żywiolom, które składają w izbie deputowanych rady państwa niemiecką lewicę, zatem większym przemysłowcom i kupcom, właścicielom domów i rent oraz wyższym warstwom miejskiej inteligencji. Część krzeseł poselskich dzisiejszej lewicy niemieckiej zajmą w takim razie w okręgach z ludnością niemiecką, bądź żywioly skrajno radykalne różnej barwy, mianowicie w okręgach miejskich i fabrycznych, i to w ilości większej lub mniejszej, stosownie do rozmiarów rozszerzenia prawa wybierania, bądź żywioly konserwatywne w okolicach wiejskich rolniczych, w których przeważa u niższych warstw ludności wpływ duchowieństwa. Natomiast w okręgach o ludności mieszanej, niemieckiej i słowiańskiej, każde znaczniejsze rozszerzenie prawa wybierania wyjdzie najczęściej na korzyść ludności czeskiej, słoweńskiej lub kroackiej, a na Śląsku—także na korzyść ludności polskiej.

Dowodem na to jest wynik poprzedniej reformy wyborczej, wprowadzonej ustawą z 4 października 1882 r., wykazany przy wyborach z r. 1885 i 1891. Muszę tutaj przypomnieć, że system wyborczy austriacki, polegający na zasadzie reprezentacji interesów, tworzy cztery oddzielne grupy wyborcze: większych posiadłości, izb handlowych, miast i gmin wiejskich, a oznaczając ogólne warunki prawa wybierania dla wszystkich grup wspólnie (pełnoletność, płeć męską, własnowolność, obywatelstwo austriackie i niewykluczenie za czyny karygodne), ustanawia szczegółowe warunki dla każdej grupy z osobna. Dla grup miast i gmin wiejskich prawo wybierania do sejmu i do rady państwa zależnem jest od prawa wybierania do rady gminnej, jednakże w ten sposób, że podczas gdy prawo wybierania do rady gminnej mają wszyscy, którzy opłacają w gminie jakikolwiek podatek bezpośredni, a obok nich osoby z tak zwaną osobistą kwalifikacją (duchowni, urzędnicy, nauczyciele, doktorowie fakultetów uniwersyteckich i t. p.), bez względu na podatek, to prawo wybierania do sejmu i do rady państwa mają, obok osób uprawnionych do wyboru na mocy osobistej kwalifikacji, tylko ci wyborcy gminni, którzy w spisie wyborców, uszykowanych według wysokości opłacanych przez nich podatków, zamieszczeni są pomiędzy $\frac{2}{3}$ opłacających wyższe podatki. Jedna trzecia część wyborców gminnych, a mianowicie ci, którzy opłacają najniższe kwoty podatkowe, nie ma prawa wybierania do sejmu i do rady państwa. W niektórych krajach koronnych, np. w Austrii dolnej i w Morawii, prawo wybierania zależnem było, mianowicie w miastach, od opłacania pewnej minimalnej kwoty podatku, która przeważnie ustanowioną była dość wysoko np. 10, 15 lub 20 zhr. Ustawa z 4 paź-

dziennika 1882 r., która przysłała do skutku za udziałem ówczesnej większości czeskiej, polskiej i niemiecko-konserwatywnej, a mimo opozycji niemieckiej lewicy, postanowiła, że obok dotychczasowych wyborców w grupach miast i gmin wiejskich mają mieć udział w wyborze posłów do rady państwa także ci, którzy opłacają przynajmniej 5 zhr. rządowych podatków bezpośrednich. Przepis ten rozszerzył koło wyborców wszędzie tam, gdzie pierwsze dwie trzecie części opodatkowanych w gminie kończyły się na kwocie podatkowej wyższej niż 5 zhr. W grupie miast ilość wyborców wzrosła w Morawii o 46%, w Austrii dolnej i w Czechach o 41%, w Austrii górnej o 34%, na Szląsku o 33%, w innych krajach mniej, między temi w Galicyi o 5060 czyli o 16%. W grupie gmin wiejskich, w której wybory są dwustopniowe (prawyborcy wybierają wyborców a ci dopiero posła), ilość prawyborców wzrosła w Austrii górnej o 58%, w Karyntyi i Krainie o 40%, w Styrii o 38%, w Czechach o 37%, w innych krajach mniej, w Galicyi tylko o 8%. Zmiany, jakie nastąpiły w 1885 r. w mandatach poselskich na niekorzyść lewicy niemieckiej, należy prawie bez wyjątku przypisać rozszerzeniu prawa wyborczego.

Wynik powyższy wyborów z r. 1885, od którego wynik ostatnich wyborów z r. 1891 nie wiele się różni, jest niewątpliwą wskazówką, jaki skutek sprowadzi każde dalsze rozszerzenie prawa wyborczego w miastach i gminach wiejskich, a takie rozszerzenie rząd nowy wstawił w swój program. Jeżeli to rozszerzenie polegać będzie na przydaniu jednej lub dwóch nowych grup wyborczych do czterech grup istniejących, jak tego sobie życzy lewica niemiecka, natenczas ilość jej mandatów z grup dotychczasowych może pozostać prawie niezmienną, lecz wskutek przybycia posłów wybranych przez nowo utworzone grupy wyborcze zmniejszy się w każdym razie udział lewicy niemieckiej w ogólnej liczbie posłów, bo posłowie z grup nowych nie będą do niej należeli. Inaczej wypadły-by rzeczy chyba wtedy, gdyby lewica niemiecka zmieniła swój charakter i swoje dążności i w szerszej mierze zaczęła się liczyć z interesami innych warstw społecznych i słusznymi żądaniami innych narodowości, zamiast mniej lub więcej otwartego popierania, pod hasłem liberalizmu ekonomicznego, interesów wielkiego kapitału i supremacji narodowej. Że to stronnictwo w ostatnich czasach dawało nieraz dowody umiarkowania, przeplatane czasem powrotem do dawnych upodobań, tego nie można zaprzeczyć; czy jednak potrafi z pewną zmianą dotychczasowego kierunku pójść na tej drodze jeszcze dalej, nie można zbyt na to liczyć — przyszłość dopiero to wykaże.

Co się tycze Galicyi, to rozszerzenie prawa wyborczego w miastach i gminach wiejskich, przy zachowaniu systemu reprezentacyi

interesów, a zatem grup wyborczych oraz dwustopniowych wyborów w gminach wiejskich, sprowadziło-by tylko nieznaczne zmiany w składzie reprezentacji galicyjskiej w radzie państwa. Przyczyna leży w odmiennych stosunkach ekonomicznych naszego społeczeństwa. Rozdrobnienie własności na wsi jest u nas bardzo daleko posunięte, każda rodzina włościańska ma chatę i kawałek gruntu a choćby tylko ogródek, należy zatem do opodatkowanych, i to samo w miastach przeważają drobne przedsiębiorstwa rzemieślnicze lub kupieckie, z których każde płaci podatek, chociaż mały; w ogólności zatem przeważają u nas bardzo znacznie drobne egzystencje samoistne lub czasowo tylko posiłkujące się pracą w obcym gospodarstwie, a natomiast bez porównania mniejszą jest u nas niż gdzieindziej, mianowicie w innych krajach austriackich, ilość egzystencji opartych wyłącznie na pracy w cudzym gospodarstwie, a przeto nieopłacających żadnego podatku bezpośredniego. Skutkiem tego w ogólnej liczbie mężczyzn dorosłych znajduje się u nas stosunkowo znacznie więcej indywidualów opłacających podatek bezpośredni, niż gdzieindziej, i granica podatkowa prawa wybierania do sejmu i do rady państwa schodzi u nas daleko niżej niż gdzieindziej, mianowicie w krajach z przemysłem fabrycznym lub w krajach alpejskich, gdzie na mocy zwyczaju niedzielenia gruntów utrzymują się wielkie gospodarstwa chłopskie. W odczycie o reformie wyborczej, mianym niedawno we lwowskim towarzystwie prawniczem, wykazał prof. Tadeusz Pilat, na podstawie akt wyborczych, że w znacznej liczbie miast galicyjskich najniższa kwota podatkowa, uprawniająca do wyboru, schodzi niżej 5 złr., a nawet niżej 3 złr. W samym Lwowie wynosiła ona 3 złr. 15 c. W okręgach gmin wiejskich najniższa kwota podatkowa uprawniająca do wyboru schodzi jeszcze znacznie niżej. Najczęściej jest to kwota 1 złr. 50 c., to jest najniższa kwota podatku domowego w klasie XVI, obejmującej domy z jedną izbą mieszkalną (nie licząc kuchni i komory); lecz często trafia się, że kwoty podatkowe niżej 1 złr. uprawniają już do wyboru posła, ponieważ wchodzi w poczet $\frac{2}{3}$ wyżej opodatkowanych w gminie. Jeżeli zestawimy w całej Galicyi dzisiejszych wyborców w miastach, a następnie osobno dzisiejszych prawyborców w okręgach gmin wiejskich z ogólną liczbą mężczyzn dorosłych, będących obywatelami państwa, wykazaną na podstawie spisu ludności, to dochodzimy do wyniku, że w miastach na 100 mężczyzn dorosłych jest 25 wyborców, czyli, że co czwarty jest wyborcą, a w okręgach gmin wiejskich na 100 mężczyzn dorosłych jest 31 prawyborców, czyli, że co trzeci niemal jest prawyborcą przy wyborach do sejmu i do rady państwa. W okręgach wiejskich z pięciu mężczyzn dorosłych, będących obywatelami państwa, trzech płaci podatki bezpośrednie i ci trzech mają prawo wybierania

do rady gminnej, a dwaj z nich, płacący wyższy podatek, są prawyborcami do sejmu i do rady państwa.

Wobec tych stosunków poprzednia reforma wyborcza z r. 1882, rozszerzająca prawo wybierania do rady państwa na tych, którzy płacą 5 złr. podatków, nie miała prawie żadnego praktycznego znaczenia w Galicyi, gdzie niżej opodatkowani posiadali już przedtem prawo wybierania, a wzrost liczby wyborców z Galicyi przy następnych wyborach wynikał prawie wyłącznie z naturalnego przyrostu liczby opodatkowanych, idącego w parze ze wzrostem ludności. Przyszła reforma wyborcza, gdyby znacznie zniżyła census podatkowy, a nawet gdyby przyznała prawo wybierania wszystkim tym, którzy wybierają do rady gminnej, zatem wszystkim płacącym jakikolwiek, choćby najmniejszy, podatek, nie spowodowała-by znaczniejszej zmiany w łonie reprezentacji galicyjskiej w radzie państwa, tem bardziej, że ci, którzy w takim razie przybyli-by do grona wyborców, nie mają, mianowicie po-za obrębem miast największych, interesów ekonomicznych i społecznych odmiennych od tych, którzy, z tej samej warstwy ludności pochodząc, dotąd byli wyborcami.

Rozgłos, jakiego doznał projekt reformy wyborczej, i skutki, jakie wniesienie jego pociągnęło za sobą, były powodem, że nie zwrócono dostatecznej uwagi na wniesione równocześnie przez ministra rolnictwa dwa projekta do ustaw, z których jeden odnosi się do posiadłości rentowych, a drugi do przymusowych stowarzyszeń rolniczych. Obydwa projekta zostają w związku z sobą o tyle, że drugi projekt stwarza organizację, która ma się zajmować urządzeniem posiadłości rentowych i nadzorem nad ich zarządem. Czynności te mogłyby być sprawowane tak samo i przez inną organizację urzędową, samorządną lub bankową, można zatem oceniać właściwą treść projektu ustawy o posiadłościach rentowych bez względu na projekt drugi.

Czytelnicy „Biblioteki Warszawskiej” mieli już sposobność zapoznać się z prawodawstwem pruskim o posiadłościach rentowych, które, jako wcześniejsze, służyło w pewnym względzie za wzór projektowi austriackiemu. Przypomnę tedy tylko, że ustawa kolonizacyjna z r. 1886, mająca na celu wzmocnienie żywiołu niemieckiego w Wielkiem Księstwie Poznańskiem i w Prusach Zachodnich, wprowadziła nową formę osadnictwa w postaci posiadłości, nadawanych za stałą rentę pieniężną. Ustawy następne z 27 czerwca 1890 i 7 lipca 1891 r. rozszerzyły instytucję posiadłości rentowych na całe państwo i rozwinęły ją przez dalsze postanowienia, na podstawie których stosunek rentowy przedstawia się w ten sposób:

Każdemu właścicielowi wolno odstąpić własność swego gruntu za wymową stałej renty pieniężnej, której spłata w kapitale zależy

od zgody obu stron, t. j. sprzedającego i nabywcy, z tem jedynie zastrzeżeniem, że jeśli tej spłaty zażąda pobierający rentę, to kapitał, którym renta ma być spłaconą, nie może wynosić więcej jak dwudziestopięciokrotną kwotę rocznej renty. Posiadłość sprzedana za rentę (posiadłość rentowa) musi być naprzód uwolnioną od ciężarów hipotecznych i innych ciężarów gruntowych.

W umowie, w której następuje sprzedaż za rentę, można nałożyć nabywcy obowiązek niedzielenia posiadłości rentowej lub niesprzedawania jej części bez zezwolenia pobierającego rentę; to zezwolenie może jednak być zastąpione przez orzeczenie władzy pośredniczącej w regulowaniu stosunków rolniczych (Auseinandersetzungsbehörde). Ta sama władza może też uwolnić właściciela posiadłości rentowej od nałożonego mu kontraktem obowiązku utrzymywania na tej posiadłości budynków, inwentarza i t. p.

Renty, ciężące na posiadłościach rentowych średnich lub drobnych, mogą być wykupione na wniosek interesowanych za pośrednictwem banku rentowego, a to w ten sposób, że uprawniony do pobierania renty dostanie albo 27-krotną kwotę renty rocznej w $3\frac{1}{2}\%$ listach rentowych, albo 20-krotną kwotę renty rocznej w 4% listach rentowych nominalnej wartości, resztujące zaś drobne kwoty w gotówce. Posiadacz majątności rentowej będzie w takim razie płacił odtąd rentę bankowi rentowemu, a to bądź 4% przez $60\frac{1}{2}$ lat, bądź $4\frac{1}{2}\%$ przez $56\frac{1}{12}$ lat. Bank rentowy może też udzielać pożyczek na pierwsze urządzenie posiadłości rentowej średniej lub drobnej. Pożyczki te będą udzielane i spłacane w ten sam sposób, jak kapitały na wykupno rent. Jeżeli wykupno renty przez bank lub udzielenie pożyczki ze strony banku następuje równocześnie z utworzeniem posiadłości rentowej, natenczas może spłacanie renty przez właściciela zacząć się dopiero po upływie roku. W takim razie kapitał spłacany podwyższa się o wysokość tej rocznej renty. Dopóki ciąży na posiadłości rentowej renta na rzecz banku, posiadłość ta może być podzieloną, zmniejszoną, lub może przestać być samoistnem ciałem gospodarczem, jedynie za przyzwoleniem generalnej komisji.

Jak wynika z powyższych postanowień, ustawy pruskie mają na celu ułatwiać nabywanie własności i tworzenie nowych posiadłości rolniczych tym, którzy są w możności zapłacić cenę kupna jedynie w postaci długoletniej renty, a przytem najczęściej potrzebują nadto pożyczki na pobudowanie się. Zatem kolonizacya i sprowadzenie odpowiedniejszego podziału własności ziemskiej, zwłaszcza w okolicach, gdzie większa własność zajmuje więcej niż połowę obszaru, oto są myśli przewodnie ustaw pruskich. Austryacki projekt natomiast stawia sobie za cel uwolnienie posiadłości rolniczych od długów hipotecznych,

a raczej zastąpienie tych długów długoletnią rentą, jako jedynym ciężarem hipotecznym z wykluczeniem wszelkich innych ciężarów z prawa prywatnego. Posiadłości rentowe mają być tworzone przede wszystkim z gruntów wystawionych na licytację przymusową w ten sposób, że przy każdej licytacji krajowe stowarzyszenie rolnicze miało-by obowiązek licytować aż do ceny szacunkowej, którą oznaczyło na podstawie przepisane go w ustawie szacowania. Nabycie licytowanej posiadłości przez krajowe stowarzyszenie rolników będzie ułatwionem przez to, że każdy inny nabywca obowiązany będzie złożyć cenę ofiarowaną w gotówce do sądu, a to połowę w 14-tu dniach, drugą połowę w 30-tu dniach. Przejąć może tylko długi z pożyczek publicznych instytucji kredytowych, jeśli te instytucje na to się zgodzą. Właściciel posiadłości rolniczej lub leśnej może też dobrowolnie zażądać przemiany jej na posiadłość rentową. I w tym wypadku ma nastąpić oszacowanie według zasad przepisanych w ustawie, a jeśli się okaże, że suma ciężarów hipotecznych przewyższa cenę szacunkową, natenczas krajowe stowarzyszenie rolników może zażądać od sądu wprowadzenia przymusowej licytacji, przyczem znajdują zastosowanie postanowienia poprzednio przytoczone. Dla każdej posiadłości rentowej, w jeden lub drugi sposób utworzonej, ma być oznaczony kapitał rentowy, odpowiadający wartości nominalnej listów rentowych, które należy wydać i sprzedać celem pokrycia ceny kupna posiadłości, tudzież kosztów niezbędnych melioracji, a następnie ma być oznaczoną renta, odpowiadająca kwocie potrzebnej na oprocentowanie i umorzenie kapitału rentowego, oraz na koszt administracji,—te ostatnie w wysokości maksymalnej $\frac{1}{2}\%$ kapitału rentowego.

Posiadłość rentową należy oddać poprzedniemu jej właścicielowi, jeśli on tego zażąda, albo też jednemu z poprzednich współwłaścicieli, z wyjątkiem gdyby zachodziły uzasadnione wątpliwości co do tego, czy te osoby zdolne są gospodarować lub czy zasługują na zaufanie. W razie istnienia przyczyn wykluczających poprzednich właścicieli, mają prawo do objęcia posiadłości rentowej: małżonek lub małżonka poprzedniego właściciela, potem krewni zstępni, dalej rodzice, a wreszcie rodzeństwo i potomkowie jego. Pomiędzy uprawnionymi w równej mierze może wybierać stowarzyszenie rolników. Osoba obejmująca posiadłość rentową musi zawrzeć umowę (Rentengutsvertrag) ze stowarzyszeniem rolników, poczem następuje oddanie posiadłości na własność i wpisanie jej do osobnego rejestru.

Właściciel posiadłości rentowej nie może, bez przyzwolenia krajowego stowarzyszenia rolników i ministerium rolnictwa, ani sprzedać posiadłości całej lub jej części, ani w inny sposób odstąpić, ani wydzierżawić lub w użytkowanie oddać, ani obciążyć służebnościami lub innymi

ciężarami gruntowemi. Wszelkie tego rodzaju zarządzenia są prawnie nieważne. Nie może wreszcie używać posiadłości lub jej części w inny sposób, jak do uprawy rolniczej lub leśnej. Na posiadłości rentowej, na jej przynależnościach, inwentarzu i przychodach nie może nikt nabyć prawa zastawu, ani z mocy umowy, ani z ustawy, ani w drodze egzekucyi. Właściciel posiadłości rentowej obowiązany jest ubezpieczać budynki we wskazanym mu zakładzie ubezpieczeń, opłacać rentę i wszelkie ciężary publiczne. Opłatę tych ostatnich poręcza krajowe stowarzyszenie rolników. Jeżeliby wskutek nadzwyczajnych nie-szczęść, mianowicie wypadków żywiołowych, właściciel nie mógł uiścić renty, natenczas można odroczyć jej spłatę najwyżej do dwóch lat. Jeżeli właściciel posiadłości rentowej nie płaci renty i opłat publicznych, jeśli mimo napomnienia niszczy majątek i sprowadza niebezpieczeństwo, iż renta nie będzie mogła być uiszczaną, jeśli dysponuje posiadłością w sposób zabroniony (podział, sprzedaż, wydzierżawienie bez pozwolenia), natenczas krajowe stowarzyszenie rolników może zarządzić wzięcie posiadłości w administracyę stowarzyszenia lub orzec wywłaszczenie posiadacza. Wzięcie w administracyę winno nastąpić, jeśli posiadacz nie uiszcza się z zobowiązań względem trzecich osób, a te żądają takiej administracyi, celem uzyskania zapłaty należącej im się z mocy wyroku sądowego. Jeśli właściciel posiadłości rentowej popadnie w konkurs, musi być zarządzonem wywłaszczenie. W razie wywłaszczenia następuje obrachunek pomiędzy stowarzyszeniem rolników a posiadaczem, nadwyżka przypadająca na rzecz posiadacza winna być zwróconą jemu lub jego wierzycielom. W razie śmierci posiadacza rentowego, posiadłość rentowa nie należy do spadku. Należy w takim razie przeprowadzić obrachunek podobnie, jak w razie wywłaszczenia, i nadwyżkę przypadającą na rzecz zmarłego posiadacza przenieść do masy spadkowej, a ewentualną nadwyżkę na rzecz stowarzyszenia zgłosić jako dług spadkowy. Krajowe stowarzyszenie rolników obowiązane jest oddać opróżnioną przez śmierć posiadłość rentową przed innemi tej osobie, którą wskazał zmarły posiadacz w rozporządzeniu, zdziałanem w formie, dla rozporządzeń ostatniej woli przepisanej, a to o ile nie istnieją co do tej osoby wspomniane poprzednio przyczyny wykluczające.

Właściciel posiadłości rentowej może otrzymać od krajowego stowarzyszenia rolników pożyczkę w listach rentowych (pożyczkę rentową), o ile renta roczna, którą posiadłość obciążoną została przy zawarciu umowy rentowej, wystarcza na oprocentowanie i spłatę tak resztującego kapitału rentowego, jak i pożyczki mającej się zaciągnąć. Możliwym jest wszakże podwyższenie pożyczki na podstawie późniejszych melioracyi. Pożyczki rentowej można udzielić jedynie na melio-

racye, w razie znaczniejszej szkody elementarnej lub innego nieszczęścia, wreszcie na wyposażenie, nadzwyczajne wydatki celem wykształcenia dzieci i t. p. Krajowe stowarzyszenie rolników ma prawo dopilnować użycia pożyczki na cel, dla którego ją zaciągnięto, i w razie niestosowania się do danych w tym względzie wskazówek wziąć posiadłość w administracyę, albo nawet wywłaszczyć ją.

Streściłem powyżej najważniejsze i charakteryzujące instytucyę posiadłości rentowych postanowienia projektu austriackiego, który jest bardzo obszerny, obejmuje bowiem aż 82 paragrafy, podczas gdy obie ustawy pruskie zawierają razem tylko 20 paragrafów. Projekt austriacki zmierza do utworzenia posiadłości rolniczych lub leśnych, których egzystencya była-by zabezpieczoną od szkodliwego wpływu okoliczności podkopujących obecnie byt własności ziemskiej, zwłaszcza średniej i drobnej. Temi okolicznościami są: *obecnie praktykowany sposób obdłużania ziemi*, mianowicie zaś obciążanie jej kredytem wypowiedzialnym i krótkoterminowym; obciążanie schedami spadkowemi i resztami ceny kupna; *zbyt częste przechodzenie ziemi z rąk do rąk* wskutek sprzedaży, bądź w drodze licytacji przymusowej, bądź sprzedaży w celu podziału spadku, lub wywołanej niemożnością utrzymania się przy ziemi przeciążonej długami, bądź także sprzedaży w celach spekulacyi, która coraz bardziej obiera sobie za przedmiot niejako gry na wyżkę posiadłości ziemskie; w końcu *zbytne dzielenie posiadłości ziemskich*, spowodowane przedewszystkiem przepisami prawa spadkowego, obok nich zaś przez spekulacyę, a mające za skutek powstawanie posiadłości tak drobnych, że na nich niepodobna prowadzić należycie rolnego gospodarstwa.

Cel ostateczny ustawy jest bardzo ważny i godny najsilniejszego poparcia, żałować tylko wypada, że nie przyjęto do projektu austriackiego zarazem także i tego kierunku, który ma na oku prawodawstwo pruskie, to jest ułatwienia kolonizacyi, a przez to sprowadzenia odpowiedniejszego podziału własności ziemskiej w okolicach, w których wielka własność zbyt znaczną część całego obszaru zajmuje. Pośrednictwo zakładu wydającego listy rentowe byłoby w tych wypadkach nadzwyczaj zbawiennem tak dla nabywców, którzy nie mają dostatecznego kapitału na zapłacenie ceny kupna i urządzenie gospodarstwa, jak i dla sprzedających, którzy nie chcą a najczęściej nie mogą czekać długie lata na spłatę ceny kupna w drobnych ratach i zajmować się egzekwowaniem tych rat. Było-by tedy pożądanem postanowić, że posiadłości rentowe mogą powstawać także w drodze umowy pomiędzy sprzedawcą a nabywcą gruntu, zatwierdzonej przez władzę i wprowadzonej w życie przy pośrednictwie zakładu, wydającego listy rentowe. Postanowienie takie tem bardziej wydaje się pożądanem, że

posiadłości rentowe, które powstaną wskutek nabycia realności wystawionych na licytację, w licznych wypadkach nie będą miały dostatecznej żywotności. Jeżeli posiadłość wystawiona na licytację będzie nieźle zaokrągloną i zagospodarowaną, to znajdzie się nabywca, który ofiaruje cenę wyższą, niż obliczona na podstawie katastru cena szacunkowa, po-za którą stowarzyszenie rolników nie będzie mogło licytować. Jeżeli posiadłość będzie rozrzucona w drobnych kawałkach, o glebie i budynkach wyniszczonych, to nieraz nie udźwignie renty i nie znajdzie takiego, któryby ją objął, a wskutek tego będzie ciężarem dla stowarzyszenia rolników.

Postanowienia projektu austriackiego, określające stanowisko prawne posiadacza rentowego w ten sposób, że nie wolno mu dzielić, sprzedawać i obciążać posiadłości rentowej bez przyzwolenia władzy nadzorczej, dalsze postanowienia wykluczające wszelką egzekucję na posiadłość rentową, wreszcie postanowienia wyłączające posiadłość rentową ze spadku, tudzież postanowienia o administracji przez stowarzyszenie (sekwestracji) i o wywłaszczeniu, należy uznać za skuteczne środki do celu, jaki sobie wytknął projekt. W tej mierze z całym uznaniem trzeba podnieść bardzo rzadką właśnie w austriackiem prawodawstwie śmiałość i konsekwencję, z jaką autor projektu, założywszy sobie cel już wspomniany, nie wahał się wyjść po-za utarte koleje dzisiejszego prawa cywilnego i procedury cywilnej, które tak bardzo przyczyniły się do zbytnej przewagi kapitału pieniężnego nad gospodarstwami rolniczymi i do niepomysłnych skutków, jakie stąd wynikły. Znać w postanowieniach projektu wpływ angielskiego „Small holdings act” z r. 1892, ustaw amerykańskich i innych, jak to zresztą motywą wyraźnie przyznają; lecz całość jest samoistnie obmyślaną i w szczegółach konsekwentnie przeprowadzoną, tak, że mamy tu do czynienia z pracą, która w literaturze polityki społecznej, mianowicie zaś rolniczej, zajmie poważne stanowisko i stanie się punktem wyjścia dla dalszych prac na tem polu, nie tylko w Austrii, ale i gdzieindziej. Wartość tej pracy podnosi jeszcze gruby tom allegatów, zawierających bardzo obfity materiał statystyczny, oraz zbiór ustaw, wyciągów ze statutów bankowych i t. p. materiałów, odnoszących się do tego przedmiotu.

Jako praktyczne dzieło ustawodawcze ma jednak austriacki projekt ustawy o posiadłościach rentowych znaczne wady, które są zdolne sparaliżować w wykonaniu trafną myśl zasadniczą i tem samem skompromitować ją w praktyce. Taką wadą jest przedewszystkiem centralizacya, posunięta niemal do ostateczności. W państwie rozległem, o blisko 24 milionach ludności, którego części składowe wykazują tak wielkie różnice pod względem ekonomicznym i społecznym, określić ważny dział stosunków rolniczych w sposób zupełnie jedno-

lity, tak, jak gdyby owe różnice nie istniały, a następnie uczynić cały szereg zarządów odnoszących się do poszczególnej posiadłości rentowej (np. sprzedaż najdrobniejszego skrawka ziemi lub wydzierżawienie) zależnemi od pozwolenia ministra rolnictwa w Wiedniu, znaczy rozmijać się z rzeczywistemi potrzebami i stosunkami, które nie znoszą jednolitego określenia, bo są różne w rozmaitych krajach, to znaczy dalej w sprawie uznanej za doniosłą i pilną wprowadzać procedurę nader rozwlekłą i kosztowną z powodu ciągłych sprawozdań i innych pisanin. Tkwi w tem jeszcze coś więcej, to jest charakterystyczna ujemna strona całej austriackiej administracji, z której nie może się ona wyleczyć, że nigdy nie daje się władzy miejscowej pierwszego lub nawet drugiego stopnia atrybucyi dostatecznych, aby mogła akcyę prowadzić skutecznie i sprężyste, a następnie ponosić też za nią całą odpowiedzialność. Wszelkie cokolwiek ważniejsze postanowienia zastrzeżone są władzom centralnym, jak gdyby się obawiano, że władze podrzędne nie potrafią należycie stosunków ocenić i powziąć trafnej decyzji. Tymczasem władza centralna jest tak daleko od stosunków miejscowych, że musi patrzeć na sprawy oczyma władz podrzędnych, i może rozstrzygać tylko na podstawie akt przez nie przedłożonych. W zapędzie centralizacyjnym nie liczy się też projekt z kompetencyą sejmów krajowych, do których zakresu ekonomiczna część ustawy niewątpliwie należy i które w wielu krajach, między innymi w Galicyi, wysunęły-by na bliższy plan cel kolonizacyjny przy tworzeniu posiadłości rentowych.

Drugą wielką wadą projektu jest poruczenie czynności odnoszących się do tworzenia posiadłości rentowych, udziału w licytacyach, obliczenia kapitału rentowego, nadzoru nad gospodarstwem, prowadzenia administracji przymusowej i t. p.—organizacyi, która nie daje rękojmi, że sprostą tym licznym i nieraz trudnym zadaniom. Organizacyę tę wprowadza, jak już wspomniałem, równocześnie wniesiony projekt ustawy o zawodowych stowarzyszeniach rolników. W każdym powiecie sądowym (a liczba tych powiatów w Galicyi wynosić będzie niebawem 180) ma być utworzone z reguły osobne powiatowe stowarzyszenie rolników, którego członkami są wszyscy właściciele nieruchomości poświęconych uprawie rolniczej, leśnej lub specjalnej gałęzi gospodarstwa rolnego albo leśnego. Zarząd stowarzyszenia powiatowego sprawuje wydział, wybierany w ten sposób, że członkowie stowarzyszenia, którzy wybierają do rady gminnej w pierwszym kole wyborczem ¹⁾, tworzą jedną grupę wyborczą, członkowie, którzy wybierają

¹⁾ Koła wyborcze dla wyborów gminnych tworzą się w Galicyi i w przeważnej liczbie krajów austriackich w ten sposób, że ogół wyborców spisuje się podług

do rady gminnej w drugim kole drugą grupę, członkowie wreszcie, którzy wybierają do rady gminnej w trzecim kole trzecią grupę, i że każda z tych grup wybiera równą ilość członków wydziału. Właściciele obszarów dworskich nie należących do gminy wstępują bez wyboru do wydziału stowarzyszenia powiatowego. Wszyscy członkowie powiatowych stowarzyszeń rolników w całym kraju tworzą krajowe stowarzyszenie rolników, którego wydział wychodzi z wyboru, dokonanego przez przewodniczących stowarzyszeń powiatowych z pomiędzy siebie. Rząd ma prawo delegować dwóch członków do krajowego stowarzyszenia rolników a po jednym do każdego powiatowego stowarzyszenia.

Celem stowarzyszeń rolników jest poprawa bytu moralnego i materialnego rolników przez pielęgnowanie łączności, wzajemne pouczanie i wspieranie się, przez utrzymywanie i wzmacnianie poczucia obowiązków stanu rolniczego pomiędzy stowarzyszonymi i przez popieranie ich gospodarczych interesów. Zadaniem zawodowych stowarzyszeń rolników jest obok czynności, które im porusza ustawa o posiadłościach rentowych, nadto: zakładanie wspólnych składów, magazynów i t. p., dla rolniczych płodów swoich członków, sprzedaż i zakupno tych płodów na rachunek członków, zakładanie kas pożyczkowych, pośrednictwo w zaciąganiu amortyzacyjnych pożyczek hipotecznych, pośrednictwo w zaopatrzeniu służby gospodarczej i robotników rolniczych w razie choroby lub niezdolności do pracy, zakładanie szpitali i domów przytułku, stręczenie zarobku i robotników, staranie o kontrolę nasion i pośrednictwo między stowarzyszonymi a stacyami kontroli nasion, pośrednictwo i agencya w sprawach ubezpieczeń, zakładanie i popieranie stowarzyszeń dla hodowli inwentarza, statystyka stowarzyszeń rolników, ułatwianie obrony prawnej dla członków.

Środki pieniężne do spełnienia swych zadań mają stowarzyszenia uzyskiwać z dodatków do podatku gruntowego. Mianowicie na koszt założenia mają dostać stowarzyszenia powiatowe i stowarzyszenia krajowe jednorazowo po 1% podatku gruntowego, corocznie zaś mają pobierać stowarzyszenia krajowe 1%, stowarzyszenia powiatowe z reguły 4%, a za osobnem pozwoleniem ministerjów rolnictwa i skarbu także i więcej.

Za zobowiązania stowarzyszeń odpowiadają tylko one same, jako osoby prawne, nie zaś ich członkowie.

wysokości opłacanych kwot podatkowych, począwszy od najwyższej kwoty. Pierwsza trzecia część spisanych wyborców tworzy pierwsze koło, druga drugie koło, trzecia trzecie koło. W małych gminach są tylko dwa koła.

Myśl organizacyi zawodowej całego stanu rolniczego w celach wzajemnej pomocy i tworzenia wspólnemi siłami urzędzeń, zmierzających do polepszenia bytu materialnego członków tego stanu, jest niewątpliwie piękną i zasługującą na uznanie. Jednakże utworzenie organizacyi takiej, żywotnej i należycie funkcyonującej, nie może być dziełem nakazu z góry, przepisu ustawy lub władzy centralnej. Trzeba w tym celu, aby w społeczeństwie znajdował się w odpowiedniej ilości materiał w ludziach, z którego można-by wytworzyć taką organizację, i który-by zatem był zdolny spełniać zadania korporacyi zawodowej a zarazem uczuwał potrzebę wytworzenia takiej organizacyi. Materiał ten wyrabia się w społeczeństwie w ten sposób, że z inicjatywy jednostek wykształceńszych i poczuciem dobra publicznego ożywionych powstają dobrowolne stowarzyszenia dla popierania interesów zawodowych, odbywają się zebrania miejscowe lub większe zjazdy celem wzajemnego pouczenia się, i tworzą się ze składek interesowanych fundusze dla opędzenia kosztów organizacyi i zaprowadzania urzędzeń, służących celom zawodowym. Czy taka organizacya ochotnicza, rozciągająca się jedynie na rozumiejących potrzebę łączności zawodowej i chętnych do wspólnej pracy, może stale wystarczyć, zależy to będzie od zadań, jakie będzie miała do spełnienia, równie jak od jej sił i środków. W każdym razie spełnić ona musi naprzód zadanie obudzenia umysłów do wspólnej pracy zawodowej i wykazania skutków pomyślnych połączonego działania. Przymusowe związki w celach zawodowych mają rację bytu o tyle, o ile wobec dostatecznej liczby żywiółów chętnych do dobrowolnego udziału potrzeba zniewolić do tego udziału resztę interesowanych, aby przyczyniali się do ponoszenia kosztów wspólnych urzędzeń, z których i oni także będą korzystali. Chodzi w tym razie o to, aby, skoro korzyści jakiejś pracy lub jakiegoś urzędzenia przypadają wszystkim interesowanym (rolnikom lub przemysłowcom pewnego okręgu), koszta z tem połączone nie spadały wyłącznie na ludzi chętnych do podjęcia takich zadań, lecz rozkładały się na wszystkich interesowanych. Jednakże wypowiedzenie w ustawie przymusu należenia nie wleje chęci i zdolności do pracowania około zadań publicznych. Dowodem tego w naszym kraju przymusowe stowarzyszenia przemysłowe po-za obrębem miast większych, które wiodą żywot pozorny, pomimo, że je pobudzają do życia polecenia władz rządowych.

Ustawa o zawodowych stowarzyszeniach rolników, obmyślona na podstawie stosunków w krajach alpejskich, gdzie samoistne gospodarstwa rolnicze wynoszą najczęściej po kilkadziesiąt morgów, a dobrowolne towarzystwa rolnicze obejmują największą część rolników, nie znajdzie w Galicyi przysposobionego dostatecznie materiału w lu-

dziach, nie znajdzie dostatecznej ilości ludzi zdolnych i chętnych do podjęcia i stałego prowadzenia zadań, jakie przekazuje stowarzyszeniom rolników. Istniejące towarzystwa rolnicze, zwłaszcza towarzystwo kółek rolniczych, wyrabiają powoli ów materiał; ale usuwać dzisiaj to, co działa prywatna inicjatywa, może za powoli i może nie zawsze w sposób właściwy, na rzecz narzuconej z góry przymusowej organizacji, która wobec braku warunków po temu nie może należycie funkcjonować, nie wydaje mi się trafnym pomysłem. Praca około zadań publicznych nie da się dowolnie przyspieszać, może ona postępować, tak u nas, jak i gdzieindziej, tylko stopniowo, w miarę jak znajdują się odpowiednie na miejscu warunki.

Projekt o stowarzyszeniach rolniczych należy nadto całkowicie do zakresu sejmów krajowych i może być uchwalony tylko przez sejm dla każdego kraju z osobna.

Należy sobie życzyć, aby obydwa projekta tutaj omówione stały się przedmiotem obserwacji, wyczerpującej dyskusji w literaturze, na zebraniach naukowych i w ciałach parlamentarnych, i aby ta dyskusja wydzieliła z nich to, co niepraktyczne i szkodliwe, a dla zdrowej myśli zasadniczej projektu o posiadłościach rentowych i dla celów wymienionych w projekcie o stowarzyszeniach rolniczych wskazała organizację, odpowiadającą stosunkom krajowym a zdolną spełnić swoje zadanie. Początek w tej mierze zrobiły towarzystwa prawnicze we Lwowie i w Krakowie. Pierwsze odbyło dwa posiedzenia dla obrad nad wspomnianymi projektami, przy których reprezentantami byli prof. Milewski z Krakowa i dr Małaszyński; drugie dziś właśnie zajmuje się tym samym przedmiotem na podstawie referatu dra Leopolda Caro. Przypuścić należy, że sejm galicyjski, który zbierze się 10 stycznia, wypowie swoje zdanie w tej ważnej sprawie i zastrzeże dla swojej kompetencji te postanowienia, które w myśl statutu krajowego, przydzielającego sejmowi wszelkie sprawy kultury krajowej, do jego zakresu należą.

Sesja sejmowa, która potrwa zapewne do połowy lutego lub nieco dłużej, sprowadzi wraz z karnawalem napływ zamożniejszych rodzin ze wsi do Lwowa. Życie towarzyskie ożywi się, choć przygnębiająco wpływać będzie zawsze smutny rezultat tegorocznych zbiorów. Pominąwszy Podole i część Pokucia, zatem graniczne powiaty wschodnie, a następnie zachodni kraniec Galicyi, reszta kraju, to jest cała część środkowa, miała liche zbiory zboża i paszy a nieurodzaj ziemniaków. Zboże w najznaczniejszej części nie odpowiada wymaganiom stawianym dla wywozu, na lepsze gatunki mąki sprowadzamy

zboże z Węgier a od dwóch miesięcy z tamąd też nadchodzą na targi nasze znaczniejsze przesyłki ziemniaków. Przednówek będzie w środkowej części kraju bardzo ciężki i nie obejdzie się w niejednej okolicy bez pomocy publicznej na wyżywienie, a zwłaszcza na zasiewy.

U.

Z NAD MORZA.

Obrazek drugi.

I.

Uśmierz, dziewczę, tęskne żale,
Ku innemu serce skłoń,
Jego wzięły modre fale...
Ty bądź zmienna, jako toń.

II.

Lecz jej oczy coraz łzawsze
Wciąż przeźmiewał głębszy żal!
Bo zostaje w niem na zawsze,
Kto utonął w sercu fal...

Chata starego majtka, Jakóba, wązkiem swem oknem patrzyła ze skały na morze tam, gdzie wylądowywali rybacy. On-to zapalał co wieczór latarnię przystani. Niewielkie jej czerwone światło zapóźnionym pod noc żeglarzom wskazywało bezpieczną stronę wybrzeża. Bo na lewo i prawo piętrzyły się w morzu podwodne skały, uwieńczone warkoczem długich szczypiorów brunatnych i mchów szmaragdowych. Z wysokości nadbrzeżnych i w dzień pogodny wzrok je odkrywał łatwo wśród przejrzystych toni, lecz kiedy wiatr wschodni zawiewał i nagle fala się wzdęła, niebezpieczne rafy zanurzały się głębiej w dno oceanu, i niechybnie rozbijało się o nie czółno rybackie, zagnane burzą w te strony.

Anzelm, rybak, kiedy na połów brał z sobą syna, zachodził często do przyjaciela.

Maryanna, córka Jakóba, miała wtedy lat dziewięć, czy dziesięć, Piotr siedmnaście i nie zważał jeszcze na nią. Lecz dziewczę patrzyło z zachwytem w śniadą twarz chłopaka gibkiego i wiotkiego, jak alga morska.

Gdy morze, wzniosłszy się wśród wązkich a stromych przesmyków skały, napływało do przystani, Anzelm wraz z Piotrem schodzili do portu, napinali wspólnie żagiel do wiatru i barka rybacka odpływała hen, od wybrzeża, lecz dziewczę z rozwianym włosiem u skroni, w lichej spodniczynie, która falowała, szeleszcząc naokół jego nóg bosych, stała ciekawie na skale zapatrzone w dal.

Chociaż Anzelm mieszkał na przeciwnym końcu wioski, rozłożonej wzdłuż wybrzeża, przepędzał nieraz w porcie długie godziny. Na przeciw tych bretońskich zatok siatki rybaków zaczepiały często o rafy.

Maryanna widywała Piotra, opartego o krawędź czołna, kiedy naprawiał porwane oka drygawic. Gwizdał on wtedy lub śpiewał piosenki, których nuta, odbita od skalistych brzegów, płynęła wdzięcznie do góry, zanim ją powiew morski zmieszał i uniósł na fale.

Spotykała go także wzdłuż zatok i pieczar omszałych, wydrążonych przez morze.

Szli wtedy razem po oślizłych, zzieleniałych kamieniach, odrywając muszle z pokładów skorupiastych skały. Z nawodnionych pieczar zalatywała ostra woń ropy morskiej i pewna świeżość ożyweza.

Na piaszczystych mieliznach, naokół sterczących brył czarnych, pod którymi morze tworzyło wodne kotliny, drgały życiem rozliczne płody tajemniczej flory: gąbczaste, ruchome, przezroczyste wianki morskie, karczochy skalne z rozkwitem palczastej, jadowitej korony, ślimakowate stworzenia o kurczowym, obronnym ruchu, znikające w piasku za dotknięciem ręki. Przed nimi uciekały bocznym, krzywym chodem, lub się chroniły w liściach warechu pająkowate żyjątki, rozlatywały się, brzęcząc, roje much czarnych, znęcone wonią przegniłego sitowia. A gdy silniejsza fala wyrzucała im pod nogi tysiące muszel o różowej i tęczowej barwie, plusk niespodziany niepokoił dziewczynę, a Piotr się śmiał.

Przechadzki z Piotrem nad morzem miały zawsze dla niej wdzięk niezrównany.

Piotr liczył już lat dwadzieścia kilka, kiedy ze śmiercią Anzelma odziedziczył czołno po ojcu.

Zrazu pracował szczerze i połów nieźle przynosił. Lecz wkrótce zaczęto mówić, że zbytecznie lubi hulanki i trwoni grosz zarobiony. Do miasta zachodził często, dobierał sobie towarzyszy i pijał z nimi po nocy.

Maryanna wyrosła tymczasem na hożą dziewczynę. Opaloną jej od wiatru twarz rozświecały czarne oczy. Usta wązkie, jakby wycięte z koralu, uśmiechały się wdzięcznie same. I stała się teraz wysmukłą i wiotką, jak trzcina. Bywało w niedzielę, gdy zarzuciła na włosy powiewną chustę, jak śnieg białą, a na obcisły wełniak niebieski rozpięła kołnierz szeroki, koronkami lamowany dokoła, pożerała ją młodzież wzrokiem.

Spotkali się znowu kiedyś na mieście w dzień targu, ona z zasobem uprzedzonych nici i wyrobionych przez siebie koronek, on w gronie rybaków, sprzedających rybę, i wnet przystali do siebie.

— Patrziel!—powtarzał sobie Piotr w duchu,—tyle się razy widzujemy przecie, a nigdy nie widział!

Towarzyszył jej następnie w powrocie z miasta do wioski w mniej skwarnej godzinie wieczoru, gdy zniżone słońce wylewało na morze ostatnie zdroje światła i wielkie tonie przesłaniała lama złota, drgająca łuską promieni. Zwolna za nimi podnosiła się mgła różowa, owiewając doliny i wzgórze, szyby okien zapalały się w oddali, a z lśniących iglic kościołów leciał z wiatrem odgłos dzwonnów. Piotr śpiewał wtedy wesoło, aby Maryannę przez drogę zabawić. Umiał-że też on piosenek, umiał! i o rybaku, który wyciągnął w siatce okręt złota, i o gwieździe, która gdzieś spadła do morza i przyświeca w środku toni, i o dziewczynie, która w noc ciemną wynurza się z morskiej topieli, by straszyć majtków ze skały. Śmieli się wtedy ochocho i Maryanna wyznać musiała, że miłem-by jej było życie z takim, jak on, rybakim.

Odtąd do miasta chodzili razem i spotykali się codzien prawie.

Trwało tak dosyć długo—oboje byli szczęśliwi.

Razu pewnego Piotr kupił na targu sznurek koralu i włożył go Maryannie na szyję, lecz ona nie przyjęła podarku. Cóżby we wsi powiedziano o nich? „Ona przecież dziewczyna uczciwa!”

— A juźci! toć wie to każdy—odpowiadał z przekonaniem chłopak,—że jesteś uczciwą dziewczyną.

Dawno-by ją inaczej zazdrosne obmówiły języki. Mogła przyjąć, co jej dawał, i nosić z przyjaźni dla niego! Niechby i gadali ludziska, i owszem! przekonają się niebawem, rok czasu tylko, niech trochę zarobią grosza oboje, do przyszłego Jana może, on ją zaślubi.

— O, czy tylko świętą prawdę mówisz? Czy mnie poślubisz?

— Czego mam kłamać — odpowiedział rybak, — któraż dziewczka warta ciebie? dawno mnie kusi zaprowadzić cię do chaty.

A jej aż stanęły łzy w oczach. Nie namyślała się długo, lecz, śmiało patrząc w rybaka, rzekła:

— To i dobrze, że się pobierzem, bo zda mi się czasem, że jak ta muszla bez morza, ja-bym zmarniała bez ciebie.

I zamienili głośny pocałunek, tam, w oczach świata, wśród przekupniów i przechodniów miejskiego placu, jako zakład wzajemnej przysięgi.

Świadkami tych ślubów były znajome domy miasteczka, wieża kościelna, ten kamienny palec, co ziemi wskazuje niebo, i samo niebo jednostajnie błękitne, bez chmury. Od tej chwili Maryanna już mogła na Piotrze polegać z ufnością. W jej czarnych, trochę lizawych źrenicach świeciła miłość spokojna i wielka, jak tam niebieskie głębie w oddali.

Upłynęło kilka miesięcy. Piotr, chociaż o ślubie mówił, nie zarabiał, jak był to sobie obiecał. Za to ona pracowała za dwoje. Na domiar nieszczęścia, od pewnego czasu stary Jakób niedomagał, nawet latarnię w przystani zapalała za niego córka. Teraz chata cała żyła z zarobku jej pracy. Zaliczano ją we wsi do zdolniejszych koronczarek. Pod biegłą jej ręką przesuwały się szpilki na twardym, ceratowym warsztacie i latały trzonki dzień cały, jakby same przyspieszyć chciały ową chwilę umówioną.

Pod spojrzeniem chłopca miękło coraz bardziej serce Maryanny. Piotr codziennie stawał się natarczywszym. Obejmował jej kibić muskularnem, silnem ramieniem i całował ją w same usta, a dusza dziewczyny rwała się ku niemu.

Teraz wszyscy myśleli, że się pobiorą. Jakób, przyjaciel dawny Anzelma, rad widział Piotra w chałupie. On jednak zakochanej szeptał tylko w ucho śmiałe, miłosne wyrazy, rzucał ją w zamęt wrażeń i myśli, od których już otrząść się nie mogła, wszystko wkoło niej i w niej samej wszystko śpiewało rozkosz kochania, a tam zdradliwe morze co dnia, co wieczór kołysało jej serce harmonią swej miękkiej, nieustannej pieśni. Broniła się jeszcze, ale coraz to słabiej, jego namiętnym podszeptom, i czuła, że mu się oprzeć dłużej nie potrafi. Do św. Jana brakowało miesiąc za ledwo, a on przysięgał, przysięgał, że ją zaślubi. I porwał nareszcie sęp długo czyhający ze skały tę żalostną, białą mewę...

Poznała wkrótce, jak zupełnym był jej upadek.

Minął św. Jan, Piotr ani wspomniał o ślubie, wracał pomału do dawnego hulaszczego życia, przebywał w mieście, albo ku innym zwracał swe zaloty. W głosie jego, kiedy z nią jeszcze rozmawiał, nie drgała, jak przedtem, owa struna rzewna i czuła, która brała duszę dziewczęcia i unosiła ją z sobą w rajskie krainy. Teraz jakaś twardość przebijała się w jego mowie, w obojętności głosu i słowa.

Lecz nie tylko on się odmienił.

Zdawało się Maryannie, że ciekawe wejrzenia spoczywały teraz na niej szydlerczo, przenikając ją jakby szydłem, że wieś już cała wiedziała o tem, co zaszło.

Niepokój wkradał się w jej duszę — opuściła ją dawna swoboda myśli i ta szczerza wesołość, od której rozbrzmiewała chata.

Tak dalej trwać nie mogło.

Raz Piotr schodził do przystani. Zastąpiła mu drogę i pokornie przemówiła:

— Piotrze, zlituj się nade mną, dotrzyмай słowa.

— Co ci tak pilno?—odpowiedział pochmurnie majtek.

— Ej! Słuchaj, Piotrze, za często mi to powtarzasz!... Czemu mi pilno? alboż to nieszczęście nie spadnie na nas? czy tak zawsze trwać może? cóż ja pocznę nieszczęśliwa? już ludzie patrzą złośliwie, a mnie kto broni przed nimi?

Piotr wzruszył ramionami.

Głos buntu przemógł w dziewczynie.

— A nie łam-że ty przysięgi Boskiej, ty bezbożniku! Kumasz ty się znowu teraz z lada dziewczką we wsi, a straciłeś serce do mnie...

Dwa sprzeczne uczucia walczyły w Piotrze. By sobie dodać odwagi, podniósł głos i wzdął go, jak wiatr nadyma żagle, aby huk morza zagłuszyć:

— Precz, nie zagradzaj! ja się nie chcę żenić z tobą!

I dodał:

— Pocieszysz się! teraz znasz sposób.

Nagle śmiech majtków, nadchodzących do przystani, odbił się o wysokie ściany wybrzeża. Zdało się dziewczynie, że to szydlercze echo smagało ją boleśnie po twarzy. Zwróciła się do Piotra błada i mściwa, z ręką ściśniętą i wyprężoną ku niemu, potem, zerwawszy z szyi sznurek koralu i ciskając mu je pod nogi, zawołała:

— Oplacisz to, kłamco, Bóg z tobą!

* * *

Parny był wieczór,—jakiś gorący powiew wstawał od morza. Na widnokregu czerwieniał zachód odblaskiem zgasłych promieni.

Szeroka, coraz blejsza łuna przybierała barwy fioleto, a na tle szarem gęste opary odbijały się ciemniej, tworząc jakby pasmo gór w oddali.

Wyszła Maryanna, aby zapalić latarnię i spocząć na chwilę nad morzem w kojącej godzinie wieczoru i w bezpiecznym cieniu, przez miłosierne niebo opuszczanym na rzeczy ludzkie.

Odcięte od czarnego już widnokregu, jasno-stalowe morze rozciągało się przed nią w nieruchomym mlecznym odbłyску. Nad brzegiem tylko leniwa fala marszczyła się coraz częściej ciemną, popielatą pręgą, posuwając się po piasku łagodnym rachem oliwy.

Lecz ona nie widziała, nie słyszała morza. Nie szmeru fali, ale podszeptów wewnętrznego głosu słuchała, a ten głos czasem mówił o zemście.

— Podły, obłudnik i krzywoprzysięzca!

Gdy tam z mieszkania chorego ojca spostrzegła go czasami, jak piękny i wesół, z czapką, zsunietą na tył głowy, pewien siebie, schodził do portu, zartując z dziewczek, które spotykał, zdawało się Maryannie, że go znieawdziła na zawsze.

Nieszczęsna! jakże mogła była wierzyć słowom tego uwodziciela? W czym go obchodzić mogła cześć kobiet? Znano go przecież w okolicy!

A jednak on ją był ukochał prawdziwie. Kto wie, dotąd ją kochał może. Myślała nawet, że czasem tęsknił do niej. Śledziła go jeszcze, ukryta za węglem domu, a Piotr, nie wiedząc, że nań patrzyła, wydawał się nie swój, jakby chmurny i roztargniony. Ale skoro ją spostrzegł, zaraz gwizdać lub śpiewać zaczynał, jakby mu na duszy nic nie ciążyło!

Tak było z początku—lecz teraz?

Przestało mu już widać sumienie dokuczać, skoro za uciechą go nił gdzieindziej, a jej unikał. Oj, chyba zapomniał już o niej na zawsze ten krzywoprzysięzca, który zmarnował jej życie całe!...

Łyskało się. Parne powietrze ciążyło jakby ołowiem. Czasami grzmiało w oddali.

Na niebie gwiazdy znikły, zasunęły je teraz chmury i wiatr się zrywał powoli. Języki ogniste przedzierały się w ciemniach widnokregu, rozświecając obłoki rude.

Tam, nad przystanią, zapalona przez Maryannę latarnia tkwiła nieruchomie wśród nocy, jak gwiazda czerwona.

Czas już było rybakom umykać przed burzą... a Piotr z połowu nie wracał.

— Jeżeli zbyt się oddalił—myślała,—może go tym razem nie ominąć kara Boska!

Łyskało się coraz to częściej—burza się przybliżała widocznie. Już wielkie krople deszczu zaczynały uderzać o skałę. Morze się wzdymało i piana biała ukazywała się zewsząd na tle bałwanów.

Wzrokiem, wyteżonym w dal nieskończoną i ciemną, patrzyła, poczem zwolna przed burzą, której już pierwsze dolatywały powiewy, zeszła do chaty.

We wnętrzu izby, na wielkim, bretońskim kominie, kilka niedopalonych węgli rzucało niewyraźny odbłask na ścianę. Wiatr, który szumiał nad dachem, zaczynał gwizdać, podniecając zlekka ognisko. Ulatywały czasem do góry popielate strzępy, porwane w wyższe czeluści otworu, czasem, pod wpływem rozdmuchu, węgiel zaczerwieniał i jaśniej robiło się w chacie. Wynurzyło się wtedy z przeciwległego rogu pokoju dwupiętrowe łożo, obudowane po same belki pułapu, i widać było z wypłowiałych kotar bladą twarz Jakóba.

Chory spytał:

— Skąd burza?

Dziewczyna odparła krótko:

— Ze wschodu.

— A któryż tam z majtków nie wrócił?

Ona odrzekła obojętniej jeszcze:

— Piotr.

Szalony wichur uderzył po chwili o dach chałupy. Zatrzęsło się wszystko w domu od posady do poddasza. Talerze i miski cynowe brzęczały na ścianie. Przez wąskie okienka wnikały ośniewające elektryczne błyski. W krótkich odstępach uderzał grzmot, a w blasku błyskawic ukazywały się przez chwilę rozhuśtane maszty barek na uwięzi i skąpane deszczem skały.

Łała huczała straszliwie. Z pod progu drzwi i po szparach ścian chaty żalosne głosy zawodziły przeciągle płaczącym dyszkantem rozstrojonych skrzypiec. Czasami o brzęczące szyby uderzał plusk powietrznej fali deszczową flagą.

Nad kufrem z bielizną zawieszona na ścianie obrazy chwiała się coraz silniej od wichru, który aż do izby zawiewał. Maryanna uparcie wpatrywała się w ulubioną rycinę ojca, przedstawiającą okręt, na którym przed laty służył. Rycina, poruszana wiatrem, kołysała się, jak na falach, a nawa na niej podnosiła ostrze do góry.

— Musiał umykać, co żagli mu stało — pomyślała dziewczyna — może dopływa do brzegu!

I mimowolnie spojrzała w okno, lecz naraz zbladła...

Wiatr zagasił czerwone hasło latarni.

Jeśli w istocie zbliżył się do lądu, nieunikniona groziła mu zguba!

— Cóżem ja winna? — wymówiła półgłosem, ale wielki niepokój odmalował się na jej twarzy.

Po chwili nałożyła z pośpiechem chustę na plecy i wzięła z sobą żarzewie.

Z za kotary Jakób spytał:

— Dokąd idziesz?

Ona odrzekła:

— Zgasła latarnia przystani.

I wyszła, biegnąc.

Ale na dworze trwoga ją zdjęła. Od pierwszego kroku miała wrażenie, że ją wiatr zmiecie ze skały. Otuliła się mocniej w chustę i oparła się nawałnicy z całej siły. Szła teraz wolniej, w pół zgięta, nastawiając czoło smaganiu ulewy. Chwilami oddech jej zapierało w pierśsiach: tak wiatr dął; musiała się odwracać i mówiła sobie: „Obym tylko potrafiła zapalić... czy się utrzymam tam nad krawędzią.“ I znowu z trudem szła dalej.—„Uratuję niegodziwca, choć nie wart tego!“—powtarzała idąc, potem nagle nasłuchiwała. Zdawało jej się wśród szumów burzy, że rozróżnia jakieś wołania; wtedy serce ścisnęło się w Maryannie i znowu śpieszyła do słupa, który wśród błysków ze swą ciemną poprzecnicą wznosił się, jak krzyż zbawienia. Dotarła odważnie do krawędzi skały, na której stał maszt z lampą, i poczęła opuszczać linę latarni. Trzy razy wzniecony ogień zagasł, nim znowu przez szkło czerwone zatlił się płomień i rzucił światło na fale. „Oby nie zgasło na nowo“—myślała.

Patrzała przez chwilę na niepewny płomyk, którym zawiewający do wnętrza lampy wiatr poruszał, i słuchała zgrzytu pocieranej o słup latarki. Wreszcie, powróciła do chaty przemokła i przeziębła, a Jakób ozwał się znowu:

— A nie wrócił syn Anzelma?

— Nie—odrzekła.

— To już pono i nie wróci. Szkoda chłopca!

I zapanowało milczenie, które przerywały tylko odgłosy ponure żywiołów.

Od kiedy zapalone na nowo światło wskazywało kierunek przystani, Maryanna chciała czuwać noc całą nad owym zbawiennym płomieniem. Pamiętała ona to dobrze, że ją Piotr zawiódł, że ją odtrącił; ale jeśli miał umrzeć, gotowa była przebaczyć mu wszystko.

— Oj, gdzieżeś ty, biedny, teraz? — mówiła do siebie. — Czyż nie obaczę nigdy twoich oczu jasnych?

Wtem wiatr znów latarnię zagasł, a dziewczyna powtórzyła z przestraczem:

— Czyżby doprawdy Bóg skarał?

Otworzyła skrzynię drewnianą i wyciągnęła długą gromnicę. Malowana była w centki zielone i czerwone kwiaty i napis złoty błyszczał na niej. Poświęcono ją w dzień świętych Aniołów, patronów od gromu i burzy, w kościele, słynącym cudami Matki Najświętszej.

— Niech choć zobaczy to światło w oknie!—myślała.

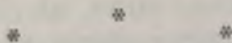
Zapaliwszy gromnicę, uklękła i jęła odmawiać pacierze.

— Panienko Niebieska, nie karzcie tego ladaco, bezbożnika, ani mnie grzesznej, nieszczęśliwej! Urobię ci ja za to kołnierz tak piękny, cały z koronek, z najbielszych i z najciemniejszych nici!

Ale burza wciąż szalała. Nagle zielone światło zappełniło całą izbę. Piorun uderzył w środek przystani.

Maryanna krzyknęła i, załamując ręce w rozpacz,

— To nie prawda!—wołała.—ja nie chciałam, żeby on zginął!...



Straszne było zniszczenie, wyrządzone przez burzę wzdłuż bretońskich wybrzeży morskich. Co chwila wyrzucała fala odłamy rozbitych czółen, kawałki desek i masztów o zwiłanych linach. Chodziły rybackie rodziny wzdłuż brzegów, zbierając to, co im morze przyniosło. Tylko ciała ludzkich zbyt często nie odrzuca fala.

Dni kilka minęło. O Piotrze nie było wieści.

Dnia siódmego dopiero wpośród skał i zarośli nadbrzeżnych, o pół mili od wioski, rybacy znaleźli strzaskaną nawę starego Anzelma. Piotr utonął.

Maryanna wierzyć nie chciała nieszczęściu, tak serdecznie prosiła za nim Panienkę Najświętszą! Lecz dni mijały i rozpacz ją zmogła nareszcie.

Uwierzyła teraz w prawdziwość tej piosnki, z której się śmiała, gdy Piotr ją śpiewał, o rybackiej ubogiej dziewczynie, szukającej śmierci w falach, aby zapomnieć kochanka. I jej chyba zostawało szukać Piotra na dnie tego morza.

Stary Jakób chorował ciągle i jęczał z wnętrza alkowy. Dziewczynie, usługującej ojcu, brakło już siły. Siadała co chwila, opuszczając ręce, bledsza z dniem każdym, a wiecznie myślą błędząca po morzu. Czarne oczy, powiększone smagłością wychudzonego oblicza, patrzyły przed siebie w obojętnym odrętwieniu. Czasem myśl jakaś zaogniała na chwilę ciemne jej lica i dziewczyna znowu zapadała w zadumę, blada i sztywna.

Na dworze pogodny błękit przykrywał majestatycznym sklepieniem szafirowe tonie morza. I ciemne skały rysowały się ostrzej na niebieskim widnokregu. I wioska sama wyglądała weselej, i trzcina morska złotem przeświecała w słońcu, a tam w oddali, jak wielkie ptaki skrzydlate, przepływały żagle białe.

Maryanna czuła w sobie coraz to głębsze i rozpaczliwsze zwątpienie. Jakże ludziła się srodze, kiedy myślała dawniej, że go nienawdził! Kochała przeciwnie tego obłudnika, tego zdrajcę serdecznego, silniej

jeszcze niż przedtem, i czuła, że jeżeli już które z nich musiało umrzeć, wołała-by sama wybrać śmierć, byle tylko on nie umierał!

Pewnego razu usiadła w oknie, aby prząść jeszcze, dopóki starczyło życia. Ale się nici rwały co chwila i puszczony w ruch słabą dłońią kołowrot stawał, a ona stopniowo myślą tonęła w oddali.

I wieczór zapadał powoli, rzucając na ciche morze wielkie różnobarwne cienie. Jakaś rzeźwość wiała od ziemi, a niebo i morze zlewały się w jednej mgłę opalowej. Występowały teraz z dna toni na powierzchnię fali ciemno-błękitne i zielone barwy, jak plamy, tak, jak z dna duszy smętniejsze myśli wybiegną czasem widomie i naznaczą ludzkie czoło.

— Oj Panienko niemilosierne! — wzdychała ciężko dziewczyna, i dodawała po chwili z jakimś gorzkim przekonaniem: — Co prawda, nie jam godną była stroić Cię z pracy rąk moich!

Na skale ode wsi słychać było czyjeś kroki; drewniane obuwie raz po raz uderzało o kamień.

Zastukano do chaty i wszedł—Piotr.

Maryanna powstać nie mogła, utkwiała oczy trwożnie we wchodzącego, ręce trząść się jej zaczęły, a rybak wesoło rzekł:

— Witajcie, Jakóbie, i ty, Maryannol

— Tyś skąd?—rzekł stary zdziwiony.

— Z nieboszczyków, to pewna rzecz.

A gdy go Jakób rozpytywał, jakim cudem mógł ocaleć, skoro w burzy czółno postradał, jął opowiadać:

— Jak mi tam kosa przecięła kotwicę i morze poczęło ciskać na rafy, tom stehórzył od pierwszej chwili, pomysławszy w duchu: „to twoja dola zasłużona,“ i powiedziałem głośno tak: „Królowo Niebieska, grzeczna dla rybaków, niegodnym ja wprawdzie, aby mnie nawet raki morskie zjadły, każesz iść na dno, to pójdę ja i towarzysze... lecz ino wybawisz, kupię Ci ja za to okręt większy niż ten, co ci Bartłomiej zafundował w swoim czasie, piękniejszy niż wszystkie, które wiszą przed Twym ołtarzem, i zaślubię imienniczkę twoją, Maryannę!...“ A wtem dać wzięło, że nam się barka pokładała, na morze, skręciło nas i zagnało na oceany. Nad ranem angielski parowiec uratował wszystkich, gdyśmy tonęli...

— A myśmy was mieli za potraconych—rzekł Jakób. I dodał po chwili:—Więc chcesz zaślubić Maryannę?

— A cóż, ojcze—rzekł rybak,—wasza córka, co prawda, wynędziała od jakiegoś czasu, lecz trudno... zrobiłem ślub...

I nagle zmienionym głosem, na którego teraz oddźwięk kraśniała dziewczyna, dodał, idąc ku Maryannie:

— Zresztą... kiedy morze zaplukiwało mi gardło, to nie ruda Agata stawała mi w oczach, ani Floryanna, tylko ta chudzina z tem wybladłym swoim liczkiem, i czułem, jak to ściska żal... No, nie płacz— mówił,— tyś mi zawsze była jedynem kochaniem! Oj, dobrześ mówiła, że zdycha muszla bez morza... Odkiedyśmy się pogniewali w przystani, to mi tak ciążyło dotąd, jak gdybym to był połknął jadowitą jaką skorupę...

— O, mój ty Piotrze! — mówiła Maryanna, tuląc się do piersi rybaka.

W kościółku o cudownym posągu Matki Najświętszej, przybranej w koronę złocistą i suknię z srebrzystej lamy, Piotr zawiesił u stropu żaglową nawę rybacką, a żona jego, w dodatku do śnieżystego kołnierza o listkach białych lili, ofiarowała także dwa koronkowe rękawki.

MICHAŁ RADZIWIŁŁ.

Trouville, 1893.

ALKOHOL I ALKOHOLIZM.

O, niewidzialna potęgo wina! jeżeli jeszcze nie wynaleziono godnej ciebie nazwy, bądź nazwana—szatanem!

Shakespeare: „Otello,” II, 3.

I.

Alkohol jest typem wszystkich trucizn nerwowych. Cl. Bernard.

Woda życia (aqua vitae), chleb płynny, mleko starców—oto często napotykanne synonimy wódki, piwa i wina. Warto-by sprawdzić, o ile określenia te istotnie są trafne.

Komuż nie wiadomo, że alkohol rozgrzewa ciało? Toż przechodząc w krew, spala się on jak i prawdziwe pokarmy i musi przeto w organizmie wytworzyć ciepło, tak jak je wytwarzają pobierane przez nas w pożywieniu tłuszcze, ciała białkowe i materje cukrowe. Gdy zaś wytwarzanie ciepła nieodzowną jest potrzebą dla organizmu, można więc chyba przypuszczać, że alkohol może zastąpić pewną ilość białka, tłuszczu lub cukru.

Istotnie, co się tyczy samego tylko wytwarzania ciepła, przypuszczenie powyższe jest najzupełniej słuszne. Jeden gram alkoholu, dający przez spalenie 7 jednostek ciepła, jest zdolny zrównoważyć prawie jeden gram tłuszczu. Najbliższym wszakże i najważniejszym celem spalania się środków pokarmowych w naszych tkankach nie jest produkcya ciepła, lecz utrzymanie sprawności włókien mięśniowych, ner-

wów, komórek gruczołów, jednym słowem wszystkich czynnych elementów ciała. Organizm zwierzęcy podobny jest do maszyny parowej. Jeżeli maszyna ma pracować, trzeba w pewnym określonym miejscu pod kotłem spalać materiał. W ten sposób powstają mechaniczne efekta i jednocześnie wydziela się ciepło. Lecz oto alkohol z całą pewnością nie spala się w tych miejscach organizmu, które odpowiadają palenisku maszyny, nie spala się we włóknach mięśni, ani w komórkach nerwowych. Istotnych przeto pokarmów zastąpić on nam stanowczo nie może. A jednak wytwarza ciepło. Może więc w pośredni sposób działa pod tym względem korzystnie, np. oszczędzając pewną ilość pokarmów, chroniąc je od rozkładu? I samo ciepło przecie przydać się nam na coś może. Toż niezbędnie ciało nasze utrzymywać musimy w temperaturze niezależnej od temperatury otoczenia.

Ochroniać przed rozkładem istotne ciała pokarmowe: białko, tłuszcz i cukry, znaczy powierzać gospodarkę złym rządcom, a nie korzystać z usługi dobrych. Jeśli pominiemy nawet w tej chwili to, że alkohol bezpośrednio zgubny wywiera wpływ na wszystkie organa ciała, musimy przede wszystkim liczyć się z faktem, że cała budowa zwierzęcego organizmu jest przystosowana do odżywiania go ściśle określonymi środkami pokarmowymi i że każde zboczenie w tym względzie prowadzi do najfatalniejszych skutków. Znamy długi szereg materii chemicznych, które, podobnie jak alkohol, spalają się w organizmie, lecz głęboka przepaść dzieli je od pokarmów, a niekiedy są one nawet najgwałtowniejszymi truciznami. Musimy koniecznie ciała pokarmowe spalać w ciele naszym, jeżeli chcemy przy życiu i zdrowiu się utrzymać. Kto oszczędzać chce pod tym względem, podobny jest do człowieka, który, zamiast drzewem lub węglem, chciał-by spirytusem w piecu palić.

I wreszcie nieprawda wcale, że od alkoholu przybywa nam choć trochę ciepła. Przeciwnie, alkohol zniża temperaturę ciała. Działa on mianowicie na układ nerwowy w ten sposób, że poraża, paraliżuje pewne ośrodki nerwowe, między innymi i ten ośrodek mózgowy, w którym zbiegają się nerwy, idące do małych mięśni okrężnych, w jakie zaopatrzone są naczynia krwionośne. Gdy zaś nerwy te w czynności swej zostają powstrzymane, wówczas i mięśnie okrężne, nie otrzymując odpowiednich bodźców, biernie się zachowują, przestają się kurczyć, nie zewężają już naczyń krwionośnych. Te ostatnie rozszerzają się, wskutek czego większa przyplywa do nich ilość krwi—skóra czerwieni się. I ten właśnie dopływ ciepłej krwi do skóry odczuwamy jako podniesienie temperatury. Lecz cóż dalej następuje? Z powierzchni skóry ciepło promieniuje. Skóra nasza bezustannie się ochładza; a gdy w rozszerzonych naczyniach krwionośnych na większej niż

zazwyczaj powierzchni zebrała się krew, większa też niż zwykle musi nastąpić utrata ciepła. A ta utrata wynosi więcej, niż zysk na ciepłe od spalania się alkoholu.

Więc ostatecznie nie osiągamy podniesienia, lecz niżenie temperatury? Tak jest. Alkohol oziębia, nie rozgrzewa. Tysiące doświadczeń przekonały o tem. Można bezpośrednio termometrem wykazać to opadanie temperatury. Żudźmy się, myśląc, że organizm nasz rozgrzewa się pod wpływem alkoholu. A błąd ten w sądzie naszym niechaj nas nie dziwi. Wrażenia ciepła i zimna odbieramy za pośrednictwem nerwów skóry. Temperatura wnętrza ciała może się podnieść nad normę, podczas gdy dzwoniemy zębami od zimna, i odwrotnie. Jest to zjawisko, z którem często w chorobach się spotykamy.

„Krew — powiadają ludzie — krąży szybciej pod wpływem alkoholu.“ W bardzo licznych doświadczeniach, dokonanych w roku 1870 przez Parkera i Wollowicza, dowiedziono, że niezbyt małe ilości (więcej niż te, które umiarkowanemi nazywamy) alkoholu wzmacniają czynność mięśnia sercowego, podnoszą częstość tętna, natomiast zmniejszają ciśnienie krwi. Obserwowano młodego silnego człowieka: przy niezmienionym przez cały czas obserwacji pokarmie, dawano mu przez pierwsze 8 dni wyłącznie wodę, jako napój, przez następne 6 dni coraz znaczniejsze dawki alkoholu, później znów przez 6 dni tylko wodę, potem przez 3 dni alkohol i znów przez 3 dni wodę. Przyjmowany pokarm dokładnie analizowano, temperaturę ciała i tętno mierzono co dwie godziny. Przeciętna liczba uderzeń serca na dobę wynosiła podczas okresu „wodnego“ 106,000, podczas okresu „alkoholowego“ 128,000. Największa liczba uderzeń tętna na minutę przy picciu wody była 77.5, przy alkoholu 98.3. Pierwszego dnia, kiedy obserwowane indywiduum piło alkohol, serce jego kurczyło się częściej o 4^o/_o, ostatniego o 23^o/_o niż w czasie normalnym.

Różnie tłómaczą fizyologowie bezpośrednią przyczynę wzmocnienia częstości tętna, występującego pod wpływem alkoholu. To wzmocnienie tętna zwykle przytaczamy na dowód „pobudzającego“, „ożywiającego“ działania alkoholu. Lecz jeśli chodzi o ludzi pijących w towarzystwie, warto zwrócić uwagę na to, co w tym względzie powiada fizyolog Schmiedeberg. Według tego uczonego, przyspieszenie tętna nie zależy wcale od działania alkoholu, lecz wynika z sytuacji, w jakiej zwykle napoje wyskokowe bywają przyjmowane. Jest ono skutkiem ożywiających ruchów ciała i — według niektórych badań — nie ma miejsca przy zupełnym spokoju ciała. Gdyby rzeczywiście tak być miało, w takim razie mniemany dobroczynny wpływ alkoholu, wyrażający się w szybszym krążeniu krwi, wcale alkoholowi przypisywany być nie powinien. To samo osiągniemy przez gimnastykę, bieganie, skakanie i t. p.

Pijemy alkohol, chcąc pomódz trawieniu. Lecz cały szereg doświadczeń fizyologicznych, dokonanych z wielką ścisłością, dowiódł, że zawsze gorzej trawimy, gdy alkohol przy jedzeniu pijemy. „Póki alkohol znajduje się w żołądku—powiada znakomity fizyolog Rosenthal,—trawienie jest upośledzone.“ Każdy może się przekonać, że po jednokowo obfitej strawie z alkoholem i bez alkoholu, wówczas prędzej uczucie głodu następuje, gdy alkoholu nie spożywaliśmy. Stałe zaś, choć umiarkowane, picie prowadzi do owych przewlekłych zapalnych stanów błony śluzowej żołądka i kiszek, które trapią niesłychanie dużą liczbę przyjaciół kieliszka.

Z żołądka i kiszek alkohol przechodzi do drobnych naczyń krwionośnych, które roznoszą go po całym ciele: płynie przez wątrobę i serce, dochodzi do płuc, podnosi się do mózgu i spływa do nerek i ku kończynom, a wszędzie działa bezpośrednio na tkanki i w każdym organie pozostawia wyraźne swe ślady.

Wszystko, co drogą naczyń krwionośnych z przewodu pokarmowego ma się dostać do organizmu, musi przepływać przez wątrobę. A gdy ten organ, spełniający niejako rolę rewidującą, przepuści coś dalej, niebawem dostanie się to do serca. I oto alkohol w części tylko pozostaje w wątrobie i sprawdza zmiany w jej normalnej budowie. Reszta płynie do serca i upośledza zarówno jego morfologiczne utkanie, jak i czynność rytmicznego skurczania się. Alkohol zwiększa liczbę uderzeń serca, zmuszając je do nadmiernej pracy, której z czasem mięsień ten poddać nie jest w możności.

W dalszej swej wędrówce narusza alkohol normalne czynności organów oddechowych i sprawia chorobliwe zmiany w nerkach. I na ściankach naczyń krwionośnych odbija się jego działanie. Ścianki te twardnieją, stają się mniej elastycznymi, mniej podatnymi, mniej opornymi na ucisk, i przy silnym naporze krwi mogą zostać uszkodzone lub nawet pęknąć. Mamy tu zmiany podobne do tych, jakie widzimy w tkankach zwierzęcych, przechowywanych w alkoholu. Pęknięcie naczynia krwionośnego w organie szlachetnym, jak mózg np., może natychmiastową sprowadzić śmierć. I bezwątpienia tem objaśnić trzeba pewną część nagłych wypadków śmierci wśród ludzi nawykłych do wypijania alkoholu w znacznych ilościach, choć bynajmniej nie uchodzących za pijaków.

Badano wpływ alkoholu na najrozmaitsze czynności organizmu i nigdzie nie zdołano wykazać pomyślnego działania. A i wogóle trudno zrozumieć, w jakich warunkach zdrowemu organizmowi pomódz jesteśmy zdolni przez jakiegokolwiek nań oddziaływanie. Nie znamy żadnej takiej substancji, przez której wprowadzenie do zdrowego ciała można-by je bardziej zdrowem uczynić. Powiadali np. niektórzy, że alkohol sprzyja organizmowi zwierzęcemu, zwalniając przemiany che-

miczne, jakie w nim się odbywają. Inni natomiast dowiedli, że alkohol przyspiesza te sprawy chemiczne. Lecz zupełnie bez względu na wynik odnośnych doświadczeń zapytać trzeba przedewszystkiem: cóż za korzyść z takiego zwalniania lub przyspieszania? Jeżeli możemy mówić o szybkości, z jaką przemiana materji w organizmie się odbywa, to chyba tylko, że szybkość ta powinna być normalną, winna mieścić się w pewnych określonych granicach. Jeśli wyjdzie po-za te granice, wówczas funkcyje już nienormalnie się odbywają. Zegar wówczas tylko dobrze wskazuje, kiedy wahadło z określoną szybkością się porusza; zarówno zwolnienie, jak i przyspieszenie wahań jest chorobą zegara.

Tak samo z mechanizmem ciała naszego. I tutaj powinna być pewna miara zachowana. Jeżeli alkohol istotnie przyspiesza przemianę materji, trzeba go stosować w tych razach, gdy funkcyja ta jest zwolniona. Jeżeli alkohol zniża temperaturę ciała, trzeba go dawać w tych razach, kiedy ciepota jest zbyt wysoka. Jeżeli podnosi pracę serca, należy go przepisywać w tych razach, kiedy serce grozi zawieszeniem swych czynności. Oczywiście powinno się uważać, czy jednocześnie w innym kierunku nie przyniesie on tu szkód takich, których zyski zrównoważyć nie będą zdolne. W każdym zaś razie, jak widzimy, może być mowa tylko o stosowaniu alkoholu jako środka leczniczego. A jako taki, stanowi on istotnie dzielną pomoc w postępowaniu lekarskiem. Lekarz używa go jako środka przeciwgorączkowego, zniżającego temperaturę ciała, jako leku, podnoszącego sprawność serca, i w dużych ilościach jako środka znieczulającego, zawieszającego wrażliwość ośrodków nerwowych na ból.

„Alkohol jest trucizną. Przyznaję, że najczęściej trucizna ta działa powoli, lecz i powolnie działająca trucizna jest szkodliwą.“

Z tego, co powyżej powiedziano, wynika, że te słowa słynnego fizjologa angielskiego, Carpentera, najzupełniej są słuszne. Miałem i wciąż mam tu na myśli umiarkowane picie alkoholu, o którego zgubnych działaniach wprost dlatego nie zdajemy sobie zwykle sprawy, że wszyscy pijemy i mimowoli zatraciliśmy miarę normalną. W towarzystwie pijaków trzeźwy tylko jasny sąd zachowuje. A jakkolwiek umiarkowane picie nie upaja w zwykłym znaczeniu tego wyrazu, jednakże aż nadto wyraźnie wpływa także na organ myślenia, na mózg.

„Alkohol pobudza nas, orzeźwia, łagodzi cierpienia, koi troski, oszołomia, odurza, dodaje fantazyi“ — powiadają ludzie. I, po części przynajmniej, mają słuszność. Wielu wszakże wyrzekło-by się go na zawsze, gdyby wiedzieli, jakim kosztem okupują wszystkie te dobrodziejstwa. Fizjolog doskonale objaśnić umie wszelkie powyższe skutki, a samo działanie alkoholu na mózg wyraża w krótkim zdaniu: alkohol poraża, paraliżuje funkcyje mózgowe.

Bardzo dokładne doświadczenia psychofizyologiczne dowiodły, że małe już dawki alkoholu zmniejszają pewność odbieranych wrażeń, a większe dawki stępują wrażliwość aż do zupełnej bezczułości. Okazało się również, że małe ilości alkoholu przyspieszają szybkość, z jaką odebrane wrażenie przeobraża się w ruch, a duże ilości zwalniają ten proces i znoszą go nawet w zupełności. Co się wreszcie tyczy wykonywania ruchów, dowiedziono, że małe dawki podnoszą wprawdzie szybkość ruchów, lecz zmniejszają ich pewność, duże zaś w zupełności ruch paraliżują.

Już same te rezultaty pozwalają zadowalniająco objaśnić cały szereg zjawisk psychicznych, dostrzeganych po przyjmowaniu alkoholu. Mówmy na razie tylko o umiarkowanych dawkach. Otóż, doskonale wiadomo, że przeważna część ludzi szybciej decyduje się działać po wypiciu, niż w normalnych warunkach, czyli po odebraniu wrażenia szybciej przechodzi do ruchów. A że działanie takie często w tym razie jest nie dość obmyślane, że nie osiąga z dostateczną pewnością swego celu—chyba na to każdy sam znajdzie aż nadto przykładów. Lecz czego profan rozwikłać nie umie, to tej pozornej sprzeczności, jaka istnieje pomiędzy małymi a dużymi ilościami alkoholu w tych razach, kiedy chodzi o szybkość decyzji, t. j. o szybkość odpowiadania ruchami na odbierane wrażenia, a także o szybkość w wykonywaniu samych ruchów. Powiedzieliśmy bowiem, że małe dawki działają tu przyspieszająco, a duże hamująco. W pierwszym razie, zdawać-by się mogło, że mamy do czynienia niejako ze wzmożeniem się czynności życiowej, a w drugim z jej osłabnięciem. Przyjaciele alkoholu zbudowali nawet na tem teorię, przyjmując istotne różnice w działaniu pomiędzy małymi i dużymi ilościami alkoholu, i przeciwstawiają mądrość umiarkowanych głupocie zupełnie wstrzemięźliwych.

Spróbujmyż objaśnić, że w rzeczywistości różnica jest tu tylko ilościowa.

Szybkość, z jaką wogóle przy zdrowym stanie naszego układu nerwowego po odebraniu wrażenia przechodzimy do ruchów, nie jest największą możliwą szybkością w tej sferze zjawisk mózgowych. Wzrasta ona natychmiast, gdy zniweczmy najgórniejsze części ośrodków nerwowych, a staje się największą po pozabawieniu zwierzęcia mózgu i pozostawieniu tylko mlecza pacierzowego. Alkohol więc przyjmowany w małych ilościach sprawia zupełnie ten sam efekt, co odjęcie górnych odcinków mózgu. Czem są wszakże te górne odcinki? Możemy o tem dokładnego nabrać pojęcia, wykonywając względnie proste doświadczenie fizyologiczne. Obserwujmy dwie żaby np., z których jedną pozabawiliśmy wielkich półkul mózgowych. Podziałajmy na obie dwie jeduakowem podrażnieniem, np. ukłóciem. I jedna i druga żaba

odpowiedzą na odebrane wrażenia: żaba bez mózgu natychmiast podskoczy, normalna zaś, której mózg jest zachowany, może na razie tylko się skuli; w chwili wszakże, gdy się zbliżymy, by zobaczyć, dlaczego nie podskakuje, nagle ucieknie i schowa się tam, gdzie będzie się czuła bezpieczną.

Zwierzę pozbawione mózgu porusza się zatem tylko pod wpływem chwilowego podrażnienia, gdy na ruchy normalnego zwierzęcia wpływa rozstrzygająca cała sytuacja, w której się znajduje. Nie tylko podrażnienie igły jest dla tego ostatniego miarodajnem, lecz jeszcze rozważa ono, co potem nastąpić może, liczy się z niebezpieczeństwami, jakie je jeszcze czekają. Nie porusza się natychmiast, gdyż doznane wrażenie musi być jeszcze skojarzone z wrażeniami innemi, może przez inne zmysły odebranemi, a może i z dawniejszych czasów przechowanemi. Tej kombinacji myślowej nie może przeprowadzić zwierzę bez mózgu i stąd szybsza reakcja u niego.

Zupełnie podobnie mają się rzeczy z człowiekiem, który wypił kieliszek. Górne odcinki mózgu spełniają fizyologiczną funkcję hamowania ruchów bezwiednych, powstrzymywania natychmiastowej decyzji i nasuwania niejako konieczności do głębszej rozwagi, do namysłu. A alkohol, podobnie jak i niektóre inne ciała chemiczne, znosi tę czynność mózgową. Najmniejsze dawki porażają tylko najgórniejsze części mózgowia, te, w których odbywa się najsubtelniejsze ocenianie doznanych wrażeń, w których rozstrzyga się wpływ tych wrażeń na zachowanie się nasze. W tym stanie ucierpić może tylko w małym stopniu właściwości, cechujące pewne strony moralnej istoty ludzkiej: delikatność, poczucie taktu i t. p. Na zwykły zaś bieg naszych spraw, w którym tak subtelnego wazenia nie potrzeba, wpływu to żadnego nie wyrze. Lecz stopniowo, w miarę zwiększania dawki, wzrastają też defekta w układzie nerwowym. Coraz rozleglejsze terytoria mózgowie ulegają wpływowi alkoholu, coraz obszerniejsze sfery czynności mózgowych wypadają. Tracimy regulujący, miarkujący ich wpływ i stajemy się maszyną odruchową, która na każdy zewnętrzny bodziec odpowiada wprawdzie natychmiast, lecz chybia niemal za każdym razem. A cóż z tego, że strzelec częściej strzela, jeżeli cierpi na tem celność strzałów?

Alkohol poraża wszystkie czynności życiowe. W tych stężeniach, jakie mają likiery nasze i mocne wina, zabija on nawet wprost niższe twory żyjące. „Lecz—powiesz może czytelniku—jam nie ameba, nie wymoczek, a nawet z żabą porównać się nie pozwolę.“ I słusznie. Bo im zwierzę wyżej jest uorganizowane, tem mniejszej potrzeba koncentracji alkoholu, ażeby czynności jego życiowe upośledzić. W ogólności nie spożywamy tak dużych ilości alkoholu, ażeby sparaliżować wszyst-

kie czynności fizyologiczne. Dość nam, gdy przytłumimy tylko najwyższe nasze i najsubtelniejsze organizacje, te, które naczelne zajmują miejsce w życiu. A one właśnie kierują wszelkimi ruchami i czynami naszymi, stanowią siłę sądu naszego. I cóż dziwnego, że rozwiązują się języki, gdy sił tych zbraknie? Mówimy, nie ważąc słów, bo brak nam krytyki własnej; zyskujemy poklask towarzyszy, gdyż i oni pojęcie sądu stracili.

Oto, w jaki sposób pobudza alkohol, dlaczego dodaje fantazyi i orzeźwia umysł. Że na tem samem polega jego działanie, uśmierza-jące bóle i dolegliwości nerwowe, chyba dowodzić nie potrzeba.

II.

Man spricht gern, trinkt man Gerstensaft,
 Von Politik und Volkswirtschaft,
 Vom Haiden, Türken, Jud' und Czech',
 Am meisten aber schwatzt man Blech.

* *

A jednakże iluż-to ludzi głęboko jest przekonanych o tem, że nie-
 ma uciechy bez alkoholu, że już o życiu towarzyskiem bez alkoholu zu-
 pełnie mowy być-by nie mogło. Dość wszakże raz choćby znaleźć się
 trzeźwym w towarzystwie ludzi, którzy trochę wypili, aby nabrać od-
 razy do tego rodzaju towarzyskości. Cóż bowiem za genialne myśli się
 tu rodzą, ile humoru tryska z każdego zdania, co za pomysły powstają?
 Kto miał sposobność bez uprzedzeń przyglądać się podobnie podnieco-
 nemu nastrojowi np. na knajpach kwiatu młodzieży niemieckiej, stu-
 dentów uniwersytetu, ten chyba odmiennego będzie zdania. Najpłytsze
 dowcipy uchodzą tu za klejnoty mądrości, najbłahsze sprawy urastają
 do rozmiarów najwznioślejszych faktów, najordynaryjniejsze pomysły
 stają się pomnikami sławy swych twórców.

To właśnie przekonanie o niezbędności alkoholu w życiu towa-
 rzyskiem jest fatalnem w swych skutkach. Prawda, że kieliszek łączy
 ludzi, bo przy kieliszku niewiele potrzeba do zbliżenia się wzajemnego.
 Nie dobieramy sobie wówczas ludzi według upodobań naszych, gdyż
 utraciliśmy miarę tych upodobań, przestaliśmy rozumować i odczuwać
 potrzeby umysłu naszego. Iluż-to ludzi łączy na długie czasy wię-
 cej, jak tylko predylekcyja do jednego i tego samego gatunku piwa lub
 wina.

„Jakże bezrozumnie nieraz spraszamy gości? Czy zaproszone oso-
 by mają myśli do zobopólnej wymiany — któż pyta o to? Gospodarz
 najzupełniej się nie kłopotuje; dość, gdy postawi butelki na stole, a wów-

czas wszyscy są w najweselszem usposobieniu, a nazajutrz unoszą się nad humorem towarzystwa i uprzejmością gospodarza. Gdybyśmy alkoholu nie posiadali, natenczas każdy, chcący mieć u siebie gości, poważnie-by nad tem pomyślał, czy też osoby, które mają być zaproszone, mogą przy wspólnej gawędzie rozgrzać się nawzajem. Życie towarzyskie w znacznym stopniu-by zaniknęło. Przez czas pewien pozostali-by ludzie w samotności, aż wreszcie pożądanie wzajemnej wymiany najwewnętrzniejszych myśli i uczuć wybuchnęło-by z niepolamowaną siłą. Lecz wówczas taka powstała-by towarzyskość, że pod względem duchowego życia i niekrępowanej wesołości przewyższyła-by wszystko, co kiedykolwiek zostało wywołane przez humor przy kieliszku. Pożądanie towarzyskości głęboko jest w naturze naszej zakorzenione i niczem nie daje się ono stłumić. Każdy normalny popęd wzmaga się, w miarę jak staramy się go zagłuszyć. I nasz popęd towarzyski wciąż tylko się wzmaga, wciąż wzrasta; lecz alkohol sztucznie go podtrzymuje i sztucznie żywi. Dlatego też, jak zwiędła cieplarniana roślina, popęd ten nikle wegetuje.“

I jeszcze jedno przyznajmy. Nikt nie zaczyna pić z popędu do alkoholu, z wrodzonego, jak chcą niektórzy, instynktu, który każe nam szukać alkoholu. Główną przyczyną jest tu, jak i w wielu innych rzeczach, wprost bezmyślne naśladownictwo. Pierwszy kieliszek nigdy nie smakuje, tak jak i pierwsze cygareto. A pijemy, bo inni piją. Gdy zaś raz do picia przywykliśmy, nie brak nam już powodów do picia w dalszym ciągu. „Pijemy, gdy się spotykamy; pijemy, gdy się rozstajemy. Pijemy, kiedy nam głód dokucza, aby go zdusić; pijemy, gdyśmy syci, aby apetyt pobudzić. Gdy zimno, pijemy, żeby się rozgrzać; gdy gorąco, pijemy, żeby się ochłodzić. Senni pijemy, aby mózdz czuwać, a gdy nas bezsenność trapi, pijemy, by mózdz zasnąć. Pijemy, bośmy smutni; pijemy, bośmy weseli. Pijemy, witając nowonarodzonego; pijemy, żegnając zmarłego. Pijemy—pijemy bez upamiętania.

A co najsmutniejsza, zdaje nam się, że w ten sposób walczymy ze zgrzyotami, że łagodzimy bóle, że umniejszamy troski, że pozbywamy się nędzy. Zapominamy, że alkohol, odurzając chwilowo, pozbawiając nas pamięci, nie tylko nie usuwa cierpień, lecz czyni nas mniej opornymi do walczenia z niemi. I oto budzimy się osłabieni, mniej jeszcze do walki zdolni i oczywiście—znów szukamy pocieszenia w tem panaceum na wszelkie dolegliwości. W ten sposób powoli coraz bardziej upadamy, bo i tego zapominać się nie godzi, że alkohol należy do tych trucizn, które w coraz większych ilościach przyjmować potrzeba, ażeby jednakowe skutki wywoływać. Pamiętajmy, że nikt nie postanawia sobie zostać pijakiem, że każdy naprzód pije umiarkowanie i powoli stacza się w tę przepaść, z której wydobyć się niezmiernie jest trudno.

I oto od niechcenia niemal natknęliśmy się na sprawę umiarkowania i zupełnej wstrzemięźliwości. Przeważna część ludzi, z odrazą myśląca o pijaństwie i przekonana o konieczności walczenia z niem, jest jednakże zdania, że umiarkowane picie nie jest szkodliwe. Powołuję się wszakże na te świadectwa z fizjologii, które już przytoczyłem, a do przedmiotu tego niżej jeszcze powrócę.

III.

Es trinken tausend sich zu Tod,
 Eh' einer stirbt an Hungernoth.

(Stare przysłowie niemieckie).

Jeżeli prawdziwemi są powyższe spostrzeżenia i doświadczenia fizjologiczne, to oczekiwać chyba należy, że ci, którzy przywykli do picia alkoholu, a pomimo tego bezpośrednio z tej przyczyny nie chorują, jednakże o tyle odbiegają od normalnego typu zdrowego człowieka, że mniej są oporni na szkodliwe dla zdrowia wpływy zewnętrzne. W samej rzeczy w statystyce lekarskiej istnieje fakt najdowodniej przekonujący, że ludzie zupełnie wstrzemięźliwi podczas epidemii najbardziej są oszczędzani; pierwszymi ofiarami są ludzie dużo pijący, następnymi ci, którzy piją umiarkowanie. Dzieje się tak np. podczas cholery, jakkolwiek profani zwykle sądzą, że przez obfite zakrapianie mogą się ustrzedz tej choroby. W latach 1848 — 1849 podczas cholery w Madrasie, pomiędzy wstrzemięźliwymi, abstynentami, umierało 11.10 na 1,000, wśród pijących umiarkowanie 23.15 : 1,000; a pomiędzy niewstrzemięźliwymi 44.58 : 1,000. Według d-ra Normana Kerra, w Paisley w 1848—49 roku, na 180 mieszkańców przypadał jeden chory na cholere, natomiast wśród abstynentów dopiero jeden na 2,000 osób. W tym samym czasie profesor Adams w Glasgowie pomiędzy swoimi pacjentami cholerycznymi miał wśród abstynentów 19.2% śmiertelnych wypadków, pomiędzy pijącymi 91.2%. „Gdybym miał władzę — pisze on z tego powodu, — kazał-bym nad każdym szynkiem wypisać dużemi literami: *tutaj sprzedają cholere*.“

Większa skłonność do zachorowania pomiędzy pijącymi wogóle trudno bardzo daje się wykazać bezpośrednio liczbami. Trzeba-by pod tym względem robić spostrzeżenia na bardzo dużej liczbie osobników, pijących i niepijących, a pozostających w jednakowych warunkach życia. Doskonałego materiału porównawczego dostarcza życie żołnierzy, a liczne pod tym względem dowody zebrać można z armii angielskiej, zwłaszcza z tych oddziałów, w których dużo jest abstynentów. Otóż,

jak donosi Carpenter ze spostrzeżeń w wojskach europejskich w Indjach, stosunek żołnierzy przyjmowanych do lazaretów (r. 1838) wyniósł pomiędzy wstrzemięźliwymi 1 : 16.87, a pomiędzy pijącymi 1 : 7.28. Z pierwszych ze 100 ludzi przeciętnie każdy spędzał w szpitalu 3.65 dni, z ostatnich każdy po 10.20 dni, czyli trzy razy dłużej.

Podobne dowody spotykamy w sprawozdaniu prof. F. Seitza, zawierającym spostrzeżenia nad cholera w latach 1873 i 1874 w Monachium, i rozważania tej samej treści kierują statystyką Engela, który zestawia cyfry śmiertelności z cholery w państwie pruskiem od roku 1831 do 1867.

Większą skłonność pijących wykazano również do tyfusu, dysenteryi, złośliwych gorączek, chorób wątroby i śledziony. Każdy lekarz wie doskonale, jak ostrożnym należy być przy rokowaniu w wypadkach zapalenia płuc u ludzi nałogowo pijących, a jak dobrze zwalcza tę chorobę organizm wstrzemięźliwy.

U alkoholików każda choroba występuje z większem natężeniem i ze złośliwszym przebiegiem, aniżeli u trzeźwych ludzi. Cóż dziwnego, iż i śmiertelność pomiędzy alkoholikami jest znacznie większą?

Chciał-bym uniknąć pewnego nieporozumienia i dlatego umyślnie kładę tu nacisk na następującą okoliczność. Za ofiary alkoholu nie należy poczytywać tych tylko, którzy bądź zatruci naraz dużą ilością tego trunku nagle umierają, bądź też jako zdeklarowani pijacy znajdują śmierć w szpitalu obłąkanych, lub sami w przystępie obłędu życie sobie odbierają. Gdy bowiem myślimy o przyczynach, które wogóle śmierć sprowadzają, nie jesteśmy wcale zdolni brać w rachubę tych wszystkich czynników, które człowiek dobrowolnie ściąga na siebie, a które życie mu skracają. I czyż statystyka, najsumienniejsza nawet prowadzona, może tu dać istotny obraz, jakiego się spodziewamy? Jakże wogóle trudno jest dotrzeć do pierwszych przyczyn choroby, jak trudno odważyć wpływ każdej z przyczyn, które na daną chorobę się złożyły, jak wreszcie niedoskonałymi są jeszcze dzisiejsze metody statystyczne w tym zakresie. W ilu np. wypadkach śmiertelnych po zapaleniu płuc, użycie lub nadużycie alkoholu było powodem, przyspieszającym zgon, któż to notuje? Ile razy np. po sutej libacyi, wybryk jaki lub doznane zaziębnienie bezpośrednio przyczyniły się do choroby i śmierci, kto się tem kłopoce? Na to wszystko brak nam absolutnie cyfr. A jeżeli dodamy jeszcze, że nawet w szpitalach wogóle bardzo pobieżnie w wykazach statystycznych uwzględnianą bywa etyologia choroby, pojmiemy, że te dane, jakie zebrano, przedstawiają tylko minimum strat na zdrowiu i życiu, które alkohol w rzeczywistości sprowadza.

Niechaj więc niektóre tylko dane poniższe dadzą pojęcie o spuszczeniach, jakie alkoholowi zawdzięczamy. W piętnastu większych

gminach w Szwajcaryi w 1891 roku zmarło 3,409 mężczyzn więcej nad 20 lat mających, a z tych 366, czyli 10.7% bezpośrednio lub pośrednio wskutek pijaństwa. Na zasadzie długoletnich spostrzeżeń okazuje się, że 7.3% wszystkich wypadków śmierci w Bazylei pomiędzy mężczyznami od 30 do 60 lat wynika z alkoholizmu. Członek brytańskiego stowarzyszenia lekarskiego, J. Owen, po rozległych badaniach, przychodzi do następujących dwu wniosków: 1) Ustawiczne spożywanie alkoholowych napojów, o ile przekracza tylko najumiarkowańsze granice, wyraźnie objawia się skróceniem życia i to proporcjonalnie do stopnia, w jakim alkohol jest przyjmowany, i 2) Z mężczyzn, którzy przeszli lat 25, zupełnie wstrzemięźliwi ogólnie żyją co najmniej dziesięć lat dłużej, aniżeli niewstrzemięźliwi. Neisson, znakomity uczony angielski, po badaniach nad 6,111 pijącymi dochodzi do wniosku, że śmiertelność między nimi jest trzy razy większą, aniżeli wśród całkowitej ludności Anglii.

Oto jeszcze pouczający fakt. Wiadomo, że nigdzie niema tak dobrego piwa, jak w Monachium. I wyraża się to też doskonale w konsumcyi tego napoju, który, według wielu ludzi, występujących przeciw wódce, ma być odpowiednią przeciwwagą i sprowadzać pijaków na drogę cnoty. Bo, gdy przeciętna konsumpcya piwa w całych Niemczech wynosi rocznie na głowę 88 litrów, wynosi ona w Bawaryi 209, a w samym Monachium 565 litrów. A odpowiednio do tego w żadnym mieście niemieckiem niema tak wysokiej odsetki śmiertelności z chorób serca, jak w Monachium. Dokładne zaś badania anatomo-patologiczne d-ra J. Sendtnera dowiodły, że chorób tych bezpośrednim powodem jest nadmierne picie. I dodać trzeba jeszcze, że Monachijczyk bynajmniej się nie upija. Przeciętnie ludność monachijska po 20 latach życia osiąga wiek 53.5 lat. Tymczasem właściciele piwiarni żyją tylko do 51.35, piwowarzy do 42.33, kelnerzy do 35.8, kelnerki do 26.8. Zapewne, że ta ostatnia liczba tłumaczy się przeważnie tem, że kelnerki zbyt długo w zawodzie tym nie pozostają i, utraciwszy niezbędny w tym fachu warunek—młodość, przechodzą do innych zajęć. Na ostatnim zjeździe przyrodników i lekarzy niemieckich w Norymberdze głośniejszy sławy klinicysta, prof. Strümpell (z Erlangen), wykazał szkodliwy wpływ najumiarkowańszego nawet picia piwa na wszystkie niemal ważniejsze narządy organizmu ludzkiego. Dowiódł on przekonywająco, że małe dawki sumują się w swem działaniu i po dłuższym czasie prowadzą do podobnych zaburzeń w ciele, co i duże ilości alkoholu naraz przyjmowane.

W Anglii, gdzie walka z alkoholizmem wre od dawien dawna, zestawienia statystyczne, dotyczące tego przedmiotu, ukazują się dość często. Nie zawsze jednak można się do nich zwracać z zaufaniem.

Stronność partyjna zniewala najczęściej do bardzo powierzchownego wykładu znaczenia cyfr. Najprawdziwszych przeto rezultatów z niecierpliwością oczekiwano od pracy, jaką podjęło w tym przedmiocie brytańskie stowarzyszenie lekarskie, najpoważniejsza niemal tego rodzaju instytucya na świecie. I oto przed kilku laty ogłoszono, że, jak się z tych danych okazuje, ludzie zupełnie wstrzemięźliwi dochodzą przeciętnie do lat 51 i 80 dni, ludzie stanowczo nieumiarkowani do 52 lat i 14 dni, ludzie „rozsądnie“ pijący do 57 lat i 216 dni, a umiarkowanie pijący do 62 lat i 50 dni.

Ten rezultat jest fatalnym dla tych wszystkich, którzy przeciw alkoholowi powstają. I na przekór też im rozchwymano te dane i obniesiono we wszystkich dziennikach całego świata. A jednak—bliższe wejrzenie w sprawę wcale nie pozwala tłumaczyć znaczenia tych cyfr tak, jakoby wstrzemięźliwi najkrótszem cieszyli się życiem. Należy bowiem zauważyć, że przedewszystkiem owo grono lekarzy angielskich wogóle zanotowało tylko 4,234 wypadki, z których zaledwie 2.8%, bo 122 przypadło na zupełnie wstrzemięźliwych. Otóż jest to zbyt mała liczba, aby z niej dały się wyprowadzić stanowcze wnioski. I istotnie owa komisya lekarska wyraźnie od wniosków się powstrzymała, a tylko krótkowzroczna reporterja była rezultatami zachwycona. Lecz nie dość tego. Ruch przeciwko alkoholowi w tej formie, w której zalecane jest absolutne wyrzeczenie się napojow wysokowych, istnieje od niezbyt dawna. W Anglii zaledwie od 30 lat zakładane bywają stowarzyszenia zupełnie wstrzemięźliwych (teetotales), a ludzie do nich należący są prawie wszyscy ludźmi młodymi. Starzy trudno pozbywają się swych nawyknień; walka z przesądami zawsze do młodych należała. Otóż zważmy, że ludzie wogóle umierają w każdej porze życia. Gdy więc notowano wypadki śmierci pomiędzy całkowicie wstrzemięźliwymi, musiano koniecznie napotykać zawsze ludzi względnie młodych; odwrotnie zaś wśród pijących notowano wypadki śmierci wogóle pomiędzy starszemi osobami. A gdy nawet pomiędzy temi ostatniemi zdarzały się młodsze osobniki, toż przecie wobec znacznie większej ich liczby jedna dana nie mogła tak wielkiego wywrzeć wpływu, co dana śmierci osobnika młodego wśród małej liczby wstrzemięźliwych. Stąd pochodzi ów pozornie niekorzystny rezultat dla sprawy walki z alkoholem. Dziwić się nawet trzeba, że tak mała różnica wypadła.

Widzimy stąd, z jaką ostrożnością cyfry statystyczne rozumieć należy. W tym razie poprostu porównywano wielkości, które porównywać się nie dadzą. Trzeba brać dwa szeregi ludzi zupełnie podobnych, pijących i niepijących, i zobaczyć, po której stronie jest przewaga.

Istnieją w Anglii stowarzyszenia ludzi, zupełnie odrzucających alkohol; jedno z największych takich stowarzyszeń liczy obecnie przeszło 80,000 członków. Śmiertelność wśród nich — zwracam uwagę, śmiertelność, a nie przeciętny okres życia — wynosi 6.6 na 1,000, gdy tymczasem w stowarzyszeniach podobnych, lecz nie wyrzekających się alkoholu, śmiertelność jest dwa razy większą, bo 12.63 : 1,000 na rok. Nie mniej pouczającym jest następujące zestawienie, wykazujące, o ile pijacy krócej żyją niż przeciętni ludzie. W Anglii mianowicie, człowiek 20-letni ma prawdopodobieństwo życia jeszcze przez 44.21 lat; 30-letni przez 36.48; 40-letni przez 28.79; 50-letni przez 21.25; 60-letni przez 14.28. Tymczasem pijący nałogowo w wieku 20 lat ma prawdopodobieństwo przeżycia jeszcze 15.56 lat; w wieku 30 lat—13.80; w 40-tym roku—11.63; w 50-tym—10.86; w 60-tym—8.95.

Lecz dajmy pokój pijakom i przeciwstawmy tylko abstynentów ludziom przeciętnym, pijącym umiarkowanie. Otóż w tym względzie nader charakterystycznym jest fakt następujący: Angielskie towarzystwa ubezpieczeń na życie, najpoważniejsze tego rodzaju instytucje na świecie, od całego szeregu lat opierają się na zebranych w zajmującym nas tu przedmiocie danych. Towarzystwo „United Kingdom Temperance and General Provident Institution“ założone zostało w r. 1840 w celu przyjmowania tylko zupełnie wstrzemięzliwych, a to dla zaoszczędzenia członkom tych strat, które towarzystwa zwykle ponoszą z powodu pijaństwa niektórych stowarzyszonych. W r. 1847 utworzono w tem towarzystwie drugą ogólną sekcję dla wszystkich, ze zwykłymi tylko w takich instytucjach wyjątkami (pewne choroby przewlekłe, dziedziczne, nieuleczalne, notoryczne pijaństwo i t. d.). Przed utworzeniem tej drugiej sekcji stwierdzono śmiertelność według doświadczenia, zebranego przez inne towarzystwa, i to po cholerycznym roku, i określono jako minimum 135, a maximum 219. Tymczasem istotnych wypadków śmierci było tylko 73. Dopiero od r. 1866 prowadzono dokładne porównania pomiędzy obiema sekcjami. Oto ich wynik:

L A T A	W sekcji wstrzemięzliwych		W sekcji ogólnej	
	Oczekiwana liczba wypadków śmierci	Rzeczywista liczba	Oczekiwana liczba wypadków śmierci	Rzeczywista liczba
1866—70 (5 lat)	549	411	1,008	944
	Różnica	— 138	Różnica	— 64
1871—74 (4 lata)	561	390	994	1,033
	Różnica	— 171	Różnica	+ 39
Suma za 9 lat .	1,110	801	2,002	1,975
	Różnica	— 309	Różnica	— 25

W odsetkach wyrazić to można, że w sekcji abstynentów śmiertelność wynosiła 25% niżej oczekiwanej, w sekcji zaś ogólnej tylko o 1% mniej. Dnia 31 grudnia 1874 r. liczba polis wynosiła w sekcji abstynentów 9,539, a w ogólnej 15,838. Na rok 1875 w pierwszej sekcji spodziewano się 153 wypłat (wypadki śmierci) na sumę 29,648 funt. st., lecz nastąpiło tylko 110 na sumę 24,643 funt. szt. W drugiej zaś, ogólnej sekcji oczekiwano 263 wypłat (54,092 funt. sterl.), a wypłacono za 288 wypadków 57,000 funt. ster.

Zgodnie z takimi rezultatami składki płacone w podobnych towarzystwach asekuracyjnych przez zupełnie wstrzemięźliwych są mniejsze od tych, które pobierane są od pijących.

Można nie zgadzać się i krytykować wszystkie powyższe fakta, można powątpiewać o słuszności doświadczeń naukowych, można wszędzie dostrzegać przesadę i naciąganie liczb do powziętych z góry zamiarów, lecz nie można się oprzeć przekonującej sile, jaka przemawia ze sprawozdań towarzystw asekuracyjnych. Tutaj nie deklamacja, nie apostołstwo w imię z mgły zaczerpniętej idei, nawet nie teoretyczne badanie naukowe, tutaj interes sprawę rozstrzyga. Ci, którzy czerpią zyski z towarzystw asekuracyjnych, przede wszystkim własną kieszeń mają na względzie, więc chyba z najgłębszym przekonaniem o słuszności swego postępowania pobierają mniej pieniędzy od tych, których życie daje im większą gwarancję.

I pamiętajmy, że porównujemy tu duże liczby przeciętnych ludzi pomiędzy sobą, różniących się tylko tem, że jedna grupa zupełnie nie pije, w drugiej zaś znajdują się ludzie pijący umiarkowanie, nie zaś pijący w pospolitem znaczeniu.

Nie zapominam o jednym zarzucie, który w tem miejscu wypada odeprzeć. Większość ludzi powiada, że nie troszczy się bynajmniej o to, aby długo żyć. Każdemu osobiście jest to dość obojętne, czy będzie żył kilka lat dłużej, czy krócej. Gdyby nawet zgodzić się na to było można, to jednakże przyzna każdy, że rozumowanie takie, choćby się dało zastosować do oddzielnych ludzi, nie może i nie powinno być brane w rachubę, gdy mowa o tysiącach i milionach ludzi. A poza tem twierdzę stanowczo, że nasza osobista, że tak powiem, obojętność pod tym względem jest w największej liczbie wypadków fałszywą.

Nie jest bynajmniej prawdą, że nie przywiązujemy żadnej wagi do kilku lat życia. To niezadowolenie z życia, ten pesymizm, z którym spotykamy się na każdym kroku, jest źle zrozumiany, a najczęściej najzupełniej nieszczerzy. Większość naszych pesymistów współczesnych, to ludzie najbardziej z życia zadowoleni, widzący wszystko na świecie w najpiękniejszych barwach, dążący bezustannie do największych rozkoszy, jakie życie człowiekowi dać jest w możności. Każdy umysłowo

zdrowy człowiek czuje nieprzepartą chęć jak najdłuższego życia, zarówno pyszny bogacz, jak i w łachmany owinięty nędzarz, najszcześliwszy kochanek i najsurowszy asceta, uczony, rozkoszujący się poszukiwaniem prawdy, i głupiec, niewidzący nic po-za sobą. Natura, powołując nas do życia, wlała w nas silne pożądanie zachowania tego życia i ono aż do ostatniego tchnienia wyziera z każdego naszego czynu, żyje w każdej komórce naszego organizmu — pozbyć się go nie jesteśmy zdolni. Niema na ziemi tworu żywego, w którym nie była-by złożona ta dążność do samozachowania. Najbardziej zdeklarowany pesymista, człowiek, który tysiące razy przekonywa nas o tem, że żadnej do życia wartości nie przywiązuje, broni się zawzięcie, gdy mu niebezpieczeństwo grozi, unika niebezpieczeństwa, a najczęściej w staranności około swego zdrowia prześciga tych, którzy jawnie do optymizmu się przyznają.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że wszyscy optymistycznie na świat się zapatrujemy—i bynajmniej tych, którzy powstają przeciw alkoholowi, nie mamy prawa nazywać ascetami. Wyrzeczenie się tego jadu raczej może być źródłem wielu rozkoszy życiowych, których nie znamy, zalewając się bezustannie alkoholem.

IV.

Ebrii gigant ebrios.

Plutarch.

Kiedy mowa o wpływie alkoholu na życie fizyczne człowieka, pominać nie można tych rezultatów, które tak smutnym a prawdziwym językiem przemawiają do nas ze sprawozdań szpitalów dla obłąkanych. Już pół wieku temu zwrócił na to uwagę Benjamin Rush, że w wielkim szpitalu filadelfijskim trzecia część wszystkich umysłowo chorych rekrutuje się z alkoholików. Ostatnie (43-cie) sprawozdanie inspektorów zakładów dla obłąkanych donosi, iż w ciągu dziesięciolecia 1878—1887 we wszystkich zakładach w Anglii i Szkocyi przyjęto razem 136,478 chorych (66,918 mężczyzn i 69,560 kobiet). Pomiędzy fizycznymi przyczynami zbroczeń umysłowych alkoholizm pierwsze zajmuje miejsce; stanowi on 13.4% wszystkich przypadków, a mianowicie 19.8% dla mężczyzn a 7.2% dla kobiet.

W Szwecyi liczba wypadków chorób umysłowych, pochodzących z alkoholizmu, zmniejszyła się znacznie w ostatnich czasach, a powody tego później poznamy. Dawniej alkoholicy stanowili tam 25—30% wszystkich obłąkanych mężczyzn. Lecz jakkolwiek ogólna liczba chorób umysłowych ustawicznie tam wzrasta (w roku 1840 na

10,000 mieszkańców chorych 10.46, w 1870—19.54), jednakże alkohol staje się coraz rzadszą ich przyczyną, mianowicie w pięcioleciu 1871—1875 wykazano w etyologii tylko 7.19%, w okresie 1876—1880 tylko w 6.54% obłąkanych. We Francyi Lunier wykazał przekonywająco, jak zwiększanie się konsumpcyi alkoholu wpływa na powiększenie liczby chorych na umyśle. W r. 1831 konsumpcya alkoholu wynosiła tam 1.09 litra na głowę, a odsetka alkoholików pomiędzy wszystkimi obłąkanymi wynosiła 7.64. W 1841 r. konsumpcya 1.94, a procent alkoholików 7.83; w 1861—2.23 i 10.22%; w 1876—2.54 i 14.78%. Od roku 1872 do 1885 przyjęto w Paryżu 49,267 chorych w publicznych i prywatnych szpitalach dla obłąkanych, a z tych 5,063 zawdzięczało swój los alkoholowi. W Szwajcaryi 21.30% wszystkich obłąkanych mężczyzn rekrutuje się z alkoholików, we Włoszech 16.7%, w Austrii około 23%.

W każdym państwie odmienne czynniki składają się na ostateczny rezultat w zajmującym nas tu przedmiocie i trzeba-by bardzo obszernej monografii, która-by wszystkie te rozmaite stosunki uwzględniła. Po-
przeistawiamy na kilku tylko jeszcze danych.

W Belgii klęska alkoholowa doszła do bardzo znacznych rozmiarów. Można przyjąć, że przeciętnie 15% obłąkanych stanowią tam alkoholicy. Tak samo mniej więcej w Hollandyi. W całym państwie ruskim obliczono tę odsetkę na 15.53% przed wielu już laty. Dla Królestwa Polskiego wynosi ona w nowszych czasach 14.1%, a w samej Warszawie 18.82%.

Mówiąc wyżej ogólnie o alkoholu, jako czynniku, sprowadzającym choroby i śmierć, mieliśmy na myśli głównie długotrwałe, przewlekłe jego działanie. Czyż potrzeba tu jeszcze przytaczać liczby na dowód, że niemięniej fatalnie działa on przez ostre zatrucia, że bywa pośrednio powodem mnóstwa nieszczęśliwych śmiertelnych wypadków po jednorazowym upiciu się, że wreszcie jednorazowe upicie się sprowadza wcale nie rzadko samobójstwa? Nie chcę się gubić w tych szczegółach, bo pilno mi przejść do ważniejszego, a, niestety, mało powszechnie znanego punktu.

W słynnym dziele Prospera Lucasa „O naturalnej dziedziczności“ (1847) przytoczone są liczne spostrzeżenia Galla, Giron de Buseraingue'a, Louisa, z których widać, że skłonność do odurzających napojów przenosi się na potomstwo z ojca i z matki. Na to zwracali już uwagę i Arystoteles, i Plutarch, lecz dopiero w nowszych czasach sprawom tym bliżej się przyjrzano. Zwłaszcza amerykańscy lekarze bronią wytrwale poglądu na dziedziczność alkoholizmu, a opierają się przytem na niezmiernie obfitym materiale spostrzeżeń. Istotnie, nieuprzedzona obserwacya nie pozostawia w tym względzie żadnych wątpliwości.

Obecnie też uznane jest to za pewnik przez wszystkich, którzy mieli sposobność przedmiotem tym się zajmować.

„Poglądu wszakże, że alkoholizm się odziedzicza—powiada Par-rish,—nie należy pojmować tak, że z rodziców na potomstwo przechodzi tu upodobanie, skłonność do napojów wysokowych. Raczej przypu-szczać trzeba, że niektóre osoby przychodzą na świat z temperamentem, usposabiającym je do szukania takiego rodzaju egzaltacji, jaką daje alkohol. Indywiduum takie jest nerwowe, drażliwe, niestałe w uspo-sobieniu, i w tym niepokoju swoim szuka ulgi i rozweselenia w alko-holu. Posiada ono prawdziwą wadę w organizacji i należy do szeregu tych, które, według słów Maudsleya, rodzą się z klątwą, przeciw której nie mają ani woli, ani możności walczenia. Są to kopciuszki przyrody i cierpią pod brzemieniem tyranii—tyranii wadliwej organizacji.“ Ta-kie tłumaczenie pozwala nam jednocześnie pojąć i ten fakt, że dziedzic-two alkoholizmu przejawia się nie tylko w skłonności do alkoholu, lecz występuje nie mniej często na pokrewnych polach zbroczeń w nerwowej organizacji. Dzieci alkoholików nie koniecznie pijaństwem zdradzają swe pochodzenie, lecz bywają i w inny sposób upośledzone, stanowiąc duży kontyngens epileptyków, maniaków, paralityków i t. d. To wszyst-ko zaś zupełnie niezależnie od zbroczeń w budowie innych organów po-za układem nerwowym, które również w spadku im się dostają. Zarzut, że pijacy płodzą także trzeźwe i zdrowe dzieci, nic tu nie znaczy. Toż nie wszystkie dzieci chorych na umyśle przedstawiają psychiczne ano-malie, i nie wszystkie dzieci suchotników koniecznie muszą być sucho-tnikami. A jednakże wątpliwości nie ulega, że i choroby umysłowe, i gruźlica przenoszą się z rodziców na potomstwo. I pod jednym je-szcze względem alkoholizm, jako choroba cielesna, podobny jest do in-nych chorób dziedzicznych. Mianowicie i tutaj zdarza się, że jedno pokolenie może być wolne od tej choroby, a u następnych znów może ona wystąpić. To zaś najzupełniej utrwała w nas przekonanie, że al-koholizm podobnym jest do innych zbroczeń w układzie nerwowym, które przechodzą z pokolenia na pokolenie.

W Prusach w jednym roku pomiędzy 17,418 więźniami było 8,306 alkoholików, a z tych 1,873, jak się przekonano, pochodziło od pijaków rodziców, co stanowi 22.5%. Odpowiedny stosunek wynosi dla Bawaryi (kraj najlepszego piwa!) 34.6%, dla Wirtembergii 19.8, dla Saksonii 10.5, dla Księstwa Badeńskiego 19.6, dla Alzacyi i Lotaryngii 22.0%.

Dzieci pijaków—powiada słynny psychiatra zurychski, A. Forel,—nie tylko również do picia są skłonne, lecz niezmiernie często są epilep-tyczne, rachityczne, idyotyczne, głuchonieme, kałowate, nerwowe i t. d.

W ostatnich czasach złożono na to moc dowodów we Francji (Legrain, Grenier, Laurent, Garnier). Bardzo pouczającym zaś jest następujące zestawienie profesora Demmego z Berna, zmarłego niedawno lekarza dzieci. Demme zbadał liczne potomstwo w dziesięciu rodzinach, w których ojciec, a w części także i dalsi przodkowie byli alkoholikami, a z drugiej strony potomstwo niemniej liczne 10-ciu innych rodzin, które, co prawda, abstynencyi zupełnej nie holdowały, lecz były wogóle wstrzemięźliwe. Otóż w pierwszej grupie było 57 dzieci, z których 12 zmarło szybko po przyjściu na świat skutkiem wrodzonej słabości organizmu, 9 tylko normalnie się rozwijało, a z 36 pozostałych 8 było idiotów, 13 cierpiało na epilepsyę i konwulsyę, 2 na niemogłuchotę, 5 na alkoholizm z epilepsyą i płasawicą, 3 miało cielesne zniekształcenia i 5 pozostało przy karlim wzroście. W drugiej grupie było 61 dzieci, z których 5 po urodzeniu szybko zmarło, 2 zachorowało później na płasawicę, 2 miało cielesne deformacye, 2 pozostało umysłowo nierozwiniętych, a 50 rozwinęło się zupełnie normalnie.

Już Erazm Darwin, dziadek znakomitego przyrodnika i sam wielce uczony lekarz i przyrodnik, twierdził, że wszystkie choroby, wynikające z nadużywania trunków, przenoszą się dziedzicznie aż do trzeciego i czwartego pokolenia, a jeżeli przyczyna wciąż trwa, wzmagają się ustawicznie aż do zupełnego wymarcia rodziny. Cóż dziwnego, że wpływ ten odzywa się na całych narodach i szczepach? Brühl-Cramer zwraca uwagę na to, że w Rossyi Tatarzy, którym, jak wiadomo, przepisy religijne zabraniają używania odurzających napojów, stanowią najzdrowszy i najsilniejszy naród. Natomiast Wotiaki, zamieszkujący gubernie Kazańską, Permską i Wiacką, od czasów panowania Iwana Wasilewicza, kiedy zaczęli pijać wódkę, stawali się coraz mniejszymi i słabszymi. Podobne spostrzeżenia robiono przy poborach wojskowych, gdy porównywano stan zdrowotny i wzrost pomiędzy rekrutami z różnych okolic. W Szwecyi, w miarę jak, dzięki inicjatywie państwa i społeczeństwa, konsumpcya alkoholu opadała, wzrastała liczba młodych ludzi zdolnych do noszenia broni. Władze kantonalne w Bernie upatrują w rozpowszechnieniu się konsumpcyi wódki wśród ludności przyczynę zmniejszenia się przeciętnego wzrostu wśród rekrutów i temu samemu przypisują okoliczność, „że piękne, silne i świeże postacie coraz stają się rzadszemi, a coraz więcej widać ludzi małych, zgarbionych, przedwcześnie starych, o bladej, bez wyrazu prawie, głupowatej twarzy.“ Z powoływanych do poboru wojskowego w Galicyi, 37.9% jest niezdatnych z powodu słabości fizycznej, a 18% z powodu zbyt małego wzrostu, razem więc 55.9%—podczas gdy w całym państwie austriackim liczba ta wynosi tylko 42.7%. Stosunek ten zupełnie odpowiada konsumpcyi alkoholu w Galicyi do przeciętnej konsumpcyi w całej Au-

stryi. Dla państwa niemieckiego można wykazać najzupełniejszy paralelizm pomiędzy liczbą szynków a liczbą niezdolnych do wojska w poszczególnych okręgach. Podobnych stosunków, niezbiecie przekonywających o degenerującym wpływie alkoholu, przytoczyć-by można jeszcze moc wielką.

Lecz dosyć tych dowodów. Wiem doskonale, że wszystkie te cyfry nie przekonają tych, którzy z góry są do cyfr uprzedzeni, tem bardziej, że nigdzie może więcej, jak w sprawie alkoholu, nie ujawnia się krótkowzroczność przeciętnych sądów ludzkich. Powiadają bowiem, że jeśli istotnie alkohol tak strasznie mści się na ludziach, jeżeli za grzechy ojców i dziadów potomkowie nawet odpowiadać muszą, że jeżeli istotnie szczepy całe powoli wyrodniją—toż przecie ludzkość cała niemal wyginąć-by już musiała wobec tego, że od setek i tysięcy lat ludzie alkoholem się raczą. Niepamiętnych czasów bowiem ma sięgać znajomość wina, a i o piwie już u starożytnych Germanów dobrze wiadano.

Te wszystkie zarzuty łatwo można odeprzeć. Przedewszystkiem należy nie zapominać, że w dawnej przeszłości wino, a znacznie później dopiero i piwo, były jedynymi napojami alkoholowymi, a i one dostępne były tylko bogaczowi. Grono winne dojrzewa w stosunkowo małym pasie na kuli ziemskiej, a przechowywanie sfermentowanego moszczu winnego było w dalekiej przeszłości trudniejsze jeszcze niż obecnie. A co najważniejsza, rdzeń ludzkości, średnie i niższe warstwy ludu wcale wina nie znały; przy wyjątkowych tylko uroczystościach upajano się niem. Dopiero postępy techniki na polu przemysłu fermentacyjnego, poznanie procesu destylacyjnego upowszechniło w szerokich warstwach znajomość alkoholu; wprowadzenie do ogólnego użytku wódki było pierwszym etapem na drodze zalkoholizowania ludzkości. Nie znano też dawniej tych niebezpiecznych przynęt, jakimi obecnie wytwórcy alkoholu wabią swych gości; nie było wspaniałych piwiarni i restauracyi, pysznych lokalów, do których ściągają publiczność dźwiękami orkiestr, światłem elektrycznym i pięknymi uśmiechami usługujących dziewcząt. To wszystko wraz z akcyjnemi browarami, płaćciami wysokie dywidendy, jest wytworem ostatnich czasów naszego cywilizowanego wieku, a i alkoholizm, w najostrzejszej, najmniej bezpieczniejszej swej formie, również jest haniebnem piętnem naszego stulecia. Jeżeli zaś w dawnych czasach istotnie rodzina jakaś się upijała, niewątpliwie po kilku pokoleniach śladu z niej nie pozostawało. Można-by całe listy rodzin takich przytoczyć, i to rodzin, które stanowiły ongi chlubę swego narodu. Przypomnę tylko, że dla stosunków nas najbliższej obchodzących dr J. Rolle (Antoni J.) przykłady takie zestawiał i dokładnie dzieje kilku takich rodzin wy badał.

Jeszcze lat temu kilkanaście nie znano dobrze doniosłości tego wszystkiego, a w Niemczech, kraju dobrych obyczajów, niewielu było ludzi, którzy-by uwagę swą zaprzęтали sprawą alkoholu. Jakże tam dziś inaczej! Jakkolwiek piwo uważano kiedyś za ów dobroczynny środek, który, dostarczony w odpowiednio dobrym a tanim gatunku, zdoła wyrugować wódkę, spostrzeżono jednak, że lek, w którym tyle pokładano nadziei, sam stał się trucizną i niebezpiecznym wrogiem. A gdy niedawno jeszcze wysmiano-by każdego, ktoby poważył się nawoływać swych bliźnich do opamiętania w tym względzie, dziś najmniej wstrzemięźliwi profesorowie fizjologii i higieny z katedr przemawiają do burszów i ciemnymi barwami malują przyszłość narodu niemieckiego. Gdy tak dalej pójdzie z piciem piwa — powiadają — z pewnością nie ostaniemy się w walce z innymi narodami. Piwo odurza nas i osłabia, czyni leniwymi na ciele i umyśle. Współzawodnictwo z innymi staje się dla nas na każdym polu uciążliwszem. Będziemy musieli wyrzec się kufła albo zginiemy.

„Ogólnie przyznają, że w walce narodów europejskich z rasą semicką trzeźwość i powściągliwość tej ostatniej główny stanowi oręż. Antysemita powinni-by rozpocząć agitację od zaprzestania swego wstrętnego żłopania piwa. Również ogólnie przyznają, że w walce narodów europejskich przy kolonizacji nowych części świata wstrzemięźliwość stanowi poważny czynnik dodatni. Wiadomo, że Niemcy, pomimo wszystkich swych cnót germańskich, głównie dlatego giną wśród innych narodów w Ameryce, że nie mogą się rozstać ze swym kuflem. W „pokojowej walce“ bezlitośnie zdeptaną zostanie ta rasa, która od alkoholu nie odstąpi“ (Bunge).

V.

Wszystkie przestępstwa na świecie nie niszczą tylu ludzi i tyle mienia, co pijaństwo.

Bakon z Werulamum.

W nowszych czasach wielokrotnie odzywano się, że związek pomiędzy pijaństwem a przestępstwami nie jest dostatecznie dowiedziony, ponieważ nie można stale wykazać paralelizmu między wzrastaniem konsumpcji alkoholu i zwiększaniem się liczby przestępstw. Ale bo też stosunek pijaństwa do przestępstw w rzeczywistości ująć się nie daje w formę bezpośredniej przyczynowości. Częstość przestępstw bynajmniej nie zależy wyłącznie tylko od stopnia niewstrzemięźliwości, raczej składają się na nią współcześnie najrozmaitsze warunki społeczne, w znacznej części wzajemnie od siebie niezależne. Lecz na te

wszystkie momenta pijaństwo wpływa sprzyjająco i w ten sposób rozumiałem się staję, że nadużywanie alkoholu pośrednio przyczynia się do zwiększenia liczby przestępstw. „Pijaństwo — powiada statistik angielski Leoni Levi — jest tem na polu chorób społecznych, czem gorączka w chorobach cielesnych: pogarsza ono przyczyny, sprowadzające społeczne cierpienia, wzmacnia skłonność do przestępstw i budzi poczucie zemsty.“

Dyrektor biura statystycznego we francuskim ministeryum finansów, Yvernés, złożył w r. 1889 nader ciekawe sprawozdanie na kongresie antyalkoholików w Paryżu. W okresie między 1868 a 1882 rokiem w Belgii konsumpcya alkoholu podniosła się z 7 na 9 litrów na głowę, a jednocześnie liczba przestępstw urosła z 1,900 do 2,877 na 100,000 mieszkańców. Z tego samego sprawozdania dowiadujemy się, że we Francyi przeciętna konsumpcya alkoholu wynosiła na głowę w latach 1873 — 1878 : 2.72 litra, w 1878 — 1882 : 3.53, w 1883 — 1887 : 3.83, a zgodnie z tem liczba przestępstw podniosła się z 172,000 do 195,000. We Włoszech w latach 1872—1885 konsumpcya alkoholu podniosła się z 2 do 7.5 litra na głowę, a w latach 1879—1885 liczba przestępstw wzrosła z 1,400 do 1,500 na 100,000 mieszkańców.

Z drugiej strony widzimy, że tam, gdzie zmniejsza się konsumpcya alkoholu, spada też liczba przestępstw. Tak więc np. w Norwegii od 1844 do 1871 r. zapotrzebowanie wódki zmniejszyło się z 10 do 5 litrów, a w 1876 r. do 4 litrów na głowę, a w tymże czasie liczba przestępstw z 294 na 100,000 mieszkańców opadła do 207 i 180. To samo zjawisko widzimy w Szwecyi, a dawniej jeszcze postrzegano je w Irlandyi. Kiedy w latach 1838—1842 ojciec Mathew w Irlandyi rozwijał dobroczynną działalność na polu walki z pijaństwem i konsumpcya wódki zmniejszyła się tu o 50% w porównaniu z poprzedzającym pięcioletnim okresem, wówczas i liczba ciężkich przestępstw spadła z 64,520 na 47,027, a zamiast 59 wyroków śmierci wykonano jeden tylko.

Bardzo zajmujące są też badania nad tem, jakim głównie przestępstwom sprzyja alkoholizm. I co nas w badaniach tych najbardziej uderza, to, że fakta najzupełniej pozostają w zgodzie z logiką rozumowania.

Najlepszy bodaj znawca tego przedmiotu, A. Baer, naczelny lekarz więzienia w Plötzensee pod Berlinem, zestawil bardzo obszerne odnośne tablice statystyczne. Poprzestańmy na kilku wyjątkach. Po między 7,392 więźniami znajduje się 3,282 złodzieiów, a więc prawie połowa ogólnej liczby. Z tych 3,282 osób — 1,048 = 32% są alkoholikami, a mianowicie $\frac{1}{3}$ pijaków nałogowych, a $\frac{2}{3}$ pijaków z okazji, t. j. takich, którzy upijają się tylko przy pewnych sposobnościach: w dni wypłaty, po ubiciu interesu, na chrzcinach i t. d. Liczby te przemawiają

za tem, że na występki przeciwko mieniu znaczny wpływ mają jeszcze inne okoliczności, prócz spożywania alkoholu. Istotnie jest tak. Przede wszystkim uwzględnić tu trzeba stosunki ekonomiczne. Za wielką liczbę kradzieży odpowiedzialną jest bieda, choć przybywają do niej najczęściej inne jeszcze pobudki, jak: złe towarzystwo, pijaństwo, sprzyjające okoliczności. Jeżeli wszakże choćby tylko w $\frac{1}{3}$ wypadków wszystkich kradzieży pijaństwo odgrywa rolę przyczyny wywołującej lub sprzyjającej, to już dużo bardzo to znaczy w ogólnym rezultacie.

W ogólnej liczbie więźniów na 3,282 złodziei przypadało 1.130 osób karanych za obrażenie cielesne. Z tych $\frac{2}{3}$, t. j. około 750, było alkoholików, wśród nich 150 nałogowych pijaków, a 600 pijących przy okazji. Te liczby wymagają pewnego zastanowienia. Zwłaszcza pijatyki okazyjne prowadzą do bijatyk i smutnych zakończeń. Nie przyjmują tu udziału nałogowi pijacy, zadawalniający swe potrzeby alkoholowe w cichych kątach, zdala od tłumu niedzielnego, lecz głównie są to dzielni robotnicy, którzy przez cały tydzień usilnie pracowali, a w niedzielę zmuszeni są zaspokajać swe towarzyskie popędy w szynkach, bo innych miejsc nie mają i nie znają. Otóż to właśnie jednorazowe podchmilenie sobie jest znacznie niebezpiecznijszem, niż ogólnie się sądzi. Łatwo zazwyczaj wybaczymy upicie się raz na tydzień lub na miesiąc, a nawet mocno są przekonani niektórzy, że to koniecznie dla równowagi potrzebne, bo przecie „trudno wiecznie być trzeźwym.“ A jednakże każdy, który upije się przy sposobności, kiedy i inni piją, w rzeczywistości znajduje się na najgorszej drodze. Nie przyzwyczajony do stanu odurzenia, traci on znacznie szybciej niż pijak nałogowy panowanie nad sobą, a choć w pijaku, leżącym na ulicy, nie upatruje blizkiego swego krewnego, istotnie jednak nie mniej od tamtego jest dla społeczeństwa niebezpiecznym.

Pomiędzy stawiającymi opór władzy, zakłócającymi spokój domowy, wykraczającymi przeciw przystojności publicznej, znajduje się około 75% pijaków, a prawie wszyscy oni należą do kategorii tych, którzy tylko przy rzadkich sposobnościach się upijają.

Wiadomo, że konsumpcya napojów alkoholowych nie jest jednakową przez wszystkie dni w tygodniu. Wielu jest ludzi, u których dni świąteczne przedewszystkiem są przeznaczone na orzeźwienie się przy kufiu i kieliszku. Jeśli więc istotnie pod wpływem alkoholu popełniana bywa znaczna część przestępstw, powinno to wyraźnie wystąpić w większej ich liczbie, przypadającej od soboty wieczorem do poniedziałku wieczorem. Sędzia śledczy, Lang, w Zurychu, podaje na to dużo przekonywających dowodów. Tak np. z 97 obrażeń cielesnych, notowanych jednego tygodnia w Zurychu, przypadało na sobotę 15, na niedzielę 32,

na poniedziałek 24, na resztę dni tygodnia razem 26. To dotyczy tylko oskarżeń. Co zaś do wyroków, znajdujemy takie zestawienie: w przeciągu całego 1891 roku skazano w okręgu zurychskim 141 osób za obrażenia cielesne i za udział w bijatykach, a z tych 141 przypadły wyroki za wykroczenia w soboty na 18 skazanych, w niedziele na 60, w poniedziałki na 22, w inne dni, lecz w nocy lub w piwiarniach, na 25, w wtorki, środy, czwartki i piątki po 4. Zupełnie to samo wynika z zestawień Langa dla wykroczeń przeciwko mieniu publicznemu i prywatnemu.

W Anglii sędziowie, urzędnicy policyjni i więzienni są przeświadczeni, że $\frac{1}{3}$ — $\frac{3}{4}$ wszystkich przestępstw ma swe źródło w alkoholu, a wyższy sędzia państwowy, lord Coleridge, powiada nawet: „Gdyby naród angielski mógł stać się wstrzemięźliwym, to $\frac{9}{10}$ więzień można by zamknąć.“ W r. 1872 pomiędzy osobami, uwięzionymi za rozmaite przestępstwa, było pijanych w Manchesterze 64.8%, w Liverpoolu 62.3%, w Leeds 43.7%, w Rochdale 43.5%.

Dla Francji już Quetelet zwracał uwagę na podobny stosunek, a prace późniejszych statystyków potwierdzają w zupełności te wywody. „Z dziesięciu dramatów, kończących się w sądzie policyi poprawczej—czytamy w czasopiśmie francuskim „Droit,“ — w dziewięciu pierwsze sceny rozpoczęły się w szynku.“ W rozmaitych prowincjach austriackich można wyraźnie wskazać istnienie paralelizmu pomiędzy konsumpcją alkoholu, liczbą szynków i przestępstwami. Dyrektor więzień niemieckich, dr Krohne, dochodzi w wykładzie swym „O pijaństwie i występkach“ do wniosku, że 70% wszystkich przestępstw pozostaje w bliższym lub dalszym przyczynowym związku z wódką.

Czyż liczby powyższe nie przemawiają zarazem za tem, że alkohol jest strasznym wrogiem życia ludzkiego? I czyż trzeba dopiero długich tablic statystycznych i zawiłych obliczeń, ażeby dowieść, że szczęścia rodzinnego nic może w tak wysokim stopniu nie podkopuje, jak alkohol? Jednak i co do tego punktu starano się zebrać materiał statystyczny. A pozostawiając na uboczu wszystkie pośrednie wpływy, zbierano tylko w statystyce rozwodów te wypadki, w których pijaństwo za powód żądania rozwodu było podawane. Liczby te bardzo są różne w rozmaitych państwach: w Niemczech np. alkoholizm stanowi 2—8% przyczyn rozwodów, w Danii około 25%. Lecz liczby te oczywiście stanowią tylko słabą miarę tego, w jakim stopniu istotnie życie rodzinne cierpi w jarzmie alkoholu. „Bo ileż jest zburzonego szczęścia rodzinnego, ile rozpaczy, ile łez wylanych przez cierpiących niewinnie, ile głębokiego szarpającego bólu, o którym nigdy najdrobniejsza wiadomość nie przenika do biura statystycznego!“

Łatwiej już można ocenić, w jakiej mierze ubóstwo, spowodowane przez alkoholizm, przyczynia się do podkopania fundamentów rodziny.

Robert v. Mohl powiada: „Samozasłużone ubóstwo wśród mężczyzn główną swą przyczynę ma w skłonności do picia. Pijaństwo jest najpotężniejszym wrogiem oszczędności. Tylko trzeźwy człowiek jest zdolny odłożyć zaoszczędzony grosz na czas biedy.“ Gdy w zimie 1860/61 roku w Londynie wielkie panowały mrozy i dotkliwy dał się uczuć wśród robotników brak zajęcia, a liczba wsparć, wydawanych z kasy miejskiej, znacznie się powiększyła, (udzielono wsparć 130,370 osobom, czyli 38,851 więcej, niż w tym samym czasie roku poprzedniego), okazało się, że z pomiędzy 7,947 rzemieślników i robotników, będących członkami towarzystw absolutnej wstrzemięźliwości, ani jeden nie zażądał publicznego wsparcia.

Może ten przykład sam już przez się starczyć za dowód, że alkohol jest bezpośrednią przyczyną pauperyzmu. Osłabia on też i owo twierdzenie licznych badaczy, którzy szukają odwrotnego stosunku i w pauperyzmie widzą przyczynę alkoholizmu. Nie ulega wątpliwości, że stosunki tu nie są tak proste, jakby się na pierwszy rzut oka zdawać mogło. Pomimo to wszakże, z wielu bardzo przykładów wynika, że alkohol istotnie najczęściej jest tu owem „primum agens.“ Dość wykazać, jak znaczną część swych dochodów robotnik, bez względu na wysokość zarobku, wydaje na trunki. Ma to niby na celu utrzymanie się do pracy, lecz istotnie podkopuje je tylko i niszczy ostatecznie. Ze wszystkich rodzin zubożałych, pozostających na łasce opieki publicznej, w Anglii 75% doszło do tego stanu nędzy wskutek pijaństwa głowy rodziny, w Genewie i Paryżu 80%, w Niemczech aż do 90%. Według sprawozdania urzędu jałmużniczego w stanie Nowojorskim za rok 1877, pomiędzy 3,855 żebrakami powyżej 16 lat, którzy wsparć żądali, 62.23% było pijanych, a wśród tych znów u 44.59% ojciec był niewstrzemięźliwym, a u 17.32% matka. W Danii w ciągu dziesięciolecia 1871 — 1880, było 64,248 osób umieszczonych w przytułkach żebraczych, a z tych 19,333 z powodu alkoholizmu własnego lub rodziców. „Wszędzie, gdzie panuje niewstrzemięźliwość, idzie za nią bieda i nędza, jak cień za człowiekiem. W dniu, w którym pijaństwo zniknie, zniknie też więcej niż połowa pauperyzmu“ (Picard).

W związku z temi bezpośrednimi skutkami, jakie alkoholizm sprowadza na poszczególne jednostki, pozostaje sprawa ekonomiczna, obliczenie, jakie sumy pochłania alkohol w całych państwach. Otóż, według dokładnych obliczeń, Anglia w r. 1887 wydała około 2,800 milionów rubli (124,953,680 ft. sterl.) na napoje alkoholowe; państwo tak małe, jak Belgia, w tym samym roku wydało przeszło 135 milionów franków na samą tylko wódkę, a na wszystkie razem trunki alkoholowe

przeszło 474 miliony franków. Same tylko Prusy wydały w r. 1881/82 na wódkę 221 milion. marek, czyli o 71 milionów więcej, niż wynoszą wszystkie bezpośrednie podatki w państwie, a całkowity wydatek na piwo, wódkę i wino w Prusiech wynosił w tymże roku 867 milionów marek.

Z powyższym wydatkiem w Anglii warto porównać, że państwo to na cele kształcenia wydaje rocznie tylko 11 milionów ft. szt., a na chleb 70 milionów. Z cyframi dla Belgii warto zestawzić, że kraj ten wydaje rocznie na oświatę publiczną tylko 16 milionów franków. W Belgii jeden szynk przypada na 43 mieszkańców — i ci oczywiście utrzymują go, — a jedna szkoła zaledwie na przeszło 1,000 mieszkańców.

„Na rok 1886 obliczono w Niemczech koszt skonsumowanej wódki na 496 milionów marek. Co znaczą rocznie te 500 milionów? Za tę sumę można-by co rok wybudować i natychmiast spłacić 200,000 mieszkań dla robotników po 2,500 marek. Sumą tą można-by osiem razy pomnożyć działalność wszystkich kas robotniczych w całym Niemczech. Wynosi ona prawie dwadzieścia razy więcej, niż wynosiły w 1888 r. wszystkie koszta ubezpieczeń robotników od wypadków“ (Felsen). W samych tylko Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej — tak brzmi sprawozdanie ministra Everette'a — w latach 1860—1870 konsumpcya spirytualiów nałożyła na naród 3 miliony bezpośrednio i 600 mil. dolarów pośrednio wydatku, zniszczyła życie 300 tysięcy ludzi, wtrąciła 100,000 dzieci do przytułków, a najmniej 150,000 osób do więzień i domów roboczych, spowodowała 2,000 samobójstw, stratę co najmniej 10 mil. dolarów przez ogień i rabunek i wreszcie stworzyła 20,000 wdów i milion sierot.

Wiadomo, że ta olbrzymia konsumpcya alkoholu jest ważnem źródłem dochodów skarbowych we wszystkich niemal państwach. I ten wzgląd jest dla wielu ludzi argumentem, który przecina wszelką dyskusyę w sprawie alkoholu. Lecz zapominają zupełnie o wydatkach, jakie państwo znów ponosi skutkiem rozpowszechnienia alkoholu. Ta sprawa czysto ekonomicznej natury była powodem wielu rozpraw, z których ogólnie wynika, że skarb niewiele traci, gdy możliwemi środkami stara się ograniczyć konsumcyę alkoholu, a dowody na to złożyły już niektóre europejskie i amerykańskie państwa. Powrócimy jeszcze do tego punktu. Tu tylko dodamy, że słynni ekonomiści nie przewidują żadnego niebezpieczeństwa dla państwa wówczas, gdy rozumniemi środkami alkohol z powszechnego użycia zostanie wyparty. Znakomity ekonomista szkocki, Adam Smith, powiada: „Praca, służąca do wytwarzania mocnych trunków, do siania, hodowania i zbierania zboża, do dalszej jego przeróbki, do warzenia w browarach i gorzelniach, do destylowania, jednym słowem, do całkowitego wyrobu, przesyłki i sprze-

daży tych napojow zupełnie jest nieprodukcyjna. Nie wytwarza ona takich rzeczy, które słusznie nazywać-by można dobrami. Praca, która idzie na wyrób tych trunków, nie powiększa zamożności społeczeństw, nie przysparza środków pokarmowych i nie daje źródeł prawdziwej rozkoszy, lecz przeciwnie to tylko stwarza, co wprost jest szkodliwem dla interesów ludzkości.“

Pomyślmy tylko, że znaczną część tej sumy, jaka wpływa do worka państwa z podatków od alkoholu i z całego odnośnego przemysłu, państwo musi zwracać w postaci wydatków na utrzymanie machiny sprawiedliwości, na więzienia, domy robocze, szpitale i przytułki. Poruszamy się w prawdziwie zakłętym kole! Sami niszczymy zdrowie, sami stwarzamy zbrodnie i występki, sami spadamy na najniższe szczeble moralności—i hojnie za to wszystko płacimy, by następnie za te same pieniądze być utrzymywanym i w celu jakiego takiego spędzenia resztek życia, odosobnionymi od świata, by go nie zakazać, na hańbę całej ludzkości!

VI.

Piwowar zabiera ludziom chleb, by go zamienić na truciznę. Karol Darwin.

Energię życiową czerpie organizm ze złożonych w pokarmach sił napięcia chemicznego. Spożywane przez nas pokarmy utleniają się w tkankach ciała, dzięki czemu owa chemiczna energia przeobraża się na ruch i ciepło. W tej właśnie przemianie tkwi źródło sprawności życiowej, a wartość pokarmów w tym względzie określamy ilością ciepła, jaką wytwarzają one przy spalaniu się, czyli utlenieniu.

Najprostszy rachunek przekonywa, że ilość alkoholu, wytworzona z pewnej ilości mączki lub cukru, daje przy utlenieniu mniej ciepła, aniżeli pierwotna mączka lub cukier. Z drugiej strony mączka i cukier są niezbędnymi częściami składowymi naszych środków pokarmowych. To samo więc dostatecznie już objaśnia, jak ze stanowiska fizyologicznego nieracjonalnem jest przeobrażanie mączki na alkohol.

Alkohol wytwarza się z ciał cukrowych dzięki działalności życiowej komórek drożdżowych, które spalają niejako w części cukier, wytwarzając dwutlenek węgla (kwas węglany) i współcześnie wyrabiając alkohol. Drożdże znajdują w cieczach cukrowych właściwy swój żywioł, rozwijają się w nich doskonale, karmią się niejako cukrem, a jako zbyteczne szczątki swej życiowej czynności wydają dwutlenek węgla i alkohol. Ten ostatni my, ludzie, spijamy, sądząc najczęściej, że to

spożywanie alkoholu również jest nam wskazane przez przyrodę, jak karmienie się mięsem i chlebem. Doprawdy, potrzeba wiele naiwności, ażeby przypuszczać, że natura skazała nas na symbiozę z komórkami drożdżowemi.

Podczas fermentacji alkoholowej, czyli procesu wytwarzania alkoholu z cieczy cukrowych, zwykle obok głównych produktów: alkoholu i kwasu węglanego, powstają jeszcze, w małych co prawda ilościach, liczne inne związki chemiczne, nawet charakteryzujące ów surowy materiał, z którego alkohol powstał. W wódce, pędzonej w gorzelnianach, po fermentacji zacieru kartoflanego, zawarte są np. ciała podobne do zwykłego alkoholu, t. zw. alkohol propylowy i amyłowy, które nazywamy niedogonem (fuzlem). W winie, powstającym przez sfermentowanie moszczu z gron winnych, znajdują się związki eterowe, nadające winu charakterystyczny zapach (bukiet). W piwie, otrzymywanem z roślin zbożowych, znajduje się kwas bursztynowy, gliceryna oraz dekstryna.

Te uboczne produkta fermentacji alkoholowej również zająć nas powinny, jeśli sprawę alkoholu zamierzamy wszechstronnie omawiać. Niedogonowe alkohole (olejek niedogonowy), zawarte w wódce, wielokrotnie były obwiniane o to, że one-to właściwie sprawiają odurzenie i że im wyłącznie przypisać należy szkodliwe działanie wódki na organizm. Istotnie dowiedziono (Dujardin-Beaumetz i Audigé), że dla wywołania zatrucia alkoholowego potrzeba znacznie więcej zwykłego alkoholu etylowego, aniżeli propylowego i amyłowego. I oto powstano przeciw tym ostatnim, a wszystkie usiłowania techniki gorzelnicznej skierowano ku ich usunięciu z wódki. Poczęto najpilniejszą zwracać uwagę na rektyfikowanie i oczyszczanie spirytusu i osiągnięto na tem polu prawdziwie piękne rezultaty. Lecz bynajmniej nie usunięto jednocześnie szkodliwości wódki. Wódka pozostała nadal tem, czem była dawniej. I dziwić się temu nie można. Przerachowano się bowiem, przeceniono znaczenie drobnych ilości niedogonu, a nie liczono się dostatecznie z głównym sprawcą złego, z alkoholem etylowym. Cóż bowiem z tego, że na zabicie jednego kilograma zwierzęcia potrzeba tylko 3.75 grama alkoholu propylowego lub 1.5 grama alkoholu amyłowego, a aż 7.75 gram. alkoholu etylowego, kiedy tego ostatniego nieoczyszczona nawet wódka zawiera przeszło 50 i 100 razy więcej, niż propylowego i amyłowego? Oczyszczajmy wódkę z niedogonu, zgoda, ale nie łudźmy się, żeśmy usunęli z niej istotnie najszkodliwsze części składowe. Alkohol etylowy, to składnik najniebezpieczniejszy, i nie pomogą wszelkie rektyfikacje, dopóki w zupełności nie zrektyfikujemy naszych błędnych i przesądnych poglądów w tej sprawie.

Gdy tak w wódce szukano kozła ofiarnego, na którego zwalić-by można odpowiedzialność za zgubne skutki pijaństwa i sądzono, że znalazł się on w postaci owego „fuzlu,“ w piwie natomiast i winie, które przeciwstawiano wódce, starano się znaleźć składowe części pożywne, ażeby zasłonić się nimi i usprawiedliwić spożywanie tych napojów. I znaleziono w piwie dekstrynę, ciało bardzo podobne do mączki i cukru, które istotnie posiada pewną wartość pożywną. Lecz znajduje się ono tu w tak małej ilości, a z drugiej strony tak obficie jest zawarte w najtańszych pokarmach (chlebie), że potrzeba wielkiej krótkowzroczności, żeby przypuszczać, iż piwo istotnie zawartą w sobie dekstryną korzyść organizmowi przynosi. W Bawaryi za jedną markę (około 40 kop.) dostaje się około 4 litrów piwa. W tej objętości, licząc suto, zawartych jest 240 grm. wodorów węgla i zaledwie 32 grm. białka. Lecz za tę samą cenę, kupując chleb, dostaje się 2,000 grm. wodorów węgla i obok tego jeszcze 250 grm. białka. Widzimy więc, że cena najtańszego piwa jest ośm razy wyższą od ceny chleba, a okaże się jeszcze wyższą, jeżeli porównamy ją z ceną kartofli, grochu i innych środków pokarmowych. W winie wszystkie pomyślnie skutki składano na cukier i olejki eteryczne. Lecz o cukrze to samo powiedzieć należy, co o dekstrynie piwa, co zaś do olejków eterycznych, nikt nie twierdził nigdy, że mają one jakkolwiek wartość pokarmową. Można je najwyżej zaliczyć do tych substancji, które nazywamy używkami, a które, działając na nasze powonienie i smak, wprowadzają odmianę w pokarmach i czynią je smaczniejszymi, a pobudzają nawet całą sprawę trawienia i przyswajania prawdziwych środków spożywczych.

Konieczność przyjmowania używek jest dawno w fizyologii stwierdzonym faktem. Absolutnie wyżyć nie byli-byśmy zdolni, gdy-byśmy się karmili tylko białkiem, cukrem, mączką, tłuszczami, solami mineralnymi i wodą. Strawa zmieszana z tych ciał zupełnie nie ma smaku i po pewnym czasie prawdziwy wstręt wzbudza. I oto używki mają za zadanie uczynić tę strawę smaczną, oddziaływać nie tylko na nerwy języka, podniebienia, lecz nawet pobudzać gruczoły do wydatnego wydzielania soków trawiących, a błonę śluzową przewodu pokarmowego do szybkiego chłonięcia strawionych pokarmów. Używki w części zawarte już są w przyrządzanych przez przyrodę środkach pokarmowych, w części zaś sztucznie je do strawy naszej dodajemy. Ci zaś, którzy godzą się, że alkohol za pokarm uważany być nie może, starają się zatrzymać dlań przynajmniej rolę używki.

Wszystko wszakże, co powiedzieliśmy o fizyologicznem działaniu alkoholu, najzupełniej przeczy temu przypuszczeniu, nie można bowiem dowieść korzystnego działania alkoholu na żaden organ układu pokarmowego. Również nie da się nic pochlebnego powiedzieć o działaniu

alkoholu na układ nerwowy, wszystkie bowiem sprawiane przezeń działania sprowadzają się do porażenia funkcji mózgowych. W grubym błędzie są ci, którzy porównują alkohol z herbatą i kawą. Wiemy najdokładniej, że herbata i kawa umiarkowanie używane działają pomysłnie na nerwy i mózg i nie atakują żadnego organu. Dowiedziono, że spożywanie kawy przyspiesza pewne funkcje mózgowie, nie osłabiając bynajmniej jasnego sądu, krytyki, jak to czyni alkohol. Gdy zaś twierdzą, że nadmierne picanie kawy również prowadzi do chorób, do rozstroju nerwowego, jak i nadmierne picanie alkoholu, toż z tego wynika tylko, że ta niewstrzemięźliwość na punkcie kawy również powinna być strofowana. Zresztą niema ludzi, którzy-by odurzeni kawą popełniali przestępstwa, którzy-by rodziny swe do nędzy doprowadzali, a światu dawali dzieci—kaleki fizyczne i moralne. Gdyby tak było, mieli-byśmy równe prawo walczyć z kawą, jak mamy je niewątpliwie, gdy występujemy przeciw alkoholowi. Używka póty tylko jest używką, póki działa korzystnie na organizm indywidualny i nie sprowadza zgubnych skutków dla organizmu społecznego. A tego o alkoholu bynajmniej powiedzieć nie można.

Do niedawna jeszcze sądzono, że nie można się obyć bez alkoholu przy odżywianiu wojska, lecz masowe doświadczenia przekonały aż nadto wyraźnie, że żołnierz najlepiej znosi wszystkie trudy fizyczne, że najwytrwalej maszeruje, gdy alkoholu nie dostaje. Doświadczenia te robiono w najrozmaitszych strefach kuli ziemskiej, w najróżniejszych klimatach, na lądzie i na morzu, i wszędzie ten sam otrzymano rezultat. To też dawny zwyczaj dawania wódki żołnierzom został już zniesiony we wszystkich prawie europejskich i amerykańskich państwach. Livingstone powiada: „Żyłem przez lat przeszło 20 według zasady zupełnej wstrzemięźliwości. Jestem przekonany, że najcięższą pracę i największe trudy doskonale znosić można bez alkoholowych napojów.“

Przypuszczano, że zwłaszcza podczas mrozów w zimie, rozgrzewanie się wódką jest nieodzownie potrzebne. Lecz oto w „Hygienie wojskowej“ Kirchnera (1877 r.) znajdujemy, że „Karol XII stracił w Rosyi w pochodzie do Gadicza 3,000 do 4,000 ludzi przez zmarznięcie, żołnierze bowiem starali się odmrożonym członkom wrócić siłę i ciepło przez obfite zapijanie wódki, lecz tem pewniej sprowadzili szybką śmierć.“ Znany norweski podróżnik do bieguna północnego, Fridtjof Nansen, pisze: „Według poglądu mego i doświadczenia, zupełnie jest fałszywem twierdzenie, że napoje alkoholowe są niezbędne w zimnym klimacie. Nie tylko nie są niezbędne, lecz wprost szkodliwe. Jak wiadomo ogólnie, temperatura ciała opada pod wpływem alkoholu i oczywiście najmniej da się to wytrzymać w zimnych strefach. Gdy zaś przybędą do tego duże wysiłki cielesne, napoje alkoholowe w zu-

pełności mogą zdrowie zrujnować.“ Zupełnie też wykluczono już napoje wysokowe z marynarki, a współcześni podróżnicy do bieguna (Nansen, Nordenskjöld, Weyprecht) rekrutują swe załogi wyłącznie tylko z ludzi wstrzemięźliwych.

Żadnym wysiłkom mięśniowym alkohol nie sprzyja. Wiadomo to doskonale tym wszystkim, którzy trenują się, gdy idzie o wyścig sportowy. Wiadomo również turystom, którzy najlepiej wspinają się po górach, nie racząc się winem ani koniakiem. Ci zaś, którzy myślą, że na większą wycieczkę górską bez alkoholu wybrać się nie można, to nie prawdziwi taternicy albo alpiniści, lecz niedołąźni „poskramiacze gór,“ których moda i chęć popisania się pędzi w obłoczne sfery.

Prawdziwie zgubnym jest zwyczaj posilania dzieci napojami alkoholowymi. Radość matek i ojców na widok pierwszego skrzywienia się twarzyczki dziecka przy podawaniu mu piwa lub wódki staje się następnie tem większą, im dziecko do większych ilości nawyka. Lecz bardzo ściśle badania nad wpływem alkoholu na dzieci (Demme) przekonały aż nazbyt dosadnie, że na te nierozwinięte jeszcze organizmy działa on nierównie zgubniej jeszcze, niż na dorosłych ludzi. Znakomity klinicysta wiedeński, prof. H. Nothnagel, powiada: „Jest to prawdziwy rak, toczący współczesne pokolenia, że dzieci dostają przy stole wino i piwo.“

I pracę umysłową wykonywamy najlepiej, nie pobudzając się do niej alkoholem. Ludzie, którzy nie są już zalkoholizowani, czyli ci, którzy nałogowo alkoholu nie przyjmują, mogą się o tem na sobie doskonale przekonać. Alkohol w szeregu związków chemicznych należy do tych ciał, które, przyjmowane stale przez człowieka, stają się dlań po pewnym czasie niezbędniemi. I dlatego nałogowo pijący nie czuje się zdrowym, gdy alkoholu się wyrzeka, zupełnie tak, jak morfinista, który bez morfiny żyć nie może.

Wyczerpany bądź fizycznie, bądź umysłowo organizm, co prawda, może się na krótki czas podniecić alkoholem, może znów do pracy powrócić, lecz tutaj alkohol jest tem samem, czem bicz na wycieńczonego pracą konia. Na chwilę do dalszych wysiłków go pobudza, lecz tem niezawodniej podrywa istotny kapitał sił organizmu. Kto zmęczony pracą, ten wypocząć musi—oto nieublagane prawo przyrody. A wykraczający przeciw temu prawu zakłócają fizyologiczną, normalną równowagę sił, rządzących żywym światem.

I oto że wszystkich tak zachwalanych własności alkoholu nic nie pozostało. Można mu jedynie tylko przypisać znaczenie doskonałego środka leczniczego, który w pewnych chorobach znakomite oddaje usługi. Zdrowy wszakże organizm leków nie potrzebuje, a nawet są one dla niego truciznami. Sprawdza się też to istotnie na alkoholu. W mo-

rzu alkoholu, zalewajacem ludzkość, toną najsilniejsze organizmy, najpiękniejsze charaktery, najidealniejsze porywy, najszlachetniejsze myśli, a na powierzchnię jego brudnych fal wypływają choroby, obłąd, nędza i występki. Dość spojrzeć na inteligentnych, zdolnych, uczonych nawet ludzi, jak często pod wpływem alkoholu umysł ich tępieje, a charakter nikczemnieje.

VII.

Sprawa wstrzemięźliwości jest podstawą wszelkich społecznych i politycznych reform. Najszczerzszymi przyjaciółmi pracujących milionów są ci, którzy przykładają ręki do szerzenia wstrzemięźliwości.

Ryszard Cobden (1804—1865).

Znacznie wcześniej zanim poznano dokładnie fizyologiczne działanie alkoholu, poczęto już walczyć z nadmiernem spożywaniem trunków wysokokowych. Skutki pijaństwa nazbyt rążaco były w oczy, aby można było ich nie dostrzedz. I walka ta dotychczas nie ustała, lecz przeciwnie wzmaga się coraz bardziej i staje się coraz konsekwentniejszą. Rozmaite są środki w tej walce, a przedewszystkiem dwa rozbieżne zasadnicze poglądy dotychczas jeszcze kierują tymi, którzy podjęli broń przeciw pijaństwu.

Jedni są zdania, że umiarkowane spożywanie alkoholu jest uzasadnione, a nawet w wielu razach pożyteczne, i wszelkimi środkami starają się zwalczać tylko nadmierne picie. Inni natomiast sądzą, że namiętne, nadmierne picie powstaje zawsze z pierwotnie umiarkowanego i że jedynie przekonanie o zupełnej zbyteczności, ba! nawet szkodliwości choćby najmniejszych ilości alkoholu, może skutecznie pokonać pijaństwo. Większość ludzi — przyznajmy to zaraz — stoi po stronie „umiarkowanych,” znaczna mniejszość zalicza się do „wstrzemięźliwych.” Na razie powstrzymajmy się od wyrzeczenia, po której stronie, zdaniem naszym, jest słusność. Łatwiej sąd należyty zdobędziemy, gdy zapoznamy się kolejno ze wszystkimi środkami, jakich użyto dotychczas w wielkiej kampanii przeciw alkoholowi.

Środki te podzielić można na dwie grupy: środki przedsiębrane przez społeczeństwa i środki przedsiębrane przez państwo.

Na czele pierwszej kategorii stoją bardzo liczne stowarzyszenia umiarkowania i wstrzemięźliwości. Najstarsze stowarzyszenia istnieją w Ameryce północnej. W roku 1804 doktor Benjamin Rush zwrócił uwagę opinii publicznej na wpływy, wywierane przez napoje alkoholo-

lowe na ciało i umysł człowieka; a w r. 1808 po raz pierwszy zebrało się w Moreau (Stan Nowojorski) 43 mężczyzn i zawiązało towarzystwo, zobowiązawszy się nie pić nigdy odurzających napojów, ani nigdy napoju takiego nikomu nie nalać. Pierwsze atoli próby nie były zaraz uwieńczone pomyślnym skutkiem. Alkoholizm w Ameryce północnej zbyt głęboko podówczas zapuścił korzenie, aby można było spodziewać się szybkiego wyplenienia tego chwastu. A nienauczeni żadnymi poprzednimi przykładami, nowozaciężni żołnierze w wojnie z pijaństwem liczyli na zbyt pośpieszne tryumfy. Z czasem jednak przekonano się, że podjęto pracę ciężką, i że długo borykać się wypadnie. We wszystkich warstwach społeczeństwa pijaństwo niezmiernie było rozpowszechnione. W wysokim stopniu cierpiała też od alkoholizmu cała machina administracyjna, tak, że Tomasz Jefferson, który trzy razy był wybierany prezydentem republiki, widział się zmuszonym do wyrzeczenia: „Przyzwyczajenie urzędników do alkoholu wiele przynosi szkód służbie publicznej... Gdy teraz znów obejmę zarząd, to, nauczony doświadczeniem, każdego, który ubiegać się będzie o urząd, przedewszystkiem pytać będę, czy pije napoje alkoholowe.“

Najpożyteczniejszem i najwzorowszem w Ameryce było stowarzyszenie, założone w 1813 r. w Bostonie, które z początku wystąpiło do walki tylko z nadmiernem użyciem napojów, lecz wkrótce połączyło się z innymi towarzystwami, które wszystkie przyjęły za zasadę absolutną wstrzemięźliwość. W r. 1829 było już w Ameryce przeszło 1,000 związków miejscowych, liczących przeszło 100,000 członków. W roku 1835 w samych Stanach Zjednoczonych przeszło 2 miliony ludzi wyrzekło się zupełnie alkoholu, a przeszło 1½ mil. należało do 8,000 stowarzyszeń umiarkowania. Z biegiem czasu towarzystwa, propagujące umiarkowanie, coraz bardziej zanikały, natomiast rozwijała się znakomicie działalność towarzystw zupełnej abstynencji, które obecnie stanowią już w Stanach Zjednoczonych tak silną partycję, że liczyć się z nią muszą poważnie inne partycje narodowego przedstawicielstwa. W wielu Stanach (Maine, Iowa, Vermont, Rhode Island, Kansas, Georgia) zdołano już przeprowadzić zupełny zakaz produkcji i sprzedaży napojów alkoholowych, a we wszystkich innych od wielu lat najnamiętniejsze utarczki parlamentarne o to samo się odbywają.

Jeszcze liczniej występują stowarzyszenia zupełnej wstrzemięźliwości w Anglii. Rozwijają one godną prawdziwego podziwu działalność na wielkich meetingach narodowych, w związkach kobiet i młodzieży, w gminach, a także w parlamencie. W nowszych czasach liczba osób, które zupełnie wyrzekły się alkoholu, wynosi w Anglii 5 milionów i temu przypisują ogólnie zmniejszenie się tutaj konsumpcji alkoholu w ostatnich kilku latach (1890). Działalność tych stowarzy-

szeń i ofiarność ich dla celów, które sobie wytknęły, można w przybliżeniu ocenić z ich bogactwa i wydatków. Tak np. „National Temperance League“ wydaje rocznie około 3,400 fnt. st.; „United Kingdom Alliance“ przeszło 19,000 funtów; „British Temperance League“ około 2,000 funt.; „Scottish Temperance League“ około 8,000 funt.; „Church of England Temperance Society“ 7,500 i t. d.

W dziejach walki z alkoholizmem napotykaemy mnóstwo najpiękniejszych kart. Ta uwaga nam się nasuwa, gdy przypomnimy sobie, z jakim zapałem i zaparciem się siebie działał na początku tego stulecia ojciec Mathew w Irlandyi. Gdy przyszedł do przeświadczenia, że tylko zupełna abstynencya może położyć tamę spustoszeniu, jakie sprawia alkohol, całe swe życie poświęcił propagowaniu tej idei. W Corku w ciągu 8 miesięcy zdobył sobie 156,000 zwolenników. W 1838 roku, na kilka dni przybywszy do Limmerick, nakłonił do zupełnej abstynencyi 15,000 ludzi. Prostotą swej wymowy i siłą wewnętrznego ognia zapalał on masy, które oprzeć mu się nie mogły. Założone przezzeń „Irish total Abstinence Association“ obejmowało 1,800,000 członków. I widoczne były owoce tej niez mordowanej pracy ojca Mathewa. W roku 1838 wypito w Irlandyi 12 $\frac{1}{4}$ miliona galonów whisky, a w 1841 tylko 6 $\frac{1}{2}$ milion.; w r. 1837 popełniono 12,096 przestępstw, a w r. 1841 tylko 773. Ojciec Mathew ciągnął bezustannie od wsi do wsi, od miasta do miasta i wszędzie zjednywał zwolenników sprawie wstrzemięźliwości. Prócz niego w samej Anglii inni jeszcze energiczni działacze całe swe życie poświęcili na wojnę z alkoholem i do tego stopnia tam ją uprawili, że dzisiaj jest to kraj najwytrwalej i najskuteczniej na tem polu pracujący. Izby posłów bezustannie są tu zajęte coraz to nowemi i coraz to skuteczniejszymi planami, zdążającemi do zwalczenia plagi pijaństwa.

I w Szwecyi liczne stowarzyszenia wstrzemięźliwości prowadzą walkę z pijaństwem. Na początku czwartego dziesiątka naszego stulecia słynny przyrodnik i lekarz, dr Retzius, założył w Sztokholmie towarzystwo zupełnej abstynencyi, które, dzięki niewyczerpanej pracy proboszcza Piotra Wieselgreua, zyskiwało sobie coraz większe uznanie pomiędzy ludem, a w r. 1837 wytworzyło się z niego wielkie szwedzkie stowarzyszenie wstrzemięźliwości. Stopniowo przyłączały się doń pomniejszych związki, które objęły około 100,000 członków. Stowarzyszenia te wymogły na rządzie mnóstwo reform w zakresie fabrykacyi i handlu alkoholowemi napojami (o czem niżej), a niedawno jeszcze (1881 r.), kiedy w szwedzkiej izbie posłów chodziło o zmianę odnośnych praw na niekorzyść sprawy wstrzemięźliwości, udało im się pozyskać poparcie króla Oskara i odwrócić grożące niebezpieczeństwo. Według

wiarogodnych źródeł jest obecnie w Szwecyi 300,000 osób, które zupełnie alkoholu się wyrzekły.

W Norwegii również od wielu dziesiątków lat czynny prowadzi żywot stowarzyszenia, propagujące umiarkowanie, i już w 1850 roku liczyły one 30,000 członków. W nowszych czasach podjęli tam pracę zwolennicy zupełnej abstynencji, których bezprzykładnej gorliwości przypisać też trzeba, że Norwegia jest dziś najwstrzemięźliwszym krajem na świecie. W r. 1886 istniało tu przeszło 600 sekcji wielkiego norweskiego związku zupełnej abstynencji, założonego w roku 1859 w Stavanger, i liczyły razem około 80,000 uczestników. Niema w Norwegii ani jednego miasta i niewiele tylko jest gmin wiejskich, w których związek ten nie miał-by swej filii. Pod koniec 1887 r. było już tych sekcji 643 (z 83,000 członków), a w 1888 r. liczba ta wzrosła do 700 z 95,000 członków. Prócz tego liczy Norwegia 3,000 członków „błękitnego związku“ i około 13,000 „Good-Templarów.“

W Danii od lat kilku istnieje około 500 związków zupełnej wstrzemięźliwości z 25,000 członków, a prócz tego jeszcze 6,000 Good-Templarów.

Zakon „Good-Templarów“ powołany został do życia w New-Yorku w 1851 i w ostatnich czasach pozakładał swe łóże we wszystkich częściach świata. Zasadą tego stowarzyszenia jest osobiste wyrzeczenie się wszelkich wyskokowych trunków, oraz dążenie do przeprowadzenia prawa, które ograniczyło-by fabrykację, import i sprzedaż napojów alkoholowych. W początku r. 1871 zakon ten liczył w 17 stanach Ameryki północnej 34 wielkie łóże, których głównem ogniskiem była wielka łóza w Cleveland. Założył on nadto mnóstwo łóż we wszystkich koloniach angielskich, a począwszy od 1870 r. rozwija też swą działalność w Europie, naprzód w Wielkiej Brytanii, następnie w Norwegii, Szwecyi, Danii, w północnej Francyi, Szwajcaryi, a obecnie i w Szlezwiugu. W końcu roku 1888 miał on w Anglii 1635 łóż z 110,288 członków, w Danii, jak już wspomnieliśmy, 6,000 członków, w Norwegii około 13,000, w Szwecyi 48,000 (669 łóż).

W Hollandyi przeszło 40 lat już istnieje wielkie stowarzyszenie wstrzemięźliwości (Nederland'sche Vereeniging tot afschaffing van sterke Drank) z wieloma oddziałami.

W Szwajcaryi zawiązywanie towarzystw wstrzemięźliwości sięga roku 1835. Największe z nich, zawiązane w 1881 roku przez Bovet'a i Rochat'a stowarzyszenie „błękitnego krzyża“ liczy obecnie 5,500 członków, w r. zaś 1881 miało ich tylko 366. Jest ono rozpowszechnione we wszystkich kantonach, a w ostatnich latach zyskało sobie mnóstwo zwolenników we Francyi i w Niemczech. Ustawa tego stowarzyszenia przyjmuje trzy kategorie członków: rzeczywistych, [któ-

rzy są zupełnie wstrzemięźliwi, dalej przypisanych, którzy na pewien tylko czas obowiązują się do wstrzemięźliwości lub umiarkowania, i wreszcie takich, którzy datkami pieniężnymi przyczyniają się do popierania usiłowań towarzystwa.

Cały szereg stowarzyszeń wreszcie działa nie wyłącznie tylko bezpośrednio przez zyskiwanie sobie członków, lecz pośrednio, starając się wpływać na opinię publiczną, oświecając lud przez wydawanie odpowiednich książek i pism, wygłaszanie odczytów, oddziaływając na ciała prawodawcze i t. d. Takimi stowarzyszeniami np. są we Francji „Association française contre l'abus des boissons alcooliques“ (od 1871 r.), w Niemczech: „Deutscher Verein gegen den Missbrauch geistiger Getränke“ (od 1883 r.), w Belgii: „Ligue patriotique contre l'abus des boissons alcooliques,“ w Austrii: „Oesterreichischer Verein gegen den Missbrauch geistiger Getränke.“ W roku 1890 zawiązało się wielkie międzynarodowe stowarzyszenie, propagujące bardzo pomysłnie ideę zupełnej wstrzemięźliwości (Internationaler Verein zur Bekämpfung des Alkoholgenusses), z głównem siedliskiem w Zurychu.

Kto ma sposobność dokładnie badać historię tych wszystkich związków, a jednocześnie z ich rozwojem lub zanikiem zestawiać inne objawy w organizmie społecznym, nie może się oprzeć jasno wynikającemu rezultatowi, że konieczność walki z alkoholem coraz wyraźniej uświadamiają sobie wszystkie warstwy ludności. Przedewszystkiem zaś istnienie tych stowarzyszeń, ich rozmnażanie i rozszerzanie się dowodzi raz jeszcze, że eksperyment, polegający na zupełnem wyrzeczeniu się alkoholu, bez szkody dla zdrowia i bez pozbawienia się jakichkolwiek rozkoszy życiowych, udał się najdoskonalej wiele milionów razy. Jeżeli, pomimo istnienia tylu stowarzyszeń, pomimo ich niezmiernie czynnej działalności, pijaństwo w bardzo małym stopniu zostało ukrócone—a to jest główny zarzut, stawiany przez przyjaciół alkoholu, którzy dowodzą zupełnej bezużyteczności tych wszystkich związków,—dowodzi to tylko, że klęska alkoholowa niezmiernie jest poważna, że sięga ona głębiej, niżli zwykle sądzimy, że dla jej wytrzebienia większych jeszcze ofiar potrzeba, że szeregi przeciwników alkoholu znacznie wzmocnić się powinny. Pomyślmy tylko o tych niezliczonych przyczynach, które składają się na wytwarzanie i podtrzymywanie nałogu picia; pomyślmy o olbrzymiej liczbie ludzi, którzy z własnego interesu muszą być najgorętszymi wrogami wstrzemięźliwości; pomyślmy o tej nieprzejrzałej armii umiarkowanych i nieumiarkowanych pijaków, przykładem swym bezustannie zarażających miliony, które nigdyby nie piły; pomyślmy wreszcie o skarbowych interesach państwa, które nie zawsze szczerze życzą sobie zupełnego ukrócenia konsumpcji alkoholu. Wszystkie te momenta razem wzięte są tak

wielką potęgą, że każdy pomyślny krok w walce z nią uważany być winien za prawdziwie duże zwycięstwo. Nie zapominajmy i o tem, że niektóre stowarzyszenia mają charakter religijny, który do pewnego stopnia stawia tamę ich rozwijaniu się, że inne mają pewne odcienie polityczne i z góry już zakreślają sobie ograniczoną sferę działania. Tak np. dzieje się w wielu stowarzyszeniach w Ameryce i Anglii. Podobnie działo się w początkach ze stowarzyszeniami wstrzemięźliwości w Niemczech, które obecnie wielkie już zataczają koła. W północnych Niemczech np. nie zdołały one sobie z początku zyskać sympatyj szerokich warstw, gdyż ich kierownicy, mimowoli lub bezwiednie, nadawali im specyficzny charakter. Ruchowi przeciw alkoholizmowi w Berlinie zarzucano np. kiedyś, że kierują nim pietyści i mistycy, co wywołało obronę ze strony Böttchera w słowach następujących: „Zupełnie niezasadnionem jest twierdzenie, że sprawa wstrzemięźliwości jest dziełem tylko mistyków... Racyonalista czy mistyk, katolik czy protestant, liberał czy arystokrata, chłop czy szlachcic, każdy ma obowiązek walczyć z pijaństwem w imię miłości bliźniego i ojczyzny.“

Istotnie, o konieczności walki z pijaństwem żaden prawie rozumny człowiek nie wątpi. Lecz przeważnie sądzą ludzie, że wypełniają swój obowiązek w tym względzie, gromiąc tych, którzy się upijają do utraty przytomności, robią burdy, popełniają przestępstwa i t. p. Picie umiarkowane natomiast uważane jest za rzecz zupełnie niewinną; lecz właśnie dzieje wojny z alkoholem przekonywają najdobitniej, że wszystkie związki wychodzące z tej zasady nic trwałego nie zdziałały. Wszelkie kazania na temat pijaństwa są bezowocne, póki umiarkowane picie uważane jest za słuszne. Nikt nie zostaje odrazu pijakiem, nikt nie postanawia sobie być pijakiem. Każdy z początku pije umiarkowanie i dlatego każdemu grozi niebezpieczeństwo stania się niewstrzemięźliwym.

Czemże wreszcie jest owo zachwalane umiarkowanie? To pojęcie zupełnie niepochwytne. To, co dla jednego jest umiarkowaniem picia, innego już z nóg zwała. Póki prawimy przeciw pijaństwu ludu, a sami „umiarkowanie“ pijemy, póty nikt nie uwierzy w szczerłość naszych przekonań. Dowodząc zaś własnym przykładem zupełnej bezpożyteczności alkoholu, możemy dopiero liczyć na to, że nikt zarzutu nam nie postawi, iż nie wierzymy we własne słowa. W ten sposób właśnie działają towarzystwa zupełnej abstynencji i w tem spoczywa ich siła. I dlatego nabierają one coraz większego znaczenia i wypierają w zupełności towarzystwa umiarkowania z ich połowiczną działalnością, która ściągnęła na nie tyle śmieszności.

Pozostawmy tymczasem na uboczu sprawę zupełnej wstrzemięźliwości, a pomówmy o innych jeszcze środkach interwencji społecznej.

Prywatna inicjatywa jest zdolna zwalczać niewstrzemięźliwość pośrednimi drogami, popierając mianowicie te wszystkie urządzenia, które zmierzają do podniesienia moralności i zwiększenia materialnych dóbr w wielkich masach ludu. Wszystkie więc np. instytucje, mające na celu opiekę nad dziećmi ubogich rodzi, jak ochrony i przytułki, biblioteki dla dzieci i młodzieży szkolnej, kasy oszczędności i t. p. ze stanowiska tego powinny być najusilniej popierane.

Z drugiej strony pośrednio cele wstrzemięźliwości znajdują poparcie w staraniach, zdążających ku uzdrowotnieniu mieszkań, przeznaczonych dla robotników, i ku dostarczaniu im dobrych pokarmów. Robotnik często po ukończeniu pracy dziennej opuszcza rodzinę, bo w ciasnej, dusznej izbie nie znajduje tych minimalnych wygod, jakich dostarcza mu szynk. Sposób odżywiania nie mniejszy ma tu wpływ. Dr Schüller przekonywające składa na to dowody w materiale, zaczerpniętym z wielu kantonów w Szwajcaryi. Wykazuje mianowicie, jak wartość odżywcza oraz sposób przyrządzania poszczególnych pokarmów (mięsa, mleka, sera, chleba, kartofli) wpływa na konsumpcję wódki. Im strawa mniejszą ma wartość pożywną, im jest jednostajniejsza, im nieśmaczniej przyrządzona, tem większą jest pokusa do wódki. Wskazuje to dostatecznie, jak doniosłe mieć mogą znaczenie racjonalnie urządzone kuchnie ludowe, stowarzyszenia spożywcze i t. p.

Zwłaszcza w ogniskach przemysłowych i w miastach fabrycznych podobne urządzenia prawdziwie dobroczynny okazują wpływ. Prof. Böhmert zebrał materyał ze 106 fabryk w rozmaitych częściach państwa niemieckiego, w których liczba robotników wynosiła razem 103,557 (89,233 mężczyzn i 14,324 kobiet) i oto do jakiego ogólnego rezultatu doszedł: „Pijący robotnik nie jest zdatny do pracy fabrycznej, szybko słabnie, jest zazwyczaj powolny, nieodpowiedzialny, kłótlivy, wystawiony na częste choroby i nie może być dostatecznie ustrzeżony od niebezpieczeństw pracy maszynowej. Dzielni i chętni robotnicy, gdy pić zaczną, prędko marnieją, tracą na sprawności, wcześniej niedołączają, a złym przykładem zarażają innych; trzeba ich przeto uwolnić i zastąpić przez siły trzeźwe.“ W 70 z powyższych fabryk, liczących razem 68,017 robotników, wydano zakaz picia wódki, w 32 zaś fabrykach nie było takiego zakazu. W 32 fabrykach pierwszej kategorii robotnicy dobrowolnie zgodzili się na propozycję niepicia, podczas gdy w 31 wielokrotnie zdarzały się wykroczenia na tym punkcie i robotnicy potajemnie pijali. I okazało się, że z 29,984 robotników mężczyzn, którzy zostali wierni przyrzeczeniu, tylko 2% było niedostatecznie odżywianych, z 26,612 zaś, którzy nie dotrzymali słowa, źle odżywianych było 15%. W znacznej liczbie powyższych fabryk wprowa-

dzono zwyczaj dawania robotnikom za niskie ceny lub bezpłatnie mleka, herbaty, kawy, zup.

W Anglii doskonałym środkiem w walce z pijaństwem okazały się ludowe kawiarnie (Public-Coffee-Houses), zakładane z początku, przed kilkunastu laty, przez stowarzyszenia filantropijne, a następnie przez akcyjne towarzystwa, które doskonale na tem wychodzą. W wygodnie urządzonych salonach za tanie pieniądze uboższa ludność dostaje tu kawy, herbaty, czekolady, bulionu, kakao. Duże biblioteki i czytelnice, salony bilardowe i t. p. dostarczają gościom pożądaných rozrywek. Kawiarnie te, usilnie popierane przez stowarzyszenia wstrzemięźliwości, tak się doskonale już rozwinęły, że według najświeższych danych istnieje w Anglii 96 towarzystw kawiarnianych z kapitałem 426,000 ft. sterl., a włożone pieniądze dają do 10% dywidendy. W Liverpoolsie istnieje kawiarni takich 62 (40,000 ft. st. kapitału), w Bradfordzie 28 (20,000), w Birmingham 22 (20,000), w Sheffieldzie 21 (20,000), w Hull 17 (10,000).

Z również pomyslnym skutkiem poczęto w ostatnich latach zakładać podobne kawiarnie w wielu miastach niemieckich, a to wskutek gorliwych starań Lammersa. W Berlinie zawiązało się w tym celu towarzystwo akcyjne z dużym bardzo kapitałem zakładowym. Istnieją obecnie już takie zakłady w Berlinie, Barmen, Brenie, Gdańsku, Dreźnie, Flensburgu, Frankfurcie n. O., Gładbachu, Gotha, Hagen, Halli, Hamburgu, Kasselu, Karlsruhe, Stuttgartzie, Wiesbaden i w wielu innych mniejszych miastach. Za przykładem, danym przez Anglię, pozakładano też kawiarnie takie w Austrii, Szwajcaryi, Danii, Norwegii, Belgii i zewsząd odzywają się najpochlebniejsze o nich głosy.

VIII.

Jeżeli państwo posiada prawo karania występów, to ma też prawo zapobiegania im.

Bunge.

Rozlicznymi sposobami i od niezmiernie dawnych już czasów władze państwowe przyjmują czynny udział w walce z rozpowszechniającym się coraz bardziej alkoholizmem. Na pierwszym miejscu postawić należy te środki, któremi usiłowano zmniejszyć konsumpcję alkoholu, i to przeważnie w najniebezpieczniejszej jego formie, mianowicie w postaci wódki.

Im produkcya wódki na danym obszarze jest większa i im trudniej jest znaleźć sprzyjające warunki dla wywozu jej po-za granice kraju, tem staje się ona tańszą, przystępniejszą dla ludzi i tem większą jest

konsumcy. Tak było wszędzie, gdzie przemysłowi gorzelnianemu żadnych przeszkód nie stawiano i gdzie nadprodukcya swobodnie mogła się rozwijać. W krajach też niektórych, jak np. w Szwecyi, gdzie państwo energicznie wystąpić musiało przeciw pijaństwu, pierwszym krokiem było zmniejszenie liczby gorzelni i dokładne określenie ilości produkowanego destylatu. Lecz samo zmniejszenie produkcji nie może wpłynąć na pijaństwo w kraju, jeżeli wwozowi wódki nie położy się pewnej tamy. A z drugiej strony najusilniejsza uwaga powinna być zwracana na drobne, domowe gorzelnie, które najniebezpieczniejszemi się okazują rozsadnikami zła. W Szwecyi, Norwegii, Finlandyi, a do najnowszych jeszcze czasów w Szwajcaryi, Francyi, Alzacyi i Lotaryngii, te domowe gorzelnie w bardzo poważny sposób sprzyjały pijaństwu. Przytem wódka, wyrabiana tu w sposób nader pierwotny, daleką jest bardzo od stanu czystości, w jakiej przyrządzają ją wielkie zakłady gorzelnicze. Częściowe lub zupełne zniesienie tych drobnych gorzelni odbiło się w wyraźny bardzo sposób na zmniejszeniu się konsumcyi alkoholu po wsiach.

Zwolennicy absolutnej wstrzemięźliwości żądali i żądają w wielu państwach zupełnego zakazu sprzedaży napojów wysokowych, a to opierając się na doświadczeniu, że wszelkie inne usiłowania państwa, oraz starania prywatne nie są zdolne wytępić zupełnie alkoholizmu. W niektórych stanach Ameryki północnej, jak w Minnesota, Indiana, New-Yersey, Michigan, Ohio, południowej Dakocie, Jowa, a najdawniej w Maine, prawo zabrania zupełnie handlu trunkami alkoholowemi, ograniczając sprzedaż alkoholu tylko do celów lekarskich i technicznych. W stanie Maine prawo to istnieje już od roku 1851, w stanach Rhode-Island, Connecticut, New-York, Delaware, Massachusetts wprowadzono je, lecz przy następnych zmianach rządzących partyi zostało znów zniesione. Warto zaznaczyć, że w dwunastu stanach, w których od roku 1880 głosują nad prawem zupełnego zakazu sprzedaży alkoholu, przeciwnicy tego prawa liczyli głosów 1,822,000, a głosujący za zakazem nie mniej, jak 1,566,000.

Sprawozdania o działalności i skuteczności tych radykalnych środków w walce z pijaństwem powinny być z wielką ostrożnością przyjmowane, gdyż zarówno obrońcy tych praw często je przeceniają, jak znów przeciwnicy starają się odmówić im wszelkiego znaczenia.

Konsumcy alkoholu zwiększa się w stosunku do spadania ceny wódki. Przypuszczają też ogólnie, że wzmaganie się alkoholizmu w ostatnich dziesiątkach lat pochodzi głównie stąd, że wódka coraz staje się tańszą. „Póki wódka tak będzie tania, że robotnik za jednogodzinny zarobek będzie mógł się odurzyć, a za kilkogodzinną pracę nawet się upić do utraty zmysłów i rozumu, póty poprawy oczekiwać nie można.“ Od

dawien dawna też uważano wódkę za produkt, doskonale nadający się do opodatkowania, gdyż nie stanowi ona niezbędnej dla zdrowia używki, a w nadmiarze jest dla organizmu wprost szkodliwą. Co prawda, samo tylko wysokie opodatkowanie, jak tego dowodzą przykłady Rosyi, Anglii i Ameryki, nie zdoła zmniejszyć pijaństwa. Zbyt wysoka akcyza pociąga za sobą defraudacje i przemykania i ostatecznie prowadzi nawet do rezultatów wprost przeciwnych. Trudne przeto jest tu zadanie do rozstrzygnięcia i doskonale przekonywa nas to, że przy żadnym środku wyłącznie stosowanym oczekiwać nie można zupełnej poprawy wadliwych stosunków. Że wszakże podniesienie akcyzy istotnie wiele zdziałać może, zwłaszcza pod względem sanitarnym, dowodem tego, że po wprowadzeniu w Niemczech nowego prawa o wyższym opodatkowaniu wódki nastąpiło zmniejszenie jej konsumcyi o 35—50%. To samo spostrzeżenie zrobiono w Szwajcaryi po wprowadzeniu monopolu wódczanego w r. 1887. Przed wprowadzeniem monopolu w r. 1885 przypadało w Szwajcaryi na głowę 7.25 litr. 50-stopniowej wódki, zaś w r. 1888 po monopolu 5.50 litr. I w Austrii po odnośnej zmianie akcyzy zmniejszyła się konsumcyja wódki o 25 do 30%.

Obok podnoszenia podatku na wódkę starano się jednocześnie zmniejszyć opodatkowanie słabszych napojów alkoholowych: piwa i wina, chcąc te ostatnie uprzystępnić. O ile taki sposób walczenia z pijaństwem istotnie sprawie pomaga, trudno to ocenić. Można tylko stwierdzić paralelizm pomiędzy opadaniem konsumcyi wódki a wzmaganiem się zapotrzebowania piwa lub tanich win. I w rzeczywistości w Anglii np. cyfry statystyczne pozwalają wykryć taki stosunek. Lecz broń to obosieczna i kto wie, czy rzeczywiście wywalczyć nią można to, co się zamierza. Póuczającym jest natomiast niezmiernie, jak w miarę zmniejszania się konsumcyi wódki podnosi się konsumcyja używek takich, jak: herbata, kawa, kakao, zwłaszcza jeśli jednocześnie dołożyć starań do możliwego zniżenia cen tych ostatnich. W Anglii w r. 1852 przypadało na głowę 0.918 galonów spirytusu, w r. 1872—0.843; w r. 1882—0.809, w 1885—0.732, w 1887—0.700. Temu ciągłemu zmniejszaniu się konsumcyi wódki odpowiada ustawiczne wzmaganie się używania herbaty i kakao. Herbaty w r. 1852 przypadało na głowę 1.993 funta, w 1872—4.005, w 1882—4.673, w 1885—5.021 i w 1887—4.948. Kakao w r. 1852—0.121 funt., w 1872—0.244, w 1882—0.338, w 1885—0.402, w 1887—0.434.

Pijak pewien powiedział kiedyś, że mógł-by przejść koło jednego szynku i nie wstąpić, lecz przejść obok dwóch i nie wejść na kieliszek, było-by już nad jego siły. Zdaje się, że każdy choć trochę uważniej obserwujący naturę człowieka przyzna, że w tem zdaniu dużo jest słuszności. Im więcej jest sposobności, tem trudniej oprzeć się pokusie.

Trzeba już bardzo silnego nałogu pijaństwa, ażeby dalekie podejmować wędrówki dla zaspokojenia „pragnienia.“ Lecz cóż powiedzieć o tych miastach, gdzie przechodzień przy krzyżowaniu się dwu ulic w kłopotcie jest tylko, do którego z czterech szynków ma wstąpić. Tutaj sposobność wypicia na każdym niemal następuje się kroku. I ta sposobność bezwątpienia wiele stwarza ofiar alkoholizmu. Nic więc dziwnego, że zwrócono uwagę na liczbę miejsc sprzedaży trunków, sądząc, że zmniejszenie jej również pomyślnie może oddziaływać w walce z pijaństwem.

Wprawdzie niejednokrotnie odzywały się głosy, które wszelkiego znaczenia odmawiały temu sposobowi walczenia z alkoholizmem, utrzymując, że pijak znajdzie zawsze miejsce, gdzie mu wódkę sprzedadzą, i że dłuższa droga bynajmniej go nie odstraszy. Lecz środek ten właśnie ma na widoku te indywiduala, które jeszcze nie zupełnie oddały się pijaństwu, te, które nie utraciły jeszcze całkowicie równowagi cielesnej i moralnej i mogą jeszcze być powstrzymane na drodze ku ostatecznemu upadkowi.

W niektórych stanach Ameryki północnej, w których zakaz sprzedaży alkoholu nie jest jeszcze prawnie uświęcony, istnieje t. zw. „Local Option,“ według którego pełnoletni lub płacący podatki obywatele gminy albo okręgu rozstrzygają większością głosów, czy wogóle ma być dozwolony drobny handel napojami alkoholowymi, czy nie. Tylko w pierwszym razie władza udziela pozwolenia. Dzieje się tak np. w Pensylwanii, Indyanie, Kentucky, New-Yersey, Marylandzie i t. d. Główną wadą tego systemu jest ta okoliczność, że sama zasada ta zbytnim ulega wahaniom wraz ze zmianami rządzących politycznych partyi, a sam skutek nie zupełnie jest pewny, gdyż często w sąsiednich gminach hołdują zasadzie wprost przeciwnej. W innych stanach liczbę szynków ograniczają w ten sposób, że żądając dużych opłat za pozwolenie wyszynku (500—1,000 dolarów w niektórych miastach), uniemożliwiają wskutek tego istnienie drobniejszych handelków.

W Anglii, według prawa z 1872 r., przy rozstrzyganiu o koncesyi główny kładzie się nacisk na dobre świadectwa, przedstawione przez petenta, a dotyczące jego moralnej strony. Wszelkie wykroczenia surowo są karane, a nowe koncesye udzielane z niezmierną trudnością, tak, że istotnie w stosunku do ludności liczba szynków w ostatnich czasach zmniejszyła się w tym kraju. Lecz duża partya abstynentów nie jest jeszcze zadowolona i od wielu lat domaga się, ażeby w danym okręgu $\frac{2}{3}$ obywateli płacących podatki mogły w zupełności zabronić sprzedaży odurzających napojów. Corocznie bil ten bywa wnoszony do izby posłów przez partyę liberalną (sir Wilfried Lawson) i coraz większą zyskuje liczbę głosów.

W Szwecyi już w r. 1855 nadano gminom prawo zakazywania w swych granicach drobnego handlu wódką. Ubiegający się o nowe koncesye mieli prawo sprzedawać ograniczoną ilość i otrzymywali pozwolenie na trzy lata. Przed rokiem 1855 można było kupować wódkę w każdej prawie chacie wieśniaczej, a w 1880 roku we wszystkich gminach całego państwa było tylko 83 sklepy i 205 szynków, czyli 1 miejsce wyszynku na 13,450 mieszkańców (w r. 1869 było 1 miejsce na 8,028 głów). Inaczej jeszcze ułożył się ten stosunek w miastach. Prawo z r. 1855 pozwoliło zająć się także stowarzyszeniom drobną sprzedażą wódki, a pozwolenie to po raz pierwszy wyzyskano w dobroczynny sposób w Gotenburgu w 1865 r. W mieście tem w r. 1857 przy 35,000 mieszkańców było 136 szynków, i te, wedle orzeczenia ukonstytuowanej w 1864 r. komisji miejskiej, wywołały w ludności robotczej największą nędzę, której pilnie trzeba było zaradzić. W tym celu poważni i dobrze myślący obywatele miasta zawiązali się w spółkę, która wykupiła wszystkie szynki i zobowiązała się utrzymywać je w dalszym ciągu, zadawalając się zwykłym procentem od kapitału, bez żadnych korzyści osobistych, a skromne dochody w części szły do kasy miejskiej, w części zaś do kas robotniczych. W obszernych i zdrowych lokalach obok oczyszczonej doskonale wódki dawano też rozmaite potrawy i nieszkodliwe napoje. W roku 1868 spółka ta wykupiła już wszystkie szynki, z których 21 natychmiast zamknęła. Ostatecznie w r. 1885 na 83,000 mieszkańców było w Gotenburgu już tylko 19 szynków. Wódki nie wydają tu na kredyt, nie wydają też niepełnoletnim ani pijanym, a sprzedają tylko od 9 rano do 8 wieczorem. Ten tak zwany „gotenburski system“ zyskał sobie ogólne uznanie: w r. 1877 zaprowadzono go w Sztokholmie, a obecnie obejmuje już wszystkie miasta w Szwecyi, Norwegii i Finlandyi. W r. 1878/79 było w Szwecyi 1,042 szynki w miastach, a 308 po wsiach; w 1884/85—1,005 w miastach, a 234 po wsiach; w 1887/88—968 w miastach, a 212 we wsiach. W miastach w 1878/79 jeden szynk przypadał na 662 głowy, a na 12,626 po wsiach; w 1884/85 jeden na 774 mieszkańców w miastach, a na 16,431 po wsiach; w 1887/88 jeden na 884 w miastach, a na 18,297 po wsiach.

Nowe a wielce zachwalane prawo istnieje od r. 1881 w Hollandyi. Pozwolenie na drobną sprzedaż spirytualiów jest udzielane przez gminy i to tylko wówczas, kiedy liczba szynków nie przekroczyła pewnej określonej granicy, tak mianowicie, że w gminach, obejmujących więcej nad 50,000 mieszkańców, 1 szynk przypada na 500 osób, w gminach o 20,000—50,000 głów 1 szynk na 300, a w pozostałych 1 na 250. Pozwolenie wydaje się za opłatą tylko na jeden rok.

Przed rokiem 1881 było w Hollandyi 43,000 szynków, t. j. jeden na 30 głów. W r. 1880 konsumpcya wynosiła na głowę 9.87 litra, w r. 1882—9.26, w r. 1886—8.60.

W Niemczech, zgodnie z prawem z r. 1869 i 1874, udziela się koncesyi tylko wówczas, gdy jest dowiedziona rzeczywista potrzeba nowego miejsca sprzedaży trunków. Lecz takie określenie zbyt jest dowolne i zanadto zależne od subiektywnych kryteriów, ażeby mogło doprowadzić do zamierzonego celu. I dlatego w nowej petycji niemieckiego związku przeciw nadużywaniu alkoholu, wystosowanej do reichstagu, słusznie położono nacisk na wadliwość tego prawa i wskazano na zupełną jego niedostateczność w walce z alkoholizmem. Ową „potrzebę“ proponuje powyższy związek jasno określić, ażeby nie pozostać pola do dowolnego działania odnośnych władz, i radzi, ażeby określenie to opierało się, jak w prawie hollenderskiem z roku 1881, na liczbie mieszkańców.

W Alzacji i Lotaryngii liczba szynków z 8,000 w r. 1873 podniosła się do 13,500 w r. 1880, gdyż tutaj w roku 1877 zaprowadzono ogólnie w Niemczech obowiązujące prawo otwierania szynków według „potrzeby.“

We Francyi surowe prawo, wprowadzone za drugiego cesarstwa, zredukowało w znacznym stopniu liczbę szynków, po zniesieniu zaś tego prawa (1880) znów szynki pomnożyły się w zatrważający sposób. Podobnie zupełna w tym kierunku wolność w Belgii doprowadziła do tego, że z liczby 53,093 w r. 1850 wzrosła ilość szynków w r. 1886 do 140,000, co odpowiada jednemu szynkowi na 44 głowy, wliczając w to kobiety i dzieci.

I we Francyi, i w Belgii stanowisko polityczne ludzi produkujących i sprzedających alkohol jest tak silne i wpływowe, że sama tylko ta okoliczność stanowi już poważną przeszkodę w walce z pijaństwem.

W rozmaitych prawodawstwach znajdujemy surowe kary nakładane na szynkarzy, którzy w jakikolwiek sposób sprzyjają pijaństwu. Nie pozwala się więc sprzedawać napojów odurzających pijanym, niepełnoletnim, uczniom i t. p. bez asystencyi starszych osób. Również zachwalają niektórzy przepis, według którego długi za odurzające napoje nie mogą być sądownie poszukiwane. W niektórych stanach amerykańskich gospodarz lokalu jest nawet odpowiedzialny za wszelkie uszkodzenia i obrażenia cielesne, jakie ponosi u niego pijany gość.

Dalej rzecznicy wstrzeźliwości domagają się, ażeby sprzedaż napojów alkoholowych stanowczo była zabronioną w składach materiałów spożywczych, sklepach z przysmakami, słodyczami i t. p. Sprzedaż win, likierów, grogów, absyntów, wermutów, rozmaitych whisky, brandy i t. p. w kawiarniach i cukierniach jest podobno główną przyczyną szerzenia się alkoholizmu wśród kobiet w Anglii i we Francyi.

Wszystkie prawodawstwa, dotyczące naszego przedmiotu, podają dokładnie, w ciągu jakich godzin sprzedaż wódki, piwa i wina może się

odbywać. W wielu państwach (Ameryka, Anglia, Szwecya, Norwegia) w niedziele wyszynk jest wzbroniony lub dozwolony tylko na kilka godzin. W innych znów zakaz ten obejmuje czas od soboty w wieczór do poniedziałku rano. To, cośmy już wyżej przytoczyli, dostatecznie chyba objaśni, w jakiej mierze podobne rozporządzenia mogą się przyczynić do zmniejszenia liczby przestępstw i nędzy wśród ludu roboczego.

Karanie publicznego pijaństwa jest dawno już znanym środkiem państwowym. Przypominamy tylko drakońskie kary, jakie nakładała na pijaków edykt Franciszka I we Francyi (1536), według którego za pierwsze upicie się zamykano w więzieniu o chlebie i wodzie, za drugie dodawano jeszcze publiczne skarcenie, a za trzecie obcinano uszy i wydalano z kraju. W nowszych prawodawstwach przebija tylko chęć ustrzeżenia innych przed niebezpieczeństwami, jakie pijak sprowadzić może. W niektórych państwach więc kara tylko wówczas dosięga pijaka, jeżeli jest on powodem publicznego zgorzenia. W innych znów pijaństwo jest nawet okolicznością łagodzącą, jeżeli w tym stanie przestępstwo jakieś zostało spełnione. Nowe prawodawstwo włoskie uważa pijanego za mniej poczytalnego i nakłada nań łagodniejsze kary, natomiast nałogowe pijaństwo poczytuje za okoliczność obciążającą. Za popełnienie przestępstwa w stanie zupełnego odurzenia nie nakłada kary, lecz karze tylko aresztem do 1-go roku za samo upicie się.

Widzimy, że kwestya prawno-lekarska jest tu bardzo zawila i trudno ją od jednego zamachu rozwiązać. Napotyamy też najrozmaitsze w tym względzie zdania prawników i lekarzy, które niejednokrotnie w dziwnie niepomyślnym stoją związku z usiłowaniami walczenia z pijaństwem. Lecz sądzimy, że jest to punkt wogóle pod względem praktycznym nie pierwszorzędnej wagi, natomiast niezmiernie wysokiego znaczenia prawodawczego.

Staranie o czystość sprzedawanych napojów alkoholowych i przepisy co do minimalnej ilości zanieczyszczeń, jakie dopuszczone być mogą, znajdujemy w wielu państwach. Głównie zwrócono tu uwagę na niedogonowe olejki, które silniejszymi są truciznami od alkoholu etylowego. Co myśleć o tem ze względów fizyologicznych, wiadomo nam już z poprzednich wywodów. Pozostaje mi więc tylko przytoczyć jeszcze charakterystyczny fakt, że w Szwajcaryi, kiedy poczęto surowo przestrzegać rektyfikowania wódki i możliwego wydalania z niej fuzlu, szynkarze z oddzielnych flaszek dodawali po kilka kropel owych niedogonowych olejków do każdego kieliszka, gdyż w przeciwnym razie konsumenci wódki nie pijali. Nie można się temu bardzo dziwić: czysty alkohol etylowy nie ma smaku, a wódka, pozbawiona tych ubocznych produktów, które dawniej porządnie drapały gardło pijaka, nie mogła już tak dobrze smakować.

IX.

Ażebym wyleczył pijaka, trzeba go odosobnić od dawnego towarzystwa i otoczyć nowymi wpływami. William C. Lawranse.

W późniejszych stadyach nałogowego pijaństwa wielu ludzi niewątpliwie przedstawia chorych na umyśle z najrozmaitszemi formami obłądki. Takich przyjmują do ogólnych zakładów dla obłąkanych. Są inni, u których ekscesy pijackie są tylko jednym z objawów choroby układu nerwowego, którzy więc byli umyślowo chorzy, zanim jeszcze stali się pijakami. W pierwszych okresach manii, melancholii, ogólnego paraliżu, wielu chorych szuka alkoholu. I ci więc także zaliczani bywają słusznie do umyślowo chorych i pomieszczani w szpitalach dla obłąkanych. Wreszcie do tej samej kategorii zaliczają także w ostatnich czasach (Tuczek) t. zw. dipsomanię, t. j. chorobę umyślową, charakteryzującą się tem, że peryodycznie u danego osobnika występuje niczem niepoohamowany popęd do upijania się.

Lecz większą znacznie jest liczba takich pijaków, którzy znajdują się na granicy pomiędzy zdrowiem umysłu a chorobą, a jeszcze większą liczba tych nałogowo pijących, którzy, nie będąc nigdy chorymi na umyśle, jednakże skutkiem nadmiernego picia doszli do takiego stanu, w którym nie mogą się oprzeć popędowi do picia. Wola u nich tak osłabła i doszli do takiego stopnia drażliwości i tępości moralnej, że do zubożenia na względy rodzinne i społeczne, że poważne przedstawiają niebezpieczeństwo dla siebie i swego otoczenia.

„Nietyle niebezpiecznym jest furyat, alkoholik i delirant, których szybko umieszczają w szpitalach, ile pozornie uspokojony alkoholik, w którym niebezpieczeństwo jest utajone, drzemie niejako, ażebym nagle wybuchnął z wulkaniczną siłą“ (Gauster).

Czy tacy pijacy powinni swobodnie poruszać się pomiędzy zdrowymi? Nie są oni przyjmowani do zakładów dla obłąkanych, bo nie są obłąkani we właściwym znaczeniu tego słowa.

W niektórych państwach pijak za karę i dla poprawy może być na czas pewien umieszczony w zakładzie poprawczym. Lecz jeżeli jednocześnie z ukaraniem ma być osiągnięta istotna poprawa lub ewentualnie wyleczenie, nie może to być dokonaniem ani w szpitalach, ani w więzieniach lub domach roboczych, ale w specjalnie ku temu celowi urządzonych zakładach, gdzie obok pomocy i rady lekarskiej, odpowiednie środki ogólne (praca, zdrowe rozrywki i t. d.) metodycznie i konsekwentnie powinny być stosowane. Tego rodzaju zakłady istnieją już

w wielu krajach i zewsząd słycać tylko o wysoce pomyślnych wynikach ich działalności.

W Ameryce już w 1804 roku Benjamin Rush domagał się, ażeby w każdym wielkiem mieście lub w każdym okręgu był zakład, przeznaczony wyłącznie dla pijaków. Pierwszy tego rodzaju zakład otworzono w Bostonie w 1857 r. W dziesięć lat później otwarto wspaniały tego rodzaju przytułek w Binghampton w stanie Nowojorskim, a za tym przykładem poszły inne stany, tak, że w 1872 r. już było 12 takich zakładów w stanach: Illinois, Massachusetts, Baltimore, Pensylwanii, Connecticut i New-York. Największemi zakładami są: Washingtonian Home of Boston (Mass.), New-York State Inebriate Asylum (N.-Y.), Inebriates Home for Kings County, Brooklyn (N.-Y.), Maryland Asylum (Baltimore), Chicago Washingtonian House (Illin.), Sanitarium for the Treatment of Inebriates at Media (Pa.), Franklin Reformatory Home for Inebriates in Philadelphia, The Inebriate Home Fort Hamilton New-York. W roku 1879 było już w Stanach Zjednoczonych 28 czynnych zakładów, a 14 miano jeszcze założyć.

Dawniej zakłady te pozostawały pod nadzorem państwowym, specjalne prawa orzekały o warunkach przyjmowania i wypisywania pensyonarzy. Utrzymują je obecnie w części środkami prywatnemi, w części subsydjami rządowemi, na co przeznaczono 10—12% podatków pobieranych za napoje alkoholowe. Przy dobrowolnem wstępowaniu do takiego zakładu składa się piśmienne zobowiązanie pozostania w nim przez 4—6 miesięcy. Przymusowe zamknięcie na 3—12 miesięcy następuje wskutek wyroku sądowego, po orzeczeniu dwu lekarzy i dwu poważnych obywateli, że „pijak stracił możność panowania nad sobą, stał się niezdolnym do prowadzenia swych interesów i jest niebezpiecznym przy dłuższem pozostawaniu na wolności.“ O wypuszczeniu z zakładu rozstrzyga dyrektor, a oddzielna komisya sędziowska rozberra skargi, wnoszone przez tych, którzy utrzymują, że niesłusznie są w zakładzie zatrzymywani. Sposób życia w tych zakładach skierowany jest przede wszystkim ku usunięciu zaburzeń cielesnych, dyetetycznemu wzmocnieniu organizmu i podniesieniu odporności przez pracę i rozrywki, oraz moralne i religijne oddziaływanie. Naczelną zaś zasadą jest najsurowsze, absolutne powstrzymanie się od wszelkich napojów alkoholowych. Skutki takiego leczenia okazały się wogóle bardzo pomyślnemi. W Binghampton pod New-Yorkiem podają liczbę uleczonych na 60%; dr Day wymienia nawet 70%. Przeciętnie, biorąc wszystkie zakłady razem, można przyjąć liczbę uleczonych na 30—35%. Z początku liczba dobrowolnie wstępujących przerastała niedobrowolnych, następnie stosunek ten się zmienił.

Według sprawozdania, złożonego przez d-ra Gothersa na kongresie zurychskim w r. 1887, założono rozmaitemi czasy w Ameryce przeszło pięćdziesiąt szpitali dla pijaków, z tych obecnie istnieje i doskonale się rozwija trzydzieści, pozostałe zaś zamieniono na inne zakłady lecznicze (dla nerwowych, obłąkanych i t. p.).

Sposób leczenia w tych zakładach amerykańskich bywał wielokrotnie przedmiotem poważnych krytyk, i to dlatego głównie, że ma się podobno nie nadawać w jednakowym stopniu dla wszystkich pacjentów. Amerykanie wychodzą z zasady, że wszelkie pijaństwo jest chorobą (*Intemperance is a disease*), że pijacy pod względem umysłowym są nienormalni i osłabieni, że ich niezdolność do pracy i panowania nad sobą oraz niebezpieczeństwo, jakie przedstawiają dla otoczenia, w zupełności usprawiedliwiają ograniczenie swobody osobistej, że wreszcie pijaństwo, jak i wiele innych chorób, jest uleczalne, lecz najpomyślniej leczone być może w zakładach specjalnych.

Za przykładem Ameryki lekarze psychiatrzy: Forbes, Winslow, Peddie i Skae w Anglii i Szkocji domagali się urządzenia podobnych azyłów dla pijaków. W Szkocji w r. 1866 założono pierwszy taki zakład dla kobiet, zaś w r. 1875 pierwszy dla mężczyzn pod Londynem, a w ciągu kilku następnych lat liczba tych instytucji wzrosła już do dziesięciu. W r. 1871 dr Donald Dalrymple, lekarz i członek parlamentu, wniósł w izbie niższej projekt do prawa o leczeniu nałogowych pijaków. Wnioskodawca podjął, wskutek decyzji parlamentu, podróż do Ameryki, ażeby poznać odnośne urządzenia, a po dokładnem zbadaniu rzeczy, wniósł odpowiedni bil, który wszakże napotkał dość silną opozycję. Po śmierci Dalrymple'a (1873), utworzyło się stowarzyszenie, złożone z lekarzy, prawników i t. p., które w dalszym ciągu w parlamencie myśl tę popierało, aż wreszcie uzyskało sankcję dla wniesionego prawa. To prawo stało się obowiązującym z początkiem 1880 r. i określa bliżej warunki, w jakich pijacy powinni być przyjmowani do specjalnie dla nich urządzonych zakładów leczniczych. Z początku w Anglii prawo to nie miało wielu przyjaciół. W roku 1883 istniały 22 zakłady prywatne, lecz wszystkie na małą ilość pacjentów obliczone; zakładów przez rząd koncesyonowanych jest znacznie mniej. Wogóle wszakże trzeba przyznać, że w Anglii nader opornie rozwijają się te urządzenia.

We wszystkich prawie koloniach brytańskich istnieją prawa i zakłady lecznicze dla nałogowych pijaków, tak więc w Kanadzie, Ontario, Kwebeku, Wiktoryi, Nowej Zelandyi i t. d. Wszystkie prawie te instytucje są państwowe i przyjmują zarówno dobrowolnych pacjentów, jak i skazywanych przez sądy.

Na kontynencie europejskim w żadnym państwie specjalne prawo nie orzeka o konieczności utrzymywania i leczenia pijaków w oddzielnych zakładach.

W niektórych wszakże krajach, dzięki prywatnej inicjatywie, zakłady takie powstają i wszędzie tu oczywiście wstępowanie jest dobrowolne. Niema też żadnych ograniczeń co do czasu, przez jaki pacjent w zakładzie ma pozostawać, a ta okoliczność jest powodem do poważnych utyskiwań ze strony zarządów tych instytucji, bo skutek leczenia zależy tu w zupełności od słabej i chwiejnej woli pacjenta.

W południowej Norwegii istnieje zakład „Heimdel“ pod Fönsberg, przeznaczony wyłącznie dla osób z klas wykształconych. Kuracja trwa tu przez 12 miesięcy. W Szwecyi istnieją dwa azyle: jeden dla zamożnych w Bie, drugi dla ludności robotczej w Fornäs.

We Francyi senator, dr T. Roussel, wniósł projekt do prawa o środkach przeciw nałogowym pijakom, lecz korporacje prawodawcze odrzuciły wszelkie zamachy na wolność osobistą pijaka. W roku 1882 znów Berthelot powziął myśl zakładania azylów, a przemawiali w tym duchu doskonali znawcy tego przedmiotu: Foville i Lunier, lecz pomimo tego nie dotąd w życie nie wprowadzono.

W Belgii liga patryotyczna przeciw napojom alkoholowym zajęta jest myślą założenia podobnych azylów, a tem samem zajmuje się w Holandyi tamtejsze towarzystwo wstrzeźliwości.

W Szwajcaryi od kilku lat istnieją zakłady i pensjonaty dla pijaków. W Molens, niedaleko od Morges (kanton Vaud), znajduje się azyl, założony przez „błękitny krzyż“; drugi podobny jest w Worben pod Bernem. Niedawno temu otworzono takież zakład w Ellikon pod Zurychem, wskutek silnej agitacji znakomitego psychiatry, profesora Forrela. Prawdopodobnie wkrótce powstanie więcej takich zakładów w Szwajcaryi, gdyż nowy monopol wódczany przeznacza dziesiątą część czystych dochodów na zwalczanie alkoholizmu.

W państwie Austro-Węgierskiem istnieje kilka takich zakładów w Morawii i na Węgrzech. W Niemczech, zwłaszcza w Prusach, w ostatnich czasach stworzono kilka zakładów do przyjmowania pijaków; z tych niektóre pozostają w związku z koloniami robotniczymi (Rickling—Holsztyn; Sophienhof—Meklemburg; Nieder-Leipa—Szląsk; Kästorf—Hanower; Karlshof—Weimar). Niedawno temu założono podobne przytulki lecznicze w prowincyi Brandenburskiej (Klein-Drenzig) i w Wielkiem Księstwie Badeńskiem. Najstarszym niemieckim zakładem (od 1851 r.) jest istniejący w Lintorf pod Düsseldorfem, gdzie liczba wyleczonych wynosi 30—45%.

Poglądy na sposoby postępowania z pijakami nie są jeszcze ujednostajnione. Nie wszyscy uważać chcą pijaństwo za chorobę, a jeszcze mniej jest takich, którzy godzą się na to, że jest to choroba uleczalna. Nic więc dziwnego, że cały system opieki nad pijakami, metody ich leczenia i poprawy znajdują się w zaczątkach swego rozwoju.

Potrzeba będzie najpewniej wielu jeszcze lat doświadczenia, zanim uda się pozyskać niewątpliwą gwarancję, że taki a nie inny sposób postępowania jest jedynie racjonalny. Lecz z drugiej strony, dziś już nie ulega żadnej wątpliwości, że potrzeba koniecznie współdziałania państwa i inicjatywy prywatnej, ażeby ofiary alkoholizmu ocalić dla społeczeństwa i nie pozwolić im zginąć w strasznej otchłani nędzy i obłądu. Gdy to przekonanie zdobędzie sobie należyte uznanie, wówczas pozyskamy jeszcze jedną broń w tej trudnej walce, jaką podjęli przeciwnicy alkoholu.

X.

Utopiastami są nie abstynenci, lecz apostołowie, przekonani o możliwości ogólnego wśród ludzi umiarkowania. Forel.

W Europie i Ameryce jest obecnie przeszło 20 milionów ludzi, którzy wyrzekli się w zupełności napojów alkoholowych. Przyzna każdy, że to poważna liczba. A powstała ona nie od razu, lecz ustawicznie z roku na rok wzrasta. Już sam ten fakt dowodzi dostatecznie, że idea zupełnej abstynencji przyjmuje się i należycie rozwija, i można-by nim odeprzeć wszelkie zarzuty, jakimi obarczają tych „głupców“, którzy sądzą, że można żyć bez alkoholu, nie odczuwając braku jakiegokolwiek rozkoszy życiowej.

Lecz pomimo to istnieje i długo istnieć jeszcze będzie głęboka różnica w poglądach pomiędzy tymi, którzy mniemają, że walka z pijaństwem prowadzona być winna pod sztandarem ogólnego umiarkowania, a tymi, którzy są przekonani, że zwyciężcą w tej walce będzie strona, której hasłem jest zupełna wstrzeźliwość. Przyczynę różnicy w poglądach pozna łatwo każdy, kto nieco bliżej zajmie się zbadaniem dziejów całego ruchu przeciw alkoholizmowi. Podobnie jak niema ludzi, którzy-by z góry powzięli zamiar zostania pijakami, tak i niema takich, którzy-by bez powodu raz na zawsze wyrzekali się alkoholu. Ci ostatni, o ile nie czynią tego ze względów na własne zdrowie, lecz w przekonaniu, że jest to jedyny sposób dowiedzenia zupełnej zbędności al-

koholu, ci ostatni—powiadam—należą do liczby ludzi, którzy poważnie zastanawiali się nad sprawą alkoholizmu. Całe dzieje tej sprawy dowodzą, że istotnie pomysłyne rezultaty w wojnie z pijaństwem osiągnano tylko przez szerzenie zasady ogólnej abstynencji. Myśl, że umiarkowane picie alkoholu jest w wielkich masach możliwe, należy do owych złudzeń, które zbić może tylko przerażająca prawda rzucających się w oczy faktów. To też w tych krajach, gdzie fakta te urosły do zatrważających rozmiarów, myśl ta powoli traci swe znaczenie, a miejsce jej zastępuje idea zupełnej abstynencji. Bo wszędzie, gdzie racjonalną podjęto walkę z pijaństwem, stało się to dopiero wówczas, gdy grożące niebezpieczeństwa doszły do najwyższego stopnia. Przykładem tego Ameryka, Anglia, kraje skandynawskie.

Jakże blado jednak wobec tego wygląda tylokrotnie wygłaszana maksyma, że historia narodów uczyć nas powinna sposobów postępowania w przyszłości. Zdaje się, jak gdyby rzeczywiście każde społeczeństwo samo własnem doświadczeniem przecierpieć musiało wszystko, ażeby dojść wreszcie do przeświadczenia o jedynych, niezawodnych drogach samoobrony. Widać to znów doskonale we Francyi, Belgii, Austrii i Niemczech, gdzie ruch przeciw alkoholowi w formie zupełnej abstynencji w ostatnim dopiero dziesiątku lat budzić się poczyna.

* * *

Bywają niewątpliwie ludzie, którym umiarkowane, nie nałogowe picie trunków alkoholowych może bezpośrednio nie szkodzić. Ci zapewne—gdyby byli zupełnie świadomi swej odporności w tym kierunku—zechcieli-by zachować dla siebie prawo picia, powiadając, że postępowaniem swem nie dają złego przykładu, gdyż piją umiarkowanie. Lecz „przewaga w panowaniu nad sobą nie uwalnia nikogo od działania potęgą przykładu na tych, których ocalić można jedynie przez zupełną wstrzemięźliwość... Nie powinniśmy zapominać, że większość ludzi wogóle nie pyta o powody. Nie pytają oni nigdy: „dlaczego mam tak postępować,“ lecz „jak mam to zrobić?“ Przykład przeto, pochodzący od ludzi poważnych, zdziała tysiąc razy więcej, aniżeli wszelkie odwoływania się do rozsądku i wszystkie kazania...

* * *

Fizjologia potępiła nawykowe używanie napojów alkoholowych, jako stanowczo szkodliwe dla zdrowia, farmakologia pomieściła alkohol

w szeregu trucizn, obok chloroformu i eteru; patologia dowiodła, że bardzo wielka liczba chorób najrozmaitszych organów wynika nie tylko z nadmiernego pijania, lecz i z t. zw. umiarkowanego, stałego spożycia trunków; medycyna sądowa wykazała, że zwyczaj pijania jest głównym źródłem, dostarczającym pacjentów do szpitalów dla obłąkanych, a niebezpiecznych dla społeczeństwa osobników do więzień; wreszcie higiena, owa najpraktyczniejsza i najrozumialsza gałąź nowoczesnej medycyny, naucza, że ważniejszym jest zapobieganie chorobom, niż ich leczenie—a zasada ta niemniej silnie zapuściła korzenie na gruncie higieny społecznej. A pomimo to wszystko upierają się ludzie przy tem, że alkohol w życiu codziennem jest nieodzownie potrzebny, a ci, którzy gorszą się, mówiąc o zdeklarowanych pijakach, tak są krótkowzroczni, że dostrzedz nie mogą źródła, z którego wypływa pijaństwo. Ten błogi spokój filisterski, stojący na drodze do głębszego wniknięcia w rdzeń sprawy alkoholizmu, jest dziedzictwem po dawnych pokoleniach, i nie prędko zapewne otrząsnąć się z niego zdołamy. Lecz musi nastąpić chwila, kiedy pozbędziemy się tej najgorszej ze wszystkich tradycji, kiedy przejrzymy i kiedy nasz popęd samozachowawczy, wspierany rozumem, wyprowadzi nas z błędnych, krętych dróg, po których stąpaliśmy, na szeroki gościniec prawdy.

* * *

Pytano kiedyś znakomitego psychiatrę, czy nie miewa czasami trudności w odróżnianiu prawdziwego chorego od człowieka zdrowego na umyśle. „Istotnie bywają trudności — odrzekł na to, — lecz co do mnie, postępuję w takim wątpliwym wypadku w następujący sposób, który mnie nigdy nie zawodzi. Prowadzę swego pacyenta do basenu, w który kilkoma rurami ustawicznie woda dopływa, i każę mu basen opróżnić. Jedni natychmiast poczynają konewką czerpać wodę z basenu i oczywiście nigdy roboty wykończyć nie mogą; inni natomiast przedewszystkiem zamykają krany rur, przez które woda płynie, i następnie dopiero zabierają się do roboty. Ci pierwsi to chorzy na umyśle, drudzy to ludzie zdrowi.“

Coś podobnego zachodzi w stosunku pomiędzy rzecznikami idei umiarkowania a tymi, którzy propagują myśl zupełnej wstrzeźliwości. Pierwsi chcą bezustannie czerpać z basenu nędzy alkoholowej, nie wiedząc, jakie źródła basen ten zasilają; drudzy natomiast przedewszystkiem przerywają dopływy, z których alkohol ustawicznie się sączy. A jeżeli ci ostatni wśród zalkoholizowanego społeczeństwa nie

prędko jeszcze wyzwolą się z pod jarzma śmieszności, które na nich ciąży, jeżeli nie mogą liczyć na szybkie upowszechnianie się swej idei, to stokrotnie wynagradza ich za to głębokie przekonanie, że przemawiają za dobrą sprawą, że działać chcą dla myśli, w której urzeczywistnieniu widzą szczęście bliźnich i zwycięstwo prawdy.

M. FLAUM.

Dr med., Kand. chem.

Z GRECYI.

VI.

TANATOS ¹⁾.

Olimpia.

Kiedy my wszyscy, zapędzeni
W pozaświatowy kraj Hadesu,
Będziemy szli w królestwo cieni,
To roskosz życia się przemieni
W tęsknotę wielką, żal bez kresu.

¹⁾ Śmierć.

U Acherontu ciemnej fali
Musi być smutny pomrok siny,
Podziemny wiatr się głucho żali
Nad tymi, co poumierali,
Idąc z helleńskiej zórz krainy.

I ten, co doznał królowania,
I ten, co zdobył chlubne palmy,
I ten, któremu śmierć zasłania
Niewieści wzór jego kochania —
Wszyscy na krótkość dni się żalmy!

*

*

*

Olimpia stoi w pełnej chwale:
Zeusowy chram ma w niebie czoło,
Na stopniowanym piedestale
Spogląda Nike w Iońskie fale
I szumi święty gaj wokoło.

Na lud posągów marmurowy
Gaj kładzie szafirowe cienie
I na atletów młode głowy
Daje swój czarny liść dębowy,
Zdobiący w setne pokolenie.

Grzmi jeszcze wieść przez całą ziemię,
Że Alkimedon, syn Ifiona,
W zaszczytnym chodził dyademie —
I Blepsyadów stare plemię
Uwieńcza szósta już korona.

Gdy, po zwycięztwie w walce pieszej,
 Wzięła go wczesna śmierć na własność,
 Alkimedona cień się spieszy,
 Nim do podziemnej przejdzie rzeszy,
 Obejść swój gród w miesięczną jasność.

I żegna grodu swego chwałę,
 Stadionu żegna chlubne szranki;
 Między posągi błędząc białe,
 Widzi raz jeszcze, łzą nabrzmiąle,
 Gwiazdziste oczy swej kochanki.

Teraz mu w śmierci iść wierzeje
 I dzielić losy mar tułacze?
 Serdeczne rzucać swe nadzieje,
 Gdy się pod niebem wszystko śmieje,
 Kiedy w Hadesie wszystko płacze?

*

*

*

Olimpia leży w gruzach, szara,
 W ciemnej zieleni dębów śpiąca,
 Nie woła tu już żadna mara, —
 Tylko daleki głos Pindara
 Umarłe echa wspomnień trąca.

Kiedy my dzisiaj, ruin syny,
 Nędznego życia dojdziem kresu,
 Nie będzie nam już żal krainy
 I brzmieć nie będą nasze czyny
 W pozaświatowy kraj Hadesu.

Dla nas radosna olimpiada
We spiżę trąb już nie uderzy,
Nad nami nieba próżnia blada —
I nawet głośno pieśń nie gada
O zapomnianej czci rycerzy.

My, pogrobowe pokolenie,
Którzyśmy dumnych dni nie znali,
My, już za życia marne cienie,
Będziemy szli na zapomnienie
Do Acherontu ciemnej fali.

JÓZEF WEYSSENHOFF.

Mysli społeczno-filozoficzne Karola Secrétana.

„Civilisation et croyance“ 1887, 2 wyd. 1892. „Etudes sociales“ 1889. „Droits de l'humanité“ 1890. Paris Alcan Lausanne Payot libr. édit.

Szwajcarya, kolebka gminowładnych rządów, przekonań i obyczajów w Europie nowożytnej, nie jest tylko zajezdnym domem turystów, którzy podziwiają jej uroczne góry i jeziora, ani przytułkiem robotników wykolejonych społecznie i politycznie. Kraj ten, oprócz rządzeń demokratycznych, posiada też dzielne szkoły wyższe i nieładą oświatę, a uczeni szwajcarscy godnie umieją sprostać zadaniu badaczy sumiennych i myślicieli pierwszorzędnych. Nietylko w politycznych i prawnych naukach jaśnieją imiona takiego np. Dumont'a, który w pierwszej połowie naszego wieku przyczynił się wielce do uprzystępnienia niestrawnych co do formy pomysłów Benthama, Bluntschlego, zanim ten zasłynął później na szerszej widowni, Eschera, Cherbuliez'a i Rüstimana. Filozofia szczerze się też może umysłami nieposłedniemi, co jej badania podjęły i uprawiają z uznaniem zasłużonem. Dosyć wymienić Naville'a z Neufchâtelu i Karola Secrétana, długoletniego profesora filozofii w Lozannie.

Siedmdziesiątkilkoletni, czerstwy i krzepki starzec ten, należy do pokolenia schodzących z pola filozofów szkoły Schellinga w ostatniej teozoficznej fazie jego dociekań. Minie wkrótce pół wieku, jak myśli-

ciel z Lozanny wydał dzieło, mniej znane szerszej publiczności, lecz pełne głębszych myśli. *Philosophie de la liberté*, które do r. 1879 doczekało się 3-go wydania. Wydał potem wiele cennych przyczynków gwoli zbliżeniu i zgodzie wiedzy z wiarą, pisanych popularnie i z niezrównaną jasnością. Nadmieniona „Filozofia Swobody” nie jest atoli wcale, jakby się wydawać mogło z nagłówka, utworem z dziedziny badań społecznych, lecz metafizyką religijną, tudzież próbą historyzofii w świetle dociekań teozoficznych. Zostawiamy ją na stronie.

Od kilku lat sędziwy filozof przerzucił się z powodzeniem na pole społeczno-etyczne i z młodzieńczą niemal werwą zgłębia zagadnienia tego rządu. Objaw to zresztą nie nowy pośród filozofów z zawodu. Wszak Renouvier we Francyi, a Wundt i Paulsen (1891) w Niemczech, roztrząsają te kwestye w całokształtach poszukiwań etyki. Do tego zakresu należy bardzo godne uwagi dzieło Secrétana o Cywilizacji a Wierze, które w przeciągu lat kilku doszło do powtórnej edycji w naszej „schyłkowej”, zgoła nie teozoficznej, dobie. Podobny duch moralisty, dla którego „celem dziejów jest wytworzenie społeczeństwa, które zrazu chłonie w sobie osobnika, potem ogranicza go i ciśnie, lecz ostatecznie wyswobadza i o jednostkę ludzką się opiera” (Teza 36 „*Philosophie de la liberté*”), wieje ze „Studyów społecznych”, z wybornej książeczki prawno-filozoficznej osnowy o „Prawach ludzkości” — nie „człowieka”, jak je określał abstrakcyjny wiek XVIII — wreszcie z ostatniego utworu Secrétana, „Utopii”, o wiele wyższej od głośnego romansu Bellamiego „W r. 2000.”

Jako badacz zagadnień społecznych, autor nasz tak mało znany po-za kołem filozofów i socyologów, odznacza się tem, że łączy w dziełach swych aspiracye umiarkowanego socjalizmu z liberalizmem, dwoma widnokręgami na pozór wykluczającemi się. Wprawdzie liberalizm Secrétana to coś wielce różnego od zdawkowego poglądu starego Rottecka lub zapatrywań francuskich wyznawców *laisser faire*. Z socjalizmem myśliciel nasz schodzi się w sprawie upaństwowienia ziemi, lecz i tu góruje dokładniejszą wiedzą ekonomiczną — (pisuje artykuły do *Revue d'économie politique*) — nad słynnym amerykańskim rzecznikiem tego pomysłu, H. George'em.

Wylączyliśmy wprawdzie metafizyczne dzieło Secrétana z niniejszego sprawozdania i przeglądu; mimo to, kilka następujących słów z „Filozofii swobody” o aktualnej sprawie indywidyalizmu i socjalizmu rzucają dostateczne światło na poglądy w tej mierze filozofa z Lozanny. („*Philosophie de la liberté*” I, p. 55—57).

„Podstawą filozoficzną socjalizmu jest rozum, zdolny pojąć rzeczywistość wszechświata. Gdy chodzi jednak o wyznaczenie ludzkości

ostatecznego celu, trudno socyalistom wznieść się po-nad dobrobyt, który pochlebiają sobie zapewnić przez udoskonalenia polityczne i ekonomiczne, posiadając wrzekomo ich tajemnicę. Socyalizm więc, w teorii spirytualistyczny, staje się materyalizmem w zastosowaniu. Świadomie bierze on za punkt wyjścia racjonalizm, a kresem dlań jest moralność sensualistyczna. Naodwrot, najwyższe przekonanie o ludzkości — o bezwzględnej wartości cnoty, o życiu przyszłym i sprawiedliwości — ma swe źródło w indywidualizmie. Można pojąć wolność moralną i znaleźć ją jedynie w osobnikach — twierdzi indywidualizm, co należy uznać, aczkolwiek niechętnie. Osobniki posiadają jeno rzetelną wartość i nie umierają... Tyle jest światów, ile dusz; kosmiczna mniemana jedność nie istnieje. Tak twierdzi spirytualizm nowożytny.

„Kiedy jednak zmusicie indywidualistów do jasnego sformułowania ich zasad i do liczenia się z umiejętnością, zobaczycie rychło, iż wychodzą oni z pojęcia, że rozum nie może przyjąć tego, czego nie zdoła odtworzyć wyobraźnia. Otóż to pojęcie jest najgłębszym korzeniem sensualizmu i tłómaczy nam jego popularność... Swoją drogą socyalizm nie potrafi być do końca sobą; ostatecznie nie umie on wskazać działalności naszej innych zadań, jak zadania dotyczące osobników.

„Duch naszego wieku, wyznajmy, wzdraga się przyjąć wyłączające się wzajemnie uroszczenia socyalizmu i indywidualizmu. Postawcie mu przedmiot badań, czy to oderwanej filozofii, czy polityki, etyki czy religii, nie może on zaciągnąć się pod żaden z tych dwu proporców. Czuje bowiem instyktownie w braku jasnego rozeznania, że prawda leży w obydwu obozach.”

„Pragniemy — pisze dalej S. — aby umiano pogodzić pojęcie o swobodzie ludzkiej, o obowiązku, o nieśmiertelności osobistej, z pojęciem jedności świata i myśli. Pragniemy, aby dzieje odsłoniły nam rzetelną swą treść i uzasadniły w oczach rozumu święte prawo miłości bliźniego.“

Ta sama nić przewodnia snuje się w dziele o cywilizacji a wierze. Autor rozpatruje tu zagadnienia: 1) polityczne, 2) ekonomiczne i 3) to, co zowie *question véritable*, a co jest sprawą uzacnienia, umoralnienia, ukrzepienia woli w „schyłkowej” naszej dobie. Nadto roztrząsa kwestye wolnej woli, stworzenia i samorodztwa, sprawiedliwości Bożej, religii i wyznań.

Co do politycznego zagadnienia, Secrétan ubolewa nad tem, że w państwach współczesnych demokratycznych zbywa na rzetelnie odpowiedzialnych za swe działanie władzach i organach. Tłumy, władzą przez wybory obdarzone, wysuwają na pierwsze stanowiska kapryśnie i bez powodu osoby, wydające się im odpowiedniami. Polityczne stron-

nietwa szamocą się w jałowych zapasach, a kierownicy ich, to niecnoty i samolubni ambitnicy. Ludy nie umieją pohamować się, ograniczyć swej władzy i rządzić sobą samodzielnie, co wszakże jest jądrem kwestyi. Ciała reprezentacyjne kręcą się w zaczarowanym kole bez wyjścia.

Przerwiemy na chwilę czcigodnemu autorowi.

Niewątpliwie braki owe istnieją i myśliciele-statystyci ubolewają nad niedołęstwem państwowego ustroju przedstawicielskiego. Jednakże od dawna gardlują o nie, a dzisiaj np. z wielką siłą dowodu belgijski kryminalista ceniony, Poinc 1), zaleca zamiast niezdarnego i zgubnego w następstwach swych trybu powszechnego głosowania, tryb wyborów z korporacji zawodowych. Tryb ten, w części tylko dziś zastosowany, zapewnił-by lepsze wyrozumienie potrzeb państwa i pojedynczych zawodów społecznych. W tym kierunku powinni myśliciele kołatać bez przerwy o przeobrażenie ciał ustawodawczych.

Stan ekonomiczny obecny nastrocza pole do obaw i trosk poważnych. Mniejsza o niestosunkowość w podziale mienia. Gdybyż tu chodziło tylko o bogatych i ubogich, można-by do zagadnienia tego mniejszą przywiązywać wagę. Nie idzie o to, aby ów podział miał być, jak chcą komuniści lub dawniejszy socjalizm, równym. Skutek tego był-by ten jeno, „iż w krajach ubogich każdy miałby ledwie co jeść, oszczędzanie zaś zeszło-by do zera w krajach zamożnych.” Nierówność, na jaką skarżą się dziś, gromadzi owszem z korzyścią ogółu zasoby. Jest ona środkiem przedsiębrania dzieł społecznej doniosłości, a bez zabiegliwości żadne trudy gospodarze nie osiągną wyników skutecznych. Lecz niepodobna zaprzeczyć, że owa niestosunkowość podziału mienia, co do użycia dostatków, idzie w parze z umysłowem ubóstwem. „W tej dysproporecyi wzrastającego bogactwa i umysłowej kultury tkwi główny powód złego smaku, jaskrawego zbytku, cuchnącej korupcyi, w jakich nurza się nasz Zachód bez prawdziwej uciechy („sans joie véritable”).” Niezawodnie, że zbytek dorobkiewiczów, giełdjarzy i wogóle łatwo zarabiających, wynika z moralnego i umysłowego ich застоju i nicości, a obecny ustrój ekonomiczny sprzyja wstrętnym tym popisom próżności i poniża bogacty.

„Ostatecznie nie chodzi o dobrobyt, lecz o ludzkie stosunki ekonomiczne 2), t. j. o pomnożenie uczestników bogactwa tak, aby większe zastępy mogły dojść do wykształcenia, przezorności, do posiadania

1) „La démocratie et le régime parlementaire.“ 2 wyd. 1884 Guillaumin z przedmową nieboszczyka de Laveley'a.

2) l. c. p. 86. Le but final ce n'est pas le bien-être, mais l'humanité.

ziemi, do godności i do swobody." Autor powtarza rad zwrotkę angielską, że „własność jest wolnością”, i pochwała wszelkie urządzenia, które zmierzają do jej upowszechnienia, mniej więcej w myśl zasad Sismondiego, J. de Milla i de Laveley'a. Nie podziela on bynajmniej abstynencyi zwolenników „laisser faire.” „W sprawie proletaryatu państwo nie powinno zachowywać się bezczynnie” (*se croiser les mains*).” Wrzekomy pewnik niekrępowanego współzawodnictwa jest złudnym. „Sofizmat to powoływać się na wolność w imieniu swobody osobistej w warunkach, które nie są jej dziełem, lecz przeszłości; sofizmat też prawić o swobodzie umów tam, gdzie strony wcale nie są jednostajnie swobodne.”

Secrétan nie miał-by nic do nadmienienia przeciwko podatkowi postępowemu, gdyby ten dał się użyć jako sposób ulżenia i pozbycia się proletaryatu. Bliżej atoli przypatrując się temu zagadnieniu, dochodzi do wniosku, że jedynie zawodowe wykształcenie i oszczędność mogą przedzierzgnąć robotników w drobnych właścicieli. O ile to się da przeprowadzić, należy tedy działać w kierunku pomnożenia stowarzyszeń produkcyjnych robotniczych i zmierzać do upowszechnienia udziału ich w zysku przedsiębiorców. Jest to nić Aryadny, którą znów znajdziemy w późniejszych pismach Secrétana, a zwłaszcza w ostatniem — „Utopii.”

Zagadnienie społeczno-ekonomiczne schodzi ostatecznie na problematyki. Sobkowstwo, zasklepienie się we własnych rachubach, jest to zguba i krótkowidztwo. Poświęcenie, współczucie losom i zadaniom bliźnich, to jedyny środek ocalenia ¹⁾. Trzeba nie tylko współczuć, lecz, obok naszej, uznać i podtrzymywać osobistość współbraci naszych, i trzeba chcieć, aby ci współbracia istnieli, albowiem „to współistnienie jest nieodzownym warunkiem urzeczywistnienia naszej osobowości.”

Sprawiedliwość i miłość są to rzeczy nierozdzielne w nakazie sumienia. Zadaniem każdego, „komu matką była kobieta”, urzeczywistnić ideę człowieczeństwa, które zasię bynajmniej nie jest abstrakcją, lecz jestestwem zbiorowem, bo „moralne jestestwo jest wytworem rodzaju, tak samo jak fizyczne. *Faire des hommes qui soient des hommes, voilà la tâche, voilà la question véritable.*”

Po tem zagajeniu, ciepłym a wymownym, trzeba nam rozejrzeć się bliżej w osnowie tego, co Secrétan zowie „zagadnieniem prawdziwym.”

¹⁾ l. c. p. 123. Nous dévouer aux autres est l'unique chance de nous sauver. Telle est la leçon que les circonstances du présent nous enseignent en formes si claires, d'une voix si haute que plusieurs ont l'air de l'entendre.

I.

Właściwością a cechą rozumowań i wniosków Secrétana jest to, że myśliciel nasz sprowadza lub nawiązuje rozbiór wszelkich zagadnień, tak metafizycznych, jak również z dziedziny filozofii „praktycznej”, do kwestyi obyczajów, do moralności. Czy to w dawniejszym całokształcie metafizyki i filozofii wierzeń, zwanym filozofią swobody; czy w niniejszej książce, roztrząsającej obok kwestyi politycznych i ekonomicznych, naszkicowanych li tutaj z początku—(późniejsze dzieła się niemi zaprzatają)—kwestye religijne i etyczne; czy w roztrząsaniu podwaliny Etyki (*Principe de la morale* 1884, wyczerpane); czy w zagadnieniach z niwy nauk w utartem znaczeniu „społecznych”: wszędzie filozof szwajcarski jest nawskróś moralistą. Powtarza on do przesytu: „Jedno tylko istnieje zagadnienie: kwestya obowiązku, który panuje bezwzględnie nad życiem.” Sfery więc poznawcze i etyczno-praktyczne, myślenia oderwanego i żywotnego, zlewają się u niego, przechodzą wciąż jedna w drugą i wiążą się z sobą. Nie wchodzimy w to, czy to jest w zgodzie z wymaganiami badania wszechstronnego i zaciekania się w początki wszechrzeczy, dosyć, że to moralizowanie nie jest bynajmniej oschłym i nudnym, lecz, przetykając społeczne na „dobie” problemata i palące aktualne sprawy, nadaje wywodom sędziwego myśliciela piętno troski zacnej, nie zrażającej się niczem, o podniesienie, uzacnienie prawdziwie człowiecze naszej doli.

Nie wdając się np. w zawile ścieżki, wiodące do rozwiązania problemu wolności woli ¹⁾, Secrétan tak zapatruje się na ten przedmiot.

Mówią o „doświadczeniu”, jako probierzu wszelkiej wiedzy. Otóż owo doświadczenie nie dowodzi bynajmniej, aby przyroda miała „własne prawa.” Są to ludzkie jeno pomysły i hipotezy, podstawione za wrzekome pra-prawa, do których bezwzględnej istoty nie dotarliśmy jeszcze. Nawet i punkt wyjścia determinizmu, owa *ratio sufficiens* ²⁾ Leibnitza i innych, nie jest czem innym. Widzimy codziennie bowiem, jak dzieci—mylnie co prawda — przypisują powrót wszelkich wydarzeń przyczynom „wolnym.” „W zgodnym z sobą ewolucyoniźmie ideałem

¹⁾ Już w r. 1844 zwolennik i poniekąd popularyzator szkoły Herbart, *Hartenstein*, w *Grundbegriffe der ethischen Wissenschaften* str. 91, dowodził bardzo trafnie, że Etyka może zostawi na stronie, nie przestając być etyką, znużone i jałowe, nastroszone wątpliwościami bez wyjścia, zagadnienie wolności woli.

²⁾ Że cała ta „raison suffisante” jest li metafizycznym postulatem, ale bynajmniej nie wrodzoną umysłowi ludzkiemu, dowodzi też *Dilthey* w znakomitem choć niedokończonym dziele *Einleitung in die Geisteswissenschaften*, 1883, str. 197.

jest automat. Być może, że ten tryb istnienia bardzo jest powszechnym, że miliony istot dwunożnych, odzianych schludnie, żyją i umierają na ziemi, nie zdziaławszy nic stanowczego według woli własnej; może też być, że mechaniczne ich udoskonalenie doprowadzi ludzkie osobniki do tego, że z niczego nie będą chciały sobie zdawać sprawy. Wszelako obstajemy za tem, że tylko wolność nadaje życiu pewną wartość, cenę i tytuł, i że ona stanowi przywilej człowieczeństwa." Dalej: „Mając przed sobą do wyboru: z jednej strony interesa, upodobania i popędy, z drugiej to, co nam czynić nakazuje obowiązek, widzimy, jak wolność zrzuca z siebie ukrywające ją zasłony... Tryumfuje ona, gdy, idąc za nią, depcemy po najdroższych naszych skarbach; wierzymy w nią wtedy, gdy myślimy, że słuchamy jeno samych siebie, i czynimy z zalem to, przed czem przestrzega nas głos wewnętrzny, mówiąc, że czyn taki jest złym. Miło-by nam było, gdyby zdołano nas przekonać, że inaczej nie możemy postępować, jak postąpiliśmy, wszelako nie stać nas na to." Dodajmy też dla czytelnika nieuprzedzonego, że podobnie na tę kwestyę bez wyjścia zapatruje się zmarły w zeszłym roku, nie żaden filozof ani też znowu zelant, bo wolnomyślny owszem, lecz dzielny, przezorny, ceniony powszechnie ekonomista, znany Courcelle Seneuil ¹⁾; uważa on całe to zagadnienie za syzyfowy wysiłek bezpożyteczny zaciekań wyrafinowanych i wierzy w wolną wolę, jako postulat praktycznego rozumu.

Chociaż Secrétan zajmował się też swego czasu teorią poznania ²⁾, tutaj znowu z etycznych głównie względów mniema on: „Póki kto nie zdoła wyjaśnić, w jaki sposób materya powstała, umysł człowieka dojrzałego nie zdoła pojąć istniejącej niezależnie od zasady samoistnej li substancyi. „*Le seul principe de cette nature c'est d'être parfait et la perfection c'est le bien.*” Choćbyśmy się nie troszczyli o inne atrybuty Boga, jest On doskonałością, bo jest Dobrem Najwyższem.

Rozdziały 4 i 5 II części „Cywilizacyi a wiary” autor poświęca *teodycei*, t. j. Bożej sprawiedliwości, zagadnieniom „stworzenia” a „rozwoju.” Nie mogą ich streszczać, bobyśmy odbiegli od społeczno-etycznej osnowy, jedynie nas tu obchodzącej, bierzemy z nich li wybitniejsze poglądy.

¹⁾ „La société moderne“ 1892, Guillaumin, p. 25. L'homme se sent libre par instinct irrésistible pour toutes les fins de la vie pratique... Tous les hommes ont recherché ou évité ce que recherchaient ou évitaient les autres hommes, tous ont enseigné, puni ou récompensé. Laissons-là ce problème à ceux qui aiment des discussions sans fin.

²⁾ „Recherches sur la méthode.“ 1864, Lausanne.

„Ani doświadczenie, ani zmysłowość nie są całkiem obce ideałowi; kunszt i spekulacja metafizyczna nie tworzą nic nowego, jeno porządkując i rozdzielając czynniki podsunięte im przez świat zmysłowy. Oba więc krańce bytu istnieją spolem, oba mają własne prawa i należy obu uczynić zadosyć. Lecz zdawkowy optymizm spirytualistów nie uznaje i poświęca zgoła doświadczenie, jakim pomiatał niedawno jeszcze idealizm. Za to tak zwany monizm, materyalizm, pozytywizm, pesymizm, idealizm przeciwny temu co realne lub co pragnie się urzeczywistnić, chociaż się nigdy nie urzeczywistni: wszystkie te pomysły wyobraźni zacofanej, to zniewagi rozumu... Bóg to twierdzenie rozumu; cierpienie, głupota, złość, to widowisko i powszedni chleb życia, to nauka doświadczenia. Nie szukając w Bogu przyczyny złego, odnieść ją musiny do stworzeń, do przewiny, grzechu, upadku.” Dużo prawdy mają tedy za sobą tak hebrajska tradycja, jak pogląd Platona na grzech pierworodny.

Zazwyczaj rozumieją „stwarzanie” czegoś jako czynność wywartą na przedmiot lub podmiot zgoła bierny, to, co my ludzie mienimy być tworzeniem z martwego materiału. Secrétan odrzuca to pojęcie. „Jestestwo swobodne samo się stwarza; zanim działało, nie mogło bytować w znaczeniu zupełnem bytu; nie może ono być tem, czem ma dopiero zostać stając się; końcem, kresem i celem procesu stwarzania może być li dobrowolne zjednoczenie stworzenia ze Stwórcą. Jeżeli dziecko ma nauczyć się chodzić, winno być od matki odłączonem, lecz matka wyciąga doń ramiona. Wkrótce zechce dziecko pójść w tę lub ową stronę, lub też stać w miejscu. Odłączenie ich uprzednie atoli jest niezbędnem. Otóż to odłączenie—to stwarzanie. Dalej: „Jeżeli wolno nam stawiać pewnik, że w porządku sprawiedliwym cierpienie i śmierć powinny mieć źródło swe w moralnej złości, trzeba-by upadek nasz uważać jako poprzedzający ewolucyę. Skoro zło określamy jako negacyę bytu, usiłowanie postawienia się po-za warunkami bytu jako rzeczywistą wolę gwoli unicestwieniu, punktem wyjścia ewolucyi—rozrzedzonej materyi lub cokolwiekbądź innego — byłby wynik pierwiastkowego zła, duch zgaszony, samobójczy, a jednak istniejący w myśl prawa, mocniejszego od jego dążenia do nicestwa, duch, który-by do życia wracał mimo przewrotności swej, aby wyrwać się z tej przewrotności.” Dalej: „Nieprzenikniona ciemność ogarnia nasz początek. Lecz wiemy o tem, że solidarności woli, charakterów i przeznaczeń każdego z nas, doznawanej jako fakt normalny, dowodzi miłosierdzie, miłość bliźniego. Okazuje ona też, ta miłość, że ród ludzki stanowi jedność moralną.”

Przeciwko podszeptom pesymizmu Secrétan wątpiących uzbraja następną uwagą: „Nie powinniśmy rozpaczać dopóty, póki mamy do spełnienia przed sobą obowiązki wraz z możnością spełnienia ich.

Kto przyjął na się obowiązki, nabiera przekonania, że Bóg istnieć musi."

W części III zwraca się autor do zagadnienia o uzasadnieniu filozoficznej religii. Załączamy li niektóre myśli, w teozofię albowiem tutaj wdawać się nie możemy. „Przyjmujemy bez skrupułu nadnaturalność. Jeżeli chcą wytłómaczyć mechanicznym trybem poddawania myślnie (suggestions), opierając się na podobieństwie ustroju mózgowego (a mechaniczny ich klucz jeszcze nie został wynaleziony), przyswajamy sobie chętnie rozbiór ten pod warunkiem, że poddana wola i sugestją przekazane wyobrażenia stanowią dla nas fakt istotny, mózg zaś, komórki, wibracje eteru i cała reszta—fakt dodatkowy i instrumentalny, co zdaje się nam po prawdzie być sądem zdrowego rozsądku. My nie potrzebujemy tych podpór dla uznania, iż Bóg poddaje umysłowi stworzonemu idee i postępkę." Autor jest tedy wyznawcą religii sumienia. „Odmawiamy umysłowi prawa i zdolności wskazania innej drogi, jak sumienie. Dzisiaj umiejętność cieszy się powagą i zwierzchnictwem. Nie ulega wątpliwości to prawo i powaga, byle nauka chciała zachować granice badania. Co się tycze publiczności (przeciętnej), to zagadnienie to uchyla się zgoła z pod jej kompetencji, albowiem publiczność nie widzi nigdy różnicy między prawdą udowodnioną a hipotezą wziętości używającą." Poco więc, dodajmy, bałamudzić prostaczków zarozumiałą dufnością, że „nauka wszystko rozwiązać może” i że prędzej lub później zagadkę bytu odsłoni? Prawda, że Spencer uznaje Niepoznalność a nawet wierzy ¹⁾ w *Inscrutable Existence everywhere manifested*, który-to pogląd *gives rather a spiritualistic, than a materialistic aspect of the Universe*. Lecz jest to także myśliciel, półmędrkowie zaś wolą tumanić tłuszcę, bo i nacóżby się im skromność przydała?

Warto też zaznaczyć, że zupełnie tak samo zapatruje się na istotę wierzeń, na niezawisłość ich od metod naukowych i powód historyczny istnienia, powołany dawniej w przypisku *Dilthey* ²⁾, który oczywiście znać nie mógł (w r. 1883) poglądów Secrétana. Biograf ten Schleiermachera, (wprawdzie zapomnianego już dla „przeciętnych”, niemniej jednak dla każdego co ma odrobinę filozoficznego wykształcenia największego po Kancie teoretyka Etyki), we wstępie do nauk „mentalnych” („moralne” zbyt brzmią dwuwykładnie i niezupełnie jasno), który, gdy zostanie ukończonym, obiecuje być „krytyką histo-

¹⁾ *Ecclesiastical Institutions. Part VI of the Principles of sociology* p. 843 i 842. U nas przesiłują w Warszawie dzieło arcykapłana pozytywizmu przez sita francuskich, w Galicyi niemieckich przekładów. Wolimy, jak zwykle, trzymać się oryginału.

²⁾ l. c. Buch. II, s. 168—171.

rycznego rozumu” a więc i... socjologii (wszak Littré utożsamiał ją z historią jako nauką), tak określa ten przedmiot:

Istnieją ludzkie wewnętrzne bo przeżyte doświadczenia w piersi ludzkiej. „Ta wiedza „bezpośrednia” opiera się na ludzkiej wolności, sumieniu i pojęciu winy, na przeciwstawieniu niedoskonałości i doskonałości, znikomości i wieczności i na ludzkiej za wiecznością tęsknocie.” Są to właśnie części składowe życia religijnego, do czego należy dodać poczucie bezwarunkowej zależności podmiotu odczuwającego. Schleiermacher wykazał początek tej wiedzy, a Max Müller usiłował niezbyt dawno uzasadnić to poczucie.

„Cechą życia religijnego jest to, że opiera się ono na przekonaniach całkiem odmiennego rzędu niż dowód umiętny. Wiara odpiera wszelkie napady scyentyficzne i przekazuje wewnętrznemu doświadczeniu to, czego doznać i co wypróbować może każde sumienie. Podstawą tego poczucia nie jest rozumowanie, ani rozumowanie zdolne go pokonać. Pochodzi ono z całości sił uczuciowych (*Gemüthskräfte*) i po wyróżnieniu dalszem poezji, metafizyki, osobnych umiętności i t. d., religijne przeświadczenie trwa nadal w głębi sumienia i oddziałuje na tamte formy wiedzy. Poznanie bowiem, którego dziełem są umiętności, nigdy nie opanuje całkiem doświadczenia pierwotnie odczutego. Poznanie pracuje, że tak powiemy, z zewnątrz nad tem wewnętrznym życiem. Niechaj tedy poznanie poddaje wciąż tę treść nowym faktom i prawu naukowej konieczności — bo to jego zadanie i powinność — niemniej przeto ostaną się w ludzkim umyśle myśli o wolności woli, poczynałości, o ideale i wolności Bożej.

Wróćmy do naszego myśliciela. Stawia on 16 twierdzeń, które przytoczyć należy, choćby dlatego, aby unaoocnić, jak szwajcarski filozof zawsze i wszędzie jest moralistą.

I. Błądzi od początku i naraża się na niepowodzenie, kto rozdziela zagadnienie prawdy od kwestji postępku i kto mniema, że wolno mu przyjąć pewien pogląd na świat wprzódy, nim wypróbował, jakie mogły-by być jego prawdopodobne następstwa odnośnie do praktyki życia.

II. Ze stanowiska teorii czystej nie można-by żadnego systemu uznać za prawdziwy, póki ten obcina lub przeinacza dane faktyczne.

III. Sensacyonizm (t. j. sensualizm) nie jest prawdą. Niepodobna wykluczyć osobowości albo rozumu.

IV. Racyonalizm tak samo nie jest uzasadnionym. W poznaniu naszym istnieje czynnik tak samo a priori, jak i a posteriori, który w ruch wprawia samoistna działalność umyślna, opracowując żywioły dostarczone przez zmysły.

V. Prawo przyczynowości nie pozwala na to, aby można było dopatrywać się w tem co mniejsze powodu istnienia większego, albowiem zabrania ono poczytywać nicstwo za przyczynę bytu.

VI. Pozorny początek nie jest ani być może początkiem prawdziwym i należy uznać, że po-za światem, rozwijającym się w czasie, istnieje przyczyna, zdolna wytwarzać wszystko, co ten świat mieści w sobie.

VII. Moralny nakaz mieści w sobie pojęcie wolnej woli człowieka.

VIII. Obowiązek wskazuje nam Boga w nas samych i po-nad nami.

IX. Z Boga pojmujemy to tylko, co zawiera w sobie pojęcie nas samych. Wiemy, iż Bóg pragnie, aby urzeczywistniono dobro moralne ¹⁾.

X. Aby ta wola była spełnioną, potrzeba na to stworzeń wolnych. Należy więc je uważać jako wynik takiego czynu twórczego, którego istoty pojmować przeto nie mamy potrzeby.

XI. Skoro celem Stworzenia może być jedynie urzeczywistnienie życia moralnego, które włącza panowanie nad samym sobą i zwycięstwo nad pokusą wszelkiego rodzaju, możliwość zła wynika istotnie z idei Stworzenia.

XII. Prawdziwe zło, urzeczywistnienie ewentualności mieszczącej się w pojęciu stworzenia, jest tedy przejściowem. Wątpić o Bogu dla tego, że Istota dobra nie byłaby naraziła stworzeń swych na takie ryzyko, jest to twierdzić, że dobro nie jest dobrem, ponieważ nie znamy innego, jak dobro moralne.

XIII. Powszechność zła w człowieczeństwie i ogół zjawisk moralnych, których-by w inny sposób wytłómaczyć niepodobna, jak przez wpływ zła, nakazują nam uznać jedność Stworzenia.

XIV. Świat istnieje, a więc i dobro ostatecznie zwyciężyć w nim musi, nie na przekorę woli stworzeń, coby nie miało sensu, lecz skutkiem zmiany ich woli, co Bóg skutecznie może.

XV. Dobro staje się naszym udziałem w ten sposób, że stworzenie wyrzeka się myśli zogniskowania w sobie i dla siebie wszelkich popędów życia, że umiera dobrowolnie dla teraźniejszości dlatego, aby połączyć się samo i oddać się całkowicie Bogu, który jest ogniskiem i celem jestestwa z Nim zjednoczonego.

¹⁾ Nawot J. S. Mill uznaje to w zupełności: „Three Essays on Religion.“ III. „Theism; Attributes of God.“

XVI. Powinniśmy przyjąć wszystkie te tezy, choćby wnioski, jakie z nich wynikają, były niezrozumiałemi, dlatego, iż wszystkie one obejmują postanowienie nadania moralnemu prawu wartości przedmiotowej, a prawo to w nas samych obwieszcza zwierzchnią swą powagę.

Jak nadmieniono, zostawiamy na stronie rozbiór zagadnień metafizyki religii, związku wyznań z poznaniem, jego teorię zasadniczych prawd chrześcijaństwa i t. d. W dzisiejszym bowiem czasie agnostycyzmu badania tego rzędu wywołują u jednych uśmiech politowania, u drugich zawistne przekąsy. Chodziło tu o zaznaczenie, że Secrétan jest myślicielem etycznym zgoła. Można szwajcarskiemu filozofowi zarzucić to i owo; nie wolno atoli podawać w wątpliwość faktu umiejętnego, że we wszystkich filozoficznych obozach sprawdzianów postępowania prawnego w myśl ogólnego dobra — (egoistyczna etyka nie wytrzymuje krytyki) — dostarcza teoria altruistyczna obyczajowa, słowem filozofia moralności, nawet u H. Spencera wydzielona i postawiona obok, niezależnie od teorii społecznych. Co prawda, dla nas i dla *Pol-lucka* (*Introduction to the science of Politics* 1890) Etyka wchodzi integralnie w zakres nauk społecznych; u naszego zaś myśliciela wszystko, jak widzieliśmy, stanowi moralny sprawdzian. Obaczmyż jak posługuje się nim w ściśle społecznych zagadnieniach.

II.

„Studia społeczne” składają się z 12 listów w popularnej postaci pisanych do protestanckiego czasopisma *Evangile et liberté*, i z dwu rozpraw, drukowanych w „Revue philosophique” o zbytku (1888) i stosunku etyki do ekonomiki, do czego Secrétan dołączył rozprawkę o „dniu normalnym” t. j. godzinach pracy ustawami dozwolonych, (przedmiocie roztrząsanym przez radę związku helweckiego), w tymże miesięczniku wydaną.

Rozmyślając nad niedomaganiem społecznymi, autor (str. 39 i 50) potrąca o własność ziemską, której początek odnosi do nadań przez władzę (beneficya, feodalizm) i mniema, że wogóle renta ziemi przypada państwu naturalnym tokiem rzeczy (?), lecz z powodu zaprowadzonych i sankcjonowanych przez zwierzchnią władzę stosunków, władza ta „nie mogła-by bez odszkodowania terażniejszych właścicieli odebrać im rzeczonyj renty.” Bez wdawania się w rozbiór zdania tego, o czem dużo-by można i trzeba było się rozpisywać, przytoczymy sąd ekonomisty nieżyjącego, a zaprawdę reformom socyalnym nie wrogię, Wawrzyńca Steina, który (jak wiadomo, przerabiał on każde poprze-

dnie wydanie pism swych z gruntu) — w 3 ed. kursu Ekonomiki ¹⁾ tak sądzi o tem: „Nie można zaprzeczyć, że produkta wszelkiej ziemi przewożone bywają na targ, a przewóz ten koszta pociągając za sobą musi, produkt tedy w cenie swej niechybnie koszta te zawrze, czy majątności będą wspólne, czy nie. Żaden komunizm nie wskóra przeciw temu, aby nie było drożej przewozić żyto lub węgle pięć mil dalej, niż o milę. Jeżeli koszta te przewozu absolutnie zwrócone być muszą, to zapłata na tem tylko polegać może, że społeczność z góry strąca sobie te koszta z całości wytwórczego procesu wprzód, nim rozdzieli artykuły przewozu, i przeto pobiera rentę ziemską pośrednio bez względu na własność prywatną.” Dzieje się to przez drogi, kosztem skarbu, lub koleje żelazne, budowane z podatków i długów publicznych społeczności politycznej. Innemi słowy: kolektywizm tak samo nie daruje renty dzierżawcom wydziedziczonych dóbr, jak obecni prywatni właściciele. Że H. Georges pomija wpływ amelioracyi i nakładów w rolnictwie, to przekonywająco wykazał Kl. Gannet ²⁾.

Co do przemysłu i jego ustroju Secrétan z wielkim zapalem ob staje za przypuszczeniem robotników do udziału w zysku przedsiębiorcy, co gdyby własnowolnem było przedsiębiorców dziełem, stanowiłoby prawdziwą emancypację robotnika, kiedy ubezpieczenie jego przymusowe osłabia przezorność.

Rozprawka cenna o zbytku, z powodu dyskusyi o tym przedmiocie w łonie paryskiej Akademii nauk moralnych i politycznych, gdzie, nawiasem mówiąc, znany ekonomista-liberał Paweł Leroy Beaulieu różnił się w zdaniu z bratem swym równie głośnym Anatolem L.-B., należy do najlepszych wogóle przyczynków, rozświecających zagadnienie zawile.

Przedewszystkiem szwajcarski myśliciel szczęśliwie bardzo rozdziela punkta widzenia w tej mierze.

Wychodząc z punktu czysto ekonomicznego, nazwiemy—mówi on—zbytkiem wszelki wydatek, gdzie równowartość spożytych dóbr nie odnajduje się pod postacią innych użytecznych wytworów lub sił, zdolności i wiadomości, nadających się do wytwarzania. Z etycznego punktu, „skoro celem życia a kultury jest zużytkowanie (*mise en oeuvre*) wszelkich naszych zdolności gwoli pożytkowi ludzkości” — a nie znaczy to wcale utylitaryzmu — nic zaś w postępach naszych widzianych w tem świetle nie może być obojętnem, zbytkiem tedy będzie „wszelki

¹⁾ *Lehrbuch der Nationaleconomie*, 3 Aufl. 1887, str. 221.

²⁾ *Capital, speculation et finance au XIX siècle*, 1892, p. 120. Ob. moje sprawozdanie w „Wiad. Bibl.” Amelioracye przecież prywatni, nie zaś państwa, poczynili i czynią.

rozchód nie przyczyniający się do zachowania lub do rozwoju tego, czego sobie dozwala osobnik, lub co widzi u swoich bliźnich." Bezwątpienia najwyższym jest sprawdzian filozofii społecznej. Otóż u Secrétana zbytek, socjologicznie uważany, jest to: „wydatek zbędny, który ani pośrednio, ani bezpośrednio nie przyczynia się do dobra wielkiego mnóstwa ludzi." Wiele rzeczy, zbytekiem będących dla ekonomisty, nie są nim dla myśliciela o sprawach wogóle społecznych: koncerty bezpłatne, piękne publiczne budynki, ogrody i place, których obszar ważny jest i dla higieny, a więc i dla produkcji. Sama elegancja wystaw, toalet i ekwipaży, zachwyca przez chwilę oko przechodnia zbyt dumnego, aby miał tego zazdrościć. Pod względem społecznym zbytek ten nie zasługuje na potępienie — *la question d'opportunité mise à part* — o ile sprawia on przyjemność umysłom zdrowym..." „Modniarka i cukiernik powiedzą nam, że bogacz nie spełnia obowiązku swego, gdy nie jest wspaniałym; ekonomista znów, że sprzeniewierza mu się, skoro nie oszczędza energicznie, a do zdania tego przyłączy się filozof, najczęściej bacząc na moralną doniosłość ekonomicznej usługi przez to świadczonej sobie i społeczności, nie mówiąc już o innych względach." Bądź co bądź, „zbytek niweluje oddających mu się przez to, że ich rujnuje; oszczędność, która pozornie największe wyźlabia różnice, podnosi poziom społeczny i ostatecznie znowu niweluje przez to, że ogranicza zyski lub daje ostatnie słowo robotnikowi na targu pracy rąk... Gdy fabryka bez robotnika nic nie wskóra, nadejdzie czas, że sprzedać mu ją trzeba będzie, gdy potrafi ją eksploatować należycie. gdy oszczędki jego dozwolą mu żyć przez pół roku. Zanim to nastąpi, nagromadzenie bogactwa zmierza też do spoziomowania stanowisk przez podwyżkę zarobków a zniżkę odsetków", — najważniejszy zdaniem Kl. Jannet'a objaw ewolucyjny gospodarczo-społeczny stulecia, dodajmy, — zwłaszcza, że trzeba będzie próżniakowi większego kapitału dla zapewnienia sobie dochodu, równego przeciętnemu dochodowi z pracy."

O stosunku ekonomiki do etyki napisano tomy, a nowsza szkoła niemiecka, np. G. Cohn, przesadza nawet, tłumacząc obyczajowemi sprawdzianami wszelki gospodarczy objaw. Nasz autor umie trzymać się umiarkowanej linii. W określeniach swych, co prawda, wolelibyśmy, aby Ekonomiki nie zacieśniał do „filozofii wymian i handlu", ile że przez to daje pochop do rozmyślnego np. przez D. Macleoda ¹⁾ ścieśnienie

¹⁾ Cliffe Leslie *Essays on moral and political philosophy* 1879, str. 177 uważa Macleoda za „representing no english school and having no supporters among authors of economic works or profesors of polit. economy in this country." Sofista ten, nie dość, że w *Elements of Economic (vol. I book I)* wnawia niestworzone rzeczy w Smitha, J. Say'a i Milla, nie chcących uznać dogmatu „Kredyt to kapitał", lecz apeluje

nia widnokregu tej nauki. Prawda, że „filozofia ta gruntuje się na pojęciu wartości”, gdzieindziej poprzednio przez autora uważanej w myśl Mengera za „użyteczność rzadką”, że źródłem jej pożądanie, a przez to ekonomika opiera się o psychologię; prawda też i to, że celem konkretnym, praktycznym, nie zbiorowe bogactwo, lecz szczęście dotyczących osobników; prawda, że „interes osobisty, przez umysł źle lub dobrze pojęty, zdaje się być dźwignią najtrwalszą i najsilniejszą czynności ludzkich, z czego atoli nie wynika, aby była jedyną”, obok uczuć rodzinnych, przyjaźni, litości, sympaty, a potrzeby sympaty i uznania bliźniego, próżności, zawiści a nawet miłości przygód, które także ekonomicznymi bywają sprężynami.

Ostatecznie „zadaniem jest społecznej ekonomiki: odróżnić, co się da lub nie da uczynić w działaniu gospodarczem i wykazać wyniki naturalne postępów. Zadaniem etyki jest: wytknąć im cel i zapewnić każdemu cenę integralną pracy, zgodnie z wymaganiem sprawiedliwości. Nakoniec niezbędnym jest wysiłek woli dla zrozumienia prawdziwego celu i środków, gwoi udostępnieniu tej świadomości w otoczeniu a rozproszeniu uprzedzeń. Wszystko jedno, czy oczekujemy spełnienia reformy od ustawodawcy, czy od swobodnych umów interesowanych, a najlepiej od sojuszu obu tych czynników.”

III.

Książeczka o „prawach społeczeństwa”, podobnie jak rozpatrzone „Studia społeczne” Secrétana, nie jest wykładem ani systematem filozofii prawa, przeciwko czemu zastrzega się autor, lecz szeregiem uwag *de lege ferendo* gwoi użytkowi ustawodawców przyszłości, podanych w sposób przystępny a prosty. Duch etyczny wieje także z tego dziełka wybornego. Wiadomo, że zeszłowiekowi myśliciele i ustawodawcy W. Rewolucyi obwieszczali światu „prawa człowieka”, nb. abstrakcyjnego, nie troszcząc się o jego obowiązki. Pomijając rzecz o obywatelskich obowiązkach w konstytucyi 1793 r., która nigdy w życie nie weszła, dosyć zaznaczyć, że i pod prawnofilozoficznym względem odbiła się ta ujma i próżnia niekorzystnie, co dzisiaj uznaje nauka ¹⁾. Wiadomo także, iż Kant podniósł w zeszłym stuleciu jednocześnie niemal i udokładnił pojęcie obowiązku jako sprawdzianu praw.

do Rouher'a. Jakże ekonomista przy zdrowych zmysłach zaślaniać się może sofistą parlamentarnym, wysmianym przez E. Laboulaye'a w nieśmiertelnym „*Prince Caniche*.”

¹⁾ Ahrens „*Naturrecht*“ 1870 tom II, § 54, str. 20.

To też i nasz myśliciel wyprowadza ludzkie prawa z obowiązków, nie zaś odwrotnie, co wypada mu policzyć za zasługę. Już Franck (*Philos. du Droit Civil* 1886) dobitnie określił prawo jako: *liberté consacrée et réglée par le devoir*.

W pięknym wstępie do dziełka muiema on: „Człowiek ma obowiązek występować (*de se constituer*) jako jestestwo swobodne. Na zewnątrz powinien on wolność tę urzeczywistniać przez rozszerzanie zakresu działania i rozwój zdolności swych, przez panowanie nad przyrodą i coraz rozleglejszą o niej wiedzę. Na wewnątrz osiąga swobodę, w miarę jak dokładniej zdoła osiąść własną swą wolę, tak, aby nie czynił, czego-by nie mógł uznać, działając zawsze w myśl pojęcia dobra.” A czemże to ostatnie, zapytamy, „dobro ogółu, którego formuła brzmi: chcę abyśmy byli, czyli chcę, abyśmy chcieli w sposób prawy?” Owo *my*, jako podmiot praw, to nie oderwany osobnik, abstrakcyja zeszlówiekowych myślicieli i prawodawców, lecz wszyscy ludzie mający świadomość i poczucie swego człowieczeństwa. Dlatego „prawa człowieka” lepiej zastąpić „prawami człowieczeństwa.”

Co do sławetnej Deklaracyi „praw człowieka” z r. 1791, Secrétan tak samo widzi jej wady, lubo nie nicuje jej tak gorliwie, jak ongi Bentham, którego mimo to francuscy ustawodawcy obdarzyli godnością honorowego obywatelstwa. Słynne „*Sophismes anarchiques*” ¹⁾, cokolwiekbądź dziś sądzić można o płaskim utylitaryzmie rzecznika korzyści, w gruncie samolubnej, stanowią arcydzieło krytyki przenikliwej i dowodnej i zapewniły Benthamowi w naukach politycznych niespożyty tytuł i zasługę. „W „Deklaracyi praw człowieka — mówi nasz autor — chodziło więcej o polityczne prawa obywateli, niż o rękojmię cywilnej ich swobody, np. o prawo własności pracy i t. p. Wprawdzie określa ona prawo własności, lecz nie umie wskazać przedmiotów tego prawa należycie.” Jeżeli *de facto* dzieło Rewolucyi okazało trwalsze wyniki w zdobyczach ekonomicznych od jej politycznego dorobku, to i inicjatorowie tego przewrotu nie myśleli o nich, zwłaszcza, iż dorobki, tak polityczne, jak cywilne przewrotu, stały się udziałem mieszczaństwa. Ostała się jeno, jako zdobycz trwała, swoboda mowy i pisma. Secrétan przenosi tedy nad tę francuską, podziwianą i dziś jeszcze bez powodu, deklaracyę, wyłuszczenie praw ludzkich przez ustawodawców amerykańskich w latach 1620 i 1776, którzy domagają się jeno uznania praw „do życia i szczęścia.”

¹⁾ Dobrze streszczenie i ocenę dzieła tego Benthama znajdzie czytelnik u Czyżczeryna „*Historya doktryn politycznych*.” Moskwa 1874, tom III, str. 290—294. Najlepszy sąd o Benthamie Adolfa Helda *Zwei Bücher der socialen Geschichte Englands*. I Buch.

Słynna francuska deklaracja milczy np. zgoła o prawach kobiety, tak, jakby niewiasta do człowieczeństwa nie należała. W rozdziale II (Définitions) autor wymownie obstaje za niemi i jest śmielszym od innych rzecznikiem równouprawnienia i wyzwolenia kobiet. Żąda tak przywrócenia kobietom praw cywilnych, jak nadania im politycznych. „Kobiety mają duszę, choć niektórzy Ojcowie Kościoła byli odmiennego zdania, i dusza niewieścia służy człowieczeństwu do spełnienia najwyższych funkcji. Niemasz wyższego prawdziwie umysłem mężczyzny, któryby nie miał w sobie cząstki duszy kobiecej, bo nie zrozumiał-by bez tego ludzkości, ani nie byłby przez nią zrozumianym. Na odwrót, każda kobieta, godna swego powołania, posiada też cnoty prawdziwie męskie. Mężczyzna i kobieta uzupełniają się, tak jak łodyga i liść, bynajmniej zaś nie jak posąg i piedestał; są oni odmienni, wszakoż przez to nie nierówni.” Autor przemawia też, w czym łączymy się z nim, za zniesieniem dotychczasowego ekonomicznego uposiedzenia kobiet i żąda równouprawnienia zupełnego cywilnego z mężczyzną. Żąda nadto autor, aby dopuszczono je do wszystkich zawodów (emplois), napomyka i o udziale w państwie, chociaż w 5 rozdziale roztropnie odkłada to do dwudziestego stulecia, do chwili, póki kobiety nie będą odpowiednio wykształcone i obyte w zawodach do życia publicznego sposobiących. Co do nas, nie mielibyśmy nic i dzisiaj przeciwko nadaniu kobietom prawa wyborczego czynnego, zwłaszcza starszym, niezamężnym, lub wdowom „statecznym.”

Co do obieralności jednak mamy pewne skrupuły, aczkolwiek przypominamy, że dzielny i cięty pisarz polityczny i statysta naukowy, K. Frantze ¹⁾, obraca ten parlamentaryzm niewieści w śmieszność. Zapewne „Izby dam” dziwnie-by dzisiaj wyglądały, a — przy rozbujałych fluktach swady niewieściej i w braku męskiego rygoru i regularnego izbowego — doczekalibyśmy się zapasów powodzi oratorskiej lub zwad, wobec których swarliwe obrady dzisiejszych zgromadzeń francuskich lub węgierskich stały-by się spokojną wymianą zdania... Upřednio trzeba-by przekształcić nawyknięcia kobiece przez wykształcenie inne niż dzisiaj.

¹⁾ *Naturlehre d. Staates* 1870, Ks. IV, str. 291. „Soll vielleicht der weibliche Theil d. Parlaments von dem männlichen getrennt werden und daraus eine neue Art von Zweikammersystem entstehen, ein Damenhaus neben einem Herrenhaus? Es scheint wohl, das Parlament würde dabei aus einem hohen Staatscollegium eine *cour d'amour* werden. Allein die altherwürdige Körperschaft hat jedenfalls einen unprosaischen Character als dass sie solche romantische Umwandlung zu ertragen vermöchte, und eher noch könnte vielleicht ein Narrenhaus daraus werden.“ *Secrétan nie czytał* snadź wyborych uwag Frantza. Porównaj zresztą z uwagami L. Palma *Del potere Elettorale* 1869, p. 206—214. Una questione del avvenire.

Oprócz „prawa obrony własnej”, swobody zmiany miejsca i t. zw. osobistych czyli indywidualnych praw, autor nasz mówi i o niewoli, uważając wprawdzie owe zagadnienia za rozstrzygnięte. Nacisk wszelako kładzie, jako na wynik uznanych tych swobód, na prawo ludów cywilizowanych do zniesienia handlu niewolnikami, wtórując usiłowaniam zmarłego niedawno kardynała de Lavigerie. Wolny objaw zdania, jako prawidło, wzmacnia się jeno wyjątkiem zakazu widowisk i mów podniecających lubieżność, prawa należącego się słusznie władzy społecznej, albowiem chodzi tu o objawy patologiczne i zatrucia moralnego, o zamach na zdrowie i wolność ogółu. Sprzedaż odnośnych „utworów” i „towarów” stanowi przestępstwo pospolite (*delit du droit commun*). Odnośnie do swobody wyznań, autor, łatwo to odgadnąć, domaga się neutralności władzy państwowej, co zasię nie znaczyło ani znaczy bynajmniej wrzekomej „bezwyznaniowości”, insynuowanej np. przez gorliwość klerikalizmu takiemu Bluntschlemu, mimo wyraźnej (Politik V Ks. R. I) charakterystyki przezeń państwa jako jestestwa, „między”, nie bezwyznaniowego (*Interconfessioneller Charakter des modernen Staates*). Gromi atoli on słusznie nietolerancję szwajcarską, gdzie np. w Genewie protestantów razi sutanna duchownych katolickich, a to dla przypodobania się większości. „*Suivant nous les droits de la majorité sont des droits délégués*”, tak, że podobne ograniczenie stanowi nadużycie w zasadniczem i racjonalnem prawie swobody wyznań.

W prawie familijnem (R. VI) autor staje na stanowisku bezwarunkowo potępiającem — według nas także słusznie — znane przepisy kodeksu francuskiego. Żąda on: 1) uznania jednożeństwa, 2) tak, aby monogamia opierała się na zupełnej równości małżonków, z wyjątkiem kontraktowo w umowie wyszczególnionych różnic w trybie życia i wniosków (*apports*), 3) chce, aby prawowite powody rozwodu ściśle ustawa wyszczególniła, 4) obietnice małżeństwa pisemne lub domyślne stanowią powód do akcji sądowej o uznaniu związku w razie potomstwa, lub o zwrócenie szkód i korzyści straconych, 5) Secrétan domaga się, aby wolno było poszukiwać ojcowstwa, co jak wiadomo uniemożliwione jest przez kodeksy francuski, nasz i austriacki, o tyle, iż rodzic uznany lub domyślny ma ponosić koszt wychowania dziecka naturalnego, które wszelako nie wchodzi do rodziny i nie nabywa praw spadkowych ¹⁾. Nieuprzedzony — niestety należy do uprzedzonych sporo prawników-cywilistów — chętnie podpisze następane słowa autora: „Wielki pomnik wcielonego despotyzmu (K. Nap.), zaostrozając tradycję, legalizuje przepisami sprytnemi poligamię bękarcią płci silniejszej,

¹⁾ O rozwodzie patrz bardzo dobre uwagi Adolfa Francka l. s. c. Ch. VIII, str. 69—73.

zobowiązując współcześnie słabszą do wierności małżeńskiej pod grozą bardzo surowych kar i dochodzi do tego, że życie winnej oddaje na państwą zemście męża."

Czytelnicy poprzednio rozpatrzonych „Studyów społecznych”, powzięli może z powodu obstawania Secrétana za upaństwowieniem ziemskich majątków wyobrażenie, jakoby był „socjalistą.” Zdarzyło nam się nawet czytać określenie Secrétana jako „liberalnego socjalisty.” Orzeczenia te rozbija w puch autor w następnych wyborzych rozdziałach (VIII—IX), mówiąc o prawie własności. Chodzi tu o postać socjalizmu najżywotniejszego dzisiaj, czyli o „Kollektywizm” roszcujący sobie tytuł do upaństwowienia wytwórczych zasobów i narzędzi pracy. Otóż autor mniema, iż „każdy posiada prawo do życia, a skoro aby żyć trzeba pracować, każdy przeto ma prawo do wytworu swej pracy.” U kolebki własności — pisze dalej — i państwa samego przeciwstoją sobie konieczność i swoboda. Konieczność, t. j. potrzeba, nie usprawiedliwia własności, chyba odnośnie do przedmiotów spożycia. „Zapewne nie istniała-by własność, gdyby nie było potrzeb, lecz sama potrzeba nie uprawnia prawowitej własności. Trud wolny, swobodna praca, to jej tytuł¹⁾ i źródło. Dalej: „socjalizm kolektywistyczny woli dla równości niweczyć swobodę powszechną, nie bacząc na to, czy ta powszechna niewola będzie również w mierności lub nędzy. Poświęcenia takiego osobnika nie przyjmujemy; wolność jest rdzeniem, równość li stosunkiem (*un rapport*); wolność to moja własna istota, równość rojona ani nie jest przyrodzoną, ani sprawiedliwą, bo sprawiedliwość żąda, aby każdy był sprawcą swej doli i t. p. Dalej „kollektywizm w materyalnym wytwarzaniu dóbr — to ekonomiczny wyraz idei ciasnej, która uposledza życie umysłowe, moralne i religijne, gdyby próbowano zastosować do gospodarstwa społecznego, gdyby świadomością nie owładnęło błędne pojęcie, że cel uświęca środki, że ściśle im więc chodzi, socjalistom głównie, o materyalny zewnętrzny wynik, że pobudki moralne postępów są rzeczą drugorzędną.” Trudno zaiste o silniejszą odprawę ze stanowiska etyki czy filozofii prawa, według nas nierozdzielnych w zasadzie i przesłance-macierzy. Cokol-

¹⁾ Zazwyczaj rodowód własności z pracy przypisują li ekonomistom, którzy — zdaniem piszącego — przez nadmierny nacisk na pracę od czasu Smitha muszą trzymać się tego wywodu. Atoli etyce i filozofowie prawa tak samo od dawna opierali własność na pracy, jak w innem zaznaczyliśmy miejscu. Zob. Adolfa Garnier (filozofa) *Morale sociale* L. II, Ch. I; Kar. Comte’a *Traité de la propriété* I, 61; młodszego Fichtego *System der Ethik* II. Lehre von der Rechts-staatlichen und religiosen Gemeinschaft. 1853, str. 68. Paulsen *System der Ethik* str. 682, wyprowadza własność z prawa społecznego własnej obrony społeczeństwa.

wiekbądź stworzył od XVI wieku rozdział dwu tych dziedzin, z Arystotelesem i Spencerem obstawiamy za ich skojarzeniem, ile że sprawiedliwość, czy to wymarzalna, legalna, czy w piersi ludzkiej uznana moralnie, w jądrze swem jest jedną.

Wprawdzie Secrétan nie rozstaje się z dawniej zaznaczonym pomysłem, że własność indywidualna ziemi jest utworem jedynie cywilnego ustawodawcy, że wprawdzie można ją nawet w potrzebie wziąć w obronę, lecz li jako urządzenie spowodowane względami powszechnej użyteczności w pewnej dziejowej dobie, nie zaś zasadnicze usprawiedliwienie sprawiedliwym sądem. Państwo, zdaniem autora, nie przestaje względem nieposiadających ziemi i bezrolnych mieć pewnych zobowiązań; lubo Secrétan wzdyga się na przeprowadzenie myśli Georges'a—przyswoił ją sobie dopiero w „romansie społecznym” „*Utopii*”, — i zaleca jedynie, aby „wynagrodzenie” owo polegało na obowiązkowej bezpłatnej nauce rzemiosł i przemysłu zawodowego dla uboższych, tudzież na środkach „współdzielczości” i pomocach, o których rozdz. IX wspomina. „Prawo do pracy” i do „wsparcia” autor odrzuca jako niesprawiedliwe i obosieczne. „Legalne miłosierdzie” brzmi mu jako niedołączony półśrodek i sposób sztucznego podsycania lenistwa i bezradności, a dobroczynność urzędową angielską potępia on stanowczo.

Wolność zapisów testamentowych wynika z powyższego pojęcia prawa własności. „Testament nie da się odłączyć od własności nierozdzielnej z wolnością, która jest pierwszym warunkiem wszelkiego moralnego bytowania.” Prawo spadkowe francuskie z równymi schedami i legitymą nie ma sympatii szwajcarskiego myśliciela. „Przymusowy podział sched prowadzi do wyludnienia przez zmniejszenie urodzeń”, tak, że ostatecznie — co uważamy za przesadę — Secrétan mieni być to urządzenie „powolnem narodowem samobójstwem.” Wolny wzrost ludności Francyi, oprócz tej, ma inne, etyczne przyczyny obok ekonomicznych. Autor gotów mimo swego demokratyzmu pogodzić się nawet z pierworodztwem W. Brytanii, które młodszemu członkowi rodzin wskazuje drogę samopomocy i hartuje ich na pożytecznych i pracowitych obywateli.

Z obrębu prywatno-prawnego przechodzimy (R. IX) do dziedziny prawa publicznego w rozdziale o obowiązkach własności i państwa względem wyrobnictwa, tego co zowie autor „salarjatem”, i w X „wolność polityczna”, gdzie mowa o funkcyjach i ustroju władzy zwierzchniej, przyczem okazuje się liberalizm Secrétana w innym świetle, niż dotychczasowe poglądy woluomysłnych i zdawkowy ich mencesteryzm.

Znamy zapatrywania autora na „kwestyę socyalną” ze „Studjów” i środki jej ułagodzenia, jeśli nie stanowczego rozwiązania, mianowicie: gorąco zaleca spółki współdzielcze spożywcze, wytwórcze i udział w zysku. Zbytecznem powtarzać, że i tutaj popiera je, lecz zaleca też pomoc państwową o tyle, iż „obecny stan społeczeństwa nie jest normalnym. Człowiek, który posiada li tylko parę rąk, potrzebuje pieczy, a państwo pieczy tej pozytywnie udzielić mu obowiązane; aczkolwiek środki ustawodawcze, jako to: ograniczenie godzin pracy, przymusowa oszczędność, ubezpieczenia od wypadków i t. p., są li półśrodkami i nawet wykraczają z obrębu właściwych państwu funkcji. Swoją drogą „Kollektywizm, czyli konsekwentny państwowy socyalizm, sprowadzić może jeno powszechną niewolę w powszechnej nędzy; nie przestawajmy głosić tego tłumom, bo ludzie światli wszyscy to pojmują z wyjątkiem zręcznych, co w przesileniu, jakikolwiek jego będzie wynik, mniemają, że będą mogli żądze swe zaspokoić.”

W rozdziale X, o zakresie funkcji państwa, autor, acz liberalny, t. j. pragnący je sprowadzić w zasadzie li do ochrony praw obywateli, żąda (str. 278), aby rząd zajął się drogami i środkami przewozu, wymiany i zakładów kredytowych i obiegowych (banki). Jasna rzecz, że Secrétan wbrew credo liberalnemu staje przez to na stanowisku dzisiejszej rozważnej ekonomiki i nauki administracji¹⁾. Zbyteczna objaśniać, że i udział znaczny państwa w szkolnictwie uważa za usprawiedliwiony. Mało co nowego zawierają poglądy Secrétana na formy rządowe. O gminowładztwie mniema S., że „zbyt często stanowi ono rząd wyzysku i nieprzezorności, który żyje z dnia na dzień”; że powszechne głosowanie zagraża prawom mniejszości, a osobiste w niwecz zwykło obracać. Rządy parlamentarne powinny za podstawę swą przyjąć: reprezentacyę „stosunkową”, t. j. odpowiedne do potrzeby zastępstwo interesów gmin społecznych, nie zaś według liczby brutalnej wyborców, i odpowiedzialność rzetelną wybranych przez t. zw. referendum.

Nakoniec Secrétan przyłącza się do życzeń konferencji pokojowej podczas Wystawy paryskiej 1889 r. i żąda (R. XI) międzynarodowego rozjemstwa w sporach.

J. B. OCZAPOWSKI.

¹⁾ Nie od rzeczy przypomnieć dziś, gdy nawet ludzie nauki krótką miewają pamięć, że Robert Mohl dawno jeszcze przed Adolfem Wagnerem, bo w 2 wyd. *Polizei-wissenschaft* (1844), domagał się upaństwowienia dróg żelaznych.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Ludwik Œwikliński: „Opis zarazy ateńskiej w dziele Tukidydesa II. 47, 2 — 54.“
Studjum krytyczne. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1894. 4°.

Nazwisko Tukidydesa stanowi w greckiej historyografii bardzo ważną epokę. Uświęcona wiekami tradycja oddaje wprawdzie Herodotowi hołd, czcząc jońskiego dziejopisa chlubnym przydomkiem „ojca historyi,“ ponieważ w stosunku do współczesnych mu niemal logografów znaczy dzieło jego znakomity w kreśleniu dziejów postęp; wszakże dopiero w ateńskiego dziejopisa utworze napotykaemy po raz pierwszy w literaturze narodów starożytnych istotne podwaliny, na jakich odtąd każde prawdziwie historyczne dzieło wnosić się winno, podziwiamy dotychczas nieznaną zasadę, w istocie swej niezbitą i nieugiętą, po wszystkie czasy niezmienną. Tukidydes jest twórcą pragmatycznej i politycznej historyografii.

Już w samym wyborze tematu dzieła swego różni się Tukidydes od swych poprzedników. Postanowił bowiem przedstawić potomności dzieje współczesne, historję wojny peloponeskiej, w której od samego początku przewidział walkę zaciętszą i walniejszą, aniżeli kiedykolwiek w historii greckiej, a może i w całej starożytności, się toczyła. Że temat taki, wzięty ze smutnej, żadnemi tendencyjnemi legendami jeszcze niezabarwionej rzeczywistości, gdzie tylko względy polityczne rozpasanych stronnictw rozstrzygały, a rozszalałe namiętności ludzkie granic

i upamiętania nie znaly, nie mógł uwięzić uwagi tłumów, żądnych jedynie rozrywki, opowiadań o przeróżnych dziwach i cudach, jak to logografowie, a w głównej części nawet Herodot jeszcze opisywać umieli, o tem wiedział sam Tykidydes najlepiej. Wszelako nie pożądał on szybko przemijających oklasków, chwilowego tryumfu retorycznego, lecz pragnął potomości pozostawić w dziele swem, jak sam mówi, κτήμα ἐς ἄετι, dobytek na wieczne czasy. W innych ustach wydawałoby się oświadczenie takie czczą przechwałką, zarozumiałością niesłychaną, jednakże wszystkie potomne wieki jednozgodnie przyznały Tukidydesowi, że przecucia i pewność zdobycia dla imienia swego nieśmiertelnej sławy go nie zawiodły, że w dziele swem wystawił sobie pomnik trwalszy od spiżu, że historia jego jest, jak wielki Hegel się wyraża, absolutnym zyskiem ludzkości z wojny peloponeskiej.

Obiektywność w przedstawieniu przedmiotu, zamiłowanie prawdy i sprawiedliwości, bezstronny, nieuprzedzony, sumienny sąd o osobach i faktach, oto główne cechy ateńskiego historyka. Własna jego osoba, sąd osobisty i jego polityczne stanowisko kryją się w mroku i w żadnej mierze ścisłości historycznej nie uwłaczają. Chociaż sam jest gorącym zwolennikiem jednego stronnictwa, i to Peryklesowej arystokracji, mimo to, jako historyk, umie się wzniesić po-nad frakcyjne dążenia, przekonania i wymagania, a z równą szczerością wytyka błędy i niedostatki własnego obozu, jak z wszelkiem uznaniem wyraża się o sprawiedliwych czynach i słusznych żądaniach przeciwników politycznych. Bez względu na zmienne zdania i przesady ogółu, niezasłепiony chwilowem, pozornem powodzeniem działających czynników, sięga zawsze aż do właściwych, najwięcej ukrytych sprężyn, wnika aż do istotnych przyczyn, dla których w ten właśnie a nie w inny sposób polityczne życie narodów się objawiało.

Jeżeli taką miarą wszystkie wieki potomne Tukidydesowi, jako niezrównanemu mistrzowi w kreśleniu dziejów, jednomyślnie należny hołd oddają, to napróżno oglądamy się za taką zgodą w ważnej kwestyi, kiedy Tukidydes dzieło swe napisał i nadał mu tę formę, w jakiej ono do naszych czasów się dochowało. Ważną zaś jest kwestya owa względem kompozycyi dzieła o tyle, że dotyczy pierwszorzędnego historyka, który dla nas główne, najczystsze stanowi źródło do owej epoki, którego sąd w zupełnie innem świetle przedstawić się musi, jeżeli wydanym został zaraz po wypadkach historycznych, albo też zapadł później, po ukończeniu całej wojny peloponeskiej, kiedy autor na fakta z pierwszego okresu wojennego daleko bezstronniejszem okiem się zapatrywał. Jeżeli dalej Tukidydes po r. 404 zdołał tylko jedną część dzieła swego napisać, nie będziemy mogli w razie takim zbyt późno naznaczać daty jego śmierci, a ztąd inny jeszcze ważny wniosek

wynika co do czasu powstania „Historji greckiej“ Ksenofonta, której dwie pierwsze księgi ściśle są związane z dziełem Tukidydesowem.

Ponieważ w autorze samym niema żadnej wyraźnej wskazówki odpowiedniej, stąd pole bardzo obszerne do przeróżnych domysłów. Z hipotez takich trzy głównie dotychczas wyróżniano, które pokrótce rozwinać winniśmy, aby dokładnie zrozumieć, jakie stanowisko wspomniana kwestya dzisiaj zajmuje.

W wiekach starożytnych sądzono ogólnie, że Tukidydes rozpoczął swe dzieło w r. 431, skoro tylko wojna peloponeska wybuchła, a postępując za jej przebiegiem, na wzór skrzyętnego kronikarza, zapisywał każdy fakt ważniejszy i ukończył wreszcie swą historję podczas wygnania na posiadłościach swych trackich w Skapte Hyle. Tylko na takim przypuszczeniu opierając się, mógł np. Pliniusz starszy twierdzić, że Ateńczycy, podziwiając dzieło ziomka swego, po ukończeniu wojny odwołali go z wygnania. Wszakże przeciwko temu przypuszczeniu niejednen wzgląd przemawia, szczególnie zaś pojęć niepodobna, dlaczego Tukidydes, który, jak sam pisze, końca wojny peloponeskiej się doczekał, nie opisał jej aż do samego końca. Ósma księga bowiem urywa się, jak wiadomo, wśród wojny decelejsko-jońskiej, bezpośrednio po bitwie pod Kynossema w r. 411. Gdyby zaś pisał dzieło w sposób, jaki przytoczyliśmy, musiał-by je koniecznie dalej doprowadzić. Prócz tego kto przypuszcza, że Tukidydes krok za krokiem według historycznego przebiegu wypadków poszczególnych kreślił dzieje wojny peloponeskiej, zapomina zupełnie o warunkach ściślejszej i artystycznej kompozycyi dzieła jego. W błąd wprowadziły niebacznych słowa Tukidydesa w pierwszym rozdziale księgi pierwszej, których nie należy rozumieć, jakoby historyk podjął zaraz opracowanie całego dzieła, lecz że od samego początku wojny zbierał potrzebne materyały i tymczasowo je zapisywał.

Przeciwko temu przypuszczeniu wieków starożytnych, które aż do nowszych czasów było dogmatem ogólnym, postawił i uzasadnił w roku 1832 nową hipotezę Krueger, uczony niemiecki. Według jego zdania, napisał Tukidydes dzieło swe dopiero po wojnie peloponeskiej, podczas wojny zaś ograniczył się zbieraniem materyałów, dochodzeniem szczegółów i opracowywaniem ich krytycznem. Prawdopodobnie też niejednen ustęp, a mianowicie mowy, obszerniej już wówczas spisywał i stylizował, lecz właściwe opracowanie dzieła rozpoczął dopiero po ukończeniu wojny, i to od księgi pierwszej, i ukończył je w przeciągu jednego roku. Takim więc sposobem powstać miało owo dzieło wtedy, kiedy autor mógł mieć pogląd na rozwój i przebieg całej wojny. Hipoteza Kruegera z uzupełnieniami Classena, znanego wydawcy Tukidydesa, ma do dzisiaj liczny szereg zwolenników, t. zw. uitaryszów, wierzą-

cych w jednolite utworzenie całego dzieła Tukidydesowego. Chociaż podobna geneza utworu historycznego wydaje się być sama przez się najnaturalniejszą, wszakże i ona chroma pod niejednym względem. Przypuściwszy bowiem nawet jako rzecz pewną, że Tukidydes niektóre dłuższe ustępy dzieła swego całkowicie opracował, zanim wziął się do wykończenia całości, trudno się pogodzić z tą myślą, aby w ciągu jednego roku lub nawet i dłuższego terminu miał tak ogromnej pracy dokonać. Już cały jego sposób wyślowienia, ciągle łamanie i mocowanie się nieustanne z językiem młodzieńczym, chropowatym, jeszcze nie całkiem wyrobionym do godnego przedstawienia przedmiotu według intencji autora, przemawia stanowczo za tem, że praca nad całkowitem dziełem tylko zwolna i niejako z oporem postępowała. Zatem powyższa teoria napotyka jeden bardzo niebezpieczny szkopuł chronologiczny. Lecz i innych jeszcze znacznych bardzo trudności, zawartych w dziele samym, hipoteza Kruegera dostatecznie nie tłómaczy.

Zadanie to podjął i w głównej mierze rozwiązał inny niemiecki uczony, Ullrich, w sławnym swem dziele „Beitraege zur Erklaerung des Thucydides,“ wydanem w Hamburgu w r. 1846. Zdanie jego, poparte licznymi i przekonującymi argumentami, zaczerpniętymi z samego Tukidydesa, brzmi w krótkim streszczeniu, jak następuje:

Współcześni historyka nie uważali, jak to dzisiaj za przewodem Tukidydesa właśnie czynimy, w dwudziestosiedmioletniej wojnie peloponeskiej całości nierozłącznej, jednolitej, lecz dzielili ją ogólnie na wojnę dziesięcioletnią pomiędzy Atenami i Spartą, ukończoną pokojem Nicyasza, zwaną pokrótce wojną Archidamową, dalej na burzliwy okres ośmioletni, a wreszcie na wojnę decelejską. Po ukończeniu pierwszej, t. zw. Archidamowej wojny, począł Tukidydes opracowywać, ujmować w całość zebrane przez ten czas materiały, w przeświadczeniu, że po zawarciu pokoju Nicyasza wojna ukończoną została. Stosownie do tego mniemania, mógł też pierwotnie mieć tylko zamiar spisania dziejów wojny dziesięcioletniej. Kiedy zaś w pracy swej, którą podczas wygnania podjął, postąpił mniej więcej do połowy księgi czwartej, wojna na nowo wybuchła. Wtedy zaraz zrozumiał historyk, że ta druga wojna stanowi właściwie tylko dalszy ciąg pierwszych, nierozstrzygniętych zapasów, a ten wzgląd skłonił go niebawem do pisania także dziejów toczącej się właśnie wojny. Dlatego zaniechał też zaraz pierwszego opracowania, a jął się pilnie, jak wprzódy, śledzenia toku wypadków i zbierania skrzętnego dalszych materiałów. A więc i teraz w ten sam sposób postępował, jak podczas pierwszej części wojny. Po przerwie, wynoszącej 10 — 11 lat, ukończył wreszcie w Atenach, po powrocie z wygnania, historję pierwszej wojny Archidamowej i rozpoczął opracowanie dziejów drugiej walki, t. zw. decelejskiej wojny. Przy pracy

tej śmierć przedwczesna zaskoczyła Tukidydesa i przeszkodziła mu w wykończeniu dzieła.

Najpoważniejsi uczeni, jak Grote, Curtius, Droysen, przyjęli w ogólności hipotezę Ullricha, jako pewnik niezbity.

Jednakże bystre wywody Ullricha kwestyi, dotyczącej kompozycyi dzieła Tukidydesa, jeszcze jej całkowiec nie wyczerpnęły, lecz dały późniejszym badaczom pochop do głębszego wnikienia w wątpliwości, w niejednym razie jeszcze nierozwiązane, pobudziły ich do szukania prawdy na drodze, wytkniętej wyraźnie przez Ullricha.

Bardzo zaś miły obowiązek spełniamy, kiedy stwierdzić możemy, że na wdzięcznej niwie rozwiązywania zawitych kwestyi i badań krytycznych z zakresu filologii klasycznej, u nas od lat wielu niemal zupełnie odłogiem leżącej, wystąpił rodak nasz, który zaraz przez pierwszą rozprawę swą zyskał uznanie ogólne i dzisiaj w całym świecie uczonym wielkiego miru zażywa. Jest nim Ludwik Œwikliński, profesor wszechnicy lwowskiej, a prace jego dotychczas ogłoszone dotyczą głównie sprawy, z której właśnie dajemy referat, t. j. kompozycyi dzieła Tukidydesa.

W rozprawie swej inauguracyjnej pod tytułem: „*Quaestiones de tempore, quo Thucydides priorem historiae suae partem composuerit,*“ ogłoszonej w Berlinie i w Gnieźnie w r. 1873, dowodził on na podstawie hipotezy Ullricha, że Tukidydes wkrótce po zawarciu pokoju Nicyaszowego spisał historję pierwszego okresu wojny peloponeskiej, dzieje t. zw. Archidamowej wojny, że jednakże po r. 404, kiedy się cała wojna dwudziestosiedmioletnia skończyła, celem połączenia pierwotnej części swego dzieła z opowiadaniem dalszych wypadków wojennych, poszczególne ustępy do pierwszych ksiąg powtrącał, że pierwszą redakcyę dzieła, które jeszcze wydanem nie zostało, osobnemi rozdziałami uzupełnił, i że mowy, po całym dziele rozsiiane, nadające szczególny urok całemu przedstawieniu, teraz dopiero, po ukończeniu całości, w tej formie napisał, w jakiej je dzisiaj czytamy.

W drugiej rozprawie, umieszczonej w tomie XII-ym czasopisma „*Hermes,*“ pod tytułem „*Ueber die Entstehungsweise des zweiten Theiles der Thukydidischen Geschichte,*“ postawił Œwikliński twierdzenie, że Tukidydes historję wyprawy sycylijskiej zrazu także osobno opisał i później dopiero połączył ją z opisem poprzednich wojen, składających się na jedną całość, którą my dzisiaj, za przykładem Tukidydesa, wojną peloponeską nazywamy. Nie pora obecnie rozwodzić się szczegółowo nad tą kwestyą. Tyle tylko wyznajemy otwarcie, że owa teoria o osobnem powstaniu historyi wyprawy sycylijskiej nie ze wszystkim nas przekonać zdołała.

Tymczasem w toku sporów i badań nad kwestyą kompozycji historii Tukidydesa wyłoniła się inna hipoteza, która pomiędzy uczonymi ogromną wrzawę wywołała, a postawił ją Wilamowitz-Moellendorf, profesor wszechnicy w Getyndze. Uczony ten, na podstawie rozmaitych błędów, niedokładności i sprzeczności, mianowicie zaś chronologicznych szkopułów, znachodzących się w dziele Tukidydesowem, twierdzi, że nieznaną z nazwiska osoba zajęła się wydaniem tego dzieła, niewykończonego jeszcze i do publicznego ogłoszenia niegotowego, że wydawca ten poprobował sił swych także, jako redaktor, i pobieżnie, niezręcznie, miejscami nawet nieuczciwie, spajał materyały, zebrane przez Tukidydesa, z poszczególnymi częściami, które już były zupełnie wykończone.

W pierwszej części zastosował teorię tę prof. Œwikliński w najnowszym swem studyum krytycznym, ogłoszonym pod tytułem: „Opis zarazy ateńskiej w dziele Tukidydesa II. 47, 2 — 54,“ w którym ściśłą i bystrą ekzegezą, umiejętną i rozważną krytyką, popartą bogatym zasobem uczoności, do odmiennych wyników dochodzi, aniżeli uczony niemiecki.

Ze względu na przeważną część czytelników pisma w tej materyi niefachowego, których znużylibyśmy tylko obszernem zdaniem sprawy ze wspomnianego studyum krytycznego, mimo, że obfituje ono w zajmujące szczegóły, przemilczamy niektóre z nich, mniej ważne, co do których odrębnego jesteśmy zdania, albowiem ograniczyć się winniśmy do treściwego referatu, podającego jedynie w ogólnych zarysach krytyczne wywody autora i rezultaty, jakie z nich dla nieuprzedzonego umysłu z wszelką koniecznością wynikają.

Opis straszliwej zarazy, która w Atenach na początku wojny peloponeskiej wybuchła i z niedługą przerwą przez lat trzy grasowała, siejąc okropne zniszczenie w całym mieście i okolicy, podkopując podwaliny społeczne i polityczne, liczą zwyczajnie do najświetniejszych ustępów dzieła Tukidydesa. Był on istotnie wzorem dla rzymskich poetów, jak dla Lukrecjusza, Wergiliusza, Owidyusza, kiedy opisywali podobną epidemię, klasycznym zwanym jest przez najnowszych filologów, niezwykle ważnym mieniem dla medycy, traktujący historię sztuki lekarskiej. Według mniemania prof. A. Hirscha, zażywającego wielkiej powagi w zakresie medycyny historycznej, symptomata zarazy ateńskiej, jak je Tukidydes opisuje, razem we wszelkich szczegółach wzięte, nie odpowiadają żadnej z dzisiaj nam znanych chorób, lecz znać, że (jak to takie zarazy podczas wojen w nowszych czasach grasujące stwierdzają) złożyło się na epidemię ateńską kilka chorób, a główną rolę w niej odgrywały: tyfus wysypkowy, febra nerwowa i biegunka.

Wszelako sławny ten opis mieści w sobie, mimo tylu elogiów, rozmaite wątpliwości, osobliwości i trudności, których wytłómaczenie,

objaśnienie i zupełne usunięcie jest wyłączną zasługą prof. Ówiklińskiego.

Otóż w opisie rzeczonym rozróżnić należy według Ówiklińskiego trzy części, które tylko luźnie są z sobą powiązane i żadną miarą jednej, ciągłej całości stanowić nie mogą.

Pierwszą część stanowią rozdział 47, jako też rozdziały 52, 53 i 54, należące do pierwotnego dzieła Tukidydesa, t. j. do pierwszej redakcyi wojny Archidamowej. Opis zarazy w tej części, skreślony w krótkości ze stanowiska politycznego, pozostaje w ścisłym związku z sobą, a wykazuje, dlaczego nieszczęsna choroba po całym mieście tak bardzo się rozszerzyła i jaki wpływ fatalny na moralność ludności wywarła.

Drugą część składają rozdziały 48, 49, 50 i pierwsze zdanie 51 rozdziału. Napisał je Tukidydes w późniejszym czasie, aniżeli część pierwszą, chcąc podać dokładniejsze wiadomości o straszliwej zarazie. A więc zaraz na wstępie, chociaż już w 47 rozdziale uczynił krótką wzmiankę o pochodzeniu zarazy, opowiada nam Tukidydes, z kąd przyszła i jak rozszerzyła się epidemia. Powstała ona podobno w Etyopii, z wnętrza Afryki przeniosła się z biegiem Nilu do Egiptu i Libii, nawiedziła także większą część posiadłości wielkiego króla w Azyi, ztąd zaś przeskoczyła nagle do Pireusu, a potem zagarnęła i Ateny. Dziśjsze ścisłe badania epidemiologiczne tłómaczą nam dokładnie ów skok nagły zamorskiej zarazy do Pireusu, dolnej części stolicy attyckiej. Dalej podaje Tukidydes, że opisuje zarazę dokładnie w tym celu, aby każdy się na jej symptomatach poznał, gdyby się kiedykolwiek znowu miała pojawić; nadmienia, że wtedy innych chorób prawie wcale nie było; kreśli dokładny obraz choroby w rozmaitych stadyach; wspomina o niezwykłej jej sile, której nawet zwierzęta ulegały. Ustęp cały kończy się w pierwszym zdaniu 51 rozdziału zwyczajnym u Tukidydesa zwrotem, że dokonał zamiaru, jaki powziął. A zatem ów ekskurs o pochodzeniu i istocie zarazy ateńskiej tworzy sam w sobie całość organiczną, uzupełniającą obszernie pierwotne krótsze zapiski, podane szczególnie z politycznego stanowiska. Skreślonym zaś został wówczas, kiedy rozmaite, często przesadzone i fałszywe zdania i sądy, tak prywatnych osób, jako i lekarzy, pojawiły się celem wyjaśnienia przyczyn nieszczęsnej epidemii. Tukidydes, który, jak w końcu 48 rozdziału wyraźnie pisze, sam był zapadł na tę zarazę i sam na własne oczy widział zarazą dotkniętych, nie tylko prostuje owe sądy z własnego doświadczenia, lecz także, jak to z całego fachowego opisu wynika, prawdy sumiennie dochodzi, polegając na gruntownem badaniu specjalnych pism lekarskich. Ponieważ w tekście ekskursu brak wszelkich wskazówek chronologicznych, przeto słusznie domyślać się należy, że ustęp

uzupełniający skreślił Tukidydes po ukończeniu wojny peloponeskiej równocześnie z innymi dodatkami i ekskursami, do pierwszych pięciu ksiąg dorobionemi, i że także tę dłuższą dygresyę później już wsunęto w część pierwszą całego opisu epidemii.

Trzecią część opisu zarazy ateńskiej stanowi rozdział 51, z wyjątkiem pierwszego zdania. Rozdział ten nie jest jednolitą całością, tylko rozpada się na kilka luźnych części, niepozostających w najmniejszym związku ani pomiędzy sobą, ani z tem, co poprzedza, ani też z następującym 52 rozdziałem. Mimo, że ustęp ten, w odmienny tylko sposób stylizowany, powtarza treść, w innych rozdziałach obszerniej opisaną, trudno zaprzeczyć mu autentyczności. Napisał go także z pewnością sam Tukidydes, a w tej części czytamy zachowane niezawodnie najpierwsze zapiski autora, uwagi w najogólniejszym zarysie, a tu owdzie przypiski marginesowe, które później, kiedy stosowna sposobność się nadarzyła, rozszerzył, lecz w innym porządku i w innym związku. Po bieżnego spojenia pojedynczych części dokonała ręka obca, wszakże w ten sposób, że dzisiaj jeszcze ślady jej odkryć możemy. W żadnym zaś razie zgodzić się na to niepodobna, aby sam Tukidydes mógł wydać i ogłosić 51 rozdział w tej formie i w tym związku, w jakim do naszych czasów się przechował.

A jakież ztąd wynika rezultat w kwestyi kompozycyi dzieła wielkiego historyka?

W odpowiedzi na to decydujące pytanie posłużmy się słowami bystrogo krytyka, o którego studyum referujemy.

„Dzieło Tukidydesa nie tylko nie jest doprowadzone do tego kresu, który sobie autor zamierzył, lecz nie jest skończone, gotowe do publikacji. Autor przerabiał swój rękopis, okolicznościowo dorzucał większe lub mniejsze partye, czynił zmiany rzeczowe lub stylistyczne, mniej znaczne lub znaczniejsze, niejednego atoli nie dodał, nie zmienił lub nie opuścił, a niektórych zmian z opowieścią właściwą organicznie nie złączył, bo rękopisu jeszcze nie wykończył, jeszcze do wydania nie przygotował i nam się ten manuskrypt przechował. W spuściznie literackiej wielkiego historyka znaleziono także i owe cząstki w opisie zarazy. Wydawca, wiedziony uczuciem przyjaźni czy szacunku dla pisarza, nie chciał widocznie pominąć niczego, co pozostało i co można było spożytkować w jakibądź sposób. Z własnej głowy tyle zapewne jeno dodał, ile tego wymagała najniezbędniejsza potrzeba, i wolał łączyć mechanicznie, powierzchownie, aniżeli przeinaczać tekst autora. Nie był zapewne ani badaczem znakomitym, ani stylistą wytwornym. Ale ten sposób, w jaki pracował, niekoniecznie pojmować winniśmy jako dowód, czyli wynik jego niedbalstwa i niedołęstwa, raczej może przeciwnie, jako objaw pewnego rodzaju sumiennosci i dokładności.“

Rezultat badań Ówiklińskiego wielce się przeto różni od hipotezy, którą Wilamowitz postawił. Niemiecki uczoney twierdzi, że redaktor-wydawca ponosi winę wszelkich sprzeczności i niedostatków w dziele Tukidydesowem, pomawia go o nieudolność i nieuczciwość, zwała na jego barki ciężar „potwornej kompozycji“ w pierwszej części całego dzieła. Natomiast rodak nasz skromniejsze pole działania wydawcy historycznego dzieła zakresła. W charakterze redaktora występuje nieznaną edytor chyba tylko w krótkich zwrotach przejściowych od jednego ustępu do drugiego, które starał się z sobą ściślej powiązać. Jako wydawca zaś, przystępuje do manuskryptu Tukidydesa z najgłębszym szacunkiem, należnym ceniom drogim autora, a w wydaniu swem umieszcza wszystkie dodatki, uwagi, nawet przypiski marginesowe, skreślone w oryginalnym rękopisie, aby ani jednej głębokiej myśli poważnego i sumiennego badacza dziejów greckich nie uronić.

Która z dwóch wymienionych hipotez zaleca się większem prawdopodobieństwem, na chwilę wątpić nie można. A chociaż Ówikliński zastrzega się wyraźnie przeciw możliwym zarzutom, jakoby o dziejach kompozycji dzieła Tukidydesowego sądził w ten sposób, „jak gdyby był świadkiem pracy autora i tych, co po nim dzieło wzięli w swe ręce, zapewne z woli umierającego autora albo przynajmniej z woli jego spadkobierców;“ w każdym razie jego dowodzenie, przeprowadzone na opisie zarazy ateńskiej, ze wszystkich stawianych domysłów ze wszechmiar najwięcej jest godnem wiary, ze wszystkich ogłoszonych hipotez jego teoria jest najprawdopodobniejszą, ponieważ według niej wszelkie trudności, w dzisiejszym tekście zachodzące, najlepiej wytłómaczyć można.

Jak w słynnej kwestyi Homerowej, tak i w sprawie kompozycji dzieła Tukidydesowego, dwa nieprzejednane stronnictwa zacięta walkę z sobą toczą: unitaryusze i zażarci ich przeciwnicy, wyznający teorię, rozbijającą dzieła największego poety całego świata i największego historyka czasów starożytnych na mniejsze lub większe cząstki. Kto zabierze się do czytania Homera z uprzedzeniem napawania się pięknosciami Iliady jako całości niepodzielnej, ten nie zdoła pojąć, jak poemat ten epiczny powstać mógł z pojedynczych, mniejszych pieśni, rozmaitej wartości. „Si parva licet componere magnis,“ zastosować można ten aksjomat i do kwestyi, w jaki sposób powstało dzieło Tukidydesowe. Lecz jak szeregi unitaryuszów Homerowych z dniem każdym się przerzedzają, tak i w poglądzie na kompozycję dzieła Tukidydesa z czasem wielki przełom z wszelką koniecznością nastąpi. Że zaś to nawrócenie dzisiejszych niedowiarków, którzy z wielką zaciętością

bronią jeszcze unitarnej teorii, dokona się na korzyść hipotezy rodaka naszego, o tem śmiemy już dzisiaj z wszelką słusnością i należną dumą przesądzać.

S. D.

Kazimierz Głiński: „Dramaty.“ („Anna Firlejówna,“ dramat legendowy w 5-ciu aktach, z pierwszej połowy XVII wieku. — „Almanzor,“ tragedia w 5-ciu aktach z dziejów Hiszpanii).

P. Głiński w kołach krytyki uchodzi za spóźnionego romantyka. Ale co to jest być romantykiem? Romantyzm, jest to jakieś *nomen*, które powtarza się często i często wpada do uszu; ale czy zanoszi ono do umysłu zarazem *rzecz*, jaką okrywa? Czytelnik niejaki widzi romantyzm w tem, żona jego w owem, sąsiad jeszcze w czem innem, i wszystkim troje mogą mieć słusność, albo jej nie mieć. Jeżeli romantycy w kreacyach swoich nie liczyli się z warunkami życia rzeczywistego, to p. Głiński w swym dramacie legendowym, „Anna Firlejówna,“ mocno stanął po ich stronie. Czy dlatego, że to dramat „legendowy?“ Ależ nie. Nad legendę nic rzeczywistszego, jeśli do niej przywiązana jest rzeczywista wiara i jeśli poeta zdoła się przejąć tą wiarą, a w bajce odkryć i uwydatnić odpowiednim kolorem prawdę, która ją ożywia. Legenda wyprowadza świat, w którym wszystko dzieje się nie pozziemsku, i nieziemskimi są jej pewni bohaterowie. W dramacie obecnym nic z tego wszystkiego. Sami ziemianie, ze wszystkimi szczegółami, które im przynależą fizycznie i moralnie, i nic się tam nie dzieje, co by się nie mogło dzieć w siedmnaście wieku na tym nie najgorszym jeszcze ze światów, którego dla dramatu punktem środkowym jest nad Wisłoką zamek Odrzykoński;—tylko po-za dramatem działo-by się inaczej, o! zupełnie inaczej. Autor tak nie chciał być legendowym, że z opowieści o wypadku, którą zasłyszał, usunął nawet wszelką interpretację, jaką do niej zastosowała przesądna wiara naiwnych, i podał nam treść czysto ludzką, chyba tylko psychologicznie legendową.

Pierwiastkiem animującym jest tutaj zemsta: uczucie przeciwchrześcijańskie, przeciwspołeczne, szkaradne, ale, ze względu na pewne charaktery, mocno uprawnione. Kiedyś, przed laty, dziad Anny Firlejówny w zamku Odrzykońskim dopuścił się wielkiej zbrodni. Porwał, dla chwilowej rozrywki słabszemu od siebie młodą i piękną żonę, a gwałt bezecny kasztelana płazem puściły stany. Znieważony mąż z chłopięciem udał się na Sicz; żona, przenieść nie mogąc wrażenia sro-

moty, rzuciła się z zamku w rzekę. Sądzone, że zginęła: w tajemnicy uratowana, złorzecząc niebu i ludziom, w przymierzu z piekłem, poprzyścięła zemstę i wykonała. Zakradłszy się do zamku, spaliła jego połowę; kasztelan ze zgryzoty życie sobie odebrał. Na tem ona nie poprzestaje. Dwadzieścia lat plądruje po ruinach zamkowych, dybiąc na coś. Od czasu do czasu ukazuje się nocami jak widmo, budząc zabobonną trwogę w ludziach, którzy w niej domyślają się pokutującego ducha pokrzywdzonej. Obląkana, czarownica, ziejąca zemstą, kryje się ona przed wszystkimi; tylko, rzecz dziwna, nocami, pod imieniem Staszki, tajemna dla wszystkich, na zrębach ruin zamkowych odbywa konferencye z wnuczką zbrodniarza, Anną, a córką obecnego pana zamku, wojewody Jana Firleja. Anna wobec tej Staszki znajduje się jak gołąb w szponach jastrzębia.

Ot i wychodzą promyki z zapadłego słońca romantyzmu. Któż to jest ta Staszka, która prawie ćwierć wieku sposobami nadzwyczajnymi warzy zemstę i dowarzyć się jej nie może? Łachmanem okryta, chłodu i głodu niepomna, z dyabłem za panbrat, ryje się jak dzikie zwierzę po zdobycz, nienasycone. Może to ostatecznie być jakaś dzika wyrośl zpod palącego słońca, Cyganka, Włoszka lub Wołoszka, brutalne przytem dziecię ludu, bo którażby inna wytrzymała dwadzieścia dni takiego życia, nie tylko dwadzieścia lat? Autor każe nam wierzyć, że to jest niewiasta polska, dziecię szlacheckiego dworu, wychowane w kojcu macierzyńskim: czy historia naszych niewiast dużo przedstawia podobnych okazów, podatnych do jakiegobądź uogólnienia? Ej! przy takim wypadku nasza umarła-by lub straciła rozum: oto i wszystko. Albo i ta druga, Anna Firlejówna? Wojewodzianka ledwie z pączka, która z zamku, pełnego straży, zpod opieki matron, niby wiejska podwika, chodzi samopas nocami, i nikt się w domu o nią nie zatroszczy. Jakim sposobem poznała się i weszła w stosunek z wiedźmą, autor nie powiada, bo i niełatwo to powiedzieć. Dobre serce skłania ku czarownicy dziewczynkę; przynosi ona jej odzież i posiłek — wszystko w tajemnicy (jak to naturalnel); Staszka za to ciągle grozi jej nożem. Ale Anna ma w sobie jakiś urok, jakąś moc uspokajającą: dowierza. No! rzadki fenomen odwagi... bezcelowej. Staszka igra z nią, jak kot z myszką. Chodzi jej o zemstę w drugim i trzecim pokoleniu? Ano! ma ją w ręku. Jeden cios, i dosyć. Utkwi on w córce i w ojcu.

Niel Staszka pragnie snadź zemsty wyrafinowanej, jak Guanhumara z „Burgrafów“ Wiktora Hugo, z którą ma pewne pokrewieństwo, tylko że nie umie tak rafinować, jak tamta. Czeką, sama nie wiedząc, na co, aż jej los, zaklęty przez autora, podda sposobność. Oto do zamku dostaje się jej syn, jeniec wojenny wojewody, i zyskuje miłość Anny. Przybywa nie w porę, bo tuż za nim podąży w konkury hetman polny,

któremu ojciec z góry rękę córki przyrzekł. Teraz więc Staszka wyzy-skuje położenie gwoli swej zemsty: tylko ta kobieta, w której na widok syna zadrgały macierzyńskie uczucia, tak niefortunnie rzeczy układa, że i śmiertelny wróg lepiej ułożyć-by nie mógł. Kochają się młodzi, to dobrze: trzeba, ażeby Mścisław zhańbił wojewodziankę. Jakiż to będzie tryumf dla niej, gdy hańba ta poprzedzi ślub z hetmanem! Ale Mścisław, to rycerz prawy, nie tylko męstwem i poświęceniem niepo-spolity, lecz i godnością wielki; on-by się podobnej hańby nigdy nie do-puścił. Więc — tu już ciężka dla sprawozdawcy chwila — honor jego i dostojność dziewicy obezwładnić ma czarodziejski filtr czarownicy. Nieładnie to, ale skutecznie. I stało się. Znowu „córka źle strzeżona“ odbywa nocną schadzkę, na ten raz z młodzieńcem, a nazajutrz, przed wyrzeczeniem przysięgi, sama błąd swój wyznaje publicznie. Świad-kiem tego jest i Staszka, która ma snadź przywilej wchodzić niewi-dzialna wszędzie,—by się nareszcie z wojewodą rozprawić. Niedługa wszakże jej radość. Syn z rozkazu hetmana wbity na pał, w oczach jej kona, Anna rzuca się w przepaść, wojewoda kończy sztyletem,— i Staszka, widząc te owoce swego filtru, wysiłkiem własnym łączy się z trupami, których ogarnia łuna pożaru.

Oto jak wygląda w swej osnowie dramat legendowy. Powie kto, że to potworne; a jednak tkwi w tej awanturze motyw niepospolity. Zemsta, to rzecz ludzka; Nemezys, to rzecz boska; i na tem tle rozsu-wać się może bardzo piękny wątek dramatyczny: tylko potrzeba, ażeby ludzie, rozsnuwać go mający, dorosli do dramatu. Wprowadzenie Mści-sława, syna ofiary, jest to niezaprzeczenie pomysł nader pożyteczny w rękę Nemezy, tylko wszystko zależy od jego wyzyskania. Nie wiem, jakbym ja to uczynił, mając talent p. Glińskiego, to pewna, że takbym tego uczynić nie śmiał i nie chciał. Autorowi snadź więcej chodziło o sceny tego uczynić nie śmiał i nie chciał. Autorowi snadź więcej chodziło o sceny powierchownie krzyczące, działające wprost na naskórek wrażliwości, niż o harmonię psychiczną. Za główne ku temu narzędzie obrał wiedź-mę, postrach okolicy; nadał jej fiziognomię balladową, przerażającą, ustroił w łachmany, uzbroił w groźne zapowiedzi brzemiennie katastro-fami, nie szczędzi koło niej i w niej frazesów, przejmujących lękiem, a z tem wszystkim Staszka jest to w gruncie jestestwo urojone, w któ-rego wnętrzu psychicznem objawy przytomności umysłu psują charakter obłąkania, a obłąkanie psuje przytomność: jestestwo połowiczne i nie-szczere, wszystko w niem jest albo przesadą, albo bezmyślnością, jak tego rozumowanie i postępek względem syna dowodzi, postępek, w któ-rym się rozwiązuje całe znaczenie dramatyczne postaci.

Już to wogóle za mało dbał autor o wnętrza swych charakterów i stąd też słaby osiągnął rezultat dobrego pomysłu. Pomiedzy dwa prze-ciwiectwa gdy się dostaje miłość, zawsze ona dobrze robi w dramacie,

którego tu charakter polegał na ukazaniu się Mściława. Ten zarysowuje się wspaniale. W bitwie nieszczęśliwej, osobiście niewyciężony, oddaje się sam w zastępstwie za tłum jeńców; uwolniony z podziemi zamkowych, wierny danemu słowu, odmawia ucieczki; do mściwych planów matki nie przystępuje; słowem, posiada wszystkie przymioty do zrobienia czegoś wielkiego, tylko, podniosłszy w nim autor tę stronę charakteru, nic mu na rzecz dramatu zrobić nie pozwala. W postaci Anny dźwięczy nuta młodości, kraśniej pewien wdzięk; ale psuje ją dziwactwo postępowania i ostatecznie brak konsekwencji. Anna, dzięki urokowi, jaki wywiera dokoła, zdaje się być panią zamku, nade wszystko panią ojcowskiego serca i woli. Skoro tak, kiedy ona jednem skinieniem własną wolę zaznacza, to z jakiejże racji, pełna miłości dla Mściława, bez najmniejszego protestu, z widocznym tylko bólem, pozwala na androny hetmana, na godową szopkę, i, śmiała w drobiazgach, trusia, gdy chodzi o śmierć lub życie, zamiast wcześniej z ojcem sam na sam sprawę ogadać, w ostatniej dopiero chwili wyciąga sytuację i robi awanturę. Takim-to kosztem nieprawdopodobieństw psychicznych osiąga się sensacyjność scen ostatnich. Dla pomnożenia też tylko personelu snadź autor wprowadził osobę lutnisty Gwidona, który, zakochany w Annie, śmiały w zamiarach, pałający zazdrością, odgraża się aż strach, a kończy na prostem zadenuncyowaniu przed hetmanem stosunku Mściława z Anną, które w rezultacie do niczego nie prowadzi. Wszystkie więc te charaktery są błędne albo niedokończone, a nie wchodzę w przyczynę, dlaczego ich autor nie uregulował i nie pogłębił; ale nie rozumiem, dlaczego charakter hetmana Kazanowskiego sponiewierał, każąc mu być w części głupcem i poliszynelem, w części oprawcą i bandytą. Wprawdzie blażeństwa Kazanowskiego, drwiny z jego grubego brzucha i zachcianek małżeńskich w starości, a później jego śmieszne oświadczenia, służyć mają do urozmaicenia ponurości obrazu, i mogły-by być niezdrożne w figurze jakiego obskurnego starosty; ale przyczepione do męża rycerskiego, posiwałego w obozach, wyglądają ni w pięć, ni w dziewięć. Okrucieństwo—to inna rzecz, historią magnatów dość usprawiedliwiona, tylko wzięte ono jest tutaj tak z brzegu i tak tanim kosztem, że chluby pomysłowi przyczynić nie może. Komuż to uciechę przyniesie wyobrażenie takiego *hetmana*? Firlej znowu, figura biała, bierna, nieszkodliwa, ani w jednym calu nie ma w sobie nic z wojewody.

Dla charakterystyki zamku (który ostatecznie wychodzi na jaskinię mordłu) wprowadzone są podrzędne figury dwóch rezydentów i kapelana, wcale zręczne; taką figurą mógł-by być i lutnista Gwido, gdyby autor pozostawił go wyłącznie przy sentymentalizmie, zamiast wkładać

na jego barki zbyt wielki ciężar czarnego charakteru, który wyszedł na popielaty.

Budowa tego dramatu w rozkładzie aktów i scen wcale poprawna i jasna, grzeszy rozwlekłością. Powiadamy: *grzeszy*, ze względu na pochod akcyi; ale grzech ten, o ile na scenie okupić go można, okupuje poezją; i jakżeż tu poeta-liryk różnym jest od dramatycznego kompozytora! Wiersz ósmiozgłoskowy przez wszystkie pięć aktów płynie, bez złamania cesury, gładko i potoczysto, prócz kilku rymów zdrotnych (np. w rodzaju: *więcej* i *ręce*), bardzo rzadko szarpany w składzie rytmicznym. Wszyscy mówią dźwięcznie, pięknie, frazesują obrazowo, w oderwaniu przyjemnie ich słuchać; tylko tak się lubią rozwodzić, że nie zważają, jak epizodami brzmiącego liryzmu powstrzymują bieg akcyi. W książce poezya ta zatrzymuje uwagę, ale sobie nie wyobrażam, jakby to było w teatrze. Są jednak sceny, do których nadaje się ta siła liryczna desadnością swą i dźwiękiem: taką jest mianowicie scena aktu drugiego między Staszka i Anną, następnie zwłaszcza między niemi i Mściślawem, do którego widzenia sympatycznie usposobioną była Anna przez ojca. Scena ta, wydartą z całości, wzięta odrębnie, zapowiadająca (niestety, bez dotrzymania) coś wysoce interesującego, nietylko jest zgoła dramatyczną, ale była-by perłą każdego dramatu. Bez względu na osobę, przyznać trzeba, że i scena noclegu hetmana w lesie, jako humoreska, kosztem jego podjęta, przedstawia się udatnie, i ona też ratuje ten akt (czwarty), który, jako polowanie, od początku ciągnie się w nieskończoność dość nudno. W piątym akcie akcyja bieży nierównie chyżej niż w poprzednich, tylko, skutkiem wszystkich grzechów zasadniczych dramatu, dla których ten akt jest konfesyonałem, pomimo wielkiego hałasu, bieży ona nisko, przy ziemi, i w ziemię zapada.

Z tem wszystkim, ograniczmy wymagania co do psychicznej wartości charakterów, oraz co do prawdziwości życiowej, tak, jak to czyni pewna część publiczności; spojrzymy na ten utwór, nie jako na dramat we właściwym znaczeniu estetycznym, ale jako na melodram, którego sporo żywiołu mieści w sobie „Anna Firlejówna;“ a wtedy racya praktyczna pogląd nasz nieco zmodyfikuje. Brzmienie talentu, swojski krój całości, dekoracyjność konturów, niezaprzeczona wartość scen kilku, są to okoliczności, po dobrem przejrzeniu utworu i usunięciu tego, co akcyę rozwleka lub bez obrazu z treści wyrzuconem być może, zdolne otworzyć mu drogę do teatru, przeznaczonego dla publiczności skromniejszej w sądach i wymaganiach od krytyki urzędowej.

Bez zastrzeżenia, po pewnem tylko porozumieniu się, prawo wejścia wielkimi drzwiami do przybytku sztuki otrzymać winna pięcio-

aktowa tragedia „Almanzor,” na epizodzie z dawnych, bohaterskich dziejów Hiszpanii osnuta, której przedewszystkiem w krótkości opowiemy osnowę. Według ścisłości historycznej, kalif Mohammed, przewany Al-Mansor (zwycięzca) od wielu bitw wygranych, władający i w Afryce, i w znacznej części półwyspu Pirenejskiego, był to, jak się o nim jeden z historyków wyraża: „człowiek niezwyklego umysłu, otaczający się zawsze gronem poetów i uczonych, uprzejmy, szczodry, ale mocno ambitny i wcale nieskrupulatny w środkach, wiodących do dopięcia celu.“—Jakoż do władzy doszedł on tylko przez mord, uświęcony powodzeniem. Do zagarnięcia całego półwyspu brakowało mu niewielkiej już przestrzeni północnej, gdzie, dzięki górzystemu położeniu, trzymały się jeszcze drobne państewka chrześcijańskie, wadzące się między sobą,—aż w bitwie z wojskami ich pod Calatanazor, niezwyciężony dotąd, zginął pomiędzy rokiem 988 a 1006 (data niepewna, którą autor podaje na r. 1002).

Tragedya ima go na chwilę przed zgonem, a przywilejem swoim, za przyczynę katastrofy wynajduje intrygę pałacową, o której historia nie wie, do intrygi, rozumie się, mieszając i kobiety,—miłość, zazdrość, z całym ich aparatem namiętnościowym. Charakter atoli bohatera, tragedia zdobi rysami iście historycznemi, o jakich napomknęliśmy wyżej: jest on rycerski, wspaniały, powabny,—i zarazem „nieskrupulatny w środkach,” nad czem autor żywo przechodzi do porządku scenicznego, iżby snadź domniemanym widzom nie psuć ideału. Jak gwiazda fatalności wciąż posuwając się naprzód, pragnie on jednym zamachem oprzeć się aż o Pireneje; tylko, z zaparciem się dotychczasowego obyczaju, zamiast rozwinąć zieloną chorągiew, zamierza tego skoku dokonać na drodze pokojowej. W sąsiedniej z jego władztwem Kastylii panuje, śmiertelnie w nim zakochana, piękna hrabina Awa, wdowa, wprawdzie nie pierwszej młodości, bo ma już 22-letniego syna, ale czarująca. Owoż, po uzyskaniu miłości pozyskać jej rękę (a rzecz to, pomimo różnicy religijnej, nie niepodobna), znaczyło-by to tanim kosztem zdobyć punkt najsilniejszy, po którym reszta sama-by mu w ręce wpadła. Czy odpłaca on wzajemnością Awie? Nie wiem, jak to oznaczyć. Posłuchajmy lepiej, jak on sam wyraża to ulubienicy swej, Aminie, która go zazdrośnie strofuje:—„Hrabina Kastylii kochanką twoją!“ — „Nie—odpowiada—*meo rozumu*. Znaczniejszą częśćkę zostawiłem tobie: twojem jest serce; tamtej tylko ręka.“ — Więc Awa jest kochanką jego rozumu, oczywiście, rozumu stanu. I w tem-to właśnie spoczywa ta „nieskrupulatność środków,” gdyż bohater ten, który dotąd wszystko rozstrzygał orężem, teraz działać ma podejściem względem kobiety, czyli udawać, kłamać przed nią, co mu doradza rozum stanu, a zawsze więcej, niż przystoi na wspaniałego rycerza, — kłamać nie już à la Donjuan,

ale nakształt szalbierza w wyższym stylu, ubiegającego się za posażem. Jest to wszakże okoliczność, na którą autor nacisku nie kładzie, ale która dla argusowych oczu stanowi czarną myszkę na słonecznym obliczu Almanzora.

Jednakże owo *raison d'état* nie trafia do przekonania Aminy, która, dumna, marząca o koronie, a pogardzona i teraz już nienawiści pełna, szuka zemsty i narzędzie jej znajduje w osobie Nuradyna, przyrodniego brata kalifa. Człowiek ten pała dwiema żądzami zarówno pożerającymi: żądzą panowania na miejscu brata, oraz posiadania Aminy. Ta więc, świadoma tajemnych aspiracji gacha, przyczepia się doń ze słodką obietnicą uległości, ale wtedy dopiero, gdy Nuradyn po trupie brata zasiądzie na jego tronie. Między takie-to ognie podwójnej nienawiści i zdrady dostaje się Almanzor, kiedy brat, podniecony jeszcze obietnicą i do wściekłości doprowadzany zmysłowem podżeganiem Aminy, przyspiesza kroki, wiodące do jego zguby. Przez pośrednictwo lekarza Jezyda trucizną pozbywa się wiernego kalifowi wodza Saracenów, który zdradę przewączywał; pokątnie wyzyskuje niepopULARNOŚĆ pokojowych zamysłów władcy między wojskiem i ludem, gotuje się niewidzialną ręką sprawić awanturę wówczas, gdy Almanzor z dworem i strażą przybędzie do Burgosu oświadczać się o rękę królowej Kastylli.

Do tej awantury, która-by miała wywołać zawichrzeucie między Hiszpanami i Arabami, a tym sposobem odciętego od swoich Almanzora życia pozbawić, bierze się bardzo niezręcznie. Prawie bez pozorów, w samym pałacu, szuka kłótni z synem królowej, Sanchem, i przy świadku rzuca się na niego ze sztyletem, odpowiedzialność zatem przyjmując na siebie, ale zdarzenie to pozostaje bez następstw. Lepiej usługuje mu los. Królowa zaczyna podejrzewać, że Sancho, obawiając się utraty tronu, knuje pod nią zdradę i na jej życie nastaje, w czem ją i Nuradyn zdradliwie utwierdza; że zaś ona syna nie kocha zgola, postanawia zatem poświęcić go w ofierze swej miłości, i gotuje mu skrycie, na wspólnej z Arabami uczcie, truciznę w puharze dlań przeznaczonym. W ostatniej wszakże chwili opamiętywa się, wstrzymuje rękę jego, sama wychyla zatrute wino i pada u stóp jego trupem.

Jest to najefektowniejszy i kulminacyjny punkt dramatu. Stało się, jak przewidywał i do czego zmierzał Nuradyn. Wypadek przypisano zdradzie Arabów. Zebrani przy uczcie książęta, z młodym Sanchem na czele, rzucają się na nich, Nuradyn podsycy obustronny ferment, ale słowo Almanzora powstrzymuje burdę i przenosi okrutne zajście na pole szlachetnej walki narodowej, czyli wypowiada wojnę. Jakkolwiek rzecz wzięła obrót niezupełnie po jego myśli, Nuradyn przystosowyywa się do położenia, i na nic innego więcej zdobyć się nie mogąc, pod różnemi przebraniami, zawsze w towarzystwie również prze-

branej Aminy, wciska się w szeregi wojsk arabskich dla osłabienia w nich ducha, czemu też autor przypisuje w decydującej bitwie klęskę Almanzora.

Według historyi, poległ on na polu bitwy, ot prosto za przysłowiem: „nosił wilk, ponieśli wilka.“ Cała ta więc intryga, podziemne knowania, równie jak osoba Nuradyna, są to licencye poetyckie, w moc których też autor nie zostawia na polu poległego Almanzora, lecz rannego, po klęsce, przeprowadza do rezydencyi w Kordubie, gdzie skutkiem zeznań mordercy wodza Saracenów, lekarza Jezyda, zdrada Nuradyna i Aminy wychodzi na jaw. Zdrajca skazany na pal, współniczka jego zakłada się sztyletem; Almanzor, po wydaniu wyroku, ze wzruszeń nagle umiera.

Ze streszczenia niniejszego widać, że jest to kompozycya szeroka i skomplikowana, dla ułożenia w całość jednolitą wymagająca wyższego stopnia wrodzonej wyobraźni i zręczności technicznej. Pierwszy akt napisany jest tak szczęśliwie, że w nim już wydatnieją wszystkie kółka, mające puścić w ruch machinę dramatyczną: zamiar Almanzora, przeciwieństwo Aminy, podstęp Nuradyna; wiadomo, że tu się będzie toczyła walka na śmierć i życie, podżegana namiętnościami śmiertelnymi. Takie jędrne postawienie rzeczy zainteresowya doraźnie do dalszego ciągu, a interes wzmaga się dalej tembardziej, gdy z wystąpieniem królowej Kastylii i jej syna przybywa do dawnej nowa kombinacya namiętnościowa. Wszystko to jednak, jako węzeł dramatyczno-psychologiczny, rozwiązuje się i kończy z aktem trzecim, na uciecie, kiedy trucizna, wypita przez Awę, zupełnie zmienia położenie rzeczy. Bo jakżeż ono się przedstawia? Almanzor traci pretekst do pokojowego zaboru reszty Hiszpanii i musi albo zrzucić maskę, albo odstąpić z niczem; Amina traci pretekst do zazdrości, skoro miłość *rozumu* jej kochanka przestaje istnieć; Nuradyn osiada na koszu. Ażeby zatem nie puścić luzem nici dramatu, autor ucieka się do burdy, równie mało usprawiedliwionej w początku, jak w przerwaniu. Ze zwykłym porządkiem rzeczy nie zgadza się posądzenie wczorajszych przybyszów o dokonanie zbrodni w domu obcym, i chybaby odwrotnie coś podobnego zdarzyć się mogło; jeżeli zaś już zapalczywi Hiszpanie za jakąbądź cenę, wbrew zdrowemu rozsądkowi, chcieli zwalić winę na gości swych, Maurów, i wszczęli zbrojną burdę, to już ciż nie powstrzymał-by ich przewagi jeden okrzyk Almanzora: dosyć! Naciągnięcie też to nie posuwa dalej akcji właściwie dramatycznej. Akt czwarty jest tylko epizodem, przedstawiającym bitwę, który, bez ujemy dla ciągu, można zupełnie wyłamać z całości, pozostawiając tylko rezultat, czyli klęskę; akt piąty zaś, wyobrażający odkrycie winowajców i karę za zbrodnię, stanowi tylko epilog tego, co się dokonało w trzech pierwszych, gdzie

namiętności, na których oparł się dramat, wyczerpały swą rolę, a nowego im nie przybyło żywiołu. Jakkolwiek atoli dwa te akty ostatnie stanowią raczej uzupełnienie niż nieunikniony wykwit poprzednich (boć klęska Maurów nie stanowi żadnej logicznej konieczności, tylko prosty przypadek),—powierzchowna ich z niemi łączność należyście jest utrzymana, a malowniczość wykonania dobrze je brata z całością.

Sposób, jakim autor w obu tu rozbieranych dramatach modeluje swe postacie, nie jest do zalecenia: przypomina on nam metodę w dramacie starego Tiecka, owego romantyka *par excellence*. Czerpią one najwięcej z samego autora, który bierze ich za okazyę do popisu ze swoją swadą poetyczną, nie daruje im żadnej metafory, żadnej nasuwającej się figury krasomówczej lub poetyckiej; a ponieważ nie każdy człowiek jest poetą, więc cała ta gwara poetyczna odbiera im iudwidualność językową, a nadaje barwę wychowalców poetyki, i nie jest we wszystkich ustach naturalną. Niechże nas, broń Boże, kto nie posiada, że jesteśmy zwolennikami prozy w dziełach sztuki i radzi-byśmy z nich wygluzować poezję! Tylko my poezję rozumiemy w koncepcyi, w obrazach, w zestawieniach; rozumiemy poezję ukrytą w szacie prostoty, naturalności uczuć i porywów duchowych, tak, jak rozumieli ją wielcy dramaturgowie greccy, jak ją rozumiał Szekspir, — nie zaś we frazeologii ad hoc urabianej, która szafuje wyrazami, często zbytecznymi, dla zaokrąglenia okresu według rytmu danego i rymu. Wprawdzie osoby niniejszego dramatu nierównie mniej rujnują się na deklamacyę, niż w „Annie Firlejównie,“ ale zawsze jej tu jeszcze za wiele. Miło im jest dobrze się wygadać, i to — czego autor zdaje się nie spostrzegal — tak dalece, że nawet odbywają rozmyślenia głośne, naprzykład Awa (str. 307—9), której długiego monologu, więc myśli wewnętrznej, tajemnej, *podśłuchuje* Nuradyn, kończąc za nią: „Dla wiary poświęca się syna!“ Istnie jak w hypnocyzmie, co tem bardziej zdaje się potwierdzać zakończenie aktu, gdzie Nuradyn, według informacyi, wzrokiem magnetyzuje zemdloną Awę i mówi: „Spełń, com rozkazał, bądź sługą mej myśli!“

Prócz fabuły samej, najwięcej na słowie polegać zdając się autor, mniej dbałym jest o życiowy nerw swych kreacyi. Istotnie, całym rozmachem, utwór niniejszy przypomina tragedye, przypomina zwłaszcza studia, robione nad Szekspirem; ale czy można to samo powiedzieć o charakterach? Na czele ich stoi bohater tytułowy, Almanzor. Jeżeli odejmiemy jego przeszłość, która mu w historii wyrobiła imię, jako bohaterowi pięćdziesięciu bitw wygranych,—gdzież tu jest jego bohaterstwo? Los nie spletał go niczem, walki z sobą nie prowadzi żadnej, nie ma tych pragnień, co to decydują o życiu lub śmierci człowieka w zakresie publicznym, czy prywatnym, albo co gorsza, stawiają go na

pochyłości, z której wzlot uczynić go może aniołem, a upadek szatanem. Ot, poprostu chce on zrobić interes, i ten mu się nie udaje. Ani też nas przejmuje sympatją, jak Lear, ani zgrozą, jak Makbet; ani nas ziębi, ani parzy bohater ten, który sam istotnie nic ani szlachetnego, ani godniejszego uwagi nie działa, tylko inni działają za niego. Działaczem istotnym, duchem, popychającym dramat, jest właściwie Nuradyn; nie zawsze usposabia to, co on czyni, wytrzymało-by surową kontrolę krytyki, ale przynajmniej rusza się, czuć, że żyje: w pierwszym akcie odbiera Almanzorowi wiernego stróża, kaptuje sobie jego kochankę; dalej, źle usposabia, przeciw niemu Hiszpanów i wiarę w niego podkopuje w wojsku. Ten człowiek czemś pała, czegoś chce gorąco, daje obraz zdeterminowanego łajdaka, zbyt małego, by obudzał zgrozę psychologiczną, jak Jago, ale wystarczającego jeśli nie na tragedję, to co najmniej na dobry melodramat.

W tragiczniejszym niż Almanzora charakterze postawił autor Awę. Potrafił obudzić w niej miłość gwałtowną, trawiącą, a w umyśle czytelnika, czy widza, wiarę w istnienie tej miłości; a ponieważ Awa nie może dać ujścia swej żądzy bez jakiegoś świadomego ustępstwa z zasad, więc położenie jej staje się dręczącym, walczy z sobą, i wbrew sofistycznym wybiegom nie znajduje drogi wyjścia. Nie chciał, nie śmiał, czy nie zdołał autor uczynić Awy absolutną potworą, jako wyrodnej matki, nieuczciwej monarchini i kobiety bezbożnej; uczynił ją połowiczną, i z tej połowiczności wyszedł dosyć szczęśliwie, nadając w ostatniej chwili przewagę wyrzutom sumienia i rozpaczy wobec miłości, nie mogącej wobec nich się ostać. Jest to figura, korzystnie odbijająca przy Aminie, która znowu, bez żadnego wpływu samoistnego na akcyę, służy tylko za podniętę i tak już zkądną podnieceniemu Nuradynowi, a jako piękna kobieta za dekoracyę sceniczną, która nie psuje rzeczy, zwłaszcza, że gdyby nie ona, coś trzy akty musiały-by się wcale bez kobiety obejść.

Otóż i osoby główne dramatu. Ale teraz przechodzimy do części, stanowiącej jego największe zalety. Są to sceny epizodyczne, dosyć wszakże obszerne, a wzorem romantyków niemieckich i Szekspira, służące za tło obyczajowe i malownicze, sceny, lubo poniekąd odrębne, lecz z całością logicznie związane. Mamy nasamprzód w drugim akcie żywy obraz burgoskiego mieszczaństwa, wśród którego największą rolę odgrywa opasły błazen Kryspin, rodzaj hiszpańskiego Falstaffa, nawet nie kryjący się bardzo z powinowactwem, ale oryginalny, figura szczerze zabawna, doskonała, zawsze pełna conceptów, no, juźciż często falstaffowskich. Tutaj też raźnie zarysowuje się młody hrabia Sancho, wietrznik i szalawila, co krok, pod wodzą Kryspina, nadeptujący na awanturki miłosne, ale, jak się później okazuje, chłopiec serdeczny,

z animuszem wielce rycerskim: figura tętniąca życiem, rola dla odpowiedniego aktora niezmiernie wdzięczna. W trzecim akcie mamy rodzaj *tableau de genre*, scenę jakby żywcem wyjętą z wyobraźni średniowiecznego minstrela: jest to czarownica ze swym synem, karłem, wróżka, dostawczyni wszelkich filtrów, miłosnych i trujących, przedstawiona w mieszkaniu własnem, przy robocie. Scena, przypominająca nam podobną z „Genowefy“ Hebbła, tylko że nasz autor nie zapuszcza się w tak długie szczegóły i przez to obraz swój czyni jędrniejszym. Akt czwarty znowu po większej części wypełniają szczegóły wojenne, przeprowadzone dzielnie, zamaszysto, z odpowiednim rzeźbom kolorytem i ruchem. Wszystko to razem wzięte: różnorodność narodowości i typów, charakterystyka obrazów, humor tu i owdzie przeświecający, gdzieś gdzie dobrze wtrącony patos, a przytem—prawdę trzeba powiedzieć—ruch sceniczny prawie wszędzie, zwłaszcza w akcie pierwszym i trzecim, nawet w wewnętrznem starciu się namiętności utrzymany, dekoracyjność przedstawienia, modyfikuje w oczach widza niedociągnięcia rysów głównych kompozycyi i zaleca ten dramat do sceny.

Dykcyja, ujęta w wiersz jedenastozgłoskowy, lubo mniej żywa niż w „Annie Firlejównie“, więcej odpowiada patetycznemu nastrojowi całości, podniosła w akcji poważnej, jowialna stosownie do treści. Nie chcę szykanować autora o takie rymy, jak: krzyże—wyżej; przynigdy—nigdy; więcej—ręce; u mnie—dumniej; wiem ja—podziemia; doszedł—poszedł,—które już i w Częstochowie wyszły z użycia nie dlatego, aby je zbierała Warszawa. Wolę poradzić mu, aby, nie poprzestając na studyowaniu metody i techniki dramatycznej w książkach, zwrócił się więcej do studyowania ich na scenie, bo tam tylko, przy bardzo pilnem wpatrzeniu się w budowę i ciesielskie, że tak powiem, szczegóły, można otrzymać pomoc w odgadnięciu środków porozumiewania się z publicznością oko w oko.

KAZIMIERZ KASZEWSKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wakacje Bożego Narodzenia stworzyły znaczną ciszę w życiu parlamentarnem. Jedynie izba angielska pozostała przez cały czas świąt na stanowisku, obradując nad bilem parafialnym, który wprowadza do angielskiego samorządu więcej ładu i jednostajności i jednocześnie opiera go na podstawie demokratyczniejszej. Ale wreszcie izba angielska przeszła też do należnego jej odpoczynku, sesya bowiem przeszłoroczna liczy się do najdłuższych w dziejach angielskiego parlamentaryzmu w obecnem stuleciu, do grobu zaś zstąpiła z obietnicą ze strony rządu, że kiedy wróci po miesięcznej przerwie, zostanie już przygotowanym projekt o zwiększeniu siły zbrojnej swojego kraju. Grudzień bowiem cały upłynął w Anglii na agitacyi z powodu floty. Opinia publiczna, zaniepokojona wzrostem marynarki u rywali Anglii, jęła domagać się, ażeby rząd zajął się gorliwiej obroną zagrożonej wielkości kraju. Opozycja wzięła tę sprawę do serca, w kraju poczęto zwoływać meetingi, aż wreszcie rząd uległ pod naciskiem opinii publicznej i przyjął reformę marynarki do swego programu. Podobnie w Przedlitawii, mimo wakacyi, z których od miesiąca czasu korzysta rada państwa, życie parlamentarne płynie dość wartkiem korytem. Pochodzi to z tej okoliczności, że wszędzie rozpoczęły swój żywot sejmy krajowe. Koalicya pomiędzy stronnictwami w radzie państwa wywarła w mniejszym lub większym stopniu swój wpływ na kierunek spraw w poszczególnych sejmach, zwłaszcza tam, gdzie starcia narodowo-

ściowe ostrzej występują. W sejmach: czeskim, morawskim, dalmackim, grupy koalicyjne usiłują zepchnąć rozprawy z toru politycznego, potrącającego o istniejące w danym kraju stosunki narodowe i konstytucyjne, i trzymać je na neutralnym gruncie obrad nad kwestyami „niepolitycznego“ charakteru. Inną sprawą, nurtującą we wszystkich krajowych sejmach, jest kwestya reformy wyborczej. Hasło to, rzucone przez hr. Taaffego, a na razie wstrzymane na czas jakiś w zakresie ogólnopolskiej konstytucyi, przyjęło się w sejmach krajowych i stało się hasłem grup opozycyjnych. Parlament niemiecki rozpoczął swoją poświęconą działalność od czytania projektów podatkowych. Niezadowolenie z projektów jest ogólnem, zarówno w kraju, jak wśród ciała prawodawczego. Szanse powodzenia są bardzo nieznaczne. Jakaś taką perspektywę ma przed sobą jedynie podatek stemplowy; opinia publiczna o pozostałych nie wątpi, że zostaną odrzucone przez parlament. Wogóle spodziewają się rozwiązania wtedy parlamentu, lecz zanim to nastąpi, pod obrady zostanie wniesioną umowę celno-handlową z Rosyą, przeciw której tak się srożą koła ziemian-skie w Niemczech. Intrygi z tej strony przeciwko hr. Capriemu stały się w ubiegłym miesiącu główną nić życia politycznego w Niemczech i wywołały orędzie hr. Eulenburga, prezesa pruskich ministrów, do urzędników państwowych, przypominające im, że winni w sprawach polityki wewnętrznej zajmować takie samo stanowisko, jak rząd.

Tyle o życiu politycznem, które ześrodkowało się w parlamentarnym. Ale po-za niem odbyło się kilka zdarzeń znacznej wagi. Sąd przysięgłych w Angoulême wydał wyrok w sprawie bójki pomiędzy Francuzami i Włochami w Aigues-Mortes, w której sporo przybyszów włoskich przyplaciło życiem szukanie zarobków na obczyźnie. Wyrok uniewinnił wszystkich oskarżonych. Było to istotną niespodzianką. Prasa francuska pośpieszyła z napiętnowaniem takiej stronniczości i wprost uznała czyn ten za nietaktowny w najwyższym stopniu, nie miecka zaś i włoska nie znały granic w swoim oburzeniu. Nie długo potrzebowaliśmy czekać na następstwa angoulemskiego wyroku. W grudniu rokosz objął Sycylię. Tłumy ludu masowo podpałały budynki urzędu celnego, wypędzały z miast władze municypalne, strzelały do zamożniejszych obywateli. Była chwila, kiedy myślano, że Włochy stoją w przededniu takich samych wypadków, jakich Francya była widownią przed stu laty. Zaniepokojona opinia przypisała to wszystko agitacyi rządu francuskiego. Doszło dzisiaj do tego, że cokolwiek złego stanie się we Francyi, Vaillant np. rzuci bombę, Francuzi szukają ukrytej ręki rządu włoskiego, Włosi zaś odplacają się pięknem za nadobne. W splocie takich podejrzeń wzajemne rozjątrzenie wzrasta. Ale wracajmy do Sycylii. Jak wykazały poważniejsze

organa prasy włoskiej, źródłem rozruchów były niezmierne nadużycia władz municypalnych, które stały się przybytkiem panowania możnych klik, prócz własnego interesu nie znających nad sobą żadnego hamulca. Podatki spożywcze legły całym swoim ciężarem na najbiedniejsze warstwy ludności; są miejscowości, w których rodzina oddaje piątą część swego zarobku na opłatę tego podatku; dochodzi do tego, że najbiedniejsi zgoła nie używają soli. Wreszcie do tego wszystkiego dołączają się oplakane stosunki agrarne. Zwłaszcza podczas świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku zarzewie sycylijskie wybuchło silnym płomieniem, iskry zaś przedostały się aż na półwysep. Rząd ogłosił wtedy stan oblężenia w Sycylii; aresztował możliwych przywódców zorganizowanego ruchu, który może wyrósł-by z chaotycznego podrygu ciemnych mas; rozwiązał stowarzyszenia robotnicze; przedewszystkiem zaś wysłał na wyspę liczne zastępy wojskowe. Środki te zrobiły swoje: stłumiły szerczący się rokosz i zgasiły gotujący się wybuch. Ale nie zniosły zarzewia, które wciąż grozi niebezpieczeństwem na przyszłość i domaga się od rządu reform poważniejszej natury. Ostatniemi czasy wybuchły zamieszki w przeciwległej dzielnicy Włoch, mianowicie w Toskanii. Wszystko to wskazuje, że półwysep apeniński jest silnie podminowany przez nędzę i wypływającą z niej niechęć. Wogóle sytuacja Włoch jest smutną nad wyraz. Jak Crispi wydobędzie swoją ojczyznę z tego rozpaczliwego położenia, wprost niewiadomo. Minister finansów biedzi się nad programem reform finansowych i jakoś nie może dać sobie rady. W ostatnich dniach rozeszła się pogłoska o tem, że Crispi, wobec wyjątkowego położenia, ma żądać od izby nadzwyczajnych pełnomocnictw dla siebie, t. j. władzy dyktatorskiej na okres półroczny.

Jeszcze w innym zakątku Europy wakacje świąteczne przeszły głośno, mianowicie w Czechach. W przededniu świąt zamordowano w Pradze niejakiego Rudolfa Mrwę. Nie tyle samo zabójstwo, ile czynniki, które złożyły się na nie, godne są uwagi. Młodoczeski poseł, dr Herold, podczas rozpraw w przedlitawskiej radzie państwa, wskazał właśnie na Mrwę, jako na agenta prowokacyjnego, który należał do organizatorów znajdującego się pod sądem tajnego związku *Omladina*, później zaś wydał jego tajemnice. Pod wrażeniem właśnie tej mowy kilku młodzieńców dokonało mordu. Naturalnie Niemcy nie omieszkali wyzyskiwać tego wypadku, aby ściągnąć gromy oburzenia na młodoczechów. Sąd jednak nad *Omladiną*, nie ukończony jeszcze w obecnej chwili, oczyścił młodoczeską partyę od miotanych na nią zarzutów.

W Serbii sprawy przyjmują obrót coraz ostrzejszy. Wybory do zarządów gminnych oddały władzę wyłącznie radykalistom, którzy,

zwłaszcza w zachodniej Serbii, nie ukrywają swoich dążeń anty-dynastycznych. Sprzyjają oni jawnie domowi Kara-Georgiewiczów i marzą o powołaniu na tron serbski księcia Arseniusza. Młody monarcha znajduje się w przykrem położeniu. Ponieważ skupczyna jest w ręku obozu radykalnego, przeto, jeżeli król chce trzymać się zasad konstytucyjnych, winien oprzeć się na gabinetie radykalnym i tem samem złożyć swoją przyszłość w ręce przeciwników. Powszechnie mówią o tem, że powoła do życia gabinet, złożony z wyższych wojskowych, oddanych domowi Milana, i będzie rządził bez skupczyny, którą na czas jakiś zawiesi. Wogóle w Serbii sprawy poczynają się wikłać mocno i grozić mnóstwem niespodzianek.

Świat zjawisk niepochwytłych, tajemniczych, w obecnej dobie coraz więcej umysłów zaprzęta. Jednych może pociąga nieświadoma chęć poddania się pewnego rodzaju emocyi, inni pragną otworzyć nowe widukręgi, nową potęgą światła ogarnąć ludzkość i tem samem szczęście jej przynieść. Jest to całkiem naturalne pragnienie umysłu ludzkiego—przenikać tajemnice. Owocem wycieczek myśli po nowych niewyprobowanych drogach jest już mnóstwo dzieł, które okazałyby się specjalny księgozbiór utworzyć-by mogły. Znaczną część owej literatury stanowią sprawozdania różnych kongresów, bardzo licznych. Na schyłku zeszłego roku w Paryżu pod przewodnictwem dra Bénard'a odbył się kongres t. zw. „wolnej praktyki lekarskiej.“ Zdaniem jej wyznawców, medycyna zanadto się zasklepiła w prastarych formach, po-za które boi się przekroczyć. Każdy lekarz jest odpowiedzialny moralnie za swoją praktykę; samodzielne postępowanie wbrew teoryom i wskazówkom, przy-swojonym na ławie uniwersyteckiej, może na błąd fatalny narazić, wywołać ofiary wśród pacjentów i podkopać dobrą sławę leczącego. Któż więc z nich chce obierać tak ślizkie drogi? Wolno badać, wolno rozwijać i wzbogacać wiedzę lekarską, ale według metod wskazanych przez naukę. Że takie usiłowania istnieją, najlepszym dowodem jest rozwój bakteriologii i chirurgii. Ale dla wyznawców wolnej praktyki kroczenie po tych szlakach nie jest wystarczające. Żądają oni (z magnetyzerem Durvillem ua czele) zupełnej swobody leczenia. O ile ta swoboda polega na środkach niewinnych, ogół pacjentów nie podniesie protestu. Zawsze znajdzie się sporo takich, których pociągną środki dotąd przez naukę nieużywane, czego najlepszym dowodem jest powodzenie leczenia chorów wszelkiego rodzaju, nawet wśród warstw inteligentnych. Ale natomiast mało chyba się znajdzie ochotników dla poddania się próbom ryzykownym. Przedstawiciele medycyny krępują nie tylko metody ogólnie przyjęte, ale i pewna etyka, która skłania ich do robienia nowych prób na królikach lub świnkach morskich, zanim się odważą

przenieść je na ludzi, pomimo, że nieraz sami śmiałkowie się napraszali o doświadczenia na ich własnym organizmie. Owi śmiałkowie, to przeważnie młodzież, oddana medycynie i chorobliwie rozentuzyzmowana do niej. Bywały przykłady, że uczniowie, nie mogąc skłonić swych mistrzów, sami sobie czynili zaszczepiania chorób zabójczych. Ale tu przynajmniej było działanie konsekwentne. Wiedzieli oni, że zabijając siebie, dają pewne wskazówki żywym, jako przedmioty badań na stole anatomicznym. Gdyby np. takich ochotników, dobrowolnie skazujących się na śmierć, znaleźli wyznawcy wolnej praktyki — czy nauka zyskała-by wiele? Sądzę, iż hypnotyzer mało miałby pociechy z doprowadzenia swego medyum do obłędu lub śmierci przez nadużycie badań. Wraz ze zniknięciem życia lub rozumu ofiary, badacz stracił-by tę możność sprawdzenia swych dociekań, jaką posiada lekarz, zabierający się do sekcji na podstawie danych pozytywnych.

Zresztą nie posiadajmy zwolenników wolnej praktyki o zbyt ni radykalizm w próbach. Może oni zechcą opierać swą metodę na tak niewinnych podstawach, jak nasi wyznawcy homeopaty, o ile, naturalnie, ta niewinność dotyczy organizmu pacjentów, nie zaś ich kieszeni. Przed paru laty rozbiegła się wieść o endownem działaniu jakiejś rośliny, ochrzczonej nazwą jej wynalazcy: „trawa Kuźmicza.“ Ma ona uzdrawiać przedewszystkiem od reumatyzmów najdokuczliwszych i najbardziej zastarzanych. Okazało się, iż ta trawa istotnie czyni cuda niebywale; bo gdy niedawno jeszcze ów Kuźmicz, prosty chłop, mieszkający w głuchej zapadłej wiosce, był nędzarzem, lekarstwo jego tyle mu przyniosło pieniędzy, że jest już magnatem, a cicha, nieznaną miejscowość niesłychanie się ożywiła; poczta nie może wydażyć w ekspedowaniu posyłek z trawą uzdrawiającą. Podobno w ciągu dwóch czy trzech lat wywieziono stamtąd tej trawy nie mniej, jak w tym samym okresie—siana z łąk poleskich na karm dla koni kawalerji. Reumatyzm jest chorobą kapryśną, często na pewien czas przechodzi bez żadnych leków, więc niejedyn chory, ratujący się trawą Kuźmicza, istotnej ulgi doznał i błogosławi ziele cudowne. Świadcstwo takiego uzdrowionego więcej znaczy, niż protesta dziesięciu zawiedzionych. Trawa tedy dalej cieszy się wielkim odbytem, a że zdrowia nie psuje, więc i sumienie Kuźmicza jest spokojne. Lekarze nie na żarty się skarżą, iż taka „wolna praktyka“ krzywdę im wielką przynosi. Ale cóż na to począć? Słabe strony ludzkiej natury zawsze będą umiejętnie wyzyskiwane przez samorodnych psychologów.

Jeden z uznanych przez naukę środków leczniczych, masaż, zdobył sobie szerokie prawa obywatelstwa wśród „wolnych praktyków“

i daje możność utrzymania się ociemniałym, ale dotąd tylko w Japonii. Za przykładem tej przodowniczki narodów azyatyckich (która, nawiasem mówiąc, wiele ma rzeczy godnych naśladowania), wkrótce i ślepcy w Europie posiadą ten sam środek zarobkowania. Właśnie z powodu zapowiedzianego otwarcia szkoły dla masażystów w Petersburgu, ktoś zwrócił uwagę na możność produkcyjnego zużytkowania sił tej kategorii kalek. Masaż, o ile wiemy, wymaga pewnej subtelności, czasem musi być stosowany w formie silnego naciskania lub uderzania, czasem zaś sposobem lekkiego dotykania. Zapewne skuteczność metody w znacznej mierze zależy od intuicji leczącego. Wielkim skupieniem, uwagą i nadwyzczaj rozwiniętym zmysłem dotyku odznaczają się ociemniali i, jak praktyka dowiodła, są oni najdzielniejszymi masażystami. Całkiem więc uzasadniony jest wniosek ułatwienia im pracy na tem polu. Wykazali już oni zdolność swoją w innych dziedzinach, jako rzemieślnicy, zakres atoli ich zarobkowania dość jest szczupły i mozolny. Wychowańcy Instytutu w Warszawie prawie zawsze chleb sobie znajdują, spory zaś procent kształci się na grajków i ci, w sezonie tanecznym, lub przez cały rok w jadłodajniach, mają niezłe zarobki. Trudno atoli tę pracę uznać za produkcyjną, a przytem często ona rzemieślnika-grajka rzuca na poniewierkę. Śpieszy grywać wszędzie, gdzie go zaprowadzą, a jeżeli dusza jego się nie wstrząsa na to, jaką on czasem rolę spełnia i komu przygrywa, to tylko zawdzięczać może swojej ślepcocie. Wobec tego ze szczerem uznaniem witamy zamiar rozszerzenia zakresu pracy dla tych nieszczęśliwych.

Zużytkowanie wszelkich sił ludzkich w ten sposób, ażeby one istotną korzyść społeczną przynosiły, to marzenie socyologów i humanistów, ale jednocześnie rozwija się coraz bardziej inne pragnienie — zdobycia nieokiełzanych a nawet nieprzystępnych dla człowieka sił i dziedzin przyrody. Umysł ludzki, sięgający w bezmiar przestworza, obliczający ze ścisłością matematyczną drogi i odległości światów, — umysł ten tkwi w istocie, która musi czołgać się po ziemi i korzystać tylko z jej powierzchni. Czy to nie ironia? Gdybyż przynajmniej można było zawładnąć atmosferą własnego globu, zapełnić ruchem widzialnym i życiem tę przestrzeń! Marzenie to od wieków spokoju nie daje „królowi wszechstworzenia“ na ziemi. Trudno byłoby zliczyć tych, którzy, dotknięci gorączką czy manią wynalazczości i chęcią zdobycia przestrzeni atmosferycznych, życie lub rozum stracili. Jednakże pożądanie to nie śpi; tkwi ono wśród ludzi i przechodzi z pokolenia na pokolenie. Lot ptaka wzbudza zazdrość i podnieca gorączkę; technika doszła do takiej doskonałości, że zdolna jest stworzyć coś takiego, co będzie ptakiem-automatem; ale nie obdarzy go najważniejszym czynni-

kiem—wołą. Więc swoją własną człowiek wyteżę, dorabia sobie skrzydła i łamię... nogi. Ludzie o tyle swoje pragnienia urzeczywistnili, że mogą się wzbijać w górę, nawet bardzo wysoko i szybko, ale muszą się poddawać ślepej sile aerostatu. Marzeniem ostatniej chwili jest wynaleźć ster do balonu. Tysiące prób i pomysłów zawiodło, ale oto, już po raz nie wiem który, znalazło się jakichś dwu u nas szczęśliwych, którzy mają już ster „niezawodny“, tylko wypróbują. Tak głosi wiadomość reporterska i zaciekawia tłumy, a jednocześnie nadchodzi wieść z za granicy, zręcznie ubrana w szaty prawdopodobieństwa W Wiedniu, w Towarzystwie inżynierów, profesor budowy machin na politechnice berneńskiej (Morawia), Georg Wellner, przedstawił wobec 300 specjalistów swój wynalazek, a raczej tylko teorię, opartą na ścisłych podstawach naukowych. Ma to być przyrząd do latania, osnuty na systemie kół żaglowych (*Segelradflugmaschine*); dynamiczny, ze smoczemi skrzydłami z obracających się kolistych powierzchni, sam się dźwiga i sam ruch sobie nadaje. Korpus cylindryczny, na podobieństwo cygara albo łodzi torpedowej, szczelnie zamkniętej. We wnętrzu mają się mieścić podróżni, motor i ster. Przyrząd, poruszany przez motor nad łodzią, składa się z trzech par kół szuflowych, podobnych do wiosłowych przy parowcach. Koła obracają się zewnątrz, szufle z sukna wydymają się, jak skrzydła ptaka i zgarniają pod łódź fale powietrza, które swą gęstością nie pozwala statkowi spaść na ziemię.

Tak wygląda przyszły okręt powietrzny. Kto ma żywą wyobraźnię, niech jego rysunek odtworzy w umyśle, niech sobie przedstawi roje tych ptaków automatycznych ze skrzydłami sukienkami. Towarzystwo inżynierów podobno uchwaliło zebrać fundusz na wykonanie pomysłu, który może być wykończony dopiero za lat trzy. Ile przez ten czas umysłów się namęczy nowemi pomysłami! Czy mamy jednak powyższą wiadomość przyjmując z niewiarą, jak i wiele poprzednich? Bezustanny rozwój wynalazczości człowieka i przez to wzrost jego siły zapanowywania nad przyrodą i jej zjawiskami, budzi w nas nadzieję, na podstawie logicznych wniosków, że czasami i przestworza atmosfery ziemskiej staną się dziedziną własności i gospodarki ludzkiej. Czy do tego się przyczyni p. Wellner swoją łodzią o szuflach sukienkowych, czy kto inny,—mniejsza o to. Niedowierzący lub szydzący pesymiści w tym względzie niczem nie ustępują takim samym sceptykom z lat ubiegłych, którzy bądź ze śmiechem, bądź z oburzeniem przyjmowali wieści o sile pary i cudach elektryczności. Jeszcze niedawno, za naszej pamięci, przypuszczenie, że będziemy mogli rozmawiać, słyszeć i być słyszczanymi na setki wiorst, — wywoływało żarty i śmiechy. Historia wynalazków przekazuje nam fakta zacieklej walki z ciemnotą,

usiłującej zniszczyć pierwsze motory szybkiego ruchu. Wówczas działał ślepy fanatyzm i przesąd, dziś go nie ma wcale, a tem bardziej nie będzie w przyszłości. Czy jednak może to dać powód do przypuszczenia, że zapanowanie człowieka w przestrzeni atmosferycznej nie wywoła energicznego oporu wśród różnych grup mieszkańców ziemi? Zważmy tylko, jaki przewrót komunikacya powietrzna wywołać musi. Znaczenie granic do tego stopnia osłabnie, że ich ochrona stanie się bezwocną; zatem wszelkie cło musi upaść, militarizm zniknie, a jego siły wchłoną inne czynniki życiowe. Słowem, po zapanowaniu człowieka u góry musi nastąpić zupełny przewrót warunków społeczno-materyalnych. Może wtedy (istniejące już dziś) towarzystwa miłośników pokoju będą tryumfowały. Ale zanim to nastąpi,—okres przystosowania się nie zaznaczy swego pochodzenia spokojem. Naruszenie porządku powierzchni ziemi za pośrednictwem przesłizgiwania się u góry, środki przeciwdziałające, straż powietrzna, elektryczne oświetlenie przestworza dla kontroli, zmonopolizowanie aerostatów przez rządy, ściganie prywatnych,—czy to nie ciekawe zjawiska dla przyszłych pokoleń?

Tymczasem atoli człowiek się wysila nad zbadaniem kaprysów atmosfery dla dobra dzisiejszych pokoleń, szczególnie dla rolnictwa. Meteorologia, będąca jeszcze przed paru dziesiątkami lat dziedziną wróżb starych gospodarzy, dziś już przybrała formę systematycznych badań na podstawie nauki. Wiedza w tym zakresie o tyle się posunęła, że przynajmniej na dwa, trzy dni przed burzą, wichrem lub ślotą można ostrzedz zainteresowanych. Pamiętamy, zdaje się na wiosnę r. z., ostrzeżenie telegraficzne z dostrzegalni petersburskiej, przysłane tutejszym kolejom, ażeby zabezpieczyły luzem stojące wagony przed silnym wichrem. Jakoż w oznaczonym terminie przepowiedziane zjawisko nastąpiło. Praktyczne zatem rezultaty badań, acz na krótkie terminy, są już doniosłe. Ci jednak, których one najbardziej obchodzą, nie zadowolniają się owym stanem meteorologii dzisiejszej. Rolnik radby mieć wskazówki na okres dłuższy, przez co niejednej kłęski mógłby uniknąć i odpowiednio się urządzić z robotami. Dlatego-to kalendarze z przepowiednią pogody mają jeszcze dziś powodzenie na zapadłym partykularzu, pomimo, że niejednen klnie je srodze za wręcz przeciwne wskazówki. Ziemiannin lubi się ludzi, więc pomimo, że wróżby nie są oparte na żadnych danych, wierzy w nie czasami. Obecnie z rokiem każdym przybywa w całym państwie coraz więcej stacyi meteorologicznych, liczba ich atoli jest jeszcze bardzo szczupła na to, ażeby można było prowadzić systematyczne, nieprzerwane badania. Słowem, działanie całe idzie dość opornie. Doświadczalnia główna przy Muzeum przemysłu w Warszawie zaznacza przyrost stosunkowo niewielki w całym

kraju (jedne powstają, inne natomiast są zamykane). Istnieją one przeważnie przy cukrowniach, bardzo zaś mało przy gospodarstwach czysto rolnych. Obok meteorologicznych, wielkie znaczenie mają tak zwane „pluwiometryczne“ (dlaczego nie swojski termin?). Koszt ich urządzania jest niewielki, a badanie opadów atmosferycznych za ich pośrednictwem może mieć doniosłe znaczenie. Jest ich atoli u nas dotąd tylko przeszło dwadzieścia, t. j. tyle co nic, podczas gdy Niemcy mają tysiąc kilkaset (sam Berlin ośm),—to też i pożądane dla rolnictwa spostrzeżenia są tam owocne. U nas, według zapewnień specjalistów, trzeba, iżby sama Warszawa zdobyła się przynajmniej na pięć takich deszczomierzów. Na prowincyi, rzecz prosta, muszą także być dość gęste. Względy techniczne, ani materyalne nie stoją temu na przeszkodzie (z uwagi na nadzwyczajną łatwość urządzania); przypuścić więc trzeba, że do tego rodzaju doświadczeń rolnicy nasi nie przywiązują wielkiego znaczenia, jak wogóle do wszelkich teoryi, które mają charakter przygotowawczy, więc nie mogą dawać widocznych i szybkich rezultatów w praktyce.

O takim zjawisku wiele mogła-by powiedzieć stacya sobieszyńska, o której pewnych usiłowaniach dla dobra rolnictwa mieliśmy sposobność przed kilku tygodniami słyszeć na zebraniu sekcji rolnej w Towarzystwie przemysłu i handlu. Z wielką ciekawością wysłuchaliśmy tam odczytu p. Rugiewicza o znaczeniu analizy gruntów w związku z próbami nawozowemi. Otóż ten sam prelegent jeszcze przed rokiem podał projekt organizacyi prób z nawozami sztucznymi, i myśl ta, jakkolwiek nie od razu, wcieliła się jednak w życie. Dzięki temu, przeszło stu ziemian zajęło się rzetelnie owemi próbami, pomimo, iż kosztują one każdego uczestnika po 30 rubli. Wobec tak łatwego i chętnego przyjęcia metody, wpływającej na racjonalny rozwój gospodarki, dziwnie razi zaniedbanie innego warunku, niezbędnego dla rolników, nieholdujących rutynie: analizy ziemi. Pomimo, iż stacya sobieszyńska ofiarowała w tym względzie pomoc zupełnie bezpłatną, nikt z niej dotąd jeszcze nie skorzystał. Oczywiście wynika to tylko z braku uświadomienia potrzeby tak ważnych prób, które najskromniejszy rolnik czeski uważa za warunek niezbędny dla rozwoju gospodarstwa. Zachęta więc p. Rugiewicza wobec licznie zebranych członków zasługuje na wielkie poparcie. Ażeby jednak próby takie były rzetelne i owocne, należy, wedle rozumnej rady, połączyć siły chemików i rolników.

O wzmocnienie swych podstaw starają się również rzetelniejsi rzemieślnicy warszawscy. Szwecy wszczęli alarm i wołanie o wyróżnie-

nie ich wyrobów dobrych za pomocą pieczęci. Takie cechowanie większość interesowanych uważa za zbawienne. Biegli mają dokładnie oglądać towar i potem znaczyć go. Zdawało-by się z pozoru, że niema praktyczniejszego środka. Tymczasem *interview* „Przeglądu Tygodniowego” z jednym ze specjalistów (dodajmy *interview* najpożyteczniejszy z dotychczas ogłaszanych u nas w pismach codziennych), — przedstawia rzecz całkiem w innym świetle. Zdaniem owego specjalisty, stemplowanie stanowczo nie poprawi handlu obuwiem, przeciwnie, stworzy źródło dochodu dla cechu i jego urzędników, a przytem jaka sposobność do nadużyć ze strony tych ostatnich! Taka opinia znawcy świadczy wybornie, że znaczki i stemple cechowe nie zabezpieczają od tandety, że nawet wśród „cechowych” mogą być oszuści. Słuszne więc były przed rokiem czy przed dwoma laty uwagi krawca Niedźwiedzkiego, wypowiedziane za pośrednictwem prasy, z powodu nagle zbudzonego wśród majstrów warszawskich ruchu w sprawie znaczkowania. „Komentarze na szyldzie nie doprowadzą do pożądanego rezultatu pod względem konkurencji — twierdził wówczas p. N. — gdyż rzemieślnicy niecechowi bardzo prędko po otwarciu warsztatu zdobywają sobie klientelę, a raz zjednani kundmani, jeśli ich nie odstraszy zły wyrób, nie porzucą rzemieślnika dlatego tylko, że na jego szyldzie niema napisu: „cechowy.” Zdaje się, że należenie do cechu i zdolność fachowa nie są z sobą w tak ścisłym i nierozzerwalnym związku, aby jedno bez drugiego istnieć nie mogło.” Ktoś powiedział, że cechy w swym obecnym stanie są bukietem zeschłych kwiatów. Pomimo to, rzemieślnicy, zamiast skorzystać z samej zasady organizacyi i poprowadzić ją według wymagań chwili i warunków życiowych, starają się utrzymać przeżyte formy. Jednym z takich objawów jest myśl cechowania obuwia; myśl, poruszona przez specjalistów, którzy przecież znają tajemnice budowy buta. Dowodzi to tylko, jak oni mało wnikają w istotę rzeczy, jak po prostu mało posiadają wprawy w zdrowem traktowaniu swych własnych spraw; bo i gdzież mają sposobność po temu? — Sekcyę rzemieślniczą przy Towarzystwie popierania przemysłu i handlu sami wpędzili w długotrwały letarg. Dopiero na schyłku roku spostrzegliśmy znowu pierwsze znaki życia tej instytucyi. Najwłaściwszą więc było-by drogą rozstrzygnąć tam na obradach sprawę walki z fuszerką, ale nie pobieżnie i nie jednostronnie. „Tandetę fabrykują nie tylko żydzi, ale i chrześciance, „majstrowie cechowi”, i to w daleko bezczelniejszy, niż żydzi, sposób.” Takie zdanie wygłosił jeden ze specjalistów-szewców.

Śród naszej publiczności rozpowszechniła się zasada: tanio kupić. Skutkiem tego przysłowie o skąpcu, tracącym podwójnie, ma praktyczne zastosowanie. Konsumenci zapominają, że dziś warunki ekonomiczne

czne znacznie się zmieniły, że więc narzekanie na tak zwane zdzierstwo nie zawsze jest racjonalne. Tak twierdzą interesowani. Trzeba zatem odpowiednio usposobić publiczność (co nie jest rzeczą łatwą), trzeba wreszcie wywalczać powodzenie dobrego towaru na rynkach nie pieczętką, lecz skuteczniejszymi środkami. Obuwie dobre jest dziś istotnie drogie, ale, wobec warunków wytwarzania, niżka byłaby tu z wielką szkodą wytwórców. Gdyby majstrowie nie dążyli do monopolu za pomocą stemplowania, lecz się starali stworzyć organizację zbiorowej produkcji, koszt wytwarzania dobrego towaru znacznie-by się niżył, a jednocześnie ułatwiła-by się możność szerokich podbojów na rynkach, wreszcie spożywca płacił-by znacznie taniej niż dzisiaj. Taka droga, zdaniem naszym, jest najwłaściwsza do rozwiązania kwestyi.

Z wielką uwagą śledzimy zwykle wszelkie udogodnienia i uproszczenia, wprowadzane na kolejach, zwłaszcza takie, które dla ogółu nie są obojętne. Schyłek ubiegłego roku przyniósł szereg rozporządzeń w tym zakresie, napozór drobnych, w odpowiednem jednak ugrupowaniu ujawniających myśl z góry nakreślonej organizacji, zmierzającej do tego, ażeby publiczność miała zapewnioną możliwie największą sumę udogodnień i rękojmi bezpieczeństwa. Tak np. snadź departament przyszedł do przekonania, iż obciążenie nadmierną pracą pewnej kategorii personelu sprowadza nieszczęśliwe wypadki, więc, zapewne chcąc złemu choć w części zapobiedz, wydał rozporządzenie, iżby dyżury zwrotniczych, ustawiaczy pociągów i spinaczy wagonów na stacjach dużych, ruchliwych, były urządzane na trzy zmiany. Rozporządzenie to między innymi wchodzi w życie na stacjach kolei Nadwiślańskiej: Mława, Praga, Warszawa-nadwiślańska, Warszawa obwodowa, Iwangród, Lublin i Kowel, gdzie personel powyższej kategorii pracowników od Nowego roku zwiększono o stu jedenastu. Trzy zmiany ograniczą ich pracę do ośmiu godzin na dobę, czyli do normy, jaka im pozwoli pełnić obowiązki ze świeżością sił i skupieniem uwagi. Miejmy nadzieję, że taki sam system zmian będzie zastosowany do telegrafistów kolejowych, od których przytomności bardzo zależy bezpieczeństwo publiczne; że wreszcie maszyniści, których średnia norma pracy wynosi *ośmnaście* godzin, również takimi ulgami obdarzeni będą. Wracając jeszcze do reform już oficjalnie zaleconych, musimy parę szczegółów zaznaczyć: Naczelnikom dystansów tudzież ich pomocnikom nie wolno będzie nadal mieszkać w jednym miejscu, lecz — na krańcach lub w połowie dystansu; dozorczy drogowi otrzymają pomocników, przyczem wszyscy obowiązkowo muszą umieć telegrafować, żeby w razie potrzeby mogli zapomocą aparatów, umiesz-

czonych w budkach dróżniczych, przysyłać ostrzeżenia o grożącym niebezpieczeństwie. Podróżni, przed których oczami migają domki służby dystansowej, nie zdają sobie sprawy z ich rozmieszczenia; zbyt błahy jest to dla nich szczegół, tak samo, jak częstokroć nie odczuwają w swym organizmie zmian, grożących ruiną. Tymczasem od owego rozmieszczenia w wielu razach zależy dokładność dozoru nad linią, a więc i bezpieczeństwo publiczne.

Na Zachodzie, niewyczerpani w pomysłach przedsiębiorcy, starają się podróżnym na kolejach umilić czas, a sobie—byt; więc rozwinęli szeroko kolporterę książkową, nawet gdzieś wychodzi podobno specjalne pismo dla podróżnych i istnieje odpowiedni dobór lektury. Musi ona być lekka, nie nużąca, sensacyjna lub humorystyczna. Ten, kto się zajmuje takim umilaniem podróży, musiał sam wprzódy wypróbować, jak lektura smakuje po przebyciu stu, a jak po przejechaniu tysiąca i więcej kilometrów. Kolporter powinien być bystrym fizyognomistą, tak, iżby w sali dworca lub w wagonie mógł jednym spojrzeniem ocenić, ile kilometrów jazdy maluje się na twarzy pasażera i odpowiednio do tego podsunąć mu humorystykę, książkę lekko lub silnie sensacyjną. Nie pamiętam, czy gdzieś istnieją, czy też były tylko w projekcie wypożyczalnie książek na kolejach. Podróżny, złożwszy zastaw na stacji X., otrzymuje żadaną książkę i po przeczytaniu zwraca dalej na stacji Y, gdzie odbiera swą kaucję. Taka czytelnia, rzecz prosta, mogła-by mieć większe powodzenie, niż księgarnie stacyjne, jak u nas, zazwyczaj dość ubogie. Wogóle rozpowszechnianie czytelnictwa za pośrednictwem kolporterki zajmuje u nas najpośledniejsze miejsce, czemu ani przyganiać, ani się dziwić nie można wobec niepewnych warunków, których probować nie chcą przedsiębiorcy i wolą swe siły tudzież środki gdzieindziej skierować. Faktem jednak jest niezaprzeczonym, że w większości wypadków zarówno wydawcy nasi, jak księgarze i właściciele wypożyczalni książek, chodzą po omacku, że się próżno silą na wybadanie usposobień gustu i potrzeb umysłowych różnobarwnego i bardzo kapryśnego ogółu. Zresztą, przyznajmy, nie łatwe to jest zadanie. To też wielu aferzystów działa na chybił trafił, a do takich trzeba zaliczyć prawie wszystkich autorów i wydawców kalendarzowych. Strach pomyśleć, ile tej bibuły co rok z pod prasy wychodzi! Dawniej kalendarz był dla wielu wszechwładnym i jedynym bodźcem umysłowym. Czytelnik wszystko w nim mógł znaleźć: rady gospodarskie, przepowiednie pogody, wypadków politycznych, anegdoty, bajki, morały, powieści (widzieliśmy kalendarz, w którym jakaś powieść dziesiątkami lat wychodziła. Czytelnik cierpliwie czekał na dalszy ciąg przez cały rok). Dzisiaj, wobec rozrostu prasy

i księgarstwa mądrość kalendarzowa poszła w ką, ale tradycja układu tych roczników pozostała dotychczas. Każdy z twórców najlichszego kalendarza czuje się w obowiązku dać kilka nędznych ramotek, garść płaskich, zwietrzałych, niezliczone razy przerabianych conceptów i rysuneków. To zaś, co powinno być właściwą treścią kalendarza — dział informacyjny, — haniebny! Te same cyfry, adresy, przepisy, przedrukowywane są z roku na rok. Figurują tam ludzie, którzy już dawno powymierali, zakłady oddawna zamknięte lub przekształcone, ustawy skasowane albo do niepoznania przerobione. Taka tandeta, zbiór śmieci, nie może mieć pokupu; wydawcy to czują, a jednakże co rok puszcza ją w świat swoją najgorszego gatunku fuszerkę. Dlaczego? — Bo ich nęci jedna tylko pozycja: dział ogłoszeń. Jednym się udaje pokryć tą drogą koszt wydawnictwa, drugim, sprytniejszym, nawet zyski osiągnąć, a w takim razie niech sobie kalendarz nie idzie, niech go żyd kupi na makulaturę. Sposób praktyczny, ale nieuczciwy. Ci bowiem, którzy dają ogłoszenia, liczą na to, że je przeglądając będą setki, tysiące ludzi. Nawet potem nie mogą mieć pretensyi do wydawcy, bo ten z pozoru jest w zupełnym porządku. Niechętnie bowiem dającym ogłoszenia może udowodnić, że się kalendarza bije kilka tysięcy egzemplarzy, więc co najmniej parę dziesiątków tysięcy ludzi będzie go czytać. Później rozejdzie się w handlu setka, dwie, trzy, ale wydawca temu nie winien: „Zastój, zanik czytelnictwa, obojętność ogółu!“ Któż wydawcy dowiedzie, że on był z góry o tem przekonany, że odbił kilka tysięcy egzemplarzy tylko dla zachęty do dawania ogłoszeń?

A jednak kalendarze przedstawiają jeszcze wdzięczne i obszerne pole dla przedsiębiorców uczciwych. Rzetelnych, dokładnych informacyi każdy pożąda, więc chętnie nabył-by taki podręcznik, gdzie potrzebne dane w każdej chwili znaleźć i zaufać im w zupełności można. Podobne kalendarze są u nas, nawet się wyspecjalizowały (techniczny, cukrowniczy, rolniczy, gorzelniczy i t. d.). Niedawno atoli skarżył się przed nami jeden z techników, że w kalendarzu dla niego przeznaczonym znalazł informacje błędne, przestarzałe. Czyżby nie było odpowiednich pracowników, dokładnie obeznanych z fachem, którzy chcieli-by swoją rzetelną pomocą literacką zrobić pożądaną usługę innym? Może-by się znaleźli, gdyby umiano ich szukać i odpowiednio zachęcać. Okazuje się jednak, że wydawcom tego rodzaju łatwiej o humorystów, bo to jest towar tani i wszędzie dostać go można. Jednakże humoryści nasi zasługują na szczerze współczucie. Codzień gonić za dowcipem, codzień szukać nowego conceptu lub przetapiać stare, bacząc na to, żeby nie powtarzały się tak często, że cierpliwy

czytelnik mógłby na pamięć ich się nauczyć i czynić sprostowania autorowi, doprawdy jest to praca ciężka, wyczerpująca wszelkie zarodki głębszej i poważniejszej myśli! Jedyną deską zbawienia są pisma humorystyczne cudzoziemskie, dla tych, którzy znają języki obce. Szeregi prawdziwie „swojskich“ humorystów, po wyczerpaniu conceptów o teściowych i myśliwych, muszą nieraz zapewne stać na granicy humoru z melancholią.

Czy humor w literaturze ma rację bytu, czy społeczeństwo nasze pożąda go? Na to pytanie nikt chyba przecząco nie odpowie. W chwili, gdy wszelkiego rodzaju pesymizm ma najprzyjaźniejszy grunt dla rozwoju, gdy materialne warunki bytu zasnuwają chmurą pogodę ducha, humor mógłby poniekąd być środkiem leczniczym, ale nie ten brukowy, który ma znaczenie leków znachorskich. Weźmy literaturę wyborową, nie tylko własną, ale i powszechną, o podkładzie humorystycznym. Nie starzeje się ona wcale i nie prędko w zapomnienie pójdzie. Ale siłą żywotną tego humoru jest satyra szersza i głębsza, satyra, wydzierająca się z duszy ludzi niepospolitych, odczuwających niedostatki i niedomagania swego społeczeństwa. Taki humorysta-filozof-socjolog jest istotnie lekarzem moralnym; ale ci gęsto nie rosną. Jeżeli tego rodzaju ziarna u nas nie mogą się dziś plenić, nie wkładajmy czapki z dzwoneczkami, dopóki można znaleźć odpowiednie pola pracy.

Siewcą humoru w przedniejszym gatunku jest u nas Franciszek Kostrzewski. Kogo smutek i hipochondrya nawiedza (o co nie trudno w sezonie obecnym pod niebem ołowianem)—niech przejrzy album tego rysownika, niedawno wydane. Znajdzie tam szczerzy dowcip, wykazujący wyborną znajomość ułomności i słabości ludzkich. Taki humorysta może być w pewnej mierze psychologiem. Kostrzewski w swym dowcipie nie jest gorzkim, bo go życie goryczą nie napoiło. Z ołówka jego tryska niczem nie zakłócona pogoda, a z umysłu twórczość nie przymuszona. Album w dziedzinie wydawnictw ozdobnych jest pierwszym tego rodzaju u nas nabytkiem, w każdym razie — pożądanym.

Dla miłośników medalierstwa podajemy wiadomość o wybiciu pięknego medalu na cześć Mikołaja Zakliki, kanclerza z czasów królowej Jadwigi i Władysława Jagielly. Nazwisko tego dygnitarza wydobyl z archiwów i dyplomataryszów p. Władysław Zaklika i uczcił, po pięciu wiekach, medalem, którego strona główna przedstawia popiersie z twarzą brodatą, zwróconą w lewo, z długimi włosami i wążką na nich przepaską. Napis objaśnia, że jest to wizerunek Mikołaja z Międzyborza Zakliki, kanclerza koronnego. Popiersie, dobrze mo-

delowane przez p. Alfreda Römpera, nie przypomina jednak, chyba strojem, średniowiecznych naszych typów. Jest nowożytnym pomysłem, może natchnionym przez jakie podobieństwo dzisiejsze, bo, o ile nam wiadomo, nie było żadnego autentycznego wzoru, który-by mógł kierować dłotem rzeźbiarza. Strona odwrotna nosi herb Topór na wyginanej tarczy i napis łaciński, objaśniający znaczenie medalu: „Przesławnemu przodkowi wdzięczne potomstwo, 1375—1893.“ Medal wybity został w zakładzie „Mary & fils“ w Paryżu w bardzo niewielkiej liczbie egzemplarzy (15 srebrnych i 25 brązowych).

Ilustrując zamierzenie, zaledwie kilka razy w źródłach wspomniane imię kanclerza, medal ten jest prywatnym tylko, ale zawsze uzasadnionym hołdem. Dla swej dobrej roboty i genealogicznego pomysłu, stanie się zapewne wkrótce poszukiwanym przez numizmatyków.

W końcu roku zeszłego nauka poniosła wielką stratę przez śmierć znakomitego przyrodnika angielskiego, Johna Tyndalla, który swą niezmordowaną pracą i jej płodnymi rezultatami zdołał zyskać sławę europejską i uznanie wśród inteligencji poważnej. Urodzony r. 1820 w Irlandyi, początkowe studia odbywał w Niemczech; następnie wróciwszy do kraju bardzo szybko ściągnął powszechną uwagę na siebie, dzięki dokonany odkryciom w dziedzinie fizyki i zdolnościom profesorskim na katedrze Instytutu Królewskiego w Londynie. Ten niezwykły dar wykładu nie opuszczał go aż do chwil ostatnich i zjednywał mu ogromną popularność. Podróże Tyndalla do Szwajcaryi i badania podczas miesięcy zimowych wśród lodowców, nie były bezowocne. W tych właśnie warunkach odkrył prawo promieniowania ciepłika. Prace w tym zakresie, tudzież rozprawy o elektryczności i lodowcach, były drukowane w „Philosophical Transactions“ i „Philosophical Magazine.“ Z szeregu licznych i wartościowych dzieł Tyndalla, do ważniejszych należą: „Lodowce alpejskie“, „Lekcyje o głosie“, „O świetle“, „Ciepłik, jako rodzaj ruchu“, „O promieniowaniu“, „Wykłady o elektryczności“, „Pył i choroby.“ W r. 1887 Tyndall usunął się od zajęć profesorskich, ale w pracy nie folgował sobie do ostatnich chwil, pomimo wieku podeszłego. Przyczyną śmierci pomimo woli stała się jego małżonka, która przez omyłkę dała mu do zażycia niewłaściwe lekarstwo, zabójcze w większej dozie.

Wiadomości bibliograficzne.

— Akademia Umiejętności w Krakowie. Wydział filologiczny.

Na posiedzeniu z 11 grudnia r. z. prof. dr Sternbach odczytał rozprawę p. t. „O itacyzmie greckim,“ tudzież zaznajomił słuchaczy z pracą swoją p. t. „Lectiones Aesopide.“ Przedmiot ten stanowi zbiór bajek ezopowych, ogłoszony niedawno z rękopisu paryskiego Suppl. Gr. nr 690. Autor zestawia warianty nowego wydania z tekstem dotychczasowych i wyświeśla ich znaczenie pod względem gramatycznym, leksykalnym, stylistycznym i rzeczowym. Sekretarz złożył rozprawę p. Józefa Wierzbickiego p. t. „O życiu i pismach Kaspra Miaskowskiego.“ W pracy swej autor dokładnie uwydatnia powyższą postać, zajmującą wybitne miejsce w poezji naszej z początku XVII w. i prostuje błędne wiadomości o jej życiu. Wreszcie rozpatruje znaczenie poety we współczesnej literaturze, zastanawia się nad jego wierszem i językiem; w końcu kresli postać jego, jako obywatela kraju, charakteryzuje jego poglądy polityczne i przekonania religijne. W odczytanem sprawozdaniu za rok ubiegły z posiedzeń komisji między innymi zaznaczono, iż w r. z. skończyło się pięciolecie istnienia wydawnictwa „Biblioteki pisarzy polskich.“ W tym okresie aż do grudnia r. z. wydano ogółem w 27 oddzielnych tomach 33 utwory, obejmujące razem 209 arkuszy druku. Staraniem komitetu wydawniczego było uwzględnić dzieła prozaiczne i poetyckie, tudzież różne działy literatury różnorodnie, z zachowaniem atoli pierwszeństwa dla utworów dawniej-

szych, pochodzących z XVI w. i wreszcie tych, których pierwotne wydania należą do rzadkości bibliograficznych. Z 33 utworów 15 wydrukowano z unikatów, 5 takich, które się zachowały w dwu tylko egzemplarzach przedruku.

Na posiedzeniu ściślejszem dokonano wyboru członków komitetów konkursowych imienia ś. p. Barczewskiego. Wydział zamianował współpracownikami komisji historii sztuki pp. Mathiasa Bersolna w Warszawie, Adama Chmiela, Józefa Dziekońskiego w Warszawie, Hermana Ehrenberga w Królewcu, Walerego Eliasza, X. J. Fijałka, hr. Jerzego Mycielskiego i Antoniego Ryszarda: Rozprawy prof. Sternbacha odesłano do komitetu wydawniczego; rozprawę p. Wierzbickiego oddano do referatu p. Tretiakowi. W końcu sekretarz przedstawił świeżo wydane nakładem Akademii dzieło p. t. „Acta rectoralia Almae Universitatis studii Cracoviensis inde ab A. MCCCLXIX, editionem curavit dr Wladislaus Wisłocki.“ Do komitetu wybrani zostali: pp. Wisłocki, Rostański, Ulanowski, Tretiak i Windakiewicz.

Dnia 30-go listopada r. z. odbyło się posiedzenie komisji historii sztuki pod przewodnictwem prof. d-ra Maryana Sokołowskiego. Na wstępie przewodniczący w gorących słowach uczcił pamięć zmarłego Matejki, poczem przedstawił dwa komunikaty: p. Hermana Ehrenberga z Królewca: Pismo Zygmunta Augusta pod datą 22 lutego 1548 roku do Rady m. Gdańska, wzywające tę ostatnią, aby odesłała architekta Fryderyka do Wilna, który tam budowę rozpoczął, i nie dokończywszy ich, wyjechał. Następnie Polecenie króla Zygmunta I, wystosowane do tejże Rady z 1533 r., aby rozkazała kaznodziejom pamiętać o Świętopietrze, które przez papieża królowi odstąpione zostało w celu naprawy i wzmocnienia zamków nadgranicznych. Oba te pisma pochodzą z archiwum państwowego w Gdańsku. Prócz tego prof. Sokołowski odczytał dokumenta z archiwum ks. Czartoryskich z epoki Stanisławowskiej (lista architektów włoskich z wymienieniem budowli warszawskich, które wznosili, pisana własną ręką króla; drugi dokument, potwierdzający istnienie fabryki pasów w Stanisławowie; i dwa kwity, wydane przez malarza Ludwika Marteau Ryxowi za portrety wykonane z polecenia króla z lat 1775 i 1786). Dr Jerzy hr. Mycielski odczytał pracę p. t. „Książka szkiców rysunkowych, przypisywana architekcie Gaetano Chiaveri w królewskim gabinecie rycin w Dreźnie.“ Prof. Łuszczkiewicz przedstawił transkrypcję napisu na słupie drogowym z wieku XII w Koninie. Prof. Odrzywolski—fotografię odkopanej bazy kolumny romańskiej z t. zw. łapani w Wąchocku, nadesłaną przez p. Dziekońskiego. I wreszcie p. Chmiel przedstawił rysunki kościoła romańskiego w Końskich, romański portal i tympanon, tudzież fragmenta gotyckie z tegoż kościoła.

— *Dr med. Seved. Ribbing*, profesor uniwersytetu w Lunda. „Hygiena płci i jej moralne następstwa.“ Z upoważnienia autora przełożył ze szwedzkiego dr B. K. Warszawa.

Autor tę pracę, powstałą z odczytów, przeznaczył dla młodzieży, którą zachęca do życia wstrzemięźliwego i zachowania bezwzględnej czystości przed ożenieniem się. Dowodzi, że choroby, powstałe skutkiem wstrzemięźliwości (zarówno u kobiet, jak i mężczyzn) są prostym urojeniem. Ribbing potępia pewien rodzaj literatury powieściowej, jak również obrazy i fotografie, szkodliwie działające na wyobraźnię i zmysły młodzieży. Wreszcie upatruje w zatruciu alkoholem ważną przyczynę upadku. Ideał życia nieskazitelnego wskazuje on w dobieraniu wzorowych stadel małżeńskich, do czego należy przysposabiać młodzież obojej płci odpowiednim wychowaniem.

— *Zygmunt Gloger*. „Ze starych szpargałów ś. p. Karola Żery, fraszki i opowiadania.“ Warszawa. Nakład Lewentala.

Gloger, przeglądając skrzynię starych szpargałów na poddaszu jednego z dworków nadnarwiańskich, znalazł wśród zbutwiałych dokumentów dość gruby rękopis, w skórę niegdyś czerwoną oprawny, z rymkami przy okładkach do związywania. Był to właśnie zbiór niniejszych fraszek i opowiadań, które po odpowiednim uporządkowaniu i skróceniu, drukiem obecnie ogłosił. Żera był typem wesołego szlachcica na zapadłej prowincyi. Urodzony w początkach ośmnastego wieku, dożył prawie do jego końca. „Z niejednego pieca chleb jadał, znał dobrze wszystką szlachtę mazowiecką i podlaską między Bugiem i Narwią. Zbierał wesołe i „pocieszne historyjki, z życia wszystkich warstw zaczerpnięte“ i starannie je zapisywał w przeznaczony na to księżce. Jak i wszyscy jowialiści szlachecy, nie ma on kastowych uprzedzeń do dowcipu chłopskiego. Notuje każde wyrażenie i przysłowie, zasłyszane kiedykolwiek. Wspomina znajomych księży, słynących dowcipem. Powtarza niektóre znane powszechnie dykteryjki, a pomieszcza i wiele takich, które dziś za współczesne naszym czasem uchodzą, jak się zaś pokazuje, były już popularne przed półtora wiekiem.“ Zannotowane przez niego śpiewki, wiersze, odpowiedzi i maksymy, charakteryzują ludzi i obyczaje, wśród których żył. Z tego względu Gloger uporządkował i ogłosił rękopis, jako mający wartość nie tylko humorystyczną, ale i etnograficzną. Przytaczamy tu parę zdań ze starego kazania księdza Gelarowskiego, które i dziś, jak ongi, charakteryzują pewien stan rzeczy: „Dawniej jeden człowiek miał jednego sługę: aż miło, bo pewny był zapłaty. A teraz i dwunastu sług przyjmą, a żadnemu nie zapłacą... Dawniej ludzie tylko prości kradli, chłopci, a teraz wysoki to cech, bractwo. Przed tem byli złodzieje partacze, nie mieli

cechu, do którego teraz i ludzi godnych przyjmują. Już to partacz, co kobyłę ukradnie; trzeba go obwiesić. Ale to cechmistrz, co kilka tysięcy weźmie, a ujdzie mu to.“

— *Zygmunt Gloger*. „Słownik gwary ludowej w okręgu Tykocińskim.“ (Odbitka z IV tomu „Prac filologicznych“). Warszawa, 1894.

Za główny punkt swych badań autor wziął wioskę Jeżewo i jej okolice w promieniu trzymilowym. Połowę ludności stanowi tam drobna szlachta, przybyła w średnich wiekach z Mazowsza; reszta—włościanie. O trzy mile od Jeżewa ku wschodowi (w pow. Białostockim), leżą pierwsze wioski, mówiące dyalektem mieszanym, przejściowym, polsko-russkim. Dyalekt ten stanowi właśnie wschodnią granicę badanych okolic, w których lud używa wyrazów, w słowniku tym objętych. Dostrzegłszy u młodych pokoleń pewne różnice w wymawianiu i wiele wyrazów naleciałych, autor przyjął za punkt wyjścia mowę starszego pokolenia. Z tego względu słownik jest poniekąd zbiorem archaizmów mowy ludu w okręgu Tykocińskim.

— *Wacław Nałkowski*. „Zarys geografii powszechniej rozumowej.“ Warszawa. Paprocki. 1893.

Jest to wydanie drugie, uzupełnione i objaśnione 44 drzeworytami. Autor uwzględnił z ostatnich lat zdobycze, dokonane przez badania geograficzne i podróże. Pierwsze trzy rozdziały obejmują geografję ogólną: astronomiczną, fizyczną i antropologiczną. Reszta książki zawiera geografję szczegółową.

— Zeszyt 3, tom 83 „Pamiętnika Towarzystwa lekarskiego,“ wychodzącego pod redakcją Maryana Jakowskiego, zawiera między innymi: „Bakterye w powietrzu“ przez Odoną Bujwida, „Wyniki badań wody studziennej w Lublinie“ przez J. Brunnera, Z. Mierzyńskiego i A. Zawadzkiego.

— Zeszyt I okazowy „Pisma Świętego,“ nakładem redakcyi „Wędrowca.“

Jest to Pismo Starego i Nowego Testamentu, podług tekstu łacińskiego Wulgaty. Przekład księdza Jakóba Wujka, zatwierdzony przez Stolicę Apostolską, z objaśnieniami podług J. Fr. Allioli. Całość zdobić będzie 1,000 ilustracyi, odtwarzających zabytki i pomniki świata biblijnego. Wydanie nowe pod kierunkiem księdza Henryka Kossowskiego, biskupa sufragana dyecezyi kujawsko-kaliskiej. Zgodność i wierność tekstu z pierwotnym przekładem księdza Wujka przy zosto-

sowaniu dzisiejszej pisowni sprawdził ksiądz Roch Filochowski, prałat kapituły metropolitalnej warszawskiej.

— *Konrad Niklewicz*. „Przemysł owocowy, czyli najkorzystniejsze i wszechstronne użytkowanie owoców w przemyśle wielkim i małym, w handlu i gospodarstwie domowym.“ Warszawa.

Autor ten w ciągu paru miesięcy występuje już po raz drugi z pracą, mającą znaczenie praktyczne w gospodarstwie. (Pierwsza: „Kultura winorośli“). Niniejsza praca jest to właściwie rozszerzona i uzupełniona dawniejsza, wydana przed dwoma laty p. t. „Wina owocowe i miody.“ P. N. omawia fabrykację najrozmaitszych gatunków, więc i miódów. Nadto, podaje oparte na długoletniem własnem doświadczeniu wskazówki w zakresie wyrobu octów, alkoholi, soków, konserwów i syropów. Znajdują się tam przepisy, w jaki sposób najlepiej suszyć owoce i konserwować surowe tudzież suszone. Uwagi te mają ważne znaczenie, gdyż nieumiejętne przechowywanie i użytkowanie owoców jest główną przeszkodą w rozwoju tej gałęzi gospodarki. Autor wreszcie opisuje różne sposoby podrabiania wszelkich gatunków win, likierów i koniaków, powszechnie, ze względu na markę, uchodzących za najlepsze. Twierdzi, iż dzisiaj niepodobna już znaleźć oryginalnego francuskiego koniaku. Sprowadzony do nas i poszukiwany przez „znawców“, jest produktem fałszowanym. Książka jest zaopatrzona w 35 rysunków, objaśniających najbardziej używane w przemyśle owocowym przyrządy i aparaty. Dla tych, którzy-by się chcieli zająć przemysłem owocowym, zaniedbanym i lekceważonym u nas, książka p. Niklewicza dostarczy sporo ciekawych i pożytecznych wskazówek.

— *Dr Rudolf von Ihering*, prof. wszechnicy w Getyndze. „Walka o prawo.“ Z dziesiątego wydania oryginału przełożył Bohdan K. Petersburg. Grendyszyński. 1894.

„Celem prawa—mówi autor—jest pokój, środkiem zaś dopięcia tego celu—walka. Dopóki prawo bronić się będzie przeciw bezprawiu,— a trwać to będzie do skończenia świata, — dopóty walka nie zostanie zawieszoną. Życiem prawa jest ta walka narodów, rządów, stanów i jednostek.“ Autor obszernie rozwija tę myśl, że walka w stosunku do prawa jest tem właśnie, czem praca w stosunku do własności. W rozwoju dziejowym prawo przedstawia się w obrazie ciągłych poszukiwań, wysień i walk, jest nieprzerwanem dążeniem. Jako pojęcie celu, wśród chaotycznej gmatwaniny dążności i interesów ludzkich, prawo to w poszukiwaniu drogi właściwej porusza się po omacku. Ihering w swym traktacie uwydatniając fakt, że poczucie prawa różni się w stopniach czułości zależnie od zawodu i stanowiska osób, i że sprawdza-

nem tych stopni są interesa pewnych sfer społecznych,—wykazuje i oświetla to twierdzenie, że każdy posiadacz prawa broni w niem najistotniejszych warunków swego życia. Niezmiernie ciekawy jest wykład t. zw. patologii poczucia prawa, jak również dowodzenie na temat dwóch założeń: że walka o prawo jest obowiązkiem wobec siebie samego i—że obrona prawa jest obowiązkiem wobec społeczeństwa. W końcu autor krytykuje obowiązujące dziś ogólne prawo rzymskie i twierdzi, że jest ono dalekiem od wymagań zdrowego poczucia prawa.

— *Dr August Kwaśnicki.* „Usterki higieniczne w wychowaniu dziewcząt.“ Kraków. Nakład Towarzystwa opieki zdrowia. 1893.

Autor w szeregu wadliwości kształcenia dziewcząt przedewszystkiem zaznacza wielce szkodliwy wpływ wczesnego posyłania dziewcząt do szkół na ich rozwój fizyczny. Przedwczesne uformowanie się, niedokrewność, nerwowość, skrzywienie kręgosłupa i t. p., bez porównania wcześniej występują u dziewcząt, uczęszczających do szkół przed dziesiątym rokiem życia, aniżeli u uczących się w domu. Jeszcze jedno: W tym wieku dzieci przebywają choroby zakaźno-wysypkowe, które zazwyczaj szybko i gwałtownie się rozszerzają przez szkołę. Autor się skarży, iż wobec dzisiejszych warunków kształcenia, dwa ważne czynniki wychowawcze: dom i przyroda, są usunięte od wpływu na kształcenie dziewczęcia. „Niesłusznie często nieuczącemu się dziecku zarzucamy beczyność, wówczas, kiedy umysł jego właśnie pracuje nad somodzielnem odgadnięciem jakiegoś zjawiska i ćwiczy się w samoistnem myśleniu, w logicznem kojarzeniu przyczyn i skutków odbywającego się wokoło niego życia. Jak bez nauki gimnastyki ludzie umieją chodzić i potrafią fizycznie pracować, a gimnastyka tylko ruchy przyrodzone rozwija i wydoskonala, tak i bez nauki szkolnej mózg ludzki jest uzdolniony od przyrody do myślenia i doskonalenia się, gdyż to jest jego funkcya psychiczno-fizyologiczna; tylko zakres i stopień jego pojmowania bez nauki byłby stokroć mniejszy i balałutny. Dzisiejszy system wychowawczy przypomina nieoględnego ogrodnika, który, szczepiąc szlachetną płonkę i marząc o wspaniałych owocach szczepy, zapoznaje życiodajną dziczkę, bez której soków i owoc nie powstanie, i płonka uschnie. Szkoła nowoczesna, pochłaniając cały czas dziecka, usiłuje kulturą, sztuką, nie tyle doskonalic, ile zastąpić przyrodę ku wielkiej szkodzie intelektualnego indywidualizmu wychowawców, gdyż tylko umysł, samodzielnie ćwiczący się w myśleniu, może w sobie wyrobić drogocenny zmysł spostrzegawczy i orientacyjny, a wreszcie posiąść ten najwyższy skarb psychiczny człowieka, który zowiemy zdrowym sensem.“ Zdrowy rozsądek—to jest właśnie życiodajny pień. Jeżeli na nim nie będąc zaszczeplona nauka, niewyda ona żadnego owocu.

Autor żąda zmniejszenia zakresu programowego dla średnich szkół żeńskich, co dało-by więcej wolnych chwil do samodzielnego ćwiczenia umysłu i ciała i pozostawiania pod wpływem rodziny. „Nie ta kobieta jest wykształconą, która pamięcią chwytła, a nie przetrwała w umyśle chociażby najobszerniejszego materiału nowoczesnej nauki, lecz ta, która, czytając poważną książkę, rozumie ją i jest zdolna wyrobić swój własny sąd o tem, co czyta.“ Zdaniem p. Kwaśnickiego, wszechstronne acz powierzchowne wykształcenie odpowiada naturze niewieściej i umożliwia jej spełnienie przeznaczeń życiowych. „Matka musi odpowiedzieć, i to rozsądnie i z rozważą, na wszystkie a tak różnorodne pytania dziecka; żona, mogąca się porozumiewać z mężem w specjalnych sprawach jego zawodu, umili mu życie i stanie się duchowym jego towarzyszem; pani domu, mająca swój sąd o najważniejszych zagadnieniach chwili, wywiera urok towarzyski i tworzy w swym domu kulturalne ognisko wymiany myśli.“ Czy dla zadośćuczynienia tym zadaniom wystarczy *powierzchowne* wykształcenie? Będzie to nie wiedza, lecz błaga, która nie tylko nie jest dostateczną do porozumiewania się z mężem w specjalnych sprawach, nie tylko nie popłaca w rozmowach towarzyskich, ale nawet nie wystarcza do zadowolenia pytań dziecka. Wiele mają racji czysto higieniczne wskazówki autora. Według Kraft-Ebinga, dziecko od lat ośmiu do dziesięciu powinno spać godzin 10, młodzież od lat 10-ciu do 20-tu—9 godzin. Przy dzisiejszym systemie nauki szkolnej warunkom tym niepodobna odpowiedzieć w zupełności. „Program szkolny obliczony jest na dzieci silne i zdolne, a nie uwzględnia wątłych, umysłowo tępnych, lub dziedzicznie nerwową niewytrzymałością obciążonych. Uczennice nasze śpią przeciętnie 7—7½ godzin, i to snem niespokojnym, gorączkowym, zasypiają pod wrażeniem gnębiącym niedokończonego przygotowania na dzień dzisiejszy.“ Obok przeciążenia umysłowego, nerwowość dziewcząt wynika z moralnych wzruszeń. Strach, niepewność powodzenia w szkole, sprowadza u wątłych, a zwłaszcza u pochodzących z rodzin neuropatycznych, ciężkie zaburzenia układu nerwowego, jak taniec św. Wita, histerya, a nawet epilepsya. Wstrząśnienia moralne są najszkodliwsze, gdy się łączą z wysiłkiem umysłowym, szczególnie zaś u dziewcząt w okresie rozwojowym. Nie jest to chwila ani do stosowania surowego rygoru, ani do rozluźniania rutyny wychowawczej. „Jeśli dziewczyny, należącej do rodziny neuropatycznej, nie wyzwolimy z jarzma szablonowego systemu dzisiejszego wychowania, jeśli nie uwzględnimy jej osobniczych cech i przez lekceważenie lub rozmyślną zarozumiałość nie zastosujemy systemu indywidualnego, opartego na głębszej znajomości natury ludzkiej i jej najdelikatniejszych zboczeń, to skarłowacenie organizmu i rozdrażnienie nerwów przejdzie w okres ogólnego zwyrodnienia fizycznego

i moralnego.“ Autor swoje uwagi i żądania streszcza w szeregu następujących punktów: Program wychowania kobiety powinien mieć na względzie przysposobienie jej do przyszłego zadania w rodzinie i społeczeństwie. Ze względu na mały „dorobek naukowy“ uczennic, posyłanych do szkół, tudzież bacząc na wielkie korzyści moralne przebywania ich w domu, wśród rodziny, uczęszczanie dziewcząt przed końcem 10-go roku życia do szkół publicznych uniemożliwia im nabycie najniezbędniejszych zasad i wzorów. Rozległość programu żeńskich szkół średnich nie da się usprawiedliwić wymaganiami intelektualnymi przyszłego życia i działania kobiety. Wyłożenie tej samej wiedzy w zakresie skróconym jest jedynym środkiem do uzyskania czasu na „kulturę moralną“ i rozwój fizyczny. Wobec faktu, że kobieta nie potrzebuje czytać specjalnych dzieł naukowych cudzoziemskich autorów, uczenie kilku obcych języków nowożytnych, i to w stopniu, doprowadzającym do doskonałości konwersacyjnej, oraz szablonowe kształcenie, bez względu na brak talentu, w sztukach pięknych, odbywa się kosztem zdrowia uczennic. Wobec późnego twardnienia kości u dziewcząt, siedzenie po całych dniach w szkole i po-za szkołą przyczynia się do skrzywienia kręgosłupa oraz kości płaskich, z nim złączonych, i wywołuje mechaniczne przeszkody w odbywaniu fizyologicznych przeznaczeń kobiety. Przewaga w obecnym systemie wychowawczym kształcenia umysłowego nad moralnem i fizycznem winna być usunięta za pomocą zrównoważenia tych ćwiczeń. Przeciążenie umysłowe między innymi jest przyczyną blednicy, tudzież osłabienia układu nerwowego. Zapoznavanie ćwiczenia woli u dziewcząt wytwarza wykształcone niedolegi, niezdolne do ważnych zadań. Wytwarzanie w kołach rodzinnych atmosfery ciągłych obaw o zdrowie i życie doprowadza do zboczenia psychicznego, objawiającego się lękiem śmierci i jest powodem mnożącego się dziś zastępu potwornych egoistów, ludzi tchórzliwych. Każdy naród posiada indywidualne cechy fizyczne i moralne, stosowanie więc żywcem programów szkolnych, zapożyczonych od obcych narodów, lub też wychowywanie dzieci przez cudzoziemców, jest i ze stanowiska przyrodniczego szkodliwe.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weysenhoff.

ENCYKLOPEDIA ROLNICZA

wydawana staraniem i nakładem

Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie.

Wyszły świeżo zeszyty 27, 28 i 29 treści następującej:

Zeszyt 27. Gnicie i butwienie, przez d-ra Stefana Jentysa. Gnojowisko, przez St. Wrońskiego. Gołębie, przez St. Rewieńskiego. Gomfolit, przez d-ra K. Jurkiewicza. Gorczyca uprawna, przez J. S. Sikorskiego. Gorzelnictwo, przez Jana Górskiego, Bol. Rugiewicza, Floryana Schucha, d-ra Al. Weinberga i L. Iwanowskiego.

Zeszyt 28. Gorzelnictwo. (Dalszy ciąg).

Zeszyt 29. Gorzelnictwo. (Dokończenie). Gospodarskie doświadczenia, przez St. Chaniewskiego, d-ra Fr. Górskiego, Al. Janasza i d-ra Mich. Natansona. Gospodarstwo ekstensywne i intensywne, przez St. Chaniewskiego. Gospodarstwo leśne, przez Józefa Rivoli. Gospodarstwa małe, średnie, wielkie, przez d-ra Fr. Górskiego.

Zeszyt 30 pod prasą.

Encyklopedia Rolnicza obejmie wszystkie działy wiedzy rolniczej, opracowane szczegółowo przez specjalistów na zasadach najnowszych wyników badań naukowych, tak, że stanowić będzie dla rolnika kompletną bibliotekę, w której znajdzie wszelkie niezbędne dlań wskazówki. Dzieło to wychodzi w zeszytach pięcioarkuszowych wielkiej ósemki, ozdobionych licznymi drzeworytami, po 12 zeszytów rocznie. Całość obejmie około 72 zeszytów.

Warunki prenumeraty:

Cena zeszytu „Encyklopedyi Rolniczej“ w Warszawie kop. 60, z przesyłką kop. 70.

Prenumeratowie, przy zapisie, prócz powyższej opłaty, uiszczanej przy odbiorze każdego zeszytu, wnoszą jednorazowo, sposobem zaliczenia, rubli 3 (trzy), które potrącone zostaną przy odbiorze ostatnich pięciu zeszytów.

Skład główny i ekspedycya Encyklopedyi w księgarni **Gebethnera i Wolffa**, w Warszawie, Krakowskie Przedmieście Nr 15.

KĄDZY PRENUMERATOR MA PRAWO WYDRUKOWAĆ DARMO CO KWARTAŁ OGŁOSZENIE OBJĘTOŚCI 10 WIERSZY PETITOWYCH.

KĄDZY PRENUMERATOR MA PRAWO WYDRUKOWAĆ DARMO CO KWARTAŁ OGŁOSZENIE OBJĘTOŚCI 10 WIERSZY PETITOWYCH.

Istniejący rok setny dwudziesty pierwszy

Dziennik Polityczno-Społeczno-Literacki

„Gazeta Warszawska“

z bezpłatnym dodatkiem tygodniowym p. t.

„Korespondent Rolniczy, Handlowy i Przemysłowy.“

Jedyny większy dziennik, wychodzący codziennie z rana i wysyłany na pocztę przed południem — jest więc piśmie najwcześniej dochodzącem na prowincję.

1

z wielkich gazet warszawskich najtańszem.

TREŚĆ PISMA:

Artykuły wstępne, poświęcone sprawom krajowym i zagranicznym. — Artykuły luźne z dziedziny objawów życia społecznego, ekonomicznego rozwoju kraju, rolnictwa i t. p. — Korespondencye z różnych stron Państwa, korespondencye stałe z Krakowa, Lwowa, Pragi, Wiednia, Berlina, Paryża, Rzymu, Londynu i t. p. — Felieton poświęcony sprawom teatru, muzyce, sprawozdaniom ze sztuk pięknych. — Kroniki miesięczne z Paryża i Wiednia. — Sprawozdania z ruchu książkowego i literackiego w kraju i za granicą. — Notatki literackie, jako wskazówki dla chcących się zapoznać z ruchem literackim. — W felietonie powieści i nowelle oryginalne i tłumaczone. — Kronika sądowa. — Telegramy: własne i Agencji Północnej. — Sprawozdania z ruchu handlowego i przemysłowego. — Ceny zboża i produktów rolniczych na rozmaitych rynkach Państwa (Odesa, Libawa, Ryga) i zagranicy.

Warunki prenumeraty „Gazety Warszawskiej“

W Warszawie: rocznie 9 rubli, półrocznie rs. 4 kop. 50, kwartalnie rs. 2 kop. 25, miesięcznie kop. 75. Za odnośnienie do domu 5 kop. miesięcznie.

Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3 — łącznie z przesyłką pocztową.

Przedpłata przyjmuje się od każdego 1-go miesiąca według kalendarza nowego stylu.

Za wiersz ogłoszenia petitem lub jego miejsce 8 kopiejek. Wiersz reklamy 20 kop.

ADRES: Redakcja „Gazety Warszawskiej“

WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT Nr. 34.

Redaktor i Wydawca St. Lesznowski.

W ciągu roku wychodzi 343 razy.

RODZINA POŁANIECKICH.¹⁾

IV.

Połaniecki, przybywszy do Pławickich, zastał tam Gątowskiego. Młodzi ludzie przywitali się odrazu z widocznym chłodem i niechęcią. Dnia tego nie było w całym świecie nieszczęśliwszego człowieka niż Gątowski. Stary Pławicki z niego drwił, jak zwykle, a nawet więcej niż zwykle, był bowiem w wybornym humorze z powodu swej krewnej, po której spodziewał się znacznego spadku; Marynię krępowała jego obecność, i przymus ów napróżno starała się pokryć uprzejmem obejściem się i dobrocią. Nakoniec Połaniecki udawał, niemal, że go nie widzi. Widocznem także było, że Gątowski nie przyznał się do niczego przed starym Pławickim i że drży teraz o to, by Połaniecki nie uczynił o jego zajściu z Maszką jakiejś wzmianki, lub żeby go wprost nie opowiedział.

Połaniecki zrozumiał to odrazu, jak również i przewagę, jaką mu jego milczenie daje nad „niedźwiadkiem“; chcąc zaś jej użyć w interesie Maszki, do czasu milczał, lecz nie umiał sobie odmówić chęci ukarania Gątowskiego w inny sposób. Oto przez cały wieczór zajmował się tak Marynią, jak nigdy od czasu śmierci Litki, co Marynię przeje-

¹⁾ Patrz zeszyt styczniowy „Biblioteki.“

mowało widoczną radością. Zostawiwszy Gątowskiego staremu Pławickiemu, chodzili oboje w poufnej rozmowie po pokoju, potem zaś siedli pod ową palmą, pod którą Połaniecki widział po powrocie z pogrzebu panią Emilię — i rozmawiali właśnie o jej blizkiem wstąpieniu do sióstr miłosierdzia. Lecz Gątowskiemu zdawało się chwilkami, że tak mogą rozmawiać tylko narzeczeni i czuł wówczas to, co musi czuć dusza, nie w czyscu, bo czyscowa ma jeszcze przed sobą nadzieję, lecz taka, która przestępuje bramę z napisem: „Lasciate ogni speranza”. Widząc ich tak razem, wyobrażał sobie również, że może Połaniecki kupić dąbrowę wraz z gruntem, żeby choć część Krzemienia odzyskać dla Maryni, a zatem z jej wolą i wiedzą. I na samą myśl, jak w takim razie zabrnął, uczyniwszy awanturę Maszce, włosy powstawały mu na głowie; Pławicki zaś, słysząc jego nawpół przytomne, albo i całkiem niedorzeczne odpowiedzi, bawił się coraz lepiej kosztem „prowincyała“, który na bruku miejskim traci resztę rozumu. Pan Pławicki miał się już za wzór człowieka „stołecznego”.

Przyszła jednak chwila, że, gdy Marynia zajęła się w drugim pokoju herbatą, a pan Pławicki poszedł do siebie po cygara, młodzi ludzie zostali sam na sam; wówczas Połaniecki zwrócił się do Gątowskiego i rzekł:

— Wyjdźmy po herbacie razem; chcę z panem pomówić w sprawie pańskiego zajścia z panem Maszką.

— I owszem, — odrzekł ponuro Gątowski, zrozumiawszy, że Połaniecki jest świadkiem Maszki.

Tymczasem trzeba było jeszcze zostać na herbacie, a potem siedzieć dość długo, gdyż stary pan Pławicki nie lubił kłaść się wcześniej i wzywał Gątowskiego na partycję szachów. Podczas partycji panna Marynia z Połanieckim siedzieli znów osobno i rozmawiali z ożywieniem, ku serdecznej męce „niedźwiadka”.

— Przyjazd pana Gątowskiego, — rzekł nagle Połaniecki, — musi być pani miły, bo pani przypomniał Krzemień.

Przez twarz Maryni przemknęło zdziwienie, że Połaniecki pierwszy wspomina Krzemień. Ona sądziła, że na mocy milczącej ugody sprawę tę pokryje wiekuiste milczenie. Po chwili też odrzekła:

— Ja już więcej nie myślę o Krzemieniu.

I mówiąc to, mówiła nieprawdę, bo w głębi serca było jej serdecznie żal i miejsca w którym się wychowała, i pracy kilku lat, i zburzonych nadziei; ale sądziła, że tak jej nakazuje mówić zarówno obowiązek, jak i budzące się dla Połanieckiego coraz silniejsze uczucie.

— Krzemień — dodała nieco wzruszonym głosem, — był powodem naszej kłótni, a ja chcę teraz zgody i zgody na zawsze.

I mówiąc to, patrzyła Połanieckiemu w oczy z taką pełną słodyczy kokieterią, na jaką umie się zdobyć licha kobieta zawsze, a uczciwa wówczas tylko, gdy poczyna kochać, Połaniecki zaś pomyślał:

— Jednakże ona jest ogromnie dobra.

I zaraz powiedział głośno:

— Pani-by miała przeciw mnie bajeczną broń, bo mnie dobrocią do piekła-by można zaprowadzić.

A ona odrzekła:

— Ja tam nie chcę pana prowadzić.

I na znak, że nie chce, poczęła trząść z uśmiechem swoją ciemną śliczną główką, a Połaniecki patrzył w jej twarz, w śmiejące się, nieco za szerokie usta, i mówił sobie w duchu:

— Kocham ją, czy nie kocham, ale żadna mnie tak nie ciągnie— jak kleszczami!

Jakoż nigdy nie ujęła go i nie podobała mu się więcej, nawet wówczas, gdy nie miał ani cienia wątpliwości, że ją kocha, i gdy borykał się z tem uczuciem.

Począł się jednak żegnać, gdyż uczyniło się późno—i po chwili obaj z Gątowskim znaleźli się na ulicy.

Wówczas Połaniecki, który nigdy nie umiał uchronić się od popędliwości, zatrzymał nieszczęśliwego „niedźwiadka” i spytał niemal w sposób wyzywający:

— Czy pan wiedziałeś, że dąbrowę na Krzemieniu kupiłem ja?

— Wiedziałem, — odpowiedział Gątowski, — bo wasz komisant ten, co powiada, że pochodzi z Tatarów... zapomniałem jak mu tam!.. był u mnie w Jałbrzykowie i mówił mi, że to pan.

— Dlaczego tedy zrobiłeś pan awanturę panu Maszce, nie mnie?

Na to Gątowski odrzekł:

— Niech mnie pan tak nie przyciska do muru, bo ja tego nie lubię. Awanturę zrobiłem tamtemu jegomości nie panu, bo państwu Pławickim nic się od pana nie należy, a tamten ma im płacić rocznie z Krzemienia tyle, ile się zobowiązał, a jak zdewastuje Krzemień, to nie będzie miał z czego. Chciałeś pan wiedzieć, dlaczego tamtemu nawymyślałem, to pan wiesz.

Połaniecki musiał przyznać w duchu, że w odpowiedzi Gątowskiego jest pewna słuszność, począł też natychmiast rozmowę z innej strony.

— Pan Maszko prosił mnie na świadka,—rzekł: dlatego mieszam się do tej sprawy. Jako świadek będę u pana jutro, dziś zaś, jako człowiek prywatny, i jako krewny, choć daleki, pana Pławickiego, mogę panu powiedzieć tylko to: oddałeś najgorszą usługę panu Pławic-

kiemu, i jeśli i on, i panna Marya zostaną bez kawałka chleba, to panu będą to zawdzięczali. Tak jest!

Oczy Gątowskiego stały się zupełnie okrągłe.

— Bez kawałka chleba?... mnie będą zawdzięczali?...

— Tak jest,—powtórzył Połaniecki.—Słuchaj-że pan dobrze. Względem na to, jaki będzie rezultat zajścia... okoliczności są takie, że może ono mieć najfatalniejsze skutki. Mówię to panu pod słowem,—pan prawdopodobnie zrujnował pana Pławickiego i odjąłeś i jemu, i córce, sposób a raczej środki do życia.

Jeśli Gątowski istotnie nie lubił, gdy go przyciskano do muru, to teraz była pora do okazania owego wstrętu. Lecz Gątowski stracił zupełnie głowę i stał w przerażeniu, z otwartymi ustami, nie umiejąc znaleźć odpowiedzi, i dopiero po chwili zaczął:

— Co? jak? Jakim sposobem? Bądź pan pewny, że do tego nie przyjdzie, choćbym miał im Jałbrzyków oddać.

Lecz Połaniecki przerwał:

— Panie Gątowski, szkoda słów! Ja waszą okolicę znam od małego dziecka. Co to jest Jałbrzyków — i co pan masz na Jałbrzykowie?

Była to prawda. Jałbrzyków był wioszczyną o dziewięciu wioskach, a przytem Gątowski miał, jak to bywa, odziedziczonych długów wyżej uszu na Jałbrzykowie—więc ręce opadły mu zupełnie.

Przyszło mu jednak do głowy, że może rzeczy tak nie stoją, jak je przedstawia Połaniecki, i chwycił się tej myśli, jak deski zbawienia

— Ja tego nie rozumiem, co pan mówi,—rzekł.—Bóg mi świadek że wolałbym własną zgubę, niż zgubę państwa Pławickich, i to pan wiedz, że chętniebym nadkręcił karku panu Maszce, ale jeśli trzeba, jeśli chodzi o państwa Pławickich, to niech mnie pierwej dyabli wezmą

Ja byłem zaraz po tem zajściu u pana Jamisza, który teraz jest na kadencji, i przyznałem mu się do wszystkiego. Powiedział mi, że mój głupstwo zrobił i wymyślał mnie—prawda! Żeby o moją skórę chodziło—co mi tam! palcem-bym nie ruszył; ale skoro to co innego, więc co mi powie pan Jamisz, to zrobię, choćby mnie miał potem piorun trząsnąć. Pan Jamisz mieszka w Saskim hotelu i ja też.

Na tem rozstali się i Gątowski poszedł do swego hotelu, klnąc Maszkę, siebie i Połanieckiego. Czuł, że musiało tak być, jak Połaniecki mówił, że stało się jakieś nieszczęście niepowetowane i że wyrządził ciężką krzywdę tej samej pannie Maryi, za którą oddałby ostatnią kroplę krwi; czuł, że ostatecznie, jeśli była dla niego jakakolwiek nadzieja, to ją zniszczył. Pławicki zamknął mu drzwi. Panna Marya wyjdzie za Połanieckiego—chybaby on sam jej nie chciał. Ale ktoby

jej nie chciał? I jednocześnie biedny Gątownski ujrzał jasno, że między tymi, którzyby mogli pożądać jej ręki—on, w każdym razie, byłby ostatnim, za którego-by wyszła.—„Co ja mam?—nie—mówił sobie: ten parszywy Jałbrzyków i nic więcej: ani rozumu, ani pieniędzy. Każdy coś wie, tylko ja nic nie wiem! każdy coś znaczy, tylko ja nic nie znaczę. Taki Połaniecki ma i naukę, i pieniądze, a że ja ją lepiej kocham—dyabli mi z tego i tyle jej, skorom taki dureń, że jeszcze jej przez to szkodzę, nie pomagam”.

Połaniecki, wracając do domu, myślał o Gątownskim to samo i wogóle nie miał dla niego ani iskry współczucia. W domu zastał Maszkę, który go czekał od godziny i który rzekł mu na powitanie:

— Drugim świadkiem będzie Kresowski.

Połaniecki skrzywił się nieco i odpowiedział:

— Widziałem Gątownskiego.

— I co?

— To dureń.

— Przedewszystkiem.—Czy mówiłeś mu co w moim imieniu?

— W twojem nic. Mówiłem mu, jako krewny pana Pławickiego, że oddał mu najgorszą w świecie usługę.

— Nie dałeś żadnych wyjaśnień.

— Żadnych. Słuchaj Maszko, tobie chodzi o pełną satysfakcję—mnie także nic na tem nie zależy, żebyście sobie we lby postrzelali. Na mocy tego, com Gątownskiemu powiedział, gotów jest przystać na wszystkie twoje warunki. Na szczęście udał się do radcy Jamisza, a to jest rozsądny i łagodny człowiek, który także rozumie, że Gątownski postąpił jak dureń—i rad będzie dać mu lekcję.

— Dobrze,—rzekł Maszko.—Daj mi pióro i kawałek papieru.

— Masz na biurku.

Maszko siadł i zaczął pisać, a gdy skończył, podał zapisaną ówmiarkę Połanieckiemu.

Połaniecki czytał co następuje:

„Oświadczam niniejszem, że napadłem na pana Maszkę po pijanemu, w stanie nieprzytomnym, i nie zdając sobie sprawy z tego, co mówię. Dziś wytrzeźwiony, wobec moich świadków i świadków pana Maszki, oraz osób, które były przy napaści obecne, uznaję mój postęppek za grubijański i bezrozumny, i z największym żalem i pokorą odwołuję się do wyrozumiałości i łaski pana Maszki, prosząc go o przebaczenie i wyznając publicznie, że jego postępowanie było i jest we wszystkim wyższe nad sądy ludzi do mnie podobnych“.

— Gątownski ma to wydeklować, a następnie podpisać,—rzekł Maszko.

— To jest dyabło nielitościwe. Na to się nikt nie zgodzi.

— Uznajesz, że ten błazen dopuścił się względem mnie czegoś niesłychanego?

— Uznaję.

— Rozumiesz, jakie skutki ta awantura dla mnie pociągnie?

— Tego nie można wiedzieć.

— To ja wiem—i powiem ci tylko tyle: te panie żałują w duszy, że się związały, i skorzystają z łada pozorów, który je osłoni przed światem.—To jest pewne.—Jestem zgubiony, niemal bez ratunku.

— Do licha.

— Rozumiesz teraz, że to, co mnie nurtuje, musi się na kimś skrupić — i że Gątownski musi mi w taki lub owaki sposób za krzywdę zapłacić.

Połaniecki ruszył ramionami.

— Nie rozczulam się i ja nad nim. Niech tak będzie.

— Kresowski przyjdzie po ciebie jutro o dziewiątej.

— Dobrze.

— Zatem do widzenia. Ale! jeśli zobaczysz jutro Pławickiego, powiedz mu, że w Rzymie umarła jego krewna, Płoszowska, po której spodziewał się spadku. Testament był tu u regenta Podwójnego i ma być jutro otwarty.

— Dobrze Pławicki już o tem wie, bo ona umarła przed pięciu dniami.

Połaniecki został sam. Przez czas jakiś myślał o swojej sumie, nie przewidując sposobu, w jaki ją będzie mógł od zbankrutowanego Maszki wydobyć—i myśl ta zaniepokoiła go. Przypomniał sobie jednak, że suma ta nie mogła być przed całkowitą spłatą wykreślona z hipoteki Krzemienia, że więc w ostatecznym razie zostanie, jak był dawniej, wierzycielem Krzemienia. Krzemień nie był wprawdzie wiele lepszym dłużnikiem od Maszki, nie była to więc wielką pociecha — ale na razie należało na niej poprzestać.

— Później też przyszło mu do głowy co innego. Począł wspominać Litkę, panią Emilię, Marynię i uderzyło go to, jak tego rodzaju świat kobiecy, czysto uczuciowy, którego główny interes polega na kochaniu, na szczęściu blizkich, różny jest od świata męskiego, pełnego współzawodnictw, walki, czubienia się, gniewów, pojedynków, wysiłków dla zrobienia majątku i zmęczenia. I uznał w tej chwili, czego już nie czuł dawno, że jeśli jest na świecie spoczynek, szczęście, ukojenie, to należy ich szukać u kochającej kobiety. Było to poczucie wprost przeciwne jego filozofii z dni ostatnich, dlatego zaniepokoiło go. Ale porównywając dalej te dwa światy, nie mógł się jednak oprzeć uznaniu, że ten kobiecy, kochający, ma swoją zasadę i swoją rację bytu.

Gdyby Połaniecki był biegleszy w Piśmie Ś., byłyby mu niechybnie przyszły do głowy słowa: „Marya lepszą cząstkę obrała“.

V.

Kresowski spóźnił się nazajutrz blisko godzinę. Był to, według znanego u nas określenia, jeden z administratorów świeżego powietrza w mieście, to jest jeden z ludzi nie robiących nic. Miał dość znane nazwisko i stracił dość znaczny majątek. Na tych dwóch podstawach stał, żył, bywał wszędzie i uznawany był powszechnie za porządnego człowieka. Jak powyższe tytuły mogą na to wszystko wystarczyć, to jest tajemnica wielkich miast, dość, że nietylko stanowisko Kresowskiego było uznane i zapewnione, ale uważano go nadto za człowieka, do którego w delikatnych sprawach można się bezpiecznie udać. W sądach honorowych używano go na arbitra, w pojedynkach na świadka. Wysokie sfery finansowe zapraszały go rade na obiady, śluby, chrzciny i tym podobne uroczystości, albowiem miał patrycyuszowską łysinę i bardzo polską fizygnomię, doskonale więc stół ubierał.

Był to człowiek w gruncie rzeczy ogromnie rozczarowany do ludzi, trochę suchotnik i bardzo zgryźliwy; posiadał jednak pewną dozę humoru, która pozwalała mu widzieć śmieszne strony rzeczy zwłaszcza bardzo drobnych, w czem przypominał nieco Bukackiego — i drwić z własnej zgryźliwości. Pozwalał także żartować z niej innym, ale pod miarę. Gdy ją przebrano, wyprostowywał się nagle i przyciskał ludzi aż nadto, wskutek czego uważano go za niebezpiecznego. Opowiadano o nim, że w kilku wypadkach znalazł odwagę tam, gdzieby wielu jej brakło, i że wogóle umiał „wysoko nos nosić”. Nie szanował nikogo i niczego, prócz swojej, istotnie bardzo szlachetnej, fizygnomii, nie szanował zwłaszcza czasu, albowiem spóźniał się zawsze i wszędzie.

Wszedłszy obecnie do Połanieckiego, począł też zaraz po przywitaniu tłumaczyć swoje opóźnienie.

— Czy pan nie zauważyłeś, rzekł, że jeśli się człowiekowi bardzo śpieszy i bardzo na pośpiechu zależy, wówczas najniezbędniejsze do wyjścia rzeczy giną umyślnie, jakby w wodę wpadły. Służący szuka kapelusza — niema kapelusza, szuka kaloszy — nie ma kaloszy; szuka się portmonetki — niema portmonetki. O zakład, zawszel

— Bywa tak, rzekł Połaniecki.

— Ja nawet wynalazłem na to sposób. Gdy mi coś tak jak w wodę wpadnie, siadam, uśmiecham się i mówię głośno: „pasyami lubię tak coś zgubić; człowiek szuka, ożywia się, rusza, zapelnia czas — to

ogromnie zdrowe i przyjemne“. I co pan powiesz? wtedy odrazu się znajduje to, co zginęło.

— Można-by wziąć patent na taki wynalazek,—odpowiedział Połaniecki, — ale mówmy o sprawie Maszki.

— Mamy iść do radcy Jamisza. Maszko przysłał mi cyrograf, który napisał dla Gątowskiego. Nie chce ani słowa zmienić — ale to nie możliwe, zbyt ostre—to nie może być przyjęte... Rozumiem, że czeka nas pojedynek, nie więcej—innego wyjścia nie widzę.

— Gątowski zdał się we wszystkim na pana Jamisza i zrobi wszystko, co mu pan Jamisz każe, a pan Jamisz jest, naprzód, także oburzony na Gątowskiego, a powtóre człowiek chory, łagodny, spokojny, tak, że kto wie, czy nawet takich warunków nie przyjmie.

— Pan Jamisz jest safandula,—odparł Kresowski, — ale chodźmy, bo późno.

I wyszli. Po chwili sanki zatrzymały się przed Saskim hotelem. Pan Jamisz czekał na nich, ale przyjął ich w szlafroku, był bowiem istotnie niezdrów. Kresowski, patrząc na jego twarz inteligentną, ale pogiębioną i nalaną, pomyślał:

— Ten istotnie gotów się zgodzić na wszystko.

— Siadajcież panowie, rzekł pan Jamisz.—Przyjechałem dopiero od trzech dni—i choć nie czuję się dobrze, rad jestem, bo może się uda awanturę załagodzić. Wierzcie mi, że pierwszy natarłem uszu mojemu paliwodzie.

Tu począł ramionami ruszać, a następnie, zwróciwszy się do Połanieckiego, spytał:

— Co tam u Pławickich. Nie byłem dotąd u nich, a tęskno mi do mojej złotej Maryni...

— Panna Marya zdrowa — odrzekł Połaniecki.

— A staruszek?..

— Umarła przed kilku dniami daleka jego krewna, bardzo bogata, więc liczy na spadek. Wczoraj mi to mówił, ale ja słyszałem, że cały majątek zapisała na dobroczynność... Testament dziś, albo jutro będzie otwarty...

— Bóg-by ją natchnął, żeby Maryni co zapisała. Ale przystąpmy do sprawy. Moi panowie, nie potrzebuję wam mówić, że naszym obowiązkiem jest skończyć ją, o ile można, zgodnie.

Kresowski skłonił się. Nudziły go podobne wstępy, które już słyssał Bóg wie ile razy w życiu, więc przerwał:

— Jesteśmy tym obowiązkiem głęboko przejęci.

— Tak się też spodziewałem — odrzekł dobrodusznie pan Jamisz. — Ja sam przyznaję, że pan Gątowski nie miał najmniejszego

prawa postąpić, jak postąpił; uznaję nawet za słuszne, żeby był za to ukarany, więc skłonię go do wszelkich, nawet bardzo znacznych, ustępstw, mogących zapewnić panu Maszce należyłą satysfakcyę.

Kresowski wydobył z kieszeni złożony arkusik listowego papieru i podał go z uśmiechem panu Jamiszowi, mówiąc:

— Pan Maszko nie wymaga też niczego więcej, jak żeby pan Gątowski naprzód odczytał ten mały dokumencik wobec swoich i jego świadków, oraz wobec dependentów obecnych przy awanturze, a następnie, by podpisał pod nim swoje szanowne nazwisko.

Pan Jamisz, znalazłszy między papierami okulary, nałożył je na nos i począł czytać. Lecz w miarę, jak czytał, twarz jego zaczerwieniła się, następnie pobladła, następnie zaczął sapać, następnie i Połaniecki i Kresowski prawie oczom nie chcieli wierzyć, że to jest ten sam pan Jamisz, który przed chwilą gotów był do wszelkich ustępstw.

— Moi panowie — rzekł przerywanym głosem — pan Gątowski postąpił jak paliwoda, narwaniec, ale pan Gątowski jest... szlachcic, i oto, co w jego imieniu odpowiadam panu Maszce.

To rzekłszy, przedarł arkusik na cztery części i rzucił go na ziemię.

Rzecz nie była przewidziana. Kresowski począł się namyślać, czy pan Jamisz postępkami swymi nie ubliżył jego godności, jako świadka — i twarz poczęła mu w jednej chwili lodowacieć i ściągać się, jak u złego psa, ale Połanieckiemu, który pana Jamisza lubił, podobało się to jego oburzenie.

— Panie radco, — rzekł dobitnie — pan Maszko jest pokrzywdzony w tak niebywały sposób, że nie może mniej wymagać, ale i ja, i pan Kresowski przewidywaliśmy pańską odpowiedź, i zwiększa ona tylko szacunek, jaki dla pana mamy.

Radca Jamisz usiadł — i będąc nieco astmatykiem, oddychał czas jakiś ciężko; poczem uspokoił się i rzekł:

— Mógłbym panom zaoferować przeproszenie ze strony pana Gątowskiego, ale całkiem w innych wyrazach, widzę jednak, że tracilibyśmy tylko czas, więc mówmy poprostu o zadosyćczynieniu z bronią w rękę. Za chwilę przyjdzie tu pan Wilkowski, drugi świadek Gątowskiego, i jeśli możecie poczekać, to ułożymy zaraz warunki.

— To się nazywa iść prosto do celu — rzekł Kresowski, całkiem pogodzony z panem Jamiszem.

— Ale się idzie z konieczności i ze smutnej konieczności — odpowiedział pan Jamisz.

Połaniecki spojrział na zegarek:

— Ja muszę o jedenastej być w biurze — rzekł — ale jeśli pan radca pozwoli, wpadnę tu koło pierwszej, dla przejrzenia i podpisania warunków.

— Dobrze. Z góry pana uprzedzam, że rozumiem, iż warunki nie mogą być ułożone tak, by budziły śmiech ludzki, ale liczę też na to, że i pan Kresowski, i pan, panie Połaniecki, nie zechcecie ich posuwać do ostateczności.

— Nie; możesz pan być pewny, że nie myślę być nadto zapalczywy kosztem cudzej skóry.

To rzekłszy, Połaniecki wyszedł i udał się do biura, gdzie istotnie czekało go kilka spraw dość ważnych, o których pod niebytność Bigiela musiał stanowić własną głowę. W południe podpisał warunki, które były poważne, ale nie nadto ostre, następnie udał się na obiad, spodziwał się bowiem zastać w restauracyi Maszkę.

Maszko jednak widocznie musiał być u pań Krasławskich, natomiast pierwszą osobą, jaką Połaniecki ujrzał, był pan Pławicki, przybrany jak zwykle starannie, ogolony, opięty, wyświeżony, ale posepny, jak noc.

— Co tu szanowny wujaszek porabia? — spytał Połaniecki.

— Jak mam jakie zmartwienie, nie jadam zwykle w domu, by nie zasmucać Maryni — odparł pan Pławicki. — Idę gdziekolwiek i ot — skrzydełko kapłona, łyżeczka kompotu — to wszystko, czego mi potrzeba. Siadaj, jeśli nie znajdziesz weselszego towarzysza.

— Co się stało? — pytał Połaniecki.

— Giną stare tradycje — to się stało.

— Ba! to nie osobiste wujaszka nieszczęście.

Pan Pławicki spojrział na niego zarazem ponuro i uroczyście i rzekł:

— Dziś było otwarcie testamentu.

— No i co?

— I co? I gadają teraz po Warszawie: „Pamiętała o najdalszych krewnych!“ Ładnie pamiętała! Marynia ma zapis — tak? a wiesz jaki? Czteryście rubli dożywotnie... I to milionerka! Pannie służącej się taki legat zostawia — nie krewnej.

— A wujaszek?

— A ja nie. — Rządca zapisała piętnaście tysięcy rubli, a o mnie ani dudu.

— Cóż robić?

— Giną stare tradycje! Ilu-to ludzi dawniej dochodziło przez testamenta do majątków, a dlaczego? Bo istniała miłość i solidarność w rodzinach.

— I dziś jeszcze znam takich, którym tysiące spadły na głowę z zapisów.

— Tak. Są tacy, są! jest takich pełno, ale ja do nich nie należę.

Pan Pławicki wsparł głowę na rękę i z ust jego wyszło coś w rodzaju monologu:

— Że też zawsze i wszędzie gdzieś, komuś, ktoś, coś.

Tu westchnął i po chwili dodał:

— A mnie nigdy i nigdzie, nikt nie...

A Połanieckiemu przyszła nagle równie okrutna jak pusta myśl do głowy, by rozweselić pana Pławickiego, więc rzekł:

— E, ona umarła w Rzymie, a tutejszy testament dawniej pisany, przedtem zaś także istniał, jak słyszałem, całkiem inny. Kto wie, czy z Rzymu nie nadejdzie jaki kodycyłek i czy się wujaszek nie obudzi którego dnia milionerem.

— Nie przyjdzie! — odpowiedział pan Pławicki.

Lecz słowa Połanieckiego poruszyły go; począł na niego spoglądać, począł się kręcić, jakby krzesło, na którym siedział, było łóżem madejowem — wreszcie rzekł:

— I ty uważasz, że to jest możliwe?

A Połaniecki odrzekł z prawdziwie szelmowską powagą:

— Nie widzę w tem nic niepodobnego.

— Gdyby wola Opatrzności.....

— I to być może.

Pan Pławicki spojrzął po sali: byli sami; nagle odsunął krzesło i rzekł, wskazując na kamizelkę:

— Chłopcze! chodź tu...

Połaniecki pochylił głowę, którą pan Pławicki dwukrotnie ucałował, mówiąc przytem ze wzruszeniem:

— Dodałeś mi otuchy, pokrzepiłeś mnie... Niech będzie, jak Bóg chce, ale pokrzepiłeś mnie. Przyznam ci się teraz, że do niej pisałem. Nie, tylko żeby się przypomnieć, że żyjemy. Pytałem, kiedy się kończy termin dzierżawy jednego folwarku. Nie miałem, rozumiesz, zamiaru brać tej dzierżawy, ale pozór był dobry... Niech ci Bóg zapłaci za to, żeś mnie pokrzepił... Ten testament mógł być zrobiony przed moim listem, potem pojechała do Rzymu, po drodze musiała myśleć o moim liście, a więc i o nas — i — powiadasz, że to być może? — niech ci Bóg zapłaci!

Po chwili twarz jego rozjaśniła się zupełnie; nagle położył dłoń na kolanie Połanieckiego i, klasnąwszy językiem, zawołał:

— Wiesz co, chłopcze? Może w szczęśliwą godzinę powiedziałaś! A żebyśmy tak wypili buteleczkę Mouton-Rotschild, na rachunek tego kodycyłku! — co?

— Dalibóg, nie mogę — rzekł Połaniecki, który poczynał się trochę wstydzić swego konceptu — nie mogę i nie będę.

— Musisz.

— Pod słowem nie mogę. Mam pełno roboty i nie będę sobie czupryny zaprząsał za nic w świecie.

— Koziół uparty—czysty koziół! To ja sam wypiję pół na szczęśliwą godzinę.

I kazał podać, poczem spytał:

— Co ty masz takiego do roboty?

— Rozmaite rzeczy. Zaraz po obiedzie muszę być u profesora Waskowskiego.

— Co to za figura ten Waskowski?

— A prawda — rzekł Połaniecki — na tego także spadł po bracie, który był górnikiem, majątek, i to znaczny. Ale on wszystko biednym rozdaje.

— Biednym rozdaje, a chodzi do porządnej restauracyi — lubię takich filantropów! Ja, gdybym miał co biednym rozdawać, to sobie wszystkiego-bym odmawiał.

— On długo chorował i doktor kazał mu zdrowo jadać. Ale on i tu jada tylko to, co tanio kosztuje. Mieszka w ciupie i hoduje ptaki, a obok ma dwa wielkie pokoje — i wie wuj, kto w nich nocuje? oto dzieci, które zbiera po ulicach.

— Mnie się też odrazu zdawało, że on ma coś tu!..

Tu pan Pławicki począł się stukać palcem w czoło.

Waskowskiego Połaniecki nie zastał, więc po widzeniu się poprzedniem z Maszką, koło piątej po południu wpadł do Maryni, bo jednak sumienie go gryzło z powodu bzdurstw, których nagadał Pławickiemu. „Stary — mówił sobie — będzie spijał wysokie wina na rachunek tego kodycyłu, a oni podług mnie i tak nad stan żyją. Nie trzeba, żeby żart trwał zbyt długo.“

Marynię zastał w kapeluszu. Miała iść do Bigielów, ale zatrzymała go, on zaś, ponieważ i tak nie przyszedł na długo, więc został.

— Winszuję pani spadku — rzekł.

— I ja rada jestem—odpowiedziała—bo to coś pewnego, a w naszym położeniu, to ważna rzecz. Zresztą chciała-bym być jaknajbogatsza.

— Dlaczego?

— A pamięta pan, co pan raz mówił, że chciał-by mieć tyle, żeby założyć fabrykę i nie prowadzić domu handlowego. Ja to zapamiętałam, a że każdy ma jakieś swoje pragnienia, więc i ja chciała-bym mieć dużo, dużo pieniędzy.

Tu, myśląc, że może powiedziała zbyt wiele i zbyt wyraźnie, poczęła rozprostowywać fałdy sukni, bo to pozwalało jej schylić głowę.

— Ja przychodzę jeszcze, żeby panią przeprosić — rzekł Połaniecki. — Dziś przy obiedzie nagadałem głupstw panu Pławickiemu, że panna Płoszowska może zmieniła testament i zapisała mu cały majątek. Nad moje spodziewanie wziął to poważnie. Nie chciałbym, żeby się łudził, i jeśli pani pozwoli, to zaraz pójdę do jego pokoju, by jakoś mu to wytłómaczyć.

A Marynia poczęła się śmiać.

— Ja już to tłómaczyłam — i wylażał mnie, i to bardzo! — Widzi pan, co pan nabroił. Naprawdę ma pan za co przepraszać.

— Więc przepraszam.

I chwyciwszy jej rękę, począł ją okrywać pocałunkami, a ona zostawiła mu ją zupełnie, powtarzając niby żartobliwie, ale ze wzruszeniem:

— A niedobry pan Stach, niedobry pan Stach!

Połaniecki dnia tego czuł na ustach, aż do chwili snu, ciepło ręki Maryni i nie myślał ani o Maszce, ani o Gątowskim, powtarzał sobie natomiast z wielką uporczywością:

— Czas to rozstrzygnąć.

VI.

Kresowski z doktorem i z pudełkiem zawierającym pistolety siedział w jednej karetkce, a Połaniecki z Maszką w drugiej i jechali na Bielany. Dzień był jasny i mroźny, pełen na dole różowej mgły. Koła obracały się ze skrzypieniem po zmarzłym śniegu, konie dymiły i okrywały się szronem; na drzewach leżała okiść obfita.

— Mróz, bo mróz — rzekł Maszko. — Palce poprzymarzają nam do cyngłów.

— I miła rzecz zdejmować futra.

— To też zmiłujcie się, nie marudźcie. Mój drogi, powiedz Kresowskiemu, żeby odrazu przystąpił do rzeczy.

Tu Maszko począł przecierać zapocone binokle i dodał:

— Nim dojedziemy, słońce pójdzie w górę i będzie ogromny blask od śniegu.

— To się prędko skończy — odpowiedział Połaniecki. — Skoro Kresowski stawiał się na czas, na tamtych nie będziemy czekali, bo przywykli rano wstawać.

— Wiesz, co mnie w tej chwili zastanawia? — rzekł Maszko — że jest w świecie jeden czynnik, z którym się nikt w swoich planach

i w swoim działaniu nie liczy, a przez który wszystko się może rozbić, zawieść, popsuć — to głupota ludzka. Dajmy na to, że ja mam dziesięć razy więcej rozumu niż mam, że nie mam na celu interesów pana Maszki, tylko, że jestem, przypuśćmy, jakimś wielkim politykiem, jakimś Bismarckiem lub Cavourem, który potrzebuje zdobyć majątek dla przeprowadzenia swoich planów i który oblicza każdy krok, każde słowo — cóż? Przychodzi takie bydlę, nieobliczalne dla żadnego umysłu — i wszystko odrazu w łeb bierze. To coś bajecznego! Zastrzeli mnie, czy nie zastrzeli — mniejsza na teraz z tem, ale bestya popsuła mi robotę całego życia.

— Któż to może obliczyć — rzekł Połaniecki. — To tak samo, jakby ci dachówka na głowę spadła.

— Właśnie dlatego wściekłość bierze.

— A co do tego, żeby cię miał zastrzelić — daj spokój.

Maszko ochłonął, przetaił znowu binokle i począł mówić:

— Mój drogi, widzę, że od chwili wyjazdu trochę mnie obserwujesz, a teraz chcesz mi dodać animuszu. I to jest naturalne. Z mojej strony, muszę cię także uspokoić i zaręczam ci pod słowem, że nie zrobię wam wstydu. To jest prosta rzecz, że czuję trochę niepokoju, ot tu, — w dołku, ale wiesz dlaczego? To, co stanowi niebezpieczeństwo życia, samo strzelanie do siebie, to jest nic! Niech mnie i jemu dadzą strzelby, niech nas puszcza w las, dalibóg pół dnia będę walił do tego durnia i pół dnia wytrzymywał jego strzały. Ale ja już miałem jeden pojedynek w życiu i wiem co to jest. To ta komedia niepokoju człowieka, to przygotowania, to świadkowie, to myśl, że będą na ciebie patrzyli i obawa, jak się znajdziesz, jak się popiszesz. To jest poprostu wystąpienie publiczne — i kwestya miłości własnej — nic więcej. Dla natur nerwowych prawdziwe przejście. Ale ja nie jestem zbyt nerwowy. Rozumiem także, że pod tym względem mam wyższość nad przeciwnikiem, bom więcej przywykłem do ludzi, niż on. Taki osieł ma wprawdzie mniej wyobraźni i nie potrafi naprzykład wyobrazić sobie, jak będzie wyglądał jako trup, jak zacznie się psuć i tak dalej. Ale panować nad sobą ja jednak lepiej potrafię... Przytem powiem ci to jeszcze. Filozofia filozofią, ale w takich razach rzecz rozstrzyga temperament i namiętność... Mnie ten pojedynek do niczego nie prowadzi, w niczem nie ratuje, przeciwnie, może mnie wpędzić w kłopoty. A jednak nie umiem go sobie odmówić... Tyle mi się w duszy zebrało oburzenia, tak tego osła nienawidzę, takbym go chciał zgnieść, zdeptać, że w tym razie przestaję rozumować. I tego możesz być pewny, że jak tylko zobaczę tę bałwańską twarz, zapomnę o niepokoju, zapomnę o komedii — a będę widział tylko jego.

— To dość rozumiem — rzekł Połaniecki.

A na twarzy Maszki wypieki powiększyły się i stały się sine od mrozu, przyczem wyglądał zarówno zawzięcie, jak szpetnie.

Tymczasem zajęchali. Jednocześnie prawie zaskrzypiała i kareta wioząca Gątowskiego, pana Jamisza i Wilkowskiego, którzy wysiadłszy, poczęli się kłaniać przeciwnikom, poczem, w siedmiu, licząc z doktorem, udali się w głąb lasu, na miejsce upatrzone już poprzedniego dnia przez Kresowskiego.

Furmani, spoglądając na owe siedm paltotów, rysujących się czarno i dziwacznie na śniegu, poczęli na siebie mrugać:

— Wiecie co to będzie? — spytał jeden.

— Albo mi to pierwszozna — odpowiedział drugi.

— Niech się świat poleruje, niech się kpy biją!

Tamci w tym czasie, łapiąc ciężkimi kaloszami i wyrzucając z nozdrzy słupy białej pary, szli ku drugiemu brzegowi lasu. Po drodze, pan Jamisz, trochę wbrew regułom obowiązującym w podobnych okolicznościach, zbliżył się do Połanieckiego i począł mówić:

— Chciałem szczerze, by mój paukant przeprosił pana Maszkę — ale w takich warunkach niepodobna.

— Ja proponowałem Maszce także, żeby złagodził to, co napisał — i nie chciał..

— To i niema wyjścia. Wszystko to ogromnie głupie; ale niema wyjścia!

Połaniecki nie odpowiedział i szli w milczeniu. Pan Jamisz znów począł mówić:

— Ale! Słyszałem, że Marynia Pławicka ma jakiś zapis?

— Mały, ale ma.

— A stary?

— Zły, że cały majątek nie jemu zapisany.

Pan Jamisz uderzył się rękawiczką po czole.

— On ma trochę tu, ten Pławicki.

Poczem obejrzawszy się naokół, rzekł:

— Jakoś daleko idziemy.

— Zaraz będziemy na miejscu.

I szli dalej. Słońce podniosło się nad zarośla. Od drzew kładły się na śniegu błękitnawe cienie, ale coraz więcej światła wnikało w las. Pochowane gdzieś po wierzchołkach wrony i kawki strząsały suchy jak puch śnieg, który sypał się bez szelestu na ziemię, tworząc pod drzewami małe szpiczaste kopce. Wszędzie była ogromna cisza i spokój. Ludzie tylko zmęcili ją na to, by do siebie strzelać.

Stanęli wreszcie na skraju lasu, gdzie było widno. Krótkiej przemowy pana Jamisza o wyższości zgody nad wojną Maszko i Gątowski wysłuchali z uszami zakrytymi przez futrzane kołnierze; następnie, gdy

Kresowski nabił pistolety, wybrali je i, zrzuciwszy futra, stanęli na przeciw siebie, z łufami zwróconemi ku górze.

Gątowski oddychał pośpiesznie, twarz miał czerwoną i wąsy w soplach. Z całej jego postawy i twarzy widać było, że rzecz sprawia mu niezmierny przymus, że trzyma się przez wstyd i siłę woli i że, gdyby poszedł za naturalnym porywem uczuć chwili, to wołał-by skoczyć na przeciwnika i wyłomotać go kolbą od pistoletu, a ehoćby pięścią. Maszko, który poprzednio udawał, że go nie widzi, patrzył teraz na niego z twarzą pełną nienawiści, zawziętości i pogardy. Policzki jego całe były w plamach. Panował nad sobą jednak więcej od Gątowskiego i—przybrany w długi surdut, w wysokim kapeluszu na głowie, ze swojemi długimi bokobrodami,—wyglądał aż nadto sztywnie, aż zbyt podobnie do aktora, grającego rolę pojedynkującego się dżentelmana.

— Zastrzeli niedźwiadka, jak psa — pomyślał Połaniecki.

Rozległy się słowa komendy i dwa strzały wstrząsnęły ciszą leśną, poczem Maszko zwrócił się do Kresowskiego i rzekł zimno:

— Proszę nabić pistolety.

Lecz jednocześnie przy nogach jego ukazała się na śniegu plama krwi.

— Pan jesteś ranny — rzekł, zbliżając się szybko, doktor.

— Być może... proszę nabić...

I w tej chwili zachwiał się, albowiem istotnie był ranny. Kula zniosła mu sam wierzchołek kości w kolanie.

Pojedynek został przerwany. Tylko Gątowski stał jeszcze czas jakiś na miejscu z wytrzeszczonemi oczyma, zdumiony tem, co się stało.

Po pierwszym opatrunku, zbliżył się jednak, popchnięty przez pana Jamisza, do Maszki i rzekł zarówno niezgrabnie, jak szczerze:

— Teraz przyznaję, że nie miał prawa nachodzić pana — i odwołuję wszystko, com powiedział, i przepraszam. A że pan jesteś ranny, to ja tego nie chciałem.

I po chwili, gdy odchodził z panem Jamiszem i Wilkowskim, słychać było jak mówił:

— Jak Boga najszczerzej kocham, czysty przypadek — to pistolety takie, bo ja chciałem mu nad głowę...

Maszko tego dnia nie otworzył ust — na pytanie zaś doktora, czy rana bardzo mu dokucza, potrząsał tylko głową na znak, że nie.

Bigieli, który był dniem pierwiej powrócił z Prus, z kieszeniami pełnemi kontraktów, dowiedziawszy się o wszystkim, co zaszło, mówił do Połanieckiego:

— Maszko jest niby inteligentny człowiek, ale, dalibóg, między nami każdy ma jakiegoś ćwieka... On naprzykład: ma wzięcie, ma mnó-

stwo doskonałych spraw; mógłby mieć znaczne dochody, robić majątek. Nie prawda! woli się rzucać, wyciągać kredyt do ostatka, kupować majątki ziemskie, udawać wielkiego właściciela, lorda, być Bóg wie kim, byle nie być tym, kim jest. Jakie to wszystko dziwne i tem dziwniejsze, że takie powszechne. Nieraz myślę, że życie samo w sobie jest niezłe, ale tu wszyscy je sobie psują brakiem równowagi w głowie i tą jakąś dyabelską fantazyą, jakimś bzikiem, którego każdy ma za kołnierzem. Bo ja rozumiem, że człowiek chce mieć więcej niż ma i znaczyć więcej niż znaczy, ale niech nie dąży do tego w fantastyczny sposób. Maszce ja pierwszy przyznaję i spryt, i energię, ale, wzięwszy wszystko na uwagę — dalibóg, on ma coś tu.

Tu Bigiel stuknął kilkakrotnie palcem w czoło.

Maszko tymczasem cierpiał z zaciśniętymi zębami, albowiem rana jego, nie będąc niebezpieczną dla życia, była jednak nadzwyczaj bolesna. Wieczorem zemdłał dwukrotnie w obecności Połanieckiego. Potem przyszło osłabienie, podczas którego owa hardość duszy, która przez cały dzień podtrzymywała młodego adwokata, wyczerpała się zupełnie. Po opatrunku, gdy doktor odszedł, leżał czas jakiś spokojnie, poczem rzekł:

— Ależ bo ja mam i szczęście!

— Nie myśl o tem — odpowiedział Połaniecki — dostaniesz większej gorączki.

Maszko zaś mówił dalej:

— Zelżony, ranny, zrujnowany — wszystko na raz.

— Powtarzam ci, że nie pora o tem myśleć.

Maszko wsparł się łokciem na poduszce, syknął z bólu i rzekł:

— Daj spokój. To ostatni mój czas, w którym mogę się wygadać z porządnym człowiekiem. Za tydzień lub dwa będę należał do ludzi, których się unika... Co mi tam gorączka! Jest coś nieznośnego w takiej zupełnej ruinie, w takim zarwaniu się ludzkiej doli, mianowicie, że potem pierwszy lepszy kretyń, pierwsza lepsza gęś, będą mówili: „ja to oddawna wiedziałem“ — „ja to z góry przewidywałam.“ Tak! wszyscy zawsze wszystko przewidują... po fackie — i z człowieka, w którego piorun trzasł, robią w dodatku głupca lub waryata.

Połaniecki przypomniał sobie w tej chwili słowa Bigiela, Maszko zaś, dziwnym trafem mówił w dalszym ciągu tak, jakby chciał na nie odpowiedzieć:

— A myślisz, że ja nie zdawał sobie sprawy, że m szedł za ostro, że m się pchał zagwałtownie, że chciałem być czemś więcej niż byłem, że m za wysoko nos nosił... Tej sprawiedliwości mi nikt nie odda, ale ty wiedz o tem, że ja to sobie mówił... Tylko mówiłem sobie jednocześnie: tak potrzeba — to jedyna droga, żeby wypłynąć —

i co? może stosunki są krzywe, może ogólne życie idzie na opak, ale jednak, gdyby nie ta bezdennie głupia a nieprzewidziana i nieobliczalna awantura, byłbym wypłynął — właśnie dlatego, że taki byłem, jak byłem... Gdybym był skromnym człowiekiem, nie byłbym dostał panny Krasławskiej... U nas trzeba zawsze coś udawać — i jeśli mnie dyabli biorą, to nie przez moją pychę, tylko przez tamtego kpa.

— Przecie, u licha, nie możesz napewno wiedzieć, czy twoje małżeństwo nie dojdzie do skutku.

— Mój kochany, nie znasz tych kobiet. One w braku czego lepszego zgodziły się na pana Maszkę, bo panu Maszce dobrze się wiedło... Gdy byle cień padnie na mój majątek, moje położenie, moje stanowisko — porzucą mnie bez miłosierdzia, a potem góry będą na mnie waliły, by siebie osłonić przed światem... Co ty o nich wiesz? Panna Krasławska, to nie panna Pławicka!

Nastała chwila milczenia, poczem Maszko mówił dalej słabnącym głosem:

-- Ta mogła mnie uratować... Byłbym dla niej wszedł na inną drogę, daleko spokojniejszą... Krzemień w takich warunkach byłby uratowany... Odrazu odpadał dług jej, renta Pławickiego... Byłbym wybrnął... Przytem, czy ty wiesz, że ja kochałem się w niej, jak student... Ot, tak przyszło, niewiadomo skąd... Ale ona wolała się na ciebie gniewać, niż mnie kochać... Teraz to rozumiem. Na to niema rady.

Połaniecki, któremu nie w smak była ta rozmowa, przerwał ją i rzekł z odcieniem niecierpliwości:

— Dziwi mnie, że człowiek z twoją energią uważa wszystko za stracone, podczas gdy wszystko nie jest stracone. Panna Pławicka, to jest przeszłość, nad którą sam zrobiłeś krzyżyk, oświadczając się o pannę Krasławską. Co do terażniejszości — zostałeś napadnięty — prawda, aleś się pojedykował, jesteś ranny, ale tak, że za tydzień będziesz zdrow — i ostatecznie te panie jeszcze ci nie oświadczyły, że z tobą zrywają. Póki tego nie będziesz miał czarno na białym, nie masz prawa o tem mówić... Jesteś chory i dlatego przedwcześnie odprawiasz nad sobą egzekwie. Ale ja ci powiem co innego. Trzeba tamtym paniom dać znać, co się stało. Czy chcesz, żebym jutro do nich poszedł? Zrobią potem, co chcą, ale niechże wiadomość mają z ust świadka, nie zaś przez miejscowych plotkarzy.

Maszko pomyślał przez chwilę i rzekł:

— Ja i tak chciałem do mojej narzeczonej napisać, ale jeśli ty pójdziesz, to będzie jeszcze lepiej. Nie mam nadziei, żeby mi ona dotrzymała — trzeba jednak zrobić co należy. Dziękuję ci. — Ty potrafisz rzecz przedstawić z lepszej strony... Tylko ani słowa o jakichkolwiek kłopotach... Tę sprzedaż dąbrowy musisz zmniejszyć do zera — do

grzeczności, jaką ci chciałem wyświadczyć... Szczerze ci dziękuję. — Powiedz, że Gątownski mnie przeprosił...

— Masz kogo, coby przy tobie siedział?

— Mój służący i jego żona. Doktor przyjdzie jeszcze i przyprowadzi z sobą felczera... Mnie to dyabło dolega, ale nie czuję się źle.

— Zatem do widzenia.

— Bądź zdrów. Dziękuję ci. — Ty jesteś...

— Śpij dobrze.

I Połaniecki wyszedł. Po drodze myślał o Maszce i myślał z pewnym gniewem: „Ten nie jest romantykiem—niczem mniej—ale jednak i ten poczuwa się do udawania czegoś w tym rodzaju... Panna Pławicka! kochał ją... byłby wszedł na inną drogę... mogła go uratować... ot podatek płacony romantyzmowi — i w dodatku fałszywą monetą, bo w miesiąc jednak oświadczył się tamtej lalce — dla pieniędzy. Możem ja głupszy, ale tego nie rozumiem i w szczerść takich zawodów, które się tak łatwo pocieszają, nie wierzę... Gdybym jedną kochał i doznał zawodu, tobym się z drugą w miesiąc nie ożenił. Niech mnie lichy weźmie, jeśli bym to zrobił. On ma jednak rację, że Marynia to inny gatunek, niż Krasławska... To niema i gadania: zupełnie inny! zupełnie inny!...

I ta myśl była mu jednak ogromnie przyjemna. Wróciwszy do domu, zastał list Bukackiego z Włoch i kartkę Maryni, pełną niepokoju i pełną pytań z powodu wieści o pojedynku. Była w niej prośba o przysłanie wiadomości nazajutrz rano, co się stało, o co poszło, a zwłaszcza o wiadomość, czy wszystko naprawdę skończone i czy żadne nowe zajścia nie grożą.

Połaniecki pod wpływem myśli, że to „inny gatunek niż panna Krasławska“ — odpisał serdeczniej niż sam chciał, i oddawszy odpowiedź swemu służącemu, rozkazał, by została oddana nazajutrz o dziewiątej rano. Następnie wziął się do czytania listu Bukackiego, przy czem od samego początku począł wrzeszczeć ramionami.

Bukacki pisał co następuje:

— „Niech Sakya-Muni wyprosi ci błogosławioną Nicość. Prócz tego, powiedz Kapłanerowi, by należnych mi trzech tysięcy rs. nie wysyłał do Florencyi, ale zatrzymał u siebie do mego rozporządzenia. W tych dniach postanawiam pomyśleć o powzięciu zamiaru (czy uważasz jakie to stanowcze) zostania wegetaryaninem. Jeśli ta myśl mnie nie zmęczy, jeśli zamiar zmieni się w postanowienie, a postanowienie nie będzie nad moje siły, to przestanę być zwierzęciem mięsożernem i życie będzie mnie mniej kosztowało. To cała sprawa. Co do ciebie, proszę cię na wszystko uspokój się, albowiem życie nie warte jest fatygi.

„Wiesz? Doszedłem dla czego Słowianie wolą syntezę od analizy. Bo są próżniakami, a analiza to pracowita rzecz. Syntetyzować można, pałac po obiedzie cygaro. Zresztą mają słusność, że są próżniakami. We Florencyi jest dość ciepło, zwłaszcza na Lung-Arno. Chodzę sobie i robię syntezę szkoły florenckiej. Poznałem tu jednego zdolnego akwarelistę, także Słowianina, który żyje ze sztuki, ale dowodzi, że sztuka to jest świństwo, wykwitłe z mieszczańskiej chęci rozkoszy i z nadmiaru pieniędzy, które jedni nagromadzają kosztem drugich. Jednym słowem: sztuka, podług niego, to podłość i krzywda! Napadł na mnie, jak na psa, twierdząc, że być buddystą i zajmować się sztuką jest szczytem niekonsekwencji; ale ja jeszcze bardziej napadłem na niego i odpowiedziałem mu, że poczytywać konsekwencyę za coś lepszego od niekonsekwencji jest szczytem mieszczańskiego obskurantyzmu, mieszczańskich przesądów i podłości. Człowiek był zdumiony i stracił mowę. — Namawiam go, żeby się powiesił, ale nie chce. — Powiedz mi, czy ty jesteś pewny, że ziemia naprawdę kręci się koło słońca i czy to wszystko nie żarty. Mnie zresztą jest to wszystko jedno! — W Warszawie żal mi było tego dziecka, które umarło. Tu często także o niem myślę. — Jakie to głupie! Co robi pani Emilia? Ludzie mają z góry przeznaczone role na świecie, a jej przypadła rola ze skrzydłami i z cierpieniem. Poco ona była enotliwa? Było-by jej inaczej, weselej. Co do ciebie, człowieku, zrób mi jedną łaskę. Proszę cię na wszystko, nie żeń się. Pamiętaj, że jeśli się ożenisz, jeśli będziesz miał syna, jeśli będziesz pracował, żeby mu zostawić majątek, uczynisz to wyłącznie po to, by ten syn był tem, czem ja jestem, ja zaś jestem bardzo miłym chłopcem, ale mam pewne wątpliwości, czy nieodzownym. Bądź zdrowa zapalczywa energio, bądź zdrow domie handlowy, spółko komisowa, formo przechodnia, praco nałogowa, wysiłku pieniężny, przyszły ojciec rodziny, hodowco dzieci i kłopotów. Uściskaj odemnie Waskowskiego. To także syntetyk. Niech Sakya-Muni otworzy ci oczy, abyś poznał, że na słońcu jest ciepło a w cieniu zimno i że leżeć jest lepiej niż stać. Twój *Bukacki*.“

— Bigos! — pomyślał Połaniecki.

A następnie począł sobie mówić:

— Wszystko to jest sztuczne, wszystko to jest oszukiwanie siebie samego przez jakąś ostateczność. Ale gdy się człowiek do tego przyzwyczai, zmienia mu się to poniekąd w naturę, przyczem dyabli biorą rozum, energię i dusza rozkłada się jak trup. Można rzucić się łbem w taką przerąb, w jaką rzucił się Maszko, lub w taką jak Bukacki. W obu razach idzie się pod lód. Co u licha! musi być jednak jakieś zdrowe i normalne życie — trzeba mieć tylko trochę oleju w głowie. Takiemu Bigielowi jest jednak nieźle na świecie. Ma żonę, którą

kocha, dzieci, które kocha, pracuje jak wół, ale ma zarazem w duszy ogromne przywiązanie do ogółu i swoją wiolonczelę, na której wygrywa przy księżycu, zadzierając głowę do pułapu. Nie można powiedzieć, by to był człowiek zmateryalizowany. Nie. W nim jakoś godzi się jedno z drugim. I dobrze mu!

Połaniecki począł chodzić po pokoju i spoglądać od czasu do czasu na śniejącą się z pośród brzoź twarz Litki. Potrzeba przystąpienia z samym sobą do ścisłego obrachunku ogarniała go coraz silniej. Jako kupiec wziął się do rozpatrywania swego: „credit i debet“, co zresztą nie było trudne. W rubryce dodatnich stron jego życia niegdyś główne miejsce zajmowało jego uczucie dla Litki. Była ona mu w swoim czasie tak drogą, że gdyby mu przed rokiem naprzykład powiedziano: „bierz ją, jako swoje dziecko, na własność“, byłby ją wziął i uważał, że ma dla czego żyć. Ale teraz ten stosunek był tylko wspomnieniem i z rubryki szczęścia przeszedł do rubryki nieszczęścia. Co więc pozostawało? Naprzód samo życie, powtóre, ten dyletantyzm umysłowy, który, bądź co bądź, jest rozkoszą, dalej przyszłość, która zaciekawia, dalej użycie materialne i wreszcie dom handlowy. Miało to swoją wartość, ale Połaniecki spostrzegł, że brak w tem celu. Co do domu handlowego, Połanieckiemu podobały się powodzenia, jakich doznał, nie zaś rodzaj pracy, jakiej dom wymagał. Przeciwnie: rodzaj pracy nie wystarczał mu, był mu za ciasny, za lichy, i gniewał go. Z drugiej strony dyletantyzm, książki, świat umysłowy, wszystko to miało znaczenie jako okrasa życia, ale nie mogło stać się jego podstawą. — „Bukacki, (mówił sobie Połaniecki), wlaź w to po uszy, tem chciał żyć—i zwichnął się, zuiedoleźniał, wyjałowiał. Kwiaty są same w sobie rzeczą dobrą, ale ktoby chciał wyłącznie oddychać ich zapachem, ten się otruje“. I istotnie nie potrzebował być wielkim mędrce, by naokoło spostrzedz mnóstwo ludzi zwichniętych, których zdrowie duchowe właśnie ów dyletantyzm umysłowy podkopał tak, jak morfina podkopuje zdrowie fizyczne.

I jemu samemu wyrządził on już dużo szkód, choćby dlatego, że zrobił z niego sceptyka. Od ciężkiej choroby uratował go tylko zdrowy organizm, odczuwający konieczną potrzebę wydania zbytku energii —i praca. Ale co będzie dalej—i czy może tak iść dalej? Na to pytanie Połaniecki odpowiedział sobie teraz stanowczo: nie! Skoro sprawy domu handlowego nie były w stanie wypełnić mu życia i skoro było wprost niebezpiecznie wypełniać je dyletantyzmem, więc należało wypełnić je czem innem, stworzyć sobie nowe światy, nowe obowiązki, otworzyć nowe widnokreśli a na to była jedna rada — ożenić się.

Niegdyś, gdy sobie to mówił, widział przed sobą jakąś nieokreśloną postać, łączącą wszystkie przymioty moralne i fizyczne, ale bez

ciała i bez imienia. Teraz była to postać rzeczywista. Miała spokojne niebieskie oczy, ciemne włosy, nieco za szerokie usta i nazywała się Marynia Pławicka. O kim innym nie mogło być nawet mowy, a tę Połaniecki przedstawił sobie tak realnie, że aż tętna w skroniach porządkowały bić żywiej. Zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że teraz czegoś brakło w tem jego uczuciu dla Maryni, mianowicie tego, naokoło czego snuje się marzenie; tego, co nie śmie pożądać niczego, a spodziewa się wszystkiego; tego co się boi, co drży, co klęczy, co mówi kochanej kobiecie: „do twoich nóg”; co z miłości, która jest żądzą, robi zarazem kult, który jest czecią, wprowadzając jakiś mistyczny odcień w stosunek mężczyzny do kobiety, robi z mężczyzny nie tylko kochanka, ale i wyznawcę. To przeszło. Połaniecki, myśląc teraz o Maryni, myślał trzeźwo, niemal zuchwale. Czuł, że może przyjść, wziąć ją i mieć, i że, gdy to uczyni, to z dwóch powodów: raz dlatego, że Marynia jest dla niego kobietą pociągającą więcej od wszystkich innych, a powtóre, że rozum nakazuje mu się żenić i żenić z nią.

— Bo ona (myślał) jest jednak ogromnie pewna. Nic w niej nie ma wyjąłowego, nic zeszlęgo. Egoizm nie zabił w niej serca—i to jest niezawodne, że taka nie będzie myślała tylko o tem, co jej się należy. To jest wcielona uczciwość, wcielony obowiązek — i w życiu, trzeba będzie tego chyba pilnować, żeby nie za mało myślała o sobie. Jeśli rozum nakazuje mi się żenić, to uczynił-bym głupstwo, szukając innej.

Poczem zadał sobie pytanie, czy, poniechawszy Maryni, nie uczynił-by zarazem nieuczciwości. Litka ich połączyła. Cóż w jego sercu podnosiło się na samą myśl sprzeciwienia się woli i ofierze tego drogiego dziecka. Gdyby jednak chciał postąpić wbrew tej woli, czy tak powinien się był zachowywać? Nie. W takim razie powinien był od śmierci Litki nie pokazać się u Pławickich, nie widzieć Maryni, nie całować jej rąk, nie dać się unosić tej fali, która poniosła, być może siłą wypadków, ale zniosła tak daleko, że dziś uczynił-by zawód Maryni i spadł w jej oczach do lichy roli człowieka, który sam nie wie czego chce. Bo musiał-by być ślepym, żeby nie spostrzedz, że Marynia uważała się za jego narzeczoną i że, jeśli nie niepokoila się dotychczas jego milczeniem, to tylko dla tego, że przypisywała je żalobie, jaką w sercu nosili oboje po Litce.

— Więc patrząc od strony rozumu, trzeba się z nią żenić,—mówił sobie Połaniecki,—od strony instynktu zachowawczego—trzeba, od strony zmysłów — trzeba, od strony uczciwości—trzeba! Zatem co? Zatem byłbym niedołęgą i szują, gdybym się wahał i nie uważał sprawy za rozstrzygniętą. To rzecz skończona.

Poczem odetchnął i począł chodzić po pokoju. Pod lampą leżał list Bukackiego. Połaniecki wziął go i począł czytać od miejsca, na które przypadkiem padły jego oczy:

„Proszę cię na wszystko nie żeń się. Pamiętaj, że jeśli się ożenisz, jeśli będziesz miał syna, jeśli będziesz pracował, by mu zostawić majątek, uczynisz to wyłącznie po to, by ten syn był tem, czem ja jestem....”

— Otóż, miły mydłku,—odpowiedział z pewną zawziętością Połaniecki: ożenię się, ożenię się z Marynią Pławicką; słyszysz? będę robił majątek, a jeśli będę miał syna, to nie zrobię z niego dekadenta—rozumiesz?

I rad był z siebie.

W chwilę później spojrzał na Litkę i uczuł, że go ogarnia nagłe wzruszenie. Fala żalu za nią i uczucia dla niej podniosła się z nową siłą w jego sercu. Począł rozmawiać z dzieckiem, jak zwykle w ważnych chwilach życia rozmawia się z drogimi zmarłymi.

— Kociątko zadowolone? prawda?—pytał.

A ona śmiała się do niego z pośród brzoź wymalowanych przez Marynię; zdawało się, że mruga oczyma i odpowiada:

— Tak, panie Stachu! tak!

Połanieckiemu oczy zaszyły łzami.

Tego wieczora, przed pójściem do łóżka, odebrał od służącego list, który nazajutrz rano miał być oddany Maryni i napisał drugi, jeszcze serdeczniejszy, w następujących słowach.

„Droga pani. Gątowski zrobił Maszce awanturę dość niedorzeczną, z której wypadł pojedynek. Maszko jest lekko ranny. Przeciwnik przeprosił go na miejscu. Żadnych dalszych skutków nie będzie, chyba ten, że się raz jeszcze przekonał, jaka pani jest dobra, troskliwa, najlepsza, i że jutro, jeśli pani pozwoli, przyjdę z podziękowaniem ucałować drogie i kochane ręce pani. Przyjdę po południu, bo rano po biurze muszę być u pani Krasławskiej, a potem pożegnać profesora Waskowskiego, choć, gdyby można, wolał-bym zacząć dzień nie od nich. Połaniecki.

Po napisaniu tyłu słów spojrzał na zegarek, i jakkolwiek była już jedenasta, kazał list odnieść, nie nazajutrz, ale natychmiast.

— Wejdiesz przez kuchnię,—rzekł służącemu—i gdyby panienka spała, to zostawisz.

Poczem, zostawszy sam, miał do panienki następującą przemowę:

— Byłabyś chyba bardzo niedomyślna, gdybyś się nie domyśliła, dlaczego jutro przyjdę.

VII.

Pani Krasławska przyjęła Połanieckiego mocno zdziwiona z powodu wczesnej godziny, ale jednak przyjęła go, domyślając się, że przychodzi w jakiejś niezwyklej sprawie. On też, bez długich wstępów, opowiedział jej co zaszło, kłamiąc przytem o tyle, o ile było trzeba, by osłonić Maszkę przed podejrzeniem o bankructwo, lub złe interesa.

Zauważył przytem, że podczas opowiadania stara dama trzymała utkwione w niego swoje zielone, wykute jakby z kamienia i pozbawione blasku oczy—i że żaden muskuł jej twarzy nie drgnął.

Dopiero gdy skończył, rzekła:

— W tem wszystkiem nie rozumiem jednej rzeczy: dlaczego pan Maszko sprzedawał te dęby. To przecie jest nie mała ozdoba każdej rezydencji.

— Te dęby leżą opodal od domu,—odpowiedział Połaniecki—i psują pole, bo pod ich cieniem nie chce się nic rodzić, a pan Maszko jest praktyczny człowiek. Zresztą, mówiąc szczerze, my jesteśmy dawni znajomi i zrobił to dla mnie przez przyjaźń. Pani wie, że ja jestem kupcem, potrzebna mi była dębina i Maszko odstąpił mi, ile mógł.

— Nie rozumiem w takim razie, dlaczego tamten młody człowiek...

— Jeśli pani zna radcę Jamisza,—przerwał Połaniecki,—to on, jako blizki sąsiad Krzemienia i Jałbrzykowa, objaśni panią, że ten młody człowiek jest niespełna rozumu—i znany z tego w całej okolicy.

— W takim razie pan Maszko nie powinien się być pojedynekować.

— Pani,—rzekł z odcieniem niecierpliwości Połaniecki: w takich razach my mamy inne pojęcia od pań.

— Pan pozwoli, że powiem parę słów mojej córce.

Połaniecki pomyślał, że była-by pora wstać i pożegnać się, ponieważ jednak przyszedł niejako na rekonesans i chciał przynieść jaką wiadomość Maszce, więc rzekł:

— Jeśli panie mają jakieś polecenia do pana Maszki, to wprost stąd idę do niego.

— Za chwilę,— odrzekła pani Krasławska.

Połaniecki został sam i czekał dość długo, tak nawet długo, iż począł się niecierpliwić. Wreszcie weszły obie panie Krasławskie.

Panna ubrana w białą „szmizetkę“ z marynarskim krawatem i uczesana nie dość starannie, wydała się jednak Połanieckiemu, mimo lekkiego zapalenia oczu i mimo kilku pryszczyków na czole, pokrytych pudrem, wcale ładna. Była w niej jakaś ponętna ociężałość, z której,

wstając widocznie bardzo późno, nie zdołała się jeszcze otrząsnąć, i jakieś równie ponętne poranne zaniedbanie. Zresztą na anemicznej jej twarzy nie malowało się żadne wzruszenie.

I po ukłonach zamienionych z Połanieckim, rzekła zimnym, spokojnym głosem.

— Niech pan będzie łaskaw powiedzieć panu Maszce, że bardzo się zmartwiłam i przestraszyłam. Czy naprawdę rana jest lekka?

— Bezwarunkowo.

— Uprosiłam mamy, żeby pojechała doglądać pana Maszkę, a ja mamę odwożę i będę w powozie czekała na wiadomość. Potem znów po mamę przyjadę — i tak codzień, póki pan Maszko nie będzie zupełnie zdrow. Mama taka dobra, że pozwala. Niech pan to powie panu Maszce.

Tu lekki, ledwo dostrzegalny rumieniec przemknął po jej bladej twarzy. Połanieckiemu, dla którego słowa jej były zupełną niespodzianką i przejęły go zdziwieniem, wydała się teraz zupełnie ładną, i w chwilę później, idąc do Maszki, mówił sobie:

— No, jednak kobiety są lepsze niż się wydają... To przecie zupełnie dwie karafki zmrożonej wody, a jednak ta dziewczyna ma trochę serca. Maszko się na niej nie poznał i będzie miał przyjemny zawód. Stara pojedzie do niego, zobaczy tych wszystkich biskupów i kasztelanów z krzywymi nosami, z których tak cieszył się Bukacki, i do reszty uwierzy w wielkość Maszki.

Tak rozmyślając, znalazł się w mieszkaniu Maszki i musiał czekać, albowiem trafił na chwilę opatrunku. Zaledwie jednak doktor wyszedł, Maszko kazał go prosić — i nie przywitawszy się nawet, spytał:

— Cóż, byłeś?

— Jak się masz, jak spałeś?

— Dobrze. Mniejsza z tem... Byłeś?

— Byłem. Powiem ci krótko: za kwadrans pani Krasławska przyjedzie cię doglądać. Panna kazała ci powiedzieć, że odwiezie tu matkę i będzie czekać na wiadomość, jak się masz. Kazała ci powiedzieć, że się bardzo przestraszyła, że jest bardzo nieszczęśliwa, ale Bogu dziękuje, że niema nic gorszego. Widzisz Maszko!... Jeszcze ci dodam, że jest ładna, że mnie ujęła — i idę sobie, bo nie mam czasu.

— Zmiłuj się, zaczekaj chwilę. — Czekał! — mój kochany, ja nie mam gorączki — i jeśli to mówisz z obawy...

— Nudny jesteś — przerwał Połaniecki. — Daję ci słowo, że mówię prawdę — i żeś przedwczesnie obgadywał własną narzeczoną.

Maszko opuścił głowę na poduszki i czas jakiś milczał, poczem rzekł, jakby do siebie:

— Jabym ją gotów naprawdę pokochać...

— To dobrze, — rzekł Połaniecki — bądź zdrów! Idę pożegnać Waskowskiego.

I zamiast do Waskowskiego, poszedł do Pławickich, których zresztą nie zastał. Pławicki nigdy w domu nie siedział, a o Maryni powiedziano mu, że wyszła przed godziną. Zwykle, gdy się idzie do kobiety, która budzi żywe zajęcie, gdy się przez drogę układa, co się jej powie, a potem nie zastaje jej się w domu, ma się dość głupią minę. Połaniecki to czuł i był zły. Wstąpił jednak do sklepu ogrodniczego i, zakupiwszy mnóstwo kwiatów, kazał je odesłać do Pławickich. Myśl, z jaką radością Marynia je przyjmie i z jak bijącym sercem będzie czekała wieczoru, sprawiła mu jednak tak wielką przyjemność, że, zjadłszy po drodze obiad, w najlepszym humorze wpadł do Waskowskiego.

— Przyszedłem pożegnać profesora — rzekł — kiedy profesor wyjeżdża?

— Jak się masz, kochany, — odrzekł Waskowski — musiałem odłożyć na parę dni, bo widzisz, ja tu zimuję rozmaitych malców...

— Młodych aryjezyków, którzy w wolnych chwilach wyciągają portmonetki z kieszeni?

— Nie... To jest, widzisz, to dobre dusze, ale bez dozoru nie można ich zostawiać. Musiałem wystarać się o zastępcę, który będzie tu mieszkał na mojem miejscu.

— I który się tu upiecze. Jak profesor może wytrzymać w takim gorącu?

— Bo siedzę bez surduta i pozwolisz, że go nie włożę. Trochę tu ciepło, ale transpiracya zdrowa rzecz, a już ten skrzydlaty drobiarz go przepada za gorącym.

Połaniecki obejrzał się naokoło. W pokoju było przynajmniej z półtora tuzina trznadli, śmieciuszek, sikerek i czyżów, nie licząc wróbli, które, przyzwyczajone widać do karmienia, tłumami zaglądały przez okno. Profesor utrzymywał w pokoju tylko te ptaki, które wykupywał od ptaszników, wróbli zaś nie puszczał do środka, twierdząc, że „nie było-by końca, a była-by krzywda, kilku przyjąć a innym odmówić.“ Pokojowe miały klatki, poprzymocowane do murów i wewnętrznej framugi okna, ale szły do nich tylko na noc, w dzień zaś latały wolno po całym pokoju, napełniając go świegotem i zostawiając ślady na książkach i rękopismach, któremi założone były stoły i wszystkie kąty.

Niektóre z ptaków, bardziej oswojone, siadały nawet na głowie Waskowskiego. Na podłodze trzeszczały pod nogami łuskwiny konopnego siemienia. Połaniecki, który to mieszkanie znał doskonale, wzruszył jednak ramionami i rzekł:

— Wszystko to bardzo dobre, ale że profesor pozwala im czubić się, lub świadczyć sobie na własnej głowie, to dalibóg zanadto! Przytem tu jest zaduch.

— To wina świętego Franciszka z Assyżu — odpowiedział Waskowski — bo ja od niego nauczyłem się lubić ten drobiazg. Mam nawet i parę gołębi, ale to piecuchy.

— Profesor pewnie zobaczysz się z Bukackim — rzekł Połaniecki — miałem od niego list — oto jest.

— Można przeczytać?

— Właśnie dlatego daję.

Waskowski przeczytał i gdy skończył, rzekł:

— Ja go zawsze bardzo kocham tego Bukackiego, to dobra dusza, ale... widzisz... on ma trochę tu!

I Waskowski począł stukać palcami w czoło.

— To już zaczyna mnie bawić — zawołał Połaniecki. — Wyobraź sobie profesor, od kilku dni ciągle ktoś stuka się w czoło i mówi o kimś ze znajomych: „on ma tu!“ — Mile społeczeństwo!

— Kiedy to trochę tak jest! trochę tak jest! — odpowiedział z uśmiechem Waskowski. — A wiesz ty co to jest? oto zwyczajnie, aryjski niepokój ducha, w nas zaś, jako w Słowianach, więcej tego niż na zachodzie, bośmy najmłodszy z Aryów i wskutek tego ni rozum, ni serce, nie ułożyły się w nas jeszcze do równowagi. My, najmłodszy z Aryów, czujemy najżywiej, bierzem wszystko do serca najgoręcej i stosujemy do praktyki życia najzapalczywiej... Ja dużo widziałem, jam to dawno spostrzegł... Co za dziwne natury!... Ot, na przykład, studenci niemieccy knajpują — i co? i nie przeszkadza im to ani pracować, ani wyrabiać się na praktycznych ludzi; ale niechże Słowianin przejmie się tą modą i zacznie knajpować, to zginął, to zaknajpuje się na śmierć! I tak we wszystkim. Niemiec będzie pesymistą, będzie pisał tomy o tem, że życie jest rozpaczą — i będzie przytem pił piwo, hodował dzieci, zbijał pieniądze, polewał ogród i sypiał pod pierzyną. — Słowianin się powiesi, albo się zgubi szalonym życiem, rozpustą, zdusi się błotem, w które będzie wlaził umyślnie... Ja, mój drogi, pamiętam ludzi, którzy się na śmierć zabajronizowali... Ja dużo widziałem... Widziałem ludzi, którzy, kochając np. chłopów, kończyli na tem, że się spijali wódką po karczmach. Niema u nas miary i nie może być, bo w nas do zbytniego przejmowania się każdą ideą dołącza się jeszcze lekkomyślność i wiesz co? — oto próżność. Ach Boże, jacy my wszyscy próżni! jak my chcemy wysunąć się zawsze naprzód, by nas widziano i podziwiano! Weź takiego Bukackiego: wlaż — naprawdę wlaż — po uszy w sceptycyzm, w pesymizm, w buddaizm, w dekadentyzm — bo ja wiem w co wreszcie? przecie teraz i w tem panuje chaos — wlaż!

tak głęboko, że go te miazmy naprawdę zatruwają; ale czy myślisz, że on przytem nie pozuje? Co za dziwne natury! zarazem najszczerze, najżywiej czujące, najmocniej wszystko biorące do serca — i komedyanckie. Kiedy się o tem myśli, to się je kocha, ale jednocześnie chce się śmiać i płakać.

Połaniecki przypomniał sobie, jak za pierwszą bytnością w Krzemieniu opowiadał Maryni o swoich czasach belgijskich, gdy, bawiąc się na wspólkę z kilkoma młodymi Belgami w pesymizm, spostrzegł wreszcie, że on te wszystkie teorye bierze daleko więcej od nich do serca i że tem samem więcej mu one psują życie. Więc teraz rzekł:

— To, co profesor mówi, to jest prawda. Takie rzeczy widziałem i ja — i dlatego wszystkich nas dyabli wezmą.

Lecz Waskowski wlepił w zamarznięte szyby swoje mistyczne oczy i rzekł:

— Nie, nas wszystkich przygarnie kto inny. Ta gorącość krwi, ta zdolność przejmowania się ideą, to są wielkie podstawy do misyi, którą Chrystus słowiańskiemu światu wyznaczył.

Tu Waskowski wskazał na poplamiony przez ptaki rękopism i rzekł tajemniczo:

— Widzisz, ja z tem jadę. To praca mojego życia... Chcesz, że bym ci to przeczytał?

— Dalibóg, nie mam czasu. — Późno już.

— Prawda. Mroczy się. Więc ci powiem w krótkich słowach... Nietylko myślę, ale i najgłębiej wierzę, że Słowianie, mają wielką misyę do spełnienia.

Tu Waskowski przerwał, pocałował trzecią ręką czoło i rzekł:

— Co to za dziwna liczba: „trzy...“ Coś w tem jednak jest tajemniczego!

— Miał profesor mówić o misyi — rzekł niespokojnie Połaniecki.

— Nie bój się: to ma związek jedno z drugim. Bo widzisz są trzy światy w Europie: romański, germański i słowiański. Tamte już spełniły co miały spełnić. Przyszłość — to ten trzeci.

— I co ten trzeci ma zrobić?

— Stosunki społeczne, prawo — stosunek człowieka do człowieka, życie pojedynczych ludzi i to co się nazywa życiem prywatnem, jest, bądź co bądź, oparte na nauce chrześcijańskiej. Ułomności ludzkie wykrzywają ją, ale jednak wszystko na niej stoi. — Ale to dopiero połowa zadania spełniona — pierwszy okres!... Są ludzie, którzy myślą, że chrześcijaństwo się kończy. Nie. Dopiero drugi okres ma się zacząć. Chrystus jest w życiu pojedynczych ludzi, ale go niema w historii — rozumiesz? Wprowadzić go do historii, oprzeć na nim stosunki dziejowe, stworzyć miłość bliźniego i w znaczeniu dziejowem — oto misya,

którą ma spełnić świat słowiański... Tylko, brak mu jeszcze świadomości i trzeba mu na tę misję oczy otworzyć.

Połaniecki milczał, bo nie miał co odpowiedzieć — Waskowski zaś mówił dalej:

— Oto nad czem całe życie myślałem — i tom wypowiedział w tej oto pracy... (Tu wskazał na rękopism). To robota całego mojego życia. To ta wskazana misya.

— Na którą tymczasem trznadle.... — pomyślał Połaniecki — i zapewne tak jeszcze będzie długo.

Głośno zaś rzekł:

— I profesor spodziewa się, że jak taka rzecz wyjdzie z druku...

— Nie, ja się niczego nie spodziewam. Ja mam trochę miłości, ale ja za lichy człowiek, za marny umysł... To zginie, jakby kto kamień rzucił w wodę, ale będą fale, będą koła. Niech potem przyjdzie jaki wybraniec... Bo ja wiem?... Co przeznaczone, to nie minie. Oni nie potrafią wyrzec się misyi, choćby sami chcieli... I widzisz, natur ludzkich nie trzeba odciągać od ich przeznaczenia, ani przemocą zmieniać. Co dobre gdzieindziej, to może być złe u nas, bo nas do czego innego Bóg stworzył. Zresztą, próżna robota. I ty próżno w siebie wmawiasz, że chcesz tylko pieniądze robić, i ty musisz pójść za głosem przeznaczenia i natury...

— Ja nawet idę, bo się żenię... To jest: żenię się, jeśli mnie zechca.

A Waskowski objął go przez pól:

— Bodaj-że cię! A to doskonale! Niech cię Bóg błogosławi... Wiem! Wam to nakazała ta dziecinka... A pamiętasz, jakem ci mówił, że i ona ma coś do spełnienia, że nie umrze, póki tego nie spełni. Niechże jej Bóg da światło, a wam obojgu błogosławieństwo... Marynia to przecie złoto!...

— A kochanemu profesorowi szczęśliwej drogi i szczęśliwej misyi.

— I tobie, i tobie — czego sobie sam życzysz.

— Ja? czego sobie życzę? — mówił wesoło Połaniecki. — A tak z pół tuzina małych misyonarzy...

— A urwis! zawsze był urwis! — odpowiedział Waskowski. — No leć, leć, ja tam do was jeszcze przyjdę...

Połaniecki wyleciał, wsiadł w dorożkę i kazał się wieźć do Pławickich. Po drodze układał sobie, co powie Maryni, i ułożył sobie mówkę, w miarę uczuciową, w miarę trzeźwą, jak przystoi na pozytywnego człowieka, który znalazł wprawdzie to, czego szukał, ale który żeni się także i przez rozum.

Marynia spodziewała się go widocznie o wiele później, bo światła w pokojach nie były pozapalane, chociaż ostatecznie blaski zachodu gasły już na dworze.

Połaniecki począł na powitanie całować jej obie ręce i, zapomniawszy zupełnie o rozumnej przemowie, spytał trochę niepewnym i wzruszonym głosem:

— Odebrała pani kwiaty i list?

— Tak...

— I domyśla się pani dlaczego przysłał?

Maryni serce biło tak mocno, że nie zdobyła się na odpowiedź.

Więc Połaniecki pytał dalej coraz bardziej przerywanym głosem:

— Czy pani zgadza się na wolę Litki? czy pani mnie chce?

— Tak — odpowiedziała Marynia.

Teraz on, w poczuciu, że wypada jej dziękować, napróżno szukał słów. Przyciskał tylko coraz mocniej do ust jej ręce, i zarazem trzymając je obie, przyciągał ją zlekka, coraz bliżej i bliżej. Nagle, owionął go płomień, objął ją i począł szukać ustami jej ust. Lecz ona odwróciła głowę, tak, że mógł tylko całować włosy na jej skroniach. Przez chwilę, w mroku, słychać było tylko ich przyspieszone oddechy, wreszcie Marynia wyrwała mu się z ramion.

W kilka minut później służąca wniosła światło. Połaniecki, ochłonawszy, przestraszył się teraz własnego zuchwastwa i począł z niepokojem spoglądać w oczy Maryni. Był pewien, że ją obraził, i był gotów przeproszać. Tymczasem ze zdziwieniem spostrzegł, że w twarzy jej nie było żadnych śladów gniewu. Oczy miała spuszczone, policzki pałające, włosy nieco w nieładzie; znać było, że jest pomieszana i jakby odurzona—ale przytem przejęta tylko takim pełnym słodyczy strachem kobiety zakochanej, która, przestępując nowy próg, czuje, że trzeba coś na nim poświęcić, ale która przestępuje go i ulega dlatego, że chce, że kocha i że powinna, wobec praw, które mężczyźnie przyznaje.

Połanieckiego jednak przejęło na jej widok żywe uczucie wdzięczności. Zdawało mu się teraz, że kocha Marynię tak, jak ją kochał dawniej, przed śmiercią Litki. Uczuł też, że w tej chwili nie może być dla niej zbyt delikatnym, ani zbyt wspaniałomyślnym, więc wzięwszy znowu jej rękę, podniósł ją do ust z wielką czcią i rzekł:

— Ja wiem, że pani nie wart — to niema i gadania! Ale Bóg widzi, że co będzie w moich siłach, to zawsze dla pani zrobię.

A Marynia spojrzała na niego wilgotnemi oczyma:

— Byle pan był szczęśliwy...

— Czy z panią można nie być? Ja to widziałem od pierwszej

chwili w Krzemieniu. Ale potem, pani wie: wszystko się popsuło. Myślałem, że pani wyjdzie za Maszkę, i com się nagryzł...

— To ja byłem zła i przepraszam... mój drogi — panie Stachul...

Połaniecki zaś zawołał z wielkim zapalem:

— Jeszcze dziś profesor mówił: „Marynia to złoto!“ — I prawda! wszyscy to mówią — nietylko złoto, ale skarb — bardzo drogi!

A jej dobre oczy poczęły się do niego śmiać:

— Może i bardzo ciężki...

— Niech panią o to głowa nie boli; ja mam dość sił i potrafię go na rękę nosić... Teraz przynajmniej mam po co żyć.

— I ja — odpowiedziała Marynia.

— Czy pani wie, że ja już tu byłem. Przesłałem potem te chryzantemy. Po wczorajszym liście pani powiedziałem sobie: to poprostu anioł i trzeba nie mieć ani serca, ani piątej kleпки, żeby dłużej zwlekać.

— Taka byłem niespokojna o ten pojedynek — i nieszczęśliwa.

Ale to już naprawdę skończone?

— Daję pani słowo — najzupełniej.

Marynia chciała dalej wypytywać, ale tymczasem nadszedł pan Pławicki; chwilę słycać było, jak, pokaszując trochę, stawiał laskę i zdejmował paletot w przedpokoju, potem otworzył drzwi i, ujrawszy ich samych, rzekł:

— Tak we dwoje sobie siedzicie?

A Marynia, podbiegłszy ku niemu, położyła mu ręce na ramionach i nadstawiając czoło do pocałunku, odrzekła:

— Jak narzeczeni, papo.

Pan Pławicki cofnął się nieco i spytał:

— Jak powiadasz?

— Mówię — odpowiedziała, patrząc mu spokojnie w oczy, — że pan Stanisław chce mnie wziąć i że jestem bardzo szczęśliwa...

Połaniecki przybliżył się, uściskał z całej siły pana Pławickiego i rzekł:

— Chcę wziąć, za zgodą i pozwoleniem wujaszkowem.

Lecz pan Pławicki zawołał: „Dziecko moje!“ i podążywszy chwiejnym krokiem do kanapy, siadł na niej ciężko.

— Pozwólciel — mówił — wzruszenie... Nic to — nie zważajcie na mnie... Moje dzieci!... Jeśli wam to potrzebne — błogostawię z całego serca...

I błogostawił, przyczem opanowało go jeszcze większe wzruszenie, bo Marynię kochał jednak rzeczywiście. Głos wiązał mu co chwila w gardło i oboje młodzi słyszeli tylko takie oderwane zdania lub wy-

razy, jak naprzykład: „jakiś kąt przy was — dla starca, który całe życie pracował...” „jedyne dziecko...” „sierota...”

Oni zaś uspakajali go na wspólną i uspokoili tak dobrze, że w pół godziny potem pan Pławicki uderzył nagle po ramieniu Połanieckiego i rzekł:

— Ach rozbójniku! Toś ty myślał o Maryni, a ja myślałem żeś ty trochę...

I resztę dokończył do ucha Połanieckiego, który zaczerwienił się z oburzenia i odpowiedział:

— Jak wuj może przypuszczać. Gdyby mi to kto inny śmiało powiedzieć...

— No, no, no! — odparł, śmiejąc się pan Pławicki. — Niema dymu bez ognia.

Tegoż jeszcze wieczora Marynia, żegnając się z Połanieckim, spytała:

— Czy mi pan nie odmówi jednej rzeczy?

— Co tylko pani rozkaże.

— Bo ja sobie dawno powiedziałam, że jeśli przyjdzie taka chwila, jak dziś, to potem pojedziemy razem do Litki.

— A moja droga pani! — odpowiedział Połaniecki.

A ona mówiła dalej:

— Nie wiem, co tam ludzie powiedzą, ale co nam do świata — prawda?

— Naturalnie! Mielibyśmy też na ludzi się oglądać. Z duszy serca jestem pani wdzięczny za tę myśl. Moja droga pani, moja.... Maryniu.

— Bo ja myślę, że ona patrzy na nas i modli się za nas.

— Tak, to nasza mała patronka.

— Dobranoc.

— Dobranoc.

— Do jutra.

— Do jutra — rzekł całując jej ręce — do pojutra, co dzień, i do...

Tu dodał ciszej:

— I do ślubu.

— Tak! — odpowiedziała Marynia.

Połaniecki wyszedł. W głowie i w sercu czuł wielki zamęt myśli, uczuć, wrażeń, nad którymi panowało jedno główne pojęcie, że stało się coś niesłychanie stanowczego, że los jego został rozstrzygnięty, że czas namysłów, wahań się i zmian przeszedł, i że trzeba zacząć nowe życie. I to poczucie nie było mu nieprzyjemne, a nawet graniczyło z pewnem upojeniem, zwłaszcza gdy przypominał sobie, jak całował

skroń i włosy Maryni. To *coś*, czego w jego uczuciu brakło, mało i ginęło w owem przypomnieniu prawie zupełnie — i Połanieckiemu zdawało się, że znalazł wszystko, czego do zupełnego szczęścia trzeba. „Tem się nie przesyce, nigdy! — myślał sobie, i wprost zdawało mu się, że to jest niepodobieństwo. Przytem myślał o dobroci Maryni, o tem, jaka ona jest *pewna*, jak na takim sercu i charakterze można budować, jak w życiu z nią nigdy nie może grozić, jak ona nie w niem nie zdepcze, nie nie zmarnuje, jak przyjmie za złoto to, co jest w nim złotem, jak będzie żyła dla niego, nie dla siebie — i tak myśląc, zadawał sobie w duszy pytanie, co mógł lepszego znaleźć? i prawie dziwił się swoim dawnym wahaniom.

Jednakże czuł jednocześnie, że to, co ma przyjść, jest zmianą tak olbrzymią, czemś tak bez miary stanowczem, że gdzieś, na dnie, w najgłębszym zakątku duszy, budził się w nim jakby niepokój przed owem szczęściem nieznanem.

Lecz nie wahał się: „Nie jestem ani tchórzem, ani niedołągą (myślał). Trzeba teraz iść naprzód — i pójść.“

Wróciwszy do domu, spojrział na Litkę i natychmiast otworzył się przed nim jakby nowy jasny widnokrąg. Pomyślał, że może mieć dzieci. — Taką oto jasną, drogą główkę — i to z Marynią! Na samą myśl o tem serce poczęło bić mu żywiej — i do porwy zmysłów dołączyła się taka jakaś otucha życiowa, jakiej od dawnych lat nie zaznał. Czuł się prawie zupełnie szczęśliwy. Spojrzawszy wypadkiem na list Bukackiego, który przy rozbieraniu się wydobyl z kieszeni, począł się śmiać tak szczerze, że aż służący zajrzał ze zdziwieniem do pokoju. Połaniecki miał ochotę powiedzieć mu, że się żeni.

Zasnął dopiero nad ranem, ale wstał rzeźwy, wypoczęty i ubrawszy się poleciał do biura, by jak najprędzej zwiastować nowinę Bigielowi.

Bigiel uściskał go, następnie począł ze zwykłą sobie powolnością rozważać sprawę i wreszcie rzekł:

— Biorąc na rozum — to jest najmądrzejsza rzecz, jaką w życiu zrobisz.

Poczem, ukazawszy na biurko z papierami, dodał:

— Te kontrakta powinny być korzystne — ale tamten jeszcze lepszy.

— Co? nie prawda? — zawołał chępliwie Połaniecki.

— Lecę powiedzieć żonie — rzekł Bigiel — bo nie mogę wytrzymać, a ty sobie także idź i idź na dobre. — Będę cię zastępował do dnia ślubu i przez miodowy miesiąc.

— Dobrze—odpowiedział Połaniecki;—leczę odwiedzić Maszkę, a potem jedziemy z Marynią do Litki.

— To jej się od was należy.

Połaniecki nakupił znów po drodze kwiatów, dołączył do nich wiadomość, że zaraz przychodzi, i wpadł do Maszki.

Maszko miał się pod opieką pani Krasławskiej znacznie lepiej i lada chwila spodziewał się jej przybycia. Tymczasem, wysłuchawszy nowiny, ścisnął rękę Połanieckiego z pewnem wzruszeniem i rzekł:

— Powiem ci tylko jedno: nie wiem, czy ona będzie z tobą szczęśliwa—ty z nią napewno.

— Bo kobiety są lepsze od nas—odpowiedział Połaniecki,—spodziewam się, że po tem, co cię spotkało, i ty jesteś tego zdania.

— Wyznaję, że dotąd nie mogę ochłonąć ze zdumienia. Są zarażem i lepsze od nas, i bardziej tajemnicze... Wyobraż sobie...

Tu Maszko zaciął się, jak gdyby się wahał, czy ma mówić dalej.

— Co?—spytał Połaniecki.

— Tak! ty jesteś dyskretny człowiek, a przytem dałeś mi takie dowody przyjaźni, że może nie być między nami tajemnic: wyobraż więc sobie, że wczoraj po twojem odejściu odebrałem anonim—tu, jak wiesz, panuje ten szlachetny obyczaj pisania anonimów—a w nim wiadomość, że papa Krasławski istnieje, żyje i ma się dobrze.

— Co znowu? może być plotka.

— Ale może i nie być. Żyje podobno w Ameryce. List odebrałem podczas bytności pani Krasławskiej. Nie mówiłem jej nic, ale po pewnym czasie, gdy, po obejrzeniu tych oto portretów, poczęła mnie wypytywać o dalsze stosunki rodzinne, spytałem i ja ją z kolei, jak dawno jest wdową? Odpowiedziała mi na to: „Jesteśmy z córką same na świecie od dziewięciu lat, ale to są smutne dzieje, o których dziś nie chcę mówić.“ Uważ, że nie odpowiedziała wprost, kiedy jej mąż umarł.

— I co ty na to?

— Ja myślę, że jeśli papa żyje, to musi być tego rodzaju figura, o której się nie mówi i że to naprawdę mogą być „smutne dzieje.“

— Tajemnica dawno-by się wydała.

— Te panie siedziały kilkanaście lat za granicą. Kto wie? Zresztą w niczem to moich zamiarów nie zmienia. Jeśli pan Krasławski siedzi w Ameryce i nie przyjeżdża tu, to musi mieć do tego dobre powody, więc tak, jakby go nie było. Owszem, teraz nabieram otuchy, że moje małżeństwo dojdzie do skutku, bo rozumiem, że gdy ludzie muszą coś ukrywać, wówczas mniej są wymagający.

— Wybacz mi moją ciekawość — rzekł Połaniecki, biorąc kapelus, — ale mnie chodzi o moją sumę, a teraz o Pławickich: czy ty wiesz napewno, że te panie mają pieniądze?

— Powiem ci otwarcie: zdaje się, że i grube, ale jednak stawiam na kartę trochę zakrytą. Prawdopodobnie mają znaczną gotówkę. Matka powiedziała mi kilkakrotnie, że córka jej nie potrzebuje się oglądać na majątek męża. Kasę żelazną widziałem. Dom prowadzą duży. Znam w Warszawie niemal wszystkich żydów i nie-żydów, którzy pożyczają pieniędzy, i wiem napewno, że nikomu grosza nie winne. Jak sam wiesz, mają ładną willę niedaleko od Bigielów. Z kapitału nie żyją, bo są na to za mądre.

— Pozytywnej cyfry jednak nie wiesz?

— Probowałem wypytywać, ale z daleka. Nie będąc zbyt pewnym stosunku z nimi, nie mogłem bardzo naciskać. Dano mi do zrozumienia, że będzie ze dwieście tysięcy rubli, a kiedyś więcej.

Połaniecki pożegnał się i, idąc do Pławickich, myślał:

— Wszystko to są jakieś tajemnice, jakieś mroki, jakieś ryzyka. Wolę Marynię.

I w pół godziny później jechali z Marynią na cmentarz, do Litki. Dzień był ciepły, jak na wiosnę, ale szaro: miasto wyglądało ponuro i brudno. Na cmentarzu topniejący śnieg opadał płatami na ziemię z grobów i odsłaniał żółtką, nawpół przegniłą murawę. Z ramion krzyżów i z bezlistnych gałęzi drzew spadały duże krople, które zrywający się od czasu do czasu podmuch ciepłego wiatru rzucał w twarz Połanieckiemu i Maryni. Podmuchy owe szarpały jej suknię, tak, że musiała ją tłumić. Stanęli wreszcie u grobu Litki.

I tu wszystko było mokre, oślizłe, posępne, nawpół obnażone z topniejącego śniegu. Myśl, że to dziecko, którego niegdyś tak strzeżono, takie kochane i pieszczone, leży teraz w tej wilgoci i piwnicznym mroku, nie chciała się Połanieckiemu prawie w głowie pomieścić. „Wszystko to może naturalne—myślał,—jednak ze śmiercią niepodobna się pogodzić.“ I rzeczywiście było tak, że ilekroć odwiedzał Litkę, wracał z tego cmentarza z jakimś niepohamowanym buntem, z jakimś namiętnym protestem w duszy. Te myśli poczęły go targać i w tej chwili; wydało mu się wprost strasznie kochać Litkę i pogodzić kochanie ze świadomością, że o kilka stóp poniżej ona tam leży, czarna i rozkładająca się. „Ja tu nie powinienem przychodzić—mówił sobie,—bo tu wsłabiam się, tracę głowę i wszelkie podstawy do życia.“ Przedewszystkiem jednak męczył się, bo jeśli o śmierci niepodobieństwem jest nie myśleć, równem niepodobieństwem jest coś wymyślić i dlatego

wszystko, co o niej przychodzi do głowy, jest, o ile człowiek nie wyciągnie rąk do prostej wiary, zarazem rozpacziwem i płytkiem, oklepanem, pospolitem. „Mnie tu chodzi więcej, jak o samo istnienie, a uniem sobie odpowiedzieć tylko komunałem. Zupełne koło błędne!“ I to była prawda. Jeśli bowiem myślał naprzykład, że na pierwsze wspomnienie o śmierci wszystko staje się dymem i czuł, że, niestety, tak jest, czuł przytem, że tysiące ludzi zdobyły się na to pojęcie przed nim i że nikt nie znalazł w tem ani otuchy, ani nawet takiego zadowolenia, jakie daje wykrzycie prawdy. Wszystko, co mógł sobie powiedzieć, było zarazem straszne i miałkie. Łatwo mu było rozumieć, że całe życie ludzkie, dzieje powszechne, wszelkie filozofie, są w gruncie rzeczy tylko walką ze śmiercią nieustanną, rozpaczliwą, zupełnie zrozumiałą i jednocześnie bezdennie głupią i bezcelową, bo z góry straconą. Ale takie rozumienie nie mogło mu przynieść żadnej ulgi, było ono bowiem tylko stwierdzeniem nowego koła błędnego. „Bo gdy jedynym celem wszelkich wysiłków ludzkich jest życie, a jedynym rezultatem śmierć, to bezsens przechodzi miarę i poprostu nie można-by go przypuścić, gdyby nie owa oczywistość obmierzała i niemilosierna, która istoty żywe i kochane zmienia w rzecz zgniłą.“

Polaniecki za każdą bytnością na cmentarzu zatruwał się podobnemi myślami. Dziś, jadąc, sądził, że obecność Maryni uwolni go od nich, tymczasem stało się raczej przeciwnie. Śmierć Litki, poderwawszy w nim ufność w sens i w moralną celowość życia, podkopwała właśnie w nim i tę pierwszą, dawną miłość do Maryni, tak naiwną i pozbawioną zwątpień; teraz więc, gdy wraz z Marynią stanął przy grobie Litki, gdy ta śmierć, która zaczęła być już tylko wspomnieniem, stała się znów czemś niemal dotykalnem, zatruwające jej działanie spotęgowało się znowu. Znowu mu się wydało, że całe życie, zatem i miłość, jest tylko obłudem, a zabiegi życiowe czemś zupełnie czezem i marnem. Jeśli nad życiem niema ani rozumu, ani miłosierdzia—to po co się trzudzić, po co kochać, po co się żenić? Czy po to, żeby mieć dzieci, przywiązać się do nich każdą kroplą krwi, a potem patrzeć bezradnie, jak je owa ślepa, głupia, oburzająca i brutalna siła dusi, jak wilk jagnięta, i przychodzić do ich grobu z myślą, że pleśnieją w ciemności i wilgoci. Ot, Litka tam przecie leży!

Dziwnie posepny dzień potęgował tylko gorycz tych poczuć. Czarami, za poprzednich bytności, cmentarz wydawał się Polanieckiemu jakąś wielką nicością, w której rozplywa się życie, ale rozplywa się i wszelka niedola, czemś ogromnie sennem i kojącem. Dziś nie było na nim spokoju. Płaty śniegu osuwały się z pni i z grobów; wśród mokrych drzew tłukły się z krakaniem wrony. Nagłe i potężne podmuchy

wiatru rzucały kroplami wilgoci, oderwanemi od gałęzi i, gnąc je, tworzyły jakąś rozpaczliwą szarpaninę wśród nieruchomych, kamiennych i obojętnych krzyżów.

Wtem Marynia przestała się modlić i rzekła takim stłunionym trochę głosem, jakim się mówi na cmentarzach:

— Teraz jej dusza musi być między nami.

Połaniecki nie odpowiedział nic, ale naprzód pomyślał, że on i Marynia są istotami, jakby z dwóch odrębnych światów, a następnie, że gdyby w tem, co ona mówi, była choć cząstka prawdy, to wszystkie jego duchowe rozterki były-by mniej warte, niż ten topniejący śnieg. W takim razie, mówił sobie, istnieje umieranie i istnieją cmentarze, ale śmierci poprostu niema.

Marynia poczęła teraz układać na grobie wianki z nieśmiertelników, które kupili przed bramą, on zaś myślał śpiesznie, raczej za pomocą poczuć, niż za pomocą myśli:

— W moim świecie niema na nic odpowiedzi, są tylko koła błędne, które się staczają w przepaść.

I uderzyło go to, że gdyby takie pojęcia o śmierci, jakie miała Marynia, nie wypływały z wiary, albo gdyby były zupełnie nieznanne i gdyby niespodzianie postawił je jaki filozof, jako hipotezę,—toby tę hipotezę uznano za najgieniałniejszą z gieniałnych — ona bowiem wszystko tłumaczy, na wszystko daje odpowiedź, rozświeca nie tylko życie, ale i śmierć, która jest ciemnością. Ludzkość kłękła-by z podziwu przed takim mędrceem i taką naukową teorią.

Z drugiej strony czuł, że jednak było coś z Litki między nimi. Ona sama rozsypywała się w proch, ale coś ją przeżyło; zostały jakieś fale jej myśli, jej woli, jej uczucia. To, że on zbliżył się z Marynią, że byli narzeczonymi, że teraz stali przy grobie Litki, że się połączą, że życie pójdzie im razem, że będą mieli dzieci, które z kolei będą żyły, kochały i mnożyły się—czemże było, jeśli nie taką falą, która, wyszedłszy z tego dziecka, mogła iść i iść w nieskończoność, odradzając się w nieśmiertelnym łańcuchu zjawisk. Jakże tedy zrozumieć, by z istoty śmiertelnej wyszła nieśmiertelna i nieskończona energia? Marynia w prostocie swej wiary znalazła na to odpowiedź—Połaniecki nie.

A jednak Marynia miała słuszność: Litka była między nimi. Połanieckiemu przeleciało teraz przez głowę jakieś niejasne i niezwane w ścisłą myśl przypuszczenie, że może wszystko to, co człowiek za życia pomyśli, wszystko, czego chce, wszystko, co przekocha, jest taką, stokroć bardziej nieuchwytną, stokroć subtelniejszą od eteru materią, z której powstaje jakaś astralna istota, świadoma siebie i albo wieczna,

albo przeradzająca się w istnienia coraz doskonalsze, subtelniejsze, aż do nieskończoności. I zdawało mu się, że atomy myśli i uczuć mogą się skupiać w odrębną jednostkę właśnie dlatego, że, wychodząc z jednego mózgu lub serca, są sobie pokrewne, zatem dążą ku sobie z tej samej tajemniczej zasady, z jakiej skupiają się pierwiastki fizyczne, by wytworzyć fizyczną jednostkę. Obecnie nie miał czasu nad tem myśleć, ale zdawało mu się, że czegoś dostrzegł, że w zasłonie, którą miał na oczach, utworzyła się jakaś mała szpara. Mogło się to okazać złudzeniem, ale w tej chwili, gdy czuł, że Litka jest jednak między nimi, mniemał, że obecność jej w taki tylko sposób może być zrozumiałą.

Tymczasem nadszedł jakiś pogrzeb, bo w dzwonnicy, stojącej na środku cmentarza, poczęto dzwonić. Połaniecki podał Maryni rękę i poszli ku bramie. W drodze Marynia, myśląc widocznie w dalszym ciągu o Litce, rzekła:

— Teraz jestem zupełnie pewna, że będziemy szczęśliwi.

I przytuliła się silniej do ramienia Połanieckiego, bo zresztą i uderzenia wiatru stały się tak potężne, że trudno jej było im się oprzeć. Jeden z podmuchów obwinał jej woalkę naokół szyi Połanieckiego. Rzeczywistość poczęła go wołać. Przyciskał oto do boku ramię kochającej kobiety i czuł, że kochanie, jeśli nie jest zdolne przesłonić śmierci, to przynajmniej godzi z życiem.

Wsiadłszy do karety, wziął dłoń Maryni i nie wypuszczał jej przez całą drogę. Chwilami wracała mu niemal zupełna otucha, myślał bowiem, że owe braki, jakie istniały w jego uczuciu, ta słodka i dobra do gruntu dziewczyna potrafi wypełnić i wskrzesić wszystko, co zmarniało. „Moja żona! moja żona!“—powtarzał sobie w duszy, patrząc na nią, a jej pocziwe jasne oczy odpowiadały mu: „twoja!“

Gdy zajechali do domu, pan Pławicki nie powrócił jeszcze z przedobiedniej przechadzki, znaleźli się więc sam na sam. Połaniecki siadł koło Maryni i pod wpływem tych myśli, które przechodziły mu przez głowę podczas drogi, rzekł:

— Pani powiedziała, że Litka była między nami—i to prawda! Ja zawsze wracałem jak ścięty z cmentarza, a jednak dobrze, żeśmy tam byli.

Marynia zaś odrzekła:

— Bo to tak, jakbyśmy jeździli po błogosławieństwo.

— Ja mam to samo wrażenie, i prócz tego, tak mi się wydaje, jakbyśmy już byli połączeni, a przynajmniej bliżsi sobie, niż przedtem.

— Tak—i to będzie i smutne i dobre wspomnienie.

Wtedy on wziął znowu jej rękę i rzekł:

— Więc jeśli pani ufa, że będziemy szczęśliwi, po co szczęście zwlekać? Moja dobra, moja najlepsza, i ja ufam, że nam będzie dobrze; nie zwłóczmy ślubu. Mamy zacząć nowe życie, to je zacznijmy prędko.

— To niech pan postanowi. Ja całą duszą jestem pana.

Na to on przyciągnął ją, jak pierwszego dnia, i po chwili znów począł szukać ustami jej ust, ona zaś, czy to pod wpływem myśli, że jego prawa są dziś już większe, czy pod wpływem budzących się zmysłów, nie odwracała już głowy, ale, zmrúżywszy oczy, sama podała mu usta, jakby spragnione oddawna.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HENRYK SIENKIEWICZ.

PRZYSZŁA WOJNA

JEJ EKONOMICZNE PRZYCZYNY I SKUTKI. ¹⁾

ROZDZIAŁ XX.

Ilość zabitych i ranionych w przyszłej wojnie.

W poprzedzających rozdziałach wypadło już nam dotknąć kwestyi, jak wielką doniosłość dla charakterystyki przyszłej wojny posiada pytanie, ile ofiar ludzkich ona pochłonie? Odpowiedzi w dziełach specjalistów znaleźć nie mogliśmy dla tej prostej przyczyny, iż zdania ich nie tylko się różnią, lecz nawet stoją nieraz w rażącej sprzeczności.

Jedni przypuszczają możliwość strat nadzwyczajnych, ale jednocześnie utrzymują, iż na te nieuniknione skutki wojny zbyt wielkiej uwagi zwracać nie należy. Celem walki winno być przedewszystkiem zwycięstwo—trzeba wszystko zrobić, wszystko poświęcić, aby je odnieść. Ilość strat jest dla nich rzeczą podrzędną, liczba zabitych i ranionych nie może wpływać na taktykę ²⁾.

¹⁾ Patrz zeszyt listopadowy „Biblioteki“ z r. z.

²⁾ Pułkownik Crouzet: „Du nouvel armement et de la poudre sans fumée.“ Paris, 1891.

Skrajne pojęcia takie spotykają wielu poważnych opponentów, którzy dowodzą, że na urzeczywistnienie taktyki, wymagającej zbyt wiele strat, współczesne armie europejskie nie będą poprostu miały żołnierzy

Serca i umysły w społeczeństwach dzisiejszych, a tem samem i w armiach, coraz bardziej przeniknięte są ideami i uczuciami humanitarnymi, a tymczasem wojna taka wymagała-by z jednej strony nadludzkiego niemal poświęcenia, z drugiej zaś szczególnego zamilowania do mordu.

Pamiętać też należy, iż dziś armie składają się nie z żołnierzy zawodowych, przywykłych do okrucieństw i do widoku krwi, lecz z obywateli, mających najczęściej wstręt do rzezi i niechęć do wojny, oderwanych czasowo od pracy i od ogniska domowego, a dolegliwości wojny znoszących jedynie z nienawistnego musu.

W ten sposób w literaturze wojskowej wytworzyły się dwa prądy, bardzo od siebie różne. Stronicy jednego obozu, konserwatywnego niejako, starają się przedstawić, iż przyszła wojna bardzo mało różni się będzie od swych poprzedniczek; przypuszczają, iż ani broń nowa, ani nowe środki pomocnicze, ani wreszcie nowe kierunki taktyki nie zmienią istoty jej charakteru; uważają przytem wojnę oczekiwaną za prawą sukcesorkę dziejów, za całkiem konieczny wynik i naturalny objaw stosunków międzynarodowych.

Rzecz szczególna, iż większość pisarzy tego kierunku—o ile naturalnie mogliśmy się rozpatrzeć w potopie dzieł, broszur i artykułów, ukazujących się nieustannie—stanowią wojskowi wyższych stopni, od pułkownika poczynając. Biorąc rzecz psychologicznie, można się było raczej spodziewać, iż takie stanowisko zajmą oficerowie młodzi. Tymczasem okazuje się, iż w dziełach tych ostatnich coraz częściej przebija się chęć zwrócenia uwagi na sprzeczność pomiędzy przygotowywaniem coraz to potężniejszych środków tępienia ludzi a powoływaniem do szeregów wszystkich niemal dorosłych mężczyzn.

Pochodzi to może ztąd, iż młodzi oficerowie, stojąc bliżej żołnierza, lepiej widzą i bardziej pamiętają o tem, do czego użyć się dadzą szeregi armii współczesnych, dokąd zajdą, a ztąd się cofną z zechcą. A może też z wrażliwością, wrodzoną młodemu wiekowi, przeceniają oni skutki postępów techniki wojskowej, i dlatego tylko zdaje im się, iż żołnierz nie będzie miał chęci i dostatecznej siły do nadstawienia piersi pod kule wroga, niosące niechybną śmierć lub kalectwo. W każdym razie pytanie: jak wielkie straty w ludziach pociągnie za sobą przyszła wojna?—posiada dziś większą niż kiedykolwiek doniosłość.

I.

Niemiecki pisarz, Höning, powiada ¹⁾: „W bitwach Napoleona I i Fryderyka Wielkiego straty—jeżeli historya prawdę mówiła—docho-
dziły do 30, 40 i 50%. W żadnej bitwie nowszych czasów nie zdarzyło
się nic podobnego. Tylko pojedyncze brygady i dywizye (np. 38 bry-
gada, 5, 6, 1 i 2 dywizye gwardyi) poniosły straty, blizkie do cyfr po-
wyższych (Mars la Tour, Vionville, St. Privat la Montagne). Pomimo
to nie zapisano nigdzie, aby podczas tych wojen, lub po ich ukończeniu,
wystąpiła kwestya uniknięcia w przyszłości strat podobnych; tymcza-
sem dziś myśl ta przebija się na wszelkie tony w pismach taktycznych.
Bodaj zaś, czy to wojsku dodaje otuchy. Gdy się ciągle wywołuje wi-
dma, nie należy się dziwić, iż w końcu zapełniają one wyobraźnię stra-
chem i przerażeniem. Wzgląd ten zdaje się być stale pomijany, a stra-
szliwe niebezpieczeństwo, jakie ztąd grozi psychicznej sile mas—lek-
ceważone.

„Nieraz zadawałem sobie pytanie: na czem opiera się nasza filo-
zofia strat? Czy wynika ona ztąd, iż nie patrzymy już na stan rzeczy
tak, jak patrzeć powinniśmy, czy też jesteśmy niewieściuchami
w porównaniu do naszych przodków, czy dzisiejszy materiał ludzki
jest szacowniejszy i to po każdej bitwie wywołuje okrzyk, czy wreszcie
jest to może moralny wpływ odtylcówek i ten wprawia w ruch tyle piór?

„Ze względu na to, dało-by się postawić kilka hipotez, które je-
dnak opuszczam, bo i tak mamy ich za dużo. To tylko niewątpliwe, że
pewien stopień cywilizacji wytwarza równocześnie zniewieściałość
i wzmaga egoizm wyhodowany w dobrobycie, a przez to odwaga mę-
ska oraz duch poświęcenia słabnie lub ginie; ogłuszający huk odtylcó-
wek wywiera wśród ogromnej większości wrażenie demoralizujące.“

Nam się zdaje, iż jedynie dane z wojen poprzednich mogą do-
starczyć rzeczywiście pewnych wskazówek i pozwolić na bardziej kry-
tyczną ocenę przesadzonych oczekiwań jednych i zbytniego sceptycy-
zmu innych autorów.

„W r. 1812 armia francuska po przejściu przez Niemen, t. j. od
22 lipca do chwili przybycia pod Witebsk, a więc w ciągu miesiąca, stra-
ciła $\frac{1}{3}$ część swego składu. Od 13 sierpnia do 6 września, t. j. przez
24 dni, ubyło znowu 60,000 ludzi, czyli każdodzienny ubytek wy-
nosił około 2,500 ludzi. Licząc od przejścia przez Niemen do cofnięcia
się z pod Moskwy, t. j. do dnia 23 października, a więc w ciągu czte-
rech miesięcy, ubyło około $\frac{3}{4}$ całej armii; przyczem zaznaczyć trzeba,

¹⁾ „Taktik der Zukunft.“

że w ciągu tego czasu uzupełnianie wojsk przez nowe siły wcale miejsca nie miało.

„Armia francuska z pod Metz w 1870 roku w ciągu 95 dni, od 26 lipca do 29 października, straciła $\frac{3}{7}$ części swego składu. W ciągu tej samej wojny bataliony niemieckie, które w początkach, t. j. w lipcu, posiadały po 900 ludzi, po upływie 5 miesięcy liczyły ich nie więcej, jak po 550, t. j. ubytek wynosił około 40%. W rzeczywistości jednak cyfry te nie obejmują wszystkich strat. Według bowiem oficjalnych dokumentów, ilość niezdolnych do działania i zwróconych z pola bitwy kołajami żelaznymi wynosiła 241,000. Dodawszy do tego poległych, zmarłych wskutek ran i przypadłych bez wieści, razem około 41,000 ludzi, otrzymamy ogólną liczbę wybyłych z szeregów 282,000. Według innych danych, armia niemiecka przy rozpoczęciu wojny z Francją liczyła 1,113,000 żołnierzy, a pod koniec wojny 1 marca 1871 r. liczebność jej wynosiła 824,000 ludzi. Różnica, przedstawiająca ubytek z szeregów, stanowi 289,000—cyfrę mało bardzo różniącą się od powyżej wskazanej. W ten sposób ogólny ubytek armii stanowi $\frac{1}{3}$ jej części w ciągu $7\frac{1}{2}$ miesięcy ¹⁾.

„Należy tu jeszcze dodać, że prawie niepodobna jest określić liczby żołnierzy, którzy znajdowali się w szpitalach polowych i po wyzdrowieniu wstępowali znowu do szeregów. Ci ostatni zaliczali się zawsze do swoich oddziałów, wszelakoż nie przynosili im przez czas pewien żadnej korzyści, a tem samem oddziały te w ten sposób były słabsze i mniej liczebne. Ilość takich żołnierzy wynosiła podobno $\frac{1}{5}$ całej armii.

„W czasie ruskoturckiej wojny w latach 1877 i 1878 armia rуска nad Dunajem liczyła 592,000 ludzi, z których w 1878 r. 106,000 znajdowało się w szpitalach; ewakuowano 118,000, dodawszy zaś do tego poległych, zmarłych wskutek ran i przypadłych bez wieści—36,000, otrzymamy ogólny ubytek 154,000, czyli $\frac{1}{4}$ część armii w ciągu 8 miesięcy“ ²⁾.

Na podstawie wszystkich tych faktów dojść można do wniosku, że w wojnach przyszłych, które—jak mniema autor wyżej cytowanego artykułu—będą prawdopodobnie krótsze, lecz natomiast obfitować muszą w częstsze starcia, straty wyniosą około 50% w ciągu miesięcy pięciu, przyczem wypadnie uzupełniać armię codziennie o $\frac{1}{300}$ część jej

¹⁾ Godną jest uwagi okoliczność, że, jak wskazują liczby niemieckiego biura statystycznego, Sasi i Bawarzy więcej stosunkowo mieli zabitych i rannych, niż Prusacy. Prusacy 14.1%, Sasi 16.4%, Bawarzy 19.1%.

²⁾ „Wojennyj sbornik.“

składu. Przypuściwszy, iż wojna przeciągnęła-by się dwa lata, to, wedle tego obračunku, wypadło-by dokonać podwójnej zmiany całości armii.

Porównawszy dane co do strat w wojnach r. 1870 i 1877 z liczbami dawniejszych kampanii, otrzymamy rezultaty następujące:

Na 100 żołnierzy, biorących udział w wojnie,

	zabito	raniono
w wojnie krymskiej ¹⁾	3	14
„ „ włoskiej	2	12
„ „ niemiecko-francuskiej ²⁾	3	14

Widzimy, że pomimo znacznego odstępu czasu, odmiennych całkiem warunków, oraz nadzwyczajnej różnicy broni i taktyki, straty w kampanii krymskiej ściśle były takie same, jak podczas wojny francusko-pruskiej 1870—71 roku. Wojna włoska dała nam liczby nieco tylko niższe. A więc cyfry powyższe zdają się potwierdzać zdanie tych autorów, którzy przeczą, jakoby postęp techniki wojskowej miał powiększać morderczość wojen. Widocznie wytrzymałość natury ludzkiej nie jest zdolna przekroczyć pewnej granicy.

Przejdźmy teraz do ofiar, pochłoniętych przez pojedyncze bitwy bieżącego wieku. Oto cyfry, będące rezultatem badań prof. Richtera:

Pod Austerlitz	straty stanowiły 36% ogółu walczących.	
„ Iłowem (Eylau)	33%	„ „
„ Borodinem	33%	„ „
„ Lipskiem korpus Yorka w dwie godziny stracił	25%	„ „
„ Tamże korpus Kleista w ciągu dwu dni stracił	33%	„ „
„ Waterloo Anglicy stracili	25%	„ „
„ Solferino straty wynosiły	8%	„ „
„ Sadową Prusacy stracili	4%	„ „
„ „ Austriacy „	11%	„ „
„ Wörth Niemcy „	12%	„ „
„ Spichern „ „	18%	„ „
„ Mars la Tour „ „	22%	„ „
„ Gravelotte „ „	10%	„ „
„ Sedanem „ „	4½%	„ „
„ „ Francuzi „	15—19%	„ „
„ St. Privat Niemcy „	13%	„ „

¹⁾ W rachubę wzięte zostały tylko straty wojsk sprzymierzonych.

²⁾ W rachubę wzięte zostały tylko straty Niemców.

Pod St. Privat Francuzi stracili	8%	ogółu walczących.
„ Vionville Niemcy „	20%	„ „
„ „ Francuzi „	7%	„ „

W zestawieniu powyższem uderza nas przedewszystkiem okoliczność, że żadna z bitew późniejszych tak krwawą, jak batalie Napoleońskie, nie była. Cyfry wahają się bardzo, zmieniają się od 4% aż do 22%, lecz do strasznej liczby 33%, która tam jest prawie stałą, nie dochodzą. Pomimo więc zastąpienia krzemienia kapiszonem, pomimo wprowadzenia gwintowanych karabinów, a wreszcie szybkostrzelnej, z tyłu nabijanej broni, krew widocznie płynie coraz mniej obficie.

Pojedyncze pułki i bataliony poniosły w r. 1870 takie straty, jakich za czasów Fryderyka i Napoleona I nie znano. Zdarzyło się to ze stratami gwardyi pod St. Privat (76%); z 16 pułkiem piechoty pod Mars la Tour (37.60%, prócz tego 12¹/₅% w jeńcach), — z 52 pułkiem piechoty pod Mars la Tour (38%).

„Będziemy musieli być na to przygotowani — mówi Merkel, — że w nowej wojnie i z podobnym przeciwnikiem poniesiemy też same straty, pomimo nieskończonego dziś jeszcze usiłowania uniknięcia tego za pomocą znakomicie obmyślanych form obrony.“

Co się tyczy ostatniej wojny wschodniej 1877 roku, bardzo ściśle dane co do niektórych bitew i utarczek znajdujemy w dziele d-ra Pirogowa ¹⁾. Okazuje się, że w bitwach pod Plewną, należących do najbardziej krwawych potyczek w XIX stuleciu, straty russkie w zabitych i rannych wynosiły:

w dniu 8 lipca . . .	36%
„ 18 „ . . .	21%
„ 30 „ . . .	20%

Wysokość tych liczb daje się łatwo wytłómaczyć warunkami walki. Wojska russkie atakowały pozycję ufortyfikowaną, mając przytem przeciwko sobie broń szybkostrzelną i dalekonośną, która też czyniła straszliwe spustoszenia.

General Kuropatkin powiada, że „pułki, biorące udział w szturmie 30 sierpnia, straciły 34% swego składu osobistego; przeciętna strata oficerów dosięgła cyfry 50%. W niektórych pułkach straty oficerów wynosiły 65%, a niektóre rotys traciły przeszło połowę swego kompletu.“

Obliczają, że w r. 1866 z całości poniesionych strat na działanie artyleryi przypada 5%,—według innych rachunków Austryaków padło

¹⁾ „Wojennyj sbornik,“ 1885.

od ognia działowego 3%, — 90% od pocisków iglicówek, a 7% od białej broni; — Prusaków zaś 16% poraziła artylerya, 79% kule karabinowe i 5% biała broń. W r. 1870 w bitwie pod Gravelotte Niemców zginęło: 2.7% od strzałów armatnich, 96.5% od szaspotów; Francuzów padło 25% od ognia artyleryi, 70% od iglicówek. Bezwarunkowo artylerya niemiecka strzelała w r. 1870 lepiej, aniżeli w r. 1866, i lepiej też była obsługiwana.

Godnym uwagi jest stosunek strat, poczynionych przez kule karabinowe, do strat, wyrządzonych pociskami artyleryi tureckiej wśród wojsk russkich w r. 1877 pod Plewną. Pomimo że chodziło o zdobycie pozycji ufortyfikowanej i zaopatrzonej dostatecznie w działa, straty od pocisków armatnich w ogólnej liczbie stanowią 3—5%, podczas gdy na kule karabinowe przypada od 94 do 96%, a na broń białą zaledwie około 1%. Jeżeli liczby te porównamy ze stratami, jakie w Krymie poniosła armia francuska, walcząc w okolicznościach podobnych, jak russka pod Bałkanami, to się okaże, o ile dziś większą rolę odgrywa na wojnie nowa broń (w danym razie magazynówki tureckie). Armia francuska wówczas straciła od kul karabinowych (ze strzelb o gładkich lufach) 73%, od pocisków armatnich 25%, od broni białej 2%. W wojnie włoskiej, toczonej w otwartem polu, w r. 1859 odrazu stosunek strat, wyrządzonych przez kule karabinowe, wzrasta do 92%, nie dochodzi jednak do cyfr pleweńskich.

Cyfry te są ciekawe jeszcze i pod tym względem, że znajdujemy w nich najwyższy stosunek liczby zabitych do rannych. Zwykle dotychczas stosunek zabitych do ilości rannych równał się 1 : 5, a nawet 1 : 6, tymczasem w bitwach pleweńskich wynosi on 1 : 1. Pirogow tłumaczy to specjalnemi okolicznościami walki: prawdopodobieństwem kilkakrotnego ranienia tych samych żołnierzy, dobijaniem rannych przez Turków. Może jednak było to poprostu skutkiem działania nowych karabinów tureckich, z których kule uderzały z większą siłą.

Naturalnie w takim razie można-by przewidywać, iż w przyszłych wojnach, kiedy broń jeszcze doskonalszą będzie, niż magazynówki tureckie z r. 1877, stosunek ten zabitych do rannych jeszcze bardziej wzrośnie, czyli, że wszelkie porażenia będą bardziej śmiertelne na razie, łatwiej zaś uleczalne w następstwach.

Dane, które przytoczyliśmy w innych rozdziałach, mówiąc o działaniu nowej broni w wojnie chilijskiej i przy uśmierzeniu powstania w Białej na Szląsku austryackim, potwierdzają te przypuszczenia. Są to jednak dotychczas tylko drobne doświadczenia, które dopiero wojna przyszła stwierdzić lub obalić potrafi.

Zbytlich jednak nadziei na łatwość leczenia z ran, zadawanych nowemi kulami z nowych karabinów, żywić nie należy, gdyż nie wszy-

stkie, dotychczas zrobione, próby do tego upoważniają. W r. 1780 na 5 ran, pochodzących od pocisków z broni iglicowej, 4 okazywały się śmiertelnymi natychmiast po wydobyciu kuli.

Zobaczymy teraz, jakie niebezpieczeństwo w bitwach wojny roku 1870—71 zagrażało żołnierzom w różnych rodzajach broni.

Straty wynosiły:

wśród piechurów	17.6%
„ kawalerzystów	6.3%
„ artylerzystów	6.5%
„ saperów i pionerów	2.8%
w parkach	0.3%

Czyli: niebezpieczeństwo utraty życia lub poniesienia rany w tej wojnie w piechocie było większe, niż w innych rodzajach broni, 3 do 9 razy.

Co się tyczy kampanii 1877 r., to generał Kuropatkin robi następujące uwagi: „Tam, gdzie wszystkie rodzaje broni zgodnie się podtrzymują i działają z równym poświęceniem, tam i straty będą we wszystkich składowych częściach armii jednakowe. Podczas działań pod Plewną straty w piechocie były nieproporcjonalnie wysokie w stosunku do strat artylerji i jazdy. W wielu wypadkach pojedyncze rotę, bataliony, a nawet znaczniejsze oddziały piechoty walczyły, utraciwszy połowę żołnierzy. Podczas szturmów na Plewnę w dniu 30 sierpnia, artylerja i kawalerya straciły 2—4% ludzi, gdy straty w piechocie sięgały 20—40, a nawet w niektórych oddziałach 50%, to jest przeciętnie piechota traciła dziesięć razy więcej. Stąd zrobimy wniosek może zbyt śmiały, lecz za to wymowny: wedle naszego przekonania również i pomoc, jaką pod Plewną otrzymywała piechota od artylerji i kawaleryi, była mniej więcej dziesięć razy słabsza, niż to było pożądane i konieczne“¹⁾.

Jeżeli cyfry te porównamy z liczbami, przytoczonymi wyżej, to potępienie artylerji i kawaleryi przez generała Kuropatkina okaże się nieco przesadzonym.

Co się wreszcie tyczy liczby ran, zadanych w różne części ciała, to w dziele „Avant la Bataille“ (1886, str. 289) znajdujemy obrachunek następujący: na 100 ran ogółem przypada na rany

w ręce	34
„ nogi	31
„ głowę	12
„ piersi	10

¹⁾ „Działanie oddziałów generała Skobielewa.“

„ niższą część tułowiu	7
„ krzyż	5
„ szyję	1

Obecnie najczęściej zdarzać się będą zranienia w głowę, częścią wskutek spotęgowanej celności ognia karabinowego, głównie jednak wskutek powszechniejszego użytku osłon szanćowych.

II.

Każda klęska zaczyna się od momentu psychicznego—od niezdolności narażania się na niebezpieczeństwo większe niż to, do jakiego już doszło. Oznaczyć je można liczbowo przez stosunek strat do posiadanych sił. Potęga moralna wojska—jego odwaga,—zależy właśnie od tego, kiedy ten moment krytyczny nadchodzi. W armii atakującej i zwyciężającej zwykle następuje on później, wskutek tego i z szeregów jej znika więcej ludzi.

Stopień niebezpieczeństwa, do jakiego jest zdolny dociągnąć oddział wojska lub cała armia, da się oznaczyć liczbą. Zastęp, pierzchający bez straty, ma odwagę 0, ginący do ostatniego człowieka bez cofnięcia kroku—1. Oddział, którego przerazić i skłonić do cofnięcia się jest zdolna strata $\frac{1}{4}$, $\frac{1}{3}$, $\frac{1}{2}$ części sił, posiada odwagę cztery, trzy, dwa razy mniejszą od poprzedzającego. Naturalnie wódz ani żołnierze nie dokonywają żadnego rachunku na polu bitwy, odbywa się tam proces instynktowy: gdy liczba trupów i rannych dochodzi do pewnej granicy, pozostali koledzy nie są przy danych warunkach zdolni do bitwy.

Generał Kuropatkin dobitniej jeszcze rzecz tę przedstawia: „Wysokość strat niewątpliwie wpływa na moralny stan wojsk, biorących udział w walce. Stopień zaś wpływu zależy w znacznej mierze od tego, przy jakich warunkach i w jakim okresie czasu straty te poniesione zostały. Uważamy za całkiem możliwy wypadek, iż jeden i ten sam oddział na jednym i tym samym punkcie trzymać się będzie pomimo strat, wynoszących 50%, przy innych zaś warunkach walki opuści go przy stracie 10%. Wojska cofają się nie dlatego, iż wskutek swej liczby dłużej opierać się nie są zdolne (można się trzymać przy stracie 75% i wyżej nawet) i nie z powodu strat już poniesionych, lecz *wskutek strachu, wskutek obawy nowych strat, które ich jeszcze oczekują*, jeżeli pozostaną na pozycji (lub będą dalej atakować). Jakaś wewnętrzna rachuba w sercach walczących żołnierzy sprowadza w tej lub innej części wojska przeświadczenie, iż dalej trzymać się niepodobna. Ta rachuba wewnętrzna oczekujących strat staje się tem bardziej przesadzoną i tem niebezpieczniejszą, im czas, w którym poniesiono straty, będący pod-

stawą obrachunku, jest krótszy. To też batalion, który przez czas 10-godzinnej walki stracił 200 ludzi, nie raz daje więcej szans utrzymania się na atakowanej pozycji, niż batalion, w którym wybito tylko 50 ludzi, ale w przeciągu 5 minut. Suma sił fizycznych w drugim batalionie będzie większą, ale suma sił moralnych *chwilowo* może spaść niżej, niż w pierwszym. Skorzystajcie bezzwłocznie z tego chwilowego osłabienia moralnego części wojska i zaatakujcie ją — a odniesiecie zwycięstwo. Jeżeli zaś nie skorzystacie, równowaga powróci i dokonane już moralne przygotowanie ataku nie przyniesie korzyści. Najlepszego przykładu, co mogą znieść wojska, dostarczyli artylerzyści rusy w Sewastopolu. Poniesli oni tak wielkie straty, że personel służby przy działach zmieniał się kilka razy na dzień¹⁾.

Niektórzy pisarze wojskowi, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, są zdania, iż w wojnach przyszłych, chociażby nawet trwały one krócej, straty wyniosą około 50% w ciągu kilku miesięcy.

W sferach wojskowych francuskich przyjęto, jak się zdaje, myśl, że przednie wojska atakujące ponosić będą straty, znacznie przewyższające 25%.

Autor „Précis historique de la tactique de l'infanterie,“ powiada, że przy określaniu w regulaminie szerokości frontu przyjęto 25% jako cyfrę prawdopodobnych strat, ponoszonych przez kompanię piechoty z odległości 200 metrów od przeciwnika.

Co się zaś tyczy strat oficerów, regulamin nakazuje, aby „kapitanowie kompanii rezerwowych maszerowali razem z tym plutonem, który pierwszy wstępuje w linię bojową, i obejmowali komendę nad połową kompanii z łańcucha, znajdującego się przed nimi.“

„Gdzie będą podówczas ci kapitanowie? — pyta autor. — Większa część z pośród nich stanie się już niezdolną do boju; oficerowie, pozostający pod ich komendą, nie będą również oszczędzeni.“

Zanotujmy tedy, że 25% stanowi prawdopodobną liczbę strat, gdy szeregi atakujące znajdować się będą od nieprzyjaciela o 200 metrów, czyli mniej więcej o 2 minuty, w ciągu których wytrzymać im wypadnie około 20 salw z odległości coraz bliższych.

Cytowany przez nas (na str. 204) autor ruski, opierając się na statystyce przeszłych wojen, stawia takie przewidywania na przyszłość: „W zależności od tego, jaką rolę w bitwie odegra dany oddział wojska, straty jego wyniosą przypuszczalnie od 10—30%, a nawet i więcej. Prawdopodobnie w niezbyt krwawych potyczkach straty

¹⁾ „Działania oddziałów generała Skobelewa.“

O ile brak dymu spotęguje morderczość ognia broni ręcznej, najlepiej zillustrować nam przykład następujący: „Kto nie miał sposobności spostrzedz — pisze generał Duhême, — że przed pierwszą linią strzelającego oddziału unosi się obłok dymu, tworzącego zasłonę, i do tego stopnia otacza żołnierzy, iż strzały ich stają się niepewnymi i bezcelowymi. Osobiście doświadczyłem tego w bitwie pod Caldjero. Spostrzegłem, że na lewym skrzydle kilka batalionów, otrzymawszy rozkaz uszykowania się, stanęło i rozpoczęło ogień szeregami; widząc, że długo utrzymać go nie będą mogły, podjechałem ku nim. Nieprzyjacielskiej linii nie było widać. Po-za dymem dawał się ledwie dostrzedz blask bagnietów i czubki grenadyerskich kaszkietów, a jednak przeciwnik był bardzo blisko. Walczących dzieliło zagłębienie gruntu, ale odległość między nimi wynosiła najwyżej 60 kroków; pomimo to, widzieć się nie mogli. Ani ja, ani żaden z 12 moich ordynansów nie był ranny, nie zauważyłem również strat pomiędzy żołnierzami.”

Czyliż taki rezultat byłby prawdopodobny przy prochu bezdymnym? Rzecz jasna, że nie. Przypuszczenie też, że przy nowym prochu i przy nowej broni w ostatecznym rezultacie z 1000 kul trafi tylko 7 i że żadna z tych 7-miu kul nie położy kilku naraz ludzi, opierać się może tylko na mniemaniu, iż morderczość ognia z nowej broni umiarkuje się przez pozbawienie ludzi zimnej krwi, wskutek czego nie będą oni zdolni wyzyskać całej potęgi udoskonalonego karabinu.

Praktyka jednak przypuszczenia tego nie stwierdza. Podczas wojny chilijskiej, jak już to cytowaliśmy, brygada wojsk konstytucyjnych uzbrojona była w karabiny systemu Mannlichera (8-milimetrowe z r. 1888). Z 9925 walczących nową broń miało 3446. Po zebraniu zaś trupów i rannych okazało się, iż w armii dyktatorskiej na 100 trafionych—56 dosięgnęły kule karabinów Mannlichera, co łatwo było z rodzaju i postaci rany rozpoznać. A zatem, chociaż broń nowa stanowiła ledwie $\frac{1}{3}$ wszystkich strzelb, skutecznych pocisków dano z niej przeszło połowę. Okazało się przytem, że ogień z karabinów Mannlichera, skierowany z odległości 600 metrów na tyralierów, szerzył popłoch wśród rezerw, stojących o 1000, a nawet 1600 metrów po-za łańcuchem tyralierskim.

Przykład ten dowodzi, że działanie nowej broni jest dwa razy silniejsze, niż dawniejszej, i że kule, kierowane z ulepszonych karabinów na odległość 600 metrów, mogą bić,—jeżeli strzelba zostanie nieco odchyłona ku górze,—na 1600 metrów.

W wojnach dawniejszych, wskutek tego, że artylerya działać mogła z blizkich jedynie odległości, liczba wystrzałów armatnich nie była wielką. Oto np. w wojnie 1859 r.:

pod Montebello	z 56 dział	dano przeciętnie po	9	wystrzałów
„ Palestro	z 24	„ „ „	32	„
„ Magenta	z 88	„ „ „	14	„
„ Meliano	z 16	„ „ „	14	„
„ Solferino	z 368	„ „ „	29	„

Najwięcej razy wystrzelono z sześciofuntowej baterii pod Solferino, a mianowicie dano tam po 87 strzałów z każdej armaty.

Podczas wojny 1870 r. dla oddzielnych bitew mamy następujące liczby:

pod Wissemburgiem	z 90 dział	dano przeciętnie po	16.5	strzałów
„ Wörth	z 234	„ „ „	40	„
„ Vionville	z 222	„ „ „	88.5	„
	z 132 lekk. dział.	„ „ „	99	„
	z 9 cięż. dział.	„ „ „	73.5	„
„ Gravelotte	z 654 dział	„ „ „	53	„
„ Busanży (27 sierp.)	z 6	„ „ „	9.3	„
„ Noir (28 sierp.)	z 2	„ „ „	3.5	„
„ Noir (29 sierp.)	z 42	„ „ „	16.8	„
„ Bomonom	z 216	„ „ „	29.1	„
„ Remilli-Basel				
(3 sierpnia)	z 72	„ „ „	31.5	„
„ Sedanem	z 582	„ „ „	57	„
„ Noiseville				
(31 sierpnia)	z 108	„ „ „	48.2	„
(1 września)	z 168	„ „ „	26.4	„

Najbardziej kompetentni autorowie, jak np. Langlois ¹⁾, przypuszczają, że w przyszłości podczas walki wychodzić będą nieprawdopodobne ilości amunicji. Autor jednego z artykułów w niemieckim piśmie wojennem ²⁾ przytacza dane, które całkowicie potwierdzają zdanie Langlois. „W okresie główniejszych bitew 1870—71 r. — mówi autor niemiecki — wychodziło przeciętnie w bateriach artylerji niemieckiej 70—92 pocisków na godzinę. Wypadnie więc na przyszłość liczyć co najmniej 100 wystrzałów na godzinę. Przypuszczając zaś, że bitwy trwać będą po 8 godzin, a wielkie rozstrzygające batalie po dwa dni, rozchody amunicji obrachowywać wypadnie w sposób następujący: 1600 wystrzałów na jedną baterję czyli 267 wystrzałów na jedno działo. Uzbrojenie korpusu (zaopatrzenie go w amunicję) mniej więcej odpowiada tej normie (225 wystrzałów na działo).”

¹⁾ Langlois. „L'artillerie de campagne.”

²⁾ „Militärische Jahresbericht für 1892.”

Armaty dzisiejsze — wedle upewnień specjalistów — razić będą nieprzyjaciela w otwartem polu pięć razy silniej, przy tej samej liczbie pocisków, niż w r. 1870. Ponieważ zaś działa dzisiejsze w jednakowym czasie wyrzucają $2\frac{1}{2}$ —3 razy więcej pocisków niż dawne, wypada więc, że potęga ognia artyleryjskiego od r. 1870 urosła co najmniej 12—15 razy. Nie należy zaś zapominać, że oprócz tego w czasie obecnym wszystkie armie zaopatrzone są w działa szybkostrzelne.

Wynalezione przez Grüssona nowe szybkostrzelne działo, wyrzucające pociski 7-kilogramowe, według Langlois zastąpi dawne szybkostrzelne armaty, które dawały na minutę 50 strzałów 1-kilogramowych.

Mniejsza waga amunicji przy karabinach drobniejszego kalibru daje im wyższość nad strzelbami kalibrów większych. Z kilogramem ładunków nowej broni, przy tych samych warunkach innych, można osiągnąć dwa razy większe rezultaty, niż z kilogramem ładunków broni używanej w r. 1870.

Gdy jednak chodzi o działa, rzecz się ma odwrotnie: im pocisk mniej waży, tem słabszy jest rezultat ognia ¹⁾. Lecz tu występuje okoliczność inna, posiadająca bardzo wielkie znaczenie. Nawet gdy walka toczy się na blizkiej odległości, działo może bić celnie.

Jedna chwila krwi zimnej wystarczy, aby kanonier, osłoniiony do pewnego stopnia przez armatę, dobrze nakierował działo; może on trafnie nastawić celowniki, chociażby puls jego uderzał jak najśpieszniej; oko drga niewiele, a nakierowana armata stoi nieruchomo aż do chwili wystrzału. A przytem, aby kanonier mógł zachować całkowity spokój, osłaniają obecnie szybkostrzelne armaty tarczami ²⁾.

„Strzelec, zarówno jak artylerzysta, zachowuje, gdy zechce, zdolność trafnego celowania, lecz wzruszenie i nerwy nie pozwalają mu utrzymać nieruchomo broni w ręku; gdyby nawet karabin opierał się o coś, to i tak jeden jego koniec przejmie wzruszenie człowieka. Prócz tego żołnierz instynktownie śpieszy się z wystrzałem, *który powstrzymać może kulę, dla niego przeznaczoną*” ³⁾.

Tym sposobem stanowczo twierdzić można, iż w wojnie przyszłej artylerya, mogąc strzelać z dalszych odległości i mając sposoby pewniejszego rażenia nieprzyjaciela, wybije mu z szeregów, w tej samej jednostce czasu, bez porównania większą liczbę ludzi niż dawniej. Stosownie do wzrostu siły ognia armatniego, wzrósł też w czasach obecnych i tabor artyleryjski.

¹⁾ Loebell. „Militärische Jahresberichte für 1892.”

²⁾ „Dictionnaire militaire.” Paryż, 1892.

³⁾ A. K. Puzyrowskij. „Badanie walki.”

Nietylko wskutek nowych warunków wojny, tak jak się one teraz przedstawiają, lecz również wskutek odmiennego składu armii, będą one mniej wytrzymałe pod względem moralnym wobec straszliwego rozlewu krwi. Przytoczmy tu słowa Goltza:

„Młodość łatwo rozstaje się z życiem. Jeszcze jej nie wiążą do ziemskiego istnienia te tysiące nitek, które wytwarza dokoła nas życie społeczne. Nie przyzwyczaiła się ona jeszcze do oszczędzenia sił życiowych. Zagadka, czego ma dokonać, leży przed nią nierozwiązana jeszcze. Wstępuje ona jeszcze na górę, nie widząc, jak krótkie jest zejście po tamtej stronie. Pragnienie nowych wrażeń czyni ją przedsiębiorczą. Daleko jej jeszcze do pragnień wieku dojrzałego — do spokoju i chęci używania dóbr nabytych. W bój rzuca się ona z radością i bez troski — a te dwa warunki są niezbędne dla spełnienia oczekującego ją dzieła krwawego. Siła narodu spoczywa w jego młodem pokoleniu.

„Pisarze wojenni wiek od lat 18—20 uważali zawsze za najodpowiedniejszy do służby wojennej. Organizm dostatecznie już się sformował, aby mieć siłę do zniesienia wszystkich wymagań życia wojennego, a jednocześnie nie istnieje jeszcze wtedy moc obowiązków i węzłów. Niewielka doza lekkomyślności, tak właściwej młodemu wiekowi, stanowi doskonałą przyprawę dla wymagań służby wojskowej.

„Młoda armia polowa, i przytem jednostajnie młoda, posiada ogromną przewagę nad wszelką inną. Czyż mogła być jednako spojona taka armia, jak dawna pruska, gdzie obok stali: 14-letni szlachcic pruski, 20—30-letni obywatele pruscy innych stanów, oraz osiwiali cudzoziemcy, dźwigający na barkach 6-ty i 7-my krzyżyk?

„Jedynie w wypadkach wyjątkowych, np. jeżeli niebezpieczeństwo zagrozi domowi, własności osobistej, albo ogarnie strach o życie istot blizkich, dobre rezultaty przynieść może użycie w otwartem polu ludzi starszych. Wogóle zaś mówiąc, ci starsi, powróciwszy do zajęć własnych i spraw domowych, mają czas odzwyczaić się od służby wojennej, zanim mobilizacya ich powoła pod sztandary. W wielu wypadkach zdążyli już oni oswoić się z gniotącemi troskami życia, często też rzucają rodziny swoje z przeświadczeniem, iż nieobecność ich niewątpliwie sprowadzi ruinę bytu całej rodziny.”¹⁾

Dodać należy, iż podczas wojny chilijskiej, chociaż tam żołnierz rekrutuje się z pierwiastków mniej cywilizowanych niż mieszkańcy Europy zachodniej, wrażenie, wywarłe przez szybkość i celność ognia karabinowego, było straszliwe. „W armii dyktatora, po pierwszej zaraz bitwie, dały się słyszeć wśród żołnierzy głosy, iż bić się więcej

¹⁾ Von der Goltz. „Das Volk in Waffen.”

nie będą, bo im wszystko jedno — czy zostaną rozstrzelani, czy wytępieni przez nieprzyjaciela, niby stado królików. Odwrotnie zaś wojska konstytucjonalistów nabrały takiego zaufania do swej broni, że patrzyły na nią jak na rodzaj talizmanu i śmiało szły na spotkanie o wiele liczniejszego przeciwnika.”

Wszystkie te dane doprowadzają niektórych pisarzy wojskowych do wniosku, że, przy rozrzuceniu wojska na wielkich przestrzeniach i przy rozproszonym szyku, oddzielne części wojska, oraz pojedynczy żołnierze łatwiej będą mogli uchodzić z pola bitwy, i że istotnie takie wypadki zdarzać się będą. To zaś zmusza ich do przypuszczeń, iż bodaj czy nie wypadnie porzucić dzisiejszej organizacji wojskowej i od zbrojnych narodów powrócić do armii, złożonych z żołnierzy zawodowych.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JAN BLOCH.

Izby wyższe i arystokracja nowożytna.

STUDYUM POLITYCZNE.

Wielokrotnie już przekonywano i dowodzone, że wśród wielkiej rewolucji francuskiej narodził się konstytucyjny duch XIX-go wieku, i że wstrząsający swą grozą przebieg tejże rewolucji był nieomylną zapowiedzią dzielności i twórczej siły powołanych do bytu społeczno-politycznych prądów ¹⁾. Nie tylko Napoleou I, jako główny piastun rewolucyjnych zasad, ale i inni najpoważniejsi mężowie stanu z końca zeszłego i początku bieżącego stulecia byli przekonani, że atmosfera, wytworzona socjalno-politycznymi przewrotami, oraz rewolucyjną-etyczno-polityczną doktryną, stanie się dla starego porządku (l'ancien régime), zwanego z pewnym odcieniem szyderstwa feudalizmem, zabójczą, i że wśród tej atmosfery, budzącej nowe życie, dawne instytucje oddychać nie będą w możności.

Konstytucje, narzucone przez Napoleona I-go pewnej części kontynentu europejskiego, nosiły zazwyczaj swobodę licznym i mniej lub więcej uciemionym pracownikom gleby. Krótkie orzeczenie, zamieszczone w art. 4 konstytucji Księstwa Warszawskiego z d. 22 lipca 1807 r. „L'esclavage est aboli; Tous les citoyens sont égaux devant la

¹⁾ Richter: „Staats- und Gesellschaftsrecht der französischen Revolution.“ T. I, str. VIII.

loi“¹⁾, znajdujące się i w innych statutach organicznych Napoleońskich²⁾, zwiastowało niezbędność szerokich reform społeczno-politycznych i zmusiło tak rozważnego męża stanu, jak Hardenberg, do wyznania, że nawet monarchie, w których ludy pozostały nawskroś przejęte szczerem przywiązaniem dynastycznym, będą zmuszone do wcielenia nowych zasad w dawne formy (demokratische Grundsätze in einer monarchischen Regierung)³⁾, a to w celu zażegnania nadciągającej społecznej burzy.

Mimo niezaprzeczenie potężnego wpływu, jaki teoria wielkiej rewolucyi wywarła na stosunki polityczno-społeczne zachodu i środka kontynentu europejskiego, znalazły się dziwnym zbiegiem okoliczności pewne państwowe zacisza, w których ognista teoria francuska nie zdołała obrócić w perzynę dawnego porządku, a nawet nie starła starożytnej pleśni, pokrywającej w obfitości sędziwy gmach państwowy. Resztki reprezentacyi stanowej, jakie się dochowały w Niderlandach, Szwajcaryi⁴⁾, uległy przeistoczeniu pod wpływem nowego ducha, ale Szwecya zachowała nadal swój stary ustrój reprezentacyjny, złożony z czterech izb, uosabiających interesa uprzywilejowanych stanów, a nie pojmujących, ani dbających o dobro całego ludu⁵⁾.

Drugiem państwem, nieprzystępnem dla teorii rewolucyjnych, była Anglia. Odporność swą zawdzięczała nie tylko falom morza, na którem pozostała zwycięską królową, ale przede wszystkim przeświadczeniu narodowemu, utrzymującemu wiarę w doskonałość rodzimych instytucyi, które zapewniły narodowi istotną polityczną swobodę i równość prawną, wówczas, gdy szumna frazeologia konstytucyi rewolucyjnych żywiła lud francuski pojęciami z metafizyki, geometryi i matematyki czerpanemi⁶⁾, a stwarzała przytem administracyę, tłumiącą

¹⁾ „Dziennik praw,“ I, 1810, str. III, art. 4. Zawiera prócz tego zapewnienie, że l'état des personnes est sous la protection des tribunaux.

²⁾ Stein: „Der Begriff der Gesellschaft und die sociale Geschichte der französischen Revolution bis zum Jahre 1830“ (drugie wydanie), str. 275; wybornie skreślony charakter konstytucyi Napoleońskich i przedstawiona świadomość Napoleona, że, dzięki tym konstytucyom, stał się on odnowicielem państw (regenerateur).

³⁾ Ranke: „Hardenberg und die Geschichte des preussischen Staates,“ wydanie drugie, tom III, str. 365.

⁴⁾ Treitschke: „Die Republik der vereinigten Niederlande.“ Str. 537 i dalsze. „Hist. und pol. Aufsätze,“ t. II, wydanie czwarte. Porównać: Juste „Histoire des Etats-Generaux des Pays-Bas,“ t. II, str. 150; porównać: Bluntschli „Geschichte des Schweizerischen Bundesrechts.“ T. I, str. 452 i dalsze.

⁵⁾ Aschehng: „Das Staatsrecht der vereinigten Königreiche Schweden und Norwegen“ (Marquardsen), str. 33.

⁶⁾ Burke: „Betrachtungen ueber die französische Revolution,“ tłóm. Gentza. Część II, 34.

wolność indywidualną. Doktryna rewolucyjna nie przynosiła Anglii nic nowego, a ogólnikowe i uludne obietnice deklaracji praw człowieka nie zdołały stłumić szczerego i głębokiego uwielbienia Anglików dla starej konstytucji, którą, począwszy od „Magna charta“ (1215) uważał każdy za najdroższy fideikomis, przekazywany w spuściźnie z pokolenia na pokolenie, oraz za pierwiastek powinowactwa, który instytucje państwowe łączył z dobrem rodziny, niejako z ogniskiem rodzinnym ¹⁾). Duma z posiadania możliwie doskonałych instytucji i głębokie przywiązanie do nich objawiły się w Anglii w dobie rewolucyjnej jeszcze z większą siłą, a ogarnęły one wszystkie warstwy narodu, bo wśród tych warstw nie było już od dawna uprzywilejowanego możnowładztwa, które-by na wzór kontynentu, usunąwszy się od obowiązków i ciężarów publicznych, ujarzmiło lud rolny patrymonialną władzą i żyło jego kosztem, nie dając mu nic prawie wzamian ²⁾).

Trzecim krajem, któremu danem było wśród grozy rewolucyjnej przechować swą „constitutionem avitam,“ było Apostolskie Królestwo Węgier. Pochodzenie tej konstytucji było prawie równie odległe, jak angielskiej, bo datujące się od złotej bulli króla Andrzeja II z r. 1222 ³⁾, ale charakter jej wyrobił się w ciągu wieków odmiennie i przypominał w zupełności dawne konstytucje stanowe kontynentu. Porządek państwowy Węgier, pomimo formalnego uprawnienia czterech stanów, reprezentowanych w sejmie ⁴⁾, opierał się wyłącznie na szlachcie i ją uważał jedynie za „prawomocny naród“ (gesetzliche Nation) ⁵⁾. Masa ludu, wynosząca dziewiętnaście dwudziestych części mieszkańców węgierskich ⁶⁾, pozbawioną była praw politycznych, a włościanie, bez względu na usiłowania Maryi Teresy i Józefa II, znajdowali się w surowem poddaństwie swych patrymonialnych władców ⁷⁾. Z teorią rewolucyjną tworzył stary porządek madziarski zupełne przeciwieństwo. Gdy wszakże Anglia nic dobrego od spekulacyjnych urzędów francuskich spodziewać się nie mogła, Węgry nie chciały uleść nowym prądom z pobudek, dyktowanych przez egoizm uprzywilejowanych stanów.

¹⁾ Burke, tamże, część I, str. 113.

²⁾ Russell: „Geschichte der englischen Regierung und Verfassung“ (tłóm. Kritza), str. 12.

³⁾ Virozsil: „Das Staatsrecht des Königreich Ungarn,“ t. I, str. 127 nazywa złotą bullę „magna charta“ Węgier, ale zaznacza, że dzięki jej „galten nur die Adelligen im Lande als Nation“.

⁴⁾ „Versuch einer Darstellung der hungarischen Konstitution.“ Lipsk, 1812, str. 79.

⁵⁾ Horvath: „Fünfundzwanzig Jahre aus der Geschichte Ungarns,“ t. II, str. 4.

⁶⁾ Eötvös: „Die Reform in Ungarn,“ str. 2.

⁷⁾ Mailath: „Das ungarische Urbarialsystem oder des Grundherra und des Bauers Wechselverhältniss in Ungarn,“ str. 6.

W roku 1807, gdy Prusy, w obawie gorszych następstw, rozpoczęły szereg reform włościańskich, sejm węgierski, na domaganie się Nagye'go, aby ulżyć chłopom w ich ciężkiej doli, zawołał prawie jednogłośnie „non stultiset,“ czyli, aby nie bajął i dalej przy systemie poddańczym wytrwał ¹⁾.

Stara konstytucya szwedzka, jak to już nadmienionem zostało, posiadała organizacyę reprezentacyjną czteroizbową. Funkcye prawodawcze, spełniane przez cztery samoistne czynniki, wsparte odrębnymi interesami społecznymi, musiały iść leniwie i z zapoznaniem dobra całego państwa. Nadto maszynerya prawodawcza czteroizbowa wywoływała w Szwecyi swego czasu wysokie niezadowolenie ²⁾ i wady jej nikomu tajnymi nie były, zwłaszcza odkąd w politycznej nauce swą wyczerpującą i treściwą krytyką skazał ją Bentham na zagładę ³⁾. W Anglii jednak i w Węgrzech przyjął się oddawna w ustroju prawodawczym system dwuizbowy. Oba też powyższe państwa miały izby wyższe (izba lordów, izba magnatów), a jakkolwiek charakter prawodawczego ustroju nosił w Anglii i w Węgrzech odmienne znamiona, jednakże były oba te kraje poniekąd wspólnem źródłem, z którego teoria konstytucyjna czerpała swe uzasadnienia i dowody na korzyść systemu dwuizbowego wogóle, lub dziedzicznych izb panów w szczególności.

Izba lordów w Anglii nosiła pierwotnie tenże sam stanowy charakter, co izba magnatów w Węgrzech. Składała się bowiem z dwóch stanów, t. j. z duchownych i świeckich lordów, którzy przez czas jakiś w odrębności prowadzili narady ⁴⁾. Dość prędko jednak odosobnienie i samodzielność interesów stanowych zatarły się wśród izby lordów. Natomiast wytworzyło się poczucie rzetelnej politycznej siły, które egoizmowi stanowemu kazało ustępować na rzecz dobra państwowego. Jakkolwiek też izba lordów reprezentowała przeważnie wielką własność ziemską i rodową arystokrację, nie starała się nigdy wyzyskiwać prawodawstwa na rzecz własnego pożytku i nie spychała ciężarów państwowych na ludność rolniczą. Lordowie angielscy chlubili się z tego, że w chwilach ciężkich przesileni nie zapominali o ubogich pracownikach gleby, i nie pamiętali jedynie, jak to czyniło możnowładztwo kontynentalne, o swobodach i pożytkach własnych. Byli oni zawsze

¹⁾ Horvath: „Fünfundzwanzig Jahre aus der Geschichte Ungarns,“ t. I, str. 150.

²⁾ Aschehoug: „Das Staatsrecht der vereinigten Königreiche Schweden und Norwegen.“ Str 10.

³⁾ „Tactique des Assemblées Politiques délibérantes,“ str. 390—91. „Oeuvres de Bentham,“ t. I, wydanie z 1829 r.

⁴⁾ May: „Das englische Parlament und sein Verfahren,“ tłóm. Oppenheima, str. 15.

opiekunami ludu i nie stworzyli z niego swych poddanych, ani z swych własności dominialnych miniaturowych państweczek w państwie ¹⁾).

Zasada, na której się wsparła izba lordów, uosabiała dziedziczność politycznej, a nie stanowej godności i próba wytworzenia dożywotnich lordów, wykonana przez Palmerstona w r. 1856, udaremniona została oporem izby wyższej ²⁾. Wysokim jednak godnościom kościelnym jak i państwowym utworzono podwoje lordowskiej korporacji. Obok arystokracji rodowej znalazła się szlachta wysługi publicznej (Verdienstadel), do rzędu której należy zaliczyć arcybiskupów i biskupów, oraz najwyższych sędziów, którzy na żądanie wspierali izbę swą wiedzą prawniczą. W r. 1707 i 1801 dostał się do izby lordów w niewielkiej ilości pierwiastek wyborczy. Stało się to w dobie zjednoczenia prawno państwowego Szkocji i Irlandji z Anglią. Szkocya dostarczała izbie szesnastu wybieralnych lordów na okres trwania parlamentu, a Irlandya 28 dożywotnich; prócz tego czterech biskupów reprezentowało w izbie całe duchowieństwo Irlandji. Jeżeli porównamy liczbę miejsc zajętych w izbie lordów z tytułu urzędów lub wyborów z parostwami dziedzicznymi, to przekonamy się, że zasada dziedziczności stanowczo przeważała, a zasada powyższa nie wspierała się bynajmniej na wyłącznych przywilejach własności ziemskiej, lecz na powołaniu monarszem, które w tej formie czcilo zasługi, położone dla państwa i tronu, zdobywając dla izby doświadczenie polityczne, nabyte w służbie publicznej.

W powyższy sposób wcielana w czyn dziedziczność zacierała w izbie lordów ślady egoizmu stanowego, a przypominała nieustannie wielkie cele polityczne, mające dobro całego państwa na pieczy. Jeżeli zaś przypomnimy, że większa część lordów świeckich zasługiwała się miejscowemu społeczeństwu spełnianiem honorowem urzędów selfgovernmentu i pamiętała zawsze o zasadzie: „noblesse oblige,” to doniosłość wpływu, jaki wywarła izba lordów na życie parlamentarne, stanie się widoczną i zrozumiałą. Izba lordów przez długi czas była nie tylko pośrednikiem między tronem a narodem, lecz prócz tego stała się rzeczywistym piastunem monarchicznych idei i zarazem strażnicą swobód narodowych. Dzięki przeważnie izbie lordów, rozwój życia parlamentarnego odbywał się spokojnie i harmonijnie, mimo wielu burz politycznych. Żadna reforma nie wydawała się skutkiem tego nowatorstwem, ani zachowanie starych instytucji reakcją. Nawet przeciwnicy izby

¹⁾ Constant: „O monarchii konstytucyjnej i rękojmiach publicznych. Rzecz wyjęta z dzieł (tłóm. Niemojowski), część I, str. 13. Porównać: Fievée: „De la pairie, des libertés locales et de la liste civile,” str. 25

²⁾ Treitschke: „Das Zweikammersystem und das Herrenhaus,” str. 407. „Zehn Jahre deutscher Kämpfe.“ Z podobnym projektem wystąpił jeszcze później Russell.

lordów przyznają, że była doba, w której idealnie spełniała swe zadania polityczne; nie można się więc dziwić, że system dwuizbowy stał się formą nierozdzielną z życiem publicznem anglo-saksońskiej narodowości. Konstytucye pojedynczych stanów Ameryki północnej, zarówno jak i konstytucya związkowa Stanów Zjednoczonych, przejęły system dwuizbowy od swej dawnej macierzy ¹⁾, a osadnicy anglo-saksońskiego pochodzenia, zgromadziwszy się w świeżo wykarczowanych okolicach Oregonu w celu uchwalenia organizacyi politycznej dla swego młodocianego społeczeństwa, pomimo, że się znajdowali w warunkach zupełnie odmiennych od dawnych ojczystych, nie mogli nawet pomyśleć o porzuceniu systemu dwuizbowego, który tkwił niejako w ich kościach a krążył w żyłach ²⁾.

Natomiast izba magnatów węgierskich nie tylko się z biegiem czasu nie pozbywała pierwotnych naleciałości stanowych, ale wręcz przeciwnie: spotęgowała je znakomicie i do połowy bieżącego stulecia była korporacją reprezentującą egoizm klas uprzywilejowanych, które w imię zasady: „noblesse exempte“ wyzyskiwały swych poddanych, obdarzanych nazwą „miseris ac contribuentis plebis“ i na nich spychały ciężar podatków państwowych. W izbie magnatów węgierskich mieściły się dwa stany: magnatów duchownych i świeckich, ale odrębne pierwiastki stanowe nie zatarły się z biegiem czasu i nie dozwoliły izbie stać się korporacją polityczną, składającą interes własny na rzecz dobra całego kraju. Jak izba węgierskich stanów nie zespoliła szlachty z uprzywilejowanymi municypiami w pojęciu angielskiej izby gmin, nosabiającej cały lud, tak i izba magnatów, zawierająca dwa samoistne stany, dopiero w XVIII wieku, dla braku miejsca, poczęła tworzyć odrębne od izby stanów zgromadzenie ³⁾, a przy głosowaniu każdy stan zachowywał swe odrębne votum.

Z czterech stanów (status regni) węgierskich, będących czynnikami prawodawczymi, po dwa stany a więc po dwa głosy przypadały na każdą izbę, a że do uchwalenia statutów potrzeba było większości trzech głosów, przeto izba magnatów, posiadając dwa głosy, dzierżyła skuteczny środek do skrepowania rozwoju instytucyi publicznych w kierunku, zagrażającym ich przywilejom. Izba magnatów wsparła się,

¹⁾ Story: „Das Bundesstaatsrecht,“ tłóm. Buss. Str. 313 i dalsze. Porównać Bagshot: „Englische Verfassungszustände,“ str. 143. Pierwszym ministrem kolonii, utrzymującym, że system dwuizbowy jest szkodliwym dla kolonii angielskich, był lord Grey.

²⁾ Treitschke: „Das Zweikammersystem und das Herrenhaus,“ str. 406. „Zehn Jahre deutscher Kämpfe.“

³⁾ Horvath: „Fünfundzwanzig Jahre aus der Geschichte Ungarns,“ t. I, s. 364.

równie jak izba lordów, na zasadzie dziedziczności w połączeniu z szlacheństwem publicznej wysługi. Oprócz wysokich urzędów koronnych: dworskich, sądowych i administracyjnych, którzy jako „ex officio tales“ ¹⁾ zasiadali w izbie, spotykamy w gronie magnatów, nadżupanów dziedzicznych (perpetui) i szlachtę utytułowaną, a przytem nie brak nawet w bardzo drobnej ilości i elementu wyborczego; sejmik bowiem chorwacki i słowacki wybierał do izby magnatów dwóch deputowanych ²⁾.

Kreowanie magnatów dziedzicznych przysługiwało niezaprzeczenie koronie, ale wydało zupełnie inny rezultat polityczny niż w Anglii. Izba magnatów bowiem odznaczając się służalczą uległością względem tronu, w żadnym razie nie zasłużyła sobie na nazwę opiekunki ludu lub strażnicy swobód narodowych. Szlachta węgierska wymogła wprawdzie w r. 1222 ustępstwa na królu, ale ustępstwa powyższe zabezpieczyły przedewszystkiem jej własne pożytki ³⁾. Następnie z własności dominialnej uczyniła małą satrapię i chlubiła się tem, że szlachcic węgierski jest królem wśród swych posiadłości, tak samo jak król był tylko wśród swoich domen szlachcicem ⁴⁾. Przywłaszczywszy sobie władzę patrymonialną, magnaci węgierscy przejęci byli nawskroś egoizmem stanowym, spychali ciężary państwowe na lud i odosobnili się od reszty narodu jako klasa oligarchów, mająca przedewszystkiem na pieczy swe własne przywileje. Swarliwe i anarchiczne rządy komitatowe, wykonywane tylko przez szlachtę i dla szlachty ⁵⁾, nie mogły zaszczerpić w magnatach doświadczenia politycznego lub poczucia obowiązku służenia krajowi. Pozostali też magnaci obcymi wszelkim pragnieniom i dążeniom reformacyjnym narodu. Niebezpieczni w swym niewyczerpanym egoizmie nawet dla szlachty, zachowali do pierwszej połowy XIX wieku wybitny typ pasorzytniczo-oligarchiczny i, jak Horwath przytacza, powszechny głos utrzymywał, że trudno było nawet przypuścić, aby magnaci byli synami jednej i tejże samej epoki ⁶⁾, co reszta obywateli.

Teorye wielkiej rewolucyi francuskiej, nawiedzające kontynent europejski w towarzystwie orłów Napoleońskich, odwróciły na czas ja-

¹⁾ Virozsil: „Das Staatsrecht des Königreich Ungarn,“ tom II, str. 322 i 350. Oprócz magnatów ex officio tales, byli ex genere nativitate vel titulo tales.

²⁾ Virozsil, t. 3, str. 32.

³⁾ Krajner: „Die ursprüngliche Staatsverfassung Ungarns,“ str. 225 i dalsze.

⁴⁾ Virozsil: „Das Staatsrecht des Königreichs Ungarn,“ t. II, str. 271. *Primus inter pares.*

⁵⁾ Bütyös: „Die Reform in Ungarn“—wybornie przedstawia wszystkie ujemne strony rządów komitatowych.

⁶⁾ Horvath: „Fünfundzwanzig Jahre aus der Geschichte Ungarns,“ t. I, s. 287.

kiś uwagę społeczeństw od sędziwych instytucji angielskich do niedawna uwielbianych w samej Francji ¹⁾. Prawo historyczne, na które się powoływał monarchizm i klasy uprzywilejowane, przedstawiało się wszechwładnemu francuskiemu trzeciemu stanowi (*tiers-etat*), oraz pracownikom gleby, w postaci sokoła-pustułki (*hobereau*), pochłaniającego słabszych w imię brutalnej przemocy, a nie wzamian za spełnianie publicznych obowiązków. Nauka też rewolucyjna głosiła zasadę oderwanej wolności i równości, z którą najliberalniejsza i najrozumniejsza arystokracja była w wiekuistej rozterce. Wszelkie więc izby wyższe, naśladujące izbę lordów, choćby do nich przypuszczono najniższe warstwy ludności (*roturier*) ²⁾, podkopywały spekulacyjny gmach rewolucji i duchowi równości wypowiadały walkę. Pomimo, że wszelkie naśladownictwa izby panów wydawały się z góry poronionemi, nie brakło we Francji projektów zorganizowania dożywotniej izby lub senatu, złożonego z członków, funkcjonujących przez lat sześć, a odnawianego częściowo co lat dwa. Wszystkie jednak usiłowania wytworzenia instytucji, która-by prawodawcy rewolucyjnemu dała możność zastanowienia się wśród chaotycznego i terroryzującego kaprysu tłumów, rozbiły się o motyw zasadniczy, wyrażany zazwyczaj w słowach: „za pośrednictwem wyższej izby mniejsza liczba rozkazywała-by większej: „*on rétablirait dans les distinctions humiliantes de l'ancien régime, on reveillerait le germe d'aristocratie qu'il faut anéantir. D'ailleurs tout ce qui rappelle ou ranime le gouvernement féodale est mauvais et la chambre haute n'en est qu'une reste. Si les Anglais en ont une, c'est qu'ils ont été obligés de composer avec les préjugés*“ ³⁾.

Wyborne prace Thiers'a i Taine'a, wielkiej rewolucji francuskiej poświęcone, opisują gruntownie i zajmująco, w jaki sposób w r. 1788 zwołane *etats-généraux* porzuciły organizację trzyizbową v. kuryalną, zlewając się w jedno coraz bardziej wszechwładne zgromadzenie. Konstytucja z r. 1791, formułująca po raz pierwszy w statucie organicznym teorię rewolucyjną, oddała prawie całą prawodawczą władzę w ręce reprezentacji narodowej, złożonej z jednej izby wybieralnej ⁴⁾. „*Acte constitutionnel*“ z 1793 r. wyraził doktrynę rewolucyjną jeszcze dosadniej w słowach: „*le corps législatif est un, indivisible et perma-*

¹⁾ De Lolme: „*Constitution de l'Angleterre*,“—dzieło powyższe rozpowszechnione w kilku wydaniach we Francji, przyczyniło się do wyrobienia uznania prawu państwowemu angielskiemu (1785). Ostatnie wydanie ukazało się w 1819 roku.

²⁾ Taine: „*La révolution*,“ t. I, str. 194.

³⁾ Tamże.

⁴⁾ Laferrière: „*Les constitutions d'Europe et d'Amérique*,“ str. VI.

ment“¹⁾. Kilka lat doświadczeń, przebytych z jednoizbowym wybieralnym prawodawcą, skłoniło nawet ówczesne społeczeństwo francuskie, dyszące zemstą przeciw arystokracji, do pogodzenia się z systemem dwuizbowym. Rozumie się samo przez się, że o izbie wyższej w starożytnym angielskim stylu nie mogło być nawet żadnej wzmianki. Zasada dziedziczności i powaga prawa historycznego nie miały wówczas naturalnych reprezentantów i piastunów we Francyi. Monarchizm został zdruzgotany w osobie nieszczęśliwego Ludwika XVI, a doprowadzona do rozpacz arystokracja, walcząc w obcych szeregach przeciw własnej ojczyźnie, podała się tem samem w coraz większą ohydę własnemu narodowi. Istniał wszakże jeden przymiot czy właściwość natury ludzkiej, który najmniej drażnił przerafinowaną teorią absolutnej równości. Było to starszeństwo wieku i wraz z tem starszeństwem zjawiająca się przewaga rozsądku nad uczuciem i namiętnościami. Jakkolwiek i w dojrzałym wieku tkwiło niebezpieczeństwo dla teorii rewolucyjnej, która domagała się od wszystkich bujnej wyobraźni, utożsamiającej uludne spekulacje z rzeczywistością, to przynajmniej była to jeszcze jedyna zasada, na której się dało oprzeć w konstytucyi z r. 1795 system dwuizbowy²⁾.

Izba starszych (conseil des anciens), naśladowująca izbę wyższą, podług brzmienia konstytucyi z r. 1795, winna się była składać z członków czterdziestoletnich i to ożenionych, gdy tymczasem dla członków rady pięciuset (conseil des cinq cens) wystarczało lat 30 i wyrażono zaufanie nawet do żyjących w stanie bezżennym. System dwuizbowy rewolucyjny nie okazał jednak więcej politycznych przymiotów od jednoizbowego. Dwie izby, złożone z tychże samych pierwiastków społecznych i przejęte na wskroś temi samemi zasadami i tym samym brakiem odwagi wobec demagogicznego terroryzmu, nie zdołały powstrzymać anarchicznej powodzi, zalewającej wszystkie kierunki życia państwowego, i dlatego też Taine oba płody konstytucjonalizmu rewolucyjnego (1791—1795) uważał za chybione³⁾; oba bowiem dążyły do wytworzenia powszechnej powagi i protekcyi, a oba zarówno przyczyniły się do zamętu i rozprzężenia społecznego.

Konstytucya z r. 1799⁴⁾, zawdzięczająca swe główne idee słynnemu doktrynerowi rewolucyi, Sieyès'owi, pragnęła zastąpić jakoś izb ich ilością i stworzyła aż trzy czynniki ciała prawodawczego. Lichota

¹⁾ Laferrière: „Les constitutions i t. d.“ Str. XXXV.

²⁾ Laferrière: „Les constitutions i t. d.“ Str. L i dalsze.

³⁾ Taine: „Le régime moderne,“ t. I, str. 121.

⁴⁾ Laferrière: „Les constitutions i t. d.“ str. LXXV i dalsze, porównać Taine: „Le régime moderne,“ t. I, str. 136 i dalsze.

tej skomplikowanej prawodawczej maszyneryi była dobrze znaną pierwszemu konsulowi, Bonapartemu, i jeżeli się zgodził na nadanie jej siły obowiązującej, to jedynie w tem przekonaniu, że stworzy z niej wygodny konstytucyjny automat, poruszany dowolnie jego mistrzowską ręką. Już w r. 1802 za pośrednictwem senatusconsultu ¹⁾ przeistoczył Bonaparte znacznie konstytucyę z r. 1799, a w r. 1804 na mocy takiego samego senatusconsultu uczynił się cesarzem. Konstytucya pierwszego cesarstwa, wsparta przeważnie na posłusznym „zachowawczym“ senacie (senat-conservateur), radzie stanu, oraz na wydyscyplinowanej i scentralizowanej administracyi, posiadała również i cień reprezentacyjnych instytucji ²⁾. Stwierdzona w konstytucyi z r. 1799 lichota wieloizbowego systemu znalazła i w konstytucyi cesarstwa zastosowanie. Senat, ciało prawodawcze, trybunał, a nawet w pewnym stopniu rada stanu, mogły być uważane za czynniki prawodawcze, nawzajem się krępujące i nawzajem sobie przeszkadzające, wobec zaś władzy cesarskiej bezsilne.

O ile jednak w organizacyi nowego porządku państwowego chciał Napoleon zachować dla siebie jak najwięcej swobody działania i w tym też celu narzucił Francyi ustrój, gwarantujący mu ją w pełni, o tyle przyoblokłszy się raz w znamienne szaty cesarza, sprzeniewierzył się niektórym zasadom teoryi rewolucyjnej. Zniszczywszy we Francyi do szczętnie wszystko, co tylko przypominało dawny feudalny porządek i zabezpieczywszy się kodeksem cywilnym swego imienia od możliwego utajenia się pierwiastku staro-arystokratycznego w sferze praw prywatnych, w ognisku rodzinnem, lub też od jego odrodzenia się w przyszłości, stworzył arystokrację nową, przywiązaną do niego i posłuszną ślepo na jego skinienie ³⁾. Źródłem tej arystokracji miała być zasługa bojowa, cywilna lub naukowa; przedewszystkiem więc do niej zaliczeni zostali wszyscy najwyżsi dygnitarze państwowi i wraz z miejscem w senacie otrzymywali tytuły arystokratyczne i dotacyę fideikomisową w ziemi lub w dziedzicznej rencie.

Nie tylko w tym kierunku odstąpił Napoleon od zasad rewolucyjnego konstytucjonalizmu, które tyle razy uroczyście zwiastował europejskiemu kontynentowi. Jako twórczy organizator nowego porządku państwowego, przeniknął Napoleon najtajniejsze głębie sprzeczności i niemożliwości, jakie w sobie zawierał system jedno- lub trójizbowy w zastosowaniu do ciał prawodawczych. Nadmienionem już zostało, z jakich powodów konstytucya cesarstwa przyjąć musiała wieloizbowy

¹⁾ Laferrière: „Les constitutions“, str. LXXXVI i dalsze.

²⁾ Laferrière: „Les constitutions“, str. CI i dalsze.

³⁾ Taine: „Le régime moderne“, t. I, str. 341 i dalsze.

ustroj; dodać jednak należy, iż w obcych krajach, w których wraz z Napoleońskimi orłami zjawily się karty konstytucyjne, system dwuizbowy został uznany za najodpowiedniejszy, a w niektórych państwach, jak np. w Księstwie Warszawskim, pozostawiono izbie wyższej, czyli senatowi, niektóre dekoracyjne szczegóły po dawnym porządku państwowym ¹⁾.

Teorya rewolucyjna, przeistoczona przez Napoleona I, zastąpioną została w roku 1814 przez doktrynę monarchizmu legitymistycznego, z przymusu mianującego się konstytucyjnym, która naukowy swój wyraz znalazła w dziełach Benjamin Constant'a. Pisarz ten niezaprzeczonego talentu uważał system dwuizbowy za jedynie możliwy dla ustroju ciał prawodawczych i nie wahał się go zalecić monarchii konstytucyjnej francuskiej. Constant'a nauczyły dzieje wielkiej rewolucyi, czego się można spodziewać od jednej izby; powrócił więc do wzorów angielskich, poleconych w wieku XVIII przez De Lolme'a ²⁾ i, doradzając swemu krajowi dziedziczną izbę wyższą, uprzedzał: „jeżeli nie trafią (uwagi moje) do przekonania wszystkich moich czytelników, przekonać ich przynajmniej powinny, że nie używano tej instytucyi przeciw wolności; owszem, upatruję w niej nową dla wolności rękojmię“ ³⁾. Naukę Constant'a przyjęła oktrojowana karta konstytucyjna Francyi z r. 1814 ⁴⁾, a następnie rozwinęła się jego doktryna i w Niemczech, gdzie w 1820 r. Zachariae tak się nią przejął, że już „Die Herrenwürde auf Lebenszeit“ wydawała mu się „ein Vorrecht ohne genügende Grundlage“ i że podobne „Vorrecht zu einem Vorrechte lässt sich nur unter besonderen Umständen vertheidigen“ ⁵⁾.

Począwszy od 1818 roku, oświadczyły się konstytucye państwek niemieckich za systemem dwuizbowym i za izbą wyższą, opartą na zasadzie dziedziczości, skombinowaną z zasadą dożywotniego pierwiastku urzędniczego (Aemteradel). Z całej państwowej mozaiki Rzeszy niemieckiej, jedyna Hessya (Kurhessen) uniknęła systemu dwuizbowego i, jak Treitschke utrzymuje, nie potrzebowała się na to uskarżać ⁶⁾. W r. 1850 otrzymały Prusy konstytucyę, a w r. 1854 dekret monarszy

¹⁾ Pozostawiono w senacie Księstwa Warszawskiego wojewodów, kasztelanów, jako dawne tytuły senatorów Rzpltej.

²⁾ Constant: „O monarchii konstytucyjnej i rękojmiach publicznych,“ część I, str. 179 i dalsze (tłóm. Niem.).

³⁾ Constant: „O monarchii konstytucyjnej,“ część I, str. 185.

⁴⁾ Laferrière: „Les constitutions i t. d.“, str. CXV, artykuł 27 konst. z 1814 r. dozwalał monarsze mianować dziedzicznych i dożywotnich parów.

⁵⁾ „Vierzig Bücher vom Staate,“ t. II, str. 298.

⁶⁾ „Das Zweikammersystem und das Herrenhaus,“ str. 404.

powołał do bytu izbę wyższą (Herrenhaus). Zasada dziedzictwa i pierwiastek urzędniczy otrzymały w uzupełnieniu elementa wyborcze, dające przewagę szlachcie pospolitszej ¹⁾. W roku 1861 konstytucja austriacka przyjęła system dwuizbowy, a izba wyższa (Herrenhaus) była skombinowaniem zasady dziedziczności z dożywotnością z wyłączeniem elementu wyborczego, uwzględnionego w Prusach ²⁾. Jednocześnie zaprowadzono i w starożytnym ustroju izby magnatów węgierskich pewne modyfikacje, nie zacierające wszakże dawnego charakteru korporacji ³⁾. Zjednoczone w r. 1870 cesarstwo niemieckie oparło organizację ciała prawodawczego na systemie jednoizbowym. Nie przeszkadzało to jednak takim autorytetom, jak Mohl i Bluntschli, uważać „Bundesrathu“ za wytwór, przypominający i zastępujący do pewnego stopnia izbę wyższą ⁴⁾, ale najwięcej przekonywającej siły posiada rozumowanie Labanda, dowodzące, że w żadnym razie „Bundesrathu“ za izbę wyższą uważać nie można ⁵⁾.

Wyszczególnić należy w XIX wieku odrębny typ izb wyższych, które wzięły wyraźny rozbrat z zasadą dziedziczności, a zastąpiły ją przeważnie dożywotnością funkcyonowania godności. Do powyższej kategorii należą np. senaty obu cesarzów Napoleońskich, izba wyższa Orleańskiej monarchii, senat włoski i t. p. ⁶⁾. Konstytucjonalizm XIX stulecia zna jeszcze trzeci typ izb wyższych, oparty przeważnie i na równi z izbami deputowanych na zasadzie wyborczej. Forma państwowa rzeczypospolitej (Szwajcarya, Francya od 1870 r., Stany Zjedn. Ameryki północnej), lub też niedostatek żywiołów arystokratycznych (Szwecya, Norwegia, Hol-

¹⁾ Rössler: „Studien zur Fortbildung der preussischen Verfassung,“ część II, str. 26. — Porównać Treitschke: „Das Zweikammersystem und das Herrenhaus,“ str. 393. — Porównać Lasker: „Die Verfassungsgeschichte Preussens,“ str. 237.

²⁾ Ulbrich: „Lehrbuch des oesterreichischen Staatsrechts,“ str. 342.

³⁾ Ulbrich: „Das Staatsrecht der oesterreich-ungarischen Monarchie (Marquardsen),“ str. 153. Pozostali w izbie magnatów nawet dwaj deputowani sejmii chorwacko-slawońskiego.

⁴⁾ „Das deutsche Reichstaatsrecht,“ str. 223. Bundesrath jest—zur Wahrung des föderativen Elements.—Porównać Bluntschli: „Allgemeines Staatsrecht,“ str. 91, wyd. 1876.

⁵⁾ „Das Staatsrecht des deutschen Reiches,“ t. I, str. 222. „Der Bundesrath steht aber zu jeder Art von parlamentarischer Körperschaft im schroffsten Gegensatze.“

⁶⁾ Laferrière: „Les constitutions i t. d.“ str. CI i CXXVI,—nadmienie wypada, że art. 23 Konstytucyi z 1830 r. pozostawia koronie swobodę mianowania parów dziedzicznych lub dożywotnich, lecz z tego ostatniego prawa monarchizm Orleański przeważny robił użytek. Str. 514.

landya, Belgia) w monarchiach ¹⁾, zmusiły w obu wypadkach prawodawcę do wytworzenia izby wyższej za pośrednictwem wyborów.

Zrozumiano jednak wszędzie, że do izby wyższej muszą być powołanymi żywioły rozważniejsze i dojrzałsze w służbie publicznej i że w żadnym razie izba wyższa nie może być podobizną z ducha i formy izby niższej. Do celu politycznego, który miał, jak się trafnie Bluntschli wyraził, stworzyć „zwei verschieden denkende Kammer,“ ²⁾ zdążali prawodawcy za pośrednictwem ograniczenia prawa wyborczego, zarówno czynnego, jak i biernego. Zazwyczaj wymagano od wyborców wyższych niż zwykle warunków intelektualnych, a w dodatku pozwalano im wybierać tylko wśród grona dojrzałego pod względem umysłowym, a samodzielniejszego pod względem społecznym. Z państw europejskich w jednej tylko Norwegii konstytucya z r. 1814 pogardziła zasadniczemi różnicami, a zadawalnijąc się czysto mechanicznym podziałem, stworzyła dwie izby z tychże samych pierwiastków społecznych. Zupełny brak żywiołów arystokratycznych w Norwegii stał się powodem, że do systemu dwuizbowego prawodawca z 1814 r. mało przypisywał wagi; uchwalonym też został większością zaledwie jednego głosu ³⁾.

Z przebiegu dziejów konstytucjonalizmu w XIX wieku przekonać się łatwo, że system dwuizbowy znalazł zastosowanie w znakomitej większości państw europejskich i że monarchie, zarówno jak i rzeczypospolite, państwa jeduolite, zarówno jak i związkowe, upatrywały w nim cenne przymioty polityczne, zapewniające ustrojowi państwowemu trwałe podstawy, a prawodawcy zrozumienie jego pobudek i poszanowanie dla jego ustaw. Zanim się zastanowię nad pytaniem: czy system dwuizbowy wogóle, a izby wyższe w szczególności urzeczywistniły nadzieje, jakie w nich nauka polityczna pokładała, winienem w krótkości przedstawić owe polityczne korzyści i pożytki, jakich się od tego systemu i od izb wyższych domagano i spodziewano.

Z wybornem i gruntownem uzasadnieniem przymiotów systemu dwuizbowego, zarówno jak i z wykazaniem ujemnych stron jedno- lub wieloizbowego ustroju prawodawczego, wystąpił już dość dawno Ben-

¹⁾ Hartog: „Das Staatsrecht des Königreichs der Niederlande (Marquardsen),“ str. 28. „Zu diesem Missstande kam noch der Umstand, dass einerseits die für ein Oberhaus natürliche Voraussetzung einer geschichtlich festgewurzelten Geburts-Aristocratie bei uns fast gänzlich fehle i t. d.“—Porównać Aschehng: „Das Staatsrecht der vereinigten Königreiche Schweden und Norwegen (Marquardsen),“ str. 10,— w Szwecyi za długo trwał przewaźny wpływ arystokracji i reforma 1866 r., stanowiąc izbę wyższą wybieralną, chciała temu wpływowi zapobiedz, porównać Brömel: „Die freie Verfassung Norwegens i t. d.“ część I, str. 31.

²⁾ „Politik als Wissenschaft,“ str. 360, wyd. 1876.

³⁾ Brömel: „Die freie Verfassung Norwegens i t. d.“ str. 209.

tham. Benthamem przejął się nawskroś Constant, a najistotniejsze powody, przemawiające za systemem dwuizbowym oraz za izbą wyższą (z usunięciem zasady dziedziczności), uznał Story za właściwe dla Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej i ujął je w wykład tak ścisły i wyczerpujący, że zadowolnić może najwybredniejsze wymagania i w zupełności na nazwę klasycznego zasługuje ¹⁾. Pomimo nieudanych prób z izbami dziedzicznymi i dożywotniami we Francyi, najwyższe powagi nauki politycznej powtarzały za Benthamem korzyści, przemawiające za systemem dwuizbowym, uznając jego przewagę nad prawodawcą, który tylko z jedną izbą liczyć się potrzebuje.

Izby wyższe, bez względu na nazwę i bez względu na zasadę, na jakiej się wsparły, miały przedewszystkiem jako współczynnik parlamentarny oddać prawodawstwu państwowemu niepospolite usługi. Usługa polegała nasamprzód na tem, że prawodawca zyskiwał należyty spokój, rozagę, trzeźwość i niepodległość sądu, dzięki dojrzałości obrad, zabezpieczającej od namiętnych pragnień kapryśnych większości izb niższych. Dojrzałość obrad nie pozwalała prawodawcy rzucić się w odmęt nagłych i gorączkowych nowatorstw i upoczywie przypominała mu o niezbędnem poszanowaniu obowiązującego prawa, które izba niższa uważać była skłonna za wyraz siły, godny uznania jedynie wówczas, gdy odpowiadał pragnieniom większości. Dojrzałości obrad parlamentarnych system jednoizbowy nie zapewniał wcale i nie bez słuszności Chaudordy wątpił, czy kiedykolwiek zapewnić będzie w możności ²⁾. Wszelkie bowiem środki mechaniczne, jakie użytemi zostały, aby większość izby deputowanych skłonić do chłodnej rozważki, zawsze się okazywały w chwili roznamiętnienia niedostatecznymi i nic nie mogło skłonić zwycięskiego stronnictwa do upamiętania się ze względu na dobro publiczne i do umiarkowania wobec mniejszości.

Dojrzałością obrad miały się odznaczać izby wyższe skutkiem tego, iż w skład ich wchodziły żywioty, doświadczone w życiu państwowem i odznaczone zasługą publiczną. Rozumu politycznego i doświadczenia wymagano od izb wyższych nie tylko tam, gdzie się one wspierały na zasadzie dziedziczności lub dożywotności, pozwalającej koronie powoływać wytrawne żywioty ze sfer rządzących. Izby wyższe bieralne miały zapewnić ten sam cel prawodawcy, dobierając najważniejszych wyborców, zapewniając wybór dojrzałszym i samodzielniejszym społecznie mężom, a prócz tego wymagając od wybranych dłuż-

¹⁾ „Das Bundesstaatsrecht der vereinigten Staaten Nordamerikas,“ str. 305 i dalsze.

²⁾ „De l'etat politique de la nation française,“ str. 52.

szego okresu służby, pozwalającego gruntowniejszemu zapoznaniu się ze sprawami publicznymi. Trafnie zauważył Story, że częste wybory wytwarzają w izbach deputowanych niedostateczne poczucie odpowiedzialności politycznej i zniechęcają wybranych do należytego obznajomienia się ze sprawami, które ich sądowi podlegają ¹⁾. Dłuższy okres urzędowania, za którym bardzo silnie Story przemawia, miał właśnie rozkrzewić poczucie odpowiedzialności politycznej i skłonić członków izb wyższych do poświęcenia egoizmu społecznego na rzecz dobra państwowego. Izba wyższa, w której skład wchodziły członkowie dynastji, rody, uprzytomniające przeszłe zasługi dziejowe, i mężowie stanu, zasobni w doświadczenie i znajomość bieżącej politycznej doby, posiada znaczne rękojmie, iż nie da się porwać gorączkowej retoryce, ani namiętnym pragnieniom izby deputowanych.

Prócz dojrzałości obrad, która sprowadzała w nieuniknionem następstwie dojrzałość prawodawczej działalności, zapewniały izby wyższe ustrojowi państwowemu jeszcze inne i to bardzo poważne korzyści. Doświadczenie nauczyło, że jedna izba wybieralna nie tylko nabawia władzę prawodawczą szkodliwej gorączkowości, demoralizującej rząd i obezwładniającej administrację państwową, ale daje się łatwo ogarnąć poczuciu własnej wszechwładności, w tem przekonaniu, że wyobraża cały naród, a więc, że i zwierzchnictwo ludu do niej należeć powinno. Usposobienie do terroryzowania władzy monarchicznej objawiało się zazwyczaj w mniejszym lub większym stopniu wśród izb deputowanych; tam jednak, gdzie izb wyższych nie było, stanowisko monarchizmu lub rządu republikańskiego stawało się wobec jednego zgromadzenia prawodawczego daleko drażliwszem, a w następstwie i zależniejszym.

Izba wyższa miała być właśnie owym pożądanym hamulcem, miarkującym zachcianki wszechwładne izb deputowanych, oraz jej przypadło w udziale kontrolowanie i rewidowanie działalności reprezentacyi narodowej. Prawodawcy konstytucyjni, nie wyłączając angielskich, przeświadczeni byli z góry o tem, że izby wyższe, wsparte nawet na zasadzie dziedziczności tak popularnej, jak w Anglii, stanowiąc będą wobec izb, reprezentujących cały naród, hamulec jedynie względny, nigdy zaś absolutny. Angielska izba gmin przekonała już w XVIII wieku lordów, że reformom, uznanym przez opinię społeczną, zapobiedz nie potrafią, że mogą kilkakrotnie odrzucać bil ²⁾, lecz

¹⁾ „Das Bundesstaatsrecht der vereinigten Staaten Nordamerikas,“ str. 314.

²⁾ Bagshot: „Englische Verfassungszustände,“ str. 136: (lordowie) wir weisen eure Bill ein Mal, zwei Mal, sogar drei Mal zurück, wenn ihr aber fortfahrt sie uns vorzulegen, so werden wir sie zuletzt nicht mehr zurückweisen.

że ostatecznie w każdym poważniejszym sporze gminom ustąpić muszą, choćby nawet korona sprzyjała szczerze ich oporowi. Jeżeli zaś angielska izba lordów nie mogła się mierzyć doniosłością powagi i wpływu z izbą gmin, to cóż dopiero mówić o izbach wyższych kontynentalnych, które okazywały niejednokrotnie nieograniczoną uległość dla korony i nieograniczony opór wobec izby deputowanych, lecz też, zamiast być podporą tronu, stawały się czasami przyczyną jego upadku.

Prawodawcy konstytucyjni, zarówno w starej Anglii, jak i na kontynencie europejskim, nie pragnęli ani marzyli nawet o tem, ażeby z izby wyższej stworzyć organ, równy władzą, wpływem i znaczeniem izbom deputowanych. Nawet najnowszy wytwór konstytucyi francuskiej z 1875 r., senat republikański, miał uosabiać jedynie „experience“ wobec izby deputowanych, przedstawiającej „autorité“ całego narodu ¹⁾. Zadanie też izb wyższych nie tkwi bynajmniej w ubieganiu się o przewagę nad reprezentacją państwową, ale w przeciwstawieniu doświadczenia politycznego i poczucia publicznego obowiązku roznamiętnieniu stronnictwu i egoistycznym zachceniom izby deputowanych. Oporu, jaki w danych wypadkach stawiały izby wyższe reformom zamierzonym przez reprezentację kraju, nie należy uważać zawsze za reakcję, czyli zasklepienie się ślepe w przeżytych formach i zasadach. Chwilowe wędzidło, nałożone rozkiesznaniu stronnictwu, miało przedewszystkiem na celu doprowadzenie izby deputowanych do chłodnej refleksyi, a zarazem całej masy wyborców do zajęcia się pilnego palącą kwestyą. Przymuszenie reprezentacji narodu do policzenia się z własnem sumieniem i z odpowiedzialnością przed wyborcami bywało tem pożyteczniejszym, że często przebiegłość stronnictw potrafiła pozyskać małą większość dla uchwał, niweczących najważniejsze prawodawczo-konstytucyjne zdobycze.

W dobie obecnej np. w angielskiej izbie gmin uchwalono „home rule,“ zaprowadzający osobny parlament w Irlandyi i niweczący tem samem akt unii, osiągnięty z takim wysiłkiem i, rzecz można, wykonany na początku XIX stulecia „per fas et nefas.“ Izba lordów, niezastraszona bynajmniej groźbami ministeryum, oraz izby gmin, zapowiadającymi lordom, że oporem stawianym reformom przyspieszą własny upadek ²⁾, odrzuciła bil znaczną większością głosów, nie dlatego, aby się czuła w mocy stawiania czoła pragnieniom narodu, lecz aby zmusić mi-

¹⁾ Chaudordy: „De l'état politique de la nation française,“ str. 49. Porównać: Ribert: „Esprit de la constitution du 25 Ferrier 1875.“ Str. 63: „des deux chambres qui est la première en dignité est la seconde en puissance.“

²⁾ Escher: „Handbuch der praktischen Politik,“ t. II, str. 231. Przekonywa, że już w r. 1858 Bright wystąpił z projektem zniesienia izby lordów.

nisteryum do odwołania się do rzeczywistego przekonania poważnej większości wyborców ¹⁾). Być bardzo może, iż izbie gmin stawiać będą lordowie jeszcze niejednokrotnie opór w przeprowadzeniu tak ważnych, jak „home rule,“ reform, ale w każdym razie wobec nowych reprezentantów, występujących z temi samemi postulatami, będą musieli złagodzić opozycyę a spotęgować motywa polityczne, które ich do podobnego zachowania się skłoniły.

Izby wyższe oparte na zasadzie dziedziczności, miały na równi z monarchizmem reprezentować prawo historyczne ²⁾ i dlatego też im przypadła z natury rzeczy rola najodpowiedniejszego pośrednika między tronem a całym narodem. Dziedziczność, związana zazwyczaj z tradycyą i sławą dziejową, wytworzyła w Anglii niezwykły urok i skłoniła niektórych teoretyków do przekonania, że jedynie izby wsparte na powyższej zasadzie mogą być istotnie pożytecznemi ³⁾. Dożywotność wszakże, zasilająca izby wyższe pierwiastkami rządzącymi, może również oddawać monarchizmowi poważne usługi i spełniać zadanie pośredniczenia z pożytkiem dla dobra publicznego.

W rzeczachpospolitych, będących zarazem państwami związkowymi (Bundesstaat) izby wyższe wybieralne, pomimo że są pozbawione pierwiastków historycznych i rządzących, spełniają te same prawe zadania, co izby dziedzicznych lub dożywotnich panów. Członkowie bowiem powyższych korporacyi obdarzani są posłannictwem reprezentowania pojedynczych państw (stanów, kantonów ⁴⁾), i ich zadaniem jest zapobieganie temu, ażeby większość izby deputowanych nie wyzyskiwała lub nie krzywdziła niepotrzebnie pojedynczych części na rzecz całości. Wyborcy, przejęci ważną misyą izby wyższej, stawali się zazwyczaj oględnymi i rozważnymi w wyborze; zarówno też w Szwajcaryi, jak i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, dojrzałość obrad, a tem samem i dojrzałość prawodawczej działalności, zyskiwała na wartości, dzięki systemowi dwuizbowemu, i niema prawie wśród

¹⁾ De la Sizerame: „Le referendum communal,“ str. 839. (La reforme sociale 1 Juin. 1893).

²⁾ Eötvös: „Der Einfluss der herrschenden Ideen des XIX Sts auf den Staat.“ (Część II, str. 166. (Oberhaus) „dass er im Gedränge der wirklichen und eingebildeten Bedürfnisse des Augenblickes das historische Recht vertrete“ Porównać Waitz: „Grundzüge der Politik“, str. 59.

³⁾ Do rzędu tych teoretyków należał Zachariac a i do pewnego stopnia Waitz: „Grundzüge der Politik“, str. 59. Porównać Desjardins: „Qu'est-ce que la liberté politique?“ str. 127. („Reforme sociale“ 1894. N. 74).

⁴⁾ Story: „Das Bundesstaatsrecht der vereinigten Staaten Nordamerikas“ str. 306.

uczonych lub mężów stanu powyższych krajów poważniejszych orędowników systemu jednoizbowego ¹⁾).

Zadaniem więc izb wyższych było uosabianie w ustroju prawodawczym interesu politycznego, mającego dobro całego państwa na względzie. Interesu tego winny były bronić izby wyższe wobec izb deputowanych, reprezentujących zazwyczaj interesa społeczne różnych klas, dążących do wyzyskania jednych na korzyść drugich. Prócz powyższych zadań, jakich w mniejszym lub większym stopniu wymagano od izb wyższych we wszystkich państwach konstytucyjnych, wystąpił prawodawca konstytucyjny francuski w r. 1875 z nowym celem, który za pośrednictwem republikańskiego senatu osiągnąć zamierzał. Gdy zgromadzenie narodowe jednoizbowe budziło wśród najpoważniejszych teoretyków francuskich niepokój ²⁾, przyszedł i sam Gambetta do przekonania, że jedynie senat może się stać „l'ancre de salut” ³⁾ dla wątlej i chwiejnej konstytucyjnej budowy. Konstytucya Wallona z 1875 r., przyjąwszy za zasadę system dwuizbowy i uposażywszy senat w ważne prerogatywy, powołała za pośrednictwem skomplikowanego prawa wyborczego do jego składu pierwiastki zapewniające przewagę gminom wiejskim nad miastami ⁴⁾.

Krwawa łuna komuny paryskiej, przyświecająca tryumfom nieprzyjaciela, oraz zachcianki federalistyczne innych miast francuskich, zaszczyliły w umysłach prawodawców trwałą nieufność do żywiołu mieszczańskiego i podyktowały mu oryginalny polityczny pomysł. Senat francuski z r. 1875 nie przedstawia korporacji wyłącznie politycznej wobec pierwiastków społecznych izby deputowanych, ale skupiają się w nim przeważnie interesa gmin wiejskich, które nie odbiegały w danej epoce tak dalece jak gminy miejskie od poczucia dobra ogólnego. Oryginalny ów polityczny pomysł, jaki senat francuski uosabia, jakkolwiek wywołał słuszny zarzut Blanc'a, utrzymującego: że jest przeciwnym wszelkiej logice płynącej z natury republikańskich instytucyi ⁵⁾, funkcyjouje dotąd, jak przynajmniej utrzymują poważni ucze-

¹⁾ Rüttimann: „Das Nordamerikanische Bundesstaatsrecht verglichen mit den Politischen Einrichtungen der Schweiz.” Część I, str. 114—118.

²⁾ Blanc: „Histoire de la Constitution du 25 Fevrier 1875” str. 76. Porównać Laboulaye: „Questions constitutionnelles” str. 338, w roku 1872 napisał: „La mer n'est ni plus oragense, ni plus perfide qu'une assemblée est nombreuse.”

³⁾ Blanc: „Histoire de la Constitution du 25 Fevrier 1875”, str. 226. „L'ancre de salut sur lequel devait reposer le vaisseau de l'Etat.”

⁴⁾ Bard et Robiquet. „La Constitution française de 1875”, str. 212—213. Porównać Blanc: „Histoire de la Constitution du 25 F. 1875”, str. 226. Senat jest „Le grand conseil des communes françaises.”

⁵⁾ Blanc: „Histoire de la Constitution du 25 F. 1875”, str. 116.

ni¹⁾, wcale nieźle i nie zasługuje bynajmniej na to, aby go w imię niedostatecznego uzasadnienia naukowego potępiano. W r. 1888 zjawił się wprawdzie projekt reformy konstytucyjnej, utrzymujący, że głos opinii publicznej pragnie usunięcia senatu (*suppression du senat*) i zaprowadzenia systemu reprezentacji jednoizbowej (*chambre unique*)²⁾; z tem wszystkim jednak jeden z najuczestniejszych pisarzy politycznych francuskich obecnej chwili, Desjardins, ceni wysoko usługi, jakie oddaje senat Rzeczypospolitej; nazywa on go „*l'asile de la liberté*”, który przynajmniej opóźnia wprowadzenie rządów tyranizujących konwencji narodowej. Tylko też w obrębie senatu, zdaniem Desjardins'a „*que la tout puissance du nombre ne s'exerce pas avec une regularité mathématique et que l'opinion, puissance distincte du suffrage, peut encore entendre sa voix*”³⁾.

Takie były w ogólnym zarysie wymagania, jakie nauka polityki izbom wyższymi stawiała⁴⁾. Pozostaje teraz do zbadania kwestya: czy praktyka konstytucyjna pozostała w zgodzie z postulatami doktryny i czy rzeczywistość życia państwowego nie rozwiała wszelkich illuzyi i obliczeń uczonych? Stwarzając polityczny ideał izby wyższej, nauka nie łudziła się bynajmniej nadzieją, aby się prawodawcy udało kiedykolwiek osiągnąć go w zupełności. Chodziło jedynie o to, aby w przybliżeniu zdobyć obiecane przez naukę polityczną korzyści, a pod tym względem historia konstytucjonalizmu w XIX-ym wieku ciekawe i nauczające przedstawia objawy.

Właściwe spełnienie licznych zadań politycznych, wymaganych od izb wyższych, zależało od dojrzałości i doświadczenia pierwiastków społecznych, które do ich składu wchodziły. Izby wyższe miały przedstawiać polityczną jakość (*Qualität*) w przeciwstawieniu do politycznej ilości (*Quantität*), którą uosabiali izby deputowanych. Jeżeli więc członkowie izb wyższych nie zdołali wyrobić wśród siebie świadomości i poczucia obowiązków publicznych i w dalszym ciągu dawali się ogarniać egoizmowi klasowemu, wówczas, co do pożytków oczekiwanych a obiecanych przez polityczną naukę, można było mieć istotnie poważne wątpliwości. Najpierw zatem poświęcić wypada uwagę jakości pierwiastków wytwarzających izby wyższe a rozpocząć trzeba od tych państw, w których zasada dziedziczności skupiała w izbach wyższych

¹⁾ Bard et Robiquet: „*La Constitution française de 1875*”, str. 215.

²⁾ Becquard: „*Essai de reforme constitutionnelle*”, str. 9.

³⁾ Qu'est ce que la liberte politique. Str. 128. („*La réforme sociale*” 1894, N. 74).

⁴⁾ Z izb wyższych organizowano zazwyczaj sąd polityczny, ale kwestyę powyższą jako niewpływającą na ustrój izb wyższych pominąć można.

pierwiastki arystokratyczne, wsparte dziejową tradycją i polityczną zasługą.

Jako ideał izby wyższej, możliwy do osiągnięcia w XIX stuleciu, uważano wogóle angielską izbę lordów. Usposobienie nawskrós arystokratyczne narodu angielskiego ¹⁾ wytworzyło w pierwszej połowie bieżącego wieku ten ciekawy i oryginalny objaw, że wtedy nawet, gdy izba lordów zajmowała wobec izby gmin podrzędniejsze stanowisko, każdy par Anglii, pojedynczo wzięty, stanowił bezspornie pierwszą potęgę społeczną w swej okolicy i od niego zawisły przeważnie wybory do izby gmin, nie wspominając o sprawach samorządu lokalnego, którym najczęściej osobiście przewodniczył ²⁾. Pomimo jednak tego, że stanowisko arystokracji angielskiej wobec klas niższych było odmiennem niż na stałym lądzie i pomimo, że samorząd miejscowy był dla niej wyborną szkołą publicznego życia, w której zdobywała sobie uznanie i przywiązanie uboższych mas, w drugiej połowie XIX stulecia społeczna powaga izby lordów zmniejszyła się znacznie i żywiły arystokratyczne w skład jej wchodzące obarczone licznymi zarzutami ³⁾. Nie chodzi bynajmniej tym razem o namiętne nawoływania radykalnych reformatorów, domagające się zniesienia izby lordów ⁴⁾. Nie brakło takich i w Anglii, ale lekceważyć nie można zarzutów, stawianych przez poważnych uczonych, którzy, mimo to, że przejęci byli nawskrós uwielbieniem dla systemu dwuizbowego, przyznać musieli, że prawie wszystkie pożytki z tego systemu płynące, idą na marne, dzięki martwocie ogarniającej coraz wszechwładniej lordów ⁵⁾.

Bagehot, któremu ani przenikliwości, ani przywiązania do starobrytańskich instytucji odmówić nie można, zauważył, że parowie Anglii, czując wstępną do świeżych wielkości, które talentem i zasługą zdobyły sobie miejsce w izbie lordów, poczynali coraz bardziej stronić od obrad i posiedzeń własnej korporacji a zadawali się w zupełności skrytym wpływem, jaki na społeczeństwo wywierali. Gdy zwyczaj przysyłania zastępców do głosowania ustalił się w izbie lordów, a w dodatku pomysł odświeżania izby dożywotniami członkami upadł, posiedzenia tej niegdyś imponującej rozumem stanu korporacji świeciły pustkami i czuć było, że duch nowożytny wynosił się z niej,

¹⁾ Bluntschli: „Politik als Wissenschaft.” Str. 323.

²⁾ Bagehot: „Englische Verfassungszustände.” Str. 130—131.

³⁾ Bagehot: „Englische Verfassungszustände” w rozdziale „Das Haus der Lords” wystąpił z najliczniejszymi zarzutami.

⁴⁾ W obecnej dobie „home rule” irlandzki wywołał również, jako pogrózkę, projekta zniesienia izby lordów.

⁵⁾ Bagehot: „Englische Verfassungszustände.” Str. 151.

aby wśród gmin obrać siedlisko ¹⁾. Z tem wszystkiem wyliczając braki izby lordów oraz arystokracji angielskiej, z doby więcej zbliżonej do nas, Bagehot dalekim był od potępienia tej niezaprzeczonej zasłużonej instytucji państwowej i przyznaje, że nawet w stanie obumierania i wewnętrznego rozstroju jeszcze zabezpieczała prawodawstwo krajowe od gorączkowego nowatorstwa i zadanie spokojnego oraz fachowego kontrolowania prawodawczych funkcji izby gmin spełniała nienajgorzej ²⁾.

Jeżeli arystokracja angielska będąca tradycyjnie opiekunką i służebnicą ludu nie zdołała w drugiej połowie XIX stulecia utrzymać dziedzicznej izby lordów na dawnym poziomie znaczenia i powagi, to cóż dopiero mówić o arystokracji stałego ładu europejskiego. Arystokracja kontynentalna była na równi z całą szlachtą stanem uprzywilejowanym, któremu wraz z licznymi pożytkami zapewniało prawo państwowe stanowisko wyzyskujące dobrobyt pracowników gleby. Wprawdzie w pierwszej połowie XIX-go wieku arystokracja nie mogła powtarzać starego przysłowia, nazywającego ją drobnymi królikami, z tą samą co dawniej pewnością siebie, ale w każdym razie proklamowana przez kodeks i konstytucje Napoleońskie równość prawna była w wielu państwach dopiero postulatem teoretycznym, któremu resztki przywilejów klas wyższych najwyraźniejszy kłam zadawały.

Konstytucyjny gmach XIX stulecia stanął na dawnej podstawie społecznej, wytworzonej patrymonialnymi stosunkami agrarnej ludności, i usunąwszy jedynie bardziej krzyczące nadużycia, bynajmniej tej podstawy nie przeistoczył stosownie do potrzeb nowożytnego państwa. Własność dominialna dawniej uprzywilejowanych stanów nie tworzyła już w XIX wieku państwa w państwie, arystokracja nie mogła włóścian nazywać poddanymi w dawnym znaczeniu tego słowa; ale, choć się wiele zmieniło i nie spychano wszystkich ciężarów na barki biednego ludu, pozostało dużo śladów z dawnego feudalnego porządku, które przypominały arystokracji, że niedawno miała przywilej wyzyskiwania słabszych, a nie służenia dobru publicznemu. W wielu krajach pozostawiono dawnemu możnowładztwu patrymonialnemu władzę policyjną miejscową, a choć ją uważano za delegowaną przez państwo a nie za przytwierdzoną do ziemi, to w połączeniu z prekaryjnym posiadaniem gruntów rolniczej ludności i z brakiem samodzielnych włóścian właścicieli i to skromniejsze stanowisko arystokracji podkopywało teorię konstytucyjną i do pojęć prawno-państwowych wprowadzało wraz ze sprzecznościami istotny chaos.

¹⁾ Bagehot: „Englische Verfassungszustände.” Str. 152 i 154.

²⁾ Bagehot. „Englische Verfassungsgeschichte.” Str. 160.

Dla arystokracji angielskiej najpraktyczniejszą szkołą publicznego życia był selfgovernment. Samorząd lokalny wymagał jednak dwóch uprzednich warunków, bez których nie mógł się rozwinąć, a przynajmniej nie był w stanie stworzyć szkoły jednoczącej w codziennej pracy wszystkie klasy narodu. Warunkami temi były: 1) równość prawna i 2) większa ilość włościan właścicieli ziemi. Dopóki więc na kontynencie europejskim nie załatwiono się z kwestyą uwłaszczenia włościan, o samorządzie gminnym we właściwym tego słowa znaczeniu mowy być nie mogło ¹⁾ i gmina zamykała się przeważnie w obrębie dawnego dominium szlacheckiego, a funkcje władzy publicznej złożone były w rękach dawniej uprzywilejowanych właścicieli lub ich zastępców, nad którymi czuwało mniej lub więcej troskliwe oko administracyi państwowej.

Do chwili uwłaszczenia włościan, które w większości państw kontynentalnych dopiero w r. 1848 ostatecznie dokonaniem zostało, jedno z najważniejszych ogniw społecznych a zarazem najdonioślejszy organ administracyi lokalnej, gmina, przypominała arystokracji dawne dobre czasy, i dopiero wśród sejmów prowincjonalnych lub krajowych spotykała się ona z liberalnemi hasłami, pragnącemi zaprowadzić w ustroju państwa harmonię a usunąć z podstaw społecznych rdzę, pozostałą po dawnych czasach. Ale i uwłaszczenie włościan nie wytworzyło natychmiastowo samorządu miejscowego, który-by mógł rozkrzewić i wyszlachetnić życie konstytucyjne. W Prusach, gdzie reforma uwłaszczenia włościan przeprowadzoną była wcześniej (1823 r.), z wielką rozwagą i ostrożnością ²⁾, nie zdobył się prawodawca na nadanie samorządowi miejscowemu odpowiedniej nowym wymaganiom organizacyi i życie publiczne gmin wiejskich było prawie suchotniczem ³⁾.

Trudności powstrzymujące należyte zorganizowanie gminy, których nawet Prusy przewyciężyć nie zdołały, wystąpiły jeszcze silniej w innych krajach, a prawodawca nie był w nich szczęśliwszym od pruskiego. Powodem wywołującym je było to, że uwłaszczenie włościan wywoływało często pewną waśń społeczną i, osłabiając pojęcia

¹⁾ Prawdę powyższą przyznaną ogólnie przez naukę administracyi potwierdza „Zur inneren Kolonisation in Deutschland”, str. 74,—jaki zaś w najlepszym razie może być samorząd gminny przed uwłaszczeniem, przekonywa Czerwiński w pracy: „Prawa i zasady rządu wiejskiego.” (Przemyśl, 1812).

²⁾ Michalski: „Włościanie i ich regulacya. Rzut oka na stosunki gospodarcze W. Księstwa Poznańskiego przed urogulowaniem włościan.” „Bibl. Warsz.” 1845, str. 372.

³⁾ Lasker: „Die Verfassungsgeschichte Preussens” str. 251. Porównać: Laver-gne-Peguillen: „Die Landgemeinde in Preussen”, str. 17 i 93.

własności, oziębła stosunki wzajemne klas rolnych ¹⁾). Dawniejsi uprzywilejowani i upośledzeni nie mieli zrazu ochoty do wspólnej pracy w obrębie gminy. Mnóstwo drobnych pretensyi a jeszcze znacznie-szych niechęci, wywołanych zmianą stosunków agrarnych, skłaniało przez czas jakiś obie strony do wzajemnego unikania się, co uwzględniając, prawodawca stwarzał zazwyczaj dwie formy organizacji gminnej: jedną dla obszarów dworskich, drugą dla włościańskich, a obie nie były zdolne do trwałego żywota, ani do oddania rzetelnych usług praworządnemu państwu.

Arystokracja kontynentalna nie miała więc ani czasu, ani sposobności, aby po uwłaszczeniu, pracując wspólnie z włościanami w obrębie samorządu, zdobyć sobie rzetelnie ich zaufanie i przywiązanie. Od-sunięta przez oświecony absolutyzm od spraw państwowych a przyuczona do serwilizmu dworskiego, w wielkich państwach, jak np. we Francyi, jeszcze, dzięki koronie i świetności królewskiego dworu, przechowała część dekoracyjnej wartości; w mniejszych zaś państewkach niemieckich pozostała jedynie śmieszłą pretensjonalnością, która dla panujących stała się próżnym ciężarem ²⁾). Prawodawcy zatem kontynentalni, chcący z arystokratycznych pierwiastków ulepić dziedziczną izbę wyższą, musieli być z góry przygotowani na to, że ich materiały budowlany nie będzie doskonałym.

We Francyi, gdzie konstytucya z 1814 r., stosując się do życzeń Benjamina Constant, zaprowadziła izbę wyższą dziedziczną, arystokracja otoczona była nienawiścią rewolucyjnego społeczeństwa; zajęła też ona w izbie wyższej i w hierarchii społecznej honorowe miejsce nie w celu porozumienia się i pojednania z młodą Francją, lecz w zamiarze odwetu za grabież rewolucyjną i za krwawe krzywdy, jakich w dobie terroryzmu doznała. Młoda Francya uważała w zamian izbę wyższą za siedlisko wrogów życia konstytucyjnego, a w takim położeniu rzeczy istnienie izby wyższej było w zupełności zawisłem od losów władzy monarchicznej. Samoistnej siły, korporacya, wypełniona podobnemi arystokratycznymi żywiołami, mieć nie mogła i podeprzeć dynastyi lub zwrócić ją na właściwe tory nie była w stanie ani na chwilę ³⁾). Fievée, który przypatrzył się daremnym próbom wytworzenia arystokracji przez obie monarchie francuskie, przyszedł do przekonania, że podkopywana przez dawną władzę królewską i zdruzgotana przez rewolucję, przestała być oddawna siłą społeczną i dlatego też

¹⁾ Lavergno-Peguillen: „Die Landgemeinde in Preussen”, str. IV.

²⁾ Mohl: „Politik.” T. I, str. 27.

³⁾ Treitschke: „Das Zweikammersystem und das Herrenhaus”, str. 404.

zarówno Bourboni jak i Orleani, zamiast parów, znajdowali tylko „très-humbles serviteurs” a zamiast izby wyższej, wygodny „instrument de ses caprices” ¹⁾).

Arystokratyczne pierwiastki niemieckich państweczek nie wytworzyły również idealnych izb wyższych. Z namiętnych i gniewliwych zarzutów Treitschkego przekonać się jednak można, że odmówić im wszelkich przymiotów politycznych lub powagi wobec niższych klas społecznych niepodobna ²⁾. Prawdą jest, że wspomnienie wyzyskujących przywilejów było w Niemczech żywszem niż we Francyi i że resztki tychże przywilejów błąkały się aż do 1848 r. w niektórych państewkach ³⁾; w każdym razie żadna burza rewolucyjna nie wytworzyła w Niemczech między klasami społecznymi tak szerokiego jak we Francyi rozdziału, wypełnionego nienawiścią i spoliacyjnemi instynktami. Nadto arystokracja niemiecka zdobyła sobie w wojnach o niepodległość przeciw Napoleonowi I nowy urok, a absolutyzm oświecony przyuczył ją dość wczesnie do poszanowania uznojonej roboty pracowników gleby. Najwięksi filozofowie niemieccy, jak Kant, nie na darmo stawali się zwiastunami i rzecznikami lepszej doli włościan; twórcami projektów reform w Prusach 1807 r., przodujących całym Niemcom, byli arystokraci pełnej krwi i wśród grona panujących można było nawet w XVIII w. spotkać się z humanitarnemi usposobieniami i z reformatarami, co w obrębie swych domenów łągodzili dolę włościan i pozwalali im zapominać o poddańczych stosunkach, jakie wówczas wszędzie panowały ⁴⁾.

Prócz tego arystokracja niemiecka ożywioną była gorącem przywiązaniem do panujących, a ponieważ dynastowie germańscy cieszyli się tradycyjną wiernością swych ludów, przeto ten jej przymiot niepośledni był źródłem jeszcze większej powagi wśród niższych klas, gdy tymczasem we Francyi przywiązanie do tronu poczytywane było arystokracji prawie za zdradę kraju i za przyrodzony serwilizm, albowiem legitymistyczną władzę monarchiczną uważał cały naród za narzuconą przez sprzymierzonych. Pomimo warunków dziejowych, nierównie korzystniejszych niż we Francyi, arystokracja niemiecka nie przedstawiała wyborczego materiału do wytworzenia izb wyższych. Przedewszystkiem bowiem obciążał ją zarzut, iż była niewykształconą poli-

¹⁾ „De la pairie, des libertés locales et de la liste civile.” Str. 23 i 40.

²⁾ Treitschke: „Das Zweikammersystem und das Herrenhaus”, str. 395.

³⁾ Sugenheim: „Geschichte der Aufhebung der Leibeigenschaft und Hörigkeit in Europa”, str. 350 i dalsze.

⁴⁾ Hausmann: „Die Grundentlastung in Bayern”, str. 2, reformatarami byli przedewszystkiem monarchowie w swych posiadłościach.

tycznie, do czego nierozwinięty samorząd lokalny przyczyniał się w wysokim stopniu. Aż do 1848 r. utrzymywało prawodawstwo agrarne w arystokracji egoizm stanowy, który znowu wytwarzał w niej ducha krańcowej reakcy i przywiązanie do tronu zamieniał w ślełą uległość dla monarchicznego rządu. Łatwo zaś zrozumieć można, że podobne objawy, powagi i uznania izbom wyższym wśród szerokich warstw społecznych przyczynić nie mogły. Doszło do tak wielkiego rozdziału przekonań między dwiema izbami w niektórych państewkach niemieckich, iż ministrowie uważani w izbie deputowanych za uosobienie wstecznictwa i za wrogów porządku konstytucyjnego, gdy przeszli do obok znajdującej się sali obrad izby wyższej, musieli nie bez pewnego zdumienia wysłuchać napomnień, przestróg i zarzutów, iż są skrajnymi demagogami i że dla popisywania się liberalnymi frazesami podkopują podwaliny państwowego porządku ¹⁾).

Arystokratyczne żywioły, wypełniające izby wyższe w Niemczech, starały się zazwyczaj oddalić od tronu wszelki prąd nowych idei, a jakkolwiek nie panowały one w izbach wyższych wyłącznie, lecz uzupełniane bywały pierwiastkiem dożywotnim lub czasowym, uosabianym przez sfery urzędnicze i naukowe, bywały jednak zazwyczaj silniejszymi i zdołały przekonania swe uczynić miarodawczemi. Duch też ożywiający niemieckie izby wyższe, jak świadczy Treitschke, skłaniał najzarliwszych wyznawców konserwatyzmu do łączenia się z opozycją i niweczył prawie wszystkie korzyści, jakie mogły płynąć w obfitości z systemu dwuizbowego. Ale nawet Treitschke, pomimo złością zaprawnej krytyki, nie zdobył się na bezwarunkowe potępienie izb wyższych i przyznać musiał, że w życiu konstytucyjnem Niemiec położyły przynajmniej tę zasługę, iż zabezpieczyły prawodawcę od gorączkowego nowatorstwa nawet wówczas, gdy korona okazywała mu pewne względy i skłonną się czuła do ustępstw ²⁾).

(Dokończenie nastąpi).

A. REMBOWSKI.

¹⁾ Treitschke: „Das Zweikammersystem und das Herrenhaus”, str. 403.

²⁾ Treitschke: „Das Zweikammersystem und das Herrenhaus”, str. 404.

KRONIKA PARYSKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Dla sprawozdawcy z ruchu literackiego koniec roku prawdziwym jest żniwem. Obrót księgarski po letniej przerwie ożywia się na nowo, rozpoczynają się zebrania licznych towarzystw naukowych, a co najważniejsza, Akademia Francuska na uroczystem posiedzeniu rozdaje konkursowe medale i nagrody. Te liczne premia dają nam poznać plony, jakimi rok ubiegły ubogacił Francję.

Akademia Francuska od chwili, jak ją ustanowił kardynał Richelieu, była i jest dotąd—dla jednych poważnem ogniskiem, skupiającem w sobie promienie światła, dla drugich była i jest celem sarkastycznych pocisków. Te zarzuty, zaprawne nieraz solą attycką—gdyż na tej nie zbywało nigdy Francuzom—przebiegają z ust do ust, poruszają pióra dziennikarzy i w oczach wielu rzucają cień na najpoważniejszą instytucję naukową we Francyi.

Kto patrzy bezstronnie na rzeczy, ten wie, że pociski, rzucone na Akademię, nie są czem innem, jak urzeczywistnieniem bajki Lafontaine'a o lisie, który, nie mogąc dosięgnąć winnych jagód, rzekł z pogardą, że niedojrzałe. Zresztą, jeśli są plamy na słońcu, mogłoby ich nie być na stowarzyszeniu, złożonem z tylu odrębnych żywiół? Nie jeden zapewne pracownik, mimo niezaprzeczonej zasługi, umarł, nie przybrawszy się w palmy akademickie, gdy tymczasem ubiegł go szczęśliwszy współzawodnik, mniej godny takiego zaszczytu. Nie

jedno też dzieło wielkiej wartości uszło uwagi areopagu, kiedy jakaś błahostka otrzymała premium. To jednak należy do wyjątków. Utwory literackie, nagrodzone na konkursie akademickim, wyszczególniają się z pomiędzy tysiąca innych, zasypujących półki księgarskie, a tem samem zasługują na uwagę. Rzućmy więc choć pobieżnie okiem na kilkadziesiąt dzieł, uwieńczonych w tym roku.

Na konkurs poetyczny, ustanowiony razem z Akademią, podany był przedmiot: „Afryka rozemknięta.“ Rzecz dziwna, przedmiot tak wielki, nie rozbudził werwy poetycznej w dzisiejszem pokoleniu poetów. Wielu poprobowało sił, ale z utworów nadesłanych żaden nie odpowiedział godnie założeniu. Sprawozdawca, akademik Doucet, zaznacza to z głębokim żalem:

„Gdyśmy ogłosili nasz konkurs—mówi on,—oczy Europy zwrócone były w stronę czarnego kontynentu, który, zwarty szczelnie od wieków, niedostępny dobroczynnym wpływom cywilizacji, otworzył się wreszcie na światło. Niewola i barbarzyństwo cofały się wszędzie przed świętą krucyatą, głoszoną zwycięsko przez najwymowniejszego z szermierzy krzyża i chrześcijańskiej miłości, nieodżałowanego kardynała Lavigerics. Liczni misjonarze nauki, głosiciele jej i męczennicy, wdzierali się odważnie w głąb niedostępnych dotąd obszarów, które wielu z nich użyźniło krwią własną. Chęci Akademii spełzły na niczem. Afryka rozemknięta na światło wiary i cywilizacji została jeszcze zamkniętą dla poetów.“

Aby nie krępować zbyt licznie powołanych, naznaczono na przyszły konkurs poemat z epoki Odrodzenia, w przedmiocie dowolnie wybranym.

Jakkolwiek poczyna nie dosięgła wymaganych wyżyn pod słońcem afrykańskim, na innem przecież polu zebrała liczne wieńce. Wymieniamy tu cały szereg laureatów.

Największą nagrodę (6,000 fr.) otrzymał Don Joze Marya Heredia, Hiszpan z rodu, naturalizowany i zamieszkały we Francji. Zbiór jego pod tytułem „Trofea,“ obejmuje sto kilkadziesiąt sonetów, odznaczających się wielką doskonałością formy, niezwykłym bogactwem stylu i świetnym kolorytem. Oprócz sonetów, książka zawiera dwa poemaciki: „Romanzero Cyda“ i „Zdobywca złota,“ oba przejęte bohaterem technieniem. Snać autor, obcy rodem, ale władający po mistrzowsku językiem francuskim, nie przepominał, że w żyłach jego płynie krew Cydów i Cerwantesów.

Andrzej Lemoyne, kilkakrotnie już uwieńczony przez Akademię, wystąpił ze zbiorem melodyjnych pieśni p. t. „Kwiaty wieczorne.“

Karol Grandmougin utworzył misteryum p. t. „Chrystus,“ nacechowane duchem religijnym.

L. Adam, p. t. „Les Heures calmes,“ opiewa rzewnie błogi spokój po burzliwych przygodach życia.

Uczony lingwista, profesor uniwersytetu, Le Braz, otrzymał złoty medal za sliczne „Pieśni Bretońskie.“

Inny medal przypadł pani Mesureur, autorce ładnego zbiorku p. t. „Rymy różowe.“

Z kolei przejdźmy do historii. Większa część nagrodzonych dzieł odnosi się do zeszłego wieku i do epoki Napoleońskiej, która tak wielkie obudziła dzisiaj zajęcie. Pierwszą nagrodę *Gobert* (10,000 fr.) przysądziła Akademia Albertowi Vandal, autorowi dzieła p. t. „Napoleon i Aleksander I-szy.“ Przytaczamy tu referat konkursowego sprawozdawcy z dwóch tomów tego dzieła—trzeci tom dotychczas nie wydany.

„Aby opowiedzieć wiernie historię stosunku dwu mocarzy, którzy chwilowo dzielili panowanie nad światem ucywilizowanym, a których związek, zrazu ścisły, zamienił się wkrótce w zaciętą walkę, p. Vandal czerpał światło ze wszystkich dokumentów, jakich mogły mu dostarczyć archiwa dyplomatyczne, tak w Paryżu, jak w Petersburgu, żadnego z nich nie zaniedbał, wszystkie zbadał do gruntu. Ale z tego nawału informacji, pochodzących z odmiennych źródeł, historyk umiał ułożyć znakomite dzieło. w którym ogólny pogląd prawie zawsze sprawiedliwy łączy się z opowieścią żywą, częstokroć pełną dramatycznych efektów. Te zalety, wspólne obu tomom, widoczniejsze jeszcze w pierwszym, kiedy wielkie wypadki przychodziły w pomoc autorowi; pierwsze spotkanie dwóch cesarzów na statku w Tylży, zjazd wszystkich monarchów europejskich w Erfurcie: dwa te fakta dziejowe tworzą same przez się pełne blasku obrazy; wypadało tylko przedstawić je w odpowiednim świetle. Więcej potrzeba było sztuki, aby dać zrozumieć, w jaki sposób, po wzajemnym pociągu i ufności, nastąpiło oziębienie, wzmagało się stopniowo i doprowadziło w końcu do zerwania. Pan Vandal pokazuje tę zmianę i tłumaczy ją różnemi powodami. Związek cesarza Napoleona z arcyksiężniczką austriacką najwięcej na to wpłynął. Autor odkrywa całą sieć intryg, dotychczas niedokładnie poznanych. Trzeci tom doprowadzi do wypowiedzenia wojny, która stała się powodem upadku Napoleona.“

Z pomiędzy innych prac historycznych wymienimy wielki tom p. t. „Bastylia,“ p. Ferdynanda Bournona. Zebrał w nim autor wszystkie dokumenta, wszystkie tradycje, krążące o słynnym więzieniu; sprostował mnóstwo przesadzonych wersyi, przedstawił rzecz spokojnie, stylem prostym, w żywy i zajmujący sposób.

Maurycy Jollivet otrzymał premium za ważną pracę p. t. „Rewolucya francuska na Korsyce.“ Nieznanych do niej materiałów dostar-

czyły archiwa, zachowane w Bastia i Ajaccio, oraz prywatne zbiory korsykańskich rodzin. Występuje tu znakomita a mało znana postać Paolego, wokoło niej ugrupował autor inne ciekawe osobistości; utworzył z nich żywotny obraz, zaprawny barwą miejscową, dziwnie oryginalną.

Do historii z końca ośmnastego wieku należy uwieńczone dzieło Lucyana Perina, p. t. „Siostrzeniec Mazariniego.“ Autor, a jak mówią autorka, ukryta pod tym pseudonimem, wydała przed kilku laty ciekawy życiorys księżniczki Massalskiej, małżonki księcia de Ligne, a następnie hr. Franciszka Potockiego. Obznajomiona wybornie z epoką, poprzedzającą wielki przewrót dziejowy, wybrała postać typową księcia de Nivernais i w niej daje poznać to wszystko, co chylące się do upadku społeczeństwo miało w sobie dodatniego i sympatycznego. Książę miał rozum przenikliwy, serce pełne uczuć wzniósłych i delikatnych, fantazyę rycerską. Poznał on zbliżający się przewrót, uprzedził go, zrzekając się dobrowolnie wszelkich praw feudalnych w swoim księstwie Nivernais, a kiedy wybuchnął prąd rewolucyjny, nie poszedł za nim, ale nie uciekł też od niego: nie wyemigrował za granicę, ani się ukrył w niedostępnej głębi kraju. Jak dobry Francuz, pozostał w Paryżu, w pałacu swoim w bliskości ogrodu Luksemburskiego; tu drzwi jego zawsze były otwarte i ręka niemniej otwarta dla wsparcia nieszczęśliwych. Spokojny, pełen godności wobec zawziętych nieprzyjaciół, zjednał sobie ogólne poszanowanie. Piękna to postać: autorka odmalowała ją z właściwym sobie talentem.

Józef Fabre, zapalony apologeta Dziewicy Orleańskiej, otrzymał medal za studium, poświęcone bohaterce Francji. Do tyłu istniejących już życiorysów umiał dodać nowe szczegóły, uzupełniające tę wspaniałą postać historyczną.

Pomijając badania erudyta ważne dla Francji, lecz bez ogólnego zajęcia, wspomnijmy tu jeszcze „Historję rzeki Rodanu,“ przez Karola Lenthalie, inżyniera dróg i mostów, kilkakrotnie już uwieńczonego za monografie różnych miejscowości po-nad morzem Śródziemnem.

Na polu badań literackich kilku laureatów otrzymało zasłużone wienie. Wymieńmy tu naprzód profesora Gidela, autora zajmującej „Historji literatury francuskiej,“ od pierwszych jej początków, aż do czasów dzisiejszych.

Pod tytułem „Teatr w siedmnastym wieku,“ Wiktor Fournel zbadał do gruntu literaturę dramatyczną tej wielkiej epoki, która wydała Molière'a, Cornelle'a, Racine'a.

Przyznano też premium p. Simonowi, redaktorowi zbiorowego pisma p. t. „Wielcy pisarze wszystkich krajów.“ Popularna ta publikacja

tem pożyteczniejsza, że wzbogacona licznymi cytacyami w tłumaczeniu francuskim.

Nagrodę za najlepiej dokonany przekład z zagranicznej współczesnej literatury otrzymał Daniel Lessueur, tłumacz poezji lorda Byrona. Wielokrotnie już tłumaczono utwory świetnego angielskiego poety, żaden jednakże przekład nie może iść w porównanie z piękną pracą pana Lessueura.

Na konkurs Monthiona nadesłano w tym roku mnóstwo dzieł literackich w rozmaitych przedmiotach. Sąd akademicki wybrał z nich dwadzieścia dwa, uznanych, w myśl fundatora, za najpożyteczniejsze dla ogółu czytelników. Wymienimy tu nasamprzód „Geografię nowożytną“ w pięciu obszernych tomach. Autor jej, pan Varigny, umiał ożywić poważne dzieło, uczynić je równie ciekawem, jak i nauczającym.

Z prac poważniejszych przytaczamy jeszcze studjum historyczne pod tytułem „Gallia,“ mały tomik, ale wzniosłą natchnioną myślą. Autor, Kamil Julien, chcąc dać poznać do gruntu dzieje narodu swego, sięga do pierwotnych jego początków w świat galski, znany zaledwie erudytom, a dla ogółu tak dotąd ciemny i zagadkowy.

Do historycznych obrazów zaliczamy jeszcze tom, wysnuty z dziejów powszechnych, p. t. „Domy wielkich ludzi,“ wszystkich wieków i wszystkich krajów, poczynszy od legendowej beczki Dyogenesa, do epoki Napoleona i jego orlego gniazda na skale w Ajaccio.

Dział uwiecznionych opisów podróży bardzo też bogaty i urozmaicony. Gustaw Deschamps oprowadza czytelników po „Dzisiejszej Grecyi.“ René Bazin ukazuje słoneczną i malowniczą „Sycylię“; Emil Chabran przebiega daleką przestrzeń od „Barcelony do Meksyku“; Eugeniusz Mouton, nie opuszczając Paryża, wymyślił przygody podróżnika, stworzonego własną wyobraźnią; tytuł dzieła „Awantury i wypadki Joela Kerbabu,“ Bretona z Landernau, w podróżach do Portugalii, do Indyi wschodnich, Arabii, Etyopii, Chin, Japonii i Tonkinu.

Z pomiędzy powieści Akademia uwieczniła kilkanaście: rozbiór ich pociągnął-by nas zbyt daleko; poprzestajemy na przytoczeniu samych tytułów:

„Przygody księżniczki Soundary,“ dramatyczna i oryginalna powieść Maryi Samer; „Joutta,“ pełna dowcipu nowella baronowej Double; „Mój rycerz“ („Mon chevalier“), przez Gabryela Frainela; „Spuścizna Maryi Noël,“ przez Ludwika Mainard'a; „Perfekcyja,“ rzewny, pełen życia obrazek, przez autorkę ukrytą pod pseudonimem A. Verley; „Bądź zdrow, Janie!“ humorystyczna powiastka bezimiennego autora.

Dwa wieńce, złożone na świeżych grobach, zakończyły uroczystości. Jednym Akademia uczciła pamięć pani Colomb, która przez długie

lata pracowała z pożytkiem dla młodzieży. Niedawno opuściły prasę dwa ostatnie jej tomy: zamierzała właśnie oddać je pod sąd konkursowy, gdy nagle zakończyła życie. Akademia nagrodziła prace jej złotym medalem, złożonym rodzinie, w holdzie dla zmarłej matki.

Inny wieniec Akademia poświęciła pamięci zmarłego przedwczesnie Guy de Maupassant'a. Postawiona na straży języka instytucja nagrodziła świetnego stylistę. Ofiarowany mu wieniec nie pochodził przecież od konkursu Monthiona, który zważa więcej na rzecz, aniżeli na formę.

Po sprawozdaniu z nagród konkursowych za prace literackie, Franciszek Coppée w piękny i dziwnie poetyczny sposób wyliczył wielkie czyny, spełnione przez maluczkich, natchnione miłością chrześcijańską, posunięte niekiedy do bohaterskiego zapomnienia o sobie.

W konkluzji mówca dotyka ważnych zagadnień, obchodzących dzisiejsze społeczeństwo. Powtarzamy ten ustęp, godny szczególnej uwagi:

„Tłum wydziedziczonych od losu—mówi Coppée,—których niegdyś kołysała modlitwa, który za czasów dziadów i ojców naszych żył, upojony chwałą rycerską, uległ dziś—i nie w tem dziwnego—pozytywnym prądom kończącego się wieku. Daleką ode mnie myśl, aby proletaryat nie był już zdolnym zapalać się dla sprawy szlachetnej, a nawet dla pięknej ułudy! Nie chcę przypuścić, aby lud francuski miał się wyrzec wszelkich ideałów, ale w chwili obecnej wymagania warstw ubogich mają charakter praktyczny; żądają, czego społeczeństwo nie może im odmówić: cokolwiek ulgi w twardej pracy, niejakiego ubezpieczenia na starość. Zważmy dobrze, domagania się ich coraz są natarczywsze.

„Nadaremno stawi nam ktoś niepodobieństwo w przeprowadzeniu wielu reform, przeciwnych naszym przesądom i zwyczajom. Wszystko podobne, gdy czas przyjdzie po temu. Dworzaniu wersalski, któremu-by prorok zapowiedział w roku 1788, że w sześćdziesiąt lat później głos jego wnuka nie więcej zaważy na szali państwowej od głosu prostego chłopca lub sługi, ruszył-by pogardliwie ramionami i wykręcił się zręcznie na czerwonym obcasie. Społeczeństwo dzisiejsze, nauczone doświadczeniem, mniej okaże, jak sądzę, ślepoty i lekkomyślności.

„Nie traćmy nadziei — dodaje mówca, — w chwili koniecznych ustępstw uprzywilejowani tego świata posłuchają nie tylko rad przezorności, posłuchają niemniej odezwy do ich serca. Głos taki podniosły już ze wszystkich stron usta pełne wynowy. Rozległ się z katedry chrześcijańskiej i z trybuny rozlicznych stowarzyszeń. Znalazł oddźwięk

u wiernych i u sceptyków, u zwolenników władzy i u ludzi ducha niepodległego. Pytanie, dotyczące nędzy, gdyż do tego ogranicza się sprawa socyalna, stało dziś uroczyście na porządku dziennym, a to, co drga żywotnie we wszystkich umysłach, musi wkrótce objęte być prawem. Pozwólcie mi panowie złączyć głos mój z ogólnym głosem politywania, pozwólcie mi wypowiedzieć śmiało, że dla ludzi serca boleść to wielka, nieprzeparta, gdy codzien o nocnym pomroku pomyślą w duchu, że ta noc pokrywa cieniem swoim nędzę i rozpacz tylu nieszczęśliwych istot. Zapewne, będą zawsze biedni, ale jeśli ich liczba zmniejszać się będzie bezustannie, jeśli ujrzymy coraz to więcej środków, obmyślonych dla usunięcia tej nędzy, jakaż to będzie chwała, jaki tryumf cywilizacji!

„Nie sądzicie, panowie, abym radził komukolwiek ulęknąć się pogroźek tłumów, przypominam tylko, że są ubodzy—ubodzy święci, których Kościół nazwał tak dobitnie cierpiącemi członkami Chrystusa. Ukazałem kilku takich, a wielu ich naliczyć można,—pełnych słodyczy, rezygnacyi, miłości bratniej, wspierających się nawzajem, gotowych podzielić z drugimi ostatni kąsek chleba. Niech przykład ich ukrzepi dobrą wolę naszą, rozbudzi nam serca, przygotuje nas do ofiary, popchnie nas do czynu nieprzepartym pędem sprawiedliwości i bohaterstwa!“

Z całego grona akademickiego Franciszek Coppée największą zdobył dziś popularność. Umie on technieniem poetycznem ożywić każde przemówienie, zaprawić każdą rozprawkę dowcipem, wolnym od sarkazmu; krytyczne spostrzeżenia jego wywołują uśmiech, ale nie ranią. Jeśli częstokroć występuje jako moralista, nie czepia się nigdy grzechów śmiertelnych, toczących łono społeczeństwa, wskazuje tylko drobne usterki, małe zbrocenia umysłowe, nie wyciągając z nich pesymistycznych wniosków. W tych dniach właśnie ukazała się jego książka pod tytułem: „Moje szczere słowo“ („Mon franc parler“), nakreślone z całą swobodą. Jest to zbiór dorywczych wspomnień i luźnych rozprawek w rozmaitych przedmiotach, wziętych żywcem z wrażeń chwilowych.

W jednej z tych rozprawek pod tytułem „Muzyka,“ akademik żartuje dowcipnie z dzisiejszego dyletantyzmu, wywołanego raczej modą, niżeli prawdziwym miłośnictwem sztuki. Żartuje szczególniej z uniesień dla Wagnera, którego geniusz tak, zdaniem jego, sprzeczny z geniuszem francuskim.

„Drżącą ręką — mówi Coppée — biorę dzisiaj za pióro, czuję bowiem, na jakie narażam się niebezpieczeństwo. Ale, bądź co bądź, mu-

szę wypowiedzieć, jak dalece szarpie mi nerwy ów konwencyonalny zachwyty, grasujący w Paryżu od pierwszego przedstawienia „Walkiryi...” Stronnicy Wagnera muszą być nadzwyczaj silni, skoro przekonali większą część publiczności francuskiej, że zrozumiała i zamilowała tę muzykę więcej, niż każdą inną. To fałsz, wierutna bajka. Było-by równą niedorzecznością wymagać od ucznia szkoły elementarnej rozwiązania problemu wyższej matematyki. Bądźcie przekonani, że na dziesięciu słuchaczy, unoszących się nad „Walkiryą,” dziewięciu co najmniej nie rozumie nic a uie, i nudzi się do syta za swoje dwadzieścia franków za godzinę. Ale nikt nie sarknie; zachwyty lub śmierć! nie ma tu innej drogi! inaczej był-bys okryty śmiesznością, okrzyczany godnym pogardy filistynem! Korzmy się też przed Wagnerem, jak przed żadnym z naszych genialnych kompozytorów. Nie pozwalamy sobie najlżejszej dyskusyi, przyjmujemy go całkiem (*en bloc*) z zamkniętymi oczyma, jakoby nieomylny dogmat.“

Od muzyki przechodzi Coppée na inne pole; pokazuje sztuczny zapal ku obcym naleciałościom literackim. Wylicza cudzych koryfeuszów, obsypywanych wieńcami nad zasługę. „Wczora jeszcze—mówi on—Paryż gorzał płomieniem dla dramatów Ibsena, które, obok niezaprzeczonej siły, ciemne są i niekształtne; dziś znów marzyciel Nietzsche roznamiętnia umysły i tworzy anarchistów salonowych. Od kilku już lat spostrzegamy z obawą u niektórych poetów chorobliwe objawy tak w zmianie rytmów, jak i języka. Tu również dają się czuć cudzoziemskie wpływy. Wszystko to nie jest wyrobem łacińskiego, ani też francuskiego geniuszu, nie wytryska to z ziemi naszej, nie rodzi się z domowego natchnienia. Mgła germańska otoczyła nas, obcy wiatr powiewa nam w oczy. Co chcecie, ja nie lubię wiatru wschodniego, wyznać to muszę z całą prawdą!“

Podczas kiedy Franciszek Coppée ostrzega swoich ziomków przed szkodliwymi prądami, powiewającymi od wschodu, kiedy pokazuje w nich jakąś nową epidemię, norweski poeta, Biörnster-Biörnson, w polemicznej rozprawie dowodzi Francuzom, że niesłusznie przyznają sobie prawo inicjatywy literackiej, że od początku bieżącego wieku ulegali zawsze wpływowi zewnętrznym. „Mam-że uwierzyć—mówi on,—że romantyzm Goethego zrodził się z geniuszu Wiktora Hugo, a przynajmniej z ducha francuskiego, skoro „Goetz z Berlichingen“ pojawił się, nim Hugo przyszedł na świat, skoro Szyller utworzył „Zbójców,” skoro wielki romantyk duński, Oehlenschläger, utworzył wspaniałą sagę „Vaulundur“ wprzód jeszcze, zanim Wiktor Hugo wstępem do „Cromwella“ zadzwonił na hasło romantyzmu. Irlandczyk, Tomasz Moore, w innych

źródłach czerpał natchnienie. Henryk Vergeland, najslynniejszy z poetów norweskich, wyrósł z serca ldu swego, jak Burns z serca górali szkockich: tak jeden, jak drugi, nie słyszeli nic o cudzym romantyzmie. Wiktor Hugo przyszedł po Goethem, po Szyllerze i tylu innych.“

Nie ubliża to przecież geniuszowi francuskiemu, jeśli inni wyprzedzili go w objawach literackich. Francuzi mieli-by prawo odpowiedzieć norweskemu krytykowi, że podczas kiedy Goethe opiewał miłość „Hermana i Doroty,“ kiedy Szyller tworzył „Zbójców,“ Napoleon tworzył wielką epopeję dziejową; krwią francuskiego narodu kreślił niezatarte zgłoski na szczycie piramid egipskich, na wierzchołkach Alp i Pirenejów. Azaliż nie te olbrzymie zapasy wykrzesaly iskrę twórczą z piersi promotorów germańskiego i anglo-saksońskiego romantyzmu?

Odczuwają instynktowo Francuzi tę inicjatywę Tytana, który, jak ognisty meteor, błysnął nad Francją w przedświcie wieku bieżącego. Inaczej jakby wytłómaczyć ten nagły a tak silny zwrot do epoki Napoleońskiej dziś właśnie, kiedy gasnąca dynastia bohatera nie okazuje śladów żywotności. Powodem tego odrodzenia coś innego, jeśli nie pogoń ducha za ideałem, jeśli nie reakcja przeciw prądom materialistycznym, jakie grożą dziś zalewem społeczeństwu? O tym nagłym zwrocie wymownie świadczą nieprzeliczone dzieła, pojawiające się codziennie w katalogach księgarskich, świadczą również owe mniej więcej udatne dramata i komedye, zaczerpnięte ze sławnej epoki. Od dwóch miesięcy komedia Wiktoryna Sardou „Madame Sans Gène“ przyciąga tłumy do teatru Vaudeville, gdzie na scenie, obok marszałkowej Lefebvre, występuje cesarz z błyszczącym dworem swoim. Dość tu powiedzieć, że, dzięki tej komedyi, która, według orzeczenia krytyków, nie należy do świetniejszych utworów autora, teatr Vaudeville zdobył pół miliona franków w przeciągu kilku tygodni.

Nie będziemy tu mówili o dramacie wierszem poety Grandmougin'a. Utwór ten, pod tytułem „Napoleon,“ mimo pięknej wystawy i poetycznych ustępów, nieszczególne znalazł powodzenie, a to z powodu, że go zupełnie przyćmił świetny utwór Leopolda Laya, p. t. „Napoleon,“ przedstawiony w teatrze Porte Saint Martin. Jest to wspaniała epopeja narodowa, w pięćdziesięciu obrazach. Sam tekst podrzędna tu odgrywa rolę. Osoby wyrażają się w kilku słowach, o tyle tylko, o ile wymaga tego rozjaśnienie rzeczy, lub przypomnienie słów, zachowanych przez tradycję, tak samego cesarza, jak głównych osobistości, występujących w dramacie.

Epopeja składa się z trzech części, uwydatniających kolejno: *wzrost, apoteozę i upadek* bohatera wieku.

Pierwszy obraz: *Izdebka na poddaszu*. Młody podporucznik artylerji, z bladą cerą i długim włosom, pracuje wśród pustych ścian izdebki, przy stoliku, obłożonym księgami i papierami.

Drugi obraz: *Komitet bezpieczeństwa publicznego*. Dokładny tu mamy zbiór malowniczych kostiumów z epoki rewolucyjnej.

Następuje *Salon Józefiny*. W tym pełnym gustu salonie grono strojnych kobiet otacza pełną wdzięku panią Beauharnais. Wśród wytwornej młodzieży odznacza się młody Bonaparte. Włosy ma długie—oko zakłęśle, ale rysy pełne znaczenia.

Czwarty obraz: *Most Lodi*. Na tle malowniczego krajobrazu, przy słynnym moście, ugrupowani żołnierze z 1796 roku. Generał Bonaparte, z głową już ostrzyżoną, przemawia do nich słowy, zapisanemi w dziejach: „Śmiało! naprzód, czeka was tu śmierć, lub zwycięstwo!“ Żołnierze przedzierają się przez most, Lannes stąpa na ich czele.

Obraz piąty: *Campo Formio*. Na tarasie, wpośród rozkwitłych drzew laurowych, generał Bonaparte przyjmuje weneckiego i austriackiego ambasadora. Obaj przybrani wspaniale. Z postawy Bonapartego łatwo odgadnąć dumne na przyszłość zamiary.

Szesty obraz: *Mameluki*. Tu, na rozpstartem płótnie, przedstawia się w odbiciu, przy elektrycznym świetle, wspaniały epizod z wojny egipskiej. Krew zalała piaski pustyni, walka wre, ziemia zasłana trupem, szpady połyskują na słońcu. Wśród szeregów pociąga oczy postać Bonapartego.

Dwa dalsze obrazy noszą tytuł *18-go Brumaire'a*. Sala w oraużeryi Saint-Cloud przedstawia się we dnie i nocą. Wiadomy to z historii dwukrotny najazd na Izbę, który rozproszył zgromadzenie narodowe i ustanowił konsulat.

Dziewiąty obraz: *Przejście przez górę św. Bernarda*. Mało tu słów, lecz za to wiele ruchu. Żołnierze ciągną działa przez śnieżne zasy, przy dźwięku pieśni bojowej.

Obraz dziesiąty: *Marengo*. Tu znów odbicie na płótnie sceny bojowej. Nad rzeką krwi i stosami trupów unoszą się zwycięskie sztandary.

Jedenasty obraz: *Gabinet pierwszego konsula*. Bonaparte odbywa naradę z nuncyuszem papieskim; sucho przemawia do pochylonego przed nim Talleyranda.

Obraz następny: *Dwór konsula w Malmaison*. Wesole grono przedstawia komedię salonową; potem gra w cztery kąty. Pierwszy konsul bierze udział w zabawie. Józefina w błyszczącym stroju przygląda się grze; obok niej siedzi poważna pani Letycya, okryta żałobą.

Trzynasty obraz: znów *Gabinet konsula*. Bonaparte nie ukrywa już dumnych widoków. Obecni czytają w jego myśli, stoją w milczeniu; sama tylko matka cesarska usiłuje go powstrzymać. Prorocze słowa zapowiada grożące mu niebezpieczeństwo.

Tu kończy się pierwszy okres *wzrostu*—następuje epoka słonecznym opromieniona blaskiem.

Czternasty obraz: *Gabinet cesarza Napoleona*. Ugrupowana w nim cała rodzina cesarska, prócz pani Letycyi. Cesarzowa Józefina, Karolina, królowa Neapolu, królowa Hortensya, księżna Borghese, otoczona orszakiem pań dworskich. Zebrani również marszałkowie i wielcy dostojnicy: Lannes, Talleyrand, Ney, Berthier, Fouché, Maret, Eugeniusz Beauharnais. Wszyscy wlepili oczy w cesarza, który przymierza płaszcza koronacyjnego i korony laurowej. Całość przepyszna, ugrupowanie wytworne.

Dwa następne obrazy, piętnasty i szesnasty, ukazują odbite w świetle elektrycznym dwa wspaniałe arcydzieła ówczesnych mistrzów: *Pochód koronacyjny Izabeya*, i Dawida *Koronację cesarzowej Józefiny*.

Pięć następnych do dwudziestego pierwszego poświęcone ustępom z bitwy austerlickiej. Nasamprzód Napoleon pod namiotem obozowym, otoczony gronem marszałków, nakreśla plan kampanii. Potem zapada noc; Napoleon usypia; płomień ogniska pada mu na oblicze. Dalej główny sztab, w mundurach bramowanych złotem, czeka na hasło do ataku. Nakoniec słońce austerlickie wschodzi jaskrawo, cesarz w kapeluszu i szarej kapocie, z rękoma skrzyżowanymi na plecach, przygląda się defilującej armii.

Obraz dwudziesty drugi: *Tryumfalny pochód*, odbity na płótnie według oryginału Sterensa.

Obraz następny: *Gabinet cesarza*. Talleyrand, w przewidywaniu, że wszystko źle się skończy, postanawia odprzedać swoją rentę.

Dwudziesty czwarty obraz: *Oblężenie Saragossy*. Przed murami oblężonego miasta, Lannes czeka na rozkaz; wnet przyjdzie mu zdobyć ostatni szaniec. Waha się ze wstrętem, przed nim oto piętrzy się klasztor zakonnic. Rozkaz nadchodzi, potrzeba go wykonać. Sapery podkładają ogień pod mur, gmach rozwała się nagle. W tejże chwili ukazuje się mnich przed ołtarzem, otoczony zakonnicami, u stopni ołtarza kresli w powietrzu krzyż na znak błogosławieństwa. Żołnierze prezentują broń, klękają rzędem, przy grzmocie bębnow zasłona zapada.

Obraz dwudziesty szósty przedstawia *Wyspę Lobau* i bohaterski zgon Lannes'a, księcia Montebello.

Dalej następuje *Przegląd wojsk*. Gwardya cesarska ustawiona w cztery szeregi; po-za nią tłumy ludu: jedni stoją na ławach, inni

powdrapywali się na drzewa. Cesarz przybywa na czele sztabu; rozmawia poufale z wiernymi grenadierami, słucha skargi jednego na zły chleb, drugiemu radzi, aby dał wyciąć dolegający mu odcisk; staje nakoniec przed starym wiarusem, który niegdyś w Lodi dał mu nazwę małego kaprała. Mianuje go kapitanem wobec całej armii.

Obraz dwudziesty ósmy przedstawia w odbiciu *Defiladę wojska* pod bramą tryumfalną Carouselu, wśród tłumów, przyklaskujących z zapalem; reprodukcya z pięknego obrazu Hipolita Bellange'a.

Dwa następne obrazy: *Sala tronowa*, gdzie odbywają się smutne sceny rozvodu z Józefiną.

Na tem kończy się apoteoza, następują czasy upadku.

Trzydziesty pierwszy obraz: *Poranek w polkoju Maryi Ludwiki*. Młoda cesarzowa, otoczona gronem pań dworskich śpiewa, przygrywając na harfie. Cesarz przysłuchuje się melodyjnej pieśni. Chwila ciszy przed burzą.

W ośmiu następnych obrazach przedstawione *Epizody z wojny 1812 roku*. Ze złotej sali w Kremlu Napoleon przygląda się Moskwie, otoczonej morzem płomieni. Ale wybiła godzina odwrotu. Drogą, zaslaną śniegiem, żołnierze głodni, skrzepli od zimna, wloką się ku granicy, zostawiając za sobą stosy trupów, na pół zagrzebanych w śnieżnych zaspach. Cesarz wzrokiem ponurym spogląda na szczątki swej niegdyś pysznej a wiernej do ostatka armii. Biedacy, wyczerpani z sił, zatrzymują się, niezdolni postąpić kroku dalej. Jak ich pokrzepić, jak dodać im otuchy? Tu cesarz wspomina dawne czasy, rozkazuje zaintonować „Marsylianę.“ Wszyscy, ożywieni jakby cudem, zrywają się do pochodu, ruszają śmiało pod sypiącym się z góry śniegiem.

W ostatnich jedenastu obrazach przedstawione są najwybitniejsze chwile kończącej się epopei: *Abdykacya*, *Pożegnanie w Fontainebleau*, *Powrót z wyspy Elby*; najważniejsze odnoszą się do klęski pod *Waterloo*. Zamykają tę smutną seryę: *Skala świętej Heleny*, *Zgon bohatera*, *Powrót zwłok do Francyi*, *Grób pod śklepieniem Inwalidów*.

Paryż jest zachwycony wspaniałem widowiskiem. Gra artystów, jakkolwiek szczupły jej przypadł zakres, dobrze odpowiada całości. Wszyscy, począwszy od Napoleona, wybornie ucharakteryzowani według istniejących portretów: słowa ich krótkie, wyrażone z przejęciem, tchną prawdą i głęboko poruszają słuchaczy.

Jeszcze nie zgaszono świateł, kiedy autor sztuki odebrał z rąk starego inwalida list w takich słowach:

„Marszałkowie, generałowie, oficerowie i żołnierze wielkiej armii! z teatru Porte Saint Martin, jestem z was zadowolony!

„Z przyjemnością spędziłem kilka godzin wśród drogiej rodziny mojej, którą uczyniłem tak wielką, wśród dzielnych towarzyszków chwały, których tak ukochałem.

„Pragnę aby co wieczór, w ciągu wielu miesięcy, z galeryi teatru, gdzie czułem się przed chwilą odrodzony, w radości i smutku, w blasku potęgi i u zmierzchu życia mego, aby dwa tysiące widzów rozpatrywać mogło szereg dni promienistych.

„Piszę to w krypcie Inwalidów, we środę 6-go grudnia, o godzinie 1-szej po północy

podpisano: *Napoleon.*”

Do licznych dzieł, jakie codziennie pojawiają się o Napoleonie, przybyło w tych dniach nowe, oparte na niezaprzeczonych dokumentach. Maje Spenser, gorliwy Napoleonista, w przewidywaniu, że przyćmiona postać bohatera wystąpi jeszcze na widownię, zbierał oddawna rachunki dworskich kupeców i fabrykantów, i ułożył z nich wielki tom pod tytułem: „*Les fournisseurs de Napoléon.*” Ów tom wyszedł dziś z druku po śmierci autora. Oprócz rachunków, obejmuje on ciekawe a do tego autentyczne szczegóły.

Widzimy tu, czem była owa szara kapota, spopularyzowana w obrazach Raffet'a i Meissoniera. Napoleon nosił ją w czasie słoty, pokrywał nią mundur i szlify, których nie odpinał ani na chwilę; kosztowała 160 franków.

Kapelusz obok kapoty stał się też legendowym. Był czarny, kastorowy, przybrany tylko małą trójkolorową kokardą. Przez czas konsulatu i cesarstwa, Napoleon nie zmienił nigdy przyjętej formy. Zużywał ich do dziesięciu na rok. Każdy kosztował 48 fr. Od roku 1800 do 1815 dostarczono ich przeszło sto dwadzieścia. Wielka ta liczba stąd pochodzi, że, w chwilach uniesienia, Napoleon rzucał kapelusz na ziemię. Czynił to wobec ambasadorów i samychże nawet monarchów. Z dwóch pozostałych, jeden pomieszczony w krypcie Inwalidów. Otrzymał go malarz Gros, gdy malował bitwę pod Eylau.

Napoleon zażywał bezustannie tabakę, przy naradach, podczas dyskusji urzędowych. Dostarczano mu jej do ośmiu funtów miesięcznie, jak pokazują rachunki. Gdy prezydował na radzie stanu, każdy z radców podsuwał mu własną otwartą tabakierę. Cesarz, zajęty czem innym, chował je wszystkie do kieszeni. Wieczorem kamerdyner wydobywał całą ich kolekcję.

To upodobanie o mało go raz życia nie pozbawiło. Był jeszcze konsulem, mieszkał w Malmaison; z rana, za powrotem z ogrodu, znalazł

na stole tabakierkę, podobną do tej, jaką miał przy sobie. Z analizy pokazało się, że tabaka była zatruta.

Napoleon nie lubił kart i nie pozwalał grać u siebie na pieniądze. Czasami jednak namówiono go na partyę, wtedy oszukiwał z upodobaniem, ale po skończonej grze oddawał wygraną kwotę. Józefina za to grywała chętnie w wista, zarówno jak i siostry cesarskie. Według rachunku, dostarczane do dworu karty wynosiły rocznie 1000 franków.

Polowanie też nie zajmowało cesarza. Według tradycji dworskiej, urządzoną była służba łowiecka, lecz sam Napoleon nigdy prawie nie brał udziału w tej monarszej zabawie.

Maze Spenzer nie przepomniął o Mamelukach. Napoleon miał ich dwóch, prawdziwego i zmyślnego. Prawdziwy Mameluk, Rustan, sprowadzony z Egiptu, pełnił przyboczną służbę. Czy to w wojnie, czy podczas pokoju, nie odstępował nigdy cesarza; za wierność otrzymał order legii honorowej. Wszystko szło dobrze do roku 1814, ale gdy Napoleon po abdykacji udał się na wyspę Elbę, Rustan znikł, jak tyłu innych ulubieńców. Cesarz cierpiał nad tą niewdzięcznością nieodstępnego sługi. Nic o nim nie wiadomo, dopiero w r. 1840 ukazał się w stroju narodowym za zwłokami cesarza, gdy je przewożono do Inwalidów.

Drugi, pseudo-Mameluk, Dyonizy, przewzany Alim, okazał się wierniejszym od prawdziwego. Był, jak wiadomo, na wyspie świętej Heleny, nie opuścił cesarza aż do chwili ostatniej.

W muzeum Luvru wystawiono w tych dniach reprodukcję pomnika, wykonanego słynnym dłotem rzeźbiarza Rude'a, a dotąd nieznanego Paryżanom. Tytuł arcydzieła: „Cesarz Napoleon budzący się do chwały nieśmiertelnej.” Oryginał z marmuru, pomieszanego z brązem, znajduje się w zapadłej wiosce burgundzkiej pod Dijonem. Ciekawa bardzo historia tego pomnika.

W wiosce Fizen, mieszkał kapitan Noiset, przyjaciel Rude'a, stary wiarus z czasów pierwszego cesarstwa. Oddany całą duszą Napoleonowi, zbierał wszelkie pamiątki po bohaterze. W ostatnich latach życia pragnął on wzbogacić muzeum swoje dziełem niepospolitej wartości. Zamówił u Rude'a pomnik swego pomysłu. Ów pomnik przedstawia odłam skały, obciśnięty łańcuchami. Na wierzchołku jej leży Napoleon, wykuty z białego marmuru, obwinęty w całun brązowy, nad nim orzeł rozpostarł połamane skrzydła; Cesarz podnosi róg całunu, gotów rozbudzić się do chwały nieśmiertelnej.

Kapitan Noiset pomieścił ów pomnik w ogrodzie swoim, a w bliskości piękne popiersie Rude'a, wykonane przez ucznia jego, Cabet'a.

Dalej, w tejże samej linii, stoi wiarus na czatach, z prostym napisem: „Żołnierz Napoleoński”, pod nim rozkazał się pochować.

Owóż wszystko to: pomnik cesarski, popiersie rzeźbiarza i grobowiec swój, wraz z domem, ogrodem i zbiorami, przekazał Noiset wiosce Fizen. Co rok zbiera się tu po kilka tysięcy pielgrzymów; sądzymy, że liczba ich będzie nierównie większa, od chwili, jak się urzeczywistniła myśl kapitana, i Napoleon obudził się do chwały nieśmiertelnej.

Ten prąd Napoleoński, wiejący nad Francją, pobudza wydawców do rozmaitych publikacji. Między innemi Plon wydał na kolendę slichne album pod tytułem: „Wielki Napoleon dla małych” układu Mortholda i Joba, złożony z czterdziestu ośmiu kolorowanych tablic, przedstawiających najwybitniejsze sceny z epepei dziejowej. Do tych, jakie w teatrze przesuwają się przed oczyma widzów, dodano kilka z pierwszych lat przyszłego bohatera. Widzimy go nad książką, kreślącego cyfry i figury matematyczne naprzód w Ajaccio, następnie w szkole Brienne: wskazówką to dla młodych umysłów, do czego można przyjąć naukę, pracą i wytrwałością.

Tęsknota Francuzów za ideałem objawia się w rozmaity sposób. Nowym jej dowodem zwrot umysłów do rycerskich powieści Aleksandra Dumasa-ojca. Idąc za prądem panującym, Calman Levy przygotował na upominek kolendowy pyszne wydanie „Trzech Muszkieterów” z ilustracjami słynnego rysownika Maurycego Leloir.

Na czele tomu pomieszczono wstęp, nadzwyczaj rzewny i oryginalny, skreślony piórem Dumasa-syna. Jest to list do ojca, zmarłego przed laty z górą dwudziestu:

„Odkąd rozłączyłem się z tobą, drogi ojcze, pisze syn, nie upłynął dzień jeden, abym nie myślał o tym wielkim przyjacielu, którego przypomniało-by mi tysiące głosów, gdybym mógł o nim zapomnieć. Poświęcając ci wspaniałe wydanie jednego z Twych arcydzieł, dopełniam tem samem obietnicy danej Ci w uroczystej chwili!”

Tu syn przerywa odezwę do ojca, a wysnuwa z pamięci wątek najboleśniejszych wspomnień:

„Było to, mówi on, w grudniu r. 1870, w Puyś niedaleko Dieppe. Ojciec mój przebywał tam od sierpnia, wyczerpany pracą, jak wielki poprzednik jego Walterscott, tak przezeń umiłowany, który ukazał mu cel i nauczył, jak go doścignąć. Spędzał dni, poglądając w milczeniu na fale oceanu, przelotnie rozświecane bladym promykiem słońca. Szum ich groźny a jednostajny głużył poryki fali ludzkiej, dobiega-

jące nas od wschodu. Któż odgadnie, jakie myśli krążyły między nami a tym ponurym widnokretem. Ojciec uśmiechał się do nas obecnych, a gdy go pytał, jak mu jest, odpowiadał: „bardzo dobrze.” Czyliżby ukrywał, nie chcąc nas trwożyć, przeczcucie rychłego zgonu, czy też po prostu rad był z wytchnienia po dokonanej, a tak olbrzymiej pracy. Nie cierpiał wcale, czuł się kochanym i na tem poprzestawał.

„Rankiem 4 grudnia, gdy go namawiał, aby wstał z łóżka, dla pokrzepienia sił zwątlonych, wlepił we mnie wielkie oczy, pełne słodkiego wyrazu, i rzekł błagalnym głosem, jak słabe dziecię do matki: „Nie żądaj tego, mnie tu bardzo dobrze.” Nie nalegałem więcej, siadłem na łóżku. Nagle zadumał się, rysy jego przybrały smutny wyraz, dwie wielkie łzy spłynęły mu z pod powiek.

„Spytałem, co go tak zasmuca. Ujął mnie za rękę, spojrział mi w oczy i wyrzekł silnym głosem: „Powiem ci, ale wprzód odpowiedz mi na pytanie; mów z całą bezstronnością, nie jak kochający syn, lub pobłaźliwy przyjaciel, lecz raczej jako dzielny towarzysz broni, jak sprawiedliwy sędzia.

— Przyrzekam ci, ojcze.

— Przysięgnij mi.

— A więc przysięgam.

— Otóż... — zawahał się chwilę, potem dodał stanowczo:

— Otóż więc, czy myślisz, że cośkolwiek zostanie po mnie?

I wciąż patrzył mi w oczy.

— Jeżeli cię to uspokoi, — odrzekłem wesoło — porzuć wszelką obawę. Zostanie po tobie wiele, bardzo wiele.

— Prawdaż to?

— Niezaprzeczona prawda.

„A ponieważ uśmiechałem się, aby ukryć głębokie wzruszenie, zafat mi najzupełniej. Wtedy ręką, którą wspierał na mojej, pociągnął mnie ku sobie. Uścisnęliśmy się długo i serdecznie. Odtąd nie wyrzekł już ani słowa, tylko raz po raz spoglądał na mnie, dziękował mi spojrzeniem i silniejszym uściskiem dłoni.

„Ogarnęła go senność, nazajutrz 5 grudnia przyszła gorączka, a wieczorem o dziewiątej skołał najspokojniej.”

Po tym ustępie, syn zwraca się znów do ojca, ciągnie dalej list rozpoczęty:

„Dwadzieścia lat upłynęło, drogi ojcze, od chwili jak żądałeś zdania mego co do prac twoich, owoż każdy dzień utwierdza mnie w przekonaniu, że je wyrzekłem z całą sumiennnością. Bo też świat idei, zarówno jak świat fikcyi, ulega prawom równie bezwzględny i zarówno nieomylnym, jak te, na których wspiera się równowaga i harmonia wszechświata. Człowiek oddaje się całkiem temu tylko, co

go porywa, czaruje, podnosi, co go prowadzi do uznania godności własnej, co czuje w sobie wzniosłem, co geniusz jego pisarski obowiązany jest rozbudzić i rozwinąć: nie znajdzie on nigdy trwałej przyjemności w opowiadaniu swych obłądów i nieziemnych wybryków. Może niekiedy, zwłaszcza w młodych latach, na ławie szkolnej, w czasach nie-nasyconej ciekawości, mieć pociąg do jakiejś chorobliwej psychologii, ale znudzi się wkrótce, obrzydzi sobie te obrazy i powróci do tego, co daje siłę i zdrowie. W zwierciadle, stawionem mu przed oczy przez poetów, dramaturgów i powieściopisarzy, nie zechce już widzieć się, jakim jest; on *siebie* zna do gruntu; szuka *innego siebie*, jakim pragnie być, jakim nie traci nadziei że zostanie. Wie on doskonale, że *piętno* i *dobro*, jakkolwiek nie zawsze się pojawiają, są niemniej prawdą, jak *zło* i *brzydota*; wie, że występki nie jest prawdą wyłączną. Gdziekolwiek zwróci duszę i serce, oprócz religii i miłości, cóż je silniej pociąga, jeżeli nie czytanie? Potrzeba mu nadziei, pociechy, oparcia, słowem potrzeba mu ideału.

„Patrz na oczy tego czytelnika, — mężczyzny czy kobiety — jak ścigają stronicę, jak je przerzucają gorączkowo. Opanował ich ten, co przemawia do nich po cichutku. Tu oto odbywa się suggestya, przekaz myśli, zamiana woli na inną. Byłże-by to prosty skutek ciekawości? o nie! to zupełne zapomnienie o sobie i o wszystkim, oprócz bohatera lub bohaterki opowiadanej przygody. Jest po-za tem sumienie, które, często bez świadomości, czuwa przeciw, nie spoczywa nigdy, jak bicie serca naszych, i bierze udział w odebranych wrażeniach! Biada nam piszącym, jeśli zapominamy, że odpowiedzialni jesteśmy za kierunek dusz ludzkich!

„Otoż właśnie dlatego, drogi mój ojcze, mogłem powiedzieć, że wiele pozostanie z prac twoich, a czas ubiegły usprawiedliwił zdanie moje. Dlatego-to bohaterowie twoi, zdrowi, weseli, rozumni, szlachetni, wspaniałomyślni, gotowi poświęcić życie dla wielkiej sprawy, poruszają coraz to silniej tłumy od pół wieku. Dlatego-to, pomimo wszystkich szkół, wszelkich pojęć estetycznych, wszelkich dyskusyi, wszystkich stronniczych sporów, w których szamoce się dzisiejsza literatura, stałeś się, jesteś i będziesz, pisarzem najsilniej porywającym, najpopularniejszym, w dobrem znaczeniu słowa, nie tylko we Francyi, ale i w świecie całym. Należysz do rzędu tych, co goją i pocieszają nę-dze ludzkie. Wielki jeden chirurg mówił niedawno do ucznia: „wszyscy niemal chorzy w szpitalu naszym odzyskują zdrowie lub umierają z książką ojca twego pod wezglowiem; ilekroć chcemy dodać im odwa-gi przed operacją, lub uzbroić w cierpliwość podczas długiej choroby, ukoić przecucie rychłej śmierci, wsuwamy im w rękę powieść lub opis podróży, i zapominają o wszystkim.” Nie dosyć, że ludzie wielbią

ciebie, ale, co nierównie więcej znaczy, kochają cię i błogosławią za ulgę, jaką przynosisz im w cierpieniu. Tak umiałeś zainteresować i poruszyć do głębi serca te wielkie dzieci, zwane ludźmi, że cię przyjęły do rodziny swojej i zowią ojcem Dumasem. Widzę cię obok wielkiego Lafontaine'a; tyś w oczach moich owym starym dziaduniem, który w długie wieczory zimowe przy ognisku opowiada z uśmiechem na ustach, jak to było przed laty.

„Od dnia, kiedy zapowiedziałem ci przyszlą chwałę, wydrukowano i rozprzedano we Francyi dwa miliony ósmkroć czterdzieści tysięcy tomów twoich, osmdziesiąt milionów illustrowanych zeszytów, i sześćset dzieł, powtórzonych przez paryskie i prowincjonalne dzienniki, nie licząc w to mnóstwa przekładów, w krajach niezwiązanych z nami umową. Dziś wydawcy twoi z własnego popędu postanowili ogłosić w pomnikowej edycji „Muszkietarów” z ilustracyami słynnego rysownika Maurycego Leloir. Zawiadamiąjąc mnie, że wykonał dwieście pięćdziesiąt rysunków, Leloir wyraził się temi słowy: „Od dwóch lat żyję z d'Artagnanem, Athosem, Portosem, Aramisem i wszystkimi bohaterami wielkiej epopei. Nie umiem wypowiedzieć, z jakim żalem rozstaję się dziś z nimi. Wkrótce, da Bóg, powitam ich w powieści „We dwadzieścia lat potem.”

„List Leloir'a przypomniiał mi dzień, kiedy przyszedłszy do ciebie, zastałem cię wykończającego powieść „Hrabią Bragelonne.” Siedziałeś smutno w swem wielkiem krześle z oczyma zapłakanemi.

— Co tobie jest, ojcze?—zapytałem—tyś płakał.” Słyszę jeszcze odpowiedź twoją: „Mam ciężką zgryzotę: Porthos umarł, — zabiłem go w tej chwili!... Nie mogłem wstrzymać się od łez... Biedny Porthos!”

„Z takim-to głębokiem przejęciem, z taką miłością dla przedmiotu, tworzą się arcydzieła!

„A teraz, niech się cofnę do dnia, kiedy rozpoczynałeś „Muszkietarów.” Jakąż to radość, jaki wybuch życia rozbudzała w tobie ta praca! Widzę cie jeszcze w tym maleńkim pokoiku z oknem na dziedziniec, odosobnionym od mieszkania twego, gdzie był tylko wielki stół biały drewniany, sofka, dwa krzesła, książki rozrzucone nad kominem i żelazne łóżko, na którem spoczywałeś po całodziennym trudzie. Tam schroniłeś się przed nawałem odwiedzających cię natrętów. Na pół rozebrany, z rękawami odwinętymi do łokcia, z szyją odsłoniłą, siadałeś do pracy o siódmej z rana i do siódmej wieczorem nie wypuszczałeś pióra z ręki. Gdym przyszedł do ciebie w godzinę obiadową, nieraz widziałem nietknięte na stole śniadanie. Podczas obiadu opowiadałeś, co przez dzień czynili bohaterowie twoi i co jutro czynić zamierzają. Powtarzało się to w ciągu kilku miesięcy. Cóż to za praca, zawsze swobodna i wesoła! Malarz Corot, który zwykle pogwizdywał

przy stalugach, powtarzał z uśmiechem: „Czem jest sztuka, jeśli nie rozwesela?” I ty myślałeś jak on, a im więcej życia wlewałeś w twory wyobraźni swojej, tem więcej czułeś go sam w sobie, istnie jak ta szeroka rzeka, co, pochłaniając mnóstwo tajemnych zdrojów, odradza się bezustanku, w miarę jak roztacza na zewnątrz swe koryto. Ha! szczęśliwe to były czasy!

„A dziś... ty śpisz od ćwierci wieku, pod cieniem drzew, na tym cmentarzu w Villers Cotterets, pomiędzy matką twoją, która służyła ci za wzór wszystkich uczciwych niewiast, a ojcem twoim, którego pamięć dała ci pobudkę do bohaterских typów prawości i odwagi, stworzonych przez wyobraźnię twoją!”

Ta odezwa Dumasa do zmarłego ojca, na czele pomnikowej księgi, poruszyła do głębi czytelników francuskich. Obsypano go listami z podziękowaniem za gorące słowa. To go zachęciło do nakreślenia kilku wspomnień, powtórzonych w dziennikach. Opowiada między innymi, że ojciec ze wszystkich dzieł swoich najwyżej stawiał „Muszkietarów.” Na krótko przed śmiercią zastał go przy kominie, z otwartą książką w ręku.

— Co tak czytasz? — zagadnął — widzę, że cię to bawi.

— Czytam Muszkietarów — odparł ojciec.

— Widzę, że rad z nich jesteś.

— O tak! to rzecz bardzo udatna.

— A Monte-Christo?

— Niezła powieść, ale nie tyle mnie dziś zadawalnia, co Muszkietarowie: to moje arcydzieło!

Sąd potomności zgodził się z sądem autora.

Inne dzieło Dumasa: „Le chevalier de Maison-Rouge” wyszło też obecnie w pomnikowym wydaniu, u księgarza Testard'a. Rysunki wykonał Le Blant, biegły malarz i słynny ilustrator. Zajmująca ta powieść zawiera szczegóły z życia Maryi Antoniny, do chwili męczeńskiego skonu. Przedmowę nakreślił Gustaw Laroumé.

Tyle już pisano u nas o zmarłym w tych czasach kompozytorze Gounodzie, tak różnostronnie oceniono jego utwory, że w tym przedmiocie nic więcej powiedzieć nam nie zostaje. Wspomnijmy tylko rozprawę Karola Henry, mistrza konferencji w szkole praktycznej wyższych nauk, pod tytułem „Gounod jako estetyk i myśliciel.” Autor zaznacza tu wpływ naszego ziomka Hoene-Wrońskiego na kompozytora „Fausta” i tylu arcydzieł muzycznych. Zobaczmy, co mówi p. Henry.

Ten, którego Balzac spopularyzował w filozoficznej powieści „Recherche de l'Absolu”, ten szczególny geniusz, który zformułował

absolut, jako fundament sklepień matematycznych i świata fizycznego, oraz praw moralnego świata, Hoene-Wroński, oprócz sympatyj cesarza Napoleona III i innych wielkich osobistości, zdobył gorące uznanie Gounod'a. Nagrodziło mu to wiele zawodów i goryczy, jakimi go pojono, wskutek olbrzymich prac abstrakcyjnych, z tak wielkim wydawanym trudem, a dziś zagubionych w części. Bądź co bądź, Gounod pozostał wiernym mistrzowi, imię jego znajdujemy w każdej przedpłacie na pomnikowe wydanie prac filozofa. W doktrynach Wrońskiego czerpał Gounod zasady sztuki muzycznej i pod tym wpływem utworzył najpiękniejsze dzieła.

Inny kompozytor, Belgijczyk, zmarły niedawno Jakób Croegaert, urodzony w Antwerpii w r. 1850, a więc należący do młodszego niż Gounod pokolenia artystów, okazał się niemniej gorącym zwolennikiem teorii Wrońskiego. Wysławia on teorye muzyczne, oparte na filozoficznych badaniach naszego myśliciela, odmienne od tych, jakimi się dotąd rządzono. Wśród wielu prac o sztuce muzycznej pozostawił on, p. t. „*Le verbe de l'homme*”, rozprawę o harmonii i kontrapunkcie. W dziełach naszego filozofa-matematyka kompozytor belgijski znajduje dydaktyczne i racjonalne wyjaśnienie zasad kompozycyi i orkiestracyi.

Do żarliwych zwolenników Wrońskiego liczy się również hr. Kamil Durutte, politechnik dawnej szkoły, który opuścił zawód wojskowy a oddał się grze na skrzypcach. Klasyfikował on formuły muzyczne na prawach matematyki, i głosił z zapalem sławę Wrońskiego, zowiąc go mistrzem swoim.

Liczne teatra tutejsze karmią się po większej części dawnym repertoarem, nim zapowiedziana sztuka Edwarda Paillerona zabłyśnie na deskach Teatru francuskiego. Dwie opery tymczasem, *Wielka i Komiczna*, przyciągają do siebie miłośników muzyki.

Wielka opera nakoniec wystąpiła z „*Gwendoliną*” utworem Emanuela Chabrier. Od lat kilku utalentowany kompozytor napróżno kółł do dyrekcji; przyjęto sztukę, ale spotkał ją tenże sam los, jakiego dawniej doznała „*Salambo*” i tyle innych kompozycyi, które wprzód obiegiły różne stolice, zanim ukazały się w Paryżu. Ogół tutejszy zarzuca dyrekcji opieszałość, ta zaś składa winę na rząd, nie skory do wydatków, gdy idzie o popieranie sztuk pięknych.

Pod naciskiem opinii, „*Gwendolina*” ukazała się wreszcie na scenie i zdobyła poklask nie mniejszy od tych, jakimi obsypano ją w Wiedniu i Brukselli. Ocenienie kompozycyi muzycznej zostawiamy biegłym znawcom; powiemy tylko słówko o lirycznym poemacie

Katulla Mendès'a, pełnym staro-normandzkiej barwy i dramatycznych efektów.

Miejscem działania są wybrzeża Wielkiej Brytanii w epoce starożytnej, kiedy łodzie Normandów obiegały wszystkie morza i ujścia wielkich rzek, zatykając zwycięski sztandar na szerokiej przestrzeni od Bałtyku po zatokę Messyńską. Nad wioską rybacką pogodna wchodzi zorza. Grono dorodnych dziewcząt z sierpem w ręku biegnie do żniwa. Wśród nich świeci urodą młodzieuchna Gwendolina, błada jak lilijka, drżąca jak listek osiny. Widziała we śnie straszliwych Duńczyków, rzucających się na dom ojca jej, zamożnego rybaka, Arnula, widziała strugi krwi i główne pożaru, a przecież w sercu jej, obok trwogi, drga jakaś ukryta iskierka. Doznane wrażenia opowiada młodym towarzyszkom.

Sen sprawdził się niebawem. Drużyna Duńczyków z rudemi kędziory przybija do wybrzeży na łodziach w kształcie potwornych smoków. Szczękają miecze, krew tryska, główne pożaru błyszczą wśród kłębów dymu. Wódz drużyny, Harold, nieustraszony junak, piękny jak bóstwo Walhalli, rzuca się na starego Arnula z podniesionym do góry mieczem. W chwili gdy ma go powalić, ukazuje się Gwendolina. Widok jasnowłosej dziewczeczki rozbraja Duńczyka; oręż wypada mu z ręki, nieznane uczucie budzi się w dzikiej piersi.

— Precz stąd druchy! precz stąd niewiasty i dziewczęta — woła Harold piorunującym głosem. Chce pozostać sam z Gwendoliną. Bieży ku niej, lecz pod blaskiem jej oczu jakby stopy wrosły mu w ziemię. Dusza barbarzyńcy mięknie jak воск, na znak jej podnosi z ziemi wieniec przez nią upleciony; posłuszny jej woli, bierze w rękę wręciono, przędzie len do taktu z jej piosenką. Niech druchy szydzą, mniejsza o to! Harold pragnie poślubić Gwendolinę, dziewczę nie stawia oporu. Rzecz dziwna, stary Arnul przystaje na związek; knuje on w myśli krwawy zamach.

W drugim akcie teatr przedstawia izbę godową, w chacie rybaka przystrojonej kwiatami. Stary Arnul wobec zebranych gości błogosławi młodą parę. Podczas gdy chór przyśpiewuje pieśń weselną, młodzi małżonkowie rzewnym odpowiadają duetem. W podwórzu przy długim stole biesiadują razem Saksonowie i Duńczycy; z rąk do rąk przebiegają czasy pełne miodu. Głosy biesiadników łączą się z duetem uszczęśliwionej pary.

Zapada noc: nagle powstaje grzmiący okrzyk:

— Hej! za miecze! — wołają Duńczycy, i oto, widzą ze zgrozą miecze własne w rękę Saksonów, powstaje wściekła bójka. Harold wybiega, lecz za późno.

Zasłona spada; podnosi się znowu. Ogień pochłania łodzie Duńczyków i jaskrawo odbija w morskiej fali. Wybrzeże zalane krwią, zasłane stosem trupów i konających. Harold ranny śmiertelnie, wsparty o drzewo, jedną ręką tuli w objęciu Gwendolinę, w drugiej trzyma złamany oręż. Widok konającego doprowadza ją do rozpacz; wrywa mu z rąk żelazo, topi je w piersi własnej. Padają oblani krwią, podczas gdy pożar ogarnia wieś rybacką.

Surowi krytycy zarzucają w niektórych ustępach przypomnienie *Lohengrina* i *Walkirii* Wagnera; ale samo podobieństwo sytuacji, jak niemniej barwa miejsca i czasu, tłómaczy to zbliżenie. Wspaniała wystawa odpowiada całości utworu. Gwendolinę przedstawia panua Berthet, młoda laureatka konserwatorium paryskiego. Pierwsze to wystąpienie artystki świetną zapowiada jej przyszłość.

W operze Komicznej odegrano operę młodego kompozytora, Alfreda Bruneau; libretto osnuł utalentowany Ludwik Gallet na powiastce Emila Zoli, jednej z nielicznych, które można było ukazać na scenie, bez obrażenia estetycznego smaku widzów. Gallet wywiązał się dobrze z zadania; on pierwszy wskazał, jak pisać libretta, na których zaniedbanie tak ciężko utyskiwał Rossini, że ufundował konkurs dla podniesienia tej gałęzi sztuki, uważanej dotąd za podrzędną. Przytaczamy treść lirycznego poematu. Rzecz dzieje się podczas wielkiej rewolucyi w końcu zeszłego wieku.

Młynarz, ojciec Merlier, ma obchodzić zaręczyny córki Franciszki z Dominikiem Pequen'em, dzielnym młodzianem, wybranym przez nią samą. Zastawiono stoły w podwórzu. Wchodzą tłumami sąsiedzi i sąsiadki; chłopcy strojni jak na święto, dziewczeczki przybrane w kwiaty i świecidła. Ukazują się wreszcie narzeczeni, oczy ich promienieją radością.

— Ha! — zawoła stary młynarz, wyciągając obie ręce do przybyłych — wśród dziatwy i przyjaciół niczego mi dziś nie brakuje! Wszystko uśmiecha się do mnie. No, dalej, obsiądźmy stół dokoła!

Jedzą i piją wesoło, czarki wina krążą przeplatane zwrotkami. Nagle daje się słyszeć huk bębna. Wszyscy powstają, nadchodzi sługa miejski.

— Przychodzę tu — rzecze — z obwieszczeniem, że wojna wypowiedziana. Mer wzywa na ratusz wszystkich, którzy mogą udźwignąć oręż; niechże co tchu śpieszą ku granicy.

Radość przemienia się w żalobę, wszyscy stoją jak w ziemię wryci. Stara sługa, Marcellina, która wynianczyła Franciszkę, wycho-

dzi na przód sceny i tonem proroczym przepowiada klęski, jakie wojna musi powlec za sobą.

Franciszka drży o narzeczonego.

— Ty nie pójdziesz? — zagadnie z trwogą.

— Jam Flamandczyk z rodu, Belgia moją ojczyzną — odpowie

Dominik — ale niech tylko nieprzyjaciel postawi tutaj stopę, niech ci zagrozi niebezpieczeństwo, wtedy zobaczysz sama...

W drugim akcie bitwa toczy się we wsi, żołnierze francuscy strzelają z okien młyna. Dominik chwyta karabin, walczy zawzięcie razem z nimi. Nieprzyjaciel pokonany; ale po chwili napad powtarza się z nową siłą, obce wojska zajmują dom cały. Wchodzi kapitan, bada Merlier'a i Franciszkę. Sposztrzeża u Dominika ręce poczerńnięte od prochu.

— Jakto? — zawoła — odbiegłeś pułku swego?

— Ja nie jestem Francuzem — odpowie młodzian.

— Nie jesteś Francuzem, a biłeś się z nami, jak widzę; to sprzeciwia się prawom międzynarodowym. Będziesz natychmiast rozstrzelany.

Merlier uprowadza napół omdlałą córkę. Kapitan, pozostawszy sam z Dominikiem, namawia go do zdrady: jeśli poprowadzi oddział przez las na wzgórek, skąd widok całą ogarnia okolicę, wyrok śmierci zostanie odwołany. Dominik odmawia stanowczo.

— Zostawiam noc do namysłu — rzecze kapitan — jutro o świcie nastąpi egzekucya.

Kapitan odchodzi. Dominik pozostaje sam, uwięziony w izdebce. W chwilę potem ukazuje się Franciszka. Zbiegła po załomach dachu, staje we framudze okna, namawia młodziana do ucieczki, lecz on stanowczo się opiera.

— Zresztą — rzecze Dominik — niepodobna mi zbiedz, żołnierz stoi u drzwi na warcie.

— Idź śmiało, z jednym łatwo sobie poradzisz.

— A gdy on zawoła na swoich?

— Ty wprzód zmusisz go do milezenia — to mówiąc, wsuwa mu sztylet w rękę.

W akcie drugim noc zapadła. Na znak dany przez Franciszkę, Dominik wyskoczył oknem: topi sztylet w piersi żołnierza zastępującego mu drogę i ucieka do lasu. Na krzyk żołnierzy, nadbiega zbrojny oddział. Kapitan przywołuje młynarza i Franciszkę, pyta groźnie, w którą stronę uciekł Dominik. Nie odbierając odpowiedzi, rzuca się w gniewie jak wściekły.

— Mniejsza o to! — krzyknie na starca — tyś mu ułatwił ucieczkę, odpowiesz za niego własną głową, wydasz go, inaczej kula cię nie ominie!

Merlier gotów na śmierć, ale córka szamocze się z rozpaczą. Na rozkaz kapitana wprowadzają ich żołnierze.

Czwarty akt najdramatyczniejszy ze wszystkich. O rannym brasku Franciszka spostrzega powracającego Dominika.

— Uchodź czemprędzej! — zawoła, ale ojciec stanął jej nagle w myśli.

— Nie, nie uciekaj, zostań lepiej — rzecze z najwyższą boleścią.

We młynie powstaje ruch. Dominik i Franciszka ukrywają się oboje. Słysząc trąbki Francuzów, kapitan zbiera oddział, pośpiesza do ataku, otacza młyn strażą. Odchodząc grozi śmiercią młynarzowi, gdyby nie wydał zbiega.

Merlier wie, że Dominik powrócił. Gdy narzeczeni stanęli przed nim, zapewnia ich, że sprawa z kapitanem załatwiona, że nic mu już nie grozi. Zaspokojony Dominik, pośpiesza do oddziału zbliżających się Francuzów.

Stary młynarz żegna pocziwą służbę, a potem zostaje sam z córką. Przypomina jak siadał nad jej kołyską, gdy spała snem anioła; jak później, gdy rozwijał się umysł dziewczeczki, w wieczornych z nią rozmowach uczył ją, że dwie rzeczy najśodsze w życiu: kochać i spełniać powinność.

Biedny ojciec ściska córkę ze łzami; uścisk ten, dziwnie bolesny i gorący, przeraża Franciszkę.

— Ojczel ty mnie, jak widzę, żegnasz! — zawoła cała drżąca.

W tejże chwili słysząc trąbki zbliżających się Francuzów. Nieprzyjaciel pobity. Kapitan wzywa straż do odwrotu.

— Wprzód — woła — musim zakończyć sprawę.

Tu żołnierze wrywają Merliera z objęć córki, wywołują go z domu. Straży karabinowe oznajmują Franciszce, że wyrok dopełniony.

Francuzi wpadają do młyna.

— Zwycięztwo! — wykrzykną setki głosów.

— O wojna! wojna! — woła rozpaczliwie stara sługa — bohater-skie tryumfy straszna dla ludu plagą!

Smutny dramat głęboko poruszył publiczność. Młody kompozytor, Bruneau, znalazł dzielną pomoc w poecie, Gallet, który niejednokrotnie zbierał już oklaski na scenie paryskiej.

Do pięknej koleceyki albumików, wydawanych pod firmą May et Motteroz, przez naszego ziomka p. Konstantego Chmielińskiego, przybył obecnie jeden, Oktawiusza Uzanne p. t. „Vingt jours dans le Nouveau Monde.” Autor, wysłany przez prasę paryską na wystawę do Chicago, w ładnej książce, ozdobionej 175-ciu rysunkami, pomija zupełnie

tak zwany „Jarmark świata” (Worlds-Fair), jako należący już do przeszłości, a z trzymiesięcznej podróży wybiera tylko dni dwadzieścia, w których przebiegł najglówniejsze miasta Ameryki Północnej, od Nowego-Yorku do Chicago. W tym przebiegu, szybkim jak błyskawica, turysta umiał w każdym miejscu pochwycić charakterystyczne cechy.

W Nowym-Yorku zatrzymuje się nad oryginalną architekturą gmachów, podziwia nadwyzwyczajny pośpiech w ich budowie i gorączkową chęć wprowadzenia w czyn nowych pomysłów. Wielkie hotele dla podróżnych nie trwają tu dłużej nad lat piętnaście. Właściciele rozwalają bez namysłu te pałace, jako przerosłe mikrobami, a na ich gruzach budują coraz okazalsze. Wśród niezliczonych klubów literackich, przemysłowych i t. d., wymienia klub arystokratyczny, do którego mają tylko wstęp potomkowie rodzin, osiadłych tam od r. 1785. Koniec walki o niepodległość stanowi w amerykańskim społeczeństwie taką epokę, jaką stanowią krucjaty w heraldyce starego świata.

Chicago zowie Uzanne potwornem miastem. Dwudziesto-piętrowe gmachy tworzą tu wieczny pomrok; kłęby dymu, buchające z olbrzymich kominów, zasłaniają słońce jakby żałobnym kirem. Odetchnął dopiero pełną pierśią w Pullman City, osadzie sławnego Pullmana, który z prostego robotnika stał się dziś właścicielem olbrzymich kuźnic i organizatorem rzeczypospolitej robotników. O tę kwitnącą instytucję rozbijają się zupełnie mrzonki anarchistów, tak dziś niepokojących Europę.

Niemniej ciekawe odwiedziny Edissona w Orange-Park blisko Nowego-Yorku. Uzanne zastał go w ogromnej hali, zajmującej osmset metrów kwadratowych, w pośród tysiąca z górą robotników. Zagadniony, nad czem obecnie pracuje, Edisson dał mu poznać nowy swój pomysł. Czem jest fonograf dla dźwięków, tem będzie dla ruchu tak zwany *Kinetograph*, wyraz oznacza pochwycenie ruchu (*enregistrement du mouvement*). Dzięki temu systematowi, mówił Edisson, można będzie zarazem widzieć i słyszeć tak komedię, jak i operę: gra wielkich artystów nie przepadnie dla potomności. Oczarowany turysta widział Tyrolczyka płasającego przed góralską swą chatą, podczas gdy wiatr poruszał zielone drzew konary. Na wydoskonalenie nowego aparatu potrzeba jeszcze lat parę. Edisson postanowił przybyć z nim do Paryża i ukazać nowy cud świata przed oczyma zdumionej Europy.

ZARĘCZINY JANA BĘŁZKIEGO.

Warszawa, dnia 20-go lutego.

Oczekując czegoś bardzo, człowiek zawczasu wystawia sobie sceny i całe dni przyszłego życia, a gdy te przyjdą, zastają go jednak nieprzygotowanym. Rzeczywistość przynosi w ubocznych szczegółach, w godzinie dnia, w chwilowym nastroju nerwów coś nieobliczalnego, co zadziwia. Ból jeszcze czasem gorzej boli, niż się zapowiadał, a ziszczona pomyślność wydaje się bledszą od przeczutej. Dopiero gdy ustąpi walenie między wymarzoną obrazem, a rzeczywistym, kiedy upragniony fakt zaczyna już uciekać w poetyczną mgłę chwil dobrych minionych, wtedy wrażenie istotne, oczyszczone z mniej pięknych lub niepotrzebnych szczegółów, ogromnieje w sercu uspokojonym i rozpamiętującym. Ta druga fala szczęścia, jeżeli nie jest mocniejsza, to czystiej rozkoszna, niż pierwsza.

Zawsze lubiłem przyglądać się świeżo ubiegłym kolejom mego życia,—dlatego też piszę dziennik. A dzisiaj, kiedy mam zapisać taki epokowy wypadek, jak własne zaręczyny, kiedy pomyślę, że ta niepochwytna kobieta powiedziała mi poważnie i szczerze, że mnie kocha i przystaje na nasz związek,—to jeszcze się pytam, czy to nie sen. Jednak od paru dni trwa to niesłychane szczęście i zaczyna mi się już mieścić w sercu.

Wieczór 18 Lutego, mój najpiękniejszy, wywiązał się naturalnie z sytuacji trwającej już oddawna, bo ja z mojej miłości nie czyniłem tajemnicy, a Celina coraz wyraźniejszą okazywała mi skłonność. Korzystając z przypadkowej samotności, zdobyłem się wreszcie na odwagę poproszenia o jej rękę i bez wahania zostałem przyjęty. Chwila ta stanowcza była przecie szczytem moich pragnień, a jednak, przewidując ją trochę inaczej, w innym naprzykład pokoju, doznałem zrazu wrażenia, że mi się coś stało nie po myśli. Dopiero w podróży uczułem się niezmiernie szczęśliwym, gdy na noc wyjeżdżał z Prądników do Warszawy.

Sanki sunęły po białej powierzchni tak szybko i cicho, przez noc mroźną, roziskrzoną księżycem i śniegiem. Jakieś dziwne, mrugające gwiazdy tkwiły na niebie opodal od księżyca, a inne sypały się z pod płóz, przerzynających śnieg chrupki i czysty. Ogarniał mnie wielki spokój i zapomnienie całego świata wobec tej jasnej świadomości, którą niosłem w sobie. Była to wdzięczność dla niej, dla życia, dla Boga,—a także niezmierna chęć czynienia dobrze, jakiś nieokreślony popęd do bohaterstwa. I była to zadowolona duma, jakby pycha nieprzebranego bogactwa i dziecinne roztkliwienie, do łez skore.

W tym stanie gorączki podróż wydała mi się długą chwilą, której czułem rozciąłość, ale też i niezmiennność. Zdawałem sobie sprawę ze swego położenia, a jednak musiałem być nawpół tylko trzeźwy, bo pamiętam, że zawołał na głos: — „Boże mój, moja ty!“... aż się furman zdziwiony odwrócił na koźle, a potem, wsiadając na stacyi kolei do wagonu, zająłem miejsce w drugiej klasie, chociaż wziąłem bilet do pierwszej i przesiedziałem całą noc, nie widząc prawie towarzyszy podróży.

Ocuł mi dreszcz poranny, kiedy dorożką przejeżdżał most na Wiśle. Tęczowo mieniły się lody rzeki, błękitne i różowe dymy wieńczyły kominy fabrycznego Powiśla i na błado-żółtem niebie budziła się Warszawa radosna, napiętrzona, wypoczęta ze snu, coraz świetniej jaskrawa plamami swych kolorowych domów i dachów, jednostajnie pokrytych świeżym, zarumienionym śniegiem. Wschodziło słońce bardzo jasne.

I ja czułem ten obraz po dziecinnemu, pod wpływem jakiejś świeżości, która mnie ogarnęła. Miałem w sobie zapowiedź nowego życia, wschodzącego z tem słońcem.

Przyjazd do miasta zamącił trochę moje wrażenia. Trzeba było zaraz oznajmić radosną nowinę mojej matce, a wiedziałem, że nie ucieszy się tak, jakbym ja chciał. Rozplakała się, całując mnie serdecznie i błogosławiąc, ale było raczej gorący objaw jej uczucia dla mnie,

a nie podzielona ze mną radość. Wyznała mi, co ma na sercu, mniej więcej tak:

— Każdy sam sobie powinien żonę wybierać i myśle, że Celina jest ci przeznaczona, bo ją kochasz oddawna. Spostrzegłam to już wówczas, kiedy ona była panną i starał się o nią Sęp-Szarzyński, „stary Sęp“ jak go nazywałeś.

Potwierdziło się teraz jasno posądzenie moje z przed lat kilku. Kiedy już małżeństwo Celiny z Szarzyńskim było postanowione, matka dała mi okrągłą sumę na podróż do Paryża, niby dla końca studiów, ale bardziej pono w celu, aby mnie z kraju na pewien czas usunąć i zagłuszyć we mnie budzącą się już miłość dla Celiny, a może i nienawiść dla Szarzyńskiego. Nie byłem też na ich ślubie. Dzisiaj w rozmowie wróciły wyraźniej powątpiewania matki o moim wyborze:

— Z twoją naturą, mój Jasiu, nie zupełnie się zgadza jej usposobienie, pozornie przynajmniej tak by się zdawało. Znam panią Szarzyńską od dziecka i wiem, że jest dobra, uprzejma, szczególnie piękna, ale nie dość poważnie pojmuje życie i jego obowiązki. Pierwszy jej mąż był dla niej niestosowny, to prawda, jednak równie nieszczęśliwy jak niestosowny i mówią nawet, że mu niepokój o młodą i zalotną żonę skrócił życie.

— Ależ, mamo! — odpowiadałem, — nie należało się Szarzyńskiemu więcej do śmierci, jak te dwa lata jego małżeństwa. Bóg wie, po co za niego wyszła, czy z namowy krewnych, czy może na przekór...

Nie dopowiedziałem całej myśli. Gdyby to jednak było szczerą prawdą, że Celina już przed kilku laty, kiedyśmy się widywali po wieczorach, — ona młodziutką panną, ja ledwie z kurzu książek uniwersyteckich opylony, — że wtedy już była mną zajęta?... Dała mi to teraz do zrozumienia, ale mimo całą ufność, jaką w niej pokładam, nie wierzę. Ja ją przecie kochałem i wtedy, bardzo nieśmiało, po studencku, tylko nigdy nie powstała mi w głowie myśl, aby ta ponętna księżniczka Warska mogła mnie wyróżniać... Był-był się przecież spostrześć... Zresztą, kto wie? Może-m ja za mało sobie dowierzał, albo nie umiał odróżnić płomyka przywiązania do mnie pośród znikomych ale ślicznych skier, któremi obdzielała ona zawsze mężczyzn?... Już to taka natura uprzejma, przymilna, wdzięcząca się do całego świata.

Rozmowa z matką była długa. Przykry mi był ton, bo nicowaliśmy zalety i wady Celiny, jakby jakiego majątku przed kupnem, a matka, pozbywszy się już, widać, pierwszej ostrożności, którą w obec wymagającego uwielbienia mojego uczucia chciała zachować, mówiła coraz wyraźniej.

— Po śmierci Szarzyńskiego obawiałam się ciągle, że się na tem skończy; wiedziałam, że Celina wybierze ciebie z pomiędzy swych aspirantów. Nie dziwię się jej: możesz się podobać i bez zaślepienia sądzę, że lepiej wyglądasz i więcej jesteś wart, niż jej zwykłe otoczenie.

Odpowiadałem zupełnie szczerze:

— Teraz dopiero przychodzi mi to do głowy, kiedy fakt naszych zaręczyn jest spełniony. Ale doprawdy nie spodziewałem się, że mnie ona pokocha. Najprzód to, co mama przez swoje życzliwe oczy we mnie widzi, dla mnie jest zupełnie wątpliwe. Jak wyglądam? Wiem, że do ludzi podobny, ale nie do tych, którzy mają tak nazwane „szczęście do kobiet.“ Zawsze mi się zdaje, że każdy mężczyzna, rozmawiający z Celiną, ma nade mną jakąś przewagę wdzięku i światowego sprytu. Wprawdzie tylko w stosunku do Celiny to mi się zdaje. W rozmowie z innymi mężczyznami, czy kobietami, zapalam się często i wtedy widzę, że mnie słuchają przyjemnie, że im się stają sympatycznym. Ale nikt mnie tak nie onieśmiela, jak Celina. Widać, zanadto pragnę jej się podobać? Dzisiaj więc pewność, że jestem jej miłszy od innych — ta prawie pewność — zadziwia mnie, olśniewa i trochę przstrasza. Bo czy ja zdołam zapełnić jej życie tak wyłącznie, żeby już nikt do szczęścia, ani przyjemności nie był jej potrzebny?

A matka dalej ciągnęła swe powątpiewania:

— Trochę się i ja o was boję, nie o brak uczucia z jej strony, ale o twój spokój, Jasiu, bo pani Szarzyńska nie może odrazu stać się wzorową żoną.

— Jeżeli pokochała prawdziwie, to dlaczego nie? Mama jej nie zna, a może nikt jej nie zna takiej, jaką ją teraz widzę i kocham. Cała ta płochliwość, elegancja, światowość — to powierzchnia jej natury, to tylko ucieczka od głębszego wnिकnięcia w siebie.

— Prawda, — odpowiadała matka — że wychowana była pośród ciągłych zabaw przez rodziców, zajętych bardziej swemi osobistemi stosunkami, niż jakimś poglądem wychowawczym. Prawda i to, że kiedy wchodziła w świat, rodzice już nie żyli, [a ciotka jej, Grabska, dobra osoba, ale tylko dla oczu świata była dozorem i opieką Celinny. Niedorzecznie też wydano taką młodą dziewczynę za Szarzyńskiego, bo to był może wielki obywatel, ale człowiek bardzo suchy i zajęty, którego ona kochać naprawdę nie mogła. Ale jak jej zaczęli opiekunowie i opiekunki tłómaczyć, że to doskonała „partya“, że Szarzyński ma pozycję w kraju, że ona stworzy pierwszy w Warszawie salon i ognisko towarzyskiego życia... Może ten pomysł salonu tak pojęła Celina, że wiecznie otaczała się młodzieżą? Tak, czy inaczej — można to zrozumieć. Nie dziwię się jej zresztą, bo młodzi lgną zawsze do młodych, a ten jej mąż „od pozycyi“, o tyle starszy... Teraz jednak

spodziewam się, że odosobni się trochę i odprawi szczególniej tego kuzyna, który się w niej podobno kocha.

— Alfreda Valfort? Dlaczego? Przecież to blizki krewny, prawie dzieciak i takie zabawne te jego paryskie farsy, śpiewki, i niewyczerpana wesołość.

— No tak, ale ciągle siedzi w Prądnikach. Przecież musi mieć coś do roboty u siebie, we Francyi. Tymczasem, jak przyjedzie do nas, to zostaje czasem sześć miesięcy...

— Bo ma tutaj całą rodzinę matki—Warskich...

— Która go przyciąga w osobie najładniejszej kuzynki. Oczywiście niema w tem nic złego, tylko, ponieważ pani Celina mieszka teraz sama ze starą ciotką, więc świat zaraz czegoś rad się domyślać i uśmiechać.

Takeśmy gawędzili, wracając często do tych samych zdań i sporów. Jednak ta rozmowa zostawiła mi niesmak jakiś po sobie.

Prądniki, dniu 23-go lutego.

Przyjechałem, przebrałem się już z podróży i czekam. Oznajmiłem, że przyjadę dzisiaj, ale są dwa pociągi: południowy i wieczorny. Oczywiście wybrałem pierwszy. Celina przypuszczała zapewne, że przyjadę wieczorem. Niema jej w domu, łyżwuje gdzieś podobno na stawach, o kilka wiorst odległych. Ja tam nie pojedę, bo teraz zachód słońca wczesny i ona zapewne zaraz wróci;—siedzę sobie w gościnnym pokoju i piszę.

Ile ja przemyślałem o niej w tym pokoju, jak znam te obicia i meble! Nocowałem nawet tutaj za życia tego starego, podczas polowań zimowych i w lecie, i w jesieni... ile to już razy! Czy mi tu dobrze było, czy bardzo źle? Wieje do mnie ze ścian znajomych dawny nastrój; pamiętam go, jakby był wczorajszy. Po wieczorze, spędzonym w jej towarzystwie, idę spać zły, niezadowolony z siebie, rozstrojony nerwowo do najwyższego stopnia. Gdy było wiele osób, to ginąłem w tłumie i nie mogłem się do niej zbliżyć; kiedym z nią rozmawiał, nie powiedziałem tyle i tak dobrze, jakbym tego pragnął. Zawsze też wzrok mój przeszkadzał wymowie: zanadto-m na nią patrzył,—a wrażenie jej obrazu, estetyczno-zmysłowe, przyćmiewało swobodny tok myśli, zabijało werwę słowa. Biegły mi za nią oczy tak naturalnie, że chyba przemocą mogłem je oderwać, kiedy to patrzenie stawało się krępującem, lub śmiesznem... Pamiętam też obok wszystkich jej słów, cały akompaniament ruchów, obrotów, gry twarzy, i kiedy przypomnę spę-

dzoną z nią jaką godzinę, nie tylko ją w myśli powtarzam, ale i rysuję. Z owych czasów nigdy nie wraca mi jej postać samotna; widzę ją otoczoną mężczyznami. W grupie, dośrodkowo skupionej jest jeden, czasem kilku uszczęśliwionych specjalnym względem: z tym najlepiej tańcować, ten zamianowauy najdowcipniejszym, tamten znów „najwierszym starym przyjacielem.“ Jeden stoi za krzesłem i korzysta z przechyleń głowy, drugi ma klasyczne miejsce po lewej stronie Celi-ny, trzeci usiadł gdzieś tak w kącie, że co chwila krzyżuje z nią spojrzenie,—a ona tym półkiem dowodzi z nadwyzyczajną wprawą i widoczną przyjemnością. Każdemu choć na chwilę się wyda, że on tu gra na pierwszych skrzypcach, a to tylko ona lekką ręką trąca po kolei cudzo czułe struny. Mówi o wszystkim i o niczem, podkreśla udany koncept a niezgrabny zaciera; dowcipny staje się przy niej dowcipniejszym, nieśmiały wymownym, a zwłaszcza kto ją zobaczy pierwszy raz poczuje odrazu tę podbójczą ciekawość kobiecą, która go ogarnie jak przyjemny, ciepły zapach. Oczy tak się jej świecą, gdy się bawi a usta tak łatwo szczebiocą, i śmieje się, śmieje, i naokoło siebie rozsiewa śmiech, niepokój i magnetyczne promienie.. Piękna jest, ale nie taką ja ją lubię. Czy to tak wielka przyjemność skupiać na sobie te wszystkie mniej lub więcej pożądliwe spojrzenia? Czy warto pierwszemu lepszemu dać choćby szczyptę serdecznej poufałości?

Im bardziej ona bawiła się z innymi, tem ja stawałem się chmurniejszym. I nie mogłem już zdobyć się na wesołość, chociażby ku mnie skierowała swe uśmiechy i swój szczebiot. Zdarzała się wtedy rzecz dziwna: mówiąc ze mną, ta kobieta tak pewna siebie, tak swobodna, poważniała i rumieniała się czasem na dobre, kiedym na jakie jej słowo, zbyt rozigrane i nierozważne, odpowiedział przymuszonym uśmiechem, albo milczeniem. Ani to gniew, ani silne wzruszenie były powodem tych rumieńców, — poprostu rozdźwięk naszych wzajemnych nastrojów, uderzenie tańczącej fali o stały ląd. Chociaż antypatyczny nie byłem jej nigdy, musiałem często, zwłaszcza w li- czniejszym towarzystwie, trochę ją nudzić.

A mnie taki naprzykład wieczór doprowadzał do nerwowej rozpaczy. Nie mogąc potem zmrzyć oka przez całą noc, widziałem ciągle przed sobą kochaną, niedostępną postać, otoczoną tłumem. Całe niezadowolone z niej, czy z siebie samego, przelewałem na ów orszak, dzielący ją ode mnie, nienawistny.

Czym ją wtedy już kochał? Nie tak, jak dzisiaj — to pewna, jednak rozkosz i szczęście widziałem zawsze w jej postaci i każdy mój sen miłosny miał jej rysy.

Mówiono mi o niej, że zbyt światowa, że zalotna na zimno, że pusta,—a ja czułem, że to tylko nawpół prawda, bo pod tym pozorem ze-

wnętrznym kryje się kobieta inna, przeczuwana i moja. Tylko, aby poznać tę jej głębszą istotę, trzeba było wynurzyć trochę moich uczuć i pragnień, trzeba było serdecznej, poufalszej rozmowy, na którą ja długo nie mogłem się zdobyć. Dziwna jakaś nieśmiałość i przesadne uszanowanie zamykały mi usta: tej najmilszej i najuprzejmiejszej bałem się poprostu, jak ognia, tę kobietę, którą świat nazywał zimną kokietką, ja szanowałem, jak kapłankę. Instykt mnie nie mylił. Jaka ona teraz inna, gdy już te lody przysły między nami! Jak spowaźniały jej oczy! Jak to serce umie być subtelnie domyslnem!...

Szmer w przedpokoju oderwał mnie od pisania. Wracam—to tylko służba się kręci.

Słońce już nisko—wkrótce musi przecie Celina powrócić. Bawi tam trochę długo, ale cóż ma w domu robić? Sądziła, że przyjadę wieczorem, bo nawet pociąg ten jest wygodniejszy.

Już mi się pisać nie chce, będę patrzył przez okno, widać stąd aleję wjazdową na kilkaset kroków.

Noc późna, ale że i tak spać nie będę, więc zapisuję świeże wrażenia ostatnich godzin.

Nie daj mi Boże czekać tak na nią, jak dzisiaj o zachodzie słońca! wychodziłem na dziedziniec, wracałem, chciałem pisać, nie mogłem i, ubrawszy się nareszcie w futro, zacząłem chodzić przed domem. Księżyc już się rozszrebrzył i śnieg zaczął błękitnieć. Jasno było ciągle, tylko coraz inaczej: cienie osłabły, przychodziła noc mroźna i z nią straszny, palący niepokój.

Nareszcie! Słyszę dzwonki—coraz bliżej—wpadają w aleję sanki—lecą wprost na mnie dużym kłusem parszające konie. Widzę: Celina powozi, obok pani Grabska, a z tyłu—furman, czy lokaj? Żebyż lokaj! ale nie. W niepewnym półmroku księżycowej nocy widzę jakąś sylwetkę zgrabną, poufale nachyloną do dam, — przy zakręcie widzę ostry, ładny profil ze śpiczastą bródką i poznaję wreszcie uśmiechnięte oczy—Alfreda Valfort.

Naraz mi się w skroniach zrobiło ciepło. Wyprostowałem się przed drzwiami, nie robiąc kroku naprzód. Ale Celina spostrzegła mnie już, tak ślicznie zatrzepotała się na sankach, leżce rzuciła na kolana pani Grabskiej, aż je Alfred, przechyliwszy się gwałtownie, schwytał i, zanim ochłonąłem, była przede mną, podając mi obie dłonie.

— Długo czekałeś?—rzekła cicho po polsku.

Nie mogłem się gniewać, a nawet było śmiesznem okazywać niezadowolenie, — jednak musiałem być nieswój i sztywny, bo mnie Val-

fort, trzymając jeszcze spienione konie, tak ze swego wysokiego kozła zagadnął:

— Oto jest Belzki, zamrożony w posąg oczekiwania. Jeżeli go ten gorący shake-hands nie rozpuści, doprawdy stał się lodem.

Nic mu nie odpowiedziałem. Nie znoszę, gdy kto na mnie, choć bez żółci, rzuci komiczne światło. Co gorsza, czułem się prześcigniętym. To, co mówił Valfort, nie było tak znowu bardzo dowcipne, jednak stokroć dowcipniejsze od mego milczenia. On był swobodny i wesół, ja—zły i zmieszany. Jak on przytem wygląda, ten mały, z tą swoją głową młodego fauna! Ładny jest, niema co mówić, a nawet do Celiny podobny, tylko ona wysoka i ma jasne włosy, a Valfort jest mały i czarny, ale oczy mają takie same, oczy trochę wypukłe, blade-błękitne, kiedy spokojne, a gdy się ożywią uśmiechem, promieniejące czarnym blaskiem nadmiernie powiększonych źrenic. Celina ma tylko łagodniejszy wyraz i trochę złota w oprawie oczu, jakiś rudy cień, jak w załamaniach pentelijskich marmurów.

Scena przed drzwiami trwała chwilę i każdy się jakoś śpieszył, żeby ją skrócić. Wracający z przejażdżki musieli zmienić ubranie, a ja, pozostawszy sam przez kwadrans, miałem czas wyrozumować sobie błahość całego zajścia. Może też nikt nie zrozumiał, com ja czułem przez chwilę? Czasem w jednym szybkim ściśnieniu serca odegra się w człowieku dramat, a świadkowie zobaczą tylko bolesny kurcz, albo nagłą bladłość twarzy i, jeżeli przez uprzejmość nie spytają: co ci jest?—to wrzuszają ramionami. Dostrzegłem jednak, że Celina przez cały wieczór, jakby się poczuwała do lekkiej winy, zdwoiła swą serdeczność w obejściu ze mną, może dla zatarcia przykrego wrażenia mego przyjazdu,—a cóż jej się kiedy nie uda?

Warszawa, dnia 28-go lutego.

Dobrze, że dzisiaj kończy się karnawał, bo gdyby trwał dłużej, mógł-bym w tym drażniącym zgiełku popełnić jakie szaleństwo. Co się stało? Nic prawie, ale drży coś we mnie i wre, coś niebezpiecznego. Postaram się przez zimne rozważenie dni ostatnich uspokoić siebie, a wypadki ocenić sprawiedliwie. Trzy dni, spędzone w Prądnikach, wróciły mi ufność w naszą przyszłość, która ma dotąd dla mnie coś nieokreślonego, jak obietnica szczęścia na innym świecie. Rozmawiałem z Celiną przez cały dzień, prawie bez przerwy; mówiliśmy o latach dziecińczych, o naszych rzeczach i o osobach nam blizkich,—i tak godziliśmy się wybornie, tak się to moje i twoje mieszało razem, układało łatwo w jedno, w jutro upragnione.

Valfort znudził się wkrótce i wyjechał do Warszawy. Nie zatrzymała go Celina, traktowała go lekko, jak blizkiego krewnego, jak dzieciaka. Wtedy mnie wesołość wróciła i koncept;—grywaliśmy na fortepianie niestworzone jakieś duety, przerywane śpiewem i śmiechem. A te dwa kochane wieczory, spędzone z Celiną pod mniej bacznem okiem drzemiącej cioci Grabskiej! Takie dni przelatują zbyt szybko i opłacić je trzeba zawsze przez późniejsze cierpienia.

Wypadało jechać do Warszawy. Celina musi się zająć różnemi sprawami przed ślubem, musi matkę swoją powitać, jako przyszła synowa, musi wiele jeszcze rzeczy załatwić,—a także trochę się pobawić bo właśnie są ostatki. Że lubi tańcować, nie dziwnego: nikt tak nie tańczy, jak ona.

Jesteśmy więc znów w Warszawie i wprosililiśmy się na bal do Falkiewiczów. Celina prawie ich nie zna, rzuciła im zaledwie karty wizytowe, ale na tym balu być musi, bo państwo żyją wystawnie z powodu córki na wydaniu, bal będzie ładny, cały high-life zebrany z dodatkiem innych warstw, co razem stanowić będzie tłum, gwar, wystawę, wszystko, co ona lubi, kiedy w nią wstąpi ten chochlik światowy.

Rozmowa przed balem:

— Będę dziś tańczyła do upadłego. A pan?

— Tyle, co i pani.

— Ale przecież nie możemy ciągle razem... Co pan woli, mazura, czy kotyliona?

— Prawda, nie możemy wszystkiego razem tańczyć,... więc daj mi pani kotyliona... Nie—wolę mazura, bo trwa dłużej.

— Dobrze; to dam kotyliona Alfredowi; on tak wybornie tańczy walca, lepiej, niż wszyscy...

— Ach, znowu temu Alfredowi...

— Jako: *znowu?*

Wymknęło mi się to słówko. Zacząłem niezgrabnie tłumaczyć się:

— *Znowu*, to jest, że... pani powinna-by już mieć dosyć tego... to jest, że...

— Już rozumiem: pan go masz dosyć. Więc chce pan, żebyśmy tańczyła z kim innym?

— Jak pani woli.

— Choć już przed ślubem zaczyna mnie pan tyranizować, ustępuje—nie dam kotyliona Alfredowi. Jesteś zadowolony?

— Moja najdroższa!

Rad byłem oczywiście, ale i nierad ze siebie, ztem Alfreda wyłączył z listy kandydatów, a tem samem podkreślił. Nie chciałem tego.

Byłem już dawno w salonie Falkiewiczów, rzucając raz po raz okiem na drzwi przedpokoju, aby nie stracić widoku wchodzącej Celiny.

Świeży mój zaszczyt zwracał na mnie uwagę. Nie mogłem się opędzić powitaniom i życzeniom. Byłem zresztą w doskonałym humorze, a im w lepszym jestem, tym świat wygląda mi śmieszniej, i cechy osób, spowszedniałe przez dawną znajomość, występują jaskrawiej. W tem bawiącym się towarzystwie są jakieś tradycje wielkowiejskie rozcieńczone w jarmarcznym tłumie: różne uznane i nieuznane wielkości, autentyczne i nowo-złoczone herby udają dawną dworskość, nie wiedząc, co począć ze swem problematycznym stanowiskiem. Jest także pełno wiejskiej szlachty wypomadowanej, ciekawej, noszącej wiedeńskie fraki i niesłychane jakieś przydomki na kartach wizytowych. Mieszają się nieliczne, zwykle poważne, choć gorzkie, typy mieszczańskie. A wszystko, chociaż spotyka się w karnawale, chociaż razem tańczy i wydaje pieniądze, kłóci się jednak, obmawia i stroni od siebie, tworząc maluczkie, śmieszne obozy z osobnym kolorytem politycznym, społecznym. Dzisiaj są tu prawie wszyscy. Pan Hektor Falkiewicz, sprzedawszy las na Podolu, pragnie zabłyszczeć w Warszawie i wydać za mąż córkę. Najął mieszkanie z dużym, pustym salonem, w stylu nie wiadomo którego z Ludwików. W innych pokojach meble nowe, fatalnie dobrane; dopiero tam, gdzie panowie mają palić papierosy, widać stare jesionowe kantorki, wyplatane krzesła i kilka zczerniałych portretów, zapewne przodków, sprowadzonych do Warszawy na pogrobową rozkosz oglądania rozkwitu rodziny.

Pozamawiałem tańce i wdałem się w rozmowę z panem domu. Dziwny typ skazańca na wesołość i wysokie maniery. Kłania się, uśmiecha, mówi o pokrewieństwach: „znałem ojca...“ „to pan dobrodziej z okolic Żytomierza?...“ i t. d.,—a w oczach tak mu wyraźnie pokutuje tęsknota do końca balu, że aż litość zbiera. Powinien jednak cieszyć się, bo, dzięki swej uprzejmości i kilku znajomym filarom towarzystwa, zgromadził mnóstwo osób z największego i średniego świata; panna Zofia, otoczona młodzieżą, wydaje się ojcu bajeczną w paryskiej sukni.

Taki już tłum, że nie można ruszyć się z kąta, gdzie cię los zapędził; tańczą w mozolnie opróżnionym środku sali, a tu jeszcze przypływa coraz kto inny; najpóźniej przychodzą „te panie“ które najwcześniej wyjdą, łaskawe boginie, witające zaledwie kilka osób, starzy radcy i wysocy urzędnicy. Zaczynałem już niepokoić się, gdy we drzwiach salonu ukazała się naprzód poważna pani Grabska, a za nią...

Nie mogę dotąd uwierzyć, aby ta cudowna mogła być kiedyś moją. Mimo rozpoczętego walca, cały salon drgnął, nachylił się, cisnął się ku niej. Mężczyźni zwłaszcza otoczyli ją tak ściśle, że sytuacja stała się prawie komiczną; ręce jej migały w setnych, prędkich uściśnieniach; ramiona, których od roku nie widziałem w tej marmurowej

chwale, błyskały wśród mrowia czarnych fraków, jak gołąb przez kruki opadnięty i owacya zakrawała na bójkę o jej tańce,—stawiała się hałaśliwą, trochę dziwną. Panie mniej okazały entuzjazmu, choć wiele z nich przybrało słodkie, przymilone uśmiechy. Pani Falkiewiczowa, dobra i uprzejma kobieta, tylko nie mogąca zapomnieć, że jest z domu Koriolan, z jakiejś niby wielkiej rumuńskiej rodziny, powitała Celinę bardzo gorąco, podając jej obie dłonie, ale musiało jej przez głowę przemknąć, że ją kto o serwilizm posądzi, bo zeszywniała zaraz. Pani Falkiewiczowa jest przedewszystkiem osobą niezależną.

Zapisuję uboczne szczegóły, tak mi nie pilno do późniejszych wrażeń wieczoru.

Celinę porwał ktoś zaraz do walca i, gdy usiadła, mogłem dopiero ją powitać. Ścisnęła mi mocno rękę i spojrzała swemi rozbawionemi oczami. Oczy te, kiedy się bawią, mają w rozlanych źrenicach blaski których znaczenia nie zgadniesz, które darmo starał-byś się wytłómaczyć na swoją wyłączną korzyść, bo one są dla całego świata magnetyczne, — zanadto piękne.

— Czy dobrze dziś wyglądam?

— Strasznie!—odpowiedziałem.

Nie myląc się co do znaczenia wyrazu, zaśmiała się głośnie i bardzo nerwowo, niż zwykle.

Ścigam ją teraz oczyma po salonie, a wiruje ciągle; nie dają jej usiąść.

Co to jednak za barbarzyńska pozostałość ten taniec! Dlatego że to uchodzi przy muzyce i w karnawale, a nie inaczej, wolno temu panu objąć kibić Celiny, i mocno, żeby dobrze prowadzić, — wolno mu sunąć tak z nią razem, ocierać się o jedwab, który przybiera w tańcu linie jej kształtów,—i oddychać tem zaczarowanym przez nią powietrzem i dotykać prawie jej włosów...

Widok ukochanej kobiety w tańcu z innymi jest nawpół bolesną rozkoszą.

Rozsądek jednak przychodzi w pomoc. Przecie ona tańczy ze wszystkimi, przecie i ja z nią tańczę... ale gorzej, niż umiem, gorzej, bo mnie zanadto ten pozwolony i niepełny uścisk drażni i upaja.

Mówiła mi jednak bardzo miłe rzeczy podczas mazura, którego się nareszcie doczekał. W słowach jej był odcień zmysłowy, którego nie zauważyłem dotychczas w tym stopniu, — a choć do mnie się stosowały te słowa, te spojrzenia, to jednak, gdy myśl mi przyszła, że to nie moje towarzystwo, ale ta atmosfera balu tak ją podnieca, znów mi chora część serca zaczęła dokuczać.

Wyniósł-bym jednak dobre, choć gorączkowe wrażenie z tego wieczoru, gdyby nie ten nieznośny Valfort, który, widzę ze zdziwie-

niem, zaczyna mnie, jak mara jaka, nawiedzać. Nie było go u Falkiewiczów aż do drugiej w nocy. Nagle, pod sam koniec mazura, zjawia się, wypoczęty, wyswieżony i, coś tam wymyśliwszy na usprawiedliwienie się przed gospodarzami, biegnie wprost do Celiny i swym wykwintnie poufałym tonem szepcze jej do ucha. Potwierdziła skinięciem głowy i ślicznym uśmiechem.

Muzyka zagrzmiała huczniej, uradowana z hasła: „wszystkie pary!“ które zapowiadało kolację i odpoczynek. Prowadzę Celinę do stołu, a obok nas przewija się, jak wąż, pośród cizby—Valfort. Zrozumiałem ten manewr i umowę z Celiną, i nie było sposobu przeszkodzić mu usiąść obok niej po prawej ręce przy stole. Odrazu wpadł w szaloną werwę. Oczy mu się zaiskrzyły, sypać zaczął conceptami, dolewać wina, aż skupił uwagę kilkunastu osób, bliżej siedzących. Śmieli się, dorzucali po słówku, a on odbijał, zdawało się, w powietrzu każde rzucone słowo, jak piłkę, ciśniętą o raketę w lawn-tenisie.

Nigdy nie widziałem go w takim udzielającym się wesołym humorze. Celina bawi się tem bardzo i przez pewien czas wyłącznie jest zajęta swym „petit Fred.“ Nie ma wprawdzie wyboru, bo ja siedzę z drugiej strony, uporeczywie milcząc. Zapytała nawet, co mi jest, a ja wtedy zdobyłem się wreszcie na uśmiech i na wtrącenie kilku słów do rozmowy. Ale idzie mi, jak z kamienia, bo, zamiast paplać o wszystkim, tak, jak to do głowy przychodzi, patrzę na niepokojącą, rozbawioną postać mojej narzeczonej, a myślę:

— Czyżbym głupszy był od tantego jej sąsiada? Czy przy kobietach taki rodzaj sprytu bardziej popłaca, niż rozum i serce? Dał-bym jednak wiele za to, żebym to ja, a nie on tak rozbawił Celinę przy kolacyi...

Takie uwagi nie pomagają oczywiście do rozmowy, a toczy się teraz o tem, jak pani X. otruła swych dwóch wielbicieli bielidłem, którego używa, i jakim się to mogło stać sposobem...

Ze złości i dla pozorów spokoju zwracam się do mojej drugiej sąsiadki, panny, którą zaledwie znam, i zaczynam coś gadać o Ostatkach, o Popielcu—najlichsze komunały. Nie cierpię zresztą panien: nie wiadomo, o czem z niemi mówić, gdy się nie jest ich aspirantem.

Wypalił się już szmermel Valforta, bo przestał mówić głośno. Korzystając z ogólnego teraz gwaru rozmów, nachylił się ku Celinie, szepcze coś do niej i trwa to sobie kwadrans, — a ja siedzę obok i rozmawiam z panną.

To się wydaje niedorzecznem, a jednak w tej chwili chętnie-bym komuś zgniótł rękę aż do krwi, albo powiedział coś bardzo przykrego tej pannie, mojej sąsiadce. Ale prawa salonu potężniejsze są nawet od praw moralnych. Rozmawiam więc grzecznie, jem, piję szczegól-

niej—musiałem nawet wypić dość dużo wina. I siedzę obok mojej narzeczonej, jakbym był jakim obojętnym figurantem, albo nieboszczykiem jej mężem. A Valfort kieliszek z szampanem ujął w prawą rękę, lewą—widzę najwyraźniej—wyciąga do Celiny pod stołem i, przechylony, wpija w nią swe uśmiechnięte, namiętne oczy, trąca o jej kieliszek, mówiąc:

— Czy pamiętasz, moja droga?

Celina cofnęła wprawdzie rękę, ale kieliszek do ust podniosła, uprzejmie dziękując.

Tego już za wiele! Czy pamięta? co? — mają oni ciągle jakieś wspomnienia, jakieś tajemnicze alluzye.

Gdy ktoś wznosił nasze zdrowie, nie ruszyłem się zrazu z miejsca, aż mnie Celina zbudziła:

— Panie Janie! piją za nasze zdrowie, czy chcesz, żebym wypila do dna?

I pochylała do mnie swą zarunienioną twarz, uderzyła we mnie oczyma, jak żarem... Działo się to jednak natychmiast po tej rozmowie z Alfredem,—spotkała zatem moją twarz skurczoną gniewem, więc się cofnęła z zawodem w ruchu i w głosie:

— Co panu dzisiaj jest, doprawdy?

Otaczano nas życzeniami. Powstałem, dziękując bez zapалу, z przymuszonym uśmiechem i znów usiadłem. Celina nie bawiła się już, oczy jej dziwnie zamierzchły, spojrzała na mnie niespokojnie. A ja wtedy pod wpływem nagłego postanowienia, które po winie łatwiej przychodzi, odezwałem się do niej zimno i dość głośno:

— Mogła-by się pani mniej zajmować tym głupcem Alfredem.

Drgnęła na krześle, potem zaczęła z kimś przez stół rozmawiać, urwała i dopiero po chwili rzuciła mi prędko, cicho i trochę gniewnie:

— Jesteś dzisiaj bardzo dziwny.

Wstawano od kolacyi. Muzyka już zaczęła walca w sali balowej, do której powróciliśmy niebawem. Bal szedł swoim porządkiem, stawał się coraz gwarniejszy i weselszy, ale nie dla mnie, ani też dla Celiny.

Wzruszenie otrzeźwiło mnie odrazu. Żałowałem już tej może niewczesnej wycieczki; mógł Valfort usłyszeć użyty przeze mnie epitet „animal...“ Mało mnie to obchodzi, ale popsulem całą zabawę Celinie. Zesztywniała do niepoznania, przybył jej ton jakiś pogardliwy, niecierpliwy i po paru tańcach opuściła bal przed kotylionem. Nie tańczyła już z Alfredem ani razu, ze mną raz, pożegnała mnie z wyrzutem w oczach, które uporcezywie odwracała ode mnie przez resztę wieczoru.

Co także nudne, to, że mógł ten i ów zauważyć zmianę humoru trzech naraz osób, bo i Valfort spochmurniał, przygryzał wargi i tańcował bez werwy.

Jest to wypadek, którego żałuję, bom sam winien, ale stokroć gorzej dręczy mnie jakaś wielka niepewność, będąca w związku z tym drobiazgiem.

Może to źle, że piszę dziennik, bo takie przypatrywanie się przebytemu świeżo życiu przedstawia dla mnie pewne niebezpieczeństwa. Streszcza wprawdzie i utrwała dobre chwile, ale rany przez dyssekcję jeszcze pogłębia. Czy piszę jednak, czy nie piszę, zawsze mimowolnie wglądam w siebie po każdym wzruszeniu, po każdej zmianie dekoracji życia. To mnie męczy. Dał-bym wiele za szczyptę lekkomyślności i chciał-bym brać powierzchownie wszystko, co mi się zdarza. Nie mogę.

I teraz powinien-bym starać się zasnąć po balu, odpocząć, zrobić zapas zdrowia i naprawić niezgrabne postępowanie. Tymczasem piszę od paru godzin i przeżywam po raz drugi to, co-bym tak chętnie wymazał z przeszłości. Słońce już wychodzi po-nad dachy przeciwnych domów i zazierają do mnie różowe promienie. Tak niby wesoło na świecie, a jest w tem rannem, mroźnem powietrzu dziwny niepokój, gorszy od nocnego niepokoju, bo ranek ten nie przynosi, jak zwykle, ukojeni tylko oświetla ostrzej zarysy moich wspomnień. Widma nocne nie ustąpiły przed słońcem, trwają ciągle wyraźne, oświetlone i straszniejsze.

Kto to jest ten nieunikniony, ten niewinny kuzynek? Zawsze go spotykałem przy niej w tłumie, który ją otaczał; inni zmieniali się, ten był ciągle. Krewny jest, to prawda, ale ma ona przecież innych krewnych tego gatunku, chociażby naprzykład brata Alfreda. A o tego dba specjalnie, trzyma go przy sobie, jak pokojowego pieska, bawi się z nim, broni go od napaści... Bo i o cóż się na mnie zagniewała?...

Czego-by tu zażyć przeciw czarnym myślom, które mnie obsiadły? Jak odpędzić te niemożliwe obrazy, które mi się cisną przed oczy?!

Dnia 6-go marca.

Coraz gorzej mi jest i coraz smutniej. Czym ja doprawdy narzeczony? Padło coś między mną a Celiną i mam wrażenie, że ta zapora rośnie, przedłuża się i coraz bardziej mnie od niej oddala. Ona posmutniała, nie trzpiota się już, ale też i ze mną mówi mniej swobodnie, nie daje mi całego zaufania, czegoś się boi, na coś wечно ogląda się... Ha—może się boi, że coś zgadłem z jej przeszłości? A ja nic nie zgadłem, niczemu się nie dowiedział, tylko posądzam, wątpię i cierpię.

Przeszłość kobiet pięknych, zalotnych i otoczonych wielbicielami, to dopiero studjum niedostępne. Ci, którzy w ich historii brali udział,

mileżą: jest to ich obowiązkiem, a często im dogadza; dokumenta się niszczą; — pozostaje tylko bałamutna legenda, której wierzyć nie można... Gdyby tu chodziło o historię pani X. albo Z! — ale tu chodzi o nią, o tę najbardziej zajmującą kobietę, która ma być moją żoną.

Że teraz mnie wybrała z serdecznej skłonności, to prawie rzecz pewna. Że teraz jestem pierwszym jej... mistrzem dworu, to oczywiście. Ale jak było dawniej? Co ją łączyło z Alfredem? Musiało to być jakieś bliższe porozumienie; wszystko mnie o tem przeświadcza.

Mówiłem z nią raz tylko o Valforcie, bo nie można było rozmowy tej uniknąć; później nie wymówiliśmy już jego nazwiska. Było to nazajutrz po balu. Chociaż Celina mieszka teraz w hotelu, zastałem u niej prawdziwy raut o zmroku. Już w korytarzu słychać było gwarną rozmowę i dźwięczny głos, który poznam między setką innych. Gdy wszedłem, gwar przycichł, jak pod surdyną. Cóż u licha? czy ja zaczynam działać na ludzi, jak upiór, albo jak szpieg utajony? Wiele osób ruszyło się z miejsc i wyniosło, Valfort zemknął jeden z pierwszych manewrując tak, żeby się ze mną nie przywitać. Salonik zaczynał opróżniać się, z czego Celina widocznie była nie rada: zatrzymywała uporczywie swych gości z gorączkowym jakimś naciskiem. Wiem na przykład, że nie dba o starą pannę Kardynowską, bo ta nudzi wiecznem opowiadaniem, jak ten i ów się w niej kochał, albo jeszcze kocha, podczas gdy ona wie, że miłość ziemska i t. d., — a właśnie tej pospolitej i kwaśnej dewotki uczepliła się Celina, jak deski ratunkowej.

— Moja kochana pani, zostań jeszcze, powiedz, jak tam idą wasze sesye dobroczynne, czyś się pogodziła z prezesową? — a ksiądz Rafał czy was nie opuszcza?

Widocznie nie chciała Celina zostać ze mną sam na sam. Przy szło znów parę osób, na krótko; wyszli nakoniec wszyscy.

Nie zaczął-bym może rozmowy wprost o wczorajszem zajściu, bo musiałem przeproszać, a nie czułem się dosyć winnym i nie mogłem wszystkich swoich usprawiedliwień przytoczyć. Ale ona, skorośmy zostali sami, przystąpiła odważnie do przedmiotu i z taką powagą, aż mi się nową wydała i niezwykłą:

— Panie Janie, czy chcesz ode mnie wszystkich mych przyjaciół odstraszyć?

Jak kto ze mną na ostre, to i ja z nim. Odpowiedziałem więc:

— Zależy od gatunku przyjaciół i stopnia ich zażyłości z panią...

— Alfred jest moim ciotecznym bratem, więc o jego *gatunku* trudno wątpić, — rzekła trochę dumnie, — a wyznaję, że go bardzo lubię i rada zawsze jestem mieć go przy sobie.

— Nie śmiem temu się przeciwzić, pozwoli jednak pani, że ja go nie będę lubił, że go nawet mogę z czasem znienawidzić.

Otworzyła szeroko oczy i gniew się w nich zmienił w łzawy trochę przestrah. I mnie się zaraz po tej kolizyi, pierwszej z nią chyba w życiu, miękko zrobiło na sercu. Ująłem jej rękę w obie dłonie i zacząłem mówić prędko:

— Bo nie wiesz, droga moja, jaki to ból, kiedy mi ktoś kradnie choć tyle z twego serca, nie wiesz, jak ja drzę o ten mój skarb najcenniejszy, nieoczekiwany, niepojęty, a przecie mój, boś mi go przyrzekła i dała. Przebacz mi—możem ja chory? to minie, to się wyleczy, żebym wiedział tylko, że mnie jeszcze kochasz...

Spojrzała na mnie tak cicho z góry, — bo, o ile pamiętam, ukłękłem—i ścisnęła mi obie dłonie, a w głosie jej drżącym była zapowiedź płaczu:

— Wiesz, że cię kocham, ale takiś teraz dziwny, nieprzewidywany, inny, że się trochę boję.

Możebyśmy się wytłómaczyli i wszystko sobie nawzajem darowali gdyby ktoś nie wlaźł znów do jej pokoju. Takie to już szczęście moje w ostatnich dniach.

Przesiedziałem i tego nudnego księcia Koryatowicza, który, mimo lat sześćdziesięciu, wyobraża sobie, że jeszcze wywiera na kobiety piorunujące wrażenie. Ma rzeczywiście piękną postać i rasową polską twarz, ale przytem wielki elegant i nosi monokl. Wygląda też, jak portret starego hetmana, przebrany w żakiet od Poola. Przez ustępstwo dla prądów nowożytnych, stary hetman udaje trochę paryskiego zdobywcę serc. Jest to zresztą człowiek surowych zasad, świadomy tylko swego wdzięku i wyzyskujący go dość dziwacznie. Kiedy patrzy na młodą kobietę, zdaje się mówić: „Żebym chciał, była-byś ty moja, ale zasady mi nie pozwalają”—i może w głębi duszy lituje się nad swemi ofiarami.

Robiłem sobie te uwagi, patrząc z boku na księcia, długo rozmawiającego z Celiną. Wyśpiewał nareszcie wszystkim miarowym swym głosem i doskonałą polszczyzną (dba o tę oryginalność, co mu się wielce chwali) i poszedł.

Wróciliśmy do rozmowy, ale już w innem usposobieniu. Celina musiała się przebrać na obiad; doszliśmy więc pośpiesznie do wyników naszej dyskusyi. Ona nie może powiedzieć Alfredowi, żeby jej unikał, bo było-by śmiesznem brać go tak na seryo; on sam się spostrzeże, już nawet może spostrzeżę za wiele. Ja nie nalegałem, chciałem zrobić pewne zastrzeżenia, ale było późno, Celina śmiała się tak wesoło, po dawnemu—i tak ładnie rozstaliśmy się. Wszystko niby się załagodziło, wszystko dobrze...

Ale gdzie tam! wszystko źle. W nocy doszedłem do tego smutnego przekonania. Bo jakież wymogłem ustępstwa? Żadnych,—nie pro-

siłem nawet o żadne, a pokazałem się w najniekorzystniejszej postaci chmurnego, niebezpiecznego zazdrośnika.

I od tego czasu mnóstwo drobiazgów trwoży mnie ciągle i zasepia, Valfort nie pokazuje się u Celiny podczas gdy ja jestem, wiem jednak, że tam bywa. Choć mi to wstrętne, zacząłem nawet śledzić jego ruchy. Pytam naprzykład portyera hotelowego niby od niechcenia:

— Nie było tu czasem hrabiego Valfort?

— Pan hrabia pewno zaraz tu będzie, bo i pani Szarzyńska ma wrócić o czwartej.

Mimowolnie wyrwało mi się pytanie:

— W ostatnich dniach tu często bywał?

— Po dawnemu, panie hrabio.

Miła informacja. Nie śmiem dalej pytać: przez ostentacyjny szacunek tego franta przebijają jakby trochę ironii.

Tak bywam nie swój wobec Celiny, że widuję ją teraz na krótko, udając liczne zajęcia. A cokolwiek robię, to jak przez sen, a we śnie stoi ciągle jedna z mora, od której odwracam twarz, tak jest okropna.

Raz jednak muszę zajrzeć jej w oczy.

Valfort nie może być teraz jej kochankiem, to niepodobna. Ale czy nim nie był?

Dreszcz mnie przejmując od samego widoku tych słów na papierze. Przez sam domysł ubliżam Celinie, a jednak od tej świętokradzkiej myśli, przekłętej myśli, opędzić się nie mogę. Jej niedorzeczne pierwsze małżeństwo tłómaczyło-by ją poniekąd: mąż jej był nudny, starszy o jakie lat trzydzieści. Valfort kochał ją zapewne, kocha ją jeszcze. Wzajemne zachowanie się ich obojga nie jest takie, jak brata z siostrą: on jej nadskakuje, dogadza we wszystkim, czołga się przed nią,—a ona widocznie dba o niego, zwierza mu się ze swych myśli i zamiarów. Skąd on wie naprzykład, że mnie trzeba unikać?—jest oczywiście przez nią poinformowany. Trwa zatem między nimi porozumienie i stosunek... A jeżeli to był stosunek najpoufalszy, to teraz w cóż się przerodził? czy się zmienił? Wielki Boże!

Tak mi jest źle, że aż chudnę i zwracam na siebie uwagę znajomych. Widzi to Celina, niepokoi się czasem, ale u niej niepokój, miłość, zabawa, pobożność — wszystko to jak stroje, które się posiada, których jednak nie można włożyć naraz: jedno się chowa, ubiera się w drugie i znuw się zmienia.

Staję się zły i zgryźliwie wszystko tłómaczę. Trudno mi się zdobyć na dobre słowo, lub uśmiech; dlatego od życzliwych uciekam, a nawet matkę rzadko odwiedzam. Poczciwa matka troszczy się o mnie i pyta, co mi jest. Polubiła już Celinę, może dla mnie bardziej, niż dla niej. Celina do niej chodzi, mówi dużo o mnie, wypytuje. To bardzo

ładnie, ale cóż mi po tem, kiedy ten szalony niepokój spać mi nie daje w nocy, a we dnie zatruwa każdą rozkosz widzenia Celiny. Bo rozkosz trwa jeszcze, tylko się szczęście gdzieś ulotniło.

Dnia 8-go marca.

Dzisiaj o niczem już nie wątpię, a raczej o wszystkim. Trzeba zdecydować się na krok stanowczy; zerwać, przeciąć te sieci, które mnie krępują i boją, jak zwoje stalowych powrozów. Uciec? zabić? albo ja wiem?

Trochę spokoju, aby dobrze przypomnieć.

Nie mogę spać w nocy, jak zwykle. Celina przez cały dzień była wyjątkowo podniecona, niepochwytana; pisała jakieś tajemnicze listy, unikała mnie, rzucała takie zdania:

— Jaka to jednak straszna choroba—miłość!

Albo:

— Żeby z panem puścić się w drogę, trzeba świat cały pożegnać.

Ha! są różne rodzaje pożegnania światła!

Nie mogę więc spać, wstaję o trzeciej w nocy, ubieram się i wychodzę na ulicę. Mgła lodowata leży nad śpiącym miastem, napelnia ciemne kąty, rozrzedza się smutno koło latarń gazowych. Idę prędko przed siebie, bez celu. Ten okład wilgotnego powietrza, przenikający do szpiku kości, zaczyna mnie uspakajać; myślę ciągle o Celinie, bo jest to zwykle podszycie mojej myśli, ale ruch szybki, chłód i nowy pozór miasta, tonącego we mgle do niepoznania, odurza mnie, odrywa trochę od nędznego życia, które pędzę.

Przez nawyknienie idę w stronę hotelu, gdzie ona mieszka.

Zgrzytnęło coś w nocnej ciszy: otwierano drzwi wchodowe.

Przysunąłem się szybko, z biciem serca, przeczuwając coś straszego. I widzę: mała postać z nasuniętym kapeluszem, z kołnierzem podniesionym, wypada szybko z hotelu. Valfort? Nie, to być nie może. Zbiegam mu drogę, aż się obejrzał i dostatecznie odsłonił. Tak—Valfort. Poznałem go i on mnie; szybko się zawrócił, przyspieszył kroku i znikł we mgle. Od kogoż on wraca o tej godzinie? Dlaczego ucieka?

Oparty o ścianę hotelu, słyszałem długo suchy dźwięk jego kroków po kamieniu; kroki te odbijały mi się w piersi, w skroniach... deptał po mnie ten zuchwały, nienawistny młodzik.

Dziwne gorąco poczułem w skroniach i mrok w oczach. Przez chwilę oszołomiony, ocknąłem się, jakby pod pehnięciem noża w piersi, bo nagle nawiedził mnie obraz realnie nieznośny, szatańsko bolesny:

wydało mi się, że widzę Celinę w objęciach Valforta. Żegna się z nim, płacze... całuje go swemi mokremi, czerwonymi ustami, całuje i płacze... a włosy jej rozrzucone pokrywają twarz jej i kochanka, i płaczą się w uściskach...

Uciekłem. Siadłem potem we wlokącą się, spóźnioną dorożkę, jeździłem gdzieś aż za miasto, wróciłem do domu i nie ochłoniąłem wcale. Wirują mi w głowie straszne te obrazy i układają się w fatalnie logiczny szereg. A choćby cudem jakim posądzenie moje nie zupełnie było prawdziwe, to, co wiem i widziałem, wystarcza. Jam już teraz niezdolny do optymizmu, do wygodnego tłómaczenia sobie tej tragicznej zagadki. Na drodze mego szczęścia i pragnienia stoi ten człowiek.

Dnia 10-go marca.

Nieszczęście, w któreabrałem, nie rozwikłane jeszcze bynajmniej, ale dzisiejszy wypadek przynosi mi chwilową ulgę i złą jakąś radość. Wyzwaliliśmy się i nawet nie wiem, kto zaczął sprzeczkę. Dobrze, że miałem nad sobą siły, że przed świadkami żadnej mu nie wyrządziłem obelgi.

Na wczorajszy męski wieczór do Warszuckich poszedłem prawie machinalnie, szukając gdziekolwiek zapomnienia,—ale nie spodziewałem się zastać tam Valforta. Sama bliskość tego człowieka wprawia mnie w niezwykle rozdrażnienie, a znalazłem się wypadkowo w kółku, gdzie i on rozprawał. Nie powitawszy go, rozmawiałem z innymi, jakby go nie było. Po pierwszym jednak słowie mojem trochę pogardliwym, powiedzianem nie do niego, ale o tem, co mówił, odciął się sucho i ostro. Pierwszy raz oddawna spojrzeliśmy sobie w oczy. Jakbym nie dosłyszał odcięcia, ciągnąłem dalej krytykę zdania Valforta na pozór spokojnie, ale z zajadłością, której wcale nie żałuję, używając przymiotników, jak: niedorzeczny, niedowarzony i t. p. Mówiłem zaś ciągle po francusku. Valfort pobladł, wstał z krzesła i, jakby dając umówione hasło, wyszedł do drugiego, pustego pokoju, dokąd ja podążyłem wkrótce i gdzie rozmowa nasza tak się poprostu ułożyła:

On: Nie znoszę żadnych nauk, zwłaszcza od pana.

Ja: Nie zadaję sobie pracy uczenia pana. Mówię do innych. Coś pan usłyszał, możesz jednak wziąć pod rozwagę i skorzystać z tego, jak zechcesz.

— Słyszałem już za wiele dzisiaj i dawniej. Skorzystam zaś ze słów pana w ten sposób, że go jutro poproszę o bliższe tłómaczenie przez dwóch przyjaciół.

Ledwom mu ręki nie podał z radości, że tak prędko doszedł do upragnionego przeze mnie wyniku. Odpowiedziałem z ukłonem:

— Przyjaciele pańscy zastaną mnie jutro w domu między dwunastą a drugą.

On się też odklonił i wróciliśmy do salonu z podnieconemi, ale nie tragicznemi wcale minami. Ci, co nas widzieli przed chwilą, mogli sądzić, że rozprawa zakończyła się zgodą.

I rzeczywiście stanęła zgoda. Słowa nie wymówiwszy o wewnętrznym powodzie naszej nienawiści, porozumieliśmy się wybornie. A więc słyszał ów epitet, którym go poczęstowałem na balu u Falkiewiczów. Nie podniósł go, zapewne przez wzgląd na swoją kuzynkę, może za jej rozkazem. Dzisiaj zdawał się też wiedzieć doskonale, o co mi chodzi: nie był nawet zdziwiony. Takie to wszystko piekielnie jasne!

Chodzi mi przedewszystkiem o tajemnicę, bo sprawa głośna mogła-by skompromitować Celinę, albo zakończyć się jakąś interwencją i marnemi układami. A ja dbam o pewną siedmiosekundową chwilę; nawet jej obietnica bardzo mnie nęci.

Znalazłem już sekundantów. Récan i Krotoski byli obaj na wieczorze, a że to ludzie bardzo dyskretni, rozumni i szczerze mi przyjaźni, dawno już myślałem, że w danym razie im moją sprawę powierzę.

Wracaliśmy piechotą od Warszzyckich, miałem więc czas prosić ich i rozmówić się. Przystali odrazu, bez cienia wykrętu, tak, jak się tego po nich spodziewałem, chociaż Récan naprzykład ma stałe zajęcie w biurze i bez strat nie może go opuścić. Krotoski swym tonem tyranicznego entuzjasty starał się we mnie wmówić, że nie mam za co nienawidzić Valforta; później cała ta sprawa załagodzona zostawi tylko przyjemne wrażenie unikniętego szaleństwa,—i już mi zaczął po swojemu, z werwą i wyobraźnią, malować obraz szczęścia rodzinnego, przyszłych moich zajęć, przeznaczeń, pracy dla ogółu... Ale kiedy nadmienilem, że mam poważniejsze pretensye do Valforta, niż sprzeczką o parę wyrazów, Krotoski zniżył ton, a Récan skinął głową, patrząc mi w oczy. Człowiek ten w sprawach delikatnych, osobistych, czy publicznych, wie dużo, wietrzy jeszcze więcej i milczy, ale zbiera zapas spostrzeżeń bardzo potrzebnych, gdy wypadnie zważyć człowieka lub położenie.

Zrozumieli obaj, że sprawę prowadzić wypadnie ostro i bardzo tajemnie.

Dnia 11-go marca.

Nie widziałem jej od trzech dni, od owej nocy. I nie chcę jej widzieć, chyba na krótko, przy świadkach, dla upozorowania mego wyjazdu.

Niema już *mojej* Celiny. Umarło coś i runęło we mnie. Kiedy o niej myślę, przenika mnie zgroza i pogarda, — pogarda nie dla niej, ale dla siebie samego, że mógł cześć taką i uwielbienie, i tyle piękna swojego umieścić w tej duszy przewrotnej.

Ona-ż mi to była całą słodyczą świata i najświętszą z kobiet? Kiedy przypomnę to, com do niej mówił, a bardziej jeszcze to, com o niej myślał, a ocknę się potem i srogie dzisiaj mnie zaboli, wtedy dzieją się we mnie rzeczy tak bolesne, jakby mi kto duszę obdzierał ze wszystkiego piękna.

Nieskończony żal czuję do tej kobiety, ale zranić jej nie był-bym zdoleń, mścić się nad nią nie mogę. A zawiniła ciężko przede mną. Tak lekko cenić, tak sponiewierać moje uczucie, któremu odpowiedziała przecie, chociażby tylko słowem! Miłość moją, której sobie za zasługę nie poczytuję, bo jej jest natchnieniem, a moim losem, — ona przecie rozumiała, ona ją odróżniła od kliwych wyznań swych balowych tancerzy, od namiętych szeptów odurzonych jej pięknnością mężczyzn. Kiedy więc przyjęła mnie, czyżby nie prawdziwa wzajemność nią powodowała, ale rozumowanie, że jej nikt tak, jak ja, ani lepiej nie kocha, że więc mnie się należy pierwszeństwo między tymi, którzy jej się podobają? Może to serce mdłe rozumie miłość tylko jako zaloty, posunięte do pewnego stopnia natężenia, a małżeństwo, jako praktyczny kontrakt, uświęcający zaloty?

Nie—to niepodobna. Przysięgła, że mnie kocha. Gdyby kłamała wówczas i jeszcze tydzień temu, to jakże jej ufać? A gdyby znów nagle przestała mnie kochać z powodu, że obraził jej... przyjaciela, to kimże jest ten przyjaciel?

Dnia 12-go marca.

Napisała do mnie tak czule, tak po kobiecemu, pytając o powód mego oddalenia. Umie ona być kobietą, kiedy raczy, kobietą, zbrojną we wszystkie wdzięki i zdrady. Miesiąc już chyba nie widziałem świeżego jej pisma, bo w ostatnich czasach byliśmy ciągle razem. I to pismo przeniosło mnie w dalekie, dalekie czasy, aż do przeszłego roku, kiedy mi Celina zaczynała okazywać wyraźniejsze współczucie. Chociaż jeszcze list, na takim samym pisany papierze z owej epoki młodej pełnej zachwyków i fantazyi. Zdaje mi się nawet, że dzisiejszy bilecik miał inny, dawniejszy zapach?

Podarłem go i rzuciłem, nie dając rozkolysać się wspomnieniom. Ciągle to wahanie myśli między skrajnymi wątpliwościami

utrzymuje mnie przy siłach, a sił mi wobec tego, co będzie, potrzeba. Gdybym zaczął płakać, wypłakał-bym chyba serce z siebie.

Muszę jednak do niej pójść, bo się czegoś domyśli.

Tegoż dnia wieczorem.

Choć termin spotkania z Valfortem dopiero za pięć dni, wyjadę jutro rano. Żebym ja mógł odwikłać się od czarów tej kobiety, zatrzeć jej ślad promienny i krwawy, którym naznaczone całe moje życie!

Czy ona tak gienialnie gra komedję, czy czuje to tylko, co w chwili przechodzi jej przez serce, bez konsekwencyi, bez logiki, bez sumienia? Bo żegnała mnie bardzo smutnie pytającami oczyma i choć wyjazd mój na kilka dni aż nadto dobrze wytłómaczyłem, coś ją ciągle niepokoiło w mowie mojej i w pobladłej twarzy. A kłamałem, zdaje się, dość gładko i swobodnie: muszę jechać do siebie na wieś, gdzie dom odświeżam, gdzie zaniedbałem wiele spraw bieżących—i tu miałem kłopoty, takie a takie, bardzo prawdopodobne... Pierwszy to raz w życiu kłamię tak Celinie, a ona, choć przywykła do mojej względem niej szczerości, choć wypróbowała ją nieraz, dzisiaj nie zdawała się wierzyć, a szczególnie ją niepokoiła moja powierzchnowość, widocznie trochę zmieniona przez dni ostatnie.

Na szczęście przy całej naszej rozmowie była i matka moja, a kiedy potem chciała odejść, może żeby nas samych zostawić, zatrzymałem ją i wyszliśmy razem. Sam na sam może bym nie wytrzymał i na badania Celiny odpowiedział powodzią skarg i wyrzutów, z których-by jeszcze coś z moich zamiarów mogło wyjść na jaw. W obecności matki czułem się silniejszym, żartowałem nawet ze swojej smutnej twarzy,—aż mi pierś zaciskały te żarty.

Matka dużo prościej brała to, com opowiadał, troszczyła się ze mną i o mnie, ale nie dostrzegłem, aby co złowrogiego zgadywała. A kocha mnie przecie gorąco i bezinteresownie ta najdroższa i najwerniejsza z kobiet. To dziwne—matka nie przeczuwała nic, a Celina...

Czyżby zupełne wewnętrzne porozumienie się dwóch istot ludzkich mogło być tylko między młodym mężczyzną a młodą kobietą, których zwiąże z sobą miłość zmysłowa, ta straszna siła, pociągająca nie tylko usta do ust, ale i duszę do duszy? Kiedy trwa w zobopólnem naprężeniu ta siła, kiedy się równoważą dwa prądy, sypią się z ich pocałunku skry szlachetnych uczuć, światła wzniosłych myśli i zapalów. Ale biada, gdy równowaga się przerwie, gdy jeden z prądów osłabnie i już drugiemu przeciwdziałać nie zdoła! Wtedy drugi szaleje, łamie, zabija.

To jednak dziwne, że nie matka, ale Celina zgaduje coś sercem... Tak, ale może ona się boi nie o mnie, tylko o Alfreda?!

Wszystko, co widzę, co myślę, przesłonięte jest krwią i szaleństwem. Żebyż to jutro ten pojedynek, ale mój Valfort wyjechał gdzieś za swemi sprawami, a dopiero za pięć dni będziemy na siebie wskazywali lufami pistoletów w jakimś nieznanem mi miasteczku w Galicyi. Widzę we snach ten plac i tę scenę. Tymczasem, kiedym już matkę pożegnał i zostawił spokojną, uciec mi tylko stąd, od Celiny.

Sokal, dnia 16-go marca.

Jest mi tak, jakbym się wyrwał z płonącego domu i znalazł się nagle samotny w ciemnym lesie. Po upale i łoskocie przejmująca cisza panuje we mnie. Może mi nawet tam było lepiej w tem piekle, niż pośród smutnych i zimnych szlaków, na które zabrnąłem. Siedzę tu już trzy dni; chciałem mieć czas na obrachunek swych interesów materyalnych i moralnych; widzę jednak, że zajmuję się głównie rachunkiem sumienia.

Podróż i dzień, póki światło, zajmowali mi Krotoski i Récan. Nigdy nie byli rozmowniejsi ani serdeczniejsi. Tak ich ta moja skóra obchodzi, chociaż nie zdają się przypuszczać, aby mi się co stać mogło. Krotoski mówi mało o pojedynku, jest niby swobodny i odrywa mnie od trapiących myśli swym specjalnym darem malowania słowem. Zdarza się, że o wszystkim zapomnę, gdy ten wywoła przede mną jakiś obraz przyszłości prawie niemożliwy, ale ponętny, i określi go szerokim giestem, i oświetli poetycznym zapałem, aż mu wierzyć trzeba i pragnąć tego, czego {on} pragnie. Krotoski, to przeciwieństwo Kassandry; to prorok wołający, że będzie lepiej, ale nie taki sobie optymistą ślepy, tylko człowiek, który rozumie, gdzie dążyć, który złem obecnem się nie zraża, usuwa je tylko całą siłą, wiedząc, że po fali w głąb nastąpi fala w zwyż, i woła: „może my zginiemy, ale będzie lepiej.“

Récan mówi mniej i zajmuje się praktyczną stroną wyprawy; gospodaruje w garkuchni, gdzieśmy stanęli, prowadzi poszukiwania w archiwum kościelnem, pozorując niezłe nasz pobyt w obcym miasteczku. pilnuje naszej żywności i higieny — i umie potem z tego dziwnego gospodarstwa wydobyć efekta komiczne, wykrzesać ze mnie nawet iskro wesołości.

Ale wieczory spędzam sam. Trzeci to dzisiaj i ostatni w tych warunkach, bo jutro o 8-ej zrana stajemy na mecie.

Miałem w głowie mnóstwo listów, a nie napisałem żadnego, oprócz do matki. Tej spowiadam się szczerze, chociaż zaślaniam ciągle Celinę.

List dostanie matka tylko w razie mojej śmierci; ale, choć jej oddany zapewne nie będzie, marzenia tej kochanej kobiety o mojej przyszłości spełzną tak samo na niczem, jak gdybym umarł nagle. Umierać będę powoli w jej opinii, w jej nadziei... nie mi się już w piersi nie pali.

Do Celiny napisać? Jak i po co? Wyznać jej raz jeszcze, że ją kochałem jedyną w życiu miłością, że ją kocham, mimo wszystko... Mimo wszystko? A czy ja mam istotne prawo czynić jej wyrzuty, czy ja nie oszalałem, czy ja właściwie co wiem? To jest męka moja dzisiejsza i o tem sam tylko z sobą rozmawiam. Jeżeli umrę, dziennik ten Krotoski odda Celinie—i wtedy ona pozna całą moją duszę i przestraszy się może tej mary, powracającej do niej, jak umarły wyrzut sumienia. Może wtedy zrozumie, jak ją kochałem i że takiej miłości trzeba życie swe i duszę oddać, a nie tylko chwile wolne od codziennych krzątań i zabaw.

A jeżeli ona nie tak winna, jak posądzam? Wtedy ja, przyszedłszy aż tu, skąd cofnąć się nie mogę, zabrnąłem w ciemność, prawie w zbrodnię. Że życie swoje wystawiam na hazard, to moja wyłącznie rzecz, to szaleństwo, ale moje prawo. Ale czy mam prawo zabić tego człowieka, który może nawet nie był kochankiem Celiny? Upoważnia mnie do tego tylko zaśniedziały paradoks, oparty na konwencyonalnych przepisach o honorze, któremi gardziłem zawsze, poddając się im, bom nie dość silny, aby walczyć z wielmożnem Głupstwem. Wobec bliskości śmierci słabnie nade mną nawet ta potęga więzów światowych, i pytam się o większe prawa i większe zagadnienia.

W tej chwili nienawiść nawet mnie opuszcza i myślę, czy Valfort nie jest tym człowiekiem, stworzonym dla szczęścia Celiny, tym wesołym, lekkim duchem, dostrojonym do jej natury? Może, zabijając Alfreda, zabił-bym jej szczęście?

Śmieszny jestem; poświęcać siebie nie warto i to dla tych, którzy nie dla mnie nie poświęcili.

Wiem, że podług głosu sumienia i zgodnej z nim nauki, większej i logiczniejszej, niż światowe prawa,—czynię źle; wiem, że życie moje nie tylko do mnie należy, a życie cudze tem bardziej; wiem, że namiętność obudza we mnie najgorsze, zwierzęce instynkta... ale już za późno. Zaszedłem w zwężający się jar, jedne z niego wyjście i przez nie iść mi trzeba, a wszelkie roztrząsanie moralnej strony moich zamiarów nie ma dziś prawie sensu.

Praktycznie chyba zastanowić się mogę, jak najlepiej użyć reszty władzy mojej nad losem. Kiedy się pytam, do czego teraz dążę, czego najbardziej pragnę, a odpowiem sobie szczerze,—to przyznać się muszę, że pragnę życia i szczęścia tutaj, na ziemi, a pragnień tych nie umiem odłączyć od postaci Celiny. Więc jej pragnę, mimo wszystko, jej je-

szcze!... Postąpiłem zaś tak, że, cokolwiek się stanie, oddali mnie od niej na długo, lub na wieki. Umrę? zabiję jej najbliższego krewnego?— to już zapory nieprzebyte. A gdyby nawet jutrzejszy dzień zakończył się mniej tragicznie, pojedynek się nie ukryje, skompromituje Celinę, zniechęci ją zapewne do mnie...

Trzeba było trochę dawniej i trochę lepiej to wszystko rozważyć.

Gubię się w myślach gorących i szybkich, jak podmuchy przeciwnych wiatrów przed burzą. Ale mi stąd nie uciec: pomiecie mną wicher ostatni, silny, jak konieczność.

Już noc schodzi. Ranek szary zagląda w okna coraz bardziej przezroczyste i cisza nocna przestaje mi dźwięczyć w uszach. Widzę przed sobą brudną ulicę miasteczka, moją nieuniknioną drogę w przyszłość.

Sokal, dnia 17-go marca.

Com ja uczyniłem! Po co zabiłem tego niewinnego? A jeszcze, idąc na plac, postanowiłem mierzyć w nogi—nie chciałem go zabijać...

Tylko, kiedy stanął przede mną w tym stroju balowym, z tym dumnym, tryumfującym jakimś uśmiechem, który mi przypomniał najgorsze chwile, fala krwi zakotłowała moim mózgiem... Czy nie mierzyłem w pół ciała??...

Celino moja! nędzny jestem i oczu na ciebie nie śmiem podnieść.

Monachium, dnia 25-go marca.

Trzeba być waryatem, żeby po galeryach rzeźb i obrazów spoziewać się takiego ukojenia, jakiego mnie potrzeba. Chyba gdzieś na dalekie morza pojedę, do Indyi?...

Wiedeń, dnia 27-go marca.

Nie—nie mogę jeszcze przepaść i zniknąć. Przyjechałem do Wiednia. Stąd jednym tchem mogę być w Warszawie, jeżeli na mój telegram Celina odpowie. Może coś litośnego odpowie, może zrozumie, że zraniona ogromna miłość tłómaczy szaleństwo i zbrodnię? Wyznam jej wszystko tak szczerze, z taką błagalną skruczą i pokorą, jak tu przed samym sobą.

Już w nocy przed owym dniem widziałem prawie jasno, na jaką błędną zabrnąłem drogę. Nad ranem położyłem się i zasnąłem, ale snem niepożywnym, pełnym wspomnień owej mglistej, strasznej nocy,

kiedym spotkał wymykającego się z hotelu Alfreda. Ranek też był mglisty. Gdyśmy dojechali do przeznaczonego miejsca z moimi sekundantami, nie było z przeciwnej strony jeszcze nikogo. Staliśmy o sto kroków od szosy, pod lasem, w zimnych wyziewach sosnowych. Wkrótce jednak nadjechał powóz, wynurzając się nagle z gęstej mgły, ale nie było w nim Alfreda, dopiero sekundanci jego, arbiter i lekarz, którzy pośpieszyli naprzód, aby się nie spóźnić.

Już wymierzono metę, nabito nawet pistolety, a Alfred nie przybywał.

W rozstroju nerwów każdy szczegół drażliwy przybiera groźne rozmiary,—więc i mnie ta zwłoka wydała się oburzającym lekceważeniem, jakby nową zniewagą. Wlepiwszy oczy w mgłę, na której tonąca linia szosy odznaczała się bardziej szaro, uczułem skrajną chwilę gorączki, i rozsądne postanowienia nikły. Zacząłem snuć, jak w malignie, wątek niemożliwej historii: Może Celina jest w pobliżu? może on się spóźnia, zegnając ją. Wyobraźnia dostarczała mi zbrodniczo głupich obrazów.

Turkot mnie zbudził, potem na drodze zobaczyłem szybko wzrastający cień: powóz pędził ku nam rozpuszczonym galopem, Czarny, szeroki płaszcz stojącego w powozie mężczyzny fantastycznie rozrzucił się w powietrzu: Alfred, dostrzegłszy miejsce schadzki, dał znak woznicy, wyskoczył i dobiegł do nas.

Przeprosił głośno za spóźnienie, zrzucił płaszcz i stanął tak przedemną, strojny, zarumieniony, z dumnym pół-uśmiechem.

Wyznam—ten jego wdzięk i piękność wydały mi się tryumfem nade mną.

Nie słyszałem nawet przemowy arbitra,—a musiał przecież mówić,—na zgrabny ukłon Alfreda odpowiedziałem targnięciem kapelusza i, nie spuszczać oczu z przeciwnika, wyciągnąłem rękę po pistolet.

Nie mogę sobie dziś już zdać sprawy, w jakim następstwie mięły mi poczucia i myśli; wiem dokładnie, że przypomniałem sobie postanowienie celowania w nogi... ale w jakiej chwili? Jakby kilka dalekich głosów słyszałem naraz w głowie, a mógł tam być i głos sumienia, i zemsty, i własnej obrony, nawet strachu... Komenda: „Bacność!“ ocuciła mnie jednak—sekundanci powiedzieli mi później, że strzeliłem bardzo spokojnie, doskonale stojąc w pozycji.

Pani moja! błagam cię, abyś nie wątpiła o żadnym szczególe mojej spowiedzi! Ale więcej wyznać nie mogę, jak sam wiem. Prawie pewny jestem, że mierzyłem w nogi.

Oba strzały padły na komendę: „dwa!“ Kuli Alfreda nie usłyszałem nawet koło siebie. Biedny on zgiął się w pół i upadł, jakby siadając na ziemi. Zaraz omdlał. Rzucili się już wszyscy do niego, a ja

stałem jeszcze na miejscu, oszołomiony. Cisnąłem wreszcie pistolet o ziemię i w tej chwili przeczuję całą prawdę i przepaść nieszczęścia.

Gdy odzyskał przytomność, zaraz podał mi rękę, a ja już wtedy wyciągałem moją dłoń, jak do brata, chociaż dopiero po przewiezieniu biedaka do miasta mieliśmy tę dla mnie rozdzierającą, a dla niego tak zaszczytną rozmowę.

Kula tkwiła we wnętrzościach, krwawienie było silne—żadnej nadziei. Mimo nakazanego przez doktora spokoju, chciał koniecznie ze mną mówić i rozpoczął zaraz w obecności Krotoskiego i jednego ze swych sekundantów:

— Wiem, o co nam poszło. Nie słusznie mnie posądzałeś. Teraz mi wierzyć musisz, bo... nie pora mi cokolwiek udawać. Więc ci przyśięgam, że ona mi była zawsze siostrą, że nigdy się nawet nie pokusił o inną jej miłość.

Pierwszy raz, odkąd cierpię, łzy nagłe puściły mi się z oczu, łzy prawie kojące. Usiadłem na brzegu łóżka i płakałem wobec tych mężczyzn, wobec tego, który rósł mi teraz na bohatera i męczennika.

— Jaktó? więc?...

Przerwałem, nie mając już serca prosić umierającego o szczegóły; ale on się domyślił i w przerwach boleści ciągnął dalej:

— Nie wiedziałem, żeś taki. Nie był-bym ciągle przebywał w towarzystwie Celiny... ale ja ją tak lubię od dziecińczych czasów—a ona mnie—i bawiliśmy się zawsze razem... Usłyszałem, coś powiedział przy kolacyi na balu, nie chciałem podnieść tej zniewagi. Celina cię kocha.

Jęczałem pod naciskiem tej szlachetności.

— Ale kiedyś mnie zaczął prześladować obelgami i szyderstwem, nie mogłem już...

Słów mi brakło. Ująwszy go za rękę, patrzyłem mu w oczy. Jednak z zarzutu prześladowania chcąc się oczyścić, dotknąłem posądzenia tej nocnej wycieczki z hotelu.

Alfred otworzył oczy ogromne w pobladłej twarzy, takiel zdumione, jak jej oczy kiedyś, gdym się zdradził z moją nienawiścią—i z goryczą pewną odpowiedział:

— Więc to był ostatni powód twojej nienawiści? I mogłeś wierzyć? A potem rzekł tak prosto:

— Grałem tam w karty i nie jedną, ale trzy noce. Musiałem nawet szukać pieniędzy przed pojedyńkiem i dlatego prosiłem o zwłokę.

Rzeczywistość cała oświetlona stanęła mi teraz przed oczami, a obok niej równoległa błędna droga, przebyta przez moją wyobraźnię. To jasnovidzenie, które wczoraj mogło być dla mnie zbawieniem, stało się dzisiaj męczarnią.

Błysnęła mi jednak nadzieja: może on żyć będzie, a ja do zachwianego szczęścia, do nieskalanych przez nic, jeno przez moje szaleństwo, ideałów jeszcze powrócę? I rozpaczliwie uścisnąłem Alfreda, a on uśmiechał się łaskawie. Ale zaraz osłabł i bandażę po raz drugi zaczerwieniły się groźnie. Zasnął potem. Patrzając na niego, widziałem, jak mu życie schodzi wolno z twarzy.

Po przebudzeniu się wrócił do rozmowy bardziej gorączkowo: mówił o tem samem, tylko więcej o Celinie, niż o sobie:

— Ona dobra,—płakać będzie po mnie,—ona czasem taka dobra...

Lekarz przerwał mu, dał morfiny i namawiał do snu. Alfred jednak spać już nie mógł, ani chciał; cierpiał coraz bardziej, coraz gwałtowniej wyrwał się do rozmowy.

— Dajcie mi przeżyć ten dzień, jak mi się podoba!—wołał.

Zaczął nagle mówić o swem dzieciństwie, o Włoszech, gdzie się urodził, o ambasadzie francuskiej w Rzymie, gdzie się wychował, o śmierci matki...

— Matka, gdyby żyła, był-by to dla niej cios... Pamiętam ją—miałem już lat dwanaście—Celina podobna do niej... Ojciec ma przy sobie swego Henryka, markiza i następcę... Dla ojca to będzie nie tak bolesne...

Mówił, patrząc w sufit, nawpół marząc. A kiedy spojrzął na mnie, musiałem mieć twarz bólem skurczoną, bo litość zaświeciła mu w oczach i odezwał się wprost do mnie:

— Ja zapewne umrę, bo już nie krwi w sobie nie mam... Ale nie taka to straszna rzecz, nie rób sobie ciężkich wyrzutów... Gdybyśmy się znali, jak teraz, byłibyśmy braćmi, bo ja ci nawet nie zazdrościłem twego szczęścia. Celina cię kocha, a ja... Nigdy nie pragnąłem umierać starym. Czy dzisiaj, czy jutro, prawie wszystko jedno... Celina idzie za mąż, dobrze idzie za mąż...

— Więc ty ją kochasz?—zapytałem.

— Może teraz więcej, niż kiedy, to tobie już nic... Teraz mi się zdaje, że ona, to życie... i żałuję czegoś, sam nie wiem, czy jej, czy życia?... To może i dobrze, że umrę...

Trząsałem się cały, klęcząc przy łóżku i trzymając rękę Alfreda. Ból niepowetowanej straty miotał mną. Gdyby mi jednak kto potężny za uratowanie Alfreda chciał zabrać coś bardzo drogiego, dał-bym, ale chyba życie, nie Celinę. Żał za moją zbrodnię nie pochłaniał mnie całego: wielką częścią serca płakałem nad utratą mego szczęścia, nad tem, że śmierć Alfreda oddzielił mnie na zawsze od Celiny. Ten żal w tej chwili wydawał mi się potwornym, a przecież czułem, że równoważy prawie wyrzuty sumienia...

Może nie tylko tak, jak ja, postępować, ale i tak kochać nie wolno?...

Tylko już temu, który przebaczał, jak chrześcjanin, umierając po rzymsku i z beztroską dziecka, temu biednemu chłopcu, utrzymującemu się prawie bezwiednie w postaci bohatera, oddałem całą przyjaźń moją i czułość i cześć.

Kiedy znów boleść go oniemiała i zobaczyłem, że sięgnął po krzyż, wiszący mu na piersi, starałem się odgadnąć, o czem myśli. I gdy mniemałem, że zgadłem, że mam obowiązek uprzedzić pragnienie tej odchodzącej duszy, albo zdecydować jej niepewność, wymówiłem po długiem wahanii te słowa, trudne w ustach jego zabójcy:

— Czy chcesz księdza?

Po raz pierwszy Alfred zadrżał, oparł się na łokciu i przez chwilę wzrok skupił pod namarszczoną brwią, aż mi się wydał starszym i myślącym o rzeczach wielkich. Wnet jednak twarz mu się rozjaśniła i tak pogodnie rzekł:

— Może i lepiej będzie?

Wybiegłem z pokoju i na ulicy spostrzegłem, że nogi pode mną się płaczą. Wysłałem więc Krotoskiego, ale sam nie wróciłem do pokoju Alfreda: mógł-by pomyśleć, że nie dość skory na jego usługi;— może też chciał sam pozostać?

Po godzinie ksiądz już wychodził od chorego. Ukłąłem przed wychodzącym z domu i coś tak mnie pociągnęło do ręki tej kapłańskiej, że ją uchwyciłem i do ust przycisnąłem. Ksiądz, wysoki i czarny, o mądrych oczach i surowych rysach, przechylił się nieco, żeby mi się przypatrzeć i położył mi ciężką dłoń na głowie, bez słów błogosławieństwa.

Zajrzałem do pokoju Alfreda, ale wydało mi się, że drzemie, więc się cofnąłem i usiadłem przed domem. Dopiero jęk, dolatujący z wnętrza, porwał mnie aż do łóżka Alfreda.

Nie był to już ów młodzieniec wytworny, najsympatyczniejszy, z którego lekki duch uchodził, jak konający płomień, ale człowiek w ostatniej walce ze śmiercią. Oddychał jękiem, krew miał na ustach. Jedną ręką targał rozpiętą koszulę i złoty pod nią łańcuch, drugą odtrącał podawane leki, albo krzyżował obie ręce na piersiach i dyszał ciężko, oczyma przewracając w słupek. I wołał:

— Nie tego — dajcie mi wina! Nie myślałem, że zaraz...

To znowu do mnie, którego poznał, wyciągał rękę:

— Powiedz Celinie... Kochaj ją ty... Powiedz Celinie. Chodź tu bliżej...

Siadłem tuż przy nim, wziąłem go za ręce i całą wolę skupiałem już w jednym pragnieniu, aby to życie ocalić. Wydało mi się, że cierpi mniej gorzko. Błądł jednak coraz śmiertelniej i chwytął coś ustami, jakby całując powietrze, aż wyprężył się, krzyknął głucho i wlepił we mnie oczy szalenie piękne... Okropność!

Dnia 28-go marca.

Napisałem o wszystkim do Celiny, prawie tak szczegółowo, jak w pamiętniku, prawie tak szczerze. Jeżeli-m kiedy umiał błagać, to w tym liście, jeżeli-m kiedy pragnął czego, to jej przebaczenia i godziny rozmowy...

Gdyby jednak ona mnie kochała tak mocno, jak ja ją miłuję...

Już nic nie wiem: wszystkie moje sądy były zaćmione, wszystkie czyny głupie i złe. Nie jestem już godny jej kochania, według sprawiedliwości i rozsądku... Ale miłość nie rozumuje.

Czy ja pomyślałem o porzuceniu Celiny, kiedy-m był prawie pewien, że mnie zdradza?... A winą moją jest tylko zbyt miłości... Można to zrozumieć, można ocenić,—nie zimnym rozsądkiem, ale wielkiem sercem... Czy zrozumie? o ile przebaczy?

Będę czekał.

Dnia 5-go kwietnia.

Niema nic. Już od czterech dni mogłem mieć odpowiedź. To je-
dnak naturalne, że na list tego rodzaju nie można odpowiedzieć odrazu.

Listy, które wysłałem do niej wczoraj i dzisiaj, błagają już tylko o jakąkolwiek odpowiedź. Ale może jeszcze za natarczywe są, zanadto chcące?

Napiszę znowu, żeby jej dać poznać, co się dzieje w człowieku który całą swą starganą nieszczęściem duszę umieścił w oczekiwaniu jednego słowa.

Dnia 10-go kwietnia.

Gdy przyjdzie lato, to noce będą krótsze. Kładę się jak najpóźniej, wstaję jak najwcześniej, aby uniknąć samotnej ciszy. Zasnę—
to sny mnie dręczą.

Nie straszy mnie nawet zmora mojej zbrodni: cień Alfreda ukazuje mi się często piękny, przebaczący, zawsze kochany. Ale Celinę widzę raz gniewną, to znów skarżącą się na mnie przed jakimis przy-
jaciółkami, to znów uśmiechniętą... Widzę ją prawie zawsze w balowej sukni. Musi przecież nosić żalobę.

Śniło mi się dzisiaj, że Krotoski mówił: „Chciała odpisać na twój list, ale nie miała swego papieru z cyfrą...” Więc ja się gorszyłem, a on znowu: „Cóż chcesz—wszystkie kobiety są takie...”

Nie wierzę w prorocze znaczenie snów, ale sny—to ciekawe zwierciadła, które odbijają poczucia nie ujęte na jawie w określone zarysy, rozproszone w gwarze dnia, ginące często w tej migotliwej rzece barw, która się nazywa życiem. Sen rozkłada skomplikowane wrażenie całego dnia na pojedyncze czynniki i, zapewne z powodu odmiennego działania mózgu, przesadza jedno źdźbło wrażenia (może to, które zapadło w mózg ostatnie przed zaśnięciem) do rozmiarów wielkiego, przejmującego obrazu. To też pamiątka snu może trwać i działać na obudzony już umysł, jak jasnowidzenie, albo gorące uczucie.

Czy przesada snu wpływa dzisiaj na to, co myślę o Celinie? Wydaje mi się, że ona całą moją straszną tragedję przeżyła dość łatwo, ze współczuciem tkliwym, tak, jak się czyta powieść znajomego autora. Jednak to tylko posądzenie. Ja się strzedz winienem posądzeń, jak psów wściekłych.

Gdybym tu miał Krotoskiego, kogoś do podzielenia się duszą! Ale broń Boże natrętów napół znajomych, przed którymi mękę swą wewnętrzną trzeba tłómaczyć bólem głowy, ażeby coś odpowiedzieć na ich grzeczność nieznośną.

W tym Wiedniu, dawniej lubionym, nie mogę sobie znaleźć miejsca, ani zajęcia. Przez jakiś wstręt, czy żalobę, nie chodzę do teatrów, ani do galeryi, ani nawet do znajomych restauracyi. A znów niepokój wypędza mnie z mieszkania, utrzymuje przez cały dzień na nogach i gna przez ulice, najczęściej w kierunku dworca kolei Północnej. Tu mi najlepiej w odurzającym czadzie węgla i rozgrzanych smar. Zawsze zresztą lubilem wielkie dworce kolei żelaznych, wszystkie jednego typu. Pod olbrzymiem sklepieniem z żelaza i ze szkła, między dwoma rzędami oficjalnych okien i drzwi zamkniętych,—zalegają równoległe sznury wagonów, czarne od węgla, śpiące sztywnie. Potem zgiełk, świst, jęk dzwonek i grzmot wchodzącego pociągu ze swą tryumfalną kitą pary. Gmach się zaraz budzi i ożywia gorączką wsiadania: przez drzwi otwarte wrywa się stado podróżnych pstrokate, ogłupiałe, pytające; tragarze pchają, krzycząc, ciężko ładowne wozy — na wzburzonem peronie jedyni spokojni stoją wyżsi urzędnicy stacyi, jak sztywne osty w falującym zbożu.

Choćbym się znalazł po raz pierwszy na takim dworcu, zdaje mi się, że już tu żyłem długo: ta sama fizyognomia, ten sam ruch, ten sam zapach szczególnie przenoszą mnie odrazu w specjalne kolejowe usposobienie. Przy tych scenach szablonowo wielkich, sztucznie potężnych, przy tych ogromnych organicznych funkcyjach naszej cywilizacyi, czuję się bardziej, niż gdzieindziej, wplątany w fizyczne życie świata. Niknę w tłumie, staję się biletem i numerem, ale mam też swój udział

władzy przeniesienia się dokąd zechcę; wszystko się wydaje blizkiem, sąsiedniem; żadne też spotkanie nie dziwi.

I jeżeli mam wyznać, dlaczego właściwie tłukę się po tych dworcach i kolejach, — ciągnie mnie do nich tęsknota i niewyrozumowana, dziecinna nadzieja spotkania... Celiny.

Gdy to piszę, wydaje się sam sobie waryatem. A jednak tak jest. Przeglądam z bijącym sercem okna wagonów, staję, jak odzwierny, przy drzwiach, któremi tłum się sypie, i lada zgrabna figurka, albo biała woalka, zobaczona w niepewnym świetle, czy w oddaleniu—chwytami oczy i aż za serce ściska. Wiem przecie, że Celina nie może tu przyjechać. Gdyby jednak przyjechała, jaki-by to był wielki cud Bożego i jej miłosierdzia!

Ale ja nawet na moje listy nie mam odpowiedzi. Żyję w malignie, z myślą tak natężoną w jednym kierunku, że mi aż w skroniach szumi, a przed oczyma znajome widoki stają się mętne, nie swoje. Nawet blask słońca wydaje mi się mniej jasnym. Nie jest to wcale frazes.

Rozumiem teraz, co znaczy ludowe nasze przekleństwo: niedoczekanie twoje!

Dnia 13-go kwietnia.

Kiedy służący hotelowy przyniósł mi dzisiaj list z poczty, nie śmiałem go zrazu otworzyć i zamknąłem oczy. Może mój los się rozstrzygnie? Może chce mnie zobaczyć, albo skazuje mnie na wieczne wygnanie? Spojrzawszy na kopertę, nie poznałem pisma Celiny. Wpadłem w dziecinny gniew i był-bym list podarł, gdybym w czas nie rozróżnił znajomej, przyjaznej ręki Krotoskiego.

List donosi, że Celina zdrowa i jest w Warszawie, ale zarazem podaje nieznośną nowinę: opis mojego pojedynku w Kuryerze. Niema wprawdzie całych nazwisk; łatwo jednak zgadnąć, a przytem nad całą historią rozciągnięto napół przezroczystą zasłonę skandalu: hrabia B. zabił hrabiego V..., jakaś pani przybyła na plac... Wyrażenia takie, jak: „zazdrośny narzeczony...“ „skarcił zuchwałość...“

Muszę zaraz ten fałszywy opis sprostować w liście do redakcyi I Krotoski tak radzi. Zaznaczę szczególnie, że żadnej obchodzącej nas kobiety nie było w Sokalu podczas pojedynku, ani potem... Tak napiszę, ale na co się to przyda? Skoro publiczność jest na tropie, dojdzie do nazwisk i do reszty szczegółów, a treść wytłómaczy sobie, jak zwykle, pospolicie i złośliwie; — i Celinę w tem odnajdzie i splami jakim oszczerstwem! Napiszę w liście do redaktora, że wyzwanie powstało z oplakanego nieporozumienia, że mi Alfred przebaczył, że nie-

nawiść nasza zmieniała się w przyjaźń po szczerej, przedśmiertnej rozmowie... Dam na to słowo honoru.

I cóż z tego? W oczy mi fałszu nikt nie zada, bo strzelałam zbyt dobrze (bodajbym nigdy nie miał pistoletu w rękul), ale jakiś pan przy kominku, jakaś kumoszka opowie, że dałam słowo tylko dla osłonięcia Celiny, ucieszy się z tego zawikłania w romansie i snuć go będzie dalej moim kosztem, jej kosztem...

To nie do wytrzymania! Wracam jutro do kraju. Niech się dzieje, co chce.

Warszawa, dnia 15-go kwietnia.

Wiele bardzo zwątpień i nadziei przeżyłem wyobraźnią podczas mojej dzisiejszej podróży, na wszystko starałem się przygotować, ale tego nie zgadłem, że Celina, zawiadomiona telegramem o moim przyjeździe, ucieknie pierwszym pociągami do Prądników.

I cóż to znaczy ten list, zostawiony dla mnie w hotelu? Zaledwie kilka słów chwiejnych i niewyraźnych, kiedy ja czekam na wyrok...

Boli ją strata przyjaciela, boli jeszcze bardziej to, że ją mógł pośadzić o taką przewrotność i pokierować losy nasze do sytuacji bez wyjścia. Píše: „postępowaniem swoim zakończył pan naszą historię.“—Więc koniec wszystkiemu? Ale znów dodaje: „...nie chciałam pana spotkać zaraz, boję się tego spotkania dla nas obojga... Odnowienie wspomnień jest niebezpieczeństwem dla naszego spokoju...“ Co znaczy to zdanie? Czyżby zachowała swe uczucie dla mnie i walczyła z sobą? O, gdyby to mogło być!

Przypisek zapowiada jeszcze paczkę, zostawioną dla mnie u Krotoskiego. W gorączce wyjazdu z Wiednia zapomniałem telegrafować do Krotoskiego i, jak na złość, niema go w Warszawie: wraca dopiero pojutrze. Nie śmiem zgadywać, co mieści ta paczka. Zawiera może istotną treść listu, albo list inny, dłuższy i szerszy, podczas gdy ten służy tylko za przygotowanie i zawiadomienie w hotelu.

Czekałem długo, to i te dwa dni jeszcze poczekam. Tymczasem zobaczę się tu z matką. Choć wiem, że mi już przebaczyła i nie boję się jej złotego serca,—nie chcę jej jeszcze przyznać, że miała słuszność wówczas, nazajutrz po moich zaręczynach. Muszę wprzód ostatecznie sam się rozmówić z Celiną. Wypadki, niestety, nieodwołalne, w które ją zawikłałem, przyniosą mi jedną korzyść—odkryją mi do głębi to serce kobiece. Z dzisiejszej próby to serce wyjść nie może inaczej, jak poznane przeze mnie. Straszna ciekawość, której zaspokojenie może być śmiercią wszystkich nadziei.

Dnia 17-go kwietnia.

No—to już prawie stanowcze...

Ale napisać taki mdły, niewyraźny liścik, a w dołączonej paczce odesłać zaręczynowy pierścionek bez oburzenia, bez objaśnień? Coraz mniej ją rozumiem, tę dotąd najukochańszą. Drwić przecie nie może ze mnie, przywalonego niedolą, drżącego całym sercem, ze mnie tak biednego... ani kokietować nie wolno z nieszczęściem.

Często, chcąc dotknąć duszy tej kobiety, napotykałem coś niepochwytanego, mgłę, zapach, a nie ciepłą duszę człowieka. Ale dzisiaj, kiedy mną burza miota, kiedy gromy, co we mnie biją, i ona odczuwać musi, myślałem, że dusza jej zadźwięczy—może gniewem i groźbą, może rozpaczą i łzami, tylko nie tą nutą banalną...

Pojadę do niej zaraz. Czy to wypada, czy nie, zastanawiać się nie pora. Gdybym miał stracić resztę złudzeń, wolę to, niż palącą niepewność.

Pacstum, dnia 1-go maja.

Oparłem się aż tutaj. W świecie ruin mi lepiej, w nieznanym, dalekim świecie lepiej trochę. Pod tem gorącym niebem, między kolumnami świątyń, które przetrwały tyle serc ludzkich, pozbywających się młodości i rojeń, jak świątecznych, nietrwałych szat, wspominam prawie spokojnie, czem byłem temu kilkanaście dni, i jak to daleko ode mnie.

Ile jest dziecka i poety w zakochanym człowieku!

Jechałem do Prądników ciepłym rankiem, nie chcąc sobie jasno zdać sprawy, po co jadę. Wiedząc, że nic prawdziwie pomyslnego zdarzyć mi się nie może, liczyłem na jakąś nadzwyczajność, na jakiś genialny pomysł, który z naszego spotkania wyniknie i wyrwie nas z położenia bez wyjścia. Tego cudu pragnąłem tak gorąco, że zapomniałem chwilami, leżąc w pustym przedziale wagonu, o najelementarniejszych wypadkach mojego życia. Przyszłe moje spotkanie z Celiną stawało mi nagle przed oczyma z wymarzonemi szczegółami: ona zapłakana, kochająca; ja, uniżony do stóp jej, wołam: moja wina! alem tak kochał i tyle wycierpiał, że twoje wielkie serce przebaczy... Ona rozumie, ona przebacza...

Rozkołysanego takim snem budził mnie zimny zgrzyt rozsądku:

— Odesłała ci przecie pierścionek.

Albo głos straszniejszy:

— Zabiłeś Alfreda!...

Więc wchodziłem znowu z rozsądkiem w układy: ona nie mogła postąpić inaczej, ale zachowała dla mnie jakieś uczucie... jest nawet coś takiego w jej liście. Może to uczucie wystarczy na opromienienie mojego życia choćby smutnym blaskiem, może później, kiedyś...

Opanował mnie dziecinny optymizm; bo też jechałem do Celiny po miesiącu rozłączenia i dzień był bardzo piękny, pierwszy dzień wiosny.

Pociąg przyjeżdża na stację o 11-ej rano. Wsiadłszy z wagonu, musiałem szukać sposobu dojechania do Prądników, bom o swoim przyjeździe nie uprzedził i koni dla mnie nie przysłano. Jakiś stary chłop podjął się mnie zawieźć parokonnym wózkiem, naładowanym słomą. Podwoda była lekka, ale po niezupełnie jeszcze wyschłej drodze toczyła się wolno, bo konie korzystały z każdego kawałka rozmięklej drogi, aby przejść do stępa. Obliczyłem, że dwie mile, które mam do przebycia, jechać będę dwie godziny, — więc, żeby podróż jako tako skrócić, wdałem się w rozmowę z moim woźnicą. Dowiedziałem się naprzód, że się nazywa Ignac Banucha, co mi bardzo obojętne, ale wiadomość, że jest z Kierdejówki, wioski najbliższej od Prądników, zajęła mnie. Co też on wie o Celinie?

— Czy pani Szarzyńska jest w domu?

— Musi ta być, bo przyjechała niedawno, a i wczoraj była konno przy mojej chałupie.

— Często widujecie panią?

— Ano juści, od małego znam, a jak wyjedzie z pałacu, to prawie zawsze na Kierdejówkę.

— A wyjeżdżała często temi dniami?

— Ho, już to jak Pan Bóg da pogodę, jak teraz, to pani w domu nie usiedzi, tak se jeździ po polu, albo do somsiadów.

— Rozmawialiście z nią?

— Ja? o, ile razy. A chociażby i wczoraj, zatrzymała się w naszej wsi i mówiła kilku gospodarzom o czeladź na dzisiaj do grabienia liści w ogrodzie. Widać jacyś goście znów przyjadą.

Te szczegóły o Celinie mogły mi być kiedyindziej przyjemne, dzisiaj ścisnęły mi serce. Żywiej poczułem się nieszczęśliwym tą jej swobodą i krzątaniem się około ogrodu.

A stary chłop, pociągnięty raz za język, sam teraz zaczynał:

— Pan do pałacu, czy do rządu?

Widząc, że mnie nie poznał, czegom się obawiał, bo mógł mnie nieraz widzieć w Prądnikach, odpowiedziałem:

— Może i do dworu przyjdzie mi zajechać.

— A wielmożny pan z interesem, czy po znajomości?

— Z interesem.

— Gadali, nasza pani miała iść za mąż koło świętego Jana?

— Nie pójdzie już.

— To pan wie?

— Słyszałem w Warszawie.

— Ano, to szkoda. Takiej pięknej młodej pani przez męża, przez dzieci, to musi być i nudno. I nie ma nawet z kim cieszyć się z tych tam swoich pałaców, z tych tam dostatków i wszyckiego dobra. Toć to w samych polach prądnickich jakie bogactwo!—a i tego roku, da pono Bóg Najwyższy piękny urodzaj.

I biczyskiem wskazał stary na pole.

Rzeczywiście ruń, odświeżona wiosennem słońcem, błyskała zdrowym połyskiem szerokiego żdźbła, co się odkleiło już od ziemi i zaczynało drzeć drobną, zieloną falą. Łąki, gdzie-nie-gdzie jeszcze rude, iskrzyły się w miejscach niższych złotem i białem kwieciami, a w jeziorka, najeżone blado-zieloną sztywną trawą, zaglądał błękit nieba, błękitniejszy jeszcze w wodzie, szafirowy tam, gdzie wiatr podrażnił gładką powierzchnię, pędząc po niej stadka wesołych zmarszczek. Wody wiosenne mają w sobie jakąś dziewiczość, jakąś młodą zalotność do słońca.

W takiej ciszy i świeżości miękło mi serce i podróż tę wolną, rozmarzoną, chętnie bym przedłużył. Ogarnął mnie romantyzm chwil przedostatnich, tych, które obiecują więcej, niż rzeczywistość przyniesie. Ale ujrzałem już przed sobą wzgórek i krzyż pomiędzy płaczącą brzezina.

— Już tylko krzynekę pod górę, zobaczy pan zaraz Prądniki.

— Wiem.

Dobrze znam tę drogę i pamiętam, kiedym tu pierwszy raz dojeżdżał. Była jesień, dawna jakaś jesień. Celina, podówczas zamężna, zaprosiła mnie na konne polowania. I dziwna rzecz, że teraz, jak wtedy, zobaczyłem nad sobą zórawie. Wtedy drzewa były złote, ścierńska świeciły blado-różowo pod ukośnym promieniem słońca, co się wydarło z chmur, dochodząc już do widnokregu. Jęk w niebie zwrócił moją uwagę: na mętnej, białawej przestrzeni, płynął ciężko, rytmicznie falisty sznur zórawi. Ten lot jęczących ptaków był mi zawsze pamiętką pierwszej miłości. Nigdy go odtąd nie widział w Prądnikach, dopiero dzisiaj, na tem samem miejscu, nad moim biednym wózkiem, pośród roz-pogodzonych, daleko odsuniętych błękitów, płyną znowu i jęczą zórawie.

Wózek wdrapał się na szczyt wzgórza i zjeżdża teraz prędko po pochyłości. Już widzę wszystko. Ogród, zaledwie opuszony pierwszą zielonością, tak przezroczyły, że białe mury i okna pałacu widać, jak przez zieloną gazową firankę. Południowe słońce leży błyszczące na blaszonym dachu. Cicho, świetnie tak—i płacz mnie zbiera.

Czy ja tu nigdy nie byłem w tej porze roku, czy mi nieszczęście przemieniło oczy? Cała ta siedziba dzisiaj obca mi i niegościnna. A przecie na tem polu jeździłem z Celiną konno; pamiętam nawet rozmowę. A tu wyszliśmy raz z całym towarzystwem w nocy i ja zostałem z nią trochę opodał pod temi lipami, gdzie księżyc nie dochodził. A pod tym podjazdem czekałem na nią w wieczór mroźny, pełen niepokoju. Tylko po tamtym wieczorze było jeszcze jutro.

Dojechałem cicho i nie prędko doczekałem się, że mi drzwi otworzono. Lokaj, poznając mnie, spojrzął, jak na upiora; może też zmieniłem się bardzo. Pobiegł zaraz do pani, i wkrótce znalazłem się w głównym salonie, do którego Celina kazała mnie prosić. Stojąc tam przez chwil kilka, zbierałem myśli, które podczas podróży byłem już ułożył w pewien ład, ale tu uczułem, że tylko cała krew napływa mi do głowy i że wymową nic nie zdołam.

We drzwiach ukazała się Celina sama w czarnej sukni. Postąpiłem ku niej szybko, ale ona cofnęła się z takim wyrazem przestachu, że stanąłem i skłoniłem się tylko, "przepraszając. Po wymianie kilku niezgrabnych słów, usiedliśmy. Odrazu poczułem się śmiertelnie zgnębnym i znikła mi radość oglądania Celiny. Ona siedziała przede mną zarumieniona, oczyma wyprasząc się od mego wzroku.

Trzeba było jednak coś powiedzieć, więc zacząłem:

— Nie bój się mnie, pani, ja tu przychodzę bez żadnych nadziei bez próśb nawet; chciałem cię tylko przebłagać i zobaczyć trochę litości w oczach twoich.

Nie zupełnie szczerze mówiłem. Przed chwilą jeszcze miałem w sercu tysiące próśb i nieokreślonych nadziei, ałem sobie wyobrażałem nasze spotkanie zupełnie inaczej. Tymczasem Celina, po dość długim milczeniu, odezwała się:

— Postępowaniem swoim zakończył pan całą naszą historię.

Frazes z listu. Czy ona w tych paru nieznaczących wyrazach chce zamknąć wszystko, czego po jej sercu się spodziewam, albo wszystko, co jej serce dać może? Mógł to być jednak skutek zmieszania i niespodzianki, sprawionej moim nagłym przyjazdem.

O co tu ją zapytać? Jak zapytać o jedyną rzecz ważną, czy mnie jeszcze może kochać?... Zapytałem zaś, zdaje mi się, o to, co myśli teraz robić?

Odpowiedziała dość obszernie i nie pamiętam już, jakie mi tam wyliczyła drobno projekta i zajęcia, któremi starać się będzie zaprzętnąć, aby zapomnieć.

— Więc pani najbardziej chodzi o zapomnienie?

— Nie najbardziej o to, ale skoro ze wspomnieniem łączy się boleść, to wspomnienie staram się odsunąć od siebie.

Czegóż ona chce teraz? Spokoju może szuka? Więc pytam:

— Czy pani pojechała na wieś, żeby uciec od ludzi i zostać sama z sobą?

— O nie! W samotności jest mi gorzej i śni mi się ten biedny Alfred. To był mój szczerzy przyjaciel; lubiłam go, jak brata...

Przestraszyła się czegoś, może powrotu mojej dzikiej zazdrości, bo dodała przedko:

— Zresztą ja już przebolełam tę stratę. Do pana miałam żal wielki, ale go nie znienawidziła nigdy... tylko ponieważ odrobić nie można, tego, co się stało, myślę teraz nad sposobem urządzenia życia mniej nieznośnie.

Więc nie spokoju nawet, ani cichego wniknięcia w siebie szuka ta kobieta, ale odpoczynku po niemiłych wzruszeniach,—takiej sobie zimnej kąpieli w powszedniości po upałach dni strasznych.

Odezwałem się znowu:

— Zmęczona pani bardzo, i z mojej winy. Ale gdybyś pani wiedziała, ilem cierpiał nad tem, że pani przyczyniam cierpienia! Odpowiedz mi, że było w mojej mocy usunąć w zawiązku całe zło i przyczyny boleści dla obojga. Prawda. Gdybym wiedział! i gdybym mniej szalenie kochał... Winien jestem, bo człowiek, to nie fala, podległa burzy, a choć szął miłości mojej wydawał mi się silnym, jak los, mogłem nim ować i oprzeć się... Więc jam winien... ale tyle cierpiał wówczas z powodu ciebie, pani, tyle znów cierpię dzisiaj za pokutę...

— Otóż to, cierpienie i zawsze cierpienie! Mnie się zdaje, że w dniu naszych zaręczyn pan także cierpiał. I potem znowu, dla urojonych jakichś podejrzeń,—no, a teraz—naturalnie... Pan chyba nigdy w życiu nie może być spokojny i szczęśliwy?

— Spokojny a szczęśliwy, to wielka różnica.

— Nawet wątpię, czy ja-bym panu mogła być dać szczęście gdyby nasz związek był jeszcze możliwy.

— Pani zapewne o mnie to myśli, a o sobie mówi?

— Nie, owszem: mnie się zdawało, że nam będzie dobrze z sobą w życiu. Ale przyznam się, że, choć się znamy od wielu lat, nie zgadła-bym nigdy, że pan tak postąpi i dla marnych powodów zagrozi na zawsze naszą przyszłość.

— Dla marnych powodów?

— Ano, sam pan je sobie stworzył te powody. Z czyjej-że winy był ten nieszczęsny pojedynek?

— Do mojej się już przyznałem.

— Innej winy, jak pańska, niema. Przecież nie Alfred był winien?

— Nie.

— Więc któż? Chyba mnie pan jeszcze posądza?...

— Bóg mi świadkiem, że pani już nie posądzam o żadną przewrotność, ani zdradę. Ale gdybyś o winę pytała, o winę może bezwiedną, to-bym odpowiedział...

— Że zawiniłam?

— Nie bezpośrednio, ale przez brak poszanowania dla mego uczucia, które, wielkie i szlachetne samo w sobie, stało się chorobliwem z powodu twego zachowania się, pani. Mogłaś, przez wzgląd na mnie, zastosować się trochę, pozbyć się różnych błahostek i upodobań, a nawet usunąć Alfreda.

Podnieciła Celinę ta nagana. Rzęsy jej drżały trochę gniewnie, a usta poruszyły się parę razy bez dźwięku. Marszcząc nieco brew, zawołała:

— Jakto? więc ja mam być, według pana, uboczną przyczyną śmierci Alfreda? Chyba pan oszalał?

Wtedy ja, mimno żem postanowił zachować spokój, czując, że raz ostatni mówię z nią szczerze, wybuchłem:

— Tak, oszalałem, ale nie dzisiaj. Oszalałem odrazu, gdym cię poznał i kiedym cię zaczął kochać. Trzeba mi było nie patrzeć ci tyle w oczy, a więcej w duszę i przewidzieć, że wielka miłość, wyłączająca wszystkie inne zajęcia i przywiązania, miłość wszechmocna, która, wstępując w człowieka, bierze dowództwo nad wszystkimi jego władzami, taka miłość nie zmieści się w twojej duszy. Może to twoje szczęście, lub to, co szczęściem nazywasz, żeś nie zdolna czuć ani wielkich rozkoszy, ani męczarni? A miłość jest wielką rozkoszą, albo straszonym bólem,—więc ty nie dla miłości stworzona. I jest także ślubem dusz i zapomnieniem siebie dla kochanej drugiej duszy. Czy to nazwać samolubstwem we dwoje, czy szczytem poświęcenia i altruizmu, wszystko jedno—dość, że kto kocha—*żyje* miłością. A kiedy ci się zdawało, że mnie kochasz, czy ja ci byłem nie tylko towarzyszem, odpowiadającym bardziej, niż inni, twym upodobaniem, ale jedyną twą myślą? Czy każdy mój rys twarzy, albo charakteru, wydawał ci się najmiłszym, nie-skończenie twoim? Czyś miała tęsknotę i pragnienie wypowiedzieć mi całe swe życie fizyczne i duchowe? Czy byłaś ze mnie dumna? Czy czułaś się powołaną do mego uszczęśliwienia? Nie. Tak ja ciebie kochałem i takiej od ciebie chciałem wzajemności—dlatego był szalony.

Pierwszy raz w życiu mówiłem tym tonem. Celina, trochę zdumiona, przybladła; oczy jej nabierały coraz więcej blasku. Ja ciągnąłem dalej mniej więcej w ten sens, idąc za chwilowem natchnieniem, bom już dawno zboczył z wykreślonej sobie drogi:

— Może się pani zdaje, że grubo wykraczam przeciw światowym zwyczajom? I mnie się zdaje, że gdyby cały świat był, jak ja, był-by bardzo przykry, nawet niemożliwy. Pani by wtedy nie lubiła świata.

— A jednak z tego świata pana wybrałam.

— Bodajbyś pani nigdy tego nie uczyniła! Po co było rzeczywiście mnie wybierać wobec tylu innych godniejszych?

— Nie rozumiem.

— Jest tylu, którzy-by się zadowolili kilku na dzień wesołemi promieniami twoich oczu, wesołą twoją rozmową, weselszą jeszcze dlatego, żeś taka piękna. A ja chciałem więcej, bo i tego wszystkiego, i jeszcze twojej smutnej duszy.

— Ja nie mam *smutnej* duszy, a pan jest romantyk. Może to całe nieszczęście?

— Może to prawda.

— Pan podnosi uczucie do takiego dyapazonu, że urzeczywistnić się nie da;—chyba na chwilę, ale nie na dłuższy czas.

— Może i to prawda.

— I widzi pan życie nie poprostu, tylko przez swoje marzenia. Od innych spodziewa się pan tego, czego sam pragnie, i mnie nawet źle pan zrozumiał. Jeżeli miałam coś w sobie, co się panu podobało, to dla czegoż pan pokochał nie to, ale jakieś inne rzeczy, wymarzone we mnie?

— Ależ, pani! te inne rzeczy, których czekałem, to była miłość; czekałem na obudzenie się wzajemnego uczucia.

— Czyż panu nie powiedziałam, że go kocham? czy nie byliśmy zaręczeni? Przecież nic się we mnie nie zmieniło.

Błyskawica przeszła mi przez mózg. Przysunąłem się do krzesła Celiny i ująłem jej obie ręce.

— Pani!—rzekłem,—co pani mówi? nic się w sercu nie zmieniło? Przecie to moje jedyne pragnienie i nie śmiem pytać, czy dobrze zrozumiałem. Gdybym miał pewność, że posiadam ten skarb, który szkaluję pod wpływem uniesienia i goryczy, to był-bym tak bogaty....

Oddała mi uścisk dłoni, a wzrok jej tęskny i wymowny przenikał mi do serca kojąco, jakbym nie znał jeszcze tej słodkiej trucizny... Ale po chwili takiej niemej rozmowy oczyma, Celina odezwała się:

— Już teraz nie wolno nam się kochać.

— Jakto? kochać wolno zawsze.

— To jest, że mi pan proponuje uciec do Ameryki?

— Tego ja znowu nie rozumiem.

— Bo przecie tutaj nie mogę wyjść za mąż za pana po tym pojedynku...

Puściłem jej ręce i nie odpowiedziałem nic.

Miała najpospolitszą słusność, — alem ja nie tej czekał odpowiedzi. Przypomniała mi prawa „naszego świata.“ Te nie zajmują

się pragnieniami pojedynczych serc, ani sprawami prywatnych sumień, strzegą tylko, aby publiczna przyzwoitość była zachowana. Tylko te prawa są dla mnie, w porównaniu do innych, kamykiem na drodze, a dla niej murem, ograniczającym jej świat. Ja chciałem wy badać, czy ona czuje moją skruchę, mój żal serdeczny i miłość, której, mimo konieczne na teraz zerwanie zaręczyn, zabić w sobie nie mogę. — a ona...

Zaczęła mówić, jak dba o moją opinię, o przyjaźń, o ciepłą, prawdziwą przyjaźń.

— Pani całą moją duszę masz na usługi: są w niej wszystkie uczucia, jakich możesz zapragnąć. Tylko ja teraz pojedę daleko...

— Dokąd pan jedzie?

— Może do Indyi? może tylko do Włoch? gdzieś po spoczynek.

— Będzie pan pisał do mnie stamtąd często? Proszę.

I ona teraz wyciągnęła do mnie ręce, podając naprzód prześliczną kibić i oczy przymilone łzawo i usta otwarte cierpiącym jakimś półuśmiechem. Ręczę, że w tej chwili nie myślała o naszym świeżym dramacie, tylko o takich ładnych, przyjemnie drażniących pocuciach, które snuły się w niej, czy naokoło niej, jak pachnąca atmosfera miłości i „Zawsze to ten sam chłopiec, który mi się podobał, ten sam człowiek, który mnie bardzo, bardzo kochał—i jeszcze mnie kocha—czuję to wyraźnie. Teraz odjeżdża gdzieś daleko, jeszcze mu się co stanie—taki desperat... A ja go lubię i to nawet dzisiaj, pomimo, że mi życie okropnie zamącił. Chciała-bym mu zrobić jaką przyjemność... i nie chcę go stracić zupełnie—i życzę mu wiele dobrego, tylko mu przecie całego mego życia i spokoju nie poświęcę...”

Że coś podobnego śniło się w jej rozczulonych oczach, których pamiętkę poniosę z sobą na zawsze, to prawie pewna.

Alem ja już był nadspodziewanie trzeźwy.

Co? powywracane formułki światowe odstawić na miejsce i pośród tych chińskich parawanów zalecać się dalej do Celinie? Zaczynać znowu walkę z tym najdroższym, bezwiednie okrutnym nieprzyjacielem? Nie. Czego się zresztą mogę spodziewać? Serca nasze nie zrównają się nigdy.

Takie myśli jasno i prędko przesnuły mi się po głowie—i postanowienie przyszło. Zerwałem się z miejsca i, ścisnąwszy mocno Celinę za obie ręce, uciekłem.

Kiedy już konie okrążyły trawnik i wbiegły do lipowej alei, kiedy się obejrzałem na uciekający jej ogród, jej dom i okna, z których może ona patrzy za mną, poczułem tak przemocny jakiś nakaz powrotu, że mi się oburącz chwycił wózka, a w piersi mi coś konało, jęcząc.

Co mi się stało, że się już dusza nie wyrwa do celu dawnego, że moje pragnienie straciło określone rysy? Nie tyle mnie boli, że sobie zagroziłem przyszłość, ale że mi to, co kochałem, więdnie w oczach i blednie. Gdyby kto wskrzesił Alfreda, gdyby moje winy, odpokutowane i naprawione, runęły w przepaść, jak skała, dzieląca mnie od dawno marzonych niebios, jużby mi nie wystarczył do szczęścia ten upragniony błękit.

Widzę teraz rzeczy, których nie widziałem dawniej. Widzę szarą, stromą drogę, mijającą się często z drogą zadowolenia osobistych pragnień. Czy nią pójdę?... Siły naprzód zebrać trzeba.

Młodzieńczą wiarę w miłość, jako w cel ostateczny zachwiała we mnie ta sama kobieta, której, mimo jej wiedzy i woli, poświęciłem tyle życia. Nie obwiniam jej: prawie nieświadomą była gwiazdą mego szczęścia i niedoli.

Trzeba mi teraz unikać nawet atmosfery rozkoszy. I ten kraj, w którym mieszkam otoczony estetycznymi wspomnieniami greckiej kolonii, że jest za ponętny, jest mi tylko chwilowym odpoczynkiem. Często, wśród nocy szafirowej rozciągniętej nad ziemią cudów i nad morzem łagodnym, przez egzotyczne zapachy czuję woń świeżą, trzeźwą naszych skib czarnych, krajanych ciężkim pługiem.

JÓZEF WEYSSENHOFF.

JOHN RUSKIN JAKO EKONOMISTA.

I.

John Ruskin należy bezwątpienia do rzędu tych ludzi, którzy w ostatnich czasach wywarli największy wpływ na rozwój społeczeństwa angielskiego. Pomimo to jest on także jednym z najmniej może znanych poza granicami swego kraju. Na dowód niezmiernego i głębokiego wpływu Ruskina na społeczeństwo angielskie dość przytoczyć, że był on dotychczas jedynym pisarzem, którego dzieła taką na siebie zwróciły uwagę, że już za życia autora potworzyły się towarzystwa, mające za specjalne zadanie ich studyowanie. Biograf Ruskina, Collingwood, ¹⁾ mówiąc o tem, sądzi, że jakkolwiek użyteczność tych towarzystw, ich zebrań i publikacji, może ulegać sporowi, w każdym razie jednak świadczą one o prawdziwym entuzyaźmie w społeczeństwie dla autora i jego dzieł. Pierwsze „Ruskin Society“ zawiązało się w 1879 r. w Manchester, później powstały inne w Londynie, Glasgowie, Liwerpolu. W 1887 r. utworzyło się „Ruskin Reading Guild“ w Szkocyi, z filiami w Anglii i Irlandyi. Pojawił się nawet dziennik „Igdrasil“, mający rozbierać kwestye naukowe i społeczne ze stanowiska, zajętego względem nich przez Ruskina. Żaden jeszcze z pisarzy takich dowodów uznania za życia swego nie otrzymał.

¹⁾ W. G. Collingwood: „The Life and work of John Ruskin.“ London. 1893. Vol. II, str 252.

Wobec tego następuje się pytanie: co ten człowiek zrobił dla społeczeństwa? czem zdołał sobie zdobyć takie niezmiernie, niebywale dotąd uznanie? Na pytanie to jednak trudno-by nam było dać wyczerpującą odpowiedź, dla tej prostej przyczyny, że działalność Ruskina była tak wszechstronna i tak rozmaita, iż, chcąc ją należycie ocenić, należało-by nam napisać obszerne dzieło, dotyczące kwestyi z najróżnorodniejszych gałęzi wiedzy ludzkiej. Dość na dowód tego przytoczyć niektóre dane.

Kapitałem dziełem Ruskina, które zwróciło na niego uwagę publiczności, było „Modern Painters“ (w trzech tomach). W dziele tem Ruskin zajmował się ze stanowiska estetyki malarstwem, w celu wykazania wyższości malarstwa nowożytnego nad starożytnem. W dziele tem Ruskin, jako filozof, stworzył teorię sztuki, dotychczas niezaprzeczoną, i stosunków jej do ludzkiego postępowania; jako historyk, rzucił nowe światło na średnie wieki, ilustrując w nieznanym dotychczas sposób kroniki ich pozostałymi zabytkami. Wogóle dzieło to zapewniło Ruskinowi naczelne stanowisko w kwestyach estetycznych w Anglii. ¹⁾ Co zrobił dla malarstwa w „Modern Painters“, to samo zrobił dla architektury w „Seven Lamps“, w „Stones of Venice“, w „Lectures on Architecture and Painting“ i wielu innych mniejszych pracach. Nietylko jednak sztuki piękne i estetyka zajmowały Ruskina. W „Glaziers of Savoy“, „Stratified Alps“, „Alps and Jura“ zajmował się geologią; w innych pracach krystalografią, botaniką, zoologią. W „Notes on the Construction of Sheepfolds“ rozbiierał kwestye teologiczne. W „Sesame and Lilies“, jednym z najpopularniejszych swoich dzieł, Ruskin zastanawiał się nad moralnymi warunkami kultury człowieka. W „Cestus of Aglaia“, „The Laws of Fésole“, „Work and Play“ zajmował się kwestyami pedagogicznymi. W „Time and Tide“, „Crown of the Wild Olive“, „Fors Clavigera“, wystąpił jako reformator społeczny, przedstawiając swój ideał, do którego, zdaniem jego, winno było dążyć społeczeństwo. Jeżeli dodamy do tego, że Ruskin był poetą, dobrym rysownikiem, który mógłby zostać odznaczającym się malarzem, gdyby poświęcił się wyłącznie sztukom pięknym, że zajmował się praktycznie nauczaniem, że miał mnóstwo odczytów publicznych w najrozmaitszych kwestyach, zyskamy słabe zaledwie pojęcie o jego wszechstronności. Wspomnieć jeszcze wypada, że Ruskin był także praktycznym filantropem, który brał żywy udział w założeniu rozmaitych instytucyi filantropijnych i cały swój znaczny (około 200,000 f. st.), po ojcu oddziedziczył.

¹⁾ Colingwood: 1. c. T. I, str. 222. W estetycznymi pojęciami Ruskina zaznajomili Francuzów Józef Milsand w „Esthetique anglaise“ i Ernest Chesneau w „Ecole anglaise.“

czony majątek, poświęcił na cele dobroczynne, sam zaś żyje obecnie z tego, co mu prace autorskie przyniosą. Ta właśnie różnostronność działalności Ruskina stoi na przeszkodzie do wszechstronnego jej ocenięcia. Dlatego w dalszym ciągu zastanowimy się nieco obszerniej nad jedną tylko jej stroną, mianowicie nad jego *pojęciami ekonomicznymi*.

Do czterdziestego roku życia Ruskin zajmował się przeważnie sztukami pięknymi i estetyką. ¹⁾ Doszedłszy do wieku dojrzałego, zwrócił uwagę na kwestye bardziej palące, ekonomiczne. Doprowadziły go do tego jego stosunki z klasami pracującymi, jako nauczyciela w szkołach rysunkowych. Wprawdzie w niektórych swoich poprzednich pracach dotykał także kwestyi ekonomicznych, działało się to jednak więcej ubocznie. Już w 1856 r. w czasie wystawy sztuk pięknych w Manchester, Ruskin miał odczyty pod tytułem: „The political economy of Art“, Ekonomia polityczna sztuk pięknych, traktujące kwestye, na które nie znajdował odpowiedzi ani w Millu, ani w Ricardo lub innym ekonomście starszej szkoły. W odczytach tych rozwijał myśl, że ekonomia polityczna winna była wskazać najlepsze środki do zużytkowania artystów, wykształcenia rzemieślników i robotników, wyrobienia lepszego gustu w publiczności. Sztuki piękne uważał za bogactwo, dlatego chciał wiedzieć, jak je produkować, i jak z nich korzystać. W odczytach tych Ruskin porównywał organizm polityczny, państwo, do gospodarstwa, w którym prawdziwa ekonomia polegała nie na oszczędzaniu tylko lub bezczynności, ale na czynnem zarządzaniu i kierowaniu. Według niego rząd państwa, jako dobry gospodarz, nie mógł zadowolnić się zasadą, „Laissez faire“, ale winien był popierać wszystkie prawdziwe interesy społeczeństwa, czuwać nad wszystkimi przemysłami i sztukami pięknymi, będącymi źródłem cywilizacji. Dlatego rząd winien był, zdaniem Ruskina, starać się o wykształcenie artystów i rzemieślników.

Bawiąc w 1860 r. w Szwajcaryi, Ruskin postanowił wyłącznie prawie zająć się ekonomią polityczną. Rezultatem tego były cztery studia, pomieszczone w „Cornhill Magazine“, redagowanym wówczas przez Thackeray'a, które wyszły później w oddzielnem wydaniu pod ogólnym tytułem: „Unto this last“.

W 1862 r. Ruskin pomieścił znów szereg artykułów treści ekonomicznej w „Fraser's Magazine“, które w 1871 r. wyszły pod ogólnym tytułem: „Munera pulveris“. W artykułach tych krytykował ekono-

¹⁾ Ruskin urodził się 8 lutego 1819 r.

mię polityczną, jak ją stworzyli starsi ekonomiści, Smith, Ricardo i inni. Ekonomia polityczna tej szkoły była według niego postępem względnie do surowych pojęć w tym w przedmiocie, datujących od Machiavellego. Dostarczyła ona szerszych poglądów na zadania ekonomiczne, prawdy jednak przez nią dostarczone już się zużyły. Była ona wpływem filozofii XVIII w., kierując się zaś bezwzględną abstrakcją, chciała z faktów, istniejących w danej chwili, wyciągnąć wieczne i niezmiennie prawa, rządzące stosunkami ekonomicznymi. Zapomniała ona jednak o tem, że ludzkość postępuje i że inne czasy wymagają innego rozwiązania trudności ekonomicznych. Dowodził, że stara ekonomia polityczna nie uwzględniała wszystkich faktów, odnoszących się do niej, jak każda prawdziwa nauka winna to czynić. Ekonomia ta nie odpowiadała, zdaniem jego, prawdziwej naturze człowieka, gdyż zaniedbywała zupełnie pojęć moralnych, uczciwości, prawości, na których opierało się społeczeństwo, handel zaś i przemysł tylko wskutek ich istnienia mogły się pomyślnie rozwijać. Błędem jej było, że uważała za ogólne prawa proste uogólnienia, wyciągane z pojedynczych faktów. Tak np. konkurencya, uznana przez nią za prawo, nie była prawem, ale tylko jedną fazą stosunków handlowych. Gdyby była prawem, była-by wszędzie, jak prawo ciężenia, zjawiskiem powszechnem i niezmiennem, gdy tymczasem w wielu wypadkach wcale nie istnieje, bądź wskutek woli jednego człowieka, monopolisty, bądź towarzystwa ludzi, bądź kooperacyi. W innych wypadkach przeszkadza ona rozwojowi bogactw, który ma niby popierać. Tak samo podaż i popyt nie są prawem w tem znaczeniu, że nie są niezbędnym warunkiem wszelkiej produkcji. Dowodem tego są dzieła sztuk pięknych i poezyi, dostarczane bez względu na popyt, albo środki do życia, których jest za mało. Wskutek tego dochodził do wniosku, że stara ekonomia polityczna nie zasługiwała na tę nazwę, że do prawdziwej ekonomii politycznej była w takim stosunku, jak alchemia do chemii, że w każdym razie wymagała reformy i rekonstrukcyi. Nie była to nawet ekonomia polityczna, ale kupiecka, *commercial*, gdyż zajmowała się tylko jednostronnie interesami i korzyściami jednej tylko klasy ludzi, t. j. handlujących, a nie interesami i korzyściami całego społeczeństwa. Kiedy te mniemane prawa mniemanej nauki były wzięte za praktyczne przepisy postępowania, wpadały często w kolidyżę z zasadami prostej moralności, albo stawały się pokrywką bezwzględnego egoizmu. Tak np. w wypadku używania dzieci w fabrykach, sprzedawania dzikim gorących napojów, albo złych i szkodliwych towarów. Dlatego Ruskin dochodził do wniosku, że ówczesna ekonomia polityczna była nauką przestarzałą, nie lepszą od pogaństwa, w imię której każde zło można było usprawiedliwić. W tym duchu starał się wyjaśnić dalej swoje pojęcia ekonomiczne.

Chcąc bliżej poznać ekonomiczne poglądy Ruskina, zastanówmy się obszerniej nad pojęciami wyrażonemi w „Unto this last“. ¹⁾

II.

W przedmowie do tego wydania Ruskin twierdził, że dotychczasowa ekonomia polityczna nie dała nawet dokładnego pojęcia o bogactwie. Tak np. Mill, nie starając się wystawić ścisłego określenia bogactwa, poprzestawał na ogólnikowym wyrażeniu: „Każdy ma dość poprawne pojęcie o tem, co jest bogactwo.... Celem tego dzieła nie będzie dążenie do metafizycznej jasności tego pojęcia.“.... ²⁾ Zdaniem jednak Ruskina dokładne pojęcie bogactwa jest niezbędne, bez niego ekonomia polityczna obejść się nie może. Dlatego pierwszym jego celem w napisaniu owych studyów było dać dokładne pojęcie o bogactwie, jako podstawie ekonomii politycznej.

Drugim celem było wykazanie, że nabycie bogactw ostatecznie możliwe jest tylko przy istnieniu pewnych *moralnych* warunków w społeczeństwie, do których przedewszystkiem należała zwykła *uczciwość*. „Uczciwość, mówił Ruskin, nie jest siłą przeszkadzającą ekonomii politycznej. Jest ona siłą stałą, dominującą; jedynie przez posłuszeństwo względem tej siły ekonomia polityczna może wyjść z dotychczasowego chaosu.“ Dlatego, zdaniem jego, najważniejszym dla nas celem obecnie było dojść do uczciwości. „Czyż nie mamy nic więcej od siebie żądać, tylko tego, żebyśmy byli uczciwi? Jak na teraz, niczego więcej. Zdaje się, jak gdybyśmy w naszych aspiracyach do czegoś wyższego utracili nawet możliwość być uczciwym. Nie tu miejsce rozbierać w co moglibyśmy utracić wiarę, nie ulega jednak wątpliwości, żeśmy utracili wiarę w zwykłą uczciwość i jej siłę. Dlatego najważniejszym naszym zadaniem jest odzyskać tę wiarę i pielęgnować ją.“ — „W miarę tego, jak w danem państwie istnieje większa ilość ludzi uczciwych, państwo to może liczyć na większą pewność swego istnienia.“ Takie były idee, któremi kierował się Ruskin w dalszych co do tego wywodach.

Nie jednemu mogło-by się zdawać, że takie nawoływanie do prostej uczciwości było pozbawione wzniosłości, że było zbyt powszedniem, że z uczciwości nie można było robić hasła, w imię którego powinno-by się występować, gwiazdy przewodniej, która-by mogła poprowadzić ludzkość do lepszej przyszłości. Tak jednak nie jest; codzienna bowiem obserwacya życia doprowadza do wniosku o powszechnym upadku tej

¹⁾ „Unto this last: Four essays on the first principles of political economy“. London. Wyd. 8. 1892.

²⁾ J. S. Mill: Principles of Polit. Economy. Preliminary Remarks str. 2.

cnoty, a zarazem o zgubnych tego następstwach. Chciwość, żądza szybkiego z bogaceniam się, chęć używania, charakterystyczne cechy dzisiejszego społeczeństwa, kazały o niej zapomnieć. Wynikiem tego jednak jest powszechny upadek moralny, dający się spostrzedz nawet w sferach, które od tego winny być wolne (Panama).

W pierwszym swoim studyum „The Roots of honour“ Ruskin twierdził, że pomiędzy złudzeniami, któremi w różnych czasach karmiła się ludzkość, najciekawszem, a zarazem najmniej zasługującym na wiarę, było twierdzenie nowej ekonomii politycznej, jakoby można nakreślić kodeks działalności społecznej, nie zważając wcale na wpływ jakichkolwiek uczuć sympatycznych, miłości, przywiązania (affection). Teraźniejsza ekonomia polityczna twierdzi, że uczucia takie są czynnikiem, nie mającym znaczenia dla człowieka, ale że egoizm, chciwość jest czynnikiem niezbędnym. Dlatego chce wykluczyć z rachuby wszelkie czynniki niepotrzebne i wskutek tego, uważając człowieka za rodzaj maszyny, dąży do odkrycia praw produkcji, pracy i t. d., za pomocą których można-by nagromadzić największą ilość bogactw. Zdaniem jednak Ruskina inaczej należy się na tę kwestyę zapatrywać; przypuszczać bowiem, że społeczeństwo może się obejść bez takich uczuć, jest to samo, co przypuszczać, że organizm człowieka może istnieć bez podtrzymującego go systemu kostnego.

Wychodząc z tego zapatrywania się teraźniejsza ekonomia polityczna nie jest w stanie rozstrzygnąć nawet sporu między pracodawcami i robotnikami. Według niej pracodawcy zapatrują się na kwestyę, różniące te klasy społeczne, z jednego punktu widzenia, robotnicy z drugiego, ekonomia polityczna zaś nie może zaprowadzić między nimi zgody. Według niej tak nawet być musi, bo dwie te klasy podzielone są sprzecznymi interesami, z których koniecznie musi wypływać wzajemny antagonizm. Tymczasem zgoda taka jest możliwa. Weźmy na przykład matkę, dzielącą się z dzieckiem swem ostatnim kęsem chleba. Interesy ich są sprzeczne, ale ztąd nie wypływa, żeby miał być między nimi antagonizm, żeby matka, będąc silniejsza, zjadła wszystko, nie dając nic dziecku. Tak samo i w innych stosunkach ludzkich: sprzeczność interesów niezawsze pociąga za sobą antagonizm i niema konieczności, żeby ludzie zachowywali się wrogo względem siebie i używali podstępów lub przemocy do odniesienia korzyści. Fałszywym też jest twierdzenie ekonomii politycznej, jakoby między pracodawcami i robotnikami zachodziła zawsze sprzeczność interesów, w jednych bowiem kwestyach interesy ich mogą być zgodne, w drugich sprzeczne. Tak np. interesem jednych i drugich jest, żeby robota była dobrze wykonana i żeby sprawiedliwa zapłata była za nią dana; w podziale tylko zysków zysk jednych może być ze stratą innych, lub bez tej straty.

Nie leży w interesie pracodawców, ażeby zarobek robotników był tak niski, iżby nie potrafili utrzymać się za swoją zapłatę w zdrowiu i zadowoleniu; nie leży też w interesie robotników, żeby płaca ich była tak wysoka, iżby pracodawcy nie mogli pomyślnie prowadzić swego przedsiębiorstwa. Rozmaitość jednak okoliczności, wpływających na wzajemne interesy, jest nieskończona; dlatego napróżno staralibyśmy się o wyprowadzenie jakichś norm, przepisów działania, tylko ze względów praktycznych (from balance of expediency). I słusznie, gdyż, jak się wyraża Ruskin, „zamiarem Stwórcy nie było, żeby ludzie kierowali się zasadami praktyczności, ale *zasadami sprawiedliwości*. Dlatego wszelkie usiłowania oznaczenia, co może być praktyczne, zawsze będą bezowocnymi. Nikt nie może powiedzieć, jaki będzie ostateczny rezultat postępowania jego lub innych ludzi, każdy jednak może, a nawet powinien wiedzieć, jaki czyn jego jest sprawiedliwy, a jaki niesprawiedliwy. Każdy też z nas może wiedzieć, że następstwa czynu sprawiedliwego w ostatecznym rezultacie będą *możliwie najlepsze* (best possible), dla nas i dla innych, chociaż nigdy nie możemy powiedzieć ani co jest najlepsze, ani w jaki sposób dojść do tego.“ — „Powiedziałem *zasady sprawiedliwości*, rozumiejąc pod tem wyrażeniem i uczucia sympatii, *affection*, jakie ludzie winni mieć względem siebie wzajemnie. Wszystkie stosunki między pracodawcami i robotnikami i wszystkie ich najważniejsze interesy od tego zależą.“

Ruskin twierdzenie swoje ilustruje kilku przykładami. I tak, zastanawiając się nad stosunkami panów i służby domowej, dochodzi do wniosku, że największa ilość pracy będzie zrobiona wtedy, kiedy czynnik, pobudzający człowieka, to jest wola jego, będzie podniesiony do najwyższej potęgi własną swą siłą, to jest uczuciami. Ogólnem prawidłem w tej kwestyi będzie to, że, przypuszczając jednakową ilość energii i rozumu tak w panu, jak i w służącym, dojdą oni do największych rezultatów nie tam, gdzie będzie istniał między nimi antagonizm, ale tam, gdzie będzie między nimi wzajemna miłość, *affection*. Tak samo nie ten dowódca pułku osiągnie najlepsze rezultaty, który oddziałem swoim będzie rządził za pomocą prawideł ścisłej karności, ale ten, który przez pamiętanie o życiu i potrzebach swoich żołnierzy potrafi wzbudzić w nich przywiązanie do siebie i wiarę w swój charakter.

Przechodząc od tych prostych przykładów do więcej skomplikowanych, do stosunków między patronami i robotnikami, Ruskin twierdzi, że w stosunkach tych trudniej jest wzbudzić uczucia przywiązania, aniżeli między innymi ludźmi. Żołnierze nieraz dochodzą do tak spotęgowanych uczuć, że zdolni są poświęcić swe życie za życie wodza; nie łatwo jednak wyobrazić sobie takie entuzjastyczne poświęcenie robotników w przedzalni bawelny dla właściciela fabryki. Pochodzi to ztąd,

że na pierwszych działają niektóre pobudki, nie mające wagi dla drugich, jak np.: miłość sztandaru, ambicya i t. p. Przeciwnie, na robotników działają pobudki, mogące spotęgować ich niezadowolenie, a więc i wzbudzić nieprzyjaźń, niechęć, *disaffection*. Tak np. robotnik godzony jest za zapłatę, która może się zmieniać stosownie do popytu na pracę, a nawet może być zupełnie pozbawiony zarobku, w razie niekorzystnych szans przemysłowych.

Żeby wzbudzić te sympatyczne uczucia, tak ważne nawet i w działalności ekonomicznej. Ruskin uważa za konieczne rozstrzygnąć przede wszystkim dwie kwestye, od których to zależy.

Pierwsza polega na tem, aby stopę zarobku uregulować tak, żeby nie zmieniała się z każdą zmianą w popycie na pracę; druga na tem, żeby całe grupy robotników były godzone za stałą oznaczoną płacę, wskutek czego ilość ich nie powiększała-by się, ani zmniejszała, przy najłżejszej zmianie na rynku przemysłowym. Jeżeliby te dwie kwestye zdołano rozwiązać pomyślnie, wzbudzono-by w robotnikach stały interes w utrzymaniu zakładu, w którym pracowali, interes podobny do przywiązania do domu dawnych sług, lub żołnierzy do swego sztandaru.

Co do pierwszej kwestyi Ruskin twierdzi, że jednym z najcięższych faktów w historii ludzkich błędów jest ten, iż dzisiejsza ekonomia polityczna zaprzecza możliwości takiego oznaczenia stopy zarobku, bez względu na to, że już obecnie, w ważniejszych nawet rodzajach pracy, stopa ta została oznaczona. „Nie sprzedajemy, mówi on, urzędu naszego pierwszego ministra z licytacji, po śmierci zaś biskupa nie oddajemy jego dycecezyi temu, ktoby się tego podjął za najmniejsze pieniądze.“—„Jeżeli jesteśmy chorzy, nie żądamy doktora, który-by brał mniej od gwinei; jeżeli mamy sprawę, nie zniżamy taksy adwokata; w czasie ulewy nie szukamy dorożkarza, któryby wziął mniej niż sześć pensów za milę.“ Wogóle nawet można powiedzieć, „że najlepsza praca zawsze była i jest, tak jak powinno być, płacona podług niezmiennej stopy.“ Ztąd dochodzi do wniosku, że dobry i zły robotnik winien być płacony jednakowo. Na wypadek, gdyby zdanie to wydało się dziwnem czytelnikowi, Ruskin mówi: „różnica między kazaniem jednego duchownego i kazaniem jego następcy, między poradą jednego i drugiego lekarza, może być daleko większa pod względem rezultatów dla ludzi od różnicy między dobrym i złym mularzem. Jeżeli jednak płacicie jednakowe wynagrodzenie złemu i dobremu robotnikowi, pracującemu koło waszej duszy, lub waszego ciała, tem więcej powinniście płacić takie wynagrodzenie tym, którzy pracują koło waszego domu.“—Zarzuca mi na to, mówi dalej, że każdy ma prawo wybrać swego lekarza lub swego duchownego, i w ten sposób uznać ich

pracę. Ale w każdym razie wybieracie także waszego mularza, i to będzie właściwą nagrodą dobrego robotnika, że będzie wybranym." Wskutek tego Ruskin dochodzi do wniosku, że w naturalnym i sprawiedliwym systemacie pracy winna być ona wynagradzana według stałej stopy, z tą tylko różnicą, że dobry robotnik będzie wybrany, a zły nie. Fałszywym zaś i destrukcyjnym systematem będzie taki, w którym złemu robotnikowi wolno zaofiarować swoją pracę za pół ceny i w ten sposób albo zając miejsce dobrego robotnika, albo zmusić go, przez swoją konkurencyę, do pracowania za niewystarczające wynagrodzenie. Dlatego też równość zarobków, „equality of wages“, winna być pierwszym celem, do którego społeczeństwo winno dążyć.

Co do drugiej kwestyi Ruskin twierdzi, że główną trudnością w rozwiązaniu jej jest nagłe powiększenie się popytu, zdarzające się nieraz w rozwoju przemysłowym. Jest to więc wogóle zadaniem organizacji pracy. W zwykłym jednak czasie zadanie to można łatwiej rozwiązać. Jeżeli zajęcie robotnika jest tego rodzaju, że ulega przerwom, oczywiście stopa zarobku musi być wyższa, bo tak robotnik, pracujący przez trzy dni na tydzień, jak i pracujący sześć dni tygodniowo, musi zarobić na całotygodniowe utrzymanie. Przy obecnym stanie przemysłu zrobiono z tego jednak rodzaj loteryi. Pracodawcy wyzyskują w tej grze lenistwo i zmysłowość robotników, korzystając z każdej okazji znizienia stopy zarobku, robotnicy zaś wolą trzy dni pracować z wysiłkiem, a drugie trzy przepędzać w pijaństwie, aniżeli sześć z umiarkowanym odpoczynkiem. Dlatego kwestya ta niemoże być rozwiązana, dopóki pracodawcy i robotnicy nie zreformują się i nie zaprowadzą w zwyczajach swoich większej regularności. Główną trudnością pod tym względem jest to, że klasa przemysłowa wogóle mniej od innych zdolna jest do poświęcenia swoich osobistych interesów, że brak jej pewnych, niezbędnych do tego, moralnych przymiotów.

Do wniosku tego Ruskin dochodzi na mocy następnego rozumowania.

Dziwnem mogło-by się zdawać na pierwszy rzut oka, że klasa wojowników, żołnierzy, cieszy się w każdym społeczeństwie większem poważaniem, aniżeli klasa przemysłowców, chociaż, racjonalnie biorąc, winno-by być przeciwnie. Pierwszej bowiem głównem zadaniem jest zabijanie innych ludzi, gdy drugiej, złożonej ze spokojnych obywateli, przedawanie i kupowanie. Przyczyna tego polega na tem, że prawdziwym zadaniem żołnierza jest nie to, żeby zabijać, ale żeby w danym razie dać się zabić. Dlatego świat płaci mu za to większą cześć. Postawcie żołnierza na wyłomie fortecy, ze śmiercią przed nim, ze wszystkimi rozkoszami tego świata poza nim, obowiązkiem jest jego nie cofnąć się, ale zginąć śmiercią bohatera w imię obowiązku.

Tak samo większe poważanie świata dla prawnika lub lekarza wypływa stąd, że zdolni oni są do poświęcenia swoich interesów. Prawnika, sędziego, poważamy wtedy, kiedy wiemy, że całej swojej wiedzy usiłuje używać do wymierzania sprawiedliwości, wbrew nawet swoim interesom; ale odejmiemy mu je, jeżeli, ulegając im, dał się przekupić. Tak samo utracimy wszelkie poważanie dla lekarza, który używałby swojej wiedzy w przestępnych celach, pomagając np. za zapłatę do śmierci osób, które miał leczyć. Mniejsze poważanie, jakie świat oddaje przemysłowcom, aniżeli ludziom t. zw. liberalnych zawodów, wypływa z tego przypuszczenia, że działalność ich jest zawsze egoistyczna. Wprawdzie działalność ta może być konieczna dla społeczeństwa, motywy jej jednak w ogólnem przekonaniu są egoistyczne. Celem jej jest odniesienie z operacji przemysłowej największego zysku osobistego i pozostawienie najmniejszego zysku innym, np. kupującym. Dlatego świat, płacąc im mniejszem poważaniem, wyraża w ten sposób naganę dla ich egoistycznej działalności.

Według Ruskina pięć jest głównych zawodów, mających zaspakajać pewne potrzeby społeczeństwa, mianowicie: wojowników, obowiązanych je bronić; duchownych, którzy obowiązani są uczyć; lekarzy, mających starać się o jego zdrowie; prawników, obowiązanych wymierzać sprawiedliwość, a wreszcie przemysłowców (kupców)¹⁾, mających zaspakajać inne jego potrzeby. Obowiązkiem zaś wszystkich tych ludzi *w razie potrzeby, on due occasion*, umrzeć za społeczeństwo. Kiedyż dla nich wyniknie ta potrzeba? Dla żołnierza wtedy, gdy winien umrzeć raczej, aniżeli opuścić pole bitwy; dla lekarza, kiedy trzeba raczej śmierć ponieść, aniżeli opuścić swoje stanowisko w czasie zarazy; dla duchownego, kiedy mu powinność każe prędzej umrzeć, aniżeli uczyć fałszu; dla prawnika, gdyby miał stawiać tamy i przeszkadzać wymiarowi sprawiedliwości. „A dla przemysłowca, pyta Ruskin, kiedy wypadnie ta potrzeba? Pytanie to jest ważne nie tylko dla niego, ale dla nas wszystkich, bo człowiek nie wiedzący, kiedy winien umrzeć, nie wie, jak powinien żyć.“ — „Pamiętaj, że funkcją przemysłowca jest zaspokojenie potrzeb narodu. Zadanie jego nie polega jedynie na osiągnięciu zysku osobistego z przedsiębiorstwa, tak jak zadaniem duchownego nie może być tylko otrzymanie dochodu z beneficium, albo lekarza zdobycie honorarium. Dochód z beneficium, honorarium, zysk, są tylko słusznie należnym dodatkiem, wynagrodzeniem za zadanie, które, bądź co bądź, winno być spełnione. Zadaniem duchownego jest uczyć, lekarza uzdrawiać, a przemysłowca zaspakajać

¹⁾ Ruskin używa tu wyrazu *merchant*, kupiec, widocznie jednak, że wyrazowi temu nadaje obszerniejsze znaczenie.

inne potrzeby narodu, *to provide*. Dlatego winien on zbadać do gruntu przymioty rzeczy, które produkuje, lub którymi handluje, sposoby otrzymywania i produkowania ich, a następnie obrócić całą swoją energię na produkowanie ich lub otrzymywanie w stanie najlepszym i rozdzielanie po cenach najtańszych.“—Ponieważ znów produkcyja wymaga koniecznie współdziałania wielu ludzi, przemysłowiec więc staje się ostatecznie rządcą i kierownikiem ich w sposób więcej może bezpośredni, aniżeli duchowny lub dowódca oddziału wojska. Wskutek tego na niego spada w znacznej części odpowiedzialność za życie, jakie prowadzą. Jego obowiązkiem jest nietylko zważać na to, jak produkować najtaniej najlepsze towary, ale i na to, jak zrobić rozmaite zajęcia w produkcyi najkorzystniejszymi dla ludzi do niej użytymi.“

„Ponieważ obydwie te funkcye dla dobrego wykonania wymagają najwyższej inteligencji, cierpliwości, dobroci i taktu, przemysłowiec więc obowiązany jest użyć całej swojej energii, a nawet w razie potrzeby oddać swe życie, dla ich spełnienia, tak jak żołnierz albo lekarz obowiązani są do tegoż w podobnym wypadku. Wskutek tego w swojej funkcyi zaspakajania potrzeb narodu winien zwracać uwagę na dwie rzeczy: naprzód na dotrzymanie słowa w zobowiązaniach, będące podstawą wszelkiego przemysłu, i powtóre na doskonałość i rzetelność swoich produktów. Wskutek tego przemysłowiec winien prędzej znieść wszelkiego rodzaju klęskę, pracę, ubóstwo, aniżeliby miał uchybić swoim zobowiązaniom, albo zezwolić na pogorszenie lub zafalszowanie produktów, na niesprawiedliwą lub nadmierną ich cenę.“

Jeżeli znów idzie o jego obowiązki, jako rządzącego ludźmi, używanymi przez niego, przemysłowiec ma względem nich ojcowską władzę i odpowiedzialność. Winien więc zachować się względem nich, jak ojciec względem własnych dzieci. „Każdy się zgodzi, że jeżeli kapitan okrętu umieścił syna swego na statku w charakterze majtka, obowiązany jest obchodzić się z innymi ludźmi na równi z nim. Tak samo, jeżeliby właściciel fabryki umieścił w niej z jakichkolwiek względów swojego syna, winien jest traktować każdego z ludzi tam samo. I to jest jedynie skuteczne, praktyczne i prawdziwe prawidło, które ekonomia polityczna może co do tego ustanowić.“—„I jak kapitan okrętu winien jest ostatni opuścić pokład w razie rozbicia, i dzielić się ostatnim kęsem chleba ze swoimi majtkami, tak samo przemysłowiec w każdym przemysłowym kryzysie obowiązany jest cierpieć wraz ze swoimi ludźmi, a nawet i więcej, jak ojciec, który w czasie rozbicia się okrętu, głodu albo bitwy, poświęcił się za syna.“

„Wszystko to, powiada dalej Ruskin, brzmi bardzo dziwnie, rzeczywicie jednak dziwić się należy, że to się tak dziwnem wydaje; jest to bowiem szczerą prawdą i to nietylko chwilowo albo teoretycznie, ale

wiecznie i praktycznie. Wszelka inna co do tego doktryna jest fałszem w założeniu, absurdem we wnioskach, niemożliwością w praktyce, niezgodną z jakimkolwiek postępem w życiu narodowym.“

Do takich więc wniosków dochodzi Ruskin co do stosunków, jakie istnieć winny między pracodawcami i robotnikami w każdej gałęzi przemysłu, jeżeli, urządzając stosunki ekonomiczne, wyjdziemy ze stanowiska prostej uczciwości, jeżeli pozbedziemy się złudzenia, że ekonomia polityczna może obejść się bez uczuć i że ludzie są tylko automatami, maszynami, bez krwi i ciała, do produkowania bogactw. Wtedy też i klasa przemysłowców zyska na poważaniu w społeczeństwie, gdyż i ona będzie miała wznioślejszy cel, do którego dążyć będzie, i ona uzna, że oprócz osiągnięcia zysku osobistego, ma inne zadania, dla których w razie potrzeby winna się poświęcić. Wtedy też można będzie rozstrzygnąć drugie pytanie, o którym wyżej mówiliśmy.

III.

W przewidywaniu, że powyższe pojęcia mogą się spotkać z zarzutami ze strony ekonomistów, Ruskin w następnym studyum „The veins of Wealth,“ stara się wykazać ich bezzasadność.

„Ekonomiści, według niego, mogą przyznać, że z rozwoju uczuć społecznych da się osiągnąć pewne korzyści ogólnej natury, zdaniem ich jednak nie na wiele się to przyda ekonomii politycznej, która jest nauką, mającą na celu nie korzyść ogólnej natury, ale wskazanie przepisów, jak się stać bogatym, doświadczenie zaś dowiodło, że ta nauka jest praktyczną. Ludzie, którzy takich przepisów słuchali, zostali bogatymi, ci co na nie nie zważali, zostali biednymi.“ — „Naprawdę przytaczając, powiedzą oni, łamigłówki logiczne przeciwko sile faktów spełnionych. Każdy spekulant wie z doświadczenia, jak robił pieniądze i jak je tracił.“

Ruskin przyznaje, że spekulanci mogą wiedzieć z własnego doświadczenia, jak robili pieniądze, lub jak je tracili, twierdzi jednak, że poznali oni tylko niewiele z praw ekonomii kupieckiej, *mercantile*, nie poznali zaś ani jednego z praw ekonomii politycznej, albo narodowej, jak ją należy, zdaniem jego, pojmować. Dlatego wyjaśnia, co rozumie pod jedną i drugą.

Ekonomia polityczna albo narodowa polega na produkowaniu, zachowaniu i podziale, w najwłaściwszym czasie i miejscu, rzeczy pożytecznych lub przyjemnych. Tak się zapatrując, rolnik, który zbiera we właściwym czasie swoje siano, cieśla okrętowy, wbijający dobrze gwoździe w zdrowe drzewo, mularz, kładący dobrze cegły na dobrym cemencie, pani domu, dbająca o swoje meble w salonie, śpiewak, nie

wysilający swego głosu, działają w duchu ekonomii politycznej we właściwym tego słowa znaczeniu, bo ciągle coś dodają do bogactwa i dobrobytu narodu.

„Ale ekonomia merkantylna znaczy nagromadzenie w rękach jednostek władzy nad pracą innych, albo pretensyi do niej, każda bowiem taka pretensya przypuszcza koniecznie, że jeżeli z jednej strony będzie bogactwo, z drugiej musi być tyleż ubóstwa.“ — „Według ekonomii merkantylnej *bogactwo* jest pojęciem względnem, jest przeciwieństwem ubóstwa, tak jak północ jest przeciwieństwem południa. Bogactwo jest siłą działającą na wzór elektryczności, przez wzajemną negację. Siła gwinei, którą kto ma w kieszeni, zależy w zupełności od braku jej w kieszeni sąsiada. Jeżeli ten sąsiad nie potrzebuje jej, nie będzie miała żadnej wartości dla właściciela; stopień jej siły zależy właśnie od potrzeby lub pragnienia jej w drugiej osobie. Dlatego w zwykłym znaczeniu ekonomii merkantylnej sztuka wzbogacenia się znaczy w istocie sztukę utrzymywania swego sąsiada w ubóstwie.“ Ale taka ekonomia nie koniecznie powiększa bogactwo lub dobrobyt społeczeństwa. Główna nawet różnica między ekonomią merkantylną, jak jej uczą terazniejsi ekonomiści, i ekonomią polityczną, polega, zdaniem Ruskina, na tem, że pierwsza ma na celu tylko dobrobyt materialny pojedynczych jednostek, ostatnia zaś ma na celu takie bogacenie się, które było-by z korzyścią dla wszystkich.

Merkantylna ekonomia pojmuje bogactwo, jako władzę nad pracą innych dlatego, że choćby kto posiadał niezmierzone obszary ziemi, niezliczone stada bydła, wspaniałe zamki, wszystkie te bogactwa będą dla niego bez wartości, jeżeli nie będzie mógł dostać za swoje gwineje służących, którzyby chodzili koło tych bogactw, a nie dostanie ich, jeżeli obok niego nie będzie pewnej ilości biednych, potrzebujących jego gwinei. Gdyby nie mógł dostać ani jednego służącego, wszystkie jego posiadłości spustoszałyby, zamieniłyby się w ruinę, a on sam stałby się biedakiem. Nikt nie chciałby być bogatym w takich warunkach. Dlatego ludzie, pragnąc bogactw, pragną w istocie władzy nad innymi; pod bogactwem rozumieją w gruncie rzeczy siłę, za pomocą której mogą obrócić na swoją korzyść pracę innych, domownika, służącego, rzemieślnika, artysty, w obszernem znaczeniu siłę kierowania wielkimi masami narodu w najrozmaitszych celach, stosownie do usposobienia bogatego. Ta zaś potęga bogactwa jest większa lub mniejsza w stosunku prostym do ubóstwa ludzi, którzy jej ulegają, lub w stosunku odwrotnym do ilości bogatych, gotowych dać tę samą cenę za rzecz, której dostarczenie jest ograniczone. Artysta będzie śpiewał za marną zapłatę, dopóki będzie jedna osoba bogata, chcąca go usłyszeć. Niechaj będzie ich więcej, będzie śpiewał dla tego, kto mu lepiej zapłaci.

„Tak więc w zwykłym rozumieniu sztuka zostania bogatym nie jest absolutnie sztuką nagromadzenia mnóstwa pieniędzy dla nas samych, ale sztuką wymyślenia środków, żeby nasi sąsiedzi mieli mniej. Ścisłe biorąc, jest to sztuka ustanowienia *maximum* nierówności na naszą własną korzyść.”

Nie można też powiedzieć, żeby taka nierówność była bezwzględnie korzystna lub niekorzystna dla społeczeństwa, gdyż zależy to od różnych okoliczności. „Wiecznem i niezmiennem prawem pod tym względem będzie, że zbawienność tej nierówności zależy naprzód od sposobu, w jaki powstała, a następnie od celów, do których jest stosowana. Nierówność bogactwa, niesłusznie ustanowiona, z pewnością wyrzędzi krzywdę narodowi, wśród którego istnieje, źle zaś kierowana, zaszkodzi mu jeszcze więcej. Słusznie jednak ustanowiona przyniesie mu korzyść, a skierowana do szlachetnych celów, stanie się jeszcze korzystniejszą. Będzie to wtedy znaczyć, że w czynnym i dobrze rządzącym się narodzie różna siła jednostek, wykonywana w całej pełni i zastosowana do różnych potrzeb, doprowadziła do nierównych, ale harmonijnych rezultatów, otrzymując nagrodę, stosownie do swej wartości. Przeciwnie, w beczynnym i źle rządzącym się narodzie, upadek różnego stopnia (*the gradation of decay*) wytworzy cały systemat podległości albo powodzenia, wystawiając, zamiast harmonijnego współdziałania zgodnych sił, niesłuszną przewagę z jednej, a upadek i nędzę z drugiej strony.”

W ten sposób cyrkulacya bogactw w narodzie podobna jest do krążenia krwi w ludzkim ciele. Jedna wszakże jest żywa, podtrzymująca zdrowie i życie w człowieku, druga chorobliwa, niezdrowa, wiodąca go do śmierci i rozkładu. Na poparcie tego Ruskin przytacza kilka przykładów, ilustrujących zdrową i niezdrową cyrkulacyę bogactw. Nie mogąc się wdawać w szczegółowy rozbiór tych przykładów, poprzestajemy na stwierdzeniu, że wszędzie, w każdym społeczeństwie, gdzie jednostki kierują się uczuciami altruistycznymi, bogactwa powiększać się będą z korzyścią nie tylko jednostek, ale i całego społeczeństwa, tam też społeczeństwo to będzie postępować stosownie do zasad prawdziwej ekonomii politycznej. Przeciwnie, gdzie uczuć tych nie będzie, tam jedne jednostki z bogacą się, ale ze szkodą nie tylko innym, które będą tem biedniejsze, lecz i całego społeczeństwa. Dlatego zdaniem Ruskina, „Cała kwestya nie tylko korzyści, ale i ilości narodowego bogactwa, zależy ostatecznie od kwestyi abstrakcyjnej sprawiedliwości. Niemożliwem jest sądzić o masie nabytego bogactwa z samego tylko faktu istnienia jego czy jest ono dobrem, czy złem dla narodu. Jego rzeczywista wartość zależy od tkwiących w niem cech

moralnych. Każde nagromadzenie bogactwa może wskazywać z jednej strony na istnienie rzetelnego przemysłu, postępowej energii i produkcyjnych zdolności, z drugiej zaś może dowodzić śmiertelnego zbytku, bezlitosnej energii i zgubnej szykany. Jedne bogactwa są obciążone łożami ludzkimi, jak w niepogodę zebrane zboże niewczesnym deszczem, inne są jak złoto, błyszczące w świetle słonecznym." „Dlatego myśl, że dążeniu do nabycia bogactw można nadać kierunek, bez względu na moralne pobudki, albo, że można ustanowić bez nich jakiegokolwiek ekonomiczne prawa, jest najbardziej czczą i próżną ze wszystkich, któremi łudzili się ludzie. Niema w historyi nic bardziej wstrętnego dla uczuć ludzkich, jak nowa idea, że maksyma kupiecka: *kupować na najtańszym rynku, a sprzedawać na najdroższym*, może być z jakiegokolwiek względu pożyteczną zasadą ekonomii politycznej. Kupować na najtańszym rynku? tak — ale dlaczego twój rynek stał się tanim? Węgło mogą być tanie na zgliszczach twego spalonego domu, a cegły mogą być tanie na waszych ulicach po trzęsieniu ziemi, nikt jednak nie powie, żeby pożary i trzęsienia ziemi były dobrami dla narodu. Sprzedawać na najdroższym rynku? tak — ale co robi twój rynek drogim? Sprzedałeś dzisiaj twój chleb drogo, ale raz sprzedałeś go umiერającemu, który wydał na niego ostatni grosz i już nie będzie go jadł więcej, drugi raz — człowiekowi, który jutro zlicytuje twoją posiadłość, albo rozbójnikowi, który poszedł rabować bank, gdzie złożyłeś swoje pieniądze." „Nic o tem wszystkim nie wiesz. Jedno tylko możesz wiedzieć, mianowicie, czy twoje czyny były sprawiedliwe i uczciwe." „Tak więc wszystkie kwestye, dotyczące tego, rozstrzyga ostatecznie jedyna kwestya *sprawiedliwości*."

Z tego wszystkiego Ruskin dochodzi do wniosku, że wartość pieniędzy polega na wpływie wywieranym przez nie na ludzi, gdyż bez tego wpływu, potęgi, wiele dóbr materialnych było-by nietylko bezużytecznych, ale zupełnie niepotrzebnych. Potęga jednak pieniędzy zawsze jest niedoskonała, wiele jest bowiem rzeczy, których za nie dostać nie można. Wpływ na ludzi można wyrzucić za pomocą czego innego. Nie jednej radości może doznać człowiek, której nie dostanie za pieniądze, i niejednego przywiązania nie można pieniędzmi tylko nagrodzić. Nie ulega wątpliwości, że ludzie ulegają wpływom, nieraz daleko potężniejszym od siły pieniędzy. Jeżeli jednak istota bogactwa polega na tym wpływie na ludzi, *power over men*, stąd wynika, że im szlachetniejsze będą jednostki ulegające mu, im więcej ich będzie, tem naród będzie bogatszy. Tacy ludzie będą prawdziwymi arteryami bogactwa, *veins of wealth*. Dlatego Ruskin twierdzi, że prawdziwe bogactwo nie polega na masie złota albo innych produktów, ale na masie szczęśliwych ludzkich istot. Teraźniejsza jednak ekonomia polityczna,

dąży tylko do nabycia pierwszego bogactwa, gdy celem jej powinno być osiągnięcie drugiego, i na tem polega jej fatalna omyłka.

IV.

W studyum: „*Qui judicatis terram*” Ruskin zastanawia się jeszcze raz obszerniej nad etyczną stroną bogactwa, wskutek czego wszelka ekonomiczna działalność nie może kierować się dotychczas przyjętymi zasadami, *kupować najtaniej, sprzedawać najdrożej*, ale moralnymi zasadami sprawiedliwości.

Spotykanie się bogatych i biednych, mówi Ruskin, jest tak koniecznem prawem tego świata, jak bieg rzek do morza, albo zamiana elektryczności w chmurach. Bóg jednak jest ich stwórcą. Dlatego, jak działanie rzek może być albo zgubne, albo zbawienne, tak samo i spotkanie się biednego z bogatym może być szkodliwe lub pożyteczne. „Ale Bóg jest ich światłem; w tajemnicy życia ludzkiego niema nawet innego światła, które mogło-by kierować ich życiem.” Dlatego we wzajemnych stosunkach swoich winni kierować się sprawiedliwością. W stosunkach tych nie pomoże ani nawoływanie biednych do cierpliwości, ani szczodre dawanie jałmużny, tylko jedna sprawiedliwość.

Porównanie obrotu bogactw do biegu rzek do morza, mówi dalej Ruskin, nie jest tylko alegoryą, ale najszczerzą prawdą. „Popularni ekonomiści uważają się za mądrych, bo odkryli prawidło, że bogactwo musi iść tam, gdzie go żądają, że za popytem musi iść podaż. Głoszą dalej, że biegu naturalnego podaży i popytu żadne prawo ludzkie nie jest w stanie zatrzymać. Właśnie w tem samym znaczeniu i wody świata idą tam, gdzie ich potrzeba. Gdzie ziemia się zapada, tam woda płynie. Biegu rzek nie może zatrzymać ludzka wola, ale może nim pokierować, może go uregulować. Czy rzeka ma być zbawienną lub zgubną, zależy od ludzkiej pracy i inteligencji.” „Podobnie i bogactwo idzie tam, gdzie go żądają; żadne prawo ludzkie nie może powstrzymać jego biegu. Może niem tylko kierować, żeby się stało ożywczą wodą życia ekonomicznego, a nie najgorszą klęską, źródłem wszelkich narodowych nieszczęść.”

Konieczność takich praw, takiego kierunku, dziwnie jednak była dotychczas przeoczoną przez ekonomię polityczną, która, uważając się za naukę nabycia bogactw (*of getting rich*), winna wskazać środki, prowadzące do tego. Jest wiele środków nabycia bogactw. W średnich wiekach, na przykład, zwykłym środkiem było trucie wielkich panów, obecnie zaliczają do nich trucie ludności za pomocą sfałszowanych pokarmów i napojów. Takich jednak środków widocznie ekonomia po-

lityczna nie może zalecać; musi się ona ograniczać tylko do pewnych, mianowicie, albo *prawnych*, albo *sprawiedliwych*. Nie można jednak mówić, żeby ekonomia polityczna miała na oku tylko środki prawne, bo na świecie wiele jest rzeczy, które zyskały uświęcenie prawodawcze, a pomimo to nie są sprawiedliwemi. „Stąd wypływa, że jeżeli zamierzamy bogacić się zgodnie z zasadami nauki, musimy bogacić się sprawiedliwie. Powinniśmy wiedzieć, co jest sprawiedliwe, żeby nasza ekonomia polityczna nie polegała tylko na roztropności (*prudence*), ale na prawie (*jurisprudence*), i to nie na ludzkim, ale boskiem. Dlatego *Diligite justitiam, qui judicatis terram*, miłujcie sprawiedliwość wy, którzy sędzicie na ziemi. Sądzenie to, czyli czynienie sprawiedliwości, wymagane jest jednak nie tylko od sędziów, albo od tych, którym są rządy powierzone, ale od wszystkich ludzi, w miarę ich możności i położenia, a więc i w stosunkach ekonomicznych.”

Absolutnej sprawiedliwości nie można osiągnąć, tak jak nie można dojść do absolutnej prawdy, ale sprawiedliwy człowiek różni się od niesprawiedliwego tem, że pragnie sprawiedliwości i dąży do niej. Każdy winien usiłować dojść do sprawiedliwości, o ile jest to możliwe dla człowieka.

Wyprowadziwszy tak ideę, że we wszelkich stosunkach ekonomicznych powinna panować sprawiedliwość, Ruskin zastanawia się szczegółowo nad wpływem, jaki idea ta winna wywrzeć na stopę zarobku. Pod tym względem twierdzi, że zapłata może być albo wygórowana, nadmierna, jeżeli robotnik otrzymał za swoją pracę więcej, aniżeli była warta, albo niedopłacona, kiedy dostał za nią za mało w stosunku do istotnej wartości. W pierwszym wypadku pokrzywdzony będzie pracodawca, w drugim robotnik, zapłaty zaś nie można uważać za sprawiedliwą. Widocznie więc zapłata sprawiedliwa winna być pośrednią między jedną a drugą, winna ściśle odpowiadać wartości pracy robotnika, ażeby ani jedna, ani druga strona nie była pokrzywdzona. Ponieważ znów wszelka zapłata, wskutek mileżącej umowy między ludźmi, obliczana bywa na pieniądze, przeto wynagrodzenie robotnika w pieniądzech winno być takie, żeby za nie mógł dostać, kiedy tego zapotrzebuje, taką samą ilość pracy, i takiejże jakości, jakiej sam dostarczył. Wynagrodzenie to nawet winno być nieco większe, bo robotnik, dostarczając swej pracy naprzód, a dostając za nią zapłatę później, ma prawo do pewnego dodatkowego wynagrodzenia, tytułem procentu. Stąd jednak wypływa, że ilość robotników nie powinna mieć wpływu na stopę zarobku. Jeżeli potrzebują, żeby mi kowal zrobił podkowę, mówi Ruskin, wszystko mi jedno, czy jest jeden kowal, czy 20,000. Jeżeli zrobienie podkowy kosztowało kwadrans czasu i pewną sumę umiejętności rzemieślnika, winniem mu za nią tak zapłacić, żeby

poźniej mógł dostać za tę zapłatę tyleż pracy i umiejętności, a nawet nieco więcej.

Ta abstrakcyjna teoria zapłaty ulega pewnej zmianie w praktyce wskutek tego, że kiedy praca była specjalna, pewnego oznaczonego gatunku, zapłata jest ogólną, bo polega na pewnej sumie pieniędzy. Pieniądz jest w tym wypadku wekslem albo przekazem do narodu na pewną ilość pracy jakiegokolwiek rodzaju. Ten przymiot pieniędzy, uniwersalna możność zastosowania do wszelkiej potrzeby, sprawia, że zapłata nawet nieco mniejszą ilością pieniędzy uważana jest za sprawiedliwe wynagrodzenie za większą ilość specjalnej pracy. Każdy robotnik z chęcią odda godzinę własnej pracy za przekaz na pół godziny ogólnej pracy narodu. Te okoliczności, razem z trudnością oznaczenia na pieniądze wartości pracy, są przyczyną dlaczego nie łatwo jest oznaczyć na pieniądze wysokości zarobku. Nie zmienia to jednak samej zasady. Praktyka tylko doprowadzić może powoli do tego, bo jak sprzedawca dąży do otrzymania najwyższej ceny za swój towar i nie sprzedaje go niżej pewnej sumy, tak nabywca, chcąc kupić taniej, nie da za niego wyżej pewnego oznaczonego *maximum*. Jedno i drugie dążenie doprowadzi do tego, że w przybliżeniu wysokość zarobku będzie można oznaczyć.

W następstwie tych wywodów Ruskin zastanawia się nad wpływem, jaki wywiera sprawiedliwa zapłata na społeczeństwo, szczegółowy jednak rozbiór tej kwestyi za daleko-by nas zaprowadził.

V.

W ostatniem studyum, *Ad valorem*, Ruskin zastanawia się nad ekonomicznymi pojęciami *wartości, bogactwa, ceny i produkcji*.

Według Milla wartość, *value*, znaczy w politycznej ekonomii zawsze *wartość zamienną* rzeczy. Jeżeli jednego dobra nie można zamienić na drugie, nie ma ono żadnej wartości. Przedmiotem ekonomii politycznej jest bogactwo, które się składa ze wszystkich rzeczy użytecznych lub przyjemnych, posiadających wartość zamienną. Tak więc, podług Milla, zamienna wartość rzeczy polega na domniemanej ich użyteczności, *usefulness*, albo przyjemności, *agrecableness*, które winny się w nich znajdować, jeżeli rzeczy te mają być uważane za przedmioty bogactwa.

Ekonomiczna użyteczność rzeczy zależy nie tylko od wewnętrznych jej przymiotów, natury jej, ale także od istnienia osób, które chcą i mogą z niej korzystać. Tak np. koń jest bezużyteczny, jeżeli niema nikogo, kto by chciał na nim jeździć, lub korzystać z niego w inny spo-

sób. Użyteczność więc zależy od tego, o ile pewna rzecz może zaspokoić jakąś potrzebę człowieka. Przyjemność znów pewnej rzeczy zależy nietylko od jej wdzięcznej powierzchowności, ale od osób, którym się rzecz ta podoba. Przyjemność rzeczy zawisła głównie od ludzkiego usposobienia. Wskutek tego ekonomia polityczna, będąc nauką o bogactwie, musi uwzględniać ludzkie zdolności i usposobienia, chociaż według Milla nie ma ona nic wspólnego ze względami moralnymi. Według Ruskina wartość rzeczy zależy od znaczenia jej dla życia człowieka, będzie więc tem większą, im więcej jest mu pomocna, tem mniejszą, im mniej przyniesie pożytku lub też im będzie szkodliwszą. Wartość więc rzeczy jest niezależna ani od ilości jej, ani od opinii, jaką o niej mieć możemy.

Cóż znów należy pojmować pod bogactwem? Mill twierdzi, że być bogatym znaczy mieć wielki zapas rzeczy pożytecznych ¹⁾. Ruskin, zgadzając się wogóle z tem pojęciem, sądzi jednak, że należy je uzupełnić i wyjaśnić pod dwoma względami, mianowicie: co do znaczenia słowa *mieć* i przymiotnika *pożyteczny*.

Mieć, posiadać? jakie to ma znaczenie? Czy zabalsamowane ciało św. Karola Boromeusza w katedrze medyolańskiej *ma* złoty krzyż ze szmaragdami, złożony na jego piersi? Czy rozbitek, który utonął wskutek tego, że był obciążony trzosem złota, *posiada* to złoto? Niekończoną ilość przykładów można-by przytoczyć, z których należy dojść do wniosku, że to mienie, posiadanie, nie jest absolutne, ale względne, że nie zależy tylko od natury albo ilości rzeczy posiadanych, ale od stosowności (*suitableness*) ich dla osoby posiadającej i możliwości używania ich. Z tego powodu pojęcie bogactwa należy, zdaniem Ruskina, uzupełnić w ten sposób, że jest ono posiadaniem rzeczy, których możemy używać, *which we can use*. Jest to jednak bardzo ważna zmiana, gdyż bogactwo staje się zależnem nietylko od posiadania, ale i od możliwości używania rzeczy.

Jakie znów nadać należy znaczenie przymiotnikowi *pożyteczny*, *useful*? Wiemy, że jedna i ta sama rzecz może być przez jednego użyta korzystnie, gdy tymczasem drugiemu nastęrczy możność popelnienia największego nadużycia (*abuses*). Stąd wypływa, że aby rzecz była prawdziwie pożyteczna, winna się znajdować w odpowiednich rękach, któreby z niej mogły zrobić dobry użytek. Bogactwo więc jest posiadaniem rzeczy pożytecznych przez ludzi dzielnych, (*the possession of the valuable by the valiant*). Wskutek tego przy ocenianiu bogactwa narodu należy brać na uwagę nietylko wartość rzeczy posiadanych, ale i war-

¹⁾ To be wealthy is to have a large stock of useful articles.

tość osób, posiadających je. Dlatego też wiele osób, uważanych zwykle za bogate, w rzeczywistości nie są bogatsze od zamków skrzyni, w których zamykają swoje skarby. Zadaniem też prawdziwej nauki ekonomii politycznej winno być, zdaniem Ruskina, rozwinięcie dzielnego charakteru w narodzie, wskutek którego naród ten byłby zdolny do używania bogactw dla osiągnięcia szlachetnych celów.

Chcąc uniknąć rozwlekłości, pomijamy tutaj zapatrywania się Ruskina na cenę, przechodząc bezpośrednio do ostatniej kwestyi, którą się zajmował, mianowicie do produkcji.

Według niego pracę można podzielić na dwa rodzaje: pozytywną i negatywną; pierwsza wytwarza życie, druga niszczy je. Najwięcej negatywną pracą jest zabójstwo, najwięcej pozytywną — wychowywanie dzieci, przyszłego pokolenia. Pierwsza godną jest nienawiści, druga uznania i podziwienia. Między temi dwoma przeciwieństwami mieści się wszelka inna praca. Ponieważ praca może być różna pod względem swoich rezultatów, przeto pomysłność każdego narodu zależy w stosunku prostym od ilości pracy, obróconej na otrzymanie i spożycie środków do życia, to jest produkcji i konsumcyi; jakkolwiek bowiem ekonomiści zajmują się przedewszystkiem produkcją, konsumcya jest celem, koroną i udoskonaleniem produkcji. Rozumna konsumcya jest daleko trudniejsza od rozumnej produkcji. Dlatego najżywotniejszą kwestyą dla jednostki i całego narodu jest nie to, czy wiele robi, ale w jakim celu wydaje.

Pod kapitałem znów pojmujemy materiał, środek do wytworzenia innych bogactw. Pług jest kapitałem, ale zadaniem jego nie jest stworzenie dwudziestu takich samych pługów, lecz oranie, które może przynieść inne owoce, choćby nawet pierwotny pług przy tem się zużył. To też dla każdego kapitalisty i każdego narodu ważną jest kwestya: nie ile pługów mają, ale ile mają pól zaoranych? nie to, jak prędko pewien kapitał będzie się reprodukował, ale co będzie robił w czasie reprodukcyi? co wytworzy? jakich rzeczy dostarczy? czy będą one pożyteczne, czy zgubne dla życia? W przeciwnym razie jego własna reprodukcyja będzie zupełnie bezpożyteczna.

Z takiej natury kapitału wynika dwa rodzaje produkcji: jedna na zasiew, druga na spożycie. Ponieważ zaś produkcya na zasiew jest użyteczną wtedy tylko, kiedy się ma nadzieję przyszłego zbioru i spożycia jego, przeto spożycie jest koroną wszelkiej produkcji, bogactwo zaś narodu można poznać tylko po tem, co naród konsumuje.

Brak jasnego zrozumienia tych faktów prowadzi do fatalnych błędów w ekonomii politycznej, bo umysł kapitalistów widzi przedewszystkiem zysk pieniężny, kapitalistyczny, nie zysk pochodzący ze spożycia. Pod tym jednak względem są oni podobni do dzieci, chcących

schwytać własny cień, gdyż zysk pieniężny jest tylko cieniem prawdziwego zysku, to jest *podniesienia ludzkości*.

Dlatego ostatecznym celem ekonomii politycznej winno być wykrycie dobrej metody konsumcyi, i to wielkiej konsumcyi. Wtedy spożycie będzie rzeczywistym probierzem produkcji. Kwestyą dla każdego narodu jest nie to, ile pracy zużywa, ale ile produkuje życia. Jak bowiem konsumpcya jest celem produkcji, tak życie jest celem i końcem konsumcyi. „Niema innego bogactwa prócz życia, ze wszystkiemi jego potęgami miłości, radości, admiracyi. Ten kraj jest najbogatszy, który żywi największą ilość szlachetnych i szczęśliwych istot ludzkich. Ten człowiek jest najbogatszy, który, wydoskonaliwszy swe życie do ostatnich granic, wywiera największy wpływ, tak osobisty, jak i za pomocą swoich dóbr materyalnych, na życie innych ludzi.”

VI.

Z tego, cośmy wyżej przytoczyli, możemy nabrać ogólnego pojęcia o poglądach ekonomicznych Ruskina, które znalazły odgłos w obszernych kołach społeczeństwa angielskiego. Taki sam duch wieje z innych jego prac, w których zajmował się bezpośrednio reformą społeczną.

Gdybyśmy chcieli zastanowić się nad temi pojęciami wogóle, niezawodnie przyszlibyśmy do przekonania, że Ruskin, tak jak i Carlyle, stanowił reakcyę przeciwko poglądom ekonomicznym pierwszej połowy XIX w. Według owych poglądów, człowiek, zgodnie z filozofią XVIII w., był atomem, który winien był rządzić się tylko egoizmem, albo w najlepszym wypadku t. zw. dobrze zrozumianym własnym interesem. W ekonomii politycznej poglądy takie doprowadziły do tego, że na człowieka zapatrywano się jak na bezduszną maszynę, bez krwi i ciała, bez uczuć ludzkich, mającą za zadanie wyprodukować jak największą ilość dóbr materyalnych. Każda jednostka, kierując się wyłącznie egoizmem, miała starać się tylko o swoją własną korzyść, bez względu na to, że korzyść ta, choćby nawet nieznaczna, mogła wyrządzić niezmierną szkodę innym. Ztąd wyniknęła ta nieczem nieokiełznana i nieograniczona konkurencya w świecie ekonomicznym. Wskutek też tego na ekonomię polityczną patrzano się wyłącznie ze stanowiska tworzenia bogactw materyalnych, zapominając o tem, że są inne jeszcze bogactwa, duchowe, moralne, daleko cenniejsze od wszelkich skarbów złotych i srebrnych. Ekonomia polityczna winna była, zdaniem ówczesnych koryfeuszów tej nauki, zajmować się tylko produkcją bogactw materyalnych, nie uwzględniając wcale pierwiastków

duchowych, moralnych, etycznych człowieka. Jasną jest jednak rzeczą, że takie poglądy w dalszym swoim rozwoju musiały-by doprowadzić każde społeczeństwo do upadku i ruiny. Wtedy do stosunków ludzkich można-by słusznie zastosować owo zdanie *homo homini lupus*, społeczeństwo zaś doszło-by do tego, że ludzie stali-by się podobnymi do dzikich zwierząt, gryzących się między sobą o zysk materialny. Rzeczywiście, przyglądając się bliżej współczesnemu społeczeństwu, dojszć należy do przekonania, że poglądy te zdobyły sobie powszechne panowanie. Każdy stara się o zysk osobisty, nie patrząc nawet na to, czy może go dostać godziwemi lub niegodziwemi środkami. Przeciwno temu jednak musiała się koniecznie objawić reakcja, mająca na celu wywalczyć zwycięstwo dla przekonani i uczuć altruistycznych. Na czele tej reakcyi można z niektórymi innymi postawić i Ruskina.

Nie ulega wątpliwości, że jeżeli działalność Ruskina w dalszem jego życiu zwróciła się od przeważnego zajęcia estetyką i sztukami pięknymi i przybrała taki kierunek, wiele zasługi pod tym względem trzeba przypisać Carlyle'owi i jego wpływowi na Ruskina. Że wpływ taki istniał, świadczą o tem stosunki przyjaźni, jakie łączyły obu tych mężów, świadczy poufna ich korespondencya, świadczy samo przyznanie Ruskina. Pod tym względem można przytoczyć, że w jednym ze swoich pism Ruskin wyraża się w taki sposób o Carlyle'u: „Czytajcie Carlyle'a całym sercem, z największem natężeniem umysłowem, a nauczycie się od niego dwóch rzeczy: naprzód, że dobre prawa są wieczne i że winniśmy im posłuszeństwo, a następnie, co się tyczy waszego postępowania, że początek wszelkich dobrych praw i koniec ich polega na dwóch przepisach, że każdy człowiek winien dobrze pracować za swój chleb, i że każdy człowiek winien mieć dobry chleb za swoją pracę. Macie jednak myśleć tylko o pierwszym.” Takie były zasady, któremi kierował się Ruskin w swoim życiu.

„Człowiek jednak, który tak zapalił swoją płomienną pochodnię od pochodni natchnienia Carlyle'a, zajął może wyższe jeszcze miejsce w angielskiej literaturze i w angielskim rozwoju umysłowym od swego mistrza, powiada Gibbins ¹⁾). Nikt może nie spotkał się w ciągu swego nauczania z większą nieprzyjaźnią średnich klas społeczeństwa, i nikt nie zdobył sobie tak wyjątkowego stanowiska, chociaż pod wielu względami był wprost przeciwny duchowi swego czasu. Ruskin zdobył sobie uznanie opinii publicznej na przekór wszelkim antagonizmom, potęgą tylko swego ducha, mówiąc i czyniąc tylko to, co uważał za

1) H. de B. Gibbins. „English Social Reformers.” London 1892, str. 204.

słuszne i prawdziwe, nie troszcząc się zresztą o opinię świata. Był jednym z niewielu mistrzów, którzy mówili nam w tym kupieckim wieku, na czem polega prawdziwa szlachetność i piękność, jaka niezmierną piękność kryje się w prostocie życia. Przez całe życie starał się oświecać nasze nowożytne społeczeństwo czystym światłem piękności i prawdy, kiedy inne pochodnie dymiły." Dlatego też Anglicy stawiają Ruskina w rzędzie swoich największych reformatorów społecznych, obok Tomasza More'a, Wilberforce'a, Wesleya, lorda Shaftesburego, Owena, Oastlera, Carlyle'a, nazywając go prorokiem ¹⁾. Reformator zaś ten ze wszech miar zasługuje na uznanie, nie wypisał bowiem na swoim sztandarze takich hasel, jak *ausrotten* Hartmanna, ani hallucynacyi obłądu Nitschego, ale miłość bliźniego, sprawiedliwość, uczciwość, prawdę, które jedynie społeczeństwo ludzkie mogą doprowadzić do lepszej przyszłości.

A. OKOLSKI.

¹⁾ Gibbins, l. c. str. 184. Both Carlyle and Ruskin will live in our history as true prophets.....

Z cyklu: „ITALIA.“

M a d o n n a.

I.

CIMABUE.

... Anno mille e tre cento,
(Szczęśliw kto dnia tego dożył!)
Cimabue pędzle złożył,
Z twarzą cichą, wniebowziętą.

Oto ma Ją, tę zjawioną
Na chłopięcych snów jutrzence!
W krzyż złożone obie ręce,
Gdzieś w lazurach oczy toną...

Ni to biała, ni to śniada,
Brzaskiem niebios przesłoneczna,
Od zórz złota róża mleczna,
Płaszcz jej modry do stóp spada.

Taką widział nawskrós kwiecia,
W mgłach liljowych, w tęczach rosy,
Gdy, pastuszek jeszcze bosy,
Patrzył w cuda pozaświecia.

Nie tykała stopką ziemi,
Nie tykała trawek szatą,
Tak powietrznie a skrzydlato
Nad polami szła cichemi.

Nikt nie widział, nikt nie słyszał,
Sam on tylko patrzył na nią,
Na tę białą swoją Panią,
I już odtąd ku Niej dyszał.

Dziś na męskiej sławy szczycie,
W łzach, w uśmiechach wspomnień sielskich,
W barwy zwiane z piór anielskich
Odział wizję na błękicie.

I zadumał się z tęsknotą,
O sierocej swojej wiosnie...
A w ulicy gwar już rośnie,
Pod kopułą słońca złotą.

Miasto, jakby hasło wzięło,
Taki dreszcz je wskrós przeleci.
Szepcze jeden, drugi, trzeci:
— „Cimabue kończy dzieło!“

We drzwi izby, w okna, w progi,
 Strojnych mieszczan tłum się ciśnie.
 Może im choć rąbek błysnie,
 Choć z pod stopek nów dwurogi...

Mżą się w słońcu szaty skrawe,
 Płoną oczy, serca biją,
 Z wyciągniętą dziewczki szyją
 Tchem gorącym szepcą Ave...

Aż zahuczą z wieżyc dzwony,
 Zakołyszą się nad Arno...
 Przed głów zbitych masą czarną
 Drzwi rozskoczą się w dwie strony.

Wyszedł na próg mistrz Giovanni,
 I uchylił beret z piórem:
 — „Salve! Salve!” — zagrzmi chórem.
 A on: „Nie mnie cześć, lecz Pani!”

Zamilkł, twarz mu spłonie blada,
 Żaru natchnień pełne oczy,
 A już w izbę lud się tłoczy,
 Na kolana już upada.

Florentynek piękne głowy
 Niby kwiaty się kołyszą,
 Nad kornego tłumu ciszą
 Poszept wieje stugłosowy:

— „Toć jest lico i kolory,
 Jak sierotom się przysniwa...
 Toć jest nasza i prawdziwa
 Santa Maria dei fiori!”

I wyciągną ku niej ręce
Uniesieniem tłummy zdjęte,
I rozebrzmia hymny święte,
W cześć mistrzowi i Panience.

Szumia Arna modre fale,
Rozbujane huczą dzwony,
Florentyńców lud wzruszony
Swą Madonnę niesie w chwale.

Idą Gwelfy, Ghibelliny,
„Bianchi“, „Neri“ pomieszani,
Dziś służkowie jednej Pani,
Dziś jednego grodu syny.

Buondelmonci i Uberci,
W pobok tłoczą się najciaśniej,
Zapomnieli starych waśni,
Zapomnieli przysięg śmierci.

Z każdą chwilą ciżba wzrasta,
Przestrzeń objąć jej nie zdoła;
Płyną tłummy do kościoła,
Przez ulice wązkie miasta.

Jak kto stał, tak naprzód rusza.
Huczy, szumi fala żywa,
W każdej piersi krzyk: „Eviva!“
W każdym krzyku cała dusza.

Cimabue podniósł oczy:
Tam daleko po-nad tłummy,
Przez zbożowe srebrne szumy,
Pani jego biała kroczy...

Nie dotyka stopką ziemi,
Nie dotyka trawek szata,
Wieje cicho a skrzydłato
Nad polami, nad kwietnemi.

GIOTTO ¹⁾.

Między ludźmi tak chodzić musiała,
Niby dumna, a niby nieśmiała,
Z licem smętnem bezbrzeżną tęsknotą,
Jak ją tutaj nam zostawił Giotto.

Prosty rąbek własnego przedziwa
Piers jej wązką i szczupłą okrywa,
Prosty rąbek, z lnów cienkich utkany,
Co nam w błękit odziewają łąny.

Ani jej tu aniołowie służą,
Ani ona jerychońską różą,
Ni na tronie słonecznym królową,
Z światłokręgiem siedmiu gwiazd nad głową.

Jeszcze skrzydeł duch nad nią nie waży,
Jeszcze świat jej nie stawia ołtarzy,
Stoi cicha, a boża prostotą,
Tak ją tutaj nam zostawił Giotto!

1) W muzeum bolońskim.

Ciemna w twarzy od zmierzchów tej ziemi,
Zadumana myślami gorzkiemi,
Gdzieś w dalekiej, nadprzestrzennej ciszy,
Szumy oliw ogrójcowych słyszy.

Nie prorockie księgi z nią mówiły,
Lecz zapadłe, przydrożne mogiły,
Nie anielskie wieszczły jej głosy,
Ale łąki drżące we łzach rosy.

Nie pogląda w rajskie pozaświaty,
Lecz na liehe, niebielone chaty,
Lecz na czarne a milczące bory,
Lecz na cierniem zarosłe ugory.

Isęby mogła między pola nasze,
A nie zlekło-by się nawet ptaszę,
Isęby mogła między nasze płoty,
A nie zlekły-by się i sieroty.

Tylko nędzarz podniósł-by się z ławy,
W ciemnej twarzy wzrok utopił mgławy,
I wybuchnął łez nawałą złotą...
Taką ją nam tu zostawił Giotto!

W SANT' ONOFRIO ¹⁾.

Więc gdy tu śpiewał bój Jerozolimy
 Tass nieśmiertelny, to nim szedł na wzgórze,
 Pod dąb ów stary, boskie składać rymy,
 W przezroczu arkad stawał przy tym murze,
 I pochyliwszy czoło swe koronne,
 Pozdrowiał cudną Vincego Madonnę.

A kiedy stał tak cichy, szepcąc „Ave“,
 Nad starym dębem zrywały się szumy,
 A w szumach wiały proporce jaskrawe,
 I mar ogromnych wiały mgliste tłumy,
 I w złotych blaskach jutrenkowej zorzy,
 Nad Janiculum świecił się huf boży.

A oczy piewcy biegły w słońca chwałę
 I świętych bojów miał tu objawienie:
 Trąb echa słyszał i surmy hejnały,
 I bohaterów swych oglądał cienie,
 I sam, mistrz pieśni, rycerstwo obronne
 Wiódl kornym duchem przed cudną Madonnę.

A zaś je sprawiał w szyk boskiej oktawy,
 Za muzę wzięwszy rajską panią sobie,
 I słał je na bój, i dla pięknej sławy,
 Krzyż z laurem zatknąć na Chrystusa grobie,
 I u swej złotej lutni wiązał struny
 Na pieśń słowiczą i na burz pioruny.

¹⁾ Klasztor ś. Onufrego na Janiculum w Rzymie. Madonna Leonarda da Vinci.

A gdy tak natchnień poświęcenie brały
 Miecze i tarcze, włócznie i puklerze,
 Uroczych dziewic spływał orszak biały,
 Mary lekuchne, rozkoszne i świeże,
 I po krążgankach róże wiały wonne,
 Gdy Tass pozdrowiał Vincęgo Madonę.

I uczył piewca, jak mu loty rosną
 Z bark wyciągniętych w słoneczność błękitu,
 Jak lutnia jego dźwięczy wieczną wiosną,
 I orłem wzleciał z Janiculum szezytu,
 I cały w ogniach i w bojowym dymie,
 O wyzwolonej śnił Jerozolimie.

A wtem braciszek, święty eremita,
 Pod białych arkad zaszedłszy sklepienie,
 Surm niewidzialnych echa z dziwem chwyta,
 I archanielskich bojów ma widzenie,
 I z dziwem szepcąc pacierze zakonne,
 Torquata Tassa mija i Madonę.

Dotąd tu jeszcze w załamach arkady,
 Brzmi wielkie „Canto“ dni zaprzyszłych miary,
 A kiedy księżyc wysrebrzy je bładę,
 Bard się przebudza nieśmiertelny stary
 I śpiewa strofę w westchnienia rozwianą,
 „L'armi pietose e il Capitano 1).

A wtedy wszystkie wielkie groby święte,
 Jak ów Chrystusów, kwiat znowu odziewa,
 I wieją na nich proporce zatknięte,

1) Wojska pobożne i wodza.

I krzyż i laur, dopóki bard śpiewa,
I wiosna wzlata po-nad wszystkie zimy,
U wyzwolonej bram Jerozolimy.

.

W pustym krąganku zadumana stoję,
Szumi dąb Tassa, jak szumił przed wieki,
Lecz gdzie są pieśni ogromne? gdzie boje?
Gdzie wodze? Gdzie krzyk zwycięstwa daleki?
Cisza... Zórz łuny kładą się przedzgonne
Na łuki arkad, na cudną Madonnę.

MARYA KONOPNICKA.

Rzym.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

L. Krzywicki: „Ludy.“ Zarys antropologii etnicznej. Warszawa, 1893, str. 444 w 8-ce.

Prace tej doniosłości, tego zakresu i tych rozmiarów, co powyższa, tak rzadko u nas się pojawiają, że obowiązkiem referenta jest nie tylko o nich wspominać i sądzić, ale i obszerniejszą treść ich podać. Od tego też rozpoczynamy i tem większą część referatu naszego zapelnimy, mając na względzie wielką ilość czytelników, którym czas lub okoliczności nie dozwolą sporej książki przeczytać.

W krótkiej przedmowie autor pobieżnie rysuje niedługo stosunkowo dzieje antropologii i wyznacza swe stanowisko. Chodzi mu głównie o zaznajomienie ogółu z obecnym stanem nauki i o przedmiotowe faktów jej przedstawienie; to też unika pedantycznego cytowania źródeł przy każdej sposobności, uciekając się do tego tylko w razach większej doniosłości twierdzeń; wyznaje, że, malując rzecz grubszymi zarysami, nymyślnie zacierając czasami drobniejsze odcienie, tyle jednak, że prawdy ogólne nie na tem nie tracą; wskazuje na niewyrobinienie samej nauki i chwyciłość niektórych jej ustępów i oświadcza wreszcie, że część trzecią książki samodzielnie opracował.

Rozdział I części pierwszej poświęcony jest sprawie starożytności rodu ludzkiego. Sięga ona daleko poza świadectwa dziejowe; dowodem tego są przedmioty kopalne, będące dziełem ludzkim, lub noszące na sobie ślady ręki człowieka. Niema dziś wątpliwości, że żył on w okre-

się czwartorzędowym, a nawet jest pewność, że istniał i w trzeciorzędowym; zachodzą tylko wątpliwości i różnice zdań, nasamprzód w której dobie tego okresu, wcześniejszej, czy późniejszej, pojawienie się człowieka nastąpiło, a powtóre, czy człowiek ówczesny był takim samym, jak dzisiejszy, pod względem somatologicznym. Na lata trudno tę przeszłość obliczyć: w każdym razie nie o dziesiątkach tysięcy lat mowa tu być może, lecz o daleko dłuższych okresach.

Widoczne różnice tak budowy cielesnej, jak uzdolnień umysłowych, zmuszają antropologa do dzielenia ludzkości na pewne gromady. Zamiast dotychczasowego wyróżniania kilku szczepów, czyli ras, nowszy pogląd trzyma się podziału na typy rasowo-antropologiczne (Rozdz. II); ściślej jest on i bliższym prawdy od dawniejszego; opierając się na widocznych znamionach cielesnych, wyróżnia odrębne typy nawet w jednym piemieniu, w jednym nawet mieście. W Warszawie, powiada autor, dostrzedz można paru typów, przechowujących się dziedzicznie: „Obok wysokiego wzrostu blondynów z niebieskimi oczyma, podłużną czaszką i ściągłą twarzą, spostrzeczemy średniorosłe postacie, z okrągłokształtnymi twarzą i czaszką, z ciemnymi włosami i oczyma“ (7).

Zapytywano dawniej, czy w mowie zoologicznej należy różnice te nazwać gatunkowemi, czy odmianowemi, a w dalszym ciągu, czy ludność wywodzić z jednego gniazda, czy z kilku? Lecz gdy się pojawiła teoria przeródtwa, doniosłość pytania tego upadła. „Zagadnienie powyższe jest raczej scholastycznej natury. Czy niektóre grupy rodu ludzkiego zechcemy uważać za gatunki, czy tylko za odmiany, od tego ani jeden fakt nie ulegnie zmniejszeniu, złagodzeniu, lub sprostowaniu“ (10).

Chodzi więc obecnie nie o teoretyczne zacieki nad tem zagadnieniem, lecz o przedmiotowe opisanie typów ludzkich; do tego potrzeba ściślej a racjonalnej metody. Za najlepszą uważają obecnie tę, którą podał Broca (um. 1880). Stosowaną jest ona od niedawna i dlatego-to antropologia wspiera się dotąd na bardzo szczupłej i nierównomiernie dobranej ilości danych. Niektóre kierunki kwitną, jak np. patologia rasowa, takąż anatomia; ale i ta ostatnia zacieśnia się dotąd tylko w obrębie kranilogii; inne gałęzie leżą prawie odłogiem, jak np. psychologia rasowa i takąż fizyologia.

Ponieważ czaszkoznawstwo czyli kranilogia więcej stosunkowo się wyrobiła i obfitszym rozporządza zasobem, więc autor bliżej nad nią się zastanawia. Gałąź ta antropologii rozwinęła się prawie na oślep; z początku mierzono bez metody, a więc i bez dobrego skutku; mnóstwo dokonanych pomiarów leży dziś bezpożytecznie po bibliotekach; trzymano się przytem przeróżnych, niezgodnych ze sobą syste-

mów, używano nazw i określeń często sprzecznych ze sobą. Dziś jeszcze istnieją trzy różne sposoby mierzenia (Broca, Flower, Virchow). Daje to wyobrażenie o niewyrobieńnię całej antropologii, lecz nie odbiera otuchy, że, przy pracy, ważne zagadnienia, dotąd zaledwie w niej poruszone, na pewniejszą trafią drogę.

Niezmierną trudność w wyznaczeniu typów rasowych stanowi dokonane przez wieki pomieszanie plemion ludzkich. Topinard twierdzi nawet, że „czysta rasa jest tylko pojęciem abstrakcyjnym.“ Co więcej, spotykamy nawet pojedyncze osoby, noszące ślady skrzyżowania różnych ras. „Często zdarza się spotykać na ulicach Warszawy osoby ze wszystkimi oznakami śniadego krótkogłowca, lecz o siwych lub błękitnych oczach i jasnych włosach, lub z głową jednego typu, osadzoną na tułowiu innego,“ powiada nasz autor (16). Mimo to jednak nie wątpi on, że wyróżnienie typów rasowych jest możebnem.

Możebność ta polega na zjawisku, że, pomimo zmieszania ras, cechy ich łączą się z początku tylko mechanicznie i łatwo wyróżniać się dają nawet w pojedynczych osobnikach. Na zupełne ich zatarcie i wytworzenie jakiegoś typu pośredniego potrzeba znacznej ilości lat, większej zapewne od tej, którą dotąd ludzkość przeżyła. Dziś jeszcze znamiona rasowe wyskakują w silniejszym lub słabszym stopniu u poszczególnych osób. „Wśród Żydów warszawskich, osobiście mi znanych, powiada pan K. (18), mogę wskazać jednostki, łączące znamiona semickie z murzyńskimi. A jednak, ile to wieków przeszło od wsiąknięcia do Żydów tej domieszki murzyńskiej!“

Do ustalenia typów poważniej przystąpiono dopiero w Ameryce północnej r. 1863, zbadano wzrost około 1½ miliona rekrutów i opisano barwę oczu, włosów i skóry 700,000 osób. Toż samo wkrótce zaczęto czynić i w Europie, stosując badania i do dziatwy szkolnej. W Niemczech np. r. 1875 zapisano 7 milionów dostrzeżeń. Dotąd nagół w Europie najlepiej może zbadano Tyrol i Alpy bawarskie. Poza Europą mało w tym kierunku działało; nieco światła rzucono na wyspy Polinezyi, na Tunisi; ale cała Afryka, całe Chiny prawie nienapoczętemi są dotąd.

To też autor nasz uprzedza, że co w dalszym ciągu o typach rasowych mówić będzie, to poczytywać należy raczej za wytknięcie pola dla przyszłych poszukiwań, niżeli za wykończone pewniki.

Czy różnice rasowe istniały w najodleglejszej już przeszłości? Na to pytanie odpowiada rozdział III twierdząco. Już w epoce czwartorzędowej Europę i Amerykę zaludniały odmienne rasy, a nawet w Europie i Ameryce żyły obok siebie odrębne szczepy; świadczą o tem niezliczone wykopaliska szkieletowe. Do tegoż wniosku doprowadza badanie języków: mowa ludzka powstać musiała w kilku odrębnych

punktach. Niektórzy antropologowie myślą, że różnice rasowe istniały już wśród naszych przodków pół-ludzkich, owych „*praecursores hominis*“ Hovelacque'a. Nasz autor zgadza się na możliwość różnic rasowych w praludzkości, ale nie poczytuje przypuszczenia tego za niewątpliwe (26).

Zachodzi pytanie, czy kopalne znamiona rasowe były takie same, jak u nas? Że na pomnikach egipskich widzimy odrębność czterech czy pięciu szczepów, to już dostatecznie stwierdzono; typy semicki i murzyński przetrwały około 60 wieków bez zmiany. Ale nawet budowa czaszek czwartorzędowych odtwarza się czasem w dziś żyjących osobnikach; Virchow np. stwierdził zupełne podobieństwo głowy neanderthalskiej do fryzyjskiej. Niektórzy antropologowie stanowczo twierdzą, że typ kranologiczny Europejczyka nie zmienił się od epoki czwartorzędowej. Pan K. bardzo ostrożnie się zachowuje względem tego zagadnienia, twierdząc, że, wobec dzisiejszego stanu nauki, możemy to tylko z pewnością utrzymywać, iż niektóre dawne typy rasowe przetrwały do chwili obecnej i że nie powinniśmy zapominać, iż budowa czaszki nie stanowi sama przez się stanowczego wykładnika rasy.

Przyznawanie przeważnego wpływu na znamiona rasowe klimatowi charakteryzuje świeżo miniony okres rozwoju antropologii; dzisiejsi uczeni daleko sceptyczniej na tę sprawę się zapatrują i np. wcale nie są skorzy do twierdzenia, jak dawniejsi, że barwa Murzyna powstała skutkiem działania gorącego klimatu.

Zdaniem antropologów nowszych, krzyżowanie ras wywiera większy od klimatu wpływ na ich znamiona. Gdy następuje mieszanie szczepów, to z początku, jak już wspomnieliśmy, cechy ich łączą się mechanicznie; ale z czasem, gdy to samo skrzyżowanie trwa ciągle, cechy te kojarzą się fizyologicznie i pod wpływem klimatu (który silniej działa na mieszańców) wytworzyć się może typ nowy, mniej więcej stały. A ponieważ wszędzie na ziemi, wśród przeważającego typu miejscowego, ukazują się osobniki z cechami zgoła innych szczepów, przeto wnosić-by można, iż „obecne rozmieszczenie ludzkości jest tylko ostatniem nawarstwieniem dziejowem“ (34), że zatem wyznaczenie typów rasowych na zasadzie dziś istniejących cofnęło-by nas stosunkowo niezbyt głęboko w przeszłość.

Lecz z drugiej strony nie należy zapominać naprzód, że, gdy się mówi o krzyżowaniu ras, to się je przypuszcza już pierwej skrzyżowaniu, a powtóre, że, w miarę wzrostu kultury, różniczkowanie rasowe coraz wolniej musi się odbywać.

Jednym jeszcze przypuszczalnym czynnikiem, nie tyle zmian rasowych, ile uwydatnienia różnic ras już istniejących, jest dobór w kie-

runku „piękna rasowego.“ Istnieje dążność nadawania pewnych kształtów np. głowom; osobniki, rodzące się z czaszkami, odpowiadającymi ideałom plemienia, będą żyły i z czasem rozmnażały się; nieodpowiadające takowym będą dręczone i skutkiem tego w znacznej części wymrą; tą drogą typ przekształci się z czasem sztucznie.

Autor nasz wraca raz jeszcze do sporu monofiletystów z polifiletystami (t. j. uznających albo jedną więcej albo par praludzi), i po przytoczeniu zdań Agassiza i Wallace'a, skłania się do opinii tych, którzy wolą jednopochodność, lecz oczywiście w sensie ewolucyjnym Wallace'a (39), t. j. wywodzenie ludzkości z jednego gniazda nie *ludzkiego*, lecz *praludzkiego*.

Mowa bowiem i różne zdobycze kultury (np. wynalezienie ognia, łuku i t. p.) zdaje się, że nie w jednym gnieździe powstały. Dziś jeszcze widzimy plemiona, zgoła nie wiedzące o ulepszeniach i odkryciach innych okolic. Ale i to jest pewnem, że dzieje wynalazków były jednakie, mimo różnice miejsc i czasu; to samo widzieć się daje i w zdobyciach duchowych. „Nie znaczy to przecież, iżby szczegóły rozwoju były wszędzie te same, t. j. żeby jednolitość była tożsamością, lecz tylko, że pomyślnie ewolucye społeczne kroczyły według jednakich zasad“ (41). Prawdę tę autor objaśnia przykładami, zaczerpniętymi z językoznawstwa i socjologii. Mówiąc o zdobyciu dla kultury ognia, wskazuje na prawdopodobieństwo, iż człowiek poszedł torem, wskazanym mu przez przyrodę (utrwalił pożar naturalny) tak tu, jak i w innych wynalazkach; przyroda zaś wszędzie działała jednostajnie. Trudniej jest zdać sobie sprawę z jednolitości postępu czysto społecznego; ale i tu działała wszędzie jednostajność otoczenia rzeczowego, zupełnie niezależnie od rasowości, tak, iż „kolejność wywiązywania się jednych instytucyi z innych idzie wszędzie jednakowo, w tej samej następczości“ (48). Stosuje się to do rozwoju wogóle; w szczegółach bowiem niepodobna zaprzeczyć wpływu rasowego; lecz o tym przedmiocie autor rozwodzi się obszerniej w części 3-ej dzieła; tutaj przestaje na pobieżnej wskazówce, że, chociaż rasowość nie stanowi o całości rozwoju, wpływa jednak na prędsze lub wolniejsze posuwanie się plemion w kierunku postępu: pewne zdolności lub niendolności plemienne grają tu ważną rolę, chociaż ani o treści, ani o następczości całego rozwoju nie staro- wią, a także działają nieraz współrzędnie z wpływami geograficznymi. Z tego wszystkiego wynika, że to, co niektórzy nazywali „duszą rasową“, nie jest czemś stałym, lecz kategorią zmienną, zależną od wielu warunków (geograficznych, społecznych i t. p.), nieustannie działających.

W II części dzieła pan K. zastanawia się kolejno nad skupieniami ludzkimi kuli ziemskiej. W rozdz. 1-m określa pojęcie etnografii,

jako nauki opisowej, etnologii, jako poszukującej „ducha“ pewnych skupień ludzkich, i antro-pogieografii, badającej wpływ otoczenia przyrodzonego na kulturę i umysł. Z tych trzech dziedzin tylko pierwsza nagromadziła sporą ilość danych; druga i trzecia istnieją raczej tylko z nazwiska. Ale i w etnografii brak jeszcze ładu i jedności, głównie dlatego, że uprawiacze jej odznaczali się dotąd zbyt zbytnią zachowawczością umysłów; dzięki antropologom, w których gronie przeważa wolność myślenia, lepsze prądy działać już poczynają w etnografii.

Dawniej nagromadzone materiały etnograficzne w znacznej części dość podejrzaną mają wartość, głównie dlatego, że je zbierali ludzie niefachowi, a często uprzedzeni, ograniczeni lub lekkomyślni. Licznymi przykładami stwierdza to nasz autor. Chwali zaś takich badaczy, jak np. Morgan, który żeni się z Irokezką i mieszka wśród Irokezów czterdzieści lat, albo jak Cushing, urzędnik Instytutu Smithsonskiego, który kilka lat przebywa wśród Zuniów, staje się członkiem ich rządu i zostaje wtajemniczonym w obrzędy religijne; wspomina zaszczytnie o Eisonie, Howitt'cie i rodaku naszym, J. Kubarym.

Dwie są najgodniejsze uwagi próby usystematyzowania etnografii. Pierwszą podjął Spencer. Według jego widzenia, społeczność ludzka rozwija się od najprostszej do najbardziej złożonej gromady, od dzikiej hordy, do najbardziej ucywilizowanego organizmu; stosownie do tych szczebli, Spencer, w swej *Socjologii opisowej*, układa materiał etnograficzny, uwzględniając otoczenie każdej grupy (warunki geograficzne i sąsiedzkie), jej charakter fizyczny, emocjonalny i umysłowy, dalej kulturę i porządek społeczny, a zawsze na podstawie analogii gromad ludzkich do organizmów.

Zdaniem pana K., szczęśliwszą od Spencerowskiej jest próba Morgana. „Opiera się ona na poglądzie, że pomiędzy techniką i źródłami utrzymania z jednej, a objawami społecznymi z drugiej strony istnieje ścisła zależność.“ Zgodnie z tem Morgan dzieli historię rozwoju ludzkiego na okresy: dzikości, aż do wynalezienia garncarstwa; barbarzyństwa, do wynalazku pisma i wreszcie cywilizacji, polegającej na oddzieleniu produkcji przerabiającej od dobywającej. Okresy te dzieli się u niego na podokresy. Można, powiada nasz autor, spierać się z Morganem o szczegóły schematu jego, ale przyznać trzeba słuszność jego myśli zasadniczej (64).

Teraz już pan K. przystępuje do szczegółowego przeglądu głównych skupień ludzkich. Zamierza każde z nich obejrzeć ze stanowiska podstawy jego geograficznej, otoczenia sąsiedzkiego i zdobyczy technicznych. Rozpoczyna od plemion czarnych, przechodzi potem do żółtych, a zakończy na białych, odpowiednio do stopniujących się uzdolnień cywilizacyjnych.

Czarnym poświęca autor rozdziały II do IV. Rozpoczyna od oznaczenia ich siedlisk w Afryce, Indjach przedgangiesowych i na wyspach na południo-wschodzie Azji. Trzy typy rasowe dają się wśród nich uwydatnić: negrycki, papuański i australijski; dwa pierwsze bliższymi są sobie w stosunku do australskiego. Autor wchodzi w szczegóły antropologiczne każdego z tych typów. O australskim powiada, że nie jest jednolitym i obejmuje do 500 języków. Nizki stopień cywilizacji Australczyków tłumaczy on głównie jak najgorszymi warunkami otaczającej przyrody. Bardzo ciekawemu ustrojowi społecznemu, a raczej rodzinnemu, Australczyków słusznie p. Krzywicki poświęca dość dużo miejsca, korzystając ze słynnych badań Howitta i unaoczniając wykład swój przypuszczalną analogią Warszawy i Pragi.

W dalszym ciągu czytamy opis ludności N. Gwinei i archipelagów Melanezyi. I ta nie jest jednolitą, jak to widać z wymiarów czaszek, zabarwienia skóry i t. d. Nie możemy wchodzić tu w szczegóły, nagromadzone w książce pana K., bo musielibyśmy chyba nad miarę rozszerzyć nasz referat; powiemy tylko, że wybiera on najbardziej znamienne rysy i niemi maluje odrębność każdego skupienia, tak cielesną, jak duchową.

Dziwna, nie do rozwikłania prawie mieszanina ludów i plemion Indyi przedgangiesowych oczekuje jeszcze badań szczegółowych. Autor nasz korzysta ze zrobionych dotąd poszukiwań i w głównych zarysach streszcza je w rozdz. III. Mówi o językach, równie tu licznych, jak odcienie plemienne; dalej o labiryncie kast, których nie cztery, jak zwykle mówimy, lecz niezmierna ilość roi się w Indjach; mnogość ta podziałów społecznych musi być w związku z różnaitością czasów osiadania i szczepowością owych 250 milionów, zaludniających półwysep. Zastanawia się dalej nad nstrojem społecznym różnych drobniejszych plemion, uważanych za pozakastowe „wyrzutki“ ludności indyjskiej. Co do ras, wyraża przypuszczenie, że tylko czarna mieszkała pierwotnie na całym półwyspie i dalej ku Japonii i Mezopotamii. O mniemanem pokrewieństwie języków drawidyjskich z australskimi wyraża się z wątpliwością i przytacza hipotezę o stopniowym zaludnieniu Indyi. Wątpliwemi mu się wydają wszelkie próby dowiedzenia powinowactwa czarnych półwyspu z negrytami; zgodziłby się raczej na zdanie Mantegazzy, który myśli, że w Indjach zmieszało się kilkaset ras rozmaitych w ciągu nader długiego czasu; że obecnie, skutkiem atawizmu, wynurzają się tylko czasami ślady dawnej różnaitości plemiennej, i że wreszcie kilka tylko plemion, dzięki niedostępnym siedliskom, przechowało typ starszy od napływu aryjsko-muzułmańskiego (106).

„Czarna“ Afryka (rozdz. IV) również tylko pozornie jest jednolita pod względem zaludnienia. Najnowsze badania, nie rozciągające

się bynajmniej na całe terytorium afrykańskie, pozwalają wyróżnić trzy główne typy antropologiczne: murzyński, negrylski i buszmeński. Lecz nigdzie nie występują one w zupełnej czystości: owszem wszędzie są zmieszane, i to nie tylko z sobą, lecz z licznymi żywiołami poza-afrykańskimi. Pomijając mniej wiadome domieszki, papuańską i malajską, główną baczność zwrócić należy na znaczną ilość jednostek i całych plemion, noszących wszystkie cechy typu tak zwanego greckiego. Ślady migracyi tego typu dość są wyraźne: ciągną się one niby promieniami w głąb Afryki z okolic pomiędzy górnym Nilem, a wybrzeżem wschodnim. Potomkowie tych przybyszów, równie jak ich przodkowie, są żywiołem, wciskającym się, jak rozczyń rozkładający, w ludność czarną; spotykamy ich w Abisynii, Senmarze, od Senegalu do Darfuru (Fulbowie i in.) Innem znowu korytem wcisnęły się do Afryki żywioły semickie i chamickie, mianowicie z okolic Babelmandebu. Nawet w Kafrach znać ślady domieszki obcorasowej.

Autor przypatruje się kolejno gromadom: Buszmenów, Hotentotów, Bantuów; dla scharakteryzowania tych ostatnich, zastanawia się nad pojedynczemi ich odłamami, głównie Kafram; przechodzi potem do odmalowania stosunków plemiennych i społecznych ich sąsiadów z północy, dzielących się na liczne gałęzie językowe, a stanowiących szczep właściwie murzyński; zastanawia się głównie nad mieszkańcami zachodniego Sudanu, których cechy są mniej więcej wspólnemi z resztą plemion tego szczepu. Widać u nich wielką różnorodność ustrojów społecznych, od demokracji, aż do ostatecznego despotyzmu; widać też ostatniemi czasy wielki ruch przewrotowy. „Jaka przyszłość oczekuje tę grupę, stanowiącą 10 do 12 procent rodu ludzkiego?” zapytuje nasz autor (133). Odpowiedzi szukać należy głównie w jej uzdolnieniu umysłowem i emocjonalnem; a szukając jej, nie ufać ani tym, którzy przesadnie chwają, ani tym, co z uprzedzeniem ganią czarny odłam ludzkości. Zdaniem pana K., „strefa gorąca przyspiesza dojrzałość płciową w życiu indywidualnem i złożoność w społecznem, ale umysł jednostki i technika gospodarcza pozostają na niskim poziomie. Murzyn znalazł się w licznem i złożonem społeczeństwie, nie przeszedłszy szkoły, w której byłaby wyćwiczoną wola jego, ta sprężyna postępu samodzielnego” (135). „Dzieje czarnej Afryki są jedynie hałaśliwym życiem z dnia na dzień, lecz nie znają gromadzenia wiedzy i bogactwa. Socjologicznie istnieją tutaj ustroje miejskie, jak Ateny i Rzym, lecz bez filozofii ateńskiej i bez podbojów rzymskich” (136).

To też z natury rzeczy Murzyn pada ofiarą obcego wyzysku. „Do czarnej Afryki wdziera się najazd ras daleko wyżej posuniętych w technice, który nadto nie idzie dawnem wążkiem korytem od Sudanu egipskiego, lecz zajął wszystkie wybrzeża, na południowym krańcu

stworzył milionową kolonię i wdzierą się do środka ze wszech stron, napotykać przeszkodę tylko klimatyczną" (137). •

W najeździe tym należy wyróżniać prądy: islamsko-arabski i europejsko-chrześcijański. Pierwszy wpływa rozkładająco na społeczność murzyńską. „Wychodzący arabscy odgrywają tutaj rolę prawników Europy średniowiecznej, tylko że prawo rzymskie zastępuje koran. Drugi wszędzie, gdzie stąpi, zastaje ślady pierwszego, a jest zgubniejszym od niego. „Arab wsiąka w życie murzyńskie; prąd zaś europejski skrupulatnie wyodrębnia siebie od czarnej społeczności i nigdy z nią się nie zlewa... Biały mniema, że jest stworzony na pana" (138). Immigracja europejska natężeniem i środkami przewyższa arabską. „Naprzód przychodzi misjonarz, później handlarz, w końcu wojsko“, mówią o niej Kafrowie.

Przechodząc do opisu rasy żółtych krótkogłowców, czyli mongolskiej (rozd. V), stanowiącej 42—44 procent ludzkości, pan K. kreśli jej siedliska, opisuje typ z wyglądu i znamion antropologicznych, uskarża się na szczupłość zasobu kranjologicznego i twierdzi, że, jak w grupach poprzednio rozważonych, tak i w tej, jednolitości niema, a jest owszem pewność, że poprzedniczką jej na obecnym jej obszarze była inna jakaś rasa, której niedobitkami może są głośni Ajnowie i inne ludki, siedzące na obu pograniczach Azji i Ameryki. Niema tej jednolitości ani w Chinach, ani w Indo-Chinach, ani na przestworzu Syberji. Taż sama różnaitość cechuje języki azyatyckie, których używa ludność rasy tu rozpoznawanej. Jeżeli mowa być może o jakimś przeciętnym typie mongolskim, to może za względnie najczystszy jego okaz należało-by pocztytywać stepowców Azji: Kirgizów, Kałmuków i Mongołów. W dalszym ciągu autor przypatruje się stronie lingwistycznej ludów tej rasy, a potem ich kulturze. Pomijając szczegóły tego przeglądu, który obszerniej mówi o Tybecie i Chinach (165—170), zatrzymam się na horoskopie, postawionym przez autora „żółtym krótkogłowcom" wogóle. Co do koczowników (jest ich nie wiele, wszystkiego 5% całej rasy), ci niewątpliwie wymrą; z reszty tylko Chińczycy mają przyszłość przed sobą (Japonię autor wyłącza, jako porwaną już w wir cywilizacji europejskiej). Posiadają oni dużo energii zalewania sobą obcych krajów (Annam, Siam, Ameryka i t. d.) Zachodzi pytanie, jak ta ćwierć całej ludzkości zachowa się w dalszym ciągu z ćwiercią aryjską. Obie w różnych miejscach starają się zalać wzajemnie. „W Stanach Zjednoczonych r. 1881 liczone Chińczyków do 100 tysięcy; w Peru, Brazylii i na Antylach 200 tys.; w Australii około 50; na Filipinach 250; w osadach holenderskich 300 tys.; ukazują się też nawet w Afryce południowej. Chińczyk wszędzie ruguje rywali taniością swej pracy. W samych Chinach wyrasta kapitalizm europejski i rosną

wpływy białe... Trudno wyrzec coś o ostatecznych rezultatach tego zetknięcia. Jedno pewna, że Chiny zostały porwane przez wir rozwoju ogólnoludzkiego" (172).

Rozdział następny (VI) poświęcony jest przyjrzeniu się ludności Ameryki. I tu czuć wielki brak danych antropologicznych; z tych jednak, które nauka już posiada, okazuje się, że, jak inne, tak i „rasa czerwona“ nie jest jednolitą, lecz powstała ze zmieszania kilku, i to pochodzących ze starego ładu. Eskimowie należą do najwybitniejszych przedstawicieli typu amerykańskiego, który zdaje się, że istniał jako wynik zmieszania już w okresie czwartorzędowym. Długogłowi podobno są wcześniejszymi, a krótkogłowi późniejszymi przybyszami nowego świata. Wogóle rasa amerykańska ma wiele wspólności z mongolską; gniazdem jej, zdaje się, były okolice cieśniny Berynga. Włosy, oczy, skóra wielce podobnymi są u krajowców Ameryki do Mongołów; ale nos inne ma ukształtowanie. Zdaje się, że przymieszka „kaukaska“ odgrywała pewną rolę w dziejach rasy amerykańskiej; nie brak też śladów wpływu rasy czarnej.

W językach krajowców amerykańskich uderza przedewszystkiem wielka ich różnorodność, a dalej cecha ogólna — tak zwany polisintetyzm, czyli „wielanie“ wyrazów, a raczej cząstek wyrazów, skutkiem czego powstają morfemy niezmierniej długości.

W dalszym ciągu autor charakteryzuje Eskimów, Koluszów i inne, obecnie ku zachodowi ładu Ameryki północnej odparte oraz wygasłe plemiona; przechodzi potem do uwydatnienia głównych rysów charakteru i umysłu krajowców Ameryki południowej i wreszcie tak formułuje sąd swój o nich: „Charakter duchowy człowieka zupełnie odpowiadał otoczeniu — spokojnemu, lecz milcząco zdradliwemu. Podróźnicy wszędzie spostrzegali smętnie apatyczny wyraz twarzy, nie ujawniający ani namiętności i entuzjazmu, ani uradowania, bojaźni lub litości“ (193). Zastanawia się potem nad wielką starożytnością człowieka, w tych krainach, stwierdzając zresztą fakt, iż antropologia i etnografia nie wiele tu mają nagromadzonych zasobów, co zresztą przypisywać należy stałemu tępieniu tubylców przez „najazd“ europejski.

Botokudowie stanowią okaz najniższej, a npadłe państwa Meksyku, Kuiczów, Majów i Peruwian — najwyższej krajowej cywilizacji w Ameryce. Pan K. dość obszernie nad nimi się rozwodzi (203—208) i przyznaje Morganowi zasługę krytycznego poznania przed-Kolumbowego stanu Ameryki środkowej, usuwając możność hipotezy o zamorskim jakoby źródle jej cywilizacji i nadmieniając o przypuszczeniach, (co do jej czynników etnograficznych i antropologicznych, działających jak się zdaje, z dalekiej północy kontynentu. Kończy się rozdział statystyką krajowców w czasach Kolumba i obecnych.

Następny zajmuje się rasą, która zwykle malajską się nazywa. Nie tak, jak inne, mówi ona językami, pochodzącemi ze wspólnego źródła; czy rzeczywiście z jednego pnia wyszły one, czy też z biegiem czasu się upodobniły, to trudno rozstrzygnąć; prawdopodobieństwo przemawia za pierwotną różnością, gdyż typy rasowe, należące do tego skupienia językowego, są bardzo rozmaite, a dotychczasowe mniemanie, iż rasa malajska jest jednolitą i podobną do mongolskiej, ustąpić musi przeciwnie świadczącym odkryciom: dziś już wiadomo, że składa się ona z osobników nader rasowo odmiennych: białych, żółtych i czarnych, długogłowych i krótkogłowych. Zdaje się, że Indonezyja była ojczyzną i języków, które się rozpostarły po mniejszych wyspach Oceanu Spokojnego, tej „morskiej pustyni“, i śmiałych żeglarzy, którzy ją zaludnili; bo też należy przyznać Indonezyjczykom niepospolite uzdolnienie wśród plemion ludzkich: oni-to zaludnili Japonię, oni też Madagaskar. Prawie wszędzie znaleźli starszych od siebie osadników, należących do rasy czarnej.

Ciekawemi są domniemania, kiedy która z wysp Polinezyi została najechaną przez Indonezyjczyków, i spostrzeżenia nad domieszką słów indyjskich (sanskryckich) na wielkich wyspach Indonezyi. W dalszym ciągu autor kolejno charakteryzuje szczepek właściwie malajski, potem mieszkańców Mikronezyi i Polinezyi; szczegółów tej charakterystyki niepodobna streścić w referacie: czytelnik musi sam się z niemi w dziele zapoznać.

Rozdział VIII zajmuje się rasą białą: Semitami, Chamitami i Aryami; stanowi ona prawie połowę zaludnienia kuli ziemskiej i przoduje w cywilizacji. Pomimo podobieństw językowych, niepodobna twierdzić, iż rasa ta jest antropologicznie jednolitą: owszem widać w niej „olbrzymie różnice fizyczne i duchowe“ (235). Kolebką gałęzi semickiej, zdaje się, iż nie była Mezopotamia, lecz Arabia. Pan K. tak charakteryzuje „duszę rasową“ tej gałęzi: „Semicie czystej krwi zbywa na poczuciu plastyczno-artystycznym; cała literatura składa się z hymnów lirycznych, lecz jest uboga w pierwiastki epicko-dramatyczne; nauka jest zaciekaniem się scholastyczno-filozoficznym, bez empirycznego doświadczenia; rzeźba i malarstwo są nieznane. W przekonaniach jest to typ mało tolerancyjnego fanatyka. Rasa semicka odznacza się wogóle znaczną energią. Jeszcze większą rolę odegrał ten szczepek swojemi podbojami idejowemi. Chociaż Semici stanowią zaledwie jeden procent rodu ludzkiego, jednak wyznawcy religii, które w tym szczeple wzięły początek, wynoszą 33% ludzkości dzisiejszej“ (239). Następuje dalej charakterystyka budowy cielesnej Semitów.

Szczepek chamicki, do którego należeli dawni Egipcyanie, praojcowie Koptów dzisiejszych, zostaje w niewątpliwem powinowactwie z se-

mickim; gdy ten ostatni prowadził przeważnie żywot koczujący, Chamici od niepamiętnych czasów odznaczali się skłonnością ku osiadłości i roli; dziś jeszcze w Afryce północnej znajdujemy potwierdzenie tego, patrząc na Berberów i Kabilów, których stosunki społeczne autor pokrótce opisuje.

Ale Semici i Chamici, to termin raczej kulturalno-językowy, niż antropologiczny. Antropologicznie bowiem, po-za kategorią trzech białych szczepów, zgromadzić wypada w pewną całość wszystkich mieszkańców wybrzeży morza Śródziemnego, jako grupę śniado-długogłową; nazwano ją śródziemno-morską. Autor podaje szczegóły budowy cielesnej tego skupienia; być może, iż stanowiło ono przed Aryami zaludnienie dziedzin nad morzem Śródziemnem i blisko się krewniło z rasą przeddziejową, której okazy odkryto w Cromagnon.

Rozdział IX zajmuje się szczepem aryjskim. Liczebnie stanowi on trzecią część mieszkańców całego świata. Autor rozpoczyna przegląd plemion poszczególnych od najmniej ucywilizowanych Kafirów i Kurdów. Przechodzi potem do odmalowania trybu życia dawnych Aryów, ile się to daje uczynić z kombinacyi lingwistycznych i omawia zagadnienie co do ich siedliska pierwotnego. Zdaniem jego „mnóstwo faktów przemawia za północno-europejską kolebką Aryjczyków“ (255), mianowicie za szukaniem jej na równinach Niemiec i Rosyji. Chcąc jednak domysł ten poprzeć dowodami antropologicznymi, zastanawia się wprzód nad składem rasowym Aryów dzisiejszych. Nie są oni gromadą jednolitą: Baskowie i ludy Kaukazu są ostatnimi, niepochlōniętymi jeszcze przez Aryów resztkami plemion innej mowy i rasy. Pośród zaś Aryów właściwych widzi się także pstroczinę antropologiczną, uwydatniającą się w różnaitości barwy oczu i włosów, oraz wskaźnika czaszkowego, stwierdzonej dotąd szczegółowo tylko w Europie środkowej. Dotąd wykopane najstarsze kościotrupy europejskie zdają się świadczyć o takiejże różnaitości rasowej i w najdawniejszych czasach. „Rodzi się więc pytanie, kto dał początek mowie aryjskiej: krótkogłowiec, czy blondyn długogłowy?“ (271). Rozwiązano je rozmaicie, dotąd bez stanowczego skutku, a że od tego pytania zawisło inne, mianowicie, gdzie było gniazdo szczepu naszego, więc odpowiedź na obadwa drugie czeka jeszcze pewniejszego uzasadnienia.

W rozdziale X, stanowiącym ciąg dalszy poprzedniego, autor ponownie zaznacza hypotetyczność dotychczasowych wniosków o rodzajach i klasyfikacyi rasowej. Poszukiwania jednak w tym kierunku tę mają zaletę, że ciągle zwracają uwagę na coraz to nowe strony zagadnienia i tem przyczyniają się do wszechstronnego jego oświetlenia.

Dawne przewroty w rozsiedleniu szczepów wcale się jeszcze nie zakończyły: owszem, „stoiśmy dzisiaj wobec gwałtownego przełomu, który przyszedł dziejopis nazwie okresem najazdu białych“ (276—77). Autor charakteryzuje bliżej ten „najazd“ i rozwódzi się nad poprzedniami, zapuszczając się w przypuszczalne obliczenie najdawniejszego i obecnego zaludnienia ziemi; według jego obrachunku, jest dzisiaj dzikich 0,3%; barbarzyńców, nie znających metali, 2—3%; barbarzyńców, uprawiających metalurgię i rolę, około 25%; cywilizowanych około 70% (281).

Czyniono też próby bliższego określenia zdolności umysłowych różnych gromad plemiennych; wiązano zagadnienie to z wymiarami i pojemnością czaszek, ale bez pożądanego skutku; dzielono wszystkich ludzi na cztery grupy (Lapouge): inicjatorów, ich dzielnych zwolenników, zachowawców i tępych, i do tych grup usiłowano wtłoczyć różne szczepy; szukano też probierza w badaniu uzdolnień młodzieży w stosunku do pewnych nauk; ale dotąd na pewne jakieś kryterium nie natrafiono.

Walka ras trwa dalej; nie „ogniem i mieczem“ dziś się ona poważnie odbywa, ale faktem jest, iż gdziekolwiek plemię wyższe cywilizacją styka się z niższem, tam to ostatnie szczupleje liczebnie i wymiera. Dlaczego następuje tak smutny rezultat?— „Rzecz cała polega na tem, że dziki i barbarzyńcze, chociażby znalazło się dla nich miejsce w obecnej cywilizacji, odrzucają ją dla tej prostej przyczyny, ponieważ żyją w ustroju, wydającym wyższe pod względem moralnym jednostki“ (288). Ta „prosta przyczyna“ nie wydaje się nam tak dalece prostą; sam autor pośpiesza też dodać zaraz: „Na pozór twierdzenie to może brzmieć dziwnie; tem nie mniej jednak jest słusznem”.

Nie możemy tu wdawać się w obszerną polemikę z panem K. Poprzestaniemy na wyrażeniu wątpliwości naszych i uwadze, że jakiegokolwiek są przyczyny, oprócz jedynej „prostej“ jego, fakt pozostaje faktem, a ubolewania nasze w niczem go nie zmieniają i świat pójdzie drogą konieczności; szkoda więc słów straconych w dziele poważnem i opisującym to, *co jest*, ale nie to, *coby być mogło, lub powinno*...

W dalszym ciągu autor wymownie stara się uzasadnić założenie powyższe, gromadząc znaczną ilość faktów, świadczących o barbarzyństwie nie barbarzyńców, lecz ucywilizowanych najeźdźców. W końcu dochodzi do wniosku, że „o wsiąknięciu dzikich i barbarzyńców w cywilizację nie może być ani mowy“ (294) i dodając dalej nader trafne i może mimo woli jego nieco sprzeczne z powyższem, przez nas zakwestyonowanem, zdanie: „Wyjątek stanowią rolnicy, wzrastający wszędzie w liczbę, nawet mimo ucisku ze strony najazdów. Odnaczają się oni taką opornością właśnie dla tego, że rozwój społeczny

postawił ich u progu cywilizacji i pozbawił barbarzyńskiej namiętności być istotą swobodną i nieskrępowaną" (295). To też, zdaniem naszym, nie „wyższość moralna jednostek“ u dzikich, ale barbarzyńskie ich pojęcia o wolności“ są główną przyczyną konieczności ich zaniku.

Zdawało-by się, że nic nie może skuteczniej usunąć smutnego tego zjawiska nad łączenie rasy białej z innymi, na tak zwane krzyżowanie. Wiele też jest głosów, przemawiających za tem pokojowym rozwiązaniem trudności. Pan K. obszernie rozbiera tę sprawę, sprawdzając i tutaj niedostateczność naukowego jej uzasadnienia, przyznając zresztą, iż względnie więcej ją od innych zagadnień antropologicznych opracowywano. Od rozwiązania tego zagadnienia zależy będzie naprzód możność dania wskazówek, co do kolonizacji w przyszłości, a powtóre klucz do odcyfrowania wielu zagadek z przeszłości. W dalszym ciągu autor wymienia dotąd mniej więcej stwierdzone wnioski o skutkach cielesnych i duchowych mieszania się szczepów; w szczególności ich rozpatrzenie wchodzić tu nie możemy, odsyłając czytelnika, do samego dzieła (296—304).

Następny paragraf zajmuje się wpływem klimatu na człowieka. „Mesologią antropologiczną“ nazwano tę nową gałąź wiedzy, której zastosowanie praktyczne, niezmiernej doniosłości dla wychodźców i kolonizatorów, można-by nazwać „koloniologią“, nauką o najpomyślniejszem sadowieniu się w dalekich krajach. I tu podaje nam autor dużo zajmujących szczegółów i spostrzeżeń. „Aklimatyzacja człowieka udała-by się wszędzie, gdyby była prowadzona systematycznie“, powiada (311) i w głównych zarysach maluje niezbędne jej warunki. Rozdział i część II kończy pytaniem bez odpowiedzi: Jaki udział w przyszłym nieskończeniu wielkiem zaludnieniu ziemi przypadnie każdej gromadzie rasowej?

W części III (316—431), opracowanej najbardziej samodzielnie przez pana K., spotykamy na wstępie określenie jej treści: autor chce w niej uzupełnić wywody poprzednie i wyłuszczyć pierwsze zasady przyszłej, jak powiada, „inżynierji“ socyologicznej (316).

Rozdział I zajmuje się badaniem znamion antropologicznych, już nie ras i szczepów, lecz jednostki. Zastanawia się tu autor nad wpływem wieku i twierdzi, że prawdziwie racjonalna pedagogika może się ugruntować tylko na zasadzie danych antropologicznych (318). Następuje ciekawe zestawienie wagi mózgu w różnych okresach życia ludzkiego i wniosek, że „antagonizm pomiędzy *młodemi* a *staremi*, pomiędzy *ojcami* a *dziećmi* (postępowcami a zachowawcami) jest nieuniknioną koniecznością antropologiczną“ (321). Dalej przechodzi autor nasz do przyjrzenia się różnicom rasowym obu płci i myśli, że bliższe ich poznanie rzuci niemałe światło na przeszłość etnologiczną danych

okolic. Dotyka potem kwestyi tak zwanej emancypacji kobiet i nader słusznie uważa, iż snucie przeciwnych jej dowodów z mniejszej pojemności czaszek żeńskich nie jest uzasadnionem, bo posiadanie większej ilości mózgu jest właśnie celem dążności do równouprawnienia i może być tylko jej skutkiem.

Rozdział II zajmuje się badaniem uzdolnień ludzkich. Obowiązkiem antropologii powinno-by być opisanie głównych typów „duchowo-emocyjonalnych“ człowieczeństwa; niestety, bardzo mało w tym kierunku zrobiono, a jednak ważne to studyum, zarówno dla antropologii, jak dla socjologii; nawet w dziejach niejedna zagadka dała-by się zapomocą jego wyjaśnić. Po-za ruchami społeczno-klasowemi, w których działaczami są pewne warstwy, mnóstwo jest w życiu społeczeństwa prądów emocyjonalno-antropologicznych, działających niezależnie od tamtych, ożywiających całe masy ludzi. Wśród tych mas nie trudno wyróżnić przodowników, inicjatorów; istnieją bowiem jednostki, jak to się mówi, „urodzone“, niby zawczasu przeznaczone do odznaczenia się w złem lub dobrem; istnieją uzdolnienia fachowe, czyli zawodowe. Chodzi więc o naukowe ustalenie ich typów, o zbadanie, ile i jak pewne skłonności odbijają się w ustroju cielesnym, co odbierają od otoczenia, a co z siebie snują. Aby dać nieco przykładów tego rodzaju badań, autor zastanawia się nad umysłami wielostronnemi i umysłami jednostronnemi, uskarżając się wreszcie na szczupłość poszukiwań dotychczasowych w tym kierunku.

Stosunkowo więcej zbadano typy kryminalistyczne. Autor zatrzymuje się nieco dłużej nad tezami antropologii kryminalistycznej, dodając wszakże, iż czyni to „nie dlatego, aby zdobyte wyniki miały jakąś utrwaloną wartość, lecz poto, żeby wykazać całą złożoność przedmiotu“ (338). Rozpoczyna od teorii Lombrosa, którego zresztą zwolennikiem nie jest; maluje podług niego typ „urodzonego“ zbrodniarza i dochodzi do wniosku, że przyczyny pociągu do zbrodni szukać należy w zwyrodnieniu psychiczno-fizyologicznem, lecz nie w anatomicznem, które jest tamtego skutkiem.

Nie zaprzeczając potęgi wpływów otoczenia, autor upatruje w dziedziczności jeden z ważnych czynników cech umysłowych jednostki, uskarżając się i tu na ubóstwo materiału, którego więcej nagromadzono dla nienormalnego, niż dla normalnego człowieka.

Bądź co bądź, dziś już jasnym jest, że „nierówność psychiczna jest zasadniczym faktem życia społecznego“ (349). Stąd wynika wiele postulatów. Nasamprzód dla prawa karnego: wobec tej nierówności i kara za to samo przestępstwo powinna-by być dla różnych ludzi różną; powtóre dla pedagogiki: różnie uzdolnione osobniki powinny-by być inaczej wychowywane i inaczej uczone; po-trzecie dla całego ustroju

społecznego: aby otrzymać jak najwięcej zdolnych obywateli, trzeba-by jednostkom ułatwiać drogę do najwłaściwszego wyhodowania ich zdolności: a że te przechodzą dziedzicznie, więc taki Lapouge np. marzy nawet o powrocie do ustroju kastowego, np. egipskiego. Nie posuwając się tak daleko, autor stwierdza jednak smutny fakt, że „jakieś 90% społeczeństwa dzisiejszego jest odsunięte od wyboru zajęcia i zaprzęzione do wyłącznej a bezmyślnej nieraz pracy fizycznej, pozostałe zaś 10% kierują się raczej widokami zarobkowemi“ (352). Dalej zaś tak nam maluje swój ideał przyszłości: „Tylko taki ustrój społeczny, który zniesie przywileje, zmuszające 90% ludności do pracy wyłącznie fizycznej, i usunie jednocześnie pogoń u reszty za karierą zarobkową, otwórzy zupełnie ujście typom duchowo-emocyonalnym, ma się rozumieć z warunkiem, że produkcya dóbr materyalnych będzie się odbywała na wielką skalę i umożliwi spożytkowanie chociażby najrzadszej skłonności, nadto zaś będzie tak wydajna, że, po obowiązkowej pracy fizycznej, zostawi każdemu obywatelowi dość czasu na zajęcia umysłowe“.

Uzdolnienia i właściwości emocyonalne rozsiane są wśród różnych plemion w niezmiernej różnitości, wynikającej prawdopodobnie ze zmieszania się ras, z których każda wnosi swą część usposobień. Badano tedy stosunek typów duchowo-emocyonalnych do typów rasowych, lecz dotychczas prawie bezskutecznie, gdyż w obecnej dobie wpływy społeczne zacierają inne. „Analiza wpływów rasowych będzie tylko wtedy możliwą, kiedy społeczeństwo zostanie odpowiednio uproszczonem, dzięki zanikowi klasowości“ (355). Próba Lapouge'a, który usiłował wykazać geograficzne rozmieszczenie geniuszów i talentów w Europie, nie przekonała nikogo, bo oparta była na wcale nieścisłych wywodach.

W rozdziale III autor zajmuje się „doborami społecznymi“ odpowiadając na pytanie, „czy skład emocyonalny rasy jest jednaki dla wszystkich epok (t. j. we wszystkich epokach) i dla (raczej u) pojedynczych jej odłamów“ (357).

Układ charakterów i temperamentów nie jest wartością stałą, lecz zmienną, zawisłą od warunków otoczenia (przyrody i ludzi). Warunki te działają w ten sposób, iż im pierwotniejszym jest społeczeństwo, tem więcej ulega wpływowi natury, a im bardziej rozwiniętem, tem silniej zależy od stosunków społecznych; zależność tę w obu razach nazwać można doбором. Otóż dobór ten aż do dni naszych odbywa się raczej żywiołowo, fatalnie, niżeli celowo, rozmyślnie, a skutkiem tego najczęściej nie pomyślność, lecz szkodę przynosi ludzkości. Autor przechodzi potem na dobór płciowy i stara się wyjaśnić dziejowe powody poniżenia kobiety i w parze z niem idące zniżenie wagi jej mózgu. Na pytanie, czy postęp techniczny rozwija się równolegle

z antropologicznym, odpowiada przecząco, wykazując powody, dla których w społeczeństwach pierwotnych mózg bywa rozwinięty obficie, niżeli w wyżej ucywilizowanych: w tamtych walka o byt usuwa jednostki słabsze; w tych mogą one wegietować, choć o głodzie i nędzy, i mogą rozmnażać coraz karlejące odrośle.

„Jednostki przedsiębiorcze w społeczeństwie są jakby rozczynem postępu“ (370). Liczne przykłady dowodzą tej tezy; autor czerpie je z dziejów Europy i naszych i okazuje wpływy cywilizacyjne, z jednej strony hamujące, a z drugiej popierające energią osobników, przytaczając przykłady kolonii, górujących nad metropoliami, a z drugiej strony takiej np. Hiszpanii, katującej i mordującej systematycznie, w ciągu kilku stuleci, wszystkie śmielsze jednostki. Jeszcze gorszem jest oddziaływanie tej formy społeczeństwa, w jakiej żyjemy, na ogromną większość ludzkości: sprowadza ono ciemnotę i nędzę i zmusza żyć w niej $\frac{9}{10}$ ludzi; tym sposobem zwyrodnia się masa jednostek i przekazuje skutki zwyrodnienia dalszym pokoleniom. Systematyczne „niedojadanie“, brak słońca i powietrza wytwarzają półidyotyzm, skarłowacenie cielesne i duchowe i uciekanie się do odurzeń narkotycznych.

W dalszym ciągu czytamy zajmujące szczegóły o złych skutkach doboru wojennego i o doborze, który nazwać można „stołecznym“ o systematycznym pochłanianiu wsi, a raczej kwiatu ludności wiejskiej, przez wielkie miasta. Ratunkiem w pierwszym razie były-by armie terytorjalne, t. j. zmilitaryzowanie wszystkich mieszkańców, a w drugim „miasta wsie“ idealne, czyli takie ustroje, które-by łączyły w sobie zalety miast z wiejskimi. „Kapitalizm, mówi autor (389), postanowił sobie jakby za zadanie zwyrodnienie dzielności antropologicznej wśród rodu ludzkiego“; zwyrodnienie to, obawia się pan K., może stanąć na zawadzie jego odrodzeniu; jedynym ratunkiem było-by tutaj „szerokie prawodawstwo ochronno-fabryczne i higieniczno-sanitarne, wraz z zapewnieniem urzędowo-państwowem wyższej normy zarobków, a w dalszym ciągu jak najspieszniesze uspołecznienie gruntów niezajętych w koloniach“ (390).

Paragraf następny bada typy, wytworzone przez warunki klimatyczne; można je nazwać „rasami psychicznymi“; góral, stepowiec, podbiegunowiec i t. d., byli-by ich przedstawicielami. Typy te nieraz wybijają się i w cechach cielesnych, a tem więcej w duchowych. Powstają też skupienia, które nazwać można „rasami społecznymi“, tworzące się z wpływów zawodu, miasta i t. d., tak, iż można mówić np. o „rasie miejskiej“, „rasie fabrycznej“ i t. d.

Oczywiście układ cielesny nie wyłącznie kształtuje społeczeństwo, lecz gra ważną rolę, jako lepsze lub gorsze narzędzie do czynno-

ści materialnych i duchowych. Nasuwa się przeto zagadnienie, którem autor rozpoczyna rozdział IV: jaki jest stosunek rasy do narodowości. Różni różnie na to odpowiadali, względnie do tego, jak sobie określali narodowość. Z punktu antropologicznego, narodowość a rasa, to rzeczy zgoła różne, najczęściej niewspółmierne. Poczucie wspólności narodowej może wiązać wcale różne antropologicznie żywioły i zmieniać się historycznie: „ciągłość bowiem narodowościowa w czasie jest tylko ciągłością tradycji, kategorią ideową, lecz nigdy rasowo-antropologiczną“ (398). Tezę tę pan K. popiera przykładami z dziejów i zastanawia się dalej nad pytaniem, jakie światło rzuca antropologia na historię? Odpowiadając na nie, przytacza poglądy Tubina, zarzucając im wszakże jednostronność, gdyż tak on, jak inni (Houzé, Lapouge), za mało uwzględniają czynniki ekonomiczno-kulturalne, a za dużo wdają się w „rojenja poetyckie“ (404); z góry nawet twierdzić można, że wykrycie roli ras w dziejach jest prawie niepodobieństwem. Nie mniej trudnem jest to i w zakresie wpływów antropologicznych na języki (§ 93), chociaż takowych zaprzeczać nie wypada.

Wogóle żywioły rasowe porównać można do pierwiastków chemicznych; rzadko istnieją one same przez się, a na połączenie ich wpływają przyczyny po-za niemi leżące, które najogólniej nazwać można przypadkiem (411). „Wszystkie też roztrząsania powyższe zasługują na uwagę raczej ze względów metodologicznych, aniżeli żeby dawały jakieś istotne wyjaśnienie sprężyn procesów dziejowych“ (412).

Antropologia oddać może ważne też usługi statystyce, w sprawach śmiertelności, wzrostu i t. p. I tak, gdy się okazuje, że wzrost mężczyzn zmniejsza się (jak to spostrzeżono np. u nas ostatnimi czasy ¹⁾, to przyczyny tego szukać-by należało nie tylko w złem odżywianiu się, ale i w warunkach rasy.

W jakim kierunku odbywać się będzie postęp antropologiczny w przyszłości? Czy są środki przyśpieszenia biegu jego? Odpowiedzią na te pytania autor wypełnia ostatni rozdział książki. Nie zgadza się ze zdaniem L. Gumplowicza, który mniema, że mózg nasz nie jest w stanie przekroczyć pewnej granicy rozwoju, antropologia bowiem ciągle ma do czynienia ze zmiennością pojemności czaszek. Wielu twierdzi, że szeroki rozlew oświaty podniesie uzdolnienia ludzkości.

Lecz nasuwa się pytanie, czy te uzdolnienia przechodzą dziedzicznie na potomków? A jeżeli nie, to czy nie należy szukać wskazówek w zootechnice, ogrodnictwie i t. d., wogóle w tych gałęziach wiedzy, w których człowiek, będąc panem działania, poczynił istotne zmiany celowe w kierunku ulepszenia.

Co się tycze doboru płciowego, to ten odbywał się nieraz u plemion barbarzyńskich, ale w formie, która nie mogła-by odpowiadać dzisiejszym naszym pojęciom i tylko w celu utrzymania dobrej budowy cielesnej. Nam dziś chodzi nie tylko o zdrowe ciało, ale przede wszystkim o mózg, o zdolności duchowe. Jedyłą drogą do utrwalenia ich i przekazywania potomkom może być w naszych czasach dobrowolne rzekanie się udziału w rozmnażaniu się ludzkości przez osobniki cielesnie i moralnie upośledzone (422). Sądząc z dotychczasowego postępu uczuć rodzicielskich, wnosić wolno, iż przy rozszerzeniu wiadomości naukowych o szkodach dla rodu ludzkiego, wynikających z braku celowości w jego rozplądaniu się, przyjdzie z czasem okres świadomego powstrzymywania się osobników upośledzonych od rodzicielstwa.

Dotychczas zagadnienia antropologiczne rozwiązywały się żywiołowo, t. j. nieświadomie i niecelowo. Co do przyszłości, pan K. wypowiada nadzieję, że „przy pewnym ustroju społecznym, w którym wola ludzka świadomie będzie regulowała produkcję, a wydajność pracy i zapanowanie nad przyrodą umożliwią ogólny dobrobyt i wiedzę, świadome rozwiązywanie kwestyi antropologicznych (t. j. antropotechnika w najszerszem znaczeniu tego słowa) jest rzeczą w najwyższym stopniu prawdopodobną. Możemy powiedzieć, zmieniając i uzupełniając słowa Engelsa, o takiej przyszłości, że dopiero wtedy ludzie poczną świadomie robić historję“ (429). „Antropotechnika stanie się wtedy kierowniczką życia społecznego, podstawą higieny gromadzkiej“ (431).

Staraliśmy się na kartach powyższych nie streścić, lecz tylko podać schemat dzieła pana K. Tyle w niem autor poruszył zagadnień, tyle planów do przyszłych badań nakreślił, że tylko uważne przeczytanie „Ludów“ może o tem dać pojęcie. Pozostaje nam zdać jeszcze sprawę z formy tej księgi i wyrazić sąd o jej wartości i znaczeniu.

Co do formy, wolelibyśmy ją widzieć nieco staranniejszą. Język, styl i poprawność druku pozostawiają wiele do życzenia ¹⁾.

¹⁾ Nie możemy tu wytykać wszystkich zbroceń oł zwyczaju językowego, napotykaných w dziele rozbieranem; wymieniamy ważniejsze tylko. Autor pisze „noc zaścignie hordę“ (73); „innorodców“ (142) „nieprzyjaciółami“ (161); „hiszpanin“ (194); „kędzierowate włosy“ (237); „indywidualizm doznaje ścieśnienia“ (238); „oddziałują“ (322, 389, 418); „wola“ zamiast „wołu“ (322); „dzięki“ czemuś autor używa, mówiąc o niepomysłnych następstwach czegoś (355, 376, 401, 407, 408, 411); „stoliczny“ (366); „poodal od...“ (373); „wyzwany“ zam. wywołany.

Niestaranność korekty, wraz z zaniedbaniem stylowym, złożyły się na to, iż wiele zdań i ustępów książki pana K. jest poprostu niezrozumiałych. Trudno np. pojąć takie zdania: „Człowiek użytkuje często z trucizny, dzięki (!) jej obfitości w otaczającej przyrodzie“ (192). „Rada z 42 mężów kierowała sprawami, a kara nawet śmierci czekała ich za przekroczenia“ (204). Tego rodzaju zwroty i zdania czytamy na str. 53, 78, 86, 94, 95, 96, 143, 158, 176, 186, 189 dwakroć, 205, 207, 208, 209, 223, 227 dwakroć 228, 231, 243, 260, 262, 288, 309, 402.

Pomyłek druku, czy też okazji niedbałości korekty, jest mnóstwo. Nie mówiąc już o dziwacznym przekręceniu nazwy języków tak zwanych „zlepiających“ (agglutinierende Sprachen) na *aglutatyczne* (którą autor na stronie X prostuje na równie niepomyślną), spotykamy błędy zupełnie sens zmieniające, jak np. mil (t. j. milionów), zamiast (zapewne) mk. (t. j. mieszkańców, str. 232, 238), albo typów (341), zamiast typów i t. p. Podaję tu sprostowanie ważniejszych usterek, dla dogodności czytelników. Str. 3, zamiast *podstawiających* ma być przed...; 14 zamiast *przyjęło*—przyjęto; 25 zam. *głosownia* — głosownią; 40 zam. *bezwzględnej*—bezwzględniej; 42 zam. *zatrzymany*—zatrzymamy się; 92 zam *spuścizny*—spuścimy; 101 zam. *piaskowzgórze* — płask...; 132 zam *Czradu*—Czadu; 139 zam. *Cradu* — Czadu; 132 zam. *lerulów*—Krnów; 132 zam. *także* — takie; 141 zam. *drugiej* — drugich; 150 zam. *Juisej*—Jenisej; 151 zam. *telentów* — Teleutów; 151 zam. *Barnauu* — Barnaulu; 218 dodać *imię* przed „pierworod. syna“; 242 *ozach* — oazach;

spowodowany (383). W nazwach geograficznych: „porzeccze *Nilskie*“ (111, 118); „z *Buenos-Ayresu*“ (200); „*Oxusa*“ (254); „*Taurusa*“ (255); „*Indusa*“ (91, 93); „*Jeniseja*“ (150); „przy *Egospotamosie*“ zam pod *Egospotamos* (383). Nazwy ludów i plemion autor pisze przez małe litery, wbrew zwyczajowi naszemu, a stąd rodzą się zabawne *qui pro quo*, w rodzaju następnego: „Cielaka zabijają, młode zaś samice oddają *kotom*, w zamian za usługi rzemieślnicze“ (98); mowa tu o plemieniu *Kotów*! Szyk przymiotnikowo-rzeczownikowy często bywa niewłaściwy: „polska literatura“ (IV), „opisowa socjologia“ (63) i dużo tym podobnych; a z drugiej strony „różnice niektóre“ (37), „budowa długa“ (84) i t. p.; zaniedbywanie słówka *to* w zdaniach warunkowych i wogóle złożonych zaciemnia nieraz jasność stylu pana K., np: „Jeżeli poprowadzimy jedną linię na wschodzie, (a) drugą przez zachodnie Ghaty, (to) wyznaczmy okolice najobficiej uposażone w typy czarne“ (92). Takich zwrotów jest sporo (str. 52, 97, 98, 99, 110, 111, 113 i t. d.) Po przeczeniu często 4-ty przypadek zamiast 2-go „nie strzyże się *je* systematycznie“ (29) i t. p. Często spotykamy też formy nieosobiste w formie zwrotnej, użyte sprzecznie ze zwyczajem naszym: „wyrostki *karmią się* krwią“ (81) zamiast „wyrostków karmią.“ albo Przymiotniki rodz. nijakiego służą autorowi za niby rzeczowniki, wbrew zwyczajowi, np. „w średnim“ zam. *średnio* „wiele mają *wspólnego*“ (126, 175) zam. *współności* i t. p.

246 zapewne *oko* (miało być *okolo*) wykasować; 254 zam. *Zeusi Jupiter* — Zeus i Jup.; 259 zam. *interieure* — inférieure; 273 zam. *Fluwyuszów* — Fulw...; 320 zam. *nađ podstawie* — na p.; 334 zam. *była* — było; 338 zam. *się—są*; 373 zam. *w osobnych* — może „wsobnych“?; 375 *in efficie* — effigie; 409 zam. *lingwistycznie* — lingwistyczne; 430 zam. *podstawę* — podstawą.

Rozszerzyliśmy się nad niedokładnościami książki rozbieranej z trzech powodów: chcieliśmy ułatwić autorowi przysposobienie jej drugiego wydania, którego życzymy i na które zasługuje; powtóre, pragnęliśmy, mówiąc o usterkach językowych, zwrócić na nie uwagę tych towarzyszków pióra, którzy je wraz z panem K. popełniają; wreszcie chcieliśmy ułatwić obszernem sprawozdaniem czytelnikom bliższe poznanie się z dziełem, zewszech miar na to zasługującym.

Pozostaje nam jeszcze wyrazić sąd nasz o niem, a raczej wrażenie po jego przeczytaniu. Ponieważ jesteśmy w drodze wytykania niedokładności, idźmyż dalej i powiedzmy, w czem się nam treść książki nie podoba.

Autor często grzeszy, zdaje się nam, niespokojnem traktowaniem przedmiotu swojego; tam zwłaszcza, gdzie mówi o „najeździe“ białych na plemiona dzikie. Nie wchodząc tu w rozbiór zasadności uczuć i przekonań pana K., śmiem zauważyć, iż w poważnym wykładzie nauki może-by lepiej było powstrzymywać się od popędów „emocjonalnych“ i zostawić czytelnikom sformułowanie własnego wyroku o ustroju świata współczesnego. Wszakże autor tak trafnie mówi o „konieczności antropologicznej“ (321); niechże-by wszystkie fakta antropologii chciał podciągnąć pod tę „konieczność“, a wykład jego zyskał-by niewątpliwie na powadze i nawet na sile przekonywającej. Dziwimy się również predylekcyi autora do instytucyi dzikich (np. senat str. 322!) i do ich zalet etycznych (np. str. 288). Zdaniem naszym, przeżyte formy społeczne i państwowe wrócić do życia nie mogą, właśnie dlatego, że są przeżytemi. Idealizowanie dzikich było w modzie w końcu XVIII w.; zdawało-by się, że dziś już za późno jest nam wracać do złudzeń zeszlowiecznych! Litujemy się, wraz z autorem, nad losem „dzikich“ a nagich bohaterów“ (którym pan K. dzieło swe przypisuje, str. VI), ale pamiętamy też i o „konieczności antropologicznej.“ Szkoda nam biednych Maorów na Nowej-Zelandyi, ale nie przeszkadza to nam cieszyć się, że ten kawał świata zamieszkuje dziś pół miliona dzielnych Anglików, którzy zdążyli już tam zbudować paręset mil kolei żelaznych i z tysiąc mil telegrafów.

Niemile uderza nas także lekceważenie, z jakim autor mówi rycałtowo o pracownikach „gabinetowych“, o pedantach, którzy nie

omieszkują cytować dzieł, z których czerpią, o podróżnikach, którzy opisują kraje i ludy nie dość dobrze im znane; widnieje w tem przesada, brak powagi naukowej i wyrozumiałości, a przytem dużo „emocjonalności,” tak szkodliwej w pracach naukowych.

Otwarcie wypowiadamy te nasze zarzuty, bo wiemy, że autor nam za złe tego nie weźmie, szczególnie gdy dodamy, że dzieło jego uważamy za nadzwyczaj cenny nabytek w piśmiennictwie naszym. Pomijając bowiem usterki formy i treści, któreśmy wytknęli, wyznać musimy, że, zdaniem naszym, „Ludy” są dziełem niepospolitej wartości i to nie tylko względnie, wobec ubóstwa literatury naszej antropologicznej, ale i bezwzględnie, jako streszczające najświeższe poszukiwania zagraniczne, poruszające mnóstwo zagadnień i pobudzające do studyów i poszukiwań. Najwięcej w dziele tem chwalimy krytyczność autora: nie unosi się on jednostronnemi poglądami, ani cudzemi, ani swojemi, nie przecenia hipotez, przyznaje na każdym kroku niewyrobienie nauki, nie wierzy na ślepo żadnej powadze, lecz trzeźwo i racjonalnie na każdy problemat się zapatruje, wskazuje drogi, które do wyświeślenia jego mogą prowadzić.

Tak więc obok znakomitych trzech dzieł obcych, przyswojonych (Peschla „Nauka o ludach” 1876, Morgana „Społeczeństwo pierwotne” 1887 i Tylora „Antropologia” 1889), z których pierwsze jest wykładem etnografii, drugie socjologii przeddziejowej, a trzecie więcej dziejami cywilizacyi pierwotnej, niżeli antropologią, staje w szeregu piękna praca p. Krzywickiego, jako pierwsza u nas i oryginalna próba zsumowania dotychczasowych badań czysto antropologicznych, wykonana z niepospolitą znajomością przedmiotu i z wielkim krytycyzmem. Młody i pełen zapału naukowego autor obdarzy nas niewątpliwie dalszemi badaniami w tym kierunku; dłuższy pobyt w Stanach Zjednoczonych nastęrczy mu sposobność bliższego poznania plemion nieucywilizowanych, a styczność ze znakomitymi etnografami i antropologami amerykańskimi będzie mu podniętą do dalszych poszukiwań.

JAN KARŁOWICZ.

„Rodzina Łatkowskich”, „W mlasczczku” i „Wfidek.” Powieści W. Kosiakiewicza.
Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893 i 94.

„Bohaterowie Kosiakiewicza — pisał niedawno temu jeden z krytyków naszych, oceniając „Gąsiorkowskiego” — tak spokojnie zawsze żyją, jak ślimaki; żaden ze skorupy rogów nie pokaże. Widzimy ich

jak jedzą, piją, tańczą, czasem kochają się, nie widzimy ich tylko *jak pracują*, co myślą, jak gdyby nie odgadywali, że po-za plantem szosy lub budującej się kolei, po-za biurem urzędniczym istnieje jeszcze świat, obowiązki, marzenia, ideały... Kosiakiewicz lubuje się (?) w naturach biernych, płytkich, karlich, bardzo sympatycznych niekiedy, ale stworzonych, zda się, na to tylko, ażeby jeść, używać wedle możliwości i kochać się, ażeby w przyszłości urządzić sobie własną kuchnię, z żoną na czele, spokojnie spożywać obiady i wychować dzieci do takich również wzniosłych celów."

No i, zdaniem krytyka, Kosiakiewicz grzeszy ciężko, albowiem: „obowiązkiem autora — zawsze zdaniem krytyka — nie jest oddawanie swemu społeczeństwu tych typów tylko, które od niego wziął pod tą samą postacią, lecz oddawanie po przerobieniu i uszlachetnieniu... Autor, przedstawiający typy pospolite i filisterskie, powinien dać uczuć czytelnikowi, że z nimi nie sympatyzuje, bo inaczej, pod formą niby artystyczną, przynosi własnemu społeczeństwu truciznę" (*sic*).

A jednak, jakże to się dobrze stało, iż ciężkich tych wyrzutów i namaszczonej rady Kosiakiewicz nie wziął jakoś do serca, ale z oną szczerością i prostotą, jakimi talent jego błysnął od pierwszej chwili, poszedł dalej i, rozwijając się konsekwentnie, nie szukając bohaterów w „wielkim” stylu, ani też „przerabiając” lub „uszlachetniając” tych, których mu dostarczyła obserwacja z pierwszej ręki, przyniósł nam ostatnimi czasy trzy nowe utwory: „Rodzinę Łatkowskich”, „W miasteczku” i „Władka.”

We wszystkich trzech, a szczególnie w dwóch pierwszych, autor nie zmienił się ani na jotę; z tą samą zawsze szczerością i prostotą dał nam na bezbarwnem na oko tle powszedniego żywota ludzi rzetelnych i bohaterów tak *przezwanego* „szarego życia”, z wielką znajomością dotykanego przedmiotu prowadzonych.

„Szare życie”, powszednie tło, do dziś dnia przez wielu lekceważone, toć-żę to życie *par excellence*, życie w swoich najpowszechniejszych, przeciętnych a zatem typowych objawach; naga, szczerą prawdą, w której wszakże wybrańcy jedynie rzeczywistego, niekłamane go piękna dopatrzeć się umieją, a już tylko pełne żywotności i głębi talenta kreslić nam je są zdolne. Boć dla pisarza ciężkie to zadanie: dwie barwy na palecie, czarna z białą, jak widzimy środki ograniczone, a wartość obrazu cała w subtelnym niezmiernie rysunku i rozłożeniu cienia i światła, w ostatnim więc wyrazie pewności ręki i oka. Nigdzie miejsca dla frazesu, efektów i efektików taniach; na każdym kroku rzeczywistość, „szare życie”, nieubłaganej w portretowaniu go domagające się ścisłości i konsekwencji.

Że Kosiakiewicz trudnego zadania jął się z powodzeniem, dowodem szereg prac jego, które, aczkolwiek w tym samym trzymanie tonie, wbrew zastrzeżeniom krytyki w rodzaju podanego wyżej, zdołały wywalczyć sobie uznanie szerokiego koła czytelników, tak, iż mając tu o nim mówić, dotykamy już firmy znanej i wyrobionej a wzmocnionej jeno najświeższymi wydawnictwami.

Z trzech wymienionych powieści, dwie pierwsze to niejako warianty jednego i tego samego tematu. Zestawione obok siebie, świadczą wymownie o żywotności rodzaju i misterstwie talentu autora, który, mimo podobieństwa tła i ogólnej sytuacji, zdołał zmuszać pióro do powtarzania się, tyle umiał w szczegółach subtelnych dobrać różnic, że dwa odrębne przedstawiają nam światy i zgoła odmiennych w otoczeniu tem malują ludzi.

Tak w „Rodzinie Łatkowskich” jak i „W miasteczku”, spotykamy się z małomieszczaństwem, w pierwszej z mieszkańcami przedmieść stolicy, w drugiej z ludnością prowincjonalnego miasteczka; i tu i tam bohaterami ludzie żonaci, ciężkie staczający boje z naganem, nie wspólnego ze stulą i wiarą małżeńską nie mającem uczuciem.

Zamożny szewc, Michał Łatkowski, ojciec siedmiorga dzieci, który z niczego ciężką pracą i oszczędnością, równającą się skąpstwu niemal, doszedł do posiadania domu na Rybakach a nawet kamienicy na Ślizkiej, nagle, po kilkunastu latach niczem niezamąconego pożycia z żoną, wpada w sidła sprytniej, umiejącej się „brać do gości” kawiarki Kluckiej, i niby krab w objęciach macek mątwy, ginie wyssany, wyzyskany doszczętnie. Nie pomogła rozpacz żony, nawskróś uczciwej kobiety, a ciężko w miłości własnej dotkniętej, nie naprawiły złego spowiedź i pielgrzymka do Częstochowy, nawet śmierć dziecka nie zdołała wstrząsnąć nim i oderwać od Kluckiej rozmiłowanego na stare lata szewca. Obdłużywszy kamienicę wyżej jej wartości, umiera nagle, prawie bez kawałka chleba zostawiając rodzinę.

Ignac Pędziński, to także odmiana tylko Łatkowskiego; ale młodość i zdrowsza atmosfera prowincji więcej dają mu siły w walce z grzesznem uczuciem i do upamiętania się i zapanowania nad niem doprowadzają. Obywatel to małego miasteczka, t. zw. łyk, właściciel chałupy i gruntu, a przytem rymarz z fachu. Poznajemy go kawalerem Jeszcze i to w dniu, w którym szczęśliwszy od niego, Broniek Stolarski, Mańkę Dobrowolską, przedmiot gorącej jego miłości, prowadzi do ołtarza. Młoda para, po hucznym weselisku, osiedla się w Warszawie, Ignac zaś zostaje z rozpaczą w sercu i nieutulonym, zdołałby się, załalem po stracie ukochanej. Ale czas wszystko zabliznia i goi; w pół roku po katastrofie, Ignac, ulegając w tem naciskowi rodziny, żeni się z Wikłą Kowalską i po roku przykładowo z nią pożycia ojcem nawet

zostaje; gdy nagle, śmiercią męża przywiedziona do tego, powraca z Warszawy Mańka. Na widok urodzivej wdowy budzi się w Ignacu dawne dla niej uczucie i było-by go zapewne pochłoneło, gdyby nie widoczne ze strony Stolarskiej „naciąganie.” Straciwszy wszystko w stolicy, umyśliła sobie przy pomocy dawnego wielbiciela, t. j. kosztem jego kieszeni, założyć sklep w miasteczku i zbyt wczesnie i nieogłędnie wydała się z tym zamiarem. Ignac poznał się na farbowanych lisach i otrząsnął z uczucia, które w innych warunkach zrujnowało Łatkowskiego.

Jak to z pobieżnie podanego tu toku powieści wniesć łatwo, tak jedna, jak i druga, obraca się głównie dokoła sercowej walki Łatkowskiego i Ignaca, motywowanej i oświetlanej szeregiem scen ujawniających w autorze niepoślednią znajomość duszy ludzkiej i życia; w drugiej jednak, t. j. „W miasteczku”, szersze znacznie objął horyzonty. Dotykając stosunków prowincjonalnej drobnej miłośnicy, niepodobna mu było z łona mieszkańców jej, zżytych z sobą niby jedna rodzina, wyosobnić samych tylko bohaterów. Losy ich tedy zlały się z losami całej niemal miłośnicy, a powieść zyskała na tem bardzo. Wprawdzie i w „Rodzinie Łatkowskich” starał się autor wpleść w opowiadanie sceny poświęcone charakterystyce dalszego otoczenia osób głównie działających w powieści, jak np. opis przyjęcia imieninowego u siostry Łatkowskiej, szewcowej Kroplińskiej, kobiety zarażonej już pewnemi *fumami* towarzyskimi,—epizod to jednak luźny tylko, bez wpływu na akcję, ustęp, bez którego powiastka zgoła obejść się może.

Inaczej dzieje się „W miasteczku.” Tu już samo założenie powieści wciągnęło w jej ramy cały szereg obrazów, wprost z akcji przewodniej płynących; przy pomocy nadto bardzo szczęśliwie obmyślanej figury starego sknery a bogacza, Wojciecha Pędzińskiego, związał z nią Kosiakiewicz żywotnie równoległe z tokiem jej rozwijający się epizod, który z taką przedstawił poezją i tak obrobieniem wypieścił, że niepodobna nam osobnej mu nie poświęcić wzmianki. Do sukcesyi po starym Pędzińskim, powagą zamożności swej i wieku znaczny wywierającym wpływ na bohaterów powieści, dwie rodziny rościły sobie pretensyę: rodzina Ignaca, prócz niego złożona z matki jego i siostry Mańki, i rodzina w nędzy żyjących na komornem a licznemi obarczonych dziećmi, Marczyńskich. Dopóki Wojciech, choć wiekowy, czerstwo się trzymał i zdrowo, tak Pędzińscy, jak i Marczyńscy, uważając spadek po nim za rzecz odległej jeszcze przyszłości, w dobrej z sobą na oko żyli komitywie; ale skoro zamożny skniera rozchorował się dnia pewnego na dobre, tajona a właściwie trzymana na wodzy do tej pory rywalizacya z całą siłą na jaw wystąpiła. Obiedwie rodziny na wysięgi poczęły tedy otaczać opieką Wojciecha, starając się wszel-

kiemi możliwemi sposobami każda na swoją stronę jednać sobie łaski starego. U łóżka chorego spotykali się często: delegowana ze strony Pędzińskich, Mańka, nieładna, niska, krępa brunetka, z wysłannikiem rodziny Marczyńskich, Wickiem, dziewiętnastoletnim wyrostkiem. Na sprycie nie zbywało ani pierwszej, ani drugiemu, to też coraz nowemi psikusami dokuczali sobie wzajemnie i psuli sprawę. Doprowadziło ich to do nienawiści niemal, okoliczności jednak zmuszały często do pozornego bodaj znoszenia się, zwłaszcza, że choroba krewniaka przedłużała się jakoś, a Mańka i Wicek spotykali się teraz co dnia na ogrodzie Wojciecha, który wspólnemi siłami, pragnąc się staremu przypodobać, uprawiali. I oto tak zwolna, przy pielieniu zagonów z marchwią, cebulą i t. p., Mańka z Wickiem jęli zapuszczać się w długie rozmowy, w czasie których, mimo iż nie szczydzili sobie docinków i wygrażeń, nienawiść ich krok za krokiem topniała, w coraz przyjaźniejsze przedradzając się uczucie, aż raz, niby półzartem tylko, padło ze strony Wicka pytanie:

— Mańka, powiedz mi ty teraz, czybyś za mnie wyszła? — pytanie, które po kilku dniach, na schadzce, wieczorem „za ogrodem przy płocie, tam, gdzie się stara gruszka przechylała”, następującej doczekało się odpowiedzi:

— Wicek!

— Mańka!

— Lubię cię, słyszysz?...

A jaki on pyszny Ignac, gdy pod wpływem niespodziewanych w miasteczku odwiedzin młodej Stolarskiej, w sam dzień oznaczony na ślub jego z Wikta, burzy się i żżyma i zrywać chce wszystko, bez względu na wyszłe zapowiedzi i poczynione przygotowania weselne, aż wreszcie namowami, rozkazem niejako zalotnej wdowy znaglony, decyduje się iść z narzeczoną do spowiedzi przedślubnej i wywołuje ją z chaty pukaniem w okno:

— Wikta!

— Kto to?

— Ja! Ignac!

— Ty?

— Gotowa jesteś?

— Gotowa!

— No to chodźmy do spowiedzi...

Do charakterystycznych a wielce prawdziwych należą również sceny, poświęcone układaniu małżeństwa dzieci po-za ich plecami, przez matki Ignaca i Wikty, a następnie targom Pędzińskiej i Kowalskiej o wyposażenie młodej pary. Kowalska daje już sześćset rubli za córką, nie zadawalnia to Pędzińskiej i zawiązuje się dyalog:

— To mało, to nic, moja kumo kochana...

— Uczciwie wam mówię, więcej nie dam, moja kumo kochana...

— Moja kumo kochana...

— Nie mogę, moja kochana.

— Ha! jak nie, to nie, moja kumo kochana...

— To trudno, moja kumo kochana... Wreszcie, wreszcie ostatnie słowo, wielkie słowo: siedmset rubli...

— Żartujecie, kumo, żartujecie...

Ale Ignac był dobrą partyą, a Pędzińska niezła dyplomatka; przyszła jej też z pomocą nagła choroba Wojciecha i wyzyskała nadzieję spadku po nim, tak, iż przyparta do muru Kowalska zgodziła się wszystko oddać córce, i dom, i grunt, wymawiając sobie tylko sto rubli rocznie na utrzymanie i jedną do swego użytku izbę.

„W miasteczku” zajęło nas tu obszerniej, ale bo też nie znamy w belletrystyce naszej książki, która-by na 186 stronicach niewielkiego formatu tak pełny i prawdziwy dawała obraz życia małomieszczańskiego do najdrobniejszych życia tego szczegółów. Dokument to społeczny w całym znaczeniu tego słowa, rzecz, która się widocznie dobyteła autorowi jednym tchem z pod pióra, a tak związana i obrobiona jednolicie, że jednego w niej nadto ni zamało wyrazu. Jedyńa może skazą powieści jest przydługi a nawet zgoła niepotrzebny, od autora płynący i skutkiem podmiotowości swojej niemile rażący odmianą tonu, ustęp początkowy III rozdziału, poświęcony opisowi ruchu jarmarcz-nego małej miejsciny. Po-za tem najlepsza to ze znanych nam prac Kosiakiewicza, a sama w sobie dobra bezwzględnie.

„Rodzina Łatkowskich” razi przedewszystkiem brakiem związania treści, a szkieletowość faktury, jakkolwiek stanowi znamiennej cechę pióra autora i jedną może z oryginalnych stron jego talentu, w powieści przecie, zakrawającej, wbrew swemu tytułowi, na studyum danego charakteru, sprawia wrażenie niepożądaney pobieżności. Wrażenie to potęguje się rzeczywiście zbytem po łebkach zakończeniem opowiadania, nagłą, niewymotywowaną, spadającą jak *Deus ex machina*, śmiercią Łatkowskiego. Autor dobiegł do mety na przełaj, uboczną ścieżką, skrócił sobie wprawdzie i ułatwił drogę, ale tem ani na wdzięczność czytelnika, ani na dobre słowo sprawozdawcy nie zarobił. Nie znaczy to jednak, aby omawiana powieść zalet i to licznych, nie posiadała: stanowi je przednio podmalowana i do akcji przygotowana figura Łatkowskiego, wyrazista bardzo charakterystyka żony jego i stosunku ich wzajemnego, z finezyą kreślone sceny uwodzenia szewca przez Klucką, cały pierwszy rozdział, w którym autor zaznajamia nas z liczną rodziną Łatkowskich, z siedmiorgiem dzieci żywo zajętych przygotowaniem imieninowych dla ojca powinszowań.

Dzieci, to, jak chcą niektórzy, specjalność Kosiakiewicza, wyrobił mu ją „Nasz mały”, dzieciom też w całości poświęcił najnowszą pracę swoją „Władka.” Tym razem wszakże nieszczęście chciało, że autor, porzucając sfery, w których się jak ryba w wodzie obraca swobodnie, sfery wyrobniczej i rzemieślniczej ludności przedmiejskiej, na bohatera powieści wybrał sobie dziecko zamożniejszej, inteligentniejszej warstwy społecznej, bo syna wyższego, zdaje się, urzędnika czy inżyniera, i związał go nienaturalnymi stosunkami z mieszkańcami podwórza zapadłej na przedmieściu ulicy, stosunkami, nie tylko tolerowanymi, ale do pewnego stopnia podtrzymywanymi przez matkę Władka, kobietę przecie delikatnych uczuć i subtelnej ogłady towarzyskiej. Rozbrat ten z właściwem mu polem działania, ze zwyczajnym trybem stosunków ludzkich i prawdą życiową, nie wyszedł na dobre autorowi i dziełu jego. Władek sprawia wrażenie chorobliwej karykatury dziecka najdziwaczniej chowanego. Już jako malec z pierwszej klasy, bawiąc na wakacjach u kolegi na wsi, ze wstrętem odwraca się od żniwiarzy, w pocie czoła wprawdzie, ale i ze śpiewką na ustach, pochyłych nad łanem zboża; później, jako uczeń drugiej klasy, ułożywszy sobie, że kiedyś zostanie aktorem, w gronie uliczników i córek praczeki jakiejś, „kształcących” się na baletnice, gdzieś na podwórzu przy ulicy Szczygłej, urządza, zawsze z wiedzą matki i jej przyzwoleniem, teatr amatorski ze „Zbójcami” na afiszu; poczem, rozkochawszy się w jednej z przyszłych baletnic, z miłości tej zwierza się matce, a ta nie tylko że spowiedź malca z całą przyjmuje powagą, ale mu się w dodatku wzajemnia zwierzeniem także, bo wyznaniem uczuć swoich dla p. Franciszka, którego po świeżo otrzymanym rozwodzie z mężem, ojcem Władka, poślubić w niedalekiej przyszłości zamierza. I oto niewiadomo kto tu dzieckiem: czy matka, tolerująca najdziwaczniejsze wybryki syna, pozwalająca mu przyjmować u siebie łobuzów z ulicy Szczygłej, używać przy sobie trywialnego, bądź co bądź, żargonu szkolnego, o ile wytłómaczonego w szkole, o tyle rażącego w *salonie*, i z rozrzewnieniem wysłuchująca miłosnych westchnień smarkacza, co, zamiast myśleć o promocyi, z baletnicami *in spe* przedstawienia po podwórzach urządza amatorskie,—czy Władek, oryginalny niabyto, wedle autora, okaz przyszłego artysty, którego wszakże oryginalność *fabrykowaną*, jako taka, nie budzi zaufania, nie przekonywa, nie mając za sobą ani prawdy, ani obserwacyi. Że trafiają się dzieci usposobieniem anormalne, któżby przeczył; ale tam, gdzie istnieje jakie takie wychowanie, — a Władek nie jest dzieckiem rzuconem w życie samopas, lecz wychowywanem, — tam nie brak i starania nad opanowaniem chorobliwych skłonności, i walki wiodącej do dokładnego przeświadczenia się o istotnej naturze dziecka i o rzeczywistej sile grających w niem upodo-

bań. Nadto w położeniu Władka, dzieci chowane bywają zawsze zgodnie z pewnym szablonem towarzyskim, autor zaś zgłębił oryginalnych jakichś poglądów pedagogicznych w matce bohatera książki nie ujawnił. To też sądzimy, iż gdyby w miejsce Władka bohaterem tym był jeden z towarzyszków jego ze Szczygłej, z tych, co to sami się chowają, wszystko, co nienaturalnem lub niejasnem wydaje się w powieści, zyskało-by znacznie na prawdopodobieństwie. Oczywiście zmienić-by się musiał odpowiednio plan utworu i niektóre w nim sytuacje, autor jednak pozostał-by na gruncie właściwym sobie, na gruncie ścisłej prawdy, kierowany li tylko obserwacją, wprost na życiu opartą. Uniknął-by np. zapewne ustępów książki, poświęconych pobytowi Władka na wakacjach na wsi, w domu, o ile wyrozumieć zdołaliśmy, przeciętnym obywatelskim, a którego, jak się z ustępów tych przekonać łatwo, Kosiakiewicz nie zna wcale lub z mało, jak nie zna w nim owego *train-train* wakacyjnego, pełnego ruchu, życia, swobody o właściwej sobie charakterystyce, co sprawia, iż chłopcy jego nie są chłopcami na wakacjach i przestają być szablonem dopiero z chwilą powrotu do miasta, gdzie też wnet, wraz z autorem, że się tak wyrazimy, we własną przyoblekają się skórę. Tu dopiero i oni, i on oddychają swobodnie, i czy to handlują markami, za „Amerykę z Indyaninem” ofiarując czterdziestaka, dwie Nikaraguy, Turcyę, Egipt, Kanadę, Przyłądek Dobrej-Nadziei, a nawet „Amerykę z koleją”, czy też urządzają podwórzowy teatr amatorski z jakimiś zaimprovizowaniami od ręki „Zbójcami” na afiszu, zawsze są przedni: tryskają życiem i prawdą.

W dopełnieniu uwag naszych nad „Władkiem” dodajemy, iż powieść ta składa się z szeregu luźnych scen i obrazów, ku żadnemu nie dążących rozwiązaniu, sprytnie jeno bardzo *sfastrygowanych* grubą, bawełnianą nicią przewodnią zawodów małżeńskich matki bohatera. Władek, mimo zakazu, wygadał się przed matką w liście pisanym do niej z wakacyi, iż pewnego razu wstępował z ojcem do pewnej „pięknej pani”, i niechcący zwierzeniem tem doprowadził rodziców do rozwodu, umożliwiając tem samem panu Franciszkowi, dawnemu przyjacielowi domu, zamianę roli przyjaciela na stanowisko pana i męża.

WACŁAW KARCZEWSKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Najciekawszem i najważniejszym zdarzeniem początku lutego r. b. będzie niezawodnie podpisanie preliminarza traktatu handlowego między Rosyą i Niemcami. Stało się to w Berlinie. Specjalni delegaci z Petersburga układali się tam z przedstawicielami Rzeszy i udało się obu stronom dojść do porozumienia. We względzie ekonomicznym umowa polega na znizeniu ceł. Niemcy zniżają cło na zboże i wogóle na przedmioty wywozu z Rosyi do tej normy, jaką określił traktat handlowy austriacko-niemiecki, zawarty niedawno. Rosya zniża cło dla wyrobów przemysłu niemieckiego. Traktat zawarty został na lat dziesięć. Podpisanie tej umowy uważane jest ogólnie za wielki sukces polityki hr. Caprivięgo, ponieważ oznacza poprawę stosunków Niemiec z Rosyą. I tu właśnie tkwi polityczny motyw układu, którego charakter jest nawskroś pokojowym. W ostatnich czasach rozwijało się równoległe zbliżenie się Rosyi z Francją i zatargi ekonomiczne między Rosyą i Niemcami. Można się było obawiać, że zatargi te są początkiem jeszcze poważniejszych zawikłań. Tymczasem układ obecny dowodzi, że oba rządy podwyższyły sobie systematycznie cła bez dalek sięgających politycznych intencji, albo też, że się intencji tych pozbyły, jeśli je naprawdę miały. Jednym z głównych zarzutów ks. Bismarcka przeciw polityce swęgo następcy było, że Caprivi nie umiał utrzymać dobrych stosunków z sąsiadką wschodnią. Otóż obecnie hr. Caprivi dał Bismarckowi odpowiedź na te wymówki. Książę Bismarck

może rościć pretensyę, że on był-by przeszkodził temu, co się stało w Kronsztadzie i w Tulonie; tak łatwo mu jednak to twierdzić, bo nikt nie potrafi dowieść mu, że się ludzi. Ale skoro już tamte wypadki przyjmie się za nienniknione, co obok nich jeszcze można było sprawić, dokonał Caprivi. Dokonał nawet więcej, niżby mógł dokonać Bismarck, który się trzymał innej zupełnie polityki handlowej. Hasłem poprzedniego kanclerza były przedewszystkiem wysokie cła ochronne dla produktów rolniczych. Przez swój protekcyonizm agrarny wywołał on protekcyonizm przemysłowy po stronie Rossyi. Dopiero za rządów Caprivięgo rząd Rzeszy nakreślił sobie rozległy plan traktatów handlowych z największą możliwie liczbą państw, biorąc za podstawę pertraktacyi zniżkę ceł zbożowych, której oddawna domagały się głośno wszystkie inne stronnictwa, prócz zachowawczego, czyli ziemiańskiego. Zawzięta walka „agraryuszów“ przeciw polityce handlowej „nowego kursu“ charakteryzuje właśnie ostatnie dwa lata rządów niemieckich; a w tej walce opozycya szczyciła się poparciem ks. Bismarcka, którego organa prasowe szły ręką w rękę z agraryuszami. Otóż gdyby opozycya agrarzyków okazała się zwycięską, nie przyszło-by do traktatu handlowego z Austryą, ani z Rumunią, ani wreszcie z Rosyją, bo wszystkie te kraje domagały się głównie zniżenia niemieckich ceł zbożowych.

Ciekawe jest jednak, że ks. Bismarck pogodził się teraz właśnie z cesarzem Wilhelmem po czteroletniej frondzie. Czy jest to w jakim związku ze sprawą traktatów, trudno orzec. Giętkość jednak polityczna ks. Bismarcka jeszcze raz wyszła na jaw w tem, że zaraz po dokonaniu pojednania oddana mu prasa, z „Hamb. Nachr.“ na czele, stanęła w obronie traktatu handlowego z Rosyją, choć nie leżało to w duchu dotychczasowej polityki tych pism.

Rząd jednak niemiecki, szczęśliwie przeprowadziwszy podpisanie umowy z pełnomocnikami fachowymi, ma teraz zadanie przeprowadzenia jej przez radę związkową i parlament. Rada związkowa, dość rzadkim wypadkiem, nie jest wolna od opozycyi, między innymi ze strony Bawaryi. Główne jednak trudności nastęrczał parlament. Tutaj stronnictwo konserwatywne szukało na wszystkie strony sprzymierzeńców. Aby ich nie znalazło w dostatecznej liczbie, cesarz Wilhelm osobiście wdał się w sprawę i na obiedzie u kanclerza z wielkim naciskiem przemawiał za traktatem handlowym. Opponowali mu ci i owi deputowani, ale cesarz zwracał uwagę na polityczną stronę rzeczy; powiedział między innymi, że gdyby się ta wojna celna wczas nie skończyła, to kto wie, czy nie urosły-by z niej groźniejsze od celnych zawikłania. Słuchacze bezpośredni, a za nimi kraj, przyszli do wniosku, że, wobec takiej postawy sfer najwyższych, parlament został-by natychmiast roz-

wiązany, gdyby traktatu nie zatwierdził. Ale dziś już jest to całkiem nieprawdopodobne, aby go mógł odrzucić. Wszystkie większe stronnictwa zdecydowane są głosować za traktatem, przeciwko konserwaty-
stom i części centrum, czyli—przeciw mniejszości.

Stosunki włoskie i stosunki serbskie, bardzo ostatniemi czasy powikłane, nie miały kiedy należycie się wyświecić. W Belgradzie zainstalował się wprawdzie nowy gabinet, złożony z umiarkowańszych przedstawicieli wszystkich stronnictw; lecz nie wiadomo, jak się skieruje, jakie formy przybierze i do jakich doprowadzi następstw opozycya radykalistów, która jest zacieklą i zapowiada się groźnie, bo anty-dynastycznie. Gdyby nie to, że, pomimo bardzo liberalnej konstytucyi, rząd jednak rozporządza w Serbii dostateczną siłą do robienia, co mu się w danym razie podoba, nawet wyprowadzania z nicości i pogrążania w nicość stronnictw politycznych, król Aleksander nie mógł-by spokojnie spoglądać w przyszłość. Ale w niedojrzałym tem społeczeństwie porwy polityczne płoną słomianym ogniem, i agitacya urażonych radykalistów nie budzi też pewno w konaku wielkich obaw.

Co się tyczy Włoch, którym już wrócono dyktaturę, to po rozwiązaniu parlamentu, Crispi podejrzewany był przez przeciwników swoich o dyktatoryalne zamysły. Ale sam on wypiera ich się najsolennie. Rząd rozpuścił parlament na chwilową rekreacyę dlatego, żeby sobie dać czas do przygotowania projektów reform, żeby zarazem uniknąć niepotrzebnych ze strony opozycyi rozpraw i interpelacyi, które tylko tendencyjnie podniecały-by wzburzenie umysłów w kraju, a nareszcie, aby w spokoju mózdz przedsięwziąć środki, zmierzające do przywrócenia porządku w prowincyach zbuntowanych. Kiedy projekta reform będą gotowe, rząd przedstawi je parlamentowi. I dopiero gdyby ich parlament nie przyjął i nie zatwierdził, nie chcąc ani nowych podatków, ani oszczędności, nasunęła-by się kwestya ratowania kraju bez pomocy parlamentu, który nie dorósł do wysokości swego posłannictwa w danych stosunkach.

Każda pora roku u nas ma swoją elipsę, po której toczą się zawsze niemal z jednakową szybkością sprawy, związane np. z potrzebami zimy, wiosny, lata, lub jesieni. Elipsa ta podlega czasem pewnym zmianom, ale tak niedostrzegalnym, jak uchylenia drogi ziemskiej. Wiosną i latem występują na porządek dzienny kolonie wiejskie dla ubogiej dziatwy miejskiej; jesienią i zimą — przytulki, schronienia, odzież, herbaty i obiady bezpłatne, wszystko na gruncie bazarów, sprzedaży rabatowej, koncertów, rautów i balów. Wielu mniema, że filantropia jest bodźcem do zabaw; jabym sądził odwrotnie. Co tu się ludzi i ubierać w jakies płaszcze pozorów! Ludziska lubią się bawić,

a że nie zawsze potrzeba wyładowania energii w tym zakresie odpowiada środkiem, więc, chcąc oszukać własne sumienie, niosą ubogim jakiś drobny procencik od szat, kolacyi, kwiatów, powozów, wachlarzów i t. d. Gdybym chciał im przyganiać ten popęd do tańca, do oddechania atmosferą balową, powiedzieli-by, że jestem mizantropem, albo mam podagrę. Zabawy dobroczynne są wynikiem charakterystycznych cech natury ludzkiej. Gdyby zbieracze środków dla złagodzenia nędzy przyszli do pana lub pani X. ze słowami: „Dajcie rubla dla biednych!“ — jedni odmówili-by, drudzy skrzywili-by się przy wyjmowaniu sakiewki, inni, zrobiwszy miły wyraz twarzy, wyrzucali-by sobie w skrytości swą „rózrzutność“ wobec potrzeb ważniejszych. Gdyby następnie odwiedzili ich organizatorowie „zabawy dla zabawy“ i zaproponowali bilet trzyrublowy z kuponem dwurublowym na kolację, wyjęli-by bez wahania i żalu żadaną kwotę; wyjęli-by następnie sporo jeszcze pięcio- i dziesięciorubłówek w sklepach różnych, a potem w skrytości również czynili-by sobie wyrzuty za to szaleństwo chwilowe, stanowiące znaczną szczerbę w budżecie zwykłym, a widok ubóstwa jeszcze większym żalem ścisnął-by im serca. Inaczej z zabawą na tle filantropijnem. Tutaj najłżejsze tętna sumienia muszą ucieknąć przed twierdzeniem uspokajającym: „Bawiliśmy się, wydali dużo pieniędzy, no, ale przynajmniej ludzie coś stąd dostaną!“ Taki jest podkład psychologiczny zabaw na cele dobroczynne, a gdybyśmy chcieli przeciwko nim powstawać, nie wskazawszy wprzód innych źródeł dochodu, było-by to istotnie z krzywdą dla ubóstwa. Zresztą, szerzej myślący balowicze mają inny dowód dla poskromienia udręczeń wewnętrznych i usprawiedliwienia nieprzewartego pociągu do zabaw: „Gdyby nie było karnawału, ucierpiał-by przemysł i handel, a z nim liczne szeregi pracowników i pracowni. Obliczmy, ile zarabiają szwaczki, krawciaczki, kwiaciarki, praczki, jak się ożywia handel galanteryjny!...“ Trzeba przyznać, że tak jest istotnie. Karnawał, to dobrodziejstwo dla handlu, różnych przedsiębiorców i pracowników. Znajdują zarobek nie tylko wyliczeni powyżej, ale nadto: froterzy (w dosłownem znaczeniu), stangreci, właściciele remiz, restauratorzy, lokaje, kelnerzy, stróże, doróżkarze, piwowarzy, Towarzystwo oczyszczania spirytusu, dystrybucye, sklepy kolonialne, rzeźnicy i wogóle rzesze ludzi, zajmujących się sprzedażą produktów spożywczych, aptekarze, sklepy z wodą sodową i t. d. i t. d. Słowem, karnawał jest duszą w handlu i przemyśle, źródłem zwiększenia zarobku, a nawet chwilowo—liczby posad; karnawał ociera łzy nędzarczom, daje im przyodziewek, schronienie, karmi ich i poi. Czegóż więc więcej chcecie od tego dobrodzieja? Można go chyba tylko winić za... wzrost weksli, za zbyt wielką liczbę kwitów lombardowych; ale to dotyczy mniejszości, podczas gdy wogóle przyczynia się

on do pomysłnego rozwoju interesów, a przecież i lombardy, to także przedsiębiorstwo handlowe...

Na takich dziwnych podstawach opiera się wzrost i rozwój interesów materialnych. Karnawał jest tylko jednym szczegółem bardziej widocznym; uprzytomnijmy sobie, ile potężnych gałęzi przemysłu i handlu zrodziło się, rozwinęło i stałe istnienie swe oparło na zbytku; ile przytem tysięcy ludzi zapewniło sobie utrzymanie. Wyobraźmy, że się zjawia naraz armia reformatorów, wyznawców bezwzględnej oszczędności i ciułaćstwa, a nieprzejednanych wrogów zbytku,—druzgocę cielca złotego i jego podstawy. Co wtedy zapanuje? Nędza, rozpacz i śmierć głodowa. Jeżeli nie można na miejsce produkcji, zaspokajającej zbytek, stworzyć innej, trzeba się pogodzić z tem dziwactwem urządzeń i uznać je za „zło konieczne.“ Z tego względu i szal karnawałowy ma wiele okoliczności łagodzących, pomimo, że dla znacznej liczby jego hołdowników jest on tyranem; za parę bowiem godzin uciechy daje nieraz kilka miesięcy utrapienia. Te ofiary, to są drzazgi, które padają opodal środowiska przepychu i zabawy.

Gorączka zapustna już minęła, wyczerpani nią mają czas do rozmyślań, a organizatorowie rozrywek towarzyskich dla miłosierdzia publicznego, zmieniają tylko formę swych działań, t. j. w tych samych salach, gdzie się rozlegał dziarski mazur i melancholijny walc, z różnych gardziółków płyną rzewne piosnki, a z fortepianów łagodne lub gwałtowne akordy. Gdzie się poruszały różnobarwne kolumny kontredansowe, stoją stoliki, a przy nich, zamiast donośnego wołania wodzirejów, cichy półgłosem flirt się toczy. I to zabawa, połączona również z pracą, nie nóg, ale głowy, która, biedna, stosownie do ogólnego nastroju i otoczenia, wysilać się nieraz musi na słowa lekkie, dowcipne, lub poważne. Stanowczo jednak rauty coraz mniej dają dochodu dobroczynności, a coraz więcej kłopotu swym gospodarzom i twórcom. To też radzi-by oni znaleźć jaką nową przynętę, ale pomysłu braknie. Ktoś doradzał urządzić latarnię magiczną, a raczej urozmaicić i uplastycznic ją wykłady publiczne. W Ameryce mają one ogromne powodzenie nie tylko w szkołach, ale na prelekcjach dla dorosłych. Ponieważ było-by to piękne i zarazem pożyteczne i zajmujące, warto więc spróbować tego środka dla wyciśnięcia trochę grosza na cele dobroczynne i dla wzbogacenia umysłów za pośrednictwem przystępnych wykładów, w ten sposób illustrowanych.

Dwie formy działań filantropijnych w ostatnich czasach zaznaczyły swą skuteczność w czynie: „rozdawnictwo odzieży“ i dom zarob-

kowy w Warszawie. W pierwszym pani bar. Hartingowej należy się uznanie za jej działalność. Niewiele się zyskuje na sprzedaży przenośzonego ubrania, a tylko mimowoli przyczynia się do wyzyskiwania warstw ubogich przez handlarzy, którzy, nabywszy towar za rubla, po użyciu benzyny, mydła, żelazka i farby, sprzedają je za dziesięć, jako odzież nową. Tymczasem ofiarowanie jej biednym za pośrednictwem stosownej organizacyi dobroczynnej może setki ludzi ochronić od chorób zabójczych i śmierci, a wreszcie dać im możność do pracy. Przed kilku tygodniami „Kuryer Warsz.“ opowiedział smutną historję o nauczycielce, która w karetce pocztowej omdlała z zimna. Podczas silnego mrozu wybrała się na wieś dla objęcia miejsca tylko w letniej sukience; dopiero dobrzy ludzie w drodze ją otulili i w ten sposób uratowali od śmierci. Ileż takich faktów ukrywa się przed okiem ludzkim! Komitet rozdawnictwa odzieży przekonał się właśnie, że sporo ubogich nauczycielek i nauczycieli prywatnych nie mogło wyruszyć na prowincję, dla objęcia obowiązku, z braku odzieży ciepłej. To też w otrzymywaniu ofiar tego rodzaju pierwszeństwo mają ludzie pracujący. Trzeba przyznać, że członkowie tej instytucyi, t. j. kobiety z t. zw. wyższych sfer towarzyskich, nadzwyczaj sumiennie i gorliwie przyjęte obowiązki wypełniają; oprócz rozdawania odzieży, sprawdzają na miejscu ubóstwo kandydatów i kandydatek.

Dom zarobkowy na Pradze cieszy się również poparciem ogółu i w krótkim okresie swego istnienia wykazał dość owocne rezultaty. Jest to, o ile pamięć nas nie zawodzi, jedyna instytucya, która dotąd nie czerpała środków za pośrednictwem balów, rautów, koncertów, bazarów, przedstawień amatorskich i t. d. Żebracy, przedstawiający niedawno jeszcze siłę nieprodukcyjną, ciężar społeczny, obecnie dają dowody swej sprawności w pracy pożytecznej. Od chwili otwarcia domu do 7-go grudnia sprzedano wyrobów przeszło za 1,224 ruble. Roboty wykonywane są przeważnie na zamówienie, między innymi: kolei nadwiślańskiej, magistratu m. Warszawy, fabryk i osób prywatnych; w zakres produkcyi wchodzi: worki płócienne, koperty, torebki, pudełka papierowe, słomianki, plecionki ze szpagatu, koszyki, pończochy, międlenie konopi, naprawa bielizny i garderoby. Ciągły wzrost odbiorców świadczy o dobroci towarów i zapewni tej instytucyi trwałe powodzenie. Wedle przyjętego regulaminu, roboty trwają zimą od 8-ej zrana do 6-ej wieczorem, w lecie do 8-ej z dwugodzinną przerwą (od 12-ej do 2-ej) na obiad i odpoczynek. Płaca do chwili ustanowienia normalnej wynosi 15 kop. za cały dzień, 8 kop. za pół dnia. Lokal podzielono na dwa oddziały: męzki i żeński, do robót zaś przyjmowani są kandydaci wszelkich wyznań, dobrowolnie zgłaszający się, tudzież ujęci przez po-

licyę za włóczęgostwo, próżniactwo i żebractwo. W tym celu od chwili istnienia domu, zwiększono surowość i baczność. Instytucje takie wkrótce powstaną w innych miastach Królestwa Polskiego.

Tym sposobem, wraz z kuchniami tanimi i przytułkami noclegowymi, mamy już organizację walki z żebractwem. Naturalnie nie może się ona równać jeszcze z urządzeniem na zachodzie i z kolosalną siecią instytucji filantropijnych w Ameryce, stanowi bowiem tylko pierwsze w tej mierze kroki; ludziom, pełnym szczerych i dobrych chęci, sprawiają one wielkie zadowolenie i budzą nadzieję zwalczenia chorobliwych zjawisk, bez naruszenia podścieliska życia społecznego, w które są silnie i głęboko wrosłe. Ta nadzieja i ufność w pomyślne rezultaty zabiegów jest przecież coś warta, bez tych bowiem bodźców opadły-by ręce najżarliwszym filantropom. Nie zrażajmy ich pesymizmem, nie rozwiewajmy złudzeń, bo przecież i ta drobina środków doraźnych, w braku innych, coś jest warta.

Po Warszawie największe ognisko filantropii ześrodkowało się w Łodzi. Miejscowe Towarzystwo dobroczynności działa za pośrednictwem pięciu instytucji: domu przytułku dla starców i kalek, ochronki katolickiej, przytułku dla ubogich położnic, komitetu kolonii letnich i kuchen tanich. W mieście przemysłowem, gdzie pracownicy z nadmiaru trudów prędko się starzeją, lub w zakładach fabrycznych podlegają częstemu kalectwu, odpowiedni przytułek ważną odgrywa rolę. Jakoż zawsze jest on przepełniony. Z tych samych względów, t. j. skutkiem powszechnie stwierdzonego zjawiska, że u podnóża wielkiego kapitału ścięła się nędza i zepsucie—przytułek położniczy jest instytucją typową. Obok Towarzystwa chrześcijańskiego, rozwinęła się także dobroczynność żydowska (dom starców wyznania mojżeszowego, ochronka dla dzieci i kolonie letnie). Wreszcie zaokrągleniem tego ruchu jest ambulatoryum bezpłatne. Cała ta organizacja filantropijna jest pod opieką przemysłowców miejscowych.

Oto całokształt tego działu życia, któremu uważnie przyglądaliśmy się przez rok ubiegły. Obok ruchu dobroczynnego, dodatnie robią wrażenie dwa jeszcze odłamy krzątaniny społecznej: związki fachowców i stowarzyszenia sportowe, zarówno w Warszawie, jak i na prowincyi. Są one poniekąd probierzem sił duchowych, fizycznych i uzdolnień umysłowych danych grup ludzi, i dlatego wszystko, co się w ich łonie dzieje, jest poniekąd odbiciem potrzeb codziennych i ich braków; gromadne życie uczy patrzeć po-za granice osobistych potrzeb i nie pozwala gnuśnieć. Chociaż więc sport zabiera dużo czasu na rozrywki

i hulanki, jednakże nie przeszkadza to rozwojowi korzystniejszych pierwiastków. Najstarszy związek sportowy, wioślarzy, jest dzielnym środkiem gimnastycznym, przyczynia się do pokonywania ułomności i charłactwa, wytworzonego przez miejskie warunki pracy. To też smutnie przyjęliśmy niedawno wieść o zachwianiu podstaw materialnych wioślarzy płockich. Na szczęście solidarność członków, którzy z góry wnieśli składkę półroczną, wybawiła ich z kłopotu i zapewniła dalsze istnienie. Nie mniej pożyteczny jest sport cyklistów, rozwijający się w wielu miejscach. Mają oni swoją organizację związkową nie tylko w Warszawie i Łodzi; widzieliśmy ich także w większych miastach Cesarstwa, a obecnie nawet cykliści humańscy tworzą klub własny. Stowarzyszenia śpiewackie również się rozwijają w całym kraju. Za przykładem „Lutni“ warszawskiej poszli miłośnicy śpiewu w Łodzi i od r. 1892 mają własną drużynę, umiejętnie kierowaną przez specjalistów.

Wreszcie najmłodszym stowarzyszeniem sportowym, bo liczącem zaledwie kilka tygodni, jest klub łyżwiarzy warszawskich. Dodajmy do tego dążność stworzenia stałej organizacyi gimnastyków i coraz bardziej wzrastające zamiłowanie w ćwiczeniach cielesnych, zarówno wśród dorosłych, jak i dzieci obojej płci, nadto obowiązkowe wprowadzenie gimnastyki w Towarzystwach pracowników handlowych i przemysłowych w Warszawie i Łodzi, a nawet w warszawskim seminarjum duchownem, a będziemy mieli w całokształcie objaw ruchu wielce sympatycznego. Wpływa on na wzmocnienie sił, nadwątłonych dziedzicznie lub przez obecne warunki wychowania i pracy, ćwiczy przytem i wytwarza dodatnie cechy życia gromadnego.

Zaokrągleniem działań zdrowotnych są towarzystwa lekarskie w miastach prowincjonalnych. Najwybitniejsze z nich i najruchliwsze jest łódzkie; obecnie powstało nowe w Suwałkach. Korespondenci, lubiący wszystko ganić, czynią tym instytucyom wiele zarzutów, może w części usprawiedliwionych, przedewszystkiem oskarżają je o ospałość, zbyt słabą czynność, nie odpowiadającą potrzebom i rozmiarom programów. Sędziowie ci, dając się porywać swej surowości, zapominają o wielu okolicznościach łagodzących, o zbyt słabem tętnie życia prowincjonalnego, co wytwarza pewną odporność względem wszelkiej działalności zbiorowej. Zabiegi około wzmocnienia higieny wymagają poparcia i życzliwości ogółu, tymczasem w większości wypadków lekarze nie tylko tej siły nie mają za sobą, ale częstokroć nawet ją napotykają wymierzoną przeciwko sobie. Bądź co bądź, pomimo chromania, towarzystwa lekarskie wielce są pożyteczne i niejedną już usługę cenną oddały; zresztą w programie swoim mają one wzajemne dopełnianie

swej wiedzy na drodze teoretycznej i praktycznej, za pomocą odczytów specjalnych, prenumeraty dzieł i pism, wreszcie udzielania wskazówek i spostrzeżeń z własnej praktyki. To już samo daje wyborną rękomię rzetelności leczenia.

Przedmiotem ostrych krytyk są również straże ochotnicze prowincjonalne. Naganą można zastosować całkowicie do wiejskich i małomiasteczkowych; brak tam nieraz głowy, rąk, chęci i narzędzi ratunkowych; straże są tytularne, a pożary faktyczne, pochłaniające bez żadnego oporu mienie ludzkie, a niekiedy i samych ludzi. Inaczej w miastach większych. Kilkakrotnie mieliśmy sposobność przyjrzeć się tym organizacyom zbliżka i przekonać się o ich dzielności; to zaś mniemanie nasze potwierdzają sprawozdania roczne, które przejrzelśmy z wielkiem zajęciem. Otóż we wszystkich miastach widzimy stały rozwój tych instytucyi. Pierwsze miejsce niewątpliwie należy się łódzkiej, istniejącej od r. 1876. Ma ona już dziś sześć oddziałów (V i VI zostały zorganizowane przez Towarzystwo akcyjnych zakładów bawełnianych Karola Scheiblera i Tow. J. K. Poznańskiego) i 1,074 członków (w tej liczbie 723 czynnych). Dalej idą: straż radomska (260 członków czynnych), kaliska (210 czł.) i inne. Jeżeli zważymy, że te szeregi ochotnicze rekrutują się z różnych warstw społecznych, inteligentnych i nieoświeconych, a stanowią zupełną harmonię pod względem wysokiego pojmowania swych obowiązków, że się odrywają nieraz od mozolnej pracy, ujmują sobie snu po wielkiem wyczerpaniu sił, narażają życie i zdrowie, i to nie tylko zupełnie bezinteresownie, ale nawet sami ponoszą ofiary w postaci składek pieniężnych, — to tylko trzeba z gorącym uznaniem przyklasnąć tym ludziom, tak serdecznie przejętym solidarnością i poczuciem obywatelskiem.

Wszystkie te straże wkrótce otrzymają wspólny motor sterniczy, a z nim środki, ułatwiające szybszy rozwój. Mamy tu na myśli russkie Towarzystwo zjednoczonych straży ogniowych, zawiązane w Petersburgu na schyłku roku zeszłego. Tworzy ono dwa okręgi: północny i bałtycki, następnie zaś zorganizuje dwa inne: północno-zachodni z radą okręgową w Mińsku i zachodni z radą w Piotrkowie. Pierwszy rozszerzy swe działanie w granicach gubernii: Wileńskiej, Witebskiej (z wyjątkiem Dźwińska), Kowieńskiej, Grodzieńskiej, Mińskiej i Mohylewskiej, drugi — w całym Królestwie Polskiem. Nadto, na wiosnę powstanie jeszcze jeden okrąg dla gubernii środkowych, z radą w Smoleńsku. Jednym z niezmiernie ważnych szczegółów programu głównego Towarzystwa jest wyjednywanie zniżki cen narzędzi ratunkowych (o 5—25%) dla straży małomiasteczkowych i wiejskich. Niektóre fa-

byri chętnie już się zgodziły na te ulgi, stanowiące główny czynnik rozwoju stowarzyszeń ochotniczych. Pożądane było-by również wyjednywanie kredytu dla tych instytucji na zakup niezbędnych przedmiotów, na wzór np. pożyczek na narzędzia rolnicze, albo przybory do warsztatów rzemieślniczych, które w Kijowie otrzymają wkrótce pomoc, dzięki hojnej ofercie przemysłowca, Brodzkiego. Powstaje tam specjalny Bank rzemieślniczy, którego zakres działalności jest już opracowywany. Nie mamy tu na myśli tworzenia osobnej instytucji kredytowej dla straży ochotniczych, ale tylko ułatwienie kredytu w bankach istniejących, co było-by o wiele łatwiejsze. Bądź co bądź, Towarzystwo zjednoczonych straży ochotniczych ma na względzie wzmocnienie stowarzyszeń ratunkowych na prowincyi, a więc rozpoczyna się dla nich pomyślniejszy okres rozwoju.

Z szeregu związków zyskały w ostatnich latach uznanie dwa jednorodne: Towarzystwo pracowników handlowych i przemysłowych w Warszawie i Łodzi. Za najważniejszy zaś dział w ich łonie uważamy „rekomendację pracy,“ przeznaczoną wyłącznie dla członków. Przy stowarzyszeniu warszawskiem organizacja ta wyrobiła już sobie do pewnego stopnia powagę i rozgłos nawet w Cesarstwie; przy łódzkim działalność ta idzie dość leniwie i traktowana jest obojętnie przez ogół przedsiębiorców, potrzebujących rąk i głów ludzkich. Zresztą i najbardziej interesowani, t. j. pracownicy, dotąd nie wytworzyli jeszcze należytego pojęcia o doniosłości tego środka poszukiwania pracy, więc usiłowania ich związku szły dość opornie; dopiero w ostatnich czasach, gdy na czele oddziału stręczenia stanęli ludzie, umiejący wnikać w istotne potrzeby, postęp zaczyna się zaznaczać, o czem świadczy następujących parę cyfr: w r. 1891 udzielono posad zaledwie 18, w roku zaś następnym 68, a w ciągu 7-miu miesięcy r. z.—40. Odpowiedna sekcya Towarzystwa warszawskiego, jakkolwiek nie szczędzi trudów i starań, nie może atoli zaradzić brakowi przysposobienia do pracy fachowej zgłaszających się kandydatów. Smutnie o tem zjawisku świadczą fakta: przed kilku tygodniami biuro miało zapotrzebowania na 34 posady w przemyśle i handlu, na które niema wcale odpowiednio uzdolnionych pracowników. Żądani są przeważnie do handlu kolonialnego, tudzież buchhalterzy, korespondenci ze znajomością obcych języków, magazynierzy, pomocnicy kantorowi, ekspedyenci w handlu bławatnym, bielizny, papieru, wódek, szkła, porcelany i t. d. Oferty płyną z prowincyi Królestwa i Cesarstwa, płaca zaś, szczególnie dla władających językami obcemi, wynosi do 1,800 rs. rocznie. Szczegół ten tłumaczy jedną z przyczyn, dlaczego kandydaci „do wszystkiego“ nie mogą znaleźć miejsca. Oddział rekomendacyi z całą gorliwością daje swą pomoc

ludziom bez zajęcia, ale przysposobić ich do pracy nie może. Przyszłe pokolenia będą miały szereg potrzebnych szkół fachowych, które je uzdolnią do wszelkich gałęzi pracy; ale co zrobić z dorosłymi, którym brak wykształcenia stosownego? Z każdym rokiem będzie ich położenie cięższe, w miarę wzrostu liczebnego pracowników ukształconych. Otóż tutaj może być w pewnej mierze sposób zaradzenia złemu i nawet Towarzystwo przed dwoma laty miało ten chwalebny zamiar, mianowicie zamierzało urządzić u siebie wykłady, które zapełniły-by w znacznym stopniu luki w wykształceniu pracowników handlowych i przemysłowych. Nie wiem, co się z tym projektem stało, dość, że dotąd cicho o nim zupełnie. Jeżeli na przeszkodzie stanął brak czasu na słuchanie prelekcji, to przecież na rozsądniejszych przedsiębiorców i właścicieli sklepów można było-by moralnie wpływać i przekonać, że w ich własnym interesie leży udzielenie paru godzin wolnych tygodniowo na naukę dla pracowników. W miarę bowiem większego uzdolnienia wzrosła-by produktywność ich pracy. Obecnie wydział rekomendacji ma inny zamiar: postanawia utworzyć komitet egzaminacyjny z rachmistrzów, handlowców i kupców. Będzie to wszakże tylko środek, umożliwiający przedsiębiorcom sprawdzenie uzdolnień kandydatów do zajęcia, a tu chodzi przecież o ułatwienie im zdobycia tych uzdolnień.

Jeszcze tak niedawno, przed paru miesiącami, zrobiliśmy na tem miejscu przegląd płodnej działalności Jerzego Alexandrowicza z powodu jego jubileuszu. Zdawało się wówczas, iż człowiek ten przez długi czas będzie niósł swą energię dla dobra publicznego. Choroba jednak organiczna, wtedy jeszcze ukryta, podkopywała już jego życie, a w miesiącu ubiegłym przecięła je na zawsze. Alexandrowicz, jak Andriolli, padł ofiarą raka, który oplotł organy wewnętrzne. Zmarły należał do najpopularniejszych osobistości wśród naszej inteligencji, a w działalności publicznej prawie do ostatnich chwil nie ustawał. Liczne szeregi ludzi różnego wieku pamiętają go wybornie, jako profesora: Akademii medyczno-chirurgicznej, b. Szkoły Głównej, a następnie uniwersytetu, różne zaś instytucje zawdzięczają mu poniekąd swe ożywienie i udoskonalenie; był dyrektorem: ogrodu botanicznego i pomologicznego w Warszawie, tudzież Muzeum przemysłowego, prezesem Towarzystwa ogrodniczego, prezesem komitetu właścicieli listów zastawnych w Towarzystwie kredytowym ziemskim, wreszcie uczestniczył w wielu innych stowarzyszeniach i przedsięwzięciach; słowem, w zakresie działań społecznych nie ustawał ani na chwilę, poświęcał swój czas i siły całkiem bezinteresownie. To też działalność publiczna tak dalece go zaprzętała, że, pomimo wielkich zdolności i gruntownej wiedzy przyrodniczej, nie pozostawił w piśmiennictwie naukowym dzieł

poważnych; praca jego literacka zamyka się w licznych broszurach i artykułach. Miarą uznania i sympatyi ogółu był wspañiały i liczny pogrzeb Alexandrowicza, którego zwłoki zaniesli przyjaciele na własnych barkach aż na sam cmentarz, a wóz żałobny wyładowany był kwieciami i wieńcami.

Na schyłku r. z. zgasł skromny pracownik na deskach scenicznych, Leopold Matuszyński. Niegdyś był on śpiewakiem i reżyserem opery tutejszej. W ciągu działalności (od r. 1853) wystawił sto oper, do niektórych tłómaczył libretta i pod muzykę je podkładał. Jako śpiewak, miał kilka lat powodzenia, potem, w miarę utraty głosu, spadał na niższe szczeble repertuarów, ale i na nich zwracał uwagę sumienną pracą. W ostatnich latach usunął się zupełnie i już potrosze o nim zapomniano. Żył w pamięci współczesnych, dla młodszego pokolenia iniej jego jest zupełnie obce.

Dnia 9 go stycznia w Burgasie (w Rumelii wschodniej) zmarł dr Władysław Jabłonowski. Obok praktyki lekarskiej, życie swe wypełnił zohierką i podróżami. Jego ekspedycje w głąb Azji, czynione z polecenia międzynarodowej rady zdrowia, dla dobra higieny publicznej, tudzież prace naukowe w zakresie epidemiologii Wschodu, zwróciły powszechną uwagę w świecie uczonych u nas i za granicą. Niegdyś „Kłosa” i „Wędrowiec” umieszczały jego wielce zajmujące podróże po wschodzie muzułmańskim, a „Przegląd Lekarski” wydał w osobnej książce „Szkice sanitarne z Persyi.”

W Smyrnie zakończył życie August Kościeszka Żaba, b. konsul russki w Erzerumie. Urodzony r. 1800 w Krasławiu, skończył Instytut języków wschodnich w Petersburgu r. 1824. Następnie otrzymał posadę przy konsulacie w Smyrnie i stałe zamieszkał na Wschodzie, gdzie znaczną część czasu poświęcał studjom naukowym w zakresie literatury i językoznawstwa. On właściwie pierwszy zwrócił uwagę ogółu ukształconego, a raczej pewnej garści jego na literaturę i język kurdyjski za pomocą słownika kurdyjsko-francuskiego i dzieła p. t. „Recueil de notices et recits kurdes” (Petersburg, 1860).

Oprócz Tyndalla, straciła Anglia, a z nią świat nauki, drugiego pracownika, Samuela Bakera, który pozostawił ślad po sobie znaczny, jako badacz afrykański. Ożywiony zapałem i dobrą wiarą, marzył tylko o zdobyczach dla cywilizacyi, nie przypuszczając, w jaki ona sposób będzie wysysać owoce tych zdobyczy. W r. 1861 samodzielnie o własnym koszcie Baker wyruszył do Kairu, z zamiarem dotarcia do źródeł

Nilu i spotkania się z wysłaną z Zanzibaru wyprawą kapitana Speke. W roku 1862 przybył do Chartumu i pomimo niebezpieczeństw, popłynął Białym Nilem; w roku zaś następnym spotkał kapitana Speke w Gondokora, a w marcu r. 1864 dotarł do nieznanego jeziora Montan N'rige, któremu nadał nazwę Alberta Njanza. Za to wszystko spotkało go ogromne uznanie i honory: medal od Towarzystwa geograficznego w Anglii, godność członka uniwersytetu w Cambridge, wreszcie tytuł szlachcica, otrzymany z rąk królowej. W okresie 1869—1873 przypada druga jego podróż po puszczech afrykańskich. W ostatniem zaś dziesięcioleciu niemal co rok czynił wycieczki do Indyi i Egiptu. Prawie do chwili zgonu nie ustawał w pracy, głównie zasilał swem piórem łamy „Times'a.“ Zmarł 30 grudnia r. z.

Również w końcu grudnia zmarł w Paryżu Wiktor Schoelcher, który zdobył sobie sławę i uznanie głównie dzięki temu, iż swoją agitacją przyczynił się do zniesienia niewolnictwa. Odbywał kilkakrotne podróże do wszystkich kolonii francuskich i następnie z prawdziwym talentem pisał i rozsiewał broszury, w lot rozchwytywane. Po powrocie z długiej niebezpiecznej podróży po Senegalu, podczas rewolucyi r. 1848 został mianowany sekretarzem ministerjum marynarki i, skorzystawszy z tej sposobności, wydał wniosek zniesienia niewolnictwa, izba zaś dekret ten uprawomocniła. Po-za tem Schoelcher domagał się usilnie zniesienia kary śmierci. Przestępca powinien być traktowany jako chory, więc jego życie nie katu, lecz higieniście-
lekarzowi trzeba poruczać. Takie były jego poglądy. Zmarły był związany przyjaźnią i poglądami z Wiktorem Hugo. W życiu politycznem brał kilkakrotnie żywy udział. Bogate swoje zbiory zapisał paryskiej bibliotece narodowej, szkole sztuk pięknych, konserwatoryum i muzeum etnograficznemu w pałacu Trocadero. *Zn. P.*

Dnia 21 ubiegłego miesiąca czasopismo nasze straciło jednego z najzasłużeńszych swych współpracowników, przez zgon ś. p. Antoniego Józefa Rollego, który dobrze znany był ogółowi z prac swoich historycznych pod imieniem Doktora Antoniego J. Zanim zasługi zmarłego w dziale właściwym należycie ocenione będą, słuszna jest, abyśmy w tej kronice żałobnej choć kilku słowy pamięć jego uczcili. Józef Rolle był wnukiem oficera francuskiego, którego w r. 1772 sprowadził był z innymi biskup Massalski do sztyftowania pułku, a który wkrótce obowiązek ten opuściwszy, przeniósł się naprzód do Prus, potem zaś do Galicyi, gdzie się stale osiedlił i ożenił się z Polką, panną Zdunowską. Syn jego, także Józef, jak i zmarły historyk, wrodził się

w matkę i już tylko z nazwiska był Francuzem. Ukończywszy nauki szkolne i uniwersyteckie we Lwowie i dwa lata spędziwszy na wydziale przyrodniczym w Wiedniu, przyjął obowiązek sekretarza u ks. Michała Radziwiła, a w r. 1818 został lustratorem dóbr Henryka ks. Lubomirskiego w Szarogrodzyczynie, w gub. Podolskiej, powiecie Mohylowskim. Za długoletnią sumienną i gorliwą służbę otrzymawszy od księcia w dożywocie spory kęs ziemi o wiorst kilka od Szarogrodu, założył tam sobie siedzibę, którą od imienia swojego chlebobawcy nazwał Henrykówką, i tam-to w r. 1830 przyszedł na świat ś. p. dr Antoni J. Oddany do szkół do Winnicy, po przeniesieniu ztamtąd gimnazjum do Niemirowa, tam pobierał dalej nauki, lecz skutkiem wybryku młodzieńczego musiał przenieść się do Białocerkwi, gdzie doszedłszy do siódmej klasy, egzamin dojrzałości złożył w Kijowie i następnie zapisał się na wydział lekarski do miejscowego uniwersytetu. Ukończywszy studia lekarskie *cum eximia laude*, przyjął ś. p. J. Rolle obowiązek lekarza dominalnego u marszałka gub. Podolskiej, Sulatyckiego, i zamieszkał w miasteczku Jaryszowie pod Mohylowem, skąd odbył dwie wycieczki dla studyów naukowych: w r. 1858 do Niemiec i w 1860 do Paryża. Powróciwszy z tej ostatniej podróży tegoż roku, osiedlił się w Kamieńcu, jako lekarz wolno praktykujący, i w ciągu lat 33 stałego tam pobytu, tak w mieście, jak i na wiele mil wokoło wpośród ziemskich obywateli, coraz większą wziętość zyskiwał, urastał w coraz większą powagę. Był członkiem honorowym Towarzystwa lekarzy podolskich i gubernialnego komitetu statystycznego, członkiem i kasyerem Towarzystwa dobroczynności, którego ambulatoryum przy szpitalu zostawało pod lekarską jego opieką bez żadnego wynagrodzenia,—wreszcie członkiem Towarzystwa opieki nad uczącą się młodzieżą. Nie dziw przeto, że zgon takiego pracownika obudził żal powszechny, o czem najwymowniej zaświadczył pogrzeb jego, w którym tak z miasta, jak i ze wsi, bez różnicy stanu i wyznania, liczna rzesza uczestniczyła, jako też mnogie wieńce, trumnę jego okrywające.

Do pióra przyszły autor opowiadań historycznych rwał się od lat najrańszych: jeszcze na szkolnej ławie, w trzeciej klasie, zabrał się był do pisania poematu o Grzegorzku z Sanoka, w piątej—już pozyskał rozgłos niemały wśród kolegów, jako poeta okolicznościowy, a w uniwersytecie nie przestawał rymować, to w duchu Bajronowskim, to znów w Hejnowskim, aż wreszcie r. 1855, za pośrednictwem Benedykta Dołęgi, doczekał się tego zaszczytu, że „Gazeta Codzienna“ wiersze jego wydrukowała. Odtąd coraz to szerzej rozwijał swą działalność pisarską, zasilając swemi pracami to „Gazetę Codzienną“, gdzie się ukazały jego obrazki „Jadwisia“ i „Pan Dominik“, oraz „Kilka wspomnień

z życia akademickiego“ i „Bessarabia i okolica naddniestrzańska podolska;“ to „Gazetę Warszawską,“ której dostarczał korespondencji z nad Dniestru i z podróży po Europie, to „Kółko Domowe,“ „Opiekuna,“ „Kalendarz Jaworskiego“ i inne. Obok tego zaś mnóstwo artykułów z zakresu medycyny umieścił w rozmaitych czasopismach lekarskich, oraz wydał oddzielnie cenną pracę p. t. „Choroby umysłowe“ i „Materiały do topografii lekarskiej Podola.“ — Taki był okres pierwszy działalności literackiej Rollego, — drugi, który zainaugurowało dzieło jego kapitalne w trzech tomach p. t. „Zameczki podolskie“ (r. 1869), a wypełniły opowiadania, szkice i sylwetki historyczne, stanowiące niespożytą jego zasługę, specjalnej potrzebuje oceny; tu tylko zaznaczymy, że do prac w tym zakresie pobudziły Rollego w znacznej mierze stosunki z Konstantym Podwysockim, oraz Aleksandrem Weryhą Darowskim, którzy ze swoich zbiorów wiele mu dostarczali materiałów, albo też drogę do zdobycia ich skąd inąd wskazywali. W końcu i to jeszcze dodamy, że w tym drugim okresie ś. p. Rolle wiele prac swych drukował, oprócz naszego czasopisma, w „Tygodniku Ilustrowanym,“ „Powszechnym,“ w „Kłosach,“ „Niwie,“ „Kronice Rodzinnej“ i „Gazecie Warszawskiej.“

Wiadomości bibliograficzne.

Rozprawy Akademii Umiejętności, wydział filologiczny, serya II. Tom IV. Ogólnego zbioru tom dziewiętnasty. (Z sześcioma tablicami porównawczemi.) W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności, z zapisu ś. p. Józefa Kuryerowa. 1893, *in quarto* (str. 475.)

Całą książkę zapełnia jedna obszerna rozprawa M. Bobowskiego, p. t. „Polskie pieśni katolickie od najdawniejszych czasów, do końca XVI wieku.“ Na czele znajdujemy rys historyczny śpiewów, opis ich wędrówki. W Polsce przyjęto śpiew kościelny tak, jak był na Zachodzie, gdzie prawie przez cały ciąg wieków średnich panował wszechwładnie śpiew łaciński, uprawiany przez księży i służbę kościelną. Śpiew zaś religijny w innym języku, z małemi wyjątkami, rozbrzmiewał tylko po-za murami kościołów. Pierwsze próby takiego śpiewu są wogóle dosyć późne. O ile wnosić można (z niedostatecznych danych historycznych), zjawily się one naprzód w Niemczech w X wieku, przedtem zaś lud niemiecki nie znał właściwego śpiewu religijnego; całą jego treścią było wykrzykiwanie niezliczone razy *Kyrie eleison, Christe eleison*. Do rozwoju poezyi religijnej w Niemczech przyczynily się wojny krzyżowe i poezya świecka. Gdy narody romańskie pozostały wierne śpiewowi łacińskiemu, w Czechach, tak samo jak w Niemczech, wszedł w użycie język własny. Husyci wprowadzili go do kościoła, ku czemu dopomogło silne znienawidzenie łaciny. Polska, która później od Czech przyjęła chrześcijaństwo, zdobyła się też później na pierwszą

pieśń religijną w języku własnym. Jest nią *lais*, Bogarodzica (*laisy*, t. j. pieśni z odśpiewem *Kyrie elejson*). Czasu jej zrodzenia się nie można ściśle określić. Przypisywanie jej autorstwa Ś. Wojciechowi pozbawione jest wszelkiej podstawy. P. M. Bobowski daje szczegółową ocenę tej tradycji i zaznacza jej sprzeczność z dziejami śpiewu religijnego. Utwory polskiej poezji religijnej, których odpisy pochodzą z XV wieku, autor podzielił podług ich treści na pieśni: a) o Matce Boskiej, b) Kolendowe, c) Wielkopostne, d) Wielkanocne, e) Zielonoświątkowe, f) o Bożem Ciele, g) o Świętych i h) Dekalogi. Brak jest wszelkich danych, które wskazywały-by chronologiczny ich porządek, gdyż nietylko niewiadomy jest czas ich powstawania, ale nawet żadnego ich tekstu nie podobna oznaczyć datą dokładną. Na końcu znajdujemy dość obszerny słownik dawnych wyrażeni, oraz tablice porównawcze.

— Wydawnictwa Akademii Umiejętności w Krakowie. (Biblioteka pisarzy polskich):

Sebastjana Grabowskiego. „Rymy duchowne“ 1590. Wydał dr Józef Korzeniowski. Kraków, 1893 (*in octavo*) str. 197). Nazwisko poety powyższe i dzieło jego są w literaturze wcale nieznane. Wspomina o nim Wiszniewski, tylko jako o teologu i autorze łacińsko-polskiego dziełka polemicznego; nie więcej wie Kondratowicz. Tylko jako autora niniejszych poezji religijnych znają go: Aloizy Osieński i W. A. Maciejowski. W historii literatury nie dano mu miejsca; znają go tylko niektórzy bibliografowie. „Rymy duchowne“, jest to zbiór dwóchset dwóch luźnych wierszy, podzielonych na dwie części. Szereg tych utworów lirycznych oparty jest na silnej wierze, nacechowane zaś są głęboką refleksją. Język poprawny, wyrobiony, jędrny i silny. Co do oryginalności utworów poety, to, według Korzeniowskiego, podlegał on przy tworzeniu niektórych ze swych poematów wrażeniom i wpływom poezji Kochanowskiego (głównie oddziałał psalterz Dawidowy). Również dokładna znajomość Brewiarza mogła się odbić na jego rymach.

— Na posiedzeniu Komisji historii sztuki w Akademii Umiejętności, odbytem w d. 21 grudnia r. z., pod przewodnictwem prof. Maryana Sokołowskiego, prof. Łuszczkiewicz odczytał pracę p. t. „Katedra w Płocku, studjum zabytku architektury romańskiej.“ Prelegent wykazał, że katedra Płocka, pomimo radykalnej przebudowy, dokonanej przez włoskiego architekta za biskupa Noskowskiego w drugiej połowie XVI wieku, zachowała prócz granitu polnego, jako wtku ścian, pierwotny układ planu niewiele zmieniony z epoki romańskiej, który pomiarami da się stwierdzić i poucza, że dawna świątynia ro-

mańska, wzniesiona przez biskupa Aleksandra w połowie XII wieku, miała zasklepienie nie tylko nawy pobocznej, ale i główną, jedyny dotąd znany przykład w Polsce z tego czasu przed budowanymi Cysterskimi romańskimi. Przybudowy półkoliste z granitu kształtu absyd na przedłużeniach naw bocznych służyły za baszty obronne i są obok grubości murów śladami dawnej inkastellacji tego kościoła, stojącego w obrębie grodu książęcego.

Prof. St. Smolka zakomunikował z archiwów Rzymskich interesującą relację nuncjusza Ranginiego, która zawiera opis darów Dymitra Samozwańca dla Maryny Mniszechówny, składających się z klejnotów, szat, dywanów i t. p. Rzucił on wiele nowego światła na stan kultury u nas w XVII wieku i ułatwia chronologiczną determinację zabytków.

Przewodniczący przedłożył nadesłany przez anonimusa z Warszawy, jako uzupełnienie ogłoszonych dotąd inwentarzy skarbcu koronnego, spis, wraz z oszacowaniem na dukaty, drogich kamieni i kosztowności, które w osobnych szkatułach były przechowane w tymże skarbcu według rękopisu biblioteki królewskiej w Dreźnie z r. 1676.

Przewodniczący podał wreszcie wiadomość nadesłaną przez p. Hermana Ehrenberga, iż w archiwum Królewieckim znajduje się spis przedmiotów, pozostałych w r. 1578 po poduszkarzu księcia Albrechta Pruskiego, w którym jest wzmianka także o „polskich kobiercach” („polnische Teppiche”).

Prof. Łuszczkiewicz okazał nadesłany na jego ręce z Kamieńca Podolskiego szereg rysunków zabytków architektonicznych w tymże mieście.

Dr Demetrykiewicz okazał fotografię pięknej rzeźbionej tablicy erekcyjnej gotyckiej kościoła w Radłowie z r. 1337 z klęczącą postacią biskupa Jana Grotha, dalej fotografię pomnika renesansowego z białego marmuru nieznanego szlachcica, może jednego ze Zbylitowskich, w Zbylitowskiej Górze pod Tarnowem, oraz fotografię marmurowego nagrobka z XVII wieku jednego z Leśniowskich herbu Gryf, w postaci klęczącego rycerza, który stoi luźno do ściany przyparty w drewnianym kościółku w Trzcianie pod Rzeszowem.

— „Sprawozdań Komisji do badania historii sztuki w Polsce” wyszedł tomu V zeszyt III i zawiera: Maryana Sokołowskiego „Erazm Kamyn, złotnik poznański i wzory przemysłu artystycznego u nas w XV i XVI w.”; tegoż „Źródła do historii sztuki w Polsce XVII i pierwszej połowie XVIII w.”; Władysława Łuszczkiewicza: „Reszty zamku Herburtów pod Dobromilem”, „Sprawozdanie z wycieczki naukowej odbytej w lecie 1891 r. Część II”, „Polichromia kościoła dre-

wnianego w Dębnie pod Nowym Targiem," Ferdynanda Bostla: „Z dziejów malarstwa lwowskiego”, Alfreda Romera „Pasy polskie, ich fabryki i znaki”, Leonarda Lepszego. „Sprawozdania z posiedzeń Komisji za czas od 1 stycznia do 31 grudnia 1892 r.”

— „Acta Rectoralia Almae Universitatis Studii Cracoviensis inde ab anno MCCCCLXIX editionem curavit Dr Wladislaus Wisłocki. Tomi I fasciculus 2. Cracoviae, sumptibus Academiae Litterarum Cracoviensis. 1893.”

— Mikołaja z Wielkowiecka, historia o chwalebnem Zmarłychwstaniu Pańskiem. Wydał dr Stanisław Windakiewicz. Kraków. 1893 (*in octavo* str. 86). Książka powyższa, zdaniem wydawcy, jest najlepszym i jedynym drukowanym tekstem widowiska pasyjnego w Polsce. Pomysł, zaczerpnięty z konkordancyi czterech ewangelii, którą autor przy pomocy tłumaczenia Jana Leopolda (1561) przytacza, niektóre zaś epizody (o żołnierzach, pilnujących grobu, o Maryach, kupujących olejki i t. d.) dorobił na podstawie wytworzonych na Zachodzie uzupełniających opowieści. Tekst sztuki w opracowaniu Mikołaja z Wilkowiecka miał wielkie powodzenie w Polsce i służył doprzedstawień, szczególnie w Częstochowie, aż do drugiej połowy XVIII w. Jedyny egzemplarz, z którego rzecz tę wydano, jest własnością biblioteki Kórnickiej.

— „Słownik apologetyczny wiary katolickiej“; podług d-ra Jana Jaugeya opracowany i wydany staraniem ks. Wł. Szcześniaka, mag. teol. i grona współpracowników. Zeszyt I-szy (*in octavo*, str. 192). Warszawa. 1894. Dzieło to podaje główne dowody wiary katolickiej i rozwiązanie stawianych jej zarzutów. Zeszyt 1-szy zawiera: A) Abraham, Aggeusz, Agni, Agnostycyzm, Albigensi, Aleksander VI, Amerykanie, Antropologia, Antropopitekos, Antylogie Nowego Testamentu, Antypody, Apokalipsa, Apostołowie, Arbuez Piotr, Arka przymierza, Aryman, Asocjacyonizm, Ateizm, Atlantyda, Awesta. B) Babel, Baltazar, Bartłomiej (Noc Ś. B-a), Bathybius, Bel, Bethel, Betyle, Biblia, (Warcanty B-i), Biblijne studia u katolików, Biskup, Bóg.

— *Armand Schweiger-Lerchenfeld*. „Geografia powszechna ilustrowana.“ Przełożył i uzupełnił dr Karol Jurkiewicz. Warszawa. Orgelbrand. (*in quarto*). Dotąd wyszły cztery zeszyty tego dzieła. Zawierają one obszerny opis wód słodkich i gorzkich, morze: poziom i dno, głębiny, zjawiska ruchu morza, przypływ i odpływ, prądy, lody morskie. Zjawiska ruchu atmosfery, wilgotność atmosferyczna. Magnetyzm ziemski; elektryczne i optyczne zjawiska w atmosferze. Życie or-

ganiczne: Rozmieszczenie roślin, rozmieszczenie zwierząt. Człowiek. II. Europa. Pogląd ogólny. Położenie i granice. Wybrzeża morza Śródziemnego. Morze Czarne. Wybrzeża Atlantyku. Ląd europejski. Niziny.—Książka starannie jest wydawana z pięknymi ilustracjami.

— „Wisła.“ Tom VII. Lipiec, sierpień, wrzesień, 1893. Zawiera: Wesele litewskie z okolic Wielony, przez Antoniego Juszkiewicza, w przekładzie z litewskiego przez Izydora Kopernickiego. Ze studyów nad pieśniami i obrzędami weselnymi, przez d-ra Henryka Biegeleisena (dokończenie). Szopka w Łowiczu, przez R. Orczykowskiego. Kronika geograficzna za r. 1892, przez Wacława Nałkowskiego. Tło ludowe Balladyny, studjum folklorystyczne, przez Włodzimierza Bugła. Humor ludu żmudzkiego, przez J. Kiborta. Gry i zabawy dzieci w Skorzycach w pow. Janowskim gub. Lubelskiej, przez Leona Hempla. Próbką twórczości ludowej, przez K. Króla. Poszukiwania: Lecznictwo ludowe. Przyczynki R. L. Pojęcia ludu o przyrodzie. Przyczynki B. W. K. Pamięć o zmarłych, przyczynki S. Jastrzębskiego i R. L. Sobótka. Przyczynki R. L., S. Jastrzębskiego i L. Hempla. Jak sobie lud wyobraża istoty świata nadprzyrodzonego, przyczynki Pawła Plichty. Szwedzi, Tatarzy i Turcy, przyczynki M. K. Wilanowskiego. Na czele zeszytu rysunek M. Wawrzeńckiego, przedstawiający odzież włościańską w gub. Kieleckiej.

— „Encyklopedyi Rolniczej” wyszedł Zeszyt XXX (Warszawa 1894) i zawiera dokończenie artykułu *Gospodarstwo włościańskie* oraz artykuły: *Grab, Gracyalisci, Grad, Grafit, Gramin, Granit, Granulit, Gratyfikacja, Grobla, Groch, Groch szparagowy, Groszek, Grunt, Grusza dzika, Grusza szlachetna, Gryka, Grzyby jadalne i trujące.*

— „Podręcznik księgarski.“ Przewodnik praktyczny dla wydawców, księgarzy, pomocników i praktykantów księgarskich, na podstawie swojskich i obcych źródeł, opracowany pod redakcją Teodora Paprockiego. Warszawa. Nakład i własność Teodora Paprockiego. 1894. (*in octavo*). Zeszyt I-szy. Dotąd zawiera tylko ogólnie kwestye: Wydawca, autorzy i wydawca, wydawnictwo, drukarstwo, papier, ilustracye, wewnętrzny układ książki, oprawa i broszura. Reklama wydawnicza. Dział II. Księgarnia sortymentowa.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weysenhoff.

Spory dyplomatyczne o samozwańców.

I.

Przystępując do nakreślenia przebiegu dyplomatycznych kłótni między Polską a Moskwą w pierwszej ćwierci XVII stulecia, objaśnić na wstępie musimy, iż przedmiotem niniejszego studium, opartego niemal wyłącznie na historycznych źródłach russkich, są przewlekłe, ale niemniej zażarte spory, stanowiące epilog do tej tak burzliwej i barwnej epoki dwóch samozwańców, biorące źródło swe w wypadkach, które zaostrzyły na długie czasy stosunki między obu państwami, pogorszyły je, jeśli wogóle, po panowaniu Iwana Groźnego, o pogorszeniu mowa być mogła.

Wiemy, z jak wielkimi planami nosił się Zygmunt III, jak dążył do tego, aby zespolić interesa obu państw, jak kilka razy wracał do szturm, nasamprzód w drodze propozycji dyplomatycznych, uchwycił się potem pierwszego samozwańca, a kiedy i ten plan się rozsypał, zorganizował osobiście wyprawę wojenną, w chwili, kiedy Samozwaniec II obległ Moskwę. Wiemy także, jak wyprawa się nie powiodła, nie dała w końcu innych następstw, oprócz krwawych ran, jakie sobie obaj zapaśnicy zadali.

Od zarania więc siedemnastego wieku ciągnie się nowy a długi szereg kłótni, skarg, zarzutów, stanowiący, wraz z kilkakrotnymi rozprawami z orężem w ręku, akta tego wielkiego politycznego procesu, zakończonego stałą pokojową ugodą dopiero po latach ośmdziesięciu, lubo zaczątków tego procesu, przygotowań do niego, szukać-by należało nierównie wcześniej, jeszcze w wieku XV, kiedy oba sąsiadujące państwa rozpościerają podboje jedno na Wschód, drugie na Zachód.

W tych warunkach, dziwić się niemożna, że cały okres ten wypełniony jest gwarem hałasów dyplomatycznych, towarzyszących niezmiennie akcyi dyplomatycznej na wschodniej granicy. Można rzec bez przesady, że na kongresach więcej się kłócono, niż układano. Kłócono się zażarcie, bez wypoczynku, tradycyjnie, na co polscy komisarze wielokrotnie się skarżą.

Zaczynają się tedy swary nasamprzód od drażliwych wspomnień z czasów dwóch fałszywych Dymitrów, kiedy Rzeczpospolita wystąpiła zaczepnie, a potem już jak na sznurek, niszane są coraz to nowe urazy, świadczące o nieustannem podrażnieniu, rozmyślnem pielęgnowaniu rany niezgody, w myśli odwetu, ze stałością i z góry obmyślaną metodą wytrzymania przeciwnika, bez względu na to, czy kwestya toczy się o ważne polityczne ustępstwa, czy też o jakies drobne pograniczne sprzeczki, tytuły, podrażnioną miłość własną.

Zresztą, kłótnie delegatów, przedstawiających interesa obu mocarstw, sięgają odleglejszych czasów, niż okresu samozwańców, że tylko wspomnimy zażartą polemikę Stefana Batorego z Iwanem groźnym; natomiast zauważyć można, że wypadki z pierwszego dziesiątka lat siedemnastego wieku dolały oliwy do ognia nienawiści, wzmogły zadrażnienie, zrobiły wybuchy i częstszemi, i silniejszymi. Boć prawdziwa przyczyna tych sporadycznych wybuchów jest głębszą; jej korzenie bieżą w odleglejsze czasy, w chwile zderzenia się dwóch prądów tak różnorodnych, i to zanim unia zacznie się rozpościerać we wschodnich prowincyach Rzpltej, w XVI i XVII wieku. Powstaje nadto i utrzymuje się oddawna kwestya granic, jako niewysychające źródło zatargów.

Bywają jednak próby, powtarzają się ze strony Rzpltej usiłowania zbliżenia się do północnego sąsiada, wciągnięcia go do wspólnych politycznych prądów Zachodu, nawet połączenia się ligą, z powodu powstającej coraz groźniej w drugiej połowie XVI wieku potęgi tureckiej, której postępy na Węgrzech każą się Polsce słusznie obawiać, że nadejdzie niebawem chwila, kiedy i ona, podobnie jak Niemcy, wytrzymać będzie musiała najazd Półksiężycy. Przewiduje to Stefan Bato-

ry, obawia się już wyraźniej Zygmunt III, dlatego Polska potrzebuje się zabezpieczyć od strony Siewierszczyzny i Smoleńska, rada-by nawet pozyskać sprzymierzeńca. Nastaje tedy chwila poważnej próby stworzenia ścisłych stosunków z caratem i zarazem (według programu Rzymu) otworzenia szczelnie zapartych granic dla wpływów religijnych papieżstwa. To nam też tłumaczy, dlaczego Zygmunt, korzystając z expiracyi traktatu (w r. 1602) wysłał w r. 1600 w poselstwie do Moskwy Lwa Sapiehę i Stanisława Warszyckiego, z zamiarem doprowadzenia do stałego pokoju (wobec chwilowego rozejmu) z następcą Iwana Groźnego i jego syna, Fiodora, Borysem Godunowem, zawarcia przymierza, ustanowienia stałych rezydentów przy obu dworach. (Sbornik kn. Oboleńskiego. Moskwa, 1838, str. 10—14). Widocznie obawa napadu tureckiego była wielką, niebezpieczeństwem blizkiem, bo Polska była-by dla ligi poświęciła nawet pretensye swoje, a raczej Litwy, do oderwanych od niej prowincyi: Smoleńszczyzny i Siewierszczyzny. Pamiętajmy, że bisurmanie w epoce od r. 1590 do r. 1605 zdobyli część Węgier w wojnie z Rudolfem II cesarzem, że się zbliżyli teraz do granic Polski, bo z Węgier przez Koszyce do Krakowa niedaleko było, dlatego też Rzplta musiała być przygotowaną na wielką turecką wyprawę.

Dlatego posłowie mają przedewszystkiem traktować ponownie o tem, o czem już poprzednio mowy i traktaty bywały, takim sposobem, aby między Zygmuntem III a carem Borysem pokój wieczny, przyjaźń i wieczna jedność trwały, a jeśli-by się postronny nieprzyjaciel na którą ze stron targnął, tedy jeden drugiego szczerze, bez chytrności, ma ratować. Prócz tego, ludziom narodu polskiego i litewskiego ma być wolno jeździć do Wielkiego Hospodara, Borysa, na służbę, majątności nabywać i korzystać z nich takim prawem, jakiemu majątność podlega. Tyczy się to zarówno także i ludzi narodu moskiewskiego. Tym ostatnim zatem będzie wolno na służbę na dwór królów polskich przyjeżdżać, majątności nabywać, w majątnościach tych cerkwie budować, a Polakom i Litwinom wolno będzie budować kościoły. A że *wspólnych przyjaciół i nieprzyjaciół* państwa odtąd mają mieć, tedy dla większego związku, zjednoczenia ich i porozumiewania się, mają mieć obopólnych posłów na dworach swoich, t. j. żeby ustawicznie mieszkali na dworze królewskim posłowie, z którymi-by król i Stany koronne znosić się mogli. Także i na dworcu Hospodara posłowie polscy i W. ks. litewskiego mają być, którzy o wszelakich poselstwach do państw obcych i przyjmowaniu ich, oraz wszystkich sprawach, *zjednoczonych* państw dotyczących, wiedzieć mają. Więc, gdzieby przyszło wyprawiać poselstwa za wspólnem wprzód obesłaniem, pod wspólnemi tytułami i przez *wspólnych* posłów to, ma być dlatego, aby ten, który-by był poselstwem

tem obesłany, widząc związek tak możnych państw, siły ich uważać i na nie oglądać się musiał. Stanowienia też przymierza wszelkiego i wszech rzeczy do dobra państw tych należących, za wspólnem zniesieniem się panów obu Rad (t. j. senatorów i bojarów dumnych) i stanów państw, mają być czynione i zawierane. Dla rozpoznawania i sądzenia spraw spornych między państwami, czy to o długi, czy to o ziemię, lub w innych kwestyach, mają być co rok komisarze na miejsce umówione i czas pewny wysyłani. A że dla obrony granic od bisurmanów z dóbr króla polskiego i z korony corocznie pewna suma pieniądza bywa oddawaną i za nią ludzie służebni bywają trzymani, przeto z państw russkich ma być także pewna suma postanowioną dla obrony od wspólnych nieprzyjaciół pogau, która-to suma ma być w Kijowie składaną.

Miasta Narew (Narwa), Iwangród (t. j. Inflanty) pod wspólną zjednoczonych monarchów władzą być mają, a cła, z miast tych dochodzące, na wspólną państw tych obronę oddawane i obracane będą.

Porozumieć się też winni wspólnie między sobą monarchowie około założenia armaty (floty) na morzu Czarnem i Wargackiem (Północnem?), aby państw swych granice jak najdalej pomknąć i rozszerzyć, a wychodzić mają armaty od Narwi i Iwangrodu, od porołów z Dniepru i z innych miejsc, gdzie się będzie zdawało najpilniejszym i gdzie potrzeba ukaże. A król polski umiejętnymi dowódcami i biegłymi w sprawach wojennych i morskich ma je opatrywać i ludzi rycerskich posyłać tam na służbę. Gospodar zaś russki dodawać ma drzewa i wogóle wszelkich potrzeb, (z wyjątkiem strzelby ze zwykłymi potrzebami) i żywności, którą obaj monarchowie wspólnie obmyślić mają.

Mennica w państwach ma być jednakowa i jednej ceny i wagi.

Zarazem dla doskonałego jedności państw (t. j. Polski, Litwy i Moskwy) wykazania przed całym światem, mają być podwójne korony zrobione, które-by dwóch monarchów znaczyły, oraz ich nierozdzielny związek. W Polsce ma być jedna, która przez posłów Hospodara russkiego na głowę króla polskiego ma być kładzioną (przy koronacji); druga w Moskwie, która przez posłów króla polskiego na głowę russkiego Hospodara ma być nakładaną. A że monarchowie podlegli są śmierci, jak inni wszyscy ludzie, tedy gdyby król polski z tego świata zeszedł, mają senatorowie korony polskiej i W. ks. litewskiego o śmierci pana swego oznajmić Hospodarowi russkiemu i stanom russkim i co do obrania nowego pana porozumieć się z nim, nie zagradzając przystępu synowi króla, aby go narody polskie i litewskie i inne należące, wedle praw swoich, wolnemi głosami za króla obrać mogły. A król od stanów koronnych i litewskich nowoobraný, zaprzysięgając prawa i wol-

ności koronne i litewskie, zarazem też związek, jedność, wspólność i wieczną przyjaźń, postanowioną pomiędzy państwa, poprzysiądź ma i mocno i nienaruszenie zachowywać będzie.

A przy koronacyi króla polskiego, poseł moskiewskiego Hospodara ma też być obecnym i, po włożeniu korony polskiej przez prymasa na głowę króla koronowanego, ma tenże poseł Hospodara kłaść drugą koronę, osobno do tego zrobioną.

A jeśliby syna króla naszego zabrakło, tedy, nie zwlekając, stany korony polskiej i W. ks. litewskiego mają obrać sobie za monarchę russkiego Hospodara, który, poprzysiągłszy prawa i wolności narodom polskiemu i litewskiemu, będąc królem wolno obranym i będąc panem dwóch państw, tak wielkich i obszernych, dwa lata mieszkać ma w Polsce i Litwie, dla odprawowania spraw polskich i litewskich, a rok w Moskwie dla odprawowania spraw moskiewskich. A przy odjeździe swem z Polski i z Litwy do Moskwy, ma zostawić na miejscu swem syna swego, jeśli-by był lat dorosłych, przydawszy mu trzech przednich ludzi, jednego z Wielkiej, drugiego z Małej Polski, trzeciego z Litwy, którzy-by z Hospodarem przez listy i z posły jego, w koronie ustawicznie bawiącymi, porozumiewając się, sprawami kierowali.

Dalszy ciąg projektu omawia jeszcze kwestyę granic, pozostawiając je w tym stanie, w jakim wtedy były i t. d.

Takie są zarysy projektu fantastycznego zapewne, w którym znać przedewszystkiem grubą nieznanomość sąsiedniego mocarstwa, dotknięcie ręki cudzoziemca, może jednego z tych następców Possevina, marzących ciągle o zlaniu się dwóch organizmów tak różnorodnych, dwóch kościołów, dwóch cywilizacyi; znać jakby inspiracyę, nadesłaną z Rzymu. Naprowadza nas na ten domysł instrukcyja, dana hr. Ludwikowi Auguisciolo, wysłanemu do cara Fiodora Iwanowicza w r. 1594, przez papieża, Klemensa VIII, w celu skłonienia go do współdziałania w walce z Turcyą, przez wyprawienie oddziału wojsk do Mołdawii. Przy zdarzonej sposobności, Auguisciolo miał obiecać tytuł cesarski, nadawany przez papieży, zwrócić uwagę na anormalność stosunku Moskwy do patriarchy konstantynopolitańskiego, zależnego od woli sultana i otrzymującego za pieniądze najwyższą władzę duchowną. (Russ. hist. bibl. Moskwa 1884, t. VIII, str. 27—35). Oczywiście misya znowu nie przyniosła żadnych owoców. Już to wogóle Zachód ciągle mylnie robi obliczenia, nie zna Moskwy, tak jak Moskwa nie zna Zachodu. Co dziwniejsza, że podobny projekt mógł przejść w radzie senatu, gdzie zasiadali ludzie wykształceni, zahartowani w kampaniach Stefana Batorego, oraz, że go powiódł i wnosił na Kremlu Lew Sapieha. Zanim się bliżej rozjaśni znaczenie tego projektu, i wyświetlą okoliczności, w jakich był przesłany, stwierdzić trzeba,

że powyższa próba cywilizacyjnego podboju świadczy o chęci Zygmunta III stworzenia jednego wielkiego ciała politycznego, zagwarantowania sobie pomocy wobec niedalekich niebezpieczeństw od Turcyi, a zapewne także i ze strony Szwecyi, wobec wiszącej ciągle kwestyi rekuperacyi tronu, zagarniętego przez Karola Sudermańskiego. To też w styczności z poselstwem jest niewątpliwie wyprawienie w r. 1601 Krzysztofa Kochanowskiego do Konstantynopola, (Tom V Pamiętnika J. Niemcewicza), gdy szerokie plany Zygmunta III, w Moskwie, u Godunowa posłuchu nie znalazły, a tylko dotychczasowy rozejm został nadal na lat 20 przedłużonym ¹⁾). Prawdopodobnym jest atoli, że Sapieha i Warszycki dowiedzieli się już w czasie poselstwa swego o pojawieniu się pierwszego Samozwańca, albowiem już w r. 1600 głuche wieści o cudownem ocaleniu młodego Dymitra w Moskwie krążyć zaczęły. Zdawało-by się wreszcie, że, nie mogąc dotrzeć do celu, zabezpieczyć sobie tyłów, zapewnić pomocy w drodze pokojowych układów, Waza usiłuje wyzyskać obu samozwańców, aby dojść do urzeczywistnienia swoich zamiarów na tej niezwykłej drodze. Potrzeba zawarcia ugody pokojowej z Godunowem była tem bardziej nagłą, iż Stefan Batory zostawił Rzpltą bez pokojowego traktatu z carstwem, zawarł tylko chwilowy rozejm na lat 10 i ten, przedłużony w r. 1592, kończył się znowu w r. 1602.

Zadanie nie było łatwem, bo stosunki obopólne sąsiadujących z sobą mocarstw były cierpkie, zatrute oddawna ścieraniem się na granicy, wiecznymi sporami, pretensjami. Zwłaszcza starostowie pograniczni zdawali ciągle relacye o gwałtach i bójkach, płynących z nieustannego spotykania się dwóch wrogich sobie żywiołów. Borys Godunow w r. 1601 przez powracających posłów królewskich doręcza Zygmunтови III spis pretensyi i krzywd, wyrządzonych moskiewskim ludziom przez ludność pograniczną; następnie, kiedy pojechali do Wilna, dla ratyfikacyi wzmiankowanego powyżej przedłużenia rozejmu, Michajło Glebowicz Sołtykow-Morozow, Pleszczew i Atanazy Własjew, i oni również podali pp. senatorom kopię zażalenia na gwałty, jakie się działy nad granicą. Zygmunt III oddał wprawdzie pod rozstrzygnięcie sprawę tych zażaleń, ale litania rosła ciągle; Polacy znowuż tłómaczyli, że pomienione krzywdy są urojone, jak np. spór o zatrzymanie prowiantów i amunicyi w zamkach liwońskich, oddanych Polsce rozejmem w Jamie Zapolskim ²⁾), gdyż już za następcy Iwana Groźnego, cara Fiodora

¹⁾ Niektóre źródła mówią mylnie o latach. Patrz Muchanow. Podlinnyja świadetelstwa. Moskwa, 1834, str. 225.

²⁾ Prowiant i amunicya miały być przy odbieraniu zamków zwrócone Moskwie.

Iwanowicza, w czasie bytności jego posła, Atanazego Rjazanowa, potem za tegoż Godunowa, w czasie poselstwa Michała Tatiszczewa i djaka, Iwana Maksymowa, odpierane były te zarzuty, jako nieusprawiedliwione. Specyjalnie zaś co do kwestyi pogranicznych, kupieckich zażaleń, odłożono załatwienie sporów do zjazdu sędziów z obu stron (stosownie do aktu rozejmu) między Toropcem a Wielizem, tak, aby oskarżający i oskarżeni mogli stawić się przed pp. komisarzami i być skutecznie zaspokojeni. Dlatego też, zaraz po wyjeździe posłów moskiewskich z Wilna, wysłany był do wszystkich miast, miasteczek i wsi pogranicznych, goniec, celem oznajmienia wszystkim, na których wniesioną była skarga, aby się stawili przed sędziami, jeśli-by zaś kto poniósł był krzywdy, miał przed tymiż sędziami sprawiedliwości dochodzić. Skutkiem tego, ludzie z pogranicza litewskiego, według spisu, oddanego królowi, należący do sprawy, stawili się w terminie, w miejscu oznaczonym przez układ rozejmowy, przed komisarzami J. Król. Mości: kn. Jerzym Druckim-Sokolińskim, starostą uświackim, podkomorzym witebskim, i przed starostą wieliskim, Aleksandrem Gosiewskim; ale sędziowie i ludzie moskiewscy nie stawili się na termin i tem samem umówionych z Borysem warunków nie dopełnili (Sbornik kn. Oboleńskiego Nr 10, str. 83—85).

Wszystko zostało tedy po dawnemu: wiszące kwestye niezadowolone, całe pogranicze w dotychczasowej wojnie podjazdowej, ostateczne uśmierzenie odłożone do dalszego terminu.

Tymczasem położenie zaczyna się zmieniać; zdaje się, jakoby przyszła nagle chwila, kiedy Rzplta będzie mogła skorzystać z zamieszania, panującego w carstwie, doprowadzić niedoszłe plany do skutku. Borys Godunow umiera nagle, wstępuje na tron fałszywy Dymitr, przy pomocy materyjalnej swoich, a więcej przy moralnej ze strony Polaków, wprowadzony do Moskwy, jako legalny władzca i następca Iwana Groźnego.

Zygmunt III otwarcie Dymitra nie popiera, ale sekretnie mu pomaga, bo toleruje samodzielny ruch panów polskich, z zadowoleniem patrzy na ekspedycję panów koronnych i litewskich, zachowuje pozornie legalne i prawidłowe stosunki z sąsiadem, wysyła potem na ślub Dymitra z Maryną Mniszkówną posłów swoich: Mikołaja Oleśnickiego, kasztel. małogoskiego, krewnego Muiszczów, i Aleksandra Gosiewskiego ze wspianiałą świtą. Wybór tego ostatniego na posła zdaje się wskazywać ważną polityczną misję poselstwa. Jakoż, wiemy, Zygmunt miał w rękę ważne i daleko idące zobowiązania Samozwańca. Był to formalny *zajazd* szlachecki na Moskwę, do którego, według tradycyi miejscowych, Muiszech zebrał możnych koligatów swoich i przyjaciół—zajazd w wielkim stylu.

Wiemy, że zaraz po ślubie i koronacyi, w ciągu jednego dnia, całe przedsięwzięcie Łże-Dymitra, razem z jego zamordowaniem, runęło; dojrzewające już niemal plany Zygmunta poszły w niwecz, gdy Szujscy spełnili krwawy i śmiały zamach stanu; Oleśnicki i Gosiewski, jako zakładnicy, zamknięci zostali w dworcu, orszak ich częścią wycięty, częścią wzięty w niewolę, Jerzy Mniszech z Maryną uwięzieni osobno.

Od tej więc chwili—od wstąpienia na tron Wasyla Szujskiego, rozpoczyna się serya kłótni i skarg o pierwszego samozwańca.

II.

Krok Szujskiego był gwałtowny, niebezpieczny, sprzeciwiający się prawu narodów, pozornie nawet niesprawiedliwy, ale, wobec trudnego położenia, innego środka nie było, jak tylko: podstęp i gwałt. Dwa lata trwała niewola posłów. Wasyl już się potem na nic nie oglądał; kiedy Zygmunt wysłał nowych posłów (a raczej posłanników), Stan. Witowskiego i Jana Druckiego-Sokolińskiego, aby poprzedników swoich oswobodzili i upomnieli się o zrabowane Polakom bogactwa, on i tych pośpieszył zamknąć, aby zmusić Zygmunta do życzliwej neutralności, do układu, gwarantującego zupełną swobodę od Litwinów i Polaków, wobec wewnętrznych zamieszek. Dlatego też przez czas niewoli pierwszych i drugich ablegatów toczą się te spory—prowadzi się w zinnie 1608 r. proces o Samozwańca. Zamknięci są razem w dworcu poselskim, oprócz posłów, znaczniejsi z polskiego i litewskiego rycerstwa. Bojarowie Szujskiego chcą posłów, jak rzekliśmy, zmusić do podpisania korzystnej ugody, tem bardziej, że tymczasem zjawił się nowy samozwaniec, już zebrał kupy kozactwa, swywolnych Litwinów i Polaków, zagraża znowu Moskwie, i niebawem (w lecie 1608 roku) ukaże się w całej grozie, przez jaką stolica już raz przechodziła. W tym celu otoczenie Wasyla zasypuje ich oskarżeniami, wyprowadza na jaw wszystkie obciążające okoliczności, towarzyszące ukazaniu się pierwszego uzurpatora. Panowie polscy i litewscy opierają się, odbijają czynione sobie zarzuty, odpowiadają takimi samymi argumentami, jak przeciwnicy, w czym mają o tyle ułatwione zadanie, że i druga strona ma nieczyste sumienie, że niejedno można jej słusznie zarzucić, więc strzały w dyskusyi padają raz po raz, to z jednego, to znów z drugiego obozu.

Sam zatem Wasyl Szujski, ów późniejszy jeniec królewski, rozpoczyna proces inkwizycyjny zaskarżeniem całej polityki króla w ciągu ostatnich sześciu lat, na co otrzymuje zbiorową odpowiedź, czy od-

prawę zamkniętych w dworze poselskim panów. Jak widoczne jest z toku piśmiennego sporu, wysuwają się i przemawiają kolejno: Oleśnicki i Gosiewski, Witowski i Sokoliński, zwłaszcza pierwsi dwaj, świadkowie pogromu majowego, w miarę, jak który czuje się dotkniętym zrobionym mu zarzutem. Rozumie się samo przez się, że przy ocenie świeżych zajść chodzi polskim posłom przede wszystkim o obronę, apologię swego monarchy, o wypuszczenie z zamknięcia, wybrnięcie z fałszywego położenia, o zabicie słusznych po większej części zarzutów, podczas gdy druga strona gromadzi, zbiera, grupuje wszystkie obwinienia, przesadzając nieraz, jak to widocznem jest z zawziętości, z jaką zwala całą winę wypadków na króla i na Rzpltą. Toczący się w r. 1608 spór daje jednakowoż obraz karyery Dymitra I od chwili jego zjawienia się w Polsce, aż do pamiętnego dnia, kiedy został zamordowanym.

Widocznie bojarowie, inkwirujący posłów, podali im obszerny dokument, wyłuszczający wszystkie skargi na króla i na jego politykę. Świadcstwa tego wprawdzie nie posiadamy, ale za to mamy replikę, mogącą nas dostatecznie objaśnić, jakiego rodzaju były te zarzuty i jakie im towarzyszyły komentarze. Jako dowody spóczesne i, że się tak wyrazimy, z pierwszej brane ręki, posiadają głosy jednej czy drugiej strony wyjątkową wartość dla rozjaśnienia rzeczonyj epoki. I dziwna rzecz, obie strony wyrzucają sobie złamanie rozejmów: moskiewscy ciskają w oczy rozejmem, zawartym za Borysa Godunowa na lat 20, gdy tymczasem Polacy tradycyjnie nazywają adwersarzy „foedifragus hostis.“

„Wasz Wielki Hospodar (piszą pp. polscy i litewscy z więzienia) nie poprzestając na tem, iż wielu poddanych króla, którzy za panowania Dymitra, za waszemi listami opaśnemi (właściwie bezopaśnemi, t. j. glejtami bezpieczeństwa) tu do Moskwy przybyli, zostało okrutnie pomordowanych, a majątki im pobrano, i że my, posłowie, zostaliśmy zatrzymani, wbrew prawom narodów; dzisiaj, chcąc się z tego chytrze wytłómaczyć, zadaje królowi i narodowi naszemu takie rzeczy, jakoby król miał złamać przymierze (t. j. rozejm *vel* pokój), zawarte z Borysem, i być przyczyną wszystkiego złego, jakie się stało. Co wszystko obchodzi króla naszego; będąc przecie monarchą chrześciańskim, nie uciekł się do innych surowych środków, lecz poprzednio wysłał nas (t. j. Witowskiego i Sokolińskiego), aby dowieść niewinności swojej, narodu naszego, i dlatego, aby się wasz Hospodar usprawiedliwił. Hospodar wasz nie przyjął przecie dobrego dzieła, podawanego mu przez pana naszego, gdyż obrazę dodając do obrazu, nie przestajecie obwiniać i znieważać króla J. Mości, jak to wnosić można z pisma, nam podanego. Przeto, bacząc, aby niesłuszne zarzuty wasze na królu i narodzie naszym nie ciążyły, na list wasz dokładną odpowiedź w te słowa dajemy:

Rozpoczyna się serya obwinień:

„Król przyjął Dymitra (pierwszego samozwańca), rozkazał go przyjąć Wiśniowieckiemu (Adamowi) i wojewodzie sandomierskiemu (Mniszchowi), uznał go za carskiego syna, zdjął łańcuch z szyi swojej i udarował go szczerze, celem spustoszenia moskiewskiego państwa.“
 Na to odpowiedź: „dziwnem jest, iż do sprawy zajęcia tronu przez Dymitra chcecie wciągnąć króla i jemu przypisujecie to, czego sama Moskwa pragnęła. Przybył do kn. Adama Wiśniowieckiego człowiek, co się opowiedział być Dymitrem, za nim przybyło ludzi wielu, którzy go uznali. Od ks. Adama przeniósł się do kniazia Konstantego Ostrogskiego, któremu opowiedział, jak uszedł ręki Borysa. Samiście go potem uznali, wprowadziwszy do Moskwy i Hospodarem ogłosiwszy. Nasi go nie mogli przecie, jako cudzoziemca, uznać za Dymitra. Fałszywym jest zarzut, jakoby on miał przyjąć katolicką wiarę, boć wciąż przemieszkował po prawosławnych monasterach i u kniazia Wiśniowieckiego, który jest również waszej wiary. Ten ostatni, otrzymawszy pisma z Moskwy, świadczące, iż Dymitr jest prawym księciem, nie według świadectwa jednego tylko Piotrowskiego (?), jak wy utrzymujecie, wybrał się do króla (do Krakowa), wstąpiwszy po drodze do wojewody sandomierskiego. A gdy przybyli do Krakowa, przybyło tam również kilkunastu ludzi z Moskwy i posłowie od kozaków, z których jeden znał dzieckiem Dymitra, a ci go uznali. Król JMość wysłuchał ich mowy i świadectwa i zdał całą sprawę na Boga. Skazać na śmierć lub więzienie nie miał powodu, tem bardziej, iż w Krakowie nie było żadnych posłów od Borysa, nikt go nie oskarżał. Mimo to, król nie myślał wszczynać zań wojny z Borysem, honorów mu nie okazywał, na dworcu swym mieszkać nie pozwolił. Pieniędzy jemu na spustoszenie państwa moskiewskiego nie dawał, ani panowie z Rady (senatorowie), ani wojewoda sandomierski, a jeśli mu ktoś tytułem jałmużny udzielił, to tem przecież Moskwy spustoszyć nie mógł. Jeśli wy łotrów i zbiegów wszelkich, nie tylko z za granic, ale i od posłów króla JMości, przyjmujecie, obdarowujecie ¹⁾, to dlaczego nie ma król nasz udzielić jałmużny przychodniom z Moskwy?!

„Co się zaś tyczy łańcucha, powinniście znać zwyczaj, że nietylko Dymitrowi, ale nikomu król sam łańcuchów nie darowuje, bo na to są urzędnicy, a choćby mu był łańcuch dany, to czyż to jest pomoc na zdobycie carstwa?“

¹⁾ Mowa tu o zbiegach z rodzin rusko - litewskich, które się przenosiły do Moskwy (i vice - versa), oraz o przedawczykach, którzy uciekali podczas pobytu posłów, bo i to się zdarzało.

Atoli bojarowie Szujskiego zarzucali, jakoby wojewoda, Jerzy Mniszech, z wiedzą króla i panów senatorów, zaręczył córkę swoją, Marynę, z Dymitrem, skutkiem czego otrzymała w zapisie od przysłego swego męża dwa księstwa: Nowogrodzkie i Pskowskie, a wojewodzie obiecane były: Smoleńsk i Siewierszczyzna. (Były to właśnie dzielnice, których domagała się Rzplta.) Dalej: Dymitr, zasiadłszy na tronie, starał się wszystkich ludzi od greckiej wiary odciągnąć.

Na tego rodzaju zarzut odpowiadali panowie nieco wykrętnie: „Król o układach wojewody nie wiedział, nie jest bowiem w zwyczaju u monarchów mieszać się do prywatnych umów. Co się zaś tyczy Nowogrodu, Pskowa, Smoleńska i Siewierza,—nie tylko wojewoda, ale i młodzi ludzie w państwach naszych wiedzą, iż miasta te Rzeczypospolitej się przynależą i że niesprawiedliwie oderwane zostały. Układ ten wydaje nam się zatem zmyślonym.“

Zarzut trzeci: Wiśniowiecki (Adam) miał posyłać listy do różnych państw od tegoż Dymitra, jako też na Don, i pisać miał, iż go król uznał. Odpowiedź: „Wszystko to jest nieprawdopodobnem; ani król, ani Wiśniowiecki, jak o tem wyżej, Dymitra nie znali.“

Dalej: „Kazi-Girej, han tatarski, pisał do Borysa, iż król z uim się znosił, namawiając go, aby wtargnął do Moskwy.“

Zarzut prawdopodobnie nie był nieuzasadnionym, atoli posłowie odparli go, jak następuje: „list ten wydaje się nam nieprawdopodobnym, a jeśli go Kazi-Girej pisał, to zmyślił wszystko, a wy mu, jako pogani, wiary dawać nie powinniście byli. Kiedy się Dymitr zjawił, posła hańskiego nie było naówczas u króla, jakże więc może to być prawdą? Przeciwnie, pokaże się, iż Borys najmował Tatarów, aby ziemi królewskie pustoszyli. Wojska królewskie, które ich gromiły, pojmaly języka, a ten oświadczył, żeście ich najmowali. A człowiek od hana, kiedy był u króla, oznajmił, że do hana pisał Borys, ofiarując mu wielką daninę, aby nachodził na ziemie króla. Wy tedy winy Borysa królowi przypisujecie!..

„Powiadacie, że wojewoda (Mniszech) z wiedzą króla, z synem swoim, kozakami zaporoskimi i wielu ludźmi z Polski i Litwy, ruszył na gospodarstwo moskiewskie...“ Odpowiedź: „rozkazu króla i panów (senatorów) w tym przedmiocie nie było. Dymitr zamieszkał nad granicą i z Moskwą, tyranizowaną przez Borysa, znosił się, wielu waszych do niego uchodziło, wszyscy go znali i wprowadzili na tron moskiewski. Widząc to, wojewoda, a uznając sprawę jego za sprawiedliwą, połączył się z Dymitrem, wraz z wielką liczbą ludzi, pod warunkiem, iż tam mu towarzyszyć będą, gdzie go Moskwa dobrowolnie przyjmie, a jeśli-by opór stawiała, opuszczą go, jak to miało miejsce pod Nowo-

gródkiem Siewierskim. Wszystko to jednak było bez wiedzy J. Kr. Mości!“

Trzeba jednakowoż wiedzieć, że Godunow, po ukazaniu się Dymitra w Polsce, posłał do Zygmunta gońca swego z rodzonym stryjem samozwańca, Smirnowem Otrepjewem, aby zdemaskowali oszusta, przez postawienie go oko w oko z krewniakiem. Tymczasem kn. Konstanty Ostrogski zatrzymał tego gońca, Atanazego Palczykowa, chociaż przez niego sobór duchowny żądał wydania oszusta. Na to panowie odpowiadają: „przez Smirnowa posłane były dwa listy: jeden, iż grabieże i krzywdy pograniczne dzieją się w różnych stronach, drugi, iż z kupców moskiewskich większe cło pobierać zaczęto. W interesie zaś Dymitra w listach wzmianki nie było! Zresztą, Smirnowa przypysłałście, jak sami mówicie, wówczas, kiedy Dymitr był już w Ziemi Siewierskiej, a o posle do kniazia Ostrogskiego w koronie nie slyszeli.“

Jak już zmiarkować można z tego, cośmy tutaj podali, nie jest łatwą rzeczą odróżnić, co jest prawdą, a co fałszem, czy też wybiegiem, bądź to w oskarżeniu, bądź też w obronie. Położenie było bardzo zagmatwanem, obie strony mają niezupełnie czyste sumienie, zarzucają jedni, odpierają drudzy argumentami, nie ze wszystkim odpowiadającemi rzeczywistemu przebiegowi wypadków, przemawiają nieraz w złej wierze. Polscy panowie posiłkują się zręczną, ale naciąganą dyalektyką, tam, gdzie odpowiedzi, czy odprawy, dać nie mogą, bo rzeczywistość przecezy niewinności ich monarchy. Prawda, że i dyalektyka bojarów nasuwa także nieraz wątpliwości: ci sami, którzy otaczali Łże-Dymitra i uznawali go za pana, wołają teraz chórem, że był oszustem,

Blahym zaiste był zarzut tej treści: wojewoda Mniszech i jego syn, przybywszy do Siewierszczyzny (w pochodzie do Moskwy), mieli straszyć moskiewskich poddanych imieniem króla, jakoby ten przyznał Dymitra, i że za nim jest cała Polska i Litwa. Łatwo więc było odpowiedzieć: „dowodzicie temi słowy niewinności królewskiej, gdyż nie szturmem brali oni miasta, ale samym urokiem jego imienia. Radzi jesteśmy słyszeć to od was samych, iż na samo imię króla poddają się wasze miasta! Wojewoda tu nie winien. Moskwa sama prowadziła Dymitra, wojewoda sandomierski nie znał go przecie, atoli świadectwom miasta Putywła wierzyć musiał!“

Znalazła się także pretensya: bojarowie w czasie pochodu Mniszechów i ich przyjaciół, wysłali do starego Mniszcha posłów, aby kraju nie niszczył, krwi nie rozlewał, a samozwańcowi nie wierzył. On ich przecie nie słuchał. Wypadało tedy przypomnieć istotny bieg świeżych wypadków: „wojewoda z pod Siewierska, gdzie stało wojsko Borysa, po otrzymaniu listów od bojarów, gotował się do drogi. W tym-

że czasie otrzymał listy od króla, w których mu nakazywał nie popierać Dymitra i nie naruszać rozejmu. Po otrzymaniu listów, wojewoda opuścił Dymitra. (Rzeczywiście tak było — Mniszech wrócił do korony) Dymitr miał zatem pod sobą tylko zaporozców, moskiewskich ludzi, a może niewielu z Polaków, ludzi młodych. Pomimo opuszczenia go przez Polaków, Dymitr zajął Putywl, oraz innych miast wiele. Ztąd oczywiście jest, iż nie wojewoda, ale moskiewskie wojska wprowadziły Dymitra na tron.“

Albo też : Borys Godunow posłał do Zygmunta gońcem Posnika Ogarewa z zapytaniem, zali pokoju (z powodu Polaków, będących przy Dymitrze, a zwłaszcza z powodu Mniszcha), dochowuje? Król udziału w wyprawie Dymitra wyparł się, a potem popierał go jeszcze bardziej. Objasnienie: „w liście, posłanym przez Ogarewa, niema żadnej wzmianki o wojewodzie sandomierskim, Mniszchu; pisał tylko Borys o krzywdach pogranicznych, w sprawie, iż podobno Otrepjew opowiada się Dymitrem; przypominał Ad. Wiśniowieckiemu, iż Dymitr (prawdziwy) sam się zabił. (Pamiętajmy, iż to pisał Godunow, który kazał zamordować prawdziwego Dymitra). Zapierać się król nie raczył, ale w odpowiedzi, danej przez tegoż Ogarewa, napisał, iż Dymitr ruszył na Moskwę z kozakami, więc łacniej go wam samym dostać. Wkrótce po odesłaniu Posnika, wyście Dymitra sami na tronie posadzili. Jakże więc możecie oskarżać króla, kiedy nawet wojewoda Mniszech opuścił Dymitra, do Warszawy pojechał, i nie widział go, aż wtedy, kiedy później przez posła waszego wprowadzonym został?..

„Co się zaś tyczy tego, że sobór duchowny posłał z Moskwy naówczas gońca, Andrzeja Buszakowa, do biskupa wileńskiego, który Buszakowa zatrzymał i z powrotem do patriarchy nie odesłał, to naówczas Dymitr już siedział na tronie, wasz goniec go uznawał, odpowiedzi brać nie chciał, do granicy zaś bez zatrzymania odprowadzonym został.“

Nieznany jest bliżej szczegół, przytoczony w oskarżeniu: Dymitr chciał uciekać do Polski z Putywła, ale miał przyobiecana listownie pomoc od Wiśniowieckich i wojewody Mniszcha, łącznie z wiadomością, że z rozkazu króla ciągną na pomoc chorągwie. Licząc na nie, został w Putywlu, a z pogranicznych zamków pisano, iż król stoi za Dymitrem, poczem Michał Ratomski z wojskiem do Putywła przybył. Na to odpisali panowie Oleśnicki i Gosiewski: „Sami świadczycie, że wojewoda obiecywał być, ale nie był. Czemużeście wtedy Dymitra w Putywlu nie dostali? Z zamków ukraińskich do moskiewskich nikt nie pisał? Z Putywła posłał Dymitr posła swego, Tatjewę Starodubskiego, do króla, oznajmując mu rychłe zajęcie Moskwy i prosząc, aby stawiono jego posła oko w oko z Posnikiem Ogarewem. Chociaż go-

dziło się przyjąć posła od człowieka, który księstwo siewierskie dzierżył, jednakowoż poseł do króla dopuszczonym nie był, zanim Moskwa hospodarem swoim Dymitra nie uznała. Był przecie podówczas jeszcze u króla drugi poseł od kniaziów, bojarów, zamków i miast, Szulesz Bułhakow, z pismem, w którym uznawali Dymitra. Ratomski, odjechawszy od Dymitra, długi czas nie mógł mu ruszyć na pomoc, a to dla zakazu królewskiego; później dopiero, kiedy się Moskwa Dymitrowi poddała, przybył tu za waszym giejtem, gdyż skarżył się na niego Dymitr, że się działa od niego krzywda jego ludziom. Ratomski wniósł skargę przed króla i król rozkazał, aby ta sprawa przez posłów z obu stron zbadaną została. Ratomski należał do posłów, wyście go przecie z dostatków obrali i w głąb Moskwy zesłali!..“

Imć p. Michał Ratomski był jednym z tych, prawie niezależnych, starostów pogranicznych nadnieprzańskich, którzy w imprezie pierwszego i drugiego samozwańca ważną rolę odegrali, albowiem cały ten ruch zaczepny, którym kierował Jerzy Mniszech, znalazł wielką podporę w starostach pogranicznych, żyjących w ciągłej wojnie podjazdowej z sąsiadami z za granicy, i w kozactwie, którego pilnowali. Starostwo osterskie (Oster za Dnieprem) Ratomskiego nie było zresztą wielkiem. Do liczby tych starostów należał także Mikołaj Struś, starosta lubbecki, znany zwłaszcza z roli, jaką za Samozwańca II i później odegrał. Ratomski pochwyconym był, po rzezi z powodu pierwszego samozwańca, razem z Mniszechami i wywiezionym w głąb Moskwy. Dalsze jego losy nie są nam znane; nie wiemy, czy wrócił razem z nimi, skoro się drugi oszust pokazał.

Nie dość tego: bojarowie zarzucali jeszcze, że za wiedzą i wolą króla, po śmierci Godunowa, wojsko pod Nowogródkiem Siewierskim zbuntowało się, związawszy wojewodów swoich, odesłało ich do Putywła, a samozwaniec zabijał ich, lub na odległe zamki odsyłał. Odpowiedź: „Polaków natenczas w moskiewskim państwie nie było, samiście wszystko zrobili! Nie na pogrzeb Borysa odjechała część bojarów z pod Siewierska, ale aby żonę Borysa i Fiodora zgładzić, a Dymitrowi drogę (do Moskwy) oczyścić. Do Putywła nie przywożono nikogo związanego; najpierwi zaś, jak to od waszych ludzi wiemy, pośpieszyli do Dymitra (powitać go): kniaź Iwan Golicyn, potem Michajło Sołtykow-Morozow i Piotr Basmanow, następnie kn. Wasyl Golicyn, Szeremetiew i inni. Jednego tylko Iwana Godunowa, jako zdrajcę, wydali, ale ani z obozu, ani z zamków nikogo związanego nie przysyłano.“

Niełatwo zato zrozumieć, z jakiego powodu otoczenie Wasyla wystąpiło z następującem, niby to obciążającem, wspomnieniem: Kiedy samozwaniec zbliżył się do Moskwy, pospólstwo zamieszanie uczyniło,

pojmwawszy bojarów i przedniejszych ludzi. Łatwo było odpowiedzieć: „Kniaziowie i bojarowie, co przeszli na jego stronę, przeprowadzili Dymitra z Putywła do Tuły, dokąd przybyli na jego spotkanie: Kniaziowie Szujscy, Mścislawski, Worotyński, i tam wraz z wszystkiem wojskiem za pana swego go uznali, a było tego wojska więcej, niż na sto tysięcy. Jakże więc może być prawdą, że pospólstwo bojarów wydawało, kiedy oni sami Dymitra prowadzili, bramy miasta odemknęli, z chlebem i solą spotykali?!”

Następnie: Dymitr wymordował wielu bojarów, bojąc się, aby przez nich poznanym nie został.

Tutaj widocznie była wzmianka o złożeniu z urzędu patryarchy z porady polskiego otoczenia, bo posłowie odpowiadają:

„Patryarchę złożyliście z godności sami, razem z swym Hospodarem, a innego na jego miejscu posadziliście. Dlaczegoście tak postąpili—nie wiemy, trzeba było nie pozwolić Dymitrowi koronować się, a stanąć po stronie patryarchy. Dymitr przecież nie kwapił się z koronacją, oczekując przybycia matki (domniemaney), po którą wysłał Skopina Szujskiego. Kniahini Marya (jako mniszka: Marfa), przybwszy do Moskwy, uznała go za syna, wy przyjęliście go sami za prawego Hospodara, a król i nasz naród do tego się nie mieszał.“

Przybywa zarzut ważny:

Zasiadłszy na tronie, Dymitr otoczył się Polakami i z królem znosił się dla zniszczenia wiary greckiej, a bojarowie do czasu cierpieli, bojąc się śnierci. A wszystko to działo się ze strony króla JMości Pana waszego.

Odpowiadają więc oskarżeni: „Dymitr wam zaufał i wami się otaczał, Polaków było przy nim kilkuset, wszyscy mieścili się w jednym domu, tam gdzie my teraz stoimy; ci nawet prosili Hospodara, aby ich do Polski odesłał, a gdyby byli odjechali, przy carze zostało-by było stokilkadziesiąt człeka. Więcej nierównie ich było, kiedyśmy posłowie tu przybyli z wojewodą sandomierskim, a wyście przecie wówczas właśnie śpiących ludzi J. król. Mości nocą pomordowali! Gdy Dymitr przyjmował poselstwa od króla i hana, nie Polacy, ale kn. Mścislawscy, bojarowie, kn. Nagije ¹⁾ (Nagoj) otaczali go, a chociaż przez Polaków słał Dymitr listy do króla, to jest to zwyczajna rzecz. Król przez Niemców i Hiszpanów pisuje do niemieckiego cesarza. Powiadacie, iż Buczyńskich (Polaków) do króla posyłał, tymczasem jeden z nich, opuściwszy Moskwę, już więcej nie powrócił,

¹⁾ Kn. Nagijo, t. j. rodzina wdowy po Iwanie Groźnym, z której zrodzonym był prawdziwy Dymitr.

a drugi znów nie ruszał się z Moskwy, obadwaj zaś przybyli do waszego Hospodara już po zajęciu przezeń Moskwy.“

Najcięższym chyba był zarzut, że Dymitr, Samozwaniec I, za wolą króla, Zygmunta I, chciał wszystkich metropolitów, archierejów, wyciąć, a na miejscu cerkwi rzymskie kościoły postawić. Otóż więźniowie bronili konsekwentnie swego monarchy od takowego podejrzenia:

„Krzywdzicie temi słowy pana naszego, który nietylko w obcym państwie, ale i w swoim własnym, obrządek grecki szanuje, jałmużnami pomnaża. Moglibyśmy wam dowieść, iż metropolici i archiereje wasi u nas są w większem poszanowaniu, aniżeli u was! król się w sprawy duchowne nie miesza, każdy na swoim stanowisku do śmierci zostaje. U was nawet patriarchy nie ma takiego poszanowania. I tak np. Jow strącony został za Borysa, a na jego miejscu posadzono Fiodora Nikiticza (Filareta), który był posyłany do Uglicza po ciało Dymitra, jak to mówił Michał Tatischezew wobec wszystkich bojarów. A po paru tygodniach Fiodor strąconym został, zaś na jego miejsce wyniesiony Hermogen na patriarchy moskiewskiego. Dziś więc w Moskwie czterech żyjących patriarchy macie, co się nie dzieje pod naszym królem, z powodu poszanowania religii naszej.

„Co zaś do tego, że papież pisał sam i przez legatów do Dymitra o rozerwanie wiary russkiej: listów takich nie pokażecie! wiadomo, że obrazobórcy do papieża uchodzili, on ich przyjmował po ojcowsku, dziś też wiele wschodnich kościołów jest w jego państwie, we Włoszech, on je osłania i nic w nich nie zmienia. Jakże więc miał godzić na wiarę grecką? Zresztą, my tu jesteśmy od króla wysłani, jeśli się więc jaka obraza stała od papieża, to się z nim zsyłajcie...“

Jak widzimy, дума bojarska, nie bez racyi, solidaryzuje Zygmunta III z papieżem, a królowi jeszcze więcej ma do przypomnienia:

Złodziej, Atanazy Własjew, jeździł potajemnie do króla z listami Dymitra, gdy ten z Polakami już do władzy przyszedł. Na zrękowinach jego z córką Muiszela, Maryną, król był obecnym z panami senatorami i siostrą swoją. Łatwo było odpowiedzieć znowu: „poselstwo Własjewa tajemnem nie było, a on nie jest złodziejem, jak go zowiecie, bo posłował już raz do króla z Pleszczejewem i do cesarza chrześcijańskiego. Polacy za Dymitra u władzy nie byli, a że miał pojąć córkę wojewody, o tem wiedzieliście wszyscy. Były do wojewody listy od Dymitra, od patriarchy, duchowieństwa i bojarów. Król wojewodzie nie rozkazywał oddawać córkę, a do niego waszego posła wysłał, a że król był obecnym przy zrękowinach, wyświadczył wam tem uczciwość.“

Była w tej całej sprawie fałszywego pretendenta do tronu carskiego okoliczność, może najdrażliwsza, o której już było wzmianko-

wanem wyżej, t. j. wielkie prawdopodobieństwo zamachu stanu w Moskwie na korzyść latynizmu i zbliżenia do Polski. Cały ten orszak, zebrany w Polsce, powiększony orszakiem poselskim, różnymi ochotnikami, miał być w tej okazji pomocnym: Nie przepomniął tego naturalnie Szujski:

— Wy, posłowie królewscy, przybyliście zbrojno do Moskwy i nie poselskim obyczajem—z Dymitrem układaliście się tajemnie.—Odpowiada więc Mikołaj Oleśnicki: „jest dawnym zwyczajem, że posłowie od króla do cara i odwrotnie z wielkim orszakiem chodzili. Przy jednym Atanazym (Własjewie) było tyle ludzi, ile przy nas wszystkich razem. Kopii, ani zbroi, z sobą nie mieliśmy, co mogą zaświadczyć ci, którzy nas do Moskwy przeprowadzali, t. j. książę Iwan Kurakin, kn. Wasyl Żwenigrodzki, kn. Wołkoński. Poselstwo sprawowaliśmy według zwyczaju, w pałacie większej, jawnie, w obecności kn. Fiod. Mściśławskiego i bojarów. A chociaż ja, Oleśnicki, byłem u żony Dymitra i Dymitr przyszedł tam prywatnie, to z tego nie powinniśmy się sprawać. Bywało zresztą od dawna, że posłowie po jednym (sam na sam) bywają u Hospodarów, do których posłują. A że jestem krewnym wojewody, to przecie inna jest poselska sprawa...”

Ponieważ bojarowie całą winę tego, co zaszło, składali na Wazę, przeto odpowiedziano im jeszcze: Boga Wszechmogącego ręka to sprawiła!

Między innemi, podchwycono w Moskwie wyrażenie Aleksandra Gosiewskiego (podczas uroczystości ślubnych), że Dymitr uczynił się carem przy pomocy J. Kr. Mości, z czem zresztą mieli pp. senatorowie wywnętrzać się niejakiemu Afanasjewowi (?). Odparł więc Gosiewski: „gdym ja, Gosiewski, do Moskwy jechał, dworzanie moskiewscy wyjeżdżali na moje spotkanie, dziękując i wysławiając króla za to, że Hospodar ich przyrodzony nie poniósł u niego żadnego szwanku. Powiedziało się wówczas, iż Hospodar znał wdzięczność dla króla. Należało było zapytać mnie: za co? a byłbym odpowiedział: za to, że mu krzywdy żadnej nie uczyniono, ani chleba, ani soli nie wzbroniono w państwie J. Kr. Mości. Zaś Afanasiejew, posłując, żądał, aby Dymitra cesarzem, carem i samodzierczą tytułowano, na co mu odpowiedzianem było, iż przodkom Dymitra tytułów tych nigdy nie przyznawano. Dalej: gdyby był zawarł Dymitr z królem ugodę jaką, toby hramota dogoworna (akt umowy) w waszej kancelaryi była, tymczasem pokazać jej nie możecie, zarówno jak i innych naszych listów i zapisków, których przecie też pokazać nie możecie. Zresztą, gdyby król chciał wprowadzić na tron Dymitra, weszli-by do Moskwy hetmani z wojskiem, a nie z jednego kąta Ukrainy garść ludzi.

Przemawiają dalej: Witowski i Sokoliński.

„A teraz król mścił-by się krzywdy Dymitra, ale król posłał nas, aby się tylko upomnieć o niewinne pomordowanie ludzi jego, o zatrzymanie tych, co żywi zostali, o zrabowanie kosztowności i rzeczy, (tych Polaków, co wtedy, t. j. na wiosnę 1606 r., byli w Moskwie), co wszystko niewinność J. Kr. Mości, a waszą nieprawdę, przed całym światem ukazuje.

„Pisaliście bojarowie: królowi nie godziło się naruszać przymierza z Borysem—tymczasem król Dymitrowi nie pomagał.

„Mówicie, jakoby wojewoda Mniszech zeznał, iż Dymitr czynił wszystko według rozkazu króla. Jest to nieprawdopodobnem, aby senator, dobrze świadomy postępów królewskich, miał to mówić, a jeśliście wymusili na nim dziś, trzymając go w więzieniu, to zeznanie, to czyż ono ma wartość?!

„Albo też powiadacie: wojewoda przybył dla spustoszenia wiary ruskiej z kopiami, w zbrojach, aby pobić waszych duchownych! Odpowiadamy na to: wojewoda przybył na wesele, nie na wojnę, z żonami, pannami i dziećmi. Być może, starał się, aby jego córka pozostała w naszej katolickiej wierze. Uzbrojonych zaś w kopie było stokilkadziesiąt osób, dla igrzysk i gonitw. Strzelców miał przy sobie stukilkudziesięciu dla osłony wozów. Tymi-to ludźmi miał wasze państwo pustoszyć?.. Przyjechali tu także p. Tarło i inni, którzy po weselu do domu powrócili. A kiedy wojewoda dla spustoszenia państwa jechał, dla czego nie wyszło naprzeciw niemu wasze wojsko, ale tylko kniazie Nagije?..“

Obok ważniejszych pretensyi były naturalnie i błahe, lub też nieuzasadnione, jak np.:

— Wojewoda Mniszech i ludzie jego, przybywszy do Moskwy, urągali obrazom, cerkwiom, karczmy w cerkwiach urządzali, ludziom moskiewskim gwałty zadawali, żony od mężów i córki od ojców brali i za to ich pobito! Nie było więc innej odpowiedzi, jak tylko: „obrazy, cerkwie i krzyże w poszanowaniu u nas są, nie stało im się zatem urąganie od naszego narodu. By lutrowie z naszego narodu do waszych cerkwi z orężem chodzili, o tem nie wiemy, wiemy natomiast, że tu u was wielu jest lutrów. Jeśli do cerkwi waszych chodzili, wolno wam było ich karać; jeśli ludzie nasi do kościoła z orężem wchodzili, tedy stało się to według zwyczaju innych chrześcijańskich państw. Za to nie można jeszcze było ich zabijać, że zwyczajów waszych nie znali. Krzywd, ani gwałtów od ludzi króla naród nie doznawał, bo ludzie wszystko byli stateczni, jeśli zaś od kogo z młodych i podłych krzywdą się stała, trzeba było nań sprawiedliwości szukać, a gardłem wydałibyśmy każdego winnego. Ale nic podobnego nie było, gdy Dymitra

zabito, nikt z naszego narodu za nim nie stał: wszyscy po gospodach stali.

„Powiadacie: „na poselskim dworze (podczas zamordowania samozwańca), nikogo nie zabito, szkody nijakiej nie uczyniono i Hospodar wasz od śmierci nas bronił. Prawda jest, iż na poselskim dworze nikogo nie zabito, ale dnia tego wyszło na targ kilkunastu poselskich ludzi, o niczem nie wiedzących. Z tych szczęście zabito, innych obdarto i na dwór nasz przyprowadzono.

„Napisałiscie, żeście ludziom króla swobodnie odjechać pozwolili... Prawda to, pozwoliliście niektórym wrócić, aleście ich obdarli i zelżyli.

Zarzucacie, iż posłowie zamieszkali (t. j. zadługo siedzieli) w Moskwie! Posłowie i przyjechać i odjechać—wszędzie wolna droga. Po ruchach, chcieliśmy odjeżdżać, ale bojarowie powiedzieli, iż uradzili z Hospodarem (Szujskim), abyśmy pozostali w Moskwie, zanim powrócą jego posłannicy. Gdy wysłannicy wasi przed królem Zygmuntem stanęli, tam im najpierwej mówiono, że nas wasz Hospodar niesłusznie gwałtem zatrzymał, na co oni odrzekli, iż posłowie żyją w Moskwie, gdzie im cześć należna jest oddawaną. Gdy wysłannicy wrócili, myśmy znowu domagali się, aby nam wrócić pozwolono, a wyście znowu zmyślili, iż czekać mamy do przyjazdu wysłanników króla (Witowskiego i Sokolińskiego). Trzymano nas niby więźniów. Już dwa lata blisko siedzimy zamknięci w dworcu (poselskim), mając szmat nieba nad sobą i szmat ziemi pod sobą. Wielu nam ludzi przemaniono na waszą stronę, ci zdradzili nas i okradłszy—uciekli, za co ich w imieniu cara przyjęto i obdarowano. I tę więc winę niesłusznie na króla składacie...“

Nie dość na tem, Wasyl Szujski zarzucał M. Oleśnickiemu i A. Gosiowskiemu: król pożyczył Dymitrowi na wyprawę do Moskwy 600,000 rubli, które mu tenże w złocie, srebrze i klejnotach odesłał. Wojewodzie sandomierskiemu i córce jego podarował również do 500 tysięcy rubli, a Polakom i Litwinom, co z nim byli, 400 tysięcy rubli!

Tak znaczne na owe czasy sumy i hojne niemi szafowanie słuszne wzbudzić mogą podejrzenie, że oskarżenie w znacznej części mija się z prawdą, zawiera wiele przesady. Rzeczywiście więźniowie starają się sprowadzić zarzut do właściwych, nierównie skromniejszych rozmiarów, wyjaśniając zarazem prawdziwy stan rzeczy, zdaniem naszym, w sposób wiarogodny. „Żadnych pieniędzy (powiadają oni) Dymitr z Moskwy do króla nie posyłał, prócz podarku dla królowej, wartości może tysiąca rubli, o którym wspominać nawet nie warto, za który to dar obdarowanym został w czwórnasób. Podarunki te są w waszym skarbie. (Mowa tu zapewne o podarunkach, przywiezionych przez Oleśnickiego z powodu ślubu Maryny). Wojewodzie też tyle darowanem nie

było; co od cara otrzymał, to mu odebrano podczas pamiętnego rozruchu (w maju 1606 r.), przyczem jeszcze z córką i przyjaciółmi większą sumę, niż tę, o której piszecie, przywiezioną tutaj, podczas tych rozruchów—postradał! A skądże to u was były skarby takie, skoro powiadał Michał Tatiszczew, iż po śmierci Borysa zostało w skarbie do 200 tysięcy rubli, które samozwaniec roztrwonił? Jakże więc mógł rozdać więcej, niż w skarbie było?.. Umyślnieście tak wielką sumę podali, gdyż wiecie, jakieście majątkości u braci naszych pobrali, o które się król upomina, chcecie się więc dziś usprawiedliwić, iż niby-to wielkie braki w skarbie swoim macie. Tem się przecie nie wykrećicie, coście zabrali, powinniście wrócić.“

Mowa tu dalej o zrabowaniu kupców, gdyż każde poselstwo (a jak wtedy także Muiszczowskie) prowadziło za sobą mniejszą lub większą ilość kupców, korzystających z przywileju poselskiego, aby bez cła wprowadzić towary.

„Napisaliście jeszcze, iż kupców J. Kr. Mości, jak również i cesarskich, nie było u was i niema. Sami wiecie, iż tak nie jest, naprzód bowiem przybył tu p. Niemojewski¹⁾ i przywiózł na sprzedaż klejnotów za kilkadziesiąt tysięcy. Dymitr klejnoty do siebie przynieść rozkazał, właśnie w piątek przed swoją śmiercią. Klejnoty w skarbie po dziś dzień zostały, a Niemojewski do dziś dnia niesłusznie jest zatrzymanym. Następnie: pan Mikołaj Wolski, marszałek wielki koronny, posłał przez kupca Ambrożego Celarego, Medyolańczyka, obicia (gobeliny) i porządki, które od Dymitra listownie targowano. Dymitr sprzęty do skarbu zabrał, a Celaremu nie zapłacono, zaś podczas rozruchów zamordowano go z ludźmi jego, zrabowawszy klejnoty i pieniądze, jakie miał. Podobnie Maciej Wojna posłał był niektóre sprzęty, za które mu nie zapłacili. Kupcy królewscy, Mikołaj Siemiradzki, ze Lwowa jubiler królewski, i Szymon Menczuk, zaledwie z życiem umknęli! Andrzej Nathan z Augsburga i faktorowie innego kupca Oltona (Althana) przybyli na wezwanie Dymitra, za ochronnemi listami smoleńskiego wojewody, kn. Kurakina, przywieźli wiele towarów i klejnotów, które od nich pobrano bez zapłacenia, a niektórych pozabijano. Niektórzy tylko ze zdrowiem uszli na dwór poselski... Dziś zapomnieliście słów, powiedzianych przez posła waszego, kn. Wołkońskiego: „jeśli kto z kupców zginął podczas rozruchów, to towary jego i rzeczy zginąć nie mogły, a kiedy król napisze o to do Hospodara, wszystko się znajdzie i zwróconem będzie.“ Dziś wymawiacie się, iż oni sprawę mieli z tym, który na tronie siedział. My przecie powtarzamy wam:

1) Stanisław Niemojewski, podstoli koronny.

wszystko, co od ludzi naszych pobrane zostało, winno być zwróconem i zapłaconem!..“

W poczuciu opieki, jaką mieli przy poselstwie, i z namów, Nathan, Manlich i J. Pajerle powieźli do Moskwy na sprzedaż wiele drogich towarów, albowiem nietylko Andrzej Nathan, ale i Berygard Manlich i Jan Jerzy Pajerle, byli wszyscy z Augsburga. Pajerle opowiada, że namówił ich do tej wyprawy powiernik Samozwańca, Jan Buczyński, obiecując im złote góry. Prowadził ich do Moskwy Sebastian Löffel i jego sługa, Jakób de Vi, mieszczanie krakowscy. Podczas rzezi bronili się z początku w swoim dworze kupieckim, potem uciekli do dworu polskich posłów. Pajerle malowniczo kreśli wspomnienia swoje z tego straszego dnia (Skazanja Sowremiennikow, Cz. II, Petersb, 1832). Zginęło wtedy około 600 ludzi polskich, a między nimi i p. Dworzycki, reszta obdartą była do koszuli.

Mikołaj Siemiradzki ze Lwowa był znanym jubilerem i zarazem handlarzem brylantów i innych drogich kamieni, mistrzem w ich oprawianiu. Bartłomiej Zimorowicz powiada o nim, że Turcyę z Moskwą dla wyszukania pereł objechał. Widać nie uzyskał zadosyć uczynienia, nie miał wynagrodzonych krzywd, poniesionych w owym dniu krwawym, bo w testamencie swoim, wspominając o wierzytelnościach, powiada: w Moskwie, dług w skarbie moskiewskim, za dobro moje, którem na potrzebę skarbową powierzył, o którym dobrze i długu moim wie J. Król. Mość i królewicz J. M. i obietnica jest moskiewska: florenów 356,000 ¹⁾).

Razem z powyższem łączył się zarzut: kupcy polscy mieli walczyć w obronie Dymitra.

Odpowiedź: Nieprawdą jest, bo nietylko oni, ale nikt z królewskich Dymitra nie bronił!

Co więcej, nagabnięci posłowie przypominali podobne wypadki, zastarzałe a niezłatwione pretensye tego rodzaju z dawniejszych czasów, sięgające panowania Iwana Groźnego, niewątpliwie wnoszone już kilkakrotnie podczas układów dyplomatycznych. „Odpowiedzieliście posłowi J. Kr. Mości, panu Sapieże (i Warszycykiemu w r. 1601), który żądał zapłaty za towary, pobrane do moskiewskiego skarbu od kupców naszych za Iwana, Fiodora i Borysa, że to wszystko stare dzieje i ludzi nie masz już tych, za których to się działo. Lubo wiemy, iż taką odpowiedź dano panom posłom, przecież dziś upominamy się, aby kupcom zapłacono za wszystko.“

¹⁾ Wład. Łoziński: Lwów starożytny, Lwów, 1389, str. 66.

„Napisaliście jeszcze (piszą dalej), iż tymże posłom (t. j. Lwu Sapieże i St. Warszycykiem) doręczonym był spis krzywd, przez naród moskiewski poniesionych. Następnie poseł Borysa, Michajło Sołtykow (w r. 1601, kiedy jeździł do Polski dla potwierdzenia rozejmu na lat 20 zawartego), doręczył spis krzywd owych, nakoniec i Posnik Ogarew spis ich senatorom doręczył. Odpowiedź: „posłom tym dowiedziono, iż ich pretensye są niesłuszne, o czem odpowiedziano za Borysa przez posła carskiego, Atanazego Rezanowa, a następnie przez posłannika Borysowego, Michała Tatiszczewa. Rozstrzygnięcie zaś innych skarg granicznych i kupieckich odłożono do wyjazdu sędziów z obu stron, którzy między Toropcem i Wielizem swary wszelkie rozsądzać mieli. Jakoż wnet wysłano królewskiego gońca, Jurja Goleniszewa, do wszystkich, od kogo krzywda wam się dziać miała, aby się stawili na sądy. Oskarżeni z naszej strony stawili się na czas oznaczony przed sędziów J. król. Mości, kn. Jerzego Druckiego-Sokolińskiego i przede mnie, Aleksandra Gosiewskiego. Ale sędziowie i ludzie z waszej strony na miejsce oznaczone nie przybyli, z powodu czego rozstrzygnięcie spraw do skutku przyjść nie mogło.”

To, co dalej następuje, obchodzi bliżej Witowskiego i Sokolińskiego.

„Zażądaliście, abyśmy wam okazali, jaki rozkaz króla mamy względem pana wojewody? Rozkaz ten jest: wojewoda Mniszech przybył tu swobodnie, przeprowadzony przez waszego posła, jako gość, nie jako wróg—zatem winien być wypuszczonym na wolność i odprowadzonym do granicy!”

Tak tłumaczyli się, usprawiedliwiali zamknięci w dworcu posłowie, chcąc się wycofać z przykrego położenia; próbowali nawet dowieść, iż Moskwa sama przeciwko nim zawiniła i rozejm, przez Borysa Godunowa zatwierdzony, naruszyła, boć o to także chodziło i to była niejako zasadnicza myśl całej kłótni. Dlatego pp. posłowie (A. Gosiewski) rozwijają dalej tę myśl. „W hramotach pokojowych (z r. 1601) napisanem było, iż gwałtownie nie mogą być zajmowane z obu stron ziemie i lasy, a wszelkie spory przez sędziów (granicznych) z obu stron mają być załatwiane. Najpierw mieli się zjechać sędziowie w r. 1602, pierwszego maja, pomiędzy Ostrem a Czernihowem; gdyby wówczas spory załagodzonemi nie były, postanowić drugi zjazd sędziów, a wojny nie wszczynać. Król, Hospodar nasz, przymierza wiernie dochowywał. Sędziowie, jak wam wiadomo, wysłani byli między Oster i Czernihow, oraz Wieliz i Toropiec—lecz wasi nie stawili się na miejsce. Natomiast Hospodar moskiewski, Borys, wysłał wojewodów swoich z Czernihowa i Putywła z wojskiem, które zburzyło miasto kniaziów Wiśniowieckich, Przylukę, pomordowało wielu ludzi obojej płci, pojmało

resztę w niewolę. Potem wojsko moskiewskie wtargnęło od Wielkich Łuk w ziemie J. Kr. Mości i dążyło do Wieliza, aby to samo z nim uczynić, co z Przyłuką. Pod Zajmiszczowem Uroczyszczem zastąpili im drogę królewscy, napominając, aby nie łamali pokoju (przymierza). Oni pomordowali ich, zabili pana Gawryłę Hutora, pisarza wieliskiego, aż ich ludzie królewscy siłą odparli i dalszych rozbojów nie dopuścili. Więc z winy Borysa lała się krew chrześcijańska! W innych miejscach, mianowicie ziemie Lwa Sapiehy, kanclerza W. ks. litewskiego, należące do majątności Jkaźni i Oświeju, Moskwa zabrała. Zabrano także Korsakowi wieś Popowice, Horki i Bołotowo, także Reuttom i innym ze szlachty. Za Borysa również Moskwa zajęła i zamordowała pana Aleksandra Kamińskiego. Więc Borys, choć zaprzysiągł, wciąż krew przelewał, o co go pp. senatorowie upominali przez wysłannika swego, Jerzego Michajłowa, przeciw sprawiedliwość nie była wymierzona. O to samo jeździł do Borysa goniec J. kr. Mości, Zabłocki, i nic nie wskórał, natomiast Godunow kazał pojmać kupca, Dymitra Macedończyka z Zamościa, a umęczony go, zesłał daleko, zabrawszy mu towary, 100 tysięcy złotych warte, na swój skarb. Innych zaś kupców do państwa swego Borys nie wpuszczał, ¹⁾ a kogo wpuszczono, tego więziono w Smoleńsku, majątki zabierano. I w innych sprawach Borys pokój naruszał. Napisaniem było także w hramocie pokojowej: kogokolwiek przyśle Zygmunta w poselstwie, posłowie jego przyjadą i odjadą bez obrazy i przetrzymani nie będą. Tymczasem nas, posłów J. Kr. Mości, zatrzymano, a ludzi pomordowano i obrażono, jak wyżej było napisaniem. Posłowie prowadzeni byli do Moskwy przez waszego posłannika. Kłamaliście przed ludźmi królewskimi przyjaźni i zgodę, aż, ułakomiwszy się na ich klejnoty i skarby, zrabowaliście ich i pomordowali. Prócz tego, zatrzymaliście nas, co się u pogan nawet nie dzieje, gdzie posłom poszanowanie okazują.

„Na tem nie kończą się obrazy wasze. Obwiniacie króla o popieranie Dymitra, niesłusznie i niesprawiedliwie, jakeśmy to wam dowiedli...

„Jednak, chociaż naruszyliście pokój i przysięgę, na krzyż Pański złożoną, przecież, jako król Stefan, który nie zaraz krzywd swoich mieczem dochodził, ale pierwej posłów wysłał, tak i dziś król nasz wysłał posłanników do waszego Hospodara, aby krzywdy wynagrodził i posłów do kraju powrócił. Hospodar przeciw wasz jego żądaniom zadosyć nie uczynił, gdyż już blisko dwa lata cierpią w więzieniu posłowie, a pół roku wysłannicy. Dziś tedy, dawszy wam odpowiedź na wa-

¹⁾ Prawdopodobnie obawiając się ich jako szpiegów.

sze zarzuty, wyłożywszy nasze pretensye, więcej się z wami nie chcemy, ale żądamy, abyście wy, poznawszy niewinność króla i pana naszego, Hospodara swego nakłonili, aby pozwolił nam, wojewodzie sandomierskiemu z córką i wszelkim ludzom J. Kr. Mości z majątkami swemi do kraju powrócić i przeprowadzić ich bezpiecznie do granic. Gdy zaś krzywdy J. Kr. Mości ułagodzone będą, tedy o innych sprawach mówić będziemy.“

Jednocześnie, uprzedzając zamiary przeciwników, dodają jeszcze: „to jeszcze powinniście wiedzieć, że przemocą nic nie wskóracie, choćbyście nas tu najdłużej przetrzymywali!..“

(Dokończenie nastąpi.)

A. DAROWSKI.

RODZINA POŁANIECKICH. ¹⁾

VII.

Dla Połanieckiego rozpoczął się teraz czas przedślubnych zabiegów i przygotowań. Mieszkanie miał wprawdzie gotowe przeszło od roku, to jest jeszcze zanim Marynię poznał. W swoim czasie, gdy Bukacki wyśmiewał się z tego mieszkania, widząc w niem dowód, do jakiego stopnia Połaniecki pała chęcią żenienia się, Połaniecki nie zaprzeczał:

— Tak jest — mówił. — Mam tyle, że mogę sobie na to pozwolić, a tymczasem wydaje mi się, że już zaczynam coś w tym celu robić i że moje zamiary stają się czemś rzeczywistem.

Bukacki nazywał to przezornością godną pochwały, przyczem wyrażał zdziwienie, że człowiek, tak przewidujący przyszłość, nie zamawia odrazu akuszerki i niańki. Czasem tego rodzaju rozmowy kończyły się kłótnią, Połaniecki bowiem nie znosił, gdy mu ktoś odmawiał trzeźwego na świat poglądu, Bukacki zaś utrzymywał, że to jest ptasi, godny trznadla romantyzm, poczynając od budowy poetycznego gniazdu. Jeden twierdził, że nie może być nic rozsądniejszego, jak przygotowywać klatkę, chcąc mieć ptaka, drugi odpowiadał, że gdy ptak

¹⁾ Patrz zeszyt lutowy „Biblioteki.“

jeszcze nieupatrzonej i połów niepewny, klatka jest oszukiwaniem własnego apetytu. Kończyło się alluzyjami do cienkich nóg Bukackiego, uniemożliwiających pogon za wszelkiego rodzaju ptakami, choćby bez skrzydeł. Bukacki wpadał wówczas w wyśmienity humor.

Teraz jednak, gdy klatka była gotowa i ptak nie tylko złowiony, ale chętny, pozostawało jeszcze tyle do roboty, że Połanieckiego ogarniało nieraz zdziwienie, że akt, tak z natury prosty, jak żenienie się, stał się w ucywilizowanych społeczeństwach tak złożonym. Zdawało mu się, że jeśli nikomu nie przysługuje prawo wglądać w moralną stronę związku, ponieważ jest on wypływem czystej wolnej woli — formalna strona winna być również mniej dozorowana.

Ale myślał tak naprzód dlatego, że nie był prawodawcą, powtóre, że był człowiekiem prędkim, którego niecierpliwiła konieczność wyszukiwania „papierów“, a po trzecie, że, raz postanowiwszy się żenić, przestał się stanowczo namyślać, analizować — i dążył do tego, jak człowiek czynu. — Napędzało go to nawet nieraz dumą, gdy się porównywał z takim naprzykład Płoszowskim, którego historia, zanim zaczęła być znaną z jego własnego pamiętnika, krążyła już z ust do ust między ludźmi: „Jednakże ja jestem z innego metalu“ — myślał z pewnem zadowoleniem Połaniecki. — Chwilami znów, gdy sobie przypominał postać Płoszowskiego, jego szlachetny i delikatny, a zarazem silnie zarysowany profil, jego wykształcenie, subtelność i giętkość umysłową, jego niesłychany dar jednania sobie ludzi a zwłaszcza kobiet, przychodziło mu na myśl, że jednak on, Połaniecki, jest typem mniej wytwornym, mniej uszlachetnionym i wogóle człowiekiem wyciśnianym z grubszego materiału. Wszelako odpowiadał sobie, że widocznie, wobec warunków życia i odporności, jakiej ono wymaga, jest rzeczą wprost zgubną być zbytnim filigranem, tak pod względem umysłowym, jak i fizycznym. Widział w sobie również daleko większą zdolność życiową: — „Ostatecznie — myślał — ja mogę się na coś przydać, podczas gdy on przydał-by się tylko do postawienia na społeczną etażerkę z bibliotami. Ja potrafię chleb zdobyć, on potrafił tylko z gotowego kręcić gałki. Ja umiem, i dobrze umiem, farbować perkaliki — on umiał tylko farbować policzki kobiece. A jaka ogromna między nami różnica w stosunku do kobiety. Ten człowiek przeanalizował swoje życie i życie kochanej kobiety, zgubił ją i siebie, nie mogąc wyjść z wątpliwości, czy ją dość kocha; ja mam też wątpliwości, czy moja miłość jest zupełną, a jednak swoją kobiecie biorę — i niedołąga byłbym, nie mężczyzną, gdybym się miał naprzód bać przyszłości i gdybym nie potrafił wycisnąć z niej w prosty sposób tyle dobra i szczęścia, ile się da wycisnąć.“

Tu Polaniecki, jakkolwiek zarzekał się analizy, poczynął analizować, wprawdzie nie siebie, ale Marynię. Pozwalał sobie zresztą na to tylko dlatego, że z góry był pewien pomyslnych wniosków. To jednak rozumiał, że w obliczaniu przyszłości dwojga ludzi dobra wola jednej strony nie wystarcza i staje się niczem na wypadek braku dobrej woli z drugiej strony. Ale był pewien, że biorąc Marynię, nie bierze martwego serca. Marynia nie tylko przyniosła na świat prawą naturę, ale od młodych lat zetknęła się z pracą i z warunkami, w których musiała zapominać o sobie, by myśleć o drugich. Prócz tego, było nad nią, równe jakby nieustającemu zagrobowemu błogosławieństwu, wspomnienie matki, której spokój, prostotę i prawość, a zarazem życie pełne smutków, wspominano dotąd z największą czcią w całej okolicy Krzemienia. Polaniecki wiedział o tem i był przekonany, że budując na sercu i charakterze Maryni, buduje na niewzruszonej niemal podstawie. Nieraz przychodziły mu na myśl słowa jednej znajomej i przyjaciółki jego matki, która zapytana, czy więcej się troszczy o przyszłość synów, czy córek, odpowiedziała: „Wylącznie o synów, bo moje córki, w najgorszym razie, mogą być tylko nieszczęśliwe.“ — Tak! synów chowa szkoła i świat — i oboje mogą z nich zrobić łotrów — córki, którym dom wszczepia poczciwość — „w najgorszym razie mogą być tylko nieszczęśliwe.“ Polaniecki rozumiał, że tak było i z Marynią. To też jeśli ją analizował, była ta analiza raczej rozpatrywaniem się i lubowaniem jubilera w swoich klejnotach, niż metodą uczonego, który pragnie dojść do nieznanych i niedających się przewidzieć wniosków.

Jednakże raz pokłócili się z Marynią bardzo poważnie, z powodu listu Waskowskiego, który Polaniecki otrzymał z Rzymu w kilka tygodni po wyjeździe profesora, i który odczytał w całości Maryni. List ten brzmiał jak następuje:

„Mój drogi. Mieszkam via Tritone, pension Française. Odwiedź moje warszawskie mieszkanie; zobacz czy Snopeczyński dobrze dozoruje moich malców i czy drobiazg świętego Franciszka ma podostatkiem wody i siemienia. Jak przyjdzie wiosna, trzeba otworzyć okna i klatki — kto chce, niech zostanie, a kto chce, niech leci. Malcy z rodzaju *homo sapiens* powinni mieć dobre pożywienie, bom na to zostawił, a prócz tego, mało morałów, a dużo miłości. Snopeczyński jest dobry człowiek, ale melancholik. Powiada, że to skutkiem śniegów. Jak go napadnie, tak zwana przez niego, „chandra“, po całych tygodniach patrzy na własne buty i milczy — a z dziećskami trzeba gadać, by nabrały zaufania. Otóż i wszystko co do Warszawy.

„Tę pracę mojego życia, o której ci mówiłem, drukuję tu po francusku w drukarni dziennika „L'Italie.“ Trochę się śmieję z mojej francuszczyzny i ze mnie, alem ja do tego przywykł. Przyjechał tu Bukacki.

Dobre, kochane chłopczyśko! zdziwaczał do reszty, i powiada, że powłóczy nogą, choć ja tego nie zauważyłem. On bardzo kocha i ciebie, i Marynię, a naprawdę to i wszystkich, pomimo, że się tego wypiera. Za to, jak zacznie wygadywać — uszy więdną. Niech cię Pan Bóg błogosławi, drogi chłopcze, i ciebie, i twoją pocziwą Marynię. Chciałbym być na waszem weselu, ale nie wiem, czy mi tu skończą do Wielkiejnocy moją robotę; więc tymczasem posłuchaj, co ci powiem, i wiedz, że w tym celu piszę ten list. Nie myśl, że stary gada, byle gadać, bo przecież wiesz, że ja był nauczycielem, że od tego zajęcia uwolnił mnie dopiero spadek po bracie, że doświadczył i widział. Jeśli będziecie mieli dzieci — nie zamęczaj ich nauką, daj im rosnać wedle woli bożej. Mógłbym na tem skończyć, ale ty lubisz cyfry, więc dam ci cyfry. Małe dziecko ma godzin pracy tyle, ile dorosły człowiek-urzędnik, z tą różnicą, że urzędnik gawędzi podczas biurowych godzin z kolegami lub pali papierosy, dziecko zaś musi przez cały czas wyęzwać uwagę, bo inaczej zgubi wątek i przestanie rozumieć, co do niego mówią. Urzędnik po skończonej pracy idzie do domu, dziecko musi się przygotowywać na dzień następnny, co zdolnemu zabiera cztery godziny, mniej zdolnemu — sześć. Dodaj do tego, że uboższe dzieci często dają lekcyje, bogatsze je biorą — co razem wyniesie godzin dwanaście. Dwanaście godzin pracy dla dziecka! czy ty to rozumiesz, mój drogi? czy sobie zdajesz sprawę, jakie to z tego muszą wyrastać natury chore, zwichnięte, skłonne do najdzikszych manii — krzywe, odporne? Czy ty rozumiesz, jak my posiewamy naszymi dziećmi cmentarze — i dlaczego najpotworniejsze idee znajdują wyznawców? Ach, dziś ograniczają nawet pracę dorosłych po fabrykach — ale o tem filantropia milczy. O to przecie poleł to gotowa zasługa — to przyszła świętość i sława! Nie zamęczaj mi swoich nauk — proszę cię o to! — i proszę Maryni — przyrzeczenie mi to oboje. Ja nie gadam byle gadać, jak czasem mówi Bukacki, bo mówię z serca i to jest największa reforma, jaka czeka wieki przyszłe, największa po wprowadzeniu Chrystusa do dziejów. Zdarzyło mi się też kilka dni temu w Perugii coś dziwnego, ale o tem kiedyś ci opowiem, a teraz ścisgam was oboje.“

Marynia słuchała tego listu, patrząc za przykładem owego Snopczyńskiego, o którym wspominał profesor, — na końcu swych buczków. Połaniecki zaś począł się śmiać i rzekł:

— Czy pani słyszała coś podobnego? Jeszcze do naszego ślubu daleko, a profesor już lamentuje nad naszymi dziećmi i wstawia się za nimi. To trochę historia mego gniazdko.

Po chwili zaś, dodał:

— Co prawda, to moja wina, bom mu poczynił rozmaite obietnice.

I pochyliwszy się tak, aby dojrzeć oczy Maryni, począł pytać:

— A co pani mówi na ów list?

Połaniecki, pytając w ten sposób, miał taką nieszczęśliwą chwilę, w której człowiek nie jest sam sobą — i postępuje niezgodnie z własną naturą. Był on wogóle charakterem raczej szorstkim, ale nie grubiańskim, a nawet zdolnym chwilami do prawdziwie kobiecych delikatności. Tymczasem teraz, zarówno w jego spojrzeniu, jak i w pytaniu, skierowanym do dziewczyny, tak przypominającej mimozę, jak Marynia, było wprost coś brutalnego. Ona wiedziała również, że za małżeństwem idą dzieci, ale przedstawiało jej się to, jako coś nieokreślonego, o czym się nie mówi, a jeśli się mówi, to, albo w aluzji, tak delikatnej jak koronka, albo w chwili jakiegoś wzruszenia, z bijącym sercem, z rozkochanymi ustami przy uchu, w nastroju niemal uroczystym, jak o jakimś sanctissimum wspólnej przyszłości. Więc też niedbały ton, z jakim mówił o tem Połaniecki, zarówno ją zabolął, jak oburzył. Mimowoli przyszło jej na myśl, „dlaczego on tego nie rozumie?“ — i z kolei ona postąpiła niezgodnie ze swoją naturą, bo, jak się to często zdarza osobom niesmiałym, w chwilach przykrości i zmieszania, udała większy gniew, niż czuła rzeczywiście.

— Pan nie powinien się tak ze mną obchodzić — zawołała z oburzeniem. — Pan nie powinien tak do mnie mówić!

Połaniecki śmiał się jeszcze, chcąc nadrobić sztuczną weselością.

— Czemu się pani gniewa? — spytał.

— Pan postępuje ze mną nie tak, jak powinien.

— Nie rozumiem, o co chodzi.

— To tem gorzej.

A jemu śmiech znikł z ust, twarz pociemniała z gniewu i począł mówić prędko, jak człowiek, który nagle przestaje się rachować ze słowami:

— Być może, że jestem głupi, ale wiem, co jest dobroć, a co nie. W ten sposób życie staje się niemożliwe. Kto z niczego robi wielkie rzeczy, niechże sam siebie wini, a ponieważ obecność moja jest pani przykra, więc sobie idę.

I porwawszy za kapelusz, uklonił się i wyszedł. Marynia nie próbowała go zatrzymywać. Przez chwilę jeszcze obraza i gniew przytłumiły w niej wszelkie inne uczucia; poczem pozostało jej tylko wrazenie, jakby ciosu obuchem. Myśli jej rozproszyły się jak stado ptaków, nad nimi zaś górowało tylko jedno niejasne pojęcie: „stało się! nie wrócił!“ W ten sposób zapadał się nad nią gmach, który już począł był wiązać się w tak piękne linie. Pustka, nicosć, męczące, bo bezcelowe życie i ścierpłe serce — oto co jej pozostawało. A było już tak blisko do szczęścia!... Jednakże to, co się stało, stało się tak nagle, było czemś

tak niezrozumiałem, że nie umiała na razie zdać sobie z tego sprawy. Zbliżywszy się do biurka, poczęła na niem porządkować mechanicznie papiery, z jakimś bezmyślnym pośpiechem, jakby od uporządkowania ich mogło coś w tej chwili zależeć. Potem spojrziała na fotografię Litki i siadła nagle z dłońmi na oczach i skroniach. Po pewnym czasie jednak przyszło jej na myśl, że wola Litki musi być silniejsza od woli ich obojga — i zaświtał jej nagle promyk nadziei. Poczęła chodzić po pokoju i rozpamiętywać, co zaszło, przytem przypominała sobie Połanieckiego, nie tylko jakim był w ostatniej chwili, ale i przedtem, dwa, trzy dni, tydzień temu. Żal jej był teraz już większy od urazy i powiększał się coraz bardziej — wraz z uczuciem dla Połanieckiego. Po jakimś czasie poczęła sobie mówić, że nie wolno jej było się unosić, że obowiązkiem jej było przyjąć i kochać Połanieckiego takim, jakim był, nie zaś wymagać, żeby się dostosowywał do jej pojęć. „To przecie żywy człowiek, nie lalka“, — powtórzyła kilkakrotnie. I ogarniało ją coraz większe poczucie winy, a zatem i skruchy. Z natury potulne, i bardzo zdolne do kochania serce, występowało do walki z trzeźwym rozumem, który posiadała niewątpliwie i który teraz próżno jej mówił, że słuszność nie była po stronie Połanieckiego, i że przecie nie powiedziała mu nic takiego, coby było nie do przebaczenia. Mówiła sobie: „Jeśli ma choć trochę dobre serce, to wróci“, ale zarazem zdejmowała ją obawa przed miłością własną mężczyzny wogóle, a Połanieckiego w szczególności, była bowiem zbyt inteligentną, żeby nie spostrzedz, iż on dbał wielce o to, by uchodzić za człowieka nieugiętego. Ale tego rodzaju uwagi, które niechętnie serce czyniło-by na jego niekorzyść, roztkliwiały ją już tylko dla niego.

I w pół godziny później była już do głębi duszy przekonana, że wina leży tylko li po jej stronie i że „tyle go już w życiu namęczyła“, że teraz powinna ustąpić, to jest pierwsza wyciągnąć rękę do zgody. Ustępstwo owo równało się w jej pojęciu napisaniu do niego kilku słów pojednawczych. „On się tak nacierpiał z powodu tej sprawy Krzemienia, że mu się to należy.“ I gotowa była choćby płakać nad jego losem. Spodziewała się przytem, że on, ten niegodziwy, brzydki człowiek, oceni to, ile ją kosztuje pisać do niego, i przyjdzie jeszcze tego wieczora.

Zdało jej się, że nic łatwiejszego, jak skreślić kilka serdecznych wyrazów, takich, które-by, idąc od serca, szły wprost do serca. Ale co za trudność! List nie ma oczu, które zachodzą łzami, nie ma twarzy, która się uśmiecha zarazem smutno i słodko, nie ma głosu, który drga, nie ma rąk, które się wyciągają. List można czytać i rozumieć, jak się chce, bo to tylko czarne litery, na obojętnym jak śmierć papierze.

Marynia darła właśnie trzeci arkusik, gdy pomarszczona jak pieczone jabłko twarz pana Pławickiego, z świeżo ufarbowanemi wąsikami, ukazała się w uchylonych drzwiach.

— Niema Połanieckiego? — spytał.

— Niema papo.

— A czy przyjdzie jeszcze?

— Nie wiem papo — odpowiedziała z westchnieniem.

— Moje dziecko, jeśli przyjdzie, powiedz mu, że najdalej za godzinę wrócę i że chcę z nim pomówić.

— Och! i ja chcę z nim pomówić — pomyślała Marynia.

I przedarłszy trzeci arkusik, wzięła czwartą i poczęła się zastanawiać, czy całą kłótnię obrócić w żart, czy też poprostu przeprosić. Żart mógł mu się nie podobać; w przeproszeniu było coś cieplejszego, tylko — to takie trudne! Gdyby on nie był sobie polecał — dość było wyciągnąć rękę, ale on wyleciał jak z procy, ten złośnik, taki kochany...

I podniosłszy oczy do góry, poczęła usilnie pracować swoją ciemną główką, gdy nagle w przedpokoju ozwał się dzwonek. Maryni poczęło bić serce jak młotem, a przez głowę przelatowały jej jak błyskawice pytania:

— On? czy nie on?

Drzwi się otworzyły — to był on.

Wszedł jak wilk, z głową spuszczoną, z twarzą ponurą i widocznie bardzo niepewny, jak zostanie przyjęty, ale ona na jego widok zerwała się z bijącym jak u ptaka sercem, z rozpromienionym wzrokiem, szczęśliwa, ujęta niezmiernie tem, że wrócił — i pierwsza podbiegłszy ku niemu, położyła mu ręce na ramionach.

— A jaki dobry! jaki pocziwy! — poczęła mówić. — A czy pan wie, że ja chciałam już pisać do pana?

Połaniecki, przycisnąwszy jej ręce do ust, milczał przez czas jakiś, wreszcie rzekł:

— Pani mnie powinna kazać zrzucić ze schodów.

I w uniesieniu wdzięczności, przyciągnąwszy ją do siebie, począł całować jej usta, oczy, skronie i włosy, które rozwiązały się w uścisku. W takich chwilach, zdawało mu się zawsze, że odnajduje wszystko, co stanowi zupełną i wielką miłość. Wreszcie puścił ją i mówił dalej:

— Pani jest za dobra. Chociaż to lepiej, bo to mnie ogromnie podbija. Przyszedłem panią przeprosić — nic więcej. — Ja zaraz ochłonałem... Nawymyślałem sobie od ostatnich słów i nie umiem powiedzieć, jak mi było żal. Chodziłem po ulicy, myślałem, że może panią zobaczę w oknie i że z twarzy pani poznam, czy mogę wrócić. — Potem nie mogłem wytrzymać i przyszedłem...

— To ja przepraszam, to moja wina. Widzi pan podarty papier — pisałam i pisałam.

Ale on pożerał teraz oczyma jej włosy, które upinała pośpiesznie. Z zarumienioną twarzą, od której biła radość, ze śmiejącymi się od szczęścia oczyma, wydała mu się piękniejszą niż kiedykolwiek i tak pożądaną, jak nigdy.

Marynia spostrzegła też, że patrzy na jej włosy i zmieszanie jej walczyło z czysto kobiecą kokieterią. Upinała je umyślnie niezręcznie, tak, że coraz większą falą pokrywały jej ramiona, a jednocześnie mówiła:

— Niech pan nie patrzy, bo sobie pójdę.

— To przecie moje bogactwo — odrzekł Połaniecki — a przytem w życiu nic podobnego nie widziałem.

I wyciągnął znów ku niej ręce, ale ona poczęła się wykręcać.

— Nie wolno, nie wolno, — powtarzała — mnie i tak wstyd. Powinnam była odejść.

Włosy jednak przysły zwolna do ładu, poczem siedli oboje i poczęli rozmawiać spokojniej, chociaż z oczyma w oczach.

— I pani naprawdę chciała pisać? — spytał Połaniecki.

— Widzi pan podarty papier.

— Szczerze mówię, że pani zbyt dobra.

Ona podniosła oczy i, wpatrzywszy się w półkę przybitą nad biurkiem, odrzekła:

— Dlatego, że to była moja wina. Tak! tylko moja.

I sądząc, że nie może być dość wspaniałomyślną, dodała po chwili, zaczerwieniwszy się po uszy i spuszczając oczy:

— Bo jednak profesor Waskowski ma słuszność w tem, co pisze o... nauce.

Połaniecki miał w tej chwili ochotę klęknąć i ucałować jej nogi. Jej wdzięk i dobroć nietylko rozbrajały go, ale i naprawdę podbijały zupełnie.

— Żem zginął, tom zginął — zawołał, jakby kończąc jakąś niewypowiedzianą słowami myśl. — Pani zawojuje mnie zupełnie.

A ona poczęła trząść wesoło główką.

— Oj, nie wiem! — Taki tchórz ze mnie.

— Tchórz z pani? Powiem pani jedną anegdotę. W Belgii znałem dwie panny Wauters, które miały faworyta kota. Pocziwe stworzenie, zdawało-by się, że go można do rany przyłożyć. Potem jedna z nich dostała w podarku oswojonego zająca. Cóż pani powie! Kot się go tak bał, że ze strachu skakał na wszystkie szafy i piece. Raz poszły panny Wauters na spacer i nagle przypomniały sobie, że kot został z zającem. „A czy „matou“ nie zrobi jakiej krzywdy zającowi?“

„Matou? on się go przecie tak boi, że ze skóry wylazi!“ I poszły spokojne. W godzinę potem wracają, — i niech pani zgadnie, co się stało? Oto zastały tylko uszy z zająca. To zupełnie stosunek pań do nas. Niby się boicie, a potem zostają z nas tylko uszy!

I Połaniecki począł się śmiać, a Marynia z nim; po chwili zaś dodał:

— Wiem, że i ze mnie zostaną tylko uszy.

Mówił zresztą nieprawdę, bo miał poczucie, że będzie inaczej. Marynia też, pomysławszy, odrzekła:

— Nie. Ja nie mam takiego charakteru.

— To i lepiej— odpowiedział Połaniecki — bo powiem pani szczerze, jaki wniosek wyprowadzam z moich życiowych obserwacji: oto większy egoizm bierze zawsze górę nad mniejszym.

— Albo też większa miłość poddaje się mniejszej — odpowiedziała Marynia.

— To na jedno wyjdzie. Co do mnie, wyznaję, że jakiegoś Heroda miałbym ochotę ot tak w rękę trzymać (tu Połaniecki otworzył palce, a potem ścisnął je w pięść), ale z takim gołębiem, jak pani — to rzecz całkiem inna. Z panią, myślę, trzeba będzie wojować o to, żeby pani nie zanadto wyrzekała się siebie, a nie za dużo oddawała. Taka już pani natura i ja wiem, kogo biorę. Zresztą wszyscy to mówią i nawet taki Maszko, który nie jest żadnym Salomonem, powiedział mi tak: ona z tobą może być nieszczęśliwa, ty z nią — nigdy. I miał słuszność. Oto ciekawym, jaki będzie Maszko dla swojej żony. To twarda ręka.

— A bardzo zakochany?

— Nie tak, jak był przed pewnym czasem, gdy go trochę kokietowano.

— Bo nie był taki niegodziwy, jak pewien „pan Stach.“

— To będzie dziwne małżeństwo. Ona nie jest brzydka, choć jest blada i ma zawsze czerwone oczy. Ale Maszko żeni się dla majątku. Przypuszczał, że ona go nie kocha, i gdy była ta awantura z Gątowskim (to także rycerz!) był pewien, że te panie skorzystają ze sposobności, by zerwać. Tymczasem stało się wprost przeciwnie — i niech pani sobie wyobrazi, że Maszko jest teraz znów niespokojny, że wszystko idzie tak, jak po maśle. Wydaje mu się to podejrzone. To są jakieś dziwne rzeczy. Istnieje jakoby i pan Krasławski... Bóg wie co! Wszystko to razem jest głupie. Tam nie będzie szczęścia, przynajmniej takiego, jak ja sobie wyobrażam.

— A jak pan sobie je wyobraża — spytała Marynia.

— Ja myślę, że szczęście jest w tem, żeby wziąć kobietę pewną — tak jak pani — i jasno widzieć przyszłość.

— A ja myślę, że w tem, żeby być kochaną, ale to jeszcze nie dość.

— Cóż jeszcze?

— Żeby być tego wartą i żeby...

Tu panna Marynia nie umiała przez jakiś czas znaleźć słów, w końcu jednak rzekła:

— I żeby wierzyć w męża, i żeby z nim razem pracować.

VIII.

Połaniecki nie mylił się. Maszce szło wszystko tak pomysłnie, pani i panna Krasławska zapowiadały się tak wzorowo, że był coraz niespokojniejszy. Chwilami sam się śmiał z tego, a ponieważ przed Połanieckim nie miał od pewnego czasu nic skrytego, więc któregoś dnia rzekł mu z całym cynizmem.

— Mój drogi — to są poprostu anioły, a mnie włosy na głowie powstają, bo w tem coś jest.

— Podziękuj lepiej Panu Bogu!

— Kiedy są za idealne, bez żadnej wady, nawet bez próżności. Wczoraj, naprzykład, dałem im do zrozumienia, że jestem adwokatem tylko dlatego, iż mojem zdaniem synowie lepszych rodzin powinni się teraz do czegoś brać i czems być. Zgadnij, co mi odpowiedziały? Oto, że to jest takie dobre stanowisko, jak i każde inne, że dla nich, byle praca, każda dobra, i że tylko liche i próżne natury mogą się pracy wstydić. Wystrzelały tyle ładunków nabitych komunałami, że miałem im ochotę odpowiedzieć jakąś sentencyą z wzorów kaligraficznych: „Honor jest jak przepaścista skała“ — lub coś podobnego! Połaniecki, ja ci powiadam, że w tem coś tkwi. Myślałem, że papa, ale nie papa. Mam już o nim wiadomość, mieszka w Bordeaux, nazywa się tam Mr de Langlais — i ma swoje ognisko rodzinne, nie tyle legalne, ile licznie otoczone, które utrzymuje za pensyę, otrzymywaną od pani Krasławskiej.

— Co ci to szkodzi?

— Nic a nic.

— Jeśli tak, to są nieszczęśliwe kobiety — i cała rzecz.

— Tak, ale czy dochody ich odpowiadają nieszczęściom. Pamiętaj, że ja mam ciężary. Przytem, widzisz, jeśli to są takie kobiety, jak się wydają, a w dodatku bogate, to gotowem się naprawdę zakochać i to będzie głupio; jeśli się pokaże, że nie mają nic, albo mało, to gotowem się także zakochać i to będzie jeszcze głupiej. — Ona ma dla mnie urok.

— Nie. To będzie jedyna rzecz mądra, w każdym razie. Ale ty jednak myśl o sobie, Maszko, a trochę o mnie i o Pławickich. Wiesz, że ja nie mam zwyczaju w tych rzeczach folgować, a terminy się zbliżają.

— Jeszcze palę w kotle—kredytem. Wy zresztą siedzicie na hipotece Krzemienia. Za parę dni będzie u pani Krasławskiej wieczór zaręczynowy, po którym mam nadzieję, że się czegoś pewnego dowiem.

Tu Maszko zaczął monologować:

— Że jednak tak pozytywny człowiek, jak ja, wszedł jak w las, to nie do pojęcia. Z drugiej strony, niema tu człowieka między tymi nawet, co najlepiej wiedzą, jak kto stoi, któryby pozwolił sobie wątpić o majątku pani Krasławskiej. A jednak, one są takie szlachetne!!!!

— Twoje obawy są też prawdopodobnie płonne — przerwał z pełną niecierpliwością Połaniecki. — Ale ty, mój kochany, nie jesteś wcale pozytywny człowiek, boś zawsze udawał i jeszcze coś udajesz, zamiast patrzeć tego, co ci dawało chleb.

W kilka dni później odbył się rzeczywiście zaręczynowy raut Maszki, na którym była i Marynia, albowiem pani Krasławska, której się pan Pławicki podobał i którego koligacje były jej wiadome, nie unikała z nim stosunków, tak jak z Bigielami. Maszko sprowadził wszystkich swych znajomych o rozgłosnych nazwiskach, ze szklami na oczach i z rozdzielonemi na dwie połowy głowami, po większej części bardzo młodych i przeważnie niezbyt lotnych. — Było między nimi pięciu braci Wyżów, których zwano Mizio, Kizio, Bizio, Breloczek i Tatus. Dawano im nazwę pięciu braci śpiących, gdyż, odczuwając pobudki życiowe wyłącznie w nogach, ożywiali się tylko w karnawale, a drętwieli zupełnie, przynajmniej pod względem umysłowym, na post. Bukacki kochał ich i cieszył się nimi. Był baron Kot, który, zasłyszawszy coś od kogoś o jakimś starożytnym Kocie z Dębna, dodawał zawsze, gdy go przedstawiano „z Dębna“, a który na wszystko, co do niego mówiono, odpowiadał stale: „Quelle drôle d'histoire!“ Maszko był z nimi wszystkimi na: „ty“, chociaż traktował ich z pewnym rodzajem lekceważenia, również jak i Kopowskiego, młodzieńca o przepysznej, idealnej głowie i tak samo przepysznych jak bezmyślnych oczach. Kategorie rozumniejszych przyjaciół Maszki przedstawiali Połaniecki i Kresowski. Pani Krasławska zaprosiła również kilkanaście dam z córkami, koło których kręcili się z niedbałością i flegmą Wyże, a których panięskie serduszka były z blizieniem się Kopowskiego, mniej zważając na jego duchowe podobieństwo z Hamletem, polegające na tem, że jeśli nie on, to mózg jego mógłby się zmieścić „w skorupie od orzecha.“ Kilka poważnych łysin stanowiło dopełnienie salonu.

Panna Krasławska, ubrana biało, mimo zaczerwienionych oczu, wyglądała nader powabnie. Był w niej istotnie jakiś kobiecy urok, polegający na dziwnym, prawie sennym spokoju. Przypominała nieco postacię Perugina. Chwilami ożywiała się, jak alabastrowa lampka, w której nagle rozbłyśnie światło — po chwili znów gasła, ale gasła nie bez wdzięku. Tego wieczora, przybrana w lekką białą suknię, wydawała się ładniejszą niż zwykle. Połaniecki, patrząc na nią, myślał, że może mieć dość oschłe serce i dość oschlą głowę, ale może być przyzwoitą żoną, zwłaszcza dla Maszki, który, w gruncie rzeczy, nad wszystko cenił przyzwoitość światową. Pożycie ich zapowiadało się jak chłodny i blady dzień, w którym słońce nie dopieka, ale też i burza nie grozi. Teraz oto siedzieli w końcu salonu, nie za blisko, ale też nie za daleko od reszty towarzystwa; zajmowali się sobą nie więcej i nie mniej niż wypadało; w jego obejściu się z nią widać było tyle uczucia, ile było trzeba, ale przedewszystkiem chęć, żeby się wydać narzeczonemu „correct“ — ona zaś odpłacała mu tą samą monetą. Uśmiechali się do siebie przyjaźnie; on mówił więcej od niej, jako przyszyły przewodnik i głowa domu, czasem patrzyli sobie w oczy, słowem, tworzyli najbardziej poprawną i najbardziej wzorową parę narzeczonych, jak sobie można było w znaczeniu światowym wyobrazić. „Jabym nie wytrzymał“ — mówił sobie Połaniecki. — I nagle przypomniał sobie, że podczas, gdy ona tu sobie siedzi, konwencyonalnie uśmiechnięta, spokojna, biała, ten ów doktorzyna, który nie mógł „duszy od niej odebrać“ — próchnieje gdzieś, między zwrotnikami, równie spokojnie pod ziemią, zapomniany, tak jakby nigdy nie istniał. I porwała go złość. Odczuł nietylko pogardę dla serca panny Krasławskiej, ale ten jej spokój wydał mu się czemś w złym smaku, jakąś duchową martwością, która niegdyś była w modzie i na którą wówczas, widząc w niej coś demonicznego, piorunowali poeci, ale która z czasem spospoliciiała i stała się równą moralnej nicości i głupocie. „To przedewszystkiem jest gęś, a w dodatku gęś bez serca“ — pomyślał Połaniecki. — I w tej chwili niepokój Maszki, z powodu szlachetnego zachowywania się tych pań, stał mu się zrozumiałym, do tego stopnia, że Maszko urosł w jego opinii, jako człowiek przenikliwy i sprytny.

Potem począł porównywać własną narzeczoną z panną Krasławską i z wielkiem wewnętrznym zadowoleniem powiedział sobie: „Maryska, to zgoła inny gatunek.“ — Czuł, że wypoczywa duchowo, patrząc na nią. O ile tamta była jakby sztuczną rośliną, wyhodowaną nie w szerokich zdrowych powiewach, ale pod szkłem, o tyle od tej było życie i ciepło, a pomimo tego porównanie wypadało na korzyść Maryni nawet pod względem światowym. Połaniecki nie lekceważył zupełnie tak zwanej „dystynkcy“, rozumiejąc, że jeśli nie zawsze, to często

odpowiada ona pewnemu duchowemu wykończeniu, zwłaszcza u kobiet. Owoż, patrząc teraz to na jedną, to na drugą, doszedł do przekonania, że owo wykończenie, które u panny Krasławskiej jest czemś nabytem i krępującem, u Maryni czemś wrodzonym. W tamtej było to narzucaną zewnątrz suknią, w tej duszą i jakby naturalną cechą gatunku uszlachetnionego przez długie wieki kultury. Biorąc z poglądów Bukackiego tyle, ile mu było potrzeba, to jest, ile w nich było trafnego, Połaniecki przypomniał sobie, co tenże nieraz powtarzał, że kobiety, bez względu na pochodzenie, dzielą się na patrycyuszki, mające kulturę, zasady i duchowe potrzeby wprowadzone w krew, i na parwenuuszki, które ubierają się w nie, jak w mantylki, tylko do gości. Obecnie, spoglądając na szlachetny profil Maryni, Połaniecki myślał z chępliwością małomieszczanina, żeniącego się z księżniczką, że bierze patrycyuszkę w całym znaczeniu tego wyrazu.

I do tego patrycyuszkę bardzo ładną. Nieraz kobietom potrzeba tylko trochę pola i trochę szczęścia, by zakwitnąć. Marynia, która Połanieckiemu, w chwili, gdy wrócił z pogrzebu Litki, wydała się prawie brzydką, teraz dziwiła go czasami swoją urodą. Panna Krasławska wyglądała przy niej, jak spłowiła suknia przy nowej, i gdyby fortuna panny Pławickiej była na wysokości jej urody, uchodziła-by niewątpliwie za piękność. I tak, Wyże nakładając binokle na swoje końskie nosy, spoglądali na nią z pewnym podziwem, zaś baron Kot z Dębna oświadczył poufnie, iż prawdziwe szczęście, że już narzeczona, bo gdyby tak nie było, to kto wie, czyby nie „wdepnął.“

Połaniecki też mógł zauważyć tego wieczora jeden rys swego charakteru, którego się nie domyślał. Oto był zazdrosny. Ponieważ był jednocześnie przekonany, że Marynia jest kobietą zupełnie pewną, której można ślepo zaufać, przeto zazdrość ta była prostą niekonsekwencyą. W swoim czasie zazdrosny był o Maszkę, i to rozumiało się samo przez się, ale teraz sam nie umiał sobie zdać sprawy, dlaczego naprzykład taki Kopowski, ze swoją głową archanioła, a ptasim mózgiem, może go drażnić dlatego tylko, że siedzi koło Maryni i zadaje jej zapewne mniej lub więcej niedorzeczne pytania, na które ona mniej lub więcej uprzejmie odpowiada. Początkowo począł sam sobie robić wyrzuty. „Trudno jednak wymagać od niej, żeby mu pokazała języki!“ Później wszelako znalazł, że Marynia zanadto często zwraca się ku Kopowskiemu, że patrzy na niego zbyt ciekawie i odpowiada mu zbyt uprzejmie. Przy kolacyi, siedząc koło niej, był zły i milczący, a gdy go spytała o powód, odpowiedział najniedorzeczniej:

— Nie chcę psuć wrażenia, jakie sprawił pan Kopowski.

A jej podobało się to, że był o nią zazdrosny, więc ścisnąwszy kąciki ust dla stłumienia uśmiechu, i spoglądając na niego uważnie rzekła:

— Czy pan także znajduje, że w panu Kopowskim jest coś nadzwyczajnego?

— Owszem, owszem! On nawet jak idzie ulicą, to zdaje się, że niesie głowę na świeże powietrze, z obawy, żeby mu jej móle nie zjadły.

Kąciki ust Maryni wytrzymały próbę, ale oczy śmiały się widocznie, wreszcie, nie mogąc wytrzymać, rzekła cicho:

— Szkaradny zazdrośnik.

— Ja? Bynajmniej!

— No, to powiem panu wyjątek z naszej rozmowy. Pan wie, że wczoraj był na estradzie w czasie koncertu wypadek katalepsyi. Dziś mówiono o tem koło nas, więc tak, między innemi, spytałam pana Kopowskiego, czy widział kataleptyka? Wie pan, co mi odpowiedział? Że każdy może mieć inne przekonania. A co? czy nie nadzwyczajny człowiek?

Połaniecki udobruchał się i począł się śmiać.

— Ale ja pani powiadam, że on wprost nie rozumie, co się do niego mówi, i odpowiada byle co.

I resztę wieczora spędzili już przy sobie, w dobrej zgodzie. W chwili rozstania, gdy Pławiccy, mając tylko podwójną karetkę, nie mogli zabrać Połanieckiego, Marynia pochyliła się ku niemu i spytała:

— Czy brzydki grymaśnik przyjdzie jutro na obiad?

— Przyjdzie, bo kocha — odpowiedział Połaniecki, otulając jej nogi futrem.

Ona zaś odszepnęła mu do ucha, jakby wielką nowinę:

— I ja także.

A jakkolwiek on, w chwili gdy to mówił, był zupełnie szczery, ona jednak mówiła większą prawdę.

Maszko odprowadzał Połanieckiego do domu. Po drodze rozmawiali o dzisiejszym wieczorze. Maszko opowiadał, że przed przybyciem gości próbował mówić z panią Krasławską o interesach, ale mu się nie powiodło.

— Była chwila, — rzekł — że chciałem postawić kwestyę jasno, ubrawszy ją oczywiście w możliwie delikatne formy. Ale bałem się. — Ostatecznie, dlaczego ja wątpię o posagu mojej narzeczonej? Tylko dlatego, że te panie obchodzą się ze mną przyzwoiciej, niżem się spodziewał. Jako humor, to jest bardzo dobre, ale boję się za daleko posuwać, bo nuż moje obawy okażą się płonne, nuż one mają rzeczywiście pieniądze — i oburzą się, gdy moja ciekawość okaże się zbyt interesowną. Trzeba się i z tem liczyć, bo mogę się rozbić u portu.

— Więc dobrze — odpowiedział Połaniecki — dajmy na to — i to zresztą jest prawdopodobne, że mają, ale gdyby się pokazało, że nie —

co zrobisz wówczas? Czy masz gotowy plan? — Zerwiesz z panną Krasławską, czy się z nią ożenisz?

— Nie zerwę w żadnym razie, bo nic na tem nie zyskam. Jeśli moje małżeństwo nie przyjdzie do skutku, zbankrutuję i tak. — Ale powiem wówczas jasno, jakie jest moje położenie finansowe i przypuszczam, że panna Krasławska ze mną zerwie.

— Jeśli zaś nie?

— Zakocham się w niej i zacznę układać się z wierzycielami. Przestanę, jak mówisz, „udawać“ — i będę się starał zarobić na chleb dla nas obojga. Jestem niezłym adwokatem. O tem wiesz.

— To jest dość przyzwoite — odpowiedział Połaniecki — ale mnie to nie uspokaja co do Pławickich i co do mnie.

— Wy jesteście w lepszym położeniu od innych, bo siedzicie na Krzemieniu. W danym razie ty weźmiesz wszystko w swoje twarde łapy i coś tam wyciśniesz. Gorzej z tymi, którzy mi wierzyli na słowo, i powiem ci w oczy, że mi więcej o nich chodzi. Miałem, a nawet mam, ogromne zaufanie... To dziś moja bolączka. Ale jeśli mi dadzą czas, to jakoś wyłatał... Gdybym zaś miał trochę szczęścia w domu, a w niem sprężynę do roboty....

Tu doszli do mieszkania Połanieckiego, więc Maszko nie dokończył myśli. W chwili jednak, gdy się mieli pożegnać, rzekł nagle:

— Słuchaj. Ty mnie masz trochę za szuję — a ja mniej nią jestem niż myślisz. *Udawałem* — jak powiadasz — prawda! musiałem się wykręcać, jak piskorz, i w tych wykrętach schodziłem czasem z bitej drogi... Alem się zmęczył i, powiem ci otwarcie, że chce mi się trochę szczęścia, bom go nie miał. Dlatego chciałem się żenić z twoją dzisiejszą narzeczoną, choć jest niemajątna. A co do panny Krasławskiej, czy ty wiesz, że są czasem chwile, w których wolałbym, żeby się okazało, że nic nie ma, ale żeby w zamian nie opuściła mnie, gdy się dowie, że i ja nic nie mam. — To ci szczerze mówię — a teraz: dobranoc!

— No! — mówił sobie Połaniecki. — To coś w Maszce nowego.

I wszedł do bramy. Stanąwszy u drzwi, usłyszał ze zdziwieniem w swoim mieszkaniu fortepian. Służący powiedział mu, że to Bigiel czeka na niego od dwóch godzin.

Połaniecki zaniepokoił się, ale pomyślał, że gdyby powodem bytności Bigiela było coś niepomyślnego, toby nie wygrywał na fortepianie. Jakoż okazało się, że Bigielowi potrzeba było pilno tylko podpisu Połanieckiego dla sprawy, która musiała być załatwiona nazajutrz rano.

— Mogłeś mi zostawić papiery i iść spać — rzekł Połaniecki.

— Ja też wyspałem się u ciebie na sofie, a potem siadłem do fortepianu. Niedługo grałem tak dobrze, jak i na wiolonczeli, ale teraz już

palce ciężkie. — Twoja Marynia podobno gra: to taka miła rzecz w domu!

A Połaniecki począł się śmiać swoim szczerym, życzliwym śmiechem.

— Moja Marynia? Moja Marynia posiada talent ewangeliczny: „nie wie lewica, co robi prawica.“ Biedactwo kochane! Nie ma też żadnej pretensyi i grywa tylko wówczas, kiedy ją o to proszą.

Na to rzekł Bigiel:

— Niby się to wyśmiewasz, ale tak się wyśmiewają tylko zakochani.

— Bo też jestem zakochany najzupełniej. Przynajmniej teraz tak mi się wydaje, a wogóle muszę powiedzieć, że mi się to wydaje coraz częściej. — Chcesz, Bigiel, herbaty?

— Dobrze. Wracasz od pani Krasławskiej?

— Tak.

— Cóż Maszko? dobija do brzegu?

— Przed chwilą się z nim rozstałem. Odprowadzał mnie do bramy. Jednakże on mówi czasem takie rzeczy, których-by się po nim nikt nie spodziewał.

I Połaniecki rad, że ma z kim pogawędzić i czując potrzebę poufnej rozmowy, począł opowiadać, co słyszał od Maszki i jak dalece zdziwił się, znalazłszy romantyka pod skórą człowieka tego rodzaju.

— Maszko nie jest szują — rzekł Bigiel. — On jest tylko na drodze do rozmaitych zbroceń, a powodem tego jest jego próżność i cześć dla pozorów. Ale z drugiej strony, ta cześć dla pozorów chroni go od ostatecznego upadku. Co zaś do romantyka, którego w nim odkryłeś...

Tu Bigiel obciął koniec cygara, zapalił je z wielką uwagą, marszcząc przytem brwi i, siadłszy wygodnie, mówił dalej:

— Bukacki powiedział-by na ten temat z dziesięć ironicznych paradoksów o naszym społeczeństwie... To mi utkwilo w głowie, coś mi mówił, jak on napadał na nas za to, że tu się zawsze coś, albo kogoś kocha. Jemu się zdaje, że to głupie i do niczego, a ja w tem widzę wielki przymiot. Trzeba czemś na świecie stać, a co my mamy? pieniędzy nie mamy, rozumu o tyle o ile, daru oryentowania się w położeniu niewiele, gospodarności—mało; — my naprawdę mamy to jeszcze, że tu się prawie mimowoli, przez jakiś ogólny nastrój, coś, albo kogoś kocha, a jeśli się nawet nie kocha, to się czuje tego potrzebę. Ty wiesz, że ja jestem rozsądny człowiek i kupiec, więc mówię trzeźwo. Ja się nad tem zastanawiałem z powodu Bukackiego... Taki Maszko naprzykład, gdzieindziej byłby szelmą z pod ciemnej gwiazdy. — I takich znam wielu. Tu jednak nawet pod szują możesz się doskrobać człowieka — i to jest prosta rzecz! bo ostatecznie, póki się w brzuchu ma jeszcze

jakąś iskrę, póty się nie jest zupełnem bydlęciem — a tu się ją ma, właśnie dlatego, że się coś kocha.

— Przypominasz mi Waskowskiego. To co mówisz, to niedalekie od jego poglądów na misyę najmłodszych z Aryów.

— Co mi tam Waskowski! Mówię to, co myślę. — Wiem jedno: odejmij nam to — a rozlecimy się, jak beczka bez obręczy.

— Więc słuchaj, co ci powiem. Jest to rzecz we mnie dość dawno rozstrzygnięta. Kochać, lub nie kochać kogoś, to kwestya osobista, ale rozumiem, że coś trzeba w życiu kochać. I ja także zastanawiałem się nad tem. Po śmierci tego oto dziecka, czułem, że pewne strony we mnie lichy wzięło — czasem czuję to jeszcze. Dziś nie, ale miewam chwile — jakby ci powiedzieć: odpływu, wyczerpania, zwątpień — i jeśli się pomimo tego żenię, to dlatego, iż rozumiem, że trzeba dać życiowy i silny podkład pod ogólniejszą miłość.

— Dlatego i nie dlatego — odpowiedział nieubłagany w swym rozsądku Bigiel — bo ty się żenisz wcale nie z powodów czysto rozumowych. Bierzesz ładną i poczciwą dziewczynę, do której cię ciągnie i nie wmawiaj w siebie, że jest inaczej, bo i ty zaczniesz udawać... To, mój kochany, te wątpliwości przed ożenieniem się ma każdy. Ja, jak mnie widzisz — nie żaden filozof, a dziesięć razy na dzień pytałem siebie przed ślubem, czy ja dość kocham moją przyszlą, czy tak jak potrzeba, czy nie za mało duszą, a nie za wiele zmysłami? Bóg wie co! Potem ożeniłem się, wzięłem dobrą kobietę i jest nam dobrze. Wam również będzie dobrze, byleście poprostu rzeczy brali, bo to ciągle zachodzenie w głowę i rozpatrywanie jakichś tajników serca — to dalibóg głupstwo.

— Może i głupstwo — odpowiedział Połaniecki. — Ja też nie mam zamiłowania do leżenia do góry brzuchem i analizowania się od rana do wieczora, ale nie mogę nie widzieć faktów.

— Jakich faktów?

— Takich, jak naprzykład, że moje uczucie nie jest tem, czem było na początku. Myślę, że tem będzie, przyznaję, że do tego idzie. Żenię się mimo tych spostrzeżeń, tak, jakby one nie istniały, ale je robię.

— To wolno.

— I widzisz, co jeszcze prócz tego myślę: że trzeba jednak, by okna domu wychodziły na słońce, — inaczej będzie w mieszkaniu zimno.

— Toś dobrze powiedział — odrzekł Bigiel.

IX.

Tymczasem zima poczęła się przełamywać, nadchodził koniec po-
 stu, a tem samem zbliżał się termin ślubu tak Połanieckiego, jak Ma-
 szki. — Bukacki, zaproszony na družbę, odpisał mu między innymi, co
 następuje: „Wytrącać wszechsiłę twórczą ze stanu ogólnego, to jest
 ze stanu doskonałego spoczynku, i zmuszać ją za pomocą zawieranych
 na ziemi małżeństw do wcielania się w mniej więcej wrzaskliwe szcze-
 góły, wymagające kołyski i zabawiające się trzymaniem wielkiego
 palca od nogi w ustach, jest zbrodnią. Przyjadę jednak, ponieważ
 piece są u was lepsze niż tu.“ — Jakoż na tydzień przed świętami przy-
 jechał i przywiózł w darze Połanieckiemu misternie ozdobną pergami-
 nową kartę, w rodzaju klepsydry pogrzebowej, na której był napis:
 „Stanisław Połaniecki, po długim i ciężkim kawalerstwie etc.“

Połaniecki, któremu karta się podobała, poniósł ją nazajutrz kolo
 południa Maryni. Zapomniał jednak, że to niedziela, i ułożywszy sobie
 z góry miłe spędzenie czasu do obiadu, doznał jakby rozczarowania,
 zastawszy Marynię w kapeluszu.

— Pani wychodzi? — spytał.

— Tak. Do kościoła. Dziś niedziela.

— A, niedziela!... Prawda! A ja myślałem, że sobie posiedzimy
 razem. Takby było przyjemnie.

A ona podniosła na niego swoje pogodne niebieskie oczy i rzekła
 z prostotą:

— A służba boża?

Połaniecki na razie przyjął te słowa tak, jakby był przyjął każde
 inne, nie przewidując, że w duchowym procesie, jaki mu później przy-
 szło przechodzić, odegrają one, właśnie z powodu swej prostoty, pewną
 rolę. Tymczasem odrzekł, jakby powtarzając je mechanicznie:

— Mówi pani: służba boża. Owszem! Ja mam czas; pójdziemy
 razem.

Marynia przyjęła to oświadczenie z wielkiem zadowoleniem. —
 Po drodze rzekła:

— Ja, to im jestem szczęśliwsza, tem bardziej Pana Boga kocham.
 To także znak dobrej natury, inni tylko myślą o Bogu, jak bieda.

I w kościele przyszło mu znów na myśl to, o czem myślał w cza-
 sie pierwszej swej bytności w Krzemieniu, gdy razem ze starym Pła-
 wickim byli na nabożeństwie w Wątorach: „Wszystkie filozofie i sy-
 stemy licho bierze, jeden po drugim, a msza po staremu się odprawia.“
 Zdawało mu się, że jednak jest w tem coś niepojętego. On, który z po-
 wodu Litki zetknął się ze śmiercią w sposób tak bolesny, wracał usta-

wicznie do tych ciemnych zagadnień, ilekroć zdarzyło mu się być czy na cmentarzu, czy w kościele na mszy, czy w jakichkolwiek okolicznościach, w których odbywało się coś, nie mającego związku z bieżącymi realnymi potrzebami życia, ale obliczonego na pozagrobową przyszłość. Uderzyło go, jak jednak w życiu wiele się robi dla tej przyszłości, i jak, mimo wszelkich filozofowań, zwątpień, żyje się tak, jakby ona była zupełnie niewątpliwą, ile się dla niej poświęca z osobistych małych egoizmów, ile się spełnia filantropijnych czynów, jak się wznosi ochrony, szpitale, przytulki, kościoły, a wszystko na ten rachunek, płatny dopiero po-za grobem.

Jeszcze bardziej uderzyła go myśl, że naprawdę, żeby się pogodzić z życiem, trzeba naprzód pogodzić się ze śmiercią, a bez wiary w coś pogrobowego, jest to wprost niemożliwe. Natomiast, gdy się ją ma, kwestya upada, jakby jej nie było. „Niech dyabli wezmą żałobę—włóźmy sobole!“ Bo jeśli tak, to czegoż można chcieć więcej? Ma się przed sobą tylko widok jakiegoś nowego istnienia, w najgorszym razie, ogromnie ciekawego—i ta pewność równa się spokojowi i ciszy. Przykład tego miał teraz Połaniecki w Maryni. Z powodu nieco krótkiego wzroku, trzymała głowę schyloną na książkę, ale gdy chwilami podnosiła ją, Połaniecki widział twarz tak pogodną, tak pełną roślinnego niemal spokoju, i tak ukojoną, że poprostu anielską. — „To jest szczęśliwa kobieta, i będzie zawsze szczęśliwa!“ — mówił sobie — i w dodatku ma rozum, bo, gdyby po stronie przeciwnej była przynajmniej pewność — byłaby zarazem i ta pociecha, jaką daje prawda, — ale mordować się dla rozmaitych znaków zapytania — to czyste głupstwo.

Po drodze do domu, Połaniecki, myśląc ciągle o tym wyrazie Maryni, rzekł:

— W kościele wyglądała pani jak jakiś profil Fra Angelica. Miała pani twarz istoty zupełnie szczęśliwej.

— Bo też ja teraz jestem szczęśliwa. A wie pan dlaczego? Oto dlatego, że jestem lepsza, niż byłam. Miałam wówczas w sercu urazę i niechęć, nie miałam przed sobą żadnej nadziei i wszystko to razem złożyło się na taką gorycz, że strach! Powiadają, że nieszczęście uszlachetnia wybrane dusze, ale ja nie jestem wybraną duszą. Zresztą, może nieszczęście uszlachetnia, ale gorycz, ale uraza, ale niechęć — psuje... To jak trucizna.

— Bardzo mnie pani wówczas nienawdziła?

Marynia spojrzała na niego i odrzekła:

— Tak nienawdziłam, że po całych dniach myślałam tylko o panu.

— Maszko ma spryt, — odpowiedział Połaniecki — on kiedyś określił mi to tak: „wolała ciebie nienawdzić, niż mnie kochać.“

— Oj, że wolałam, to wolałam.

Tak rozmawiając, doszli do domu. Połaniecki miał wówczas czas rozwinąć swoją pergaminową klepsydrę i pokazać ją Maryni. Ale jej koncept ten się nie podobał. Brała ona małżeństwo nietylko od strony serca, ale od strony religii. „Z takich rzeczy się nie żartuje“—rzekła— i po chwili przyznała się Połanieckiemu, że czuje urazę do Bukackiego.

Po obiedzie nadszedł Bukacki. Przez te kilka miesięcy pobytu we Włoszech stał się jeszcze cieńszym, co było dowodem przeciw skuteczności „chianti“ na katar żołądka. Nos jego przypominał subtelnością ostrze noża, a humorystyczna, ironicznie uśmiechnięta twarzyczka uczyniła się jakby porcelanową i nie większą od pięści dorosłego mężczyzny. Był on krewnym i Połanieckiego, i Maryni, dlatego mówił przy nich, co mu się podobało. Od progu niemal oświadczył im, że wobec coraz częstszych obecnie na świecie zbroczeń umysłowych, może tylko ubolewać, ale nie dziwi się, iż się zaręczyli. Przyjechał wprawdzie w nadziei, że potrafi ich jeszcze uratować, ale widzi teraz, że się spóźnił i że nie pozostaje mu nic innego, jak rezygnacja. Marynia, słysząc to, poczęła się oburzać, ale Połaniecki, który go lubił, rzekł:

— Zachowaj koncepta na mowę weselną, którą musisz powiedzieć, a teraz powiedz nam tylko, jak się ma nasze profesorzysko?

Na to Bukacki odpowiedział poważnie:

— Dostał pomieszania zmysłów.

— Niech pan nie żartuje w ten sposób — rzekła Marynia.

A Połaniecki dodał:

— I tak marnie.

Lecz Bukacki ciągnął z równą powagą:

— Profesor Waskowski ma pomieszanie zmysłów, a oto są moje dowody: po pierwsze, chodzi po Rzymie bez kapelusza, a raczej chodził, bo obecnie jest w Perugii; powtóre: napadł na młodą i przystojną Angielkę, dowodząc jej, że Anglicy są tylko w prywatnem życiu chrześcianami, ale że stosunek Anglii do Irlandyi nie jest chrześcijański; po trzecie: drukuje broszurę, że misya ożywienia i odrodzenia dziejów duchem chrześcijańskim powierzona została najmłodszym z Aryów. Pozwólcie, że to są dowody.

— Wiedzieliśmy to przed wyjazdem profesora, i jeśli nic więcej mu nie grozi, to mam nadzieję, że zobaczymy go w dobrem zdrowiu.

— On nie myśli o powrocie.

Lecz Połaniecki wy dobył notes, napisał kilka słów ołówkiem i podawszy Maryni, rzekł:

— Niech pani przeczyta i powie czy dobrze.

— Skoro przy mnie piszą, usuwam się — rzekł Bukacki.

— Nie, nie! — to nie sekret.

A Marynia zaczerwieniła się jak wiśnia z radości, i jakby nie chcąc oczom wierzyć, poczęła pytać:

— Czy to naprawdę? Nie?...

— To zależy od pani.

— Ach, panie Stachul... Anim o tem marzyła. Muszę powiedzieć papie, muszę!

I wybiegła z pokoju.

— Gdybym był poetą, tobym się powiesił — rzekł Bukacki.

— Dlaczego?

— Bo jeśli parę słów, skreślonych ręką współnika domu Bigiel i S-ka, może zrobić więcej wrażenia, niż najpiękniejszy sonet, to lepiej jest być chłopcem młynarskim, niż poetą.

Ale Marynia w uniesieniu radości zapomniała książeczki notatkowej, więc Połaniecki pokazał ją Bukackiemu, mówiąc:

— Czytaj.

Bukacki przeczytał:

„Po ślubie Wenecya, Florencya, Rzym, Neapol — czy dobrze?“

— Więc to podróż do Włoch?

— Tak. Wyobraź sobie, że to biedactwo nie było nigdy w życiu za granicą, a Włochy wydawały jej się zawsze zaczarowanym krajem, o którego widzeniu ani marzyła. To ogromna radość dla niej — a u licha, cóż dziwnego, że ja trochę myślę o jej przyjemnościach.

— Miłość i Włochy! O Boże, ileś ty już razy na to patrzył. Wszystko to stare, jak świat.

— Nie prawda! Zakochaj się, a obaczysz, że znajdziesz w tem coś nowego.

— Mój kochany! nie w tem rzecz, że ja się jeszcze nie kocham, tylko w tem, że się już nie kocham. Dawno wygrzebałem z piasku tego Sfinksa i nie jest już on dla mnie zagadką.

— Bukacki, ożeń się.

— Nie mogę. Mam za słaby wzrok i za słaby żołądek.

— Cóż to za przeszkoda?

— Bo widzisz, kobieta jest jak papierowa karta. Anioł pisze z jednej strony, dyabeł z drugiej, papier przebija, słowa się mieszają i robi się bigosik, którego ja nie mógłbym ani przeczytać, ani strawić.

— Że też ty możesz całe życie żyć conceptami.

— Tak samo umrę, jak i ty, który się żenisz. Nam się zdaje, że my myślimy o śmierci: ona o nas lepiej myśli.

Tymczasem Marynia wróciła z ojcem, który uściskał Połanieckiego i rzekł:

— Mówiła mi Marynia, że chcecie jechać do Włoch po ślubie.

— Jeśli moja przyszła pani się zgodzi.

— Przyszła pani nietylko się zgadza—odpowiedziała Marynia— ale straciła głowę z radości, i ma ochotę skakać po pokoju, jakby miała dziesięć lat.

Na to pan Pławicki rzekł:

— Jeśli krzyżyk samotnego starca może się wam przydać w daleką podróż, to was żegnam.

I wznosił oczy i rękę ku górze, ku niewymownej radości Bukackiego, lecz Marynia ściągnęła w dół wzniesioną rękę pana Pławickiego i, pocałowawszy ją, rzekła, śmiejąc się:

— Papsiu, będzie czas, toż my się dopiero tam kiedyś po ślubie wybieramy.

— I właściwie mówiąc — dodał Bukacki — to kupuje się bilety, oddaje się na wagę rzeczy i jedzie się — nie więcej.

Na to pan Pławicki zwrócił się do młodego cynika i odpowiedział z powmem namaszczeniem:

— Czy jużecie do tego doszli, że błogosławieństwo samotnego starca i ojca uważacie za zbytteczne?

Lecz Bukacki, zamiast odpowiedzi, objął w pól pana Pławickiego, pocałował go w okolicę kamizelki i rzekł:

— A czyby „samotny starzec“ nie zagrał w pikietę, żeby tym dwom szalonym głowom dać się wygadać?

— Ale z rubikonem? — odpowiedział pan Pławicki.

— Ze wszystkim, czego pan chce.

To powiedziawszy, zwrócił się do młodej pary:

— Najmijcie mnie za przewodnika po Włoszech.

— Ani myślę—odpowiedział Połaniecki. — Byłem tylko w Belgii i we Francyi, Włoch nie znam, ale chcę widzieć to, co nas będzie interesowało, nie to, co ciebie. Widziałem takich, jak ty, i wiem, że wy przez prerafinowanie dochodzicie do tego, że nie kochacie sztuki, tylko własne znawstwo.

Tu Połaniecki mówił dalej do Maryni:

— Tak, oni do tego dochodzą. Tracą poczucie wielkiej i prostej sztuki, a szukają czegoś, co może zająć jeszcze ich przesyć — i dowieść znawstwa. Nie widzą drzewa, tylko wyszukują sęków. Nie obchodzą ich najwięksi, których my pojedziemy oglądać, tylko jacyś najmniejsi, o których nikt nie słyszał; wydobywają jakieś nazwiska z pod ciemnej gwiazdy; zajmują się tą lub ową manierą, wmawiają w siebie i w drugich, że rzeczy gorsze, bardziej niedołążne, są ciekawsze od lepszych i doskonalszych. — My za jego przewodem moglibyśmy nie zobaczyć całych kościołów, a widzielibyśmy rozmaite rzeczy, które przez lupę trzeba oglądać. Mówię pani, że wszystko to przesyć, nadużycie i prerafinowanie — a my sobie prości ludzie.

Marynia patrzyła na niego z dumą, jakby chciała powiedzieć: „O to, to się nazywa mówić!“ Duma zaś jej wzrosła jeszcze, gdy Bukacki rzekł:

— Masz wszelką słusność.

Lecz oburzyła się, gdy po chwili dodał:

— A powtóre, gdybyś jej nie miał, przed tym oto trybunałem, nie wygrałbym sprawy.

— Przepraszam, ja wcale nie jestem zaslepiona.

— A ja wcale nie jestem znawcą sztuki.

— Owszem, pan jest.

— Jeśli jestem, tedy oświadczam, że znawstwo obejmuje tylko więcej szczegółów, wcale zaś nie przeszkadza kochaniu wielkiej sztuki, i niech pani wierzy, nie Połanieckiemu, ale mnie.

— Nie! Wolę wierzyć panu Połanieckiemu.

— Co było do przewidzenia — odpowiedział Bukacki.

Marynia poczęła spoglądać to na jednego, to na drugiego z trochę zakłopotaną miną, ale tymczasem pan Pławicki nadszedł z kartami. Narzeczeni chodzili pod rękę po pokojach, Bukacki zaś począł się wkrótce nudzić i nudził się coraz bardziej. W końcu wieczora, humor, który go ożywiał, zgasł, mała twarzyczka stała się jeszcze mniejszą, nos jeszcze ostrzejszym i wyglądał jak zwiędły liść. Wieczorem, gdy wyszli razem z Połanieckim, ten spytał:

— Coś ci zbrakło animuszu?

— Bo ja jestem jak maszyna — odrzekł Bukacki — póki mam w sobie paliwo, póty jadę, ale jak wieczorem ranny zapas się wyczerpie, to staję.

A Połaniecki spojrział na niego uważnie:

— Czemże ty w sobie palisz?

— Są rozmaite rodzaje węgla. Chodź do mnie, dam ci filiżankę dobrej kawy, to nas ożywi.

— Słuchaj, to jest delikatna rzecz, ale mnie ktoś mówił, że ty się oddawna morfinizujesz.

— Od bardzo niedawna, — odrzekł Bukacki — żebyś ty wiedział, jakie to horyzonty otwiera.

— I zabija. — Bój-że ty się Bogal

— I zabija. Powiedz mi tak szczerze, czy tobie kiedy przyszło do głowy, że można mieć poprostu nostalgię śmierci?

— Nie — rzekł Połaniecki — ja rozumiem rzecz przeciwną.

Na chwilę umilkli.

— Ale ja ci nie dam ani morfiny, ani opium — rzekł wreszcie Bukacki, tylko dobrej kawy i butelkę ucziwego Bordeaux. Będzie to niewinna orgia.

Po jakimś czasie doszli do mieszkania Bukackiego. Było to mieszkanie prawdziwie zamożnego człowieka, trącające nieco pustką, ale pełne drobiazgów, mających związek ze sztuką, obrazów i rycin. LAMPY paliły się w kilku pokojach, bo Bukacki nie znosił ciemności, nawet podczas snu.

„Bordeaux“ znalazło się w pogotowiu, a pod maszynką od kawy zapłonął po chwili błękitny płomyk. Bukacki wyciągnął się na sofie i rzekł nagle:

— Bo może ty jednej rzeczy nie przypuszczasz, że, jak mnie widzisz takiego filgranowego, jak jestem, ja nic a nic nie boję się śmierci.

— To jedno czasem przypuszczałem,—odpowiedział Połaniecki— że ty dowcipkujesz i dowcipkujesz, ludzisz sam siebie i drugich, a w gruncie rzeczy w tobie tego niema — i że to wszystko jest sztuczne.

— Głupota ludzka bawi mnie trochę.

— Ale ty, jeśli się masz za mądrego, jak mogłeś sobie tak marnie życie urządzić.

Tu Połaniecki obejrzał się na biblioty, obrazy i dodał:

— Bo w całym tem otoczeniu, ty jednak marnie żyjesz.

— Dostyc marnie.

— Ty także należysz do tych, którzy *udają!* Co za choroba w tem społeczeństwie! Pozujesz i całą rzecz.

— Czasem. Ale zresztą to się zmienia w naturę.

Bukacki zwolna, pod wpływem „Bordeaux“, ożywał się i stawał się rozmowniejszym, jakkolwiek nie powracała mu wesołość.

— Widzisz — rzekł — jednej rzeczy nie udaję. Oto wszystko, co sam mogłem sobie powiedzieć, lub co ktoś może mi powiedzieć, pomyślałem i powiedziałem sobie oddawna. Prowadzę najgłupsze i najbardziej czeże życie, jakie można prowadzić. Naokoło mnie jest ogromna nicość, której się boję i którą zarzucam takimi oto gratami, jakie widzisz w tym pokoju, żeby się mniej bać. Nie lękać się śmierci, to co innego, bo się po śmierci nie czuje, ani myśli. Wtedy ja będę stanowił także cząstkę nicości, ale czuć ją, żyjąc, uświadamiać ją, zdawać sobie z niej sprawę, dalibóg, nie może być nic podlejszego. Przytem stan mego zdrowia jest zły naprawdę i odejmuje mi wszelką energię. Nie mam w sobie paliwa, więc go sobie dodaję. Mniej też jest w tem poży i udawania, niż przypuszczasz. Że poddawszy sobie paliwa, biorę życie ze strony humorystycznej, to naśladowuję w tem chorego, który leży na tym boku, na którym mu leżeć najdogodniej. — Tak mi najdogodniej, a że pozycja jest sztuczna, zgadzam się; każda inna jednak była-by dokuczliwsza. I oto przedmiot wyczerpany.

— Gdybyś ty się wziął do jakiej roboty.

— Daj-że spokój. Naprzód ja mnóstwo rzeczy wiem, a nic nie umiem; powtóre, jestem chory; po trzecie, radź-że paralitykowi, żeby dużo chodził, kiedy on nie włada nogami. Przedmiot wyczerpany! Napij się oto wina i mówmy o tobie. To dobra panna, panna Pławicka, i dobrze robisz, że się z nią żenisz. Co ja tam sobie gadam w dzień, to się nie liczy. To dobra panna i ona ciebie kocha...

Tu Bukacki, ożywiony i podniecony widocznie winem, począł pośpiesznie mówić:

— Bo co ja po dniu gadam, to się nie liczy. Teraz jest noc, pijemy wino i przychodzi szersza chwila. Chcesz jeszcze wina, czy kawy? Lubię ten zapach: trzeba zawsze mieszać mokkę i ceylon w równych częściach... Przychodzi teraz szersza chwila! Wiesz, co ja w gruncie rzeczy myślę. Nie mam dobrego pojęcia, ile szczęścia może dać sława, bom jej nie posiadał, a że świątynia w Efezie już spalona, więc niema przedemną widoków... Przypuszczam jednak, ot tak sobie, że tę ilość mogła-by zjeść mysz, i to nietylko na czczo, ale po dobrem śniadaniu w szpitalu... Wiem natomiast, co jest dostatek, bo go trochę mam; wiem co są podróże, bom się włóczył; wiem, co swoboda, bom swobodny; wiem, co kobiety — oj, u dyabła! aż nadto! — i wiem, co książki. Prócz tego, w tym pokoju mam trochę obrazów, trochę rycin i trochę porcelany... A teraz słuchaj, co ci powiem: wszystko to nie! wszystko marność! głupstwo! próchno! w porównaniu z jednym sercem, które kocha. Ot rezultat moich spostrzeżeń—tylkom ja doszedł do tego na końcu, co dla normalnych ludzi jest początkiem.

Tu począł gorączkowo mieszać łyżeczką w kawie, a Połaniecki, który był bardzo żywy, zerwał się i rzekł:

— A ty bestyo jedna! a cóżes to gadał przed kilku miesiącami, że pyrgasz do Włoch, bo tam ani ciebie nikt nie kocha, ani ty nikogo nie kochasz. Pamiętasz, może się będziesz wypierał?

— A cóżem gadał dziś rano tobie i twojej narzeczonej? żeście powaryowali? a teraz tobie mówię, że dobrze robisz! Cóż ty chcesz ode mnie logiki? Gadać a mówić, to dwie rzeczy różne. A teraz jestem szerszy, bom wypił pół butelki wina.

Lecz Połaniecki począł chodzić po pokoju i powtarzać:

— No, dalibóg! to coś bajecznego. Ot jaki jest grunt rzeczy i co oni wszyscy mówią, gdy się ich przyciśnie.

Bukacki nalał trochę drżącą ręką drugą filiżankę kawy, i mówił dalej:

— Kochać — to już dobrze, ale jest jeszcze coś lepszego — to być kochanym. Nad to już niema nic! — Co do mnie, oddałbym te wszystkie... Ale o mnie nie warto mówić. Życie jest to lichy i bez talentu napisana komedia—nawet to, co ogromnie boli, bywa czasem jak lichy

melodramat, ale jeśli w życiu jest co dobrego, to tylko być kochanym. Wyobraź sobie, że tego nie znalazł — a tyś to znalazł, nie szukając...

— Tego nie mów, bo nie wiesz, jak mi to przyszło.

— Wiem. Mówił mi Waskowski... To zresztą wszystko jedno. Rzecz w tem, żebyś to umiał cenić.

— A czegoż ty chcesz? Rozumiem także, że mnie trochę kochają, więc żenię się i koniec.

Na to Bukacki położył mu rękę na ramieniu.

— Nie, Połaniecki. Ja jestem głupcem względem siebie samego, ale niezłym obserwatorem tego, co się koło mnie dzieje. To nie koniec — to początek... Większość mężczyzn mówi tak, jak ty: „żenię się — i koniec!“ — i większość się myli.

— Tej filozofii ja nie rozumiem.

— A to widzisz o to chodzi: nie dość kobietę wziąć — trzeba jej się także dać — i trzeba żeby to czuła. Rozumiesz?

— Nie bardzo.

— No, to udajesz naiwnego: trzeba żeby się czuła nie tylko własnością, ale i właścicielką. Dusza za duszę! — inaczej można kark skrócić. — Małżeństwa bywają dobre, albo złe. Maszki będzie złe dla dwudziestu powodów, a między innymi i dlatego, o którym chcę mówić.

— On jest innego zdania. — Ale dalibóg szkoda, żeś ty się nie ożenił, skoro tak dobrze rozumiesz, jak powinno być.

— Gdyby rozumieć i działać zgodnie z rozumem znaczyło toż samo — nie było-by rozmaitych — przerozmaitych — upadków, od których nas wszystkich kości bołą. Zresztą wyobraź sobie mnie żeniącego się!

Tu Bukacki począł się śmiać swoim cienkim głosem. Wróciła mu nagle wesołość, a z nią i widzenie rzeczy ze strony komicznej.

— Ty będziesz śmieszny, a cóż dopiero ja!... Boki zrywać, co to za chwila! — Obaczysz za dwa tygodnie... Naprzykład, jak się będziesz ubierał do kościoła. Tu miłość, bicie serca, poważne myśli, nowa epoka... w życiu, tam ogródek z bukietami, frak, zgubione spinki, zawiązywanie krawata, wciąganie lakierków — wszystko razem, jeden chaos, jeden bigos... Ratujcież mnie anieli niebiescy! Lituję się nad tobą, mój kochany — i proszę, byś nie brał na seryo tego, com mówił. Zdaje się, że to nów', a ja na nowiu miewam manię mówienia sentymentalnych komunałów. — Wszystko głupstwem!... To nów' — nie więcej! Byłem tkliwy jak owca, która straciła pierworodne — i niech mnie kaszel porwie, jeśli nie mówił komunałów.

Lecz Połaniecki napadł na niego:

— Widziałem mnóstwo rzeczy marnych, ale wiesz, co mi się wydaje najmarniejszem w tobie i w tobie podobnych? Oto że wy, którzy wyzwalacie się ze wszystkiego, nie uznajecie nad sobą nic, boicie się

jak ognia każdej uczciwej prawdy, dlatego tylko, że ktoś kiedyś mógł ją już wypowiedzieć. Jakie to liche, to dalibóg słów brak! Co do ciebie, mój kochany, szerszy byłeś przed chwilą, niż teraz... Teraz znów jesteś pudłem, który tańczy na dwóch nogach — ale ja ci powiadam, że dziesięciu takich, jak ty, nie wytłómaczy mi, żem nie wygrał wielkiego losu na loteryi.

I pożegnał Bukackiego z pewnym gniewem — w drodze jednak uspokoił się i powtarzał ustawicznie:

— Ot, gdzie prawda! ot, co mówi taki Maszko i nawet taki Bukacki, gdy chce być szczerym — a ja wygrałem poprostu wielki los — i nie strwonię tego, com wygrał.

Poczem, wróciwszy do domu i spojrzawszy na fotografię Litki, rzekł głośno: „moje kociątko kochane!...“ Aż do chwili zaśnięcia myślał następnie o Maryni ze słodyczą i zarazem ze spokojem człowieka, który czuje, że jakieś wielkie zadanie życiowe zostało stanowczo rozwiązane i dobrze rozwiązane.

Bo jednak, mimo słów Bukackiego, był przekonany, że gdy się ożeni — to tem samem wszystko będzie rozstrzygnięte i skończone.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HENRYK SIENKIEWICZ.

Izby wyższe i arystokracja nowożytna.¹⁾

STUDYUM POLITYCZNE.

Izba panów pruskich, powołana do życia dekretem królewskim z 1854 r., zawiódła najbardziej ze wszystkich pobratymczych instytucji niemieckich oczekiwania prawodawcy. Co prawda, to i w przededniu reformy 1854 roku, sfery rządowe nie łudziły się zbyt dobrem mniemaniem o wykształceniu i zmyśle politycznym arystokracji pruskiej. Wiadomem było, że o jej opór rozbiły się reformy Hardenberga i Steina w r. 1821, zamierzające przeistoczyć samorząd gminny, a tem samem stworzyć spoiwą podstawę dla przyszłego gmachu konstytucyjnego²⁾. Postanowiono więc powołać do izby panów również żywioły ruchliwsze i jak się zdawało, podatniejsze dla nowych potrzeb i prądów. Obok starożytnych rodów, w liczbie 66, zasiadających w izbie panów, pojawili się tłumniej reprezentanci związków hrabiowskich i większej własności ziemskiej, wybierani przez odpowiednie grupy elekcyjne i zatwierdzani przez monarchę. (242)

Większość owej średniej szlachty, przedstawiająca czezy tytuł hrabiowski lub własność ziemską, posiadaną przez pewną liczbę lat

1) Dokończenie. Patrz zeszyt lutowy „Biblioteki.“

2) *Treitschke*. Das Zweikammersystem und das Herrenhaus. Str. 388, a na str. 422 czytamy: „Preussens niederer Adel kämpfte oftmals trotzig an gegen die schöpferischen Gedanken seiner Könige, die vollzogenen Neuerungen hat er immer anerkannt und zu benutzen verstanden.“

w jednym rodzie, zniechęciła istotną arystokrację pruską do uczęszczania na posiedzenia izby ¹⁾ i wszczepiła w tę korporację ducha niesforności, który wywołał słowa surowej nagany ze strony poważniejszych mężów stanu oraz historyków. Treitschke wyraża się o elementach wyborczych w izbie panów pruskich prawie z pogardą ²⁾, Roesler, oględniejszy zazwyczaj w słowach, nie znajduje jednak nic na usprawiedliwienie tej egoistycznej szlachty ³⁾, a Lasker nie może dość ubolewać nad tem, z jakim brakiem wszelkiego zmysłu politycznego, czyniła wszystko na przekór koronie ⁴⁾, zaparłszy się niekiedy nawet monarchicznych tradycyi. Z takich żywiołów złożona izba wyższa pruska musiała wywoływać nieustanne domaganie się reformy. O chwilowem wzmocnieniu jej sił politycznych za pośrednictwem gromadnej nominacyi panów (Pairschub) nie myślano nawet, gdyż w możność odrodzenia się tej korporacyi nie wierzono wcale. Wszyscy też łącznie z księciem Bismarckiem byli tego przekonania, że chcąc osiągnąć z systemu dwuizbowego należyte korzyści, trzeba koniecznie przeistoczyć organizm izby panów, a to powołując doń elementa sforniejsze i politycznie wykształcześnie ⁵⁾.

W Austrii, z chwilą trwałego przyjęcia się porządku konstytucyjnego (1861), zaprowadzono izbę panów ⁶⁾, do której monarcha powoływał dziedzicznie rody historyczne pojedynczych krain, odznaczając przytem dożywotniemi miejscem w izbie wszelką publiczną zasługę. Wysokie rody austriackich krain przechowały spory zasób poczucia dziejowego posłannictwa wraz z gorącym przywiązaniem do tronu. Wykształcenie ich polityczne, z tych samych przyczyn, co i w innych państwach kontynentalnych, nie mogło się należycie wyrobić, ale, jak trafnie książę Czartoryski w mowie, wygłoszonej w r. 1867 przepowiedział, samorząd prowincjonalny miał się stać dla Austrii zwiastunem politycznego i społecznego pojednania ⁷⁾. Po roku 1861 nie brakło w Austrii głosów, domagających się dwóch izb, lecz obu wybieralnych, z których, jak zwykle w państwach związkowych, jedna byłaby izbą

¹⁾ *Rösler*. Studien zur Fortbildung der preussischen Verfassung. Część II. Str. 27.

²⁾ Das Zweikammersystem und das Herrenhaus. Str. 395.

³⁾ Studien zur Fortbildung der preussischen Verwaltung. Część II. Str. 26.

⁴⁾ Zur Verfassungsgeschichte Preussens. Str. 251 i wogóle cały rozdział p. t. Das Herrenhaus.

⁵⁾ *Treitschke*. Das Zweikammersystem i t. d. Str. 415.

⁶⁾ Die neue Gesetzgebung Oesterreichs, erläutert aus den Reichsrathsverhandlungen. St. 105 i dalsze, zamieszczone jest prawo z 21 gr. 1867 r., modyfikujące ustawę z 1861 r. o reprezentacyi państwowej, a tem samem i o izbie panów.

⁷⁾ Die neue Gesetzgebung Oesterreichs i t. d. Str. 246.

krajów (Länderhaus), a druga izbą ludów austriackich (Volkshaus) ¹⁾. Wśród dyskusji parlamentarnej w r. 1867, nie oszczędzono również arystokracji gorzkich wyrażań, nazywając ją wogóle gniazdem feudalizmu, które z życiem konstytucyjnym nigdy zespolić się nie potrafi ²⁾. Pokazało się jednak wkrótce, że samorząd prowincjonalny wciągnął do życia publicznego arystokratyczne żywioły austriackich krain. Pogodziwszy się zaś z nowym porządkiem państwowym i prowincjonalnym, arystokracja zrozumiała doniosłość zjednoczenia austriackiego i konieczność bronienia całości państwowej.

Czy izba austriackich panów zawsze idealnie wypełniała swe polityczne zadania, trudno dziś osądzić należycie, bo czasy same są jeszcze zbyt bliskie i nie przystępne wytrawnemu historycznemu wyrokowi. Mniemać jednak wolno, że porównania z kontynentalnymi izbami wyższymi, wspartymi na zasadzie dziedziczości, panowie austriaccy wstydzili się nie potrzebują. Z tego powodu ani mężowie stanu, ani uczeni, nie domagali się jej radykalnego przeistoczenia i w każdym razie wysokiej zasługi dla porządku konstytucyjnego izbie wyższej austriackiej odmówić nie można.

Izba magnatów węgierskich doznała w 1861 r. tylko pomniejszych przeistoczeń, które jej dawnego dziedzicznego typu nie przeistoczyły ³⁾. W roku 1848 rozpoczęła się jednak dla Węgier nowa era społeczna, zbliżająca wszystkie klasy narodu, pod wpływem ogólnej klęski i dzięki uwłaszczeniu włościan. Odrodzone życie polityczne Węgier musiało w 1861 r. utracić swój wyłączny szlachecki charakter i w tej nowej erze, samorząd komitatowy, pomimo wadliwej organizacyi, był szkołą publiczną dla magnatów, którym Treitschke nie szczędził pochwał i uznania ⁴⁾.

Izby wyższe, wypełnione przeważnie żywiołem urzędniczym, nie zdobyły sobie uznania, nie ziściły pokładanych nadziei. Francuska izba wyższa za czasów monarchii orleańskiej oraz senaty Napoleońskiej, nie mogąc liczyć na poparcie legitymistycznych rodów, posługiwać się musiały dygnitaryatem urzędniczym, z którego miała powstać nowa arystokracja, przejęta nawskroś przywiązaniem do tronu i obznajomiona fachowo ze sprawami administracyjnymi. Chociaż kwestya agrarna

¹⁾ Die neue Gesetzgebung Oesterreichs. Str. 114.

²⁾ Die neue Gesetzgebung Oesterreichs. Str. 139 (głos Schindlera) o arystokracji: „seit dem Mittel alter finden wir sie eine Rolle spielen, die gleich nachtheilig dem Volke, gleich nachtheilig dem Throne ist.“

³⁾ Ulbrich das Staatsrecht der oester. ungarischen Monarchie (Marquardsen) str. 156—podamy skład izby magnatów obowiązujący po dziś dzień.

⁴⁾ Das Zweikammersystem und das Herrenhaus. Str. 406.

we Francji nie wywierała rozkładowego wpływu przechowywaniem dawnych pańszczyznianych naleciałości, to jednakże załatwienie jej nagle i gwałtowne podczas wielkiej rewolucji wytworzyło centralizację administracyjną, która wszelkie objawy samodzielnego życia miejscowego dusiła w swym niemiłosiernym uścisku ¹⁾. Mechanizm administracyjny, centralizujący władzę, musiał się składać z urzędników fachowych, którzy rozkazywali jedynie społeczeństwu, a nie pracowali z niem wspólnie w instytucjach samorządnych i tą pracą nie zdobywali sobie jego zaufania. Personel administracyjny przy systemie centralizacyjnym był niezaprzeczenie wielką podporą rządu, a zasłużeni urzędnicy, ozdobieni dożywotną godnością para lub senatora, mogli technicznym opracowaniem prawa państwowego i administracyjnego oddać prawodawcy niejedną rzetelną usługę. W każdym razie jednak powagi i zaufania wśród społeczeństwa, pierwiastki urzędnicze, nie wyrobione w szkole samorządu, zdobyć sobie nie były w możności. Objawiając też przy każdej sposobności uniżoność, przerażającą się niekiedy w niski serwilizm względem korony, nie wzniosły się one na wyżyny, gdzie duch poświęceń obywatelskich panuje, i fachowego wykształcenia administracyjnego nie zdołały przemienić w rzetelne wykształcenie polityczne. Słowa, które wyrzekł Napoleon, gdy mu w roku 1814 w Fontainebleau odczytano akt detronizacji, uchwalony przez senat, przesądzają o wartości dawniejszych izb wyższych, wytworzonych z materiału urzędniczego. „Un signe etait un ordre pour le sénat qui toujours faisait plus qu' on ne désirait de lui“, oświadczył zdetronizowany cesarz, a tem samem dał do zrozumienia, że senat był dlań pobudką do despotycznych zachcianek, bo jakżeż się im oprzeć, będąc otoczonym przez niewolników ²⁾.

Pozostały jeszcze państwa, gdzie prawodawca zwątpił zupełnie o politycznej i społecznej sile arystokracji rodowej, zarówno jak i o poczuciu samoistności pierwiastków urzędniczych, i dla tego oparł izbę wyższą na zasadzie wyborczej, wprowadzając do samych wyborów biernych, lub też do wyborów czynnych i biernych, stosowne

¹⁾ *Fivées*. De la pairie, des libertés locales et de la liste civile, str. 42 i dalsze znajdują się cenne uwagi odnośnie do centralizacji administracyjnej, skłaniające autora do tego, że monarchię Bourbonów i Orleanów nie nazywa konstytucyjną, lecz „monarchie ministerielle“, a prócz konstytucji domaga się „une charte administrative“, c'est-à-dire une garantie legale de stabilité pour les agens de l'administration.

²⁾ *Durdent*. Histoire critique du sénat - conservateur i t. d. Str. 5.

ograniczenia ¹⁾). Literatura polityczna posiada wyborną pracę ²⁾, która pozwala dokładnie zapoznać się z wartością arystokracji izb wyższych, obu typów, dopiero co wymienionych, t. j. takiego, gdzie tylko elekcji muszą być wybierani z pierwiastków wykształceńszych i samodzielniejszych (Belgia 1830 r.) i takiego, gdzie skala podwyższonych wymagań zastosowaną została nietylko do wybranych, ale i do wyborców (Hollandya 1848. Francya 1875).

Zdawało-by się, że w Belgii, gdzie od 1830 r. ci sami wyborcy wybierali obie izby i tylko z odmiennych żywiołów wybierać byli zmuszeni, niebezpieczeństwo wytworzenia jednego organu politycznego, na dwie sekcyje podzielonego, było prawie nieuniknionem. Arystokracja belgijska została zniweczona przez rewolucyę francuską, a urok jej w oczach mas ludowych niepowrotnie starty ³⁾; prawdopodobieństwo zatem tego, aby wyborcy z jej szczątków mieli stworzyć izbę wyższą, było bardzo małe i prawie niemożliwe. Z tem wszystkiem jednak, żywiołom, powołanym do senatu belgijskiego, nie brakło ani energii, ani doświadczenia politycznego; zdobyli się nawet senatorowie w r. 1851 na poważniejszy opór izbie deputowanych, a w r. 1864 i 1879 ustąpili dopiero po długich dyskusjach. Zazwyczaj jednak odsyłali projekta do uzupełnienia deputowanym i potrafili na nich niejednokrotnie wymóżyć poprawki, czem wyświadczyli prawodawstwu nie małą przysługę ⁴⁾.

Nierównie doskonalsze przymioty wykazała arystokracja izb wyższych, wybranych pośrednio we Francyi (1875) i w Hollandyi (1848). Republikański senat Francyi z 1875 r. coraz mniej zawierał w swym składzie szlachty rodowej ⁵⁾, a coraz więcej szlachty z ducha i z zasługi. Dzięki temu, godność senatorska pozostała otoczona szacunkiem, a krzesło kurulne było pożądanym i upragnionym zaszczytem ⁶⁾.

¹⁾ *Bard et Paul Robiquet. La constitution française de 1875, étudié dans ses rapports avec les constitutions étrangères.* Str. 202 i dalsze, przedstawiono porównawczo ograniczenie prawa wyborczego do izb wyższych, zarówno czynnego, jak i biernego. Pokazuje się z tego, że np. w Belgii, gdzie prawo wyborcze czynne jest takie samo, jak do izby deputowanych, prawo wyborcze bierne ulega znacznym ograniczeniom. Str. 221, porównać. *Pierre. Traité de droit politique electoral et parlementaire.* Str. 128—171. We Francyi prawo wyborcze czynne i bierne do senatu ulega specjalnym ograniczeniom, których nie spotykamy w wyborach do izby deputowanych.

²⁾ *Pifféroen. Du Sénat en France et dans les Pays-Bas, avec une préface sur le sénat en Belgique par I. van den Heuvel.* Bruksella, 1892.

³⁾ *Du Sénat* i t. d. Str. 8.

⁴⁾ *Tamże* str. 16.

⁵⁾ *Tamże* str. 36.

⁶⁾ *Tamże* str. 34.

Senatorów republikańskich ożywiały te same prądy liberalne, co i resztę wykształconej Francji; sprzyjali oni gorąco reformom socyalnym, poczuwając wstręt do socyalizmu ¹⁾, w niebezpiecznej chwili zdołali się oprzeć nawet popularnemu Gambecie (*Scrutin de liste* ²⁾), a krótką ich egzystencją zdołali i ta niepoślednia zasługa, że dwukrotnie (1877 i 1889) uratowali nawę rzeczypospolitej od rozbitcia ³⁾.

Te same prawie pochwały dadzą się powtórzyć o arystokracji wyborczej senatu Hollandyi. Stany prowincjonalne, wybierając senatorów, pamiętały niekiedy za dużo o interesie partykularnym, ale uwzględniały do tego stopnia publiczną zasługę, że nie znajdując jej u siebie, wyszukiwały ją w sąsiedniej prowincyi ⁴⁾. Jakkolwiek też dawniej nadawano senatowi Hollandyi nazwę „Chambres des Cresus“, lub „Chambres des bourgmestres“ ⁵⁾, nie stracił on nigdy poczucia łączności z resztą społeczeństwa, z jego potrzebami i pragnieniami, a chociaż samodzielność senatu wobec izby deputowanych nie mogła być tak wielką, jak we Francji, gdyż nie posiadając prawa poprawiania projektów, senat był jedynie rodzajem izby kasacyjnej, to jednakże wywierał na prawodawstwo wpływ bardzo dodatni, chociaż tylko uprzedzający, przewencyjny ⁶⁾, a to dzięki temu, że zawierał w swem łonie mężów, którym nikt bezstronny nie był w stanie odmówić wysokiej wartości intelektualnej ⁷⁾. W żadnym z tych państw nie ciśnięto też na izby wyższe stanowczem, z poważnego źródła płynącym, potępieniem, a Treitschke zaliczył Hollandyę do krajów, w których izba wyższa cieszy się wielkiem uznaniem wzamian za wielkie pożytki, które porządkowi konstytucyjnemu przynosiła ⁸⁾.

Pozostaje na końcu jeszcze jedna kwestya do rozważenia, a mianowicie: czy wobec tego, że izby wyższe nie urzeczywistniły pokładanych w nich nadziei, przynajmniej w tym stopniu, jak tego oczekiwano, należy je uważać za organ zbyteczny w konstytucyjnym ustroju? a tem samem i system dwuizbowy za nieodpowiedny celowi? Uprzedzić winienem, że największe powagi w zakresie nauk politycznych nie zdobyły się na potępienie izb wyższych dziedzicznych, dożywotnich, czy też wybieralnych, i dziwić się ich pobłażliwości nie będzie ten, kto uważnie śledził rozwój konstytucjonalizmu w XIX wieku. Nie

¹⁾ Tamże str. 51.

²⁾ Tamże str. 46.

³⁾ Tamże str. 48.

⁴⁾ Tamże str. 106.

⁵⁾ Tamże str. 104.

⁶⁾ Tamże str. 119.

⁷⁾ Tamże str. 105.

⁸⁾ Das Zweikamersystem und das Herrenhaus. 406.

tylko bowiem same izby wyższe przyczyniły się do rozwiania wielu iluzji, nie tylko one składały się na wytworzenie owego „constitutionalism - bâtard”¹⁾ i nie tylko izbom wyższym stawiano za wzór niedoścignione, jak się później pokazało, ideały. Temu samemu losowi uległy izby deputowanych, a gdyby do nich chciano zastosować bezwzględny wyrok, nie miarkowany politycznym rozsądkiem, to by system reprezentacyjnych rządów stracił racjonalne podstawy istnienia i to dla tego jedynie, że od razu nie stał się doskonałością, organizującą nowe potrzeby państwowego życia.

Izby wyższe nie mogą być też oceniane w oderwaniu, lecz na tle całości życia konstytucyjnego. Nie wolno od nich wymagać wyjątkowych przymiotów, rozgrzeszając inne współczynniki prawodawcze z wielkich niedostatków; krytyka winna być też równomierną dla wszystkich instytucji konstytucyjnych i wykazywać przyczyny błędów w celu ich usunięcia, a nie przystoi jej jednostronnym sądem piętnować korporacyi, bez której mechanizm konstytucyjny byłby jeszcze o wiele wadliwszym. Przypomnieć też sobie przedewszystkiem należy, że cały porządek konstytucyjny na stałym łądzie kulał silnie, a objaw powyższy był nawet nieunikniony z tego względu, że społeczeństwo, przyzwyczajone do gwałtownego dopominania się o swobody polityczne oraz o udział w prawodawstwie, nie przyuczyło się równocześnie do wykonywania publicznych obowiązków, jakich porządek konstytucyjny domagał się od każdego obywatela. Masy wyborców, zarówno jak i wybrani, poświęcali przeważnie temu uwagę, co wziąć można od państwa, a zapominali lub lekceważyli drugą kwestyę, która nakazywała zastanowić się nad tem, co państwu wzamian dać należy. Jeżeli też, podług wymagań teoryi, wyborcy powinni byli przy urnie zatrzeć w sobie różnice klasowe i uosabiać pragnienia całego ludu, to praktyka przekonywała stale inaczej, z tem dodatkowem nadmienieniem, że do 1848 r. w wielu państwach kontynentalnych wykluczono masy pracowników gleby i że egoizm klas bogatszych był zazwyczaj gwiazdą przewodnią politycznych wyborów.

Prawo wyborcze, doszedłszy nawet do możliwego równouprawnienia wszystkich w głosowaniu powszechnem, nie zdołało się pozbyć socyalnego piętna, zastępującego dobro ogólne stroniczym interesem. Być bardzo może, że właśnie dzięki głosowaniu powszechnemu, piętno powyższe, zadające kłam oczekiwaniom teoryi, spotęgowało się skutkiem

¹⁾ *Duvergier de Hauranne*, Histoire du gouvernement parlementaire en France. T. IV. Str. 256. Jordan tem określeniem nazwał konstytucjonalizm za czasów Bourbonów wykrzywiany samowolnie przez administracyę państwową.

bezwzględniejszej i namiętniejszej walki stronnicej. Niejednokrotnie też z urny wyborczej wychodziła fałszywa większość parlamentarna ¹⁾, dzięki temu, że przebiegłość i energia zdołały mniejszości wyborców, przy pomocy różnych kombinacji, zapewnić tryumf. Nawet w Anglii sfery arystokratyczne wpływały tak potężnie na politycznie wybory, że izbę gmin można było chyba dla tego uważać za objaw woli i potrzeb całego narodu, że bez względu na wpływy i różnice stanowe członkowie gmin przejęci byli świadomością obowiązków publicznych i stali wytrwale na straży potrzeb całego narodu. Samorząd miejscowy był też zarówno dla izby lordów, jak i dla izby gmin, wyborną wstępną szkołą parlamentarnego życia, a emancypacja klas rolnych oraz równość prawna, przeprowadzona oddawna, złagodziły niechęci stanowe i wywołały ten znamieny objaw, że klasy posiadające uważały się za naturalnych opiekunów klas uboższych.

Lecz za to izby deputowanych stałego ładu, powstałe z wyborów, na które rządy, zarówno jak i bogatsze klasy wpływały często „per fas et nefas,“ nie były do zbytku uposażone w żywioły polityczne dojrzałe. Żywiołów tych społeczeństwa kontynentalne posiadały nie wiele i z tego powodu izby deputowanych z namiętną gorączkowością uganiały się za niepochwytnymi widziadłami liberalizmu, uważając walkę z rządem i obrażanie korony za swe przewodnie hasło. Niekiedy znowu izby deputowanych, przerzucając się w drugą ostateczność, posuwały usłużność swą dla rządu do upokarzającego serwilizmu, stwarzając owe „chambres introuvables“, które nie mogły rościć pretensji do uosabiania woli całego narodu. Nawet po 1848 r., gdy grono wyborców rozszerzało się nieustannie i gdy przypuszczać było można na pewno, że izby deputowanych opierają się na całych masach ludu, nie zyskały one ani tej powagi, ani tego uznania w społeczeństwie, jakiego teoretycy się spodziewali. W roku 1865, późniejszy książę Bismarck, nie bez głębokiego przeświadczenia, zauważył, że gdyby król kazał armii zamknąć wszystkich posłów pruskich pod kluczem w Spandawie, niewątpliwie-by rozkaz wykonano, choćby do tego nie powołano Bismarcka, jako konstytucyjnego ministra ²⁾. W tej charakterystycznej opo-

¹⁾ *Vernes*. Des principes de la représentation proportionnelle, des procédés proposés pour l'assurer et de leur application à la France. Str. 11 i dalsze.

²⁾ *Bluntschli*. Denkwürdiges aus meinem Leben III. Str. 202. (Słowa Bismarcka) Dabei hat der König das Bewusstsein dass seine Befehle von der Armee unbedingt befolgt werden. Wenn en mir sagte: „Schicken sie alle die Herren des Abgeordneten Hauses nach Spandau“ so sage ich nicht, dass ich das als constitutioneller Minister thun würde (mit Lächeln) aber ich sage, dass der König. und nicht ohne Grund, ueberzeugt sei dass sein Befehl von der Armee befolgt würde.

wieści tkwi jednak wyraźny dowód, że Bismarck za najpotężniejszy czynnik państwowego życia uważał monarchizm, a izbę deputowanych za cacko dekoracyjne, które zbytnio rozbawionemu liberalnemi frazesami narodowi można było na czas jakiś schować bezpiecznie do fortecy.

Szeregi błędów, popełnianych przez izby deputowanych, zarówno jak i szeregi egoistycznych objawów, okazywanych przez wyborców, nie skłoniły jednakże politycznej nauki do potępienia systemu reprezentacyjnego i do odmówienia społeczeństwu prawa udziału w prawodawstwie oraz w samorządzie miejscowym. System reprezentacyjny bowiem był ustrojem młodym, z którym się społeczeństwo żyć musiało, a pomysłnemu krzewieniu się kardynalnych zasad porządku konstytucyjnego stało dużo dawnych naleciałości na przeszkodzie, które w zaraniu politycznych wyborów lub obrad parlamentarnych kusily się o powrót do dawnych rządów, nienawidzących nowego porządku. Z tego powodu też urzeczywistnienie teoretycznych ideałów doznawało nieustannego opóźnienia, ale to bynajmniej nie skłoniło nauki do potępienia izby wyższej lub izby deputowanych. Uganianie się za absolutnie doskonałemi instytucjami może doprowadzić w rzeczywistości, jak to słusznie Story zauważył, do chaosu i anarchii ¹⁾. Stawiając też wysokie wymagania społeczeństwu, trzeba przedewszystkiem wykształcić je politycznie, a cele tej doniosłości nie osiągną się w krótkiej dobie, a tem mniej w jednej chwili za pośrednictwem prawodawczej uchwały. Bez dojrzałości politycznej społeczeństwa, daremny-by było oczekiwanie doskonałego funkcjonowania konstytucyjnego porządku. Liczne błędy i zawody stały się więc koniecznością, ale właśnie dzięki tym błędom, społeczeństwa dojrzewały i ustrój konstytucyjny mógł się rozwijać oraz przybierać pełniejsze kształty.

Doświadczenie, zdobyte w mozolnej pracy, skłoniło też polityczną naukę do uznania, że izby wyższe nie zasługują bynajmniej na potępienie za okazane usterki, od których zresztą cały ustrój reprezentacyjny nie był nigdy wolny, lecz że tkwi w nich konieczny czynnik prawodawczy i dla tego należy pracować nad jego możliwym udoskonaleniem, aby posiadał choć w przybliżeniu te przymioty, jakich od niego wymaga polityczna nauka. Mill też, który zwątpił, ażeby w rzeczywistości doskonałą izbę wyższą zorganizować było można, dał się jednak skusić reformacyjnym pragnieniom i skreślił obraz senatu, który-by dzisiejszym wymaganiom jak najlepiej odpowiedział ²⁾. Nie zdobywa się też Mill, mimo filozoficznego usposobienia, skłonnego do apodyktyczności, na po-

¹⁾ „Das Bundesstaatsrecht der vereinigten Staaten Nordamerikas,“ str. 342.

²⁾ Betrachtungen ueber Repräsentativverfassung (tl. Wille). Str. 163.

tępienie systemu dwuizbowego, ale już w instytucji dwóch konsulów rzymskich widzi dowód, że żadna funkcyja władzy państwowej nie może być złożoną w rękę jednego człowieka, lub powierzoną jednej instytucji. Bagehot, który tak surowym okazał się sędzią dla zasłużonej i sędziwej izby lordów, przyszedł jednak do tego przekonania, że tylko idealna a więc wymarzona izba gmin może się obejść bez lordów, taka jednak, jaka istnieje, wymaga dla osiągnięcia dojrzałszej prawodawczej pracy izby wyższej ¹⁾ i chodzi jedynie o to, aby tę izbę zorganizować odpowiednio i skupić w niej polityczny rozsądek.

Treitschke, również jak Bagehot, surowy krytyk niemieckich izb wyższych, łącznie z pruską, usprawiedliwia prawodawcę konstytucyjnego zjednoczonych Niemiec, iż nie był w możności zorganizowania izby wyższej, ale bynajmniej nie utrzymywał, aby izba wyższa dla prawodawczego ustroju mocarstwa niemieckiego w przyszłości była zbyt dużą lub niepotrzebną. W panujących nad krainami niemieckimi widział Treitschke wyborny materiał do wytworzenia wybornej dziedzicznej izby wyższej, będącej zarazem piastunem wielkiej tradycyi historycznej ²⁾, a Roesler, mimo smutnych doświadczeń, uczynionych z izbą panów pruskich, nie traci nadziei wytworzenia z niej wybornego czynnika prawodawczego, za pomocą przeistoczenia rady państwa w izbę wyższą i przez uzupełnienie urzędniczego pierwiastku dziedzicznym elementem wysokiej rodowej arystokracji ³⁾. Wreszcie Heuvel zauważył trafnie ⁴⁾, że w najniższych łóżyskach społecznych spotyka się najwięcej zwolenników reform nagłych i gorączkowych. Głosowanie powszechne zatem wprowadziło dużo palnego materiału do izb deputowanych i dla tego, aby państwu zapewnić trwały rozwój, a mniejszościom parlamentarnym dać należyłą opiekę, nietylko potrzeba izby wyższej takiej, jakie dziś istnieją w Belgii, Francji i Hollandyi, ale trzeba koniecznie korporacji jeszcze silniejszej i więcej wpływowej, niż dotychczasowe wybieralne senaty, a Prins przytacza poważne zdanie, upatrujące w senacie, reprezentującym wszystkie wielkie siły społeczne, jedyny ratunek dla nowożytnej demokracji ⁵⁾.

¹⁾ Englische Verfassungszustände. Str. 144: aber obgleich neben einem idealen Hause der Gemeinen die Lords unnöthig sein würden und desshalb schaden bringend, so ist doch neben dem gegenwertigen Hause eine revidierende Versammlung, die zu ihrem Behufe hinreichend freie Zeit hat, ausserordentlich nutzbringend, wen nicht nothwendig.

²⁾ „Das Zweikammersystem und das Herrenhaus.“ Str. 415 i dalsze.

³⁾ Studien zur Fortbildung des preussischen Verfassung. Cz. II. Str. 33 i dalsze.

⁴⁾ *Pyfferoen. Du Sénat* i t. d. Str. 21 i 41.

⁵⁾ *La démocratie et le régime parlementaire.* Str. 203.

Nie tylko więc, że polityczna nauka nie wyrzekła kondemnaty na izby wyższe, ale nawet gwoli ultra-demokratycznym wymaganiom nie zdobyła się na uczynienie ich wszystkich wybieralnemi, czyli, że nie wyrzekła się gdziekolwiek zasady dziedziczności nierozdzielnej z arystokracją rodową. Niewątpliwie owo pozorne uprzywilejowanie w życiu konstytucyjnym wielkich fortun, w połączeniu z tradycyjną pracą polityczną, stawało w jaskrawej sprzeczności z logicznym rozumowaniem, domagającym się absolutnego równouprawnienia wszystkich w nowożytnym państwie. Nauka zatem i prawo obowiązujące, broniąc wspólnie zasady dziedziczności w izbach wyższych niektórych państw, musiały mieć ważne polityczne powody do zachowania arystokratycznym rodowym żywiołom wyjątkowego stanowiska i miały niewątpliwą nadzieję, że z tego nieszkodliwego, dekoracyjnego odznaczenia wypłyną dla nowych rządów liczne i niezaprzeczone korzyści. Powody i nadzieje, którym nie można było odmówić głębszego uzasadnienia, istniały rzeczywiście, a można je streścić w argumentach następujących.

Anglia najlepszym była przykładem, do jakiego stopnia emancypacja włościan i zjednoczenie wszystkich klas narodu, za pośrednictwem selfgovernmentu, pobudza arystokratyczne żywioły do zasługiwania się bądź to miejscowemu społeczeństwu, bądź to państwu. Po uwłaszczeniu włościan, gdy znikły resztki władzy patrymonialnej, arystokracja kontynentalna powołaną została do równego ponoszenia ciężarów państwowych i zgora przywilejów, wyzyskujących lud, pierzchnęła prawdopodobnie na zawsze. Rozdrażnienie, wywołane uwłaszczeniem włościan i paraliżujące na razie rozwój samorządu lokalnego, nie mogło trwać wiecznie. Życie gminne, prowincjonalne i państwowe, wołało o pracę wspólną i zgodną, a od żywiołów samodzielnych społecznie i tradycyjnie nawykłych do politycznej służby oczekiwano pierwszego przełamania lodów, t. j. pierwszego zbliżenia się do klas uboższych, a następnie zdobycia ich szacunku i zaufania, temi samemi środkami, jak to miało miejsce w W. Brytanii.

Nauka nowożytna przyszła do przekonania, że samo pojęcie równości prawnej nie zdoła konstytucyjnego porządku uratować od zupełnego bankructwa ¹⁾). Swobody polityczne, których w początku XIX

¹⁾ *Woronicz.* Pisma rozmaite. Kazanie z 10 marca 1809 r. Str. 193—197. Zastanawiając się nad § 4 konstytucji ks. Warszawskiego, zaprowadzającym równość prawną, powiada do szlachty: „Zostawiono to więc waszej szlachetności, abyście te nieoswojone jeszcze z nowym bytem niedorosłki, z pod starszeństwa waszego na chleb własny wyprawując, nie usuwali im tej dobroczynnej opieki, która by je przyzwyczajeniem oświeceniem, skierowaniem, zapomożeniem do korzystania z daru

wieku domagano się z taką niecierpliwością, wywołały w nieuknionem następstwie uciążliwe obowiązki i ciężary, którym ubogie masy sprostać nie były w możności. Równość w zakresie prawa państwowego nie łagodziła sama przez się cierpień socyalnych. Świetny gmach konstytucyjny, zaspakajający ambicje wykształconego i dostatniego obywatela, był dla wyzutych z własności robotników zaklętym przybytkiem, przez którego próg prawie przestąpić nie byli w stanie. Za to, że przy uczcie, jaką porządek konstytucyjny zastawił, wolno było biednym robotnikom w charakterze bydła wotującego (Stimmvieh¹⁾ sprzątnąć marne okruchy dla siebie, musieli płacić obfity podatek z krwi i zarobku na jego utrzymanie; nie więc dziwnego, że sama równość prawna w ży ciu państwowem wydała im się szyderstwem i że ustrój polityczny, oparty wyłącznie na tejże równości, nie mógł tchnąć w nich zaufania, ani wzbudzić wiary w przyszłość.

Dopiero organizacya państwowa, zapewniająca pracującym klasom opiekę i podtrzymująca ich siłę roboczą za pośrednictwem reform socyalnych, mogła liczyć na to, że się ostoi wśród huraganów rewolucyjnych, wywoływanych nędzą proletaryatu. Wszystkie też najkardynalniejsze czynniki polityczne, jak monarchizm, organa prawodawcze, administracya państwowa, nabyły w drugiej połowie XIX stulecia przeświadczenia o tem, że ciężą na nich specjalnie, jak na całym państwie w ogólności, ważne socyalne zadania do spełnienia i że potęga ich polityczna wzrastać będzie o tyle, o ile powyższe zadania urzeczywistnić zdołają. Ażeby jednak organa państwowej władzy były w możności sprostania socyalnym zadaniom i aby nie wytworzyły się masy robotnicze, wrogie nowożytnemu państwu, bo nie mogące z powodu nędzy korzystać ze swobód politycznych, potrzeba niezbędnie, aby klasy, posiadające wraz ze znaczną fortuną dziejową tradycyę, ożywiłone były tem samem przeświadczeniem, co i państwo praworządne, czyli, ażeby dopomagały do pomyślnego rozwiązania kwestyi socyalnej pracą honorową, publiczną ofiarnością, poświęceniem obywatelskiem dla dobra kraju, i to poświęceniem, nie normowanem bynajmniej pojęciem równości prawnej.

Wiadomo, że w ciągu ubiegłych stuleci, państwo czerpało prze-
ważnie wszystkie zasoby ze znoju roboczego ludu. Uprzywilejowane

niniejszej konstytucyi doprowadziła.⁴ Woroniecz przekonany był, że polityczna równość, wsparta na społecznej nierówności, czyli jak ją zwał „nierówna równość“, nie sama przez się pożytecznego dla społeczeństwa zdziałać nie potrafi.

²⁾ *Maurus*. Der moderne Verfassungsstaat als Rechtsstaat kritisirt. Str. 132 i dalsze—przytacza powody, dla których prawo wyborcze nie zadowolniło ubogich mas i stawało się dla nich coraz obojętniejszem.

klasy oswobodziły się od ciężarów publicznych i można było powiedzieć, że im kto był uboższy, tem wyciskano zeń więcej podatków, skazując go tym sposobem na ekonomiczną zagładę. Ale przywileje, wyzyskujące pracę uboższego ludu, nie wyszły na dobre ani uprzywilejowanemu, ani państwu. Uprzywilejowani przeistoczyli się w pasorzytną roślinę, wyzyskiwany lud nabrał cech rewolucyjnego proletaryatu, a stary gmach państwowy został albo pogrzebany w gruzach, albo porysował się złowróźnie, nawołując mieszkańców do pośpiesznej naprawy. Państwo konstytucyjne, usuwające stare przywileje w imię równości prawnej, nie może nawet marzyć o nowych przywilejach, wyzyskujących klasy bogatsze na rzecz uboższych. Socjalna reforma, którą się winny zająć wszystkie czynniki władzy państwowej, nie może mieć bynajmniej charakteru spoliacyjnego, jaki objawiała zazwyczaj w dobie rewolucyjnej. Państwu konstytucyjnemu chodzi jedynie o to, aby polityczna jedność narodu, uosobiana przez organizm władz państwowych, mogła nieść pomoc zupełnie zubożałej części społeczeństwa, a to nie w celu zaspokojenia żądz pospolitych lub ciskania jej „panem et circenses“, ale dla tego, aby utrzymać w niej zdolność i chęć do pracy, bez których znika wszelkie poczucie obywatelstwa i powstaje widmo zwyrodnienia, groźne dla państwa i dla całej chrześcijańskiej cywilizacji.

Troskliwą pieczę nad dobrem całości społeczeństwa, czyli socjalną reformą, politycznie zrozumianą i odczuta, zajęły się w Anglii klasy posiadające wogóle, a arystokratyczne w szczególności ¹⁾. Nie dziwnego więc, że prawodawcy stałego ładu razem z uczonymi mieli, że też same klasy, pojednawszy się z konstytucyjnym porządkiem, oddadzą mu te same, co w Anglii, usługi. Środki do gruntownego wykształcenia, niezależność społeczna i tradycja politycznej zasługi czyniły z arystokracji kontynentalnej żywiol bardzo pożyteczny nowożytnemu państwu. Uboższe klasy dopomogły niewątpliwie nieustającym i namiętnem dążeniem do pozyskania politycznych swobód, ale warstwy posiadające i ożywione tradycją politycznej wysługi okazywały więcej zdolności i chęci do wykonywania obowiązków z tychże praw płynących. Arystokracja nowożytnej, dziedzicznej, czy wybieralnej, otwiera się też w porządku konstytucyjnym szerokie pole działania. Wspierając się na zasadzie równości prawnej, może ona w zakresie samorządu lokalnego i prowincjonalnego, zarówno jak i w życiu państwowem, nieść obywatelskie usługi, któremi wobec prądów demokratycznych usprawiedliwi swe wywyższone społeczne stanowisko. Pracując codziennie

¹⁾ *Schulze-Gaevernitz*. Zum socialen Frieden Eine Darstellung der socialpolitischen Erziehung des englischen Volkes. T. I przedstawia liczne tego przykłady.

w obrębie gminy i państwa ze wszystkimi klasami narodu i opiekując się biednymi, choćby w parafialnym zakresie, arystokracja przejmie się nowożytnym duchem politycznym i nie tylko zdobędzie dojrzałość w sprawach publicznych, ale zyska zaufanie tych klas, które dawniej żywiły dla niej niechęć i uprzedzenia. Słusznem też było dowodzenie Treitschkego, przekonywające, że z chwilą rozwoju samorządu i wytworzenia dlań wyższych okręgowych organów, izby wyższe poczną się wypełniać żywiołami dojrzałymi, przejętymi duchem politycznym, uosabiającym myśl państwową ¹⁾.

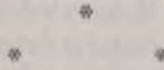
Pozostaje jeszcze do wyjaśnienia, jakie pierwiastki społeczne należy, prócz rodowej szlachty, uważać w dobie obecnej za arystokrację nowożytną?.. Czy do tej nazwy może rościć prawo jedynie ścisłe grono heraldycznie wylegitymowanych? czy też za pierwiastek arystokratyczny w konstytucyjnym porządku należy uważać tych wszystkich, którzy potęgą własnego ducha zdobyli sobie niezależność społeczną i uwieńczyli ją zasługą publiczną? Arystokracja rodowa angielska zasilała się nieustannie nowymi ludźmi, którzy na rozlicznych polach publicznego życia odznaczyli się zdolnościami i położyli zasługi. Kontynentalne państwa musiały również pojęcie arystokracji znakomicie rozszerzyć. Świat przemysłowy, wymagający dużego wykształcenia i zdobywający przedsiębiorczością swą olbrzymie fortuny, nie mógł pozostać wykluczonym z arystokratycznej sfery, albowiem wybitne osobistości z tego świata były w stanie oddać zarówno państwu, jak i reformie socyalnej, znakomite usługi. Możliwość władcy fabryczni choć bez uprzywilejowanej zbroi stali się w bieżącej dobie potęgą, silniejszą od dawniejszego możnowładztwa gruntowego, wyposażonego obficie przywilejami. Państwu więc musiało zależeć natem, aby żywioły, posiadające tak wielką doniosłość społeczną, zostały wcielone do honorowej pracy publicznej i aby zaszczerpiono w nie szlachetne ambicje polityczne pod postacią obywatelskiej ofiarności i zasługi.

Rozszerzone pojęcie arystokracji odejmie prawdopodobnie zasadzie dziedziczności w izbach wyższych znaczenie tak wysokie, jakie dotychczas posiadało w niektórych państwach. Zasada dziedziczności, odpowiedna dla wyłącznej arystokracji rodowej, bywała i tak w prawodawstwie konstytucyjnym uzupełniana zasadą dożywności. Dożywność, pozwalająca wynagradzać zasługi świeże, podtrzymywała skuteczniej duchowe przymioty w pierwiastku arystokratycznym i stawała się bodźcem do nieustannego zasługiwania się krajowi obywatelską

¹⁾ Das Zweikammersystem und das Herrenhaus. Str. 400 i 408 „Soll das Oberhaus den wirklichen Zuständen des Staats entsprechen, so müssen sowohl die Beamten als auch die Träger der Selbstverwaltung darin vertreten sein.“

ofiarnością. Uznając jednak większe znaczenie zasady dożywotności, nie idzie zatem, aby zasadę dziedziczności zupełnie potępić wypadało. Mogą one i nadal razem w uzupełnieniu składać się na ustrój izby wyższej, tak samo, jak senat Rzeczypospolitej francuskiej z 1875 r. wsparł się na zasadach: dożywotności i wybieralności.

Jakiegokolwiek zresztą zasady służyć będą za podstawę izbom wyższym, zawsze powoływać one muszą do swego składu żywioły arystokratyczne w nowożytnym znaczeniu, to jest zasługujące się po-nad równy obowiązek ofiarnością obywatelską i poświęceniem własnych interesów krajowi. Jeżeli izbom wyższym zbraknie arystokracji nowożytnej, będącej potęgą duchową i piastunem wzniosłej etyki politycznej, wówczas nie tylko system dwuizbowy okaże się zużytym, ale cały porządek konstytucyjny nowożytny będzie musiał ustąpić miejsca państwowym ideałom socyalnej demokracji. Chociaż dzieje konstytucjonalizmu kontynentalnego zapisały i zapisują z każdą chwilą dużo zawodów i rozczarowań, nie jednak nie upoważnia do czarnych przewidywań, które-by organizmowi państwa praworządnego obumieranie przepowiadać miały. Zarówno klasy posiadające i wykształcone, jak i państwo nowożytne, poczuwają się do coraz cięższych obowiązków publicznych, a dopóki duch obywatelskiego poświęcenia jest silnym i żywym, można porządkowi konstytucyjnemu, a tem samem i izbom wyższym, wróżyć długie lata pożytecznego istnienia.



Przed pięćdziesięciu laty ukazała się w Paryżu książka p. t. „De la pairie et de l'aristocratie moderne“, napisana przez hr. Augusta Cieszkowskiego. Autor powyższej rozprawy był już zaszczytnie znanym uczonemu europejskiemu światu, a studjum, organizacyi izby wyższej we Francyi poświęcone, nie należało bynajmniej do pierwiosnków jego umysłowej działalności. Przedtem hr. August Cieszkowski opublikował już kilka cennych dzieł; między innemi pracę: „Du crédit et de la circulation“, (1839) wspominaną chlubnie przez historyków ekonomii społecznej,¹⁾ a mowa francuska nie była wyłączną, jaką się posługiwał w naukowych studyach. Dziedzina filozofii wzbogacona została jeszcze wcześniej rozprawą hr. Cieszkowskiego p. t. „Prolegome-

¹⁾ Kautz. Die geschichtliche Entwicklung der National-Oekonomik und ihrer Literatur. Str. 729.

na zur Historiosophie" (1838) ¹⁾, a w języku polskim ukazał się w łamach „Biblioteki Warszawskiej“ w 1841 r. fragment z historyi filozofii, specjalnie filozofii joińskiej poświęcony.

Jako jeden z najzdolniejszych uczniów Hegla, hr. August Cieszkowski ogarnął wczesnie a szybko szerokie widnokreśli naukowe; z dziedziny filozofii spekulacyjnej przeszedł do nauk społecznych, a z tychże wkroczył w sferę pobratymczych nauk politycznych. W każdej zaś z tych dziedzin zebrał poważny plon spostrzeżeń, podając je całemu uczoneму światu Europy do ocenienia. Ze względu, że hr. August Cieszkowski należał do owego nielicznego a wybranego grona, które zaszczytnie reprezentowało naszą naukę w literaturze powszechnej, i to reprezentowało z górą przez pół stulecia, a nadto z uwagi, że praca polityczna nie doczekała się równie sumiennego i wyczerpującego rozbiorn, jak inne jego studia ²⁾, sędzę, że poświęcenie uwagi tej ze wszech miar interesującej i wybornej rozprawie będzie na miejscu, i że zajęcie się nią jest poniekąd honorowym długiem, który po tylu latach zacnej chlubnej wysługi powinniśmy spłacić sędziwemu a czciogodnemu autorowi.

Pozwolę sobie też nasamprzód streścić głównejsze myśli, zawarte w pracy p. t. „De la pairie et de l'aristocratie moderne,” chociaż z góry uprzedzić winienem, że zadanie streszczenia nie jest tak łatwem i nie zwolni czytelnika od przeczytania samej rozprawy. Hr. August Cieszkowski w studyum politycznem bowiem zachował w pełni subtelność logiczną, unikającą czezych, choć utartych frazesów, a skupiającą się w zwięzłej argumentacyi, która treść bogatą wyrażała stosunkowo skąpemi słowy. Na samem czele swej rozprawy zastanawia się autor nad kwestyą: czy może prawodawca wpływać na obyczaje, będące samoistnym wytworem życia państwowego. Na pytanie powyższe znajdujemy odpowiedź dowodzącą: że oddziaływanie na zwyczaje jest możliwe i to za pośrednictwem instytucyi. Choć nie ulega żadnej wątpliwości, że instytucye są wytworem narodowego zwyczaju, niemniej wszakże oddziaływają i one ze swej strony na zwyczaj i albo go przeistaczają lub zachowują, albo go rozwijają, lub stłumiają.

Argument „laissez faire et laissez passer”, jest bezpłodnym, zarówno w ekonomii, jak i w polityce. Przeżył się on stanowczo, a dziś

¹⁾ Prócz tego, ukazała się w r. 1841, rozprawa filozoficzna hr. Cieszkowskiego p. t. „Die Persönlichkeit Gottes und die Unsterblichkeit der Seele“, a w 1842 r. „Gott und Palingenesie.”

²⁾ Mohl: zarówno w dziele „Geschichte und Literatur der Staatswissenschaften,” jak i w ostatniem wydaniu „Encyklopèdyi nauk politycznych” pominął pracę hr. Cieszkowskiego.

zasadą najistotniejszą, wstępującą na jego miejsce, jest dopomaganie rozwojowi życia narodowego, jest oddziaływanie na społeczeństwo za pośrednictwem instytucji pozytywnych i organicznych, jest wreszcie przyczynianie się do rozwoju tychże instytucji, przez krzewienie i wpajanie odpowiednich idei, które winny być zwiastunami nowego porządku. Francya, zdaniem hr. Cieszkowskiego, stała się oddawna łupem wyłącznych teorii i abstrakcyjnych zasad, skutkiem czego nietylko idee, zwane przez niego pozytywnymi i organicznymi, były krępowane w swoim rozwoju, ale uległ temu samemu losowi i ucierpiał znacznie polityczny zwyczaj. Nie dalekim od prawdy byłby ten, toby utrzymywał, że we Francyi zwyczaj polityczny prawie zupełnie zaniknął. Niewielki zarodek jego, dotąd pozostały, a sprawiający duży kłopot badaczowi, znajduje się nadto w stanie chaotycznym, i jakkolwiek z niego winien się w przyszłości wyłonić świat zorganizowany, obecnie uosabia on jedynie walkę najróżnorodniejszych elementów.

Wśród tych przepływających fal, jakie w narodzie francuskim tworzą poglądy i zwyczaje polityczne, zyskują niektóre idee trwalszy i solidniejszy grunt, bez względu na to, czy pochodzenie ich jest rodzime, czy obce. Do takich właśnie wytworów importowanych i mniej lub więcej obcych, które potrafiły zyskać we Francyi wielką naturalizację i zdołały żyć się z żywiołami narodowymi, należy przedewszystkiem rząd reprezentacyjny. Od kiedy go wprowadzono do Francyi, umiał się wcale znośnie zaaklimatyzować i dziś należy do warunków niezbędnych i potrzeb nieuniknionych życia społecznego i politycznego w tym kraju. Uznając jednak prawdziwość powyższej obserwacji, należy nasamprzód koniecznie poznać i zbadać: jaki ustroj parlamentarnych rządów odpowiada najlepiej potrzebom i geniuszowi narodowemu francuskiemu. Powoływanie się na wzory, bądź angielskie, bądź jakiegokolwiek inne, nie doprowadziło-by do celu, choćby samo w sobie było najracjonalniejszym. Żywot instytucji społecznych musi się opierać na podstawie z pierwiastków narodowych spojonej, inaczej grozi mu śmierć nieunikniona a bezpożyteczna. Zwiastując też nową ideę, lub przeszczepiając instytucję dla tego, że w obcym kraju wydała pożyteczne owoce, trzeba przedewszystkiem zbadać naturę społeczeństwa i właściwość terenu, na którym działać prawodawcy przychodzi.

Hr. Cieszkowskiemu nie zależy bynajmniej na tem, aby przekonać czytelnika o doskonałości systemu dwuizbowego rządów reprezentacyjnych, lub przedstawić mu krytyczne zbadanie stron jego dodatnich i ujemnych. Opierając się na fakcie niewzruszalnym, że naród francuski przyjął ostatecznie system dwuizbowy, autor zastanawia się jedynie nad tem, w jaki sposób stworzyć temuż systemowi naturalne podstawy, które pozwoliły-by mu się żyć ze społeczeństwem. Mając

też dany z jednej strony system dwuizbowy z całym aparatem głównych zasad i logicznych konsekwencji, a z drugiej strony stan aktualny społeczeństwa francuskiego, hr. Cieszkowski pragnie jedynie znaleźć odpowiedni ustrój parlamentarny dla izby wyższej, który-by zaspokoił wymagania i wypełnił warunki życia politycznego.

Reforma parlamentarna stała się od dość dawnego czasu głównym ogniskiem, skupiającem uwagę wszystkich stronnictw francuskich. Zamiast jednak badać kwestyę reformy wszechstronnie i w całej rozciągłości, ograniczano się zazwyczaj do krytycznych uwag, dotyczących izby deputowanych oraz prawa wyborczego. Tymczasem opinia publiczna uważała oddawna reformę izby parów z r. 1831 za eksperyment od samego początku chybiony i obumarły. Nikomu nie było tajemnym, że w łonie parów zaszczerpiony pierwiastek bezwładności i upadku rozwijał się coraz bardziej, wytwarzając w społeczeństwie ironiczną obojętność dla powyższej instytucji, która idzie w parze z pozabawieniem jej wszelkiego politycznego wpływu. Mimo też, że ówczesna izba parów skupiała w sobie całą sławę narodu i że uosabiała zasługę, zdobytą na wszystkich polach publicznego życia, godność państwa topniała ciągle, począwszy od 1831 r., i fakt powyższy stwierdzony był niejednokrotnie przez tych, którzy tę godność piastowali.

Kwestya reformy izby parów nie stała wszakże na porządku dziennym we Francji; hr. Cieszkowski podjął ją jednakże, a to z tego względu, że ją uważał prawie za donioślejszą od reformy izby deputowanych. Nasamprzód autor zastanowił się nad zasadą wyborczą, o ile ona może służyć za podstawę izbom wyższym, i w rozdziale powyższym zamieścił wiele spostrzeżeń krytycznych, cennych dla nauki polityki po dzień dzisiejszy. Zdaniem hr. Cieszkowskiego, do najistotniejszych warunków rządu parlamentarnego należy zaliczyć ten przedewszystkiem: aby obie izby, uosabiające pierwiastki narodowe, realne i pozytywne, opierały się na zasadach, najzupełniej odmiennych i od siebie niezależnych. Wybory zawierają tymczasem ukrytą groźbę dla systemu dwuizbowego w tem mianowicie: że jeżeli nie są jedynie wspólną formą dla dwóch pierwiastków zupełnie odmiennych, stwarzają zazwyczaj jeden organ polityczny, podzielony na dwie sekcye.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej zasada wyborcza jest rzeczywiście tylko wspólną formą, zastosowaną do dwóch pierwiastków, zupełnie odmiennych. Jeden z tych pierwiastków jest federalnym, czyli generalnym, drugi prowincjonalnym, czyli partykularnym; jedne wybory odbywają się w imię całej ludności, drugie zaś w ograniczeniu terytoryalnym, i podwójna reprezentacya była w Ameryce północnej zupełnie uzasadnioną głębokimi racjami stanu, które ostatecznie przekonały: że wspólna zasada wyborcza nie stworzyła je-

dnego ciała politycznego, podzielonego na dwie sekcye. Francya nie znajduje się wszakże w położeniu analogicznem. Wskrzeszaniu indywidualności prowincjonalnych opiera się historia, której cofnąć niepodobna, a jakkolwiek i we Francyi znajdują się interesa lokalne, to jednakże są one natury przemijającej i ekonomicznej, która bynajmniej głębokich różnic socyalno-narodowych nie stwierdza.

Osobliwości miejscowe, skupiające się w patryotyzmie zapieckowym, dostatecznie są reprezentowane w izbie deputowanych i niema co myśleć o ich pokrzepianiu; natomiast wszystkim powinna leżeć na sercu reprezentacya interesów ogólnych, tak samo, jak i zorganizowanie dla niej odpowiedniej instytucyi, bez której społeczeństwo może wprawdzie ciągnąć marny żywot, ale nie jest w stanie żyć w należytem rozumieniu tego słowa. Wybory zwyczajne nie są w możności wytworzenia podobnej instytucyi i oczekiwać można od nich jedynie zdwojonej izby deputowanych. Nawet wszelkie ograniczenia wyborów zwykłych, za pośrednictwem określenia wieku parów, okresu trwania mandatu, i t. p. nie zdołają osiągnąć pożądanego rezultatu, albowiem jedynie podstawowo-odmienna zasada organizacyjna może w tym wypadku zaradzić złemu. Próba z wyborami pośrednimi wykonać-by się dała, ale zastosowanie jej byłoby nierównie odpowiedniejszem dla izby deputowanych. Powoływanie się na przykład Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej jest w tym wypadku zupełnie nie właściwem. W Stanach Zjednoczonych bowiem senat jest wprawdzie wytworem wyborów pośrednich, lecz za to izby poselskie powstają za pośrednictwem głosowania powszechnego. Prawidłem i regułą normalną w Stanach Zjednoczonych pozostało głosowanie powszechne, a wyjątkowem jego ograniczeniem były wybory pośrednie, gdy tymczasem we Francyi wprost przeciwnie: wybory pośrednie musiały-by zdążać ku głosowaniu powszechnemu, rozszerzając podstawę wyborczą ¹⁾.

Pozostaje jeszcze jedna kombinacya do rozważenia, a mianowicie wybór izby wyższej przez izbę deputowanych. Niedogodności nasuwają się liczne i w tym wypadku. Trudno bowiem nie zauważyć, że wybór jednej izby przez drugą powołać może do życia organizm bardzo słaby, który do niezależności wobec wyborcy nie będzie mógł mieć żadnych pretensyi. Jeżeli też w Wenecyi wielka rada wybierała senat, to przykład powyższy historyczny nie może być wzorem dla dzisiejszej Francyi, choćby z tego względu, że senat wenecki był raczej instytucją administracyjną, a nie prawodawczą.

¹⁾ Przypomnieć należy, że podług prawa wyborczego z d. 19 kw. 1831, wyborcami deputowanych byli płacący 200 fr. podatków i mający 25 lat wieku. Patrz *Bard et Robiquet. La constitution française de 1875* i t. d., str. 62.

Oprócz zasady wyborczej, pozostaje jeszcze nominacja, czyli powołanie królewskie, które z izby panów stwarza izbę monarchiczną lub ministeryalną, nie reprezentującą istotnie nic, chyba jedną samowolę. Nawet gdyby zasługi indywidualne członków izby monarszej czy ministeryalnej były jak największe, błąd zasadniczy, tkwiący w jej powstaniu i w rozwoju, uczyni ją bezwładną i zdyskredytowaną wśród społeczeństwa. W Anglii korona posiada nieograniczone prawo powoływania czyli kreowania parów, ale zwyczaj polityczny i zasada dziedzictwa ograniczają ściśle powyższe prawo i gdy, mimo najwyraźniejszego przywileju korony, przeładowanie izby wyższej za pośrednictwem ryczałtowej nominacji (*une fournée de Pairs, Pairsclub*) stało się w Anglii niemożliwością, we Francji za czasów restauracji, mimo zasady dziedziczości, było koniecznością polityczną.

Żywot izby wyższej, wywodzący się z powołania monarszego, podkopuje z gruntu równowagę władz, a wzamian za to nie nadaje przewagi władzy wykonawczej, jak sądzono zrazu. Na tej dysharmonii zyskuje od pewnego czasu izba deputowanych, która potrafiła uczynić z izby parów instytucję rejestrującą i pozbawioną prawie w zupełności prawa dyskusji, pomimo, że w danych wypadkach parowie dyskutowali bardzo dobrze. W rzeczywistości istniała też we Francji jedna tylko izba prawodawcza, co się zaś tyczy organu, który w systemie dwuizbowym winien uosabiać pierwiastek konserwatywny, to ten był co najwyżej konserwatorem samego siebie. Izba panów francuskich stała się też co najwyżej zgromadzeniem notablów, powołanych przez króla lub ministrów, które paraliżowało jedynie wpływ polityczny, jaki mogły posiadać pojedyncze jednostki, w skład jej wchodzące. Nic dziwnego zatem, że w końcu godność parowską utożsamiano z wyrokiem śmierci politycznej, wydanym na męża stanu, którego w nią przystrojono.

Zasadzie dziedziczości poświęca hr. Cieszkowski specjalnie uwagę, zaznaczając, że jakkolwiek w r. 1831 rozbrzmiewało po Francji hasło „precz z dziedziczością”, i choć tym niewyrozowanym okrzykiem zaduszono na razie palącą kwestyę, już w r. 1844 poczęto na nowo zastanawiać się nad tem: czy zasada dziedziczości nie była-by lepszą od przeładowywania nieustannego izby wyższej produktem ministeryalnym. W istocie jednak opinia publiczna nie jest we Francji pozyskaną dla zasady dziedziczości; co najwyżej można powiedzieć, że jest nieco mniej przeciwko niej uprzedzoną, a to jeszcze do jej wskrzeszenia nie jest dostatecznym, zwłaszcza, że uczucie i instynkt ludu, jak dawniej, tak i teraz, okazał się wszelkiej dziedziczości nieprzychylnym. Ażeby stworzyć izbę arystokratyczną, bo taka winna być owocem dziedziczości, potrzeba przede wszystkim posiadać arystokrację. Jeżeli zaś po r. 1814 okazało się we Francji niemożliwym

wskrzeszenie istotnego patrycyatu z powodu braku patrycyuszów, to czyż można mieć jeszcze pod tym względem jakiegokolwiek illuzye po 1830 r?.

Trzeba więc przyjść do stanowczego przekonania, że arystokracja nie istnieje już we Francyi; należało-by ją chyba wskrzesić, tymczasem arystokracja rzeczywista nie potrzebuje być tworzoną, ani wskrzeszaną, bo żyje i podtrzymuje się własnymi siłami. Jeżeli zaś prawodawca chce sztucznymi środkami powołać ją do życia, wywołuje tylko upiory, jeżeli pragnie ją wytworzyć, wytwarza jedynie kreatury. Zresztą zasada dziedziczności została usuniętą we Francyi wielkim aktem prawodawczym, a fakta dokonane i uznane posiadają w dziejach wpływ znaczny, który w tym wypadku stanowi poważną zaporę do wskrzeszenia zasady i tak już niepopularnej.

Jakkolwiek wszystkie kardynalne zasady organizacyjne izb wyższych poddane zostały przez hr. Cieszkowskiego surowej i wyczerpującej krytyce, nie poprzestał jednakże na ujemnych spostrzeżeniach przyszedł do przekonania, że można jeszcze wśród stosunków francuskich wytworzyć nową organizacyjną zasadę. Ową siłę twórczą nową dla izby parów upatruje hr. Cieszkowski w zasadzie kooptacyjnej, mocą której izba będzie się odradzała sama w sobie i przez się (*reproduction de soi et par soi*), pozyskując tym sposobem ducha korporacyi i wewnętrzną spójnię, jakich-byśmy daremnie gdzieindziej szukali w obecnej chwili. Przejście izby wyższej podług modły, podanej przez autora, jest proste i łatwe. W razie opróżnienia miejsca w izbie, pozostali członkowie przystępują do wyboru w tym samym porządku, jak to czynią akademicy. Wobec zaś korporacyi, przejętej nowym duchem, hr. Cieszkowski mniema, że tylko taka kandydatura będzie możliwą, za którą przemawia wybitny talent, zasługa lub wreszcie choćby rzetelna usługa, oddana sprawie publicznej. Jeżeli izba panów nie zawsze wybierze kandydata najgodniejszego, to przynajmniej możemy być pewni, że wybór padnie na jednego z więcej godnych. Trudno też podejrzewać, ażeby w ten sposób wytworzona nowa izba, powodując się wyłącznym duchem stronnictwa, zamykała przed jakąkolwiek zasługą drzwi dla tego jedynie, że jej chwilowa większość nie uznaje. Ze względu na poszanowanie własnej godności i przez poczucie szlachetnej korporacyjnej ambicyi, izba parów będzie się starała za pośrednictwem wyborów potwierdzić jedynie głos opinii publicznej, nie tej przemijającej i namiętej, lecz opinii poważnej, trudnej do pominięcia, a której parowie stali-by się z czasem bezpośredniem źródłem.

Hr. Cieszkowski nie poprzestał na samem zaleceniu i wyrozumowaniu zasady kooptacyjnej dla francuskiej izby panów, lecz uważał za nieodzowne zastanowić się w dalszym ciągu nad konsekwencyami spo-

łecznymi i politycznymi, wypływającymi z nowego organizacyjnego czynnika. Autor jest przekonany, że, dzięki kooptacyi, przyjęcie do grona parów stanie się jedną z najdonioślejszych narodowych nagród i cennem świadectwem, wystawionem elektowi: że się dobrze zasłużył krajowi. Jeżeli Nelson, umierając, wyrzekł z przeświadczeniem, że zdobył sobie bohaterską śmiercią grób w Westminsterze, to dla czegoż Francuz w przeświadczeniu zasług lub usług, krajowi oddanych, nie miał-by powiedzieć: „zdobyłem sobie krzesło w Luksembourgu.” Godność parowska, uorganizowana w jedną z najwyższych magistratur krajowych, będzie niewątpliwie skupiała wszystkie namiętności osobiste. Osłabnie pościg za teką ministeryalną, który doprowadził do nie-naturalnego rozwoju rady tajnej, (Conseil privé) przepełnionej ministrami stanu. Tocqueville wyrzucał już Francuzom namiętność uganiania się za miejscami urzędowymi, reforma parów zaś pozwoli skorzystać z tej namiętności, a to w celu jej uszlachetnienia.

Za czasów restauracyi, dla każdego nowego para winien był być wytworzony osobny majorat; gdy jednak system kooptacyi nie będzie powoływał nowych członków jedynie z grona specjalnie faworyzowanych przez fortunę, trzeba będzie w następstwie obmyśleć odpowiednie utrzymanie dla parów, gdyż jest ono, zdaniem hr. Cieszkowskiego, nieodzownem dla niewzruszalnego senatu, jakim-by się izba wyższa niewątpliwie stała. Nie przeszkadza to jednak autorowi zastanawiać się nad środkami, zapobiegającymi pożądaniu parostwa ze względów chciwości. Kumulowanie urzędów nie powinno-by w żadnym razie pociągać za sobą łączenia wynagrodzeń, a dostatniejszym parom pozostawiono-by możność zrzeczenia się wynagrodzenia do ich godności przywiązanego. Dzięki powyższym sposobom, izba wyższa zdolną-by była niewątpliwie do przedstawiania wielkich interesów narodu, a przede-wszystkiem do uosabiania pierwiastku ogólnego, któremu można nadać nazwę państwowego.

Demokracja, powstała po wielkiej rewolucyi, niwecząc wszelkie dawne stosunki i wpływy, zaprowadziła jedną kardynalną zmianę, a mianowicie: zastąpiła dawne wpływy i prądy, jakościowe nowemi ilościowymi. Obecnie ilość wszędzie panuje i, o czemkolwiek jest mowa, na pierwsze miejsce występuje cyfra. Sławiona i tyle razy proklamowana równość pozostała i nadal wobec prawa, ale nie ostała się bynajmniej wobec faktów i przedzierzgnęła się raczej w kłamstwo i cieżką abstrakcyę. Mniemano powszechnie, że równość stała się hasłem tego wieku i że przedewszystkiem we Francyi namiętno pożądanie tej równości dominowało nad wszystkim. Hr. Cieszkowski sądzi, że mniemanie powyższe nie jest w zupełności prawdziwem. Zasada równości stanowi tylko jedną stronę kwestyi socyalnej, a obok niej poczyna już

występować zasada organizacyi, ażeby ją uzupełnić, ożywić i urzeczywistnić. Równość jest pojęciem abstrakcyjnym i, jako takie, bezpłodnym, dopiero zasada organizacyjna jest w stanie ją zapłodnić i jedynie w związku ścisłym obie zasady będą zdolne podbić świat cały.

Autor nie wyobraża też sobie bynajmniej, aby reforma izby parów sama w sobie okazała się dostateczną do usunięcia wszelkiego złego w społeczeństwie francuskim. Potrzeba niewątpliwie wiele więcej uczynić, aby wobec przesilenń dojść do właściwego celu; z tem wszystkim nie ulega wątpliwości, że izba parów, należycie zorganizowana i na odpowiednich podstawach oparta, dopomogła-by znakomicie do normalnego rozwoju społeczeństwa i do racjonalnego ugrupowania rzeczywistej demokracji. Zdaniem hr. Cieszkowskiego, społeczeństwo demokratyczne nie może ani żyć, ani prosperować bez arystokracji, odpowiedniej swemu stopniowi rozwoju. Wprawdzie arystokracja we Francyi ani może być już dziedziczną, bo-by nie odpowiadała potrzebom społeczeństwa nowożytnego, mimo to jednak nie można w imię pojęć demokratycznych zaprzeczać zasadom arystokratycznym prawa, a nawet konieczności istnienia, zwłaszcza jeżeli ten pierwiastek będzie oparty na zasłudze i wysłudze publicznej. Zaprzeczenie podobne byłoby torowaniem drogi anarchii, a nie rzetelnej demokracji, a przytem byłoby zniweczeniem jednego z najistotniejszych i najżywoźniejszych warunków samej równości.

Spółeczeństwo potrzebuje nieodzownie potęgi istotnej, uwolnionej od wpływów wyłącznych osobistej natury, potrzebuje instytucyi, opartej na niezmiennem zwierzchnictwie rozumu oraz na szlachectwie zasługi. Takie zwierzchnictwo i takie szlachectwo nie ulega ani zapoznaniu, ani napaściom. Z powyższych też względów, których uzasadnienie jest nieprzepartem, pragnie hr. Cieszkowski społeczeństwu francuskiemu stworzyć organ polityczny, wyniesiony po-nad interesa prywatne i po-nad zmienne fale chwilowej opinii, a jednakże żyjący i rozwijający się w łonie samego narodu, dzielający jego uczucia i pragnienia, stojący wiernie na straży społecznej tradycyi i przygotowujący dla niej przewodnie idee. Postępowcy przywiązują niewłaściwie do wyrazu tradycya pojęcie zacofania; zacofaniem może być tylko to, co nie postępuje naprzód, a więc co musi z natury rzeczy pozostawać w tyle; tymczasem tradycya nie powstała ani jednochwilowo, ani jednorazowo, ona się wytwarza nieustannie i, nawet powstając, przeistacza się, a rozwijając, postępuje naprzód. Nie jest też tradycya bynajmniej rezerwoarem stojących wód, lecz szeroką rzeką, wchłaniającą w siebie źródła i strumienie, po to jedynie, aby ponieść ich wody na równiny przyszłości, w celu ich ożywienia i użyźnienia. Dawniej sądzono, że owa istotna potęga, konieczna i niezbędna dla wewnętrznego

życia narodu i dla jego siły na zewnątrz, może być wyłącznym apanażem szlachty dziedzicznej. Tak też było w rzeczywistości przez czas pewien, aż nareszcie potęga owa zwyrodniała, zamieniając się w egoizm kastowo-rasowy, skutkiem czego tradycje wielkie, mające stanowić przeciwwagę tendencyjom anarchicznym indywidualizmu, przeistoczyły się w tradycje partykularne, uosabiając szczególnie rodzaj indywidualizmu, ale który nie mniej był zawsze tylko indywidualizmem. Senatowi, uzupełniającemu się przez kooptację, podobne niebezpieczeństwo nie grozi bynajmniej. Rekrutując się nieustannie z łona samego narodu, i to ze wszystkich jego stopni hierarchicznych i klas społecznych, nie pozostawiając przytem bez reprezentacji żadnego poważniejszego prądu, żadnego istotnego interesu lub żywotnego pierwiastku, nowe ciało arystokratyczne czerpać będzie szlachetne żywioły z łona mas demokratycznych i wylegitymuje się ze wpływu społecznego tem, że się wcieli w szczerą i pełną reprezentację narodu.

Dla tego-to hr. Cieszkowski zaznacza z takim naciskiem, że do najistotniejszych potrzeb społeczeństwa nowożytnego należy samoistne wytworzenie patrycyatu ludowego (*patriciat populaire*), patrycyatu włączającego wszelką zasługę (*expansif*), a nie wyłącznego (*exclusif*), jaki dawniej istniał, albowiem jedynie taki patrycyat odpowiada potrzebom dzisiejszej epoki. Izba wyższa, oparta na podobnym patrycyacie, stanie się strażnicą wielkich tradycji, zarówno jak i orędownikiem niezbędnych potrzeb i konieczności społecznych. Pod przewodnictwem takiej izby wyższej pojawi się niezbędna siła skupienia i spójni wśród instytucji politycznych, która nie wyłączy bynajmniej rozwoju postępowego, lecz przeciwnie, będzie jego niezbędnym warunkiem i najpoważniejszą rękojmnią. Niema bowiem rzeczywistego postępu bez zachowawczości, tak jak niema rzetelnej zachowawczości bez postępu.

Nasuwa także przeistoczona podług modły hr. Cieszkowskiego izba wyższa różne wątpliwości, ale niweczy je autor swą argumentacją zwięzłą, która pod względem ścisłości logicznej nie pozostawia nic do życzenia. Jednym z zarzutów, stawianych nowej izbie, jest ten mianowicie, iż pozbawia koronę możności złamania odpornej i zaślepionej większości; gdy bowiem dawniej monarchizm posiadał moc oddziaływania na obie izby, a to za pośrednictwem rozwiązania na izbę deputowanych, a za pomocą gromadnej nominacji na izbę parów, system kooptacji stawiał wpływowi królewskiemu zaporę nie do przebycia. Zarzut powyższy jest jednak zdaniem hr. Cieszkowskiego tylko pozornym. Prawo bowiem niweczenia opornych większości, przysługujące dawniej koronie, niezupełnie się zgadzało z istotą porządku konstytucyjnego. Właściwszym nierównie był wpływ, składający opornych do ustępstw i porozumienia. Wpływ powyższy posiadała w wysokim stop-

niu korona angielska, i dzięki jemu w łonie arystokracji wielko-brytańskiej nie zamierał duch pojednawczy, pomimo to, że była przecież dziedziczną.

Czyż więc należy przypuszczać, że zgromadzenie tak światłe, jak nowa izba wyższa, nie znajdzie w swem sumieniu politycznem dostatecznych powodów, aby ustąpić wobec rzeczywistej konieczności politycznej? A choćby wreszcie utworzyła się oporna większość, która-by pragnęła uwiecznić swe tendencye za pośrednictwem jednostronnych wyborów, to i w takim wypadku istnieje potęga, kładąca tamę wszelkim nadużyciom, a naprawiająca zło bez wstrząśnięć i zamieszania. Potęgę, o której mowa, stanowi czas, a czynnikiem poprawczym jest śmierć. Odświeżanie nieustanne izby wyższej z powodu wymierania jej członków powinno być zapowiedzią ciągłego rozwoju i postępu. Jest ono czemś zupełnie odmiennem, aniżeli uzupełnianie izby dziedzicznej. Gdy bowiem z zasadą dziedzictwa są nierozdzielne pewne przesady rodzinne i pewne interesa kastowe, system kooptacyi czyni arystokrację istotnie narodową i jedynie możliwą obecnie we Francyi; czyni ją nadto przystępną dla wszystkich, nawet dla reprezentantów starych rodów, i tym sposobem uwalnia ją na zawsze od nieuawisłości społecznych.

Niema także najmniejszej obawy, aby nowa korporacja arystokratyczna przeistoczyła się kiedykolwiek w oligarchię. Świeże pierwiastki, któremi się nieustannie odżywiać musi, stanowiąc będą najlepszą gwarancją jej łączności z duchem i potrzebami wieku. Sposób odświeżania izby odpowiadać nawet będzie systemowi parlamentarnemu. Gdy bowiem izba deputowanych ulegać musi odnawianiu peryodycznemu zewnętrznemu, izba parów odradzający pierwiastek przyjmować będzie nieustannie i z wewnątrz. Różnica powyższa zdaje się wypływać z istoty systemu dwuizbowego, która wymaga, aby izba pierwsza była piastunem żywiołów stałych i przejętych duchem łączności, a izba deputowanych aby objawiała zmysł ruchliwości i żywotności.

Istnieje wreszcie jeszcze jeden sposób, pośredni wprawdzie, ale za to moralnie bardzo skuteczny, wpływania na oporną większość izby panów. Jest nim protest mniejszości panów, używany niekiedy w Anglii. Jeżeli mniejszość jest imponującą i czuje, że poparcie kraju całego jest jej udziałem, wówczas protest, czyli uroczyste odwołanie się do opinii całego kraju, musi się stać dla większości przed wotowaniem bardzo niewygodnem, a dla mniejszości zwyciężonej wielkiem pokrzepieniem i otuchą po niefortunnym wotowaniu. Hr. Cieszkowski obmyślił nawet dla władzy wykonawczej pewien wpływ na skład izby panów, bez narażenia zasady organizacyjnej na szwank niepożądany. Władzy monarchicznej, zdaniem autora, mogło-by przysługiwać prawo

inwestytury i w następstwie prawo zawieszania na czas pewien dokonanych przez izbę wyborów. Zbytecznym prawie było-by dodawać, że w pierwszym jak i w drugim wypadku, prawa, przyznane władzy wykonawczej, muszą mieć jasno i wyraźnie wytknięte granice.

Drugim środkiem, jeszcze więcej pozytywnym, a wpływającym na skład izby panów, może być prawo do pozyskania godności para, przyznane mężom stanu, którzy przez pewien przeciąg czasu spełniali najwyższe funkcje rządowe (ex virtute officii); to samo prawo mogło-by przysługiwać i marszałkom izby deputowanych. Warunek spełniania funkcji przez czas dłuższy jest w tym wypadku nieodzownym, on bowiem tylko był-by w stanie zapobiedz nadużyciom, aby się skrytym sposobem nie dostawali do izby panów prowizoryczni ministrowie lub nominalni marszałkowie. Można-by wreszcie i na to pozwolić, aby mężowie, których wotum obu izb wskazało jako dobrze zasłużonych ojczyźnie, pozyskiwali tem samem miejsce w senacie. Tym sposobem stworzono-by dla izby deputowanych rodzaj inicjatywy w przedstawianiu kandydatów, nie dając jej jednak przewagi nad izbą panów. Wotum bowiem powinno-by w każdym razie być zgodnem i pochodzić od obu izb; senat zatem, odmawiając swego głosu, mógł-by unicestwić wszelką natrętną kandydaturę izby deputowanych.

Poczyniwszy znaczne ustępstwa władzy wykonawczej, prawie wbrew swemu przekonaniu, hr. Cieszkowski uważa stanowczo dawne środki, jakimi były: rozwiązanie izby i nominacja gromadna parów, za przestarzałe. Tym, zaś, którzy się obawiają, aby izba panów w swym nowym ustroju nie uzyskała przewagi nad izbą deputowanych i nie skoncentrowała całej władzy w swych rękach, przypomina autor wotownie budżetu. Nie potrzeba też szukać potężniejszego i skuteczniejszego środka do złamania oporu jakiegokolwiek, lub do usunięcia nadużyć, popełnianych przez wszelkie organa państwowe; środkiem tym bowiem, i to środkiem legalnym, jest odrzucenie całkowite lub częściowe budżetu, dzięki czemu izba deputowanych samą groźbą wykonania owego prawa jest w stanie zapewnić sobie raz na zawsze przewagę nad senatem.

Swoją drogą parostwo kooptacyjne przez nowy ustrój pozyska niezbędną moc, z której będzie mogło, a nawet będzie musiało, zrobić dobry użytek choćby dla tego, że nadużycie wszelkie skaze je nieodzownie na bezsilność. Poddając też jeszcze raz bardzo gruntownemu i głębokiemu rozbiorowi zasadę dziedziczności i wybieralności w zastosowaniu do ustroju izb wyższych i przyznając, że pierwsza z nich dała dodatni rezultat w Anglii, a druga w Ameryce północnej, hr. Cieszkowski jest tego przekonania, że system kooptacyi osiągnie wszystkie dodatnie owoce obu zasad poprzednich, unikając jednocze-

śnie nieodłącznych od nich niedostatków. Kooptacja, zdaniem autora, musi wytworzyć dziedzicność moralną i zbiorową, w miejsce dawnej fizycznej i indywidualnej, jednym słowem: dziedzicność z ducha a nie z ciała (*une hérité selon l'esprit et non selon la chair*). Każdy z nowych parów będzie się uważał za ogólnego dziedzica korporacji, która go mianowała, a nie za spadkobiercę krzesła po swym poprzedniku. Duch korporacji sprawi też to niezawodnie, że dziedziczenie osobiste zamieni się w korporacyjną, fizyczne zaś—w duchowe.

Przytem kooptacja zawiera także zasadę wybieralności, tylko, że ciałem wyborczym jest sama korporacja, stanowiąca prócz tego specjalny trybunał do ocenienia zasługi. Wybory odbywają się też wewnątrz samej instytucji, a więc ciało polityczne, które z powyższych wyborów powstaje, nie ma egzystencji zapożyczanej, ani jest reprezentantem kogokolwiekbądź, lecz staje się niejako swym własnym twórcą i przedstawia jedynie zasadę arystokratyczną w pełnym znaczeniu tego wyrazu. Powtarzając jeszcze raz przekonanie, że arystokracja jest niezbędnie potrzebną społeczeństwu demokratycznemu, hr. Cieszkowski zaznacza dobitnie, że arystokracja dawniejsza była faktem i przywilejem, a dzisiejsza jest aktem i prawem. Dawniej dostatecznym było być arystokratą, dziś trzeba nim się stać dopiero. Dotychczas można usłyszeć powtarzaną dewizę „noblesse oblige”, t. j., że szlachectwo obowiązuje, a w tem krótkim zdaniu mieści się myśl głęboka i przekonywająca, że szlachta posiadała zawsze nietylko prawa, ale i obowiązki, i że obowiązki te były przede wszystkim czynnymi, bo gdyby były jedynie biernymi, wystarczała-by dewiza „noblesse defend”, czyli, że szlachectwo tylko zakazuje pewnych czynów.

Dawniej uważano szlachectwo za nieliczące z mniej przystojnymi zajęciami; dziś jedynym niewłaściwym życiem dla szlachcica jest próżnowanie; jest przepędzanie bezpożyteczne i bezmyślne czasu. Chcąc być dziś szlachcicem, trzeba się nieustannie uszlachetniać, i to czynami dzielnymi, w myśl Sallustyuszowego twierdzenia: „neque dixitiis aut superbia, sed bona fama, factisque fortibus nobilis ignobilem anteibat”. O ile też arystokracja poczuje się zobowiązaną do pożytecznej i płodnej działalności, o tyle społeczeństwo zrozumie, że jest nawzajem zobowiązane do rzetelnej wdzięczności. Bez czynów jednak pożytecznych nie może być mowy o wywzajemnianiu się narodu. Nowożytnej, duchowej arystokracji, wskazuje w końcu hr. Cieszkowski, podniosłe w całym znaczeniu tego słowa posłannictwo. Arystokracji zadaniem powinno być, podług niego, otoczenie opieką postępu i rozwoju całego ludu oraz wtajemniczanie klas niższych w warunki i potrzeby życia społecznego. Misja arystokracji nie może już dziś polegać na dziełach dobroczynnych prywatnej natury, ale winna dążyć do kierownictwa

krokami ludu i torować mu drogę do postępowego rozwoju. Tylko też wypełniając podobne posłannictwo, może arystokracja nowożytna mieć przyszłość i to świetną przed sobą.

Taką jest w ogólnych zarysach zawartość naukowa rozprawy hr. Cieszkowskiego. Nie potrzebuję tłumaczyć, że, uogólniając poglądy autora, zwracałem uwagę przedewszystkiem na myśl, nie zaś na słowa; dodać jednak winienem, że, skutkiem niezwykłego bogactwa treści, pominać musiałem dużo przenikliwych obserwacji i głębokich myśli, których cząstka zaledwie mogła-by stanowić o wartości całych rozpraw i studyów. Zapoznawszy czytelnika z przebiegiem główniejszych poglądów, zawartych w pracy: „De la pairie et de l'aristocratie moderne“, pozostaję w pewnym kłopotcie co do tego: czy po pięćdziesięciu latach istnienia powyższego studyum właściwą jest naukowa krytyka, której się zazwyczaj poddaje świeże publikacje bieżącej chwili. Z uwagi jednak, że w dziełach, poświęconych historii nauk politycznych, studyum hr. Cieszkowskiego nie doznało dotąd odpowiedniego uwzględnienia, zdecydowałem się na wypowiedzenie kilku krytycznych, choć bardzo spóźnionych, uwag. Otuchy mi dodaje w mem położeniu głębokie przeświadczenie, że jedynie niedouczone aroganckie miernoty, lubiące się pławić w panegirycznych przestworach, obrażają się na wszelką krytykę; myśliciel zaś tej miary i zasługi, co hr. Cieszkowski, mógł-by się obrazić na piszącego, gdyby rzecz swą zwykłym panegirikiem zakończył. Nie potrzebuję przekonywać, że dla krytyki rok 1844, w którym się ukazała rozprawa autora, musi być miarodawczym. Tylko uwzględniając stan nauk politycznych w powyższej dobie i opierając się na ówczesnym rozwoju rządów reprezentacyjnych, wolno wy-stosowywać krytyczne wymagania, a oprócz tego przypominać trzeba sobie nieustannie, że dopiero po 1848 r. konstytucjonalizm europejski zdobywał coraz to więcej doświadczenia i sędziwości; w roku zaś 1844 nie tylko Niemcy były dalekimi od celów zjednoczenia, ale późniejszy cesarz Wilhelm I zaledwie śmiał marzyć o rządach konstytucyjnych, więcej pozornych, niż istotnych, dla królestwa pruskiego ¹⁾.

Hr. Cieszkowski, jak to ze streszczenia jego pracy przekonać się było można, miał na względzie wyłącznie stosunki francuskie i dla Francji specjalnie opracował reformę izby panów. Nie chodziło autorowi o przedstawienie teoretyczne wszystkich pożytków i niedostat-ków, jakie wypływają z systemu dwuizbowego, zaznaczył tylko naj-

¹⁾ Koser. Forschungen zur Brandenburgischen und Preussischen Geschichte. 1888. T. I. Część druga, artykuł Treitschkego. Der Prinz von Preussen und die reichs-standische Verfassung. Str. 268. i dalsze.

wyraźniej, że naród francuski w 1844 r. przyjął stanowczo system dwuizbowy, a więc podjął się dlań stworzyć nieco solidniejszy grunt i naturalne podstawy. Jakkolwiek mimowolnie zdobył sobie autor przekonanie czytelnika na rzecz systemu dwuizbowego, to przede-wszystkiem samo oświadczenie, że naród francuski przyjął go stanowczo, należało w roku 1844, to jest po tylu niefortunnych próbach, do niezaprzeczenie głębokich i przenikliwych spostrzeżeń. Nie tylko bowiem, że dla radykalnych żywiołów nowożytnej Francji miał zawsze pewien urok syllogizm Robespiera, dowodzący, że „un peuple qui a deux espèces de représentation cesse d'être un peuple unique. Une double représentation est le germe du fédéralisme et de la guerre civile” ¹⁾. Fievée, pisarz niezaprzeczonego talentu i nauki, a niezwywają najmniejszej sympatii dla osławionego oprawcy wielkiej rewolucji, przyszedł w r. 1831 do tego samego przekonania i jedynie w samorządzie lokalnym, zapożyczonym z wielkobrańskich wzorów, upatrywał źródło odrodzenia dla swego społeczeństwa.

Wprawdzie znaleźli się i przed 1844 r. poważni uczeni francuscy, jak np. Cherbuliez ²⁾, którzy się stanowczo za systemem dwuizbowym oświadczyli i dużo przekonywających motywów na jego uzasadnienie przytoczyć byli w możności, ale nie spotykamy u nich tego spostrzeżenia, któremu dzieje następnego półstulecia użyczyły powagi, a które twierdziło, że naród francuski, mimo odmiennych pozorów, przyjął system dwuizbowy niejako za narodową instytucję. Była chwila, i to wkrótce po ukazaniu się pracy hr. Cieszkowskiego, w której można było co do trafności jego spostrzeżenia powziąć niejaki wątpliwości. Konstytucya z 1848 r., przejęta romantyczną frazeologią swych wielko-rewolucyjnych poprzedniczek, wsparła się na systemie jednoizbowym ³⁾; ale wraz z rzecząpospolitą pierzchnął Robespierowski upiór, a następczyni jej, rzeczpospolita z 1871 r., przekonawszy się, że podług starego orzeczenia „une seule chambre sera éternellement despote ou esclave” ⁴⁾, powróciła w r. 1875 do systemu dwuizbowego i uznała go za odpowiedni narodowym potrzebom. Trudno przypuszczać, aby wyboru swego miał republikański prawodawca niezadługo pożałować. Wobec bowiem niezaprzeczonego faktu, że izby francuskie zyskują co-

¹⁾ *Laboulaye*. Questions constitutionnelles. Str. 219.

²⁾ *Théorie des garanties constitutionnelles*. 1838. Str. 50 i dalsze—dowodzi, że izba wyższa powinna sobie przyswoić i pierwiastki postępowe.

³⁾ *Laferrrière*. Les constitutions i. t. d. Str. 135, § 20 „le peuple français délègue le pouvoir législatif à une Assemblée unique.”

⁴⁾ *Laboulaye*. Questions constitutionnelles. Str. 349.

raz więcej przewagi nad władzą wykonawczą ¹⁾, jedno zgromadzenie reprezentacyjne powróciło-by prędzej lub później do tradycji wielkiej rewolucyi, pogrążając cały kraj w nieopisanym odmiecie.

Pragnąc izbę wyższą we Francyi oprzeć na zasadzie kooptacyjnej, hr. Cieszkowski poddał zasadę dziedziczności i wybieralności gruntownej i, rzec można, prawie wyczerpującej krytyce. Skończony mistrz w dziedzinie myślenia, jasny w najsubtelniejszej argumentacyi i zawsze wyzwolony od owej zawilości abstrakcyjnej, spotykanej dość często u uczniów Hegla, nie obciążał hr. Cieszkowski zbytecznie erudycją swych dowodzeń i liczyć się zwykł z wielkimi skarbnicami dziejowego doświadczenia. Sądził-bym wszakże, że argumentacyi jego, zawsze silnej i podbijającej, dodały-by niekiedy powagi przykłady historyczne, choćby drobniejszego pokroju. Wykazując np., że pośrednio wybieralny senat, dobry z wielu względów dla Ameryki północnej, nie był-by odpowiedny we Francyi, następnie przekonywając, że wybór jednej izby przez drugą, praktykowany w Norwegii, był-by jeszcze mniej właściwym dla Francyi, hr. Cieszkowski, gdy podejmuje z kolei rzeczy krytykę wyborów bezpośrednich z ograniczeniem prawa wyborczego biernego, pomija Belgię, która od 1830 r. mogła wzbogacić swem doświadczeniem autora.

Przemawiając za zasadą kooptacyi z niezwykłą siłą przekonania i z rzadką subtelnością argumentacyi, hr. Cieszkowski pominął dzieje nowożytne tejsze zasady, nie tylko powszechne, ale i we Francyi. Senat za konsulatu był przecież kooptacyjnym ²⁾, a mimo to, zrodził się w nim duch serwilizmu, który Bonapartemu wynalazł tytuł specjalny „la majesté consulaire“ ³⁾. Nie podnoszę bynajmniej powyższego faktu, aby nim podkopywać rozumowanie autora. Jestem nawet przekonany, iż jak senat konsularny duchową swą nicością nie jest w stanie zachwiać wywodów hr. Cieszkowskiego, tak i senat kooptacyjny w stanie Marylandu, uznany przez Storego, mimo wszelkich zarzutów teoretycznych, za pożyteczny i dobrze funkcjonujący ⁴⁾, nie może dlań stanowić wielkiej pomocy. Zauważam jedynie, że w studyach politycznych najlogiczniejszą argumentację uzupełniać zwykła logika faktów, czerpana z doświadczenia dziejowego, a sprawiająca niekiedy abstrakcyjnym myślicielom dziwne niespodzianki. Hr. Cieszkowski złożył w swej pra-

¹⁾ *Pierre*. *Traité de droit politique electorale et parlementaire*. Str. 7. i dalsze.

²⁾ *Lasférière*. *Les Constitutions* i t. d. Str. 76, § 516. Senat wybierał swych członków z trzech kandydatów, przedstawionych po jednym przez ciało prawodawcze, trybunat i pierwszego konsula.

³⁾ *Durdent*. *Histoire critique du Sénat-conservateur*. St. 56.

⁴⁾ *Das Bundesstaatsrecht der vereinigten Staaten Nordamerikas*. Str. 319,

cy niezaprzeczone dowody na to, że historię uważał za mistrzynię życia i że czerpał z jej wielkiej skarbnicy doświadczeń. Jedyne tylko w drugorzędnych kwestjach nie zdołał się nagiąć do poziomu historycznego szperacza i pozostawił skromniejsze dokumenta z przeszłości na uboczu.

Upatrując w zasadzie kooptacyjnej czynnik, jedynie odradzający izbę parów, hr. Cieszkowski, w następnym pięćdziesięcioletnim rozwoju życia konstytucyjnego nie znalazł pełnego dla swej myśli przewodniej potwierdzenia. Wybory pośrednie do senatu uzyskiwały na kontynencie sankcyę połowy stulecia, a nawet rzeczpospolita francuska żyła się od 1875 r. z systemem, któremu autor przyznawał tylko w pewnych warunkach racyę bytu. Chociaż jednak mam pewne wątpliwości, czy akademicka kooptacya, odpowiedna dla spokojnego świata uczonych, wytrzymała-by ogień próbny politycznych namiętności, zaznaczyć jednak winienem i przyznać muszę, że pomysł hr. Cieszkowskiego odniósł świetny, choć tylko częściowy, tryumf. Wiadomo bowiem, że senat rzeczypospolitej francuskiej od 1875 r. uzupełniał się w czwartej części (75 na 300 senatorów) za pomocą kooptacyi ¹⁾. W ostatnich czasach odstąpiono nawet od powyższej zasady i jedynie około 40-u pozostałych niewzruszalnych senatorów postanowiono cierpieć aż do zupełnego wymarcia. Żywiły jednak społeczne, które się dostały dzięki kooptacyi do senatu, zasłużyły sobie na najwyższe pochwały i uznanie. Pyfferoen żałuje *szczerze*, że, gwoli ujednostajnieniu zasady, senat pozbędzie się źródła, z którego czerpał przez lat dwadzieścia obficie niepodległość zdania, chłodną rozważę i dojrzały rozum stanu ²⁾.

Wszystko, co hr. Cieszkowski napisał o niezbędności istnienia arystokracji w demokratycznym społeczeństwie, wczystko, czego od arystokracji wymagał, i doniosłości pełne posłannictwo, jakie jej wskazał, stanowiłby *być może* niewyczerpany i niespożyty przez czas skarbiec politycznej etyki. Wyznaję, że nie zdarzyło mi się spotkać z pracą, która-by pod tym względem dała się porównać ze studyum hr. Cieszkowskiego. Do wytworzenia arystokracji, jakiej pragnął autor, najwięcej mógł dopomóc i w rzeczywistości najbardziej dopomógł samorząd lokalny. Uszlachetniający wpływ, jaki wywarł na społeczeństwo, wiadomy był już Fievéé'mu, który niezapomniał nawet o ciekawym przykładzie, jaki dały gminy Hollandyi w dobie wcielenia tego kraju do francuskiego

¹⁾ *Bard et Robiquet. La constitution française de 1875 i t. d. Str. 213.*

²⁾ *Du Sénat en France et dans les Pays-Bas. Str. 37.*

cesarstwa ¹⁾). Chciało-by się też, ulegając mimowoli pokusom pedantyzmu, zarzucić hr. Cieszkowskiemu, że między kardynałnemi czynnikami, odradzającemi arystokrację z ducha, a nie z ciała, nie wymienił samorządu. Uwaga podobna jednak nie była-by usprawiedliwioną. Dowodząc bowiem, że arystokracja nowożytna nie może się ograniczać dziełami dobroczynnemi prywatnej natury, lecz że winna torować masom ludu drogę postępu i rozwoju, wskazuje najwyraźniej hr. Cieszkowski samorząd miejscowy, któremu przewodnicząc, zapewniła sobie arystokracja angielska wysokie przymioty wraz z dojrzałością polityczną ²⁾). Czytając zaś owe podniosłe myśli, nakazujące arystokracji unikać próżniactwa, a nieustannie zasługiwać się społeczeństwu dzielnemi czynami, ulega się złudzeniu, że hr. Cieszkowski dziwną moc swego ducha zaczerpnął z zamierzchłych czasów i dawnych tradycyi, gdy Skarga, sławiąc zwycięzców multańskich, rzekł na ich największą pochwałę: „prawdziwa miłość ojczyzny pokazała się w nich nie słowy, nie udatnością, ale rzeczą samą.“

A. REMBOWSKI.

Od Redakcyi. Po wydrukowaniu już niniejszego artykułu otrzymaliśmy bolesną wiadomość o śmierci ś. p. **Augusta Cieszkowskiego** w Poznaniu d. 12 marca b. r.

¹⁾ „De la pairie, des libertés locales et de la liste civile.” Str. 67 i 68. Gminy Hollandyi oparły się systemowi centralizacyi administracyjnej Napoleona.

²⁾ *Fievés.* De la pairie i t. d. Str. 27, utrzymuje mylnie, że arystokracja angielska nie zniżala się nigdy do drobnych spraw samorządu lokalnego. Prace Gneista przekonały aż nadto, że mu zawsze przewodniczyła.

Pisma Włodzimierza Spasowicza.¹⁾

Niedawno obchodzono jubileusz długoletniej działalności społecznej i pisarskiej p. Spasowicza. Nie trzeba było tej dopiero daty, aby przypomnieć i uświadomić niepospolite zasługi, położone przez jubilata. Odkąd tylko po raz pierwszy dał się poznać, zajął miejsce poważane i wybitne; od lat co najmniej dwudziestu zalicza się do najwydatniejszych w społeczeństwie postaci. W zawodzie, któremu się poświęcił, ceniony równie jako teoretyk i praktyk pierwszorzędny, jako profesor i obrońca, wcześniej uczynił swoje nazwisko znanem w Europie, u specjalistów przez gruntowną naukę, w szerszych kołach przez śmiałość i sympatyczną, przy głośnych okazjach, wymowę; co zaś może jeszcze godniejsze uwagi, w bliższej sferze, na stanowisku szczególnie trudnem, potrafił zdobyć sobie wyjątkowe uznanie i powagę. Nie zamykając się zresztą w swojej specjalności, z zamiłowaniem i wrażliwością, rzadką u ludzi przywalonych wyczerpującą pracą zawodową, oddaje się rozważaniu arcydzieł piśmiennictwa rodzimego i obcych. Nadto, dosyć jeszcze znajduje dobrych chęci i czasu, aby przysługiwać się publicystyce tyleż osobistym udziałem, ile płodną inicjatywą.

¹⁾ 6 t., Petersburg, Rymowicz, 1892.

Użyteczna a wszechstronna działalność p. Spasowicza, — z której tuszyny, długo jeszcze danem nam będzie korzystać, — upamiętniona została lepiej, niż w przemijających obchodach jubileuszowych, w edycji zbiorowej jego „Pism.“ Myśl tego wydawnictwa ze wszech miar była szczęśliwą. W istocie, jakkolwiek zasłużonym rozgłosem cieszy się nazwisko autora, działał on przecie zawsze więcej słowem żywym, niż pisanem, i więcej może miał słuchaczy, niż czytelników; a nawet działalność jego czysto pisarska, rozproszona po czasopismach, obejmująca nader rozległy okres czasu, niełatwo dawała się ogarnąć. Mamy ją teraz zgromadzoną razem. Żałować tylko wypada, że obszerny zbiór, tym sposobem powstały, nie został staranniej i systematyczniej uporządkowany; w licznych, nader urozmaiconych, a uscenizowanych przygodnie przyczynkach, z jakich się składa, zorientować się z pewnym przychodzi trudem. Rozejrzawszy się w „Pismach“, można z nich wyróżnić trzy działy główne: rzeczy treści prawnej, estetyczno-krytycznej, polityczno-społecznej. Nie będzie to rozkład wyczerpujący, ani zupełnie ścisły, wszakże o dokładniejszy byłoby zapewne dość trudno.

I.

P. Spasowicz jest prawnikiem. Jest on mianowicie jednym z tych prawników, którzy, w przejściowym okresie swego życia, kiedy w umyśle już się konsolidującym a jeszcze wielce wrażliwym najświadomiej i najmocniej utrwalają się opinie, byli obecni w siódmym dziesiątku b. wieku przy podjęciu i dokonaniu wielkiej reformy sądowej w Rosyi. P. Spasowicz tylko był obecny; ruscy prawnicy tej samej, albo niewiele starszej generacji, obmyślili i doprowadzili do końca niepospolite dzieło. Byli wśród nich ludzie bardzo zacni i bardzo dzielni; z nich niektórzy obecnie zasiadają w Senacie Rządzącym i niekiedy pisują istotnie piękne motywa do wyroków kasacyjnych, znoszących uchwały niższych instancji, gdzie inna już zasiada generacja. P. Spasowicz tamtych miał za kierowników, albo za towarzyszy, zblizka na nich się patrzył i przejął się słusznym dla nich szacunkiem, słusznem poszanowaniem dla znakomitego dzieła reformy, do którego oni przyłożyli ręki.

Oczywiście, na tem miejscu możliwe są jedynie wzmianki pobieżne i oderwane o pomniejszych pismach prawniczych, które weszły do zbioru, — (większe i ważniejsze zostały wyłączone) — pismach zresztą okolicznościowych i mało między sobą mających łączności. — Najwcześniejsze dotyczy „Stosunków majątkowych między małżonkami podług

dawnego prawa polskiego.“ Przedmiot, jeden z najciekawszych, dał, jak wiadomo, w innym czasie okazję do homerowskiej potyczki staro, nieocenionego Dutkiewicza, z Maciejowskim, odwiecznym jego antagonistą, i młodym jeszcze p. Bobrzyńskim, na którym ciężko spoczęła naówczas twarda ręka wojowniczego pisarza „Prawa Hypotecznego.“ P. Spasowicz, kreśląc znacznie wcześniej krótki zarys dawnych przepisów obowiązujących, nie miał powodu wdawać się w dystynkcyę pomiędzy zwyczajem a sankcją prawną; jego pismo, nic nie dodając do Bandtkiego i Czackiego, jest bezpretensjonalne a treściwe i jasne. Była to pierwotnie rozprawa habilitacyjna, złożona uniwersytetowi petersburskiemu w 1852 r. Z powodu tej rozprawy, jak gdzieindziej objaśnia sam autor, zeszedł się z nim bliżej profesor Kawelin, ułatwił mu otrzymanie katedry i został poniekąd dzielnym jego przewodnikiem; sympatycznej postaci Kawelina, zmarłego przed kilku laty, jest poświęcone ciepłe wspomnienie pośmiertne. Do dziedziny całkiem nowożytnej wkraczają dwie rzeczy o „własności literackiej.“ W tej spornej, tylekroć omawianej kwestyi, od pół wieku, wyznajemy, nic nie słyszeliśmy rozumniejszego od dwóch przemówień Macaulaya w Izbie gmin; uwagi p. Spasowicza nie są przekonywające; kiedy pierwotnie radzi autor „ogłosić bezwarunkową wolność przekładów“, po paru już latach i o parę stronic dalej oświadcza się „za opodatkowaniem przekładów na rzecz autorów oryginałów, ale umiarkowanym“; zresztą jest przeciwnikiem „majoratów literackich“, i słuszny zakłada protest przeciw wygórowanym pretensjom spółczesnej rzeszy pisarskiej. Drobnostkę o „Towarzystwach akcyjnych“ pominąć wolno. Obszerna rzecz o „Naszycch dzisiejszych sądach szlacheckich polubownych“ przedstawia bezstronnie a szczegółowo spór majątkowy, w swoim czasie głośny na Podolu i Ukrainie, a posiadający o tyle tylko znaczenie ogólniejsze, o ile należał do szeregu usiłowań bezowocnych otrząśnięcia się i wyzwolenia z nowych porządków sądowych. Po-za tem, mówiąc własnymi słowami p. Spasowicza, godzi się „wątpić, czy wertowanie tej sprawy może obudzić inne uczucia, prócz żalu, niezadowolenia i niesmaku.“

Wreszcie, ażeby skończyć z przedmiotami treści cywilno-prawnej, podnieść wypada szereg uwag z powodu „Kodyfikacji russkiego prawa cywilnego.“ Jak wiadomo, od kilku lat trwają w Petersburgu prace Komisji kodyfikacyjnej, której powierzono zostało potężne zadanie wygotowania ujednostajnionej księgi praw cywilnych dla całego obszaru państwa russkiego. P. Spasowicz z tego powodu wyraża życzenie, aby nie zaniedbano przy kodyfikacji „zapożyczyć się“ ze statutu litewskiego, skąd korzyść była-by „olbrzymia“, albowiem: „Po pierwsze, było-by to praktyczne posunięcie o jeden krok naprzód kwestyi słowiańskiej..., powtóre, może-by ta próba wpłynęła na zmniej-

szenie ślepego przywiązania całej jurysprudencji Królestwa Polskiego do Kodeksu Napoleona.“ Jakkolwiek ta uwaga posiada znaczenie czy-
sto platoniczne, nie możemy się powstrzymać, aby jej nie podkreślić. P. Spasowicz dużo się zajmował Statutem litewskim, i jest rzeczą
wcale naturalną, że ten pierwszorzędny pomnik prawodawstwa do
serca mu przyrósł. Jednak, ani nieprzesadny pietyzm, ani, tem mniej,
nieokreślone względy „słowiańskie“, nie są zdolne wypełnić odstepu
pomiędzy historycznym pomnikiem prawnym, jakim jest Statut, a pier-
wszem z istniejących żywym dziełem prawodawczym, jakim jest Ko-
deks francuski.

P. Spasowicz, jak wiadomo, poświęcił się głównie prawu karne-
mu. Ten przedmiot ze znakomitem powodzeniem wykładał on z kate-
dri uniwersyteckiej; w tym kierunku przeważnie użytkował nastę-
pnie świetny talent obrońcy.

Ze wszystkich dziedzin prawa, które wszystkie spoczywają na
pewnych fikcyach koniecznych, dziedzina prawa karnego, mroczna
i niezdrowa, wznosi się na gruncie najbardziej uginającym się i niepe-
wnym. *La loi demeure, inique et mauvoise nourrice, Et son indifférence
a l'effet du caprice*, — i ten, i inne akademickie sonety, mierzące ogólni-
kowo we wszelką Sprawiedliwość, mógłby Sully Prudhomme wy-
stosować szczególnie do sprawiedliwości karzącej. A jeśli w do-
datku rozczytać się w literze prawa, jeśli nadto się zwrócić do jego
podwalin teoretycznych, aby poszukać kardynalnych zasad poczyna-
talności przestępców, klasyfikacji przestępstw, ustopiowania kar;
wtedy nad niesmakiem i niechęcią gotowa wziąć górę sceptyczna i lek-
ceważąca obojętność. P. Spasowicz, który więcej, niż kto inny, widział
podsądnych i słuchał wyroków, wie o tem wszystkim lepiej, niż kto
inny. Przed trzydziestu laty, na początku zawodu obrończego, zastana-
wiając się nad „Teorią włamania się“, do takich dochodził wniosków:
„Formy i teorye prawne podobne są do rusztowania, które architekt
stawia przy budowaniu gmachu; jest ono niepiękne, ale obejść się bez
niego niepodobna. Można je rozebrać, ale na jego miejsce trzeba posta-
wić inne. Włamanie się jest jedną z takich niedoskonałych form, uży-
wanych dla wprowadzenia możliwie najsprawiedliwszych kar za kra-
dzież; formę tę można uchylić, ale jednocześnie trzeba wymyślić inne
jakieś zmyslenie, inne widmo, inną okoliczność, która-by posłużyła do
ustopiowania kar za przestępstwa. Powziąłem myśl odszukania takiej
formy, która mogła-by posłużyć do zastąpienia włamania się; długom
z tą myślą się porałem, ale ostatecznie dotychczas nic nie wymyśliłem.“
Jest to zapewne jedna tylko z tysiąca nierozstrzygniętych wątpliwości,
jakie wytrawnemu prawnikowi nasunąć się musiały w ciągu długole-
tniego doświadczenia i obserwacji.

Najcięższe atoli zwątpienia przyniosła chyba p. Spasowiczowi doba najnowsza. Przyniosła bowiem nie tylko niektóre miejscowe zmiany procedury, ale w dodatku najniespodzianiejszą spłodziła na Zachodzie nowy całkiem kierunek w teorii i prawodawstwie karnem: drakońskie prawo o recydywistach, we Francji; agitację zjazdów prawniczych przeciw sądom przysięgłych, w Niemczech; w końcu, we Włoszech, dziwnie radykalną naukę o przestępstwie i karaniu, która wywraca wszystkie pojęcia, od lat stu utrwalone, niweczy teorię poprawy, daleko wybiega po-za teorię zastraszenia, nic nie pyta o poczytalność; z przestępcy czyni poprostu dziką bestyę; z sędziego — *louvetier'a*, który w swoim okręgu winien wilki wytepić; z wszelkiej kary — surrogat kary śmierci. P. Spasowicz, wychowany w dobrej szkole znakomych prawników i zacnych ludzi starego autoramentu, którzy nie myśleli utożsamiać swego zadania z zadaniem psychiatry i czyściciela, z przykrością musiał usłyszeć echa tej nowej ewangelii, przychodzącej z kraju Filangierich i Beccariów. Znajdujemy w „Pismach“ piękne przemówienie, wygłoszone przed kilku laty, na zjeździe penitencyarnym w Petersburgu, na cześć „Johna Howarda“, wielkiego filantropa angielskiego, który tyle uczynił dla poprawy więźniów wszystkich krajów: cóżby stary Howard, Bentham, Thackeray, — że wymienimy tylko Anglików i niespecjalistów — powiedzieli na rozbrzmiewające dzisiaj teorie? „Nie uwierzyłbym wtedy, kiedym opuszczał katedrę (1864), gdyby mi powiedziano, że będą na Zachodzie wygłoszone i znajdą adherentów zdania, wręcz przeciwne temu, co się uważało za pewnik i za prosty wyraz ludzkiego i chrześcijańskiego ducha,“ — tak rozpoczyna p. Spasowicz szereg odczytów o „Najnowszych prądach w nauce prawa karnego.“ Niema potrzeby iść tutaj za jego wywodami, które w zasadzie można tylko podzielać; żałować jedynie wypada, że opierają się prawie wyłącznie na książce Tarde'a i mało zawierają osobistych uwag autora.

Spostrzegamy się jednak, nieco po niewczasie, że na tem miejscu o p. Spasowiczu, jako o prawniku, mówić nie mamy powodu. W rzeczy samej, ani jego ogólny „Wykład prawa karnego“, ani zbiór świetnych przemówień w głośnych niegdy sprawach, nie zostały w przekładzie włączone do niniejszej edycji. Można zatem dać pokój jursprudencji i rozejrzeć się w pozostałej, ponętniejszej zawartości „Pism.“

II.

Znaczną ich część wypełniają wdzięczne sylwetki poetów i przenikliwie o poezyi roztrząsania. Są to prawie wyłącznie odczyty, — ulu-

biona od autora forma obcowania z publicznością, -- wygłoszone wśród rozmaitych warunków, w Warszawie, Krakowie, Lwowie, albo też w Petersburgu. Jasną, dobitną wymowę prelegenta najwięcej chyba osób pamięta z warszawskich sal ratuszowych, gdzie tylekroć mnogich przykuwała słuchaczy. I jeżeli, jak chce cyceronowski Brutus, który mógł na tem znać się dobrze, „trzech rzeczy dopiąć przystoi w przemawianiu: aby słuchacza nauczyć, aby go zachwycić, aby go mocno wzruszyć“, *ut doceatur, ut delectetur, ut moveatur vehementius*, — niewątpliwie słuchacze p. Spasowicza z sali ratuszowej, czy z innych, wychodzili najczęściej nauczani.

Kiedyśmy, przed piętnastu laty, słuchali p. Spasowicza, mówiącego o „Wincentym Polu, jako poecie“, nie tylko byliśmy nauczeni, — delectowaliśmy się. Dzisiaj, odczytując rzecz w druku, mamy zastrzeżenie. W istocie, trudno tutaj akceptować wiele sądów poszczególnych, jak ten naprzykład, jakoby ładny, sentymentalny ułamek liryczny Pola „godzien był ze wszechmiar stanąć obok Mickiewiczowskiego sonetu“ z Krymu; pochwała, dosyć zresztą umiarkowana w ustach autora, który w innem miejscu powiada o tych sonetach, iż są pisane „z niezaprzeczoną napuszonnością i przesadą“; pochwała, która z tego powodu podwójnie wydaje się nam błędną, gdyż sądziliśmy zawsze, że w tym rodzaju poezji niema nic im równego w piśmiennictwie polskiem. Ale to są i będą rzeczy gustu. Bardziej stanowczo można zakwestyonować niektóre ogólniejsze już wyroki p. Spasowicza. A więc, chociażby się z nim zgodzono, że twórca „Mohorta“ „niezawodnie należał do niewielkiej liczby nieśmiertelnych“, żadną przecieź miarą niepodobna podpisać następującego zdania o Polu: „na Wawel z nim... bo pomiędzy dawnymi ludźmi z porfiru, czy z piaskowca, w wawelskiej katedrze ten przybysz znalazłby się, jak między swoimi, od nikogo z nich niepośledniejszy, wykuty z tego samego, co oni kamienia“. Kto o tem razem z nami powątpiewa, ten nieco dalej przez samego p. Spasowicza zostanie w powątpiewaniu utwierdzony, gdyż się dowie, że Pol był „niezbyt bogaty w pomysły, bardzo jednostronny, więc nie mogący się liczyć do naczelných, talent, któremu brakowało harmonii w uzdolnieniach a równowagi w pomysłach i wykonaniu“. — Interesujące są uwagi z powodu głośniejszej pobudki „Słowo i Sława“, skierowanej przed półwiekiem do pobratymców z nad Wełtawy; prelegent słusznie zniża wartość tego ciekawego utworu, wbrew zachwytom Ujejskiego i Szajnochy; trafnie, — jakkolwiek z założeń niewystarczających, — wytyka zawarte w nim urojenia i przesady polityczne.

Ładnie i plastycznie, na zasadzie monografii Kraszewskiego i Tytzyńskiego, nakreślony został sympatyczny wizerunek „Władysława Syrokmi“. Razi tu przecie jedno. Prelegent czyni uzasadniony za-

rzut gawędziarzowi-poecie, że „aż do końca nie mógł się pozbyć prowincjonalizmów“. To prawda; ale jest niemniej prawdą, że w „Pismach“ prelegenta co krok spotykamy zwroty w rodzaju: „zgrzywać rolę“, „mąż dużej ręki“, w „lat szesnaście sprzedał się na katolicyzm, a w lat czterdzieści dwa wrócił“, „tęsknienie po lampie i po księgarni“, i t. d. Niewątpliwie są to w znacznej części grzechy tłumaczy, które jednak niemniej wyrządzają krzywdę autorowi. Większą jeszcze krzywdę wyrządza mu inna okoliczność, o którą już trudniej winić tłumaczy: nader niefortunnie odbija się na stylu p. Spasowicza jego nieogłędna pochopność do porównań. Rzecz o Syrokomla takim zaraz na wstępie otwiera się postrzeżeniem obrazem: „ze wszystkich stron naszych, najbardziej obfitującami nietylko w źródła mineralne, ale i w Kastalskie krynice samorodnej poezyi, są okolice nadniemeńskie;“—wolno w tym obrazie nie gustować, i nie dlatego, ażeby spierać się o rzecz samą, lecz wyłącznie dla względów dobrego smaku, który się sprzeciwia porównawczemu rozważaniu zalet wód druskienickich, a „Odprawy posłów“, ciechocińskich soli, a „Grobu Agamemnona.“ Są w *Pismach* rzeczy jeszcze osobliwsze. „Mistrzostwo Byrona w tem głównie objawiało się, że kanalizował uczucia i kazał im ściekać jak największem korytem.“ „Wielcy ludzie polityczni, jak Napoleon, są niby krawcy, wykrawający dusze i charaktery mnogich następnych pokoleń na swój obraz i podobieństwo,“—szczególniejsi to chyba krawcy, a porównanie, jeśli się nie mylimy, wzięte z Szekspira, lecz wypaczone. Gdzieindziej znajdujemy „dynamit uczucia, włożony do misternie wyklejonej papierowej dudki sennego marzenia,“ „po skopaniu całej cywilizacji, nową, jak dwie krople wody podobną do dawnej skopanej,“ „psychologię Roussa, z niego samego skalowaną;“ jego „trudny półóg“ pisarski; „pacierzowy szpik wieku;“ „sprzeczne żywioły i interesa materyalne, biorące się za boki,“ „konieczność podłechtania do ideomotornego procesu,“ i innych w tym rodzaju chropowatości bez liku. Nie wahamy się, jakkolwiek jest to rzecz nieprzyjemna, a nawet drażliwa, uczynić tej uwagi tak znakomitemu pisarzowi, jakim jest p. Spasowicz. Jego styl wyrazisty, łatwy i okrągły, lecz luźny i chwiejny, przeładowany zbytciem ciśniętych pośpiesznie obrazów, niekiedy całkiem pozbywa się równowagi. Nie wahamy się mówić o stylu, tej rzeczy, która ma opinię podrzędnej i nudnej, a tak jest doniosłą i delikatną, że ledwie mówić o niej śmiemy, nie przyznając sobie ani dosyć kompetencji, ani nawet czystego sumienia na tym punkcie. Dzisiaj, zdarzy się od czasu do czasu, że ktoś wytknie wielkim głosem grzechy językowe dziennikarzy, albo debutantów literackich,—najmniej poczytalnych, gdyż tłumaczy ich bądź pośpiech, bądź niedoświadczenie, najmniej szkodliwych, gdyż nikt na nich wzorować

się nie będzie:—raczej tym, którzy dostarczają wzorów, celniejszym a poczytniejszym pisarzom, niekiedy godziło-by się wspomnieć, że powagę i piękno języka oni mają na pieczy. Tymczasem, kiedy mowa poetycka polska, dzięki wielkiej trójcy jej wskrzesicieli, udoskonaliła się nadzwyczaj i wypiękniała, mowa prozaiczna się spospolitowała i poszła w zaniechanie. Dzisiaj do tego doszło, że okolicznościowe wiersze w „Kuryerkach“ starannie są rymowane od arcydzieł Kochanowskiego; a proza wydatniejszych nawet pisarzy niższej jest próby, niż w raptularzach nieokrzesanego Paska, lub płaskiego Matuszewicza. Ten upadek mowy niewiązanej nie jest wprawdzie zjawiskiem odosobnionem i objawił się również i gdzieindziej. W prozie angielskiej coraz więcej bierze górę amerykańska *nonszalancya*; w niemieckiej zaplanowała wstrętna mieszanina dawnego pedantyzmu z siłacem się na nekkość nowatorstwem; najgorzej zaś bodaj dzieje się w piśmiennictwie russkiem, gdzie „literatura miesięczników,“ tak obfita, że stanowi niemal osobną gałąź piśmiennicza, najwięcej uczyniła dla spowszednienia mowy niewiązanej. Niebrak jednakże przykładów lepszych, niebrak zaszczytnych wyjątków, do jakich poniekąd wypada zaliczyć współczesne piśmiennictwo włoskie, żyjące jeszcze poczęści tradycją pięknego języka renensansu; do jakich przedewszystkiem należy francuskie, gdzie, mimo wszelkie wybryki, poszanowanie dla języka podziśdzień najwyżej jest posunięte.

P. Spasowicz,—że wrócimy do niego po tej pewnie przydługiej dysgresyi,—mniej wrażliwy nietylko na prawo, lecz, zdaje się, także i na literaturę francuską, z tem większem zamiłowaniem zagłębił się w angielskiej. Przyniósł stąd nasamprzód dwa barwne odczyty o „Hamlecie.“ Nie może być naszym zamiarem powiedzieć cośkolwiek w przedmiocie, w którym oddawna aż za dużo już powiedziano. Wskażmy tylko przelotem parę punktów wątpliwych. „Powszechnie przyjęto, iż Hamlet odpowiada przejściu przez zenit gwiazdy Szekspirowskiej, że ze wszystkiego, co napisał (kto?), jest to najgłębsze.“ Takiej jednomyślności być nie mogło i niema. Macaulay, pewnie powołany sędzia, tak szeregował arcydzieła Szekspirowskie: Othello, Lear, Macheth, Hamlet; zaś można-by łatwo wyliczyć tuzin sądów, równie kompetentnych, a za każdym razem odmiennych. „Szekspir nigdy nie był pisarzem tendencyjnym, który-by w pewnym celu politycznym wyzyskiwał urzędowy, czy narodowy patriotyzm i przepalał go na sceniczne efekty.“ Chyba nikt mniej nie zasługiwał na taką pochwałę, niż autor „Henryków,“ pochlebca Elżbiety, oszczerca Joanny d'Arc. Sądy prelegenta o samym „Hamlecie“ budzą sporo pomniejszych skrupułów. O mały włos, „mielibyśmy z Klaudyusza Augusta II Mocnego, a z Danii Pol-

skę. Uderzające podobieństwo zwiększa nawet miódopłynna fakunda, z ust królewskich płynąca, napuszczona, retoryczna, kwiecista, jak oracya z XVII wieku." Nie może się nam w głowie pomieścić to „podobieństwo;” a przecież, aby znaleźć istotnie podobną do duńskiej tragedję królewską, nie potrzebował chyba p. Spasowicz zbyt daleko szukać. Dodajmy, że króla Klaudyusza nie mamy zgoła, jak chce prelegent, za „skończonego łotra,” ani królowej Gertrudy za „istotę grubo cielesną” tylko, lecz oboje za ludzi bardzo nieszczęśliwych; Poloniusza bynajmniej nie mamy za „dudka”, lecz za wcale niegłupiego jegomościa. Ale to są znowu rzeczy gustu. Było-by coś ogólniejszego do powiedzenia. Prelegent obok rzeczy, na które można się nie zgodzić, wygłosił też sporo uwag, którym tylko można przyklasnąć. P. Spasowicz, z autorytetem wytrawnego prawnika, objaśnia, że postępowanie Hamleta z Rosenkranzem i Gildensternem jest „czynem w całym znaczeniu słowa zbrodniczym,” gdyż królewicz nieprawnie przywłaszczył sobie „list królewski i nietylko go schował, ale sfałszował inny z podobionym podpisem Klaudyusza i królewską pieczęcią, odcisniętą sygnetem.”—Jest to niezawodnie nader ciężki wypadek premedytowanego zabójstwa, skomplikowany przez kradzież i fałsz dokumentu, i pociąga za sobą co najmniej tyle a tyle lat robót przymusowych.—Dobrze, ale cóż z tego?—P. Spasowicz polemizuje z Rümelinem, Wernerem Tschitschwitzem i innymi specjalistami Szekspirowskimi, w całej litanii zagadnień kazuistycznych: czy było rzeczą praktyczną ze strony Hamleta udawać szaleńca, czy nie mógłby łatwiej dać sobie rady przez otwartą napaść, czy monolog jest w zgodzie z pojawieniem się ducha; polemizując, objawia wszędzie niepospolitą przenikliwość i wszędzie zupełną ma rację. Znowu dobrze, ale czy rzecz warta zachodu? Interpretująca każdy szczegół, o wszystko pytająca, gubiąca się w drobnostkach, a często dyalektyczna metoda badania najpierwszych utworów natchnienia i sztuki, wynaleziona i umiłowana od Niemców, czyż jest istotnie wszędzie użyteczną, stosowną, potrzebną? Najmniej jest potrzebną w zastosowaniu do potężnego geniusza sztuki dramatycznej i jego wielkich arcydzieł, które należało-by nareszcie zostawić w spokoju, bo same trafiają do dusz ludzkich, a do każdej trafiają drogą osobną. Gdyż, z wszelką pewnością, te cudowne historie, wesołe albo smutne, na swój sposób komponuje sobie każdy, kto ich słucha; podobnież, jak według dowcipnego adagium, urabia sobie każdy tę książkę, którą czyta. Do tego wrażenia, jakie bardzo dawno, niezupełnie spokojni, patrząc z wyżyn paradyzu na odgrywającą się na deskach historyę duńskiego księcia, do tego wrażenia, upewniamy, nic, albo nic cennego, nie dodały wszystkie niestrawne monografie o „Hamlecie,” jakieśmy od-

tań, w swem niedoświadczeniu, przełknęli. A kto więcej ciekaw, niechaj sam się rozpatrzy w sztukach i sonetach Szekspira; niech poczyta jego społecznych ludzi, z którymi on pisywał do współki, na których się wzorował i u których czerpał, lub którzy jego z kolei naśladowali; niechaj zajrzy do Rowleya, Marlowe'a, Webstera, a bodaj sięgnie do Lope de Vega i Bandella, aż nawet do Boccaccia i Plutarcha; niech to zrobi, a o zagadki estetyczne głowy nie łamie: zapewnić można, że nie straci, owszem, zbuduje się i ubawi. Dodajmy w szczególności z powodu „Hamleta,” że gdyby p. Spasowicz zajrzał był do źródła fabuły, do *Gesta Danorum*, oszczędził-by sobie wiele roboty, gdyż był-by się przekonał, że wiele dziwacznych w tragedyi wybryków, w których doszukuje się głębszych intencji poety, poprostu żywcem zostały wzięte od starego płaskiego kronikarza. Zaś, jakkolwiek byłby płaskim gadułą Saxo Grammaticus, jakkolwiek pretensjonalną a barbarzyńską była-by jego łacina, zawsze jeszcze amator, który do niego zabłądzi, lepiej się ubawi jego tłustą bajką Hamletowską i jego morałem więcej się zbuduje, niż wertowaniem martwych monografi estetyków Tschitschwitza i towarzyszy. Jesteśmy przeświadczeni, że tych estetyków nikt mniej-by nie rozumiał, jak sam William Szekspir, gdyby zmartwychwstał i ich komentarzy posłuchał. Któryś Francuz zgrabnie powiedział, że kiedy się pisze o jakimkolwiek celniejszym pisarzu, chociaż-by pogrzebanym od całych stuleci, wypadało-by zawsze sobie wyobrażać, że on stoi za krzesłem piszącego i czyta, co ten o nim pisze.

Z pisarzy obcych najwięcej pociągała p. Spasowicza niezwykajna postać Byrona. Cztery odczyty o „Byronie i niektórych jego poprzednikach,” wygłoszone przed laty dziesięciu w Warszawie, to najobszerniejsze i najszerzej pomyślane studyum literackie ze wszystkich, ogłoszonych w *Pismach*. Rozważając kolejno Russa, Goethego, Chateaubriand'a, dochodzi krytyk w końcu do poety angielskiego, którego życie i twórczość, z wyjątkiem „Don Juana”, przedstawia szczegółowo na zasadzie istotnego zgłębienia jego pism oraz nowszych biograficznych o nim przyczynków. Parę zaledwie niedokładności wpadło nam w oko: a więc „Umowa społeczna” ukazała się nie w 1751, lecz 1762 r., Shelley i Byron poznali się nie w Genewie dopiero, lecz jeszcze przed wyjazdem, w Londynie; pieniędzy na wykupienie Dziennika męża nie dała lady Byron, lecz wyłożył je Longmans; zresztą strona biograficzna, kreślona przeważnie podług Jeaffresona, została oddana wiernie i bez uprzedzeń. Ocena pisarza naogół bardzo trafna, przeniknięta rozumną, niezasłепioną sympatją; a chociaż nie wszędzie przemawia nam do przekonania, dalecy jesteśmy od myśli, aby ofiarować cieni cienia, krytykę krytyki podejmować na tem miejscu. Czynimy wszakże wyjątek dla szczegółu, który nas w kilku miejscach uderzył. Mówiąc

o poprzednikach Byrona, a nosząc się już z zamiarem rozważenia pism następców jego słowiańskich, p. Spasowicz zbyt ulega tak naturalnemu pociągowi do szukania pokrewieństwa duchowego tam, gdzie jest i gdzie go nie ma. „Goethe,—powiada w jednym miejscu, oczywiście bez wszelkiej zasady,—posiada także samo głębokie, jak Rousseau —poczucie religijne.” „Z Byronem,—powiada gdzieindziej, kiedy Anglikowi zdarzyło się we Włoszech westchnąć za górami szkockimi,—stało się prawie to samo, co z Bohdanem Zaleskim, który śnił Ukrainę na Kapitolu.” W innym znów względzie, „dziwne zachodzi podobieństwo między Byronem a Krasińskim”; kiedyindziej,—między spowiadającym się w „Konfesyjach” grzesznikiem a Gustawem z czwartej części „Dziadów” Wcześniej już słyszeliśmy, że „koniec Hamleta dziwnie przypomina koniec Wallenroda”; a to dlatego, że tam młody Horacy chce się otruć razem z bohaterem, tutaj stary Halban z Konradem otruć się nie chce, i dlatego jeszcze, że Mickiewicz na lat sześć przed napisaniem poematu czytywał Szekspira. Chateaubriand przypomina Pola z jego słabością do starszylachecyzny; a zarazem między Chateaubriand'em a Byronem „podobieństwo tak jest wielkie, tak rażące, że obaj wyglądają, mimo że poszli w różnych kierunkach, prawie jak bliźnięta.” Taki sposób przygodnego zestawiania różnych rdzennie umysłów do niczego nie prowadzi. Ostatecznie, wszyscy ludzie są do siebie podobni, wszyscy pisarze, chcąc nie chcąc, naśladowują się nawzajem. *C'est imiter quelqu'un que de planter des choux*,—dobrze tłómaczył się już Musset, o Byronizm posądzany.

Tembardziej trafiły nam do przekonania te ustępy w rzeczy o „Byronizmie Mickiewicza,” gdzie p. Spasowicz roztropnie oświadcza, że wpływ angielskiego poety na polskiego „był, ale go przeceniono, wypada go obniżyć.” Wszakże odczyt o „Wallenrodzie” idzie w poprzek z tem oświadczeniem, głosząc, jakoby „nawet polityczna strona poezji Byrona oddziaływała na Mickiewicza”,—co bodaj czy dałoby się udowodnić. Te studia są właściwie rozwinięciem poprzedniej rzeczy o lordzie-poecie, gdzie w zakończeniu był zapowiedział prelegent: „Kiedyś może zaczęte dokończę w związku z losami Byronizmu na Wschodzie; kiedyś może pokażę, jakie z ręki tego siewcy wyrastały kłosa: u nas Malczewski, Mickiewicz, Słowacki, w Rosyi Puszkini i Lermontow.” Z tego zadania niebawem wywiązał się p. Spasowicz w całym szeregu nowych interesujących przemówień i studyów. Najciekawsze są wygłoszone w Krakowie dwa odczyty, „Mickiewicz i Puszkini przed pomnikiem Piotra Wielkiego.” Wywiązała się stąd w paru punktach ożywiona polemika z p. Tretiakiem, która do *Pism* przeszła. Raczej z tym ostatnim byłibyśmy skłonni przypisać w rzeczy samej Puszkiniowi rozmyślania o „Pomniku”; interpretacya „Jeźdź-

ca spiżowego“ wydaje się natomiast podobniejszą do prawdy w wykładzie prelegenta. P. Spasowicz zgodził się z p. Tretiakiem, że Mickiewiczowska dedykacja mierzyła osobiście w Puszkina; lecz pozostaje przy swoim mniemaniu, że ten ostatni „puścił płazem” nie zewszystkiem zasłużony wyrzut, goryczy w sercu nie zachował, wylać jej w pośmiertnym swym poemacie nie myślał. Powtarzamy, na tym punkcie ma podobno słusność p. Spasowicz, jakkolwiek nie należało tutaj pominąć artykułu Lelewela oraz ciekawego listu Puszkina do hr. Strogonowa, o ile pamiętamy w tej chwili, z wiosny 1834 r. Wszakże, prawdę rzekłszy, takiego lub innego rozwiązania tej kontrowersyi nie bierzemy zbyt blisko do serca. Jeszcze, wracając do „Jeźdźca”, chcielibyśmy skierować uwagę p. Spasowicza, wśród poszukiwanych przez niego możliwych źródeł poetyckiego pomysłu, na szczególniejsze zajście, opowiedziane przez panią d'Oberkirch, a które mogło być wiadomem znacznie wcześniej przed ukazaniem się jej, skądinąd tak wiarogodnych, pamiętników. Mamy na myśli ten ustęp, którego bez pewnego wrażenia czytać niepodobna, gdzie po teatrze, przy kolacji, wśród wesołej gawędy, hr. du Nord opowiada swoją przechadzkę po Petersburgu, w księżycową, widną noc wiosenną, z Kurakinem i dwoma ze służby, i jak nagle posągowa postać Piotra pojawia się u jego boku, przejmując go chłodem, z powtarzaną żalobnie przepowiednią towarzysząc aż do placu nad Newą, gdzie dopiero miała stanąć.

Doskonałe uwagi wypowiedział p. Spasowicz z powodu „Byronizmu Puszkina.” „Byron nie był karciarzem, ani zawadyaką,” trafnie postrzega prelegent i powątpiewa, „azali Puszkini pojął należycie i przeniknął angielskiego poetę.” W istocie, Byron grywał w karty, póki był gołowąsem; Puszkini zaś aż do końca stawiał wyżej „Childe Harolda” i „Giaura”, niż „Kaina” i „Don Juana”,—a dodajmy, że po angielsku umiał bardzo niewiele. Stawiamy nader wysoko geniusz poetycki Puszkina, a zarazem nie znamy mniej stosownego pytania, jak to, „który większy?” Jednakowoż, pomijając już kwestyę charakteru, mniemamy, że pod względem ukształcenia, inteligencji, rodzaju natchnienia, nie tylko różnorodność, ale i różnowartość daje się wyraźnie wskazać w danym wypadku. Intelligencyą górował Anglik, wybujały kwiat kultury zachodniej, który, obok trucizny, wessał też wszystko, co najlepsze, z jej gleby duchowej, użyźnionej przez prochy tyłu umysłów potężnych, lub wytwornych; który czerpie woń i piękno razem z Anakreonta i Horacego, z Danta i Pope'a, z Woltera i Goethego.

Mielibyśmy jeszcze może do wtrącenia parę uwag z powodu „Lermontowa”, „Turgieniewa” i innych. Przypuszczamy wszakże, że czytelnik zwolni sprawozdawcę od dalszych rozpraw o poezyi—o poezyi, jednej z tych rzeczy dobrych, z najlepszych, w których więcej smako-

wać, niż o nich rozprawiać się godzi. Ze skwapliwością największą, śladem p. Spasowicza, z powrotem schodzimy do prozy.

III.

Do prozy dziejowej, a mianowicie do pism Orzelskiego, Heidensteina, Rudawskiego, wprowadzają krótkie „Wiadomości” biograficzne, którymi był poprzedził p. Spasowicz przed laty czterdziestu edycję petersburską tych pisarzy. Treściwie a jędrnie przedstawioną została zawartość Pamiętników „Marcina Matuszewicza,” ogłoszonych przed kilkunastu laty przez p. Pawińskiego, a które trafnie nazywa p. Spasowicz „doskonałą kontrpartią do szlacheckiego romansu historycznego, do Listopada, Obrazów litewskich, znacznej części dzieł Pola, całego cyklu utworów Kaczkowskiego.” Jednak podwójnie myli się autor, mniemając, że „Matuszewicz, nieskończenie późniejszy od Paska pod względem zacności i charakteru, nie ustępuje mu jako wielki pisarz i artysta.” O zacności Paska tak samo nie może być mowy, jak o jego zasługach wielkiego artysty i pisarza; był on dzielny, bo należał do dzielnego pokolenia, do żołnierzy Czarnieckiego; pisał pięknie, bo piękną była mowa potoczna w jego epoce; zresztą był dość nieociesany prostak i jego nieoszacowanych skądinąd Pamiętników niepodobna pod względem sztuki porównać ze współczesnymi mu, a choćby nawet wcześniejszemi o stulecie, pamiętnikami francuskimi. Matuszewicz, znacznie więcej oglądzony, pisze o wiele staranniej i pretensjonalniej, lecz mową niesmaczną i nieczystą drugorzędного statysty czasów saskich. Interesującą jest wzmianka „Z powodu życiorysu Kisielewa”, zięcia Szczęsnego Potockiego; szkoda tylko, że nie zostały tu uwzględnione nasuwające się dość obficie zagraniczne przyczynki pamiętnikarskie do dyplomatycznych misji Kisielewa. Jeszcze ciekawsza jest rzecz o „Ks. Wiaziewskim, jego polskich znajomościach i stosunkach.” Nie podzielamy zresztą bynajmniej opinii p. Spasowicza, jakoby książkę „miał w owym czasie wszystkie warunki do zgrania roli między narodowego rozjemcy w waśni domowej.” Pod tytułem „Pozytywizm w Rosyi” mieści się nazbyt obszerna i łaskawa ocena książki Stronina, pseudopozytywisty, który „jest niesłychanie płodny w pomysły, zawsze oryginalne, sypie jak z rogu obfitości świetne idee,” którym „mogłoby się pochlubić każde, by najbogatsze piśmiennictwo.” Możemy uspokoić czytelników, skonfundowanych, że nigdy nie zasłyszeli o tak wybitnym pisarzu; jak przez mgłę przypominamy sobie Stronina „Politykę”, a zwłaszcza jego rzecz o „historii i metodzie”; przypominamy tego zapóźnionego Comte’owskiego ucznia, który sadzi się na nowość

konceptu, tworzy wyrazy jak „analogika”, „obserwatyka”, rehabilituje wojnę i federalizm, przepowiada blizki podział Austrii, formułę dziejowego rozwoju narodów wykrywa w krzywej parabolicznej, opisywanej przez środek ciężkości pękającego granatu. W dwóch urywkach, z powodu „Pięćdziesięciolecia uniwersytetu petersburskiego,” oraz „Fantazji polskich na tematy sławianofilskie,” p. Spasowicz, zazwyczaj nader umiarkowany, nieco się rozgrzewa i w ostrzejszym tonie przemawia.

Przebiegliśmy pośpiesznie wszystkie urywki powyższe, treści nader różnobarwnej, a na ogół lżejszej roboty, aby zdążyć jeszcze dotknąć ile się da najlepszego w *Pismach* przyczynku, najważniejszego, najwięcej dającego do myślenia. Mówimy, rzecz prosta, o „Życiu i polityce margrabiego Wielopolskiego,” obszernem studyum, ogłoszonym pierwotnie w petersburskim „Gońcu Europejskim.” Również do *Pism* przyjęte mniejsze studyum, „Literacki polityczny spadek po Wielopolskim,” śmiało można było opuścić, gdyż w głównej swej zawartości całkowicie w tantem się mieści, gdzie nadto znacznie zostało uzupełnione i rozszerzone.

Punkt wyjścia stanowiła dla autora przedewszystkiem wyczerpująca monografia, wydana staraniem rodziny margrabiego, a po części też głośne w swoim czasie artykuły „Przeglądu Polskiego”. „W ten sposób, jak książka Lisieckiego, piszą się chyba żywoty świętych,” powiada p. Spasowicz, i jeśli tego jego zdania nie podpisujemy oburącz, to jedynie z powodu, że zbyt wysoko cenimy naukę i rozważę oo. Bolandystów. Co się tyczy studyum prof. Tarnowskiego, przebija w niem nastrój pobłażający amnestyi. Gdyby żył margrabia, nie wiemy, czy był-by odepchnął apologię,—bo kadziłoby on lubił; wiemy napewno, że, wyrzekł-by się ułaskawienia,—bo on był z tych ludzi, co chcą swego prawa, całego prawa, i pełną za wszystko, co uczynili, biorą na siebie odpowiedzialność. P. Lisiecki, po-za materiałem źródłowym, który mu dano do ogłoszenia, bujał w przestworzach wielkiej polityki europejskiej, albo też opowiadał anegdoty,—o ile nie gubił się w rekryminacjach; prof. Tarnowski szukał ogólniejszych punktów widzenia, psychologicznej konkluzyi, morału. P. Spasowicz pierwszy ujął rzecz bezpośrednio ze strony najważniejszej. Rozpatrzył się w tem wszystkiem, co wyszło z pod pióra margrabiego, i co dotychczas uczyniono dostępnem. ¹⁾ Lecz na tem nie poprzestał: zadał sobie nadto trud, że

¹⁾ Prostujemy przy tej okazji jeden szczegół. P. Spasowicz, w błąd wprowadzony przez słowa p. Lisieckiego, ubolewa, że nie mógł odszukać „będącej rzadkością bibliograficzną *De idea aeternitatis*.” Owóż rzecz ta nigdy nie była ogłoszoną,—bo i nie było czego ogłaszać. Czytaliśmy rękopis własnoręczny Wielopolskiego tej

zajrzał do Dziennika praw, do czynności i postanowień Komitetu Urządzącego, do przygotowań, biegu i wyników tego ustawodawczego i prawodawczego przewrotu, do którego przyszedł i przyłożył ręki, lecz którego nigdy nie opanował Wielopolski. P. Spasowiczowi zresztą nie chodziło wyłącznie o margrabiego. Oczywiście, pragnie on „odtworzyć wiernie rysy wielkiej postaci historycznej, którą, ukryty w tłumie widzów, miał sposobność zdała badać osobiście.” Ale, dodaje, „nie taję, iż po-za osobą działacza historycznego interesowała mnie sama kwestya, której on zabiegi swoje poświęcił, kwestya nie tylko dotąd nierozwiązana, ale jeszcze prawidłowego sformułowania oczekująca. Podniętę do pracy znajdowałem w przeświadczeniu, że samo sformułowanie kwestyi jest dzisiaj znacznie uproszczone i ułatwione.” P. Spasowicz mniema bowiem, że „podrastają już nowe pokolenia ludzi, którzy widocznie są daleko rozsądniejsi, cierpliws i praktyczniejsi od swoich poprzedników.”

Z pierwszego z tych dwóch całkiem odrębnych zadań, jakie sobie założył, a których można było nie łączyć,—p. Spasowicz wywiązał się ze spokojem, trafnością i bezstronnością sądu wzorową. Nie oszczędza bynajmniej margrabiego. Ukazuje słabe strony jego sprawy o ordynacyę, skłonność do pieniactwa, „zawziętość i mieszaninę upartej zapalczywości i pedantyzmu z dążeniami legalnemi” Podkreśla główne z jego błędów politycznych. Wydaje się niewątpliwem, że błędy tego człowieka pochodziły z tego samego źródła, gdzie się kryła tajemnica jego siły. Miał on, jak większość ludzi czynu, parę tylko pojęć własnych; umiał nie odrywać wzroku przez całe życie od tych niewielu pojęć, z nich wszystko chciał wydobyć;—na wszystko, czego nie chciał wiedzieć, przez całe życie umiał być ślepy. Bywał też dziwnie ślepy umysł tak przenikliwy i trzeźwy. Autor *Lettre d'un gentilhomme* niczego się nie nauczył z kampanii węgierskiej. Zmaltretowany, jako młodzik, przez Palmerstona, który zawsze był brutalem, a w tym wypadku z rozmysłu był szorstki, lecz któremu to ułatwiła sformułowana niezręcznie nota,—zachował, jako starzec, uprzedzenie do wszystkiego, co angielskie. Zachował natomiast względy dla p. v. Bismarcka, w którym się nie domyślił zaciętego, od samego początku, choć ukrytego, nieprzyjaciela, o czem świadczą wyraźniej, niż kiedykolwiek, nowe przyczynki Sybla. Z Sybla również można wyczytać, jak dalece w Berlinie obawiano się Wielopolskiego, więcej się obawiano jego sukcesu, niż jakiegokolwiek innej ewentualności. Już nawet, gdy się był usunął, przypusz-

tek zwanej rozprawy. Jest tego sześć niespełna kartek w ósemce; treść—parafraza jednej tezy Spinozy, sposobem czysto formalnym, bez prześlýsku myśli własnej, nader niefortunną w dodatku łączną.

czano, że wróci jeszcze. W nowych pamiętnikach lorda Loftusa znajdujemy w tym względzie ciekawą rozmowę posła angielskiego w Berlinie z baronem Budbergiem. Nie godzono się z myślą, aby miał zniknąć z widowni człowiek, którego wczora nikt nie znał, a który odrazu zaimponował Europie. Tę-to imponującą stronę postaci margrabiego dobrze uwydatnił p. Spasowicz. Powiedział o nim słów parę, któremi utrafił w sedno i które się zostaną. „Okryty plonem udowodnionych dobrych zamiarów, Wielopolski mógł spokojnie z dwojga złego wybrać sobie lepsze, ostrożnie i we właściwej godzinie usunąwszy się na stronę, gdyby był mniejszej miary człowiekiem. Nie do tego typu ludzi on należał: jako wielki gracz, całego siebie postawił na kartę.” A dalej lepiej jeszcze: „Po tylu lirnikach, wypadało wystawić choć jednego męża stanu, człowieka, który-by dowiódł na sobie odziedziczonego uzdolnienia do tego, by rządzić, albo hetmanić; taki okaz znaczy tyleż, co przerwanie przedawnienia, a margrabia był znakomitym tego rodzaju okazem.”

W ścisłym związku z monografią o „Wielopolskim” pozostaje wyczerpujący referat o „Gminach i sądach gminnych w Królestwie Polskiem,” odczytany w moskiewskim Towarzystwie prawniczym. Główny postulat autora oczywiście jest zasadny; przeciw jego argumentom *ad hominem* niejedno mielibyśmy do nadmienienia.

Zmuszeni jesteśmy na tem zamknąć, a raczej urwać, pobieżny przegląd niniejszy. Wrażenia nasze mogliśmy wyluszczyć z całą swobodą, jakiej ma prawo wymagać pisarz tej miary, któremu jeden i drugi zarzut ująć czynić nie może. P. Spasowicz zresztą sam pierwszy względem siebie zachowuje się krytycznie i, zazwyczaj dla innych łagodny, dla siebie aż nadto jest surowy. „Tyle nadziei zawiodło,—powiada w przedmowie,—mnogie ideały się rozprysły. W masie zgromadzonego przez tak długi ciąg czasu materiału muszą się okazać sprzeczności, bo z biegiem wypadków nie mogły nie odmieniać się poglądy, a nawet przekonania. Nie zglądając chrapowatości i przeciwności i zgoła nic nie przerabiając, podajemy nasze pisma na sąd czytającej publiczności.” Sąd ten nie może być wątpliwy. Są w *Pismach* i braki, i iluzye, ale jest na ogół zawartość niemniej pouczająca, jak obfita, którą, mamy nadzieję, niejednym jeszcze szacownym dodatkiem zdąży pomnożyć p. Spasowicz. Z niemałą dla piśmiennictwa stało się korzyścią, że do jego zbiorów włączony został przyczynek tak znaczny, streszczający najlepsze z tego, co umysł ukształcony i doświadczony w ciągu lat czterdziestu odczuł i przemyślał.

PRZYSZŁA WOJNA

JEJ EKONOMICZNE PRZYCZYNY I SKUTKI. ¹⁾

ROZDZIAŁ XXI.

Opozycje przeciwko militaryzmowi.

Charakter wojny współczesnej pozwala, a nawet nakazuje przypuszczać, iż wpływ stanowczy na ostateczny jej rezultat wywrzeć mogą, usposobienie oraz dążenia opinii publicznej. Wszystkie mocarstwa Europy tyleż troszczyć się muszą o czynniki moralne, co i o przygotowania techniczne lub o zgromadzenie materiałów wojennych. I my też kwestyi tej wyminąć nie możemy. Obraz byłby niezupełny, a wnioski opierały-by się na niekompletnej liczbie danych, gdybyśmy nie rozpatrzyli i nie zbadali wpływów, działających na kierunek opinii publicznej.

Wojna oddawna już spotkała się z potępieniem uczonych i filantropów: głosy ich, niegdyś niepewne, nabierają coraz więcej stanowczości i mocy. W unysłowym i politycznym życiu Europy i Ameryki wytworzyły się świadome siebie dążenia, działające w tym samym

¹⁾ Patrz zeszyt lutowy „Biblioteki.“

kierunku, w jakim rozwija się, nieświadome jeszcze ale niewątpliwie istniejące, uczucie całej cywilizowanej społeczności — i to właśnie prądowi temu nadaje wielką siłę. Odziera ono ideę wojny z dotychczasowej aureoli, utrudnia zdecydowanie się na nią i sprawia, że wojny stają się coraz rzadszemi, a więc coraz mniej prawdopodobnemi w każdym danym momencie.

W dążeniu tem ludzi nauki wspierają przedstawiciele sztuki. Dzięki artystom, poetom, romansopisarzom, którzy działają na uczucie, prąd anty-wojenny przeniknął w masy, dotarł do warsztatów i na ulicę. Tam streścił się on w krótkie a stanowcze formuły, niezbyt, naturalnie, ścisłe i niedostatecznie uzasadnione, lecz za to trudne do obalenia; w jakiejś też chwili odpowiedniej stać się one mogą dla mas hasłem i dewizą opozycyjnego ruchu.

Ekonomiści, widząc olbrzymi rozrost militaryzmu, twierdzą, iż taki stan rzeczy długo trwać nie może, że do jakiegoś kresu w końcu przyjść musi, gdyż, jeżeli się stan polityczny Europy nie zmieni, to ciężary przekroczą granicę wszelkiej możliwości. A więc kiedyś on się zmieni, nadejdą czasy rozstrzygnięcia sporów międzynarodowych bez wojny; ponieważ jednak tymczasem nikt do przeprowadzenia zmiany w tym kierunku nie przystąpił, odwrotnie zaś widzimy nieustannie coraz większe, coraz groźniejsze przygotowania wojenne, to też oczywiście katastrofa — jak słusznie wojnę przy dzisiejszych środkach i warunkach nazwać można — wydaje się niemal niemięknioną.

Wszyscy twórcy i aktorzy dzisiejszej sytuacji twierdzą, iż ona jest wytworem fatalności dziejowej, naturalną koniecznością, leżącą poza granicami ich władzy. Z mnóstwa świadectw, jakie-by się tu przytoczyć dało, ograniczymy się do powtórzenia słów starego feldmarszałka i naczelnika sztabu niemieckiego:

„Żałować można — oświadczył Moltke w parlamencie, broniąc prawa o nowych powiększeniach sił zbrojnych — żeśmy *zmuszeni* znaczną część dochodów naszych obracać nie na wewnętrzne utrwalenie cesarstwa, lecz na jego zewnętrzną obronę; jest to jednak wynikiem ogólnego stanu spraw europejskich, my zaś zmienić go nie jesteśmy w możności. Czy spojrzymy na prawo, czy na lewo, wszędzie widać pośpieszne zbrojenie się, wszędzie znajdziemy takie przygotowania do wojny, jakich najbogatszy kraj wytrzymać długo nie będzie w stanie. *Naturalna konieczność* pcha stosunki do prędkiego rozwiązania i na tej zasadzie rząd chce powiększyć armię przed końcem septennatu.”

Niency — jak widzieliśmy — a nie kto inny, zwały na głowę Europy ciężar militaryzmu współczesnego, a jednak, gdy potrzeba, umywają ręce i fatalne zaciskanie śruby spędzają na sąsiadów, na potrzebę obrony, na bezimienną *konieczność naturalną*. Wobec takiej po-

lityki trudno się spodziewać, aby ktoś chciał i mógł sprowadzić zmianę i bieg rzeczy zwrócić z pochyłości, na jakiej się obecnie znajduje.

Gdyby zresztą wydatki, dziś ponoszone na utrzymanie sił zbrojnych, nie były większe niż dawniej, gdyby ciężary, wynikające z trzymania pod bronią tylu sił w najbardziej produkcyjnej epoce ich życia, nie wzrastały wraz z rozwojem coraz cięższej walki o byt, gdyby nawet przy kompletowaniu armii dopuszczone zostały ulgi; to i tak szemranie na ucisk militaryzmu, niechęć przeciwko niemu, oraz usiłowanie obalenia go — przynajmniej w pewnych krajach — wzrastać nie przestaną. Jest to wynikiem tego, iż wśród opinii publicznej w Niemczech, we Francji, we Włoszech, w Austrii, coraz głośniej słyszeć się dają pierwiastki, walczące z całym panującym porządkiem politycznym tych państw.

C. E. Vigouveau w dziele „L'avenir de l'Europe”, tak maluje dzisiejszy moment dziejowy:

„Od lat dwudziestu pierwiastek wojny skuł i pochłonął wszystko. Każdy naród cały zapas bogactwa swojego poświęca, aby rozwiązać dzisiejsze splątane stosunki. Ale rozwiązanie nie nadchodzi. Rządy, które sądzą, iż zdołają ludność długo utrzymać w takim stanie wysiłku, myślą się. Ludność, jako dłużnik, nie mogący doczekać się terminu wypłaty, do życia niezbędnej, przyjdzie, i nie dyskutując wcale, rozbije i przewróci wszystko. Ona będzie miała prawo zapytać: dlaczegoście wyludnili wioski nasze? dlaczegoście zrujnowali przemysł? Dlaczego miliony umysłów oderwaliście od pracy wytwórczej i kazaliście wynajdować środki zniszczenia? Żudziście nas, że nam dacie panowanie, a wtrąciliście w odmęt nędzy i niedoli.”

Oczywiście skierowanie masy sił, zapędzających dziś szeregi, do pracy wytwórczej — biorąc rzecz ogólnie — musiało-by podnieść bogactwo narodowe, a więc i dobrobyt ludności. W pierwszej jednak chwili rozbrojenie za pierwszy skutek miało-by niżenie płacy robotniczej, bo wzrosła-by nadzwyczajnie podaż pracy ze strony nowych przybyszów. Jest to prawo ekonomiczne tak silne, iż żadne zgoła środki zaradcze całkowicie wpływu jego usunąć-by nie zdołały. Klasy więc biedniejsze, żyjące dziś z pracy dnia wczorajszego, dla których jedna krótka chwila przesilenia stanowić może o bycie całym, zbyt pożądać rozbrojenia, przynajmniej doraźnego, nie powinny.

Pomimo to, agitatorowie zdołali przekonać masy ludzi naprzód o tem, że całą treścią dzisiejszego ustroju społecznego, który oni nazywają kapitalistycznym, jest uciskanie i wyzyskiwanie biednych przez bogatych, a następnie, iż jedyną siłą, jaka utrzymuje na świecie taką straszną niesprawiedliwość i krzywdę, są szeregi bagnetów. Stąd też przeciwko armiom zwraca się pierwszy pęd nienawiści i zamachów

socyalistycznych. Pozbawić kapitał jedynej obrony, a potem usunąć jego panowanie — jak się wyrażają przywódcy ruchu socyalistycznego — a na świecie zapanuje błogość, sprawiedliwość, szczęście.

Masy ludności ani treści istniejącego ustroju społecznego zrozumieć nie są zdolne, ani ocenić, co warte są socyalistyczne ideały przyszłości. W ciężkiej doli zapracowanego robotnika migają raz sprytni, drugi raz fanatyczni agitatorzy mamiłkami zamożności i wpływów; nie chce mu się więc zbyt zapuszczać w krytykę i wierzy w to, co by chciał, aby prawdą było; wskutek tego najdowolniejsza fantastyczność pomysłów, najdziksza niemożliwość programów wcale nie przeszkadza ich popularności i szerzeniu się ich wśród szerokich mas ludowych, w miastach przynajmniej.

Obok znacznej części bezwiednego wrzenia opinii u dołu i u góry, u szczytów społecznej inteligencji i wpływów rozpoczęła się walka, całkiem świadoma, przeciwko wojnie. O tych dwu prądach odmiennych, lecz równoległych, do jednego celu dążących, mówić nam wypadnie w dwu oddzielnych rozdziałach.

I.

Ruch przeciwko wojnie w wyższych sferach społeczeństwa.

Wojna tak się zrosła z dziejami ludzkości, tak ważną rolę odgrywała we wszystkich fazach społecznego rozwoju, tyle wspomnień doniosłych i drogich, świętych nawet dla każdego narodu, z nią się związała, iż dziwić się niepodobna, że do czasów ostatnich ogromna większość, jeśli nie ogół mieszkańców ziemi, nie tylko nie czuł do niej wstrętu, lecz, przeciwnie, otaczał ją nimbem czci.

Společna, dziejowa strona walk międzynarodowych przystąpiła całkiem ich fizyczną i moralną okropność. Pamiętano wyłącznie o celach i zadaniach wojen, któremi częstokroć były względy godne najwyższego szacunku, jak honor lub bezpieczeństwo zbiorowe; poeci wszystkich krajów i czasów ze wspomnień i ech bitew odległych czerpali najpotężniejsze natchnienia; bohaterstwo rycerzy podnosili i uwieczniali malarze; w czarodziejskiej perspektywie sztuki widziano męstwo, odwagę, poświęcenie, solidarność żołnierzy; nie dostrzegano, że cele wojny nie zawsze były godziwe i usprawiedliwiające przelewane potoki krwi; nie dostrzegano męczarni tysiąca ludzi, konających na skwarze słonecznym lub pod potokami deszczu przez długie godziny i dni, bez wszelkiej pociechy i pomocy; nie słyszano jęku rannych, trawianych kopytami końskimi; nadto nikomu na myśl nie przychodziło,

iż na polach bitew ginęły najdzielniejsze, najzdolniejsze do pracy siły narodu, których zbytku nigdy nie było.

W wojnie widziano jedynie zwycięstwo gieniuszu i sławę narodu. Talent wodza wynoszono po nad inne talenta.

Że wojna była niegdyś koniecznością, tego nikt chyba kwestyionować nie zechce, ale czy tak musi być zawsze? — to stanowi właśnie przedmiot sporów gorących.

Bardzo często myśl ludzka wyprzedza bieg życia; przewiduje te potrzeby, te pragnienia, które w rzeczywistości zrodzić się mają znacznie później. Ale w takich wypadkach głos proroka jest zazwyczaj głosem wołającego na puszczy, niewielu go słucha, a jeszcze mniej go rozumie. Tak stało się i tutaj.

1.

Filozofowie i filantropi oddawna już spoglądali ze zgrozą na straszne sceny morderstw zbiorowych i wyklinali krwawe zapasy narodów; ale społeczne warunki nie były po temu, aby ich słowa mogły wywrzeć wpływ natychmiastowy, a pomysły znaleźć grunt odpowiedny.

Rozstrzyganie sporów międzynarodowych za pomocą sądu polubownego znalazło łatwe i właściwe zastosowanie w państwach feudalnych, gdy chodziło o nieporozumienie pomiędzy członkami jednego związku. Liga hanzeatycka miała już w wiekach średnich oddzielny trybunał polubowny. Złota bulla wprowadziła podobne instancje w starożytnym cesarstwie niemieckim.

Już Karol V marzył o stworzeniu monarchii powszechnej, która-by ludy świata zjednoczyła w wieczystym pokoju.

Henryk IV myślał również — jak o tem świadczy minister jego, Sully, w pamiętniku swoim „*Économies rurales*” — o federacji państw, która-by ludom zapewniła pokój i tolerancję religijną. Szesnaście państw, tworzących podówczas Europę polityczną, połączyło-by się wedle tego planu w związek, reprezentowany przez parlament wspólny. Parlament tworzyło-by 32 mężów, po dwu z każdego państwa, zadaniem zaś jego było-by rozstrzygać wszelkie spory między członkami federacji.

Sully plan swego króla przyjął z zapałem i wziął się natychmiast do jego urzeczywistnienia. Anglia, Hollandya, Państwo kościelne i kilka krajów innych zgodziły się już na propozycję; była wszelka nadzieja, że i reszta państw pójdzie za dobrym przykładem, gdy mordercza ręka przerwała pasmo dni życia Henryka IV i cały wielki plan politycznego przekształcenia Europy runął.

Na początku wieku zeszłego slyszymy wymowny głos l'abbé Saint-Pierre'a, domagający się tegoż samego. W dziele swoim „Projet d'une paix éternelle” żąda on zwołania ogólnieuropejskiego kongresu, który-by wszystkie państwa zjednoczył; od najazdu zaś zewnętrznego broniły-by Europę odpowiednio na granicach wzniesione fortece. Utopijny charakter myśli ówczesnej tworzy pomysł fantastyczny, nieraczuący się z istniejącymi realnymi warunkami, więc niewykonalny, — niemniej przeto zjawienie się podobnego dzieła i zapoczątkowanie myśli swobodnego porozumiewania się państw w sprawie wieczystego pokoju całkiem słusznie uważa Rousseau za fakt niepospolitego znaczenia.

Nieco później, w drugim końcu Europy zjawia się dzieło z podobnym tytułem i podobnej treści, napisane przez człowieka wielkiej nauki i wielkiej sławy, mającego do dziś dnia wpływ i wyznawców. Jest niem: „Philosophischer Entwurf zum ewigen Frieden” Emanuela Kanta ¹⁾.

Jałowe myśli rzadko kiedy kiełkują w wielu naraz niezwykłych umysłach. A więc przeciwko konieczności wojny już to samo jest silnym argumentem, że, poczynając od końca wieku zeszłego aż do dni naszych, w sprawie tej zajmuje głos cały szereg wielkich mężów, myślicieli i działaczy praktycznych, którzy wszyscy oświadczają się przeciwko załatwianiu sporów międzynarodowych orężem. Wymienimy tylko najgłośniejszych: Fichte, Leibnitz, Wieland, Schelling, Ancillon, Jean Paul, St. Simon, Fourier, Chateaubriand, Cobden, Mill. Zawarcie Sainte-Alliance ma również na celu utopię utrzymania przy ówczesnym ustroju Europy pokoju wieczystego.

Praca tylu głów potężnych i tylu talentów pierwszorzędnych nie mogła pozostać bez skutku. Około połowy obecnego stulecia spór wojny i pokoju widzimy przeniesiony z książki i gabinetu na pole zabiegów praktycznych za pośrednictwem assocyacji i kongresów. Teraz

¹⁾ Zasadnicze postulaty Kanta były następujące:

1. Nie należy za zawarcie pokoju uważać traktatu, w którym-by tkwiły zarodki i przyczyny przyszłej wojny.
2. Nie powinno być wolno żadnemu państwu robić nabytków od drugiego państwa, ani tytułem dziedziczenia, ani zamiany, ani kupna, ani darowizny.
3. Armie stałe winny być z czasem całkiem zniesione.
4. Nie powinno być wolno zaciągać długów na pokrycie zewnętrznych spraw państwa.
5. Żadne państwo nie powinno gwałtem wtrącać się do wewnętrznej organizacji i rządów innego państwa.
6. Żadne państwo nie powinno dopuszczać się podczas wojny takich czynów, które-by uczyniły niemożliwem wspólne zaufanie w czasie przyszłego pokoju.

już kwestyę tę rozumie i pragnie rozwiązać nie kilka umysłów wybranych, wyprzedzających epokę, lecz szeroki dosyć krąg szarego ogółu. To też chodzi już nietylko o szerzenie myśli, lecz o jej wcielenie.

W r. 1848 zbiera się w Brukselli pierwszy ogólny kongres pokoju i jednomyślnie uchwała następujące rezolucyje:

§ 1. Ponieważ odwoływanie się do oręża, celem rozstrzygnięcia zatargów międzynarodowych, potępia religia, rozsądek, sprawiedliwość, ludzkość i interes wspólny wszystkich ludów, przeto obowiązkiem jest cywilizowanego świata wyszukać i przedsięwziąć takie środki, które-by zdolne były doprowadzić do zupełnego zniesienia wojny.

§ 2. Wybrani ad hoc arbitrowie tworzyć mają najwyższy trybunał międzynarodowy, który wyrokować będzie w ostatniej instancyi.

„Koniecznem jest przez ogólne i jednoczesne przedsięwzięcie środków odpowiednich przystąpić do rozbrojenia powszechnego, co zmniejszyło-by ciężary państwowe, a zarazem pozwoliło-by na usunięcie stałej przyczyny niepokojów i rozdrażnienia.”

Nie chcemy się bynajmniej wdawać w wywody, czy uchwały kongresu brukselskiego były wogóle, lub przy ówczesnym stanie politycznym Europy, możliwe do urzeczywistnienia. Cały ruch umysłowy 1848 r. był wielkiem zapędzeniem się w dziedzinę teoryi, wskutek czego ludzie ówczesni często tracili z oka rzeczywiste warunki bytu. To jednak doniosłości kongresu nie osłabiło, i wpływu, jaki podobna uchwała zbiorowa na opinię publiczną wyrzucić musiała, nie zmniejszyło. Że w owym czasie kwestyi tej nie lekceważono i nie traktowano obojętnie, świadczy fakt, iż zaraz w następnym 1849 roku zbiera się kongres w Paryżu, a w 1850 we Frankfurcie nad Menem i t. d.

Pierwsze protesta przeciwko wojnie wyrwały się przedewszystkiem z serca ludzi, o tyle już zhumanizowanych, że ich przeraził widok morderstw i pożogi. Nawet filozofowie, głosząc myśl pokoju wieczystego, odwoływali się bardziej do uczuć, niż do rozumu, woleli tworzyć utopie, niż pomysły swoje popierać ścisłym rozumowaniem. Tak się zwykle dzieje z ideami: uderzają one i zniewalają ludzi wprzód pięknem swoim, niż słusznością. Ale o ile idea ma przyszłość przed sobą, niebawem nastaje okres drugi: przychodzi nauka, przekształca i najczęściej uszczupla gmach, przez fantazyę wzniesiony, ale też podsuwa podeń nieskruszalnie podstawy prawd swoich.

W danym wypadku stało się tak samo. Nauka nie omieszkała oświadczyć się po stronie pokoju. Już Saint-Simon dowodził, że okres wojny dobiega końca, a nadchodzi epoka przemysłu. Uczeń jego, Comte, myśl tę rozwinął i potężnie uargumentował: przyszłość należy nie do walk morderczych, lecz do pracy. Wreszcie ten sam temat

i w ten sam sposób podjął Tomasz Buckle w powszechnie znanej, tłumaczonej na wszystkie języki, „Historji cywilizacji w Anglii.”

W wojnie upatrywać można objaw naturalny i konieczny, pożyteczny nawet pod pewnym względem; nie wynika stąd jednak wcale, aby była ona przyrodzoną koniecznością wszędzie i zawsze. Opierając się na badaniach ścisłych, Buckle wojnę uważa za nieunikniony regulator stosunków na pierwszych szczeblach cywilizacyjnego rozwoju; w miarę doskonalenia się stosunków, potrzeba rozpraw orężnych staje się coraz bardziej ścieśnioną, w wielu wypadkach już się do niej nie odwołują, z rzędu zjawisk powszednich niemal przeszła do kategorii wypadków nadzwyczajnych, powtarza się też coraz rzadziej; stosunki społeczne tak się układają, że co rok wojna staje się szkodliwszą, a nadejdzie kres taki, iż narody całkiem znieść jej nie będą mogły. Nie tyle przytem sama wojna — Buckle kładzie na to nacisk szczególnie — szkodzi postępowi, ile rozwinęta w jakiejś chwili skłonność do niej.

Dalej Buckle wytłumaczył czytelnikom swoim i puścił w obieg powszechny myśl, że dzieje świata zależą przedewszystkiem od wewnętrznego rozwoju narodów, od postępów ich inteligencji, nie zaś od woli i talentów jednostek potężnych. Wskutek tego nie bezgraniczna dowolność, lecz konieczny porządek, rządzony prawami niezmiennymi, choć najczęściej nieznanymi jeszcze, panuje w przebiegu dziejów. To też z drogi, po której ludzkość kroczy, nie strąci jej na długo ani ambicya, ani samowola, ani szaleństwo. Jeżeli wojna wskutek doskonalenia się społeczeństw znika, to dawnego znaczenia nikt jej przywrócić nie zdoła. W barbarzyńskiej przeszłości ród walczy z rodem, miasto z miastem, prowincya z prowincją — dziś takich stosunków pojąć już niepodobna. Znaczenie stanu wojskowego znajduje się w stosunku odwrotnym do kultury kraju. Na niskim stopniu cywilizacji każdy wojskowy jest szlachcicem, uprzywilejowanym w zaszczyty i władzę — w Anglii oficerowie ubierają się w mundur jedynie w wypadkach nieuniknionej konieczności.

Słowem, nauka wykazuje nietylko, że ludzkość bez walk obyć się może, lecz dowodzi zarazem, iż wojna z czasem zniknąć musi.

2.

Ruch agitacyjny przeciwko wojnie najwyższego punktu rozwoju dosięgnął w końcu siódmego lat dziesiątka. Francya przodowała. W r. 1867 powstała w Paryżu z inicjatywy Fryderyka Passy katolicko-konserwatywna „Ligue internationale de la paix.” Publiczne jej posiedzenie, odbyte w Paryżu w 1869 r., nabrało niemałego rozgłosu.

Znany ekonomista, Michał Chevalier, zgromadzonym tam poddał pod głosowanie następującą rezolucję, która przyjętą została jednomyślnie: „Usprawiedliwić wojnę samą przez się znaczyło-by to rzucić rękawicę sumieniu publicznemu. Powstały nowe siły, które daleko lepiej niż w zeszłych stuleciach równoważą dotychczasowy wpływ wojny; siłami temi są przemysł i wolność polityczna. Niezmierna większość w Europie jest za pokojem, a mimo to, wbrew interesom własnym, Europa pozostaje na stopie wojennej. W jaki sposób położyć temu koniec? Przez większe a wszechstronne zbliżenie się rozmaitych mieszkańców ziemi i przez większe polityczne zjednoczenie na wzór Stanów Ameryki.”

Tegoż samego 1867 roku również Francuzi utworzyli w Genewie z tym samym celem stowarzyszenie inne, w duchu bardziej wolnomyślnym: „Ligue internationale de la paix et de la liberté.” Powodzenie tego stowarzyszenia było olbrzymie, niebawem ze wszystkich krajów napłynęło 60,000 zgłoszeń się, pomiędzy adherentami byli: Victor Hugo, Garibaldi, Carnot, Favre, Littré, Mill i t. d., i t. d. Odbył się szereg kongresów, których obradom Europa cała przysłuchiwała się z zajęciem i szacunkiem: w Genewie w 1867 r., w Bernie w 1868 r. (pod prezydencją Wiktora Hugo), w Lozannie w 1869 r. i w Bazylei w 1870 r.

Debata tych kongresów rozbudziły w Europie powszechne zainteresowanie się, które przez czas długi trwało z jednakowo wielką siłą.

Wśród Niemców również nie zabrakło czynnych nieprzyjaciół wojny. W Pradze odbył się w 1868 r. i nabrał szczególniejszego rozgłosu zjazd „*Filozofów*”, na którym znaczną większość stanowili Niemcy. Zebrani tam przedstawiciele nauki oświadczyli w ostatecznej rezolucyi, że:

„Kongres uznaje za pożądane wszelkie moralne i prawne środki, prowadzące do ostatecznego usunięcia śmieszności, grzechu i hańby wojny. Za główną przeszkodę ku temu kongres uważa dzisiejszy system stałych wojsk, gdyż stanowi on ciągłą pokusę do łamania pokoju i dokonywania aktów przemocy.”

Profesor Virchow, popierany przez resztę posłów stronnictwa postępowego, chciał sprawę z gruntu dysput teoretycznych i ze sfery pięknych frazesów przenieść na drogę praktycznego rozwiązania, to też postawił w owym czasie w sejmie pruskim wniosek następujący:

„Zważywszy, iż wysokość podatków w związku północno-niemieckim jest skutkiem nadmiernego budżetu wojny, ciągłą zaś gotowość całej Europy do walki nie wpływa wcale z wzajemnej zazdrości ludów, lecz z dyplomatycznych stosunków gabinetów, wzywa się przeto rząd królewski, ażeby za pomocą swej dyplomacyi wpływał na dopro-

wadzenie do ogólnego rozbrojenia." Wprawdzie wniosek ten upadł większością 215 głosów przeciwko 99, niemniej jednak godny jest pamięci.

Prąd opinii, domagający się pokoju wieczystego, podobny był w końcu siódmego lat dziesiątka do pędu rzeki, którą ze wszech stron zasilają potoki, strumienie, rzeczki, i która przez to płynie coraz szerszym korytem, z coraz większą szybkością.

Niebawem też zaszedł fakt, który dowiódł, iż opinia antywojenna posiada niemało siły.

Wkrótce po wojnie austro-pruskiej wszczął się spór pomiędzy Francją a Prusami o Luksemburg i groził nowym rozlewem krwi. Stowarzyszenia pokoju wzięły się energicznie do dzieła, aby do tego nie dopuścić. Rzucone przez nich hasło „guerre à la guerre” znalazło żywy odgłos we wszystkich niemal warstwach obu zagrożonych wojną narodów, obradujący zaś w Brukselli kongres robotniczy wystąpił też z bardzo energicznym protestem przeciwko orężnej rozprawie.

Podobne jednak, czysto moralne przeciwdziałanie, było-by samo nie zmieniło naturalnie biegu wypadków, tak samo, jak nie zmieniło ich w parę lat później, gdyby ówczesny stan stosunków politycznych nie nadał mu szczególnej wagi. Prusy były tylko co po wojnie i potrzebowały odwlec chwilę starcia z Francją, agitacja na rzecz pokoju w danej chwili była im bardzo na rękę; to też ks. Bismarck popierał ją, jak gdyby był zdeklarowanym kandydatem na gorliwego członka ligi wieczystego przymierza ludów. We Francji tymczasem po fatalnej wyprawie meksykańskiej powaga i siła Napoleona III zostały bardzo zachwiane, ruch przeciwko grożącej wojnie szerzył się tem łatwiej, że tworzył rodzaj opozycji przeciwko nowym wojowniczym zamiarom cesarza.

Gdy w Europie usiłowania przyjaciół pokoju miały charakter przeważnie teoretyczny, działały głównie dla przyszłości, nie rachując zbyt na tryumfy w czasach blizkich, — w Ameryce polubowne załatwianie sporów międzypaństwowych powoli poczynano znajdować zastosowanie praktyczne. Stany Zjednoczone w ten sposób usunęły wiele nieporozumień, jakie wynikały pomiędzy nimi a najbliższymi sąsiadami. Co większa, na tej drodze ubita w końcu została głośna na cały świat kwestya Alabama, która przez czas długi groziła wojną Ameryce północnej i Anglii. Sąd polubowny, zwołany do Genewy, uznał Wielką Brytanię winną nielegalnej pomocy krzyżowcom („Alabama” i innym) stanów południowych i skazał ją na wynagrodzenie strat, poniesionych wskutek tego przez rząd amerykański i przez osoby prywatne.

Inicytywa jednego człowieka, p. Durand, wystarczyła, aby zgromadzić w r. 1863 w Genewie 36-ciu przedstawicieli różnych państw. Pierwiastek wojenny przemagał i zgromadzenie uchwaliło 10 rezolucyi, dotyczących utworzenia w każdym kraju specjalnych komitetów, przeznaczonych do wspierania sanitarnych oddziałów wojennych. Konwencya genewska 1864 r. zapewniła „neutralność” szpitalom, rannym i sanitarnemu personelowi obu stron wojujących oraz nadała charakter międzynarodowy humanitarnej instytucyi „Czerwonego Krzyża.” Praktyka wojny r. 1866 odsłoniła niedostateczność konwencji 1864 r., wskutek czego w r. 1867 zgromadził się nowy kongres, celem jej dopełnienia. Opracowany został projekt wprowadzenia środków dla ulżenia losowi rannych ofiar wojny. Projekt składał się z 15 paragrafów, z których pięć stanowiło dopełnienie postanowień konwencji 1864 r., 10 zaś dotyczyło ochrony posługi sanitarnej w wojnie morskiej. Projekt ten nigdy nie uzyskał ratyfikacyi. Pod wpływem jednak opinii publicznej oraz wskutek poważnego, doniosłego i humanitarnego charakteru uchwał, uwzględniono je w praktyce o tyle, iż począwszy od r. 1868 strony walczące starały się przestrzegać wykonania artykułów dodatkowych, na równi z pierwotnymi postanowieniami konwencji genewskiej.

Wojna 1870 r. stanowi moment historyczny, od którego stosunki między narodami poczęły się zaogniać, uczucia humanitarne osłabły i widzieć dał się zwrot ku tej bezwzględności i bezlitości, jaką niegdyś w walce uważano za cnotę. W r. 1870 rzuciły się na siebie dwa narody, parte nienawiścią i zemstą, którą wieki nagromadziły; była to walka o pierwszeństwo, walka bezlitosna, rozstrzeliwano wolontaryuszów, palono sioła; wyduszono z przeciwnika kontrybucyę, nieznanych dotychczas rozmiarów, aby go zrujnować, a siłę jego na długie czasy złamać. Walka ta więcej niż jakakolwiek inna wojna nowszych czasów posiadała charakter *walki o byt*. Oderwanie od organizmu Francyi dwu prowincyi sprawiło, iż pokój nie zakończył walki, przeciwnie uwarunkował on możliwość a nawet konieczność wznowienia jej w przyszłości. Wybuchnie zaś ona ze zdwojoną siłą rozuzdanych namiętności; nawet w przygotowaniach do niej z obu stron widać nietylko rachubę, lecz—namiętność, gniew i złość.

Rzecz prosta, iż przy takim usposobieniu nie było miejsca na dążenie do złagodzenia okropności wojny. Z niewidzianem dotychczas uniesieniem pracować poczęła wynalazczość ludzka, celem stworzenia jak najbardziej morderczych dział i pocisków. Dynamit, pyrokselina, melinit znalazły szerokie zastosowanie w przygotowaniach do wojny zarówno lądowej, jak morskiej. Pisarze wojenni mówić poczęli, jako o nieodzownych warunkach wojny przyszłej, o najazdach kawaleryi

na ziemię nieprzyjacielskie celem dokonywania spustoszeń, o stosowaniu korsarstwa, o olbrzymich kontrybucjach. Francya i Niemcy ściągają się pod względem doskonalenia artyleryi, mnożenia kadrów, budowania twierdz, a wskutek tego ludność dźwigać musi coraz to straszniejsze brzemie ciężarów wojennych. Oczywiście państwa inne nie mogły opóźnić się z gotowością do obrony.

Twierdzenie, że istotnie początek ósmego lat dziesiątka stanowi tę chwilę zwrotną, kiedy, pod wpływem rozgorzałych nienawiści narodowych, zanikać zaczęły dawne myśli o ludzkich sposobach prowadzenia wojny, zilustrować można faktem następującym: Jeszcze w 1868 roku zapadła w Petersburgu deklaracya przeciwko używaniu na wojnie kul rozrywających. Kiedy zaś rząd ruski, powołując się na usiłowania konwencyi genewskiej 1864 r. co do rannych i na deklaracyę petersburską 1868 r., zwrócił się w r. 1874 do gabinetów europejskich z projektem zwołania konferencyi międzynarodowej, celem ułożenia praw i obyczajów wojny, to propozycya ta w Berlinie została bardzo chłodno przyjęta. Zgromadziła się wprawdzie w Brukselli konferencya i obradowała od końca lipca do końca sierpnia pod prezydencją pełnomocnika Rosyi, barona Jomini, a przy udziale przedstawicieli Niemiec, Francyi, Anglii, Austrii, Włoch, Hiszpanii, Szwecyi, Belgii, Danii, Niderlandów, Szwajcaryi i Grecyi, lecz wobec słabego poparcia, bar. Jamini musiał zrzec się myśli zawarcia czegoś w rodzaju konwencyi i naradom nadał charakter prostego „badania“ kwestyi. Dzięki temu jedynie, konferencya doszła do pewnych konkluzyi i przyjęła projekt deklaracyi, dotyczącej praw i obyczajów wojny, znacznie zresztą odmienny od pierwotnego. W protokóle zamknięcia konferencyi motyw zaczyna się od słów: „uznano jednogodnie, iż postępy cywilizacyi kierować się powinny względami zmniejszenia, o ile się da, klęsk wojny, że jedyny legalny cel państw w czasie wojny polegać winien na osłabieniu nieprzyjaciela, nie zadając mu przytem cierpień bezcelowych.“ Protokół powołuje się również na konwencyę genewską i na deklaracyę petersburską.

Chociaż nie przyobleczone w formę traktatu, prace konferencyi niemniej przeto nie przeszły bez pożytku dla ludzkości; należy też spodziewać się, iż w wojnie przyszłej, obok dodatkowych decyzyi konwencyi genewskiej, przestrzegane będą uchwały konferencyi 1874 r., a to tem bardziej, iż zostały one wcielone do wydanego w r. 1880 przez „Instytut prawa międzynarodowego“ „Zbioru praw wojny lądowej i morskiej.“ Od tego czasu we Francyi, w Niemczech (Dan), we Włoszech (Berti), w Hollandyi (Van-der-Beer-Portugal), wydano dla wojskowych oddzielne skrócone „Zbiory praw.“

Okoliczności te nie są bez znaczenia. Dowodzą one, iż chociaż ograniczenie wojny przez umowy wzajemne państw nie weszło jeszcze do prawodawstwa, to jedno przeniknęło już do pojęć naszych i obyczajów: Postępy myśli nie pozwalają już wojnom wyradzać się w akta bezgranicznego gwałtu.

Coraz silniej utrwalają się zasady, iż na wojnie wolno robić to tylko, co jest niezbędne dla celów wojny; że wojny nie powinny być skierowane do zburzenia państw i wytepienia ludności; że mocarstwa mogą nie dążyć do wspólnego zniszczenia, lecz jedynie do przewagi w pewnej sferze; że, wreszcie, strony walczące winny uznawać, nawet w czasie wojny, prawowitość władz strony przeciwnej i nie uciekać się do środków ostatecznych, które-by uniemożliwiły powrót do stanu pokojowego ¹⁾.

3.

Gdy rozległy się pierwsze strzały francusko-niemieckiego pojedynku w r. 1870, stronników wieczystego przymierza ludów przejęła zgroza. Po szczęśliwym zażegnaniu nieporozumień o Luksemburg, mieli oni niejakię prawo oddawać się różowym marzeniom; tymczasem wojna święciła straszliwy tryumf; mordowali się z dziką zapamiętałością wybrańcy ludzkości, dwa narody przodujące cywilizacyi; zamożność, gromadzona przez długie lat dziesiątki, kosztem najmoźniejszej pracy, w samem sercu Europy ginęła, tępiona z wandalską dzikością; wreszcie bomby pruskie usiłowały w kupę rumowiska zamienić stolicę świata cywilizowanego — Paryż!

W pierwszej chwili straszliwa ta wojna podnieciła usiłowania pokojowe, zapaliła nawet obojętnych, szczególnie w krajach neutralnych. Łudzono się tu i ówdzie, że może jednak uda się zatamować przelew krwi.

John Stuart Mill pisał w tym czasie do „Timesa“: „Gdybyśmy przy pierwszym wybuchu tej ohydnej wojny oświadczyli byli, że każdy naród, który pierwszy napadnie na kraj swego sąsiada, będzie miał w Anglii wroga, to byłibyśmy według wszelkiego ludzkiego prawdopodobieństwa przeszkodzili wojnie i dali początek nowej erze w rozwiązywaniu zatargów międzynarodowych.“

W rzeczywistości wojna 1870—71 roku zadała bardzo silny cios usiłowaniom pokojowym w Europie. „Ligue de la paix et de la liberté“

¹⁾ A. Pillet. „Le droit de la guerre.“ Paris, 1892.

tak świetnie rozpoczęta, po tej fatalnej dacie z rzeki wzbierającej stała się wysychającym strumykiem. Kongres, odbyty w r. 1872 w Lugano, nie był podobny do poprzedników swoich—przebrzmiał bez echa. Zwoływano potem już tylko t. zw. konferencye przy topniejącej liczbie uczestników. Organ ligi „Etats-Units de l'Europe“ pędzić począł bardzo nędzny żywot w Genewie, mało kto go czytał, nikt się z nim nie rachował. Jeżeli liga nie skończyła wówczas ostatecznie, to jedynie dzięki usiłowaniom jednostki, mianowicie p. Lemonier'a, czcigodnego starca, nieżyjącego już dziś, niegdyś Saint-Simonisty, który cały swój czas, pracę i majątek poświęcił urzeczywistnieniu ukochanej idei. Nieustannie zwracał się on do ministrów państw wszystkich, przekładając korzyści pokoju i wzywając do utworzenia trybunału międzynarodowego. Na razie jednak skutku nie było, nie odpowiadano mu lub odpowiadano odmownie.

W r. 1873 na wniosek (przyjęty większością 98 głosów przeciwko 88), Henryka Richard'a, gorliwego nieprzyjaciela wojny, parlament angielski wystąpił z adresem do królowej (8 lipca), w którym prosił o polecenie ministrowi spraw zagranicznych, aby się porozumiał z innymi mocarstwami, celem wprowadzenia ulepszeń do prawa międzynarodowego i ustanowienia stałego i ogólnego sądu polubownego międzynarodowego. Odpowiedź nastąpiła 17 t. m. Królowa wyraziła gorące uznanie dla pobudek filantropijnych, które adres podyktowały; oświadczyła, iż ona zawsze dążyła w tym kierunku, aby spory rozstrzygane były nie orężem, lecz przez wyrok państw bezstronnych; wreszcie przyrzekła, że i nadal z tej drogi nie zejdzie. W ten sposób korona angielska sprawę wyminęła.

Przykład jednak nie pozostał bez naśladowców. W tymże roku 24 listopada Mancini postawił w Izbie włoskiej wniosek następujący: Izba pragnie, aby rząd królewski w stosunkach międzynarodowych dążył do wprowadzenia sądów polubownych we wszystkich tych sprawach, w których to się okaże możliwem. Wniosek ten został przyjęty.

W rok potem, 17 listopada 1874 r., Izba niderlandzka większością 35 głosów przeciwko 30 powzięła rezolucyę bardzo blizką do wniosku Manciniego.

21 marca 1874 r. Izba niższa szwedzka 71 głosem przeciwko 64 przyjęła adres do króla, proszący o poparcie wszelkich dążeń, które-by miały na celu załatwianie nieporozumień międzynarodowych przy pomocy sądu rozjemczego.

Izba belgijska 20 czerwca 1875 r. nie tylko zaleciła praktykowanie pokojowych środków w zatargach państwowych, lecz także domagała się współdziałania swego rządu w sprawie wytworzenia i przy-

jęcia stałych zasad dla sądu międzynarodowego. Senat jednogłośnie przyłączył się do rezolucji Izby.

Widzimy więc, że z państw większych za utrwaleniem pokoju oświadczyły się dotychczas stanowczo tylko (nie licząc Stanów Zjednoczonych), parlamenty Anglii i Włoch, wtórowały zaś im Izby paru mocarstw pomniejszych. Ciała prawodawcze pozostałych państw pierwszorzędnych, Francji, Niemiec, Austrii, zachowały dotychczas milczenie. Powodem tego przedewszystkiem jest naturalnie stan polityczny Europy w chwili dzisiejszej. Gdy to jednak w ten lub inny sposób minie, niepodobna wątpić, że przedstawiciele całej Europy domagać się będą wprowadzenia sądów rozjemczych.

Ruch, dążący do usunięcia wojny ze stosunków politycznych, istnieje i w Rosyi. W r. 1880 powstało w Petersburgu „stowarzyszenie Prawa międzynarodowego.“ Ma ono na celu popieranie wszelkich usiłowań, zmierzających do kodyfikacji zasad prawa międzynarodowego, przyczyniać się do zawiązywania i utrwalania stosunków przyjaźni z zagranicą, oraz propagować ideę pokoju wieczystego ¹⁾.

Nie znaczy to, aby dziś nie było już wcale polityków i filozofów, którzy myśl zupełnego wyrugowania wojen z życia narodów uważają za nedorzeczną chimerę i wyśmiewają podjęte w tym kierunku dążenia. Przeciwnie, kursują mniemania, które uważają wprawdzie wojnę za klęskę ludzkości, lecz jednocześnie naturę człowieka i społeczeństwa mają za tak wadliwą, iż nie chcą uwierzyć, abyśmy się kiedykolwiek pozbyć mogli tego złego koniecznego. Co więcej, istnieją mniemania, upatrujące w wojnie kataklizm pożyteczny, rodzaj burzy, czyszczącej powietrze, rodzaj wentylacji społecznej, która usuwa nagromadzone w czasach spokojnego używania miazmata egoizmu i nieprawości wszelkiej, wprowadza zaś pierwiastki bezinteresowne, szlachetne.

Marszałek Moltke napisał w rodzaju wstępu do dzieła Bluntschlego następujące upewnienie: „Pokój wieczysty jest mrzonką i to nie zawsze piękną mrzonką. Wojna tworzy część porządku, przez Boga ustanowionego. Rozwija ona najszlachetniejsze przymioty człowieka: odwagę, abnegację, oddanie się, ducha poświęceń. Gdyby nie wojna, świat rozłożył-by się w zgniliznie i zginął w materyalizmie.“

Lecz znakomity feldmarszałek nie zawsze był tego zdania, i jakkolwiek to się dziwnem wydać może, zaliczał on się niegdyś do propagatorów pokoju wieczystego. Oto co pisał on w r. 1841: „Uznajemy siebie otwarście za stronników tak często ośmieszanej idei wieczystego pokoju europejskiego. Nie w tym naturalnie sensie, aby ustać miały

¹⁾ „Le tribunal international” par le Comte L. Komarowsky. Paris, 1887.

długotrwałe krwawe starcia, ażeby armie zostały rozpuszczone, a armaty przetopione. Nie. Czyż cały bieg historii nie jest postępem, dążącym do pokoju? Czyż możliwa jest dziś wojna o sukcesję tronu hiszpańskiego ¹⁾ lub z powodu „beaux yeux de Madame”? Rozniecić wojnę mogą dziś niektóre tylko państwa. Wojny zdarzać się będą coraz rzadziej, gdyż stały się one zbyt drogiemi, zarówno pod względem wydatków bezpośrednich, jak i ze względu na interesa, które wypada odsunąć na plan dalszy. Czyż ludność Prus nie wzrosła o ćwierć w ciągu 25 lat pokoju pod mądrymi rządami? Czy nie posiada ona teraz 15 milionów mieszkańców, lepiej odzianych, bardziej wykształconych, niż 11 milionów poprzedniego okresu? Czy to nie warto pomysłnej kampanii lub zabranej prowincyi? Musimy się zgodzić, iż wotowane co rok na utrzymanie armii nieprzyjacielskich miliardy pieniędzy oraz miliony ludzi, odrywanych w kwiecie lat od swoich zajęć dla celów możliwej wojny, iż te potężne środki mogły-by być użyte o wiele produktywniej. Czy Europa doczeka się kiedy rozbrojenia powszechnego? Mówią, że bez wojny człowiek utracił-by swą energię moralną i zapomniał-by poświęcać swe życie dla honoru, wiary, sławy, miłości ojczyzny lub religii. Tkwi w tem może część prawdy. Im rzadziej zdarzać się będą w Europie wojny, tem będzie rzeczą konieczniejszą wynajdować nowe pola dla rozwijającej się energii młodych pokoleń. Anglia znalazła ku temu pole we wszystkich pięciu częściach świata i na wszystkich morzach. Tam następuje ona zajęcie młodym członkom arystokracji, oraz daje sposobność młodzieży okazania swego męstwa, tam szuka nowych dróg dla handlu i nowych rynków dla przemysłu. Czy Niemcy nie powinny korzystać z takiego przykładu i wziąć się do szerzenia swej kultury, energii, pracowitości i uczciwości po-za granicami ojczyzny? W późniejszych jednak latach Moltke zmienił swoje poglądy. Czy sprawiła to sama tylko laska marszałkowska, czy też może długie rozmyślanie rozproszyły dawny optymizm.

Nie chcemy bynajmniej twierdzić, ażeby w późniejszych słowach myślącego milczka — jak Niemcy nazywali wodza swojego — całkiem prawdy nie było. Bardzo być może, iż planowanie pokoju wieczystego jest tylko mrzonką, iż, pomimo wskazówek historii i zapewnień uczonych, wojna nie przestanie wstrząsać społeczeństwami nigdy. Nawet jednak w takim razie usiłowań przyjaciół pokoju nie można uważać za bezowocną stratę czasu. Medycyna nie wynalazła panaceum, które-

¹⁾ Ironia losu sprawiła, iż w trzydziści lat potem najślawniejsze laury swoje zbierał Moltke na wojnie, która wybuchnęła właśnie z powodu sukcesyi hiszpańskiej (kandydatura Hohenzollerna na tron hiszpański).

by usunęło całkowicie chorobę i śmierć, pomimo to w wielu wypadkach pomoc lekarska bardzo jest zbawienną.

Wpływ wojny 1870—71 r. na osłabienie propagandy pokoju był bardzo zrozumiały i naturalny. Francya skrzywdzona, skaleczona, poniżona, stała się nagle nieczułą na hasła wszechludzkie i całkowicie oddała się myśli o odwecie. Pokój wieczysty nie dał-by jej zmyć hańby Sedanu, a może niepozwolił-by odzyskać Alzacyi.

Już sama strata Francuzów była dla sprawy pokoju ciosem niebezpiecznym, gdyż przyzwyczaili oni świat do tego, że zawsze przodowali narodom, gdy chodziło o idee społeczne. Myśl z tej sfery, nie popierana przez Francuzów, nie mogła się pomyślnie rozwijać. A jednocześnie wojna 1870—71 roku uczyniła i drugi naród stronnikiem wojny z konieczności.

Nowe cesarstwo niemieckie, powstałe dzięki tryumfom oręża, w chwili najstraszniejszego uniesienia wojennego, spojone krwią i żelazem, z natury swojej musiało wszystkie nadzieje przyszłości oprzeć na militaryzmie. Bez wielkiej potęgi zbrojnej nie mogło ono liczyć ani na szacunek ludzki, ani na całość swojego terytorjum. Ojczyzna więc księcia Bismarcka musi jej być przeciwną.

Czy jednak myśl wieczystego pokoju utonęła ostatecznie we krwi pod Gravelotte i Woert? Wcale nie. Myśl ta nie skupia się dziś wprawdzie w jednym stowarzyszeniu, nie ma ligi za reprezentantkę, lecz się rozproszyła dosyć szeroko po całym świecie, zdobywa sobie coraz większe prawo obywatelstwa w teorii i coraz więcej gruntu w praktyce.

Życie jest bardzo elastyczne i kapryśne, zdolne do zmian i przetwarzania się najdziwaczniejszych; na każdym kroku wyrządza ono filozofom i prorokom społecznym niespodzianki najbardziej nieoczekiwane. Może też potrafi ono w sposób niespodziewany usunąć wojnę z dziejów świata cywilizowanego. A może znowu po zniknięciu wojny wystąpią klęski, obecnie nieprzewidywane i nieoczekiwane.

Niemniej przeto krwawe zapasy międzynarodowe są coraz mniej popularne i coraz bardziej unikane.

Nietylko ludzie bez władzy i stanowiska popierają ideę pokoju piórem, słowem, udziałem w zebraniach i stowarzyszeniach,—urzędowi przedstawiciele mocarstw, którzy o uleganie wpływom mrzonek nieziszczalnych pomówieni być bardzo nie mogą, uznają również pożytek polubownego załatwiania różnych spraw międzynarodowych i czują potrzebę utrwalenia i uregulowania tego czynnika. Stany Zjednoczone po szczegółowem załatwieniu z Anglią sporu w kwestyi Alabama i po tak straszliwie morderczej walce dwu przodujących narodów, pragnęły co najprędzej instytucją sądów rozjemczych urzeczywistnić na wysoką skalę i zrobić ją obowiązującą we wszystkich wypadkach. To też do-

wodów na to nie brak: amerykańskie stowarzyszenie pokoju wysłało w r. 1873 jednego ze swoich sekretarzy, M. Miles'a z Bostonu, ażeby pozawiazywał w Europie stosunki z głównymi propagatorami idei pokoju. Następstwem tego miało być zwołanie wielkiego kongresu do Ameryki, celem uświęcenia decyzji genewskich w sprawie Alabama, potem zaś utworzenie rodzaju Senatu z publicystów wszystkich narodów w liczbie mniej więcej pięćdziesięciu, który-by wypracował przepisy dla trybunału arbitrów międzynarodowych. Przepisy te następnie miały być przedstawione meetingowi międzynarodowemu, zwołanemu do jednej ze stolic Europy.

Miles objechał główne miasta starej naszej części świata i, chociaż właściwego celu nie dopiął, to jednak uzyskał dla myśli swojej głośne uznanie ze strony wszystkich uczonych, najbieglejszych w kwestjach prawa międzynarodowego. Opracowanie i skodyfikowanie podstaw prawa międzynarodowego uznali oni za rzecz bardzo potrzebną i pożyteczną. W tym duchu oświadczyli się między innymi: Calvo, który dotychczas ideę pokoju wieczystego miał za utopię, Messo, Mancini, Pierartoni, Heffer, Holtzendorf i inni. Głównie też dzięki staraniom tych mężów powstało w r. 1873 stowarzyszenie, mające na celu reformę kodyfikacji prawa międzynarodowego; siedzibą stowarzyszenia jest Londyn, lecz członkowie zjeżdżają się corocznie na sesye do różnych miast Europy.

Na posiedzeniu w Hadze w 1875 r. czytany był referat Bluntschlego o rozbrojeniu. Uczony niemiecki uważa rozbrojenie w dzisiejszych warunkach życia politycznego za niemożliwe; sądzi jednak, iż myśl ta urzeczywistnić-by się mogła, gdyby nastąpiło porozumienie się państw. Na temże posiedzeniu zakomunikowano stowarzyszeniu listy Laboulaye'a i Francka. Pierwszy z nich oświadcza, iż dopóki w sferze stosunków międzynarodowych nie doczekają się uznania prawa państw pojedynczych, i dopóki nie będzie utworzony trybunał międzynarodowy, pokój pozostanie tak samo jak dotychczas igraszką szaleństwa ludów i ambicyi władców. Franck w reformie i kodyfikacji prawa międzynarodowego widzi cel najwznioślejszy i najpożyteczniejszy, do jakiego w czasach naszych dążyć mogą publicyści, prawnicy i filozofowie.

Podczas wystawy międzynarodowej w 1878 r. w Paryżu, 15 stowarzyszeń pokoju różnych krajów utworzyło kongres, którego zadaniem było zorganizować *Powszechną Federacyę Pokoju*, oraz przyjąć rezolucyę, która-by dała program dla pracy dalszej. Uznano tam między innymi, że najpewniejszą i najłatwiejszą drogą do wcielenia w życie idei wieczystego pokoju było-by zjednanie dla niej ciał prawodawczych, które-by odpowiedni sposób postępowania zaleciły rządóm

i zasadę sądów rozjemczych wprowadziły do przyszłych traktatów. Kongres ze swojej strony oświadczył się za Trybunałem międzynarodowym, wybieranym corocznie i złożonym z dwu przedstawicieli każdego państwa, których-by wybierała władza wykonawcza, lecz z liczby kandydatów, przedstawionych przez Izby. Kongres paryski, polecając sprawę, przez siebie popieraną, ciałom prawodawczym Europy, miał prawo mniemać, iż to grunt odpowiedni do przyjęcia i wykarmienia idei pokoju wieczystego.

Przypuszczać należy, iż z biegiem czasu, z doskonaleniem się życia wskutek rozwoju cywilizacji, coraz mniej będzie wypadków nieuleczalnych, w których tylko krwawe operacje poradzić coś zdołają, coraz częściej zaś pokojowe i rozumne pośrednictwo usunąć będzie mogło nieporozumienie. Zbytnio też spieszyć się z obwoływaniem idei pokoju wieczystego za utopię nie należy. Korzyść polubownego załatwiania spraw międzynarodowych oraz pożytek ustanowienia i zorganizowania w tym celu specjalnego czynnika uznawać poczęły w czasach ostatnich nawet sfery prawodawcze. W końcu 1888 r. powstała myśl corocznych narad przedstawicieli wszystkich ciał prawodawczych.

Pierwsze posiedzenie takiego sejmiku międzynarodowego odbyło się w Paryżu w 1889 r.; drugie miało miejsce w Londynie w czerwcu 1890 r.; trzecie w Rzymie, czwarte w Bernie. O wzroście wpływu idei pokoju przekonywa przyjęcie, jakiego doznają na zjazdach jej przedstawiciele.

Kielkuje już myśl wytworzenia jurysdykcji międzynarodowej celem załatwiania sporów. Przytoczymy tu, na podstawie dzieła profesora hrabiego Kamarowskiego, jak uczeni i zwolennicy trybunału rozjemczego wyobrażają sobie jego skład, zadanie i sposoby działania ¹⁾.

Tego rodzaju sąd mógł-by się składać z równej liczby przedstawicieli każdego z mocarstw; państewka drobniejsze mogły-by, gdyby chciały, nie przysyłać swoich reprezentantów, ale nie powinny posiadać prawa oddawania głosu państwom innym. Pożądaną jest rzecz, ażeby każde państwo posiadało co najmniej dwu przedstawicieli. Państwa, tworzące związek, lub połączone unią osobistą, składać powinny jedną jednostkę ²⁾. Ponieważ Europa posiada, nie licząc Turcyi, 18 takich jednostek, Ameryka zaś liczy ich 12, trybunał więc składał-by się z 60 sędziów.

¹⁾ Kamarowsky. „Les tribunal international.” Paris, 1887.

²⁾ Myśl ta jest całkiem uzasadniona, gdyż szczególną była-by niezgoda pomiędzy przedstawicielami jednego związku w sprawach międzynarodowych. Wynika ztąd jednak taka anomalia, iż Bawaryja-by nie miała przedstawiciela, miało-by go zaś Czarnogórze.

Sędziowie nie mogą być zmieniani inaczej, jak na zasadzie decyzji kompletu Trybunału; nie mogą oni zajmować żadnych innych posad, nie mogą przyjmować łask ani prezentów, zarówno w formie orderów, jak tytułów, dóbr i t. d.

Pod względem kompetencji Trybunał ma być sądem polubownym; ale skoro-by sprawa już się raz do niego dostała, strony były-by prawnie obowiązane poddać się wyrokowi, pod warunkiem, że zapadł-by on zgodnie z ustawami prawa międzynarodowego i wedle ustanowionych form procedury. Trybunał byłby instytucją stałą, lecz zbierał-by się tylko w razie potrzeby. Nie zniósł-by on na ziemi objawów złej woli, lecz istnienie jego umożliwiło-by pomyślnie rozwiązywanie sporów między państwami, szczerze pragnącemi pokoju. Pomimo, że zgodzenie się na decyzję Trybunału zależało-by od dobrej woli stron, to jednak państwa mogły-by w pewnych wypadkach decyzję sądu międzynarodowego uczynić obowiązującą. Tym sposobem wyrobił-by się naprzód na sprawach drugorzędnych zakres kompetencji trybunału, a z biegiem czasu obejmował-by on coraz większą i większą liczbę spraw.

Kompetencja trybunalska była-by określona zarówno pod względem terytoryalnym, jak i co do rodzaju spraw. Znaczy to, iż rozciągała-by się ona tylko na państwa Europy i Ameryki, jako przestrzegająca prawa międzynarodowego; powtóre: nie podlegały-by kompetencji sądu wszystkie wewnętrzne sprawy państw, a przytem trybunał decydował-by tylko o prawnej stronie kwestyi.

Ze względu na rodzaj spraw, trybunał byłby podzielony na cztery departamenta: 1) *Departament dyplomatyczny*—dla roztrząsania sporów, wynikających z nieporozumienia pomiędzy przedstawicielami stosunków zewnętrznych (dyplomatami, konsulami, komisarzami), oraz z nadużycia przez nich ustaw prawa międzynarodowego. Do tegoż departamentu należało-by tłumaczenie istotnego sensu paragrafów w traktatach. 2) *Departament spraw wojenno-łądowych i wojenno-morskich*—miał-by za zadanie czuwać nad przestrzeganiem przez strony walczące nakazów konwencji genewskiej oraz praw wojny, postanowionych w traktatach, deklaracyach lub uznanych przez panujące obyczaje; decydował-by spory co do konfiskat na morzu, co do pogwałcenia neutralności i co do skarg prywatnych w tych materyach. 3) *Departament prywatnego prawa międzynarodowego* rozstrzygał-by spory, powstające z niezgodności pomiędzy prawodawstwami (karnemi i cywilnemi) różnych państw, oraz kwestye co do siły prawnej wyroków sądów narodowych na terytoryum krajów innych; ten departament również decydował-by w kwestyach wydawania przestępców, on również sądził-by przestępców politycznych i anarchistów, którzy odrzucają wszelki porządek społeczny. 4) *Departament międzynarodowego*

prawa socyalnego. Do zadań jego należało ochraniać międzynarodowych środków komunikacji: poczt, telegrafów, dróg żelaznych i żeglugi rzecznej, swobody mórz i oceanów; przedsięwzięcie wspólnych środków przeciwko epidemii; obrona własności literackiej i artystycznej, wynalazków i marek fabrycznych.

Posiedzenia trybunału byłyby dwojakie: walne i zwyczajne. Pierwsze miały-by przedewszystkiem władzę dyscyplinarną nad członkami Trybunału, a powtóre stanowiły-by instancję kasacyjną. Zadaniem drugich było-by rozstrzyganie sporów i spraw międzynarodowych, obecnymi na nich byli-by tylko pewni członkowie tego departamentu, do którego sprawa należy; naturalnie w każdym pojedynczym wypadku państwa wybierały-by uczestników sesji z pomiędzy przedstawicieli mocarstw w danej sprawie neutralnych. Trybunał oraz każde posiedzenie samo wybierało-by sobie przewodniczących, rezydencją sądu była-by Bruksella, językiem zaś rozpraw oraz dokumentów—francuski. Dekreta zapadały-by większością głosów, publikowały-by się z motywami i nie wymagały-by oddzielnej ratyfikacji mocarstw, gdyż posiadały-by własną moc prawną; lecz państwa, po upływie pewnego oznaczonego terminu, miały-by prawo podać zasady, również prawne, do kasacyi. Wtedy sprawa szła-by pod rozpatrzenie ogólnego (całego) zebrania trybunału, a w razie skasowania wyroku, był-by dla rozstrzygnięcia danej kwestyi utworzony nowy komplet, który wtedy składał-by się już z członków, wybranych przez prezesa Trybunału.

Autor przytacza zarzuty, wysnuwane z tej okoliczności, iż decyzje trybunału międzynarodowego posiadać nie mogą siły przymusu, oraz z zasady, że siła przymusu stanowi jeden z nieodzownych warunków pozytywnego prawa wogóle. Przypuszcza on jednak, iż powaga sądu narodowego, nawet w początkach jego istnienia i działalności, posiadałaby wpływ i znaczenie, następnie zaś usiłowania państw w każdym pojedynczym wypadku neutralnych mogły-by nawet stopniowo wykonaniu wyroków nadać pewien stopień faktycznego nacisku i przymusu. Bodaj czy uważano-by za rzecz właściwą i pożyteczną poddać kwestyę pod decyzję Trybunału międzynarodowego, a następnie nie uledez jego wyrokowi; w razie zaś wyniknięcia ze sporu podobnego wojny, decyzja trybunału nadała-by siłę moralną przeciwnikom państwa, które się nie poddało wyrokowi. Wreszcie przeciwko mocarstwom, gwałcącym sąd i prawa międzynarodowe, mogły-by być przez państwa neutralne użyte takie środki, jak: zerwanie z niem stosunków dyplomatycznych, odstąpienie od traktatów, z niem zawartych, zakaz jego obywatelom przebywania na terytorjum państw neutralnych, niewpuszczanie jego towarów, a nawet wspólna blokada portów. Takie umocowanie władzy Trybunału musiało-by się dokonywać stopniowo,

środki zaś przymusowe, wywołane przez pełnomocnictwo ze strony trybunału, zostały-by rozważone i udecydowane przez osobny kongres lub ugodę państw neutralnych.

Możliwość tego, iż państwa dojdą do konieczności utworzenia jurysdykcji międzynarodowej, hr. Kamarowski upatruje w tem, iż w naszym wieku wogóle wzmagą się zasada internacjonalizmu, iż, powtóre, ciężar militarizmu pochłania w Europie corocznie 3 miliardy na wojsko i flotę, a wreszcie, że jest wyraźną nielogicznością uciekać się celem zapewnienia sobie bezpieczeństwa do takiego środka, który właśnie stanowi główne niebezpieczeństwo, gdyż on wytwarza i podtrzymuje w narodach wzajemną niewiarę i rozdrażnienie.

Nie będziemy wdawali się w krytykę projektu powyższego, a to tem bardziej, iż autor sam przewidział i przytoczył niektóre zarzuty. Tak np. Holtzendorf robi uwagę, iż sam wzrost solidarności i pospajanie interesów państw różnych stworzą trudność znalezienia w jakiejkolwiek bądź kwestyi mocarstw bezwzględnie neutralnych.

Nie można jednak przeczyć a priori, że konieczność utworzenia sądu międzynarodowego, w tej lub innej formie, nie stanie się oczywistością, po-za którą wyjścia nie będzie, gdy zostaną ocenione ofiary, jakie wojna pochłania.

Znany statystyk niemiecki, Engel, przytacza następujące liczby ofiar, które świat cywilizowany poniósł na wojnach drugiej połowy wieku naszego:

Wojny:	straty ludzi (w tysiącach)	k o s z t a (w milionach franków)
Krymska	750	10,000
Włoska	45	1,500
Duńska	3	175
Północno-Amerykańska	280 ze strony stan. półn.	22,500
„	52 „ „ połud.	11,500
Austro-Pruska	45	1,650
Ekspedycja Meksykańska, Chiwska, Kochinchińska	65	1,000
Francusko-Niemiecka	155 Francuzów	15,000
„	60 Niemców	—
Serbska	25	880
Russko-Turecka	250	5,625
Południowo-Afrykańska	30	44
Afganistańska	25	66 ¹ / ₂ .

W ogólnej sumie, wedle obrachunku Engla, wojny te kosztowały 2¹/₄ miliona ludzi i 62¹/₂ miliardów franków.

Coraz częściej się też zdarza obecnie, iż drobniejsze sprawy rozstrzygane bywają przy pomocy konferencyi, komisyi, sądów polubowych. Spraw takich było już dużo, do najgłośniejszych należał spór Niemiec i Hiszpanii o wyspy Karolińskie, który poddano pod sąd Papieża.

Jeszcze bardziej niż na naszym starym kontynencie sprawa pokoju postąpiła po drugiej stronie Atlantyku.

Kongres panamerykański, zwołany w 1889 roku przez prezydenta Stanów Zjednoczonych Harrisona, na celu miał już nie rozprawy teoretyczne, lecz faktyczne i zupełne usunięcie wojny ze stosunków międzynarodowych w całej części świata. D. 14 lutego następnego roku sprawa ta została przychylnie przyjęta w senacie waszyngtońskim a 28 kwietnia tegoż roku przedstawiciele Stanów Zjednoczonych, Guatameli, Nicaraguy, San-Salwadoru, Honduras, Boliwii, Ecuadoru, Haiti i Brazylii podpisali uchwałę, mocą której wszelkie, mogące wyniknąć pomiędzy temi państwami, zatargi, poddane będą sejmowi rozjemczemu państw europejskich.

Słowem to, co w Europie było zaledwie marzeniem, uważanem przez wielu za nieziszczalną fantazyę, tam stało się faktem dokonanym. Przykład podobny ma oczywiście wpływ bardzo doniosły, zmusza do rachowania się z nim wszystkie sfery i wszystkie opinie. Szersze koła publiczności, do których rozumowanie abstrakcyjne mogło-by nie trafić, poznają teraz fakt, dowiedzą się o skutkach, z niego płynących. Dyskusya wszelka stanie się realniejszą, bo na sprawę coraz więcej spadać będzie światła z danych, dostarczonych przez życie bieżące.

Wobec tego każdy człowiek bezstronny, jakiegokolwiek było-by jego przekonanie, przyznać musi, że sprawa pokoju postąpiła bardzo i postępować nie ustaje.

4.

Niemalym dowodem postępu myśli i sprawy pokoju w Europie są szczyrby, jakie tu i owdzie pokazują się na szowiniźmie francuskim. W lecie r. z. „Figaro“ ogłosił duży artykuł pióra pewnego męża stanu, osłoniętego nieprzenikliwą maską anonimu, który wywarł olbrzymie wrażenie i był gorliwie komentowany. W artykule tym proponowano, aby Lotaryngię, jako posiadającą ludność rdzennie francuską, zwrócić Francyi wraz z Metzem, Alzacyę zaś pozostawić Niemcom, a jako odškodowanie dodać im Luksemburg.

Zapominać nie należy, iż „Figaro“ stara się przedewszystkiem płynąć z falą opinii i na ogłoszenie projektu, który-by jego popularności mógł zaszkodzić, bodaj czyby się zdecydował.

W roku zeszłym wyszła w Paryżu książka Ludwika Gastine'a „Patria.“ Miała ona znaczny rozgłos, stała się też znamiennym faktem społecznym, i z tego względu na nią musimy zwrócić uwagę. Autor, rzuciwszy bardzo ostre, niczem niezłagodzone gromy słów obelżywych na uczucie patryotyzmu, na szkoły i wojska narodowe, woła: „Pod pretekstem obrony kraju, odwetu, honoru ojczyzny i innych błazeństw (!), patryotyzm francuski utrzymuje kosztowną armię stałą i rujnuje lud.“ Potem wyszydza i piętnuje karność wojskową i jej skutki, które wedle Gastine'a hańbią, wykoślawiają naturę ludzką. Wreszcie znajdujemy następujące ustępy, co do stosunku Francji względem Niemiec, Alzacyi i Lotaryngii:

„Hańby nie stanowi poszanowanie traktatu, który tak czy inaczej zawarło się i podpisało; hańbą jest pętać przez lat dwadzieścia produkcję kraju, z tą nieustanną myślą, że się kiedyś uda traktat potargać i odebrać dwie utracone prowincye.

„Z tego, co się z powodu Alzacyi i Lotaryngii napisało i naga- dało, można było-by utworzyć bibliotekę. Czas położyć koniec tej bla- dzie i temu kuglarstwu.

„Poświęcanie dobra całego narodu dla dwu prowincyi, to kpiny ze zdrowego sensu, które zbyt długo trwały, aby mogły w końcu nie oburzać!

„Istotny interes kraju wymaga nie dalszych wysiłków i wyczer- pania celem odzyskania straconych ziem, ale pracy nad zgładzeniem oplakanego, rujnującego antagonizmu między Francją a Niemcami!“

Potem następuje oskarżenie osób, na czele narodu francuskiego stojących, o podtrzymywanie nienormalnego stanu w kraju jedynie w widokach osobistych, aby nadużycia finansowe i polityczne tłóma- czyć potrzebami wyjątkowego okresu przed wojną.

W nieumiarkowanym żądaniu względami głósie anarchisty, namiętnym a doktrynerskim, wiele jest naturalnie nut fałszywych i przy- krych. Poniewiera on uczuciami, które szanować pod utratą bytu na- leży. Niewielu się też z nim zgodzi, wielu natomiast oburzy się i zgor- szy. Nie chodzi tu jednak o słuszność dowodzeń p. Gastine'a. Ważny jest dla nas fakt, że takie myśli we Francji kiełkują, że podobne książki wychodzą, pisma o nich piszą, a opinia publiczna umie je znosić ze względnyim przynajmniej spokojem.

Nie brak też protestów przeciwko istniejącemu stanowi rzeczy nawet w Niemczech, pomimo iż Bismarck, który w 1868 r. ideę pokoju popierał, następnie tłumił ją wszelkimi sposobami: siłą i ironią, nieła- ską swoją i artykułami prasy gadzinowej. Szczególniej po ustąpieniu Księcia Żelaznego, niezależne zdania, ożywione humanitarnymi dążno- ściami, dają się słyszeć coraz częściej. Nawet ci, którzy ze względu na

obowiązujące dziś warunki moralne i polityczne uważają zastosowanie siły brutalnej za konieczne, nie wahają się potępić sofizmatów, którymi chciano-by upozorować krwawe czyny. Bodaj czy dziś miał-by kto odwagę przyznać się do sławnego hasła Bismarckowskiego: „Siła przed prawem!“

Von Thünen w znakomitej swej pracy „Der isolirte Staat“ powiada: „Dzisiaj interesa ojczyzny i interesa ludzkości są sobie wrogie. Na wyższym szczeblu cywilizacji będą one solidarne.“

Wreszcie powołano i religię do wspólnej pracy. Nagrodę stu gwinej, wyznaczoną przez londyński komitet pokoju, otrzymał Macnamara za dzieło: „Wieczysty i powszechny pokój, jego możliwość, wartość i zgodność z objawieniem boskiem.“ W części I czytamy tam: „Wojna bezwarunkowo z nauką ewangelii i z duchem chrześcijańskiego zbawienia pogodzić się nie da.“ Jako przyczyny obojętności na ohydę wojny autor wymienia i wychowanie, wysławiające walki; morderstwo zwie się wojną, morderca—żołnierzem, dzikość zaś natury ludzkiej tynkuje się pozorami bohaterstwa.

W tym samym duchu przemawia Renan: „Wojna jest pasmem grzechów, jest nienaturalnym stanem, podczas którego zaleca się jako czyn piękny to, czego kiedyindziej unikać należy jako błędu i zbrodni. Ani w ewangelii, ani w literaturze chrześcijańskiej nie znajdzie się takie słowo, które-by cnoty wojenne wymieniało pomiędzy prowadzącymi do nieba.“

Nietylko zresztą względy natury moralnej przemawiają coraz wyraźniej przeciwko wojnie. W ostatnich czasach zwracają ze wszystkich stron natarczywie uwagę na bardzo doniosły argument ze strony czysto ekonomicznej. Wytwórczość starej Europy posiada niebezpieczną, złośliwą i czujną konkurentkę w młodej Ameryce. Gdy u nas wojna zamknie fabryki i zrujnuje przedsiębiorców, Ameryka zrobi wszelki wysiłek, aby skorzystać z chwili, opanować wszystkie rynki i już nigdy z nich nie ustąpić.

Najniebezpieczniejszego wroga ma jednak wojna w samym rozwoju życia społecznego, a nawet — co się na pierwszy rzut oka paradoksem wydać może — w nadmiernym rozwoju militarizmu. Poczesne stanowisko, jakie niegdyś wojna zajmowała w literaturze i w pojęciach powszechnych, zawdzięczała ona w znacznej części temu, iż w niej znajdowały zadowolenie próżność i ambicje narodowe. Okazać więcej siły militarnej, więcej przebiegłości i talentu strategicznego, więcej namordować wrogów—stanowiło zaszczyt na długo pamiętny! Dzisiaj bieg życia zmienił się bardzo, rywalizacya przeniosła się na pole pracy wytwórczej, przedmiotem powszechnej troski stało się zwycięstwo na polu sztuki, przemysłu, handlu. Sława wojenna łąci coraz mniej i co-

raz mniejszą ilość ludzi, a szereg broni przeszkadza w pracy i utrudnia rywalizację pokojową. Powtórze: dziś jest całkiem inny stosunek narodów do wojny.

Niegdyś wojaczka była przywilejem wybranych, potem stała się rzemiosłem takim, jak każde inne, znacznie tylko zaszczytniejszem, miała swoje niedogodności, ale miała i strony dobre, nie wymagała takiej jak obecnie uciążliwej pracy, pozwalała nie myśleć o jutrze, a dziś pędzić życie hulaszce. Żołnierz na swój byt się nie skarżył, wojnę i jej przygody lubił, pożądał ich; rodzinę miał rzadko kiedy. Przytem tych żołnierzy było niewiele. Okropność wojny w ten sposób została od społeczeństwa pod pewnym względem oddalona, a że się zdarzała często, więc ludzie przytem obojętnieli na jej widok i na jej skutki.

Z tego powodu właśnie protesty filozofów i filantropów nie mogły przez czas długi wywrzeć dosyć silnego wrażenia, gdyż nie znajdowały w sercach spóółstwa odpowiedniej, bolącej struny.

Wszystko się zmieniło wraz z nastaniem powszechnej służby wojskowej. Na niebezpieczeństwa i wrażenia wojny narażone zostały setki tysięcy ludzi, którzy do niej żadnego zamiłowania nie mieli. Każda alarmująca pogłoska w gazetach strachem napełniała serca żon i matek. Wojna zbliżyła się do społeczeństwa, poczęła grozić wszystkim, przez wszystkich też niebawem znieawidzoną została.

Interes osobisty oświecił rzecz dokładniej, niż traktaty uczonych i debaty kongresów. W ten sposób rozwinięty i rozwijający się militarizm stawał się coraz niebezpieczniejszym dla własnej rodzicielki.

Wciąż rosnącą a żywą niechęć do wojska i wojny skierowali agitatorzy socjalistyczni na młyn własnych zamiarów. To też chociaż na czele „Ligue de la paix et de la libert e” nie stali bynajmniej socjaliści, i chociaż liga w działalności swojej daleką była od popierania ideałów Marksa lub Lassala, to jednak międzynarodowe stowarzyszenie robotników starało się być, lub uchodzić za solidarne z jej usiłowaniami.

Z poniżej przytoczonego ustępu z uchwał kongresu „Międzynarodówki” w Lozannie 1867 r. widać, za jak ważny punkt w programie swoim uważali socjaliści kwestyę wojny i pokoju:

Uchwała głosiła:

„Zważywszy: 1) że wojna cięży przedewszystkiem na klasie robotniczej, gdyż ją nietylko pozbawia chleba, lecz zmusza do przelewania krwi; 2) że pokój zbrojny paraliżuje siły wytwórcze, wymaga od pracy jedynie rzeczy bezużytecznych, onieśmiela produkcyę, trzymając ją nieustannie pod groźbą wojny; 3) że pokój, pierwszy warunek pomyślności ogólnej, powinien być utrwalony przez nowy porządek

rzeczy, który nie będzie znał w społeczeństwie dwu klas, jednej wyzyskiwanej przez drugą, — Kongres postanowił: Przystąpić całkowicie i zupełnie do kongresu pokoju, który zebrać się ma w Genewie; energicznie go podtrzymać i uczestniczyć we wszystkim, co tylko przedsięwzięte być może dla zniesienia armii stałych i utrzymania pokoju, a to celem jak najszybszego wywalczenia emancypacji klasy pracującej, uwolnienia jej z pod władzy i wpływu kapitału, zarówno jak do utworzenia konfederacji wolnych państw w całej Europie.“

Na wniosek delegowanego francuskiego Tolaina (obecnie senator republikański), do uchwały powyższej dodano:

„Zważywszy, iż pierwszym skutkiem wojny jest pauperyzm i brak równowagi ekonomicznej; iż dla usunięcia wojny nie dosyć jest rozpuścić armie, ale należy również przetworzyć organizację społeczną w kierunku coraz równomierniejszego podziału produkcji, — kongres (stowarzyszenia międzynarodowego) przystąpienie swoje czyni zależnym od przyjęcia przez kongres pokoju uchwały powyżej przytoczonej.“

W następnym 1868 r. znowu kongres „Międzynarodówki”, obradujący w Brukselli, poparł—jak to już mówiliśmy—bardzo energiczną uchwałą dążenia towarzystw pokoju ku załatwieniu bez wojny kwestyi luksemburskiej.

Szczególnym kaprysem historii, czy może skutek wszechobowiązującego prawa akcji i reakcji, ruch socjalistyczny najsilniej rozwinął się w ojczyźnie militarystów współczesnych—w Niemczech. Jedni tylko przedstawiciele tej partii mieli śmiałość zajrzeć prosto w oczy Żelaznemu Kanclerzowi za dni jego wielkości. Na zebraniach publicznych, w parlamencie i w prasie, protestowali oni przeciwko zamienieniu kraju całego na koszary.

Nauka daleką jest od udzielenia sankcyi wszystkim rozszczeniom socjalistów, tem pożądanym dla nich było patronowanie idei, która posiadała sympaty lepszych jednostek i znaleźć mogła poparcie wśród mas.

W ten sposób, prócz prądu górnego przeciwko wojnie, wynikającego z uczuć humanitarnych, opartego na podstawach naukowych, wytworzył się u dołu prąd drugi, wzbierający nieustannie w masach, oparty na niechęci bezpośredniej, osobistej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JAN BLOCH.

Ostatni z nieważników.

I.

Niezbyt odległe są od nas czasy, gdy dla ujęcia zjawisk światła i ciepła, elektryczności i magnetyzmu, uciekano się do nieważników, do płynów nieważkich. Miały to być substancje zmysłom naszym niepodległe, węzłami ciężkości nieskrępowane, a obdarzone potęgą rozjaśniania i ogrzewania świata, rozwijania w nim sił elektrycznych i magnetycznych. Odrębne zgoła od materji zwykłej, pozostawały też obce między sobą; nie uznawano ich pokrewieństwa, nie pojmowano żadnej między nimi łączności. Istniały nawet dwa płyny elektryczne—dodatni i ujemny, podobnie jak i dwa płyny magnetyczne—północny i południowy. Były te nieważniki jakby uosobieniem naczelnych sił przyrody; w niepochwytnej postaci substancji niematerialnych ożyły raz jeszcze dawne bóstwa mitologiczne, które przecież były także tylko uzmysłowionem wyobrażeniem objawów natury.

Pojęcia te rozwijały się stopniowo, w wykończony system naukowy ukształtowały się dopiero u schyłku zeszłego stulecia, a w ciągu pierwszych dziesięcioleci wieku bieżącego samowładnie i niepodzielnie w nauce rządziły. Z nielicznymi wyjątkami byli fizycy o materialności ciepła i światła również silnie przekonani, jak o istnieniu rzeczywistej, ciężkiej czyli ważkiej materji, o czem świadczy ówczesne piśmiennictwo naukowe. Jędrzej Śniadecki traktuje świetlik i ciepłik poprostu jako pierwiastki chemiczne, mówi o nich jakby o tlenie i wodorze. Na

publicznem posiedzeniu, czyli, jak mutatis mutandis wówczas mówiono, na jawnej sesji warszawskiego towarzystwa przyjaciół nauk, dnia 5 maja 1803 r., członek tegoż towarzystwa, Kortum, w rozprawie zatytułowanej „O niektórych łączeniach się światła” gwałtownie powstał przeciw tym, co pragnęli światło uważać za objaw jakiegoś ruchu; światło, mówił, wchodzić może w związki z ciałami, podobnie jak jakikolwiek inny pierwiastek chemiczny.—Lecz po cóż tak dawnych sięgać czasów, toż Radwański jeszcze całą fizykę „nieważnictwem” nazwał; dziwaczny zaś ten wyraz tem mniej wybaczyć mu można, że w czasie, gdy go kuł na niezgrabnym warsztacie swego słownictwa ¹⁾, nieważniki skazane już były widocznie na śmierć nieuchronną, a jeden z nich nawet o wiele wcześniej uległ stanowczej zagładzie. Dowody nieprzeparte świadczyły już bowiem wtedy jasno, że światło nie może być jakąś materią odrębną, ale że należy je pojmować jako objaw pewnego ruchu.

Dla wyjaśnienia mianowicie zjawisk światła dwie od początku nastęrczały się drogi, które przedstawiają się najwyraźniej, jeżeli, według Eulera, zestawimy zmysł wzroku ze zmysłami powonienia i słuchu, — światło może być tylko albo materią, albo ruchem, rozchodząc się może albo jak woń, albo jak głos. Wrażenie zapachu otrzymujemy w ten sposób, że oderwane cząstki ciała wonnego uderzają bezpośrednio nasz zmysł powonienia ²⁾, głos zaś powstaje przez ruch drgający ciała dźwięczącego, a wzniecone stąd w powietrzu otaczającym fale doprowadzają go do ucha naszego. Wiedział już o tem Arystoteles, twierdzi bowiem, że ciało brzmiące wprawia powietrze w pewien ruch odpowiedny, tak, że ulega ono przy tem ściskaniu i rozrzedzaniu, a przez ciągle uderzania tego ciała zostaje wciąż dalej odpychanem, i dlatego głos na wszystkie się strony rozchodzi. Wyraźniej jeszcze do dzisiejszych naszych pojęć zbliża się Witruwiusz, który w ósmej księdze słynnego swego traktatu o budownictwie określa, że dźwięk jest lotnym tchem, wstrząsającym powietrze, przyczem porusza się ono w niezliczonych kołach współśrodkowych, niby fale wody, kamieniem

¹⁾ Słownictwo Radwańskiego daje dowód, do jakich niedorzeczności prowadzi może przesadna gorliwość o usuwanie terminów naukowych, greckich i łacińskich, przyjętych w terminologii naukowej, która ma charakter powszechny, międzynarodowy. Dla przykładu przytoczę, że barometr nazywał on parciomierzem, elektryczność gromłem, maszynę elektryczną bursztynonośnią, a elektrofor—bursztynonośnią. Są to wprost drwiny zarówno z nauki, jak i języka. „Gromła” godną jest chyba dzisiejsza „ciepłota”, używana przez lekarzy głównie w miejsce temperatury.

²⁾ Usiłowano wprowadzić w ostatnich czasach objawy woni spowodzić do pewnych ruchów drgających, przez ciała wonne wzbudzanych; tłumaczenie to wszakże okazało się zbyt naciąganiem i nieuzasadnionem.

rzuconym potrąconej; ta tylko zachodzi różnica, że na wodzie fale te rozprzestrzeniają się jedynie na szerokość i w kierunku poziomym, gdy głos w powietrzu rozbiega się coraz dalej nietylko na szerokość, ale i na głębokość. Witruwiusz przeto sądzi, zupełnie jak my teraz, że głos rozchodzi się przez ruch falowy powietrza, wzbudzony wpływem ciała drgającego.

Analogia więc do tak dawno już należycie pojmowanych objawów woni i głosu stała się źródłem dwu różnych i sprzecznych teorii światła, które oznaczono nazwami teorii emisyjnej, czyli wypływu, i teorii undulacyjnej, czyli falowań. Pierwsza sięga czasów bardzo dawnych, należało-by bowiem może odwołać się aż do Demokryta, który, wbrew poglądom rozpowszechnionym w starożytności, jakoby promienie światła wybiegać miały z oka i obejmować przedmioty widziane, twierdzi, że to przeciwnie przedmioty świecące wyrzucają drobne atomy, a cząsteczki te świetlne, wdzierając się do oka, widzenie powodują; początki teorii drugiej przebijają w niejasnych i zawitych wirach Descartes'a, a dokładniej dostrzegamy je w jednoczesnych (1665) pomysłach Grimaldiego i Hooke'a ¹⁾, w istocie jednak obie te teorie wiążą się dopiero z nazwiskami dwu mężów, których gieniusz opromienia schyłek wieku siedmnastego. Newton, który szczupły zakres ówczesnej optyki nową nauką o barwach zbogacił, obiera hipotezę pierwszą,—przyjmuje więc, że ciało świecące rozsyła na wszystkie strony cząsteczki bardzo drobne, które, uderzając o siatkówkę oka, sprawiają w niem wrażenie światła; poczucie zaś rozmaitości barw zależy od różnej wielkości tych cząsteczek świetlnych, tak, że są one największe w świetle czerwonym, najmniejsze zaś w fioletowym. Huygens natomiast uważa światło za objaw ruchu, za zjawisko odpowiadające głosowi; jak ciało dźwięczące pozostaje w ruchu drgającym, tak i ciało świeci wtedy, gdy cząstki jego ulegają pewnemu, nader żywemu ruchowi; jak głos rozprzestrzenia się przez to, że ruch ciała drgającego udziela się powietrzu i po niem się rozchodzi, tak i ruch cząstek ciała świecącego przenosi się na cząsteczki otaczającego żywiołu,—tajemniczego, nieznanego, a wypełniającego całą przestrzeń wszechświata; jak głos słyszymy przez to, że fale powietrza uderzają ucho nasze, tak wrażen światlnych doznajemy, gdy fale owego żywiołu powszechnego do ucha naszego dochodzą ²⁾.

¹⁾ Franciszek Grimaldi, któremu zawdzięczamy odkrycie zjawisk uginania czyli dyfrakcyi światła, zmarł wprawdzie w r. 1663, ale dzieło jego „Physico-mathesis de lumine” wyszło z druku dopiero w r. 1665.

²⁾ „Optyka” Newtona w pierwszym wydaniu ukazała się dopiero w r. 1704, jakkolwiek pamiętne swo odkrycia i poglądy na istotę światła przedstawił towarzystwu królewskiemu już w ciągu lat 1672—1676. Huygens zaś swój „Traktat o świe-

Dla tego-to żywiołu zagadkowego, dla tej substancji nieujętej, użyto nazwy zapożyczonyj z mitologii helleńskiej. Według Hezyoda, syn Ereba i Nocy (Nyx), dzieci Chaosu, według Hygina syn Chaosu i Kaligony (ciemności), święcony był Eter w hymnach orfickich jako dusza świata, z której wszelkie życie początek swój i trwałość czerpie, identyfikowany następnie ze strzezią niebieską, z mieszkaniem bogów, z samym nawet Zeusem. W filozofii starogreckiej był eter piątym żywiołem — „quinta essentia”, zasadą życia, źródłem bytu, ogniem twórczości. Według Arystotelesa eterowi tylko przysługuje ruch doskonały, kołowy, wieczny i jednostajny; sfera gwiazd stałych, z natury swej przez całą wieczność jednostajnie wirująca, składa się z eteru wyłącznie, ale planety mają już domieszkę materyałów ziemskich, ruch ich bowiem nie okazuje doskonałej jednostajności.

Tę to więc nazwę dawnej duszy świata przyjęła nauka nowożytna na oznaczenie zasady światła, które jest jakby duszą świata, co też mowa polska wspólnym pierwiastkiem obu wyrazów zaznacza.

II.

Nie łatwo wszakże i nie rychło zdołał tak odrodzony eter być swój utrwalić. Walka między stronnikami Newtona a Huygensa, między hipotezą wpływu a hipotezą drgań, między teorią emanacyjną a teorią undulacyjną, przetrwała aż do trzeciego dziesiątka lat bieżącego stulecia i przedstawia jeden z najciekawszych w dziejach wiedzy sporów naukowych, olśniewający nieraz potęgą umysłową szermierzy, którzy w nim udział brali. Walka rozogniła się już w początkach, stanowczego wszakże zwycięstwa żadnej z obu stron przyznać nie można było, elementarne bowiem, zasadnicze objawy światła, jak odbijanie i załamywanie promieni, dokładne i należyte w obu teoriach znajdowały uzasadnienie, z innymi zaś kwestyami jedna i druga dostatecznie uporać się nie mogła. Tak mianowicie Newton, dla wyjaśnienia pierścieni barwnych, które w sposób najprostszy obserwować możemy w bańkach mydlanych, oraz dla wytłómaczenia odkrytego właśnie wówczas podwójnego załamania światła w spacie islandzkim, przypisać musiał świetlnym swoim cząsteczkom pewne szczególne właściwości, jakby zdolność przystosowywania się do danych warunków, co oczywiście zawilość teorii sprowadzało i zdradzało konieczność naciągania jej do faktów. Huygens natomiast jasno i swobodnie wysnuł ze swej

tle” ogłosił w r. 1690, chociaż również o wiele wcześniej, bo w r. 1678, pierwszą swą w rzeczy tej rozprawę czytał w akademii paryskiej.

teorii prawa podwójnego załamania, nie zdołał nią jednak jeszcze objąć objawów barwnych i pominął je zupełnie, co tem bardziej powodzeniu teorii jego szkodzić musiało, że na tem właśnie polu przeciwnicy jego pochłubić się mogli powodzeniem zupełnem.

W jednym nawet punkcie różniły się obie teorie tak stanowczo, że nastreżczała się sposobność porównawczej ich oceny i rozstrzygnięcia między nimi sporu. Tyczyło się to szybkości światła w różnych substancjach. Według Newtona cząsteczki świetlne, przechodząc ze środka rzadszego do gęstszego, doznają w nim silniejszego przyciągania, a stąd przebiegać go muszą z szybkością większą; teoria natomiast undulacyjna uzasadnia, że w środku gęstszym fale rozchodzą się z szybkością mniejszą, aniżeli w środku rzadszym. Znaczy to, innemi słowy, że według Newtona w wodzie lub w szkłe światło biedz musi prędzej aniżeli w powietrzu, według Huygensa zaś rzecz ma się przeciwnie. Na nieszczęście słabe jeszcze w owej epoce środki eksperymentalne nie dawały możności oznaczenia szybkości światła w różnych ciałach; może nie przypuszczał nikt nawet, że doświadczenie to da się z czasem wykonać.

Newton sam zresztą, z początku przynajmniej, kwestyę jednej lub drugiej hipotezy traktował obojętnie, nie chcąc o nieznaney istocie światła twierdzeń stanowczych podawać. Skłaniając się chętniej do uważania światła za substancję materyalną, przyznawał jednak, że zjawiska dawniej znane, podobnie jak i własne jego odkrycia, mogą być również dobrze i przez drgania eteru tłómaczone. Następnie obstawał wprawdzie silniej za teorią emisyjną, ale dopiero uczniowie jego i wielbiciele zarzucili zupełnie oględność mistrza i teorię undulacyjną potępiłi doszczętnie, a pod wpływem aureoli, opromieniającej pamięć Newtona, teoria wpływu zapanowała wyłącznie na czas długi w nauce. Rozprawa Huygensa o świetle nie zdobyła zgoła uznania i uległa przez całe następne stulecie zupełnemu zapomnieniu, z którego nie zdołał jej wydobyć nawet wielki Euler, jedyny prawie w wieku ośmnastym obrońca eteru.

Poglądy swoje w tej rzeczy wyłożył gienialny ten matematyk w sposób popularny, w słynnych swych listach do pewnej księżniczki niemieckiej („*Lettres à une princesse d'Allemagne sur quelques sujets de physique et de philosophie*”), ogłoszonych w r. 1768—1772, chociaż listy oznaczane są datą wcześniejszą 1760—1762. Eter uważa Euler za substancję lotną, która wszakże o wiele jest rzadszą i sprężystszą, aniżeli powietrze zwykle. Ponieważ zaś powietrze, jak przekonywają nas objawy głosu, usposobione jest do przejmowania i rozprzestrzeniania wstrząśnień czyli drgań ciał brzmiących, łatwo przeto wyobrazić sobie można, że w odpowiednich warunkach i eter przechodzić może w podobny sposób

w drgania i rozprowadzać je przez dalekie przestrzenie, a objawem drgań takich jest światło. Wiemy też, że szybkość, z jaką się fale po powietrzu rozchodzą, zależy od jego gęstości i sprężystości; gdy gęstość powietrza ulega zmniejszeniu, prędkość głosu staje się znacznie-szą, a gdy sprężystość powietrza staje się większą, podsyca to również szybkość głosu. Wyobraźmy więc sobie, że gęstość powietrza słabnie aż do gęstości eteru, natomiast zaś sprężystość jego wzmagą się aż do sprężystości eteru, w takim razie nie dziwiłoby nas to wcale, że prędkość głosu staje się całe tysiące razy większą. Takim tedy sposobem olbrzymia szybkość światła nie przedstawia już dla nas osobliwości nadzwyczajnej, ale okazuje się zupełnie zgodną z zasadami teorii; gdyby powietrze również subtelnem i również sprężystem było jak eter, szybkość dźwięku dorównałaby szybkości promieni świetlnych.

Opierając się dalej jeszcze na analogii światła do głosu, zdołał nawet Euler wyjaśnić na podstawie teorii undulacyjnej istotę barw, zapewniając tym sposobem brak, tak dotąd dla teorii tej dotkliwy. Każda barwa pojedyncza, mówi, polega na pewnej oznaczonej ilości drgań, które się w oznaczonym czasie dokonywają. Musimy sobie wyobrazić, że najdrobniejsze cząstki na powierzchni ciał pozostają, jak struny przyrządu muzycznego, w stanie pewnego napięcia, które od ich masy i sprężystości zależy; gdy więc w sposób odpowiedni potrącone zostaną, przechodzą w ruch drgający, który, stosownie do stopnia ich napięcia, może być szybszym lub wolniejszym. Jeżeli więc cząstki ciała posiadają napięcie takie, że za wstrząśnięciem dokonywają tyle drgnięć, ile ich barwa czerwona wymaga, to ciało takie nazywamy czerwonym; podobnież i promienie, które równaż ilość drgań wykonywają, nazywać możemy czerwonymi, a gdy promienie te uderzają nerwy naszego oka, doznajemy wrażenia czerwieni. „Nie postąpiliśmy wprawdzie tak daleko, byśmy ilość drgań każdej barwy oznaczyć mogli, nie wiemy nawet, które barwy więcej, a które mniej drgań wymagają, albo które barwy tonom wyższym, a które niższym odpowiadają,—niech nam wystarczy jednak świadomość, że każda barwa oznaczoną swą ilość drgań posiada.”

I powaga jednak Eulera nie zdołała zjednać stronników dla hipotezy eteru, pisma jego pozostały bez wpływu na współczesnych i wywołały tylko liczne protesty, tak dalece, że nawet tłumacz niemiecki powyższych „Listów do księżniczki” opatrzył je mnóstwem przypisów, zaprzeczających wywodom autora, gdziekolwiek on od Newtona odstępował. Okres też ówczesny dziejów fizyki hipotezom w ogólności nie sprzyjał, do zgłębiania istoty zjawisk fizycy mało wtedy pochoptni byli. Fizyka matematyczna i doskonalenie metod doświadczalnych pochłaniały zupełnie uwagę, dochodzenia spekulatywne

wydawały się niebezpiecznemi i szkodliwemi, obawiano się, by nie sprowadziły nauki na bezdroża; zerwawszy ze światem urojeń i obłądów średniowiecznych, starał się umysł ludzki okazać jak najtrzeźwiejszym i w przyjmowaniu wszelkich hipotez okazywał oględność trwożliwą. Uboczne wyrażenie Newtona, że hipotez nie tworzy — *hypothescos non fingo* — przyjęli uczniowie jego i następcy za swe hasło i nadali mu znaczenie przesadne. „Filozofia, — mówi Musschenbroek, autor najsłynniejszych w zeszłym wieku podręczników fizyki — postąpiła zwłaszcza od czasu, gdy najwyższy kierownik wszech rzeczy ludzkich, nieskończoną swą miłością i niepojętą dobrocią obejmując śmiertelnych, nie chciał już umysłów ich pozostawiać dłużej pod uciskiem dawnych ciemności, ale jako dar z nieba zesłał im ową wyrocznię brytańską, Izaaka Newtona, który, wzniosłą matematykę do najdelikatniejszych stosując doświadczeń i wszystkiego geometrycznie dowodząc, nauczył, jak do najbardziej skrytych tajemnic przyrody przeniknąć i zdobyć istotną, ugruntowaną wiedzę. Dlatego też ten, boską bystrością obdarzony, filozof, więcej dokonał, aniżeli wszyscy razem najznakomitsi mędrcy od pierwszych początków nauki. *Wygnane są więc wszystkie hipotezy*, filozofia rozwija się przez naukę najściślej uzasadnioną, dzięki mężom uczonym, którzy rzetelną posługują się metodą.”

Widzimy tu, jak z niesłychanem dla Newtona uwielbieniem łączył się wstręt do hipotez. Zapominano tylko, że i Newton sam dla wyjaśnienia bardziej zawiłych zjawisk optycznych do pomysłów hypotetycznych koniecznie odwoływać się musiał, a dział ten fizyki najwyraźniej właśnie świadczył, że nauka zgłębiania istoty zjawisk wyrzec się nie może, na wyłącznej zatrzymując się empiryi.

Trudniejszym wszakże jeszcze stało się do osiągnięcia zwycięstwo eteru w okresie późniejszym, który już sięga początków stulecia bieżącego, a pamiętny jest w dziejach nauki pierwotnym rozwojem chemii. Nigdy i nigdzie, zapewne, nie potrzeba było pilniejszej bacności i ostrożności, większej sumienności w badaniu, nigdy i nigdzie nie trzeba było tak uporeczywie trzymać się dziedziny faktów, jak w chwili, gdy na gruzach marzycielstw i szalbierstw alchemii stawiano rzetelną naukę materji. Istotnem zaiste było wtedy zuchwalstwem głosić istnienie eteru, którego chemik ani na szalkach swych nie mógł zważyć, ani żadnym ująć odczynnikiem, który pozostawał obojętnym na wszelkie oddziaływania i na żadne zapytanie chemika nie mógł dać odpowiedzi.

III.

Tymczasem atoli mnożyły się odkrycia w dziedzinie optyki, które przygotowywały zmianę w poglądach na istotę światła; poznawano zjawiska, nieznane ani Newtonowi, ani Huygensowi, a które domagały się wyjaśnienia za pomocą jednej lub drugiej hipotezy. Tu wszakże teoria emanacyjna napotykała trudności coraz znaczniejsze, coraz mozolniejszych wymagała nakręcań, coraz bardziej naciąganych wybiegów. Rywalka jej natomiast zawsze wychodziła zwycięsko, każdą nowo następującą się zagadkę tłómaczyła łatwo i bez wysilen. Widzieliśmy, że już dla wyjaśnienia barw cienkich blaszek przypisać musiał Newton świetlnym swoim cząstkom szczególne nader własności, ale poznano zjawiska, które za pomocą teorii wypływu zgola już tłómaczyć się nie dawały. Takim było uginanie się światła czyli dyfrakcja, odkryta wprawdzie już dawno przez Grimaldiego, ale należycie zbadana dopiero przez Schwerda (1792—1870). Uginanie się zresztą światła, podobnie jak i powyższe barwy cienkich blaszek, wchodzi w zakres ogólniejszej kategorii objawów krzyżowania się czyli interferencyi światła, odkrytych przez Tomasza Younga (1773—1829). Lekarz z powołania, genialnym i wszechstronnym umysłem obejmował ogół ówczesnej wiedzy przyrodniczej, rozumiał jej błędy i braki, a często szczęśliwie je usuwał. W szeregu rozpraw, złożonych towarzystwu królewskiemu w Londynie w ciągu lat 1800—1803, przedstawił badania swe nad interferencyą światła, czyli nad zjawiskami, które najogólniej dadzą się w ten sposób streścić, że w miejscu przecinania się dwu promieni światła, zamiast silniejszego blasku, powstawać może ciemność zupełna. Z faktem tym teoria wypływu, teoria materjalności światła, zgola się pogodzić nie mogła, bo gdzie dwa promienie się spotykają, tam przecież więcej jest cząstek materji świetlnej, więcej świetlika, — tam przeto zawsze silniejsze jaśnieć winno światło. Co innego, jeżeli światło jest objawem ruchu: w dwu krzyżujących się promieniach ruchy te skierowane być mogą w strony przeciwne, a wtedy, spotykając się, mogą się nawzajem znosić, jak dwie kule niesprężyste jednakiej masy, toczące się nawzajem ku sobie, po zetknięciu zatrzymują się w miejscu. Gdy przeto ruch eteru ustaje, wtedy i światło, będące jego objawem, gasnąć musi; zjawiska zatem interferencyi, tak sprzeczne z hipotezą wypływu, przedstawiają się jako niezbędne następstwo teorii undulacyjnej.

I teraz wszakże jeszcze prace Younga doznały takiegoż losu, jak niegdy pisma Huygensa i Eulera. Sprawozdawcy wydali sąd potępiający, a fizycy nie zwrócili na nie uwagi. Składając je zresztą towarzy-

stwu królewskiemu. wiedział Young, że słusznej oceny od przyszłości dopiero oczekiwać może; przyszłość ta jednak niedługo czekać na siebie dała i Young za życia jeszcze zdołał tryumf swych poglądów widzieć. Nie w jego wszakże kraju, nie w ojczyźnie Newtona, odniosła stanowcze zwycięstwo teoria undulacyjna światła, ale w sąsiedniej Francji, gdzie walkę podjął i pomyślnie przeprowadził Fresnel. Klasycznym i stanowczym doświadczeniem przedstawił zjawiska interferencji w formie najczystszej, a rachunkiem jasnym i przekonującym wysnuł je z ogólnych zasad teorii. Los i tem mu jeszcze sprzyjał, że gdy w r. 1815 pierwszą swą rozprawę złożył akademii nauk w Paryżu, ocena tej pracy powierzoną została Franciszkowi Arago, który z zapałem nowe te idee przyjął, wpływem swym zjednał dla nich uznanie i wspólnie z Fresnelem nad udoskonaleniem teorii undulacyjnej pracował. Z traktatów wszakże fizyki poglądy dawne ustępowały z wolna, a to głównie za sprawą Biota, którego podręczniki w pierwszej połowie bieżącego stulecia zajmowały miejsce tak naczelne, jak książki Muschenbroeka w wieku poprzednim, a który aż do końca nie zarzucił teorii emanacyjnej i był jej ostatnim stronnikiem. Prace Fresnela pozostawiły wprawdzie jeden jeszcze szkopuł teorii undulacyjnej: nie wyjaśniły mianowicie objawów rozszczepiania się światła, czyli rozdziału na oddzielne promienie barwne w przejściu przez pryzmat; i tę jednak trudność usunął ostatecznie Cauchy, gdy w genialnych swych rachunkach (1829—1836) wziął pod uwagę wpływ cząsteczek ciał na przenikający je eter. Tak więc zakończył się wreszcie ten dwuwiekowy prawie, a tak pamiętny w dziejach nauki spór dwu hipotez, dwu teorii światła. Mogliśmy go tu naszkicować pędzlem zbyt grubym, przedstawiając najwybitniejsze jedynie historii tej zdarzenia, — w pobieżnym tym rysie potęgą umysłowa wodzów i bohaterów walki ujaźnić się nie zdołała.

IV.

Zwycięstwo teorii undulacyjnej światła zapewniło byt hypotetyczny eteru; skoro bowiem dobiegają do nas promienie światła, istnieć musi środek, który je doprowadza, rozlana być musi wszędzie substancja, która w przenoszeniu drgań świetlnych pośredniczy. W nieograniczonej przestrzeni wszechświata rozrzucone są ciała niebieskie w dalekich między sobą odstępach, jakby wysepki drobne na oceanie bezbrzeżnym; wszystek między nimi obszar swobodny wydaje się nam próżnią, objawy jedynie światła zmuszają nas do zapełniania go substancją. Znamy odległość kilkudziesięciu gwiazd zaledwie. Na prze-

bieżenie drogi od najbliższych, pomimo olbrzymiej swej szybkości, światło potrzebuje lat trzech lub czterech; przez potężne teleskopy dostrzegamy gwiazdy, od których światło dobiega do nas po setkach, po tysiącach może lat zaledwie. Aż tam zatem rozpościera się łącznik, który z nimi wzrok nasz wiąże. Jeżeli nieograniczona jest przestrzeń, jest i eter nieograniczony.

Również osobliwe, jak to nieograniczone rozprzestrzenienie eteru, są i własności jego, a przede wszystkim znaczna jego sprężystość i niewypowiedzianie słaba gęstość, jaką przypisać mu należy. Wypływa to z olbrzymiej szybkości światła, które w ciągu sekundy przebiega trzysta tysięcy kilometrów; prędkością taką ożywione ciało w ciągu sekundy obiegłoby siedm razy prawie równik ziemski dokoła, a w czasie nieznacznie sekundę przechodzącym dostałoby się z ziemi na księżyc. Szybkość zaś, z jaką się ruch falowy w danym środku, w danej substancji rozchodzi, od jej sprężystości i od jej gęstości zależy. Wzrasta, gdy sprężystość się wzmaga i gdy gęstość słabnie. Z przytoczoną tu przeto prędkością światła zestawmy prędkość głosu, która wynosi zaledwie tysiąc stóp na sekundę, a pojmijmy, o ile subtelniejszym być musi środkiem ten eter wszechświatowy, aniżeli zwykle nasze powietrze atmosferyczne, którego fale głos przeprowadzają.

Z tej też zasady wypływa, że gdy światło przedziera się przez ciało przezroczyste, przez szkło dajmy na to, zgodzić się musimy, że to nie jego cząstki materialne, ale zawarty w nich eter drganiu ulega; gęstość bowiem szkła dopuściła-by prędkość nader nieznaczną zaledwie w porównaniu z istotną szybkością światła. Eter przeto przenika wszystkie ciała, przedziera się między niedostrzegalne ich pory, mieści się w ich wnętrzu. Wszystkie zatem przestrzenie świata, choćby zajęte przez ciała lotne, ciekłe czy też stałe, są zarazem i ową subtelną materią wypełnione.

Należy nam tedy dwa rodzaje materii rozróżnić: jedna z nich jest nader subtelna, niedająca się ująć zmysłami i po całej przestrzeni wszechświata rozpostarta; druga, jakby grubsza, pod zmysły nasze podpada, jest zwykłą, ważką materią i stanowi istotę ciał.

Ciało świecące wywołuje drgania w bezpośrednio otaczającym je eterze, a ruchy te rozprzestrzeniają się w postaci fal coraz się dalej rozbiegających. Widoczny obraz takiego ruchu drgającego daje nam widok fal, przesuwających się na powierzchni wody; w falowaniu tem cząsteczki wody drgają, pozostając wszakże na swych miejscach i obiegając jedynie drogi dokoła pewnych punktów centralnych, jak to uwidocznić może łatwo korek lub skrawek papieru rzucony na powierzchnię wody falującej, który kołysze się tylko około pewnego punktu stałego, ale nie przepływa dalej, jak to się dzieje, gdy go unosi

płynąca rzeczywiście woda rzeki. Błądny więc tylko sąd oka sprawia złudzenie, że to jedna i taż sama fala po wodzie sunie; dzieje się tu zgoła inaczej: cząstki wody nie opuszczają swych stanowisk, ale ruch ich tylko rozchodzi się coraz dalej, coraz dalszym udzielając się cząsteczkom. Z takim zaś rozprzestrzenianiem się ruchu łączy się jeszcze zasada druga, że przesuwa się on o jedną falę w tym właśnie czasie, w którym cząstka oddzielna drgnięcie jedno kończy, — gdy sto razy zadrgała, sto fal w tymże czasie po zwierciadle wody przemknęło.

Jak widoczne fale na rozkołysanej powierzchni jeziora, tak też rozprzestrzeniają się i fale głosowe w powietrzu, którego cząstki przy falowaniu tem skupiają się i rozbiegają naprzemian. Ta wszakże zachodzi tu różnica, że wstrząśnięcie wody w głąb jej daleko się nie wdziera, ruch ogranicza się do cząstek w górnej jej warstwie rozłożonych, fala więc rozpościera się tylko na jej powierzchni, coraz szersze, coraz rozleglejsze obejmując koła. W powietrzu natomiast struna brzmiąca, jakiegokolwiek zresztą ciała drgające, na wszystkie strony potraça cząstki sąsiednie, ruch roznosi się we wszelkich kierunkach przestrzeni; gdyby więc fale głosowe w powietrzu oku naszemu widoczne stać się mogły, ukazały-by się nam, nie w postaci okręgów, jak fale wodne, ale jako powierzchnie sferyczne, jako powłoki kuliste, coraz obszerniejsze, w miarę, jak ruch ten drgający coraz dalszych dosięga punktów.

Taka fala kulista w powietrzu daje nam też obraz fali świetlnej eteru, która się również na wszystkie strony rozpościera jeduostajnie. Dzieje się tak wszakże tylko, dopóki fala eteru nie napotka na drodze swej jakiej zawady; wszystko atoli ulega zawikłaniu, gdy ciało jakie stanie na drodze rozchodzeniu się fali, podobnież, jak to się dzieje, gdy fala wodna o przegrodę uderza.

Wyobraźmy sobie gromadę wysepek na powierzchni otwartego morza; wyobraźmy sobie falę w morzu tem wzbudzoną i dążącą ku owej gromadzie wysepek, przesuającą się między nimi i rozbiegającą się dalej po-za tą gromadą znów na otwartem morzu, — a mamy obraz tych pojęć, jakie tworzymy sobie obecnie o istocie zjawisk świetlnych.

Morze przedstawia nam eter, owa gromada wysepek wyobraża jakiegokolwiek ciało przezroczyste, oddzielne zaś wysepki są to jakby cząstki materii ważkiej, z których ciało przezroczyste jest złożone. Fala morska nakoniec jest uzmysłowieniem fali świetlnej, która pada zzewnątrz na ciało przezroczyste, przedziera się przez nie i następnie dalej rozpościera.

Podobnie więc jak fala morska w przebiegu przez ową gromadę wysepek ulegać musi istotnym zmianom w całej swej postaci, a może

i w swej prędkości, tak samo i fala świetlna przedstawia inne własności, gdy ciała przezroczystego dosięga, inne zaś, gdy je opuszcza. Zmiany, jakim fala morska ulega, są różne, zależne od ugrupowania wysepek; podobnie i zmiany fali eteru zawisły od zestawienia cząstek materji ważkiej ciała przezroczystego, innemi więc słowy: od jego budowy wewnętrznej. Jeżeli przeto pragniemy tłómaczyć zmiany, jakim ulega światło w przebiegu przez ciało przezroczyste, potrzeba bliższej znajomości budowy wewnętrznej tego ciała. Niewiele wprawdzie o tem dotąd wiemy,—to zaledwie tylko, co wypływa bezpośrednio z zewnętrznej postaci ciała, z jego formy krystalicznej, jego łupliwości i innych cech podobnych. I te nieliczne wszakże już dane wystarczają w ogólności do założonego tu celu, do tłómaczenia na ich zasadzie licznych i zawiłych często objawów świetlnych.

Taką jest tedy treść najogólniejsza dzisiejszej optyki teoretycznej,—nauka o świetle, jest nauką ruchów eteru, dynamiką oceanu eterycznego. Udoskonalenie zaś metod doświadczalnych, które tak wybitnie cechuje naukę zamierającego już stulecia, dozwoliło oznaczyć wreszcie, jak tego pragnął Euler, długość fal świetlnych i szybkość drgań eteru, jakkolwiek długość tych fal nie przechodzi dziesięciotysięcznych części milimetra, a drgania te dokonywają się z szybkością setek trylionów na sekundę. Liczby tak olbrzymie, które tak dalece przekraczają możność bezpośredniej naszej oceny, wydają się niemal urojonemi i słusznie budzić mogą wątpliwość, czy rzeczywiście doświadczalne nasze środki ująć je nam pozwalają. Chociaż więc doświadczeń tych opisywać nam tu niepodobna, wypada wskazać zasadę przynajmniej, na jakiej polegają.

Podstawę do oznaczeń tych dają nam mianowicie barwy, czy też smugi interferencyjne, znane nam choćby z baniek mydlanych, których urocze kolory, pierścieniami rozłożone, w pewnym oznaczonym następują po sobie porządku. Rozmaitość ta barw niknie wszakże i zjawisko całe upraszcza się znacznie, gdy zamiast światła zwykłego, czyli białego, do oświetlania baniek naszych używamy promieni jednobarwnych, czyli jednorodnych, gdy do pokoju, dajmy na to, dopuszczamy światło przez odpowiednio zabarwione szyby czerwone, lub też gdy oświetlamy go żółtem światłem sodowem, jakie otrzymujemy, gdy do płomienia alkoholowego szczyptę soli kuchennej wprowadzamy. W takim tedy oświetleniu jednorodnem różnobarwność baniek mydlanych ustępuje, mamy jedynie szereg pierścieni, ciemnych naprzemian i jasnych, jednobarwnych, przyczem bacznego obserwatora uderzyć musi ta jeszcze okoliczność, że w świetle czerwonym smugi te szersze są, aniżeli w żółtem, a były-by węższe jeszcze, gdybyśmy posługiwali się promieniami niebieskimi lub fioletowemi. Ze spostrzeżenia zaś tego

wypływa bezpośrednio wniosek, że promienie, które w oku naszym wrażenie barw różnych sprawiają, różnią się między sobą długością fal: fale, tworzące barwę czerwoną, są dwa razy prawie dłuższe, aniżeli fale, wydające światło fioletowe.

Barwne bowiem smugi baniek mydlanych są następstwem krzyżowania się promieni, które przebiegają przez cienką ich błonkę i odbijają się od ścian je ograniczających. Gdy zaś dwa promienie, czyli dwie fale zbiegają się swemi górami, lub swemi dołami, czyli jednakimi swemi fazami, wtedy ruchy te sumują się, wzmagają się nawzajem, natężenie światła w punkcie zetknięcia staje się silniejszym; gdy natomiast przy skrzyżowaniu promieni zbiegają się ich fazy przeciwne, góra fali jednej z dołem drugiej—ruchy te nawzajem się osłabiają i znoszą zupełnie, w punkcie przecięcia promieni niknie światło i ciemność zalega. Krzyżowanie się zatem promieni jednobarwnych sprowadza tylko smugi jasne i ciemne naprzemian, ale zawilóść znaczniejszą wywołuje zbieg promieni światła białego, które jest światłem złożonem z promieni różnorodnych, różnobarwnych, różniących się między sobą długością swych fal. Następuje więc wtedy jakby rozkład światła białego; w punktach, gdzie wzmagają się drgania promieni czerwonych, niszczą się fioletowe, i nawzajem, gdzie się sumują fioletowe, znoszą się czerwone, z interferencyi więc promieni zwykłych, czyli promieni światła białego, wytwarzają się smugi różnokolorowe, pierścienie barwne baniek mydlanych.

Bańki mydlane nie przedstawiają wprawdzie warunków odpowiednich do badań dokładnych i do ścisłych pomiarów, można wszakże podobne smugi wywołać w sposób korzystniejszy. Przypuśćmy, że z dwu źródeł światła, z dwu punktów świecących, rozbiegają się promienie, które się z sobą spotykają i krzyżują, na przeciwległej więc przegrodzie rysować będą szereg smug jasnych i ciemnych, stosownie do tego, czy w punktach tych drgania ich nawzajem się wzmagają, czy też znoszą się i niszczą. Wzmagają się zaś, gdy zbiegają się fazami zgodnemi, znoszą się, gdy spotykają się ich fazy przeciwne, góra fali jednej z dołem drugiej, gdy więc promienie różnią się o połowę długości jednej fali. W doświadczeniu tem zmierzyć możemy szerokość smug, odstęp między obu źródłami światła i odległość od nich przegrody, na której się smugi rysują; nie rozpatrując tedy nawet szczegółów całego urządzenia, pojmujemy już, że z danych tych oznaczyć można, o ile jeden z dwu spotykających się w danym punkcie promieni dłuższy jest od drugiego, a to właśnie, według rozważań powyższych, daje nam wreszcie żadaną długość fali światła badanego.

Od tego opisu metody badań przejdziemy teraz do osiągniętych przez nie rezultatów. Jak już wiemy, promienie różnobarwne posia-

dają niejednaką długość fali,—dla żółtego promienia sodowego długość fali wynosi około $\frac{1}{1700}$ milimetra, co znaczy, że na rozległości cala warszawskiego, który obejmuje 24 milimetry, rozkłada się 40,800 fal światła żółtego. Fale czerwone, czyli raczej fale, wznecające w naszym oku wrażenie czerwieni, są dłuższe, czynią około $\frac{1}{1100}$ milimetra, fale zielone, niebieskie są krótsze, a najmniejszą długość obejmują fale promieni fioletowych, $\frac{1}{2100}$ milimetra, dwa razy przeto mniej więcej są krótsze od skrajnych promieni czerwonych.

Nikt tak wymiary mogłyby w nas budzić wątpliwość, czy dały się w samej rzeczy dokładnie oznaczyć; rzetelność ich wszakże poręcza to, że otrzymane zostały nie jedną tylko, ale różnemi metodami. Jeżeli zaś drobne te liczby przyjmiemy z zaufaniem, nie będą nas już razić i liczby olbrzymie, które występują, skoro od długości fal świetlnych zwracamy się do szybkości drgań cząstek eteru, z jednych bowiem wpływają drugie na zasadzie prostego już rachunku.

Światło mianowicie przebiega w ciągu sekundy 300,000 kilometrów, co daje 300,000 milionów milimetrów. Dajmy na to, że idzie nam znowu o przytoczone wyżej żółte światło sodowe, któremu odpowiada długość fali $\frac{1}{1700}$ milimetra. Na przestrzeni przeto milimetra przypada fal takich 1700, a na przestrzeni, jaką światło w ciągu sekundy przebiega, mieści się ich $300,000,000,000 \times 1700$, co daje 510 trylionów. Ruch zaś falowy, jak już wiemy, przesuwa się o jedną falę w tym właśnie czasie, w którym cząstka oddzielna jedno swe drgnienie kończy; liczba przeto powyższa znaczy innemi słowy, że w promieniu żółtego światła sodowego każda cząstka eteru wykonywa 510 trylionów drgań na sekundę. Gdy więc promień światła żółtego dobiega do nas od gwiazdy choćby najdalszej, każda cząstka eteru, którą ten ruch falowy potraça, wychyla się w ciągu sekundy 510 trylionów razy w jedną i drugą stronę swego położenia średniego. Liczba tak wielka uderza nas zresztą dla tego tylko, że środki, jakimi rozporządzamy, nie dają nam możliwości wywoływania ruchów tak szybkich; dziwić nas wszakże nie może, że przyroda moc taką posiada.

Rachunek powyższy uczy zarazem, że falam dłuższym mniejsza częstość drgań odpowiada. Światło więc czerwone wywołują drgania, dokonywające się z częstością 400 trylionów na sekundę; światło zaś fioletowe, którego fale są krótsze, odpowiada też drganiom dwa razy częstszym, wynoszącym 800 trylionów na sekundę ¹⁾.

¹⁾ Często, gdy o drganiach świetlnych jest mowa, zamiast trylionów, podawane są tylko biliony. Przyczyną tej różnicy jest brak jednostajności w nazywaniu liczb wielkich. Według nomenklatury francuskiej, i u nas przyjętej, tysiąc milionów nazywa się bilionem, a milion milionów—trylionem, gdy według zwyczaju niemieckiego milion milionów ma dopiero nazwę biliona. Autorowie więc nasi, czerpiąc z książ-

W analogii tedy do objawów dźwięku możemy światło fioletowe uważać za oktawę czerwonego, ton bowiem jest oktawą tonu innego, gdy na dwukrotnej względem niego liczbie drgań polega. W znaczeniu też tem powiedzieć możemy, że barwa jest tonem światła jak wysokość tonu jest barwą dźwięku. Wysokość tonu i barwa światła, są to objawy analogiczne, odpowiadające sobie zupełnie. Najmniejsza liczba drgań, jaka tworzy dźwięk muzyczny, wynosi około 30 na sekundę; 50 drgań na sekundę jest to liczba drgań, odpowiadająca najniższym tonom organów, wydawanych przez fujarki o długości prawie $3\frac{1}{2}$ metra; 100 lub 200 drgań na sekundę obejmują niskie, basowe tony głosów ludzkich; tony wyższe, wywoływane są przez 300, 1000, 4000, aż do 8000 drgań na sekundę, a ostatnia ta liczba tworzy już najwyższy prawie ton, jaki ucho nasze ująć może. Obszar wszakże dźwięków rozleglejszy jest aniżeli zakres barw, oku naszemu dostępnych; w tym bowiem szeregu liczb, od 30 do 8000, przypada dziewięć blisko oktaw, gdy między czerwienią a fioletem, od 400 do 800 trylionów drgan na sekundę, jedna się tylko mieści oktawa. Dla tego też niewykryte dotąd zasady harmonii barw nie dadzą się zestawieć z prawami harmonii tonów, o co się niektórzy estetycy napróżno silą.

Barwna ta wszakże oktawa zawiera wprawdzie wszelkie promienie widzialne, ale nie obejmuje pełnej skali drgań eteru, istnieją bowiem drgania szybsze nad 800 i wolniejsze nad 400 trylionów na sekundę, chociaż oko nasze jest na nie nieczułe, jest względem nich niewidome. Znajdujemy tu tedy jedną jeszcze analogię oka naszego i ucha, które również nie słyszy drgań zbyt powolnych i zbyt szybkich, czyli, innemi słowy, tonów zbyt niskich i zbyt wysokich; podobnież i pewien tylko odstęp, pewna część tylko tych szybkich drgań eteru stanowi światło widzialne.

Ciało rozpalone, pręt żelazny, dajmy na to, rozgrzany do czerwoności, rozsyła promienie nietylko świecące, ale i grzejące zarazem; promienie te wszakże światła i ciepła nie są to objawy między sobą odrębne, — taż sama fala eteru, która w oku sprawia wrażenie czerwonicy, budzi też w nerwach naszych i poczucie ciepła. Gdy jednak bryła ta żelazna zastyga i świecić przestaje, poczucia ciepła doznajemy dalej jeszcze, co świadczy, że dobiegają do nas jeszcze niewidzialne, ciemne promienie. To właśnie ciepło promieniste, czy też, jeżeli inaczej powiemy, to światło niewidzialne, jest objawem drgań eteru powolniejszych nad 400 trylionów na sekundę. Ciepłikowe te drgania sięgają nawet da-

żek niemieckich, używają tu niewłaściwie tego ostatniego wyrazu, wprowadzając w błąd czytelnika, który przez bilion przywykł rozumieć tylko jedność z 9 zerami (10^9), gdy trylion oznacza u nas jedność z 12 zerami (10^{12}) i w takim też znaczeniu wyraz ten jest tu użyty.

leko po-za powyższą granicę, czuły termometr ujmuje promienie, odpowiadające 100 tylko trylionom drgań na sekundę, które zatem o dwie oktawy schodzą poniżej światła czerwonego.

Znajomość naszą tych ciemnych promieni ciepłikowych rozszerzył znacznie w ostatnich latach profesor amerykański, Langley, który badania swe prowadził na szczycie góry Whitney w Kalifornii, w wysokości 4500 metrów nad poziomem morza, a to dla tego, by jaknajbardziej osłabić wpływ atmosfery, która promienie te silnie pochłania i obecność ich zataja. Do pomiarów zaś swoich obmyślił termometr elektryczny, któremu nadał nazwę bolometru, a tak czuły, że wykrywa różnicę temperatury, wynoszącą zaledwie $\frac{1}{100000}$ stopnia Celsiusa. Za pomocą przyrządu tego zdołał on wykazać promienie, których długość fali wynosi $\frac{1}{100}$ milimetra, jedenaście przeto razy przechodzi długość fali skrajnych promieni czerwonych, co odpowiada 30 trylionom drgań na sekundę, a skalę drgań eteru o dwie prawie jeszcze niższe oktawy rozszerza.

Drgania szybsze nad 800 trylionów na sekundę, również niewidzialne, nie dają się już i termometrem ująć, nie posiadają własności ogrzewających. Dostrzega je wszakże płyta fotograficzna, czulsza w tym razie od siatkówki oka naszego. Podobnie, jak promienie niebieskie i fioletowe, pozostawiają one ślad swej działalności na płycie fotograficznej, czego nie czynią promienie czerwone i żółte, są to więc promienie chemiczne, czyli aktywnicne, podniecające działalność chemiczną. Najwyższe drgania tych promieni pozafioletowych, o ile je dotąd zaobserwować zdołano, wynoszą około 1600 trylionów na sekundę, są tedy o oktawę niemal wyższe od skrajnych promieni widzialnych.

Cały zatem obszar znanych nam obecnie drgań eteru sięga od 30 do 1600 trylionów na sekundę, co czyni sześć prawie oktaw; z zakresu tego cztery oktawy przypadają na ciemne promienie ciepłikowe, czyli promienie pozaczerwone, jedna tworzy również niewidzialne promienie aktywnicne, pozafioletowe, a jedna wreszcie oktawa, od 400 do 800 trylionów drgań na sekundę, obejmuje promienie jasne, sprawiające w oku naszym poczucie światła.

V.

Zanim zwrócimy się do innych jeszcze zjawisk optycznych, które nam istotę światła bliżej odśłonią, należy nam potrącić o kilka pytań, które się w tem miejscu nasuwają. Przedewszystkiem zaś nastręczyć się może wątpliwość, czy odwołanie się do hipotezy eteru dało nam istotnie jakąś korzyść rzetelną. Zarzuciliśmy pojęcie o materyal-

ności światła, usunęliśmy urojenie płynu nieważkiego, czy wszakże mówić możemy, że tłómaczymy zjawiska światła, gdy wyjaśnienie to opieramy na tak hypotetycznym bycie eteru; co zyskujemy naprawdę, gdy w miejsce jednej rzeczy nieznaney, inną podstawiamy?

Pytanie to wszakże ma charakter ogólniejszy i narzuca się nam, ilekroć pochłubić się chcemy, że zdołaliśmy jakiegokolwiek zjawisko przyrody wyjaśnić.

W istocie rzeczy, wszelkie badanie przyrodnicze ma na celu sprowadzenie zjawisk do jak najmniejszej liczby pojęć zasadniczych, rzeczy niewyjaśnionych. Im większą jest liczba zjawisk, objętych przez pewną teorię, a zarazem, im mniejszą jest liczba rzeczy niewyjaśnionych, do których się zjawiska owe sprowadzają, tem za doskonalszą teorię tę uważać należy.

Jeżeli więc według tej skali oceniać chcemy wartość wyobrażeń naszych o istocie światła, widzimy, że polegają one jedynie na hipotezie rozlanego wszędzie eteru i na przyjęciu sił, którym poddane są najdrobniejsze cząstki eteru, zarówno jak i najdrobniejsze cząstki materii ważkiej. Uderza nas tu prostota, istotnie podziwu godna,—wszelkie bowiem zjawiska światła dają się sprowadzić do ogólnych praw równowagi i ruchu, którym obie te materje ulegają. W misternej tej budowie znalazło się pomieszczenie nietylko dla wszystkich szczegółów znanych, ale nadto przewidziała teoria cały szereg zjawisk świetlnych, tak zawiłych i złożonych, że nigdyby doświadczenie bezpośrednio ująć ich nie zdołało. Zdolność przewidywania rzeczy nieznanych jest jakby próbą ogniową dla każdej hipotezy.

Widzieliśmy już wyżej, że wbrew teorii emanacyjnej, wnioskowała teoria undulacyjna, że szybkość światła w środkach gęstszych mniejszą być musi, aniżeli w środkach rzadszych, w szczególności zaś w wodzie wynosić winna tylko $\frac{3}{4}$ tego, co w przestrzeni wolnej, 225,000 kilometrów zatem. Rzeczywiście też Foucault potwierdził to przed kilkudziesięciu już laty wytwornem prawdziwie doświadczeniem. Z równą tedy pewnością twierdzić można, że szybkość światła w szkle jeszcze jest mniejszą i czynić musi 200,000 kilometrów na sekundę, lubo o liczbie tej bezpośrednio „poszukiwaniem” jeszcze się nie przekonano.

VI.

Od czasów Newtona napotyka hipoteza eteru trudność pewną ze strony astronomii. Stateczność mianowicie i niezmiennosc biegu planet wskazuje, że krążą one w przestrzeni pustej, wolnej, niezajętej przez środek, któryby oporem swoim ruch tamował. Bieg bowiem ciał niebieskich dokoła słońca rządzony jest dwiema siłami, przyciąganiem

słońca i siłą żywą ciała niebieskiego, która odpowiada pierwotnej sile rzutu w przytoczonym wyżej przykładzie przebiegu piłki. Gdyby więc siła żywa planety z powodu napotykanego oporu ulegała zmniejszeniu, musiało-by coraz bardziej przemagać przyciąganie słońca, planeta przystępowała-by coraz bliżej ku swej bryle centralnej, miała-by mniejszą do okrążania drogę, a czas jej obiegu stawał-by się coraz mniejszym. W biegu wszakże planet nie dostrzegamy zgoła podobnego zakłócenia, na drodze swej przeto zawady takiej nie napotykają. Jest to wprawdzie świadectwo dla eteru nieprzychylnie, można go wszakże ocalić, jeżeli przyjmiemy, że w porównaniu z masami planet jest on nieskończenie subtelnym, że przeto opór jego, mówiąc językiem matematyków, równa się zeru.

Jeżeli jednak eter nie zawadza ruchowi planet z powodu znacznej ich stosunkowo gęstości, to można-by sądzić, że o wiele rzadszym kometom, których gęstość jest niewątpliwie znacznie mniejsza, aniżeli powietrza, stawiać on winien opór dobitniejszy. Gdyby więc w biegu komet dało się dostrzedz takie zmniejszanie się czasu ich obiegu dookoła słońca, mielibyśmy dowód bezpośredni istnienia eteru, i rzeczywiście zdawało się przez czas pewien, że dowód taki nastęrcza kometa Enckego, która ze wszystkich komet peryodycznych posiada najkrótszy czas biegu.

Drobna ta, teleskopowa kometa, dostrzeżoną została poraz pierwszy w styczniu 1786 r., a następnie widziano ją w r. 1795 i 1805, nie domyślano się jednak, że obserwacje te tyczą się jednej i tej samej komety. Dopiero, gdy ukazała się znowu w końcu r. 1818, poznano, że jest ona identyczna z kometą 1805 i sądzono pierwotnie, że czas jej obiegu dookoła słońca wynosi lat trzynaście. Gdy jednak rachunki podjął Encke i przeprowadził z niedościgłą poprzednio dokładnością, okazało się, że czas obiegu wynosić musi około 1200 dni, że zatem między okiem 1805 a 1818 obiegała kometa cztery razy pełną swą drogę, nie, widziano jej zaś tak długo z powodu niekorzystnego jej położenia względem nas w czasie, gdy się do ziemi zbliżała. Od tego czasu obserwowano ją niejednokrotnie, a astronomowie bieg jej uważnie śledzili, roztrząsnięcie zaś obserwacji w okresie 1819—1848 r. doprowadziło Enckego do wniosku, że czas jej obiegu statecznie maleje i za każdym powrotem staje się krótszym przeszło o dziesiątą część doby, około 2½ godzin. Ubytek ten przypisał Encke działaniu środka, wypełniającego przestrzeń wszechświata i stawiającego opór ruchowi ciał niebieskich, a odtąd przyspieszanie się niepozornej tej komety uznano powszechnie za dowód bezpośredni istnienia eteru.

Anomalia ta wszakże pozostała jedyną w astronomii, inno komety peryodyczne o krótkim czasie obiegu nie wykazują zgoła podobne-

go zmniejszania się czasu obiegu swego dokoła słońca; rachunki zaś, z których Encke domysł swój wyprowadził, są tak zawile, że drobne pomyłki łatwo zachodzić w nich mogą, wymagają więc jeszcze potwierdzenia przy pomocy nowych i ulepszonych metod. Wątpliwość nasunęły zwłaszcza poszukiwania astronoma Astena w Pulkowie, który się przekonał, że od 1865 do 1871 r., a zatem podczas dwu biegów komety, nie okazała ona zgoła podobnych zbieżności w biegu swoim; gdy wszakże rachunki swoje rozszerzył wstecz do r. 1861, okazało się, że w okresie od r. 1861 do r. 1865 kometa ulegała pewnemu działaniu ruchu jej tamującemu, co również, lubo w mniejszym nieco stopniu, zdarzało się i później, między 1871 a 1875 rokiem. Przedwczesna śmierć Astena przerwała mozolne te badania, a zagadka osobliwych zakłóceń biegu komety Enckego pozostała dotąd nierozstrzygniętą.

Tak więc jedyne, niby bezpośrednie, świadectwo istnienia eteru, w traktatach fizyki długo przytaczane, straciło wiele na swej dosadności. Brak wszakże dowodu takiego nie może uwłaczać panującej dziś teorii światła, o której świadczy cały rozwój optyki, podobnie, jak niktby nie ośmielał się zaprzeczać obrotowi dziennemu ziemi, choćby nawet słynne wahadło Foucaulta nie okazało wszystkim obrotu tego naocznie, dotykalnie.

W każdym razie, jak widzimy, astronomia nie rozstrzyga stanowczo pytania, czy przestrzeń światowa jest bezwzględnie próżną, czy też olbrzymie odstępy między bryłami niebieskimi zajęte są przez materię w stanie niesłychanego rozcieńczenia, przez gazy nader rozrzedzone. Przypuszczeniu takiemu nie opierają się i względy mechaniczne, nie brak nawet powodów, które-by je usprawiedliwiały.

Tak, mianowicie, kresów atmosfery naszej dokładnie, ani z przybliżeniem nawet oznaczyć nie potrafimy. Jeżeli sięga na trzydzieści mil w górę, jak o tem świadczą meteory, które się w wysokości tej rozjaśniają, jest ona tam już 250 milionów razy rzadszą od powietrza, którym oddychamy na dnie oceanu atmosferycznego. Matematyczna, ostateczna jej granica przypadać winna tam, gdzie siła odśrodkowa, rosnąca z wysokością, równaży się już z siłą ciężkości. W odległości tej więc masa powietrza posiada dążność do oddalania się od ziemi i rozpraszania po przestrzeni światowej. Ocean zatem atmosferyczny nie ma kresów stanowczych, składające go gazy, utrzymywane przy ziemi siłą jej przyciągania, rozlewają się w przestrzeń światową w stanie niezmiernego rozrzedzenia. Atmosfera zaś nie jest wyłączną ziemskiej naszej bryły właściwością, niezliczone słońca i planety również są otoczone powłoką gazową, której cząstki również daleko od nich odbiegać mogą.

Zapełnienie więc świata gazami rozrzedzonymi nie należy zgoła do nieprawdopodobieństw; obok eteru znajdowałyby się więc w przestrzeni i gazy istotne, materya zwykła, ważka. Dlaczegoż więc nie utożsamie obu tych żywiołów, dlaczego nie przyjąć eteru za materię zwyczajną, ale znajdującą się w stanie niesłychanego rozrzedzenia? Pogląd taki wyraził rzeczywiście Grove w r. 1842, w słynnym zresztą swem dziele „O wzajemnym związku sił natury”,—a następnie nieraz to powtarzano.

W przypuszczeniu tem wiele rzeczy istotnie się upraszcza. Wspomniała teorya światła pozostaje w swej mocy, ale odrzuca hipotezę tajemniczego żywiołu, a zyskuje podstawę materyalną; światło i ciepło są objawami drgającego ruchu powietrza, podobnie jak głos, różnią się od niego ilościowo tylko. Konieczność uważania dwoistej materii ustaje,—nie masz substancyi, która-by uchodziła badaniu chemików; światy w przestrzeni niebieskiej rozrzucone łączą pośrednik materyalny.

Jakkolwiek jednak ponętnem wydawać-by się mogło takie sprowadzenie zagadkowej istoty eteru do rozrzedzonego tylko powietrza, opierają się temu wszakże względy zasadnicze, w szczególności zaś objawy polaryzacyi światła.

VII.

Dla umysłowienia drgań świetlnych eteru odwoływaliśmy się do widoku fal rozbiegających się na powierzchni wody, ale jaśniejszą analogię dają nam drgania głosowe w strunie lub fujarce. Pomiedzy wszakże drganiem struny a drganiem powietrza w fujarce zachodzi uderzająca różnica. W strunie brzmiącej drgające jej cząsteczki wychylają się z niej w górę i ku dołowi, odbywają ruchy poprzeczne względem kierunku, w którym się bieg fali rozchodzi; w fujarce zaś, podobnie zresztą jak i w swobodnem powietrzu, które głos roznosi, zachodzą tylko naprzemian zagęszczenia i rozrzedzenia, cząsteczki powietrza skupiają się i rozbiegają, drgania odbywają się w tymże samym kierunku, w jakim się fala głosowa posuwa. Struna drgająca wygina się w jedną i drugą stronę, za „górami” następuje „dół” fali; w falach powietrznych wyrażenia te, góra i dół, mają znaczenie przenośne tylko, odpowiadają jedynie zagęszczeniom i rozrzedzeniom powietrza, różnicę zaś tę określamy, mówiąc, że drgania struny są poprzeczne, drgania zaś powietrza podłużne. Wyobraźmy sobie, że słup powietrza drgającego staje się dla nas widocznym,—w takim razie, gdyby się dookoła swej osi obracał, nie okazywał-by nam przy tym obrocie żadnej

zgoła zmiany, ze wszech stron widzieli-byśmy go jednakim; gdyby zaś obrotowi takiemu ulegała struna, w różnych swych względem nas położeniach przedstawiała-by się wciąż odmiennie, a oko, umieszczone w samejże płaszczyźnie drgań, to jest w płaszczyźnie, w której się cząstki wychylają, zgoła-by drgań tych nie widziało.

Dowód, że światło jest objawem drgań, dały nam zjawiska interferencji, czyli krzyżowania się, nie mogąc one wszakże rozstrzygnąć bynajmniej pytania, w jakim kierunku zachodzą drgania eteru: czy są poprzeczne, czy też podłużne względem promienia. Ponieważ wiązka promieni światła nie okazuje zmian żadnych przy obrocie, czyli zachowuje się, jak słup powietrza drgającego, można-by sądzić, że drgania eteru są podłużne,—przeczą temu wszakże zjawiska polaryzacji.

W pewnych mianowicie warunkach, których dla braku miejsca bliżej rozwijać nam tu niepodobna, ulega promień światła pewnemu przeobrażeniu, tak, że obrót jego sprowadza naprzemian rozjaśnianie i przytłumianie jego blasku; przedstawia się on niejako z różnych stron rozmaicie, przypominając tym sposobem zmiany, jakim musiała-by ulegać i obracająca się struna. Analogia ta prowadzi tedy do wniosku, że w tak przeobrażonym, czyli „spolaryzowanym“ promieniu, drgania eteru zachodzą w sposób taki, jak drgania struny, prostopadle zatem do kierunku promienia; wyobrażać sobie winniśmy, że cząsteczki eteru wychylają się w jedną i drugą stronę promienia i przebiegają drogi między sobą równoległe, przypadające na jednej płaszczyźnie.

W takim jednak razie i światło zwykle, niespolaryzowane, chociaż boczności żadnej nie okazuje, czyli zmian żadnych przy obrocie nie doznaje, polegać musi również na podobnych drganiach poprzecznych, które wszakże dokonywają się nie w jednej płaszczyźnie, ale we wszelkich możebnych kierunkach, na wszystkie strony promienia. Inne zresztą jeszcze względy prowadzą do wniosku, że w świetle zwykłym, naturalnym, drgania są bardziej urozmaicone, obok prostolinijnych występują też kołowe i eliptyczne. Najłatwiej wyobrazić to sobie można, przyjmując, że każda cząstka eteru przebiega kolejno drogi różne prostolinijne, eliptyczne i kołowe, które stopniowo przechodzą jedne w drugie. Światło zwykle jest objawem bardziej zawilum, aniżeli światło spolaryzowane, które jest jakby pewnem uproszczeniem światła naturalnego.

VIII.

Objawy więc polaryzacji rozjaśniły nam dokładniej istotę światła, natomiast zagmatwały kwestyę tej substancji tajemniczej, której drgania właśnie światło stanowią.

W samej rzeczy, dopóki znano te tylko zjawiska świetlne, które okazują analogię do objawów głosu, można było przypuszczać, że i środek, rozprzewadzający światło, jest substancją, zbudowaną według wzoru, jaki nam przedstawia środek, którego fale dźwięk roznoszą, czyli, innymi słowy: można było określać eter, jako rodzaj powietrza, niesłychanie subtelniejszego i sprężystszego, aniżeli zwykle nasze powietrze. Gazowy taki środek opiera się usiłowaniom, dążącym do zmiany jego objętości, ściśnięcie każde podnieca prężność jego, wytwarza zagęszczenia i rozrzedzenia kolejne, a zatem fale podłużne, jak się to właśnie dzieje przy rozchodzeniu się głosu. Zmianom wszakże swej postaci gaz nie opiera się bynajmniej, cząstka każda jest swobodna a ruch jej nie porywa za sobą cząstek sąsiednich, jak to widzimy w strunie wyprężonej, gdzie usunięcie którejkolwiek cząstki z położenia równowagi pociąga i cząstki oboczne. Struna opiera się nie tylko wydłużeniu, ale i przekształceniu wszelkiemu, każda zmiana postaci wzbudza sprężystość, która wywołuje drgania poprzeczne. Drgania więc takie zachodzić mogą w ciałach stałych, których cząstki związane są pewną łącznością, ale pogodzić się nie dają z budową gazową substancji. Poprzeczne wszakże drgania istotę światła stanowią, by więc o budowie eteru snuć wyobrażenia, nie możemy odwoływać się do powietrza, ale winniśmy raczej tajemniczą tę substancję z ciałami stałymi zestawiać.

Prowadzi nas to zatem do wniosku osobliwego;—w całej przestrzeni światowej rozlany eter ma być ciałem stałym, sprężystym, albo przynajmniej posiadać musi własności sprężystego ciała stałego. William Thomson, czyli obecnie lord Kelvin, by dać słuchaczom swoim pojęcie o przypuszczalnej w ten sposób budowie eteru, przedstawił im po prostu półmisek, napełniony galaretą, na której unosiła się kulka drewniana; gdy kulkę wprawiał ręką w drgania pionowe, lub gdy ją szybko obracał dokoła jej osi pionowej w jedną i drugą stronę, galareta ulegała drganiom, które uzmysłowić miały drgania eteru. Rzeczywiście ciała takie, jak galareta lub smoła, odpowiadają poniekąd warunkom, którym eter zadosyć winien czynić; jak w ogólności ciała stałe, posiadają one oba rodzaje sprężystości, z których pierwsza opiera się ściśnaniu i rozrzedzaniu, druga zaś nie dopuszcza nieprzerwanego przesuwania się części jednych po drugich, tak, że gdy przesunięcie podobne się zdarzyło, ciało usiłuje pierwotną swą postać odzyskać. Przytem zaś ustępują łatwo, gdy ciało jakie, kulka, dajmy na to, ołowiana, przez nie się przesuwana, nie stawiając mu istotnej przeszkody, a nadto ciała takie budzą w nas pojęcie ciągłości.

W rozważaniach teoretycznych nad ruchami eteru przyjmowali w ogólności fizycy analogię do materji ważkiej, opierając się w ra-

chunkach swych na przypuszczeniu, że eter składa się z oddzielnych cząstek, działających na siebie nawzajem, jak bryły układu słonecznego uważane za punkta, za pośrednictwem sił, które przypadają w kierunku linii, łączących te punkta, i zmieniają się zależnie od ich odległości. W przypuszczeniach więc takich zachodzi w każdym razie wzajemne działanie cząstek, między sobą oddalonych, nie połączonych jakimkolwiek pośrednictwem; jest to więc zawsze owa sławna „*actio in distans*,” która tak razila współczesnych Newtona, nie mogli bowiem pogodzić się z myślą, by ciała niebieskie oddziaływać mogły jedne na drugie wskroś próżni, bez pośrednictwa jakiegokolwiek czynnika pośredniczącego. I Newton sam zresztą również odrzucał mniemanie, by ciała niebieskie wywierać na siebie mogły wzajemne działanie przez przestrzeń pustą, zatrzymywał się tylko u wrót tej zagadki—„*hypotheses non fingo*.” Jeżeli wszakże działania z odległości pojąć nie możemy, to trudność ta nie zależy zgoła od wymiarów przestrzeni, pozostaje ona zawsze w swej mocy, czy to przestrzeń ta oddziela dwie bryły układu słonecznego, czy też dwie cząsteczki sąsiednie. Jeżeli więc trudności tej unikać chcemy, przypisać musimy eterowi ciągłość zupełną, inaczej bowiem trzeba-by było wprowadzać zawilość znaczniejszą jeszcze, przyjmując, że między cząstkami tego eteru istnieje inny jakiś eter rzędu drugiego. Tą zaś ciągłością, jednostajnością swoją, wyróżnia się eter stanowczo od ciał stałych, które mają budowę molekularną, złożone są z cząstek, gdy eter jest jednolity i w sposób odrębny w całość związany.

Pojęcie takie usuwa nawet i inną jeszcze trudność, o którą potrąciliśmy już wyżej, o kwestyę mianowicie oporu, jaki w eterze napotykać mogą krążące w przestrzeni ciała niebieskie. Widzieliśmy, że obserwacya bezpośrednia nie wykazała zgoła wpływu eteru nie tylko na bieg planet, ale i na ruch nawet komet, wyobrażamy sobie tylko, że winien on przecież wpływ podobny wywierać. Domysł ten wszakże wypływa z objawów, jakie nam nastroczają ciała stałe, przesuwane przez cieczy i gazy. Napotykają one tam w samej rzeczy opór, który energię ich ruchu osłabia i niweczy; opór ten wszakże jest następstwem budowy molekularnej cieczy i gazów, utrata energii poruszającego się ciała jest wynikiem pracy, jaką wykonać ono musi na rozsunięcie cząstek otaczającego środka, na wytworzenie wirów, które się przytem rozwijają. Skoro zaś eter nie składa się z cząstek i nie jest substancją molekularną, w zwykłym przynajmniej wyrazu tego znaczeniu, skoro inaczej aniżeli materya ważka jest zbudowany, to usuwa się też analogia do biegu ciał przez powietrze lub wodę, a ruch bryły w środku takim niekoniecznie opór napotykać musi, przy niewypowiedzianie zwłaczniejsza słabej jego gęstości.

Do oznaczenia gęstości eteru nie posiadamy wprawdzie danych dostatecznych, rachunki jednak Thomsona pozwalają ją z jakimś przynajmniej ocenić przybliżeniem. Rachunki te opierają się na ilości energii, albo, używając wyrażenia bardziej rozpowszechnionego, na ilości ciepła promienistego, jaką ziemia od słońca otrzymuje, a którą znamy z długiego szeregu doświadczeń, od Herschla i Pouilleta, aż do Langleya i Violle'a. Z dostrzeżeń tych wiemy tedy, ile ciepła promienistego, ile energii znoszą drgania eteru na powierzchnię centymetra kwadratowego, a umieszczonego na skrajach atmosfery; znamy tedy ilość energii, zawartej w słupie eteru oznaczonej wysokości, a który ma za podstawę pole jednego centymetra kwadratowego. Energia zaś ta zależy od masy, a zatem od gęstości eteru i od szybkości jego drgań, albo, co na jedno wychodzi, od ich obszerności, to jest od odległości, na jaką się cząstki wychylają od swych położań średnich. I tych obszerności nie znamy wprawdzie, z różnych jednak względów przyjąć należy, że są one bardzo drobne w porównaniu z długością fal świetlnych. Przyjmując zaś pod tym względem pewne, prawdopodobne założenia, wyprowadza stąd Thomson, że gęstość eteru jest 10^{15} , a co najmniej 10^{20} (t. j. 10 z dwudziestu zerami) razy mniejszą aniżeli gęstość wody,—w każdym więc razie jest eter substancją miliony milionów razy mniej gęstą, aniżeli nasze powietrze atmosferyczne.

W rachunku powyższym potrąciliśmy o energię, którą nas darzy bryła słoneczna. W promieniu słonecznym spływa energia ta bezustannie na ziemię, jako ciąg nieprzerwany fal, następujących po sobie, jak szereg fal morskich, rozbijających się o wybrzeża. Uderzeni zaś siłą tych fal potężnych, którym najwytrzymalsze nawet oprzeć się nie mogą skały, zapytać możemy, czy i te drobnutki fale eteru nie wywierają również działania mechanicznego na powierzchnię naszej planety. Pytanie to poruszył przed dwudziestu laty Maxwell i odpowiedział na nie rachunkiem, zbliżonym do obliczeń, któreśmy dopiero co przytoczyli. Fale eteru wywierają na ziemię rzeczywiście ciśnienie, które się wyraża stosunkiem przenoszonej przez nie energii do szybkości, z jaką się rozchodzą, czyli do szybkości światła; oba wyrazy tego stosunku znamy, mamy więc dane do obliczenia ciśnienia, jakiego doznaje ziemia od padających na nią promieni światła. Rachunek ten wykazuje liczbę, nader wprawdzie drobną, ciśnienie bowiem fal eteru, „ciśnienie światła” zatem, jest piętnaście bilionów ($15 \cdot 10^9$) razy mniejsze od ciśnienia, jakie wywiera atmosfera, niemniej jednak zdumiewającym jest to odkrycie, że tenże sam dobroczynny promień światła, który planetę naszą życiem darzy, usiłuje zarazem, jak owa dźwignia Archimedesowa, ziemię z jej posad wytrącić, od słońca ją odrzucić. Nie obawiajmy się wszakże wyników nierównej tej walki, ciśnienie bowiem

światła czterdzieści trylionów razy jest słabsze, aniżeli przyciąganie, którem potężna bryła słoneczna drobną naszą ziemię w posłuszeństwie utrzymuje i do statecznego zagnała obiegu. Przychodzi nam wciąż się tu obracać w dziedzinie liczb niesłychanie wielkich i liczb niesłychanie drobnych, ale ich o fantastyczność podejrzewać nie będziemy, z dokładnych bowiem dostrzeżeń snuje się rozumowanie ścisłe, które rzetelność swych wniosków na każdym kroku potwierdzać umie.

Pozostaje jednak jeszcze pytanie zasadnicze: czy eter jest ciężki, czy podobnie jak ciała zwykłe, zmysłom naszym dostępne, ciąży ku bryłom materyalnym, jak słońce lub ziemia? Na pytanie to wszakże odpowiedzi stanowczej dać nauka dotąd nie może. Osobliwy ten, zdumiewający pośrednik między światami, w przestrzeni rozrzuconemi, jest też może w ścisłym związku z ciążeniem powszechnem, niczem wszakże nie objawia, by sam działaniu jego ulegał, by ciążył ku słońcu lub innym bryłom niebieskim, albo też, by oddzielne jego części nawzajem się przyciągały. Przyjmujemy więc, że nie jest ciężki, że jest substancją nieważką, że pozostał „ostatnim z nieważników.”

Tak więc pojmujemy własności eteru na swobodzie, gdy jest wolny w przestrzeni wszechświata, jest to substancja bezkształtna, nieograniczona, nieprzerwana, doskonale jednolita, a ztąd tak dostępna badaniom teoretycznym, że do niej jedynie—mówi Thomson—z zupełnem zaufaniem dynamikę stosować możemy. Doskonała ta wszakże harmonia ulega zakłóceniu, obraz się mąci i staje niewyraźnym, skoro objąć pragniemy wzajemny stosunek eteru i materji zwykłej, gdy rozważamy stan eteru, przenikającego ciała materyalne. W powietrzu własności jego istotnym jeszcze zmianom nie ulegają, za pomocą ulepszcnych bowiem dzisiejszych pomp pneumatycznych można gęstość powietrza zmniejszyć sto tysięcy i więcejrazy, a rozrzedzenie to wyraźnego wpływu na przebieg światła nie wywiera; gdy jednak cząstki materyalne w ściślejszem pozostają skupieniu, w ciałach ciekłych, stałych, w krystalicznych zwłaszcza, promienie światła doznają zakłóceń znacznych, zdradzających się zjawiskami rozszczepiania się, niedawno odkrytego rozszczepiania się anormalnego, podwójnego załamania, które wskazują, że eter znajduje się tam w warunkach bardzo odrębnych. Tam już tedy nie wystarcza pojęcie „eteru galaretowego”, ale odwoływać się należy do innych, bardziej zawiłych, wyobrażeń mechanicznych.

Szczególne wszakże trudności nastęrcza teoretyczne wyjaśnienie aberracyi światła, odkrytej w początkach ośmnastego stulecia przez Bradleya, a która polega na tem, że gwiazdy opisują w ciągu roku pozorne, bardzo drobne zresztą drogi eliptyczne dokoła swych położań istotnych. Pozorny ten obieg roczny gwiazd tem się tłómaczy, że gdy wysłany przez nie promień ku nam dąży, współcześnie i ziemia posu-

wa się po swej drodze z szybkością drobną stosunkowo wprawdzie, ale która względem szybkości światła nie jest nieskończenie małą, jest bowiem od niej dziesięć tysięcy tylko razy mniejszą. Skutkiem tedy takiego zbiegu obu ruchów: ruchu światła i ruchu ziemi, promienie dobiegają do oka naszego w kierunku nieco zmienionym, jak krople deszczu biją ukośnie twarz człowieka, szybko biegnącego. Tyle rozumiemy łatwo, ale nie pojmujemy, jak zdać sobie sprawę z biegu fal eteru, gdy współcześnie ziemia przez ten eter przebiega. Czy ciało, przesuujące się w przestrzeni, porywa wraz z sobą eter dokoła jego cząstek skupiony, czy też przenika go swobodnie, jak siatka druciana, w wodzie poruszana, czy może w pewnej tylko części z sobą go pociąga,—tego dotąd ani badania teoretyczne, ani też dochodzenia doświadczalne rozstrzygnąć nie zdołały, choć w obecnej chwili kwestya ta żywo fizyków zaprzęta.

IX.

Gdy jeszcze eter o samo swe istnienie, a raczej o prawo istnienia swego walczył, wśród trudności innych ważył i ten wzgląd, że okazać się mógł istnym zbytkiem przyrody, która wypełniła nim cały obszar wszechświata li tylko dla tego, by był roznosicielem światła,—nieprawdopodobną wydawać się musiała substancyna tak rozprzestrzeniona, a dla jednego tylko, wyłącznego celu, do bytu powołana. Trudność ta wszakże dziś już nie istnieje, ograniczenie takie nie krępuje już teraz eteru w pojęciach naszych, przyznać mu musimy znaczenie rozleglejsze,—jest on nietylko pośrednikiem światła, ale źródłem i innych wielkich objawów przyrody, służy jej celom ogólnym, jest duszą jej życia powszechnego. Niewątpliwą przynajmniej jest już obecnie łączność eteru z objawami elektrycznymi i magnetycznymi.

Płyny elektryczne i magnetyczne, o których niegdyś fizyka ze swobodą taką pawiła, rozwiać się musiały zupełnie. Skoro zrozumiano, że światło i ciepło nie są to bynajmniej substancye materialne, gdy przestano je uważać za płyny nieważkie, niepodobna też było dla elektryczności i magnetyzmu charakter płynów takich zachować, ale należało je sprowadzić do jakiegoś ruchu cząsteczek, zachodzącego w ciałach naelektryzowanych, w drutach, przeprowadzających prąd elektryczny. Wyobrażenie wszakże takie nie mogło się okazać dostatecznym, wpływ bowiem ciała naelektryzowanego rozpościera się poza jego granicę. Magnes wywiera na żelazo, na inny magnes, na igłę magnesową działanie aż do pewnej odległości, w pewnym dokoła siebie obszarze, wzbudza pewne „pole magnetyczne;“ którego rozległość i po-

tego zależy od natężenia magnesu. Podobnie i ciało naelektryzowane rozwija wokół siebie „pole elektrostatyczne”, tak, że inny przewodnik, w polu tem umieszczony, elektryzuje się przez sam wpływ ciała naelektryzowanego. Tak samo i prąd elektryczny, gdy po drucie płynie, zdradza obecność swoją zjawiskami, które występują zewnątrz drutu, po-za jego własnym obiegiem, wytrwarza więc również obszar wpływowi jego uległy, zwany „polem elektromagnetycznym”; igła bowiem magnesowa w przestrzeni tej, w sąsiedztwie się prądu znajdująca, odchyła się z położenia, jakie w warunkach normalnych pod wpływem ziemi przybiera. Zadawano się niegdyś wyobrażeniem, że we wszystkich tych objawach ciało elektryczne wywiera działanie na odległość, bez żadnego pośrednictwa; od czasu jednak „wielkiego elektryka”, Faradaya, pojmujemy, że zachodzi tu właśnie pośrednictwo pola otaczającego, które znajduje się jakby w stanie pewnego przeobrażenia, ulega pewnemu napięciu, które się ujawnia działaniami, zachodzącymi według pewnych praw, w oznaczonych kierunkach, zwanych liniami indukcyjnymi.

W teoriach dawniejszych nie uwzględniano zgoła wpływu środka, oddzielającego dwa przewodniki. Gdy przewodnik naelektryzowany przez wpływ swój, przez indukcję, wzbudzał elektryczność na przewodniku innym, od niego oddalonym, przyjmowano, że wywiera on działanie swe bezpośrednio, w sposób natychmiastowy, że substancya pośrednia żadnego zgoła nie posiada tu znaczenia. W butelce lejdejskiej, złożonej, jak wiadomo, z dwu zbroi metalowych, oddzielonych warstwą szkła, uważano szkło to za substancję zupełnie bierną, która do tego tylko służyć miała, by powstrzymać bezpośrednio połączenie elektryczności, nagromadzonych na obu zbrojach. Doświadczenia wszakże ściślejsze wykazały, że w procesie tym rola szkła bynajmniej nie jest bierną, że nie jest ono tylko „nieprzewodnikiem” obojętnym, ale jako substancya „dielektryczna”, jakby przezroczysta dla elektryczności, umożliwia wpływ wzajemny przewodników, przyczem sama przechodzi w stan pewnego napięcia, ulega „polaryzacji elektrycznej.” Gdy zatem elektryczność ciała jednego wywołuje objawy pewne w ciele oddalonym, w przenoszeniu tem bierze udział środek otaczający, pośrednicząca między niemi substancya; działania zatem elektryczne nie przenoszą się w przestrzeni w sposób nagły, natychmiastowy, ale rozchodzenie się ich wymaga pewnego czasu, jak rozprzestrzenianie się głosu lub światła, choćby zresztą ten przeciąg czasu był uikłą tylko chwilą.

Prąd przebiegający po drucie odchyła w pobliżu niego umieszczoną igłę magnesową z jej kierunku południowo-północnego, lub też, w pewnych warunkach wzbudza przez indukcję inny prąd elektryczny w drucie sąsiednim. Pomiędzy drutami temi, pomiędzy dru-

tem a igłą, rozpościera się w zwykłych okolicznościach powietrze; miałoby więc zwykle powietrze atmosferyczne być ową substancją pośredniczącą, czyżby to jemu przypisywać należało zdolność przenoszenia zjawisk elektrycznych? Działania te wszakże przedzierają się i wskroś próżni, a uzasadnione powody prowadzą nawet do wniosku, że procesy elektryczne, które na słońcu zachodzą, są źródłem pewnych objawów ziemskich. Należy więc, podobnie jak dla światła, tak też i dla elektryczności, przyjąć pewną substancję właściwą, również we wszechświecie rozprzestrzenioną, pewien zatem „eter elektryczny.” Jeżeli zaś zważymy nadto, jak ściśle związki między światłem a elektrycznością zachodzą, jak bliskie istnieje między niemi pokrewieństwo, przyznamy łatwo, że ten eter elektryczny nie może być substancją odrębną od eteru świetlnego, że jeden i tenże sam środek i światłu, i elektryczności służy.

Łączność światła i elektryczności wybija się zwłaszcza w sposób uderzający w tem, że szybkość światła odpowiada zupełnie szybkości, z jaką według zasad teoretycznych rozprzestrzeniają się zakłócenia elektromagnetyczne, a co wypływa z zestawienia jednostek służących do pomiarów elektrycznych.

Przed sześćdziesięciu już laty okazał genialny matematyk Gauss, że siły magnetyczne wyrażać się dają przez też same jednostki, jakimi oceniają się siły mechaniczne, — że zatem wszelkie pomiary magnetyczne sprowadzić można jedynie do pomiarów długości, czasu i masy, a niemniej zasłużony w dziejach nauki kolega jego w Getyndze, Wilhelm Weber, zastosował też same zasady i do pomiarów elektrycznych. Działania mechaniczne elektryczności ujawniają się przede wszystkim we wzajemnem przyciąganiu i odpychaniu ciał naelektryzowanych, za jednostkę zatem elektryczności przyjąć można taką jej ilość, która-by, skupiona w jednym punkcie albo na kulce bardzo drobnej, na taką samą jej ilość, umieszczoną w odległości centymetra, wywierała na nią działanie, wyrównywające jednostce siły mechanicznej. W założeniu takim przyjmujemy, że dwie, działające nawzajem na siebie, drobne masy elektryczne, pozostają w spoczynku, taki więc układ miar elektrycznych opiera się na zasadach elektrostatyki, na prawach elektryczności statycznej i nazywa się „układem elektrostatycznym”; można jednak cały układ miar elektrycznych oprzeć też na wzajemnem oddziaływaniu cząstek elektrycznych pozostających w ruchu, na przyciąganiu się zatem i odpychaniu prądów elektrycznych, albo też, co ze względów praktycznych jest korzystniejszem, obrać za punkt wyjścia, nie wzajemne oddziaływanie prądów, ale działanie prądów na magnesy, a układ taki miar elektrycznych, prawie wyłącznie teraz w nauce i technice używany, ma nazwę „układu elektromagnetycznego.” W ukła-

dzie tym wychodzimy zatem z pojęcia prądu, przez natężenie zaś prądu rozumiemy ilość elektryczności, jaka w ciągu sekundy przez każde przecięcie przewodnika przepływa. Określenie więc takie mieści w sobie pojęcie szybkości, a jednostka elektro-magnetyczna wielokrotnie przewyższać musi jednostkę elektrostatyczną, która wyraża unieruchomioną w jednym punkcie ilość elektryczności. Jeżeli więc oznaczymy stosunek, jaki zachodzi między obu temi jednostkami elektrycznemi, stosunek jednostki elektro-magnetycznej do jednostki elektro-statycznej, otrzymamy szybkość, z jaką się rozprzestrzeniają działania elektryczne, elektro-magnetyczne, a z wielu umyślnie w tym celu przeprowadzonych doświadczeń wiemy, że stosunek ten, czyli ta szybkość wynosi w okrągłej liczbie 300,000 kilometrów na sekundę. Jest to rezultat bardzo uderzający, z taką samą bowiem zupełnie szybkością rozchodzi się i światło; zgodność zaś taka nie może być przypadkową i przekonywa, że w przeprowadzaniu światła i elektryczności jeden i tenże sam środek, jeden i tenże sam eter pośredniczy.

Do zjawisk teje kategorii należy też wpływ, jaki wywiera magnes na światło spolaryzowane. Jeżeli mianowicie promień spolaryzowany poddany jest wpływowi silnego magnesu, albo też obiegającego go dokoła po linii spiralnej prądu elektrycznego, w takim razie płaszczyzna polaryzacji obraca się o pewien kąt, czyli, jak mówimy, ulega skręceniu, co znaczy tedy, że płaszczyzna, na której zachodzą drgania eteru w promieniu spolaryzowanym, zmienia swe położenie; w zjawisku tem widzimy zatem wpływ bezpośredni sił elektromagnetycznych na eter drgający, mamy tu, jakby magnesowanie światła. I inne zresztą jeszcze objawy składają nie mniej wymowne dowody ścisłego związku światła i elektryczności, tych dwu wielkich czynników przyrody, które tak niedawno jeszcze zgoła się nam odrębnemi wydawały.

Wiemy już, że siła elektryczna, działając na izolator, na substancję odosobniającą, wywołuje w nim pewien stan napięcia, a działania te wywierają się w oznaczonych kierunkach, według linii siły elektrycznej. Pomysł te Faradaya w genialny istnie sposób rozwinął i w ścisłą formę matematyczną przybrał inny fizyk angielski, J. Clark Maxwell, zmarły w r. 1879, którego prace prawdziwą epokę w dziejach fizyki stanowią. Maxwell wykazał, że stan ten napięcia środka pośredniczącego wywiera wpływ nie tylko na działania elektro-statyczne, ale wywołuje też i objawy elektro-dynamiczne, staje się źródłem prądu elektrycznego. Jeżeli przez drut przebiega prąd elektryczny, to wokół niego rozwija się stopniowo pole elektromagnetyczne, a wiry eteru rozchodzą się coraz dalej. Jeżeli po pewnym, krótkim bardzo przeciągu czasu, zmienimy kierunek prądu elektrycznego, wywołamy nowy szereg wirów, a jeżeli podobne zmiany prądu prowadzić będziemy

bezustannie jedne za drugimi, prąd ten stanie się źródłem fal elektrodynamicznych, rozchodzących się w powietrzu, jak fale świetlne. Analogię tę posuwa Maxwell dalej jeszcze, sprowadza bowiem fale jednego i drugiego rodzaju do tożsamości zupełnej, przyjmując, że drgania świetlne są rezultatem zakłóceń elektromagnetycznych, a według tych zasad wyprowadza wzory matematyczne, które zdają dokładnie sprawę z przebiegu światła przez ciała przezroczyste i stanowią zupełną „teorię elektromagnetyczną światła.”

Poglądy swoje na istotę zjawisk elektrodynamicznych ogłosił Maxwell w r. 1865, a choć pierwotnie zbyt osobliwemi wydawać się mogły fizykom, zwracały następnie coraz bardziej ich uwagę. Gdyby zresztą szło tu jedynie o zjawiska elektryczne, teoria ta nie przedstawiała-by może wyższości istotnej nad teoriami dawniej utworzonymi; właściwa jej wszakże zaleta na tem polega, że wspólnym rzutem obejmuje i optykę, z własności bowiem jednego i tegoż samego środka, etera, wyprowadza zarazem prawa światła i prawa elektryczności. Im dokładniej ją zgłębiano, im ściślej wnioski jej sprawdzano, tem się prawdopodobniejszą wydawała; by wszakże stanowczo zdobyć mogła uznanie, potrzeba jej jeszcze było potwierdzenia doświadczalnego. Doświadczenie bowiem jest kamieniem probierczym każdego rozumowania przyrodniczego, chroni je od zbłąkania się na bezdrożach i od zatury na manowcach, na których tak łatwo przepada myśl ludzka, gdy nie stara się na każdym kroku wniosków swych z rzeczywistością ważyć.

Zyskanie wszakże dowodu doświadczalnego napotykało trudność, która się prawie nieprzezwyciężoną wydawała, a wpływała z szybkości, z jaką się działania elektryczne rozchodzą. Przy środkach bowiem, jakimi rozporządzamy, dają się one ocenić co najwyżej w odległości kilku metrów od przewodników, które są ich źródłem, czas zaś, jakiego potrzebują na przebieżenie takiej przestrzeni, wynosi ledwie kilka stumilionowych części sekundy. Jakichkolwiek używano sposobów mechanicznych do zamykania i przerywania prądów, do magnesowania i odmagnesowywania żelaza, do ładowania i wyładowywania butelek lejdejskich, zdawało się niemożliwym wywołać zjawiska te w warunkach takich, by przebieg ich dał się śledzić w tak niewypowiedzianie krótkim przeciągu czasu.

W dziesięć dopiero lat po śmierci Maxwella zdołał pomysł jego urzeczywistnić doświadczalnie fizyk niemiecki Hertz, gdy do otrzymania prądów przerywanych, dostatecznie szybko po sobie następujących, odwołał się wprost do iskry elektrycznej. Iskra elektryczna, jak wiadomo, jest objawem wyładowania elektrycznego, czyli łączenia się dwu różnoimiennych ładunków elektrycznych; poznano wszakże, że w wielu

razach wyładowanie takie nie jest nagłem, jednorazowem łączeniem się elektryczności, ale ma przebieg bardziej zawiły, składa się z długiego szeregu wyładowań częściowych, kolejno i nader szybko po sobie następujących, w jedną i drugą stronę naprzemian. Między dwiema kulami naelektryzowanemi w odpowiednich warunkach wytwarza się tedy ciąg drgań czyli oscylacji; w warunkach elektrycznych systemu powstaje ruch wahadłowy, mamy jakby kamerton elektryczny, który świadczy, mówiąc językiem Faradaya i Maxwella, że stan elektryczny otaczającego eteru ulega kolejnym przeobrażeniom, rozchodzącym się dalej w postaci fal, jak w każdym w ogólności ruchu drgającym.

Jak zaś szybko jedne po drugich następują drgania tego kamertonu elektrycznego, jak krótkotrwałem jest każde drgnięcie oddzielne, okazuje się stąd, że długość fal przez nie wzbudzonych wynosiła w doświadczeniach Hertza zaledwie około dwu metrów. Aby szybkość taką drgań elektrycznych pojąć, przypomnijmy sobie, cośmy już wyżej nadmienili, że ruch falowy posuwa się o jedną falę w tym samym czasie, gdy jedno drgnięcie się kończy. Fale elektromagnetyczne, jak uczą nas dopiero co przytoczone uwagi, rozchodzą się z chyżością światła, z szybkością zatem trzystu tysięcy kilometrów na sekundę, gdyby więc drgań na sekundę dokonywało się trzysta tysięcy, fala każda miała-by kilometr długości; skoro zaś fale były około pięciuset razy krótsze, szybkość czyli raczej częstość drgań musiała być w tymże stosunku wyższą, wynosiła przeto do stu pięćdziesięciu milionów na sekundę. W doświadczeniach późniejszych długość fali zdołał Hertz zredukować jeszcze bardziej, do sześćdziesięciu zaledwie centymetrów, co znaczy zatem, że drgania pobudzającego systemu elektrycznego stały się częstszymi jeszcze, dochodząc do liczby czterystu już milionów w ciągu jednej sekundy.

Nie dosyć wszakże drgania tak częste wzbudzić i za ich pośrednictwem wytworzyć fale tak krótkie, należało jeszcze posiadać możność wykazania, że fale te istnieją rzeczywiście, że rozchodzą się w dal, a spotykając się i krzyżując z sobą, wywołują objawy interferencyi. Nie możemy ich widzieć, są na to zbyt powolne; musiały-by się dokonywać milion razy prędzej, musiały-by dojść liczby czterystu trylionów na sekundę, aby się stały drganiami świetlnemi, widzialnemi. Nie możemy ich również słyszeć, są bowiem na to zbyt szybkie; musiały-by być milion razy powolniejsze, aby je ucho nasze ująć mogło, gdyż drgania głosowe liczą się na tysiące zaledwie w ciągu sekundy. Gienialny zatem eksperymentator odwołał się do znanej w muzyce, albo raczej w akustyce, zasady rezonansu, czyli współdziałczności.

Brząc, wydaje struna ton sobie właściwy, od jej wymiarów i napięcia zależny, ale, choć milczy jeszcze, jest już na dźwięk ten nastrojona, do wydania go przygotowana, prawdziwie

„Wieszczęch tonów przeczucie gra w strunie.“

Na obce więc sobie dźwięki obojętna, w całej ich powodzi pozostaje niewzruszoną i cichą, gdy wszakże w sąsiedztwie jej rozlega się ton bratni, z nastrojem jej zgodny, gdy potrącają ją drgania pokrewne, odzywa się natychmiast sama i rozpoczyna swą nutę, nie czekając, by ją ręka artysty do gry pobudziła.

W podobny więc sposób, by uchwycić fale wzbudzone przez wibrator swój, czyli przez opowiedziany kamerton elektryczny, użył Hertz przewodnika drugiego, w którym fale te przez wpływ swój, czyli przez indukcję, wywoływały prądy elektryczne. Drugiemu temu, czyli wtórnemu przewodnikowi nadać oczywiście musiał wymiary odpowiednie, by peryod drgań jego dla prądów elektrycznych był takiż sam, jak w przyrządzie, który wytwarzał prądy pierwotne, przy tak bowiem dobranych wymiarach ruchy w przewodnikach są najsilniejsze. Prądy zaś, powstające w przewodniku drugim, objawiają obecność swą iskrami, które przeskakują przez drobną przerwę, w przewodniku tym pozostawioną.

Przy takim urządzeniu, którego szczegóły zresztą są dosyć skomplikowane, zdołał Hertz uchwycić objawy interferencyi, zachodzące między falami padającymi na ścianę, a falami od niej odbitymi. Wibrator, wytwarzający prądy przerywane, umieścił w oddaleniu kilkunastu metrów od ściany, tak, że odległość ta wyrównywała kilku długościom fali; przewodnik zaś wtórny, w którym prądy miały być wzbudzone, przesunął między wibratorem tym a ścianą. Otóż, na przestrzeni tej dostrzegł, że w kilku punktach ledwie że się ukazywały słabe iskry w przerwie pozostawionej w przewodniku drugim, gdy w punktach innych, w odległościach znaczniejszych, występowały znowu silnie; zanikania zaś iskry zachodziły w regularnem następstwie, w jednakich odstępach między wibratorem a ścianą.

Doniosłość tych doświadczeń jest dla nas jasna zupełnie. Jak badania Younga i Fresnela nad krzyżowaniem się światła, tak też doświadczenia Herta potwierdzają teorię drgań eteru w elektromagnetyzmie. Przekonywają one w sposób widoczny o słuszności poglądu Faradaya, że siły elektryczne odpowiadają zmianie stanu środka otaczającego, dowodzą, że działania elektromagnetyczne zależą od środka przenikającego przestrzeń i że to jest tenże sam środek, który przenosi objawy światła.

Są to doświadczenia elektryczne, ale przedstawiają charakter doświadczeń optycznych. Promienie elektryczne nie tylko ulegają interferencji, jak promienie świetlne, ale okazują i wszelkie inne właściwe im objawy: — odbijają się, załamują, polaryzują. Powtarzali je zresztą już i inni fizycy, urozmaicając je i zmieniając w szczegółach. Niedawno zaś fizyk włoski, Righi, posunął je nawet o stopień dalej, przy odmiennem bowiem nieco urządzeniu wibratora wywołał drgania jeszcze częstsze, prędszej jeszcze po sobie następujące, tak, że długość fali elektromagnetycznej zmniejszył do $7\frac{1}{2}$ tylko centymetrów ¹⁾.

Do dziesięciotysięcznych części milimetra, odpowiadających długościom fal świetlnych, daleko stąd wprawdzie jeszcze, należało-by milion jeszcze razy powiększyć częstość drgań, aby je wywołać. Rezultaty jednak dotąd osiągnięte usuwają — w znacznej przynajmniej mierze — wątpliwość co do tożsamości światła, ciepła promienistego i ruchu falowego elektrodynamicznego. Promienie elektromagnetyczne uważać możemy za promienie świetlne o bardzo znacznej długości fal, podobnie jak promienie świetlne stanowią promienie elektryczne o falach niewypowiedzianie krótkich. W ten sposób streszcza się elektromagnetyczna teoria światła.

Wszystko to wszakże nie znaczy jeszcze, by zagadka elektryczności rozwiązana już była, by istota jej już się nam ujawniła w tej przynajmniej mierze, co natura światła lub ciepła; rąbek jednak zasłony niewątpliwie uchylony został, budząc nadzieję, że przyszłość dalej ją zedrże.

Dawniej już zresztą, przed trzydziestu laty, opracował Hankel teorię elektryczności, w której objawy jej tłumaczył wirami eteru; nieco późniejsza teoria Edlunda, silniej jeszcze sprzęgająca elektryczność z eterem, miała nawet znaczny rozgłos, — obie wszakże niedostatecznie uzasadnione, zbyt dowolne i nie dosyć ścisłe, zapisały się w dziejach nauki za ledwie jako próby tymczasowe. W niewątpliwym sposobie stwierdzono dotąd tylko udział eteru w rozprzestrzenianiu się działań elektromagnetycznych.

¹⁾ W sam dzień Nowego roku 1894 zmarł Henryk Hertz. Jeżeli powiemy, że śmierć ta jest dotkliwą dla nauki stratą, nie będzie to w tym razie wyrażeniem banalnym, znakomity fizyk liczył bowiem dopiero lat 37 życia, a głośnie jego badania datują się za ledwie od r. 1886. W krótkim swym życiu zabłysnął Hertz na firmamencie nauki jako meteor, ale meteor tak jasny, że blaskiem swym na długo go rozjaśnił i pozostawił na nim ślady, które trwać będą, dopóki istnieć będzie nauka. Dla nauki o elektryczności ma on znaczenie takie, jak Young i Fresnel dla optyki, a Mayer i Joule dla termiki.

X.

Dotychczasowe nasze rozważania zmuszały nas wprawdzie do krążenia po oceanie hipotez, fale wszakże wyprowadzały nas dotąd zawsze na twarde grunty faktów rzeczywistych; teraz wypada nam przenieść się w dziedzinę hipotez, doświadczeniem niestwierdzonych, na morze dotąd zgłta bezbrzeżne. Idzie tu o usunięcie dualizmu czyli dwoistości materji ważkiej i eteru, o wyjaśnienie samychże atomów materji zwykłej z własności eteru.

Pomysły te nie są nawet zupełnie nowe; dawno już bowiem, w wieku szesnastym, Descartes, dostrzegając istotę materji w rozciągłości tylko, wyjaśniał powstanie jej za pośrednictwem wirów w substancji jednorodnej, wypełniającej pierwotnie świat, które mu też posłużyły do tłumaczenia ruchów ciał niebieskich i objawów światła. Wskutek tych wirów mianowicie wytworzyć się miały w substancji pierwotnej kulki większe, cząstki „elementu drugiego”, według wyrażenia zatem dzisiejszego cząstki materji ważkiej, gdy pozostała substancja pierwotna wypełnia istniejące między niemi przestrzenie w sposób ciągły daleko drobniejszymi cząstkami „elementu pierwszego.”

Hypotezy Descartesa zaprzętały zawsze silniej filozofów aniżeli fizyków, z dzisiejszym wszakże prądem fizyki o tyle są zgodne, że ostateczną przyczynę zjawisk i istotę samej materji, nie w odrębnych siłach, ale w ruchach upatrują. Podobny więc charakter przedstawia i nowa teoria cynetyczna materji, teoria „atomów wirowych”, której autorem jest William Thomson, jeden z najznakomitszych, a niewątpliwie najśmielszy z fizyków dzisiejszych.

Teoria ta ma charakter czysto matematyczny, opiera się bowiem wyłącznie na znakomitej pracy Helmholtza o równaniach hydrodynamicznych, odpowiadających ruchom wirowym cieczy, a ogłoszonej w roku 1858. W pracy tej dowiódł Helmholtz, że w cieczy nieściślawej, której cząstki poruszają się bez wszelkiego tarcia, żadna cząstka przejść w obrót wirowy nie może, jeżeli od samego już początku w ruchu takim nie pozostawała; cząstki zaś cieczy, które do jednego wiru, do jednego pierścienia wirowego należą, stale się w nim, pomimo jego ruchu, utrzymują,—pierścień taki jedynie tylko na powierzchni cieczy, ale nigdy w jej wnętrzu rozwiązać się nie jest w stanie, jakkolwiek rozmaitym ulegał-by przeinaczeniom swej postaci. Zasady te, jak powiedzieliśmy, tyczą się tylko cieczy hypotetycznej, w której ruch dokonuje się bez tarcia; można je wszakże, choć w części, okazać doświadczalnie na pierścieniach dymu, rozchodzących się po powietrzu. Pier-

ścien taki jest niepodzielny, nie można go przeciąć; przed nożem, najszybciej nawet poruszonym, usuwa się lub wije dokoła niego, — budzi w nas jakby pojęcie niezniszczalności.

Taka wszakże stateczność jest właśnie najistotniejszą cechą atomu, a stąd-to twierdzenia Helmholtza posłużyły Thomsonowi do wyjaśnienia rozciągłych a jednak niepodzielnych atomów drogą zupełnie cynetyczną. Wyobraźmy sobie całą przestrzeń światową, zajęta przez płyn doskonały, wolny od tarcia wewnętrznego, to w płynie takim nie może sam przez się powstać żaden pierścień wirowy, istniejące zaś zagładzie nie ulegają. Pierścienie takie są więc niepodzielne i niezniszczalne, a nadto posiadają pewną sprężystość, gdy się bowiem dwa pierścienie wirowe uderzają, każdy z nich, po pewnych ruchach wahadłowych, odzyskuje swą postać pierwotną; mogą zaś posiadać rozmaitą wielkość i rozmaitą formę, tworzyć mogą bądź linie kołowe, bądź zwoje rozmaicie skręcone. Taki wszakże środek powszechny zapełnia przestrzeń całą, a chociaż sam przez się nie jest materią, to wszakże wyobrazić sobie możemy, że istniejące w nim wiry tworzą atomy materii, posiadają bowiem one własności, które i atomom służą.

Co większa, za pośrednictwem środka, w którym się poruszają, mogą one nawzajem na siebie wywierać pewne działanie z odległości, zbliżają się ku sobie lub oddalają samodzielnie, jak gdyby zachodziły między nimi pewne siły przyciągające i odpychające. Teoria więc materii wiąże się z dawną zagadką wzajemnego jej przyciągania się, ciężenia powszechnego. Odkąd wiemy, że działania elektryczne rozchodzą się za pośrednictwem eteru, ciężenie pozostało już jedynem z różnych działań na odległość, które nauka poprzednio przyjmowała. Nie wykazano wprawdzie dotąd, by wzajemne przyciąganie materii wymagało pewnego czasu do swego rozprzestrzeniania się, jak to się dzieje ze światłem i elektrycznością; pojmujemy wszakże, że i to działanie wymaga pośrednictwa i że pośrednikiem tylko eter być może. Przed stu już też przeszło laty tłómaczył Lesage w dziele „*Lucrèce Newtonien*” zagadkę wzajemnego przyciągania się ciał ruchami atomów, przebiegających przestrzeń światową; a od tego czasu liczny zastęp fizyków starał się wyjaśnić ową „*causa gravitatis*”, bądź przez ciśnienie eteru, bądź przez rozchodzące się w nim fale, bądź wreszcie przez wzajemne uderzania jego cząstek. Była-by to wszakże znów długa historia, gdybyśmy ją tu opowiedzieć chcieli, a że stanowczego nie posiadamy rozstrzygnięcia wśród sprzecznych tych poglądów, na tej krótkiej tylko przestać możemy obecnie wzmiance.

Nietylko wszakże tajemniczą jest dla nas łączność eteru i materii, niemniej osłoniony jest jeszcze przed wzrokiem naszym stosunek jego do energii. Gdy gład jakikolwiek, kamień zwykły, wnosimy na

wysokość pewną, ożywiamy go zarazem pewną zdolnością do wykonywania pracy; złożony w nim jest tedy pewien zasób energii, gotowej każdej chwili do działalności, skoro tylko usunięte będą zapory ją tamujące, skoro odchylimy podpierającą kamień podstawę. Z powszednim tym objawem oswojeni jesteśmy zupełnie, ale nie pojmujemy zgoła, w jaki sposób energia ta związana jest z ciałem materyalnym. Może też nie w kamieniu, ale raczej w otaczającym mieści się eterze. Gdy kamień ucepiony jest do końca rozciągniętego włókna gumowego, rozumiemy, że nie kamień ten, ale samo włókno gumowe siedliskiem jest wzbudzonej energii. Podobnie może dzieje się i z eterem, który-by w takim razie przechodził w stan pewnego wymuszenia, napięcia, jak to ma również miejsce, gdy dwa ładunki elektryczne z oddalenia nawzajem na siebie oddziałują. Pojęć eteru i materyi, energii i elektryczności zespolić dotąd nie zdołano.

Uporczywą walką zapewnił więc eter istnienie swe w fizyce, — niepokonany, pozostał w niej jako „ostatni z nieważników.” Sam nieznanany, nieujęty, tajemniczy, dozwolił nam rozjaśnić wielką zagadkę natury światła, o którym mówił Newton, że nic nad nie niema ciemniejszego — „*nil luce obscurius.*” Nad światło atoli ciemniejszą jest dla nas elektryczność, nie posiadamy bowiem zgoła zmysłu, który-by nam o niej bezpośrednio świadomość dawał,—eter wszakże łączność jej ze światłem ująć nam dozwolił. Od niego wreszcie oczekujemy rozwiązania zagadki ciężenia powszechnego, wyjaśnienia istoty materyi. Są to zadania, które chylące się do schyłku swego stulecie następnemu przekazuje.

S. KRAMSZTYK.

Cykl Obrazów Piotra Stachiewicza

„LEGENDA O MATCE BOSKIEJ.“

Piotr Stachiewicz, tak powszechnie znany malarz „Bożego Narodzenia wedle kolęd i pastorałek“, „Modlącej się“, „Nowicyuszki“, „Niewinnego całusa“, „Wieczornego pacierza“, „Dziada i baby“, (a wspominamy zaledwo o kilku jego utworach), należy u nas do rzędu sympatyczniejszych i bardzo uzdolnionych artystów. Dusza to poetyczna. W każdym z utworów jego jest coś, co nie tylko zadawalnia smak estetyczny, ale przemawia także do wyobraźni i serca. Gdyby wyrokować miano, co się więcej w kompozycjach jego objawia: czy poprawność techniki, czy duch poezyi, z pewnością przyznano-by idealizmowi arty-
sty większy polot, niżeli talentowi malarza. Dlatego też wszystkie rysunki Stachiewicza zatrzymują i czarują widza, nawet, jak Cykl obecnie wystawiony w Warszawie, mniej udatne i mniej doskonałe.

Słyszeliśmy bardzo wiele o „Legendzie Matki Boskiej“. Rozbrzmiewały dzienniki zagraniczne i krajowe pochwałą tej pracy. Zachwycano się nią ogólnie w Monachium i w Wiedniu. Mówiono nawet, że cesarz Franciszek Józef byłby ją pozyskał dla siebie, gdyby się nie była przed tem stała własnością zbioru prywatnego.

Wierzylismy łatwo, i jakże było nie wierzyć, gdy podobne opowiadania przynosiły nam radość, a malarstwu krajowemu zaszczyt niemały. I oto, jako zwiastun owego Cyklu przeleciał przez kartki Tygodnika Ilustrowanego śliczny aniołek. Pędził co mu skrzydeł stało,

potrzymując dwa dzwoneczki, a za nim od strony kościółka widzianego w głębi leśnej, wzdłuż paproci i brzoź białych, przesuwała się postać Matki Najświętszej, tulącej dziecię do łona. Wdzięcznymi się nam wydały ten las brzozowy i ta wieżycy kościółka. Aniołek, dzwoniący na „Ave Maria“, dzwonił także na Cykl Stachewicza.

Malowany olejno w barwie szarawej i jak pastel miękkiej, pełen harmonii, półtonów, półcieni i jakby mgły powiewnej, przesunął się nam przed oczami jak legenda tajemnicza i poetyczna odległych wieków. Widzieliśmy mimowoli jakąś myśl pokrewną poniedziałom tonami tej palety szarej, a tkanką przebrzmiałych stuleci i podań ludowych. Oblicze tylko Madonny, tak jak lilie niebieskie i malwy różowe, zachowało, mimo lat ubiegłych, nieco barw swoich. Tylko gwiazdy nieba, tak jak promień boży, nie zbladły jeszcze zupełnie i świecą w przestrzeni, przez wieki.

Sliczna to myśl tej Matki Najświętszej, idącej „po gwiazdzistej drodze“. Zabrnęła prawie w tym srebrnym śniegu gwiazd większych i małych i stąpa wolno, aby dzieciątka nie budzić, a nad nią dwanaście gwiazd płonie. Ładnym jest przytem ruch uśpionego chłopczyny i ten zakątek kraju, widny w dole pod chmurami.

Sympatyczna bardzo swoim duchem swojskim owa podróż do Egiptu, skierowana przez krakowską ziemię. Księżyc, który się zatrzymał, rzekłbyś, nad wieśniaczą strzechą, jak się zatrzymała gwiazda nad stajenką w Betleemie, może tu zaprowadził tę boską dziewicę, której jest godłem... a jakże szczęśliwy ten nisko kłaniający się chłop sukmanowy, który takich gości ma wprowadzić do swej gospody!

W „stajence“ słodkiem światelkiem oświeca twarz Matki główka Jej Syna i ładne w dziurawej strzesze promienie nocy, i w promieniu lot aniołków.

„Siewna“, powiewna jak zboże, którego rozsypuje ziarno; „Gromniczna“, stojąca na straży śród gwiazdzistej zimowej nocy, przed wioską, której światelka migocą w dali, i wstrzymująca zapaloną gromnicą gromadę wilków: tchną pobożnym i poetycznym duchem legendy.

Nakoniec, nie braknie wdzięku „Sobotniemu promieniowi słońca“, gdy Najświętsza Pani, własnoręcznie rozwieszająca bieliznę, „promiennym“ także uśmiechem dziękuje dziecku, co się bawi krzyżem.

A jednak w tych poetycznych kartkach widnieją znaczne rysunkowe błędy. O ile drugorzędne szczegóły są doskonałe, jak tło i pejzaż obrazu, o ile znać smak w układzie kwiatów, albo draperyi, w dyskretnem zabarwieniu przedmiotów, w harmonii całości, o tyle grzeszą wadami rysunku pierwszo - planowe figury. Im więcej osób w obrazie, tem bardziej uwidoczniają się błędy. W „ucieczce do Egiptu“ źle stoją względnie do siebie, na ziemnym planie nadto spadzistym. Na tak

gwałtownej pochyłości źle się zatrzymał osiołek i trudno mu bardzo pić wodę. S-ty Józef, widziany od głowy, zdaje się wyrastać z grupy, która go w części zakrywa. Ręka jego należy, rzekłbyś, do Najświętszej Panny, zanadto wysoko usadowionej na osle. W Gromnicznej jest poezyi wiele. Uśmiecha się dobrotliwie do tych żarłoków, których wstrzymuje. Cóż, kiedy wilki nie wszystkie są do wilków podobne, a są wszystkie stosunkowo małe. W ręce, trzymającej gromnicę, rysunku brak i są błędy anatomii. Można powiedzieć, że o ile w pejzażach Stachiewicza główną wadą jest przesadzona spadzistość planu, o tyle w anatomii ciał jego proporcya od ramion do łokcia, lub od łokcia do ręki, jest mylną, najczęściej za krótką, tak jak i ręce same za małe. Śliczne rączki Wniebowziętej grzeszą zbyt drobnymi kształtami; ręce Matki Bolesnej 'są nie tylko za małe, ale w dodatku manierowane jakby elegantki światowej. Nawet w „Siewnej“, najlepszej może w rysunku, ruch ręki i długość ramienia nie są całkiem bez zarzutu, bo sama ręka w niedość silnym traktowana jest tonie i tem samem nie podaje się dość naprzód. Co do ramienia Chrystusa na krzyżu i dziecka strugającego krzyżyk, te są poprostu karykaturalne.

Gdzież malarz, co prawda, wolny od zarzutu, lub dzieła ze wszech miar doskonałe? nie wszystko daje się przerysowywać, albo pochwycić z żywego, a to, co tylko domysł rysownika wytwarza, tak się wyróżnia brakiem realizmu od reszty, kopiowanej z natury, iż błędy często stają się oczywistszemi od zalet. Co do nas, wolimy rzecz nawet z pewnemi wadami rysunku, podniosłą uczuciem, od najdoskonalszej zewnętrznie, a dla ducha obojętnej.

Dlatego też ważniejszy tym razem robimy zarzut Stachiewiczowi. W cyklu jego znajdują się aż trzy typy Matki Najświętszej, a nawet więcej, wtedy, gdy jeden wystarcza. Pobożność narodów, oparta na tradycyi historycznej, wyobraziła inaczej typ Bożej Dziewicy. Usunęła w nim na bok wybitność cech narodowych i znamiona indywidualności, a zachowała mu najczystszą piękność, na jaką się zdobyć mogła, z wyrazem nadziemskiej boskości.

Co znaczy ta młoda panienska, z zaczesanemi w tył włosami, przystrzyżonemi aby lepiej rosły, pełna na twarzy, z którą tak mało licuje nakazana jej przez malarza powaga? Ta pensyonarka na osiolku, przywodząca na myśl wycieczkę w góry podczas wakacyi, gdy nawet z wyrazem pobożności wielkiej na innym obrazie zstępować będzie „po ciernistej drodze“, pozostanie nader ziemską istotą, a nawet swoim typem mieszczańki z Krakowa.

Nie tak mieszczańką, jak prostą kobietą z ludu, jest niewiasta, siedząca w stajence; nie cechuje jej młodość ani uroda, sympatyczną jest tylko ruchem macierzyńskim, którym tuli dziecię.

Typ trzeci wyobraża kobietę już starszego wieku, zasłuchaną boleśnie w piosnkę skowronka. Ten typ jest czysto francuski. Wyszedł z pod modnego pędzla P. Bouguereau. Lecz poco naokoło głowy ta czarna z koronek narzutka? Jeżeli w niej model pozował, trzeba ją było odrzucić stanowczo. Niepotrzebny realizm uwydatniają także opuszczone nisko szczęki, zbyt ostro narysowane, wielkie podbite oczy ciemne, (bo chyba nie ramiona za krótkie), i ten model zagraniczny choruje na jakąś teatralną szlachetność.

Arystokratyczna głowa niewiasty idącej po gwiazdzistej drodze, o orlin nosie, szerokiem i rozumnem czole, przypomina twarz znajomą. Jest wada piękności w tych ustach nadto w twarz wgłębionych i w wystającej brodzie, ale tu znowu malarz chciał tylko z natury malować i wołał nie poprawiać niedoskonałości modelu, nawet gdy mu chodziło o najpiękniejszy ideał wieków chrześcijańskich, byleby tylko sportretować wiernie. — „Gromniczna“ była więc z tego modelu także malowana, a może nawet i „Siewna“, i ta młoda, wysmukła niewiasta, bardziej już wschodnia z pozoru, z kokieterią ziemianki rozwieszająca bieliznę.

Dlaczego zatem w tym jednym Cyklu o Najświętszej Pannie tyle typów odmiennych, a zwłaszcza odmiennych od tego, który nasza wiara wytworzyła, tradycya uświęciła, pędzel Rafaelowy unieśmiertelnił?

Śmiałem jest i niebezpiecznem ze strony malarza porywać się na wyobrażenie boskości, tak jak dla świeckiego autora pisać o religii; ale skoro go natchnienie do takich wyzyn uniesie, winien wtedy szanować tradycję i religijną naukę. Dla tego ideału piękności „nadziemskiej“, który starali się uczyć najwięksi z mistrzów, tak jak go niewprawnym pędzlem Ś ty Łukasz przekazał czci ludów, nieboskie typy wieśniaczek, albo mieszczanek, nie wystarczają. Nie wystarcza aureola nad głową o etyopskim, arabskim, indyjskim profilu, na który się tak często sili dziś malarstwo, szukające dróg nowych, a to, w czem niejeden może upatruje ziemski ideał, mogło-by się stać łatwo, i stawało się już nieraz, krzyżącą tylko manierą.

Czyżby przykład przychodził z góry?

Na ozdobionych scianach kościoła Panny Maryi w Krakowie Matejko malował głowy aniołów. Wysuwają się gotyckie postacie, o faldzistych gotyckich szatach, z gotyckich kwiatów. Lecz głowy tych aniołów były nie w gotyckiej myśli pojęte. Z grzywkami ułożonemi na czole, w uczesaniu najświeższej mody, okrągłe realistyczne typy dziewiętnastego stulecia, razić będą wiecznie wśród poważnego starodawnego nastroju świątyni.

Również i w legendzie Stachiewicza, jego Najświętsze Panienci nie zadowolnią zmysłu ideału, ani prawdy.

Podróżującemu po Chinach jakiś malarz krajowy pokazywał malowany przez siebie portret Napoleona. Bohaterowi, którego sława zaleciała w daleki świat zakątek, wyobraźnia artysty przypisywała parę długich zwieszonych wąsów i warkocz włosów, spływający do ziemi, a szlafrok malowany w jaskrawe tulipany miał być jego uniformem bojowym.

Wyobraźnia, jeśli się jej bezwzględnie puszcza wodze, może czasami doprowadzić w sztuce do tak samo rażących wyników.

Te więc zalety, które Stachiewicza stawiały dotąd na tak poetycznej wyżynie: wdzięk, smak, prawda, natchnienie, prawie że go tym razem zawiodły. Samodzielności twórczej mniej także w tej jego pracy, niż w innych. Tak jak w *Matce Najświętszej*, przesuwającej się przez drzewa leśne w „*Ave Maria*“, uderza podobieństwo z duchem Śmierci Grottgera, sunącym przez puszcę leśną, tak samo na „*Cierniowej drodze*“ uderza każdego teatralna maniera i dekoracja Dorego, i widzi się niemal ową kartkę z ilustracji Dantego, która malarza natchnęła. „*Bolesna*“ jest francuskim także pomysłem, a „*Wniebowzięta*“, do której się wychylają z niebios, (dziwnie jakoś ciemnych na chwilę tak jasnej chwały), ręce jej Syna, wlatująca nieśmiało, jak drżąca ziemi grzesznica, tam, gdzie się tryumfalnie wznosić powinna, tak wygląda, jakby zapożyczoną była z jakiegoś pospolitego obrazka.

Na wzory do ilustracji praca Stachiewicza wystarczy. Dla jego talentu i pobożnego ducha poezji zostanie za małą. Pamiętamy Cykl jego z *Wieliczki*, ileż bardziej wykonany w religijnym nastroju! Stachiewicz, liryk i entuzyasta, oddał już sztuce idealizmem swoim i smakiem, w wieku materyjalizmu i zwątpienia, niepomierne usługi. Była-by szkoda, gdyby zmienił drogę.

Ufamy także, że tekst, objaśniający ryciny, nie zniży do wrażeń jedynie ziemskich legendy o tej *Matce Bożej*, ale zachowa Jej tę wzniosłą i poetyczną świętość, która jest jej głównym znamieniem.

MICHAŁ RADZIWIŁŁ.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Henryk Sienkiewicz. Tom dwudziesty pism.

W przerwach pomiędzy „Bez dogmatu”, „Listami z Afryki” i drukującą się obecnie „Rodziną Połanieckich”, rzucał Sienkiewicz różne drobiazgi, których uzbierała się powoli garść cała, a którą wydawcy skwapliwie zebrali w całość książkową. Powstał ztąd „Pism Sienkiewicza” tom dwudziesty, którego cechą jest różnorodność światów i tematów, kolorów i tonów. Znajdujemy tu bajkę, rzuconą na klasyczne tło świata greckiego, smutną historię śmierci krakowskiego rzeźbiarza, legendę indyjską, rzewne opowiadanie zawiedzionego w miłości człowieka, wrażenia włoskie, sylwetkę chłopka artysty i historię z czasów śmierci Chrystusa. Pagórki syryjskie, grecki Acropol, włoska riviéra, śniegiem wyrównane wklęsłości płaszczyzny nadwiślańskiej, bogowie greccy, patrycyusz rzymski, córka filozofa helleńskiego, nowożytny rzeźbiarz, świeży doktor filozofii niemieckiego uniwersytetu, organista wiejski, bóg indyjski, prokurator Judei Pontius Pilatus, i wreszcie pokazana na chwilę postać święta Zbawiciela,—ile to strun trzeba mieć na swojej lirze, ile farb na palecie, aby to wszystko odśpiewać i namalować!

To lawirowanie wśród najróżniejszych światów, te wycieczki do przestrzeni życia coraz nowszych, wydają mi się zupełnie zrozumiałymi u artysty tej miary, co Sienkiewicz. Wszystko dotychczas, co Sien-

kiewicz przedsięwziął, to spełnił, a powodzenie szło bez ustanku śladami jego pióra. Otóż powodzenie rodzi pewność, a ta jest częścią samej siły. Każdej sile zaś towarzyszy duma, która dla niej jest sprężyną, — uczucie brutalne, gdy na usługi swoje ma siłę brutalną, a szlachetne, gdy wie, iż podnieść może moc szlachetną: wysiłek myślowy filozofa lub twórczy artysty. Taka duma musiała kusić Sienkiewicza, kiedy „jak obłok, który wiatr nosi po szerokim świecie,” patrzył na szczątki Akropolu, na okruchy Forum Romanum, kiedy po tej ziemi deptał, na której żył i cierpiał Zbawiciel.

Z tej garści nিকেzemnych i skąpych okruchów, z tej odrobiny szarych popiołów, na nowo stworzyć życie, co za trudne i wielkie, jakie pociągające zadanie!

A przytem siła twórcza Sienkiewicza znajduje się ciągle u zenitu. Artysta, który całym napięciem swojej energii pracować jest zdolen, znajduje w pracy przyjemność, rozkosz, i sam jest własnych dzieł ciekawy. W poszukiwaniu więc nowych wrażeń unika dróg, którymi już chodził, unika środków, których już używał. Tem właśnie wielki artysta od małego się różni, że samego siebie nie kopiuje. Tem się u Sienkiewicza tłumaczy różnorodność opisywanych światów i postaci, używanych środków artystycznych—wywoływanych wrażeń.

„Wyrok Zeusa“ jest figlem jako pomysł. Posłuchajcie jak on brzmi: „Kobieta cnotliwa, zwłaszcza gdy kocha innego, może się oprzeć Apollinowi... Ale z pewnością i zawsze oprze mu się kobieta głupia...” Oto dlaczego cudna piekarka ateńska, Eryfila, wylała dzieżkę z rozczynem mąki na boskiego Apollina, w chwili, kiedy śpiewał dla niej pieśń... Jaką pieśń! „Niebo i ziemia jej słuchały, morze przestało szumieć i legło ciche przy brzegach... Lekki wiatr wstał i niósł pieśń przez całą Grecyę, gdziekolwiek zaś zastyszało choć jeden jej ton dziecko w kolebce, tam z tego dziecka miał wyrosnąć poeta...”

Zastanawiać się nad moralną lub choćby logiczną konsekwencyą pomysłu tam, gdzie artysta całą rzecz utkał z najłżejszych mgieł czyściej fantazyi, uważam za trud jałowy. Niechaj sobie ten i ów, któremu nieczułość ukochanej rozdarła serce, znajdzie balsam w „Wyroku Zeusa” i niech uśnie pocieszony tem, że, ponieważ wylano mu na rozpaloną głowę dzieżkę rozczynu, więc jest Apollinem... My przyrzeczmy się tym mgłom tęczowym greckiej fantazyi Sienkiewicza.

Jest to drobna perełka. Pejzażów jest w niej parę, prawdziwie sienkiewiczowskich. Ot ten choćby, którym się nowella zaczyna: „Wieczór był cudny; słońce przetoczyło się już z Archipelagu ku morzu Jońskiemu i zanurzało z wolna swą promienną głowę w turkusową, gładką roztocz. Ale szczyty Hymetu i Penteliku świeciły jeszcze, jakby oblane stopionem złotem, i prócz tego, na niebie była zorza wie-

czarna. W blaskach jej tonął cały Akropol. Białe marmury Propyleów, Partenonu i Erechtejonu wydawały się różowe i tak lekkie, jakby kamień stracił wszelką wagę, lub jakby był sennem zjawiskiem. Ostrze włócznie olbrzymiej Ateny Promachos płonęło w zorzy, niby zapalona nad Attyką pochodnia. Na niebie ważyło się na rozpostartych skrzydłach kilka jastrzębi, które leciały na nocleg do gniazd, ukrytych w skałach."

Albo ten: „Tymczasem zorze zwołna gasły, ruch stopniowo ustawał; niewolnicy scytyjscy zamknęli bramy, i wreszcie uczyniło się cicho. Noc ambrozyjska rzuciła ciemną, nabijaną gwiazdami, zasłonę na Akropol, miasto i okolicę. Lecz mrok nie trwał długo. Wkrótce z Archipelagu wynurzyła się biała Selene i poczęła żeglować, jak srebrna łódź, po niebieskiem przestworzu. I znów rozświeciły się marmury na Akropolu, tylko świeciły teraz jasnozielonem światłem i były jeszcze do sennego zjawiska podobniejsze."

Patrzcie jak wygląda Eryfila: „Nigdy Attyka, nigdy cała ziemia grecka nie wydała piękniejszego kwiatu nad tę niewiastę. Przy blasku potrójnego kaganka, siedziała pochylona nad stołem i zapisywała coś pilnie na marmurowych tabliczkach. Długie jej spuszczone rzęsy rzucały cień na policzki, chwilami jednak podnosiła głowę i oczy w górę, jakby się namyślając i przypominając sobie, co jeszcze ma zapisać, a wówczas widać było jej cudne źrenice, tak błękitne, że przy nich turkusowa toń Archipelagu wydała-by się bladą i spłowiałą. Była to poprostu twarz Kipydy, biała jak piana morska, zaróżowiona, jak jutrzienka, o porpurowych jak syryjska purpura ustach i złocistej fali włosów—piękna, najpiękniejsza na ziemi—piękna jak kwiat, jak światło, jak pieśń! Gdy spuszczała oczy, wydawała się cichą i słodką, gdy je podnosiła w zamysleniu—natchnioną."

Czyż mam psuć wrażenie, jakiego doznaliście, czytając te wiersze, przyklepieniem pochwalnej etykiety?

Sienkiewicz oprzemienił uśmiechem subtej ironii zalecanki swojego bohatera, Apollina. Efekt artystyczny, wywołany tym środkiem, jest niezwykły: Apollo jest jednocześnie i boskim, i śmiesznym, a spokojne tło klasyczne rozjaśnione jest uśmiechami.

Pozwólcie, abym wam jeszcze pokazał sienkiewiczowskiego Kronidę: „Zeus spędził noc na szczycie Idy—a czy spał, czy nie spał i co tam robił, nikt tego nie wiedział, bo Mgłonośca osłonił się mgłą tak gęstą, że nawet Hera nie przez nią dostrzedz nie mogła... Siedział na ziemi wesół, bo mu noc zeszła wesoło, i w chwale radosnej ogarniał świecącemi oczyma krąg ziemski. Ziemia, uradowana ciężarem ojca bogów i ludzi, rodziła pod nim jasną majową trawkę i młode hiacyn-

ty, a on, wspierając się o nią dłońmi, przebierał palcami w kędzierzawym kwieciu i cieszył się w sercu wyniosłem."

Słuchając Hermesa, Zeus zmarszczył się, „a od tego zmarszczenia odłamy skał zaczęły się toczyć z hukiem w morze, a lasy pokładły się jak kłosa, które wiatr żenie." Kiedy zaś wyrok był już wydany, „Zeus został sam w chwale radosnej. Przez chwilę patrzył milcząc... i potem, ponieważ był niewyczasowanym bardzo, skinął na Sen, który, siedząc na poblizkiem drzewie w postaci krogulca, czekał na rozkazy ojca bogów i ludzi." Jest to bóg wspaniały i wesół, prawdziwy bóg grecki, i aby go takim przywołać przed oczy czytelnika, wystarczyło mistrzowi wierszy dwadzieścia.

„Z wrażeń włoskich" czytelnicy „Biblioteki" znają. Sienkiewicz we wstępie oto co obiecuje: „Trochę mórz, widzianych w blasku słonecznym lub zorzach, i nieco żagli rybackich, i dużo słońca, i dużo cienia z oliwnych ogrójców, i kilka okruchów z grobowców, widzianych na różnych *campo santo*—i nieco wrażeń rzymskich—i nie więcej." Dotychczas mamy jeden tylko urywek: *Nervi*. Są w niem wszystkie blaski i wszystkie kolory stylu Sienkiewicza, a „liliowa symfonia", jaką świat gra z barwami o zachodzie słońca, jest kartą, wprost olśniewającą. Obrazek swój Sienkiewicz kończy: „A potem przyszła noc. Lecz noc nie usypła wspomnień i kto taką symfonię liliową raz widział, tego pamięć wróci nieraz do niej, i dusza wróci"—zupełnie tak, jak ten, kto tych kart parę, z taką nieporównaną wspaniałością opisujących świat Boży, czytał choć raz jeden; i on wróci do książki pamięcią—i duszą wróci.

Czekamy zapowiedzianych „cieni oliwnych ogrójców, okruchów z grobowców, wrażeń rzymskich."

„Organista z Ponikły", zwany Kleń, jest prawdziwym artystą. Kleń jak to Kleń—mówili ludzie, nie mogący mu przebaczyć „niestatku," ale jak weźmie grać, to i Panu Bogu nie marnotkno, i człowieka aż zamgli." Inni zaś pytali: „Bój się Boga, panie Kleń, jakie to li cho w panu siedzi." Kleń „czasem zapamiętywał się całkiem przy organach. Zdarzało się to zwłaszcza w połowie sumy, gdy ludzie rozmodlili się już w kościele, gdy kadzidła rozeszły się na całą nawę, gdy rozśpiewało się wszystko, co żyło, gdy sam Kleń się rozegrał, a nabożeństwo, wraz z biciem dzwonów, dzwonków, wraz z zapachem mirry, bursztynu i wonnych ziół, z migotaniem świec i blaskiem monstrancyi, tak wezbrało w duszach ludzkich, że cały kościół zdawał się ulatywać na skrzydłach w górę. Kanonik, to zniżając, to wznosząc wówczas monstrancję, przymykał z uniesienia oczy, a pan Kleń czynił to samo na chórze, i zdawało mu się, że organy same grają, że głosy ołowianych rur podnoszą się jak fale, płyną jak rzeki, leją się jak upusty, są-

czą się jak źródła, kapią jak krople dżdżu, że wypełniają cały kościół, są pod sklepieniem, i przed ołtarzem, i w kłębach kadzideł, i w świetle słonecznym, i w duszach ludzkich—jedne groźne i wspaniałe, jak grzmoty; drugie, jakby ludzkie śpiewanie, żywieni słowami mówiące; trzecie słodkie, drobne, rozsypane nakształt paciorków, lub kłaskań słowiczych. I po mszy schodził pan Kleń z chóru odurzony, z błyszczącymi, jak ze snu, oczyma—jako zaś człowiek prosty, mówił i myślał, że się zmęczył. Kanonik w zakrystyi kładł mu coś grosiwa do ręki, coś pochwał do uszu, on zaś szedł między lud, który się ěmił przed kościołem—i tam już czapkowano mu, choć mieszkał na komornem w Zagrabiu, i podziwiano go bez miary.”

Otóż ten artysta kochał się w córce strycharza, ale ojciec o niczem nie chciał słuchać, bo Kleń pozycyi żadnej nie miał. Aż tu stary Mielnicki, organista, umiera; więc Kleń zaraz do proboszcza—i otrzymuje miejsce. Potem do strycharza, który go całkiem inaczej przyjmuje: „Nie mówię, że koniecznie ma zaraz co być—powiada—ale co organista, to nie powsinoga.” I zaprosiwszy do izby, uczęstował gościa arakiem.

Gdy zaś zostali sami na chwilę, ukochana tak mu powiada: „Mnie to na jedno! Jabym za panem Antonim i bez tego choć za morza poszła, ale dla tatka tak lepiej!”—On zaś pocałował ją z wielkiej wdzięczności i pomieszania w łokieć, rzekłszy przytem: „Bóg zapłać Olce, na wieki wieków, amen!”

Kleń uszczęśliwiony wraca do domu, a mróz duży i śniegu wszędzie po kolana. I było-by to nowe arcydzieło ta nowella, gdyby Kleń, który postanowił dla skrócenia drogi pójść przez pola na przelaj, zabłądził, strachu okrutnego się najadł, ale na sam wschód na drożkę bezpieczną trafił. Kleń tymczasem, niewdzięcznik jeden i dla parafii, która-by przy granu jego tak szczerze się modliła, i dla Olki, co mu takie proste a serdeczne słówko powiedziała, i dla autora, który tak pięknie go czytelnikom zaprezentował, fantazyjuje po tym śniegu, dla zabicia czasu... gra sobie na oboju, no i marźnie w końcu na śmierć. Koniec nowelli nie stoi na tej wysokości, co początek.

Wykończonym obrazkiem jest u „U źródła.” Zapoznajemy się jednocześnie na samym początku z pozycją młodego doktora filozofii, właściciela skromnego dworku, i z jego wielkiem nieszczęściem. Kochał się w Toli, córce bogatych sąsiadów, oświadczył się i został odepchnięty, naprzód przez rodziców, potem i przez pannę. Przedstawionem zaś jest to nieszczęście w sposób prosty niezmiernie, a do głębi poruszający, w sposób zwykły u Sienkiewicza, od którego nikt dotychczas tej tajemnicy nauczyć się nie zdołał. „Nie posiadam stanowiska, ani majątku—mówi bohater—rozumiem więc, że mi odmówili ręki Toli, ale

oni mnie jeszcze sponiewierali.” I skarży się: „wyście widzieli, że duszę z siebie wyciągam, że mówi przeze mnie uczucie takie, jakiego się codzień na świecie nie spotyka — i jeśliście nawet postanowili odmówić, to czemu nie odmówiliście, jak ludzie dobrzy, mający trochę miłosierdzia w sercu, tylko sponiewieraliście mnie?”

„Wy, niby chrześciance, wy, niby idealisci, skąd mogliście wiedzieć, co ja uczynię, wyszedłszy od was po takiej odmowie? Kto wam powiedział, że sobie w łeb nie strzelę, raz dla tego, że nie będę mógł żyć bez niej, a powtóre, że taki rozbrat między tem, co się głosi jako zasada, a między postępkami w życiu, taki faryzeizm i takie kłamstwo w głowie mi się nie pomieści? Czemu nie było wam ani przez sekundę mnie żal? Przecie i mnie nawet nie godzi się deptać bez przyczyny, przecie i mnie szkoda! Możeby i ja, gdyby nie wy, czegoś dokazała na świecie. Młody jestem, prawie student, bez majątku, bez stanowiska — dobrze! Ale, widzicie, mam przed sobą przyszłość — i dalibóg — nie wiem, dlaczegoście w nią napluli.“ I rodzice powiadają mu: „jesteśmy pewni, że córka nasza w niczem pana nie upoważniła do takiego kroku.” „I przyszła potem ta córka z całą bezdenną biernością dobrze wychowanej panny, i wyjąkała ze spuszczonego oczyma, że nawet nie rozumie, skąd mi przyszła myśl podobna.”

I zawiedziony człowiek pyta: „Nie stało ci odwagi, czy serca.” A potem wyrzut robi ukocłanej: „Bo widzisz, gdy chodzi o ratunek lub zatracenie człowieka, to trzeba mieć odwagę, to trzeba, aby prawda i kochanie były większe od strachu.”

I kiedy już cały rozmiar bólu i nieszczęścia człowieka zawiedzionego znamy, następuje cały szereg kart słonecznych, pełnych szczęścia. Jest to gorączkowe majaczenie chorego na tyfus, niestety, ale czytelnik dowiaduje się na końcu o tem dopiero. Dlatego z uczuciem zadowolenia czyta te szczegóły drobne, jak ojciec się namyślił, przyszedł i przeprosił zrozpaczonego autora rozprawy filozoficznej o Neoplatonikach, jak matka go przeprasza także, jak ukazuje się Tola, a ojciec ją straszy i powiada: „wziął na kiel i teraz cię nie chce”, a Tola rzuca się ojcu na szyję z wybuchem, wołając: „nie wierzę, tatusiu, nie wierzę;” — jak młodzi rozmawiają z sobą, jak wspominają przykre chwile, tak obecnie szczęśliwi, — jak on urządza gniazdko, a kobiety wyprawę robią, jak Tola wzięła się do czytania rozprawy o Neoplatonikach, jak biedactwo mruga oczami, kręci główką, ale przez poczucie obowiązku czyta. A potem ślub, Veni Creator, wieczera. A potem, nazajutrz, wdzięczny obrazek: Tola zawstydzona kryje się za drzewem, białe kwiecie drzew owocowych leci jej na głowę, — i chory budzi się, przychodzi do przytomności, dowiaduje się, że rodzice z Tolą do Wenecyi pojechali. Teraz więc, pod wpływem tego światła, rzuconego na

obraz z tyłu, czytelnikowi tembardziej żal młodego filozofa i tem większe ma współczucie dla jego bólu.

Tego samego rodzaju efektu używa Sienkiewicz w następnej noweli „Lux in tenebris lucet.” Poznajemy tu artystę, który „sztuce służył rzetelnie”, ale z powodzeniem niewielkim, poznajemy go zaś przy końcu jego dość mizernych dni. Na dworze było bardzo brzydko, chmurno, kapanina; artysta umierający już, ma ten ponury obraz jeszcze w oczach, kiedy spostrzega przy sobie siostrę miłosierdzia. Zastanawia się, kto ją mógł sprowadzić, chciał zobaczyć jej twarz, osłonioną kornetem... „Nagle, bez żadnych przejść, weszło do pracowni światło tak mocne, jasne i radosne, jakby to była wiosna i maj. Fale złotego blasku, wzbierając jak powódź, poczęły wypełniać izbę, zalewać ją tak potężnie, że marmury utonęły i rozpuściły się w tej jasności, ściany zlały się z nią, potem znikły zupełnie—i Kamionka znalazł się jakby w jakiejś świetlanej przestrzeni bez granic.

Wtem spostrzegł, że i kornet na głowie zakonnicy poczyna tracić swą białą sztywność, drga po brzegach, topnieje, rozplywa się jak jasna mgła i zmienia się także w światło.

I artysta poznaje w zakonnicy ukochaną kobietę. Błogo jest mu, dobrze, i powiada, trzymając ją w objęciach: „jam gotów umrzeć”, a ona mu powiada: „tyś już umarł, patrz tam.” On spojrział i zobaczył wnętrze pracowni swojej i swojego własnego trupa...” Ton życia się tu tylko zmienił, ciemność rozjaśniła, smutek poweselał, i to była właśnie śmierć. Efekt niezmiernie oryginalny i bardzo artystyczny.

Znajdujemy dalej w tym tomie piękną a naszym czytelnikom znaną również legendę indyjską „Bądź błogostawiona” i najobszerniejszą z tej wiązanki pracę „Pójdźmy za Nim”, nad którą zatrzymamy się dłużej, przedstawia ona bowiem interes szczególny dla wielbicieli talentu Sienkiewicza, wobec jego w *Gazecie polskiej* zapowiedzi, napisania całej epepei z czasów pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Bohaterką w „Pójdźmy za nim” jest Antea, córka greckiego filozofa, Tymona, i sama filozofka; zjawia się ona dość późno na scenie,—kilka pierwszych rozdziałów bowiem autor poświęcił Kajusowi Cynnie, patrycyuszowi i legioniście rzymskiemu, człowiekowi, znającemu zarówno twarde życie obozowe, miękką rozkosz użycia, jak i szlachetne przyjemności odczuwania prozy Cycerona lub wiersza Horacego; stracił majątek i poszedł na urząd do Aleksandryi,—nudził się i myślał o samobójstwie. Jest to typ przeżytego i przerwiniowanego człowieka starożytności. W Aleksandryi poznaje Cynna filozofa greckiego, Tymona, do którego się przywiązuje, i córkę jego, Antegę, którą kochać zaczyna głęboką i wielką miłością, i żeni się z nią. Od tej chwili Antea wysuwa się na pierwszy plan w nowelli, prowadzi akcję, a rola Cynny

ogranicza się do ciągłego dogadzania i ustawicznej troski o swoją ukochaną.

Wszyscy troje: Antea, Cynna i Tymon, trzy najprzedniejsze kwiaty ówczesnej cywilizacji, w głębi dusz posiadają zatajony jakiś niepokój, wszyscy czują, że ich wiedza nie obejmuje jeszcze „wszystkiego,” że jest coś po-za nią, czego nie znają, o czym im ich przecucie mówi niewyraźnie. Każde też z nich cierpi na swój sposób. Cynna znalazł niepokój ów na dnie użycia, Tymon na dnie nauki. Cynna „miał takie uczucie, jakby czegoś zaniechał—i to czegoś najważniejszego. Nie wiedział jednak, co to jest, i próżno łamał sobie nad tem głowę. Nieraz próbował się z tych rozmyślań i z tego niepokojem otrząsnąć, próbował w sobie wmówić, że w życiu nic więcej niema i być nie może; ale wówczas niepokój jego, zamiast się zmniejszać, wzrastał natychmiast do tego stopnia, iż mu się zdawało, że się niepokoi nietylko za siebie, ale za cały Rzym. Jednocześnie zazdrościł sceptykom i zarazem miał ich za głupców, ponieważ twierdzili, że próżnię można doskonale wypełnić niczem. Było w nim teraz jakby dwóch ludzi, z których jeden zdumiewał się nad własnym niepokojem, drugi uznawał go mimowoli za zupełnie słuszny.” Oto zaś jak mówi Tymon: „Dawniej spoczynek był w bogach, dziś wiara w bogi wypaliła się, jakby oliwa w lampie. Potem sądzono, że filozofia będzie dla dusz słońcem prawdy—dziś, jak sam wiesz najlepiej, na jej gruzach, i w Rzymie, i w Akademii w Atenach, i tu, siedzą sceptycy, którym zdawało się, że wnoszą spokój, a wniesli niepokój. Bo wyrzec się światła i ciepła jest to zostawić dusze w ciemności, która jest niepokojem. Więc, wyciągnąwszy ręce przed siebie, szukamy po omacku wyjścia...” Kiedy Cynna go zapytuje: „Więc jakż jest różnica pomiędzy tobą a sceptykami?” Tymon odpowiada: „Sceptycy godzą się na ciemność, ja zaś w niej się męczę.” I jak prawdziwy filozof mówi Tymon dalej: „Bo dziwna rzecz, ale czasem mi się wydaje, że gdyby świat nie mieścił w sobie nic więcej nad to, co wiemy, i gdybyśmy niczem więcej być nie mogli nad to, czem jesteśmy, to by nie było w nas niepokojem... Tak więc w chorobie czerpię nadzieję zdrowia... Wiara w Olimp i filozofia zmarły, ale zdrowiem może być jakaś nowa prawda, której nie znam.” Antea cierpi również na ten brak nowej prawdy, cierpienie to jednak u niej objawia się w sposób fantastyczny. Oto zapada ona na zdrowiu i miewa straszne widzenia, które wypijają z niej życie. Zazwyczaj o południu, kiedy „cień leży tuż u nóg człowieka, niby osunięta z ramion szata,” zjawia się Hekate, z twarzą trupią, żółtą, suchą, i pociąga ją jakąś magnetyczną siłą w „mrok, pełen tajemnic i lęku.” Cynna, który nie wierzy w bogi, ale wierzy w czary, sprowadza do niej wszystkich szarlatanów. Gdy ci jej nie pomogli, a chora ma się gorzej, wywozi Cynna Anteę, za poradą pe-

wnego sławnego lekarza żydowskiego, „tam, gdzie demony nie mają przystępu i gdzie powietrze jest suche, zdrowe” — do Jerozolimy. Cynna dąży tam z ukochaną, tem chętniej, że prokurator Judei, Pontius Pilatus, jest przyjacielem jego. Prokurator przyjął ich z otwartemi rękami i oddał im na mieszkanie swój dom letni.

Było to w roku 33 naszej ery, przedświątami Paschy. Prokurator, dbały o rozrywkę swoich gości, zawiadomił ich pewnego dnia, że dziś umrze na krzyżu trzech ludzi. „Nie jest to igrzysko, mogące z cyrkiem rzymskim iść w zawody, ale lepsze to, niż nic. Przytem, z powodu Paschy, napłynęła do miasta zgraja najdziwaczniejszych drapieżców z całego tego kraju. Możecie się przypatrzeć temu ludowi. Każę wam dać wyborne miejsce w pobliżu krzyżów. Mam nadzieję, że skazani będą umierali odważnie. Jeden z nich, dziwny człowiek: powiada się być Synem Bożym, jest słodki, jak gołąb, i naprawdę nie popełnił nic takiego, przez coby zasłużył na śmierć.”

Antea poszła na to widowisko, i stała się z nią ta przemiana, która się dokonała w duszy ludzkości całej.

I oto Sienkiewicz prowadzi nas na Golgotę. „Na wysokiej płaszczynie stały już tu i owdzie małe gromadki ludzi, które uprzedziły pochód, mający wyruszyć z miasta. Słońce rozświecało szerokie kamienne przestrzenie, puste, jałowe i smutne. Jednostajną perłową ich barwę przerywała tylko czarna sieć rozpadlin i załamań, tem czarniejsza, im bardziej sama płaszczyna była zalana światłem. W dali widać było wynioslejsze wzgórza, równie puste, przysłonięte błękitną mgłą oddalenia. Niżej, między murami miasta a płaskowzgórzem Golgoty, leżała równina, spiętrzona gdzieniegdzie skałami, mniej pusta. Tam ze szczelin, w których zebrało się nieco urodzajnej ziemi, wyglądały figi o liściu rzadkim i ubogim. Tu i owdzie wznosiły się budowle o płaskich dachach, poprzyklepiane nakształt gniazd jaskółczych do kamiennych ścian, lub, świecąc zdala w słońcu, biało malowane groby. Obecnie, z powodu blizkich świąt i napływu mieszkańców prowincyi do miasta, powznoszono bliżej murów mnóstwo szałasów i namiotów, które tworzyły całe obozowiska, pełne ludzi i wielbłądów.” Antea jest tu, Cynnę mając przy boku, kilkoma żołnierzami rzymskimi otoczona dla bezpieczeństwa, w lektyce ubranej kwieciami młodych hiacyntów i jabłoni. Słyszała już trochę od Pilata o dziwnej nauce Nazarejczyka, który mówi do uciśnionych, iż krzywdy należy przebaczać, a do tryumfatorów, że błogosławieni są cisi i pokornego serca. I w tym świecie, gdzie wielu ludzi umierało tak spokojnie, „jak gaśnie stos pogrzebowy, w którym się drwa wypaliły”, nikt dotąd jednak „nie błogosławił śmierci, nikt nie umierał z niezachwianą pewnością, że dopiero po-za stosem lub grobem zaczyna się prawdziwe istnienie i szczęście, tak potężne i nie-

skończone, jakie tylko istota wszechmocna i nieskończona dać może. A właśnie Antea wiedziała, że umrzeć musi—„i zdejmował ją żal niezmierny.” Śmierć bowiem dla niej była „porzuceniem Cynny, ojca, świata, kochania,—pustką, zimnem, nawpół nicością, mrokiem”. I nagle, niczego od śmierci się nie spodziewając, usłyszała, że ona dać może wszystko.

Antea jest grecką duszą, rozwiniętą w wysokiej helleńskiej cywilizacji. Zetknięcie zaś greckiej kultury, tak bogatej w pierwiastki krytyczne, z prostą wiarą chrześcijańską, pozostać musiało bez wpływu na pierwszą i starożytny Grek z pierwotnym chrześcijaninem mogli tylko się rozejść, nie porozumiawszy się, jak święty Paweł i członkowie areopagu ateńskiego Świat grecki ze swoimi filozofami musiał się naprzód do grobu położyć, aby prawdziwe światło wiary rozlać się mogło po całym dawnym świecie. Ale Antea jest kobietą umierającą, jest duszą chorą i zrozpaczoną, w tym też szczególnym wypadku mogło stać się inaczej. I oto Antea zobaczyła Nazarejczyka, jak „szedł w narzuconym na wierzch odzienia purpurowym płaszczu i w ciemnowej koronie, z pod której kolców wydobywały się krople krwi; jedne ściekały mu zwolna po twarzy, inne skrzepły tuż pod koroną, w kształt jagód dzikiej róży, lub koralowych paciorków; blady był, posuwał się zwolna chwiejnym, osłabionym krokiem; szedł wśród urągowiska cizby, jakby w zaświatowem zamyśleniu pogrążony, jakby oderwany już od ziemi, jakby niebaczny na okrzyki nienawiści, lub jakby nad miarę ludzkich przebaczeń przebaczący i nad miarę ludzkiej litości litościwy, bo już nieskończonością ogarnięty, już nad ludzkie zło wyniesiony, cichy bardzo, słodki i tylko ogromem smutku całej ziemi smutny.” I wyszeptala drżącymi ustami: „Prawdę jesteś.”

Odczuwając wielkość zadania, Sienkiewicz włożył całą moc talentu swojego w rozdział, opisujący Mękę Pańską. To też siła plastyki i bogactwo kolorów jest tu nieporównane. Oto pochód naprzykład, który „szedł początkowo długim korowodem, ale rozlewał się jak rzeka, w miarę jak postępował naprzód. Po bokach uganiały się roje dzieci. Pochód mienił się i pstrzył od białych opończy, od szkarłatnych i błękitnych chust kobiecych. W środku połyskiwały zbroje i dzidy żołnierzy rzymskich, na które blask słoneczny rzucał jakby latające promienie.” A dalej: „Pierwsze przybyły dzieci, przeważnie chłopcy, pół nędzy, poprzewijywani szmatami w biodrach, z wystrzyżonymi głowami, prócz dwóch pęków włosów przy skroniach,—smagli, o żrenicach prawie błękitnych i wrzaskliwej mowie.” Aż i „wzniesienie zaroilo się od różnorodnej tłuszczy. Twarze były po największej części rozpalone rękami i nadzieją widowiska. Na żadnej nie było śladu litości. Ludzie rozmawiali tu z sobą, jakby się chcieli na siebie rzucić; nawoływali

się, jakby szło o ich ratunek, spierali się, jak-by ich odzierano ze skóry." Potem nadeciągają teokraci żydowscy, Hanaasz „z twarzą sępa, z oczyma w krwawych obwódkach," ocieżały Kajafa i cały tłum faryz-euszów.

Kiedy już rzymscy żołnierze swoją katowską pracę ukończyli, nadeszła burza. „Tymczasem owe obłoki, które od rana wytaczały się na widnokrag, przysłoniły słońce. Odległe wzgórza i skały, świecące w blasku, zgasły. Świat zmierzchnął. Złowrogi, miedziany mrok ogarnął okolicę, i w miarę, jak słońce zasuwało się głębiej za zwały chmur, gęstniał coraz bardziej. Rzekłbyś, że ktoś z góry przesiewał na ziemię czerwoną ciemność. Gorący wiatr uderzył raz i drugi, potem ścichł. o wietrze stało się parne. Nagle i owe resztki rudawych blasków czerniały. Posępne, jak noc, chmury, poczęły się przewracać i posuwać nakształt olbrzymiego wału ku wyżynie i miastu. Szła burza. Świat napelniał się niepokojem." Groza rośnie co chwila. „Grzmot zbudził się, wstał, przetoczył się ze straszliwym łoskotem od wschodu na zachód, a potem, jakby zapadał w bezdenne przepaści, odzywał się niżej i niżej, to cichnąc, to wzmagając się, w końcu huknął, jak grom, aż iemia zatrzęsała się w posadach." Aż i głosy, pełne niepokoju i trwogi, odzywać się poczynają. „Ziemia zadrżała"—powiada jeden. A inny rzucił przerażonym głosem zapytanie: „Azali nie sprawiedliwego ukrzyżowano." W czasie tych gromów umarł na krzyżu Nazarejczyk i kiedy wróciła pogoda, „głowa Jego opadła nizko na piersi, blada, jakby woskowa, a powieki miał zamknięte i zsiniałe usta." Tłuszcza nastraszona—wobec powrotu światła i widoku tej śmierci odzyskała spokój i wolać zaczęła szydyczko: „Zejdź z krzyża! zejdź z krzyża!" A tymczasem „wypogadzało się coraz bardziej. Wzgórza były jeszcze w mgłę, ale nad wyżyną i miastem niebo oczyściło się zupełnie. „Turris Antonia" błyszczała w słońcu, jaśniejac sama nakształt słońca. Powietrze uczyniło się świeże i rojne od jaskółek." Jest to karta, która na zawsze pozostanie w naszej literaturze, a która na tymczasem stanowi jeszcze jeden dowód potężnych środków talentu Sienkiewicza.

W. KOSIAKIEWICZ.

Bolesław Wilczyński. „Historja muzyki w krótkim zarysie." Warszawa, 1894.
Nakład Gebethnera i Wolffa.

Brak dobrego podręcznika, streszczającego dzieje muzyki powsze-
j, oddawna już dotkliwie odczuwać się dawał w piśmiennictwie

naszem. Mieliśmy wprawdzie dwa dzieła ten przedmiot traktujące, oba jednak nieodpowiadały swemu zadaniu: „Historia muzyki” Łady (Warszawa 1861) — jako owoc nazbyt płytkiego dyletantyzmu, przepełniona mnóstwem błędów rażących, i „Zarysy historii muzyki” Brendla, w przekładzie W. T. (Lipsk, 1866) — z powodu szczupłości rozmiarów książki, zamykającej na 45-ciu kartach całą historię muzyki, od jej zaczątków aż do 1866 roku.

Dobłą więc w zasadzie miał myśl p. Wilczyński, wydając swą „Historię muzyki.” Szkoda tylko, że ją wzorował na kompilacjach autorów dawnych, i bynajmniej nie pierwszorzędnych; że lekcewał się zdobycze najnowszych badaczy dziejów muzyki powszechnej; że więc *nową* książkę w wiele *starych* błędów zaopatrzył, i tym sposobem pozbawił ją jednej z cech najważniejszych: świeżości.

W krótkim przedśłowiu autor wyznaje, że swe dzieło wzorował w części na Reissmannie i Marcillac’u. Otóż obaj ci autorowie nie mogli dobrze przysłużyć się p. Wilczyńskiemu. Marcillac (um. 1876) dlatego, że nie jest powagą i że w swej „Historii muzyki” nie zamieścił historii muzyki starożytnej; Reissmann zaś, że jest autorem dzieła napisanego przed 30-tu laty, a więc starego.

Kto posługuje się starymi jedynie dziełami, nie wie zwykle nic o rezultacie najnowszych badań, na polu historii muzyki dokonanych. Stąd też w dziele p. W. niema najmniejszej wzmianki o muzyce assyryjskiej i babilońskiej, o której dowiedzieliśmy się wiele ciekawych szczegółów z odkryć dokonanych przez Layarda, Rawlinsona i innych assyriologów, na gruzach Kujundżyku, Niniwy lub Korsabadu; o muzyce zaś starochińskiej, indyjskiej, hebrajskiej podaje autor bądź nie-dokładne, bądź też tylko anegdotyczne wiadomości.

Muzyka grecka treściwie i względnie dobrze jest opisaną, równie jak systemata św. Ambrożego i Grzegorza W-go.

I tu wszakże nie brak zdań niekrytycznych lub fantazyjnych, na przykład: „że Hebrajczycy i Grecy byli pierwszymi wyznawcami chrystyanizmu, stąd hebrajską poezję psalmiczną najlepiej wyrażać mogły formy *greckiej śpiewności* (?), czyli tak zwane neумы” (str. 16). Widocznie pan W. zdaje się nie wiedzieć o tem, że neумы są wytworem wieków średnich, że Grecy najmniejszego nie mieli o nich wyobrażenia, że więc neumów nie można uważać za jakieś „formy greckiej śpiewności.”

W rozdziale: „Rozwój pisma nutowego” (str. 35), p. W. twierdzi, że „neумы (rozpowszechnione za Grzegorza W-go) *ustalały* pojedyncze dźwięki melodyi.” Jest to twierdzenie nawskróś błędne. Neumami zwano *nie nuty*, lecz pewien rodzaj metody pogładowej w formie znaków (przypominających stenografię dzisiejszą), oznaczających pewne

połączenia tonów, ligatury, kierunek melodi, nawet ekspresję i t. p. Kreski idące w górę oznaczały wznoszenie się rysunku melodyjnego, idące zaś na dół—spadek melodi. Takie neumy (pierwotne) mogły tylko utrwać jako tako w pamięci śpiewaka *dobrze mu już znaną melodyę*; a *vista* bowiem nikt nigdy nie mógł czytać neumów, i nikt też dziś odcyfrować ich nie zdoła dokładnie. Wówczas dopiero, kiedy neumy zaczęto pisać na liniach, mogli kompozytorowie *ustalać* dźwięki.

Rozdziały następne dobre dać mogą czytelnikowi pojęcie o rozwoju muzyki instrumentalnej, operowej i oratoryjnej; są bowiem jasno i dość dokładnie opracowane. Niektóre wszakże daty w życiorysach sławnych muzyków p. W. podaje fałszywie. I tak: Bach umarł 28 nie 30 lipca, Mozart urodził się 27 nie 26 stycznia, Beethoven umarł 26 nie zaś 24 marca, Auber urodził się nie 1780 lecz 1782 r. i nie w Paryżu lecz w Caen i t. p.

Mimo tych błędów i mimo niektórych zdań zbyt ryzykownych, czy też dziwacznych, jak np. twierdzenie, że Bach opierał swe sonaty na *starym* kontrapunkcie (jakby po Bachu wynaleziono kontrapunkt *nowy*) — biografie kilku muzyków, zwłaszcza też najpierwszych przedstawicieli kierunku romantycznego w muzyce: Webera i Schuberta, czyta się z wielką przyjemnością. Autor bowiem, oprócz szczegółów biograficznych, bardzo dobrą podaje charakterystykę ich działalności artystycznej, oraz zdrowy pogląd estetyczny na wybitne znamiona sztuki nowożytnej: sensualizm muzyczny i romantyzm, uprawiany na gruncie realistycznym.

Najgorzej obszedł się p. W. z Beethovenem i kilku innymi geniuszami czasów najnowszych. O Beethovenie mówi, że „ojciec jego, kantor *kaplicy* (zam. kapeli, orkiestry) elektora kolońskiego, wy dobył przymusem talent z dziecka, które do muzyki najmniejszego pociągu nie okazywało” (str. 152).

Jest to frazes pusty i niezgodny z prawdą. Beethoven od dzieciństwa wielką skłonność okazywał do muzyki, o czym świadczą biografowie nowsi. Zresztą, ojciec jego nie mógł „przymusem wydobywać talentu z dziecka”, choćby dlatego jedynie, że sam zbyt marnym był muzykiem. To tylko jest prawdą, że, będąc gburem i pijakiem, ostro się z synem obchodził i zmuszał go do zbyt częstego ćwiczenia się na skrzypcach i klawikordzie; pragnął bowiem wyzyskiwać jego talent wirtuozowski.

Jest to wszakże nie nieznaczący jeszcze błąd biograficzny, w porównaniu ze zdaniem p. W. o dziełach Beethovena, pochodzących z najlepszej, ostatniej epoki jego działalności artystycznej. „Rok 1810 (mówi p. W. na str. 155) jest *ostatnim* rokiem jego najświetniejszej działalności artystycznej. Odtąd poczyna się owa twórczość zagad-

kowa, olbrzymia treścią wewnętrzną, lecz tem *slabsza* (!) ze strony formy, twórczość, której źródłem były zwiększone cierpienia i zawody, brak trzeźwości (??) i panowania nad sobą." I dalej: „pod koniec traci Beethoven równowagę estetyczną i zaniedbuje piękność formy dla roz-wlekłej i niejasnej fantazyi." Na str. 157: „u Beethovena każdy objaw liryzmu zamienia się na scenę dramatyczną, i *dlatego* w formach jego kompozycyi *niema* (wyraźnie napisano: „niema”)melodyi skończo-nej" (!!). Dalej: „romanse jak „Adelaida" i inne, instrumentalne (a więc i sławne skrzypcowe z *G* i *F-dur*), nie udawały się mistrzowi!" Takie to zdanie o Beethovenie wygłasza w końcu XIX w. *profesor* warszawskiego Instytutu muzycznego! Taki sąd wydaje nauczyciel estetyki i historii muzyki o „Ruinach Aten", *Missa solennis*, „Egmoncie", 7-ej, 8-ej, 9-ej symfonii, i ostatnich kwartetach Beethovena, oddawna już uznanych przez wszystkich krytyków europejskich za najprzedniejsze arcydzieła wielkiego symfonisty! O innym gieniuszu, Berliozie, p. W. tak się wyraża (str. 213): „Przebiegł tedy (Berlioz) całe Niemcy, darząc słuchaczy szumnemi programami koncertów i *umawiając w nich* że jest drugim Beethovenem. Żaden mistrz niemiecki nie odważył się na podobny *szarlatanizm* w koncertowaniu; Beethoven zaś nigdy nie myślał o wprowadzeniu do muzyki stylu imitacyjnego" (!?) i t. p. Dalej (str. 215): „nielogiczność toku melodyjnego i niezwiązość części składowych, zgoła najfantastyczniejszy nieład kompozycyi, świadczący aż nadto o niedostroju władz estetycznych u mistrza."

Śluchajmy teraz, co mówi p. W. o Verdim na str. 228: „Po Bellinim i Donizettim występuje mistrz, który *odarł* sztukę z jej skarbów i okazał w całym obnażeniu kalectwo sceny włoskiej — jałowość pod względem poezyi i zmysłowy nastrój liryzmu. Mistrzem tym jest Józef Verdi." Na str. znów 229, p. W. twierdzi, że Verdi „nigdy nie pozyskał uznania krytyki *wyższej*", że „słabym jest harmonistą, używa orkiestry nie dynamicznie, lecz jako budulcu grubego", że „jego muzyka jeśli nie przejmuje wstrętem (!!), to obniża poziom estetycznych zadowoleń słuchacza" i t. d.

Książkę p. W. uzupełnia rys historyczny muzyki ruskiej, wzmianka o muzyce czeskiej i rys historyczny muzyki polskiej. Są to wzmianki w części błędne, w części niedokładne. I tak: na str. 260 p. W. utrzymuje z całą naiwnością, że Górnólka odznaczył się *dwiema* kompozytami: „muzyką do psalmów Kochanowskiego i... psalterzem." Na str. 264 autor po staremu utrzymuje (co już sprostowali Karasowski i Niecks), że Chopin kształcił się w Warszawie kosztem Antoniego Radziwiłła, autora *oper*y (?) „Faust", że Żywny napróżno usiłował pokonać w nim wstręt do Bacha (wiadomo, że Bach był ulubionym kompozytorem Chopina); że Moniuszko kształcił się u Rungenhagena

trzy lata (tylko półtora roku), a „Hrabinę”, arcydzieło prawdy, wdzięku i dowcipu, wykończył *tak doskonale*, jak wykończył Mozart swego „Don Juana”, i t. p.

Po przeczytaniu książki p. W., takie w myśli zrodzi się przypuszczenie: Przed laty tyłu a tyłu, p. W., wzorując się na autorach dawno już zapomnianych, i sądach starych krytyków nie od dziś już lekceważonych, napisał „Historję muzyki”, poczem, zadowolony ze swego arcydzieła, zasnął snem sprawiedliwego. Spał lat kilkadziesiąt, a po obudzeniu się, wydał swą pracę. Tymczasem, w czasie tej długoletniej jego drzemki, ważne zaszły wypadki w świecie muzycznym: Beethovena, Berlioza, Verdiego (który oprócz oper wyliczonych przez p. W., zdołał napisać jeszcze „Otella”, „Falstaffa” i „Requiem”), nawet krytyka „wyższa” uznała już za gieniuszów. Dużo w tymże czasie napisano dobrych monografi i biografii muzyków znakomitych, wiele błędnych zdań sprostowano lub uzupełniono. Urodziło się też wielu genialnych kompozytorów, o których p. W., śpiący za wszystkich siedmiu braci śpiących, nic naturalnie nie mógł wiedzieć, naprzykład: o Brahmsie, Raffie, Goldmarku, Kielu, Saint-Saënsie, Offenbachu, Massenecie, Delibesie, Griegu, Svendsenie, Dworzaku, Czajkowskim, Ponchiellim, Boïto, Mascagnim, Leoncavallu, Puccinim i wielu innych (nie mówiąc już o dzisiejszych naszych kompozytorach), o których najmniejszej niema wzmianki w dziele pana W., mimo że nosi ono datę 1894 r., i że omawia także „muzykę nowoczesną.”

Co się tyczy stylu w pracy p. W., ten razi pretensjonalnością i często wielką niejasnością. Nie brak też i dziwolągów językowych, jak np. „Bellini *obuczał się* muzycznie w konserwatorium neapolitańskim” i t. p.

Wogóle, „Historja muzyki” p. Wilczyńskiego jest przeważnie kompilacją niekompletną różnych autorów podrzędnych, opracowaną niezbyt starannie, i—co gorsza—uzupełnioną poglądem indywidualnym autora na historję rozwoju muzyki i jej wybitniejszych przedstawicieli, zgoła nielicującym z rezultatem najnowszych badań, na polu dziejów muzyki dokonanych.

ALEKSANDER POLIŃSKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Miesiąc ubiegły miał ciekawe „dalsze ciągi“ spraw, rozpoczętych poprzednio w Niemczech, w Austrii, we Włoszech, w Serbii i gdzie-indziej; ale wykazał się też i czemś zupełnie nowem. Tą nowością jest—dymisya Gladstone'a.

Już w początku lutego, podczas pobytu Gladstone'a w Biaritz, zaczęły obiegać pogłoski, że z powodu słabości wzroku zamierza on ustąpić; zaprzeczano im, bo widocznie postanowienia nie były jeszcze wówczas dojrzałe. Ale dojrzewały szybko. Dziś już Anglia zbiera ich owoce. Gladstone ustąpił, miejsce jego zajął lord Rosebery, który za czasów Gladstone'a był ministrem spraw zagranicznych. Po Roseberym sprawy zagraniczne objął lord Kimberley, po Kimberleju sprawy indyjskie Fowler. Ten ostatni jest jedyną nową osobą w gabinecie drugą może będzie następcą Marleya na urzędzie sekretarza do spraw irlandzkich. Dotąd jednak nie wiadomo, kto mianowicie Marleya zastąpi, a nawet czy Marley wyjdzie z gabinetu. Mówiono, że syn Gladstone'a, Herbert, ma zostać ministrem dla Irlandyi. Twierdzono nawet, że Irlandczycy będą w tem upatrywali rękojmię dla siebie. Jeszcze się to jednak nie stało.

W rzeczywistości osłabienie wzroku nie było ani wyłącznym, ani stanowczym powodem dymisyi Gladstone'a. Choroba wzroku jest tutaj maską doznanej porażki. Prawda, że bardzo trudne dzieło przedsiębra Gladstone; ale też trudności te zmogły go. Kiedy bil irlandzki został odrzucony przez izbę lordów, Gladstone znalazł się w pozycji bez w

ścia. Miał zobowiązania względem Irlandczyków i nie mógł poprzestać na prostem złożeniu sprawy do akt; nie mógł jednak posuwać jej na przód. Zrobił on niezawodnie bardzo wiele, że stworzył większość dla swoich planów irlandzkich, że tę większość skłonił do przyjęcia bilu irlandzkiego za pierwszy punkt w programie kampanii i że przeprowadził zwycięsko bil przez izbę gmin. Ale na tem skończyła się jego twórczość i wyczerpały się jego siły. Stronnictwo zaczęło się zastrzeżać. Część jego nie zgadzała się na rozwiązanie izby gmin, które byłoby jednym z możliwych dalszych epizodów walki o autonomię irlandzką; część inna przeciwna była powtórnemu wnoszeniu bilu do izby gmin, jako niepotrzebnej stracie czasu, który powinien być teraz użyty na inne reformy liberalne. Czy oprócz tych dwóch sposobów dał-by się znaleźć jeszcze jaki trzeci, nie wiemy. Gladstone jednak osądził, że albo trzeciego już niema, albo, że jakkolwiek jeszcze wynalazł-by sposób, zawsze trafił-by na nieprzewyciężone opory. Tak to wygląda, jakby stronnictwo liberalne, jeśli nie zupełnie się zniechęciło do *home rule'u* (o to nie trzeba go posądzać), to jednak chce trochę po walce irlandzkiej odpocząć przez zajęcie się innemi sprawami. Gladstone czekać ani odkładać nie mógł, bo miał inne zobowiązania, a i pragnienia może inne. Wobec takich warunków nie pozostawało mu nic innego, jak usunąć się. Wziął dymisyę pod pozorem choroby oczu, która przy szczęśliwszych okolicznościach nie przeszkodziłaby mu zapewne dalej zostawać na czele rządu. Ale tymczasem ster państwa przeszedł w ręce człowieka, nie mającego żadnych osobistych zobowiązań względem Irlandczyków.

Jakie będą stąd następstwa, określić w tej chwili niepodobna. Ustąpienie Gladstone'a niezawodnie znaczy tyle, co klęska — na razie przynajmniej—jego polityki irlandzkiej. Ale co będzie dalej? Czy obóz liberalny całkiem się myśli o parlamencie irlandzkim wyrzeknie, czy tylko sprobuje zdobywać go przez jakiś energiczny zamach na egzystencyę izby lordów? Jak się ułożą stosunki w stronnictwie liberalnem, i jak nareszcie zamanifestuje się przy najbliższych wyborach opinia publiczna? Tego wszystkiego w tej chwili nie wie zapewne sam lord Rosebery. Nastąpił okres przesilen i wypadnie niedługo obecną izbę gmin rozwiązać. Bo lord Rosebery nie znajduje w stronnictwie tych warunków, które-by pozwoliły spodziewać się zgodnego i karnego działania. Zarzucenie polityki irlandzkiej Gladstone'a odrazu burzy większość obecną, bo Irlandczycy zaraz przeszli-by do opozycyi; kontynuowanie tej polityki zaś jest połączone z trudnościami, o które rozbił się Gladstone i do których przewyciężenia lord Rosebery ma pod wielu względami mniej warunków, niż miał Gladstone. Chyba, żeby lord Rosebery potrafił nawiązać stosunki z unionistami i sprowadzić

ich napowrót pod dach liberalizmu z tych ścieżek błędnych, po których chodzą od czasu zerwania z Gladstone'em. Wtedy równowaga wewnętrzna wigów na innych oparła-by się podstawach, niż widzimy dzisiaj. Obóz ten wyzwolił-by się z „niewoli irlandzkiej“ i z zależności od skrajnego swojego skrzydła. Na to trzeba-by jednak, żeby lord Rosebery umiał sformułować taki plan reform dla Irlandyi, który-by nie wydawał się za skąpym dzisiejszym Gladstone'czynom a przytem nie był za hojny w oczach unionistów. Zadanie bardzo niełatwe, ale bardzo potrzebne.

W polityce zagranicznej Anglii przez zmianę osoby naczelnika rządów nie zajdą żadne zasadnicze zmiany. Lord Kimberley uchodzi za najstosowniejszego po Roseberym kierownika polityki zagranicznej Anglii w całym stronnictwie liberalnem. Jest przytem bardzo wielkim miłośnikiem pokoju.

We Włoszech przesilenie posunęło się o tyle ku rozwiązaniu, że rząd wniósł do izby dwa wielkie projekta. Pierwszy z nich zawiera program zupełnego uregulowania finansów państwa; drugi dotyczy udzielenia królowi, pod odpowiedzialnością ministrów, pełnomocnictw nadzwyczajnych do przeprowadzenia reform w administracyi. Nad obu temi projektami obradują w tej chwili komisye, wybrane przez parlament. Można o nich powiedzieć, że pierwszy jest gruntowny i śmiały, drugi—bardzo radykalny. Oba uzupełniają się. W istocie bez reformy administracyi niepodobna uporządkować gospodarstwa finansowego Włoch; a z drugiej strony bardzo mało jest prawdopodobieństwa, aby się udało zreformować administracyę przy pomocy zwykłej procedury parlamentarnej. Przez czas trwania pełnomocnictw nadzwyczajnych nie zasiadał-by parlament, który dopiero w początkach przyszłego roku zebrał-by się, żeby wysłuchać sprawozdania o tem, czego rząd dokonał. Czy była-by to dyktatura? Tak twierdzą niektórzy; jeśli mają słuszość, to tylko częściowo. Konstytucya nie uległa-by zawieszeniu reformy wprowadzone przez rząd musiały-by potem uzyskać aprobatę izby deputowanych. W danym razie zresztą kwestya leży nie w pytaniu, czy projekt rządowy wprowadził-by na pewien czas dyktaturę lub nie; ale w tem innem, czy jest on jedyną rękojmią urzeczywistnienia koniecznych reform. Rząd jest tego mianowicie zdania. Coby się stało, gdyby parlament odrzucił jeden lub oba projekta rządowe, nie wiadomo; prawdopodobnie uległ-by rozwiązaniu. Ale dotychczas Crispi jeszcze dobrze sobie wróży i ma nadzieję, że obie ustawy przejdą. W razie uchwalenia ich, Włochy wykonały-by pierwszą poważną i gruntowną próbę poprawy rzeczypospolitej.

Gabinet koalicyjny austriacki, który, jak wiadomo, przyszedł do steru po niefortunnym projekcie reformy wyborczej, wniezionym przez

hr. Taaffego, sam zaczyna teraz myśleć o reformie ustawy wyborczej. Poprzednio miano Taaffemu za złe, że przed ułożeniem projektu nie porozumiał się z przywódcami stronnictw; rząd koalicyjny zaczął też od wymiany poglądów z grupami należącymi do większości. Ale dotychczas nic dobrego z tych porozumiewań się nie wynikło. Hr. Hohenwartowi przypisują takie zdania, które i same w sobie są dość dziwne, i bardzo się nie podobały lewicy. Według relacji, zapewne niedokładnych, miał hr. Hohenwart żądać, tak samo jak gabinet, ustanowienia piątej kuryi, ale prócz tego wyborów deputacyi do parlamentu przez sejmy, ale nie całkowicie, lecz tylko w imieniu trzech wyższych kuryi, gdy dwie niższe, włościańska i piąta, wybierały-by bezpośrednio przez głosowanie. Musi w tem być jakaś niedokładność. Ważnym jest sam fakt zabrania się rządowi do reformy ustawy wyborczej.

W chwili, gdy to piszemy, głównejsze paragrafy traktatu handlowego między Niemcami i Rosyą uzyskały już aprobatę parlamentu znacznieszą nawet większością głosów, niż się rząd spodziewał. Przyjęcie traktatu całkowite jest zapewnionem.

Zanim słońce wysoko się wzniesie i ogrzeje nas, zanim pierwszy podmuch ciepła wiosennego wyciągnie tłumy do ogrodów, pod wszelkie „werendy“ i po-za miasto, skracamy sobie chwile trosk codziennych i jednostajności w salach koncertowych, na rautach, „żurfikсах“ i t. d. W świetle towarzyskim zaszczepił się u nas bardzo chwalebny zwyczaj angielski zebrań poobiednich. Zyskują na tem goście, gospodarze i wytwarza się większa łączność, a co najważniejsza—nie zrywając lub nie zaniedbując stosunków z ludźmi, oszczędzamy masę czasu na wszelkie przyjęcia wieczorne. Może to będzie pierwszy krok do należytej oceny tego, co powinno być najdroższe i co każdy Anglik uważa za równoznaczne z pieniądzem. Szkoda tylko, że jeszcze nie unieją cenić należyście czasu ci, po których najwięcej tego można się spodziewać: ludzie, zaprzątnięci obowiązkami społecznymi i w znacznej części pracą umysłową. Stąd właśnie wynika, że na różnych posiedzeniach naszych instytucyi publicznych więcej czasu pochłania teoretyczne gawędziarstwo, częstokroć nie prawie wspólnego z naszym życiem nie mające, niżeli kwestye praktyczne na dobie, których szybkie załatwienie jest konieczne. Bardzo są pouczające nieraz odczyty i pogadanki na posiedzeniach rolnych, ogrodniczych, rzemieślniczych, technicznych i t. d., to też usuwać je zupełnie było-by szkodliwą krańcowością; ale niechże panowie prelegenci, czyli gawędziarze, zechcą jędrniej obrane przedmioty opracowywać, a słuchacz na tem nietylko nic nie straci, lecz przeciwnie — wiele zyska, gdyż, nie obarczając swej uwagi nudnym balastem gadulstwa, będzie mógł łatwiej zatrzymać w pamięci sam

rdzeń rzeczy, a po-za tem nie będą odkładane z miesiąca na miesiąc ważne sprawy bieżące, bo po nałożeniu pewnego hamulca na potoczystość wymowy, na wszystko czasu wystarczy i nawet trochę więcej dla miłego snu zostanie, z którym biedni słuchacze nieraz muszą się borykać w salach obrad.

Referenci, skłonni do rozwałkowania przedmiotu, powinni brać przykład z p. Edmunda Jankowskiego, który umie niezmiernie zająć słuchacza i wiele go nauczyć w ciągu pół godziny lub trzech kwadransów. Tem się odznaczał szereg jego pogadanek, wypowiedzianych ubiegłego miesiąca w Towarzystwie ogrodniczym, i tylko żałować trzeba, że bardzo szczupła garstka słuchaczy dowiedziała się o prostych, niezbyt kłopotliwych a zyskownych sposobach prowadzenia przemysłu owocowego, który dotąd jest u nas traktowany przeważnie z lekceważeniem. Mamy piękne sady, głównie w Warszawie i jej okolicach, gdzie się usadowili najwybitniejsi ogrodnicy nasi; mamy również mnóstwo ogrodów owocowych, rozrzuconych po całym kraju, mało utrzymanych dobrze lub znośnie, a przeważnie pozostawionych w stanie na pół dzikim. Co rok ogromna masa owoców idzie na sprzedaż spekulantom za bezcen (o ile sady nie pozostają w rękach dzierżawców-niszczycieli), albo na karm dla nierogacizny, lub wreszcie jabłka, gruszki, śliwki, wiśnie opadają i gniją niezbrane. Taki stan rzeczy panuje u nas w chwili, gdy przetwórczy przemysł owocowy za granicą, szczególnie w Ameryce, stanowi imponującą gałąź produkcji, zalewającej nawet nasze rynki. Tam się nie marnują nietylko poślednie gatunki owoców, ale nawet ich odpadki, i to nie przez jakąś wyrafinowaną oszczędność, ale po prostu dlatego, że tylko przy takim całkowitem użytkowaniu produktów surowych możliwe jest racjonalne i zyskowne prowadzenie przedsiębiorstwa. Stąd powstają wszelkie sery jabłeczne, czyli chleby, powidła, jako pożywienie chętnie poszukiwane przez ludność ubogą, marmolady, galarety, susze, wina i t. d. Za oceanem naturalnie, gdzie maszyna stała się nieodłączną towarzyszką człowieka w najdrobniejszym niemal szczególe jego pracy, przemysł owocowy wkracza również w dziedzinę fabrycznego. U nas przy niewielkich środkach dały-by się użytkować dary przyrody, gdyż powyższy odłam wytwórczości wymaga nadzwyczaj prostych i niekosztownych przyrządów, które p. Jankowski pokazał słuchaczom na swoich pogadankach. Trzeba tylko trochę energii i przekonania do zalecanych działów pracy produkcyjnej, ażeby po paroletnich zabiegach wyciągnąć znaczne zyski z tego, co dzisiaj u nas leży odłogiem. Zagranica wtłacza nam co rok masę win przeróżnych i przetworów owocowych, i wzamian wysysa spore sumy z naszych kieszeni. Gdybyż to, nad czem się zachwycamy i co spożywamy

z miną wielkich znawców, przedstawiało zawsze istotną wartość. Przeważna część win francuskich i wszelkich innych, to są fabrykaty, nieraz podrabiane szkodliwie dla zdrowia. Te zaś gatunki bez domieszek trujących, za które płacimy trzy lub cztery razy drożej, niżby płacić należało, to bardzo często są wina owocowe z etykietą przednich gatunków zagranicznych, które dziś nie zaspokajają nawet dziesiątej części spożywców, pochłaniających pozornie ten produkt, gdyż w ostatnich latach winnice, szczególnie francuskie, uległy różnym klęskom, niszczącym ich zasoby naturalne.

P. Jankowski dowiódł nam, że win owocowych nie należy lekceważyć, gdyż, komu ceny imponują, może się przekonać, że dobre gatunki tych wyrobów kosztują po 8, 10—12 rubli butelka, i nie tylko nie ustępują w zaletach, ale nieraz przewyższają dobrocią trunki winogronowe.

Szkoda tylko, że pogadanki p. Jankowskiego, pomimo doniosłości przedmiotu, znalazły słaby oddźwięk w prasie. Zachęta, wypowiedziana z największym nawet darem przekonywania wobec szczupłej gromadki słuchaczy, nie wyda jeszcze pożądaných rezultatów. W każdym razie szczerze życzymy, ażeby to ziarno, rzucone w małym lokalu Towarzystwa ogrodniczego, rozrosło się bujnie i szeroko i aby w przyszłości zupełnie usunęło potrzebę posługiwania się w tym względzie wyrobami zagranicznymi.

Jakkolwiek ta granica dużo nas nauczyła, przyniosła nam niezliczoną moc pięknych i pożytecznych wynalazków, odkryć, ulepszeń i rezultatów badań teoretycznych; jednakże pomimo to wszystko, z pewnym smutkiem dowiedzieliśmy się na ostatniem zebraniu naszych ziemian w sekcji rolnej, żeśmy musieli przyjąć ofertę z Halli co do analizy gruntu. Niedawno delegacya nawozowa owej sekcji rozpisała konkurs wśród chemików tutejszych i obcych (w Warszawie, Berlinie, Halli, Poznaniu, Wrocławiu). Otóż podczas gdy nasi specjaliści wyrazili gotowość wykonania tej roboty, t. j. rozbiornu 220 próbek 1—1½-litrowych za 2,400 rs., pracownia Merkera w Halli zażądała rs. 1,012 (po 4 rs. 60 kop. za jedną próbkę). Różnica niesłychanie duża, nawet pomimo zniżenia następnie do 1,500 rs. kosztów, podanych przez chemików tutejszych. Owe prawie 500 rs. przy skromnych środkach delegacyi, to suma znaczna, tem bardziej, że obecnie poczyniono już zabiegi o założenie własnego laboratorium, a raczej przekształcenie istniejącego przy warszawskiem Muzeum przemysłu i rolnictwa.

Wobec zestawienia dwóch powyższych faktów co do warunków analizy, nasi chemicy wyszli w świetle niekorzystnym; otóż postaramy

się usprawiedliwić ich nieco, również sposobem porównawczym. Pracownia Merkera w Halli, znana w całym świecie cywilizowanym, ma nadzwyczaj przyjazne warunki rozwoju i wyrabiania sobie powagi. Oparta jest ona bowiem na znacznych zapomogach materyalnych, a nadto, pracują tam doświadczeni profesorowie pod okiem kierownika, i to nietylko swą pracę rzetelną oddają bezinteresownie, ale nawet sami za nią płacą, jako za wyborną sposobność zdobycia potrzebnej sumy doświadczeń. Jeżeli więc tacy ludzie czynią rozbiory, muszą one być dokładne; przytem, jakieśmy widzieli, są tanie, dzięki właśnie powyższym warunkom materyalnym. Nasze zaś laboratoria chemiczne nie mają żadnego poparcia pieniężnego, nie mają takich pracowników *bezpłatnych*, a nawet *płacących*. Przy kosztownych więc środkach rozbiorów trudno wymagać od nich, ażeby swą pracę ofiarowali na usługi naszym rolnikom z własną stratą, za tę samą cenę, co pracownia Merkera. Jeżeli nasi, przynajmniej zamożniejsi rolnicy, poprą zabiegi około stworzenia własnego laboratorium, które odpowiadało-by wszelkim potrzebom, wtedy warunki analizy niewątpliwie będą przystępniejsze.

Z przyjemnością zaznaczamy fakt, że w tej mierze daje się już spostrzegać ruch na drodze praktycznej. Delegacya nawozowa poczyniła starania około stworzenia stacyi doświadczalnej, która była-by niejako uzupełnieniem Sobieszyńskiej, a z projektowaniem laboratorium chemicznem w Warszawie tworzyła-by jedną grupę działań. W tym celu interesowani zwrócili się o pomoc do hr. Ksawerego Branickiego i naturalnie otrzymali ją w zupełności. Mielśmy sposobność niedawno w tej sprawie mówić z szanownym właścicielem Willanowa i z tej rozmowy nietylko wynieśliśmy przekonanie, że nowa stacya nie jest projektem niepewnym, ale nadto, dowiedzieliśmy się, że hr. Branicki sam osobiście tą sprawą żywo się interesuje i chętnie przeznaczą na ten cel grunt w folwarku Służewie, prócz tego ofiaruje stałą pomoc pieniężną. Tym sposobem parę tysięcy rocznej zapomogi, tudzież ofiary przyrzeczone przez innych możnych ziemian, wpłyną na podniesienie strony teoretyczno i praktyczno-naukowej w naszym rolnictwie i na jego całą kulturę podziałają dodatnio. Taka ofiara jest rzetelną usługą obywatelską, którą ogół potrafi należycie ocenić.

Jednym z zasadniczych warunków powodzenia rolnictwa jest dogodna komunikacya, o której brakach u nas wiele dało-by się powiedzieć. Wobec tego na uznanie zasługiwało-by stworzenie delegacyi drogowej, gdyby w jej łonie nie zaszedł rozdzźwięk, który nie pozwolił jasno sformułować programu działalności i tem samem doprowadzić do

praktycznych wyników. Jak wiadomo, dawniej istniały „komitety obywatelskie“, których obowiązkiem było tworzyć nowe drogi kołowe i czuwać nad stanem zbudowanych. Organizacya ta, dziś już nie istniejąca, zaznaczyła działalność bardzo korzystną. Po klęskach głodowych władza w pewnej mierze przywróciła owe komitety, którym powierzono w gub. Warszawskiej w r. 1892 wszystkie roboty około utrzymania dróg szosowych. Za przykładem tej gubernii poszły inne w Królestwie. Otóż delegacya mniema, że i nowe roboty, dla uzupełnienia nieskończonych, będą powierzone komitetom, przy umiejętnem zaś ich prowadzeniu, można zaoszczędzić 20—25% z sum kosztorysowych; a gdyby jeszcze temu organowi poruczono nadzór nad wszelkimi robotami drogowymi (z osobnego podatku), nadto, gdyby przy udziale inżynierów mógł on projekta i kosztorysy swoje przedstawiać do zatwierdzenia i wykonywać je, oszczędność wzrosła-by do 33%, co znowu dało-by możność uporządkować wszystkie drogi pierwszorzędne w ciągu lat kilku. Delegacya atoli wyraźnie zaznacza swoją niechęć do zwiększania funduszów za pomocą podatków, gdyż to, zdaniem jej, obarczyło-by zanadto własność ziemską. Skutkiem tego w podawnych projektach widzimy tylko półśrodki, które nie prowadzą do pożądaných rezultatów.

O wiele więcej mają stanowczości uwagi i wnioski p. Ujazdowskiego, który właściwie był głównym inicjatorem sprawy drogowej i poruszył ją jeszcze przed dwoma laty. Dotąd wszakże, pomimo wielkiego znaczenia, spoczywała ona przez długi czas w zapomnieniu. P. Ujazdowski jest wielkim zwolennikiem inicjatywy prywatnej i powołuje się na popieranie jej przez rząd, nadto uważa za rzecz najszybciej prowadzącą do celu przywrócenie opłaty drogowej, istniejącej od r. 1838. Utworzyło-by to fundusz na budowę dróg bitych, wykonywanych sposobem gospodarczym przez komitety, lub przez prywatnych przedsiębiorców, za pożyczone z banku pieniądze. W ostatnich czasach prywatna działalność w zakresie budowania pomocniczych kolei żelaznych ogromnie się rozwinęła. Daje nam przykład Towarzystwo, na którego czele stoi inż. Jełowicki. Dzisiaj rozpoczęło ono już roboty w różnych częściach państwa i powołało do ruchu liczne kapitały, bezczynnie dotąd leżące. P. Ujazdowski przypuszcza, że ułatwienie działalności około budowy dróg kołowych prywatnym osobom wydało-by również bardzo pomyślne owoce, naturalnie w takim razie, jeżeli owi przedsiębiorcy będą eksploatować drogi na własną korzyść. Są atoli w tem i złe, i dobre strony. Rozwinięcie robót na szeroką skalę dało-by korzystne zarobki wielkiej masie ludności ubogiej; ale jednocześnie ludność ta obarczona byłaby podatkiem drogowym na korzyść przedsiębiorców. W każdym jednak razie, znacznie przeważyła-by suma do-

datnich rezultatów, o ile do budowy dróg nie wkradła-by się spekulacya i fuszerka.

Jak widzimy, jest chaos dotychczas w całej tej sprawie; jaśniej ona się przedsięwzięje dopiero po wprowadzeniu przepisów osobnych, o których dowiedzieliśmy się w ogólnych zarysach na posiedzeniu sekcji rolnej. Przedewszystkiem przywrócić one poniekąd działalność komitetów drogowych, t. j. nadzór nad robotami, wykonywanymi przy drogach drugorzędnych, poruczony będzie komisjom powiatowym, w których skład, między innymi, wejdzie po czterech obywateli ziemskich, znanych ze swej dbałości o dobro komunikacji (a więc charakter spekulacyjny będzie usunięty). Dla zwiększenia zaś robocizny szarwarkowej proponowane jest przyjęcie porządku, istniejącego we Francji: Każdy mężczyzna od 18 do 60 lat wieku, z wyjątkiem kalek, obowiązany jest przykładać się do budowy i naprawy dróg. Inwentarz żywy, pociągowy, wozy i powozy podlegają opłacie. Nadto mają być pociągnięte do opłaty drogowej zakłady przemysłowe w stosunku 3 rs. rocznie od siły konia parowego, maszyny i przyrządów, poruszanych elektrycznością, gazem, wiatrem lub wodą; również w takim stosunku od siły kotła parowego, gdzie para, jako motor, została zastosowana; wreszcie w stosunku 50 kop. rocznie od każdego pracującego w fabryce robotnika. Między innymi postanowiono starać się, ażeby rząd przy udzielaniu nudań na nowe koleje żelazne kładł za warunek jednoczesną budowę dróg bitych, schodzących do stacji, z normą długości, obliczaną w stosunku rozmiarów linii kolejowej. Jak widzimy, przepisy te mają na celu przekształcenie systemu gospodarczego i zwiększenie dochodu, co niewątpliwie będzie ważnym przełomem w obecnych warunkach komunikacji. Ponieważ prawidła owe mają być już wkrótce zatwierdzone przez władzę (przynajmniej tak utrzymywał p. Korzybski na posiedzeniu), więc dla rozpatrzenia ich i uzupełnienia zgodnie z potrzebami rzeczywistości wybrano nową delegację. Oby tylko pośpieszyła ona ze swą pracą a przedstawiła jasno i dokładnie potrzeby mieszkańców wiejskich!

W ostatnich dwóch miesiącach, dzięki kilku referatom i gorącym rozprawom rolników, ogromnie rozdmuchano sprawę parcelacji i likwidacji. Utworzyły się stronnictwa zwolenników i przeciwników działkowania. Jedni stanowczo potępiają ten środek, drudzy obstają za całkowitem rozparcelowywaniem majątków zachwianych i zrujnowanych, wreszcie inni (i ci może najwięcej mają racji) chcą parcelowania umiarkowanego, które pozwoliłoby upadającym rolnikom ze sprzedanej większości gruntów oczyścić się z długów i zostawić sobie cząstkę ziemi

dworskiej w rozmiarach gospodarstwa średniego. P. Jeziorański który jest żarliwym zwolennikiem tej ostatniej formy, powołuje się na zaczerpnięte z praktyki życiowej twierdzenie Kalksteina, iż tam, gdzie się skupiły wyłącznie znaczne grupy włościan, osiadłych na ziemi rozkolonizowanej, gospodarka jest niezmiernie licha, a położenie materialne ciężkie. Lud bowiem nie ma w pobliżu dobrych wzorów rolnictwa na folwarkach większych, a także nie posiada dogodnych źródeł zarobków. U nas organizacya działkowania gruntów pozostawia wiele do życzenia. Bank włościański (na co już władza oddawna zwróciła uwagę) nie odpowiada całkowicie istotnym potrzebom,—przedewszystkiem nie może on ułatwiać należycie sprzedaży i nabywania gruntów; skutkiem tego, majątki zazwyczaj nabywane są przez spekulantów na licytacyi, a potem dopiero sprzedawane z drugiej ręki włościanom w drobnych działkach. Jakże ztąd zyski mają aferzyści, dowodzą następujące fakta wymowne: Wierzyciel hipoteczny kupił dobra ziemskie, złożone z 30 dziesięcin, za 30,000 rs., po trzech zaś latach sprzedał przy pomocy Banku włościańskiego jeden tylko grunt za tę samą cenę, osobno zaś za inwentarz żywy i martwy, las, budowle, siano, słomę, konieczyne otrzymał 20,000 rs. Natomiast drobni nabywcy znaleźli się w fatalnych warunkach; otrzymali bowiem lichego gruntu, po dwa korce żyta, tyleż owsa do zasiewu i po-za tem nic. Czyż można wymagać, aby wobec tego włościanin mógł się zagospodarować i utrzymać przy ziemi nabytej? Niedawno w pow. Zamojskim sprzedano majątek Kęty, 2400 dziesięcin, za 120,000 rs., czyli po 50 rs. za dziesięcinę. Mieszczanie zaś osady sąsiedniej Frempol nabywają tę ziemię z drugiej ręki po 200 rs. za dziesięcinę, t. j. płacą cztery razy więcej. Dla czego przedtem nie udali się do poprzedniego właściciela i nie zaofiarowali mu chociażby po 100 rs. za dziesięcinę? I właściciel, i oni zyskali-byna tem więcej niż podwójnie. Nie mogli tego uczynić zapewne z tej przyczyny, że właściciel potrzebował ryczałtowej sumy, przedstawiającej chociażby piątą część istotnej wartości majątku, a na to mogli się zdobyć tylko zasobni kapitaliści, podczas gdy mieszczanie i włościanie kupują grunt drobnymi częściami i nadto żądają rozpłat, na długie terminy rozłożonych.

Obok tego zjawiska w stosunkach parcelacyjnych wyrosło inne: gromady pośredników-wyzyskiwaczy, którzy noszą popularną nazwę „parcelantów“, ofiarowują swe usługi obu stronom po-za granicami banku włościańskiego i dobre na tych spekulacyach robią interesa, z krzywdą kupujących i sprzedających.

Ażeby parcelacyę skierować na właściwsze tory, pp. Jeziorański i Kłobukowski, jako przedstawiciele organicznych potrzeb pewnej gru-

py rolników, wystąpili za pośrednictwem sekcji z wnioskiem otwarcia Banku likwidacyjnego, który byłby niejako instytucją pomocniczą dla Banku włościańskiego. Rozpatrując dokładnie obecny stan rzeczy, trzeba przyznać, że taka prywatna instytucja kredytowa była-by istotnie wielce pożyteczną, gdyby naraz wyrosła cudownie, jak grzyb pod działaniem słońca po deszczu. Brak atoli jest owego deszczu kapitałów i —słońca danych pozytywnych, które zdołały-by przekonać naszych zbyt ostrożnych i praktycznych kapitalistów. Nie zechcą oni próbować interesu niepewnego, który ładnie wygląda w teorii. Otóż wobec tego, czyby nie lepiej było, ażeby osobna delegacja, zaprzęgnięta tą sprawą, zechciała masę faktów i wniosków ująć nieco w inne ramy? Obecnie, jakeśmy rzekli, władza zwróciła uwagę na braki Banku włościańskiego i pracuje nad jego zreformowaniem. Ponieważ bank ten jest instytucją zasobną, obdarzoną licznymi przywilejami, więc o wiele łatwiej było-by czynności projektowanej instytucji likwidacyjnej wcielić do programu jego działań. Z takim wnioskiem niech delegacja spróbuje wystąpić, póki czas jeszcze.

Wskrzyszona przed paru miesiącami sekcya rzemieślnicza znacznie się ożywiła w ostatnich czasach i na porządek dzienny wysunęła bardzo ważne sprawy. W danej chwili dość szerokie zainteresowanie obudziła kwestya dopuszczenia kobiet do cechu krawieckiego. Szwaczki, patentowane przez różne szkoły rzemiosł, szukają chleba w całym niemal państwie, i z tego powodu urzędy rzemieślnicze z Cesarstwa zwróciły się do magistratu warszawskiego o jasne określenie uzdolnień, zaznaczonych w owych świadectwach. Rajcowie sekcji, którym tę sprawę poruczono do rozpatrzenia, przyjęli ją przychylnie i są przekonani, że przygarnięcie kobiet do cechu usunie fuszerkę. Bardzo było-by to piękne, ale wprzód niechaj majstrowie cechowi usuną z własnych warsztatów ową fuszerkę. Czy pracownice krawieckie wiele zyskają pod opiekuńczemi skrzydłami cechu? Będą one podlegały takim samym próbom egzaminowym i wyzwolinom, jak ich koledzy płci męskiej, będą otrzymywały tytuły majstrzyń i podmajstrzyń; ale to jeszcze mało. Wiadomo, ile niezgodnych z obecną dobą szczegółów posiada ustrój cechowy i jak mało jest wart praktykowany w jego łonie sposób egzaminowania. Przed laty ośmiu poruszano sprawę reform w tej mierze, powstała nawet osobna ankieta, opracowano nową ustawę, przekształconą z obecnej, istniejącej od roku 1816, i na tem się skończyło. Cały projekt z jego historią pogrzebano w archiwach i dopiero dzisiaj, od czasu do czasu, są odkopywane niektóre szczegóły, jako nowości. Nie podaje on wprawdzie radykalnych zmian, ale gdyby wszedł był w życie tak, jak jest, można było-by się spodziewać dal-

szych ulepszeń, zgodnych z wymaganiami chwili. Pamiętamy, poruszono wtedy ważny warunek — szkolnictwo w rzemiośle. Niech nad tą kwestyą sekcyja popracuje i poczyni zabiegi odpowiednie, jeżeli szczerze dba o podniesienie rzemiosł. W tej dziedzinie pracy jest sporo ludzi zamożnych, którzy-by mogli dopomódz rozwojowi szkół właściwych, na wzór belgijskich. W takim, jak dzisiaj, stanie rzeczy kobieta w cechu przyniesie wielki pożytek, ale majstrom, jako tania siła, swego zaś położenia nie poprawi, dopóki sam cech nie wyjdzie z granic odwiecznej formy i dopóki żądania ogółu w tych sferach, bez względu na szczeble (majstrów i czeladników), nie będą jednakowo uwzględniane. Dla kobiet, jak i dla mężczyzn, oprócz podniesienia ich fachowo, przydałaby się lepsza niż dotąd organizacya pomocy, na wypadek utraty sił, lub zniedołężnienia.

Szeregi cechowe [prawdopodobnie wkrótce się powiększą grupą ludzi, chodzących dotąd luzem. Mianowicie — kelnerzy postanowili starać się u władzy o zatwierdzenie tego rodzaju łączności, która-by pozwoliła im podnieść swą „godność wobec opinii publicznej, oczyścić swą sferę ze śmiecia wszelakiego, zbieraniny o lichej wartości moralnej. „Chcemy w swym gronie mieć rzetelnych, szanujących się i zdobywających poszanowanie, jako ludzi;—mówią inicjatorowie;—chcemy przy tem zabezpieczyć sobie przyszłość, pomoc w razie choroby, kalectwa, niedołęstwa“. Powodzenia życzymy i solidarności w przeprowadzeniu projektu owym pracownikom, których zawód istotnie najmniejszym cieszy się u nas poszanowaniem.

Jest jeszcze jedna grupa pracowników, którzy, przez całe życie dźwigając niezmiernie ciężkie obowiązki, nie mieli dotąd najmniejszej rękoi zabezpieczenia przyszłości. Są to farmaceuci, również nie cieszący się zbyt wielkiem uznaniem ogółu. Zawód aptekarski należy do najcięższych i, o ile nie jest oparty na pracy samodzielnej, stanowi wielką ostateczność dla młodzieży rozbitej przez losy życiowe. Na farmacyę idzie albo ostatni *hebes*, bannita szkolny, albo ten, któremu nie poszczęściło się w pierwszych krokach nauki, pomimo zdolności i chęci—ludzie ubodzy, którym się wydaje, że apteka stanie się dla nich rajem ziemskim w przyszłości. Że nie jest to wszakże zawód lekki, świadczy znaczna liczba „odpadających“, t. j. takich, którzy nie podołali trudnościom. Dziedzina aptekarstwa wymaga rzetelnej pracy, sporej sumy zdolności i sił fizycznych. Żaden więc *hebes* dobrym aptekarzem nie będzie, lecz na całe życie zostanie popychadłem, automatem,—„farmakiem“, objuczonym obowiązkami nad siły i wynagradzanym nie w stosunku do ciężaru tej pracy, lecz jej jakości

względnie do interesów właściciela apteki. Owa praca nad siły wszelkich praktykantów i pomocników aptekarskich stała się przysłówiową, a brak jakiegokolwiek zabezpieczenia bytu na przyszłość dotychczas przedstawiał najcienniejszą stronę życia tego odłamu pracowników. Dopiero w ostatnich czasach nasze Towarzystwo farmaceutyczne pomyślało o swej armii roboczej. Adwokat Emil Weidel, przy współudziale komisji, złożonej z aptekarzów, pp. J. Habielskiego, A. Manduka, L. Popiela, A. Schmidta i T. Wróblewskiego, opracował ustawę kasy przeczności i pomocy dla farmaceutów. Projekt ten, ostatecznie wykonany, Towarzystwo przyjęło i niedawno przesłało wyższej władzy do zatwierdzenia.

Doroczne sprawozdanie Towarzystwa farmaceutycznego przedstawia całokształt jego działalności, która pod wielu względami za rok ubiegły bardzo dodatnio się zaznaczyła. Przedewszystkiem rozstrzygnięto nareszcie z pomyślnym rezultatem konkurs, który się nie udawał przez lat kilka z rzędu. Nadesłano dwie prace w przedmiocie uprawy roślin aptekarskich. P. Jan Biegański, autor jednej z nich p. t. „Rośliny lekarskie i ich uprawa“, otrzymał nagrodę w sumie rs. 300. Drugi współzawodnik, prowizor farmacyi, p. Włodzimierz Wisłocki, przedstawił poważną i rzetelną pracę p. t.: „Podręcznik do racjonalnej uprawy roślin lekarskich.“ Na wniosek sądu konkursowego, Towarzystwo przyznało z funduszków swoich rs. 100 nagrody dla autora.

Do wybitniejszych działań Towarzystwa należy także opracowanie uwag dla projektu nowej ustawy aptekarskiej. Czynności tej podjęła się komisja, złożona z pp. A. Bukowskiego, H. Klawego, J. Kuśnierskiego, L. Popiela i A. Schmidta. Do dodatnich objawów ruchu zaliczyć trzeba również pogadanki naukowe z dziedziny aptekarstwa i wszelkich spraw zostających z nim w związku. Członkowie Towarzystwa tym sposobem mogą ciągle odświeżać i uzupełniać swą wiedzę fachową najnowszymi zdobyczami nauki w tym zakresie.

W r. z. przyznano stypendya na ogólną sumę rs. 360 sześciu słuchaczom farmacyi uniwersytetu warszawskiego. Wreszcie jeszcze jeden fakt z kroniki działalności dorocznej: Wskutek odezwy Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, Towarzystwo farmaceutyczne wysłało delegatów (pp. Gessnera i Klawego) dla uczestniczenia w pracach komisji, zajmującej się badaniem warunków rozwoju uprawy roślin lekarskich.

Wiadomości bibliograficzne.

Dnia 18 stycznia r. b. odbyło się posiedzenie komisji historii sztuki w Akademii Umiejętności pod przewodnictwem prof. d-ra Maryana Sokołowskiego. Prof. Łuszczkiewicz odczytał pracę p. t. „Dawne opactwo Jędrzejowskie.” Kościół Cystersów w Jędrzejowie zachował w zasadzie pierwotny romański z XIII wieku układ planotypu, takiego, jak w Sulejowie, Wąchocku i Koprzywnicy, pomimo znacznych przebudowań gmachów klasztornych w XVII wieku. Ślad architektury romańskiej pozostał także w jednej z dwu kaplic kościoła jędrzejowskiego (po stronie epistoły). Prelegent zwrócił uwagę, że takie drobne ślady romanizmu, jak te, które doczowały się w katedrze plockiej i klasztorze Jędrzejowskim, dały-by się odszukać także w katedrze kieleckiej.

Prof. Łuszczkiewicz przedstawił opis starożytnych kościołów parafialnych w Szczepanowie i Starym Wiśniczu, jako owoc wycieczki naukowej z uczniami szkoły sztuk pięknych. Autor mniema, iż do budowy kościoła w Szczepanowie przyczynić się musiały, obok Długosza, prawdopodobnie także rody Tarnowskich, Oleśnickich, a nawet sam król, czego ślady są w herbach na tablicy erekcyjnej, tudzież w prezbiterium. Kościół w Starym Wiśniczu, fundacji Kmitów, jest dziełem początku XVI wieku, epoki przejściowej z gotycyzmu do renesansu. Odstępuje on od zwykłego układu planu naszych kościołów średnio-wiecznych, nie posiada właściwego prezbiterium, tylko przedstawia się

jako jedna wielka sala prostokątna. Pięknym zabytkiem renesansu jest t. zw. ołtarzyk na przechowanie Najśw. Sakramentu, w kształcie szafki na kroksztynach zawieszonej, z r. 1594 (dzieło jednego z kamieniarzy włoskich). Kościół w Starym Wiśniczu, wraz z zamkiem w Dębnie, rzuca sporo światła na architekturę pierwotnego zamku Kmitów przed przebudowaniem go przez Stanisława Lubomirskiego w początku XVII wieku.

Dr Tomkowicz podał wiadomość o kształcie kościoła Św. Szczepana w Krakowie, zburzonego r. 1802. Autor opiera się na świeżo znalezionych planach restauracji tej świątyni z r. 1657. [P. Mathias Ber-sohn z Warszawy nadesłał wiadomość o zabytkach skarba klasztoru pp. Franciszkanek w Chęcinach. P. Zygmunt Hendel odczytał pracę swoją o t. zw. Ogrójcu przy kościele Św. Barbary. Wykazał, iż ta budowla ani na postawie aktu erekcyi, ani rozkładu, wyglądu i znaczenia artystycznego, nigdy nie była kostnicą cmentarza maryackiego, ale otwartą kaplicą zmarłych dla nabożeństw żałobnych. W tym celu miała od początku swój ołtarz. Wejście pierwotne do Ogrójca było, nie jak obecnie, w arkadzie północnej, lecz pod arkadą, prowadzącą do drzwi kościoła.

— *Władysław Umiński*. „Żegluga powietrzna” (z 36 ilustracyami). Warszawa, 1894, 8-ka. Str. 121. Autor skreślił historię pracy ludzkiej około zapanowania w przestworzach atmosfery. Opis zaczyna się od najpierwszych prób przed wynalezieniem balonów, dalej czytamy teorię balonów i aerostatów. Pierwsze rozdzieliły zwolenników żeglugi powietrznej na dwa obozy: 1) stronnicy przyrządów cięższych od powietrza i 2) zwolennicy balonów i aerostatów. Osobny rozdział zawiera opis pierwszych prób kierowania statkami powietrznymi; dalej charakterystyka aeronautyki współczesnej. Druga część książki obejmuje opis maszyn latających, tudzież wykład o locie ptaków, helikoptery i spadochrony, latawce i aeroplany, ptaki sztuczne, czyli orthoptery, nowa gazowa bateria elektryczna do celów żeglugi powietrznej. Autor najwięcej znaczenia przypisuje aeroplanom: „Przyrząd ten już obecnym stanie techniki najprędzej może nas doprowadzić do rozwiązania kwestyi żeglugi powietrznej. Praca nad maszynami latającymi wre gorączkowo we wszystkich zakątkach świata ucywilizowanego; oddają się jej ludzie nauki, wsparci potężnymi środkami materyalnemi, dostarczonemi przez specjalne syndykaty kapitalistów.” Balony, jako wadliwe pod wielu względami, nie dadzą pożądaných rezultatów. Ale człowiek o wiele łatwiej zapanuje nad atmosferą za pomocą aeroplanów, cięższych od powietrza. One, zdaniem autora, mają wkrótce rozwiązać kwestyę żeglugi powietrznej.

— *Elizeusz Reclus*. Zjawiska ziemskie. Łądy stale. Z upoważnienia autora przełożyła i uzupełniła dr M. Stefanowska. Warszawa. 1894, 8 ka. Str. 204. Część pierwsza obejmuje opis najważniejszych zjawisk kuli ziemskiej: Kształt planety, równiny, płaskowzgórza, góry krążenie wody, ruchy ziemi. Autor zaznacza teorię Darwina o podnoszeniu się i zapadaniu gruntów. Jest rzeczą niezaprzeczoną, iż skorupa ziemi, uchodząca za niemiętą, ulega wciąż ruchom falowym. Masy lądowe podnoszą się w ciągu długiego szeregu wieków, poczem zniżają się, aby znów się podwyższyć szeregiem powolnych wahań, podobnych do ruchów wahadła. Skandynawia, obecnie podwyższająca się, podczas epoki lodowej zniżala się; narody, zamieszkujące kraj ten od owej epoki, musiały powoli opuszczać doliny, przemieniające się w odnogi morskie. Tak samo Andy chilijskie i góry Nowej Zelandyi, dziś zwiększające swój obszar, przedtem zniżały się stopniowo. W Peru, Egipcie, Ameryce południowej i Grenlandyi takie zmiany odbywały się podczas obecnej epoki geologicznej. „Łądy podnoszą się i opadają, jak przy powolnem oddychaniu, i poruszają się falisto, jak morze.” „Przyjdzie dzień—powiada autor—gdy uczeni zbadają wszystkie poziomy gruntów od bieguna do bieguna, wszystkie szczątki, zostawione przez morze na wybrzeżach lądów i na stokach gór, wówczas można będzie dokładnie określić rozmiary każdego podniesionego obszaru oraz siłę, w grę wchodzącą.” Drugi tom „Zjawisk ziemskich” obejmie morza i meteory, z dokładnym opisem zjawisk oceanicznych i napowietrznych.

— „Sprawa sporu granicznego przy Morskiem Oku”. Wywód historyczno-prawny, z pięcioma kartami—napisał z polecenia Wydziału krajowego dr Aleksander Czołowski.

— *Dr Sewer Sterling*. Chemiczne badanie wody. Rzecz opracowana przez redakcyę czasopisma *Zeitschrift für Nahrungsmittel-Untersuchung u. Hygiene*. Warszawa. 1894, 8-ka. Str. 29. Broszura obejmuje wykład w następującym porządku: Czerpanie prób, konstatowanie niektórych ważnych własności fizycznych, badanie chemiczne, poszukiwanie amoniaku, kwas azotowy, kwas saletrzany (azotny), wykrycie jakościowe, badanie ilościowe, określenie ciał stałych, materye organiczne. Zbadanie utlenienia, A) próba wstępna, B) postępowanie przy badaniu prób wody zanieczyszczonej; wapień i magnez; twardość, próba wody badanej, kwas siarczany, poszukiwanie metali ciężkich.

— W złoczowskiej „Bibliotece Powszechnej” wvszly następujące utwory: Aleksandra Fredry „Śluby panięskie”; itosława Haluka, „Wieczorne pieśni”, przekład z czeskiego Władysława Piasta;

Swifta „Podróże Gulliwera”; Grillparzera „Matka rodu Dobratyńskich”, przekład Stanisława Starzeńskiego; Lessinga „Natan Mędrzec”—w przekładzie Zygmunta Bromberga.

— „Sonder-Veröffentlichungen der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen.” I. *Stadtbuch von Posen* erstes Band herausgegeben von dr Adolf Warschauer II. *Sagen und Erzählungen von der Provinz Posen*, gesammelt von Otto Knoop. Posen. 1893.

Książki, nadesłane do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej.”

— *Plato v. Reussner*. „Najlepsza metoda języka niemieckiego do nauczania się, czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w trzech miesiącach, bez pomocy lub z pomocą nauczyciela. Kurs niższy. Wydanie XII. Z kluczem na końcu. Warszawa, 1894. 8-ka. Cena kop. 60 (w op. 77).

— *Plato v. Reussner*. „Najnowszy elementarz polski, czyli początkowa nauka czytania i pisania z wzorkami pisma.“ Wydanie szóste. Część pierwsza. Warszawa. 8-ka, 4 kop.

— Cukrownictwo. Podręcznik dla pracujących w cukrowniach i rafineriach. Dzieło w trzech tomach, opracowane siłami zbiorowemi. Tom I. Warszawa, 1894. 4-ka rs. 5.

— *S. Dickstein*. „Matematyka i rzeczywistość.“ Szkic. Warszawa. 1893. 8-ka, kop. 30.

— *Adam Gagatnicki*. „Kościoł Wszystkich Świątych w Warszawie z 8 rysunkami. Warszawa, 1893. 8-ka, kop. 50. Rzecz opracowana na podstawie dokumentów urzędowych.

— *Władysław Skwarczyński*. „Analiza cen i zarazem podręcznik dla budowniczych przy wypracowywaniu kosztorysów. Z 54 rysunkami w tekście. Lwów, 1893. 4-ka, rs. 4. kop. 50,

— *J. Swieciański*. „Architektura męzka i żeńska starożytnej Grecji. Studium estetyczne, objaśnione rysunkami. Warszawa. 1894. 8-ka rs. 1.

— Słowniczek 10,000 wyrazów, zwrotów i przysłów cudzoziemskich, używanych w mowie potocznej i prasie peryodycznej polskiej. Wydanie 2-ie poprawne. 1893. 16-ka, rs. 1.

— *Leon Polaczek*. „Spis rodzin szlachty polskiej.“ Zeszyt I. (Abakanowicz Bohatyrewicz.)—Kraków.—Petersburg. 1893.

— *Teodor Tomasz Jeż*. „Edward Kloc“, powieść. Warszawa u Teodora Pa-prockiego 1894.

— *Adam Krechowicki*. „Starosta Zygwolski“, powieść historyczna w 2-ech tomach. Wydanie drugie. Kraków, u Gebethnera i Spółki. 1894.

— *Włodzimierz Zagórski* (Chochlik). Nowele. Serya I. Kraków. 1894.

— *Adolf Dygasiński*. „Krańcowy.“ Nowelle. Warszawa u S. Lewentala.

— *Maryan Gawalewicz*. „Stare długi.” Sztuka w dwóch aktach. Warszawa Gebethner i Wolff. 1894 (in octavo, str. 58).

— *Franciszek Dominik*. „Dzieci muzy.” Komedya w 1-ym akcie. Warszawa. Gebethner i Wolff (in octavo, str. 45).

— *W. Rapacki (syn)*. „Pan Bonifacy.” Farsa w 1-ym akcie. Warszawa. Gebethner i Wolff (in oct., str. 28).

— *Dr Seweryn Sterling*. „Pielęgnowanie chorych.” Warszawa (in octavo, str. 47).

— *Maryan Prawdzic*. „Pszenica, jej różne gatunki i uprawa” (pod kierunkiem K. Promyka). Wydawnictwo „Gazety Świątecznej” i księgarni krajowej. 1893 (in oct., str. 32).

| „Kalendarz księgarsko-literacki.” Rok IV. Katalog książek polskich, wydanych w ubiegłym roku. Warszawa. Nakład księgarni Centnerszwera.

— „Strzecha rodzinna” kalendarz na rok 1894. (Dla ludu).

— „Łodzianin”, kalendarz informacyjno-adresowy na rok 1894. (Rok szósty). Łódź.

— „Wyniki doświadczeń, wykonanych od r. 1887 do r. 1893 przez stację doświadczalną w Sobieszynie. (Odbitka z „Gazety Rolniczej”). Warszawa 1893 (str. 27).

— „Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego.” Rok 1893. Wydawnictw Towarzystwa tom XIV. Kraków, 1893.

— *Bolesław Prus (Aleksander Głowacki)*. „Emancypantki.” Powieść w 4 tomach. Warszawa, 1894. Nakład Gebethnera i Wolffa.

— *Marya Komornicka*. „Szkice.” Warszawa, 1894.

Spuścizna pisarska Monteskiusza.

(Notatka.)

Półtora roku temu blisko, gdy po pismach codziennych rozeszły się wieści o znalezieniu rękopisów Monteskiusza i zamiarze wydania ich przez spadkobierców wielkiego imienia w lat przeszło sto, zniosłem się z bibliotekarzem miasta Bordeaux, w okolicy którego istnieje do dziś dnia zamek la Brède, rodzinna dotąd własność baronów Monteskiuszów, i zasięgałem bliższych informacji wskutek wskazówki prof. de St Marc na wydziale prawa w stolicy Girondy. Do Aleksandra Rembowskiego pisałem jednocześnie, że skoro tylko otrzymam bliższe wiadomości, pośpieszę podzielić się nimi albo w „Niwie“ lub w „Bibliotece Warszawskiej.“ Wymijające informacje ówczesne nie nadawały się do spożytkowania. Wiedziałem tylko, że coś z rękopisów twórcy „Ducha praw“ idzie pod prasę, nie umiano jednak objaśnić które. W przeciągu czasu tego gorliwy udział „Société des bibliophiles de la Guyenne“ i ofiarność spadkobierców, prawników, baronów: Charles, Gaetan, Albert, Gérard Godefroi Monteskiuszów, tudzież p. Barckhausena, prof. prawa publicznego w Bordeaux, wzmiankowanego konserwatora Bibl., p. Céleste, członka koresp. Instytutu Deizemerés, którzy wzięli na się znużną pracę segregowania i przepisywania szpargałów, zdobyły się istotnie na wydanie dwu pism. W r. 1891 wyszły u *Gounouilhou imprimeur éditeur* w Bordeaux i firmy nakładowej *Rouam* w Paryżu „Deux opuscules“ w r. 1892 „Mélanges inédits de Montesquieu“ (299 str. in 4-o.)

O pismach osnowy ekonomicznej, z których dwa weszły w skład ostatniego zbioru, dowiedziałem się z „Journal des Economistes“ za 1893 (lipcowy

poszyt), gdzie p. Tourrier de Teaix zdawał sprawę z nadmienionych „Mélanges“ i treści memoriału o zasadzeniu winoroślą ziem ówczesnej „gónoralité“ (obwód finansowy) Guyenne, o zakazie Intendenta — ówczesnego prefekta, odpowiedzi Monteskiusza i t. p., przyczem dostało się biurokracyi Ludwika XV, snadź kubek w kubek podobnusiękiej do dzisiejszych „starostów“ francuskich i innych satrapów powiatowych. Ponowne informacje dokładniejsze otrzymawszy dopiero co, wraz z dziełami już wydanymi, pospieszam wywiązać się z przyrzeczenia, skoro „Bibliotece“ po starszeństwie należy się, jako pismu literackiemu najdawniejszemu, wiadomość o tem. Zanim roztrząsnąć będę mógł bogatą osnowę „Mélanges“ przyrzeczonych, może na dobre będzie krótka wzmianka o losach owych manuskryptów, które teraz wyszły na światło dzienne.

Po zgonie w r. 1755 autora „Ducha praw,“ syn jego, Jan Chrzciciel de M. rolnik i przyrodnik, chciał wydać tę literacką spuściznę. Z przekąsem a nawet potwarzą odzywał się w Paryżu głośny materyalista Holbach o „fils-indigne.“ Powstrzymały od wydania uwagi kilku literatów paryskich: że ujęcie przyniosło-by to sławie nieboszczyka i twórcy „Listów perskich“, których druga sorya miała być i jest rzeczywiście (14 listów niewydanych,) w owych rękopisach, gdyby je już wydano; nadto uwagi o żyjących jeszcze wtedy osobach, o jakich „Podróże w Niemczech“ i t. p. wspominają, wydawały się przedwczesnymi. Wnuk M-a, Józef Cyryll, był wojskowym, walczył pod Waszyngtonem w Ameryce, następnie jako rojalista w 1791 r. był wychodźcą w Anglii. Klub terrorystów w Bordeaux miał oczywiście na pieńku z ojcem i chciał mienie rodziny skonfiskować, zwłaszcza, że ustawy o emigrantach nieobecnych upoważniały ten zabór. W prawdzie słynny członek konwencji, Isabeau, odwołać potrafił cios ten; gdy jednak Józef Cyryl Montesquieu nie wracał, trzeba było poddać się kaźni rewolucyjnej. Jan Chrzciciel M. umarł w r. 1794, oddawszy manuskrypta do przechowania zaprzyjaźnionej rodzinie de Lainé, z której jeden był potem ministrem Ludwika XVIII. Wprawdzie pierwszy konsul, Napoleon, dozwolił Cyryllowi powrócić i zniósł konfiskatę mówiąc 1801 przy audyencji: „Le nom de Montesquieu lève toutes les difficultés.“ W r. 1815, po upadku mocarza, Ludwik XVIII mianował nawet wnuka M-a generałem. Za pamiętnych „stu dni“ atoli tenże wracać musiał do Anglii, gdzie ożenił się, i dokąd zabrał część rękopisów. Umarł on w r. 1824. Stryjeczny brat jego, zamieszkały w la Brède, chcąc nareszcie z długu się wywiązać, prosił Lainégo o pomoc w wydawnictwie, przez ambasadę zaś — Polignac posłował wtedy w Londynie, — odzyskał rękopisy wraz z resztą spadku. Koło 1832 r. Lainé zabierał się do wydania „Refléxions sur la monarchie universelle en Europe,“ miał nawet nakładcę; lecz, niestety, umarł tak on, jak księgarz Aimé Martin, od którego spadkobierców prawnicy dzisiejsi rękopism w 1886 r. odkupili. Od r. 1836 pół wieku minęło, jak sprawa uciechła. Dziwna rzecz, wszak za Ludwika Filipa nic nie stało na przeszkodzie, a nawet żył wtedy i działał w Akademii nauk politycznych i moralnych sławny

Al. de Tocqueville, coby radą wesprzeć mógł spadkobierców, on, którego za dni naszych ś. p. de Laveleye nazwał „un Montesquieu de XIX siècle.“ W r. 1886 obchodziła rodzina de Montesquieu dwuchsetną rocznicę osiedlenia się antenata w zamku la Brède i postanowiono tym razem wziąć się na seryo do rzeczy Towarzystwo bibliofilów w Bordeaux ofiarowało chętnie pomoc bibliografów swych, komitet wzmiankowany wydawniczy utworzył się i przystąpiono do dzieła.

Kilka bibliograficznych na teraz świeżych szczegółów, zanim potem będzie można ocenić osnowę wydanej dotychczas spuścizny.

Réflexions sur la monarchie universelle mogły być pisane między r. 1724 a 1728 i zawierają 15 zwięzłych ustępów. Poprzedza je piękna akwaforta dzisiejszego zamku la Brède. Potem idzie rozprawka „*De la considération et de la réputation.*“ Razem str. 65.

„*Mélanges inédits*“, oprócz nadmienionej historii rękopisów, mieścą 12 numerów: *Discours sur Cicéron, Eloge de la sincérité, Histoire véritable, Dialogue de Xantippe et de Xénocrate, Essai sur les causes qui peuvent affecter les Esprits et les Caractères, De la Politique, Réflexions sur les caractères de quelques princes et sur quelques événements de leur vie, Lettre de Xénocrate a Phérès, Remarques sur certaines objections à propos de la traduction de mes „Romains“* (Uw. o wielk. Rzym.) *en Angleterre, Mémoire sur la Constitution, Mémoire sur les Dettes de l'Etat* (dla Kcia Regenta Fil. Orleańskiego), *Mémoire contre le décret du Conseil du 25 février 1725* (wzmiankowana polemika z intendentem). Przygotowują się do druku 3 tomy *Mes Pensées, Voyage en Italie, Allemagne et Hollande*. Nadto „*Materyały do Ducha praw*“, rzecz wysoce ciekawa, i „*Korespondencya.*“ Zabiorze to komisji lat kilka czasu.



JÓZEF O CZAPOWSKI.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weysenhoff.

SPIS RZECZY
ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM
Z ROKU 1894.

Historya.

	<i>Str</i>
Kronika Baszka, czyli tak zwana Wielkopolska kronika, przez Antoniego Małeckiego	1
Spory dyplomatyczne o Samozwańców, przez Adama Darowskiego . . .	425

Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.

Myśli społeczno-filozoficzne Karola Secrótana, przez J. B. Oczapowski	131
John Ruskin jako ekonomista, przez A. Okolskiego	344
Przyszła wojna, jej ekonomiczne przyczyny i skutki, przez Jana Blocha. (Ciąg dalszy)	236 i 524
Izby wyższe i arystokracja nowożytna, przez Aleksandra Rąbrowskiego	252 i 476

Literatura.

Rodzina Połanieckich, powieść, przez Henryka Sienkiewicza. (Ciąg dalszy)	25, 197 i 446
Z nad morza, obrazek, przez Michała Radziwiłła	63

II

	<i>Str.</i>
Zaręczyny Jana Bełzkiego, nowella, przez Józefa Weysenhoffa	302
Z cyklu „Italia.” Madonna. I. Cimabue. Giotto. W Sant’ Onofrio. Poezycze, przez Maryę Konopnicką	367
Z Grecyi. VI. Tanatos, poezya przez Józefa Weysenhoffa	127

Studyja, szkice i notatki literackie i artystyczne.

Pisma Włodzimierza Spasowicza, przez Szymona Askenazego	508
Spuścizna literacka Monteskiusza, przez J. B. Oczapowskiego	625
Cykl obrazów Piotra Stachiewicza. Legenda o Matce Boskiej, przez Michała Radziwiłła	587

Nauki przyrodnicze.

Alkohol i alkoholizm, przez d-ra L. Flauma	74
Ostatni z nieważników, przez Stanisława Kramsztyka	551

Krytyka.

Ludwik Ćwikliński. „Opis zarazy ateńskiej” w dziele Tukidydesa, przez S. D.	152
Kazimierz Gliński. „Dramaty”, przez Kazimierza Kaszewskiego	161
Ludwik Krzywicki. „Ludy, zarys antropologii etnicznej”, przez Jana Karłowicza	370
Wincenty Kosiakiewicz. Powieści: „Rodzina Łatkowskich”, „W miasteczku”, „Włodek”, przez Wacława Karczewskiego	398
Pisma Henryka Sienkiewicza. Tom dwudziesty, przez Wincentego Kosiakiewicza	592
Bolesław Wilczyński. „Historia muzyki”, przez Aleksandra Polińskiego	603

Kronika zagraniczna.

<i>Galicyska</i> , przez U. Projekt reformy wyborczej i rozszerzenie prawa wyborczego w miastach i gminach wiejskich w Galicyi. Odczyt prof. Tadeusza Piłata o reformie wyborczej. Projekt ustawy o posiadłościach rentowych. Projekt ustawy o zawodowych stowarzyszeniach rolników. Rezultat tegorocznych zbiorów	48
<i>Paryska</i> . Akademia francuska i bieżące poglądy na instytucję Richelieu’go. „Afryka rozemknięta” jako temat konkursu poetycznego. Ubolewania Damet’a nad niepowodzeniem tego turnieju. Laureaci.	

Don Jose Heredia, Andrzej Lemoyne, Karol Grandmougin, L. Adam, Le Braz, pani Measureur. Nagrody za dzieła historyczne. Alberta Vandala „Napoleon i Aleksander I.” Ferdynanda Bournona „Bastylia.” Maurycego Jolliveta „Rewolucya francuska na Korsyce.” Lucyana Perina „Siostrzeniec Mazariniego.” Józefa Fabre „Dziewica Orleańska.” Karola Lenthalie „Historya rzeki Rodanu.” Laurroaci literatury. Gidela „Historya literatury francuskiej.” Wiktora Fournela „Teatr w XVII wieku.” Simona „Wielcy pisarze wszystkich krajów.” Lessueura tłumaczenie Byrona. Nagrodzeni z konkursu Monthiona. Varignego „Geografia nowożytna.” Kamila Juliana „Gallia.” Premia za opisy podróży. Gustawa Deschamps „Dzisiejsza Grecya.” Renego Bazina „Sycylia.” Emila Chabrana „Z Barcelony do Meksyku.” Uczczenie pamięci pani Colomb i Guy de Maupassant’a. Sprawozdanie z nagród konkursowych i „Moje szczere słowo” Franciszka Coppégo. Zdanie Biörnsona o literaturze francuskiej. „Pani Sans-Gêne” i dramat Grandmongina „Napoleon.” Epopea narodowa pod tym samym tytułem Leopolda Laya, grana w teatrze Porte-Saint-Martin. „Les fournisseurs de Napoléon” Spencera. Pomnik Rude’a „Cesarz Napoleon budzący się do chwały nieśmiertelnej.” Album Mortholda i Joba: „Wielki Napoleon dla małych.” List Dumasa młodszego do ojca. Rozprawa Karola Henry „Gounod jako estetyk i myśliciel.” Nowe opery: „Gwendolina” Chabriera i „l’Attaque du moulin” Alfreda Bruneau. Oktawiusza Uzanne „Vingt jours dans le nouveau monde.” . . . 277

Kronika miesięczna.

Styczeń. Bil parafialny i agitacya z powodu floty w parlamencie angielskim. Rozprawy o reformie wyborczej w austriackich sejmach krajowych. Projekta podatkowe i umowa celno-handlowa z Rosyą w parlamencie niemieckim. Wyrok sądu przysięgłych w Angoulême w sprawie bójki między Francuzami i Włochami w Aigues-Mortes. Rokosz w Sycylii. Zamordowanie w Pradze Rudolfa Mrwy i proces *Omladiny*. Zawikłania w Serbii. Zainteresowanie się umysłów zjawiskami niepochwytnymi. Kongres wolnej praktyki lekarskiej w Paryżu. Rozpowszechnienie masażu i ociemniali jako masażyści. Wynalazcy sterów balonowych. Doświadczalnie meteorologiczne. Odczyt p. Rugiewicza o znaczeniu analizy gruntów w związku z próbami nawozowemi. Zdania rzemieślników o sposobach przeciwdziałania tandeciarstwu. Rozporządzenia na kolejach,

	<i>Str.</i>
zniczające do udogodnień i bezpieczeństwa ruchu. Wypożyczalnie książek na kolejach. Kalendarze. Humor w literaturze obrazkowej i Kostrzewski. Medal na cześć Mikołaja Zakliki. Śmierć Tyndala.	172
<i>Luty.</i> Traktat handlowy między Rossyą i Niemcami. Pogodzenie się ks. Bismarcka z cesarzem Wilhelmem. Nowy gabinet w Serbii. Rozpuszczenie parlamentu włoskiego. Zabawa jako bodziec filantropii. „Rozdawnictwo odzieży” i dom zarobkowy w Warszawie. Organizacja walki z żebractwem. Filantropia w Łodzi. Związki fachowców i stowarzyszenia sportowe. Towarzystwa lekarskie na prowincyi. Straże ochotnicze prowincjonalne. Towarzystwa pracowników handlowych i przemysłowych w Warszawie i w Łodzi i dział „rekomendacji pracy.” Zmarli: współpracownik „Biblioteki” Józef Rolle (Dr Antoni J.), Jerzy Aleksandrowicz, Leopold Matuszyński, Władysław Jabłonowski, August Kościeszka Żaba, Samuel Baker i Wiktor Schoelcher	405
<i>Marzec.</i> Dymisya Gladstona i nowy gabinet angielski. Dalsze widoki sprawy irlandzkiej. Projekta rządu włoskiego. Reforma wyborcza w Austrii. Traktat handlowy między Niemcami a Rossyą. Zwyczaj przyjęć poobiednich. Gawędziarstwo na posiedzeniach naszych instytucyi. Pogadanki w Towarzystwie ogrodniczym. Przyszłość przetworów owocowych. Oforta Halli co do analizy naszych gruntów. Starania delegacyi nawozowej w celu wytworzenia stacyi doświadczalnej. Delegacya drogowa i komitety obywatelskie. Wniosek p. Ujazdowskiego. Prywatna działalność w zakresie budowania pomocniczych kolei żelaznych. Zwiększenie robocizny szarwarkowej według metody przyjętej we Francyi. Kwestyo parcelacyi i likwidacyi. Wniosek pp. Jeziorańskiego i Kłobukowskiego w przedmiocie utworzenia Banku likwidacyjnego. Kwestya dopuszczenia kobiet do cechu krawieckiego. Starania kelnerów o wytworzenie cechu. Projekt ustawy kasy przezorności i pomocy dla farmaceutów.	607

Wiadomości bibliograficzne.

Styczeń	187
Luty	420
Marzec	620

